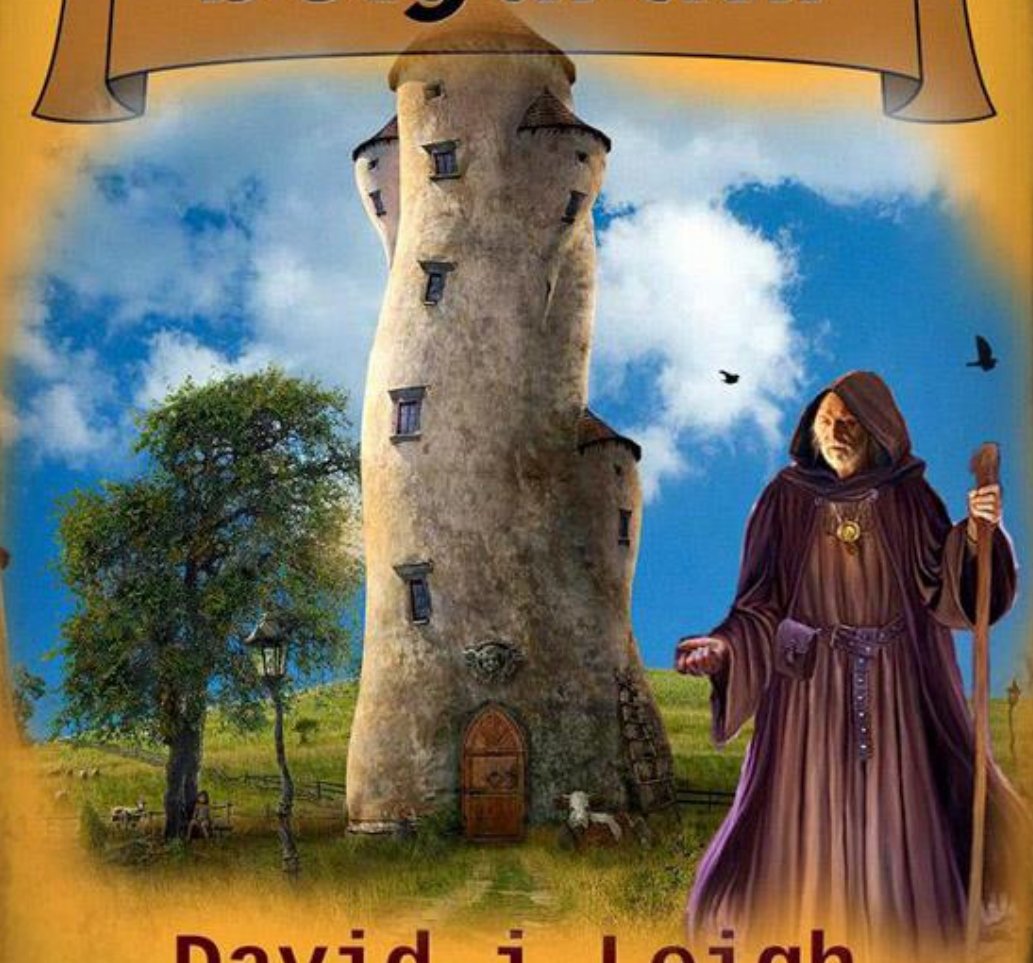


Czarodziej Belgarath



David i Leigh
Eddings

DAVID I LEIGH EDDINGS

Czarodziej Belgarath

Przełożyła Maria Duch

Tytuł oryginału: Belgerath The Sorcerer

Wydanie oryginalne 1995

Wydanie polskie 1997-98

W polskim wydaniu książkowym podzielony na trzy tomy:

1. Belgarath Czarodziej
2. Czas niedoli
3. Tajemnica

Spis treści:

Część pierwsza - Dolina	12
Część druga - Apostata	100
Część trzecia - Czas niedoli	273
Część czwarta - Polgara	345
Część piąta - Tajemnica	470
Część szósta - Garion	657

Owenowi

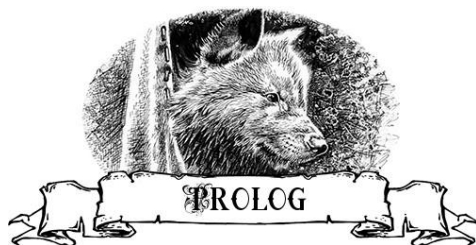
Byliśmy przy tym razem od kwietnia 1982

Twoja przyjaźń, porady i wiara

bardzo nas podnosiły na duchu.

Jeszcze ten jeden raz!

Leigh i David



Było dobrze po północy. Księżyc już wzeszedł. W jego bladym świetle kryształki lodu na śniegu iskrzyły się niczym rozsypane diamenty. Garionowi zdawało się, że to gwiaździste niebo odbija się w pokrytej śniegiem ziemi.

- Myślę, że już odeszli - powiedział Durnik, wpatrując się w niebo. Jego oddech parował w lodowatym, nieruchomym powietrzu. - Nie widzę już tęczy.

- Tęczy? - zapytał nieco zaskoczony Belgarath.

- Wiesz, co mam na myśli. Każdy z nich ma światło innej barwy. Aldur błękitne, Issa zielone, Chaldan czerwone i wszyscy pozostali mają inne kolory. Czy kryje się za tym jakieś znaczenie?

- Prawdopodobnie jest to odbiciem ich różnych osobowości - odparł Belgarath. - Choć nie jestem o tym do końca przekonany. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat z moim Mistrzem. - Czarodziej zaczął przytupywać nogami. - Może wrócimy? - zaproponował. - Zimno tu.

Zaczęli schodzić zboczem ku chatce. Zmrożony śnieg skrzypiał im pod nogami. Farma u podnóża wzgórza sprawiała wrażenie ciepłej i wygodnej. Strzechę chatki pokrywała gruba warstwa śniegu. Spod okapu zwisały błyszczące w blasku księżyca sople. W postawionych przez Durnika zabudowaniach gospodarczych było ciemno, ale okna chaty jaśniały złocistym blaskiem lamp. Ich łagodne światło zalewało zasypane śniegiem podwórko. Smuga szaroniebieskiego dymu z komina zdawała się wznosić wprost do gwiazd.

Zapewne nie musieli odprowadzać gości na szczyt wzgórza. To był jednak dom Durnika, a Durnik był Sendarem. Sendarowie zaś przywiązują dużą wagę do przestrzegania zasad dobrego wychowania i uprzejmości.

- Eriond zmienił się - zauważył Garion, gdy byli już prawie na dole. - Wydaje się teraz bardziej pewny siebie.

Belgarath wzruszył ramionami.

- Dorasta. Każdy przez to przechodzi - być może z wyjątkiem Belara. Nie sędzę, aby Belar kiedykolwiek dorósł.

- Belgaracie! - zawołał wstrząśnięty Durnik. - Człowiek nie powinien tak wyrażać się o swym Bogu!

- O czym ty mówisz?

- O tym, co powiedziałeś o Belarze. On jest Bogiem Alornów, a ty przecież jesteś Alornem, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Taki ze mnie Alorn, jak i z ciebie.

- Zawsze myślałem, że jesteś Alornem. Spędzałeś z nimi tak wiele czasu.

- To nie był mój pomysł. Mistrz powierzył mi ten lud pięć tysięcy lat temu. Wielokrotnie próbowałem pozbyć się opieki nad nimi, ale Mistrz nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Skoro nie jesteś Alornem, to kim?

- Nie mam pewności. Za młodu nie przywiązywałem do tego wagi. Wiem, że nie jestem Alornem. Wydaję się na to niewystarczająco pomyłony.

- Dziadku! - zaprotestował Garion.

- Ciebie to nie dotyczy, Garionie. Jedyne w połowie jesteś Alornem.

Doszli do drzwi chatki. Przed wejściem starannie otrzepali nogi ze śniegu. W środku było królestwo cici Pol, a ona bardzo nie lubiła, gdy kto nanosił śniegu na jej nieskazitelnie czyste podłogi.

W chatce było ciepło. Złociste światło lamp odbijało się w wypolerowanych miedzianych garnkach, patelniach i rondlach, wiszących na hakach po obu stronach sklepionego łukowo paleniska. Na środku izby stały stół i krzesła. Durnik zrobił je z dębu. Światło lamp podkreślało jeszcze złocisty kolor drewna.

Wszyscy trzej natychmiast podeszli do paleniska ogrzać ręce i nogi.

Drzwi od sypialni otworzyły się i weszła Poledra.

- Widzieliście, jak odchodzili? - zapytała.

- Tak, moja droga - odparł Belgarath. - Oddalili się na północny wschód.

- Jak się ma Pol? - zapytał Durnik.
- Jest szczęśliwa - odrzekła brązowowłosa babcia Gariona.
- Nie to miałem na myśli. Czy nadal nie śpi?

Poledra kiwnęła głową.

- Leży w łóżku i podziwia swe dzieło.
- Mógłbym do niej zajrzeć?
- Oczywiście. Tylko nie obudź dzieci.

- Zapamiętaj to sobie, Durniku - poradził mu Belgarath. - Niebudzenie tych dzieci stanie się głównym celem twego życia przez następne kilka miesięcy.

Durnik uśmiechnął się i wszedł do sypialni wraz z Poledrą.

- Nie powinienes tak mu dokuczać, dziadku - powiedział z wyrzutem Garion.

- Nie dokuczałem mu, Garionie. Sen rzadko gości w domu bliźniąt. Wydaje się, że zawsze jedno z nich nie śpi. Chcesz się czegoś napić? Chyba potrafię znaleźć beczkę z piwem Pol.

- Wyskubie ci brodę, jeśli przyłapie cię na myszkowaniu po spiżarni.
- Nie złapie mnie, Garionie. Jest teraz zbyt zajęta byciem matką.

Starzec wszedł do spiżarni i z hałasem zaczął po niej buszować.

Garion zdjął płaszcz, powiesił go na kołku i wrócił do kominka. Nogi nadal miał przemarznięte. Spojrzał na krokwie nad głową. Bez trudu rozpoznał zręczną robotę Durnika. Skrupulatność kowala znać było we wszystkim, co robił. Nad centralnym pomieszczeniem krokwie były odsłonięte, ale nad sypialnią znajdował się stryszek, na który wiodły schody biegnące pod ścianą.

- Znalazłem - zawołał triumfalnie Belgarath ze spiżarni. - Próbowala ją schować za beczką z mąką.

Garion uśmiechnął się. Jego dziadek zapewne odnalazłby beczkę piwa nawet na dnie kopalni.

Starzec wyszedł ze spiżarni z trzema pełnymi po brzegi kufkami piwa. Postawił je na stole i przysunął sobie krzesło do kominka. Potem wziął jeden z kufli, usiadł i wyciągnął nogi w stronę ognia.

- Przysuń sobie krzesło, Garionie - zaprosił. - Czemu nie ma być nam wygodnie?

Garion przestawił krzesło i usiadł.

- To była noc! - rzekł.

- O tak, chłopcze - odparł starzec. - W rzeczy samej.

- Czy nie powinniśmy powiedzieć dobranoc cioci Pol?

- Durnik jest u niej. Nie przeszkadzajmy im. To szczególny czas dla małżonków.

- Tak - przyznał Garion, wspominając noc sprzed dwóch tygodni, gdy jego córka przyszła na świat. - Wrócisz wkrótce do Rivy?

- Chyba powinienem - odparł Garion. - Zaczekam jednak jeszcze kilka dni - dopóki ciocia Pol znowu nie stanie na nogi.

- Nie zwlekaj zbyt długo - poradził mu Belgarath z uśmiechem na ustach. - Ce'Nedra sama siedzi teraz na tronie.

- Poradzi sobie. Wie, co robić.

- Tak, ale czy chcesz, aby robiła to po swojemu?

- Nie sądzę, aby wydała komuś wojnę podczas mojej nieobecności.

- Może nie, ale z Ce'Nedrą nigdy nic nie wiadomo. Chciałem tylko powiedzieć, że jest trochę nieprzewidywalna - dodał sędziwy czarodziej i westchnął.

- Co cię niepokoi, dziadku?

- Stare żale ożyły. Chyba nie zdajecie sobie sprawy, jacy z was szczęśliwcy. Mnie nie było przy narodzinach moich bliźniaczek. Byłem w podróży służbowej.

Garion oczywiście znał tę historię.

- Nie miałeś wyboru, dziadku - powiedział. - Aldur polecił ci ruszyć do Mallorei. Czas było odzyskać Glob. Musiałeś pomóc Cherekowi i jego synom.

- Nie próbuj tego racjonalnie usprawiedliwiać, Garionie. Prawda jest taka, że porzuciłem swą żonę, kiedy potrzebowała mnie najbardziej. Sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej, gdybym tego nie uczynił.

- Nadal czujesz się winny?

- Oczywiście. Przez trzy tysiące lat dźwigałem poczucie winy. Najlepsze usprawiedliwienia tego nie zmieniają.

- Babcia ci przebaczyła.

- Oczywiście. Twoja babcia jest wilczycą, a wilki nie chowają urazy. Rzecz w tym, że ona może mi przebaczyć, ty możesz mi przebaczyć i nawet zdobyć akt przebaczenia podpisany przez wszystkich ludzi, ale ja nadal czuję się winny. Może porozmawiali byśmy o czymś innym?

Z sypialni wyszedł Durnik.

- Zasnęła - powiedział cicho. Potem podszedł do kominka i dołożył drewna. - Zimna dziś noc - zauważył. - Lepiej, żeby ogień nie zgasł.

- Powinienem o tym pomyśleć - przeprosił Garion.

- Dzieci śpią? - zapytał Belgarath kowala.

Durnik kiwnął głową.

- Ciesz się tym, póki możesz. One odpoczywają.

Durnik uśmiechnął się. Potem przysunął sobie krzesło bliżej ognia.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? - zapytał, sięgając po ostatni kufel piwa.

- Rozmawialiśmy o wielu rzeczach - odparł Belgarath.

- Chodzi mi o cykliczność pewnych wydarzeń. To, co zdarzyło się dzisiejszej nocy, jest jednym z nich, prawda?

- Durniku, Pol nie jest pierwszą kobietą, która urodziła bliźnięta.

- Wiem, Belgaracie, ale tym razem jest inaczej. Mam wrażenie, że coś takiego jeszcze się nie wydarzyło. Wydaje mi się, że to coś zupełnie nowego. To była bardzo szczególna noc. Sam Ul dał swoje błogosławieństwo. Czy coś takiego miało już kiedyś miejsce?

- Chyba nie - przyznał stary czarodziej. - Być może rzeczywiście to coś nowego, jeśli tak na to spojrzeć. Jeżeli tak, to sprawy mogą przybrać dla nas trochę zaskakujący obrót.

- Dlaczego? - zapytał Garion.

- W powtórzeniach miłe jest to, że wiesz, czego się spodziewać. Jeśli wszystko zatrzymało się, gdy zdarzył się „wypadek”, a teraz ponownie ruszyło, to znajdziemy się na nowym terytorium.

- Nie odnajdziemy wskazówek w przepowiedniach?

Belgarath pokręcił głową.

- Nie. Ostatni ustęp w Kodeksie Mrińskim mówi: „*A potem pojawi się wielka jasność i w tej jasności uleczone zostanie to, co było rozbite, a przerwany Cel będzie kontynuowany, tak jak to było zamierzone od początku*”. Wszystkie inne prorocтва kończą się mniej więcej tak samo. Wyrocznie Ashabine używają nawet niemal dokładnie tych samych słów. Z chwilą, gdy światło dotarło do Korimu, jesteśmy zdani tylko na siebie.

- Czy teraz pojawią się nowe przepowiednie? - zaciekał się Durnik.

- Zapytaj o to Erionda przy następnym spotkaniu. On teraz jest odpowiedzialny. - Belgarath westchnął. - Nie sądzę jednak, byśmy byli zamieszani w jakieś nowe prorocтва. Zrobiliśmy, co do nas należało - uśmiechnął się nieco krzywo. - Jeśli mam być szczerzy, to cieszę się, że już to mamy za sobą. Robię się za stary na ratowanie świata. Początkowo było to całkiem interesujące zajęcie, ale po kilku razach zrobiło się wyczerpujące.

- To byłaby opowieść - odezwał się Durnik.

- Jaka opowieść?

- O wszystkim, co przeżyłeś - ratując świat, walcząc z demonami, zachęcając do działania Bogów i tym podobnych rzeczach.

- To byłaby nudna opowieść, Durniku. Bardzo, bardzo nudna - sprzeciwił się Belgarath. - Przez długie okresy nic się nie działo. Historia o wyczekujących ludziach nikogo by nie zaciekała.

- Jestem pewny, że było wystarczająco dużo zajmujących spraw, aby uczynić ją interesującą. Któregoś dnia chciałbym naprawdę usłyszeć całą tę historię - no wiesz, jak spotkałeś Aldura, jak wyglądał świat, nim Torak go rozłupał, jak ty i Cherek wykradliście Glob - o wszystkim.

Belgarath roześmiał się.

- Rok mógłbym opowiadać, a jeszcze nie doszedłbym do połowy. Mamy chyba lepsze rzeczy do robienia.

- Czyżby, dziadku? - zapytał Garion. - Powiedziałeś, że nasz udział dobiegł końca. Może to dobry czas na podsumowanie?

- A co by komu z tego przyszło? Ty władasz królestwem, a Durnik dogląda swej farmy. Macie ważniejsze rzeczy do zrobienia, niż wysłuchiwanie moich opowieści.

- A zatem je spisz. - Garion nagle zapalił się do tej myśli. - Wiesz, dziadku, im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że powinieneś to zrobić. Byłeś tu od samego początku. Tylko ty znasz całą historię. Naprawdę powinieneś ją spisać. Opowiedz światu, co naprawdę się wydarzyło.

Twarz Belgaratha wyraźnie posmutniała.

- Świata to nie obchodzi, Garionie. Uraziłbym jedynie wielu ludzi. Mają własną wizję wydarzeń i są z tego powodu szczęśliwi. Nie zamierzam przez następne pięćdziesiąt lat zapisywać skrawków papieru tylko po to, aby ludzie przybywali do Doliny kłócić się ze mną. Poza tym nie jestem historykiem. Nie mam nic przeciwko snuciu opowieści, ale nie jestem przekonany do ich spisywania. Gdybym podjął się takiego zadania, po kilku latach odpadłaby mi ręka.

- Nie bądź taki skromny, dziadku. Obaj z Durnikiem wiemy, że nie musisz robić tego ręką. Potrafisz myśli przelać na papier nawet nie dotykając pióra.

- Zapomnij o tym - powiedział krótko Belgarath. - Nie mam zamiaru tracić czasu na coś tak niedorzecznego.

- Leń z ciebie, Belgaracie - oskarżył go Durnik.

- Dopiero teraz to zauważyłeś? Myślałem, że jesteś bardziej spostrzegawczy.

- Nie zrobisz więc tego? - zapytał Garion.

- Nie, chyba że ktoś poda mi lepszy powód od waszego.

Drzwi sypialni otworzyły się i do kuchni weszła Poledra.

- Macie zamiar rozmawiać całą noc? - powiedziała po cichu. - Jeśli tak, to idźcie gdzie indziej. Jeżeli obudzicie dzieci... - Poledra zawiesiła złowieszczco glos.

- Właśnie mówiliśmy o pójściu do łóżka, skarbie - skłamał gładko Belgarath.

- To idźcie, zamiast siedzieć i gadać o tym.

Belgarath wstał i przeciągnął się, być może odrobinę zbyt teatralnie.

- Ona ma rację - zwrócił się do przyjaciół. - Niedługo będzie świtać, a bliźnięta odpoczywały całą noc. Jeśli chcemy się przespać, to lepiej zrobmy to teraz.

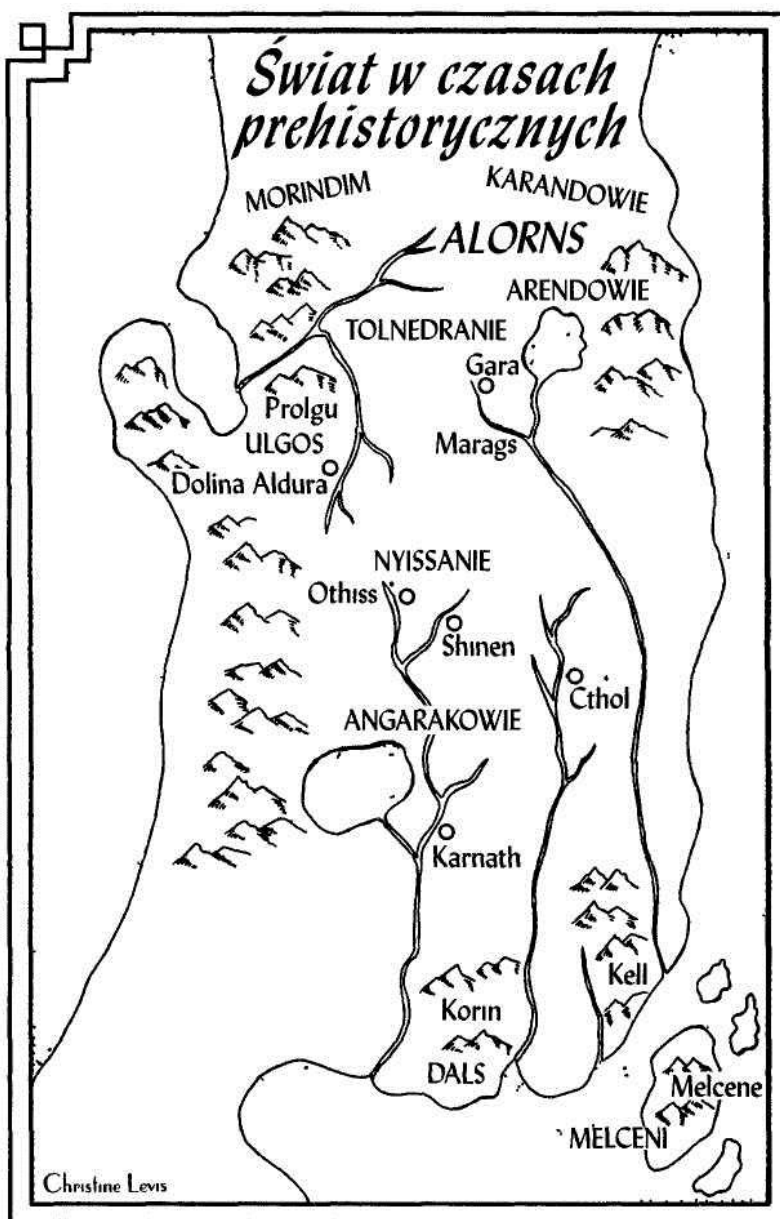
Wdrapali się na stryszek i zawinęli w koce na siennikach, które Durnik tam trzymał. Garion leżał później wpatrując się w powoli blednący blask ognia i migotliwe cienie zalegające pokój na dole. Rozmyślał o Ce'Nedrze i swych dzieciach, ale potem pozwolił myślom poszybować ku wydarzeniom tej szczególnej nocy. Ciocia Pol zawsze była ośrodkiem życia Gariona. Urodzenie bliźnięt nadało pełni jej życia.

Tuż przed zaśnięciem rivański król wrócił myślami do rozmowy, którą właśnie odbyli z Durnikiem i dziadkiem. Musiał przyznać, że miał nieklamana chęć przeczytać opowieść Belgaratha. Stary czarodziej był bardzo dziwnym i skomplikowanym człowiekiem. Jego wspomnienia pozwoliłyby Garionowi spojrzeć na dziadka pod innym kątem. Oczywiście należało go do tego zmusić. Belgarath był specjalistą w wymigiwaniu się od pracy. Garion pomyślał, że zna jednak sposób na wyciągnięcie od dziadka tej opowieści. Uśmiechnął się do siebie. Ogień na kominku przygasał. Garion wiedział już, jak się do tego zabrać. Pozna początek tej historii.

A potem, ponieważ naprawdę było późno, Garion zasnął. Być może dzięki znajomemu wnętrzu kuchni cioci Pol, śnił o farmie Faldorna, gdzie jego historia się zaczęła.



Część pierwsza - Dolina.





Im dłużej zastanawiać się nad jakimś pomysłem, tym bardziej możliwe wydaje się jego urzeczywistnienie. Myśl rzucona dla zabicia czasu potrafi przerodzić się w zobowiązanie, gdy podchwycą ją inni. Dlaczego ludzie nie mogą zrozumieć, że jeśli o czymś mówię, nie oznacza wcale, iż czynię to z ochotą?

Wszystko zapoczątkowała całkiem niewinna uwaga Durnika. Kowal powiedział, że chciałby usłyszeć, jak się zaczęła ta cała historia. Wiecie, jaki dociekliwy jest Durnik. Potrafi wszystko rozebrać na części, aby dowiedzieć się, dlaczego to działa. Tym razem mogę mu jednakże wybaczyć. Pol właśnie obdarzyła go bliźniętami, a młodzi ojcowie mają skłonność do niezbyt mądrego zachowania. Natomiast Garion powinien mieć na tyle oleju w głowie, aby się nie wtrącać. Przeklinam dzień, w którym obudziłem w tym chłopcu ciekawość poznania początków. W pewnych sprawach potrafi być okropnie marudny. Gdyby po prostu dał temu spokój, może nie mozoliłbym się teraz nad tym paskudnym zadaniem.

Ale gdzież tam. Obaj wracali do sprawy dzień po dniu, jakby los świata od tego zależał. Próbowałem zbyć ich mglistymi obietnicami - niczym konkretnym - i miałem słabą nadzieję, że zapomną o tej całej głupiej sprawie.

Potem Garion zachował się tak bezwzględnie, tak podstępnie, że wstrząsnęło to mną do żywego. Wspomniał Polgarze o tym głupim pomysle, a gdy wrócił do Rivy, powiedział również Ce'Nedrze. Mało

tego, czy dacie wiarę, że namówił je, aby wmieszały w całą tę sprawę Poledrę?


Muszę przyznać, że sam sobie byłem winny. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że owego wieczoru byłem nieco zmęczony. Mimowolnie pozwoliłem wymknąć się czemuś, co przez trzy eony skrywałem głęboko w swym sercu. Poledra spodziewała się dziecka, a ja zostawiłem żonę samą. Przez pół życia nosiłem poczucie winy za ten czyn. To było niczym nóż wbijany we wnętrność. Garion o tym wiedział i z zimną krwią, z rozmysłem, wykorzystał to, by nakłonić mnie do owego absurdalnego przedsięwzięcia. Był świadom, że w tych okolicznościach po prostu nie potrafię niczego odmówić swej żonie.

Poledra oczywiście nie wywierała na mnie żadnego nacisku. Nie musiała. Wystarczyło jedynie, by wspomniała, iż podoba jej się ten pomysł. W tej sytuacji nie miałem żadnego wyboru. Mam nadzieję, że król Rivy jest szczęśliwy z powodu tego, co mi uczynił.

To z całą pewnością błąd. Rozsądek mi mówi, że o wiele lepiej pozostawić rzeczy takimi, jakie są; przyczyny i skutki przysypane pyłem zapomnianych lat. Zostawiłbym je tak, gdyby to ode mnie zależało. Prawda zdenerwuje wielu ludzi.

Zrozumięją nieliczni, a jeszcze mniej zaakceptuje to, co mam zamiar przedstawić, ale, jak ze złośliwym uporem powtarzali mój wnuk i zięć, jeśli ja nie opowiem tej historii, uczyni to ktoś inny. Skoro jednak tylko ja znam jej początek, środek i koniec, więc to mnie przypadło spisanie na zniszczonym pergaminie atramentem, który już zaczyna blaknąć, nim wyschnie, dość niecodziennej relacji z tego, co naprawdę się wydarzyło - i dlaczego.

A zatem pozwólcie, że zacznę tę opowieść tak, jak zaczyna się wszystkie opowieści, od początku.



Urodziłem się w Garze, wiosce, której już dawno nie ma. O ile pamiętam, leżała ona na przyjemnie zielonym brzegu rzeczki połyskującej w letnim słońcu, jakby była posypana drogimi kamieniami. Oddałbym wszystkie klejnoty, jakie kiedykolwiek posiadałem lub widziałem, by znowu usiąść nad brzegiem tej bezimiennej rzeki.

Nasza wioska nie była bogata, ale w tamtych czasach żadna taka nie była. Na świecie panował pokój. Bogowie przechadzali się pomiędzy nami z uśmiechem. Nie pamiętam, kto był naszym Bogiem ani jakie miał atrybuty czy totem. Byłem wówczas bardzo młody, to przecież odległe czasy.

Bawiłem się z innymi dziećmi na gorących, zakurzonych ulicach, biegałem po łąkach, pośród wysokiej trawy i polnych kwiatów, wiosłowałem po migotliwej rzece, którą zatopiło Morze Wschodnie niezliczone lata temu.

Moja matka umarła, gdy byłem jeszcze całkiem mały. Pamiętam, że długo płakałem z tego powodu, choć muszę szczerze przyznać, iż nie potrafię sobie już przypomnieć jej twarzy. Zachowałem w pamięci delikatność rąk matki i zapach świeżo upieczonego chleba, który rozchodził się z kuchni, ale nie pamiętam jej twarzy. Czyż to nie dziwne?

Potem mieszkańcy Gary zajęli się moim wychowaniem. Nigdy nie znałem swego ojca i nie przypominam sobie, abym miał jakichś żyjących krewnych. Ludzie z wioski dbali, abym miał co jeść, dawali mi stare ubrania i pozwalali sypiać w swoich oborach. Nazywali mnie Garath, co w naszym osobliwym dialekcie oznaczało „z miasta Gary”. Możliwe, że było to moje prawdziwe imię. Nie pamiętam już, jak wołała na mnie matka, nie myślę jednak by miało to jakieś znaczenie. Garath było wystarczająco wygodnym imieniem dla sieroty, nie wprowadzało zbytniego zamętu w społecznej strukturze wioski.

Nasza wioska leżała gdzieś w pobliżu zbiegu granic starożytnych ojczyzn Tolnedran, Nyissan i Maragów. Myślę, że wszyscy byliśmy tej samej rasy, ale nie jestem tego zupełnie pewny. Przypominam sobie tylko jedną świątynię - jeśli można ją tak nazwać - co przemawiałoby za tym, iż oddawaliśmy cześć wspólnemu Bogu, a tym samym byliśmy

jednej rasy. W owym czasie religia była mi rzeczą obojętną, nie pamiętam więc, czy świątynię wzniesiono ku czci Nedry, Mary czy Issy. Ziemie Arendów leżały nieco na północ, zatem całkiem możliwe, że nasza koślawa świątynka została wzniesiona ku czci Chaldana. Jestem jednak pewny, iż nie czciliśmy Toraka ani Belara. Pamiętam, iż nie był to żaden z nich.

Już w dzieciństwie oczekiwano, że zapracuję na swoje utrzymanie. Wieśniacy nie byli skorzy do zapewniania mi luksusu błógiego nieróbstwa. Dali mi pracę pastucha krów, ale nie byłem w tym zbyt dobry, jeśli chcecie znać prawdę. Nasze krowy były karłowate i łagodne, więc niezbyt wiele z nich odłączało się od stada, gdy znajdowały się pod moją opieką, a te, które chodziły samopas, zwykle wracały na wieczorne dojenie. W sumie więc pasienie krów było dobrym zajęciem dla chłopaka, który nie bardzo garnał się do uczciwej pracy.

W owym czasie mój stan posiadania ograniczał się jedynie do tego, co miałem na grzbiecie, ale szybko nauczyłem się sobie radzić. Zamków jeszcze nie wynaleziono, nie miałem więc większych trudności z przetrząsaniem chat sąsiadów, gdy ci pracowali na polach. Kradłem głównie jedzenie, choć od czasu do czasu do mych kieszeni trafiały i inne drobiazgi. Niestety, gdy ginęły jakieś rzeczy, podejrzanym z reguły byłem właśnie ja. Sieroty nie cieszyły się w owym czasie zbyt wielkimi względami. Z biegiem lat moja reputacja pogarszała się i innym dzieciom przykazano mnie unikać. Wieśniacy uważali, że jestem leniwy i niegodny zaufania, nazywali mnie również kłamcą i złodziejem - często prosto w twarz! Nie zaprzeczam zarzutom, ale niezbyt przyjemnie usłyszeć coś takiego prosto w twarz. Mieli mnie ciągle na oku. Jasno też dali mi do zrozumienia, abym za dnia trzymał się z dala od wioski. Najczęściej jednak ignorowałem te drobne ograniczenia. Zaczęłem znajdować przyjemność w zakradaniu się po jedzenie i różne przydatne rzeczy. Uważałem siebie za bardzo przebiegłego gościa.

Miałem chyba ze trzynaście lat, gdy zacząłem zwracać uwagę na dziewczęta. To dopiero zdenerwowało moich sąsiadów. Cieszyłem się w wiosce sławą rozpustnika, co dla młodzieży było czymś

nieodparcie atrakcyjnym. A zatem zwracałem uwagę na dziewczęta, a dziewczęta interesowały się mną. I tak oto pewnego pochmurnego wiosennego ranka jeden z członków wioskowej starszyny przyłapał mnie w stodole ze swą najmłodszą córką. Zapewniam, że do niczego nie doszło. No, może do kilku niewinnych pocałunków, ale do niczego poważniejszego. Jednakże ojciec dziewczyny natychmiast pomyślał o najgorszym i spuścił mi tęgie lanie.

Ostatecznie udało mi się wyrwać i biegiem opuściłem wioskę. Przeszedłem w bród rzekę i w ponurym nastroju wspiałem się na wzgórze po przeciwnej stronie. Powietrze było zimne i suche. Nad głową gnały chmury pędzone rześkim wiatrem. Siedziałem tam bardzo długo, zastanawiając się nad swym położeniem. Doszedłem do wniosku, że nie mam już czego szukać w Garze. Moi sąsiedzi, muszą przyznać nie bez racji, spoglądali na mnie podejrzliwie, a incydent w stodole pewnie przepelnił miarę. Chłodna kalkulacja pozwalała podejrzewać, że w krótkim czasie zostanę poproszony stanowczo o opuszczenie wioski.

Z całą pewnością nie miałem zamiaru dać im tej satysfakcji. Obrzuciłem wzrokiem skupisko mrocznych chat przycupniętych nad rzeczką, pociemniałą pod pędzonymi przez wiatr wiosennymi chmurami. Potem odwróciłem się i spojrzałem na zachód, na rozległe łąki, ośnieżone szczyty za nimi, chmury gnające po szarym niebie i poczułem raptowną, nieprzepartą chęć wędrówki.

Świat nie kończył się na wiosce Gara; i nagle bardzo zapragnąłem wyruszyć, by go poznać. Nic właściwie mnie nie trzymało. Ojciec mej małej towarzyszki igraszek pewnie będzie czatował na mnie z pałką gdy tylko pojawię się w okolicy. W tym momencie podjąłem decyzję.

Krótko po północy złożyłem ostatnią wizytę w wiosce. Nie miałem zamiaru odchodzić z pustymi rękoma. Szopa na zapasy dostarczyła mi tyle jedzenia, ile mogłem wygodnie unieść. Ponieważ zaś nie jest rozważnie podróżować bez broni, zabrałem również słusznych rozmiarów nóż. Rok wcześniej zrobiłem sobie procę. Nudne godziny spędzone na doglądaniu krów innych ludzi dawały mi pod dostatkiem czasu na ćwiczenia. Ciekaw jestem, co stało się z tą procą.

Rozejrzałem się po szopie i uznałem, że mam już wszystko, czego mi naprawdę potrzeba. Przekradłem się więc cicho zakurzoną ulicą,

ponownie przeszedłem w bród rzekę i oddaliłem się z tego miejsca na zawsze.

Teraz, gdy wracam do tamtych dni myślami, uświadamiam sobie, że mam wobec owego wieśniaka o ciężkiej ręce ogromny dług wdzięczności. Gdyby nie wszedł wtedy do tej stodoły, to mógłbym nigdy nie wspiąć się na tamto wzgórze i nie spojrzeć na zachód. Równie dobrze mógłbym przeżyć swe życie w Garze i tam umrzeć. Czyż to nie dziwne, jak drobnostki mogą zmienić los człowieka?

Na zachodzie rozciągały się ziemie Tolnedran i o poranku byłem już na ich terytorium. Nie miałem żadnego konkretnego celu, popychał mnie jedynie ów osobliwy przymus wędrowki na zachód. Minąłem kilka wiosek, ale nie widziałem żadnego powodu, by się w którejś z nich zatrzymać.

W dwa, a może trzy dni po opuszczeniu Gary spotkałem zabawnego, dobrodusznego staruszka, jadącego na rozklekotanym wozie.

- Dokądże to podążasz, chłopcze? - zapytał mnie, jak sądziłem wówczas, w jakimś obcym dialekcie.

- W tamtą stronę, zdaje mi się - odparłem machnąwszy ręką niedbale ku zachodowi.

- Nie wydajesz mi się zbyt tego pewnym.

- Bo nie jestem - przyznałem z uśmiechem. - Po prostu czuję nieodpartą chęć zobaczenia, co jest za następnym wzgórzem.

Najwyraźniej potraktował moją odpowiedź dosłownie. Sądziłem wówczas, że jest Tolnedraninem, a zauważyłem, że to bardzo prozaiczni ludzie.

- Za tym wzgórzem niewiele jest, ot, Tol Malin - powiedział.

- Tol Malin?

- Całkiem spore miasteczko. Jego mieszkańcy jednakowoż przesadne mniemanie o sobie mają. Któż wszak kłopotałby się owym „Tol”, ale oni zdają się sądzić, iż przydaje to ważności temu miejscu. Podążam w tamtą stronę i jeśli zechcesz jechać ze mną, możesz. Wskakuj, chłopcze. Wszak daleka to droga na piechotę.

Wówczas myślałem, że wszyscy Tolnedranie mówią w ten sposób, ale wkrótce odkryłem, iż byłem w błędzie. W Tol Malin zabawiłem kilka

tygodni. To tam po raz pierwszy spotkałem się z pieniędzmi. Bankierzy tolnedrańscy wynaleźli pieniądze. Pomysł ten wydał mi się fascynujący. Oto było coś wystarczająco małego, aby schować to w kieszeni, a jednak o ogromnej wartości. Ktoś, kto ukradł fotel, stół lub konia, rzuca się w oczy. Pieniądze zaś, gdy już znajdują się w twojej kieszeni, trudno rozpoznać jako cudzą własność.

Niestety, Tolnedranie w bardzo zaborczy sposób podchodzili do swych pieniędzy. W Tol Malin po raz pierwszy usłyszałem, jak krzyczano: „Zatrzymać złodzieja!”. Wtedy dość pospiesznie opuściłem miasto.

Zdajecie chyba sobie sprawę, że nie wyciągałbym na światło dzienne swych chłopięcych grzeszków, gdyby nie moja córka. Potrafi być bardzo nieznośna, gdy czasami coś mi się przytrafi.

Chciałbym jedynie, aby ludzie dla odmiany spojrzeli na to z mojej strony. Czy w danych okolicznościach miałem jakiś wybór?

Rzecz zastanawiająca, spotkałem ponownie tego samego zabawnego staruszka około pięciu mil za Tol Malin.

- No cóż, chłopcze - powitał mnie. - Widzę, że nadal podążasz na zachód.

- W Tol Malin doszło do drobnego nieporozumienia - odparłem wymijająco. - Pomyślałem, że lepiej dla mnie będzie opuścić to miejsce.

Staruszek roześmiał się ze zrozumieniem. Jego śmiech zaś sprawił, że dzień wydał mi się pogodniejszy. Starzec wyglądał zwyczajnie. Miał białe włosy i brodę, ale jego intensywnie niebieskie oczy dziwnie nie pasowały do pomarszczonej twarzy. Biła z nich mądrość, choć nie wyglądały na oczy starego człowieka. Zdawały się przenikać na wylot wszystkie moje mętne wyjaśnienia.

- Wskakuj zatem, chłopcze - powiedział. - Tuszę, iż nadal w tym samym kierunku zdążamy.

Przez następne kilka tygodni podróżowaliśmy przez ziemie Tolnedran, kierując się ciągle na zachód. A było to w czasach, gdy ludzi nie ogarnęła jeszcze mania budowy prostych, dobrze utrzymanych traktów. Szlak, którym podążaliśmy, był zaledwie śladem kół, który wijąc się przez łąki, znaczył drogę najłatwiejszego przejazdu.

Tolnedranie byli rolnikami, jak niemal wszyscy w tamtych czasach. Po drodze było jednak bardzo niewiele samotnych farm, ponieważ większość ludzi mieszkała w wioskach. Codziennie skoro świt wyruszali do pracy na swych polach i wracali wieczorem.

Pewnego ranka, w środku lata, przejeżdżaliśmy przez jedną z tych wiosek. Zobaczyłem wówczas wieśniaków mozolnie wędrujących do pracy.

- Czyż nie byłoby łatwiej, gdyby po prostu zbudowali swoje domy tam, gdzie są ich pola? - zapytałem staruszka.

- Prawdopodobnie tak - przyznał - ale wówczas byłiby wieśniakami, a nie mieszczanami. Tolnedranin wolałby umrzeć, niż być uznanym za wieśniaka.

- To śmieszne - zaprotestowałem. - Całymi dniami grzebią w ziemi, a to chyba znaczy, że są wieśniakami, prawda?

- Tak - odparł spokojnie staruszek. - Im się chyba jednakże zdaje, że mieszkanie w wiosce czyni z nich mieszczan.

- Czy to dla nich takie ważne?

- Bardzo ważne, chłopcze. Tolnedranin nade wszystko pragnie zachować dobre mniemanie o sobie.

- Myślę, że to głupie.

- Ludzie wiele rzeczy głupich czynią. Przeto bacznie patrz i słuchaj, gdy następnym razem mijając będziemy jedną z wiosek. Jeśli będziesz uważny, pojmiesz, co miałem na myśli.

Zapewne nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie ów staruszek. W ciągu następnych kilku tygodni przejeżdżaliśmy przez kilka wiosek i miałem okazję poznać Tolnedran. Nie obchodzili mnie zbytnio, ale przyjrzałem się im. Tolnedranie niemal każdą minutę dnia poświęcają na dokładne określenie swej pozycji w miejscowej społeczności. Im zaś wyższa wedle ich mniemania ma być, tym stają się agresywniejsi. Tolnedranin źle traktuje swoich służących nie z okrucieństwa, ale z głęboko zakorzenionej potrzeby udowodnienia swej wyższości. Spędza całe godziny przed lustrem, ćwicząc hardy, wyniosły wyraz twarzy. Być może to właśnie drażniło mnie w nich szczególnie. Nie lubię, gdy ludzie traktują mnie z góry, mój status włóczęgi zaś stawiał

mnie na samym dole drabiny społecznej, więc każdy patrzył na mnie z wyższością.

- Następny nadęty dupek, który mnie wyszydzi, dostanie po gębie - mruknąłem posępnie, gdy minęliśmy kolejną wioskę.

- A po cóż się tym kłopotać? - zapytał staruszek, wzruszając ramionami.

- Nie dbam o ludzi, którzy traktują mnie jak śmieć.

- Azali doprawdy obchodzi cię to, co oni sobie myślą?

- Ani trochę.

- Po cóż zatem tracić nań siły? Musisz nauczyć śmiać się z tego, chłopcze. Azali nie są głupcami owi przekonani o swej ważności wieśniacy?

- Oczywiście.

- A czyż uderzenie jednego z nich nie czyni cię równie głupim - a nawet głupszym? Azali jakiegokolwiek znaczenie ma to, co myślą o tobie inni, dopóki ty wiesz kim jesteś?

- No cóż, nie, ale... - szukałem niezdarnie jakiegoś wytłumaczenia, lecz żadnego nie znalazłem. W końcu roześmiałem się nieco zakłopotany.

Staruszek poklepał mnie czule po plecach.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie do tego w końcu podejdziesz.

To było chyba najważniejsze, czego nauczyłem się przez lata. Na dłuższą metę większą satysfakcję daje wyśmiewanie w duchu głupców, niż szamotanie się z nimi w ulicznym pyle. Poza tym jest to o wiele korzystniejsze dla ubrania.

Wydawało się, że staruszek podróżował bez celu. Miał wóz, ale nie wioził na nim niczego ważnego - jedynie kilka niepełnych worków ziarna dla swego niedużego konika, beczułkę wody, trochę jedzenia i parę postrzępionych starych koców, którymi z ochotą się ze mną dzielił. Im lepiej się poznawaliśmy, tym bardziej zaczynałem go lubić. Zdawało się, że dostrzegał istotę wszechrzeczy i we wszystkim znajdował coś do śmiechu. Z czasem i ja również zacząłem się śmiać.

Zdałem sobie sprawę, że ze wszystkich znajomych, jego pierwszego byłbym skłonny nazwać przyjacielem.

Staruszek opowiadał o ludziach, którzy mieszkali na tej rozległej równinie. Odniosłem wrażenie, że znaczną część swego życia spędził na podróżowaniu. Pomimo zabawnego sposobu mówienia - a może właśnie dlatego - jego spostrzeżenia na temat różnych ras okazały się bardzo trafne. Spędziłem tysiące lat z tymi ludźmi i ani razu nie stwierdziłem, aby okazały się mylne. Powiedział mi, że Alornowie są awanturnikami, Tolnedranie materialistami, a Arendowie niezbyt bystrzy. Maragowie byli uczuciowi i kapryśni, ale wielkoduszni wobec tych, którzy się znaleźli w kłopotach. Nyissanie byli leniwi i nieszczerzy, a Angarakowie obsesyjnie religijni. Dla Morindimów i Karandów żywił jedynie litość, dla Dalów zaś szczególny rodzaj szacunku. Poczulem osobliwy ból i doświadczyłem uczucia głębokiej straty, gdy któregoś z tych chłodnych, pochmurnych dni staruszek ściągnął lejce swego konia i powiedział:

- Tu nasze drogi się rozchodzą, chłopcze. Zeskakuj.

Zdenerwowała mnie lakoniczność jego oświadczenia.

- W którą stronę się udajesz? - zapytałem go.

- A jakaż to różnica, chłopcze? Ty zdążasz na zachód, a ja nie. Spotkamy się jeszcze, ale na razie nasze drogi się rozchodzą. Musisz jeszcze wiele zobaczyć, a ja już to wszystko widziałem. Może pogawędzimy o tym przy następnym spotkaniu. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, lecz tymczasem zeskakuj.

Urażony tym dość nonszalanckim odprawieniem, nie siłęm się na zbytnie uprzejmości. Zebrałem swe rzeczy, zeskoczyłem z wozu i ruszyłem na zachód. Nie oglądałem się, więc nie potrafię powiedzieć, w którym kierunku odjechał. Gdy się obejrzałem, nie było go już widać.

Staruszek dał mi ogólne pojęcie o geografii ziem leżących przede mną. Wiedziałem, że było zbyt późno na wyprawę w góry oraz że przed sobą miałem rozległy las po drugiej stronie rzeki, która w odróżnieniu od innych rzek, płynęła z południa na północ. Z jego opisów wiedziałem, że te ziemie były słabo zaludnione, więc będę zmuszony sam o siebie zadbać, nie mogąc liczyć na utrzymanie się z drobnych

kradzieży. Ale byłem młody, pewny swej biegłości w strzelaniu z procy i przekonany, iż sobie poradzę.

Okazało się jednak, że nie musiałem sam zdobywać pożywienia tej zimy. Na skraju lasu natknąłem się na duże obozowisko dziwnych starych ludzi. Mieszkali w namiotach. Mówili językiem, którego nie rozumiałem. Na mój widok oczy zaszczyły im łzami, ale z uśmiechem zaprosili mnie do siebie.

Byli najbardziej osobliwą społecznością, jaką spotkałem, a wiercie mi, że widziałem ich wiele. Mieli dziwnie bladą skórę, co uznałem za charakterystyczne dla ich rasy, ale najbardziej niezwykle wydało mi się to, że nie było wśród nich nikogo poniżej siedemdziesiątki.

Traktowali mnie z wielkim uważaniem. Wciąż jednak większość z nich szlochała na mój widok. Całymi godzinami potrafili siedzieć i wpatrywać się we mnie, co, delikatnie mówiąc, wprawiało mnie w zakłopotanie. Żywili mnie, rozpieszczali i zapewnili całkiem luksusową kwaterę, jeśli można tak nazwać namiot. Nikt w nim nie mieszkał i odkryłem, że w ich obozowisku było wiele pustych namiotów. Po miesiącu wiedziałem już dlaczego. Nie było tygodnia, aby któryś z nich nie umarł. Jak mówiłem, wszyscy byli bardzo starzy. Macie pojęcie, jak przygnębiające było życie w miejscu, gdzie wiecznie odbywały się pogrzeby?

Nadciągała jednak zima, a ja miałem miejsce do spania, ogień, przy którym mogłem się ogrzać, a starzy ludzie dobrze mnie karmili, więc uznałem, że zniosę tę odrobinę przygnębienia. Postanowiłem jednak, iż z pierwszym powiewem wiosny odejdę.

Nie trudziłem się zbytnio, by nauczyć się ich języka. Potrafiłem rozróżnić jedynie kilka słów. Najczęściej powtarzały się „Gorim” i „Ul”, brzmiące jak imiona i prawie zawsze wymawiane tonem głębokiego żalu.

Oprócz pożywienia, starzy ludzie zaopatrzyli mnie również w ubranie; moje nie było najlepsze i bardzo się zniszczyło w czasie podróży. Nie wymagało to szczególnego wyrzeczenia z ich strony, albowiem tam, gdzie co rusz odbywają się pogrzeby, nie brak zbędnego odzienia.

Gdy śnieg stopniał, a mróz zaczął wysączać się z ziemi, po cichu zacząłem czynić przygotowania do odejścia. Kradłem jedzenie -

po trochu za każdym razem, aby nie wzbudzić podejrzeń - i ukrywałem w swym namiocie. Z namiotu ostatniego ze zmarłych zwędziłem całkiem porządną wełnianą płaszcz. Tu i ówdzie pozbierałem inne użyteczne rzeczy. Dokładnie zbadałem otaczający teren i tuż na zachód od obozu znalazłem miejsce, w którym mogłem przejść rzekę w bród. Wówczas, ze szczegółowym planem ucieczki w głowie, spokojnie czekałem, aż zima odejdzie na dobre.

Jak to zwykle wczesną wiosną bywa, mieliśmy kilka tygodni ciągłego deszczu, więc nadal czekałem, choć moja niecierpliwość stawała się trudna do zniesienia. W ciągu zimy ów osobliwy przymus, który dokuczał mi, odkąd opuściłem Garę, uległ subtelnej zmianie. Teraz miałem wrażenie, że ciągnie mnie na południe zamiast na zachód.

W końcu deszcze ustały, a wiosenne słońce wydawało się wystarczająco ciepłe, aby uczynić wędrówkę przyjemną. Pewnego wieczoru zebrałem swoje łupy, upchałem je do tobołka, który zrobiłem w czasie długich zimowych wieczorów, i usiadłem w namiocie, nasłuchując cichnących odgłosów krzątania starych ludzi. Potem, gdy wokół zapanowała cisza, wykradłem się ze swego tymczasowego domu i ruszyłem na skraj lasu.

Tej nocy księżyc był w pełni, a gwiazdy świeciły szczególnie jasno. Przekradłem się przez cienisty las, przeszedłem w bród rzekę i wspiąłem się na drugi brzeg z uczuciem ogromnej radości. Byłem wolny!

Przez większą część nocy szedłem wzdłuż rzeki na południe, oddalając się możliwie jak najbardziej od starych ludzi - na odległość, której nie mogłyby przebyć ich sędziwe nogi.

Las wydawał się niewiarygodnie stary. Drzewa były ogromne, a podłoże, przesłonięte liściastym baldachimem, pozbawione typowego krzaczastego poszycia. Zamiast tego zaścielał je bujny zielony mech. Las robił na mnie wrażenie zaczarowanego i gdy tylko upewniłem się, że nie będzie pogoni, uznałem, iż w rzeczywistości nie spieszy mi się tak bardzo. Pomaszerowałem więc wolno, czy też, jak kto woli, ruszyłem spacerkiem, na południe. Nic mnie nie gonilo, nie licząc owej niezbyt teraz naglącej potrzeby, by dokądś iść, choć nie miałem najmniejszego pojęcia dokąd.

A potem drzewa rozstały się, robiąc miejsce trawiastej dolinie, poznaczonej tu i tam rozkosznymi kępami kniei. Bujne zarośla krzewów jagodowych porastały brzegi głębokich, zimnych strumieni o wodzie tak czystej, że bez trudu dojrzałem pstrąga, który z głębokości dziesięciu stóp spoglądał na mnie ciekawie, gdy przyklęknąłem, aby się napić.

Jeleń, spokojny i łagodny niczym baranek, pasł się na soczystej zielonej łące, przyglądając mi się wielkimi, pokornymi oczyma.

Włóczyłem się zupełnie otumaniony, szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Stłumiony głos rozwagi mówił mi, że moje zapasy jedzenia nie są wieczne, ale wydawało się, iż rzeczywiście się nie zmniejszają - być może dlatego, że objadałem się jagodami i innymi dziwnymi owocami.

Długo zamarudziłem w tej zaczarowanej dolinie. Po jakimś czasie doszedłem do samego jej środka. Rosło tam drzewo tak rozłożyste, że jego ogrom przyprawił mnie o zawrót głowy.

Nie uważam się za szczególnego znawcę roślin, ale dziewięć razy obszedłem świat dookoła i jak dotąd nie widziałem nigdzie takiego drzewa. I, co było zapewne błędem, podszedłem do niego. Położyłem dłonie na chropowatej korze. Nieraz zastanawiałem się, co by było, gdybym tego nie uczynił.

Spłynął na mnie wprost niewiarygodny spokój. Polgara przypisałaby to pewnie memu wrodzonemu lenistwu, ale byłaby w błędzie. Nie mam pojęcia, jak długo siedziałem pogrążony w duchowej wspólności z tym prastarym drzewem. Wiem, że musiałem być jakimś sposobem żywiony i podtrzymywany przy życiu, gdy godziny, dni, a nawet miesiące przepływały niezauważenie, ale nie pamiętam, abym jadł lub spał.

A potem, nagle, zrobiło się zimno i zaczął padać śnieg. Cały czas zima niczym śmierć skradała się za mną.

Postanowiłem wrócić do obozu starych ludzi na następną zimę, chyba że trafi mi się coś lepszego, ale było jasne, iż zbyt długo zmitrężyłem w hipnotycznym cieniu tego głupiego drzewa.

Śnieg napadał tak głęboki, że z ledwością przez niego brnąłem. Jedzenie skończyło się, buty miałem znoszone, zgubiłem swój nóż

i nagle zrobiło się bardzo, bardzo zimno. Nie chcę nikogo oskarżać, ale wydaje mi się, że to była lekka przesada.

W końcu, przemoczony do suchej nitki, z oblodzonymi włosami, skuliłem się za stertą kamieni, która zdawała się wznosić w samo serce śnieżnej burzy szalejącej wokół mnie. Próbowałem przygotować się na śmierć. Pomyślałem o wiosce Gara i trawiastych polach wokół niej, o migotliwej rzece i mojej mamie, i - ponieważ nadal byłem jeszcze bardzo młody - rozplakałem się.

- Czemuż to płaczesz, chłopcze? - usłyszałem niezwykle łagodny głos. Śnieg padał tak gęsty, że nie mogłem dojrzeć, kto mówił, ale ton tego głosu z jakiegoś powodu mnie rozgniewał. Czyżbym nie miał powodu do płaczu?

- Ponieważ jestem zziębnięty i głodny - odparłem - i ponieważ umieram, a tego nie chcę.

- A czemuż to umierasz? Czyżbyś był ranion?

- Zgubiłem się - powiedziałem nieco opryskliwie. - Sypie śnieg, a ja nie mam gdzie się schronić.

Ślepy był, czy co?

- Azali byłby to dla twego rodzaju wystarczający powód, by zemrzeć?

- A nie jest wystarczający?

- A jakże długo to twoje umieranie potrwa? - głos zdradzał jedynie niewielką ciekawość.

- Nie wiem - odparłem w nagłym przypiływie rozczenia nad samym sobą. - Nigdy tego dotąd nie robiłem.

Wicher zawył i zawirował wokół mnie gęstszy śnieg.

- Chłopcze - powiedział w końcu głos - chodź tu do mnie.

- Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

- Obejdź wieżę w lewo. Azali odróżniasz rękę lewą od prawej?

Nie musiał zachowywać się tak obraźliwie! Rozgniewany wstałem na swoje wół zamarznięte nogi. Śnieg oślepił mnie.

- No, chłopcze? Idziesz to?

Ruszyłem wokół tego, co uważałem jedynie za stertę kamieni.

- Powinieneś dojść do gładkiego, szarego kamienia - odezwał się głos.
- Jest nieco wyższy niż twa głowa i szeroki na wyciągnięcie ramion.

- No dobrze - wycodziłem przez szczękające zęby, gdy dotarłem do opisanego przez niego kamienia. - Co teraz?

- Powiedz, aby się otworzył.

- Co takiego?

- Przemów do kamienia - powiedział cierpliwie głos, ignorując fakt, że zamarzałem na śnieżycy. - Rozkaż mu, by się otworzył.

- Rozkazać? Ja?

- Tyś jest człowiek. To jest tylko kamień.

- Co mówiłeś?

- Powiedz, aby się otworzył.

- Myślę, że to głupie, ale spróbuję - rzekłem. Odwróciłem się do kamienia. - Otwórz się - rozkazałem bez przekonania.

- Z pewnością potrafisz uczynić to lepiej.

- Otwórz się! - huknąłem.

Kamień odsunął się.

- Wejdz, chłopcze - powiedział głos. - Nie stercz tak na niepokodzie jak cielę. Jest całkiem chłodno.

Czyżby dopiero teraz to zauważył?

Wszedłem do przedsionka, w którym znajdowały się jedynie kamienne schody, wijące się ku górze. Dziwne, nie było ciemno, choć nie widziałem, skąd płynie światło.

- Zamknij drzwi, chłopcze.

- Jak?

- A jakże je otworzyłeś?

Odwróciłem się ku wejściu i z pewną dumą rozkazałem:

- Zamknij się!

Na dźwięk mego głosu kamień przesunął się ze zgrzytem, który zmroził mnie bardziej niż sroga śnieżycy na dworze. Byłem w pułapce! Chwilowa panika minęła, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że po raz

pierwszy od wielu dni byłem suchy. Nie powstała nawet kałuża wokół moich stóp! Działo się tu coś dziwnego.

- Wejdz na górę, chłopcze - polecił głos.

Jaki miałem wybór? Wszedłem na kamienne stopnie, wytarte przez niezliczone stulecia stąpania i nieco zalekniony zacząłem wspinać się krętymi schodami. Wieża była bardzo wysoka i wspinaczka zajęła mi wiele czasu.

Na szczycie znajdowała się komnata pełna cudów. Spoglądałem na rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widziałem. Byłem młody i, podówczas, nie całkiem wolny od myśli o kradzieży. Złodziejstwo zagnieździło się w mojej robaczywej małej duszy. Jestem pewny, że to wyznanie Polgara uzna za szczególnie zabawne.

W pobliżu ognia - płonącego, jak zauważyłem, bez żadnego podsycania - siedział człowiek, który wydawał się wprost niewiarygodnie stary, lecz dziwnie znajomy, choć nie potrafiłem powiedzieć, skąd go znałem. Miał brodę długą, gęstą i białą jak śnieg, który niemal mnie zabił, ale oczy osobliwie młode. Myślę, że to właśnie oczy wydawały mi się znajome.

- A zatem, chłopcze - powiedział - czyżeś postanowił nie umierać?

- Tak, jeśli to nie jest konieczne - odrzekłem odważnie, nadal katalogując w myślach cuda komnaty.

- Azali czegoś ci potrzeba? - zapytał. - Słabo znam twój rodzaj.

- Trochę jedzenia, być może - odparłem. - Nie jadłem od dwóch dni. I ciepły kąpiel do spania, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Pomyślałem, że może dobrym pomysłem byłoby pozostanie u tego dziwnego starca, więc pospiesznie dodałem: - Nie sprawię wiele kłopotu, Mistrzu, i mogę być w zamian użyteczny.

To była zręczna mała przemowa. W czasie miesięcy spędzonych z Tolnedranami nauczyłem się, jak być miłym dla ludzi, którzy mogli mi wyświadczyć przysługę.

- Mistrzu? - powiedział i roześmiał się tak radośnie, że niemal porwał mnie do tańca. Gdzie słyszałem już ten śmiech?

- Jam nie jest twym Mistrzem, chłopcze - rzekł. Po czym ponownie się roześmiał, a moje serce rozśpiewało się wspaniałością jego wesołości. - Zajmijmy się teraz sprawą jada. Czego ci potrzeba?

- Trochę chleba, niezbyt czerstwego, jeśli można.

- Chleba? Tylko chleba? Z pewnością, chłopcze, twój żołądek jest gotów na więcej niż chleb. Skoro masz być użytecznym - jak obiecałeś - musimy odżywiać cię właściwie. Zastanów się, chłopcze. Pomyśl o wszystkich rzeczach, które jadłeś w swym życiu. Co najpewniej zaspokoiliby twój potężny głód?

Nie potrafiłem nawet tego wymówić. Przed moimi oczyma przepłynęły wizje parujących pieczeni, tłustej gęsi pływającej we własnym sosie, bochenki świeżo upieczonego chleba i tłustego, złocistego masła, klusek w gęstej śmietanie, sera i ciemnego ale, owoców i orzechów, i soli do doprowadzenia tego wszystkiego. Wizja była tak realna, iż wydawało mi się, że czuję zapach.

A on, siedząc przy jasnym ogniu, który zdawał się płonąć z samego powietrza, roześmiał się i me serce znowu zatańczyło z radości.

- Odwróć się, chłopcze - powiedział - i jedz do syta.

Odwróciłem się i oto na stole, którego poprzednio nie widziałem, stało wszystko, co sobie wyobraziłem. Nic dziwnego, że czułem zapach! Głodny chłopak nie pyta, skąd wzięło się jedzenie - po prostu je. Tak więc jadłem. Jadłem, dopóki mój żołądek nie zaczął trzeszczeć w szwach. Cały czas towarzyszył mi śmiech starca, siedzącego przy ogniu, a moje serce podskakiwało przy każdym dziwnie znajomym chichocie.

A gdy skończyłem i siedziałem senny nad swym talerzem, starzec znowu się odezwał.

- Chcesz spać, chłopcze?

- Wystarczy mi byle kąt, Mistrzu - powiedziałem. - Kawalek miejsca przy ogniu, jeśli to nie sprawi zbytniego kłopotu.

- Śpij tam, chłopcze - rzekł, wskazując ręką i w tej samej chwili zobaczyłem łóżko, którego nie widziałem poprzednio - ogromne łoże z wielkimi poduchami i pierzynami z najmniejszego puchu. Uśmiechnąłem się w podzięcie, wpełzłem do łóżka i, ponieważ byłem

młody i bardzo zmęczony, zasnąłem niemal natychmiast, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad tym, jakie to wszystko było dziwne.

Ale we śnie wiedziałem, że ten, kto wyprowadził mnie ze śnieżycy, nakarmił i dał schronienie, czuwał nade mną przez długą, śnieżną noc, i spałem jeszcze spokojniej w przytulnym cieple jego opieki.





I tak zaczęła się moja służba. Zadania, które początkowo zlecał mi Mistrz, były proste - „Zamieć podłogę”, „Przynieś trochę drewna na opał”, „Umyj okna” - tego rodzaju rzeczy. Przypuszczam, że wiele z nich powinno wzbudzić moje podejrzenia. Mógłbym przysiąc, że nigdzie nie było ani pyłku kurzu, gdy po raz pierwszy wspiałem się do tej komnaty w wieży i, zdaje się, iż wspominałem o tym wcześniej, ogień płonący na kominku nie potrzebował podsycania. Wyglądało na to, że on w jakiś sposób wyszukiwał dla mnie zajęcia.

Jednakże był dobrym Mistrzem. Choćby z tego względu, że nie rozkazywał jak Tolnedranie swej służbie, lecz tylko czynił sugestie.

- Azali nie sądzisz, że podłoga na powrót brudna się stała, chłopcze?

Lub:

- Czyż nie byłoby rozsądnym zgromadzić trochę drewna na opał?

Te posługi w żadnym razie nie były ponad moje siły czy możliwości, a pogoda na zewnątrz wydawała się wystarczająco nieprzyjemna, aby przekonać mnie, że to niewielka cena za jedzenie i schronienie. Postanowiłem jednak, iż gdy nadejdzie wiosna, a on zacznie mi wyszukiwać zajęcia na dworze, to postaram się zrewidować nasz układ. Nie ma zbyt wiele do robienia, gdy zima trzyma nas w domu, ale cieplejsza pogoda niesie ze sobą możliwości cięższych i bardziej nużących prac. Jeśli sprawy przybiorą zbyt nieprzyjemny obrót, zawsze mogę się zebrać i odejść.

Jednakże w tej myśli było coś osobliwego. Przymus, który owładnął mną w Garze, teraz zniknął. Specjalnie się jednak nad tym nie zastanawiałem. Po prostu uznałem, że opuścił mnie, i nie rozmyślałem o tym więcej, a może wyrosłem z tego. Zdaje mi się, że wieloma sprawami nie zaprzętałem sobie głowy tej pierwszej zimy.

Na przykład, bardzo niewielką uwagę zwróciłem na fakt, że mój Mistrz zdawał się nie mieć żadnych widocznych środków do życia. Nie hodował bydła, owiec czy choćby kur i nie było szop ani innych zabudowań w otoczeniu jego wieży. Nie potrafiłem nawet znaleźć spiżarni. Wiedziałem, że gdzieś musi jakaś być, ponieważ posiłki, które przygotowywał, pojawiały się zawsze na stole, gdy stawałem się głodny. Niezwykłe, fakt, że nigdy nie widziałem go gotującego, nie wydawał mi się szczególnie dziwny. Nawet fakt, że ani razu nie widziałem Mistrza jedzącego czegokolwiek, nie wydał mi się zastanawiający. To było tak, jakby moja wrodzona ciekawość - a wierzcie mi, że potrafię być bardzo ciekawski - w jakiś sposób została uśpiona.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, czym zajmował się owej długiej zimy. Zdawało mi się, że bardzo wiele czasu spędzał na wpatrywaniu się w krągły kamień. Nie odzywał się zbyt często, ale ja mówiłem za nas dwóch. Zawsze lubiłem brzmienie swego głosu - zauważyliście to?

Moja nieustanna paplanina musiała rozpraszać uwagę Mistrza, ponieważ pewnego wieczoru z niejakim naciskiem zapytał, czy nie poczytałbym sobie czegoś.

Oczywiście wiedziałem, co to jest czytanie. Nikt w Garze nie miał pojęcia na czym to polega, ale ja widziałem, jak Tolnedranie czytali - lub udawali, że to robią. Wówczas wydawało mi się to nieco głupie. Po co trudzić się pisaniem listu do kogoś, kto mieszka dwa domy dalej? Jeśli ma się ważną sprawę, to po prostu wystarczy zajść i powiedzieć o tym.

- Nie wiem, jak się czyta, Mistrzu - przyznałem się.

Wydał się tym naprawdę zaskoczony.

- Azali w istocie sprawy tak się mają, chłopcze? - zapytał. - Sądziłem, że umiejętność owa wrodzona jest waszemu rodzajowi.

Pragnąłem, aby przestał mówić o „moim rodzaju”, tak jakbym należał do jakiegoś nieokreślonego gatunku gryzoni czy owadów.

- Zdejmij tę książkę, chłopcze - polecił, wskazując na górną półkę.

Podniosłem wzrok z pewnym zdumieniem. Na półce znajdowało się kilkanaście opasłych tomisk. Sprzątałem, odkurzałem i pucowałem ten

pokój od podłogi po sufit kilkanaście razy, a może więcej, i przysięgłbym, że tej półki tam nie było. Swoje zakłopotanie skryłem za pytaniem:

- Którą, Mistrzu?

Zważcie, że zacząłem nabierać dobrych manier.

- Którąkolwiek - odparł obojętnie.

Wybrałem przypadkowo jedną z książek i zdjąłem ją z półki.

- Usiądź, chłopcze - powiedział. - Udzielę ci pouczenia.

Niczego nie wiedziałem na temat czytania, więc zdziwiło mnie, że pod delikatną opieką Mistrza nabrałem wprawy w czytaniu w przeciągu godziny. Albo więc byłem szczególnie uzdolnionym uczniem - co wydawało się wysoce nieprawdopodobne - albo on był najwspanialszym z nauczycieli, jacy kiedykolwiek żyli.

Od tej chwili stałem się żarłocznym czytelnikiem. Pożarłem zawartość jego półki na książki od początku do końca. Wówczas, z pewnym żalem, wróciłem do pierwszej książki, by odkryć, że nigdy jej nie widziałem. Czytałem, czytałem i czytałem, i każda strona była dla mnie nowa. Kilkanaście razy sięgałem od początku do książek z półki i za każdym razem znajdowałem tam nowe. Czytanie otworzyło przede mną świat umysłu i stwierdziłem, że bardzo mi się to podoba.

Moja nowo odkryta pasja zapewniła Mistrzowi trochę spokoju. Zdawało się, że z aprobatą spoglądał, jak przesiaduję do późna w te długie śnieżne zimowe wieczory, czytając teksty w językach, w których nie potrafiłem mówić, ale pomimo to doskonale rozumiałem słowa zdające się wyskakiwać do mnie ze stronicy książki. Mgliście - chyba już wspominałem, iż moja ciekawość była jakby przytępiona - zdawałem sobie również sprawę z tego, że gdy czytałem, Mistrz nie miał dla mnie zajęć, przynajmniej początkowo. Konflikt pomiędzy czytaniem i codziennymi pracami pojawił się później. I tak minęła nam zima. Ogólnie rzecz biorąc, pewnie nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

Jestem przekonany, że to książki zatrzymały mnie tam przez wiosnę i lato. Tak jak podejrzewałem, nastanie ciepłych dni i nocy rozbudziło pomysłowość mojego Mistrza. Wynajdywał mi najprzeróżniejsze zajęcia na zewnątrz - głównie nieprzyjemne, wymagające sporego

wysiłku i wyciskające pot. Nie sprawiało mi na przykład przyjemności ścinanie drzew, szczególnie siekierą. Wielokrotnie łamałem trzonek siekiery tej zimy - całkiem umyślnie, muszę przyznać, a on w cudowny sposób naprawiał się w ciągu nocy. Nienawidziłem tej przeklętej niezniszczalnej siekiery!

Rzecz dziwna, ale to nie harówkę miałem mu za złe, ale czas, który traciłem na walenie w te nieustępliwe drzewa. Mogłem go spędzić z większym pożytkiem, usiłując przekopać się przez tę wiecznie pełną nowych książek półkę. Każda strona otwierała przede mną nowe cuda i jęczałem głośno, gdy Mistrz sugerował, że już czas, byśmy, ja i moja siekiera, poszli się znowu nieco zabawić.

Nim się obejrzałem, ponownie nadeszła zima. Z miotłą wiodło mi się lepiej niż z siekierą. Kurz po kątach długo potrafił się nie rzucić w oczy. Kontynuowałem swoje czytanie, przekopując się przez tę półkę z książkami tam i z powrotem, i pewnie przeczytałbym jeszcze więcej, jednakże mój Mistrz, wiedziony jakimś niezrozumiałym sadystycznym instynktem, zawsze doskonale wiedział, kiedy z najmniejszą ochotą robiłem sobie przerwę w czytaniu. Nieuchronnie wybierał ten właśnie moment, by zaproponować mi zamiatanie, mycie naczyń czy przyniesienie drewna na opał.

Czasami przerywał swoje zajęcia i przyglądał się mej pracy z wyrazem oszołomienia. Potem wzdychał i wracał do tego, co robił, a czego ja nie rozumiałem.

Pory roku mijały, maszerując w majestatycznym, uporządkowanym pochodzie, a ja ślęczałem nad książkami i wykonywałem nie kończące się, coraz trudniejsze zadania stawiane mi przez Mistrza. Zrobiłem się wybuchowy i ponury, ale nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by uciec.

Pewnego dnia, na początku zimy po trzech, a może, co bardziej prawdopodobne, po pięciu latach służby w wieży, mocowałem się z dużym głazem. Mistrz obchodził go przez wszystkie spędzone wspólnie lata, a teraz z jakiegoś powodu zaczął mu przeszkadzać. Kamień, jak już mówiłem, był całkiem spory, biały i bardzo, bardzo ciężki. Nie chciał się poruszyć, choć dźwigałem go, pchałem i wyteżałem wszystkie siły. W końcu, rozwścieczony, skoncentrowałem

siły i całą wolę na tym głazie. Potem wymruczałem jedno, jedyne polecenie.

- Rusz się!

I ruszył się! Ogromna bezwładna masa wcale nie opierała się mej sile. Zdawało się, że jednym palcem można było go pchnąć przez dolinę.

- No, no, chłopcze - odezwał się Mistrz, zaskakując mnie swą obecnością - zastanawiałem się, kiedy nadejdzie ten dzień.

- Mistrzu - powiedziałem, bardzo zmieszany - co się stało? Jakim sposobem ten wielki głaz poruszył się tak łatwo?

- Poruszył się na twój rozkaz, chłopcze. Tyś jest człowiek, a to tylko kamień.

Gdzie ja to już słyszałem?

- Czy co innego też można tak zrobić, Mistrzu? - zapytałem, myśląc o wszystkich godzinach straconych na zajęcia bez sensu.

- Wszystko można tak zrobić, chłopcze. Wystarczy jedynie wolę swoją włożyć w to, czego chcesz dokonać, i wymówić słowo. A stanie się dokładnie, jak zażyczysz sobie. Po wielokroć podziwiałem, chłopcze, uporczywość twoją w czynieniu różnych rzeczy rękoma, miast wolą swą. Zaczynałem lękać się o ciebie, myśląc, iż może ułomnym jesteś.

Nagle wszystko, co ignorowałem, odsuwałem od siebie, nie byłem na tyle ciekaw, aby wzbudziło moje zaniepokojenie, dotarło do mej świadomości. W rzeczywistości Mistrz wynajdywał mi te zajęcia w nadziei, że w końcu poznam ów sekret. Podszedłem do kamienia i położyłem na nim dłonie.

- Rusz się - poleciłem, kierując nań nacisk swej woli, i głaz poruszył się równie łatwo jak poprzednio.

- Azali pokrzepiony się czujesz dotykając kamienia, gdy poruszyć go pragniesz, chłopcze? - zapytał Mistrz z nutką ciekawości w głosie.

Pytanie zaskoczyło mnie. Nie zastanawiałem się nawet nad tym. Spojrzałem na kamień.

- Rusz się - powiedziałem tytułem próby.

- Musisz rozkazywać, chłopcze, nie błagać.

- Rusz się! - ryknąłem i głaz uniósł się i potoczył za sprawą Woli i Słowa.

- O wiele lepiej, chłopcze. Być może jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Wtem coś mi się przypomniało. Przecież pięć lat temu poruszałem już kamień zamykający wejście do wieży jedynie swym głosem.

- Cały czas wiedziałeś, że potrafię to robić, prawda, Mistrzu? Wszak ten kamień niewiele różni się od głazu, który zamyka wejście do wieży.

Mistrz uśmiechnął się łagodnie.

- Bardzo słusznie to spostrzegłeś, chłopcze - pochwalił mnie.

Zaczynało mnie męczyć owe „chłopcze”.

- Czemu po prostu nie powiedziałaś mi o tym, Mistrzu? - zapytałem z wyrzutem.

- Wiedzieć musiałem, azali sam to odkryjesz, chłopcze.

- I wszystkie te prace i zadania, które mi dotychczas zlecałeś, miały mnie zmusić do odkrycia tego, tak, Mistrzu?

- Oczywiście - odparł niedbałym tonem. - Jak ci na imię, chłopcze?

- Garath - odrzekłem i nagle uprzytomniłem sobie, że nigdy przedtem o to nie pytał.

- Niestosowne imię, chłopcze. Zbyt lapidarne i powszednie dla kogoś o twym talencie. Zwał cię będę Belgarthem.

- Jeśli tak ci się podoba, Mistrzu - powiedziałem. Nigdy przedtem nie zwracałem się do niego w tak bezpośredni sposób i wstrzymałem oddech w obawie przed niezadowoleniem starca, ale ten nie dał niczego po sobie poznać. Wówczas, ośmielony sukcesem, posunąłem się dalej. - A jak mam ciebie zwać, Mistrzu? - zapytałem.

- Zwę się Aldur - odparł, uśmiechając się.

Oczywiście, słyszałem już poprzednio to imię, więc natychmiast padłem przed swym nauczycielem na ziemię.

- Czyżeś chory, Belgaracie?

- O wielki i najpotężniejszy Boże - powiedziałem, drżąc - wybacz moją ignorancję. Powinienem poznać cię od razu.

- Nie czyn tego! - rzekł poirytowany. - Nie wymagam składania hołdów. Nie jestem mym bratem Torakiem. Powstań, Belgaracie. Podnieś się, chłopcze. Zachowanie twe niestosownym jest.

Wstałem zalękniony i skulony, wstrząśnięty nagłym olśnieniem. Bogowie, jak wszyscy wiedzieli, potrafili zniszczyć wedle swego kaprysu tych, którzy im się narazili. Spostrzeżenie jak najbardziej na czasie. Od tamtej pory spotkałem ich paru i dobrze to wiem. Pod wieloma względami są nawet bardziej ograniczeni od nas.

- A co ze swym życiem teraz zamierzasz, Belgaracie? - zapytał. Oto cały mój Mistrz. Zawsze zadawał pytania wybiegające daleko w przyszłość.

- Chciałbym zostać i służyć ci, Mistrzu - powiedziałem jak mogłem najpokorniej.

- Nie potrzebuję służby - odparł. - Owe kilka minionych lat dla twojej korzyści były. Po prawdzie, Belgaracie, co mógłbyś dla mnie uczynić?

To było bezlitosne stwierdzenie - pewnie zgodne z prawdą, ale mimo wszystko bezlitosne.

- A czy nie mógłbym zostać i czcić cię, Mistrzu? - zapytałem błagalnym tonem. Podówczas nigdy jeszcze nie spotkałem Boga, więc nie byłem pewny, jak należy się zachować. Wiedziałem jedynie, że umrę, jeśli mnie oddali.

Aldur wzruszył ramionami. Czy wiecie, że można człowiekowi złamać serce wzruszeniem ramion?

- Twych hołdów też mi nie potrzeba, Belgaracie - powiedział obojętnie.

- Czy mogę zostać, Mistrzu? - błagałem ze łzami w oczach. Łamał mi serce! Całkiem rozmyślnie, oczywiście. - Będę twym pilnym uczniem.

- Pragnienie nauki chlubę ci przynosi - rzekł - ale to łatwym nie będzie, Belgaracie.

- Szybko się uczę, Mistrzu - pochwaliłem się, zaniedbując fakt, że pięć lat trwało, nim przyswoiłem sobie jego pierwszą lekcję. - Postaram się, abyś był ze mnie dumny.

Naprawdę tak myślałem.

- Bardzo dobrze zatem, Belgaracie - ustąpił. - Przyjmę cię na wychowanka.

- I swego ucznia również, Mistrzu?

- To się okaże w godzinie przeznaczenia, Belgaracie.

Wówczas, ponieważ byłem jeszcze bardzo młody i pod silnym wrażeniem swych ostatnich dokonań, odwróciłem się ku nagiemu krzewowi i przemówiłem do niego żarliwie.

- Zakwitnij - powiedziałem i krzak nagle wypuścił pojedynczy kwiat. Nie był to wspaniały kwiat, muszę przyznać, ale najlepszy, jaki wówczas potrafiłem zrobić. Byłem jeszcze nowicjuszem w tych sprawach. Zerwałem go i podałem Mistrzowi.

- Dla ciebie, Mistrzu - rzekłem - ponieważ cię kocham.

Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedykolwiek użyję słowa „kochać”, które teraz stało się ośrodkiem mego całego życia. Czyż nie jest dziwne, w jaki sposób dochodzimy do tak oczywistych małych odkryć?

Aldur wziął mój lichego kwiatek.

- Dziękuję ci, mój synu - odparł. Po raz pierwszy mnie tak nazwał. - Ten kwiatusek twą pierwszą lekcją będzie. Pragnę, abyś jak najdokładniej go przebadał i powiedział mi o wszystkim, co potrafisz w nim dojrzeć. Odłóż siekierę i miotłę, Belgaracie. Ten kwiat jest teraz twym zadaniem.

To zadanie zajęło mi, o ile pamiętam, dwadzieścia lat. Co pewien czas przychodziłem do Mistrza z tym nigdy nie więdnącym kwiatem - jakże go nienawidziłem! - i opowiadałem, czego się dowiedziałem. On zaś na to mówił nieodmiennie:

- Czy to wszystko, mój synu?

A ja załamany wracałem do swych studiów nad tym głupim kwiatusem.

Z czasem moja niechęć do niego zmalała. Im dłużej go badałem, tym lepiej poznawałem i w końcu polubiłem.

Pewnego dnia Mistrz zaproponował, abym spalił kwiatek i zbadał jego popiół, to może dowiem się o nim więcej. Odmówiłem oburzony.

- A czemuż to nie, mój synu? - zapytał.

- Ponieważ jest mi drogi, Mistrzu - powiedziałem tonem bardziej stanowczym, niż zamierzałem.

- Drogi? - zdziwił się.

- Kocham ten kwiat, Mistrzu! Nie chcę go zniszczyć!

- Uparciuch z ciebie, Belgaracie - zauważył. - Czyż doprawdy aż dwadzieścia lat trzeba było, byś przyznał się do afektu dla tej delikatnej kruszyny?

I to był prawdziwy sens mojej pierwszej lekcji. Nadal gdzieś mam ten kwiatusek i choć nie zawsze mogę wziąć go do rąk, myślę o nim często i z wielkim uczuciem.

Wkrótce potem Mistrz zaproponował, abyśmy wyruszyli w podróż do miejsca zwanego Prolgu, ponieważ pragnął zasięgnąć tam czyjejś rady. Oczywiście zgodziłem się mu towarzyszyć, ale szczerze mówiąc wolałem nie porzucać na zbyt długo swych studiów. Była wiosna, a to zawsze dobra pora na podróżowanie. Prolgu leży w górach i przynajmniej krajobraz był wspaniały.

Dotarcie do tego miejsca zajęło nam nieco czasu - mój Mistrz nigdy się nie spieszył - i widziałem po drodze stworzenia, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Mistrz wskazywał na jednorożce, hrulginy, algothy, eldraki i z osobliwą nutą bólu w głosie wymawiał ich nazwy.

- Co cię martwi, Mistrzu? - zapytałem pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy przy ognisku. - Czy te stworzenia są ci przykre?

- Są wiecznym wyrzutem sumienia dla mnie i mych braci, Belgaracie - odparł ze smutkiem. - Gdy ziemia była zupełnie nowa, zamieszkiwaliśmy wspólnie w jaskini głęboko pod tymi górami, trudząc się nad stworzeniem zwierząt na polach, powietrznego ptactwa i morskich ryb. Chyba opowiadałem ci o tych czasach, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Tak, Mistrzu - odrzekłem. - To było w czasach przed pojawieniem się człowieka.

- Tak - powiedział. - Człowiek był ostatnim dziełem naszego stworzenia. W każdym razie, niektóre z istot wydanych na świat były nieudane i po naradzie postanowiliśmy je zniweczyć, ale Ul zabronił.

- Ul? - To imię zaskoczyło mnie. Słyszałem je często w obozowisku starych ludzi tej zimy przed przybyciem na służbę do swego Mistrza.

- Słyszałeś o nim, jak widzę.

Nie było sensu ukrywać czegokolwiek przed moim Mistrzem.

- Ul, jak mówiłem - ciągnął dalej - zabronił niweczenia tych stworzeń, co ogromnie obraziło kilku z nas. Torak w szczególności był mocno nierad. Zakazy lub ograniczenia jakiegokolwiek rodzaju nie są po myśli mego brata Toraka. To za jego sprawą, zdaje mi się, odesłaliśmy te nieudane stworzenia do Ula, mówiąc im, że on będzie ich Bogiem. Gorzko żałuję naszej złośliwości, albo wiem to, co uczynił Ul, zrobił z Konieczności, której w owym czasie sobie nie uświadomiliśmy.

- To z Ulem chcesz się naradzić w Prolgu, prawda, Mistrzu? - zapytałem przebiegle.

Widzicie? Nie jestem całkowicie pozbawiony spostrzegawczości.

Mistrz skinął głową.

- Pewna rzecz ma się zakończyć - powiedział mi ze smutkiem. - Mieliśmy nadzieję, że może nie, ale to kolejna z owych Konieczności, przed którą ludzie i Bogowie jednako muszą się pokłonić - westchnął. - Uszykuj sobie posłanie, Belgaracie - rzekł potem. - Daleka droga przed nami, nim dotrzemy do Prolgu, a spostrzegłem, iż bez snu gburowaty z ciebie kompan.

- To moja słabość. Mistrzu - przyznałem, rozkładając koc na ziemi.

Oczywiście Mistrz nie potrzebował snu, podobnie jak jedzenia.

Po pewnym czasie dotarliśmy do Prolgu. Było to niezwykle miejsce na szczycie góry, która sprawiała wrażenie sztucznej. Na jej zboczu powitał nas bardzo stary człowiek stojący w towarzystwie kogoś, kto najwyraźniej nie był istotą ludzką. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Ulem. Przytłaczająca świadomość jego obecności niemal mnie powaliła na ziemię.

- Aldurze - powiedział do mego Mistrza - dobrze cię widzieć.

- W rzeczy samej dobrze - odparł mój Mistrz, uprzejmie skłaniając głowę. Bogowie, jak zauważyłem, mają ogromne wyczucie stosowności zachowania. Potem mój Mistrz sięgnął pod szatę i wyciągnął ów zwyczajny krągły, szary kamień, któremu tak uważnie przyglądał się

przez ostatnie kilkadziesiąt lat. - Nie zważając na nasze nadzieje - oznajmił, wyciągając kamień ku Ułowi - przybył.

Ul skinął z zakłopotaniem głową.

- Zdało mi się, iż wyczułem jego obecność. Azali przyjmiesz brzemię jego?

Mój Mistrz westchnął.

- Jeśli muszę - powiedział.

- Dzielnyś, Aldurze - rzekł Ul - i daleko mądrzejszy niż bracia twoi. Ten, który włada nami wszystkimi, celowo włożył go w twe dłonie. Oddalmy się i zastanówmy nad sposobem naszego postępowania.

Tego dnia dowiedziałem się, że ten zwyczajnie wyglądający kamień był bardzo szczególny.

Starzec, który towarzyszył Ułowi, nazywał się Gorim i bez trudu nawiązaliśmy rozmowę. Był łagodnym, życzliwym staruszką, z rysów przypominającym ludzi, których spotkałem przed laty. Potem udaliśmy się do miasta i sędziwy mężczyzna zaprowadził nas do swego domu. Czekaliśmy tam, podczas gdy nasi Mistrzowie długo rozmawiali. Dla zabicia czasu starzec opowiedział mi o tym, jak dostał się na służbę do Uła. Pochodził z Dalów, ludu, który jakimś sposobem pominięto, gdy Bogowie wybierali sobie podopiecznych. Pomimo mej osobliwej sytuacji, nigdy nie byłem szczególnie religijnym człowiekiem, więc nieco trudno było mi zrozumieć duchową boleść Dalów, którzy uważali się za wyrzutków. Dalowie tradycyjnie zamieszkujący tereny na południe od pasma gór zwani byli również Korimami. Zdaje się jednak, że dość wcześnie podzielili się na wiele grup, które wyruszyły na poszukiwanie Boga. Niektórzy udali się na północ, by stać się Morindimami i Karandami; inni ruszyli na wschód i zostali Melcenami; jeszcze inni osiadli na południu Korimu i nadal byli Dalami; ale lud Gorima, Ulgosi, jak ich nazywał, udał się na zachód.

Ostatecznie, po tułaczce trwającej całe pokolenia, narodził się Gorim, a gdy osiągnął wiek męski, postanowił na ochotnika udać się samotnie na poszukiwanie Uła. Oczywiście wszystko to działo się na długo przed moim przyjściem na świat. W każdym razie, po wielu latach Gorim w końcu odnalazł Uła. Zaniósł te dobre wieści swemu ludowi, ale

niewielu Ulgosów mu uwierzyło. Ludzie czasami już tacy są. W końcu Gorim nabrał do nich odrazy. Oznajmił, że nie dba o to, czy pójdą za nim, czy zostaną. Niektórzy ruszyli wraz z nim, inni nie. Gorim po tych słowach popadł w zadumę.

- Często zastanawiałem się, co stało się z tymi, którzy zostali - powiedział ze smutkiem.

- Mogę ci to wyjaśnić, przyjacielu - zapewniłem go. - Zdarzyło mi się natknąć na nich jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Mieli duże obozowisko daleko na północ od Doliny mego Mistrza. Spędziłem z nimi zimę, po czym ruszyłem dalej. Wątpię jednakże, abyś nadal znalazł któregoś z tych ludzi przy życiu. Gdy ich spotkałem, wszyscy byli bardzo starzy.

Gorim spojrział na mnie ze smutkiem, po czym pochylił głowę i zapłakał.

- Co się stało, Gorimie? - krzyknąłem zaniepokojony.

- Miałem nadzieję, że Ul ustąpi i zdejmie z nich mą klątwę - odparł złamanym głosem.

- Klątwę?

- Ze uschną, wyginą i nie będzie ich więcej. Kobiety tego ludu ma klątwa uczyniła bezpłodnymi.

- Klątwa nadal działała, gdy z nimi mieszkałem - powiedziałem. - W całym obozie nie było nawet jednego dziecka. Zastanawiałem się, czemu tak mnie hołubili. Zdaje się, że od bardzo, bardzo dawna nie widzieli dziecka. Niczego się od nich nie dowiedziałem, ponieważ nie rozumiałem języka tych ludzi.

- Oni używają starej mowy - oznajmił smutno - podobnie jak mój lud tutaj, w Prolgu.

- Jakże więc to się stało, że ty mówisz naszym językiem? - zapytałem.

- Moim zadaniem, jako przywódcy, jest przemawianie w imieniu mego ludu, gdy spotykamy innych - wyjaśnił.

- No tak - rzekłem. - Rzecz jasna.

Niedługo potem wróciliśmy z Mistrzem do Doliny i podjąłem inne studia. Zdawało się, że w Dolinie czas nie płynął. Całe lata poświęcałem na dogłębne poznawanie nawet najbardziej zwyczajnych rzeczy.

Badalem drzewa, ptaki, ryby i zwierzęta, owady i robaki. Spędziłem czterdzieści pięć lat na studiowaniu samej trawy. Po jakimś czasie uprzytomniłem sobie, że nie starzeję się jak inni ludzie. Z jakiegoś powodu nie obowiązywały mnie dotyczące ich prawa.

- Mistrzu - powiedziałem pewnego wieczoru, gdy wysoko w wieży obaj trudziliśmy się nad swymi badaniami - jak to się dzieje, że się nie starzeję?

- Azali chciałbyś zestarzeć się, mój synu? - zapytał. - Ja nie dostrzegam w tym wiele pożytku.

- Nie tęsknię za tym wcale, Mistrzu - przyznałem - ale czyż nie jest przyjęte, że człowiek się starzeje?

- Być może - powiedział - ale nie jest to obowiązkiem. Wiele się jeszcze musisz nauczyć. Jedno, dziesięć, a nawet sto żywotów będzie na to za mało. Ile masz lat, synu?

- Myślę, że trochę ponad trzysta, Mistrzu.

- Odpowiedni wiek, synu, i dobrze radzisz sobie ze studiami. Gdybym zapomniał się i nazwał cię „chłopcem” ponownie, proszę popraw mnie. Nie jest stosownym, by ucznia Boga zwać „chłopcem”.

- Będę o tym pamiętał, Mistrzu - zapewniłem go, nie posiadając się z radości, że w końcu nazwał mnie swym uczniem.

- Byłem pewny, iż polegać mogę na tobie - oświadczył z lekkim uśmiechem. - A co jest przedmiotem twych obecnych studiów, synu?

- Poszukuję wyjaśnienia, czemu gwiazdy spadają, Mistrzu.

- Odpowiedni przedmiot badań, synu.

- A ty, Mistrzu? - powiedziałem. - Czym się zajmujesz, jeśli me pytanie nie jest zbyt śmiałe.

- Tym, co poprzednio, Belgaracie - odparł, podnosząc ów nieszczęsny krągły kamień. - Powierzył go mej opiece sam Ul, to też obcując z tym niezwykłym klejnotem muszę poznać jego cel.

- Czy kamień może mieć inny cel, Mistrzu, niż być kamieniem?

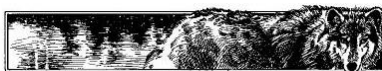
Ten kawałek skały, teraz wygładzony, nawet wypolerowany ciepłymi dłońmi mego Mistrza, z jakiejś przyczyny wzbudzał we mnie obawę. W przeblysku przeczucia, jakie nieczęsto mi się

zdarzało, powziąłem podejrzenie, że z jego przyczyny dojdzie do wielu krzywd.

- Ten szczególny klejnot ma ogromny cel, Belgaracie, albowiem za jego sprawą świat i wszyscy, którzy go zamieszkują, zmieniają się. Jeśli potrafię dostrzec ten cel, będę mógł poczynić pewne przygotowania. Ta konieczność ciąży mi na duszy.

Potem kolejny raz pogrążył się w milczeniu, leniwie obracając kamień w dłoniach i wpatrując się w jego wypolerowaną powierzchnię zatroskanym wzrokiem.

Nie miałem zamiaru przeszkadzać mu w kontemplacji, więc wróciłem do swych studiów nad zmiennymi gwiazdami.





Z czasem przybyli do nas inni. Niektórzy, podobnie jak ja, przez przypadek, inni szukali z rozmysłem mego Mistrza, by się od niego uczyć. Takim właśnie przybyszem był Zedar.

Pogodnego, złocistego jesiennego dnia, po pięciuset latach służby u mojego Mistrza, natknąłem się na Zedara w pobliżu wieży. Zbudował prymitywny ołtarz i palił na nim zwłoki kozy. To już na samym początku nie nastawiło mnie do przybysza przychylnie. Nawet wilki wiedzą, że nie zabija się zwierzyny w Dolinie. Tłusty dym z jego ofiary zasmradzał powietrze, a on sam leżał plackiem przed wzniesionym ołtarzem, śpiewając dziwną modlitwę.

- Co ty wyprawiasz? - zażądałem wyjaśnienia, dość obcesowo, muszę przyznać, gdyż hałas i smród oderwał mnie od problemu, nad którym rozmyślałem przez ostatnie pół wieku.

- Och, możny i wszytkowiedzący Boże - powiedział płaszcząc się na ziemi. - Przebyłem tysiąc lig, by ujrzeć twą wspaniałość i oddać ci cześć.

- Możny? Nie popisuj się elokwencją, człowieku. Wstań i przestań skomleć. Taki sam ze mnie Bóg, jak i z ciebie.

- Nie jesteś przeto wielkim Bogiem Aldurem?

- Jestem jego uczniem, Belgarathem. Co to za bzdury? - Wskazałem na jego ołtarz i dymiącą kozę.

- To, by sprawić przyjemność Bogu - odparł, wstając i otrzepując swe odzienie. Z wyglądu przypominał Tolnedranina, a może Arenda. Jego paplanina o tysiącu lig była w oczywisty sposób przesadą. Patrzył na mnie pokornie i przymilnie. - Powiedz mi prawdę - błagał. - Czy moja marna ofiara miłą Aldurowi będzie?

Roześmiałem się.

- Chyba nic nie mogłoby go bardziej urazić.

Nieznajomy sprawiał wrażenie załamane. Odwrócił się i sięgnął ku zwierzęciu, jakby chciał pochwycić je gołymi rękoma i ukryć.

- Nie bądź durniem! - warknąłem. - Poparzysz się!

- To trzeba ukryć - powiedział z rozpaczą w głosie. - Wolałbym raczej umrzeć, niż urazić potężnego Aldura.

- Po prostu odsuń się - rzekłem.

- Co?

- Odsuń się - poleciłem, machając z rozdrażnieniem ręką - chyba że chcesz się wybrać w podróż wraz ze swą kozą.

Potem spojrzałem na jego groteskowy ołtarzyk, zapragnąłem, by znalazł się w miejscu oddalonym o pięć mil, i przemieściłem go jednym słowem. W powietrzu pozostało jedynie kilka smużek dymu.

Nieznajomy ponownie padł twarzą na ziemię.

- Zniszczysz sobie ubranie, jeśli będziesz tak dalej robił - rzekłem. - Mojego Mistrza to wcale nie bawi.

- Błagam cię, potężny uczniu najwyższego Aldura - powiedział, wstając i ponownie otrzepując odzienie - poucz mnie, abym nie obraził Boga.

Musiał być Arendem. Żaden Tolnedranin nie potrafiłby tak kaleczyć języka.

- Bądź prawdomówny - poradziłem - i nie popisuj się kwiecistą mową. Wierz mi, przyjacielu, Aldur potrafi zajrzeć ci prosto w serce, więc nie ma sposobu, abyś Mistrza oszukał. Nie jestem pewny, jakiego Boga poprzednio czciłeś, ale na całym świecie nie ma Boga takiego jak Aldur.

- A jak mogę stać się jego uczniem, jako ty nim jesteś?

- Najpierw zostań wychowankiem Mistrza - odparłem - a to nie jest łatwe.

- Co należy zrobić, aby być jego wychowankiem?

- Musisz zostać jego służącym. - Przyznaję, że powiedziałem to z dość zadowoloną miną. Kilka lat z siekierą i miotłą z pewnością wyjdzie na dobre temu nadętemu dupkowi.

- A potem wychowankiem Boga Aldura? - naciskał.

- Z czasem - odparłem - jeśli taka będzie jego wola. - Nie moją rzeczą było wyjawiać nieznajomemu sekret Woli i Słowa. Sam będzie musiał do tego dojść, podobnie jak ja.

- A kiedy mógłbym spotkać Boga?

Zaczynałem powoli mieć go dosyć, więc zabrałem przybysza do wieży.

- Zechce Bóg Aldur znać me imię? - zapytał, gdy szliśmy przez łąkę.

Wzruszyłem ramionami.

- Niespecjalnie. Jeśli będziesz miał tyle szczęścia, aby okazać się tego wartym, to nada ci imię z własnego wyboru. - Gdy dotarliśmy do wieży, rozkazałem szaremu kamieniowi w ścianie, aby się odsunął i weszliśmy do środka, a potem ruszyliśmy schodami w górę.

Mistrz obejrzał nieznajomego i zapytał:

- Czemuż to przywiodłeś do mnie tego człowieka, synu?

- Ubłagał mnie, Mistrzu - odparłem. - Uznałem, że do mnie nie należy powiedzieć mu „tak” lub „nie” - potrafiłem, zdaje się, kaleczyć język równie dobrze jak Zedar. - Tyś winien decydować w takich sprawach - ciągnąłem dalej. - Jeśli okaże się, że nie podoba ci się, zabiorę go na dwór i zamienię w marchew, i na tym się skończy.

- To nie było uprzejmie powiedziane, Belgaracie - strofował mnie Aldur.

- Wybacz mi, Mistrzu - rzekłem pokornie.

- Ty powinienes pouczyć go, Belgaracie. Jeśli zdarzy się, iż nadawać się będzie, znać mi dasz.

Jęknąłem w duchu, przeklinając swój nierozważny język. Ale Aldur był moim Panem, więc powiedziałem:

- Uczynię to, Mistrzu.

- Co jest twym obecnym przedmiotem studiów, synu?

- Badam przyczynę istnienia gór, Mistrzu.

- Zostaw góry, Belgaracie i miast tego zajmij się studiowaniem człowieka. Być może ta wiedza nastawi cię bardziej przychylnie ku twym pobratymcom.

Wiedziałem, kiedy mnie strofują, więc nie dyskutowałem. Westchnąłem.

- Jak mój Mistrz każe - uległem z żalem. Byłem już o krok od odkrycia tajemnicy gór i nie chciałem, aby mi się wymknęła.

Wówczas jednakże przypomniałem sobie, jak cierpliwy był mój Mistrz, gdy przybyłem do Doliny, więc przełknąłem swą urazę - przynajmniej na jego oczach.

Pokora opuściła mnie jednak, gdy wyprowadziłem Zedara na dwór. Ze wstydem muszę przyznać, że zgotowałem temu biedakowi prawdziwe piekło. Poniżałem go, krzyczałem na niego, dawałem mu do wykonania niemożliwe zadania, a potem śmiałem się pogardliwie z wysiłków Zedara. Aby być całkiem szczerym, muszę przyznać, iż w duchu miałem nadzieję tak uprzykrzyć mu życie, że ucieknie.

Ale on tego nie uczynił. Znosił wszystkie moje złośczenia ze świętą cierpliwością, od której czasami chciało mi się krzyczeć. Czy ten człowiek nie miał w ogóle charakteru? By pogorszyć jeszcze sprawę - ku memu głębokiemu upokorzeniu - poznał sekret Woli i Słowa w przeciągu sześciu miesięcy. Mistrz nazwał go Belzedarem i przyjął na swego wychowanka.

Z czasem Belzedar i ja zawarliśmy pokój. Uznałem, że skoro mamy spędzić ze sobą następne kilkanaście wieków, to możemy nauczyć się współpracować. Faktycznie, gdy tylko wykorzeniłem u niego skłonność do hiperboli i nadmiernie kwiecistego języka, okazał się wcale niezłym kompanem. Był nadzwyczaj bystry, a przy tym uprzejmy na tyle, by nie wywyższać się nade mnie z tego powodu.

Nasz Mistrz, Belzedar i ja, zamieszkaliśmy we trójkę i nauczyliśmy się nie działać sobie zbyt na nerwy.

A potem zaczęli przybywać inni. Kira i Tira byli bliźniakami, alornskimi pasterzami owiec, którzy zgubili się, przywędrowali do Doliny pewnego dnia i zostali. Ich umysły były tak ściśle ze sobą związane, że zawsze mieli te same myśli w tym samym czasie, a nawet kończyli jeden za drugiego zdanie. Pomimo faktu, iż byli Alornami, Belkira i Beltira to najdelikatniejsi ludzie, jakich znam. Prawdę powiedziawszy, dość ich lubię.

Makor przybył jako następny, a przywędrował do nas z tak daleka, że nie mogłem pojąć, skąd w ogóle słyszał o moim Mistrzu. W odróżnieniu od nas, którzy przybyliśmy raczej marnie odziani, Makor nadszedł spacerkiem w jedwabnej opończy, podobnej do strojów obecnie modnych w Tol Honeth. Był dowcipnym, układnym, wykształconym człowiekiem i natychmiast przypadł mi do gustu.

Nasz Mistrz przepytał go krótko i uznał, że można Makora przyjąć, przy wszystkich zwykłych zastrzeżeniach.

- Ależ Mistrzu - zaprotestował gwałtownie Belzedar - on nie może stać się członkiem naszego bractwa. Ten człowiek jest Dalem - jednym z bezbożnych.

- Właściwie Melcenem, stary - poprawił go Makor w ten swój superuprzejmy sposób, który zawsze doprowadzał Belzedara do obłędu. Teraz rozumiecie, dlaczego tak polubiłem Makora?

- Cóż to za różnica? - zapytał bez ogródek Belzedar.

- Zasadnicza, mój drogi - odparł Makor, przyglądając się swoim paznokciom. - My, Melcenowie, odłączyliśmy się od Dalów tak dawno temu, że nie jesteśmy do nich bardziej podobni, niż Alornowie do Maragów. Prawdę mówiąc, nic ci do tego. Zostałem wezwany, tak samo jak wy, i na tym koniec.

Przypomniałem sobie dziwny przymus, który wyciągnął mnie z Gary i spojrzałem ostro na mego Mistrza. Czy dacie wiarę, że wyglądał na nieco zakłopotanego?

Belzedar mamrotał jakiś czas, ale skoro i tak nie mógł na to nic poradzić, stłumił swoje sprzeciwy.

Następnym, który się do nas przyłączył, był Sambar, Angarak. Sambar, czyli Belsambar, którym później został, oczywiście nie było jego prawdziwym imieniem. Angarackie imiona są tak paskudne, że mój Mistrz wyświadczył Sambarowi grzeczność, gdy je zmienił. Czulem ogromną sympatię dla tego chłopca - miał zaledwie piętnaście lat, kiedy się do nas przyłączył. Nie widziałem jeszcze nigdy nikogo równie zdeterminowanego. On po prostu przyszedł pod wieżę, usiadł na ziemi i czekał na przyjęcie lub śmierć. Beltira i Belkira oczywiście go karmili. W końcu byli pasterzami, a pasterze nie pozwolą niczemu zgłodnieć.

Gdzieś po tygodniu, gdy stało się absolutnie jasne, że młody przybysz w żadnym razie nie wejdzie do wieży, nasz Mistrz zszedł do niego. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby Aldur zrobił coś podobnego. Rozmawiał przez jakiś czas z chłopcem w odrażającym języku - starym angarackim, jak udało mi się stwierdzić - i skierował go pod opiekę Beltiry i Belkiry. Jeśli ktokolwiek potrzebował delikatnego traktowania, to był nim właśnie Belsambar.

Z czasem Belkira i Beltira nauczyli go mówić normalnym językiem, który nie wymagał tylu prychnięć i warknięć. Wówczas poznaliśmy jego historię. Moja niechęć do Toraka datuje się właśnie od tamtego czasu. Być może jednak nie jest to jedynie wina Toraka. Z biegiem lat nauczyłem się, że poglądy kapłanów niekoniecznie są poglądami Bogów, którym służą. W tym wypadku moje wątpliwości działały na korzyść Toraka - praktyki składania ofiar z ludzi mogły być jedynie przejawem wynaturzenia jego kapłanów, Grolimów. Ale on nie uczynił niczego, aby położyć temu kres, a to było niewybaczalne.

Wróćmy jednak do tematu. Rodzice Belsambara zostali oboje złożeni w ofierze, a jemu kazano, na dowód wiary, przyglądać się temu. Wywarło to jednak wręcz odwrotny od spodziewanego skutek. Belsambar został ateistą. Odrzucał nie tylko Toraka i jego cuchnących krwią Grolimów, ale wszystkich Bogów.

Tak było, gdy nasz Mistrz wezwał Belsambara do siebie. Dla niego wezwanie musiało mieć bardziej spektakularny charakter, niż tylko bliżej nieokreślony przymus, który mnie skierował ku Dolinie. Belsambar był najwyraźniej w stanie religijnej ekstazy, gdy dotarł do nas. Oczywiście był Angarakiem, a oni mają dość osobliwe podejście do religii.

* * *

Belmakor pierwszy rzucił myśl o budowie wież. W końcu był Melcenem, a oni mieli obsesję budowania różnych rzeczy. Muszę przyznać, że w wieży naszego Mistrza zaczynało się robić nieco tłoczno.

Budowa wież zajęła nam kilka dziesięcioleci, o ile sobie przypominam. Prawdę powiedziawszy, traktowaliśmy to raczej jako rodzaj hobby, a nie konieczność. Oczywiście wykorzystywaliśmy nasze niecodzienne umiejętności, ale ociosywanie kamieni to nudne zajęcie, nawet jeśli nie trzeba używać dłuta. Z czasem oczyściliśmy Dolinę z kamieni i po budulec trzeba było wyprawiać się coraz dalej.

Któregoś roku wreszcie uznałem, że pora skończyć moją wieżę i mieć z tym spokój raz na zawsze. Poza tym wieża Belmakora była na ukończeniu, a przecież to ja w końcu byłem pierwszym uczniem. Nie mogłem pozwolić, by mnie przegonił. Naszym postępowaniem czasami kierują bardzo dziecinne motywy.

Ponieważ wraz z braćmi zupełnie ogołociliśmy Dolinę z kamieni, w poszukiwaniu budulca wybrałem się na skraj lasu rozciągającego się na północy. Myszkowałem pomiędzy drzewami wypatrując łożyska strumienia lub odkrytego złoża skał, gdy nagle odniosłem wrażenie, że ktoś mi się przygląda. To nieprzyjemne uczucie, zawsze działało mi na nerwy.

- Możesz wyjść - powiedziałem. - Wiem, że tam jesteś.

- Niczego nie próbuj - warknął na mnie paskudny głos z pobliskich krzaków. - Rozerwę cię na strzępy, jeśli to uczynisz.

Oto co nazywam nieobiecującym początkiem.

- Nie bądź idiotą - odparłem. - Nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

To wywołało wybuch najpaskudniejszego śmiechu, jaki kiedykolwiek słyszałem.

- Ty? - powiedział z pogardą głos. - Ty? Skrzywdzić mnie? - A potem krzaki rozsunęły się i wyszło z nich najszkaradniejsze stworzenie, jakie widziałem. Stwór był groteskowo zdeformowany, z ogromnym garbem na plecach; miał guzowate, karłowate nogi i długie powykręcane ramiona. Ta kombinacja umożliwiała mu - a nawet czyniła wygodnym - poruszanie się na czterech kończynach, jak czynią to goryle. Jego twarz była potwornie paskudna, włosy i broda splątane. Był niewiarygodnie brudny i częściowo przyodziany w skóry przypominające z wyglądu szczurze. - Nacieszyłeś się widokiem? - zapytał szorstko. - Sam nie grzeszysz urodą.

- Zaskoczyłeś mnie, to wszystko - odparłem, siląc się na uprzejmość.

- Widziałeś może gdzieś w okolicy starca na rozklekotanym wozie? - zapytał. - Powiedział, że spotka się ze mną tutaj.

Spojrzałem na niego zdumiony.

- Lepiej zamknij buzię - poradził mi, warcząc charkotliwie.- Jeszcze mucha ci wpadnie.

Wszystko zaczęło do siebie pasować.

- Ten starzec, którego szukasz - powiedziałem - czy mówi w śmieszny sposób?

- To on - stwierdził karzeł. - Widziałeś go?

- O tak - odparłem z szerokim uśmiechem. - Znam go dłużej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Chodź, mój szpetny przyjacielu. Zaprowadzę cię do niego.

- Nie szafuj zbyt pośpiesznie „przyjacielem” - warknął. - Ja nie mam żadnych przyjaciół i tak mi dobrze.

- Po kilkuset latach przejdzie ci - odrzekłem, nadal uśmiechając się do małego potworka.

- Nie wyglądasz mi na zdrowego na umyśle.

- Do tego też się przyzwyczaisz. Chodź. Przedstawię cię twemu Mistrzowi.

- Ja nie mam Mistrza.

- Nie zakładałbym się o to.

Tak oto poznaliśmy Dina. Moi bracia myśleli początkowo, że natknąłem się na obłąskawioną małpę. Din dość szybko wyprowadził ich z błędu. Miał wyjątkowo niewyparzoną gębę, nawet gdy nie starał się być napastliwy. Jestem przekonany, że mógłby przeklinać przez półtora dnia nie powtarzając się.

- Co zrobiłeś z tym swoim głupim wozem? - zapytał Mistrza. - Próbowałem iść po śladach, ale one po prostu zniknęły.

Aldur, obdarzony nadludzką cierpliwością, uśmiechnął się. Dacie wiarę, że on rzeczywiście lubił tego potworka z niewyparzoną gębą?

- Dlategoż tyle zajęło ci to czasu? - przemówił łagodnie.

- Oczywiście, że dlatego zajęło mi to tyle czasu! - wybuchnął Din. - Nie zostawiłeś mi żadnego śladu! Musiałem dociec, gdzie się znajdujesz! - Din po mistrzowsku potrafił tracić panowanie nad sobą. Najdrobniejsza rzecz mogła wyprowadzić go z równowagi. - I co teraz? - zapytał.

- Musimy zadbać o twą edukację.

- A na co komuś takiemu jak ja jakaś tam edukacja? Ja już wiem to, co potrzebuję wiedzieć.

Aldur utkwiał w nim poważne spojrzenie, którego nawet Din nie potrafił zbyt długo znieść. Potem Mistrz przeniósł wzrok na nas. Oczywiście wykluczył Beltira i Belkira. Ich usposobienie nie pasowało do charakteru naszego nowego towarzysza. Belzedar oniemiał z wściekłości. Miał swoje wady, ale nie tolerował braku szacunku dla naszego Mistrza. Belmakor zaś posiadał zbyt grymaśną naturę. Din był brudny i śmierdział niczym otwarty ściek. Zgadnijcie, kto pozostał.

Ze znużeniem podniosłem rękę.

- Nie kłopotz się, Mistrzu - powiedziałem. - Ja się nim zajmę.

- Ależ, Belgaracie - rzekł - to bardzo łaskawe z twojej strony, iż z własnej woli do dyspozycji się stawiasz.

Postanowiłem na to nie odpowiadać.

- Belgaracie? - rzucił od niechcienia Belmakor.

- Słucham?

- Czy mógłbyś go umyć przed powrotem tutaj?

Pomimo demonstrowanej niechęci, nie byłem tak całkiem niezadowolony z tego układu. Pragnąłem wykończyć swą wieżę, a ten mocarny karzeł idealnie nadawał się do noszenia kamieni. Jeśli sprawy potoczą się po mej myśli, to nie będę musiał zbytnio wysilać swej pomysłowości, aby znaleźć zajęcie dla mego szkaradnego służącego. Zabrałem go na dwór i pokazałem swoją nie dokończoną wieżę.

- Rozumiesz, w czym rzecz? - zapytałem.

- Mam robić to, co mi każesz.

- Dokładnie - powiedziałem. Zapowiadało się bardzo dobrze. - No to wróćmy na skraj lasu. Mam dla ciebie małą robótkę.

Dotarcie do lasu zajęło nam trochę czasu. Gdy tam doszliśmy, wskazałem na suche koryto strumienia wypełnione krągłymi głazami odpowiednich rozmiarów.

- Widzisz te kamienie? - zapytałem.

- Jasne, że je widzę, głupku! Nie jestem ślepy!

- Bardzo się cieszę. Chcę, abyś ułożył je w stos przy mojej wieży, starannie, oczywiście - usiadłem pod cienistym drzewem. - Bądź tak dobry i zajmij się tym.

Naprawdę sprawiało mi to przyjemność.

Din popatrzył na mnie groźnie, po czym odwrócił się i utkwiał spojrzenie w korycie strumienia.

Wtem, jeden za drugim, kamienie zaczęły znikać! Dacie wiarę? Din już znał ten sekret! To był pierwszy przypadek spontanicznych czarów, jaki widziałem.

- A teraz co? - zapytał.

- Jak nauczyłeś się to robić? - dopytywałem z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami.

- Gdzieś się tego nauczyłem - odparł. - Chcesz powiedzieć, że ty tego nie potrafisz?

- Oczywiście, że potrafię, ale... - w tym momencie powstrzymałem się. - Jesteś pewny, że przemieściłeś je na właściwe miejsce?

- Polecieś, abym ułożył je przy twojej wieży, prawda? Idź, zobacz, jeśli chcesz. Ja wiem, gdzie one są. Czy masz dla mnie coś jeszcze do zrobienia?

- Wracajmy - rzuciłem krótko.

Odzyskanie panowania nad sobą zajęło mi trochę czasu. Byliśmy prawie w połowie drogi, gdy nabrałem zaufania do swego głosu na tyle, by rozpocząć indagacje.

- Skąd jesteś? - zadałem banalne pytanie, ale od czegoś trzeba było zacząć.

- Masz na myśli, skąd pochodzę? To raczej trudno powiedzieć. Ciągle przebywam gdzie indziej. W większości miejsc nie jestem mile

widziany. Przyzwyczailem się do tego. Tak już się dzieje od czasu mych narodzin.

- Czemu?

- Jak sądzę, lud mojej matki miał prosty sposób pozbywania się ułomnych. Gdy mnie zobaczyli, zaraz wynieśli do lasu i zostawili, bym umarł z głodu... lub zapewnił jakiemuś wilkowi przekąskę. Jednakże moja matka była wrażliwego serca i dokarmiła mnie potajemnie.

A ja myślałem, że miałem ciężkie dzieciństwo.

- Przestała się pojawiać około roku po tym, jak nauczyłem się chodzić - dodał rozmyślnie szorstkim tonem. - Pewnie umarła albo przyłapali ją, jak się wymykała, i zabili. Od tamtej pory musiałem sobie radzić sam.

- Jak udało ci się przeżyć?

- Czy to naprawdę ma znaczenie? - W jego oczach pojawił się jednak bolesny cień. - W lesie można znaleźć całe mnóstwo rzeczy do jedzenia, jeśli nie jest się zbyt wybrednym. Sępy i kruki radzą sobie całkiem dobrze. Nauczyłem się je wypatrywać. Wcześniej zrozumiałem, że tam, gdzie dostrzeżesz sępa, jest pewnie coś do jedzenia. Po jakimś czasie przyzwyczajasz się do zapachu.

- Zwierzę z ciebie! -wykrzyknąłem.

- Wszyscy jesteśmy zwierzętami, Belgaracie. - Wówczas po raz pierwszy użył mojego imienia. - Ja jestem w tym lepszy od innych, bo mam więcej praktyki. Czy moglibyśmy teraz zmienić temat?





Było nas teraz siedmiu i wiedzieliśmy, że na razie nikt nowy się nie pojawi. Inni przybyli później. Stanowiliśmy osobliwą grupę, zapewniam was. Jednak to, że mieszkaliśmy w osobnych wieżach, w znacznej mierze pozwalało ograniczać niesnaski.

Obecność Beldina nie była tak kłopotliwa, jak sobie początkowo wyobrażałem. Nie oznacza to jednak, że nasz mały paskudnik złagodniał. Raczej my z biegiem lat przyzwyczailiśmy się do jego wybuchowej natury. Zaprosiłem Beldina, by zamieszkał ze mną na czas nowicjatu - okresu, w którym był wychowankiem Aldura, nim osiągnął pełny status ucznia. Odkryłem, że pod zwierzęcą powłoką krył się umysł, i to jaki umysł! Beldin był najinteligentniejszy z nas, być może z wyjątkiem Belmakora. Obaj zresztą przez całe lata dyskutowali nad tak zawiłymi problemami logiki i filozofii, że nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o czym rozmawiali. Oni zaś ogromnie te dyskusje lubili.

Sporo czasu minęło, nim udało mi się przekonać Beldina do kąpieli. Niewątpliwie argumentem było to, że jeśli się wykąpie, wybredny Belmakor być może pozwoli podejść mu na tyle blisko, iż nie będą musieli krzyczeć w czasie swych dyskusji. Jak moja córka z lubością mi wytyka, ja sam nie jestem zbyt zagorzałym miłośnikiem higieny, ale Beldin czasami wykazywał przesadną obojętność w tym względzie.

Przez lata wspólnego życia i studiów poznałem Beldina i przynajmniej po części nauczyłem się go rozumieć. Ludzkość w owym czasie nadal była jeszcze w powijakach i cnota współczucia nie rozpowszechniła się tak dalece jak obecnie. Poczucie humoru, jeśli tak można to nazwać, było raczej prymitywne i brutalne. Ludzie wszelkiego rodzaju anomalie uważali za zabawne, a trudno było o większą anomalię od Beldina. Wieśniacy witali jego wejście do wioski salwami śmiechu, a gdy naśmiali się do woli, zwykle przepędzali go kamieniami.

Nietrudno chyba zrozumieć przyczynę paskudnego usposobienia Beldina. Pobratymcy usiłowali zabić kalekę zaraz po przyjściu na świat, przez całe życie przepędzono go z każdej społeczności, do której próbował wejść. Naprawdę dziwię się, że nie został mordercą. Ja pewnie bym się nim stał.

Pewnego deszczowego wiosennego dnia, po kilkuset latach wspólnego mieszkania, Beldin poruszył temat, którego pojawienia należało się spodziewać wcześniej czy później. Beldin spoglądał markotnie na zacinający za oknem deszcz. W końcu mruknął:

- Myślę, że zbuduję sobie własną wieżę.

- Tak? - powiedziałem, odkładając książkę. - A w tej ci się nie podoba?

- Potrzeba mi więcej miejsca, zaczynamy sobie działać na nerwy.

- Nie zauważyłem.

- Belgaracie, ty nawet nie dostrzegasz pór roku. Kiedy siedzisz z nosem w jednej ze swych ksiąg, mógłbym podpalić ci palce u nóg, a ty byś tego nie zauważył. Poza tym chrapiesz.

- Ja chrapię? Ty każdej nocy wydajesz dźwięki przypominające przetaczającą się burzę.

- Dzięki temu nie czujesz się samotny. - Ponownie spojrzał zadumany w okno. - Oczywiście jest jeszcze inny powód.

- Tak?

Popatrzył na mnie z dziwną tęsknotą w oczach.

- Przez całe swe życie nigdy nie miałem własnego kąta. Sypiałem w lasach, w rowach i stogach siana, a łagodna, przyjazna natura mych ludzkich pobratymców utrzymywała mnie niemal bez przerwy w ruchu. Myślę, że choć raz chciałbym mieć miejsce, z którego nikt nie mógłby mnie wyrzucić.

Cóż mogłem na to odrzec.

- Potrzeba ci pomocy? - zaofiarowałem się.

- Nie, jeśli wieża nie ma przypominać wyglądem twojej - burknął.

- A co ci się nie podoba w tej wieży?

- Belgaracie, bądź uczciwy. Twoja wieża wygląda jak skamieniały pniak. Nie masz za grosz poczucia piękna.

I to mówił Beldin.

- Chyba pójde porozmawiać z Belmakorem. Jest Melcenem, a oni są urodzonymi budowniczymi. Widziałeś kiedyś któreś z ich miast?

- Nie miałem okazji wybrać się na wschód.

- Oczywiście. Nie potrafisz się oderwać od swych ksiąg na wystarczająco długo, by udać się dokądkolwiek. No to jak? Idziesz ze mną, czy nie?

Jakże mogłem odrzucić tak uprzejme zaproszenie? Włożyłem płaszcz i wyszliśmy na deszcz. Beldin, oczywiście, nie zawracał sobie głowy płaszczem. Był całkowicie nieczuły na kaprysy pogody.

Stanęliśmy pod nieco zbyt bogato zdobioną wieżą Belmakora i mój krępy przyjaciel wrzasnął:

- Belmakor! Muszę z tobą porozmawiać!

Nasz dobrze wychowany brat podszedł do okna.

- O co chodzi, stary? - zawołał.

- Postanowiłem zbudować sobie wieżę. Chcę, abys ją dla mnie zaprojektował. Otwórz te głupie drzwi.

- A kąpałeś się ostatnio?

- Dopiero co w zeszłym miesiącu. Nie martw się, nie zasmrodzę ci twojej wieży.

Belmakor westchnął.

- No dobrze - poddał się.

Jego wzrok przybrał na chwilę nieobecny wyraz, po czym szczęknęła ciężka żelazna klamka u drzwi. Pozostali z nas za przykładem Mistrza używali kamieni do zamykania wejść, ale Belmakor czuł potrzebę posiadania prawdziwych drzwi. Beldin i ja weszliśmy do środka i wspięliśmy się po schodach.

- Poróżniliście się z Belgarathem? - zainteresował się Belmakor.

- A co ci do tego? - warknął Beldin.

- Nic. Byłem tylko ciekaw.

- On chce mieć swój własny kąt - wyjaśniłem. - Zaczynamy sobie wchodzić w drogę.

Belmakor był bardzo bystry. W lot pojął, co miałem na myśli.

- Jak sobie ją wyobrażasz? - zapytał karła.

- Ma być piękna - powiedział bez ogródek Beldin. - Nie jestem w stanie dzielić tego piękna, ale przynajmniej będę mógł na nie patrzeć.

Belmakorowi oczy zaszczyły nagle łzami. Zawsze był najbardziej wrażliwy z nas wszystkich.

- Och, przestań! - skarcił go Beldin. - Czasami jesteś tak sentymentalny, że chce mi się rzygać. Pragnę, by była pełna wdzięku. Ma być proporcjonalna, chcę czegoś niebotycznego. Mam dość życia w bloku.

- Potrafisz to sobie wyobrazić? - zapytałem naszego brata.

Belmakor podszedł do biurka, zebrał swoje papiery i włożył je do książki, którą studiował. Potem wstawił książkę na górną półkę, wyciągnął wprost z powietrza duży arkusz papieru i swe ulubione niewysychające gęsie pióro, po czym usiadł.

- Jak duża ma być? - spytał Beldina.

- Lepiej, aby była nieco niższa od wieży naszego Mistrza, nie sądzisz?

- Mądre posunięcie. Nie wywyższajmy się.

Belmakor szybko naszkicował czarowny zamek, którego widok zaparł mi dech w piersiach - uosobienie lekkości i delikatności o zwiewnych przyporach, wznoszących się ku górze niczym skrzydła, i strzelistych wieżyczkach.

- Próbujesz być zabawny? - zapytał oskarżycielskim tonem Beldin. - Nawet motyla nie zmusiłbyś do zamieszkania w takiej tandecie.

- To tylko początek, bracie - powiedział wesoło Belmakor. - Stopniowo nadamy mu bardziej rzeczywiste kształty. Musisz uczynić to swymi marzeniami.

Tak zaczęła się dyskusja, która trwała przez około sześć miesięcy i ostatecznie wciągnęła nas wszystkich. Nasze wieże, w większości, charakteryzowała użyteczna prostota. Z bólem przyznać muszę, że Beldin trafnie opisał moją wieżę. Rzeczywiście z pewnego oddalenia

przypominała skamieniały pniak. Jednakże zapewniała osłonę przed niepogodą i wynosiła mnie na tyle wysoko, że widziałem horyzont i gwiazdy. Czegóż więcej można oczekiwać od wieży?

Wówczas odkryliśmy, że Belsambar ma duszę artysty. Ostatnim miejscem, w którym szukałbyś piękna, jest umysł Angaraka. Ze zdumiewającą żarliwością, wbrew swej naturze samotnika, długo i głośno dyskutował z Belmakorem. Upierał się przy swoich zmianach, zasadniczo różniących się od prozaicznych zamysłów melceńskich. Melcenowie są budowniczymi i rozumują w kategoriach kamienia, zaprawy murarskiej i materiałów budowlanych, które daje się zastosować. Angarakowie myślą o niemożliwym, a potem starają się znaleźć sposoby na urzeczywistnienie swych pomysłów.

- Czemu to robisz, Belsambarze? - zapytał pewnego razu Beldin. - To jedynie przypora, a ty dyskutujesz już nad tym od tygodni.

- Chodzi o jej krzywiznę, Beldinie - wyjaśnił Belsambar z większym zapałem niż kiedykolwiek. - Tak to wygląda.

Po tych słowach nakreślił w powietrzu obraz dwóch wież. Nie znałem nikogo, kto potrafiłby stworzyć równie pełne iluzje jak Belsambar. Myślę, że to cecha Angaraków; ich cały świat opiera się na iluzji.

Belmakor spojrział i wyrzucił ręce w powietrze.

- Chylę czoło przed wyższością talentu - poddał się. - Jest piękna, Belsambarze. Jak jednak ją urzeczywistnimy? Nie ma wystarczająco silnej podpory.

- Ja potrzynam ją, jeśli trzeba - to powiedział Belzedar! - Będę podpierał wieżę naszego brata po kres dni, jeżeli zajdzie taka konieczność. - Ależ ten człowiek miał duszę!

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, żaden z was nie odpowiedział! - wrzasnął Beldin. - Czemu wszyscy zadajecie sobie tyle trudu?

- To dlatego, iż bracia twoi miłują cię, mój synu - odparł łagodnie Aldur, który stał ukryty w cieniu. - Azali nie potrafisz przyjąć ich miłości?

Wstrętna twarz Beldina nagle wykrzywiła się groteskowo i karzeł rozplakał się.

- Oto twa pierwsza lekcja, mój synu - powiedział Aldur. - Pragniesz dawać miłość, skrywając się za fasadą gburowatości, lecz musisz nauczyć się ją przyjmować.

Wszystkich nas na te słowa ogarnęło wzruszenie.

Tak więc zabraliśmy się wspólnie za budowanie wieży Beldina. Nie zajęło nam to zbyt wiele czasu. Mam nadzieję, że Durnik, pomimo swej sendarskiej etyki, nie uzna za niemoralne wykorzystywanie naszych darów dla przyziemnych celów.

Odczuwałem brak towarzystwa mego groteskowego przyjaciela, ale muszę przyznać, że spało mi się lepiej. Nie przesadzałem w opisie jego chrapania.

Potem życie w Dolinie wróciło do normy. Kontynuowaliśmy studia nad otaczającym światem i rozwijaliśmy swe osobliwe talenty. Zdaje się, że jeden z bliźniaków odkrył, iż mamy możliwość porozumiewania się jedynie za pomocą myśli. To musiał być któryś z bliźniaków lub obaj, gdyż tylko oni dzielili swe myśli od dnia narodzin. Wiem, że Beldin był tym, który odkrył sztukę przybierania postaci innych stworzeń. Jestem tego pewny, gdyż zaskoczył mnie niepomierne, kiedy pierwszy raz to uczynił. Któregoś dnia wielki jastrząb z pasmem błękitnych piór w ogonie przyszybował, usiadł na parapecie mego okna i przemienił się w Beldina.

- Co ty na to? - zapytał. - W końcu się powiodło.

Z wrażenia wypuściłem z rąk kufel piwa i zakrztusiłem się. Beldin walnął mnie po plecach.

- Co ty wyprawiasz? - napadłem na niego, gdy odzyskałem oddech.

Beldin wzruszył ramionami.

- Studiowałem ptaki - wyjaśnił. - Pomyślałem, że dobrze by było spojrzeć na świat z ich perspektywy. Latanie nie jest takie łatwe, jak się zdaje. Niemal zabiłem się, gdy wyskoczyłem z okna mojej wieży.

- Ty idioto!

- Udało mi się opanować poruszanie skrzydłami, nim uderzyłem o ziemię. To trochę podobne do pływania. Nie wiesz, czy potrafisz, dopóki nie spróbujesz.

- Jak to jest? Mam na myśli latanie.

- Nie silę się nawet, aby ci to opisać, Belgaracie - odparł z wyrazem zachwytu na swym wstrętnym obliczu. - Powinieneś spróbować. Nie radziłbym ci jednak skakać z okna. Czasami ze zbyt wielką beztrąską podchodzisz do szczegółów. Jeśli niedokładnie wyobrazisz sobie ogon, skręcisz kark.

Odkrycie Beldina przyszło akurat na czas. Wkrótce potem Mistrz wysłał nas poza Dolinę, abyśmy sprawdzili, czego dokonała reszta ludzkości. O ile jestem w stanie precyzyjnie to określić, zdaje się, że minęło około piętnastu stuleci od czasu owej śnieżnej nocy, gdy tu przybyłem.

W każdym razie latanie jest o wiele szybszym sposobem poruszania się niż chodzenie. Beldin wyćwiczył nas wszystkich i wkrótce trzepotaliśmy skrzydłami nad Doliną niczym stado wędrownych kaczek. Zaraz na wstępie muszę przyznać, że nie latałem zbyt dobrze. Polgara dogryza mi z tego powodu zawsze wtedy, gdy nie ma się do czego przyczepić. W każdym razie, kiedy Beldin nauczył nas latać, rozwinęliśmy skrzydła i poszybowaaliśmy za Dolinę zobaczyć, co działali ludzie. Na zachód od nas nie było nikogo z wyjątkiem Ulgosów, a ja nie potrafiłem dogadać się zbyt dobrze z nowym Gorimem. Przyjaźniłem się z ich pierwszym Gorimem, ale ostatni wydawał się zbyt zapatrzony w siebie.

Poleciałem, więc na wschód i wpadłem do Tolnedran. Od czasu, gdy widziałem ich po raz ostatni, zbudowali wiele miast. Niektóre z nich były nawet całkiem spore, choć tolnedrański zwyczaj używania bali do budowy ścian i słomy do krycia dachów sprawiał, że z lekkim niepokojem wchodziłem do tych pułapek w obawie przed pożarem. Jak można się było spodziewać, fascynacja Tolnedran pieniędzmi nie osłabła przez te piętnaście wieków, które minęły od czasu, gdy widziałem ich po raz ostatni. Co więcej, zrobili się jeszcze bardziej zachłanni. Spędzali wiele czasu na budowaniu dróg. O co chodziło Tolnedranom z tymi drogami? Generalnie jednak byli usposobieni pokojowo. Wojny nie służą interesom. Poleciałem, więc odwiedzić Maragów.

Maragowie byli dziwnymi ludźmi - jestem pewny, że nasz przyjaciel Relg zdążył to już odkryć. Być może ta osobliwość wynika z faktu, że

w ich społeczeństwie jest więcej kobiet niż mężczyzn. Bóg Mara wykazuje według mnie niezdrowe zainteresowanie płodnością i rozmnażaniem. Społeczeństwo Maragów ma strukturę matriarchalną, co jest nietypowe - choć Nyissanie również skłaniają się ku temu.

Pomimo osobliwości kultura Maragów była funkcjonalna. Nie zaczęli jeszcze praktykować rytualnego kanibalizmu, który sąsiedzi Maragów uznali za odrażający. Zwyczaj ów w końcu doprowadził do ich niemal całkowitej zagłady. Byli szczodrymi ludźmi - szczególnie kobiety. Całkiem dobrze się wśród nich czułem. Nie będę jednak chyba wdawał się w szczegóły. Ta książka z całą pewnością wpadnie w końcu w ręce Polgary, a ona ma zdecydowane zdanie na pewne tematy.

Po kilku latach wróciliśmy do Doliny. Zebraliśmy się w wieży naszego Mistrza, by zdać sprawę z tego, co widzieliśmy.

Z niezawodną delikatnością Mistrz wysłał Belsambara na północ, aby zobaczył, co porabiają Morindimowie i Karandowie. W istocie nie byłoby dobrym pomysłem wysłanie go z powrotem do Angaraków. Belsambar zdecydowanie nie przepadał za Grolimami, a nasze podróże miały być wyprawami po fakty. Nie wybraliśmy się tam po to, aby nawracać złych czy narzucać własne poczucie sprawiedliwości. Jednakże patrząc z perspektywy czasu, mogliśmy oszczędzić światu wiele bólu i cierpienia, gdybyśmy wysłali Belsambara przeciwko Grolimom. Doprowadziłoby to wprawdzie do krwawego starcia pomiędzy Torakiem i naszym Mistrzem, ale i tak wkrótce przecież do niego dojdzie.

Belzedar wyruszył na północ Korimu, aby przypatrzeć się Angarakom. Czyż nie jest zabawne, że sprawy przyjęły taki obrót? To, co zobaczył w tych górach, bardzo go zmartwiło. Torak zawsze miał o sobie wygórowane mniemanie i zachęcał Angaraków do równie przesadnego wyrażania swej wiary. Wzniesli mu świątynię, gdzie Grolimowie z radością zarzynali setki swoich współplemieńców przy aprobacie Toraka.

Praktyki religijne różnych ludów naprawdę nie były naszą sprawą, ale Belzedar wierzenia Angaraków uznał za powód do niepokoju. Torak nie czynił tajemnicy z faktu, iż uważa się za stojącego kilka szczebli wyżej od swych braci i najwyraźniej zachęcał swój lud, by czuł się podobnie.

- Obawiam się, że to jedynie kwestia czasu - zakończył ze smutkiem Belzedar. - Wcześniej czy później spróbują narzucić swą dominację pozostałej części ludzkości, a to się nie uda. Jeśli ktoś nie przekona Toraka, aby przestał nabijać Angarakom głów tym wstrętnym poczuciem wyższości, to bardzo prawdopodobne, że na południu dojdzie do wojny.

Belsambar doniósł, iż Morindimowie i Karandowie zaczęli oddawać cześć demonom. Nie stanowi to jednak zagrożenia dla reszty ludzi, ponieważ demony zajmowały się wyłącznie zjadaniem czarowników, którzy je przywołali.

Beldin oznajmił, iż Arendowie jeszcze bardziej zgłupieli, jeśli to w ogóle możliwe - i że wszyscy żyją w stanie ustawicznej wojny.

Belmakor, w drodze do Melceny, przemierzył ziemie Nyissan. Doniósł, że Wężowy Lud nadal był straszliwie prymitywny. Nyissanie nigdy nie grzeszyli energią, ale można by się spodziewać, że przynajmniej zaczęli budować domy. Melcenowie oczywiście budowali domy - prawdopodobnie więcej niż naprawdę, potrzebowali, ale to powstrzymywało ich przed robieniem głupstw. W drodze powrotnej Belmakor zawitał do Kell. Według jego relacji Dalowie bardzo zaangażowali się w zgłębianie nauk tajemnych - astrologii, nekromancji i tym podobnych rzeczy. Dalowie tak wiele swojego czasu spędzali na próbach wejrzenia w przyszłość, że zaczęli tracić z oczu teraźniejszość. Nie znoszę mistycyzmu!

Jednakże dzięki temu nie stanowili dla nikogo zagrożenia. Byli zbyt otumanieni.

Z Alornami sprawa oczywiście przedstawiała się całkiem inaczej. To hałaśliwi, wojowniczy ludzie, którzy walczą z byle powodu. Beltira i Belkira przyjrzeni się swym współziomkom. Szczęśliwie, dla dobra pokoju na świecie, Alornowie, podobnie jak Arendowie, więcej czasu spędzali walcząc ze sobą, niż wszczynając wojny z innymi narodami. Bliźniacy z całym naciskiem sugerowali jednak, abyśmy nie spuszczały z nich oka. Co też czyniłem przez minione pięć tysięcy lat. Prawdopodobnie właśnie to przysporzyło mi siwizny. Alornowie potrafią przez przypadek wplątać się w więcej kłopotów, niż inni ludzie

z rozmysłem - oczywiście wyjąwszy Arendów. Arendowie stanowili ciągle zagrożenie.

Mistrz uważnie wysłuchał naszych relacji i uznał, że na świecie poza Doliną generalnie panował spokój. Jedyne z Angarakami mogły być kłopoty. Powiedział, że omówi ze swym bratem, Torakiem, ten problem. Zwróci mu uwagę na fakt, że w razie wybuchu ogólnej wojny, sami Bogowie nieuchronnie będą w nią zamieszani, a to groziłoby katastrofą.

- Tuszę, iż zdołam do rozsądku mu przemówić - powiedział Aldur.

Rozsądek? Torak? Czasami optymizm Mistrza brał górę nad jego rozważą.

W trakcie naszych relacji Aldur z roztargnieniem bawił się swoim dziwnym szarym kamieniem. Miał go już od tak dawna, że nie zdawał sobie sprawy z tego, iż trzymał kamień w dłoniach. Od rozmowy z Ulem chyba ani razu go nie odłożył. Ten kawałek skały stał się niemal jego częścią.

Naturalnie tym, który to zauważył, był Belzedar. Zastanawiam się, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby tego nie uczynił.

- Co to za dziwny klejnot, Mistrzu? - zainteresował się. Szkoda, że nie ugryzł się w język, nim zadał to fatalne w skutkach pytanie.

- Ten Glob? - odparł Aldur, podnosząc go, byśmy wszyscy widzieli. - W nim spoczywa los świata.

Wówczas po raz pierwszy dostrzegłem w głębi kamienia niebieskawe błyski. Tysiące lat dotyku dłoni Mistrza wypolerowały go. Był teraz, jak bystrze zauważył Belzedar, bardziej klejnotem niż zwykłym kamieniem.

- Jakże ten mały przedmiot może być tak ważny, Mistrzu? - zdziwił się Belzedar.

To następne pytanie, które wolałbym, aby nie przyszło mu na myśl. Gdyby nie padło, nic, co później się wydarzyło, nie miałyby miejsca, a on nie znajdowałby się w swym obecnym położeniu. Pomimo żądy wiedzy, pewne pytania lepiej pozostawić bez odpowiedzi.

Niestety nasz Mistrz miał zwyczaj odpowiadania na pytania i tym sposobem wyszły na jaw rzeczy, które lepiej, aby pozostały w ukryciu. Gdyby sprawy tak się potoczyły, być może nie ciążyłoby mi brzemię

winy, którego nie mam siły dźwigać. Wolałbym nieść na swych barkach górę niż mieć świadomość tego, co uczyniłem Belzedarowi. Być może Garion zrozumiałby, ale nikt poza nim. Skrucha? Tak, oczywiście, że żałuję. Mam poczucie winy jak stąd do księżycy. Ale nie umiera się przecież z żalu. Można się zżymać, lecz się nie umiera.

Mistrz uśmiechnął się do Belzedara, a Glob wyjaśniał. Zdawało mi się, że dostrzegłem w nim migoczące, przyćmione wizerunki.

- W tym tkwi przeszłość - powiedział Mistrz - i terażniejszość, a także przyszłość. To zaledwie mała częśćka zalet Globu. Z jego pomocą może człowiek, lub sama ziemia, uzdrowionym bądź zniszczonym być. Cokolwiek człowiek albo Bóg chciałby uczynić, choćby było to ponad moc Woli i Słowa, Glob urzeczywistni.

- Zaprawdę cudowna to rzecz, Mistrzu - rzekł Belzedar, wyglądając na nieco zaintrygowanego - ale nadal nie mogę tego pojąć. Z pewnością klejnot jest bez skazy, lecz przy całej swej wspaniałości to tylko kamień.

- Glob wyjawiał mi przyszłość, synu - odparł ze smutkiem Mistrz. - Stanie się przyczyną wielu sporów, ogromnych cierpień i rozległych zniszczeń. Moc Globu pozwala mu zdmuchnąć życie nie narodzonych jeszcze ludzi tak łatwo, jak ty zdmuchnąłbyś świeczkę.

- A zatem to zła rzecz, Mistrzu - powiedziałem, a Belsambar i Belmakor mnie poparli.

- Zniszcz to, Mistrzu - błagał Belsambar - nim sprowadzi zło na świat.

- To być nie może - odparł Mistrz.

- Błogosławiona niech będzie mądrość Aldura - rzekł Belzedar, z dziwnym błyskiem w oczach. - Przy naszej pomocy Mistrz może władać tym klejnotem dla dobra zamiast zła. Potwornym czynem byłoby zniszczenie tak cennej rzeczy.

Teraz, gdy spoglądam wstecz na wszystko, co się zdarzyło, zdaje mi się, że nie powinienem winić Belzedara za jego niezdrowe zainteresowanie Globem. To było częścią koniecznego biegu wydarzeń. Nie powinienem obarczać go winą, ale to robię.

- A rzeknę wam, moi synowie - ciągnął dalej Mistrz - iż nie zniszczyłbym Globu, nawet gdyby możliwym to było. Powróciliście właśnie z przyglądania się światu w jego dzieciństwie i ludzkości w jej

niemowlęctwie. Wszelkie żywe stworzenie musi dorosnąć lub zginie. Przez ten klejnot świat zmienionym będzie, a człowiek osiągnie stan, do którego został stworzony. Glob sam w sobie nie jest zły. Zło jest rzeczą tkwiącą jedynie w sercach i umysłach ludzi, a także Bogów.

Potem Mistrz umilkł, westchnął, a my odeszliśmy, pozostawiając go w smutnym zjednoczeniu z Globem.

W ciągu następnych stuleci rzadko widywaliśmy Mistrza. Samotnie w swej wieży kontynuował studia nad Globem, i myślę, że wiele się od niego nauczył. Wszyscy smuciliśmy się nieobecnością Mistrza i niewiele znajdowaliśmy radości w swej pracy.

Minęło chyba ze dwadzieścia wieków od czasu, gdy przybyłem, by służyć memu Mistrzowi, kiedy w Dolinie pojawił się nieznajomy. Pięknością przewyższał wszystkie widziane przeze mnie istoty. Chodził tak, jakby jego stopy z pogardą dotykały ziemi.

Wyszliśmy, by go powitać, jak było w zwyczaju.

- Chcę rozmawiać ze swym bratem, waszym Mistrzem, Aldurem - rzekł, a my wiedzieliśmy, iż mamy przed sobą Boga.

Jako najstarszy wystąpiłem przed swych braci.

- Powiem Mistrzowi, że przybyłeś, panie - oznajmiłem uprzejmie. Nic miałem pewności, który to był z Bogów, ale coś w nim wzbudzało moją niechęć.

- To nie jest konieczne, Belgaracie - odezwał się tonem, który drażnił mnie jeszcze bardziej niż zachowanie przybysza. - Mój brat wie, że tu jestem. Zawieź mnie do jego wieży.

Odwróciłem się i poszedłem przodem bez słowa. Nie miałem zaufania do swego głosu.

Gdy dotarliśmy do wieży, nieznajomy spojrzał mi prosto w oczy.

- Drobną radą, Belgaracie - powiedział - w podzięce za twe usługi. Nie próbuj wynieść się ponad własną osobę. Nie twoją rzeczą jest pochwałać mnie lub ganić. Dla twego dobra mam nadzieję, iż gdy spotkamy się następnym razem, będziesz pamiętał tę radę i zachowywał się w bardziej właściwy sposób.

Jego spojrzenie przenikało mnie na wylot. Brzmienie głosu nieznajomego zmroziło krew w żyłach.

Ponieważ jednak nadał byłem tym, kim byłem, i nawet ponad dwa tysiące lat spędzone w Dolinie nie uspiły jeszcze we mnie natury dzikiego, buntowniczego chłopca, odpowiedziałem mu nieco opryskliwie.

- Dziękuję za radę. Czy życzysz sobie czegoś jeszcze?

Nie moją rzeczą było informować przybysza, gdzie znajdowały się drzwi i jak je otworzyć. Czekałem, wypatrując z nadzieją oznak zmieszania.

- Zuchwałyś, Belgaracie - zauważył. - Być może pewnego dnia znajdę wolną chwilę, by nauczyć cię dobrego zachowania i należnego szacunku.

- Zawsze z ochotą się uczę - odparłem.

Jak widzicie, od samego początku wkroczyłem z Torakiem na wojenną ścieżkę. Zauważcie, że domyśliłem się, kim był.

Przybysz odwrócił się, machnął ręką i kamienne drzwi wieży otworzyły się. Potem wszedł do środka.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co dokładnie zaszło pomiędzy Mistrzem i jego bratem. Rozmawiali wiele godzin, potem zerwała się letnia burza, więc musieliśmy poszukać schronienia, i dlatego przegapiliśmy odejście Toraka.

Gdy burza przeszła, Mistrz przywołał nas do siebie. Udaliśmy się do jego wieży. Aldur siedział za stołem, przy którym od tak dawna pracował nad Globem. Na jego twarzy malował się ogromny smutek, na którego widok zamarło mi serce. Miał zaczerwieniony policzek, czego nie rozumiałem.

Ale Belzedar dostrzegł od razu to, czego ja nie zauważyłem.

- Mistrzu! - zawołał z nutą paniki w głosie. - Gdzie jest klejnot? Gdzie Glob?

Żałuję, że nie zwróciłem baczniejszej uwagi na ton, jakim wymówił te słowa. Być może mógłbym zapobiec wielu wydarzeniom, gdybym to uczynił.

- Torak, mój brat, zabrał go ze sobą - odparł Mistrz, a w jego głosie dawało się wyczuć łzy.

- Szybko! - zawołał Belzedar. - Musimy go dogonić i odzyskać Glob, nim Torak nam ucieknie! Jest nas wielu, a on tylko jeden!

- Mój brat jest Bogiem, synu - powiedział Aldur. - Mnogość ludzi niczym dla niego.

- Ależ, Mistrzu - rzekł z desperacją w głosie Belzedar - trzeba odzyskać Glob! On musi do nas wrócić!

A ja nadal nie zdawałem sobie sprawy z tego, co działo się w umyśle Belzedara. Mój mózg musiał spać.

- Jakim to sposobem brat twój dostał od ciebie Glob, Mistrzu? - zapytał Beltira.

- Torak zapalał chęcią posiadania klejnotu - powiedział Aldur - i zaklinał mnie, iżbym mu go oddał. A gdy nie wyraziłem zgody, uderzył mnie, zabrał Glob i uciekł.

Tego było za wiele! Choć klejnot miał cudowną moc, to był tylko kamieniem. Ale fakt, że Torak uderzył naszego Mistrza, wzniecił płomień w mej duszy. Odrzuciłem płaszcz, skierowałem całą wolę w powietrze przed sobą i jednym słowem uczyniłem miecz. Schwyciłem go i skoczyłem do okna.

- Nie! - powiedział Mistrz i jego słowo sprawiło, że zatrzymałem się jakby wyrosła przede mną ściana.

- Otwórz! - rozkazałem, godząc w niewidzialną ścianę mieczem.

- Nie! - powtórzył Mistrz i ściana mnie nie przepuściła.

- On cię uderzył, Mistrzu! - krzyknąłem gniewnie. - Za to zabiję go, choćby po dziesięciokroć był Bogiem!

- Nie. Torak zgniótlby cię tak łatwo, jak ty zgniatasz owada, który ci dokucza. Miłuję cię wielce, mój najstarszy synu, i nie chcę cię utracić.

- Musi być wojna, Mistrzu - powiedział Belmakor. To powinno dać wam pewne wyobrażenie o tym, jak poważnie podeszliśmy do sprawy. Słowo „wojna” było ostatnim, jakiego spodziewałem się usłyszeć z ust układnego Belmakora. - Uderzenie i kradzież nie mogą ujść bez kary. Wykujemy broń, a Belgarath nas poprowadzi. Wydamy wojnę temu złodziejowi, który mieni siebie Bogiem.

- Synu - rzekł Aldur z lekkim smutkiem - dość będzie wojny, abyś sycił się nią do końca swego żywota. Z ochotą oddałbym Glob Torakowi, gdyby klejnot nie powiedział mi, iż pewnego dnia go zniszczy. Chciałem Torakowi tego oszczędzić, lecz jego żądza klejnotu zbyt wielką była i nie posłuchał mnie - Aldur westchnął, po czym wyprostował się. - Będzie wojna, Belmakorze. Nieunikniona teraz jest. Brat mój posiada Glob, a z jego mocą może wyrządzić ogromne szkody. Musimy go odzyskać lub zmienić, nim Torak ujarzmi klejnot i nagnie do swej woli.

- Zmienić? - zapytał z przerażeniem Belzedar. - Z pewnością, Mistrzu, nie chcesz osłabić tej drogocennej rzeczy!

Zdawało się, że tylko o tym był w stanie myśleć, a do mnie nadal to nie docierało.

- Nie można go osłabić, Belzedarze - odparł Aldur. - Zachowa swą moc po kres dni. Celem naszej wojny będzie przymusić Toraka do pośpiechu, by spróbował użyć Globu w niewłaściwy sposób.

Belzedar patrzył na niego osłupiały. Najwyraźniej myślał, że klejnot był biernym przedmiotem. Nie brał pod uwagę faktu, iż Glob miał własne poglądy na sprawy.

- Świat jest niestały, Belzedarze - wyjaśnił Mistrz - ale dobro oraz zło są stałe i niezienne. Glob jest przedmiotem dobra, a nie jedynie zabawką. Ma zrozumienie, nie takie jak twoje, tym niemniej zrozumienie. I posiada wolę. Strzeż się jej, albowiem wola Globu jest wolą kamienia. Jak już rzekłem, to przedmiot dobra. Jeśli obrócić go ku czynieniu zła, uderzy w tego, kto chciał się nim tak posłużyć - człowiek to będzie czy Bóg.

Aldur najwyraźniej dostrzegł coś, czego ja nie zauważyłem i w ten sposób próbował ostrzec Belzedara. Jednakże nie myślę, aby mu się to udało.

Mistrz westchnął, po czym wstał.

- Musimy się spieszyć - powiedział. - Idźcie zatem, moi uczniowie. Idźcie pomiędzy braci mych i powiedzcie, iż proszę, by przybyli do mnie. Jam jest najstarszy i oni przybędą przez szacunek, jeśli nie z miłości. Wojna, którą wydamy, nie tylko naszą będzie. Lękam się, iż

cały rodzaj ludzki zostanie w nią wmieszany. Idźcie zatem i przyzwijcie braci mych, byśmy naradzili się, co należy czynić.





- Możemy zamienić słowo, Belgaracie? - zapytał Belmakor, gdy dotarliśmy do podnóża wieży Mistrza.

- Oczywiście.

- Uważam, że nie powinniśmy zostawiać Mistrza samego - zasugerował z poważną miną.

- Myślisz, że Torak mógłby wrócić i znowu go uderzyć?

- Raczej wątpię i jestem pewny, że Mistrz poradziłby sobie, gdyby do tego doszło.

- Nie dał sobie rady ostatnim razem - odparłem posepnie.

- Prawdopodobnie dlatego, że Torak go zaskoczył. Zwykle nie spodziewamy się uderzenia od brata.

- A zatem, skąd twoja troska?

- Nie żal ci Mistrza? Nie mam na myśli jedynie straty Globu. Torak zdradził go i uderzył, a teraz będzie wojna. Myślę, że ktoś z nas powinien zostać, by pocieszyć Mistrza i zaopiekować się nim. Chcesz zostać?

- Nie ja, stary. Jestem równie rozgniewany jak ty. Ogarnęła mnie taka złość, że mógłbym gryźć skały i pluć piaskiem.

Zastanowiłem się nad słowami Belmakora. Było nas siedmiu, a musieliśmy dotrzeć jedynie do pięciu Bogów, więc z całą pewnością mogliśmy pozwolić sobie na zostawienie dwóch z nas.

- A co powiesz na bliźniaków? - zasugerowałem. - I tak nie potrafiliby sprawnie działać, gdybyśmy ich rozdzielili, a w razie konfrontacji na nic by się zdali ze swym usposobieniem.

- Doskonała propozycja, stary - pochwalił. - Oczywiście, oznacza to, że ktoś inny będzie musiał udać się na północ, by porozmawiać z Belarem.

- Ja to zrobię - zgłosiłem się na ochotnika. - Myślę, że poradzę sobie z Alornami.

- Zatem ja udam się do Nedry. Spotkałem go już i wiem, jak przyciągnąć jego uwagę. Przekupię Nedrę, jeśli będę musiał.

- Przekupisz? On jest Bogiem, Belmakorze.

- Zdaje się, że nigdy go nie spotkałeś. Tolnedranie znani są ze swej osobliwej uczciwości.

- Zabierz ze sobą Belzedara - zaproponowałem. - Ma obsesję na punkcie Globu, więc lepiej nie spuszczać go z oczu. Mógłby wyruszyć za Torakiem na własną rękę. Gdy dotrzecie na ziemię Tolnedran, wyślij go do krainy Arendów, by rozmówił się z Chaldanem. Gdyby próbował z tobą dyskutować, powiedz Belzedarowi, że poleciłem mu tak uczynić, jestem najstarszy, a to powinno mieć dla niego znaczenie. Nie pozwól Belzedarowi iść na południe. Nie chcę, aby dał się zabić. Nasz Mistrz ma już dość powodów do smutku.

Belmakor skinął posępnie głową.

- Innych również zabiorę ze sobą. Rozdzielimy się, gdy dotrzemy do Tolnedran. Belsambar może porozmawiać z Marą, a Beldin powinien poradzić sobie ze znalezieniem Issy.

- To pewnie najlepszy plan. Ostrzeż Beldina i Belsambara co do Belzedara. Lepiej wszyscy miejmy na niego oko. Czasami jest nieco impulsywny.

- Czy wmieszamy w to Dalów i Melcenów?

Spojrzałem w niebo. Letnia burza już przebrzmiała i pozostało jedynie kilka napęczniałych białych chmur.

- Mistrz o nich nie wspominał - odparłem z lekkim powątpiewaniem. - Możesz jednakże ich przestrzec, jeśli chcesz. Prawdopodobnie nie będą sobie zwracać głowy udziałem w wojnie religijnej - biorąc pod uwagę fakt, iż nie mają Boga - ale dobrze by było poradzić im, aby się nie wtrącali.

- Skoro tak uważasz - wzruszył ramionami. - Chcesz porozmawiać z bliźniakami?

- A może ty byś to zrobił? Ja mam daleką drogę przed sobą. Alornowie rozproszeni są po całej północy. Odszukanie Belara może zająć mi trochę czasu.

- Udanego polowania - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Bardzo zabawne, Belmakorze - odparłem oschle.

- Staram się, jak mogę, stary. Pójdę porozmawiać z bliźniakami.

Nie spiesząc się, ruszył w kierunku wieży bliźniąt. Niewzruszony, jak zwykle, Belmakor - przynajmniej na zewnątrz.

Ponieważ pośpiech był sprawą ważną, postanowiłem przybrać postać orła i polecieć na północ, co okazało się błędem. Chyba wspominałem już, że nie fruwałem zbyt dobrze. Nigdy nie nabrałem w tym wprawy. Po pierwsze, czuję się nie najlepiej w piórach, po drugie - widok całej tej pustki pode mną zdecydowanie mnie niepokoi, więc macham skrzydłami częściej niż potrzeba, co po pewnym czasie robi się męczące.

Główny problem jednakże tkwi w fakcie, że im dłużej pozostaję w postaci orła, tym bardziej charakter tego ptaka zaczyna dominować nad moim. Uwagę mą przyciągają drobne ruchy na ziemi i ogarnia mnie przemożna chęć poszybowania w dół i zabicia jakiegoś stworzenia.

Wylądowałem, więc na ziemi, powróciłem do swej postaci i siedziałem przez jakiś czas, by odzyskać oddech, dać wytchnienie moim ramionom i rozważyć inne możliwości. Orzeł, pomimo całej swej wspaniałości, jest doprawdy głupim ptakiem, a ja nie chciałem, by byle mysz czy królik odrywał mnie od poszukiwania Belara.

Zastanawiałem się nad postacią konia. Koń potrafi biec bardzo szybko przez krótki czas, ale prędko się męczy i jest niewiele rozumniejszy od orła. Zdecydowałem się nie przybierać postaci konia. Antylopa potrafi biegać całymi dniami bez zmęczenia, ale to głupie stworzenie i dla zbyt wielu zwierząt na tej rozległej równinie stanowi łakomy kąsek. Nie miałem czasu na przekonywanie każdego mijanego drapieżnika, by poszedł poszukać sobie czegoś innego do jedzenia. Potrzebna mi była postać obdarzona szybkością, wytrzymałością i wystarczająco odstraszającą reputacją, by trzymać inne zwierzęta na dystans.

W końcu przyszło mi na myśl, że owe cechy skupia w sobie wilk. Ze wszystkich stworzeń zamieszkujących równiny i lasy wilk był najbardziej inteligentny, najszybszy, najmniej podatny na zmęczenie. A co więcej, żadne rozsądne zwierzę nie wejdzie w drogę wilkowi, jeśli może tego uniknąć.

Przeistoczenie się we właściwą postać zajęło mi trochę czasu. Beldin nauczył nas przybierania postaci ptaka, ale gdy przyszło mi przywdziać futro i łapy, byłem zdany tylko na siebie.

Muszę przyznać, że spartaczyłem robotę pierwsze kilka razy. Widzieliście kiedyś wilka z piórami i dziobem? Naprawdę nie chcielibyście tego oglądać. W końcu udało mi się usunąć z głowy wszelkie myśli o ptakach i skoncentrować się na wyidealizowanym wyobrażeniu wilka.

Zmiana postaci to osobliwy proces. Najpierw wypełnia się umysł wizją stworzenia, którego postać chce się przybrać, a potem siła woli zlewa się z tym wyobrażeniem. Żałowałem, że nie ma w pobliżu Beldina. On potrafiłby wytłumaczyć to lepiej ode mnie. Ważne jest, aby nie przestawać próbować - i szybko wracać do własnej postaci, jeśli coś nam nie wyszło. Jeżeli, na przykład, zapomnisz o sercu, będziesz miał kłopoty.

Po dokonaniu przemiany, obejrzałem się dokładnie dla pewności. O niczym nie zapominałem. Niewątpliwie wyglądałem trochę głupio obmacując głowę, uszy i pysk łapami, ale chciałem utwierdzić się w przekonaniu, że inne wilki nie będą się śmiać na mój widok.

Potem ruszyłem przez trawiastą równinę. Szybko zdałem sobie sprawę, że dokonałem słusznego wyboru. Gdy tylko przyzwyczałem się do biegania na czterech łapach, spodobała mi się nowa postać. Zauważyłem, że umysł wilka nie różnił się w dużej mierze od mego. Po godzinie z przyjemnością stwierdziłem, iż przemierzałem ziemię przynajmniej tak szybko, jak nieudolnie pokonywałem przestworza jako orzeł. Prędko odkryłem, jak dobrą rzeczą jest posiadanie ogona, który pozwala utrzymać równowagę i przy nagłych skrętach działa niczym ster. Mało tego, gęstym, puszystym ogonem można owinać się nocą dla osłony przed chłodem. Naprawdę powinniście tego czasami spróbować.

Biegłem na północ około tygodnia, ale nudał nie natknąłem się na żadnego Alorna. Potem, pewnego złocistego letniego popołudnia, spotkałem młodą wilczycę w figlarnym nastroju. Pamiętam, że miała piękny zad i urodziwy pysk.

- Skąd ten wielki pośpiech, przyjacielu? - zapytała nieśmiało na sposób wilków. Pomimo że czas naglił, poruszyło mnie to, iż całkiem dobrze ją rozumiałem. Zwolniłem, a potem zatrzymałem się.

- Jaki wspaniały masz ogon - pogratulowała mi, szybko wykorzystując swą przewagę - i co za doskonale zęby.

- Dziękuję - odparłem skromnie. - Twój ogon również jest piękny, a futro doprawdy znakomite - otwarcie ją podziwiałem.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała, przyglądając się sobie.

Potem wesoło trąciła mój bok pyskiem i odskoczyła kilka kroków, usiłując zachęcić mnie do gonitwy.

- Z ochotą zostałbym chwilę, byśmy mogli się lepiej poznać - powiedziałem - ale mam bardzo ważne sprawy do załatwienia.

- Sprawy do załatwienia? - zaszydziła, wywieszając w rozbawieniu język. - A ktoś słyszał, żeby wilk miał do załatwienia jakieś sprawy poza spełnianiem własnych pragnień?

- Tak naprawdę nie jestem wilkiem - wyjaśniłem.

- Zdumiewające. Wyglądasz jak wilk, mówisz jak wilk i z całą pewnością pachniesz jak wilk, a twierdzisz, że nie jesteś wilkiem. Kim zatem jesteś?

- Człowiekiem - oświadczyłem raczej pogardliwie. Odkryłem, że wilki mają w pewnych sprawach zdecydowane zdanie.

Wilczyca usiadła z wyrazem zdumienia na pysku. Musiała przyjąć to, co powiedziałem, za prawdę, gdyż wilki nie potrafią kłamać.

- Masz ogon - zauważyła - a ja nigdy nie widziałam przedtem człowieka z ogonem. Masz piękne futro. Masz cztery łapy. Masz długie, ostre zęby, spiczaste uszy i czarny nos, a mimo to mówisz, że jesteś człowiekiem.

- To bardzo skomplikowane.

- Zapewne - przyznała. - Myślę, że pobiegnę z tobą jakiś czas, skoro musisz zająć się tymi swoimi sprawami. Może moglibyśmy podyskutować o tym po drodze i wyjaśniłbyś mi wszystko.

- Jak sobie życzysz - powiedziałem. Chyba ją polubiłem i byłem rad z każdego towarzystwa. Wilkom też czasami dokucza samotność. - Muszę cię jednakże przestrzec, że biegam bardzo szybko - uprzedziłem ją.

Wilczyca prychnęła.

- Wszystkie wilki biegają bardzo szybko.

I tak, łapa w łapę, puściliśmy się pędem przez bezkresną krainę łąk w poszukiwaniu Boga Belara.

- Masz zamiar biec zarówno w dzień, jak i w nocy? - zapytała mnie po przebyciu kilku mil.

- Odpocznę, gdy będę zmęczony.

- Ciesz się mnie to - roześmiała się na sposób wilków, trąciła nosem mój grzbiet i uskoczyła.

Zacząłem zastanawiać się nad moralną stroną swej sytuacji. Moja towarzyszka wydawała mi się rozkoszna. Byłem jednak pewny, że nie odniosę takiego wrażenia, gdy przybiorę swą prawdziwą postać. Co więcej, choć bez wątplenia ojcostwo jest wspaniałą rzeczą, to gromadka szceniąt może okazać się kłopotliwa, kiedy wrócę do swego Mistrza. Poza tym szczeniaczki nie będą w pełni wilkami, a ja doprawdy nie chciałbym być ojcem rasy potworów. A do tego wszystkiego, ponieważ wilki łączą się w pary na całe życie, gdy opuszczę swą towarzyszkę - co w końcu będę zmuszony uczynić - stanie się ona przedmiotem szyderstwa i kpin członków wilczej sfory, jako porzucona wilczyca z gromadką pozbawionych ojca szceniąt. Przyzwoitość jest bardzo ważna dla wilków. Postanowiłem zatem oprzeć się jej zalotom podczas naszej wyprawy w poszukiwaniu Belara.

Nie poświęciłbym tyle czasu i miejsca temu incydentowi, gdybym nie pragnął wyjaśnić, jak podstępnie osobowość istot o kształtach, które przybieramy, może zdominować nasze myślenie. Nie ubiegliśmy zbyt daleko, gdy stałem się wilkiem w równym, a może nawet większym stopniu niż moja przyjaciółka. Jeśli kiedykolwiek zdecydujecie się

na podobne ćwiczenia, bądźcie ostrożni. Pozostawanie zbyt długo w danej postaci może doprowadzić do tego, że gdy nadejdzie czas przeistoczenia się, nie będziecie mieli na to ochoty. Otwarcie muszę przyznać, że nim młoda wilczyca i ja dotarliśmy do królestwa Boga-Niedźwiedzia, rozmyślałem już nad przyjemnościami legowiska i polowania, rozkosznego węszenia szczeniąt i wiernego, niezawodnego towarzystwa mej partnerki.

Po jakimś czasie natrafiliśmy na grupę myśliwych na skraju rozległej, pradawnej puszczy, w której przebywał ze swym ludem Belar, Bóg-Niedźwiedź. Ku zdumieniu mej towarzyszkę, powróciłem do swej postaci i podszedłem do nich.

- Mam wiadomość dla Belara - oświadczyłem.

- Skąd możemy wiedzieć, że to prawda? - zapytał zaczepnie jeden z krzepkich mężczyzn. Czemu ci Alornowie zawsze są skorzy do swarów?

- Wiesz, że to prawda, ponieważ powiedziałem, że to prawda - odparłem równie butnie. - Wiadomość jest ważna, więc przestań marnować czas na prężenie mięśni i natychmiast zaprowadź mnie do Belara.

Wtem jeden z Alornów spostrzegł moją towarzyszkę i rzucił w nią włócznią. Nie miałem czasu na zamaskowanie swego działania. Zatrzymałem ją w locie. Alornowie wpatrywali się w osłupieniu w drżącą włócznię tkwiącą w powietrzu niczym w pniu drzewa. Potem, ponieważ byłem poirytowany, złamałem włócznię na pół.

- Magia! - zdołał wydusić jeden z nich.

- Zdumiewająca spostrzegawczość, stary - powiedziałem z sarkazmem, naśladując jak najlepiej umiałem Belmakora. - A teraz, jeśli nie chcecie spędzić reszty swych dni jako kapusty, zaprowadźcie mnie natychmiast do Belara. Wilczyca jest ze mną. Następny, który spróbuje ją skrzywdzić, do końca życia będzie nosił swe wnętrzności w kuble.

Czasami trzeba wyrazić się bardzo obrazowo, aby dotarło to do Alornów. Skinąłem na wilczycę. Podeszła do mnie, szczerząc na myśliwych kły. Miała śliczne, długie, zakrzywione i ostre niczym

sztylety kły, które natychmiast i niepodzielnie przyciągnęły uwagę Alornów.

- Dobra robota - warknąłem do niej z zachwytem. Machnęła ogonem, nadal szczerząc się groźnie na tępogłowych barbarzyńców.

- Pójdziemy porozmawiać z Belarem, panowie? - zapytałem jak najuprzejmiej.

Boga Belara odnaleźliśmy w prymitywnym obozowisku w głębi lasu. Wyglądał na bardzo młodego - niewiele starszego od chłopca, choć wiedziałem, że był niemal tak sędziwy, jak mój Mistrz. Mam pewne podejrzenia co do Belara. Otaczały go piersiaste, jasnowłose dziewczęta alornskie, które sprawiały wrażenie ogromnie nim zachwyconych. No cóż, w końcu był Bogiem, choć podziw kobiet nie wydawał się czysto religijnej natury.



W porządku, Polgaro, zostawmy to.



Alornowie, którzy towarzyszyli Belarowi, byli hałaśliwi, niezdyscyplinowani i, w większości, pijani. Żartowali sobie ze swym Mistrzem swawolnie bez krzty dobrych manier czy poszanowania dla jego godności.

- Cieszę się, że cię widzę, Belgaracie - powitał mnie Belar, choć nigdy przedtem nie spotkaliśmy się i nie wyjawilem żadnemu z tych wojowniczych myśliwych mego imienia. - Jak się wie dzie memu ukochanemu starszemu bratu?

- Nie za dobrze, panie - odparłem raczej oficjalnym tonem.

Pomimo kufła trzymanego w jednej ręce i blondynki w drugiej, nadal był Bogiem, więc starałem się zachować jak najlepsze maniery.

- Twój brat Torak odwiedził mego Mistrza, uderzył go i zabrał pewien szczególnie klejnot, którego pożądał.

- Co takiego? - ryknął młody Bóg, podrywając się na nogi i wypuszczając z rąk zarówno kufel, jak i blondynkę. - Torak ma Glob?

- Obawiam się, że tak, panie. Mój Mistrz prosił, abym błagał cię o przybycie do niego możliwie jak najszybciej.

- Uczynię tak, Belgaracie - zapewnił mnie Belar, ponownie biorąc do jednej ręki kufel i chwytając nieco nadąsaną blondynkę. - Natychmiast poczynię przygotowania. Czy Torak posłużył się już Globem?

- Myślimy, że nie, panie - odparłem. - Mój Mistrz mówi, iż powinniśmy się śpieszyć, zanim twój brat Torak, panie, nie pozna całej mocy klejnotu, który ukradł.

- Słusznie - przyznał Belar, po czym spojrzał na młodą wilczycę, siedzącą u mych stóp. - Pozdrowienia, siostrzyczko - powiedział w płynnej mowie wilków. - Jak się masz?

Belar z pewnością nie jest bez wad, ale maniery ma nienaganne.

- Jakie to niezwykle - rzekła nieco oszołomiona. - Zdaje się, że znalazłam się pośród stworzeń o wielkim znaczeniu.

- Twój towarzysz i ja musimy się pospieszyć - oświadczył Belar. - W przeciwnym razie poczyniłbym przygotowania, abyś miała zapewnione odpowiednie wygody. Czy mógłbym ci zaoferować coś do zjedzenia?

Rozumiecie teraz, co miałem na myśli, mówiąc o uprzejmości Belara?

Wilczyca spojrzała na woła obracającego się na rożnie nad ogniskiem.

- To pachnie interesująco - powiedziała.

- Oczywiście.

Belar wziął długi nóż i odkroił dla mej towarzyszki wielką porcję. Następnie podał jej, przezornie chowając szybko palce przed wspaniałymi kłami wilczycy.

- Moje podziękowania - rzekła, odrywając kęs i pochłaniając go w mgnieniu oka. - Ten - wskazała na mnie kiwnięciem łba - spieszył się tak bardzo z dotarciem tutaj, że ledwie mieliśmy czas, by raz czy dwa schwytać po drodze zającą. - Ze smakiem połknęła resztę mięsa w dwóch wielkich kęsach. - Całkiem dobre - zauważyła - choć ktoś zastanawia się, czy koniecznie trzeba było to spalić.

- Taki zwyczaj, siostrzyczko - wyjaśnił.

- No cóż, skoro to zwyczaj... - Starannie oblizwała do czysta pysk.

- Za chwilę wrócę, Belgaracie - powiedział Belar i odszedł rozmówić się ze swymi Alornami.

- Ten jest miły - oświadczyła z przekąsem ma towarzyszka.

- On jest Bogiem - odparłem.

- Nie ma to dla mnie znaczenia - rzekła obojętnie. - Bogowie to ludzkie sprawy. Wilki mało się tym interesują - dodała, poczym obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. - Ktoś byłby bardziej rad z ciebie, gdybyś patrzył, gdzie należy.

- Ktoś nie rozumie, co masz na myśli.

- Sądzę, że rozumiesz. Te samice należą do miłego. Nie jest właściwe, byś podziwiał je tak otwarcie.

Było całkiem oczywiste, iż nie bacząc na moją wstrzeźliwość, podjęła pewne decyzje. Pomyślałem, że lepiej będzie położyć temu kres.

- Nie chciałabyś wrócić do miejsca, w którym się spotkaliśmy i dołączyć ponownie do swej sfory? - zasugerowałem delikatnie.

- Pochodzę z tobą jeszcze trochę dłużej - odrzuciła mą propozycję. - Zawsze byłam ciekawa, a widzę, że znane ci są sprawy ze wszech miar godne uwagi.

Wilczyca ziewnęła, przeciągnęła się i zwinęła u mych stóp - przezornie, jak spostrzegłem, układając się pomiędzy mną i owymi alornskimi dziewczętami.

Powrót do Doliny, w której oczekiwał nas Mistrz, zajął o wiele mniej czasu niż moja podróż do krainy Boga-Niedźwiedzia. Chociaż czas jest dla Bogów sprawą obojętną, to w razie pośpiechu potrafią pokonywać odległości w niewiarygodny sposób. Ruszyliśmy krokiem leniwej przechadzki. Belar wypytywał mnie o Mistrza i nasze życie w Dolinie, a wilczyca wędrowała spokojnie pomiędzy nami. Po kilku godzinach takiego spaceru niecierpliwość uczyniła mnie na tyle odważnym, by przejść do sedna rzeczy.

- Panie - odezwałem się - wybacz, ale w tym tempie dotarcie do wieży mego Mistrza zajmie nam prawie rok.

- Niezupełnie, Belgaracie - stwierdził z zadowoleniem. - Mam wrażenie, że wieża znajduje się tuż za następnym wzgórzem.

Spojrzałem na niego zaskoczony, że Bogowie mogą być tak naiwni, ale gdy wspięliśmy się na wzgórze, ujrzałem Dolinę z wieżą mojego Mistrza pośrodku.

- Jakże to niezwykle - mruknęła wilczyca, przysiadając i wpatrując się w Dolinę swymi jasnymi żółtymi ślepiami. W tym musiałem się z nią zgodzić.

Moi bracia wcześniej powrócili i czekali na nasze przybycie u stóp wieży Mistrza. Inni Bogowie już byli z Aldurem i Belar pospieszył do wieży, by do nich dołączyć.

Bracia byli zaskoczeni widokiem mojej towarzyszk.

- Belgaracie - zaprotestował Belzedar - czy rozsądnie przyprowadzać kogoś takiego? Wilki nie są najbardziej godnymi zaufania stworzeniami.

Słyszając to, wilczyca wyszczerzyła kły. Jakim sposobem mogła zrozumieć, co powiedział?

- Jak jej na imię? - zapytał ostrożnie Beltira.

- Wilki nie potrzebują imion - odparłem. - Wiedzą, kim są, bez takich dodatków. Myślę, że imiona to wymysł ludzi.

Belzedar pokręcił głową i odszedł od wilczyca.

- Czy ona jest obłaskawiona? - zaciekawił się Belsambar.

Oswajanie wszystkiego, co się dało, było pasją Belsambara. Myślę, że zna połowę królików i jeleni w Dolinie, a ptaki zwykły przysiadają na nim niczym na drzewie.

- Wcale nie jest oswojona, Belsambarze - powiedziałem. - Spotkaliśmy się przypadkowo, gdy zdążyłem na północ, i postanowiła mi towarzyszyć.

- Jakże to niezwykle - odezwała się do mnie wilczyca. - Czy oni zawsze są tak pełni pytań?

- Skąd wiesz, że zadawali pytania?

- Ty również? Jesteś taki sam jak oni.

To był irytujący zwyczaj. Jeśli uznała pytanie za nieistotne, po prostu na nie nie odpowiadała.

- W naturze człowieka leży dociekliwość - powiedziałem usprawiedliwiającym tonem.

- Zdumiewające stworzenia - prychnęła, kręcąc łbem. Potrafiła również być mistrzynią niedomówień.

- To zadziwiające - zachwycił się Belkira. - Opanowałeś mowę zwierząt. Błagam cię, naucz mnie tej sztuki.

- Nie nazwałbym tego sztuką, Belkiro. Przyjąłem postać wilka na czas mej podróży na północ. Język wilków przyszedł wraz z tą postacią i pozostał, nawet gdy wróciłem do swojej. To nic wielkiego.

- Myślę, iż możesz być w błędzie, mój drogi - powiedział Belmakor z zamyślonym wyrazem twarzy. - Nauka języków obcych jest bardzo nużącym zajęciem. Już od kilku lat mam zamiar nauczyć się języka Ulgosów, ale nawet go nie liznąłem. Gdybym przybrał postać Ulgosa na dzień czy dwa, to mógłbym oszczędzić sobie miesięcy studiów.

- Jesteś leniwy, Belmakorze - oświadczył wyzywającym tonem Beldin. - Poza tym, nie zdałoby to egzaminu.

- A dlaczegoż to?

- Ponieważ Ulgos nadal jest człowiekiem. Wilczyca Belgaratha nie formułuje słów na nasz sposób, bowiem zupełnie inaczej myśli.

- Nie sądzę, aby Ulgosi to czynili - zaprotestował Belmakor. - Uważam, że to może się powieść.

- Jesteś w błędzie, nie uda się.

Dyskusja trwała około stu lat. Myśl, aby spróbować i stwierdzić, kto ma słuszość, nigdy nie przyszła żadnemu z nich do głowy. Choć pewnie i przyszła. Belmakor i Beldin nie byli na tyle głupi, aby o tym nie pomyśleć. Ale obu ta dyskusja sprawiała tyle radości, że nie chcieli psuć sobie przyjemności ustalając raz na zawsze wynik sporu.

Wilczyca zwinęła się i zasnęła. My tymczasem czekaliśmy na decyzję naszego Mistrza i jego braci w sprawie samowolnego Toraka. Bogowie wyszli z wieży zasmuceni i oddalili się bez słowa.

Potem Aldur przywołał nas do siebie i udaliśmy się na górę.

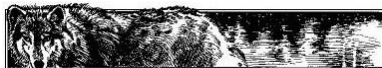
- Będzie wojna - powiedział ze smutkiem Mistrz. - Nie można pozwolić Torakowi na zdobycie pełnej władzy nad Globem. Klejnot jest stworzony do różnych celów i nie należy ich łączyć, w przeciwnym razie struktura stworzenia zostanie rozdarta. Moi bracia udali się, by zebrać swe ludy. Mara i Issa podążą od wschodu przez ziemie

Dalów, by zająć Toraka od południa Korimu. Nedra i Chaldan okrążą go od zachodu, a Belar zajdzie od północy. Siac spustoszenie będziemy pośród jego Angaraków, dopóki nie zwróci Globu. A choć rani to me serce, musi tak być. Przygotuję zadania dla każdego z was, które wypełnicie podczas mej nieobecności.

- Nieobecności, Mistrzu? - zapytał Belzedar.

- Muszę udać się aż do Prolgu, by naradzić się z Ulem. Znane mu są, choć niedokładnie, Przeznaczenia, które nami kierują. Pod przewodnictwem Ula nie przekroczymy dozwolonych granic w wojnie przeciwko naszemu bratu.

Wilczyca niepostrzeżenie podeszła do Aldura i położyła mu łeb na kolanach. A on mówiąc do nas, bezwiednie - a może tak mi się tylko zdawało - gładził wilczycę z dziwną czułością. Wiem, że to niemożliwe, ale miałem wrażenie, iż oni się znali.





Mistrz długo nie wracał z Prolgu, my jednak mieliśmy wiele zajęć. Na nudę nie narzekaliśmy, zapewne podobnie jak ludy innych Bogów. Ludzkość nie znała wojen, być może wyjąwszy Alornów i Arendów, a i im brakowało organizacji koniecznej do stworzenia armii. Ogólnie biorąc, na świecie panował pokój, a walki, które wybuchały od czasu do czasu angażowały jedynie małe grupki ludzi staczających bitwy przy użyciu niezbyt wymyślnej broni. Oczywiście nie obywało się bez ofiar, choć wolę myśleć, że w większości były one dziełem przypadku.

Tym razem jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Całe narody miały stanąć przeciwko sobie. Zupełnie nas to zaskoczyło. Rozpoczynając przygotowania do wojny, w znacznej mierze polegaliśmy na wiedzy Belsambara o Angarakach. Poczucie wyższości, jakie wpoił swemu ludowi Torak, sprawiło, że stali się tajemniczymi odludkami. Obcy nie byli mile widziani na ich ziemiach. Dla podkreślenia tego, Angarakowie tradycyjnie otaczali swoje miasta murami. Czynili tak nie dlatego, iż spodziewali się wojny - choć sam Torak pewnie ją przewidywał - ale raczej z poczucia potrzeby zaznaczenia swej odrębności i nadrzędnej pozycji w stosunku do reszty ludzkości.

Beldin przysiadł na podłodze. Zachmurzony słuchał opowieści Belsambara o murach otaczających miasto, w którym urodził się tysiąc lat temu.

- Może zaprzestali tej praktyki - burknął.

- Gdy zajrzałem do nich pięć wieków temu, nie zaprzestali - powiedział Belzedar. - Jedynie mury wokół miast Angaraków były wyższe i grubsze.

Beltira wzruszył ramionami.

- Co jeden człowiek zbuduje, drugi może zburzyć.

- Nie zburzy, jeśli posypie się na niego grad włóczni, kamieni i poleje się wrzący olej - zaprzeczył Beldin. - Chyba powinniśmy liczyć się z wycofywaniem się Angaraków za te mury, gdy na nich ruszymy. Mnożą się jak króliki, ale nadal będą w mniejszości, więc nie zechcą stawić nam czoła na otwartym polu. Schronią się w miastach, zamkną bramy i zmuszą nas, byśmy do nich przyszli. To wspaniała okazja, aby wysłać na śmierć wielu naszych ludzi. Musimy wymyślić jakiś sposób na zburzenie murów nie angażując w to połowy ludzkości.

- Możemy to zrobić bez niczyjej pomocy - zasugerował Belkira. - Pamiętam, że sam przemieściłeś dobre pół akra kamieni, gdy pomagałeś Belgarathowi budować jego wieżę.

- To były pojedyncze głazy, bracie - odparł ze skwaszoną miną Beldin - i gdybym przemieścił ich więcej, to nie ruszyłbym się następnego dnia. Belsambar mówi, że Angarakowie skleją swe mury zaprawą. Musielibyśmy rozebrać je kamień po kamieniu.

- A Angarakowie odbudują te mury równie szybko, jak my je zburzymy - dodał Belmakor. Spoglądał przez chwilę w zamyśleniu na sufit wieży Belsambara. - Po pierwsze, Beldin ma rację. Nie możemy tak po prostu ruszyć tłumnie na ich miasta. Ponieśliibyśmy niepowetowane straty - powiedział i popatrzył na nas. - Jesteśmy w tym zgodni?

Wszyscy przytaknęli.

- Doskonale - oświadczył oschle. - Po drugie, jeśli spróbujemy zburzyć ich mury za pomocą Woli i Słowa, wyczerpiemy się, a i tak nie osiągniemy zbyt wiele.

- Co nam zatem pozostaje? - zapytał go zaczepnie Belzedar.

Słyszałem, że Belzedar i Belmakor spierali się zażarcie po dotarciu na ziemię Tolnedran. Belzedar, jako drugi uczeń, uznał, iż to on dowodzi. Belmakor, podpierając się mym autorytetem, zakwestionował tę decyzję, a Beldin go poparł. Domyślam się, że Belzedar poczuł się mocno urażony i szukał teraz sposobności, aby odegrać się na Belmakorze za swoje, w jego mniemaniu, upokorzenie.

- Nie możemy uderzyć bezpośrednio na Toraka, zdajesz sobie chyba z tego sprawę - ciągnął dalej. - Jedyнным sposobem zranienia go na tyle,

by zmusić Toraka do oddania Globu, jest skrzywdzenie jego ludu, a nie będziemy tego w stanie uczynić, jeśli ukrywają się za tymi murami.

- A zatem chcesz powiedzieć, że sytuacja wymaga mechanicznych rozwiązań, mój drogi? - spytał Belmakor swym przesadnie ugrzecznionym tonem.

- Mechanicznych? - Belzedar wyglądał na zbitego z tropu.

- Czegoś, co nie krwawi, stary. Czegoś, co potrafi poza zasięgiem włóczni Angaraków zburzyć te mury.

- Nie istnieje coś takiego - burknął Belzedar.

- Jeszcze nie, mój drogi, jeszcze nie, ale sądzę, że Beldin i ja potrafimy wymyślić coś odpowiedniego.

Chciałbym tu z naciskiem podkreślić pewną sprawę. Różni ludzie usiłowali przypisać sobie wynalezienie machin oblężniczych. Ich twórcami okrzyknęli się Alornowie; a także Arendowie; z całą pewnością autorami wynalazku mianowali się Malloreanie; ale przynajmy zasługę temu, komu się ona należy. To moi bracia, Belmakor i Beldin, zbudowali pierwszą maszynę oblężniczą.

Nie chcę powiedzieć, że wszystkie maszyny działały bez zarzutu. Pierwsza katapulta rozleciała się na kawałki przy próbie jej użycia, a ruchomy taran był prawdziwą katastrofą, gdyż nie potrafili nim kierować. Lubił zbaczać z wyznaczonego kursu i walić w Bogu ducha winne drzewa. Ale odbiegam od tematu.

W tym właśnie momencie dyskusji Belsambar zaskoczył nas potwornością swego pomysłu.

- Belmakorze - zapytał skromnie - sądzisz, że naprawdę potrafisz wymyślić coś, co wyrzucaloby rzeczy na dużą odległość?

- Oczywiście, stary - odparł z przekonaniem Belmakor.

- A zatem, czemu mielibyśmy atakować mury? Nie prowadzimy z nimi sporu. Mamy konflikt z Torakiem. Ja jestem Angarakiem i znam umysł Toraka lepiej niż ktokolwiek z was. Zachęca swych Grolimów, by składali ofiary z ludzi, ponieważ są one dowodem na to, że kochają go bardziej niż swój lud. O wielkości miłości do Toraka świadczy liczba cierpiących na ołtarzach ofiar. To określony, zindywidualizowany ból

ofiary daje mu zadowolenie. Najlepiej go zranimy, jeśli uczynimy ten ból powszechnym.

- A co masz na myśli, bracie? - zapytał zaintrygowany Belmakor.

- Ogień - powiedział z okrutną prostotą Belsambar. - Smoła pali się, podobnie jak nafta. Po co marnować czas i życie żołnierzy na atakowanie murów? Użyjmy naszych wspaniałych machin do przerzucania płynnego ognia przez mury do miast. Uwięzieni w nich Angarakowie spalą się żywcem i w ogóle nie trzeba będzie wchodzić do ich miast.

- Belsambar! - krzyknął Beltira. - To okropne!

- Tak - przyznał Belsambar - ale, jak powiedziałem, znam umysł Toraka. On boi się ognia. Bogowie potrafią zobaczyć przyszłość, a Torak w swojej widzi ogień. W żaden inny sposób nie wyrządzimy mu więcej bólu. A czyż nie to właśnie jest naszym celem?

W świetle tego, co później się stało, Belsambar miał absolutną słuszność, choć nie sposób wyjaśnić, skąd to wiedział. Torak bał się ognia - i miał ku temu powód.

Propozycja Belsambara była ze wszech miar praktyczna, ale wszyscy woleli uniknąć wprowadzenia jej w życie. Belmakora i Beldina ogarnął istny szal wynalazczości, podobnie jak bliźniaków. Eksperymentowali z pogodą. Wywoływali huragany i tornada na czystym, błękitnym niebie. Mieli nadzieję, że w ten sposób zburzą miasta i wioski Angaraków. Ja skoncentrowałem wysiłki na tworzeniu różnorodnych iluzji. Wypełniałem ulice miast Angaraków niewyobrażalnymi okropnościami. Potrafiłem wypędzić ich zza murów, nim za sprawą własnego rodaka spłonęliby żywcem.

Belzedar pracował równie ciężko jak my wszyscy. Wydawało się, że ogarnęła go obsesja na punkcie Globu, z taką desperacją szukał sposobów na odzyskanie klejnotu. Belsambar zaś cierpliwie czekał. Wiedział chyba, że gdy rozpoczną się walki, wrócimy do jego okropnego planu.

Często wyprawialiśmy się do ziem naszych sprzymierzeńców, by sprawdzić, jakie czynili postępy. Do tej pory poszczególne narody łączyły raczej luźne więzy, a żadnym z protonarodów nie włądał

pojedynczy człowiek. Wojna z Torakiem wszystko zmieniła. System organizacji wojska z konieczności ma strukturę piramidy, a model sprawowania władzy nad narodem przez jednego człowieka przeniesiony został potem na czasy powojenne. W pewnym sensie to Torakowi możemy dziękować - lub obarczyć go winą - za stworzenie koncepcji panowania królów.

Ja ponoszę chyba odpowiedzialność za powstanie dynastii królewskiej Alornów. Wraz ze swymi braćmi nadal pełniliśmy funkcje łączników pomiędzy różnymi narodami. W pewnym sensie automatycznie przyjęliśmy odpowiedzialność za ludy tych Bogów, których osobiście zapraszaliśmy na naradę w Dolinie po kradzieży Toraka. Myślę, że na całym moim życiu zaciążył fakt, iż nieszczęśliwie zostałem przypisany do Alornów.

Nasze przygotowania do wojny zajęły kilka lat. W opowieściach o tym okresie jest często dużo przesady. Oczywiście dochodziło do potyczek na granicy z Angarakami, ale nie wywiązała się żadna znacząca bitwa. W końcu Bogowie uznali, że ich ludy są już gotowe - jeśli kogokolwiek w tamtych czasach można było nazwać gotowym do krwawego starcia. Wojna przeciwko Angarakom nie przypominała żadnej potyczki w historii ludzkości, gdyż wymarsz wojsk wiązał się z migracją całych narodów. Bogowie w owych czasach byli tak bardzo przywiązani do swych ludów, że myśl o pozostawieniu kobiet, dzieci i starców po prostu nie przyszła im do głowy.

Mara i Issa zabrali swych Maragów i Nyissan i ruszyli na południowy wschód, na ziemie Dalów. Tolnedranie i Arendowie zaczęli przemieszczać się na zachód. Tylko Alornowie pozostali na miejscu. Wówczas to jedyny raz widziałem Mistrza czymś naprawdę poirytowanego. Poleciał mi udać się na północ i sprawdzić, co ich zatrzymywało.

Wyruszyłem więc i, jak zwykle, nie sam. Młoda wilczyca zawłaszczyła sobie mnie w pewnym sensie, choć nie pamiętam, byśmy na ten temat rozmawiali. Skoro zaś mi towarzyszyła, na czas podróży przemieniłem się w wilka. Moja prawdziwa postać nie budziła w niej szczególnego entuzjazmu; wydawała się o wiele szczęśliwsza, gdy miałem cztery łapy i ogon.

Wiedzieliśmy, co zatrzymywało Alornów, nim jeszcze dotarliśmy do ziem Boga-Niedźwiedzia. Dacie wiarę, że oni już walczyli między sobą?

W owych czasach społeczność Alornów miała strukturę klanową i nie mogli uzgodnić, który przywódca klanu będzie dowodził całą armią. Inni Bogowie borykali się z podobnymi problemami, ale po prostu sami wybierali przywódcę. Belar jednakże nie miał takiego zamiaru.

- Pewny jestem, iż rozumiesz moje stanowisko, Belgaracie - powiedział, gdy w końcu go odnalazłem. Oświadczył to tonem usprawiedliwienia.

Wzięłem głęboki oddech. Siłą powstrzymałem się przed wybuchem.

- Nie, panie - odparłem najuprzejmiej jak potrafiłem. - Prawdę powiedziawszy, panie, nie rozumiem.

- Jeśli wybiorę jednego z wodzów klanów, inni mogą poczytać to za faworyzowanie go, rozumiesz? Sami muszą dokonać pomiędzy sobą wyboru.

- Inne narody już wyruszyły, panie - przypomniałem z całą cierpliwością, na jaką mogłem się zdobyć.

- Dołączymy do nich w końcu, Belgaracie - zapewnił mnie.

Znałem już wówczas Alornów na tyle, aby wiedzieć, że to „w końcu” rozciągnie się pewnie na kilka stuleci.

Ma towarzyszka przysiadła i wywiesiła jęzor, śmiejąc się na wilczy sposób. Jej chichot nie poprawił mi zbytnio humoru, muszę przyznać.

- Czy byłbyś skłonny wysłuchać pewnej sugestii, panie? - zapytałem grzecznie Boga-Niedźwiedzia.

- Ależ oczywiście, Belgaracie - odparł. - Jeśli mam być z tobą szczery, łamałem sobie głowę nad znalezieniem rozwiązania tego problemu. Nie chciałbym zawieść swych braci i naprawdę nie mam zamiaru przegapić całej wojny.

- Bez ciebie nie byłaby tym samym, panie - zapewniłem go. - Wróćmy teraz do problemu. Czy nie mógłbyś wezwać do siebie wszystkich wodzów i rozkazać im ciągnąć losy o przywództwo nad Alornami?

- Proponujesz zostawić wszystko dziełu czystego przypadku?

- To jest pewne rozwiązanie, panie, a jeśli obaj przyrzekniemy nie mieszać się, to twoi wodzowie nie powinni mieć powodu do niezadowolenia, prawda? Wszyscy będą mieli równe szansę, a jeżeli rozkażesz im być posłusznym wobec tego, kogo wskaże los, położy to kres tej całej... - powstrzymałem się przed wypowiedzeniem słowa „głupocie”.

- Mój lud lubi gry - przyznał. - Czy wiesz, że wynaleźliśmy grę w kości?

- Nie - odparłem uprzejmie. - Nie wiedziałem o tym. - Każdy z narodów przypisywał sobie wynalezienie gry w kości, ale to już zostawiłem dla siebie. - Może przywołamy twych wodzów, panie? Wyjaśniłbyś im zasady konkursu i moglibyśmy do niego przystąpić. Nie chcielibyśmy chyba, aby Torak czekał, prawda? Dotkliwie odczuje twą nieobecność, panie, gdy walki rozpoczną się bez ciebie.

Belar uśmiechnął się. Jak już wspominałem, miał on swoje wady, ale dawał się lubić.

- A tak przy okazji, panie - dodałem, jakby właśnie przyszło mi to na myśl - czy miałbyś coś przeciwko temu, abym pomaszzerował na południe z twym ludem?

Ktoś musiał mieć na Alornów baczenie.

- Oczywiście, że nie, Belgaracie - odparł. - Cieszę się, że będziesz z nami.

Tak więc wodzowie klanów ciągnęli losy i bez względu na to, co może myśleć Polgara, nie wpłynąłem na wynik losowania. Z mojego punktu widzenia jeden wódz niewiele się różnił od drugiego, a mnie naprawdę nie obchodziło, kto wygra - ważne, aby ktoś w ogóle zwyciężył. Los chciał, że wodzem, który wygrał, był Chaggat, daleki pradziadek Chereka o Niedźwiedzich Barach, największego króla, jakiego kiedykolwiek mieli Alornowie. Czyż nie dziwne, jak potoczyły się te sprawy? A skoro ani ja, ani Belar nie mieszałyśmy się do tego, musiał uczynić to ktoś inny. Przyczynił się do sprawy ów gadatliwy przyjaciel, którego Garion nosi w swej głowie. To on wybrał przodka Chereka na pierwszego króla Alornów. Ale uprzedzam wypadki.

Gdy problem przywództwa został rozwiązany, Alornowie wyruszyli w drogę w zadziwiająco krótkim czasie - choć nie jest to takie zdumiewające, jeśli się zastanowić. Po pierwsze Alornowie w tamtym okresie byli w zasadzie nomadami, zawsze gotowymi ruszyć w drogę - myślę, że głównie z powodu ich głębokiej niechęci do porządku. W obozowiskach starożytnych Alornów panował okropny bałagan i przenosiny uznawali za bardziej pociągające rozwiązanie od sprzątnięcia.

W każdym razie maszerowaliśmy na południe, przechodząc przez wyludnione ziemie Arendów i Tolnedran. W połowie lata dotarliśmy do krainy zamieszkiwanej poprzednio przez Nyissan. Od tego miejsca wzmogliśmy czujność. Zbliżaliśmy się coraz bardziej do północnej granicy ziem Angaraków i w niedługim czasie zaczęliśmy natykać się na grupki dzieci Toraka.

Alornowie mieli swoje wady - wiele wad - ale potrafili dobrze walczyć. Na granicy z Angarakami po raz pierwszy widziałem Alorna w bitewnym szale. Był potężnym mężczyzną o rudawej brodzie. Ciekaw jestem, czy nie był dalekim przodkiem Baraka, Jarla z Trelheim. Istniała taka możliwość, gdyż z wyglądu go przypominał. W czasie potyczki wyprzedził swych towarzyszy i w pojedynkę natarł na grupę około dwunastu Angaraków. Uznałem, że szansę ma marne i zacząłem rozglądać się za dogodnym miejscem na grób. Jednakże okazało się, iż to Angarakom potrzebny był pochówek, gdy wojowniczy Alorn się z nimi rozprawił. Z obłąkańczym śmiechem i pianą na ustach, unicestwił całą grupę. Dogonił nawet i zarznął trzech, którzy próbowali ratować się ucieczką. Oczywiście pozostałe dzieci Boga-Niedźwiedzia stały i zachęcały go.

Alornowie!

Piana na ustach zaniepokoiła mą towarzyszkę. Trochę czasu poświęciłem na przekonanie jej, że rudobrody wojownik nie był wściekły. Wilki, co całkiem naturalne, starają się unikać wściekłych stworzeń.

Nasze spotkania z dziećmi Boga-Smoka stawały się coraz częstsze, jako że zbliżaliśmy się do wyżyny Korimu, gdzie znajdowało się centrum angaraskiej władzy i główne skupisko ludności. W drodze

na południe zrównaliśmy z ziemią liczne otoczone murami miasta Angaraków. Z napływających raportów zaś wynikało, że inne narody biorące udział w najeździe na lud Toraka podobnie jak my niszczyły wioski i miasta.

Wynalezione przez Belmakora i Beldina maszyny znakomicie działały. Zwykliśmy przez kilka dni miotać głazy na mury napotkanych miast, podczas gdy moi bracia i ja zsyłaliśmy na to miejsce tornada, a ulice wypełnialiśmy iluzorycznymi potworami. Potem, gdy mury obróciliśmy już w gruzy, a mieszkańcy trzęśli się z przerażenia, przypuszczaliśmy bezpośredni atak i zabijaliśmy ich. Próbowałem przekonać Chaggata, że mordowanie wszystkich Angaraków nie było zbyt cywilizowanym posunięciem. Starłem się skłonić go do brania jeńców. Chaggat jednak spojrzał na mnie swym czystym, nic nie rozumiejącym wzrokiem, z którym wszyscy Alornowie zdają się przychodzić na świat i zapytał:

- Po co? Co bym z nimi robił?

Niestety wojownicy z entuzjazmem podeszli do pomysłu Belsambara, by żywcem palić mieszkańców miast. Na ich korzyść przemawia jedynie fakt, że to oni nadstawiali w walce karku, a przeciwnik, któremu dach płonie nad głową, nie myśli o obronie. Często zdarzało się, że Alornowie Chaggata burzyli mury i wpadali do miasta, którego wszyscy mieszkańcy już dawno spalili się żywcem. Za każdym razem Alornowie wydawali się tym bardzo rozczarowani.

Torak w końcu kontratakował. Angarakowie wylali się tłumnie z gór Korimu niczym szarańcza i starliśmy się z nimi na wszystkich czterech frontach. Nie lubię wojny; nigdy nie lubiłem. To najgłupszy z możliwych sposobów rozwiązywania problemów. W tym jednakże wypadku nie mieliśmy wyboru.

Rezultat tego spotkania był przesądzony. Liczebnie przewyższaliśmy Angaraków w stosunku pięć do jednego albo i lepiej i starliśmy ich w proch. Gdzie indziej poszukajcie jednak szczegółów na temat tej rzezi. Nie mam ochoty opowiadać o tym, co widziałem w ciągu owych okropnych dwóch tygodni. Ostatecznie zepchnęliśmy Angaraków w góry Korimu i rozpoczęliśmy swój nieubłagany marsz na twierdzę Toraka, miasto-świątynię wzniesione na najwyższym szczycie. Nasz

Mistrz co jakiś czas nakłaniał swego brata do zwrotu Globu. Tłumaczył mu, że Angarakowie są o krok od całkowitego wyniszczenia, a bez swoich dzieci Torak będzie niczym. Jednakże Bóg-Smok nie chciał słuchać.

Urwiste wschodnie zbocza gór Korimu zmusiły Maragów i Nyissan do podejścia od południa. Gdyby nie to, katastrofa, do której potem doszło, byłaby jeszcze straszniejsza w skutkach.

Perspektywa utraty wszystkich swoich dzieci doprowadziła w końcu Toraka do szaleństwa. Postawiony wobec wyboru pomiędzy zwrotem Globu a zagładą swych wyznawców, Torak, mówiąc bez ogródek, zwariował. Szaleństwo człowieka jest straszne, ale obłąd Boga? To dopiero okropieństwo!

Brat Mistrza, doprowadzony do ostateczności, zrobił desperacki krok, który tylko szaleństwo mogło mu podpowiedzieć. Wiedział, co się stanie. Musiał być tego świadom. Pomimo to, postawiony wobec faktu wyniszczania jego Angaraków, wzniósł Glob, chociaż miał nad nim słabą kontrolę.

I tym sposobem rozłupał świat.

Huk, który się rozległ, nie przypominał żadnego ze znanych mi dźwięków. To był odgłos rozdzieranej skały. Po dziś dzień zrywam się ze snu spocony i drżący, gdy dociera do mnie echo tego przerażającego dźwięku sprzed pięciu tysięcy lat.

Melceni, którzy są biegli w geologii, opisali, co wydarzyło się, gdy Torak rozłupał świat. Moje badania potwierdzają ich teorię. Jądro świata nadal jest płynne, a ów protokontynent, który uważaliśmy za stały ląd, w istocie unosił się na podziemnym oceanie lawy niczym tratwa.

Torak posłużył się Globem do zerwania więzów, które zespały tratwę. W rozpaczliwej próbie uratowania Angaraków, rozłupał skorupę tego ogromnego kontynentu, aby uniemożliwić ludziom całkowite wyniszczenie jego dzieci. Szczelina, którą utworzył, była na milę szeroka. Z tej straszliwej rozpadliny zaczęła wypływać lawa. Już to samo było wystarczającą katastrofą - ale potem morze wdarło się do nowo powstałego pęknięcia. Uwierzcie, lepiej nie lać wody na wrzącą lawę.

Wszystko eksplodowało!

Nawet nie próbuję zgadywać, ilu ludzi wówczas zginęło - przynajmniej połowa ludzkości. Gdyby teren wschodniego Korimu był bardziej płaski, to najprawdopodobniej Maragowie i Nyissanie potopiliby się lub musieliby zamieszkać w Mallorei. W każdym razie w jednej chwili przestał istnieć świat, który znaliśmy.

Torak zapłacił jednak słoną cenę za to, co uczynił. Glob nie był rad ze sposobu, w jaki został użyty. Belsambar miał rację: brat Mistrza widział w swej przyszłości ogień i Glob obdarzył go ogniem. Torak czyniąc to, uniósł Glob w lewej dłoni. Po rozłupaniu świata nie miał już lewej ręki. Glob spopielił ją. Potem, jakby dla podkreślenia swego niezadowolenia, wygotował lewe oko Toraka i stopił lewą stronę jego twarzy. Dziesięć mil dzieliło mnie od miejsca, w którym się to wydarzyło, a słyszałem krzyk mściwego Boga tak wyraźnie, jakby stał tuż obok.

Najstraszniejszy w tym wszystkim był fakt, że rany Bogów, w odróżnieniu od ludzi, nie goją się. Ludzie z góry przygotowani są na odniesienie ran, Bogowie nie. Przypisano nam więc zdolność ich gojenia się. Bogom ta umiejętność wydawała się zbędna.

Po rozłupaniu świata Torak zdecydowanie potrzebował uleczenia. Całkiem możliwe, że czuł ów palący dotyk ognia od momentu posłużenia się Globem po tę straszliwą noc pięć tysięcy lat później, gdy powalony wołał swą matkę.

Ziemia zadrżała, kiedy moc Globu i wola Toraka rozłupały równinę. Z rykiem podobnym tysiącu grzmotów, pomiędzy nas a dzieci Boga-Smoka wtargnęło spienione, wrzące i syczące morze. Rozdarta ziemia zapadała się pod stopami, morska kipiela goniła nas, zatapiając równinę, leżące na niej wioski i miasta. To wówczas przestała istnieć Gara, wioska mych narodzin, i ta przejrzysta rzeczka, którą tak lubiłem, została pochłonięta przez wzburzoną wodę.

Ogromny krzyk podniósł się pośród ludzi, albowiem ziemie większości z nich zostały zalane przez morze, które wpuścił Torak.

- Nadzwyczajne - zauważyła wilczyca.

- Za często to powtarzasz - powiedziałem ostro, przybity własnym żalem. Jej podejście do katastrofy, której właśnie byliśmy świadkami, wydawało się trochę obojętne.

- Nie uważasz tego za nadzwyczajne? - zapytała całkiem spokojnie. Jak można dyskutować z wilkiem?

- Uważam - odparłem - ale ktoś nie powinien powtarzać tego zbyt często, aby nie zostać uznanym za głupkowatego.

To była złośliwość z mej strony, ale spokojna obojętność wilczycy wobec śmierci ponad połowy ludzkości zdenerwowała mnie. Po latach doszedłem do wniosku, że moja bezsilna złość na nieznośne zachowanie towarzyszkii była kluczem do pomyślności naszego związku.

Wilczyca prychnęła. To jej irytujący zwyczaj.

- Będę mówić, co zechcę - powiedziała z denerwującą wyższością wszystkich kobiet. - Nie musisz słuchać, jeśli ci się nie podoba, a jeżeli pragniesz uważać mnie za głupka, to twoje zmartwienie, i twój błąd.

Byliśmy całkowicie zbici z tropu. Szerokie morze odgradzało nas od Angaraków. Torak stał na jego jednym brzegu, my na drugim.

- Co zrobimy, Mistrzu? - zapytałem Aldura.

- Nic nie możemy zrobić - odparł. - Wojna skończona.

- Nigdy! - krzyknął Belar. - Mój lud to Alornowie. Nauczę ich żeglować. Skoro nie możemy dopaść zdrajcy Toraka lądem, Alornowie zbudują wielką flotę i najedziemy go od morza. Wojna nie jest skończona, bracie. Torak cię uderzył i skradł twoją własność, a teraz zatopił tę piękną krainę zimnymi wodami morza. Nie ma już naszych domów, pól i lasów. Powiem ci więc, ukochany bracie, a słowa moje są prawdą. Pomiędzy Alornami i Angarakami będzie wieczna wojna, dopóki zdrajca Torak nie zostanie ukarany za swą niegodziwość nawet gdyby miało to trwać do końca dni! - Belar potrafił być bardzo elokwentny, gdy mu na tym zależało. Kochał swój kufel piwa i wielbiące go alornskie dziewczki, ale porzucił to wszystko, by nie stracić okazji do tej przemowy.

- Torak został ukarany, Belarze - powiedział swemu rozochoczonemu bratu Mistrz. - Płonie nawet teraz - i będzie płonął wiecznie. Podniósł Glob przeciwko Ziemi i klejnot ukarał go za to. Co więcej, Glob

przebudził się. Przybył do nas w pokoju i miłości. Teraz został podniesiony w nienawiści i wojnie. Torak zdradził go i obrócił delikatną duszę klejnotu w kamień. Teraz jego serce będzie zimne i twarde niczym żelazo i nigdy już nie użyje się go w ten sposób. Torak ma Glob, ale małą znajdzie w tym przyjemność. Nigdy więcej nie będzie mógł go dotykać ani patrzeć na klejnot, w przeciwnym razie Glob zabije Toraka.

Mój Mistrz dorównywał elokwencją Belarowi.

- Pomimo to - odparł Bóg-Niedźwiedź - będę z nim wiódł wojnę, dopóki Glob nie zostanie ci zwrócony. Zobowiązuję do tego całą Alornię.

- Stanie się wedle słów twoich, bracie - powiedział Aldur. - Teraz jednakże musimy wznieść zaporę nacierającemu morzu, inaczej pochłonie cały suchy ląd, jaki nam pozostał. Połącz zatem swą wolę z moją i ustalmy granice nowemu morzu.

Do tego dnia nie zdawałem sobie w pełni sprawy, do jakiego stopnia Bogowie różnili się od nas. Aldur i Belar podali sobie ręce, spojrzeli na rozległą równinę i nadciągające morze.

- Zatrzymaj się - rzekł Belar do morza, podnosząc dłoń. Nie mówił głośno, ale morze usłyszało go i zatrzymało się. Wezbrało, gniewne i rozkołysane, za barierą jednego słowa, a na nas uderzył wichur.

- Wznies się - powiedział Aldur równie cicho do ziemi.

Wstrząsnęła mną potęga tego rozkazu. Ziemia, świeżo zraniona przez Toraka, jęknęła, dźwignęła się i napęczniała. A potem, na moich oczach, wzniosła się. Podnosiła się coraz wyżej, a skały na dole pękały i kruszyły się. Z równiny wyrosły góry, których tam przedtem nie było, i strząsnęły z siebie ziemię, tak jak pies otrząsa się z wody, by stać się wieczną barierą dla wpuszczonego przez Toraka morza.

Czy staliście kiedykolwiek pół mili od miejsca, w którym działo się coś takiego? Za wszelką cenę starajcie się tego uniknąć. Wszyscy zostaliśmy powaleni przez najgwałtowniejsze trzęsienie ziemi, jakie przeżyłem. Leżałem skulony, a od wstrząsów szczękały mi zęby. Świeżo rozłupana ziemia jęczała, a nawet zdawała się wyć. I nie tylko ona. Moja towarzyszka zwinięta u mego boku uniosła pysk ku niebu

i także wyła. Objąłem ją i przytuliłem - co pewnie nie było zbyt dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę, jak była wystraszona. O dziwo nie próbowała mnie ugryźć czy choćby warknąć. Zamiast tego, jakby na pocieszenie, polizała moją twarz. Czyż to nie dziwne?

Po jakimś czasie wstrząsy ustały. Odzyskaliśmy opanowanie i spojrzeliśmy najpierw na to nowe pasmo gór, a potem na wschód, gdzie morze Toraka posępnie się wycofywało.

- Nadzwyczajne - powiedziała spokojnie wilczyca, jakby nic się nie stało.

- Istotnie - nie mogłem nie przyznać jej racji.

Potem inni Bogowie i ich ludy przybyły do miejsca, w którym się znajdowaliśmy, i podziwiali, co uczynili Aldur i Belar dla powstrzymania morza.

- Nastął czas rozstania - oznajmił ze smutkiem Mistrz. - Nie ma już pięknej krainy, która niegdyś zapewniała wyżywienie naszym dzieciom. To wybrzeże jest posępne i jałowe i nie dostarczy już pożywienia waszym ludom. Oto więc ma rada, bracia. Niechaj każdy z was zabierze swój lud i wyprawi się na zachód. Za górami, w których jest Prolgu, powinniście znaleźć inną urodzajną równinę - być może nie tak rozległą, nie tak piękną jak ta, którą Torak zatopił, ale pozwoli ona przetrwać rasie ludzi.

- A co z tobą, bracie? - zapytał Mara.

- Zabiorę swych uczniów i wrócę do Doliny - odparł Aldur. - Tego dnia zło zostało wypuszczone na świat, a jego potęga jest wielka. Głęboko mi się objawił, a za sprawą mocy klejnotu zło zostało uwolnione. Na mnie zatem spada zadanie poczynienia przygotowań do dnia, gdy dobro i zło spotkają się w ostatecznej bitwie, która rozstrzygnie o losach świata.

- A zatem niech tak będzie - powiedział Mara. - Witaj i żegnaj, bracie.

- Następnie odwrócił się i wraz z Issa, Chaldanem i Nedrą oraz wszystkimi ich ludźmi odeszli na zachód.

Ale Belar ociągał się.

- Nadal wiąże mnie moja przysięga i zobowiązanie - oznajmił. - Nie odejdę na zachód z innymi, ale zabiorę swych Alornów na nie

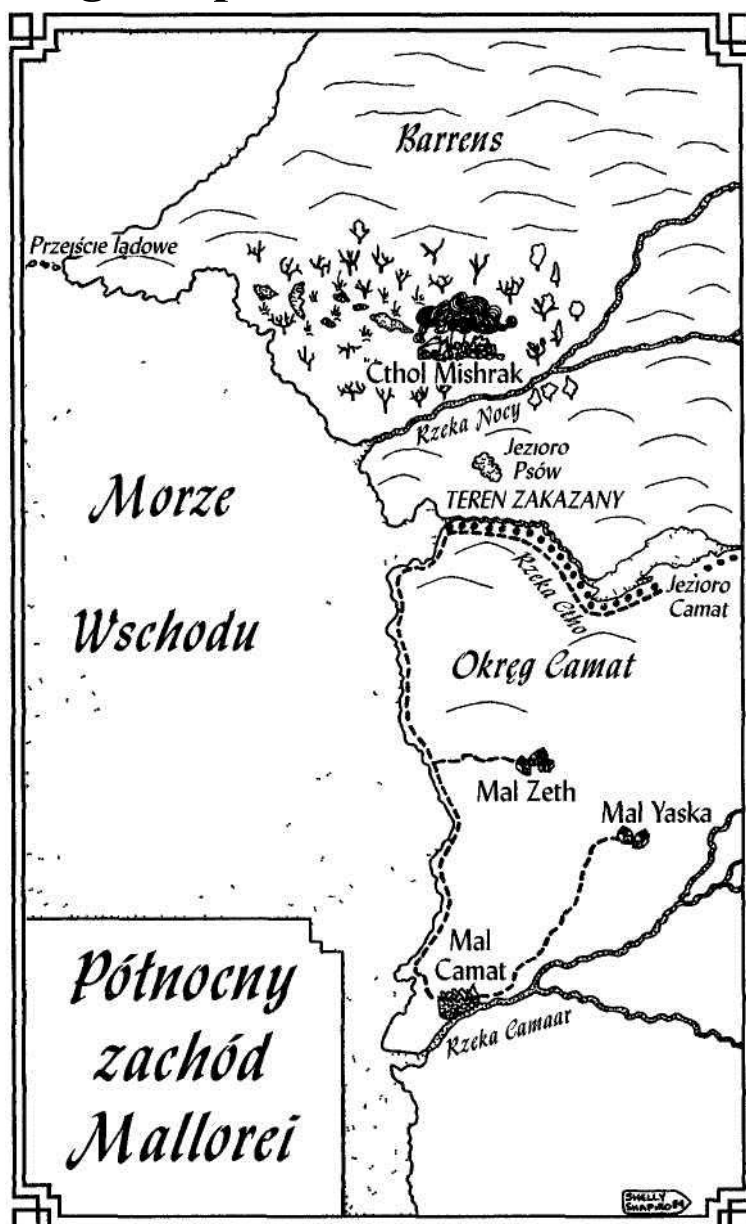
zamieszkane ziemie na północnym zachodzie. Tam będziemy szukać sposobu na dotarcie do Toraka i jego dzieci. Twój Glob powinien zostać ci zwrócony, bracie. Nie spocznię, dopóki to się nie stanie.

Potem Belar, wraz ze swymi rosnącymi wojownikami, wyruszył na północ.

Mistrz spoglądał za nimi w wielkim smutku, potem skierował się na zachód, a ja i moi bracia podążyliśmy za nim. Pogrążeni w żalu wyruszyliśmy z powrotem do Doliny.



Część druga - Apostata.





Byliśmy do głębi wstrząśnięci wynikami wojny z Angarakami. Z pewnością nie spodziewaliśmy się tak desperackiej reakcji ze strony Toraka. Myślę, że wszystkich nas dręczyło poczucie odpowiedzialności za śmierć połowy ludzkości. Zasmuceni wróciliśmy do Doliny. Nie narzekaliśmy na brak zajęć, ale wieczorami zbieraliśmy się w wieży naszego Mistrza, by w jego obecności szukać pocieszenia i uspokojenia.

Każdy z nas miał swój fotel. Siadaliśmy zwykle wokół długiego stołu i omawialiśmy wydarzenia dnia. Potem zajmowaliśmy się sprawami bardziej ogólnej natury. Nie wiem, czy w ten sposób udało nam się rozwiązać choć jeden z dręczących świat problemów, ale tak naprawdę nie po to wiedliśmy owe dyskusje. Po prostu odczuwaliśmy potrzebę bycia razem i spokoju, który zawsze, pomimo burzliwych czasów, panował w tym znajomym pokoju na szczycie wieży. Nawet światło zdawało się tam mieć inny blask. Być może wiązało się to z faktem, iż nasz Mistrz nie zawracał sobie głowy drewnem na podpałkę. Ogień na jego palenisku płonął, ponieważ Mistrz tak chciał, i płonął bez względu na to, czy podsyczał go, czy nie. Nasze fotele były duże i wygodne, z ciemnego, polerowanego drewna. Sama zaś komnata przytulna i nie zagracona. Aldur przechowywał swe rzeczy w jakimś niewyobrażalnym miejscu. Pojawiały się na jego życzenie, zamiast walać się wokół, gromadząc kurz.

Zbieraliśmy się wieczorami przez sześć miesięcy. Te spotkania pomogły nam ochłonąć i broniły dostępu sennym koszmarom.

Wcześniej czy później jeden z nas musiał zadać owo pytanie. Okazało się, iż uczynił to Beltira.

- Od czego się to wszystko zaczęło, Mistrzu? - zapytał z zadumą. - Sprawa chyba sięga czasów o wiele odleglejszych niż ostatnie wydarzenia, prawda?

Zauważcie, że Durnik nie był pierwszym ciekawym początków.

Aldur spojrział na niego posepnie.

- W rzeczy samej, Beltiro - o wiele odleglejszych, niżli prawdopodobnie mógłbyś wyobrazić sobie. Kiedyś, gdy wszechświat był jeszcze młody, na długo przedtem, zanim pojawili się moi bracia i ja, zaszło zdarzenie, które nie było zamierzone, i owo zdarzenie rozdzieliło cel istnienia wszelkich rzeczy.

- A zatem to był wypadek, Mistrzu? - domyślił się Beldin.

- Bardzo trafne określenie, synu - pochwalił go Aldur. - Podobnie jak wszelkie rzeczy, gwiazdy rodziły się, istniały przez pewien czas, potem umierały. „Wypadek”, o którym mówimy, wydarzył się, gdy gwiazda umarła w miejscu i czasie nie będącym częścią pierwotnego zamysłu stworzenia. Śmierć gwiazdy to tytaniczne zdarzenie, a skutki tej śmierci były jeszcze większe z powodu nieszczęśliwej bliskości innych gwiazd. Wszyscy studiowaliście niebo, a zatem wiecie, iż wszechświat jest zbiorem gromad gwiazd. Gromada, o której mówimy, składa się z tak wielu gwiazd, że zliczyć ich nie sposób. Krnąbrne słońce, które umarło pośród nich, zapaliło inne, a od tych z kolei zapłonęły następne. Pożoga szerzyła się, aż w końcu cała gromada eksplodowała.

- Czy wydarzyło się to w pobliżu miejsca, w którym się teraz znajdujemy, Mistrzu? - zapytał Belsambar.

- Nie, synu. ZDARZENIE miało miejsce na odległym krańcu wszechświata - prawdę powiedziawszy tak daleko, iż światło tej katastrofy jeszcze do Ziemi nie dotarło.

- Jakże to możliwe, Mistrzu? - Belsambar sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Widzenie nie jest natychmiastowe, bracie - wyjaśnił mu Beldin. - Istnieje pewne opóźnienie pomiędzy czasem, w którym coś się wydarzy, a czasem, w którym to zobaczymy. Wielu rzeczy, które widzimy na nocnym niebie, tak naprawdę już tam nie ma. Pewnego dnia, gdy obaj znajdziemy wolną chwilę, wytłumaczę ci to.

- Jakże tak odległe zdarzenie może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla spraw dziejących się tutaj, Mistrzu? - zapytał zbity z tropu Belzedar.

Aldur westchnął.

- Wszechświat zaistniał w pewnym Celu, Belzedarze - odparł z dziwną zadumą w głosie. - Wypadek rozdzielił Cel i to, co było jednym, stało się dwoma. Z tego podziału zrodziła się świadomość. Dwa Cele rywalizowały ze sobą od chwili owego Zdarzenia. Z czasem oba przystały na to, iż ten świat - który nawet jeszcze nie istniał - będzie polem ich ostatecznej walki. Oto przyczyna, dla której pojawili się moi bracia i ja, i dlatego stworzyliśmy ten świat. To tutaj podział Celów wszechświata zostanie uleczony. Seria Zdarzeń, wielkich i całkiem małych, wiedzie ku końcowemu Zdarzeniu, a to Zdarzenie będzie Wyborem.

- Kto dokona owego wyboru? - zaciekawiał się Beldin.

- Nie pozwolono nam wiedzieć tego - odparł Aldur.

- Wspaniale! - krzyknął pełnym sarkazmu głosem Beldin. - A zatem wszystko gra! Kiedy to ma się wydarzyć?

- Wkrótce, synu. Bardzo niedługo.

- Czy mógłbyś to określić nieco dokładniej, Mistrzu? Wiem, od jak dawna jesteś na świecie, i dla ciebie słowo „wkrótce” może mieć całkiem inne znaczenie niż dla nas.

- Wybór musi zostać dokonany, gdy światło z wybuchu owego obłoku gwiazdnego dotrze do Ziemi.

- A to może zdarzyć się w każdej chwili, tak? O ile nam wiadomo, może rozbłysnąć na niebie choćby tej nocy.

- Powściągnij swą niecierpliwość, Beldinie - rzekł Aldur. - Będą znaki, które uprzedzą nas, iż chwila Wyboru zbliża się. Pęknięcie świata było jednym z takich znaków. Pojawiają się również inne.

- Jakie? - naciskał Beldin. Gdy już raz się czegoś uczepił, nie pozwalał się łatwo zbyć.

- Nim światło rozbłyśnie, nastanie chwila całkowitej ciemności.

- Będę jej wyglądał - powiedział z przekąsem Beldin.

- Jak rozumiem, są dwa możliwe Przeznaczenia - zauważył Belmakor.
- Torak jest jednym z nich, prawda?

- Mój brat jest częścią jednego z nich, tak. Każde z Przeznaczeń składa się z niezliczonych części i wszystkie zdają sobie sprawę z istnienia innych.

- Które pojawi się najpierw, Mistrzu? - zapytał Belkira.

- Nie wiemy. Niedozwolone nam wiedzieć.

- Znowu gry - powiedział Beldin z odrazą. - Nie cierpię gier.

- Jednakowoż w tej wszyscy zmuszeni jesteśmy wziąć udział, miły Beldinie. Reguły mogą nie przypaść nam do gustu, ale musimy ich przestrzegać, albowiem ustalone zostały przez rywalizujące Cele.

- Dlaczego? Przecież to ich walka. Po co mieszać w to nas? Czemu nie wybiorą sobie czasu i miejsca, nie spotkają się i nie rozstrzygną sporu raz na zawsze?

- Gdyż tego uczynić im nie wolno, synu, albowiem gdyby kiedykolwiek starły się bezpośrednio, ich zmagania zniszczyłyby cały wszechświat.

- Chyba nie chcielibyśmy tego - powiedział łagodnie Belkira. Bliźnięta byli Alornami, a lud ten czerpał dziecinną radość ze skromnego uogólniania faktów.

- Ty jesteś tym drugim Przeznaczeniem, prawda, Mistrzu? - zapytał Belsambar. - Torak jest jednym, a ty drugim.

- Stanowię jego część, synu - przyznał Aldur. - Wszyscy jesteśmy częścią Przeznaczenia. Dlatego nasze poczynania tak ważnymi są. Jednakże, gdy dopełni się czas, przybędzie ten, kto jeszcze ważniejszym będzie. To on stanie przeciw Torakowi i przygotowuje drogę dla Wyboru.

Wówczas to po raz pierwszy usłyszałem o Belgarionie. Aldur wiedział o jego nadejściu i cierpliwie przygotowywał się na przybycie pogromcy Toraka, odkąd wraz ze swymi braćmi stworzył świat. Mówiąc wprost, zdaje mi się, że Bogowie stworzyli ten świat, aby Belgarion miał na czym stanąć, gdy zacznie przywracać porządek rzeczy. To była wielka odpowiedzialność dla kogoś takiego jak Garion, ale myślę, że potrafił tego dokonać. Sprawy istotnie potoczyły się mniej więcej dobrze.

Wyjaśnienia Mistrza obarczyły nas brzemieniem odpowiedzialności, które srodze odczuwaliśmy. Jednakże nawet pośród trudów naszej pracy zauważyliśmy, iż świat ogromnie się zmienił po tym, co Torak mu uczynił. Nowy ocean w miejscu dawnego środka kontynentu wywierał wielki wpływ na klimat, a łańcuch gór, który nasz Mistrz i Belar wznieśli, by ograniczyć ten ocean, wpływ ów jeszcze powiększał. Lata zrobiły się suchsze i gorętsze, a zimy stały się dłuższe i zimniejsze. To jeden z powodów, dla których nie lubię, gdy ktoś zaczyna bawić się pogodą. Widziałem, co może się stać, kiedy coś lub ktoś manipuluje przy pogodzie. O ile sobie przypominam, miałem z Garionem na ten temat długą rozmowę przy pewnej okazji - to znaczy, ja mówiłem, on słuchał. A przynajmniej mam nadzieję, że słuchał. Garion posiada ogromną moc i czasami uwalnia ją, nim przemyśli do końca rezultat swego działania.

Wraz ze zmianą klimatu stopniowo przemieniał się otaczający nas świat. Rozległy pierwotny las na północnym skraju Doliny zaczął się kurczyć, a w jego miejsce pojawiały się łąki. Jestem pewny, że Algarowie to pochwalali, lecz ja wolę drzewa.

Na dalekiej północy klimat również gwałtownie się zmienił. Belar nie zrezygnował ze znalezienia sposobu na ponowne spotkanie z Angarakami, toteż jego Alornowie zmuszeni byli znosić naprawdę srogie zimy.

My jednakże mieliśmy na głowie więcej niż samą pogodę. Pęknięcie świata uruchomiło bieg wielu spraw i Aldur obarczył naszą siódmką mnóstwem zajęć. Musieliśmy pilnować, aby sprawy, które miały się wydarzyć, rzeczywiście się wydarzały. Przypuszczaliśmy, iż Angarakowie robią dokładnie to samo. Dwa rywalizujące Cele niechybnie zmierzały na upatrzone pozycje.

Około dwudziestu lat po pęknięciu świata, Mistrz zawezwał nas do swej wieży i zaproponował, aby jeden z uczniów wybrał się do Mallorei i sprawdził, co zamierza Torak i jego lud.

- Ja pójdę - zgłosił się na ochotnika Beldin. - Latam lepiej od pozostałych i mogę kręcić się pomiędzy Angarakami nie zwracając niczyjej uwagi.

- Twoje rozumowanie nie bardzo do mnie trafia, stary - powiedział Belmakor. - Jesteś facetem o raczej szczególnym wyglądzie,

- O to właśnie chodzi. Gdy ludzie na mnie patrzą, dostrzegają jedynie garb na plecach i to, że mam ręce dłuższe od nóg. Nie przyglądają się mojej twarzy, by dowiedzieć się, jakiej jestem rasy. To ten rodzaj anonimowości, który idzie w parze z ułomnością.

- Chcesz, abym udał się z tobą? - zaproponował Belsambar. - W końcu jestem Angarakiem i znam ich zwyczaje.

- Dzięki, bracie, ale nie. Masz dość zasadnicze poglądy na temat Grolimów. Nie zachowalibyśmy zbyt długo anonimowości, gdybyś zaczął wywracać na lewą stronę wszystkich po kolei kapłanów Toraka. Udaję się do Mallorei jedynie po to, aby się rozejrzeć, i wolałbym, żeby Torak nie dowiedział się o tym.

- Nie będę się wtrącał, Beldinie.

- Lepiej zachowajmy ostrożność. Za bardzo cię kocham, aby ryzykować twym życiem.

- Naprawdę nie powinieneś wyruszać sam, Beldinie - powiedział Belzedar z dziwną determinacją w głosie. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli udam się z tobą.

- Nie jestem dzieckiem, Belzedarze. Sam potrafię o siebie zadbać.

- Nie wątpię, ale będziemy mogli przeczesać większy obszar, jeśli wyruszymy we dwóch. Ten nowy kontynent jest sporych rozmiarów i prawdopodobnie Angarakowie znacznie się na nim rozprzestrzenili. Mistrzowi potrzebne są informacje, a we dwóch zbierzemy je szybciej niż w pojedynkę.

Gdy teraz o tym myślę, argumenty Belzedara były nieco naciągane. Społeczeństwo Angaraków należało do najściślej kontrolowanych na świecie. Torak nie pozwoliłby swemu ludowi na zbytne rozproszenie się; wolał trzymać ich pod pantoflem. Belzedar miał własne powody, by wyruszyć do Mallorei. Powinienem na czas zorientować się, iż pomoc Beldinowi nie była jednym z nich.

Sprzeczali się obaj jakiś czas, ale w końcu Beldin dał za wygraną.

- Wszystko mi jedno - rzekł. - Chodź ze mną, jeśli to dla ciebie tyle znaczy.

Następnego ranka przybrali postaci sokołów i odlecieli na wschód.

Wkrótce my również wyruszyliśmy w drogę. Dla mnie Mistrz miał zadania w Arendii i Tolnedrze.

Młoda wilczyca oczywiście mi towarzyszyła. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, by ją zostawić, prawdopodobnie nic by z tego dobrego nie wyszło. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziała:

- Pochodzę z tobą jakiś czas.

Najwyraźniej ów „jakiś czas” jeszcze nie minął. Jednakże nie miałem nic przeciwko temu. Była dobrym towarzyszem.

Najkrótsza droga do północnej Arendii wiodła przez Ulgołand, toteż wilczyca i ja wspięliśmy się na góry i posuwaliśmy się na północny zachód. Każdego wieczoru zakładałem dla nas obozowisko. Początkowo ogień niepokoił ją, ale teraz nawet lubiła wieczorne ogniska.

Po drodze uświadomiłem sobie, że będziemy przechodzić niedaleko Prolgu. Nie bardzo lubiłem obecnego Gorima; uważał, iż Ulgosi są lepsi od reszty ludzkości. Z niechęcią uznałem, że oznaką złych manier byłoby minięcie Prolgu bez złożenia kurtuazyjnej wizyty, więc odbiłem nieco na północ, aby dotrzeć do miasta.

Droga, którą wybrałem, biegła przez gęsto zalesiony wąwóz. Jego środkiem płynął rwący górski potok. Był późny ranek i słońce właśnie dotarło do mglistego dna wąwozu. Zdaje się, że zbierałem drewno. W górach ogarnia mnie zawsze spokój i dopisuje pogoda ducha.

Wtem wilczyca położyła uszy po sobie i zawarczała ostrzegawczo.

- O co chodzi? - zapytałem odruchowo w ludzkim języku.

- Konie - odparła na wilczy sposób. - Być może jednak to nie są prawdziwe konie. Pachną krwią i surowym mięsem.

- Nie niepokój się - powiedziałem, przechodząc na wilczy język. - Ktoś spotkał je już poprzednio. To hrulginy. Są mięsożerne. Zapach, który czujesz, to krew i mięso jelenia.

- Ktoś myśli, że się mylisz. Ta woń nie jest zapachem jelenia. Ktoś wie, że tak pachnie krew i mięso człowieka.

- To niemożliwe - prychnąłem. - Hrulginy nie jedzą ludzi. Żyją w tych górach w pokoju z Ulgosami.

- Ktoś ma bardzo dobry nos - powiedziała z naciskiem. - Ktoś nie pomyliłby woni krwi człowieka z zapachem mięsa jelenia. Te drapieżne konie zabijają i jedzą ludzi, a teraz znowu polują.

- Polują? Polują na co?

- Ktoś myśli, że polują na ciebie.

Wysłałem badającą myśl. Umysły hrulginów nie są zbyt podobne do umysłów koni. Konie są trawożerne, a agresywne stają się jedynie w porze godów. Hrulginów bardzo przypominają je wyglądem - jeśli nie liczyć pazurów i kłów - ale nie jedzą trawy. Dotykałem już umysłów hrulginów podczas swych wędrówek przez góry Ulgolandu. Wiedziałem, że były dość okrutnymi myśliwymi, ale spokój Ula zawsze trzymał je w ryzach. Umysły, których dotknąłem tym razem, wydawały się uwolnione z owych ograniczeń.

Wilczyca miała rację. Hrulginów polowały na mnie.

Już kiedyś byłem obiektem łowów. Młody lew podchodził mnie przez dwa dni, nim go w końcu przepędziłem. Polujące zwierzę nie ma prawdziwie złych zamiarów. Ono po prostu szuka czegoś do zjedzenia. Jednakże to, z czym miałem do czynienia tym razem, było okrutną nienawiścią, a co gorsza, z mojego punktu widzenia wydawało się całkowitym szaleństwem. Te hrulginów bardziej interesowało zabijanie niż jedzenie. Byłem w tarapatkach.

- Ktoś proponuje, abyś zrobił coś ze swą postacią - poradziła wilczyca. Przysiadła na tylnych łapach i wywiesiła jęzor. Jeśli tego nie zauważyliście, jest to sposób, w jaki psy się śmieją.

- Co w tym takiego zabawnego? - zapytałem.

- Ktoś uważa człowiecze coś za zabawne. Myśliwy skupia całą uwagę na przedmiocie polowania. Jeśli czyha na królika, nie zboczy z drogi za wiewiórką. Te mięsożerne konie polują na człowieka - na ciebie. Zmień postać, a zignorują cię.

Poczułem zakłopotanie. Czemu ja o tym nie pomyślałem? Pomimo całej naszej inteligencji, instynktowną reakcją, gdy uświadomisz sobie, że coś chce cię zabić, jest panika.

Utworzyłem w umyśle wyobrażenie wilka i przybrałem jego postać.

- O wiele lepiej - pochwaliła moja towarzyszka. - Przystojny z ciebie wilk. Twa druga postać nie jest tak ujmująca. Ruszamy?

Odeszliśmy od potoku i zatrzymaliśmy się na skraju lasu, aby obserwować hrulginy. Nagłe zniknięcie mojego zapachu wprowadziło je w zakłopotanie i chyba jeszcze bardziej hrulginy rozszerdziło. Ogier, przywódca stada, stanął dęba i zarżał z wściekłością. Darł korę nic niewinnego drzewa pazurami, a z jego długich zakrzywionych kłów ściekała piana. Kilka kłaczy cofnęło się za mým zapachem w dół wąwozu, potem zawróciły wolno, usiłując wywachać miejsce, w którym skręciłem i wymknąłem im się.

- Ktoś proponuje, abyśmy ruszyli - powiedziała wilczyca. - Mięsożerne konie pomyślą, że zabiliśmy i zjedliśmy człowieka, na którego czyhały. To ich rozgniewa. Mogą postanowić przerwać polowanie na człowieka i zacząć obławę na wilki.

Trzymaliśmy się skraju lasu. Mogliśmy w ten sposób obserwować zawiedzione hrulginy na wypadek, gdyby postanowiły zapolować na wilki. Po pół godzinie oddaliliśmy się na tyle, że miały marne szansę, by nas dogonić.

Zmiany, jakie zaszły w hrulginach, całkowicie zbiły mnie z tropu. Do tej pory w krainie Ula królował niepodzielnie jego spokój. Co wprowadziło owe stwory w szaleństwo?

Jak się okazało, hrulginy nie były jedynymi potworami, które postradały rozum.



Słowa „potwór” użyłem odruchowo, nie z racji uprzedzenia. Po prostu jest to tłumaczenie ulgoskiego słowa. Ulgosi nawet driady nazywają potworami. Przypominam sobie, że Ce’Nedra poczuła się nieco urażona tym określeniem.



Postanowiłem nie wracać na razie do swej postaci. Coś bardzo dziwnego działo się w Ulgołandzie. Dotarliśmy do osobliwie ukształtowanych gór, na których wznosi się Prolgu i rozpoczęliśmy wspinaczkę.

W połowie drogi na szczyt natknęliśmy się na grupę algothów, które były równie szalone jak hrulginy. Algothy nie należały do mych ulubionych stworzeń. Skrzyżowanie mały, kozy i gada wydawało mi się nieco egzotyczne. Algothy również polowały na ludzi, by ich zabić i pożyć. Bez względu na to, czy go lubiłem, czy nie, musiałem zamienić kilka słów z Gorimem.

Problem jedynie w tym, że Prolgu było całkowicie opustoszałe. Ślady wskazywały na pospieszne odejście ludzi. Miasto musiało zostać opuszczone jakiś czas temu, gdyż nie mogliśmy zwęszyć nawet śladu zapachów, które naprowadziłyby nas na miejsce, gdzie udali się Ulgosi. Natrafiliśmy na zmurszałe ludzkie kości. Czyżby wszyscy Ulgosi zostali zabici? Możliwe jest, by Ul zmienił zdanie i opuścił ich?

Nie miałem czasu na zastanawianie się. Nad wyludnionym miastem zapadł wieczór. Węszyliśmy nadal w pustych domach, gdy ciszą wstrząsnął nagły wrzask. Ten krzyk dobiegał z góry. Wyszedłem na dwór i spojrzałem w niebo.

Zapadał zmrok, ale było wystarczająco jasno, bym dojrzał ogromny kształt rysujący się na wieczornym niebie.

To był smoczyca. Ogromnymi skrzydłami biła powietrze, a przy każdym wrzasku wyrzucała z siebie obłoki dymiącego ognia.

Zauważcie, że mówię o niej w liczbie pojedynczej rodzaju żeńskiego. Nie jest to dowodem mej szczególnej spostrzegawczości, jako że na całym świecie istniał tylko jeden smok i była to ona. Dwa samce, które Bogowie stworzyli, pozabijały się w czasie pierwszej pory godowej. Zawsze było mi jej żal, ale nie tym razem. Podobnie jak hrulginy i algothy, całkowicie o władnęła nią żądza zabijania. Była przy tym zbyt głupia, aby wybierać ofiary. Paliła więc wszystko, co się ruszało.

Torak udoskonalił smoki, gdy wraz z braćmi powoływał je do życia. Dzięki temu stały się całkowicie odporne na wszystko, co mógłbym im uczynić za pomocą Woli i Słowa.

- Ktoś byłby bardziej rad, gdybyś coś w tej sprawie zrobił - powiedziała wilczyca.

- Myślę nad tym - odparłem.

- Myśl szybko. Ptaszysko wraca.

Wiara przyjaciółki we mnie była wzruszająca, ale nie bardzo pomocna. Pośpiesznie przebiegłem w myślach charakterystyczne przymioty smoków. Nic jej nie mogło zranić, była głupia i samotna. Te dwie ostatnie cechy nasunęły mi pewną myśl. Pobiegłem na skraj miasta. Skoncentrowałem swą wolę na zaroślach znajdujących się kilka mil na południe od gór i podpaliłem je.

Smoczyca zaskrzeczała i rzuciła się w kierunku płomieni, zionąc po drodze własnym ogniem.

- Ktoś ciekaw jest, czemu to uczyniłeś.

- Ogień jest częścią rytuału godowego jej gatunku.

- Jakie to niezwykle. Większość ptaków ma porę godową na wiosnę.

- Ona nie jest właściwie ptakiem. Ktoś uważa, że powinniśmy natychmiast opuścić te góry. Dzieją się tu dziwne rzeczy, których ktoś nie rozumie, a my mamy sprawy do załatwienia na nizinie.

- Zawsze masz sprawy do załatwienia - westchnęła.

- Taka już natura człowieka - powiedziałem.

- Ale ty teraz nie jesteś człowiekiem.

Nie potrafiłem zakwestionować logiki stwierdzenia mej towarzyszki, ale i tak opuściliśmy to miejsce. Dwa dni później dotarliśmy do Arendii.

Zadanie, które powierzył mi Mistrz, dotyczyło pewnych Arendów i Tolnedran. W tamtym czasie nie rozumiałem, czemu.

Mistrz był tak zainteresowany ślubami. Oczywiście teraz to pojmuję. Pewni ludzie musieli się urodzić, a ja miałem przygotować do tego grunt.

Myślałem, że obecność mojej towarzyszki może skomplikować sprawy, ale okazało się, iż było wprost przeciwnie. Z całą pewnością trudno nie zostać zauważonym, gdy wkroczy się do arendskiej wioski lub tolnedrańskiego miasta z dorosłą wilczycą u boku. Jej obecność skłaniała ludzi do posłuchu.

Aranżowanie małżeństw w tamtych czasach nie było wcale takie trudne. Arendowie - i w mniejszym stopniu Tolnedranie - opowiadali się za patriachatem. Dzieci musiały okazywać posłuszeństwo swym ojcom

w ważnych sprawach. Toteż rzadko byłem zmuszony do przekonywania szczęśliwej pary, że powinni się pobrać. Zamiast tego rozmawiałem z ich ojcami. W owym czasie cieszyłem się pewną sławą. Wspomnienia wojny nadal były świeże w umysłach ludzi, a ja i moi bracia odegraliśmy w tym konflikcie całkiem znaczącą rolę. Szybko również odkryłem, że kapłani w Arendii i Tolnedrze mogą być bardzo pomocni. Z czasem wypracowałem schemat postępowania. Zaraz po przybyciu do miasta wilczyca i ja udawaliśmy się do świątyni Chaldana bądź Nedry. Przedstawiałem się i prosiłem miejscowego kapłana o poznanie mnie z ojcami, o których mi chodziło, w danym wypadku.

Oczywiście nie zawsze wszystko szło gładko. Czasami natykałem się na upartego człowieka, któremu z jakiegoś powodu nie odpowiadała kandydatura współmałżonka dla jego dziecka. W najgorszym razie zawsze mogłem zademonstrować im, co byłbym w stanie zrobić, jeśli mnie zirytują. To zwykle wystarczało, by sprowadzić opornych na właściwą drogę.

- Ktoś zastanawia się, dlaczego to wszystko jest konieczne - zapytała moja towarzyszka, kiedy opuszczaliśmy jedną z arendyjskich wiosek, po tym jak w końcu udało mi się przekonać szczególnie opornego człowieka, że szczęście jego córki - i jego własne zdrowie - zależy od małżeństwa dziewczyny z młodym chłopakiem, którego dla niej wybraliśmy.

- Dadzą życie młodym - starałem się to wyjaśnić mej towarzyszce.

- Cóż za zdumiewająca sprawa - odparła oschle. Wilk potrafi w najprostszej odpowiedzi zawrzeć całą gamę ironii. - Czyż nie jest to zwykle powodem parzenia się?

- Musimy sprawić, by przyszły na świat szczególne młode.

- Dlaczego? Przecież jeden szczeniak jest podobny do drugiego. Charakteru nabierają w trakcie wychowania, nie przez dziedziczenie.

Sprzeczałyśmy się o to co jakiś czas od kilku stuleci. Podejrzewam, że próbowała wyprowadzić mnie z równowagi. Formalnie byłem przywódcą naszej małej sfory, ale ona nie pozwalała mi wbić się zanadto w dumę.

W tamtych czasach Arendia była ponurym miejscem. Niewolnictwo dobrze ugruntowało się tu jeszcze przed wojną z Angarakami. Emigrując, Arendowie przenieśli ją na zachód. Nigdy nie rozumiałem, jak ktoś może godzić się na bycie niewolnikiem. Myślę, że w tym wypadku nie bez znaczenia jest charakter Arendów, którzy wszczynali wojny między sobą pod byle pretekstem i chłop potrzebował kogoś do obrony przed walczącymi sąsiadami.

Ziemie, które Arendowie zajmowali w centralnej części kontynentu, były rozległe, a pola od dawna uprawiane. Ich nowym domem zaś był leśny gąszcz, musieli więc najpierw wycinać drzewa. To było zadanie, które przypadło w udziale niewolnikom. Wilczyca i ja wkrótce przyzwyczailiśmy się do widoku nagich ludzi rąbiących drzewa.

- Ktoś jest ciekaw, czemu oni zdejmują swoje futro, by to robić - powiedziała kiedyś. W wilczej mowie nie ma słowa na określenie „ubrania”, więc musiała improwizować.

- To dlatego, że mają tylko po jednej rzeczy do okrycia swego ciała. Zdejmują je, gdy ścinają drzewa, ponieważ nie chcą ich zniszczyć przy pracy.

Postanowiłem nie poruszać problemu ubóstwa chłopów pańszczyźnianych ani kosztów nowej płóciennej koszuli. Dyskusja i tak była już wystarczająco skomplikowana. Jak wyjaśnić prawo własności stworzeniu, które nie czuje potrzeby posiadania czegokolwiek?

- To zakrywanie i odkrywanie ciała, które ludzie czynią, jest głupotą - oznajmiła. - Dlaczego to robią?

- Żeby się ogrzać, gdy jest zimno.

- Ale postępują tak również wtedy, gdy nie jest zimno. Dlaczego?

- Ze skromności, jak przypuszczam.

- A co to skromność?

Westchnąłem. Nie poczyniłem postępów w swych wyjaśnieniach.

- To taki zwyczaj pomiędzy ludźmi - powiedziałem.

- Ach, skoro to zwyczaj, to w porządku - stwierdziła. Wilki miały ogromny szacunek dla zwyczajów. Wtem przyszło mej towarzysze na myśl coś innego. Zawsze przychodziło jej do głowy coś jeszcze. -

Jeśli pomiędzy ludźmi zwyczajem jest okrywanie swych ciał jednym razem, a innym nie, to nie bardzo jest to zwyczaj, prawda?

Poddałem się.

- Nie - odparłem. - Pewnie nie.

Wilczyca przysiadła na środku leśnej ścieżki, którą podążaliśmy, i wywiesiła jęzor w wilczym śmiechu.

- Mogłabyś przestać? - zażądałem.

- Ktoś jest rozbawiony nielogicznością ludzkiej strony twego myślenia - oświadczyła. - Jeśli przybierzesz swą prawdziwą postać, twe myśli popłyną bardziej gładko.

Nadal miała przeświadczenie, że naprawdę byłem wilkiem, a moje częste zmiany postaci stanowiły jedynie rodzaj nawyku.

W lasach Arendii często natykaliśmy się na bandy zbiegów. Nie wszyscy chłopci pańszczyźniani potulnie akceptowali swój stan. Nie lubię, gdy ludzie celują we mnie włóczniami. Po kolejnym spotkaniu ponownie przybrałem postać wilka zaraz po opuszczeniu wioski. Nawet najgłupszy zbiegły chłop pańszczyźniany nie będzie szukać zwady z parą dorosłych drapiezców. Ludzie zawsze przeszkadzali mi, gdy miałem coś do zrobienia. Czemu nie mogli po prostu zostawić mnie w spokoju?

Po wielu latach udaliśmy się ponownie do Tolnedry. Dalej zajmowałem się swataniem małżeństw. W końcu przybyliśmy do Tol Nedrane.



Nie próbujcie odszukać go na mapie. Nim rozpoczęło się drugie tysiąclecie, nazwa zmieniła się na Tol Honeth.



Wiem, że większość z was widziała Tol Honeth, ale nie poznalibyście tego miejsca w jego pierwotnej postaci. Wojna z Angarakami nauczyła Tolnedran doceniać znaczenie pozycji obronnej, a wyspa na środku Nedrane - „rzeki Nedry” - wydawała się im idealnym miejscem na założenie miasta. I być może takim była, ale miała wiele wad, gdy

po raz pierwszy się na wyspie osiedlili. Pracowali nad tym przez pięć tysięcy lat i zdaje mi się, że w końcu większość z nich usunęli.

Jednakże gdy po raz pierwszy wybraliśmy się tam z wilczycą, wyspa była wilgotnym, błotnistym miejscem, często nawiedzanym przez wiosenne powodzie. Tolnedranie otoczyli ją solidną ścianą z drewnianych bali, za którą stały domy również zbudowane z bali, o dachach krytych strzechą - moim zdaniem, takie budownictwo aż prosiło się o pożar. Ulice były wąskie, kręte i błotniste; mówiąc szczerze, miejsce to cuchnęło niczym kloaczny dół. Moją towarzyszkę szczególnie ów odór drażnił, gdyż wilki mają bardzo czuły węch.

Głównym powodem mojej obecności w Tolnedrze była konieczność dopilnowania, by powstała linia Honethów. Nie przepadałem zbytnio za Honethami. Mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie, a ja nigdy nie lubiłem ludzi, którzy patrzyli na mnie z góry. Być może z powodu owej niechęci byłem nieco zbyt ostry wobec ojca przyszłego pana młodego. Oświadczyłem mu bez ogródek, że od jego syna wymagano, aby poślubił córkę rzemieślnika, którego głównym zajęciem było budowanie kominków. Rodzina Honethów koniecznie musiała mieć jakieś dziedziczne powiązania z kamieniarstwem. W przeciwnym razie nigdy nie powstałoby Imperium Tolnedry, które w przyszłości było nam potrzebne. Nie chcę was nudzić, ale pragnąłbym, abyście zrozumieli skalę naszych przygotowań. Nadawaliśmy bieg sprawom, które przez tysiąclecia nie miały przynieść owoców.

Po nakłonieniu ojca pana młodego do zaakceptowania małżeństwa, które zaproponowałem jego synowi, opuściłem wraz z wilczycą Tol Nedrane - promem, ponieważ nie wpadli jeszcze na pomysł budowania mostów. Przewoźnik zdarł z nas niemiłosiernie, jak sobie przypominam, ale był Tolnedraninem i należało się tego spodziewać.

W końcu wypełniłem rozliczne zadania, powierzone mi przez Mistrza, toteż ruszyłem wraz z wilczycą na wschód, ku góróm Tolnedry. Czas było wracać do domu, do Doliny, ale nie miałem zamiaru przechodzić przez Ulgołand. Nie zamierzałem nawet zbliżyć się do Ulgołandu, dopóki nie dowiem się, co się tam wydarzyło. W górach zasiedzieliśmy się trochę. Moja towarzyszka umilała sobie czas gonitwami za jeleniami i zającami. Ja natomiast poszukiwałem grotty, o której nasz Mistrz

opowiadał nam przy różnych okazjach. Wiedziałem, że jest gdzieś w tych górach, więc poświęciłem nieco czasu na poszukiwania. Nie miałem pojęcia, co zrobię, gdy ją odkryję. Chciałem po prostu zobaczyć miejsce, w którym Bogowie żyli, gdy tworzyli świat.

Szczerze mówiąc, nie po raz pierwszy poszukiwałem tej grotty. Za każdym razem, gdy przechodziłem przez te góry, przeznaczałem na penetrację około tygodnia. Ostatecznie dom Bogów był rzeczą wartą obejrzenia.

Oczywiście nigdy jej nie odnalazłem. Garionowi się to udało - wiele, wiele lat później. Coś bardzo ważnego miało się tam wydarzyć i nie dotyczyło to mnie.

Beldin wrócił z Mallorei, ale Belzedara z nim nie było. Tęskniłem za moim paskudnym braciszkiem przez stulecie, które spędził w Mallorei. Wytworzyły się pomiędzy nami pewne szczególne więzi i choć może się to wydać trochę dziwne, lubiłem jego towarzystwo.

Zdałem relację z powodzenia swej wyprawy Mistrzowi, a potem opowiedziałem mu o tym, na co natknąłem się w Ulgołandzie. Wydawał się w równym stopniu zbity z tropu jak ja.

- Czy możliwe, aby Ulgosi mogli czymś obrazić swego Boga, Mistrzu? - zapytałem. - Tak poważnie, że odwrócił się od nich i ponownie wypuścił potwory?

- Nie, synu - odparł Mistrz, potrząsając głową. - Nie zrobiliby tego, nie mogłby tak postąpić.

- Już raz zmienił zdanie, Mistrzu - przypomniałem mu. - Nie chciał opiekować się żadną częścią ludzkości. Pierwszy Gorim po przybyciu do Prolgu przez cała lata musiał go błagać o opiekę, nim Ul w końcu ustąpił. Może to zabrzmiało mało życzliwie, ale obecny Gorim nie jest zbyt sympatyczny. Wzbudził we mnie niechęć od pierwszego wejrzenia. Niebiosa raczą wiedzieć, jak wielką nieżyczliwość potrafi wzbudzić, gdy zacznie mówić.

Aldur uśmiechnął się słabo.

- To ty, Belgaracie, okazujesz brak sympatii - powiedział, po czym roześmiał się. - Muszę przyznać jednak, iż w pełni zgadzam się z tobą. Ul wszelako cieplejszym jest. Nawet ten, który jest obecnym

Gorimem, nie potrafiłby go tak wielce urazić. Zbadam tę niepokojącą sprawę i dam ci znać, czego się dowiedziałem.

- Dziękuję ci, Mistrzu - odparłem i odszedłem. Po drodze zatrzymałem się u Beldina, zapraszając, aby wpadł do mnie na kufelek i pogawędkę. Roztropnie pożyczyłem beczułkę, ale od bliźniaków.

Beldin przyczłapał na szczyt mej wieży i nie łapiąc nawet oddechu, osuszył pierwszy kufel.

- A zatem? - zapytałem.

- Co zatem?

Oto był cały Beldin.

- Co dzieje się w Mallorei?

- Mógłbyś wyrażać się precyzyjniej? Malloreia to spore miejsce.

Wilczyca podeszła i położyła Beldinowi łeb na kolanach. Zawsze go lubiła z jakiejś przyczyny. Beldin odruchowo podrapał ją towarzyszkę za uchem.

- Co robi Torak? - zapytałem nieco opryskliwie.

- Płonie - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Myślę, że brat naszego Mistrza będzie się palił przez długi, długi czas.

- To nadal trwa? - byłem nieco zaskoczony. - Myślałem, że ogień już przygasł.

- Nieznacznie. Nie widać już płomieni, ale Stare Spalone Oblicze nadal gore. Glob był z niego bardzo niezadowolony, a w końcu to tylko kamień. Kamienie nie słyną ze skłonności do przebaczenia. Torak przeważnie krzyczy.

- Czyż to nie wstyd? - zapytałem z nieszczerą troską w głosie. Beldin znowu uśmiechnął się do mnie.

- W każdym razie - podjął dalej - po tym, jak rozłupał świat, kazał swym Angarakom umieścić Glob w żelaznej skrzyni, aby nie musiał na niego patrzeć. Chyba sam widok klejnotu czynił trawiący go ogień gorętszym. Ocean, który stworzył, gonił Angaraków równie szybko jak nas, więc popędzili na wschód, a fale deptały im po piętach. Wszystkie święte miejsca Angaraków zostały zatopione, musieli zatem wykształcić sobie skrzela albo znaleźć ziemie wyżej położone.

- Domyślam się, że zniesli te niewygody z ogromnym hartem ducha - powiedziałem z zadowoleniem.

- Belgaracie, zbyt wiele czasu spędziłeś z Alornami. Nawet zaczynasz mówić tak jak oni.

- Alornowie nie są wcale tacy źli - rzekłem ze wzruszeniem ramion - jeśli się już do nich przyzwyczaić.

- Mnie to raczej nie grozi. Zbyttnio działają mi na nerwy.

- Co wydarzyło się potem?

- Wybuch, którego byliśmy świadkami, gdy woda spotkała się z gotującą lawą wypływającą ze szczeliny w ziemi, znacznie zmienił ukształtowanie terenu na wschodzie. Pomiedzy miejscem, gdzie był Korim, i gdzie znajduje się Kell, powstało ogromne bagnisko.

- Czy Kell nadal tam jest?

- Kell zawsze tam istniało, Belgaracie, i pewnie na zawsze pozostanie. W Kell było miasto, nim my wszyscy zeszliśmy z drzew. Angarakom udało się przebrnąć przez mokradła. Torak zajęty był krzykiem, więc wodzowie jego armii musieli przejąć dowodzenie. Szybko zrozumieli, że to błocko nie nadawało się na zakładanie ludzkich siedlisk.

- Jestem zdumiony, że im to przeszkadzało. Angarakowie lubują się w ohydzie.

- W każdym razie doszło do wielkiej kłótni pomiędzy generałami i Grolimami. Grolimowie mieli nadzieję, że morze cofnie się i będą mogli wrócić do Korimu. W końcu tam były ich ołtarze. Generałowie myśleli bardziej realnie. Wiedzieli, iż woda nie opadnie. Przestali tracić czas na kłótnie. Polecili armii maszerować na północny zachód i zabrać pozostałych Angaraków ze sobą. Odeszli, zostawiając na plaży Grolimów, spoglądających tęsknie ku Korimowi. - Beldin czknął ponownie i wyciągnął pusty kufel.

- Wiesz, gdzie stoi - powiedziałem cierpko.

- Nie jesteś zbyt gościnnie, Belgaracie.

Wstał, poczłapał do beczułki i nalał sobie pełen kufel, rozlewając piwo po podłodze. Następnie przyczłapał z powrotem na swoje miejsce.

- Grolimów nie ucieszyła zbyttno decyzja generałów. Chcieli wrócić, ale jeśli wrócą sami, nie będą mieli kogo zarzynać; chyba że siebie nawzajem, ale aż tak pobożni nie byli. Ruszyli w pościg za tłumem i poczęli namawiać do powrotu. To zdenerwowało generałów i doszło do wielu paskudnych incydentów. Myślę, że zapoczątkowało to rozpad społeczności Angaraków.

- Co takiego? - zapytałem zaskoczony.

- Wyrażam się jasno, Belgaracie. Czyżby szwankował ci słuch? Słyszałem, że coś takiego przytrafia się wam, starym ludziom.

- Co rozumiesz pod pojęciem „rozpad społeczności Angaraków”?

- Zaczynają pękać spojenia. Dopóki Torak sprawował władzę, Grolimowie robili wszystko po swojemu. W czasie wojny generałowie poczuli rozkosz rządzenia. Wobec niezdolności do działania Toraka, Grolimowie nie mają żadnej władzy; większość Angaraków czuje do Grolimów to samo, co Belsambar. Generałowie poprowadzili Angaraków przez góry i zeszli na słabo zaludnione równiny. Zbudowali wielki obóz w miejscu zwanym Mal Zeth i wystawili warty, aby nie wpuszczać do niego Grolimów. W końcu Grolimowie dali za wygraną, zabrali swych wiernych na północ i tam zbudowali drugie obozowisko. Nazwali je Mal Yaska. Teraz mamy więc w Mallorei dwa rodzaje Angaraków. Żołnierze w Mal Zeth są jak żołnierze wszędzie indziej na świecie; religia nie należy do ich priorytetów. Zeloci z Mal Yaska spędzają tak wiele czasu na modlitwach do Toraka, że nie zabrali się jeszcze do budowy domów.

- Nie wierzyłem, że kiedykolwiek mogłoby do tego dojść, nie u Angaraków. Religia była jedyną rzeczą, o której byli w stanie myśleć - stwierdziłem. Wtem przyszło mi coś na myśl. - Jak Belsambar zareagował, gdy mu o tym powiedziałeś?

Beldin wzruszył ramionami.

- Nie uwierzył mi. Nie potrafi zaakceptować faktu rozpadu społeczeństwa Angaraków. Nasz brat ma teraz sporo kłopotów, Belgaracie. Myślę, że dręczy go poczucie winy za swój lud. W końcu jest Angarakiem, a Torak utopił ponad połowę ludzkości. Może lepiej ty z nim porozmawiaj - przekonaj go, że naprawdę nie ma w tym jego winy.

- Zobaczą, co się da zrobić - obiecałem. - Tak zatem mają się teraz sprawy w Mallorei?

Beldin roześmiał się.

- Och nie. Poprawia się. Około dwudziestu lat temu Torak przestał uważać się nad sobą i odzyskał przytomność. W dawnych czasach wdeptałby po prostu Mal Zeth w błoto, ale teraz miał na głowie inne sprawy. Ukradł Glob, ale do niczego nie mógł go wykorzystać. Zawód przyprawił Toraka o szaleństwo. Przeszukał Mal Zeth i Mal Yaska, wybrał najzagorzalszych ze swych wyznawców i udał się na dalekie północno-wschodnie wybrzeże, w pobliże ziem Karandów. Po przybyciu tam, polecił swym wyznawcom zbudować sobie wieżę z żelaza.

- Z żelaza? - zapytałem z niedowierzaniem. - Żelazna wieża nie wytrzyma dziesięciu lat. Zacznie rdzewieć, nim ją skończą.

- Chyba rozkazał jej tego nie robić. Torak bardzo lubi żelazo. Może żelazna szkatułka, w której trzymał Glob, nasunęła Torakowi ten pomysł. Może myśli, że jeśli otoczy Glob wystarczającą ilością żelaza, to osłabi go na tyle, że będzie mógł nim kierować.

- To czysty nonsens!

- Nie do mnie te pretensje. To pomysł Toraka, nie mój. Ludzie, których ze sobą zabrał, zbudowali tam miasto. Torak skrył je w chmurach. To najbardziej ponure miejsce, jakie widziałem. Angarakowie zwą je Cthol Mishrak - Miasto Wiecznej Nocy. Torak nie jest już tak piękny jak przedtem - bez połowy twarzy - może więc próbuje się ukryć. To wielce prawdopodobne, Belgaracie. Angarakowie mają teraz trzy miasta, Cthol Mishrak, Mal Yaska i Mal Zeth i zmierzają w trzech różnych kierunkach. Torak jest tak zajęty próbami zapanowania nad Globem, że nie zwraca w ogóle uwagi na to, co dzieje się w Mal Zeth i Mal Yaska. Społeczeństwo Angaraków rozpada się i nie mogło to się przytrafić miłszej grupie ludzi. I jeszcze jedno. Najwyraźniej zrobiliśmy na Toraku wrażenie. Postanowił też wziąć sobie uczniów.

- Tak? Ilu?

- Trzech jak na razie. Później może ich być więcej. Myślę, że wojna przekonała Toraka, iż uczniowie to pożyteczni ludzie. Przed wojną nie był zainteresowany dzieleniem się władzą, ale widać zmienił zdanie. Wiesz, że zwykły kapłan staje się bezsilny, gdy przekroczy granice własnego kraju?

- Nie bardzo rozumiem.

- Bogowie dopuszczali się czasami drobnych oszustw. Obdarzali swych kapłanów pewną ograniczoną władzą. To pomagało trzymać wiernych w ryzach. Zwykły Grolim - lub jeden z kapłanów Nedry, Chaldana czy Salmisary - posiada pewną zdolność czynienia rzeczy, które my robimy. Jednakże, gdy tylko opuszcza miejsce zamieszkałe przez wyznawców ich Boga, te umiejętności nikną. Uczeń zaś zachowuje je bez względu na to, gdzie będzie. Dlatego mogliśmy robić to wszystko w Korimie. Torak dostrzegł wartość tego i zaczął sam gromadzić uczniów.

- Wiesz, kim są?

- Dwóch z nich było Grolimami - Urvon i Ctuchik. Nie mogłem się jednak dowiedzieć niczego o trzecim.

- Gdzie był w tym czasie Belzedar?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Gdy dolecieliśmy na miejsce i wróciliśmy do własnych postaci, mętnie zaczął się tłumaczyć, iż ma chęć przeszukać cały kontynent, i udał się na wschód. Od tamtego czasu go nie widziałem. Nie mam pojęcia, co robi. Powiem ci jednak jedno.

- Co takiego?

- Coś go gnało. Nie mógł doczekać się, by się mnie pozbyć.

- Na niektórych tak działasz, bracie.

- Bardzo zabawne, Belgaracie. Bardzo zabawne. Ile ci jeszcze zostało piwa?

- Tyle co w beczulce. Ostro się za nie zabrałeś.

- Byłem spragniony. Próbowaleś kiedy piwa Angaraków?

- Nie przypominam sobie.

- To lepiej go unikaj. No cóż, jak nam się skończy, zawsze możemy złożyć wizytę bliźniakom - beknął, wstał i chwiejnym krokiem podszedł znowu do beczułki z piwem.





Przybył z zachodu. Początkowo myśleliśmy, że to ślepiec, ponieważ oczy miał zasłonięte kawałkiem płótna. Po odzieniu poznałem, iż jest Ulgosem. Widywałem już w Prołgu takie skórzane chałaty z kapturami. Trochę zaskoczył mnie jego widok. Sądziłem, że wszyscy Ulgosi zostali zgładzeni. Wyszedłem i powitałem przybysza w jego własnym języku.

- Yad ho, groja Ul - powiedziałem. - Vad mar ishum.

Ulgos drgnął.

- To nie jest konieczne - odezwał się. - Gorim nauczył mnie twojej mowy.

- Szczęśliwie się składa - odparłem z lekkim żalem. - Nie mówię zbyt dobrze po ulgosku.

- Tak - rzekł z lekkim uśmiechem - zauważyłem. Ty pewnie jesteś Belgarathem.

- Tak się składa. Czy twoim oczom coś dolega?

- Światło mnie razi.

Spojrzałem na pochmurne niebo.

- Dzisiaj nie jest wcale zbyt jasno.

- Być może dla ciebie - powiedział. - Dla mnie jest oślepiająco jasno. Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do swego Mistrza? Mam dla niego wiadomość od Świątobliwego Gorima.

- Oczywiście - zgodziłem się pospiesznie. Może teraz dowiemy się, co naprawdę dzieje się w Ulgolandzie. - To tam - odparłem, wskazując na wieżę Mistrza. Uczyniłem to odruchowo. Prawdopodobnie z zasłoniętymi oczami nie widział mego gestu. A może jednak widział. Wyglądało na to, że bez problemu szedł za mną.

U Mistrza był Belsambar. Nasz angaracki brat od czasu rozbicia świata stawał się coraz bardziej przygnębiony. Próbowałem podnosić

go na duchu, ale bez powodzenia. W końcu zaproponowałem Mistrzowi, aby on spróbował pocieszyć Belsambara.

Aldur powitał Ulgosa uprzejmie.

- Yad ho, groja Ul - powiedział z o wiele lepszym akcentem od mojego.

- Yad ho, groja Ul - odparł Ulgos. - Mam wieści od Gorima świętego Ula.

- Spragniony jestem słów Gorima - odrzekł Aldur. Ulgosi to ludzie sztywni i oficjalni, Aldur jednak doskonale wiedział, jak się zachować. - Jak wiecie się sługom mego ojca?

- Niedobrze, boski Aldurze. Spadło na nas nieszczęście. Zranienie ziemi wprowadziło w szaleństwo potwory, z którymi żyliśmy w zgodzie, odkąd pierwszy Gorim przywiódł nas do Prolgu.

- A więc o to chodzi! - zawołałem.

Ulgos odwrócił się ku mnie zaintrygowany.

- Przechodziłem przez święte Ulgo kilka lat temu i hrulginy oraz algothy próbowały na mnie polować. Nad wyludnionym Prolgu krążyła smoczyca. Co się stało, przyjacielu?

Ulgos wzruszył ramionami.

- Nie widziałem tego na własne oczy - odparł. - To wydarzyło się przed moimi czasami, ale rozmawiałem ze starszymi i oni powiedzieli mi, że zranienie ziemi wstrząsnęło całymimi górami wokół nas. Początkowo myśleli, że to tylko zwykłe trzęsienie ziemi, ale święty Ul przemówił do starego Gorima i powiedział mu, co wydarzyło się w Korimie. Niedługo potem potwory zaatakowały lud Ulgo. Starego Gorima zabił eldrak - przerażający stwór.

Aldur westchnął.

- Tak - przyznał. - Moi bracia i ja zbłądziliśmy tworząc eldraki. Zasmuciła mnie śmierć waszego Gorima.

To było uprzejmie z jego strony, ale nie sądzę, aby Mistrz lubił poprzedniego Gorima bardziej ode mnie.

- Nie znałem go, o boski - przyznał Ulgos z lekkim wzruszeniem ramion. - Starsi powiedzieli mi, że ziemia nie przestała jeszcze drzeć,

gdy potwory na nas napadły. Nawet driady zrobiły się dzikie. Lud Ulgo wycofał się do Prolgu. Mieliśmy nadzieję, że potwory ulęką się świętego miejsca, ale tak się nie stało. Ścigały ludzi nawet tam. Wówczas Ul odkrył przed nami jaskinie.

- Jaskinie - powiedział z zadumą Aldur. - Oczywiście. Długo rozmyślałem nad znaczeniem tych jaskiń pod Prolgu. Teraz wszystko jest jasne. Zastanawiałem się także, czemu nie mogłem dotrzeć do umysłu mego ojca, gdy Belgarath opowiedział mi o swych dziwnych przygodach w górach Ulgo. Źle skierowałem swe myśli, skoro on był w jaskiniach ze swym ludem. Podziwiam jego mądrość. Czy słudzy Ula bezpieczni są w tych jaskiniach?

- Najzupełniej, o boski. Święty Ul rzucił czar na jaskinie i potwory lękają się w nie zapędzać. Żyjemy w tych jaskiniach od czasu zranienia ziemi.

- Klątwa twego brata daleko sięgnęła, Mistrzu - powiedział ze smutkiem Belsambar. - Nawet pobożny lud Ulgo poczuł jej żądło.

Oblicze Aldura przybrało srogi wyraz.

- Jest jako rzekłeś, synu - przyznał. - Mój brat, Torak, za wiele musi odpowiedzieć.

- I jego lud również, Mistrzu - dodał Belsambar. - Wszyscy Angarakowie dzielą jego winę.

Żałuję, że nie zwracałem baczniejszej uwagi na to, co mówił Belsambar, ani na zagubiony wyraz jego oczu. Zbyt łatwo było zwalić wszystko na nastroje Belsambara. Był bezkompromisowym mistykiem, a oni zawsze są trochę dziwni.

- Mój Gorim polecił mi powiadomić cię, panie, o tym, co wydarzyło się w świętym Ulgo - ciągnął dalej nasz gość. - Kazał mi również usilnie prosić cię, panie, o przekazanie tych wieści twym braciom. Święte Ulgo nie jest już bezpiecznym miejscem dla ludzi. Potwory grasują w górach i lasach, zabijając i pożerając wszystko, co zobaczą. Lud Ulgo nie wyprawia się już na powierzchnię, lecz pozostaje w jaskiniach, w których jesteśmy bezpieczni.

- To dlatego światło razi cię w oczy, prawda? - zapytałem. - Urodziłeś się i wychowałeś w całkowitych niemal ciemnościach.

- Jest jako rzekłeś, prastary Belgaracie - odparł. Po raz pierwszy ktoś mnie tak nazwał. Uznałem to za nieco obraźliwe. Nie byłem przecież chyba aż tak stary?

- Tak oto wypełniłem zadanie powierzone mi przez Gorima - powiedział Ulgos do Mistrza. - Teraz błagam o pozwolenie na powrót do jaskini mego ludu, albowiem zaprawdę światło tego górnego świata jest dla mnie śmiertelną udręką. Moje oczy, niczym para sztyletów, ranią mi mózg.

Muszę przyznać, że szelma miał poetycką duszę.

- Zaczekaj trochę - rzekł mu Aldur. - Wkrótce zapadnie noc, a wówczas możesz wyruszyć w drogę. To, co dla nas jest ciemnościami, dla ciebie jedynie bardziej łagodnym światłem będzie.

- Uczynię, jak radzisz, o boski - zgodził się Ulgos.

Nakarmiliśmy go - to znaczy bliźniacy go nakarmili. Beltira i Belkira mieli obsesyjną potrzebę karmienia wszystkich.

Ulgos odszedł po zachodzie słońca. Dopiero pół godziny po jego odejściu uprzytomniłem sobie, że nawet nie podał nam swego imienia.

Pożegnaliśmy się z Mistrzem, życząc mu dobrej nocy i w zapadającym zmroku odprowadziłem swego angarackiego brata do jego wieży.

- To wciąż postępuje, Belgaracie - powiedział pełnym melancholii głosem.

- Co postępuje?

- Zepsucie świata. Nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

- Nigdy nie był, Belsambarze. Świat zmienia się każdego dnia. Co wieczór ktoś umiera i ktoś rodzi się każdego ranka. Zawsze tak było.

- To naturalne zmiany, Belgaracie. To, co dzieje się teraz, jest złe, nienaturalne.

- Myślę, że przesadzasz, bracie. Trafiały się nam już złe czasy. Nadejście zimy nie jest wcale takie miłe, ale wiosna w końcu wróci.

- Nie sądzę, aby wróciła tym razem. Ta zima z upływem lat będzie coraz gorsza.

Mystyk wszystko traktuje jak metaforę. Metafory są czasami użyteczne, ale nie należy ich nadużywać.

- Zima zawsze mija, Belsambarze - powiedziałem - Jeśli tego nie mogliśmy być pewni, to nie byłoby po co żyć, czyż nie?

- A jest po co, Belgaracie?

- Tak. Choćby z ciekawości. Nie chcesz wiedzieć, co wydarzy się jutro?

- Po co? Po prostu będzie gorzej - westchnął. - To już trwa od długiego czasu, Belgaracie. Wszechświat rozpadł się, gdy owa gwiazda wybuchła, a teraz Torak rozbił świat. Potwory z Ulgolandu postradały zmysły, ale ja myślę, że ludzie oszaleli również. Kiedyś, dawno temu, my, Angarakowie, byliśmy jak inni ludzie. Torak zasiał w nas zepsucie, gdy powierzył nad nami pieczę Grolimom. Grolimowie uczynili nas dumnymi i okrutnymi. Potem Torak sam popadł w zepsucie za sprawą swego grzesznego pożądania Globu naszego Mistrza.

- Jednakże przekonał się, iż było to błędem.

- Ale to Toraka nie zmieniło. Nadał spragniony jest panowania nad Globem, choć ten go okaleczył. Jego pragnienie sprowadziło na świat wojnę, a wojna zasiała zepsucie w nas wszystkich. Widziałeś mnie, gdy po raz pierwszy przybyłem do Doliny. Czy dałbyś wówczas wiarę, że będę zdolny palić ludzi żywcem?

- Staliśmy wobec trudnego problemu, Belsambarze. Wszyscy szukaliśmy rozwiązania.

- Ale to ja spuściłem deszcz ognia na Angaraków. Ty byś tego nie zrobił; nawet Beldin tego nie uczynił; ale ja tak postąpiłem. A gdy zaczęliśmy palić mych rodaków, Torak oszalał. Nie rozłamałby świata i nie zatopił tych wszystkich ludzi, gdybym go do tego nie doprowadził.

- Wszyscy robiliśmy rzeczy, które mu się nie podobały, Belsambarze. Nie możesz sobie przypisywać za to całej winy.

- Nie rozumiałeś mnie, Belgaracie. Wszyscy byliśmy zepsuci przez wydarzenia. Świat zrobił się okrutny, a to i nas uczyniło okrutnymi. Świat nie jest już bez skazy. To jedynie zgniła, stoczona przez robaki lupina tego, czym niegdyś był. Nadciąga wieczna noc i nic nie możemy zrobić, aby ją powstrzymać.

Doszliśmy do podnóża jego wieży.

- Idź spać, Belsambarze - powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu.
- Sprawy nie będą wyglądać tak źle rano, gdy wstanie słońce.

Na twarzy Belsambara pojawił się nikły, melancholijny uśmiech.

- Jeśli wstanie - rzekł, po czym objął mnie. - Żegnaj, Belgaracie.
- Chcesz chyba powiedzieć „dobranoc”?
- Być może - odparł, odwrócił się i wszedł do swej wieży.

Tuż po północy obudziła mnie potężna detonacja i błysk.

Poderwałem się z łóżka i rzuciłem do okna. Z całkowitym niedowierzaniem stwierdziłem, że patrzę na ruiny wieży Belsambara. Pozostała po niej jedynie kupa kamieni i wielki słup dymiącego ognia. Hałas i płomień były przerażające, ale poczułem również ogromną pustkę, jakby wyrwano coś z mej duszy. Wiedziałem, co to znaczy. Nie czułem już obecności Belsambara.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo stałem skamieniały w oknie, wpatrując się w tę przerażającą scenę.

- Belgaracie! Zejdź na dół!

To był Beldin. Stał u stóp mej wieży.

- Co się stało? - zawołałem.

- Mówiłem, żebyś uważał na Belsambara! Właśnie zażyczył sobie własnego zniknięcia! Nie ma go, Belgaracie! Belsambar zniknął!

Miałem wrażenie, że cały świat wali mi się na głowę. Belsambar był trochę dziwny, ale przecież to mój brat. Zwykli ludzie, którzy wiodą zwyczajne życie, nie rozumieją, jak głęboko można przywiązać się do innej osoby w ciągu tysięcy lat. Zniknięcie Belsambara w pewien sposób okaleczyło mnie. Myślę, że wolałbym stracić rękę lub nogę niż jego i wiedziałem, że moi bracia czuli podobnie. Beldin płakał całe dnie, a bliźniacy byli nieutuleni w żalu.

Poczucie straty, jakiego doświadczyłem, gdy Belsambar zakończył życie, odbiło się echem w całym świecie. Dosięgnęło nawet Belzedara i Belmakora, którzy byli wówczas w Mallorei. Obaj przyszybowali w tydzień potem, choć nie bardzo wiem, co mogli w tej sytuacji

poradzić. Belsambar odszedł i nie było sposobu, by sprowadzić go z powrotem.

Pocieszaliśmy Mistrza najlepiej, jak potrafiliśmy, choć tak naprawdę niczego nie mogliśmy uczynić, by ulżyć jego cierpieniu i smutkowi.

Beldinowi, choć na to nie wyglądał, nieobce było poczucie delikatności. Odczekał, dopóki nie opuścił z Belzedarem wieży Mistrza, i dopiero wówczas zaczął go łajać za jego zachowanie w Mallorei. Przysłuchiwaliśmy się temu z Belmakorem i elokwencja naszego pokracznego brata zrobiła na nas ogromne wrażenie.

- Nierozważne - to najłagodniejsze słowo, jakiego użył.

Wszystko inne było o niebo gorsze.

Belzedar w milczeniu przyjął jego złorzeczenia, co nie bardzo było do niego podobne. Z jakiejś przyczyny śmierć Belsambara przeżył jeszcze bardziej od nas. Nie chcę przez to powiedzieć, że my nie odczuwaliśmy żalu, ale boleść Belzedara zdawała się przesadna. Z nietypową dla siebie pokorą usprawiedliwiał się przed Beldinem - co i tak na nic się nie zdało. Beldin rozpedził się na dobre i nie miał zamiaru przerwać tylko dlatego, że Belzedar przyznał się do winy. W końcu zaczął się powtarzać i wówczas włączył się Belmakor.

- Co robiłeś w Mallorei, stary? - zapytał Belzedara.

Belzedar wzruszył ramionami.

- A cóżby innego? Próbowałem odzyskać Glob naszego Mistrza.

- Czyż nie jest to nieco niebezpieczne, mój drogi? Torak nadal jest bogiem, jak wiesz, i spalażuje twą wątrobę na śniadanie, jeśli cię na tym przyłapie.

- Myślę, że znalazłem sposób, aby tego uniknąć - odparł Belzedar.

- Nie bądź idiotą - warknął Beldin. - Mistrz jest wystarczająco smutny bez twoich niewydarzonych planów samounicestwienia.

- Są jak najbardziej wydarzone, Beldinie - odrzekł chłodno Belzedar. - Wystarczająco dużo czasu poświęciłem dopracowaniu wszystkich szczegółów. Plan się powiedzie. To jedyny sposób, byśmy kiedykolwiek odzyskali Glob.

- No to wysłuchajmy go.

- Nie sędę. Nie potrzebuję pomocy i zdecydowanie nie chcę, aby mi przeszkadzano.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku swej wieży. W ślad za nim pomknęły przekleństwa Beldina.

- Ciekaw jestem, co on zamierza - dumął Belmakor.

- Coś głupiego - odparł skwaszonym tonem Beldin. - Belzedar nie należy do najracjonalniejszych ludzi i ma obsesję na punkcie Globu, od chwili gdy go ujrzał. Czasami miałem wrażenie, że to jemu Torak go ukradł.

- Widzę, że ty również to spostrzegłeś - powiedział Belmakor ze słabym uśmiechem.

- Spostrzegłem? Jak ktokolwiek mógłby tego nie zauważyć? A co ty robiłeś w Mallorei?

- Chciałem zobaczyć, co stało się z moim ludem.

- I co się z nim stało?

- Torak nie wyświadczył im przysługi rozłupując świat.

- Nie sędę, aby się o to starał. Co się wydarzyło?

- Nie jestem absolutnie pewny. Melcena była wyspowym królestwem u wschodniego wybrzeża. Torakowi udało się zatopić połowę z tych wysp, gdy zaczął wprowadzać zmiany w światowej geografii. To przysporzyło ludziom nieco kłopotów. Teraz tłoczą się wszyscy na tej niewielkiej przestrzeni, która im pozostała. Wyznaczyli komitet w celu rozpatrzenia tej sprawy.

- Co wyznaczyli?

- To pierwsza rzecz, o której myślą Melceni w razie jakiegokolwiek kryzysu, stary. To daje nam poczucie spełnienia - i zawsze możemy w razie niepowodzeń obwiniać komitet.

- To najbardziej absurdalna rzecz, o jakiej słyzałem.

- Oczywiście. My, Melceni, jesteśmy absurdalni. To stanowi część naszego uroku.

- Co postanowił komitet? - spytałem.

- Jak najwnikliwiej studiowali problem - przez dziesięć lat - a potem sporządzili sprawozdanie dla rządu.

- I jakie były ich ustalenia? - zapytałem.
- Sprawozdanie miało pięćset stron, Belgaracie. Całą noc zajęłoby mi jego powtórzenie.
- Streść je.
- Wniosek był taki, że Cesarstwu Melcenów potrzeba więcej ziemi.
- Zajęło im aż dziesięć lat, aby do tego dojść? - zdziwił się Beldin.
- Melceni są bardzo sumienni, stary. Zaproponowali ekspansję na kontynent.
- Czyż nie jest on już zamieszkany? - zapytałem.
- No cóż, jest, ale wszyscy ludzie zamieszkujący wybrzeże są przecież z pochodzenia Dalami - chyba że zpuścisz się dalej na północ, na ziemie Karandów - więc istnieje pewne pokrewieństwo. Cesarz wysłał emisariuszy do naszych kuzynów w Rengel i Celanta, by wybadali możliwości wyjścia z tego kłopotliwego położenia.
- Kiedy rozpoczęła się wojna? - zapytał bez ogródek Beldin.
- Ależ nie było żadnej wojny, stary. My, Melceni, jesteśmy na to zbyt cywilizowani. Cesarscy emisariusze po prostu uzmysłowili królewiałkom zalety płynące z włączenia do Cesarstwa Melcenów i wady niewyrażenia na to zgody.
- Masz na myśli groźby? - zasugerował Beldin.
- Nie nazwałbym tego groźbami, stary. Emisariusze byli bardzo uprzejmi, oczywiście, ale udało im się dać do zrozumienia, że cesarz będzie niezadowolony, jeśli nie dostanie tego, czego chce. Królewiałka w lot pojęli, w czym rzecz. Po umocnieniu się w Rengel i Celancie, Melcenowie zaanektowali Darshivę i Peldane. Trochę trudności mieli jednak z Gandaharą. Ludzie zamieszkujący dżunglę Gandahary udomowili słonie, a nieco trudno poradzić sobie z jazdą na słoniach. Myślę jednak, że coś wymyślą.
- Sądysz, iż rozprzestrzenia się na ziemie Dalów? - zapytałem.
- Belmakor pokręcił głową.
- To nie byłby dobry pomysł, Belgaracie.
- Dlaczego? Nie słyszałem, aby Dalowie byli zbyt wojowniczym ludem.

- Nie są, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wchodzi im w drogę. Biegle opanowali arkaną sztuk tajemnych i potrafią na różny sposób uprzykrzyć życie każdemu, kto zabłądzi na ich terytorium. Słyszałeś o Urvonie?

- To jeden z uczniów Toraka, prawda?

- Tak. Sprawuje władzę nad Grolimami z Mal Yaska, a Ctuchik kieruje sprawami w Cthol Mishrak. Kilka lat temu Urvon zapragnął przyjrzeć się pierwotnym mieszkańcom Mallorei, wysłał więc tam swych Grolimów. Ci, którzy udali się do Kell, nie wrócili. Nadal błądzą w cieniu tej ogromnej góry - ślepi i szaleni. Oczywiście nie zawsze można stwierdzić, czy Grolim postradał zmysły; w końcu nie należą do zbyt racjonalnych ludzi.

Beldin wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Możesz powtórzyć to jeszcze raz, bracie?

- Czym zajmują się Dalowie z Kell? - zapytałem z zaciekawionym.

- Różnymi rzeczami - czarami, nekromancją, wrózeniem, astrologią.

- Nie powiesz mi chyba, że nadal zajmują się tymi bzdurami?

- Nie jestem przekonany, czy to bzdury, stary. Astrologia jest domeną jasnowidzów, a ci stoją na czele społecznej struktury w Kell. Kell było tam od zawsze i nigdy nie miało niczego, co mógłbyś nazwać rządem. Wszyscy robią to, co każą im robić jasnowidze.

- Czy spotkałeś kiedykolwiek jednego z owych jasnowidzów? - zaciekał się Beldin.

- Jednego - młodą kobietę z bandażem na oczach.

- Jak mogła czytać z gwiazd skoro była ślepa?

- Nie powiedziałem, że była ślepa, stary. Najwyraźniej zdejmowała bandaż, gdy chciała czytać z Księgi Niebios. Dziwna była z niej dziewczyna, ale Dalowie jej słuchali - choć to, co mówiła, nie miało dla mnie zbyt wiele sensu.

- Tak zwykle bywa z ludźmi, którzy udają, że potrafią widzieć przyszłość - zauważył Beldin. - Mówienie zagadkami to bardzo dobry sposób, by ustrzec się przed mianem oszusta.

- Nie sędzę, aby byli oszustami, Beldinie - nie zgodził się Belmakor. - Dalowie mówili mi, że jasnowidz nigdy nie pomylił się, przepowiadając przyszłość. Jasnowidze myślą w kategoriach epok. Druga epoka rozpoczęła się, gdy Torak rozłupał świat.

- To było godne uwagi wydarzenie - powiedziałem. - Alornowie zaczęli od tego dnia liczyć swój kalendarz. Sędzę, że obecnie mamy rok około sto trzydziesty ósmy.

- Głupota! - parsknął Beldin.

- Mają przynajmniej o czym myśleć poza wszczynaniem utarczek ze swymi sąsiadami.

Przybiegła wilczyca.

- Ktoś zastanawia się, kiedy przyjdiesz do domu - rzekła do mnie z naciskiem.

- Jest nieznośna niemal jak żona - zauważył Beldin.

Wilczyca wyszczerzyła na niego kły. Nigdy nie byłem pewny, ile rozumiała z tego, co mówiliśmy.

- Wracasz do Mallorei? - zapytałem Belmakora.

- Nie sędzę, stary. Chyba zajrzę do Maragów. Lubię Maragów.

- No cóż, ja wracam do Mallorei - powiedział Beldin. - Nadal pragnę się dowiedzieć, kto jest trzecim uczniem Toraka i wolę mieć oko na Belzedara, jeśli potrafię go upilnować. Wystarczy, że się odwrócę, a wymyka mi się - spojrzał na mnie. - A co ty masz zamiar robić?

- Teraz wracam do domu - nim moja przyjaciółka zatopi mi kły w nodze i zaciągnie tam.

- Myślałem w bardziej ogólnych kategoriach, Belgaracie.

- Nie jestem pewny. Myślę, że jakiś czas zostanę tutaj, dopóki Mistrz nie wynajdzie mi innego zajęcia.

- A zatem - odezwała się do mnie wilczyca - idziesz do domu, czy nie?

- Idę, moja droga - odparłem, wzdychając i przewracając oczyma.

W Dolinie zrobiło się pusto po odejściu Belsambara. Beldin i Belzedar byli w Mallorei, a Belmakor przebywał wśród Maragów, zabawiając maraskie kobiety, byłem tego pewny. Według niepisanej

umowy, bliźnięta zawsze pozostawały blisko Aldura. Zwyczaj ów ustalili się po tym, jak Torak ukradł Glob Mistrza. W ciągu następnych kilku stuleci kręciłem się trochę po okolicy. Nadal trzeba było co jakiś czas aranżować małżeństwa - i morderstwa.



Szokuje to was? Nigdy nie rościłem sobie pretensji do świętości, a na świecie nie brakowało niewygodnych ludzi. Nie mówiłem Mistrzowi o swych poczynaniach, ale on też nigdy o to nie pytał. Nie mam zamiaru marnować swego czasu, ani waszego, na niezdarne wykręty. Kierowała mną Konieczność, więc robiłem, co było konieczne.



Lata płynęły. Moje trzytysięczne urodziny minęłyby i nawet bym tego nie zauważył, gdyby wilczyca mi o nich nie przypomniała. Zawsze pamiętała o moich urodzinach, co było bardzo dziwne. Wilki liczą czas upływem pór roku nie lat, ale ona ani razu nie zapomniała o tym dniu, który dla mnie już od dawna nie miał znaczenia.

Tego ranka wygramoliłem się z łóżka ledwo widząc na oczy. Wraz z bliźniakami świętowaliśmy coś poprzedniego wieczoru. Wilczyca siedziała z tym swoim głupio wywalonym jęzorem i obserwowała mnie. Nie jest to dobry początek dnia, kiedy ktoś nas wyśmiewa od samego świtu.

- Paskudnie cuchniesz - zauważyła.
- Proszę, przestań - powiedziałem. - Nie czuję się najlepiej tego ranka.
- Nadzwyczajne. Wczorajszego wieczoru miałeś wyśmienite samopoczucie.
- To było wtedy, a nie teraz.
- Ktoś jest ciekaw, czemu to sobie robisz. Wiesz, że rano będziesz niezdrów.
- To zwyczaj - z biegiem lat przekonałem się, że najlepszą metodą było zwalanie wszystkiego na zwyczaj.
- Rozumiem. No cóż, skoro to zwyczaj, to chyba nie ma powodu do zmartwienia. Jesteś dziś starszy, wiesz?

- Czuję się dziś o wiele, wiele starszy.
 - Dawno temu przyszedłeś tego dnia na świat.
 - Znowu moje urodziny? Już? Gdzież podziewa się ten czas?
 - Za nami lub przed nami. To zależy, w którą stronę spojrzysz.
- Dacie wiarę, że takie spostrzeżenie pochodziło od wilka?
- Jesteś ze mną już szmat czasu.
 - Czymże jest czas dla wilka? Wszystkie dni są do siebie podobne.
 - O ile sobie przypominam, spotkaliśmy się na trawiastych równinach północy, nim świat został rozbity.
 - Tak, to było wtedy.
- Poczyniłem w myślach szybkie wyliczenia.
- Około tysiąca moich urodzin minęło od tamtego czasu.
 - I co?
 - Czy normalnie wilki żyją tak długo?
 - Ty jesteś wilkiem - czasami - i żyjesz tak długo.
 - To co innego. Jesteś niezwykłym wilkiem.
 - Dziękuję. Ktoś myślał, że nigdy tego nie zauważysz.
 - To naprawdę zdumiewające. Nie mogę uwierzyć, aby wilk mógł żyć tak długo.
 - Wilki żyją tak długo, jak długo zechcą - prychnęła. - Ktoś byłby bardziej zadowolony, gdybyś zrobił coś ze swoim zapachem - dodała.



Widzisz, Polgaro, nie ty pierwsza to zauważyłaś.



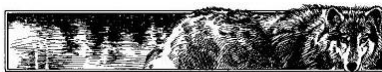
Kilka lat potem zdarzyło mi się z jakiegoś powodu, którego już dawno nie pamiętam, znowu zmienić postać. Nie potrafię sobie przypomnieć nawet, w co się zmieniłem, ale kojarzę, że była wczesna wiosna i złociste promienie słońca wpadały przez otwarte okno mojej wieży, zalewając swym jasnym światłem pozostałości po dawno zapomnianych doświadczeniach, sterty książek i zwojów piętrzących się pod ścianami. Myślałem, że wilczyca śpi, gdy to robiłem, ale powinienem ją lepiej

znać. Nic z tego, czym się zajmowałem, nigdy nie umknęło uwagi mej towarzyszki.

Wilczyca usiadła. Jej złociste oczy błyszczały w blasku słońca.

- A więc tak to robisz - powiedziała. - Jakież to proste.

I natychmiast zmieniała się w białą sowę.






Od tamtej pory niewiele zaznałem spokoju. Nigdy nie wiedziałem, czyje spojrzenie napotkam, gdy się odwrócę - wilka, sowy, niedźwiedzia czy motyla. Poledra zdawała się znajdować wielką przyjemność w zaskakiwaniu mnie, ale w miarę upływu czasu coraz częściej ukazywała się mi w postaci sowy.

- O co chodzi z tymi sowami? - burknąłem któregoś dnia.


- Lubię sowy - wyjaśniła, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. - Podczas mej pierwszej w życiu zimy, gdy byłam młodym i głupim stworzeniem, goniłam zającą, grzęznąc w śniegu jak szczenię. Wielka biała sowa runęła z góry i porwała zającą niemal wprost z mej paszczy. Zniosła go na pobliskie drzewo i zjadła, zrzucając mi nędzne resztki. Pomyślałam wówczas, że dobrze byłoby być sową.

- Głupota - parsknąłem.

- Być może - odparła uprzejmie, gładząc dziobem pióra w ogonie - ale to mnie bawi. Być może pewnego dnia inna postać wyda mi się jeszcze bardziej zabawna.



Ci z was, którzy znają moją córkę, wiedzą teraz, skąd wziął się u niej pociąg do tej konkretnej postaci. Ani Polgara, ani moja żona nie chcą powiedzieć, jak porozumiewały się w ciągu tych straszliwych lat, gdy sądziłem, że straciłem Poledrę na zawsze; najwyraźniej jednak to czyniły i tym sposobem przeniosło się upodobanie Poledry do sów. Ale uprzedzam bieg wydarzeń.



Następne kilka stuleci upłynęło spokojnie. Nadaliśmy już bieg większości spraw, by wszystko było przygotowane, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Zgodnie z tym, czego się spodziewałem, Tol Nedrane spaliło się do fundamentów i moje zabiegi w sprawie patriarchy rodu Honethów opłaciły się. Jeden z jego potomków, ważny notabl w ówczesnych czasach, czuł pociąg do kamieniarstwa. O odziedziczenie tego zamiłowania w jego rodzinie wszak starannie zadbałem. Po tym, jak na jego oczach Tol Nedrane obróciło się w popiół, przekonał innych ojców miasta, że kamień nie spłonie tak szybko, jak drewniane bale i strzecha. Jednakże był cięższy niż drewno, więc przed przystąpieniem do budowy kamiennych domów musieli umocnić podmokłe grunty wyspy na rzece Nedrane. Pomimo głośnych protestów przewoźników, zbudowali dwa mosty, jeden łączący z południowym brzegiem Nedrane, a drugi z północnym.

Po wypełnieniu mokradeł kamiennym gruzem, zabrali się do właściwej pracy. Jeśli mam być całkowicie szczery, to nie dbaliśmy wcale o to, czy mieszkańcy Tol Honeth żyją w domach z kamienia, czy w chatkach z papieru. Dla nas ważna była praca zbiorowa. Zespoły budowlane stanowiły zaczątek legionów, potrzebnych nam później. Kamień budowlany jest zbyt ciężki dla jednego człowieka - chyba że posiada on umiejętności moich braci i moje. Typowa drużyna robotników, składająca się z dziesięciu ludzi, ostatecznie stała się podstawowym oddziałem. Gdy musieli przemieścić większe kamienie, łączyli się po dziesięć drużyn - tworząc typową kompanię. A kiedy przyszło im ułożyć owe ogromne głazy pod fundamenty, grupowali się po sto drużyn - tworząc legion.

Musieli nauczyć się współpracować ze sobą, aby wykonać określone zadanie, i słuchać rozkazów nadzorców. Jestem pewny, że pojmujecie, w czym rzecz. Mój Honethit został głównodowodzącym całej operacji. Nadal jestem z niego w pewnym sensie dumny - choć był Honethem.

W owym czasie Tolnedra nie była tak cywilizowana jak dzisiaj, jeśli można Ce'Nedre nazwać cywilizowaną. W każdym społeczeństwie zawsze znajdują się ludzie, którzy wolą zabrać innym to, czego pragną, niż na tę rzecz zapracować, i Tolnedra nie była w tym względzie

wyjątkiem. Po okolicach wałęsały się bandy włóczęgów. Pewnego razu jedna z nich próbowała przekroczyć południowy most, aby złupić Tol Nedrane. Mój kamieniarz polecił swej grupie robotników rzucić narzędzia i chwycić za broń. Reszta, jak to mówią, jest historią. Mój protegowany w lot pojął, co stworzył, i tak zrodziło się marzenie o imperium.

Kiedy ów kamieniarz rozszerzył swą kontrolę nad okolicą do dwudziestu mil w każdym kierunku, zmienił nazwę rodzinnego miasta na Tol Honeth, a siebie samego mianował Ranem Honethem I, cesarzem całej Tolnedry - tytuł nieco na wyrost dla człowieka, którego „cesarstwo” miało powierzchnię zaledwie czterystu mil kwadratowych, ale zapewniam was, że to był dopiero początek. Byłem zadowolony ze sposobu, w jaki to wszystko się ułożyło.

Nie miałem jednakże czasu spokojnie się tym nacieszyć, gdyż właśnie wówczas wybuchła wojna domowa w Arendii. Sporo pracy włożyłem w tę krainę i nie chciałem, by rody założone z takim trudem zostały starte z powierzchni ziemi w trakcie tych igraszek. Trzy główne miasta Arendii, Vo Mimbre, Vo Wacune i Vo Astur, powstały dość wcześnie. Każdym z nich i otaczającym go terytorium rządził książę. Nie jestem pewny, czy Arendom przyszedłby do głowy pomysł, by mieć jednego króla, gdyby nie przykład pierwszej dynastii Honethów powstałej na południu. Nie upłynęło wiele czasu, gdy książę Vo Astur nadał ostateczny kształt wewnętrznemu konfliktowi proklamując siebie królem Arendii.

Jednakże już sama wojna domowa była wystarczająco kłopotliwa. W każdym z trzech księstw założyłem rody i moim głównym zmartwieniem było niedopuszczenie, by stanęły przeciwko sobie na polu walki. Gdyby przodek Mandorallena zabił przodka Lelldorina na przykład, to nigdy nie udałoby mi się doprowadzić do pokoju pomiędzy nimi.

Na dodatek stada hrulginów i sfory algothów co jakiś czas robiły wypadki do wschodniej Arendii w poszukiwaniu czegoś - lub kogoś - do jedzenia, powiększając panujący tu zamęt. Ulgosi skryli się w jaskiniach, a tym samym na terenie siedlisk owych potworów zabrakło ich ulubionego pożywienia.

Zobaczyłem to na własne oczy, gdy niby to prowadziłem barona Vo Mandor, przodka Mandorallena, na pole bitwy. Nie chciałem, aby tam dotarł, więc zabrałem go okrężną drogą. Byliśmy w pobliżu ulgoskiej granicy, gdy zaatakowały nas algothy.

Baron Mandorin był Mimbrantem do szpiku kości. Zarówno on, jak i jego wasale zakuci byli w zbroje, które chroniły przed jadowitymi pazurami algothów.

Mandorin zakrzyknął na swych wasali, opuścił przyłbicę, nastawił kopię i ruszył do ataku.

Niektóre cechy są dziedziczne.

Odwaga algothów jest odbiciem odwagi sfory, nie pojedynczych osobników, więc gdy Mandorin i jego ludzie zaczęli zabijać algothy, bojowość sfory poczęła słabnąć. W końcu uciekły z powrotem do lasu.

Mandorin uśmiechnął się szeroko, gdy podniósł przyłbicę.

- Zabawne spotkanie, prastary Belgaracie - powiedział wesoło. - Azali ich brak ducha pozbawił nas większości uciechy.

Arendowie!

- Lepiej przekaz wieści o tym incydencie, Mandorinie - rzekłem. - Niech wszyscy w Arendii wiedzą, że potwory z Ulgolandu zapuszczają się w te lasy.

- Powiadomię wszystkich Mimbre - obiecał. - Bezpieczeństwo Wacitów i Asturian nie leży mi na sercu.

- To twoi rodacy, Mandorinie. Już choćby z tego powodu powinienes poczuwać się do ostrzeżenia ich.

- Wrogami mymi są - upierał się.

- Ale są ludźmi. Przyzwoitość nakazuje ich uprzedzić, a ty jesteś przyzwoitym człowiekiem.

To do niego przemówiło. Chwilę jeszcze stał zasepiony, potem jednak oblicze Mandorina rozpogodziło się.

- Stanie się, jako rzekłeś, prastary - obiecał. - Azali zaprawdę koniecznym nie będzie.

- A to dlaczego?

- Gdy tylko zakończymy sprawy z Asturianami, wraz z kilkoma kompaniami wyprawię się w góry Ulgolandu. Tuszę, iż wytepienie owych nieznośnych stworzeń wielkim trudem nie będzie.

Sam Mandorallen nie ująłby tego inaczej.

Około piętnastu wieków po rozbiciu świata Beldin wrócił z Mallorei, aby opowiedzieć nam o Toraku i jego Angarakach. Belmakor porzucił uciechy w Maragorze i dołączył do nas, nadal jednak nie było śladu Belzedara. Zebraliśmy się w wieży Mistrza i zajęliśmy swe zwykłe miejsca. Myślę, że wszystkich nas niepokoił pusty fotel Belzedara.

- Przez jakiś czas w Mallorei panował absolutny chaos - relacjonował Beldin. - Grolimowie z Mal Yaska wybierali swe ofiary niemal wyłącznie spośród oficerów armii, a generałowie aresztowali i tracili każdego Grolima, który im wpadł w ręce, oskarżając ich o wszelkiego rodzaju przestępstwa. W końcu Torak zorientował się, co się dzieje, i położył temu kres.

- Szkoda - mruknął Belmakor. - Co zrobił?

- Wezwał dowódców i hierarchów Grolimów do Cthol Mishrak i postawił im ultimatum. Powiedział, że jeśli nie zaprzestaną swej skrytej wojny, to mogą pakować się i przenosić do Cthol Mishrak, gdzie będzie ich miał na oku. To przemówiło do Grolimów natychmiast. W Mal Zeth i Mal Yaska mogli żyć we względnej autonomii, a i klimat w tych miastach nie był wcale taki zły. Cthol Mishrak było niczym przedproże Piekieł. Leżało na południowym krańcu polarnych bagnisk i było wysunięte tak daleko na północ, że dni trwały zimą jedynie około dwóch godzin - jeśli w ogóle to, co następowało po świcie, można było nazwać dniem. Torak spowił to miejsce wiecznymi chmurami, więc światło nigdy tak naprawdę nie miało do niego dostępu. Cthol Mishrak znaczy Miasto Wiecznej Nocy i bardzo trafnie opisuje to miejsce. Słońce nigdy nie dociera do ziemi, więc rosną tam jedynie grzyby.

Beltira wzdrygnął się.

- Czemu to uczynił? - zapytał zbity z tropu.

- Kto wie, dlaczego Torak cokolwiek robi? - wzruszył ramionami Beldin. - Jest szalony. Może próbuje ukryć swą twarz. Myślę jednak, że tym, co ostatecznie doprowadziło do opamiętania generałów

i Grolimów, był fakt, że w Cthol Mishrak rządził uczeń Ctuchik. Spotkałem Urvona. Samym spojrzeniem potrafił zmrozić krew w wężu. Ctuchik uchodzi za jeszcze gorszego.

- Dowiedziałeś się, kto jest trzecim uczniem? - zaciekałem się.

Beldin pokręcił głową.

- Nikt nie chce o nim mówić. Odniosłem wrażenie, że nie jest Angarakiem.

- To bardzo nie pasuje do mego brata - powiedział w zadumie Aldur. - Torak ma pozostałe rasy ludzkie w najgłębszej pogardzie.

- Mogę się mylić, Mistrzu - przyznał Beldin - ale sami Angarakowie wydają się przekonani, że to nie jest nikt spośród nich. W każdym razie strach przed powrotem do Cthol Mishrak otworzył łagodniej nastawioną część duszy Urvona, który rządził w Mal Yaska. Niemal natychmiast zaczął czynić pokojowe zabiegi względem generałów.

- Czy Urvon rzeczywiście ma tyle autonomii? - zapytał Beltira.

- W zasadzie tak. Torak jest skoncentrowany na Globie i administracyjne detale pozostawia swym uczniom. Ctuchlik sprawuje władzę absolutną w Cthol Mishrak, a Urvon zasiada na tronie w Mal Yaska. Ubóstwia być wielbiony. Następnym centrum władzy w Mallorei jest Mal Zeth. Logika podpowiada, że tam przebywa trzeci uczeń Toraka - prawdopodobnie działa za kulisami. W każdym razie, gdy tylko Urvon i generałowie obwieścili między sobą pokój, Torak przykazał im pilnować się i odesłał do domów. Szczegóły wypracowali później. Grolimowie mają absolutne wpływy w Mal Yaska, a generałowie w Mal Zeth. Pozostałymi miastami i okręgami rządzą wspólnie. Żadnej ze stron to się za bardzo nie podoba, ale nie mają wyboru.

- Czy tak teraz wyglądają sprawy? - zagadnął Belkira.

- Trochę posunęły się do przodu. Gdy tylko generałowie pozbyli się Grolimów, mogli bez przeszkód skierować swą uwagę na Karandów.

- Wstrętne bydlęta - zauważył Belmakor. - Gdy pierwszy raz zobaczyłem jednego z nich, nie byłem w stanie uwierzyć, że to człowiek.

- Teraz trochę się ucłowieczyli - powiedział Beldin. - Angarakowie zaczęli mieć kłopoty z Karandami niemal zaraz po przybyciu do Gór Dalazjańskich. Karandowie tworzyli coś w rodzaju luźnej konfederacji siedmiu królestw w północnej ćwiartce kontynentu. Nowy ocean Toraka wprowadził radykalne zmiany w tamtejszym klimacie. Karanda znajdowała się w środkowym okresie zlodowacenia - sporo śniegu, lodowce i tym podobne rzeczy, ale cała ta para, która wydobyła się z rozpadliny w skorupie ziemi, stopiła wszystko niemal przez noc. Kiedyś był tam strumień zwany Magan, który spływał meandrami z Gór Karandaskich na południowy wschód, by w końcu wpaść do oceanu w Gandaharze. Gdy wszystkie lodowce stopniały jednocześnie, strumyk przestał być taki łagodny. Wyżłobił ogromną bruzdę przez trzy czwarte kontynentu. To zmusiło Karandów do poszukiwania miejsc wyżej położonych. Na nieszczęście takie ziemie znajdowały się na terenach, które Angarakowie uważali za swoje.

- Nie nazwałbym tego takim wielkim nieszczęściem - powiedział Belmakor. - Jeśli Angarakowie są zajęci Karandami, to nie będą się nam naprzykrzać.

- Nieszczęście przyszło później - rzekł Beldin. - Dopóki generałowie handryczyli się z Grolimami, nie mieli czasu zajmować się Karandami. Gdy jednak Torak rozwiązał ten problem, generałowie skierowali swą armię ku granicom karandyjskiego Królestwa Palli, a potem na nie najechali. Karandowie nie byli w stanie stawić im czoła i w ciągu miesiąca Pallia została podbita. Grolimowie zaczęli już ostrzyć swe noże, ale generałowie pragnęli pozostawić Pallię w spokoju - oczywiście musiałyby płacić haracz. Zaproponowali, aby Karandów z Palli nawrócić na wiarę Toraka. Grolimowie wpadli w szal. W ich przekonaniu inne rasy ludzi nadawały się jedynie na niewolników lub ofiary. Mówiąc krótko, Torak przemyślał to i ostatecznie stanął po stronie wojskowych. Ich rozwiązanie przysporzy mu więcej wiernych i da Torakowi o wiele większą armię, w razie gdyby Belar znalazł kiedyś sposób na przeprowadzenie swych Alornów na kontynent Mallorei. Z jakiejś przyczyny Alornowie denerwowali go.

- Na mnie też tak działają - odezwał się Belmakor. - Być może wiąże się to z faktem, iż wpadają w szal przy najmniejszej prowokacji.

- Torak posunął się jeszcze dalej - ciągnął Beldin. - Sama Pallia go nie zadowalała. Rozkazał Grolimom wyruszyć i nawrócić całą Karandę. - Pragnę mieć ich wszystkich - powiedział Grolimom. - Cały lud niezmierzonej Mallorei winien się mnie pokłonić, a jeśli któryś z was uchyli się od tej odpowiedzialności, poczuje me niezadowolenie z całą ostrością. Przekonał tym Grolimów, którzy ruszyli nawracać pogan.

- To niepokojące - rzekł Aldur. - Dopóki mój brat miał tylko swych Angaraków, z łatwością mogliśmy dorównać mu liczebnością. Wszakże decyzja Toraka o przyjęciu i innych ras zmienia naszą sytuację.

- Nie bardzo mu się powiodło, Mistrzu - zapewnił Beldin. - Torakowi udało się nawrócić Karandów w przeważającej mierze dlatego, że jego armia górowała na tymi wyjątkimi barbarzyńcami, ale gdy generałowie Toraka dotarli do granic imperium Melceny, wpadli wprost na jazdę słoni. Mówiono mi, że zrobiło się straszne zamieszanie. Generałowie wycofali się i w zamian natarli na Dalazję - spojrzał na Belmakora. - Zdawało mi się, że wspomniałeś, iż Dalowie mają tam miasta.

- Mieli, przynajmniej wówczas, gdy byłem u nich ostatnim razem.

- No cóż, teraz nie istnieje tam już żadne miasto, poza oczywiście Kell. Gdy Angarakowie wkroczyli do Dalazji, zastali jedynie wioski z lepiankami.

- Dlaczego mieliby zrobić coś podobnego? - zapytał zbity z tropu Belmakor. - Mieli piękne miasta. Tol Honeth wygląda przy nich jak wielka rudera.

- Istniały ku temu powody - zapewnił go Aldur. - Zniszczenie miast było fortem, który miał przeszkodzić Angarakom w odkryciu, jacy naprawdę byli przemyślni.

- Według mnie wcale nie wyglądali na przemyślnych - powiedział Beldin. - Nadal orzą swe pola tyczkami, a potulni są niemal jak baranki.

- To również fortel, synu.

- Angarakowie nie mieli żadnych kłopotów z nawróceniem ich, Mistrzu. Chęć posiadania Boga po tych wszystkich tysiącletniach, nawet takiego jak Torak, sprawiła, że nawracali się całymi tysiącami. Czy to także udawali?

Aldur skinął głową.

- Dalowie posuną się do wszystkiego, by ukryć swe prawdziwe cele przed niewykształconymi.

- Czy generałowie próbowali wrócić do imperium Melcenów? - zapytał Belmakor.


- Nie - odparł Beldin. - Gdybyś widział kilka batalionów zdeptanych przez słonie, zrozumiałbyś to. Angarakowie i Melceni handlują trochę między sobą, ale na tym ich kontakty się kończą.


- Mówiłeś, że spotkałeś Urvona - powiedział Belkira. - Czy było to w Cthol Mishrak, czy Mal Yaska?

- Mal Yaska. Trzymałem się z dala od Cthol Mishrak z powodu chandimów.

- Kim są chandimy? - zaciekałem się.

- Byli kiedyś Grolimami. Teraz są psami - wielkimi jak konie. Niektórzy nazywają je „psami Toraka”. Patrolują okolicę wokół Cthol Mishrak, węsząc za intruzami. Pewnie szybko wpadłyby na mój trop. Byłem na krańcach Mal Yaska, gdy wypatrzyłem nadchodzącego ze wschodu Grolima. Poderżnąłem mu gardło, ukradłem szatę i wśliznąłem się do miasta. Myszkowałem po świątyni, gdy zaskoczył mnie Urvon. Od razu zorientował się, że nie byłem Grolimem, z miejsca poznając się na mych nadzwyczajnych talentach, kapujesz? - Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przeszedł na gwarę chłopów pańszczyźnianych z północnej Arendii. Być może zrobił tak, gdyż wiedział, że mnie to drażni.


Nieważne. Wyjaśnienie tego zajęłoby mi zbyt wiele czasu.



- Jego pojawienie się nieco mnie zaskoczyło - ciągnął dalej mój karłowaty brat. - Był jednym z tych pokrytych plamami ludzi, jakich widuje się tu i ówdzie. Angarakowie mają śniadą cerę - przypominają pod tym względem nieco Tolnedran - ale ciało Urvona było pokryte dużymi plamami chorobliwie bladej skóry. Przypominał srokatego konia. Zaczął mi wygrażać, strasząc wezwaniem straży, ale na odległość załatywało od niego strachem. Odebraliśmy bardziej wszechstronne

wykształcenie od tego, jakie Torak dał swym uczniom i Urvon wiedział, że nad nim góruję - oczywiście mówiąc w przenośni. Nie spodobał mi się zbytnio. Pokonałem Urvona swym urokiem oraz dlatego, że pochwyciłem go i cisnąłem kilkakrotnie o ścianę. Gdy usiłował odzyskać oddech, powiedziałem, że jeśli piśnie lub ruszy się, to wypruję mu flaki rozgrzanym do białości hakiem. Potem, dla potwierdzenia swych słów, pokazałem hak.

- Skąd wzięłeś hak? - zapytał Beltira.

- Stąd - Beldin wyciągnął swą sękatą rękę, pstryknął palcami i w jego dłoni pojawił się rozżarzony hak. - Czyż nie jest uroczy? - potrząsnął palcami i hak zniknął. - Urvon najwyraźniej mi uwierzył, choć trudno to stwierdzić z całkowitą pewnością, ponieważ z miejsca zemdłał. Przemknęło mi przez myśl, by powiesić go na moim haku na krokwi, ale uznałem, że przybyłem po to, by się wszystkiemu przyjrzeć, a nie profanować świątynie, więc zostawiłem Urvona rozciągniętego na podłodze i udałem się z powrotem za miasto, gdzie powietrze było czystsze. W świątyniach Grolimów panuje specyficzny odór - przerwał i podrapał się energicznie pod pachą. - Myślę, że lepiej, abym przez jakiś czas trzymał się z dala od Mallorei. Urvon rozwiesił mój rysopis na wszystkich drzewach. Wielkość nagrody schlebia mi, ale sądzę, że poczekam, aż sprawy nieco przycichną, zanim tam wrócę.

- Słusznie - mruknął Belmakor, po czym roześmiał się bezradnie.

Kilka tygodni później moje życie gruntownie się zmieniło. Byłem pochylony nad stołem do pracy, gdy moja towarzyszka wleciała przez okno, które za jej namową zostawiałem otwarte, przysiadła na ulubionym krześle i wróciła do wilczej postaci.

- Myślę, że odejdę na jakiś czas - oznajmiła.

- Tak? - zapytałem ostrożnie.

Spojrzała na mnie. Jej złociste oczy nawet nie mrugnęły.

- Myślę, że chciałabym rozejrzeć się znowu po świecie.

- Rozumiem.

- Myślę, że świat się bardzo zmienił.

- Możliwe.

- Pewnego dnia mogę wrócić.

- Mam nadzieję.

- A zatem, żegnaj - powiedziała, ponownie przybrała postać sowy, machnęła skrzydłami i mej towarzyszki już nie było.

Jej obecność w ciągu tych lat była czasami dla mnie utrapieniem, ale stwierdziłem, że bardzo za nią tęsknię. Nieraz odwracałem się, aby coś jej pokazać i zdawałem sobie sprawę, że mojej przyjaciółki już ze mną nie ma. Za każdym razem czułem dziwną pustkę i smutek. Tak długo była częścią mego życia, iż odnosiłem wrażenie, że towarzyszyła mi od zawsze.

Potem, jakieś kilkanaście lat później, Mistrz wezwał mnie i polecił udać się na daleką północ, bym przyjrzał się Morindimom. Ich praktyki wywoływania demonów zawsze Aldura interesowały i zdecydowanie nie chciał, aby nabrali w tym zbyt wielkiej biegłości.

Morindimowie byli - i pewnie nadal są - o wiele bardziej prymitywni niż ich kuzyni, Karandowie. Jedni i drudzy czczą demony, ale Karandowie potrafili wieść, przynajmniej pozornie, normalne życie. Morindimowie nie umieli tego - lub nie chcieli.

Klany i plemiona Karandy dla wspólnego dobra złagodziły dzielące je różnice, głównie dlatego, że wodzowie mieli większą władzę niż czarownicy. U Morindimów było na odwrót, a każdy czarownik to nadęty zarozumialec, który uznawał istnienie innych czarowników za osobistą obrazę. Morindimowie byli nomadami o prymitywniej strukturze plemiennej i czarownicy ograniczali ich życie rytuałami i mistycznymi wizjami. Mówiąc otwarcie, Morindimowie żyli w nieustannym strachu.

Udałem się przez Alornię do północnego pasma gór, w którym teraz znajduje się Gar og Nadrak. Belsambar zapoznał nas ze zwyczajami tych dzikusów, gdy dawno temu powrócił z wyprawy w tamte strony, więc mniej więcej wiedziałem, jak upodobnić się do Morindima. Ponieważ chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o ich praktykach wywoływania demonów, uznałem, że najlepszym sposobem będzie zostać uczniem jednego z czarowników.

Przez jakiś czas przebywałem na skraju ich rozległej, podmokłej równiny, by przyciemnić sobie skórę i ozdobić imitacją tatuaży. Potem,

gdy już odziałem się w skóry i przystroiłem piórami, wyruszyłem na poszukiwanie czarownika.

Przezornie część mojego przebrania stanowiły symbole poszukiwacza - opaska na głowę z białego futra i dyndająca na niej czerwona włócznia - gdyż Morindimowie uważają, że przeszkadzanie poszukiwaczowi przynosi nieszczęście. Choć raz czy dwa zdarzyło mi się ratować magią, aby przekonać ciekawskiego lub wojowniczo nastawionego, by zostawił mnie w spokoju.

Po tygodniu spędzonym na tych pustkowiach natknąłem się na odpowiedniego kandydata na nauczyciela. Poszukiwacz zwykle ma aspiracje, by zostać czarownikiem. Gdy przechodziłem przez jeden z niezliczonych strumieni, które przemierzały arktyczne pustkowie, zagadnął mnie krzepki facet w nakryciu głowy z czaszek.

- Nosisz znak poszukiwacza - powiedział tonem wyzwania, gdy staliśmy w wodzie po uda na środku lodowatego strumienia.

- Tak - odparłem z rezygnacją w głosie. - Nie prosiłem o to. Po prostu mnie naszło.

Zdaje mi się, że pokora i nonszalancja są cechami młodości.

- Opowiedz mi o swej wizji.

Pospiesznie oceniłem tego barczystego, włochatego i dość cuchnącego czarownika. Niewiele było tak naprawdę do oceniania.

- To zdarzyło się we śnie - rzekłem. - Zobaczyłem króla Piekieł, który przykucnął na węglach piekielności. Przemówił do mnie i powiedział, abym przemierzył wzdłuż i wszerz Morindicum w poszukiwaniu tego, co zawsze było ukryte. Teraz właśnie szukam.

Oczywiście był to czysty bełkot, ale myślę, że określenie „piekielność”, które na poczekaniu wymyśliłem, przemówiło do niego.

Zawsze radziłem sobie ze słowami.

- Abyś przetrwał owo poszukiwanie, przyjmę cię na swego ucznia - i niewolnika.

Zdarzały mi się lepsze propozycje, ale postanowiłem nie targować się. Byłem tu, aby się uczyć, nie walczyć ze złymi manierami.

- Wydajesz się niechętny - zauważył.

- Nie jestem najmądrzejszym z ludzi, Mistrzu - przyznałem. - Mam niewielką biegłość w magii. Szczęśliwszy będę, jeśli tym brzemieniem obarczysz innego.

- Jednakże do ciebie należy jego dźwiganie - wrzasnął na mnie. - Spójrz na dar, który mogę ofiarować. - Płonącym palcem wskazującym wywołał na powierzchni wody wizerunek, najwyraźniej nie zważając na to, iż wartki nurt strumienia poniósł go, nim skończył kreślenie rysunku.

Wywołał demona Pana, jednego z uczniów króla Piekieł. Gdy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że to był Mordja. Wiele lat później spotkałem Mordję, i wydawał mi się trochę znajomy.

- Cóżeś uczynił? - zapytał Mordja swym okropnym głosem.

- Wezwałem cię, abys był mi posłuszny - oznajmił mój przyszły nauczyciel, nie bacząc na fakt, że wywołany przez niego wizerunek oddalił się już pół mili w dół strumienia.

Mordja, jeśli to był on - roześmiał się.

- Spójrz na lustro wody, głupcze - powiedział. - Nie jest już dla ciebie osłoną. Toteż... - Wyciągnął ogromną, łuskowatą rękę, pochwycił mego „Mistrza” i odgryzł czarownikowi głowę. - Trochę cienki - zauważył, zgniatając czaszkę i mózg w swych straszliwych zębiskach. Niedbale odrzucił nadal drgające zwłoki i zwrócił na mnie zgubne spojrzenie swych oczu.

W tym momencie dość pospiesznie oddaliłem się z tego miejsca.

W końcu znalazłem mniej popisującego się czarownika, który zgodził się przyjąć mnie do siebie. Był bardzo stary, co stanowiło zaletę, ponieważ od ucznia czarownika wymaga się, by pozostał niewolnikiem swego „Mistrza” do końca jego życia. Czarownik mieszkał samotnie na zwirowym brzegu jednego ze strumieni w kopulastym namiocie ze skór woła piżmowego. Wokół namiotu leżały resztki z kuchni, jako że miał zwyczaj wyrzucać śmieci przed swą siedzibę, zamiast je zagrzebywać. Brzeg porośnięty był zaroślami spowitymi latem w chmary komarów.

Czarownik mamrotał coś bez sensu, ale zrozumiałem, że jego klan został wyniszczony w jednej z tych wojen, które wciąż wybuchały między Morindimami.

Od tamtego czasu datuje się moja pogarda dla „magii”, będącej przeciwieństwem tego, co my robiliśmy. Magia wymaga wiele bezsensownego mamrotania, tanich jarmarcznych trików i symboli rysowanych na ziemi. Oczywiście nic z tego nie jest naprawdę konieczne; ale Morindimowie w to wierzą, a ich wiara sprawia, że staje się tak w istocie.

Mój cuchnący stary „Mistrz” rozpoczął od chochlików - paskudnych karzełek sięgających nam do kolan. Gdy to już opanowałem, przeszedłem do diabłów, a potem ponownie do straszdeł. Po kilku latach w końcu uznał, że byłem gotowy, by spróbować swej ręki na w pełni wyrośniętym demonie. Z mrozącą niedbałością uprzedził mnie, iż pewnie nie przeżyję tej próby. Po tym, co stało się z moim pierwszym „Mistrzem”, doskonale wiedziałem, o czym myślał.

Przebrnąłem przez te wszystkie nonsensowne rytuały i przywołałem demona. Nie był to bardzo duży demon, ale dla mnie wystarczający. Cały sekret z demonami polega na tym, aby nadać im kształty wymyślone przez siebie, a nie ich naturalne postaci. Dopóki będą uwięzione w wyobrażonych przez nas kształtach, muszą być nam posłuszne. Jeśli uda im się wyrwać z więzów i wrócić do swej prawdziwej postaci, wpadniemy w kłopoty.



Stanowczo odradzam wam wypróbowywanie tego.



W każdym razie udało mi się trzymać swego średnich rozmiarów demona pod kontrolą, więc nie mógł zwrócić się przeciwko mnie. Zmusiłem piekielnego stwora do wykonania kilku prostych sztuczek - zamiany wody w krew, podpalenia skały, wysuszenia akra trawy - wiecie, o jakich sztuczках mówię - a potem, ponieważ byłem już zmęczony polowaniem w celu zdobycia pożywienia, wysłałem demona z poleceniem przyniesienia kilku wołów piźmowych. Pierzchnął wyjąć i warcząc, by wrócić po półgodzinie z zapasem mięsa wystarczającym

mnie i mojemu „Mistrzowi” na miesiąc. Potem odesłałem go z powrotem do Piekieł.

Podziękowałem mu na koniec, co wprawiło demona w niemałe zakłopotanie.

Na starym czarowniku zrobiło to duże wrażenie, ale wkrótce potem rozchorował się. Pielęgnowałem go w czasie choroby najlepiej, jak potrafiłem, a gdy umarł, sprawiłem „Mistrzowi” przyzwoity pogrzeb. Wówczas uznałem, że dowiedziałem się już, ile trzeba o Morindimach. Pozbyłem się więc swego przebrania i wróciłem do domu.

W drodze powrotnej do Doliny natknąłem się w zagajniku ogromnych drzew w pobliżu małej rzeczki na domek pokryty strzechą. Stał na północnym krańcu Doliny, którą przechodziłem już wielokrotnie. Mógłbym przysiąc, że nigdy przedtem nie było tam żadnego domu. Co więcej, z całą pewnością wiedziałem, że poza mieszkańcami wień w samej Dolinie, w promieniu pięciuset lig nie było ludzkiej siedziby. Ciekawiło mnie, kto mógł zbudować chatę w tak odludnym miejscu, więc skierowałem się ku jej wejściu, by dowiedzieć się, kim byli owi twardzi pionierzy.

W domku mieszkała jedna osoba - młoda kobieta, choć może tylko na taką wyglądała. Miała brązowe włosy i oczy w niezwykłym złotym kolorze. Dziwne, nie nosiła żadnych butów. Zwróciłem uwagę na jej śliczne stopy.

Stała w wejściu, jakby się mnie spodziewała. Przedstawiłem się, informując, że jesteśmy sąsiadami. Wydawało się, iż nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia. Wzruszyłem ramionami, myśląc, że być może kobieta należy do tych ludzi, którzy wolą samotność. Miałem zamiar się pożegnać, gdy zaprosiła mnie na kolację. Dziwna rzecz, zbliżając się do chaty nie byłem szczególnie głodny, ale kiedy tylko wspomniała o jedzeniu, natychmiast poczułem wilczy apetyt.

Wnętrze domku było czyste i przytulne, pełne owych drobiazgów, po których od razu można poznać siedzibę zamieszkaną przez kobietę, w odróżnieniu od pełnych nieładu chat mężczyzn. Pomieszczenie było znacznie większe, niż sugerowałoby określenie „chata”, i choć nie powinno mnie to obchodzić, zastanawiałem się, po co jej tyle miejsca.

W oknach wisiały zasłonki, a na parapetach i błyszczącym dębowym stole stały gliniane dzbany pełne polnych kwiatów. Ogień wesoło płonął w palenisku, na którym bulgotał spory kociołek. Z kociołka i od bochenków świeżo upieczonego chleba rozchodziły się cudowne zapachy.

- Ktoś jest ciekaw, czy nie chciałbyś umyć się przed jedzeniem - zapytała delikatnie.

Jeśli mam być szczery, nawet o tym nie pomyślałem.

Kobieta zaś moje wahanie wzięła za zgodę. Napełniła mi cebrzyk ciepłą wodą, dała płócienny ręcznik i kostkę brązowego, wiejskiego mydła.

- Tam - powiedziała, wskazując na drzwi.

Wyszedłem na zewnątrz, ustawiłem cebrzyk przy drzwiach i umyłem sobie twarz i ręce. Pod wpływem impulsu zdjąłem tunikę i umyłem również tułów. Wytarłem się ręcznikiem, naciągnąłem tunikę i ponownie wszedłem do środka.

- O wiele lepiej - powiedziała z aprobatą. Potem wskazała stół. - Usiądź, przyniosę ci jedzenie.

Zdjęła glinianą misę z półki, stąpając cicho bosymi stopami po wyszorowanej do czysta podłodze. Potem przyklękła przy palenisku, napełniła naczynie i podała mi jedzenie, jakiego od lat już nie jadłem.


Jej bezceremonialne zachowanie wydawało się nieco dziwne, ale jak myślę, można je było położyć na karb skrępowania, jakie wszyscy czujemy przy spotkaniu z nieznanym.

Gdy zjadłem, pewnie więcej niż powinienem, rozmawialiśmy i stwierdziłem, że owa brązowowłosa kobieta jest niespotykane rozsądna. To znaczy, przeważnie zgadzała się z moim zdaniem.



Czy zwróciliście na to kiedykolwiek uwagę? Ocenę inteligencji innych opieramy niemal całkowicie na tym, w jakim stopniu ich sposób myślenia jest zgodny z naszym. Mam pewność, że są ludzie, którzy w znacznym stopniu nie zgadzają się ze mną w większości spraw, i jestem na tyle tolerancyjny, by przyznać, że być może

nie są kompletnymi idiotami; ale o wiele bardziej wolę towarzystwo ludzi, którzy są tego samego co ja zdania.



Jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Wynajdywałem więc wymówki, by jeszcze nie odejść. Była zdumiewająco przystojną kobietą i rozsiewała wokół siebie woń, która przyprawiała mnie o zawrót głowy. Powiedziała, że nazywa się Poledra i spodobało mi się brzmienie jej imienia. Stwierdziłem, że niemal wszystko mi się w niej podoba.

- Ktoś jest ciekaw, jak tobie jest na imię - powiedziała, gdy sama się przedstawiła.

- Belgarath - odparłem - i jestem pierwszym uczniem Boga Aldura.


- Jakie to niezwykle - zauważyła, a potem roześmiała się, trącając mnie w ramię, jakbyśmy znali się od lat.

Zamarudziłem w jej chatce kilka dni, po czym z żalem powiedziałem, że muszę wracać do Doliny, by złożyć sprawozdanie memu Mistrzowi z tego, co dzieje się na północy.


- Pójdę z tobą - rzekła. - Z tego, co mówisz, w twojej Dolinie dzieją się zdumiewające rzeczy, a ja zawsze byłam ciekawa.

Poledra zamknęła drzwi swej chaty i wróciła ze mną do Doliny.

Dziwne, mój Mistrz czekał na nas i powitał uprzejmie Poledrę. Nie mam pewności, ale zdawało mi się, że wymienili tajemnicze spojrzenie, jakby znali się i dzielili jakiś sekret.



W porządku. Nie jestem głupi. Naturalnie miałem pewne podejrzenia, ale z czasem stawały się one coraz mniej ważne i w końcu całkiem wyrzuciłem je z myśli.



Poledra wprowadziła się do mojej wieży. Nigdy tego nie omawialiśmy; po prostu zamieszkała za mną. Zdziwiło to nieco moich braci, ale gotów byłem walczyć z każdym, kto okazałby się na tyle nieokrzesany, aby sugerować, iż było w tym coś niewłaściwego. Muszę jednak przyznać, że wystawiło to moją wolę na poważną próbę, ale wytrzymałem. To zawsze z jakiegoś powodu zdawało się Poledrę bawić.

Tej zimy sporo myślałem o naszej sytuacji i ostatecznie podjąłem decyzję - decyzję, którą Poledra najwyraźniej podjęła dawno temu. Na wiosnę pobraliśmy się. Mistrz osobiście, pomimo obowiązków, jakie na nim spoczywały, pobłogosławił ten związek.

Nasze małżeństwo było szczęśliwe, pełne czułości i dodające otuchy. Nigdy nie myślałem o rzeczach, które roztropnie usunąłem ze swego umysłu, więc nic nie zaciemniało horyzontu. Ale to już jest oczywiście inna historia.



Nie poganiajcie mnie. Dojdziemy do tego - wszystko w swoim czasie.





Jestem pewny, że zrozumiecie, iż w owym czasie nade wszystko pragnąłem pokoju na świecie. Mężczyzna świeżo po ślubie ma lepsze rzeczy do robienia niż studzenie wojowniczości innych. Niestety nie minęło kilka lat od mojego ożenku, gdy wybuchła wojna pomiędzy klanami Alornów. Aldur wezwał do swej wieży bliźniaków i mnie, gdy tylko dotarła do nas wieść o tym idiotyzmie.

- Musicie się tam udać - powiedział tonem, który nie zachęcał do sprzeciwu. Mistrz rzadko nam rozkazywał, więc gdy to już czynił, słuchaliśmy go uważnie. - Sprawą zasadniczej wagi jest, aby obecny ród rządzący Alornią pozostał przy władzy. Z tej linii będzie wywodzić się ktoś o żywotnym znaczeniu dla naszej sprawy.

Perspektywa pozostawienia Poledry nie była zbyt porywająca, ale nie miałem zamiaru zabierać jej na wojnę.

- Czy zaopiekujesz się moją żoną, Mistrzu? - zapytałem.

To było głupie pytanie, oczywiście. Naturalnie, że otoczy ją opieką, ale pragnąłem, aby rozumiał, jak niechętnie wyruszam do Alornii i z jakiego powodu.

- Będzie ze mną bezpieczna - zapewnił mnie.

Bezpieczna, być może, ale nie szczęśliwa. Początkowo sprzeczała się ze mną o to, ale dałem jej do zrozumienia, że to polecenie Aldura, co nie było tak do końca kłamstwem, prawda?

- To nie potrwa zbyt długo - obiecałem jej.

- Oby - odparła. - Ktoś chce, byś rozumiał, że ktoś jest z tego powodu niezadowolony.

Następnego ranka opuściliśmy z bliźniakami Dolinę i ruszyliśmy na północ. Przy domku, w którym spotkałem Poledrę, czekała wilczyca. Belkira i Beltira wydawali się tym nieco zaskoczeni. Ja chyba nie.

- Kolejne z tych zadań? - zapytała.

- Tak - odparłem obojętnie - i ktoś nie potrzebuje towarzystwa.

- Twoje potrzeby mnie nie obchodzą - odrzekła równie obojętnym tonem. - Pójdę z tobą, czy będziesz sobie tego życzył, czy nie.

- Jak chcesz - poddałem się. Dawno temu nauczyłem się, że nie ma co jej rozkazywać.

We czworo dotarliśmy do granicy Alornii i zaczęliśmy rozglądać się za Belarem. Sądzę, że nas unikał. Nie potrafiliśmy go znaleźć. Oczywiście w każdej chwili mógł przerwać wojnę klanów, ale był straszliwym uparciuchem. Absolutnie nie chciał opowiadać się po żadnej ze stron, gdy jego Alornowie wszczynali waśnie. Bezstronność jest pewnie dobrą cechą u Boga, ale w tym wypadku to był absurd. W końcu zrezygnowaliśmy z poszukiwań i udaliśmy się do ujścia rzeki, która nosiła imię naszego Mistrza. Przed nami rozciągała się zatoka nazwana później Zatoką Cherek. Dostrzeżliśmy statki na jej wodach. Nie wyglądały na pełnomorskie. Płaskodenne łodzie ze ściętym dziobem nie pasowały mi do wyobrażenia o pirackich okrętach prujących fale. Po dyskusji postanowiliśmy zmienić postaci i przelecieć nad zatoką, aby uniknąć spotkania z tymi ciekącymi baliami.

- Ktoś zauważył, że nadal nie nauczyłeś się dobrze latać - stwierdziła śnieżnobiała sowa frunąca u mego boku.

- Poradzę sobie - powiedziałem, bijąc skrzydłami powietrze.

- Ale niezbyt dobrze.

Zawsze musiała mieć ostatnie słowo, więc nie zaprzątałem sobie głowy odpowiedzią. Miast tego skoncentrowałem się na utrzymaniu piór w ogniu z dala od wody.

Lot zdawał się trwać wiecznie. W końcu dotarliśmy do prymitywnego portu, który znajdował się w miejscu, gdzie dziś wznosi się Val Alorn, i wyruszyliśmy na poszukiwania potomka w prostej linii króla Chaggata, króla Uvara. Znaleźliśmy go rąbiącego drewno na podwórzu za swoim długim domem. Ran Vordue IV, panujący wówczas imperator Tolnedry, miał siedzibę w pałacu. Uvar władał imperium przynajmniej kilkanaście razy większym od Tolnedry, ale mieszkał w długiej chacie

z ciekącym dachem i chyba nawet nie przyszło mu na myśl, by rozkazać jednemu ze swych niewolników narąbać drewna na opał. Niewolnictwo w rzeczywistości nie zdało egzaminu, jako że z Alornów marni niewolnicy. Nigdy nie zostało też zniesione. Po prostu poszło w zapomnienie. W każdym razie Uvar, rozebrany do pasa, spocony jak mysz, z zapamiętaniem rąbał drewno.

- Witaj, Belgaracie - pozdrowił mnie, wbijając siekierę w pień i ocierając pot z brodatej twarzy. Pozostawałem w kontakcie z kolejnymi królami Alornii, więc znał mnie z widzenia.

- Witaj, Uvarze - odparłem. - Co tu się dzieje?

- Rąbię drewno - oświadczył z bardzo poważną miną.

- Tak - rzekłem - zauważyłem to, ale nie o to pytałem. Słyszeliśmy, że pod twoim nosem toczy się wojna.

Uvar miał małe świńskie oczka. Spojrzał na mnie zezem zza swego wielkiego, złamanego nosa.

- Ach, o to chodzi - powiedział. - To żadna wojna. Poradzę sobie z tym.

- Uvar - odezwałem się z całą cierpliwością, na jaką mogłem się zdobyć - jeśli masz zamiar zrobić z tym porządek, to nie sądzisz, że czas by było zacząć? To już trwa od półtora roku.

- Byłem trochę zajęty, Belgaracie - odparł tonem usprawiedliwienia. - Musiałem załatać dach i nadciąga zima, więc należy zgromadzić drewno na opał.

Czy dacie wiarę, że ten człowiek był w prostej linii przodkiem króla Anhega?

Aby ukryć swe rozdrażnienie, przedstawiłem mu bliźniaków.

- Wejdźmy do środka - zaproponował. - Mam beczkę niezłego ale i jestem już trochę zmęczony tym rąbaniem drewna.

Belkira i Beltira skryli uśmiech, który pojawił im się na twarzach. Weszliśmy do „pałacu” Uvara, koślawej chaty z brudną podłogą i najprymitywniejszymi meblami, jakie można sobie wyobrazić.

- Co było przyczyną tej wojny, Uvarze? - zapytałem króla Alornii, gdy przysunęliśmy sobie krzesła do chwiejnego stołu i skosztowaliśmy jego ale.

- Religia, Belgaracie - odparł. - Czyż nie jest ona przyczyną wszystkich wojen?

- Nie zawsze, ale o tym możemy porozmawiać innym razem. Jak religia mogła wywołać wojnę w Alornii? Przecież wy wszyscy czcicie Belara.

- Niektórzy bardziej od innych - powiedział z kwaśną miną. - Pomysł Belara, by dopaść Angaraków, jest pewnie bardzo dobry, ale nie możemy się do nich dostać, ponieważ stoi nam na drodze ocean. Na wschodzie jest pewien tępogłowy kapłan.

I to mówi Uvar? Aż wzdrygnąłem się na myśl, jak głupi musiał być ów kapłan, że Uvar to zauważył!

- W każdym razie - ciągnął dalej - ten kapłan zebrał coś w rodzaju armii i chce uderzyć na królestwa południa.

- Dlaczego?

Uvar wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że tam są. Gdyby ich tam nie było, nie chciałby na nie najeżdżać, prawda?

Przewyciężyłem w sobie chęć pochwycenia Uvara i potrząśnięcia nim.

- Czy jakoś go obrazili? - zapytałem.

- Nic o tym nie słyszałem. Widzisz, Belara nie ma już od dość dawna. Czasami nachodzi go tęsknota za minionym, więc zabrał kilka dziewcząt, grupę wojowników, parę beczulek piwa i poszedł pobiwakować sobie w lesie. Upłynęło już kilka lat, odkąd zniknął. W każdym razie ów kapłan postanowił, iż południowe królestwa powinny przyłączyć się do nas, gdy ruszymy na wojnę z Angarakami i że pewnie będzie wygodniej, gdybyśmy wszyscy oddawali cześć temu samemu Bogu. Przyszedł do mnie z tym szalonym pomysłem, a ja rozkazałem kapłanowi o tym zapomnieć. On jednakże mnie nie posłuchał i zaczął głosić swe poglądy w innych klanach. Potrafił przekonać połowę z nich, by przyłączyli się do niego, ale reszta

pozostała mi wierna. Walczą z sobą gdzieś tam - machnął ręką na wschód. - Myślę, że klany, które zwerbował, bardziej są zainteresowane splądrowaniem południowych królestw niż religią. Naprawdę religijni sformowali coś, co nazywają kultem niedźwiedzia. To ma chyba jakiś związek z Belarem - tylko, że Belar nic o tym nie wie.

Osuszył swój kufel i poszedł do spiżarki po więcej ale.

- On nie ma zamiaru się ruszyć, dopóki nie skończy rąbania drewna - powiedział cicho Belkira.

Kiwnąłem posepnie głową.

- Zobaczcie, czy nie dałoby się tego przyspieszyć - zasugerowałem.

- Czy to nie jest małe szachrajstwo? - zapytał Beltira.

- Być może, ale musimy sprawić, by się ruszył przed nadejściem zimy.

Bliźniacy skinęli głowami i wyszli.

Uvar był nieco zaskoczony tym, jak urosła jego sarta drewna, gdy ponownie wyszedł na dwór.

- No cóż - powiedział - skoro to już załatwione, teraz pewnie wypada zrobić porządek z tą wojną.

W ciągu następnych kilku miesięcy bliźniacy i ja okrutnie naoszukiwaliśmy i wkrótce goniliśmy już zbuntowane klany. Doszło do całkiem sporej bitwy na wschodniej równinie, tam gdzie teraz jest Gar og Nadrak. Uvar może nie był zbyt lotny, ale jako dobry taktyk znał korzyści płynące z zajęcia i utrzymania pozycji na wzniesieniu oraz ukrycia przed wrogiem pełnych rozmiarów swych sił. W nocy po cichu zajęliśmy wzgórze. Oddziały Uvora pokryły zbocze zaostrozonymi palikami, tak że wyglądało jak jeż. Tyły swej armii schował po drugiej stronie wzniesienia.


Zbuntowane klany i wyznawcy kultu niedźwiedzia obozowali na równinie. Następnego ranka stwierdzili, że mają na karku Uvara. Ponieważ zaś byli Alornami, zaatakowali.

Większość ludzi nie pojmowała celu rozmieszczenia tych ostrych palików. Ich zadaniem nie było przebijanie wrogów. Miały spowolnić nieprzyjaciół na tyle, by stanowili wygodny cel. Tego ranka łucznicy

Uvara mieli pełne ręce roboty. Potem, gdy rebelianci byli w połowie zbocza, Uvar zadał w swój róg i oddziały tylnej straży uderzyły dwoma szerokimi skrzydłami na tyły wroga.

Ta taktyka całkiem dobrze zdała egzamin. Wojownicy klanów i wyznawcy kultu nie mieli wyboru, więc nadal parli w górę zbocza, tnąc paliki mieczami i siekierami. Założyciel kultu niedźwiedzia, potężny facet o złym spojrzeniu, zbliżył się do nas, wycinając sobie drogę. Zdaje mi się, że ten biedny diabeł wpadł w szal. W każdym razie, gdy już przedarł się przez wszystkie paliki, miał pianę na ustach.

Uvar czekał na niego. Jak się okazało, miesiące spędzone przez króla Alornii na rąbaniu drewna nie poszły na marne. Nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, uniósł swą siekierę i rozłupał zbuntowanego kapłana Belara jednym potężnym cięciem od głowy po pępek. Po tym zajściu opór załamał się i kult niedźwiedzia stał się potajemny. Zbuntowane klany zaś nagle polubiły bardzo swego króla i ponownie złożyły mu hołd.



Widzicie teraz, czemu wojny mnie denerwują? Zawsze jest tak samo. Wielu ludzi ginie, a w końcu cała sprawa zostaje załatwiona przy stole obrad. Myśl, by najpierw zacząć od prób porozumienia, nie przychodzi nikomu do głowy.



Zmroziła mnie uwaga wilczycy.

- Ktoś jest ciekaw, co oni mają zamiar począć z tym całym mięsem - powiedziała. Włos zjeżył mi się na karku, ale dostrzegłem sposób położenia kresu wojnom. Gdyby zwycięska armia musiała zjeść pokonanych, wojna stałaby się o wiele mniej atrakcyjna. Wystarczająco długo byłem wilkiem, aby wiedzieć, że smak mięsa zależy od diety, a zwietrzałe piwo nie jest najlepszą przyprawą.

Uvar w pełni przejął kontrolę, więc bliźnięta, wilczyca i ja wróciliśmy do Doliny. Wilczyca, oczywiście, opuściła nas, gdy dotarliśmy do chatki Poledry. Moja żona zaś oczekiwała mnie w wieży, i wydawało się, że cały czas tam była.

Belmakor wrócił podczas naszej nieobecności, ale zamknął się w swej wieży i nie odpowiadał na wezwania. Mistrz oznajmił, że nasz brat z jakiejś przyczyny wpadł w głęboką depresję. Znaliliśmy Belmakora na tyle, by wiedzieć, że nie uznaje żadnych prób pocieszenia go. Depresja Belmakora zawsze budziła we mnie pewne podejrzenia. Gdybym kiedykolwiek mógł je potwierdzić, to wróciłbym tam, gdzie teraz jest Belzedar, i umieścił go w o wiele mniej przyjemnym miejscu.

To bolesny epizod, więc nie będę się nad nim rozwodził. Po kilku latach melancholijnego dumania nad beznadziejnością naszych nie kończących się zadań, Belmakor poddał się i postanowił pójść w ślady Belsambara.

Myślę, że jedynie obecność Poledry powstrzymywała mnie przed popadnięciem w obłęd. Moi bracia odchodzili i nic nie mogłem zrobić, by temu zapobiec.

Oczywiście Aldur wezwał z powrotem do Doliny Belzedara i Beldina. Beldin był w Nyissie, pilnując poczynań Wężowego Ludu, Belzedar zaś, jak uznaliśmy, nadal znajdował się w Mallorei, choć przybycie nie zajęło mu wiele czasu. Wydawało się, że dziwnie niechętnie dzielił z nami smutek i z tego powodu nie spodziewałem się po nim zbyt wiele. Z biegiem lat Belzedar zmienił się. Nadal nie chciał wyjawić nam żadnego szczegółu swego planu odzyskania Globu - choć prawdę powiedziawszy nie mieliśmy zbyt wielu okazji do porozmawiania z Belzedarem o tym, gdyż wyraźnie nas unikał. Miał osobliwie nawiedzony wyraz twarzy, który moim zdaniem nie był w ogóle powiązany z naszym smutkiem. Wydawało się, że jest w tym coś zbyt osobistego. Po tygodniu poprosił Aldura, żeby mu pozwolił odejść, po czym wrócił do Mallorei.

- Ktoś zauważył, że twój brat jest zaniepokojony - powiedziała Poledra po tym, jak nas opuścił. - Wydaje się, że próbuje iść naraz dwiema ścieżkami. Jego umysł jest podzielony i nie wie, która ścieżka jest tą właściwą.

- Belzedar zawsze był nieco dziwny - przyznałem.

- Ktoś sugeruje, że nie powinieneś zanadto mu ufać. Nie mówi ci wszystkiego.

- On nie mówi mi niczego - odparowałem. - Nigdy nie był wobec nas całkowicie szczerzy, odkąd Torak ukradł Mistrzowi Glob. Jeśli ja mam być szczerzy, ukochana, nie przepadałem za Belzedarem na tyle, aby teraz nie spać po nocach dlatego, że nas unika.

- Powtórz to - rzekła z ciepłym uśmiechem.

- Co mam powtórzyć?

- Ukochana. To mile słowo, a ty nie używasz go zbyt często.

- Przecież wiesz, co do ciebie czuję, moja droga.

- Ktoś lubi, gdy mu to mówić.

- Zrobię wszystko, co cię uszczęśliwia, ukochana.

Nigdy nie zrozumie kobiet.

Zastanawialiśmy się jakiś czas z Beldinem nad powściągliwością Belzedara, ale ostatecznie uznaliśmy, że niewiele możemy na to poradzić.

Potem Beldin poruszył bardziej palący problem.

- W Maragorze są niepokoje - powiedział.

- Tak?

- Usłyszałem o tym w drodze powrotnej z Nyissy. Spieszyłem się, więc nie miałem czasu, aby się temu bliżej przyjrzeć.

- O co chodzi?

- Jakiś dureń błędnie odczytał jeden z ich świętych tekstów. Mara musiał chyba przysnąć, gdy je dyktował. A może skryba, który notował, źle go zrozumiał. Chodzi o słowo „przyjmować”. Z tego, co zdołałem pojąć, Maragowie traktują to dosłownie. Robią wypady za granice. Chwytają Tolnedran lub Nyissan i zabierają ich do Mar Amon. Urządzają wielką religijną ceremonię i zabijają pojmanych. Potem Maragowie ich jedzą.

- Co robią?

- Słyszałeś, Belgaracie. Maragowie praktykują rytualny kanibalizm.

- Czemu Mara tego nie przerwie?

- Skąd mam wiedzieć? Wrócę tam, gdy tylko Mistrz mi na to pozwoli. Myślę, że jeden z nas powinien rozmówić się z Marą. Będą kłopoty, jeśli wieści o tym dotrą do Nedry lub Issy.

- Co jeszcze złego może się wydarzyć? - wybuchałem rozdrażniony.

- Wiele rzeczy. Nikt nigdy nie obiecywał ci chyba, że życie będzie łatwe, prawda? Udam się do Mar Amon i zobaczę, co się da zrobić. Przyślę po ciebie, jeśli będę potrzebował pomocy.

- Informuj mnie.

- Jeśli znajdę coś godnego uwagi. A jak sobie radzisz z Poledrą?

Uśmiechnąłem się z przymusem.

- To obrzydliwe, Belgaracie. Zachowujesz się jak młokos.

- Wiem i cieszę się każdą minutą.

- Zamierzam wpaść do bliźniaków. Jestem pewny, że mają pod ręką beczułkę dobrego ale. Ostatnie kilka dziesięcioleci spędziłem w Nyissie, a Nyissanie nie gustują w piwie. Kosztują innych rozrywek.

- Jakich?

- Pewne liście, jagody i korzenie czynią ich tak szczęśliwymi. Większość Nyissan żyje w wiecznym zamroczeniu. Pójdiesz ze mną do bliźniaków?

- Chyba nie, Beldinie. Poledra nie lubi, gdy mój oddech pachnie piwem.

- Pantoflarz z ciebie, Belgaracie.

- Nie przeszkadza mi to ani trochę, bracie - powiedziałem, uśmiechając się głupkowato. Beldin odszedł mrużąc coś pod nosem.

W ciągu następnych stuleci wojny między klanami Alornów wybuchały jeszcze kilkakrotnie. Wyznawcy kultu niedźwiedzia nadal prowadzili agitację wśród klanów, ale królowie Alornii panowali nad sytuacją. Zwykle atakowali twierdze kultu i po prostu wdeptywali jego wyznawców w ziemię. Alornowie ze swoistym urokiem rozwiązują swe problemy.

Chyba gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku otrzymałem pilne wezwanie od Beldina. Nyissanie zapuszczali się po niewolników do Maragoru, a Maragowie w odpowiedzi najechali ziemie Wężowego

Ludu. Przeprowadziłem długą rozmowę z Poledrą i stanowczo powiedziałem jej, że chcę, aby została w Dolinie podczas mojej nieobecności. Domagałem się uznania minimum władzy należnego przywódcy sfory i ona zdawała się to akceptować - chociaż z Poledrą nigdy nie można być zupełnie tego pewnym. Oczywiście dąsała się. Poledra potrafi dąsać się w zachwycający sposób. Garion raczej to zrozumie, ale wątpię, czy ktoś jeszcze.

Ucałowałem żonę i ruszyłem do Maragoru - choć nie byłem pewny, co wedle Beldina mogłem zdziałać. Próby podtrzymania ducha w wodzach Maragów można by nazwać daremnym wysiłkiem. Mężczyźni Maragów byli atletami o kurzych mózdkach. A ich kobiety zdawały się z tego całkowicie zadowolone. Pragnęły wigoru, nie inteligencji.



*Dobrze, Polgaro, nie tup. Lubię Maragów. Mieli swoje
dziwactwa, ale potrafili cieszyć się życiem.*



Najazd Maragów na Nyissę okazał się kompletną katastrofą. Nyissanie, podobnie jak węże, które tak adorowali, po prostu zniknęli w dżungli, ale zostawili kilka niespodzianek najeźdźcom. W Nyissie farmakologia jest rodzajem sztuki. Nie po wszystkich jagodach i liściach rosnących w ich lasach ludzie czują się dobrze. Wiele z nich ma wręcz przeciwne działanie - choć trudno mieć co do tego pewność. Całkiem możliwe, że tysiące zeszywniałych Maragów dostało konwulsji i umarło z powodu spożycia zdawałoby się niegroźnych roślinek.

Z ponurym uporem Maragowie parli dalej, co jakiś czas zatrzymując się, by upiec i zjeść kilku więźniów. Dotarli do Sthiss Tor, stolicy Nyissy, ale królowa Salmissara i wszyscy mieszkańcy miasta zdążyli już rozpląnąć się w dżungli, zostawiając składy pełne pożywienia. Tępogłowi Maragowie zabrali się za ucztowanie, co okazało się fatalnym w skutkach błędem.

Czemu otaczają mnie ludzie niezdolni wyciągnąć nauki z doświadczenia? Nie musiałbym oglądać tylu zmarłych na „niestrawność”, by obudziło to we mnie podejrzenia co do źródła

pożywienia. Wyobraźcie sobie, że Nyissanie nawet zatruli swe bydło w tak subtelny sposób, że wyglądało ono na całkowicie zdrowe, ale gdy Marag zjadł stek lub pieczeń z takiego zwierzęcia, to natychmiast robił się czarny na twarzy i konał z pianą na ustach. Ponad połowa wszystkich mężczyzn Maragów zmarła w czasie tej nieszczęsnej inwazji.

Sprawy zaczynały wymykać się z rąk. Mara nie będzie patrzył spokojnie, jak Nyissanie wyniszczają jego dzieci, lada moment mógł zdecydować się na interwencję. A gdy to uczyni, śpiący Issa będzie zmuszony się obudzić i odpowiedzieć. Issa był dziwny. Po pęknięciu świata po prostu przekazał sprawowanie rządów nad Wężowym Ludem swej najwyższej kapłance, Salmissarze, a sam zapadł w sen. Zdaje się, że nie przyszło mu na myśl, by w jakiś sposób przedłużyć kapłance życie, więc z czasem umarła. Wężowy Lud nie kłopotał się obudzeniem Issy po jej śmierci. Po prostu wybrali następczynię Salmissary.

Wyruszyliśmy z Beldinem na poszukiwanie ówczesnej królowej, aby zaproponować jej mediacje w sprawie wycofania Maragów. W końcu znaleźliśmy Salmissarę głęboko w dżungli. Siedziba królowej była niemal identyczna jak pałac w Sthiss Tor. Prawdopodobnie po całej Nyissie miała porozrzucane swoje siedziby.

Przedstawiliśmy się jej eunuchom, a ci zaprowadzili nas do sali tronowej, gdzie na pół leżąc podziwiała swe odbicie w lustrze. Salmissara - jak wszystkie Salmissary - pełna była absolutnego uwielbienia dla siebie.

- Zdaje się, że masz problem, wasza wysokość - powiedziałem bez ogródek, gdy wprowadzono nas przed jej oblicze. - Czy chcesz, abym z mym bratem spróbował zakończyć tę wojnę?

Wężowa kobieta nie wydawała się tym szczególnie zainteresowana.

- Nie marnuj swej energii, prastary Belgaracie - odparła, ziewając. Wszystkie Salmissary były całkowicie takie same jak pierwsza. Wybierano je przez wzgląd na ich podobieństwo do kapłanki i ćwiczone od wczesnego dzieciństwa, by były równie chłodne i obojętne. W ten sposób łatwiej było sobie z nimi radzić. Salmissara jest zawsze taką samą osobą, więc nie trzeba każdorazowo dopasowywać do niej swego myślenia.

Beldinowi jednakże udało się zwrócić uwagę wężowej kobiety.

- W porządku - rzekł równie obojętnie jak ona - jest sucha pora. Podpalimy z Belgarathem twoją cuchnącą dżunglę. Wypalimy Nyisę do samej ziemi. Potem Maragowie będą musieli pójść do domu.

Jedyny raz widziałem, by jakakolwiek Salmisara okazała jakieś uczucie poza czysto zwierzęcą żądzą. Jej jasne oczy rozszerzyły się, a kredowobiała skóra zrobiła się jeszcze bielsza.

- Nie uczyniłbyś tego! - krzyknęła.

Beldin wzruszył ramionami.

- Czemu nie? To położyłoby kres tej wojnie, a jeśli pozbędziemy się wszystkich narkotyków, to być może nauczycie się robić coś produktywnego. Nie igraj ze mną, wężowa kobieto, bo przekonasz się, że potrafię być grubiański. Pozwól Maragom wrócić do domu albo wypalę Nyisę od gór po morze. Nie zostanie ani jedna jagoda czy listek - nawet te, które przedłużają ci młodość. Niemal natychmiast zrobisz się stara, Salmisaro, wówczas wszyscy ci ładni chłopcy, których tak lubisz, stracą zainteresowanie tobą.

Spojrzała na Beldina z wściekłością, po czym jej pozbawione koloru oczy poczęły łagodnieć.

- Interesujesz mnie, paskudo - powiedziała. - Nigdy nie współżyłam z małpą.

- Daj spokój - warknął. - Lubię kobiety grube i ciepłokrwiste. Ty jesteś dla mnie za zimna, Salmisaro - oświadczył. Oto cały mój brat. Nigdy nie dał się zapędzić w kosi róg. - A zatem doszliśmy do porozumienia? - naciskał. - Jeśli pozwolisz Maragom wrócić do domu, ja nie wypalę twoich cuchnących mokradeł.

- Przyjdzie czas, że tego pożałujesz, uczniu Aldura.

- Moja ty słodka - odparł z tym paskudnym akcentem Wacite. - W swym długim życiu wielu już rzeczy żałowałem, ale rzeknę ci jedno, skarbie. Parzenie się z węzem do nich nie należy. - Potem jego oblicze przybrało twardy wyraz. - Pytam cię po raz ostatni, Salmisaro. Pozwolisz Maragom odejść, czy mam zacząć zapalać pochodnie?

I to mniej więcej był koniec wojny.

- Pięknie ją poskromiłeś, stary - pogratulowałem Beldinowi, gdy opuściliśmy kryjówkę Salmisary. - Myślałem, że jej oczy wyjdą na wierzch, gdy zaproponowałeś, że podpalisz dżunglę.

- W końcu do niej trafiło - Beldin westchnął. - To mogłoby być bardzo interesujące - powiedział tęsknie.

- Co mogłoby być?

- Nieważne.

Odprowadziliśmy kolumnę osłabionych Maragów do ich granicy. Za nami, na cuchnących mokradłach, pozostały tysiące zmarłych. Potem wróciliśmy z Beldinem do Doliny.

Gdy tylko tam dotarliśmy, Mistrz wysłał mnie do Alornii.

- Królowa Alornii jest przy nadziei - rzekł. - Ten, na którego czekaliśmy, wkrótce przyjdzie na świat. Chcę, abyś był obecny przy narodzinach i miał pieczę nad jego młodością.

- Jesteś pewny, że to ten właściwy, Mistrzu? - zapytałem.

Aldur skinął głową.

- Wszystkie znaki były obecne. Gdy go ujrzysz, poznasz od razu. Dlatego udaj się do Val Alorn. Potwierdź jego tożsamość, a potem wróć.

W ten oto sposób byłem obecny przy narodzinach Chereka o Niedźwiedzich Barach. Gdy jedna z akuserek wyniosła czerwonego, wrzeszczącego noworodka z sypiali królowej, od razu wiedziałem, że Mistrz miał rację. Nie pytajcie, skąd wiedziałem, po prostu wiedziałem. Cherek i ja byliśmy związani od początku czasu i rozpoznałem go, od pierwszego wejrzenia. Pogratulowałem ojcu Chereka i wróciłem do Doliny, aby zdać relację Mistrzowi. Miałem nadzieję spędzić nieco czasu ze swą żoną.

Kiedy Cherek był dzieckiem, wiele razy odwiedzałem Alornię i poznaliśmy się całkiem dobrze. Jako dziesięciolatek miał wzrost dorosłego mężczyzny i dalej rósł. Gdy wstąpił na tron w wieku lat dziewiętnastu miał ponad siedem stóp wzrostu. Poczekalem, aż przyzwyczai się do korony, a potem wróciłem do Val Alorn i zaaranżowałem jego małżeństwo. Nie pamiętam imienia dziewczyny, ale zrobiła, co do niej należało. Cherek miał około dwudziestu trzech lat, gdy na świat przyszedł jego pierwszy syn, Dras. Dwadzieścia pięć,

kiedy urodził się Algar. Gdy król Alornii miał dwadzieścia siedem lat, został ojcem trzeciego syna, Rivy. Mistrz był zadowolony. Wszystko szło tak, jak powinno.

Trzej synowie Chereka rośli równie szybko jak on. Alornowie są dużymi ludźmi, ale Dras, Algar i Riva nawet wśród nich uchodzili za nieprzeciętnie wysokich. W komnacie, w której znajdowali się Cherek i jego synowie, człowiek czuł się jak w zagajniku. Czasami nadużywamy określenia „olbrzym”, ale nie było ono przesadą w odniesieniu do tej czwórki.

Jak kilkakrotnie wspominałem, Mistrz posiadał pewną wiedzę o przyszłości, ale bardzo skromnie się nią z nami dzielił. Wiedziałem, że Cherek, jego synowie i ja mieliśmy coś do zrobienia, lecz Mistrz nie chciał mi powiedzieć dokładnie co, rozumując pewnie, że gdybym wiedział zbyt dużo na ten temat, mógłbym w jakiś sposób na to wpłynąć i sprawić, że nie powiodłoby się.

Udałem się do Alornii latem, gdy Riva dobiegł osiemnastki. To była bardzo ważna rocznica w życiu młodego Alorna, ponieważ wówczas zyskiwał przydomek pasujący do jego wyglądu. Cztery lata wcześniej starszy brat Rivy został Drasem o Bycznym Karku, dwa lata później Algar zyskał przydomek - o Chyżych Stopach. Rivę, który miał ogromne ręce, nazwano Rivą o Żelaznej Dłoni. Szczerze wierzyłem, że potrafiłby w nich skruszyć skały.

Kiedy wróciłem do Doliny, Poledra miała dla mnie małą niespodziankę.

- Ktoś zastanawia się, czy skończyłeś na jakiś czas z tymi zadaniami - powiedziała, gdy zjawiłem się w wieży.

- Ktoś ma nadzieję - odparłem. - Nie rozmawialiśmy ze sobą w wilczej mowie, ale gdy byliśmy sami, wyrażałem się bardzo podobnie. - Mistrz jednak o tym zadecyduje - dodałem.

- Ktoś porozmawia z Mistrzem - rzekła. - Właściwe jest, abyś został tu jakiś czas.

- Dlaczego?

- To zwyczaj, a zwyczajów należy przestrzegać.

- Jaki to zwyczaj?

- Ten, który mówi, że ojciec powinien być obecny przy narodzinach swych młodych.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - dopytywałem się.

- Właśnie to zrobiłam. Co chciałbyś na kolację?





Poledra nie przejmowała się swoim stanem.

- To naturalny proces - powiedziała ze wzruszeniem ramion. - Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Nie zrezygnowała z wykonywania tego, co uważała za swe obowiązki, nawet wówczas gdy wyraźnie pogrubiła, a jej ruchy zaczęły być niezdarne. Żadnym słowem czy czynem nie mogłem nakłonić żony, by zmieniła swój rozkład zajęć.

W ciągu stuleci Poledra wprowadziła zasadnicze zmiany w wyglądzie mej wieży. Jak już pewnie słyszeliście, nie należę do najbardziej dbałych o porządek ludzi, ale nigdy mi to zbyt nie przeszkadzało. Odrobina bałaganu sprawia, że miejsce wygląda na zamieszkane. Po naszym ślubie wszystko uległo zmianie. W mojej wieży nie było żadnych wewnętrznych ścian, głównie dlatego, że lubiłem wyglądać przez okna w czasie pracy. Pomieszczenie urządziłem w dość przypadkowy sposób - to miejsce było przeznaczone do gotowania i jedzenia, tam pracowałem, a tu spałem. Dopóki byłem sam, taki układ świetnie zdawał egzamin. To, co robiłem, zależało od miejsca, w którym się właśnie znajdowałem.

Poledrze nie podobało się takie rozwiązanie. Myślę, że potrzebowała wyraźniejszego zaznaczenia swojej obecności. Zaczęło przybywać stołów, sof, jaskrawych zasłonek. Z jakiejś przyczyny bardzo lubiła ostre kolory. Dywaniki, które porozkładała na kamiennej posadzce, przysparzały mi trochę kłopotów - zawsze się o nie potykałem. Jej poczynania sprawiły w końcu, iż surowe wnętrze wieży nabrało przytulności. Zdaje się, że samice wszystkich gatunków lubią przytulne siedliska. Podejrzewam, iż nawet samica węża ozdabia swe legowisko kilkoma dekoracyjnymi drobiazgami. Byłem tolerancyjny wobec tych osobliwości, ale jedno doprowadzało mnie do szaleństwa. Poledra ciągle wszystko odkładała na miejsce - i zwykle nie mogłem niczego potem

znaleźć. Lubię trzymać rzeczy pod ręką, ale ledwie zdążyłem coś odłożyć, ona zaraz chowała to na półkę. Zdaje się, że zawieszenie tych półek było błędem, ale Poledra nalegała, a w początkowych latach naszego małżeństwa z ochotą spełniałem wszystkie jej zachcianki.

W sprawie zasłonek nie obyło się jednak bez ostrych dyskusji. Co kobiety w nich widzą? Jedyne zawadzają. Nie zatrzymują w zimie ciepła ani nie chronią przed upałem latem, a poza tym przeszkadzają przy wyglądaniu przez okno. Z jakiegoś powodu jednakże kobiety uważają pokój bez zasłonek za niekompletny.

Być może Poledra przechodziła okres porannych nudności, które dokuczają większości kobiet w ciąży, ale jeśli nawet, to nic mi o tym nie powiedziała. Zawsze była na nogach o pierwszym brzasku. Ja lubiłem późno wstawać, jeżeli nie miałem nic ważnego do zrobienia. Jednakże nie było to, jak może sądzić moja córka, objawem lenistwa. Po prostu lubiłem rozmawiać, a wieczory są właśnie porą rozmów. Zwykle więc kładłem się późno i wstawałem późno. Nie sypiałem dłużej niż moja żona, robiliśmy to jedynie w innych porach. W każdym razie Poledra, nawet jeśli cierpiała na te poranne przypadłości, to nie zdradziła się z tym. Nachodziły ją jednakże owe osobliwe apetyty. Początkowo, gdy poprosiła o dziwne rzeczy do jedzenia, przetrząsałem w ich poszukiwaniu całą Dolinę. Wkrótce zdałem sobie jednak sprawę, że ona je tylko kilka kęsów. Zacząłem więc oszukiwać. Nie miałem zamiaru fundować sobie skrzydeł i lecieć nad pobliski ocean tylko dlatego, że nagle nachodził ją apetyt na ostrygi. Tworzyłem ostrygi, które smakowały niemal jak prawdziwe, więc Poledra udawała, że nie zauważa mego szachrajstwa.

Potem, gdy była w piątym miesiącu, doszliśmy do sprawy kołysek. Trochę mnie zabolalo, gdy poprosiła o ich zrobienie Beltirę i Belkirę zamiast mnie. Zaprotestowałem, ale powiedziała mi bez ogródek:

- Nie radzisz sobie zbyt dobrze z narzędziarni. - Po czym położyła dłoń na moim ulubionym krześle i potrząsnęła nim. Przyznaję, że trochę się chwiało, ale nie rozleciało się pode mną przez tysiąc lat, które na nim przesiadzałem. Więc chyba było wystarczająco solidne, prawda?

Beltira i Belkira z pasją zabrali się do robienia kołyszek. Kołyska to po prostu łóżeczko na biegunach. Jednakże te wykonane przez bliźnięta miały zawile poskręcane bieguny i misternie rzeźbione szczyty.

- Czemu dwie? - zapytałem żonę, gdy Beltira i Belkira z dumą przynieśli swe dzieła do wieży.

- Nie zawadzi być przygotowanym na każdą ewentualność - odparła.

- Nie należy do wyjątku przyjdzie na świat kilku młodych jednocześnie - położyła dłoń na swym nabrzmiałym brzuchu. - Wkrótce będę mogła policzyć, ile serc bije. Wówczas się dowiem, czy dwie kołyski wystarczą.

Rozważyłem znaczenie tego, co powiedziała, i postanowiłem nie dążyć dalej owego tematu. Istniały pewne sprawy, o których nie chciałem nawet myśleć, a tym bardziej mówić.

Być może cięża Poledry dla niej samej nie była niczym nadzwyczajnym, ale z całą pewnością nie dla mnie. Tak bardzo przepełniała mnie duma, że pewnie byłem dla otoczenia nie do zniesienia. Mistrz przyjmował moją chępliwość z pełną czułego rozbawienia wyrozumiałością, a Beltira i Belkira byli równie zachwyceni jak ja. Pasterzy zawsze wprawiał w radosny nastrój czas kocenia się owiec, więc myślę, że ich reakcja była całkiem naturalna. Beldin jednakże wkrótce dość miał mego towarzystwa i udał się do Tolnedry, by czuwać nad drugą dynastią Honethów. Tolnedranie nawiązali stosunki z Arendami i Nyissanami, ale Honeci zawsze byli zachłanni. Zdecydowanie nie chcieliśmy, aby wpadli na pomysł zagarnięcia cudzych ziem. Jedna wojna pomiędzy Bogami była całkowicie wystarczająca.

Tego roku zima przyszła wcześniej i wydawała się bardziej surowa niż zwykle. Na dalekiej północy drzewa pękały od mrozu, a śnieg tworzył ogromne zasy. Pewnego wyjątkowo mroźnego dnia, gdy z nieba sypały śnieżne grudki twarde jak kamienie, przybyło do Doliny czterech Alornów opatulonych po uszy w futra. Rozpoznałem naszych gości ze znacznej odległości, dzięki ich rozmiarom.

- Dobrze cię widzieć, prastary Belgaracie - powitał mnie Cherek o Niedźwiedzich Barach.

Chciałbym, aby ludzie mnie tak nie nazywali.

- Zawędrowałeś daleko od domu, Chereku - zauważyłem. - Czyżby były jakieś kłopoty?

- Wręcz przeciwnie, przenajświętszy - zagrział Dras o Byczym Karku. Dras był większy nawet od swego ojca i z jego piersi wydobywał się donośny głos. - Moi bracia znaleźli sposób na dotarcie do Mallorei.

Spojrzałem szybko na Rivę o Żelaznej Dłoni i Algara o Chyżych Stopach. Riva niemal dorównywał wzrostem Drasowi, ale był od niego szczuplejszy. Miał bujną czarną brodę, a jego błękitne oczy spoglądały wyjątkowo przenikliwie. Algar, milczący brat, był gładko ogolony i miał długie nogi chyżego psa.

- Byliśmy na polowaniu - wyjaśnił Riva. - Na dalekiej północy są białe niedźwiedzie, a na wiosnę przypadają urodziny mamy. Chcieliśmy z Algarem podarować jej narzutę z białego futra. Lubi takie, prawda? - Rivę cechowała dziwnie chłopcęca niewinność. Co nie oznaczało głupoty. On po prostu był pełen entuzjazmu i gotowości, by sprawić przyjemność innym. Czasami zdawał się kipieć entuzjazmem.

Algar, oczywiście, nic nie powiedział. Prawie nigdy tego nie robił. Był najbardziej małomównym człowiekiem, jakiego znałem.

- Słyszałem o tych białych niedźwiedziach - rzekłem. - Czy polowanie na te zwierzęta nie jest trochę niebezpieczne?

Riva wzruszył ramionami.

- Było nas dwóch - odparł, jakby to robiło jakąś różnicę niedźwiedziowi wzrostu czternastu stóp i wadze niemal tony. - W każdym razie tego roku łódź była bardzo gruba na północnych rubieżach Morza Wschodniego. Zraniliśmy jednego niedźwiedzia, a on próbował przed nami uciec. Goniliśmy zwierza i wtedy znaleźliśmy przejście lądowe.

- Jakie przejście?

- To, po którym można przejść do Mallorei - wyjaśnił niedbałym tonem, jakby odkrycie czegoś, co Alornowie usiłowali znaleźć od dwóch tysięcy lat, nie było niczym istotnym.

- Może tak powiedzielibyście coś więcej na temat tego przejścia? - zaproponowałem.

- Właśnie do tego zmierzałem. W Morindlandzie jest punkt wysunięty bardzo na wschód, a naprzeciwko niego, na ziemiach Karandów w Mallorei, punkt wysunięty na zachód. Łączy je ciąg skalistych wysepek. Niedźwiedziowi udało się jakimś sposobem nam umknąć. Tego dnia było wyjątkowo mgliście, a białego niedźwiedzia trudno wypatrzeć we mgle. Ogarnęła jednak nas z Algarem ciekawość, więc przeszliśmy lód po owym ciągu wysepek. Wczesnym popołudniem zerwał się wietrzyk i rozwiął mgłę. Rozejrzeliśmy się, a to już była Malloreia. Postanowiliśmy jednak nie zapuszczać się dalej. Nie potrzebowaliśmy chyba zawiadamiać Toraka, że odkryliśmy przejście, prawda? Zawróciliśmy więc. Po drodze natknęliśmy się na plemię Morindimów. Powiedzieli nam, że od wieków używali tego przejścia, by odwiedzić Karandów. Morind odda wszystko za sznur szklanych paciorków i kupcy karandyjscy chyba o tym wiedzieli. Morindimowie wymieniali kły morsów i bezcenne skóry wydr morskich oraz skóry białych niedźwiedzi za sznury szklanych koralików, jakie można kupić na każdym targowisku - oczy mu się zwężyły.

- Nienawidzę, gdy ludzie oszukują innych, a ty? - Riva zdecydowanie miał własne zdanie.

Cherek uśmiechnął się ponuro.

- Mogliśmy to odkryć już dawno temu, gdybyśmy zadali sobie nieco trudu i spędzili trochę czasu z Morindimami. Przez dwa tysiące lat przetrząsaliśmy północ wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu sposobu dotarcia do Mallorei i wznowienia wojny z Angarakami, a Morindimowie przez cały ten czas znali drogę. Musimy z większą uwagą traktować naszych sąsiadów.



O ile sobie przypominam, tak mniej więcej przebiegała nasza rozmowa. Ci z was, którzy czytali „Księgę Alornu”, zauważą, że kapłan Belara, który napisał początkowe rozdziały, pozwolił sobie na bardzo dowolne potraktowanie tego materiału. To pokazuje, że nigdy nie powinniście wierzyć, że kapłani są całkowicie wierni faktom.



Spojrzałem surowo na Chereka o Niedźwiedzich Barach. Wiedziałem, do czego wszystko zmierzało.

- To bardzo interesujące, Chereku, ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Pomyśleliśmy, że chciałbyś o tym wiedzieć, Belgaracie - odparł z mistrzowsko udaną niewinnością. Cherek posiadał wiele sprytu, ale czasami potrafił być przeraźliwie szczery.

- Nie owijaj w bawełnę, Chereku - rzekłem. - Powiedz, co ci chodzi po głowie?

- To nie takie skomplikowane, Belgaracie. Pomyśleliśmy sobie z chłopcami, że moglibyśmy przepłynąć do Mallorei i wykraść Glob twego Mistrza Torakowi Jednookiemu - oświadczył to tak, jakby proponował przechadzkę po parku. - Potem przyszło nam do głowy, że może chciałbyś wybrać się razem z nami, więc postanowiliśmy przyjść tu i zaprosić cię.

- Absolutnie wykluczone - warknąłem. - Moja żona spodziewa się dziecka i nie mam zamiaru zostawić jej samej.

- Gratulacje - mruknął Algar. To były jedyne słowa, jakie wypowiedział w ciągu całego popołudnia.

- Dziękuję - odparłem, po czym odwróciłem się do jego ojca. - W porządku, Chereku. Wiemy, że ten twój most tam jest i będzie tam za rok. Być może wówczas zechcę dyskutować o waszej wyprawie, ale nie teraz.

- Z tym może być problem, Belgaracie - rzekł z powagą. - Gdy moi synowie opowiedzieli mi o tym, co znaleźli, udałem się do kapłanów Belara i wypytałem ich o wróżby. To jest czas odpowiedni na wyprawę. Łód przez całe lata nie będzie już taki gruby. Potem mi powróżyli. Z przepowiedni wynika, że to może być najpomyślniejszy rok w całym moim życiu.

- Ty naprawdę wierzysz w te bzdury? - zapytałem. - Jesteś tak naiwny, aby myśleć, że ktoś może przewidzieć przyszłość bawiąc się stertą owczych flaków?

Cherek wyglądał na lekko urażonego.

- To miało duże znaczenie, Belgaracie. Z całą pewnością nie wierzyłbym w tym wypadku owczym wnętrznościom.

- Cieszę się to słysząc.

- Posłużyliśmy się koniem. Wnętrzności konia nigdy nie kłamią.

Alornowie!

- Życzę wam powodzenia, Chereku - odezwałem się - ale nie idę z wami.

Jego masywna, brodata twarz przybrała bolesny wyraz.

- Jest jeszcze pewien problem, Belgaracie. Wróżby jasno powiedziały, że nie powiesz się nam, jeśli z nami nie wyruszysz.

- Możesz nawet wypatroszyć smoka, Chereku, ale ja tu zostaję. Zabierz bliźniaków albo poślę po Beldina.

- To nie będzie to samo, Belgaracie. To musisz być ty. Nawet gwiazdy tak mówią.

- Astrologia również? Rozwijacie się, nieprawdaż? Czy kapłani Belara posypali gwiazdami wnętrzności?

- Belgaracie! - zawołał zszokowany Cherek. - To świętokradztwo!

- Powiedz - spytałem z sarkazmem w głosie - czy wasi kapłani próbowali już kryształowej kuli lub herbacianych fusów?

- *Dobrze, Belgaracie, wystarczy.*

To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy usłyszałem ten głos. Garion słyszał go od dzieciństwa, ale do mnie rzadko przemawiał. Nie trzeba dodawać, że byłem zaskoczony. Rozejrzałem się nawet dokoła, aby sprawdzić, skąd dobiega, ale nie zauważyłem nikogo. Ten głos był w mojej głowie.

- *Gotów jesteś mnie wysłuchać?* - zapytał.

- Kim jesteś?

- *Wiesz, kim jestem. Przestań się kłócić. Wyruszysz do Mallorei i to wyruszysz teraz. To jedna z tych rzeczy, które muszą się wydarzyć. Lepiej idź porozmawiać z Aldurem.*

Potem uczucie obecności głosu w moim umyśle zniknęło. Te odwiedziny wstrząsnęły mną do głębi. Usiłowałem temu zaprzeczyć, ale rzeczywiście wiedziałem, kto do mnie mówił.

- Zaczekajcie tu - powiedziałem do króla Alornów i jego synów. - Muszę porozmawiać z Aldurem.

- Widzę, żeś zatroskany, synu - rzeki Mistrz, gdy wszedłem do jego wieży.

- Cherek o Niedźwiedzich Barach i jego przerośnięci synowie tam są - oznajmiłem. - Znaleźli sposób na dostanie się do Mallorei i chcą, abym z nimi wyruszył. To dla mnie bardzo nieodpowiedni czas, Mistrzu. Poledra urodzi w ciągu najbliższych miesięcy i powinienem tu być. Cherek bardzo nalega, ale powiedziałem, aby jechali beze mnie.

- I? - Mistrz wiedział, że było coś więcej.

- Miałem gościa. Powiedział, że powinienem wyruszyć z nimi.

- To wielka rzadkość, synu. Cel nieczęsto zwraca się do nas bezpośrednio.

- Obawiałem się, że tak do tego podejdziesz - przyznałem ponuro. - Czy nie można odłożyć wyprawy?

- Nie, synu. CZAS jest częścią ZDARZENIA. Raz przegapiony nie wróci, a jeśli stracimy okazję, wszystko może nam się nie powieść. To wymaga od ciebie wielkiego poświęcenia, synu - większego niż kiedykolwiek - ale to musi zostać uczynionym. Niewoli nas Konieczność, a Konieczność nie znosi sprzeciwu.

- Ktoś musi zostać z Poledrą, Mistrzu - zaprotestowałem.

- Być może jeden z braci zgodzi się nią opiekować. Twoje zadanie jednakowoż jest jasne. Jeśli głos Konieczności powiedział, byś ruszył, to z całą pewnością musisz iść.

- Nie podoba mi się to, Mistrzu - narzekałem.

- To nie jest konieczne, synu. Od ciebie wymaga się, byś szedł, a nie lubił chodzenie.

Bardzo mi pomógł, nie ma co. Mruczając pod nosem, wyszedłem na dwór i skierowałem swe myśli w stronę Tolnedry.

- Potrzebuję cię! - zawołałem do Beldina.

- *Nie wrzeszcz!* - *odkrzyknął.* - *Przez ciebie rozlałem doskonałe ale.*

- Przestań troszczyć się o swój brzuch i wracaj.

- *Co się stało?*

- Muszę odejść i ktoś powinien opiekować się Poledrą.

- *Nie jestem położną, Belgaracie. Poproś o to bliźniaków. Oni są fachowcami w tych sprawach.*

- U owiec, ty grzybie! Nie u ludzi! Wracaj tu zaraz!

- *Dokąd się wybierasz?*

- Do Mallorei. Synowie Chereka znaleźli sposób, aby się tam dostać bez hodowania piór. Ruszamy do Cthol Mishrak, by zabrać Glob.

- *Czyś ty zwariował? Jeśli Torak was na tym przyłapie, to usmaży na wolnym ogniu.*

- Nie mam zamiaru dać się złapać. Wracasz, czy nie?

- *Dobra. Nie podniecaj się; wracam.*

- Odejdę, zanim tu dotrzesz. Bez względu na to, co Poledra będzie mówić lub próbować robić, nie pozwól, by za mną poszła. Trzymaj ją w wieży. Przykuj moją żonę łańcuchami do ściany, jeśli będziesz musiał, ale zatrzymaj ją w domu.

- *Zajmę się Poledrą. Pozdrów ode mnie Toraka.*

- Bardzo zabawne, Beldinie. A teraz ruszaj.

Jak pewnie zauważyliście, nie byłem w zbyt dobrym nastroju. Wróciłem do króla Alornii i jego synów, przytupujących na śniegu.

- W porządku - powiedziałem. - Oto, co zrobimy. Pójdziemy teraz do mojej wieży, ale żaden z was nie zdradzi się z tym szaleńczym pomysłem przed moją żoną. Musi uwierzyć, że po prostu przechodziliście tędy i wstąpiliście z kurtuazyjną wizytą. Nie chcę, aby wiedziała, co zamierzam zrobić, dopóki nie będziemy daleko stąd.

- Rozumiem, że zmieniłeś zdanie - zauważył uprzejmie Cherek.

- Nie kuś losu, Chereku - rzekłem. - Zdecydowano za mnie i wcale nie jestem z tego rad.

Nie mam pojęcia, ile naprawdę Poledra wiedziała, nie chce mi tego wyjawić po dzień dzisiejszy. Uprzejmie powitała Alornów i oznajmiła, że kolacja właśnie się gotuje. To dobitnie świadczyło o tym, że została w coś wtajemniczona. Z wieży było widać miejsce naszego spotkania. Często zastanawiałem się, jak daleko sięgają „talenty” mojej żony. Fakt, iż żyła przez trzysta lat - o których wiedziałem - był jawnym dowodem

na to, że nie można było nazwać jej zwyczajną. Jeśli w istocie posiadała to, co nazywamy „talentami”, nie zdarzyło się, by ujawniła się z nimi, gdy byłem w pobliżu. Myślę, że była to część naszej milczącej umowy. Nigdy nie zadawałem jej pewnych pytań, a Poledra nie zaskakiwała mnie robieniem niezwykłych rzeczy. Każde małżeństwo ma swoje małe sekrety. Jeśli małżonkowie wiedzieliby o sobie wszystko, życie by było okropnie nudne.

Chyba już wspominałem, że Cherek był najgorszym kłamczuchem, jakiego znałem. Zjadł tyle pieczonej wieprzowiny, że nasyciłby się tym cały regiment, a potem rozparł się wygodnie w fotelu.

- Mamy sprawę w Maragorze - powiedział mojej żonie. - Zatrzymaliśmy się tutaj, aby zobaczyć, czy twój mąż nie zechciałby nam pokazać drogi.

Maragor? A jakąż sprawę mogli mieć Alornowie w Maragorze?

- Rozumiem - odparła Poledra dyplomatycznie.

Teraz była kolej na mój udział w kłamstwie Chereka, więc musiałem to zrobić jak najlepiej.

- To naprawdę nie jest zbyt daleko, moja droga - oznajmiłem żonie. - Przeprowadzenie ich przez góry do Mar Amon niepowinno zająć mi więcej niż tydzień.

- Chyba że znowu zacznie padać śnieg - dodała. - To musi być bardzo ważne, skoro chcecie przejść przez te góry zimą.

- O tak, pani Poledro - zapewnił ją Dras o Byczym Karku. - To jest bardzo, bardzo ważne. Chodzi o handel.

Handel? Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale Dras był jeszcze gorszym kłamcą od swego ojca. Maragowie nie mieli dostępu do wybrzeża. Jak Arendowie mogliby dostać się do Maragoru, by z nimi handlować? Nie wspominając już o fakcie, że Maragowie nie są absolutnie zainteresowani jakimkolwiek handlem - a poza tym są kanibalami! Ależ osioł z tego najstarszego syna Chereka! Wzdrygnąłem się. Ten dureń był następcą tronu Alornii!

- Dobiegły nas plotki, że strumienie w Maragorze wręcz płyną złotem - dodał Riva. Przynajmniej Riva miał trochę rozumu.

Poledra знаła Alornów na tyle dobrze, by wiedzieć, że słowo „złoto” rozpala ich dusze do białego.

- Spróbuję pertraktować w twoim imieniu, Chereku - powiedziałem, robiąc smutną minę - ale nie sądzę, aby się wam wielce poszczęściło z Maragami. Nie są zainteresowani złotem nawet na tyle, aby się po nie schylić. Moim zdaniem, nie macie im do zaoferowania niczego, co skłoniłoby Maragów do takiego trudu.

- Myślę, że wasza podróż potrwa dłużej niż tydzień - odezwała się Poledra. - Zabierz ciepłe rzeczy.

- Oczywiście - zapewniłem ją.

- Może powinnam pójść z tobą.

- Absolutnie nie - nie teraz, gdy rozwiązanie jest już tak blisko.

- Za bardzo się tym przejmujesz.

- Nie. Zostaniesz tutaj. Posłałem po Beldina. Wraca, by dotrzymać ci towarzystwa.

- Musiałby się najpierw wykąpać.

- Przypomnę mu o tym.

- Kiedy ruszacie?

Rzuciłem fałszywie pytające spojrzenie Cherekowi.

- Jutro rano? - zapytałem.

Cherek wzruszył ramionami, przesadzając nieco.

- Może być - przystał. - Pogoda w górach nie ma zamiaru się poprawić. Czeka nas wędrowka przez śnieg, więc lepiej nie zwlekajmy.

- Trzymajcie się drzew - poradziła Poledra. - Śnieg nie jest tak głęboki w gęstym lesie.

Jeśli rzeczywiście wiedziała, przyjmowała to bardzo spokojnie.

- Lepiej się trochę prześpijmy - rzuciłem, wstając gwałtownie. Nie potrzebowałem już więcej kłamstw na swe wytłumaczenie.

Tej nocy Poledra była bardzo cicha. Przytuliła się jednakże do mnie mocno i nad ranem odezwała się:

- Bądź bardzo ostrożny. Młode i ja będziemy na ciebie czekać, gdy wrócisz. - Potem powiedziała coś, co mówiła bardzo rzadko, pewnie dlatego, iż czuła, że mówienie o tym nie było konieczne. - Kocham cię.

Następnie pocałowała mnie, przewróciła się na bok i natychmiast zasnęła.

Alornowie i ja wyruszyliśmy następnego ranka, ostentacyjnie kierując się na południe, do Maragoru. Gdy oddaliliśmy się kilka mil od mojej wieży, zawróciliśmy i, trzymając się z dala, by nie było nas widać, podążyliśmy na północny wschód.





To wszystko wydarzyło się około trzech tysięcy lat temu, na długo przedtem, nim Algarowie i Melceni rozpoczęli swoje doświadczenia z rozmnażaniem domowych zwierząt, więc ówczesne odpowiedniki koni były nieco większe od kucyków i na niewiele by się zdały grupie Alornów wysokich na siedem stóp. Podróżowaliśmy zatem piechotą. To znaczy, oni szli, ja biegłem. Jakiś czas usiłowałem dotrzymać Alornom kroku, w końcu zarządziłem postój.

- To na nic - powiedziałem. - Mam zamiar coś zrobić i nie chcę, byście zdenerwowali się z tego powodu.

- Co masz na myśli, Belgaracie? - zagrział Dras nieco zaniepokojony. Cieszyłem się wówczas w Alornii niezgorszą reputacją, a Alornowie mieli przesadne wyobrażenie o tym, czego potrafiłem dokonać.

- Skoro muszę biec, aby dotrzymać wam kroku, to mam zamiar biec na swych czterech łapach.

- Nie masz czterech nóg - zaprotestował.

- Zaraz to naprawię. Gdy to już zrobię, nie będę mógł z wami rozmawiać - a przynajmniej nie w języku, który byście rozumieli - więc jeśli macie jakieś pytania, zadajcie je teraz.

- Nasz przyjaciel jest najpotężniejszym czarodziejem na świecie - powiedział do swych synów Cherek. - Nie ma rzeczy, której nie potrafiłby uczynić.


Myślę, że naprawdę w to wierzył.

- Żadnych pytań? - odezwałem się, spoglądając na towarzyszy. - W porządku - rzekłem - teraz wy będziecie musieli dotrzymać mi kroku.


Wyobraziłem sobie i przybrałem znajomą postać wilka. Robiłem to już tak często, że czyniłem to niemal automatycznie.

- Na Belara! - zawołał Dras, odskakując ode mnie.

Ja tymczasem odbiegłem sto jardów na północny wschód, po czym zatrzymałem się, odwróciłem i usiadłem, by na nich zaczekać. Nawet Alornowie potrafili zrozumieć, co to znaczy.



Kapłan Belara, który napisał początkowe rozdziały „Księgi Alornów”, w bardzo dowolny sposób potraktował prawdę o naszej podróży. Był pewnie zupełnie pijany, gdy to pisał, lub nie podszedł uczciwie do faktów. A może po prostu sądził, że to, co naprawdę się wydarzyło, było zbyt prozaiczne dla pisarza o jego talencie. Głosił, że Dras, Algar i Riva czekali na nas tysiąc lig na północ, co nie było zgodne z prawdą. Potem oznajmił, że moje włosy i broda pobieleły od mrozu tej ostrej zimy, co również było kłamstwem. Moje włosy i broda pobieleły na długo przedtem - głównie za sprawą obcowania z dziećmi Boga-Niedźwiedzia.



Nadal jednak nie byłem zbyt zadowolony z uczestnictwa w tej wyprawie i winę za to złożyłem na muskularne barki mych towarzyszy podróży. Dzień za dniem gnałem na swych czterech łapach do utraty tchu. Każdego wieczoru wracałem do własnej postaci i, nim nadeszli słaniający się na nogach Alornowie, zwykle miałem dość czasu na rozpalenie ogniska i przygotowanie wieczerzy.

- Spieszmy się - przypominałem im z pewną złośliwością. - Długą drogę musimy przebyć, by dotrzeć do waszego przejścia, a nie chcemy chyba znaleźć się tam, gdy lód zacznie już pękać, prawda?

Wędrowaliśmy dalej na północny wschód przez zaśnieżone równiny, które teraz są Algarią, aż dotarliśmy do wschodniej skarpy. Nie miałem zamiaru wspinać się na tę wysoką na milę skalną ścianę, więc skręciłem nieco i poprowadziłem mych zdyszanych towarzyszy na północ, na torfowiska obecnej wschodniej Drasni. Potem przecięliśmy góry, by wyjść na rozległe pustkowia, na których żyli Morindimowie.

Moje złośliwe wysiłki, by zagonić Chereka i jego synów na śmierć, doprowadziły do dwóch rzeczy. Dotarliśmy do Morindlandu w mniej niż miesiąc i moi przyjaciele byli we wspaniałej kondycji. Spróbujcie każdego dnia, przez miesiąc, biegać najszybciej jak potraficie i zobaczcie, co się z wami stanie. Zakładając, że nie padniecie pierwszego dnia, po jakimś czasie będziecie we wspaniałej kondycji. Jeśli na mych przyjaciółach została gdzieś odrobina tłuszczu, to chyba tylko za paznokciami. Okazało się to dla nich bardzo korzystne.

Zeszliśmy z północnego łańcucha gór, który znaczy południowe granice Morindlandu. Ponownie przybrałem własną postać i zarządziłem postój. Zima była w pełni i rozległą arktyczną równinę, na której żyli Morindimowie, pokrywał śnieg i spowijały ciemności. Zaczęła się długa północna noc, choć na szczęście, gdy dotarliśmy do Morindlandu, nisko nad horyzontem wisiał jeszcze półksiężyc, zapewniając nam wystarczająco dużo światła, by wędrówka była nadal możliwa - nieprzyjemna, ale możliwa.

- Nie wiem, czy powinniśmy tam iść - powiedziałem swym otulonym w futra przyjaciółom, wskazując na zamrożone równiny. - Nie ma chyba zbyt dużej potrzeby wdawać się w dyskusje z każdą grupą napotkanych Morindimów?

- Nie - przyznał Cherek, krzywiąc się. - Nie dbam o Morindimów. Przez tygodnie potrafią opowiadać swoje sny, a my rzeczywiście nie mamy na to czasu.

- Gdy wracaliśmy z Algarem od tego przejścia, trzymaliśmy się podnóża tamtych wzgórz - odezwał się Riva. - Morindimowie nie lubią wzgórz, więc nie widzieliśmy ich zbyt wielu.

- To pewnie najlepszy sposób - zgodziłem się. - Poradziłbym sobie z przypadkowo napotkaną grupą, ale to tylko strata czasu. Wiesz, jak zrobić znaki klątwy i znaki marzyciela?

Riva posepnie skinął głową.

- Kombinacja tych dwóch znaków powinna ich trzymać na dystans, prawda?

- Nie rozumiem - zadudnił Dras, spoglądając na nas niepewnie.

- Rozumiałbyś, gdybyś co jakiś czas opuszczał tawerny Val Alorn - powiedział Algar.

- Jestem najstarszy - bronił się Dras. - Na mnie spoczywa odpowiedzialność.

- Oczywiście - mruknął ironicznie Riva. - Spróbuję ci to wytłumaczyć. Morindimowie żyją w innym świecie - i nie mam tu na myśli jedynie śniegu. Sny są dla nich ważniejsze niż rzeczywisty świat i klątwy mają bardzo istotne znaczenie. Belgarath zaproponował właśnie, abyśmy nosili znak marzyciela, dając tym Morindimom do zrozumienia, że wypełniamy polecenie otrzymane we śnie. Będziemy również nosić znak klątwy, który mówi, że każdy, kto nam przeszkodzi, będzie miał do czynienia z demonem.

- Nie ma czegoś takiego jak demony - prychnął Dras.

- Nie ręczyłbym za to swoją głową, Drasie - ostrzegłem go.

- Widziałeś jakiegoś?

- Przywoływałem, Drasie. Aldur wysłał mnie tutaj, bym dowiedział się wszystkiego o tych ludziach. Zgodziłem się na ucznia do jednego z ich czarowników i nauczyłem się wielu sztuczek. Riva nie myli się. Znaki marzyciela i wyklętego sprawią, że Morindimowie będą nas unikać.

- Znaki zarazy? - zaproponował Algar, który nigdy nie używał więcej słów niż to było absolutnie konieczne. Dotychczas nie zrozumiałem, po co w ogóle je mówił.

Zastanowiłem się nad tym.

- Nie - zdecydowałem. - Morindimowie mogliby uznać, że najlepszym sposobem na zarazę jest zasypanie zarażonych ludzi gradem strzał.

- Kłopotliwe - mruknął Algar.

- I tak nie spotkamy zbyt wielu Morindimów tak daleko na południu - powiedziałem - a znaki powinny trzymać ich na dystans.

Mylilem się w tym względzie, jak się okazało. Sporządziliśmy z Rivą znaki i ruszyliśmy na wschód, trzymając się podgórza. Wędrowaliśmy zaledwie od dwóch dni - a raczej nocy, skoro księżyc był na niebie - gdy nagle wokół nas pojawili się Morindimowie. Znaki trzymały ich

na dystans. Było jednak zaledwie kwestią czasu, gdy jakiś czarownik wyjdzie podjąć wyzwanie.

Nie sypiałem za dobrze w czasie naszej wędrówki tym podgórzem. Północne zbocza gór podziurawione były jaskiniami. W jednej z nich ukryłem Alornów, po czym sam wyruszyłem na zwiady. Niemal odmroziłem sobie łapy. Boże, ależ było zimno!

Nie uszedłem daleko, gdy zacząłem natykać się na znaki odwracające kłątwe. Obecność tych odczyniających znaków mówiła mi wyraźniej niż słowa, że czarownicy zaczynają skupiać się wokół nas. To było intrygujące, ponieważ czarownicy są o siebie szaleńczo zazdrośni i prawie nigdy nie współpracują. Ponieważ zaś sprawują kontrolę nad wszystkimi aspektami życia swych klanów, takie ich zgromadzenie było praktycznie niemożliwe.

Księżyc, oczywiście, nie zważał na nas i w swym nieuchronnym cyklu przemian z nocy na noc stawał się coraz większy, aż w końcu osiągnął miesięczną pełnię. Cherek i jego synowie nie mogli pojąć, dlaczego księżyc wschodził, choć słońce tego nie czyniło. Próbowałem im to wyjaśnić, ale gdy doszedłem do prawdziwej orbity Księżyca i widomej orbity Słońca, stracili wątek. W końcu powiedziałem im po prostu:

- Poruszają się po różnych ścieżkach. - I dałem spokój.

Wystarczyło, aby wiedzieli, że księżyc będzie na arktycznym niebie przez około dwa tygodnie każdego miesiąca zimą. Obszerniejsze wyjaśnienia jedynie zamąciłyby im w głowach. Prawdę rzekłszy, wolałbym, aby wzbierające brzuszysko księżyca skryło się za horyzontem. Po dojściu do pełni zrobiło się jasno jak w dzień. Księżyc w pełni nad zaśnieżoną równiną rzeczywiście daje bardzo dużo światła. Było to okropnie niewygodne. Zdaje się, że właśnie na to czekali Morindimowie.

Zostawiłem Chereka i chłopców w jaskini tuż przed zachodem księżyca i wyszedłem się rozejrzeć. O milę na wschód od naszej kryjówki zobaczyłem Morindimów - całe ich tysiące.

Przypadłem do ziemi i zacząłem kłąć. Niezwykłe zgromadzenie wszystkich chyba klanów Morindlandu zupełnie nas zablokowało. Byliśmy w poważnych kłopotach.

Skończyłem w końcu przeklinać, zawróciłem, pognałem do jaskini i przybrałem swą właściwą postać. Alornowie spali.

- Lepiej się obudźcie - powiedziałem.

- O co chodzi? - zawołał Gherek, odrzucając okrycie.

- O milę stąd, na naszej drodze, rozłożyli się chyba wszyscy Morindimowie.

- Oni tego nie robią - zaprotestował Riva. - Klany nigdy nie zbierają się razem w tym samym miejscu.

- Najwyraźniej zasady się zmieniły.

- Co zrobimy? - zapytał Dras.

- Nie możemy prześliznąć się obok nich? - zastanawiał się Cherek.

- Trudno by było - powiedziałem. - Rozłożyli się na przestrzeni wielu mil.

- Co zrobimy? - zapytał ponownie Dras, który miał zwyczaj powtarzania się w chwilach podniecenia.

- Pracuję nad tym.

Zacząłem bardzo szybko myśleć. Jedno było pewne. Ktoś manipulował Morindimami. Riva miał rację; klany nigdy nie współpracowały. Ktoś musiał znaleźć sposób, by to zmienić, i myślę, że to nie był żaden z nich. Wysilałem umysł, ale nie potrafiłem wymyślić sposobu na wyplątanie się z tego. Każdy z klanów miał czarownika, który posiadał własnego demona. Bardzo możliwe, że gdy księżyc wzejdzie, będę miał po uszy roboty ze stworami, które normalnie zamieszkują Piekło. Zdecydowanie potrzebna mi była pomoc.

Nie mam pojęcia, skąd pojawiła się ta myśl...



Pozwólcie, że sprostuję. Teraz, gdy o tym myślę, wiem skąd przyszła.



- Jesteś tam?- zapytałem w myślach.

- Oczywiście.

- Mam problem.

- *Tak, zdaje się, że masz.*

- *Co powinienem zrobić?*

- *Nie wolno mi tego powiedzieć.*

- *W Dolinie zdawało się ci to nie przeszkadzać.*

- *To było co innego. Pomyśl, Belgaracie. Znasz Morindimów i wiesz, jak trudno zapanować nad ich demonami. Czarownik musi być bardzo skoncentrowany, aby demon nie zwrócił się przeciwko niemu. Czy coś ci to sugeruje?*

- *Mam w jakiś sposób przeszkodzić mu w koncentracji?*

- *Czy to pytanie? Bo jeśli tak, to nie wolno mi odpowiadać.*

- *W porządku, to nie jest pytanie. Co sądzisz o tym pomysle - czysto teoretycznie? Czy wolno ci powiedzieć o danym pomysle, czy jest dobry, czy zły?*

- *Jedynie teoretycznie? Myślę, że to dozwolone.*

- *To będzie trochę niewygodne, ale sądzę, iż sobie poradzimy.*

Proponowałem rozliczne rozwiązania, a ów głos w mej głowie odrzucał je jedno po drugim. Zaczynałem wymyślać coraz egzotyczniejsze sposoby. Ku memu przerażeniu, ten bezcielesny głos zdawał się uważać, że nawet moje najokropniejsze i najniebezpieczniejsze pomysły nie były całkowicie pozbawione szans. W takich sytuacjach lepiej powściągnąć swoją wyobraźnię.

- *Czyś ty oszalał?* - zawołał Riva, gdy opowiedziałem Alornom, co mam na myśli.

- *Miejmy nadzieję, że nie* - odparłem. - *Nie ma innego wyjścia, obawiam się. Będę musiał to zrobić, chyba że wolimy zawrócić do domu, choć nie sądzę, aby to było dozwolone.*

- *Kiedy zamierzasz tę rzecz uczynić?* - zapytał Cherek.

- *Gdy tylko wzejdzie księżyc. Muszę wybrać najlepszy czas i nie chcę, aby ubiegł mnie jakiś wytatuowany czarownik.*

- *Po co czekać?* - zapalił się Dras. - *Dlaczego nie zrobić tego teraz?*

- *Ponieważ potrzebuję światła, by narysować symbole na śniegu. Zdecydowanie nie chciałbym niczego pominąć. Spróbujcie się trochę przespać. Być może dłużej nie będziecie mieli do tego okazji.*

Potem wyszedłem na dwór trzymać straż.

To była nerwowa noc, a właściwie dzień, skoro dnie i noce zamieniły się miejscami w czasie arktycznej zimy. Proponując ten plan owemu głosowi Konieczności, który zadomowił się w mej głowie, wiedziałem, że był bardzo ryzykowny, gdyż nie miałem pewności, czy potrafię go wcielić w życie. Nie ma co jednak martwić się na zapas.

Gdy oceniłem, że księżyc właśnie miał zamiar wzejść, wróciłem do jaskini i obudziłem przyjaciół.

- Nie chcę, żebyście trzymali się zbyt blisko mnie - poradziłem. - Nie ma powodu, byśmy wszyscy zginęli.

- Myślę, że wiesz, co robisz! - zaprotestował Dras. Był bardzo pobudliwy. Pomimo wysokiego wzrostu, jego normalnie tubalny głos zabrzmiał odrobinę piskliwie.

- Teoretycznie, tak - powiedziałem - ale nigdy tego poprzednio nie próbowałem, więc może się nie udać. Będę musiał poczekać, aż czarownicy przywołają swe demony, nim cokolwiek uczynię, więc przez jakiś czas sytuacja może być krytyczna. Prostu bądźcie gotowi do ucieczki. Ruszajmy.

Wyszliśmy z jaskini. Spojrzałem na wschód. Błada poświata na horyzoncie powiedziała mi, że księżyc niebawem wzejdzie, więc ruszyliśmy, kierując się ku czekającym Morindimom. Dotarliśmy na szczyt wzgórza w chwili, gdy zaczęli wybijać się ze snu. Budzący się w zimie Morindimowie przedstawiają niesamowity widok. Przypomina on ożywione nagle cmentarzysko, gdyż wedle zwyczaju zagrzebują się w śniegu przed zaśnięciem. Oczywiście śnieg jest zimny, ale powietrze na zewnątrz jeszcze zimniejsze. Podnoszą się ze swoich nor, jakby wygrzebywali się z grobów. To mrozący krew w żyłach widok.

Prawdopodobnie czarownicy nie spali więcej ode mnie. Musieli poczynić własne przygotowania. Każdy z nich wydeptał w śniegu symbole i zajął miejsce wewnątrz owych ochronnych znaków. Mruczeli już pod nosami zaklęcia, gdy weszliśmy na wzgórze. A muszę wam powiedzieć, że owi czarownicy bardzo uważają, aby nie wymawiać zbyt wyraźnie zaklęć przywołujących demony. Te magiczne zwroty to rodzaj zawodowych sekretów i czarownicy strzegą ich bardzo zazdrośnie.

Uznałem, że szczyt wzgórza będzie dobrym miejscem na zajęcie odpowiedniej pozycji, toteż wydeptałem na śniegu swój własny wzór i wszedłem do środka.

Właśnie wówczas niektórzy ze zgromadzonych w dolinie dostrzegli nas i zaczęli krzyczeć, wskazując w kierunku wzgórza. Potem czarownicy poczęli rzucać mi wyzwania. To powszechny zwyczaj wśród prymitywnych ludów. Więcej czasu tracą na przechwałki i wzajemne straszenie się niż na walkę. Nie marnowałem siły na odkrzykiwanie.

Następnie pojawiły się demony. Były różnych rozmiarów, zależnie od umiejętności czarowników, którzy je przywoływali. Niektóre nie były większe od skrzatów, a inne ogromne niczym domy. Oczywiście wszystkie wyglądały odrażająco, ale tego należało się spodziewać. Wspólne dla demonów było to, że parowały na chłodzie. Zdajecie sobie sprawę, że przybyły z o wiele cieplejszego klimatu.

Czekałem. Potem, gdy uznałem, że wszystkie z wyjątkiem kilku demonów są już obecne, zacząłem wyteżać swoją Wolę. Okazało się to zaskakująco łatwe, jako że skupiony byłem na stworzeniu iluzji, nie zaś na zrobieniu czegoś w sensie materialnym. Jednakże nie wymówiłem jeszcze Słowa. Chciałem zaskoczyć ich w ostatniej chwili.

Nie macie pojęcia, jak ciężko trzymać Wolę na wodzy. Czuję, jak włosy unoszą mi się, jakby chciały stanąć dęba i miałem wrażenie, że za chwilę eksploduję.


Wtem, gdzieś pośród zgromadzonego niżej tłumu, ktoś zadał w róg. Domyśliłem się, że to pewnie jakiś sygnał. Wszyscy czarownicy zaczęli rzucać rozkazy i demony z wyciem ruszyły w naszą stronę, skrzaty skakały po śniegu, a większe posuwały się ociężale z boczem niczym rozżarzone szufle, topiące na swej drodze zasy śnieżne.

- Patrzcie! - zagrzmiałem, wzmacniając głos i wskazałem dramatycznym gestem na południe. Nie chciałem, aby księżyc lub zorze polarne zmniejszyły wrażenie tego, co zamierzałem zrobić.


Potem, przybierając pozę jarmarcznego szarlatana, wymówiłem słowa, które uwalniały mą Wolę, głosem, który pewnie było słyhać w Kell.

- Wzejdź! - ryknąłem.

I słońce wzeszło.



Och, dajcie spokój! Macie chyba więcej rozumu w głowie. Nikt nie może rozkazywać słońcu. Nie bądźcie tacy naiwni.



Jednakże wyglądało jak słońce. To było moim zdaniem bardzo dobre złudzenie.


Morindimowie stali jak rażeni piorunem, mówiąc najogólniej. Moje sprytne oszustwo dosłownie ich powaliło. Wielu z nich po prostu straciło przytomność.

Demony zachwiały się i większość z potworów migocząc, niczym fale ciepłego powietrza unoszącego się z gorących skał, zaczęła odzyskiwać swój prawdziwy wygląd. Migoczące demony zawróciły, bo pożreć czarowników, którzy je zniewolili. To wywołało powszechną panikę w dolinie. Podejrzewam, że niektórzy z tych Morindimów nawet rok później nadal uciekali.


Pozostało jednak jeszcze ośmiu, dziesięciu czarowników, którzy panowali nad pracymi ku mnie przez śnieg demonami. Przyznaję, że miałem rozpaczliwą nadzieję, iż moja imitacja słońca u wszystkich wywoła panikę. Nie chciałem robić następnego kroku.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - mruknąłem do nieproszonego gościa w mojej głowie.

- Zaufaj mi.



Nie cierpiałem, gdy tak do mnie mówiono.



Nie trzymałem się mamrotaniem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby powtórzyć tego, czego zamierzałem dokonać. Wymówiłem zaklęcie bardzo dokładnie. To nie był odpowiedni czas na pomyłki. Skoncentrowałem się całkowicie na tym, co robiłem, i moja iluzja zafalowała, po czym zniknęła. Pozostał mi jedynie księżyc.

Powietrze znowu zamigotało, o wiele za blisko, bym czuł się spokojny - to migotanie jarzyło się krwistą czerwienią. Potem poczęło krzepnąć i zestalać się. Postanowiłem nie silić się na oryginalność. Czarownicy Morindimów wykazują się dużą pomysłowością, gdy przychodzi do określania kształtów, w których zamierzają uwięzić swe demony. Ja nie zawracałem sobie głowy mackami, łuskami czy tym podobnymi bzdurami. Wybrałem postać ludzką, której dodałem jedynie rogi. Szczególnie skupiłem się na tych rogach, jako że od nich zależało moje życie.

Demon przez chwilę był niezdecydowany. Nie zdawałem sobie sprawy, że będzie taki ogromny. To był Naczelny Demon i wielkość wyraźnie świadczyła o jego pozycji w hierarchii Piekieł.

Naturalnie chciał ruszyć przeciwko mnie. Na brodzie poczęły mi się tworzyć sople lodu ze spływającego strużkami po twarzy potu.

- Przestań! - rozkazałem z irytacją. - Rób, co ci każę, to potem odeślę cię z powrotem tam, gdzie jest ciepło.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem!

O dziwo, być może to uratowało mi życie. Naczelny Demon parował na chłodzie. Spróbujcie wyskoczyć z piekła w sam środek arktycznej zimy i zobaczycie, jak wam się to spodoba. Mój demon gwałtownie siniał i szczekał kłami.

- Zejdz i pozbądź się innych demonów - rozkazałem.

- Ty jesteś Belgarath, prawda? - rozległ się najokropniejszy głos, jaki słyszałem. Byłem nieco zaskoczony, że moja sława dotarła aż do Piekieł. Taka wiadomość mogła przewrócić człowiekowi w głowie.

- Tak - przyznałem skromnie.

- Powiedz swemu Mistrzowi, że mój Mistrz nie jest zadowolony z twoich poczynań.

- Przekażę. A teraz bierz się do roboty, nim ci rogi przemarzną.

Nie jestem pewny, dzięki czemu sztuczka się udała. Być może sprawił to mróz, albo Król Piekieł polecił Naczelnemu Demonowi współpracować ze mną, abym mógł zanieść jego wiadomość Aldurowi. A może obecność Konieczności onieśmieliła bestię. Lub też byłem wystarczająco silny, by zapanować nad tym ogromnym potworem -

choć to wydawało się nieprawdopodobne. Bez względu jednak na powód, Naczelny Demon urósł do pełnych rozmiarów - a był naprawdę wysoki - i zakrzyknął coś absolutnie niezrozumiałego. Inne demony natychmiast znikły, a czarownicy, którzy je przywołali, padli na śnieg w konwulsjach.

- Dobra robota - pochwaliłem Naczelnego Demona. - Teraz możesz wrócić do domu. Trzymaj się ciepło.

Wielokrotnie wyjaśniałem Garionowi, że te rzeczy powinno się robić z pewną klasą. Nauczyłem się tego od Belmakora.

Cherek i jego synowie stali w pewnej odległości, a gdy odesłałem Naczelnego Demona, zaczęli się odsuwać jeszcze dalej.

- Dajcie spokój! - warknąłem. - Wracajcie.

Niechętnie i z pewnym lękiem zbliżyli się do mnie.

- Muszę coś załatwić - powiedziałem im. - Idźcie dalej na wschód. Dogonię was.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał Cherek głosem pełnym nabożnego lęku.

- Riva miał rację - wyjaśniłem. - To małe zgromadzenie zupełnie nie pasuje do Morindimów. Ktoś musiał maczać w tym palce. Mam zamiar dowiedzieć się, kto to jest, i polecić, by przestał się mieszać. Wschód jest tam - dodałem wskazując właśnie wzeszły księżyc.

- Jak myślisz, ile ci to zajmie czasu? - zapytał Riva.

- Nie mam pojęcia. Po prostu idźcie dalej.

Potem przybrałem ponownie postać wilka i pognałem na południe. Od kilku dni czułem mrowienie, które zdawało się pochodzić z tego właśnie kierunku.

Gdy tylko wydostałem się poza zasięg umysłów swych towarzyszy i paplaninę ogarniętych paniką czarowników Morindimów, przystanąłem i bardzo ostrożnie wysłałem poszukującą myśl.

Wrażenie, które do mnie wróciło, było bardzo znajome. Wyglądało na to, że napotkałem Belzedara.

Natychmiast cofnąłem swą myśl. Co on robił? Najwyraźniej szedł naszym śladem, ale dlaczego? Czy przybywał nam z pomocą? Jeśli tak,

to czemu po prostu nas nie dogonił i nie przyłączył się? Po co się skradać?

Od czasu, gdy Torak ukradł Glob, przestałem w pełni rozumieć Belzedara. Stawał się coraz bardziej wyobcowany i tajemniczy. Mogłem po prostu przesłać swój głos i zaprosić, by się do nas przyłączył, ale z jakiegoś powodu tego nie uczyniłem. Najpierw chciałem się przekonać, co robił. Zwykle nie jestem podejrzliwy, ale Belzedar zachowywał się dość dziwnie przez ostatnie dwa tysiące lat i uznałem, że lepiej postąpię, jeśli dowiem się, dlaczego to robił, nim dam Belzedarowi znać, że wiem o jego obecności.

Ustaliłem położenie swego brata i wspinałem się pędem po północnym łańcuchu gór, co jakiś czas wysyłając myśl, w poszukiwaniu śladów.



Spróbujcie to zapamiętać. Gdy kogoś szukacie swym umysłem i zbyt długo pozostajecie z nim w kontakcie, będzie wiedział o waszej obecności. Cała sztuka polega na tym, by jedynie muskać go myślą. Nie dawajcie temu komuś czasu na zorientowanie się, że jest poszukiwany. To wymaga sporo praktyki, ale jeśli nad tym popracujecie, to zrozumiecie, w czym rzecz.



Właśnie usiłowałem ustalić jego położenie, gdy zobaczyłem ognisko. Co za idiotyzm! Usiłuje skradać się za mną, a pali sygnalizacyjne ognie! Wywiesiłem z uciechy jęzor. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Przestałem biec i zacząłem się czołgać, centymetr po centymetrze zbliżając się na brzuchu do płomieni.

Zobaczyłem go. Stał przy tym swoim niedorzecznym ognisku. Nie był sam. Towarzyszył mu Morindim, starzec ubrany w futra, z laską zwieńczoną czaszkami, co obwieszczało, że był czarownikiem.

Podczołgałem się bliżej. Podejść kogoś w śniegu nie jest tak łatwo, jak się wydaje. Śnieg tłumi dźwięki, ale jeśli jest zimny, całe ciało paruje. Na szczęście trochę już zziębłem, więc futro zatrzymywało ciepło mego ciała, nie pozwalając wydostać się mu na powietrze.

Z brzuchem przy ziemi, leżałem pod ośnieżonymi krzakami i nasłuchiwałem.

- On sprawił, że słońce wzeszło! - mówił czarownik do mego brata przerażonym głosem. - Potem przywołał Naczelnego Demona! Mój klan nie będzie dłużej w tym uczestniczył!

- Muszą! - nalegał Belzedar. - Belgarath nie może dotrzeć do Mallorei! Musimy go powstrzymać!

Co to miało znaczyć? Podczołgałem się bliżej.

- Nic nie mogę poradzić - powiedział twardo czarownik. - Mój klan rozproszył się. Nie potrafiłbym ich zebrać, nawet gdybym spróbował. Belgarath jest zbyt potężny. Nie chcę ponownie stawić mu czoła.

- Pomyśl o tym, co tracisz, Etchquaw - prosił Belzedar. - Pragniesz być niewolnikiem króla Piekieł przez resztę swego życia?

- Morindland jest zimny i mroczny, Zedarze - odparł czarownik. - Nie lękam się ogni piekielnych.

- Ale możesz mieć Boga! Mój Mistrz przyjmie cię, jeśli zechcesz uczynić dla niego tylko tę jedną drobną rzecz! - zawołał z rozpaczą w głosie Belzedar.

Szczupły Morindim wyprostował się, na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- To moje ostatnie słowo, Zedarze. Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym Belgarathem. Przekaż swemu Mistrzowi, co postanowiłem. Powiedz Torakowi, żeby poszukał sobie kogoś inne go do walki z twym bratem Belgarathem.





Patrząc z perspektywy czasu, pewnie dobrze się stało, że dokonałem tego odkrycia w wilczej postaci. W ciągu minionego miesiąca tak bardzo zawładnęła mną osobowość wilka, że zmieniły się moje reakcje. Wilk jest niezdolny do nienawiści - do wściekłości tak; do nienawiści nie. Gdybym był w swej własnej postaci, pewnie zrobiłbym coś pochopnie.

A tak po prostu leżałem w śniegu nastawiając uszu, przysłuchując się, jak Zedar błagał czarownika. Miałem dość czasu, aby ochłonać. Jak mogłem być tak ślepy? Zedar zdradzał się setki razy, odkąd Torak rozłupał świat, ale byłem zbyt nieuważny, aby to spostrzec... Wielce prawdopodobne, że straciłbym masę czasu na wymyślaniu sobie, lecz raz jeszcze natura wilka wzięła górę i porzuciłem ten bezużyteczny zamysł. Ale teraz, gdy znałem już prawdę o swym niegdysiejszym bracie, co miałem z tym zrobić?

Oczywiście najprościej byłoby przyczaić się, dopóki Morindim nie odejdzie, a potem wpaść na polanę i rozszarpać swymi zębami Zedarowi gardło. Bardzo mnie to kusiło; Bogowie wiedzą, jak strasznie mnie to kusiło. Ten pomysł stanowił odbicie wilczej praktyczności. To byłoby szybkie, łatwe, i raz na zawsze usunęłoby obecne niebezpieczeństwo.

Niestety pozostawiłoby jednocześnie całą masę pytań bez odpowiedzi, a ciekawość jest cechą wspólną wilków i ludzi. Wiedziałem, co Zedar zrobił. Teraz chciałem wiedzieć dlaczego. Jednakże zdałem sobie sprawę z jednego. Straciłem właśnie kolejnego brata. Nawet nie myślałem już o nim jak o Belzedarze.

Był jednak jeszcze jeden powód mojej powściągliwości. Do zgromadzenia Morindimów najwyraźniej doszło za namową Zedara. Pokonał ich niechęć do łączenia się, oferując im Boga. Według mnie nie było wielkiej różnicy pomiędzy Torakiem i królem Piekieł, ale najwyraźniej Morindimowie uważali inaczej. Zedar zaplanował tę

pułapkę na mej drodze. Ile ich jeszcze było? To naprawdę musiałem wiedzieć. Raz zastawiona pułapka może czekać długo po śmierci człowieka, który ją przygotował. Sytuacja wymagała jednak podstępu, a ja zawsze byłem w tym niezły.

- Tylko marnujesz siły, Zedarze - mówił Morindim. - Nie mam zamiaru stawić czoła magowi tak potężnemu, jak twój brat. Jeśli chcesz z nim walczyć, to zrób to sam. Jestem pewny, że twój Mistrz ci pomoże.

- Nie mogę, Etchquawie. To jest zakazane. Muszę być narzędziem Konieczności w czasie tego ZDARZENIA.

Co to miało znaczyć?

- Skoro jesteś narzędziem Konieczności, to dlaczego przybyłeś do nas?

Łatwo jest zbyć Morindima. Od czcicieli demonów nie oczekujemy zwykle inteligencji, ale ten Etchquaw był zaskakująco spostrzegawczy.

- Myślę, iż boisz się Belgaratha - ciągnął dalej - i sędzę, że obawiasz się jego Konieczności. Nie mam zamiaru wsadzać za ciebie ręki w ogień, Zedarze. Nauczyłem się żyć z demonami. Tak naprawdę niepotrzebny mi Bóg - szczególnie tak bezsilny, jak Torak. Mój demon potrafi zrobić wszystko, co mu powiem. Twój Torak zdaje się dość ograniczony w swych działaniach.

- Ograniczony? - zaprotestował Zedar. - On rozłupał świat durniu!

- I co mu z tego przyszło? - zapytał pogardliwie Morindim. - Jedyne ogień, Zedarze. Oto, co mu z tego przyszło. Jeśli pragnąłbym tylko ognia, zacząłbym, aż pójdę do Piekła.

Zedar zmrużył oczy.

- Nie musisz czekać tak długo, Etchquawie - powiedział stanowczo.

Mogłem go powstrzymać. Czulem, jak zbierał Wolę, ale, mówiąc szczerze, nie wierzyłem, że to zrobi.

Ale zrobił. Byłem całkiem blisko, więc dźwięk Słowa uwalniającego Wolę był ogłuszający.

Etchquaw nagle zajął się ogniem.



Przepraszam, że otwieram stare rany, Garionie, ale nie ty pierwszy tak postąpiłeś. Choć była różnica. Ty miałeś pod dostatkiem powodów, aby zrobić to, co uczyniłeś w Lesie Driad. Jednakże Zedar podpalił Morindima z czystej złośliwości. Faktem również jest, że ty czułeś się winny, czego z pewnością nie mógłbym powiedzieć o Zedarze.



To wszystko działo się dla mnie nieco za szybko, więc odczołgałem się z tych ośnieżonych zarośli i zostawiłem Zedara jego rozrywkom.

W myślach nadal dźwięczał mi sposób, w jaki Zedar użył słowa „zdarzenie”. To był jeden z tych wypadków, przed którymi przestrzegał nas Mistrz. Byłem przekonany, że wydarzy się coś ważnego, ale myślałem, że stanie się to w Cthol Mishrak. Najwyraźniej się myliłem. Może później będzie inne zdarzenie, ale najpierw musimy przejść przez to. Postanowiłem, że czas znowu zasięgnąć rady.

- Możemy porozmawiać? - zapytałem obecność w mej głowie.

- *Coś się stało?*

Myślę, że to właśnie denerwowało mnie najbardziej u mego nieproszonego gościa - wydawało mu się, że jest zabawny. Nie miałem zamiaru się spierać. Biorąc pod uwagę jego umiejscowienie, zapewne już wiedział, jak się czuję.

- To jedna z tych małych konfrontacji, które wciąż się zdarzają, prawda ?

- *Najwyraźniej.*

- Ma jakieś znaczenie?

- *Wszystkie mają znaczenie, Belgaracie.*

- Zedar powiedział, że jest tym razem narzędziem innej Konieczności. Myślałem, że to był Torak.

- *Był. To zmienia się co jakiś czas.*

- *Zatem Zedar mówił prawdę.*

- *Skoro postanowiłeś mu wierzyć, tak.*

- Przestajesz? - podniosłem głos. Na szczęście, powiedziałem to na wilczy sposób, więc nikt nie mógł moich słów usłyszeć.

- *Jesteś dziś rozdrażniony.*

- Nieważne. Skoro Zedar jest narzędziem innej Konieczności, kto jest twoim ?

Na długą chwilę zapadło milczenie, ale wyczuwałem u swego gościa rozbawienie.

- Nie jesteś poważny!

- *Zawsze miałem do ciebie zaufanie.*

- Co mam zrobić?

- *Jestem pewny, że to samo do ciebie przyjdzie.*

- Nie masz zamiaru mi powiedzieć?

- *Oczywiście, że nie. Musimy trzymać się zasad.*

- Potrzebuję pewnych wskazówek. Jeśli zrobię to po swojemu, to ręczę, że popełnię błędy.

- *Wzięliśmy to pod uwagę. Poradzisz sobie.*

- Mam zamiar zabić Zedara.

To była próżna groźba. Gdy już trochę ochłonąłem, moje mordercze zapędy ostygły. Zedar był mi bratem przez trzy tysiące lat, więc nie miałem zamiaru go zabić. Mógłbym podpalić mu brodę lub zawiązać jelita na wymyślny supeł, ale nie zabiłbym swego brata. Pomimo wszystko nadal bardzo kochałem Zedara.

- *Bądź poważny, Belgaracie* - powiedział głos w mej głowie. - *Nie jesteś zdolny zabić swego brata. Wystarczy, jeśli go wyłączysz. Nie daj się zwieść. Będziesz go jeszcze potrzebował.*

- Nie masz zamiaru powiedzieć mi, co robić, prawda ?

- *To nie jest tym razem dozwolone. Musicie sami z Zedarem dopracować szczegóły* - *dodał głos i świadomość obcej obecności w mej głowie zniknęła.*

Złorzeczyłem przez kilka minut. Potem pognałem z powrotem do miejsca, w którym Zedar grzał się przy zwęglonych szczątkach Morindima. Po drodze zacząłem układać sobie plan. Mogłem zaraz stanąć przed Zedarem i załatwić sprawę, ale ten pomysł posiadał wiele

luk. Teraz, gdy wiedziałem, w czym rzecz, nie było sposobu, aby mnie zaskoczył, a bez elementu zaskoczenia nie miał ze mną szans. Mogłem załatwić go jedną ręką, ale problem pułapek nadal pozostałby nie rozwiązany. Uznałem, że najlepszym wyjściem będzie śledzić Zedara przez kilka dni, by sprawdzić, czy miał kontakt z innymi - Morindimami lub kimś jeszcze. Znałem Zedara wystarczająco dobrze i wiedziałem, że wolał, by inni wykonywali za niego brudną robotę.

Wtem zatrzymałem się i przywarłem do ziemi. Zedar był świadom, że moją ulubioną postacią zastępczą była postać wilka. Jeśli zobaczy wilka - czy choćby jego ślady na śniegu - natychmiast będzie wiedział, że buszowałem gdzieś w okolicy. Musiałem przybrać inną postać.

Biorąc pod uwagę zasady obowiązujące w tym szczególnym spotkaniu, myślę, że mogę w pełni przypisać sobie całą zasługę.

Mój gość powiedział, że nie wolno mu było niczego radzić, więc byłem zdany wyłącznie na siebie.

Przebiegłem w myślach ostatnie kilka tysięcy lat. Zedar niemal prawie cały ten czas spędził w Mallorei, więc o wielu sprawach, które wydarzyły się w Dolinie, nie miał pojęcia. Wiedział, że wilczyca przebywała ze mną w wieży, ale nie był świadom, jakie posiada umiejętności. Mógłby coś podejrzewać, gdyby wilk ruszył jego śladem, ale sowa? Nie sądzę - przynajmniej dopóki nie zobaczyłby, jak niewprawy byłem w lataniu.

Oczywiście pamiętałem sowę bardzo dobrze, więc nie było mi trudno stworzyć w myślach jej obrazu. Dopiero po przyjęciu tej postaci zdałem sobie sprawę z pomyłki. To była samica!

Oczywiście tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia, ale w pierwszej chwili zmieszałem się. Jak kobietom udaje się nic mieć robaczywych myśli przy tych wszystkich dodatkowych organach wewnętrznych - i tych wszystkich substancjach krążących w ich krwi?

Myślę, że lepiej będzie nie rozwijać dalej tego tematu.

Szczęśliwie dla mnie, biorąc pod uwagę mój irracjonalny lęk, gdy przychodzi do latania na zbyt dużych wysokościach, sowy nic mają


powodu wzbijać się zbyt wysoko w powietrze. Sowa interesuje się tym, co jest na ziemi, nie pośród gwiazd. Pofrunąłem nisko nad ośnieżoną ziemią z powrotem do miejsca, w którym zostawiłem Zedara.

Macie pojęcie, jak sowy świetnie widzą w ciemności? Byłem zdumiony swym dobrym wzrokiem. Moje pióra były bardzo miękkie i odkryłem, że potrafię lecieć w absolutnej ciszy. Skoncentrowałem się na tej czynności. Uwierzycie, że robiłem to coraz lepiej? Przestałem jak szalony machać skrzydłami i udało mi się nawet latać z pewnym wdziękiem.


Po Etchquawie pozostała jedynie kupka dymiącego popiołu, a Zedar zniknął. Na szczęście jego ślady nie. Wiodły łukiem z powrotem w górę zbocza na skraj karłowatych zimozielonych zarośli na linii drzew, a potem skręcały na wschód. To ułatwiło mi sprawę. Trudno śledzić kogoś niepostrzeżenie lecąc nad otwartym terenem. Jako sowa mogłem jednakże przemieszczać się cicho z drzewa na drzewo, dopóki go nie dogonię. Wyglądało na to, że kierował się na wschód, równoległe do kierunku marszu, jaki ustaliłem dla Chereka i jego synów. Zabawiałem się, latając zygzakiem wzdłuż szlaku Zedara, raz przed nim, raz za nim. Nietrudno było go śledzić, ponieważ wyczarował sobie zielonkawe światło do oświetlania drogi - i odpędzania złych duchów. Mówiłem wam, że Zedar bał się ciemności? To nadaje inny wymiar jego obecnej sytuacji, prawda?

Był po uszy opatulony w futra i mruczał pod nosem, brnąc samotnie w śniegu. Zedar często do siebie mówił. Zawsze to robił. Nie miałem pojęcia, co zamierzał. Jeśli sądził, że potrafi dotrzymać kroku długonogim Alornom, to się grubo mylił. Miałem pewność, że Cherek i jego chłopcy byli już przynajmniej dziesięć mil przed nim. Zedar nadal wspinał się szerokim łukiem i nim księżyc ponownie zaszedł, dotarł na grań północnego łańcucha gór. Wówczas zatrzymał się.

Przefrunąłem na pobliskie drzewo i obserwowałem go na sowi sposób.



Przepraszam. Nie mogłem się temu oprzeć.



- Mistrzu!

Jego myśl niemal strąciła mnie z konaru, na którym tkwiłem. Panie, ależ Zedar potrafił być niezdarny, gdy się zdenerwował.

- *Słyszę cię, synu.*

Poznałem ten głos. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że Torak był niemal tak niezdarny, jak Zedar. A przecież był Bogiem! Czyżby lepiej nie potrafił? Możliwe, że w tym tkwił problem. Może poczucie boskości dawało mu taką pewność siebie, że stał się nieostrożny.

- Zawiodłem, Mistrzu - cichy głos Zedara drżał. Torak nie należał do tych, którzy przyjmują ze spokojem wiadomość o porażce swych podwładnych.

- *Zawiodłeś? - urażony ton Boga sugerował całe mnóstwo nieprzyjemnych następstw. - Nie przyjmuję tego do wiadomości, Zedarze. Ty nie możesz zawieść.*

- Nasz plan miał wadę, Mistrzu. Belgarath jest o wiek potężniejszy, niż zakładaliśmy.

- *Jakże mogło do tego dojść, Zedarze? Belgarath jest przecież twym bratem. Jak to się mogło stać, że nie byłeś świadom wzrostu jego mocy?*

- Zdawał mi się jedynie głupcem, Mistrzu. Jego umysł nie jest lotny ani wzrok bystry. To jedynie zapijaczony rozpustnik o szczątkowej moralności i powadze.

Rzadko słyszymy coś pochlebnego na swój temat, gdy podsłuchujemy. Zauważyliście to?

- *Jakże zatem udało mu się pokrzyżować ci szyki, synu? - w głosie Toraka słychać było srogie oskarżenie.*

- W jakiś nie znany mi sposób posiadał wiedzę o sposobach, w jakie czarownicy Morindimów przywołują demony i panują nad tymi, które są ich niewolnikami. Prawdę powiadam ci, Mistrzu, on o wiele przewyższa w tym tych dzikusów.

Oczywiście nie wiedział, jakim sposobem poznałem magię Morindimów. Był w Mallorei, gdy wyprawiłem się do Morindlandu na naukę.

- Co on takiego uczynił, Zedarze? - dopytywał się Torak. - Muszę dokładnie wiedzieć, jak wielkie są jego umiejętności, nim poradzę się Konieczności, która nas prowadzi.

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens tego, co usłyszałem. Inna Konieczność - przeciwieństwo tej, która zamieszkała w mej głowie - nie kontaktowała się bezpośrednio z Zedarem. Torak znajdował się pomiędzy nimi! Był zbyt zazdrosny, by pozwolić komukolwiek na dostęp do tego ducha - czy jak to nazwiecie. Tu cię mam! Mnie mówiono, jeśli popełniłem błąd; Zedarowi nie. Nagle miałem ochotę zatrzepotać skrzydłami i zapać jak kogut.

Słuchałem bardzo uważnie, jak Zedar opisywał moje starcie z Morindimami i ich demonami. Trochę przesadzał. Zedar zawsze wyrażał się zbyt kwieciście, ale tym razem miał ku temu bardzo dobry powód. To, czy nadal pozostanie w dobrym zdrowiu, zależało od umiejętności przekonania Toraka, że byłem nieodgadniony.

Zedar zakończył barwny opis mojego Naczelnego Demona. Na długą chwilę zapadła cisza.

- Rozważę to i zasięgnę rady Konieczności - powiedział w końcu Torak. - Idź tropem swego brata, ja tymczasem obmyślę nowe sposoby, by go opóźnić. Nie ma potrzeby Belgaratha niszczyć. CZAS ZDARZENIA jest równie ważny jak samo ZDARZENIE.

Wnioski z tego były oczywiste. Nie istniały inne pułapki. Wszystko uzależnili od Morindimów. Miałem ochotę się uśmiechnąć, ale to trochę trudne, gdy ma się dziób. Nie było zatem potrzeby dłużej zwlekać; wiedziałem, co chciałem wiedzieć. Postanowiłem wyłączyć Zedara z działania tu i teraz. Mogłem przefrunąć na wierzchołek nad nim, zmienić postać i runąć na Zedara niczym walący się dach.

- Jeszcze nie teraz - powiedział głos. - Jeszcze nie czas.

- Kiedy zatem ?

- Za kilka minut może zechcesz ponownie rozważyć swój plan. Myślę, że ma pewne luki.

Po chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że głos miał rację. Spadnięcie Zedarowi na głowę nie było dobrym pomysłem. Równie

dobrze mogłem sam stracić przytomność, co Zedara jej pozbawić. Poza tym chciałem z nim najpierw trochę porozmawiać.

Mgliste poczucie obecności Toraka zniknęło. Okaleczony Bóg z Cthol Mishrak zajęty był naradą z inną świadomością. Zedar zaczął schodzić ze wzgórza przez kosodrzewinę, kierując się z powrotem na szlak.

Podleciałem i wylądowałem na śniegu kilkaset jardów przed nim. Potem wróciłem do swej postaci i czekałem, oparty niedbale o drzewo.

Widziałem zielonkawe światelko Zedara migoczące pomiędzy drzewami, gdy szedł w moim kierunku. Wykorzystałem ten czas na opanowanie swego niebotycznego gniewu. Nie można pozwolić, by emocje wzięły górę w jakimkolwiek konflikcie.

W końcu Zedar wyszedł spomiędzy drzew na drugim krańcu polany.

- Co cię zatrzymało? - zapytałem go spokojnym tonem.

- Belgarath! - krzyknął zdumiony.

- Chyba musiałeś przysypiać, Belzedarze. Nie czułeś mej obecności? Nie starałem się ukrywać.

- Dzięki Bogu, że jesteś - powiedział z udawanym entuzjazmem. Szybko się opanował, muszę mu to przyznać. - Nie słuchałeś? Próbowałem skontaktować się z tobą.

- Biegłem jako wilk. To musiało przytłumić moje zmysły. Co tu robisz?

- Próbowałem cię dogonić. Razem z Alornami niepotrzebnie się narażacie.

- Tak?

- Nie musicie iść do Mallorei. Ja już odzyskałem Glob. Wasza nedorzeczna wyprawa jest po prostu stratą czasu.

- To zdumiewające. Niech go zobaczę.

- Nie uważałem za bezpieczne zabierać Globu ze sobą. Nie miałem pewności, czy zdołam cię dogonić, a nie chciałem go brać z powrotem do Mallorei, więc schowałem w bezpiecznym miejscu.

- Dobry pomysł. Jak udało ci się odebrać Glob Torakowi? - Pomyślałem, że pozwolę Zedarowi snuć te niestworzone opowieści, dopóki mu starczy pomysłowości.

- Zajmowałem się tym od dwóch tysięcy lat, Belgaracie. Przez cały ten czas pracowałem nad Urvonem. Nadal jest Grolimem, ale lęka się mocy klejnotu naszego Mistrza. Odwrócił uwagę Toraka, dzięki czemu mogłem wśliznąć się do tej żelaznej wieży w Cthol Mishrak i ukraść Glob.

- Gdzie go Torak trzymał? - Ta informacja mogła nam się później przydać.

- Był w pokoju przylegającym do komnaty, w której Torak spędza cały swój czas. Nie chciał tej żelaznej skrzyni w swoim pokoju. Pokusa, by ją otworzyć, mogłaby być zbyt wielka.

- No dobrze - powiedziałem dobrodusznie - to chyba wszystko załatwia. Cieszę się, że się spotkaliśmy, bracie. Nie miałem zbytnej ochoty wędrować do Mallorei. Dogonię Chereka i jego synów, a ty tymczasem pójdziesz po Glob. Potem możemy wszyscy wrócić do Doliny - dodałem. Pozwoliłem mu jeszcze trochę cieszyć się sukcesem. - Nie spodziewałeś się tego po zapijaczonym rozpustniku o szczątkowej moralności i powadze? - zapytałem, rzucając Zedarowi w twarz jego własne słowa. Potem westchnąłem z prawdziwym żalem. - Dlaczego, Belzedarze? Dlaczego zdradziłeś naszego Mistrza?

Zedar spojrzał na mnie z przerażeniem.

- Powinieneś być bardziej uważny, stary - rzekłem. - Przez ostatnie dziesięć godzin podążałem tuż za tobą. Uważasz, że naprawdę konieczne było podpalenie Etchquawa? - zapytałem. Przyznaję, że go prowokowałem. Nadal był moim bratem i nie chciałem pierwszy zadać ciosu. Naciskałem go dalej nieubłaganie. - Jesteś trzecim uczniem Toraka, prawda? Przeszedłeś na drugą stronę. Cóż ci takiego zaproponował, Zedarze? Co na świecie może być tego, co uczyniłeś?

W tym momencie załamał się.

- Nie miałem wyboru, Belgaracie - szlochał. - Myślałem, że uda mi się zwieść Toraka, że będę mógł udawać, iż akceptuję go i służę mu, ale Torak położył rękę na mej duszy i wyrwał ją ze mnie. Jego dotknięcie, Belgaracie! Boże drogi, jego dotknięcie!

Zebrałem siły. Wiedziałem, co się stanie. Zedar zawsze był nadpobudliwy. To stanowiło jego wielką słabość.

Zaczął mi miotać ogniem w twarz. Pomiędzy jednym szlochnięciem a drugim brał zamach, a potem rzucał kulą płomieni, która pojawiała się w jego dłoni.

Odrzucałem ogień niedbałym gestem.

- Nie dość dobre, bracie - powiedziałem. Potem powaliłem go na śnieg. To było rozsądne z taktycznego punktu widzenia. Czulem, jak moja Wola przybiera na sile i ten cios prosto w twarz przyniósł mi ogromną satysfakcję.

Wstał plując krwią i zębami. Usiłował odzyskać panowanie nad sobą. Nie dałem mu na to jednakże czasu. Przez następne kilka minut tańczył na śniegu, robiąc uniki przed piorunami, którymi w niego miotałem. Nadal nie chciałem Zedara zabić, więc przed każdym piorunem posyłałem mu ostrzeżenie. Nie pozwoliłem jednak, by odzyskał równowagę. Syczenie, z jakim błyskawice uderzały w śnieg, wyraźnie go denerwowało.

Zedar otoczył się chmurą absolutnych ciemności, usiłując się ukryć. Rozpędziłem jednak tę chmurę i dalej miotałem w niego błyskawicami. Naprawdę Zedarowi się to nie podobało. Mój brat lękał się wielu rzeczy, a błyskawice do nich należały. Trzaski moich piorunów, syczenie i para zdecydowanie go denerwowały.

Spróbował znowu użyć przeciwko mnie ognia, ale gasiłem jego płomienie, nim jeszcze na dobre zapłonęły. Mógłbym się z Zedarem tak bawić jeszcze dłużej, ale już zrozumiał, kto jest górą. Nie było potrzeby dalej go gnębić, więc skoczyłem na przeniewiercę i dosłownie począłem Zedara wbijać w ziemię gołymi rękoma. Mogłem to zrobić na setki innych sposobów, ale jego zdrada zdawała się wołać o fizyczne zadośćuczynienie. Okładałem go przez chwilę pięściami. Początkowo bronił się, jak mógł. Przez kilka minut szarpaliśmy się, ale dla mnie była to większa przyjemność niż dla niego. Nagromadziło się we mnie wiele gniewu i okładanie Zedara sprawiało mi wielką satysfakcję.

W końcu zdzieliłem zdrajcę solidnie w skroń. Oczy mu się zaszklily i osunął się nieprzytomny na śnieg.

- To cię nauczy - mruknąłem, stając nad jego nieprzytomnym ciałem. Nie było to najmądrzejsze zdanie, ale coś musiałem powiedzieć.

Pojawił się jednakże pewien problem. Co miałem z nim teraz zrobić? Nie chciałem Zedara zabić, a po ciosie, który mu zadałem, długo będzie nieprzytomny. Miałem pewność, że zasady tego spotkania zabraniają głosowi w mej głowie udzielania jakichkolwiek rad, więc byłem zdany jedynie na siebie.

Zamyśliłem się nad nieruchomym ciałem u mych stóp. W obecnym stanie Zedar nie przedstawiał dla nikogo zagrożenia. Wystarczyło, aby w tej kondycji pozostał. Wziąłem go pod pachy i zaciągnąłem pomiędzy drzewa. Przykryłem ciało gałęziami. Pomimo wszystko nie chciałem, aby zamarł na śmierć lub zadusił się pod zwałami śniegu. Potem wsunąłem rękę pod gałęzie, odszukałem jego twarz i zebrałem Wolę.

- To wszystko musiało być dla ciebie wyczerpujące, Zedarze - powiedziałem. - Może byś się trochę przespał?

Następnie uwolniłem Wolę. Uśmiechnąłem się i wstałem. Starannie to skalkulowałem. Zedar prześpi przynajmniej sześć miesięcy, więc nie będzie nam deptał po piętach, gdy wraz z Alornami udamy się do Cthol Mishrak, by dokończyć to, co zaplanowaliśmy. Byłem z siebie zadowolony. Przybrałem ponownie postać wilka. Potem ruszyłem na poszukiwanie Chereka i jego chłopców.





Najwyraźniej wieść o moim Demonie już się rozniosła, ponieważ nie spotkaliśmy Morindimów w trakcie przejścia przez południowy skraj pasma gór. Księżyc oddalił się na południe, ale zorze polarne wystarczająco oświetlały niebo i poruszaliśmy się w dobrym tempie. Wkrótce dotarliśmy na wybrzeże Morza Toraka.

Na szczęście plaża upstrzona była ogromnymi stertami drewna wyrzuconego przez fale. W przeciwnym razie nie byłibyśmy w stanie powiedzieć, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna woda. Teren plaży był niemal tak płaski, jak zamrożone morze, a wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu.

- Pójdziemy na północ tą plażą - powiedział Riva. - Po jakimś czasie zakręca na wschód. Przejście jest w tamtym kierunku.

- Nie zbliżajmy się lepiej do twego przejścia - rzekłem.

- Co?

- Torak wie, że nadchodzimy. A do tej chwili dowiedział się już pewnie, że Zedar nie potrafił nas zatrzymać. Może przygotować dla nas kilka niespodzianek, jeśli skorzystamy z tego łańcucha wysepek. Lepiej pójdźmy lodem.

- Tam nie ma żadnych punktów orientacyjnych, Belgaracie - zaprotestował. - Nie możemy nawet kierować się słońcem. Zgubimy się.

- Nie, nie zgubimy się, Rivo. Mam bardzo dobre wyczucie kierunku.

- Nawet w ciemnościach?

- Tak. - Rozejrzałem się wokół, mrużąc oczy w mroźnych porywach wiatru z północnego zachodu. - Schowajmy się za tą stertą drewna - powiedziałem. - Rozpalimy ognisko, zjemy coś ciepłego i prześpiemy się. Następne dni nie będą przyjemne.

Myślę, że przejście pola lodowego w samym środku zimy nie należy do najmilszych doświadczeń. Z dala od brzegu wiatr ma do ciebie swobodny dostęp, a polarne wichry wieją niemal nieprzerwanie. Oczywiście przy okazji oczyszczają lód ze śniegu, więc przynajmniej nie trzeba brnąć przez zasy. Jednakże i bez nich jest dość problemów. Gdy ludzie mówią o przejściu przez pole lodowe, zwykle mają na myśli zamrożone jezioro, które jest gładkie niczym stół. Morze, z powodu przyływów i odpływów, wygląda zupełnie inaczej. Nieustanne wznoszenie się i opadanie wody jesienią i wczesną zimą powoduje pęknięcie lodu, dopóki nie stanie się na tyle gruby, aby się temu oprzeć. To zaś sprawia, że powstają grzbiety i głębokie szczeliny, które czynią pokonanie zamrożonego morza równie trudnym, co przejście przez pasmo gór. Nie było to zbyt przyjemne.

Słońce dawno porzuciło północ i księżyc również odszedł, nie potrafię więc powiedzieć, ile czasu zajęło przejście przez morze - prawdopodobnie nie tak dużo, jak się nam wydawało, ponieważ przybrałem postać wilka i długo mogłem biec bez przystanku. Co więcej, moje wyścigi z Alornami poprawiły im na tyle kondycję, że potrafili prawie dotrzymać mi kroku.

W każdym razie w końcu dotarliśmy na wybrzeże Mallorei - akurat na czas, jak się potem okazało, ponieważ gdy tylko stanęliśmy na brzegu, rozszalała się trzydniowa śnieżycą. Schroniliśmy się pod stertą drewna. Dras okazał się bardzo użyteczny. Swym toporem wyrębał nam bardzo przytulne legowisko w środku tej góry drewna. Rozpaliliśmy ognisko i stopniowo odtajaliśmy.

Podczas jednej ze swych wizyt w Dolinie Beldin naszkicował mi przybliżoną mapę Mallorei. Wiele czasu spędziłem pochylony nad nią, podczas gdy śnieżna zawierucha zajęta była usypywaniem kilkumetrowej zasy nad naszym schronieniem.

- Jak daleko od miejsca, w którym przebyliśmy morze, znajduje się przejście? - zapytałem Rive, gdy wichur zaczął słabnąć.

- Nie wiem. Pewnie jakieś pięćdziesiąt lig.

- Jesteś bardzo pomocny, Rivo - powiedziałem kwaśno. Znowu zacząłem się wpatrywać w mapę. - Beldin nie wiedział nic o przejściu, oczywiście, więc go nie narysował. Nie zamieścił również skali, tak, że

mogłem jedynie zgadywać. - Wydaje mi się, że jesteśmy w przybliżeniu na zachód od Cthol Mishrak - oznajmiłem przyjaciółom.

- W przybliżeniu? - zdziwił się Cherek.

- Ta mapa nie jest zbyt dokładna. Pozwala mi w ogólności ustalić położenie miasta, ale to wszystko. Gdy wiatr jeszcze trochę ucichnie, rozejrzemy się. Cthol Mishrak leży nad rzeką, a na północ od niej rozciągają się mokradła. Jeśli znajdziemy mokradła, to będziemy wiedzieli, że jesteśmy dość blisko.

- A jeżeli nie znajdziemy?

- Wówczas będziemy musieli ich poszukać - lub rzeki.

Cherek spojrział na mapę.

- Możemy być na północ od mokradeł, Belgaracie - zaprotestował. - Lub na południe od rzeki, na przykład. Możemy tak włączyć się po okolicy do lata.

- A masz coś lepszego do roboty?

- No cóż, nie, ale...

- Nie ma powodu do zmartwień, dopóki nie stwierdzimy, co jest w głębi łądu. Twoje wróżby mówią, że to twój szczęśliwy rok, więc może wyszliśmy na brzeg we właściwym miejscu.

- Ale ty nie wierzysz we wróżby.

- Nie, ale ty w nie wierzysz. Może o to w tym chodzi. Jeśli myślisz, że masz szczęście, to pewnie je masz.

- Zdaje się, że o tym nie pomyślałem - powiedział, a jego twarz nagle rozpozodziła się. Alorna można przekonać niemal o wszystkim, jeśli tylko wystarczająco szybko mówić.

Zawinęliśmy się w nasze futra i zapadliśmy w sen. Naprawdę nie było co robić, chyba że przyglądać się jak Dras grał w kości. Drasnianie uwielbiają hazard, ale ja znajdowałem większą przyjemność, śniąc o swej żonie. Nie jestem pewny, jak długo spałem, ale po jakimś czasie Riva obudził mnie.

- Lepiej nastaw swe wyczucie kierunku, Belgaracie - rzekł napastliwym tonem.

- O co chodzi?

- Byłem właśnie na dworze, aby zobaczyć, czy wichur przycichł. Słońce wschodzi.

Usiadłem szybko.

- Dobrze - odparłem. - Obudź ojca i braci. Przez jakiś czas będziemy mieć trochę światła. Wykorzystajmy to na rozejrzenie się po lądzie. Powiedz, aby nie zwijali obozu. Rozejrzemy się tylko i wrócimy. Chcę, by znowu zapadły ciemności, nim ruszymy.

Za plażą ciągnęły się łagodne wzgórki. Podeszliśmy do nich. Dras uderzył siekierą w pokryte śniegiem zbocze.

- Piasek - oznajmił. To zabrzmiało obiecująco.

Wdrapaliśmy się na wydmy. Przed nami rozciągał się karłowaty las, który przypominał dżunglę poznaczoną tu i tam rozległymi polanami.

- Co o tym myślisz? - zapytał mnie Cherek. - Wygląda na podmokły teren. Oczywiście jest zamrożony, pokryty śniegiem, ale jeśli to owo bagnisko, to polanki latem powinny być pod wodą.

- Rozejrzyjmy się - powiedziałem, spoglądając nerwowo na gasnący „świt” wzdłuż południowego horyzontu. - Lepiej się pospieszmy, jeśli chcemy tam dotrzeć, nim znowu zapadną ciemności.

Zbiegliśmy z wydmy pomiędzy sękaty, karłowate drzewka. Oczyszciliśmy nogą ze śniegu kawałek ziemi.

- Łód - oświadczyłem z pewną satysfakcją. - Wyrąb w nim dziurę, Drasie. Muszę przyjrzeć się wodzie.

- Stępisz mój topór, Belgaracie - narzekał.

- Możesz go ponownie naostrzyć. Zaczynaj rąbać.

Dras rzucił pod nosem kilka przekleństw, wyprężył swe muskularne ramiona i wziął się do pracy.

- Mocniej, Drasie - ponaglałem go. - Chcę dostać się do wody, nim się ściemni.

Dras rąbał mocniej i szybciej, rozpryskując na wszystkie strony kawałki lodu. Po kilku minutach z dna otworu zaczęła się sączyć woda.

Z trudem powstrzymałem się, by nie zatańczyć z radości. Woda była brązowa.

- Wystarczy - powiedziałem. Przykleknałem, nabrałem w dłonie wody i posmakowałem. - Słonawa - oznajmiłem. - W porządku, to woda z bagniska. Wygląda na to, że twoje wróżby sprawdziły się, Chereku. To jest twój szczęśliwy rok. Wracajmy na plażę i zjedźmy śniadanie.

W drodze powrotnej Algar zajął miejsce u mego boku.

- Rzekłbym, że to również twój szczęśliwy rok, Belgaracie - mruknął cicho. - Ojciec nie miałby najlepszego humoru, gdybyśmy przegapili to bagnisko.

- W żaden sposób nie mogłem się zgubić, Algarze - odparłem wesoło. - Gdy wrócimy na plażę, pożyczę od twego brata kości i przez cały dzień będę wyrzucał same trafne.

- Nie gram w kości. O czym ty mówisz?

- To gra zwana hazardem - wyjaśniłem. - Podajesz liczbę, nim rzucisz kostką. Jeśli wypadnie, wygrałeś. Te liczby nazywamy trafnymi.

- A jeżeli nie wypadną, przegrałeś?

- To trochę bardziej skomplikowane. Niech ci Dras pokaże.



- Mam lepsze sposoby na wydawanie swych pieniędzy, Belgaracie. Nasłuchałem się opowieści o kościach mego brata.

- Nie myślisz chyba, że oszukuje? Jesteś jego bratem.

- Gdy w grę wchodzi pieniądze, Dras okłamałby własną matkę.

Rozumiecie teraz, co myślę o Drasnianach?

Wróciliśmy do naszej kryjówki. Riva przyrządził obfite śniadanie. Gotowanie jest robotą, której nikt nie lubi - z wyjątkiem mej córki, oczywiście - więc zwykle przypada ono w udziale najmłodszemu. O dziwo, Riva nie był złym kucharzem.


Nie wiedziałaś o tym, prawda, Pol?


- Rozpoznasz to miejsce, gdy je zobaczysz? - zagrzmiał Dras z ustami pełnymi bekonu.

- Nie powinno być z tym kłopotu - odparłem - jako że to jedyne miasto na północ od rzeki.

- Nie wiedziałem o tym - odparł.

- Można powiedzieć, że będzie się rzucało w oczy - mówiłem dalej. - Jest wiecznie spowite chmurami.

Dras zmarszczył brwi.

- Co jest tego przyczyną?


- Torak, sądząc z tego, co powiedział Beldin.

- Czemu to robi?


Wzruszyłem ramionami.

- Może nienawidzi słońca.

Nie chciałem się zbytnio rozwodzić. Drobiazgi wprawiały Drasa w zakłopotanie. Wielkie sprawy mogłyby nadwerężyć mu mózg.



Przepraszam cały naród Drasnian za tę ostatnią uwagę. Dras był odważny, silny i absolutnie lojalny, ale czasami trochę wolno myślał. Jego potomkowie świetnie się z tym uporali. Jeśli ktoś nie wierzy, niech spróbuje interesów z księciem Kheldarem.



- Dobrze zatem - powiedziałem, gdy zjedliśmy. - Torak jest bardzo nieustępliwy. Gdy raz uczepi się jakiejś myśli, nie pozwoli się od niej odciągnąć. Prawie na pewno wie o przejściu - szczególnie od czasu, gdy Karandowie korzystają z niego, by handlować z Morindimami, a Karandowie czczą teraz Toraka. Choć prawdopodobnie używają tego przejścia jedynie latem, gdy nie ma lodu. Nie sądzę, aby Torak brał pod uwagę możliwość przeprawy po lodzie.

- Do czego zmierzamy? - zapytał Cherek.

- Jestem pewny, że Torak się nas spodziewa, ale oczekuje, iż nadejdziemy z północy - od strony przejścia. Jeśli wysłał ludzi, aby nas zatrzymali, tam właśnie będą.

Riva roześmiał się uradowany.

- Ale my nie nadejdziemy z północy, prawda? Zaskoczmy ich z zachodu.

- Słuszna uwaga - mruknął Algar z absolutnie poważną twarzą. Bardzo dobrze to ukrywał, ale Algar był o wiele lotniejszy niż jego bracia czy ojciec. Być może dlatego właśnie nie silił się na rozmowy z nimi.

- Potrafię sprawić, aby Angarakowie skierowali swą uwagę na północ - mówiłem dalej. - Teraz, gdy zamiecie już ucichły, ozdobię pokryty śniegiem brzeg w pobliżu przejścia śladami stóp, a w zaroślach rozpylę nasz zapach. To powinno zwieść chandimy.

- Chandimy? - Dras spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

- Psy Toraka. Będą próbowały nas wytropić. Pozostawię im dość śladów, aby skierować ich węższenie na północ. Jeśli będziemy w miarę ostrożni, powinniśmy dotrzeć do Cthol Mishrak nie zauważeni.

- Cały czas to wiedziałeś, prawda, Belgaracie? - zapytał Riva. - To dlatego kazałeś nam iść po lodzie zamiast udać się do lądowego przejścia.

Wzruszyłem ramionami.

- Naturalnie - odparłem skromnie. To było oczywiście kłamstwo w żywe oczy; ja po prostu złożyłem wszystkie fakty do kupy. Ale opinia nieomylnie mądrego nie zawadzi, gdy masz do czynienia z Alornami. Już wkrótce może się zdarzyć, że przyjdzie mi podejmować decyzje jedynie kierując się domysłami i nie będę miał czasu na dyskusje.

Ciemności zapadły ponownie, gdy wyczołgaliśmy się z naszego legowiska i ruszyliśmy przez śnieżne wydmy ku zamrożonym mokradłom na wschodzie. Wkrótce przekonaliśmy się, że nie wszystkie chandimy skierowały się na północ, by tam warować na nas, czekając. Od czasu do czasu natykaliśmy się na świeżym śniegu na ślady wielkości końskich kopyt i raz po raz słyszeliśmy ujadanie chandimów na bagnisku.

W tym miejscu muszę się do czegoś przyznać. Pomimo swych zastrzeżeń w tym względzie, manipulowałem jednak nieco przy pogodzie. Stworzyłem dla nas małą, podręczną zasłonę mgielną i bardzo posłuszną chmurkę śnieżną, która podążała za nami jak szczeniaczek, z radością zasypując nasze ślady świeżym śniegiem. Naprawdę nie trzeba dużo, by uszczęśliwić chmurkę. Cały czas jednak bacznie

kontrolowałem poczynania chmurki i mgły, aby ich działania nie wpłynęły w znaczący sposób na pogodę. Ukryci pomiędzy nimi, byliśmy bezpieczni, a świeży śnieg tłumił odgłosy naszych kroków. Potem przywołałem chętną do współpracy rodzinę cybetów, by szła za nami. Cybety to miłe małe stworzonka spokrewnione ze skunksami, tyle że zamiast pasków mają kropki. Jednakże w podobny sposób radzą sobie ze stworzeniami, które je zdenerwują - o czym mógł przekonać się jeden z psów Toraka, gdy podszedł zbyt blisko. Przez następne kilka tygodni inne chandimy będą raczej unikać jego towarzystwa.

Kilka dni przekradaliśmy się nie zauważeni przez zamrożone bagniska, kryjąc się w gąszczu w ciągu krótkiego dnia i wędrując podczas długich polarnych nocy.

Pewnego ranka nasza mgła zaczęła opalizować. Pozwoliłem się jej rozproszyć. Chciałem się rozejrzeć, ale naprawdę nie było to konieczne. Wiedziałem, co rozświetlało mgłę. Słońce w końcu sięgnęło horyzontu. Zima mijала i czas było się spieszyć. Gdy mgła się przerzedziła, zobaczyliśmy, że zbliżamy się do wschodniego krańca mokradeł. Pasma niskich wzgórz wznosiło się kilka mil przed nami, a tuż za pagórkami rozciągała się atramentowoczarna zasłona z chmur.

- Oto jest - powiedziałem bardzo cicho do Chereka i jego chłopców.
- Co? - zapytał Dras.
- Cthol Mishrak. Mówiłem wam o chmurach, pamiętacie?
- Ach, tak. Zdaje się, że zapomniałem.
- Ukryjmy się i poczekajmy na zapadnięcie ciemności. Musimy być bardzo ostrożni.

Dobrnęliśmy do zarośli porastających niski wzgórek. Przesunąłem swą śnieżną chmurkę kilka razy tam i z powrotem nad naszymi śladami i odesłałem do domu z podziękowaniami. Po chwili namysłu zwołałem też cybety.

- Masz plan? - zaniepokoił się Riva.
- Pracuję nad nim - odparłem krótko. Prawdę powiedziawszy nie miałem planu. Nie myślałem, że dojdziemy aż tak daleko. Uznałem, że to odpowiednia chwila, by uciąć sobie pogawędkę z przyjacielem z poddasza.

- Jesteś tam jeszcze?- zapytałem na próbę.

- *Nie, wtórzę się gdzieś bezmyślnie. A gdzieś indziej miałbym być, Belgaracie?*

Zdaje się, że to głupie pytanie.

- Wolno ci opisać miasto?

- *Nie, ale to zbyteczne. To, co opowiedział ci Beldin, powinno wystarczyć. Wiesz, iż Torak przebywa w żelaznej wieży i że Glob jest z nim.*

- Czy mam być na coś przygotowany ? To znaczy, czy dojdzie w Cthol Mishrak do kolejnego z tych spotkań? Myśl o zapasach z Torakiem niezbyt mnie pociąga.

- *Nie. Wszystko zostało załatwione, gdy spotkałeś się z Zedarem.*

- To znaczy, że jedno spotkanie wygraliśmy ?

- *Wygraliśmy prawie połowę z nich. Jednakże nie zrób się zbyt pewny siebie. Czysty przypadek może ci stanąć na drodze. Wiesz, co robić, gdy się już tam dostaniesz, prawda?*

I nagle wiedziałem. Nie pytajcie skąd, po prostu wiedziałem.

- Może lepiej wyruszę sam na przespīgi - zasugerowałem.

- *Absolutnie wykluczone. Nie marnuj czasu na bezcelowe włóczenie się. Bierz Alornów, rób, co do ciebie należy, i wynoś się.*

- Czy jesteśmy zgodnie z planem?

- *Tak, jeśli zrobisz to tej nocy. Później będziesz miał kłopoty. Nie próbuj ponownie ze mną rozmawiać, dopóki nie opuścisz miasta. Nie wolno mi będzie ci odpowiadać. Powodzenia - dodał i ponownie zniknął.*

Jasno było przez około trzy godziny, które mnie wydawały się trzema latami. Gdy w końcu z ociąganiem zapadł zmierzch, byłem bardzo zdenerwowany.

- Ruszajmy - powiedziałem do Alornów. - Jeśli natkniemy się na Angaraków, załatwcie się z nimi krótko i nie róbcie więcej hałasu, niż to konieczne.

- Jaki mamy plan? - zapytał Cherek.

- Po drodze go opracuję - odparłem. Czemu tylko ja mam się denerwować?

Cherek z trudem przełknął ślinę.

- Oświetl drogę - rzekł. Mówcie o Alornach, co chcecie, ale nikt nie może odmówić im odwagi.

Wyczołgaliśmy się z zarośli i przebrnęliśmy przez śnieg na skraj mokradeł. Nie martwiłem się zbyt o nasze ślady, ponieważ Grolimowie patrolowali regularnie tę część bagnisk i ich ślady były wszędzie, co jakiś czas przemieszane z tropami psów. Kilka więcej nic nie znaczy.

Szczęście nam dopisywało. Z zachodu nadciągnęła śnieżycyca i wyjący wichur oczyścił ze śniegu zbocza wzgórz przed nami. Nie minęła godzina, gdy dotarliśmy na szczyt i po raz pierwszy spojrzeliśmy na Miasto Wiecznej Nocy. Oczywiście widziałem żelazną wieżę Toraka, ale nie ona mnie niepokoiła. Światło nie było najlepsze, ale wystarczająco dobre, by ujawnić fakt, że Cthol Mishrak otaczał mur. Zakląłem.

- O co chodzi? - zapytał Dras.

- Widzisz ten mur?

- Tak.

- To oznacza, że będziemy musieli przejść przez bramę, a wy nie wyglądacie za bardzo na Grolimów.

Dras wzruszył ramionami.

- Za bardzo się martwisz, Belgaracie - zagrział. - Po prostu zabijemy strażników, a potem wejdziemy jak do siebie.

- Chyba moglibyśmy wymyślić coś lepszego - powiedział cicho Algar.

- Sprawdźmy, jak wysokie są te mury.

Jak już zapewne wspominałem, wichur zmiotł do czysta śnieg z zachodnich stoków i przesunął go na wschodnią stronę. Patrzyliśmy na wysokie zasy. Nie wyglądało to wcale dobrze.

- Nie ma rady, Belgaracie - rzekł posepnie Cherek. - Będziemy musieli pójść tamtą drogą. - Wskazał na wąską ścieżkę, która wiała się w górę zbocza od bramy miasta.

- Chereku - odparłem ze smutkiem - ta ścieżka jest kręta jak wąż o przetrąconym grzbiecie, a śnieg po obu jej stronach leży tak wysoko, że nie będziemy widzieć, czy ktoś nie nadchodzi. Wpadniemy na niego, nim cokolwiek zobaczymy.

Cherek wzruszył ramionami.

- Ale będziemy się go spodziewać - powiedział. - Tyle przewagi nam chyba wystarczy, prawda?

To była czysta głupota, oczywiście, ale nie potrafiłem wymyślić niczego lepszego poza brnięciem przez zasy, a na to nie mieliśmy czasu. Spieszyliśmy się do Cthol Mishrak na umówione spotkanie i nie chciałem się spóźnić.

- Spróbujmy - poddałem się.

Rzeczywiście spotkaliśmy jednego Grolima po drodze do miasta, ale Algar i Riva skoczyli na niego, nim zdążył krzyknąć i rozprawili się z napastnikiem szybko swymi sztyletami. Potem podnieśli go, zakręcili Grolimem kilka razy i przerzucili za śnieżny wał po lewej stronie, gdy tymczasem Dras zagarnął nogą śnieg na kałużę krwi.

- Moi synowie dobrze współpracują, prawda? - zauważył Cherek z ojcowską dumą.

- Bardzo dobrze - przyznałem. - Jak wydestaniemy się z tej ścieżki przed dotarciem do bramy?

- Podejdziemy nieco bliżej, a potem wydrążymy tunel w śniegu. Ostatni zawali wejście. Nikt nigdy się nie dowie, że tu byliśmy.

- Sprytne. Czemu ja na to nie wpadłem?

- Pewnie dlatego, że nie nawykłeś do życia w krainie śniegu. Gdy miałem około piętnastu lat, w Val Alorn mieszkała pewna mężatka, która wpadła mi w oko. Jej mąż był stary i bardzo zazdrosny. Nim zima się skończyła, dookoła domu owej niewiasty miałem wydrążony tunel w śniegu.



- Twoja młodość była fascynująca. Ile miała lat?

- Chyba około trzydziestu pięciu. Nauczyła mnie wielu rzeczy.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Opowiem ci o tym, jeśli chcesz.

- Może innym razem. Teraz mam za dużo na głowie.


Mogę się założyć, że nigdy nie czytaliście o tej rozmowie w „Księdze Alornów”.


Algar poszedł przodem, ostrożnie wyglądając za każdy zakręt krętej ścieżki. Po chwili wrócił.

- Podeszliśmy dostatecznie blisko - powiedział krótko. - Bramy są za następnym zakrętem.

- Jak wysokie są mury? - zapytał ojciec.

- Nie jest źle - odparł Algar. - Gdzieś na dwanaście stóp.

- Dobrze - rzekł Cherek. - Poprowadzę. Wiecie, co robić, chłopcy.

Kiwnęli głowami. Nie wyglądali na urażonych nazwaniem ich „chłopcami”. Dziewięćdziesięcioletni Cherek nadal ich tak nazywał.

Kopanie tunelu w śniegu nie jest wcale takie trudne, szczególnie gdy ma się pomoc. Cherek pierwszy przekopywał się przez śnieg. Kierował się lekko ku górze, zmiierzając na lewo od bramy. Dras szedł za nim, prostując się co kilka kroków, aby sprasować śnieg nad sobą. Następny podążał Riva, rozpychając się na boki ramionami, by poszerzyć tunel w śniegu.

- Teraz ty - powiedział Algar. - Uklepuj brzuchem dno tunelu.

- Nie budujemy przecież tego tunelu na stałe, Algarze - zaprotestowałem.

- Ale chyba będziemy chcieli wydostać się z powrotem, co, Belgaracie?

- Zdaje się, że o tym nie pomyślałem.

Był na tyle grzeczny, aby tego nie komentować.

- Ja pójdę ostatni - powiedział. - Wiem jak zamknąć tunel, aby nikt nie zobaczył wejścia.

Chociaż musieliśmy się spieszyć, wiedziałem, że nadal mieliśmy przynajmniej piętnaście godzin, nim słońce ponownie pojawi się na krótko nad południowym horyzontem. Przez kilka godzin ryliśmy jak krety, aż w końcu wpadłem na stopy Rivy.

- Co się stało? - zapytałem. - Czemu się zatrzymaliśmy?
- Ojciec dotarł do muru - odparł. - Widzisz? Nie było tak źle.
- Gdzie się tego nauczyliście?
- Czasami tak polujemy i to dobry sposób na podejście nieprzyjaciela.
- Jak przedostaniemy się przez mury?

- Stanę Drasowi na ramionach, a Algar ojcu. Wdrapiemy się na mury, a potem wciągniemy pozostałych. Nie byłoby to możliwe, gdybyśmy byli niżsi. Wpadliśmy na ten pomysł w czasie ostatniej wojny klanów - spojrzaliśmy przed siebie. - Możemy ruszać. Ojciec wyszedł z tunelu.

Przesuwaliśmy się cał po cału i wkrótce stanęliśmy przy murze. Cherek i Dras zaparli się rękoma o kamienie, a Algar i Riva wspięli się po ich plecach, uchwycili szczytu muru i podciągnęli się.

- Najpierw Belgarath - szepnął Riva. - Podnieście go, abym mógł dosięgnąć jego ręki.

Dras schwycił mnie w pasie i podniósł. Wówczas to przekonałem się, jak silne były ręce Rivy. Miałem wrażenie, że z koniuszków palców tryśnie mi krew, gdy pochwycił mą wyciągniętą dłoń.

A potem znaleźliśmy się w mieście. Beldin opisał Cthol Mishrak jako przedmieście Piekła. Stwierdziłem, że jego opis pasował do tego, co zobaczyłem. Budynki stały stłoczone, a wąskie, kręte uliczki przesłonięte były nawisami drugich pięter, które stykały się nad głowami. Zapewniam was, że w mieście tak daleko wysuniętym na północ nie było to pozbawione sensu. Przynajmniej ulic nie zasypywał śnieg, ale zupełny brak okien w domach sprawiał, że przypominały przedsionki lochów. Dymiące smolście, z rzadka rozmieszczone pochodnie zapewniały nędzne oświetlenie. Wyglądało to przygnębiająco, ale ani ja, ani moi przyjaciele nie tęskniliśmy za jasnymi bulwarami. Skradaliśmy się, a to czynność, którą najlepiej robić w ciemności.

Nie jestem pewny, czy te zadymione wąskie korytarze były wyludnione za sprawą porozumienia pomiędzy moim przyjacielem z poddasza i jego przeciwnością, czy też taki był zwyczaj w Mieście Wiecznej Nocy - nie bez przyczyny, skoro psy biegały wolne - ale zagłębiając się w samo serce Angaraku nie napotkaliśmy żywej duszy.

W końcu wyszliśmy na plac w środku miasta. Z wiecznego mroku wyłoniła się wieża. Była z żelaza - tak jak to opisał Beldin. Wysokością przewyższała nawet wieżę Aldura - co nie powinno specjalnie dziwić, biorąc pod uwagę charakter Toraka. Była ogromna i monumentalnie paskudna. Żelazo nie jest materiałem na bardzo piękne budowle. Oczywiście była czarna i nawet z oddali wyglądała dziobato. W końcu stała tam od dwóch tysięcy lat. Jednakże ani ja, ani Alornowie tak naprawdę nie patrzyliśmy na ów monumentalny pomnik ego Toraka. My spoglądaliśmy na parę ogromnych psów pilnujących nabijanych ćwiekami drzwi.

- Co teraz? - szepnął Algar.

- Nic prostszego - odrzekł z przekonaniem Dras. - Przejdę przez plac i wyłuskam ich mózgi moją siekierą.

Musiałem natychmiast położyć temu kres. Alornowie gotowi jeszcze uznać za dobry ten absurdalny plan.

- Nie uda się - powiedziałem szybko. - Zaczną ujadać, gdy tylko cię zobaczą, a to postawi na nogi całe miasto.

- Dobrze, w takim razie, jak przejdziemy? - zapytał wojowniczo.

- Pracuję nad tym.

Myślałem bardzo szybko i nagle rozwiązanie samo przyszło mi do głowy. Wiedziałem, że się powiedzie, ponieważ już raz to zadziałało.

- Wycofajmy się do tego zaułka - mruknąłem. - Mam zamiar znowu zmienić postać.

- Jako wilk nie dorównujesz im wielkością, Belgaracie - zauważył Cherek.

- Nie mam zamiaru zmienić się w wilka - zapewniłem go. - Lepiej się trochę odsuńcie. Dopóki nad nim nie zapanuję, może być trochę niebezpieczny.

Alornowie cofnęli się nerwowo.

Nie przemieniłem się w wilka ani w sowę, ani w orła, ani nawet w smoka.

Stałem się cybetem.

Alornowie odsunęli się jeszcze dalej.

Ten pomysł pewnie nie zdałby egzaminu, gdyby psy Toraka były prawdziwymi psami. Nawet najgłupszy pies wie, że należy unikać cybeta czy skunksa. Chandimy były jednak Grolimami i na wszystkie dzikie zwierzęta patrzyły z pogardą. Zadarłem swój kropkowany ogon, machając nim ostrzegawczo i ruszyłem ku chandimom przez zaśnieżony plac. Gdy podszedłem na tyle blisko, aby mnie zobaczyły, jeden z nich warknął tak okropnym głosem, jakby przeżuwał słowa:

- Wynoś się.

Zignorowałem go i nadal szedłem w kierunku psów Toraka. Potem, gdy uznałem, że znalazły się już w moim zasięgu, odwróciłem się i skierowałem na chandimy swój niebezpieczny odwłok.



Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły. To dość odrażające. Nie chciałbym urazić żadnej z pań, która będzie to czytać.



Prawdziwy pies po przygodzie ze skunksem lub cybetem będzie ujadął i wył, aby wszyscy wiedzieli, jak bardzo mu przykro, ale stworzy przy drzwiach nie były prawdziwymi psami. Chandimy zaczęły machać łapami, tarzać się, chować nos w śniegu i trzeć łapami oczy.

Zerknąłem na nich przez ramię i posłałem następną porcję, tak dla pewności.

Gdy odwróciłem się ponownie, chandimy na oślep niezdarnie szły przez plac, zatrzymując się co kilka kroków, by znowu tarzać się w śniegu. Nie szczekały ani nie wyły, ale zawzięcie skamlały.

Wróciłem do własnej postaci, przywołałem machnięciem ręki Chereka i chłopców, po czym przyłożyłem koniuszki palców do żelaznych drzwi. Wyczułem zamek. Nie należał do zbyt skomplikowanych, więc otworzyłem go pojedynczą myślą i cał po calu zacząłem powoli uchylać drzwi. Mimo to w ciszy panującej na placu bardzo hałasowały przy otwieraniu. Nie sędzę jednak, aby dźwięk niósł się zbyt daleko.

Cherek i jego synowie podeszli na pewną odległość i zatrzymali się.

- No, chodźcie - szepnąłem.

- W porządku, Belgaracie - odszepnął Cherek. - Idź przodem. Pójdziemy za tobą.

Wydawało mi się, że usiłuje wstrzymać oddech.

- Nie bądź durniem - warknąłem. - Ten zapach tutaj pozostał po psach. Ja nie zostałem ochlapany, w każdym razie nie w tej postaci.

Oni jednak nadal nie mieli ochoty podejść bliżej.

Mruknąłem pod nosem kilka przekleństw i wsunąłem się bokiem przez szparę w drzwiach. W środku panowała absolutna ciemność. Pogmerałem w sakiewce u pasa, wyciągnąłem ogarek i zapaliłem go dotknięciem kciuka.



Przyznaję, to było trochę ryzykowne. Wiedziałem jednak, że Torak nie powinien się mieszać. Woląłem się co do tego upewnić, nim pójdziemy dalej.



Alornowie wśliznęli się za mną i zaczęli się nerwowo rozglądać.

- Którędy? - szepnął Cherek.

- W górę, tędy, zdaje się - odparłem wskazując stalowe schody wijące się w ciemności. - Nie ma powodu budować wieży, jeśli nie planuje się mieszkać na jej szczycie. Rozejrzę się jednak najpierw na dole.

Ośloniłem świeczkę i ruszyłem wzdłuż wewnętrznej ściany. Trafiłem na drzwi, których przedtem nie widziałem. Dotknąłem ich końcami palców i wyczułem z tyłu schody. Wiodły w dół. To była jedna z tych rzeczy, którą powinienem zrobić, po dostaniu się do wieży. Nie mam pojęcia dlaczego, ale musiałem wiedzieć, gdzie były te schody. Pamięć o ich położeniu nosiłem w głowie przez ponad trzy tysiące lat. Potem, gdy wróciłem do Cthol Mishrak z Garionem i Silkiem, w końcu zrozumiałem dlaczego.

Teraz jednak wróciłem do żelaznych schodów wiodących w górę.

- Chodźmy - zaproponowałem.

Cherek skinął głową, wziął ode mnie świeczkę, po czym wyciągnął swój miecz. Ruszył w górę schodów. Tuż za nim Riva i Algar, a ja z Drasem zamykałem pochód.

To była długa wspinaczka. Wieża Toraka była bardzo wysoka. Nie musiała być tak wielka, ale znacie Toraka. Prawdę powiedziawszy, jestem nieco zaskoczony, że jego wieża nie sięgała gwiazd.

W końcu dotarliśmy na szczyt. Tam były kolejne żelazne drzwi.

- Co teraz? - szepnął Cherek.

- Możesz je otworzyć - powiedziałem. - Torak przypuszczalnie nic nam nie będzie mógł zrobić, ale o tym przekonamy się, gdy wejdziemy. Starajcie się jednak cicho zachowywać.

Cherek wziął głęboki oddech, podał świecę Algarowi i położył dłoń na klamce.

- Powoli - ostrzegłem.

Skinął głową i nacisnął klamkę z przesadną ostrożnością.

Beldin nie mylił się. Torak rzeczywiście musiał coś zrobić, aby żelazo nie rdzewiało, gdyż drzwi zaskakująco mało hałasowały przy powolnym otwieraniu.

Cherek zajrzał do środka.

- Jest tam - szepnął do nas. - Myślę, że śpi.

- Dobrze - mruknąłem. - Ruszajmy. Noc nie będzie trwała wiecznie.

Weszliśmy ostrożnie do komnaty. Natychmiast spostrzegłem, że poza innymi swymi wadami, Torak był również plagiatorem. To pomieszczenie bardzo przypominało pokój mojego Mistrza na szczycie jego wieży - z tą różnicą, że w wieży Toraka wszystko było z żelaza. Pomieszczenie oświetlał przyćmiony blask bijący od ognia na kominku.

Bóg-Smok rzucał się i wiercił na swym żelaznym łożu. Chyba nadal trawiły go płomienie. Swą zmasakrowaną twarz skrył pod stalową maską, która wiernie oddawała wygląd jego twarzy przed spalaniem. To była piękna robota. Jednakże sama maska, przez fakt, że jej repliki zdobiły każdą angarską świątynię, sprawiała złowieszcze wrażenie. W odróżnieniu od owych nieruchomych kopii, maska zakrywająca twarz Toraka poruszała się. Najwyraźniej Bóg cierpiał katusze. Być może to okrutne, ale nie było mi go żal. Jeden oczodół ział pustką. Lewe oko Toraka nadal widocznie płonęło.

Okaleczony Bóg wiercił się i obracał, pogrążony w bolesnej drzemce. Wydawało się, że jego palące się oko śledzi nas i obserwuje, choć sam Torak był bezsilny wobec tego, co zamierzaliśmy zrobić.

Dras podszedł do łoża, ściskając swój bojowy topór.

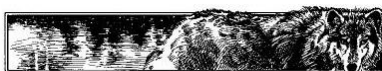
- Mógłbym oszczędzić światu wielu kłopotów - zaproponował.

- Nie bądź niedorzeczny - powiedziałem. - Twój topór jedynie odbiłby się od niego, co mogłoby Toraka po prostu obudzić. - Rozejrzałem się po pokoju i dostrzegłem drzwi dokładnie naprzeciwko tych, którymi weszliśmy. A ponieważ w pomieszczeniu było tylko dwoje drzwi, znacząco zawężało to poszukiwania. - Chodźmy, panowie - rzekłem do swych towarzyszy. - Czas zrobić to, po co przyszliśmy.

Rzeczywiście nadeszła już pora. Nie pytajcie, skąd o tym wiedziałem, ale to zdecydowanie był odpowiedni czas. Przeszedłem przez pokój Toraka i otworzyłem drzwi. Płonące oko śledziło każdy mój krok.

Pomieszczenie za drzwiami nie było duże - niewiele większe od schowka. Dokładnie pośrodku stał żelazny stół wielkości nocnej szafki. Na owym stoliku leżała żelazna szkatułka. Wydawała się rozpalona, jakby dopiero co wyjęto ją z paleniska w kuźni, ale nie czerwieniała się jak rozżarzone żelazo.

Jarzyła się błękitnym blaskiem.





- Czemu ona się tak jarzy? - szepnął Dras.

- Może z radości na nasz widok - odparłem. Skąd miałem wiedzieć, dlaczego się świeciła?

- Czy nie jest niebezpieczna? - zapytał przezornie Algar.

- Nie jestem pewny - odparłem. - Glob jest groźny, ale czy szkatułka też, nie wiem.

- Jeden z nas musi ją otworzyć - powiedział Algar. - Torak mógł ją tu umieścić, aby nas zwiścić. Może szkatułka jest pusta, a sam Glob znajduje się gdzie indziej.

Cel sprawił, że wiedziałem, kto miał otworzyć skrzynkę i wyjąć Glob. Miałem również świadomość, że powinien to być ochotnik. Musiałem więc ich nieco ukierunkować.

- Glob cię zna, Belgaracie - rzeki Cherek. - Ty to zrób.

Pokręciłem głową.

- Mnie nie wolno. Mam inne zadania. Ten, kto weźmie Glob, resztę swego życia poświęci na jego strzeżenie. Jeden z was, panowie, będzie musiał to zrobić.

- Ty zdecyduj, kto to ma być - powiedział Cherek.

- Nie wolno mi tego uczynić.

- To bardzo proste, Belgaracie - odezwał się Dras. - Po kolei będziemy próbowali otwierać szkatułkę. Ten, który przeżyje, będzie tym właściwym.

- Nie - odparłem stanowczo. - Na każdego z was czekają jakieś zadania i śmierć tu, w Cthol Mishrak, nie jest nikomu pisana - spojrzałem na rozjarzoną skrzynkę. - Chcę, panowie, abyście byli absolutnie szczerzy. Glob jest najpotężniejszą rzeczą na świecie. Ten z was, który go weźmie, będzie mógł wszystko. Glob jednak nie chce

robić po prostu wszystkiego. Ma swoje własne zamiary i nie będzie zadowolony, jeśli ktoś spróbuje wykorzystać Glob wbrew jego woli. Torak już to odkrył. Wejrzyjcie w swe serca, panowie. Potrzebny jest ktoś, kto nie jest ambitny. Potrzebny jest ktoś, kto dobrowolnie poświęci całe życie na strzeżenie Globu, nigdy nie próbując go użyć. Ten, kogo pociąga nieograniczona władza, nie jest osobą, której szukam.

- To mnie wyklucza - powiedział Cherek wzruszając lekko ramionami. - Jestem królem, a władcy powinni być ambitni. Gdy tylko się upiję, zaraz spróbuję go wykorzystać. - Spojrzał na swych synów. - To musi być jeden z was, chłopcy.

- Pewnie potrafiłbym utrzymać na wodzy swą ambicję - wyznał Dras - ale myślę, że powinien to być ktoś bardziej bystry ode mnie. Umiem pokierować bitwą, ale od zbytniego myślenia boli mnie głowa.

Brutalna szczerość tego wyznania zdecydowanie poprawiła moją opinię o Drasie.

Riva i Algar spojrzeli na siebie, po czym Riva wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

- No dobrze - rzeki. - I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Otworzył szkatułkę i wyjął Glob.

- Tak! - zawołał głos w mej głowie.

- No to, skoro już to ustaliliśmy - powiedział niedbałym tonem Algar - możemy ruszać z powrotem.



Oto, co naprawdę wydarzyło się w wieży Toraka. Cała ta czcza gadanina o „złych intencjach” w „Księdze Alornów” została wymyślona przez kogoś, kogo poniosła wyobraźnia. Mnie zdarza się to cały czas. Prawdziwy przebieg wydarzeń w różnych opowieściach zawsze wydawał mi się zbyt prozaiczny.



- Schowaj go gdzieś za pazuchą - powiedziałem Rivie. - Jest teraz nieco podniecony, a to jarzenie zbyttno rzuca się w oczy.

- Czy ja również zacznę świecić? - zapytał z obawą Riva. - Tak jak ta szkatułka?

- Spróbuj i dowiedz się - poradziłem.

- Czy takie jarzenie boli? - zapytał.

- Nie sędzę. Nie martw się, Rivo. Glob bardzo cię lubi. Nie zrobi ci krzywdy.

- Belgaracie, to kamień. Jak on może cokolwiek lubić?

- To nie jest zwyczajny kamień. Po prostu go schowaj, Rivo, i wynośmy się stąd.

Riva przełknął ślinę i wsunął Glob pod futrzaną koszulę. Potem wyciągnął swe ogromne dłonie i przyjrzał się im uważnie.

- Jeszcze nie świecę - zauważył.

- Widzisz? Musisz nabrać do mnie zaufania, chłopcze. Mamy razem długą drogę do przebycia i utrudni nam, jeśli będziesz zadawał głupie pytania przy każdej okazji.

- Głupie? - zaprotestował. - Po tym, co zrobił Torakowi, nie myślę, aby moje pytania były niemądre.

- Być może źle się wyraziłem. Ruszajmy.

W czasie wycofywania się z wieży przeżyłem ciężką chwilę. Torak krzyknął. To był okrzyk nieutulonego żalu; śpiący Bóg-Smok wiedział, że zabieramy Glob. Był bezsilny, nie mógł nas powstrzymać, ale słysząc wrzask Toraka, oblałem się zimnym potem. Nie lubiłem zaskoczeń, tym chyba można wytłumaczyć me późniejsze zachowanie.

- Śpij dalej, Toiaku - rzekłem, a potem odezwałem się jego własnymi słowami. - Dam ci radę, bracie mego Mistrza, w podzięce za pomoc, jaką mi dziś okazałeś. Nie szukaj Globu. Mój Mistrz jest bardzo delikatny. Ja nie. Jeśli zbliżysz się do Globu, zrobię z ciebie przekąskę.

Oczywiście to była czysta fanfaronada, ale musiałem coś mu powiedzieć. Moja złośliwość nie poszła na marne. Gdy Torak w końcu się obudził, był tak wściekły, że wiele czasu stracił na karanie Angaraków, którzy mieli nie dopuścić nas do wieży. Dzięki temu zyskaliśmy przewagę.

Ostrożnie zeszliśmy ze schodów, nasłuchując cały czas, czy nie nadchodzą Grolimowie, ale towarzyszyła nam jedynie pełna grozy cisza. Gdy znaleźliśmy się na dole, wyrząłem na zaśnieżony plac. Nadal był pusty. Szczęście nam dopisywało.

- Ruszajmy! - ponaglał niecierpliwie Dras.

Kilka lat temu mieliśmy z księciem Kheldarem długą dyskusję. Powiedział mi, że na złodzieju czapka gore, co czyni ucieczkę niebezpieczniejszą od samego włamania. Naturalny instynkt nakazuje po kradzieży brać nogi za pas; ale jeśli nie chcesz być złapany, lepiej zapanuj nad tym instynktem.

Przy wejściu do wieży nadal panował okropny smród. Wstrzymaliśmy więc oddech, dopóki nie schroniliśmy się w ciemnym zaułku za placem.

- Jak sądzisz? - szepnął Cherek, gdy szliśmy krętą, zadymioną uliczką w kierunku murów. - Czy bezpiecznie będzie wracać tą samą drogą?

Właśnie nad tym myślałem i nie miałem jeszcze odpowiedzi. Musiały pozostać jakieś ślady naszego przejścia, bez względu na to jak byliśmy ostrożni w swej wędrówce z wybrzeża. Znałem Toraka. Byłem pewny, że nie pokieruje osobiście poszukiwaniami.

Sceduje to na swych podwładnych, co oznacza Urvona lub Ctuchika. Mając w pamięci opis Beldina, specjalnie nie obawiałem się Urvona. Ctuchik był jednakże dla mnie niewiadomą. Nie wiedziałem, co potrafi drugi z uczniów Toraka i nie był to chyba najlepszy czas na sprawdzanie.

Wędrówka na północ oczywiście nie wchodziła w rachubę. Torak na pewno postawił swych ludzi przy przejściu. Nie miałem ochoty siłą torować sobie wśród nich drogi - zakładając, że bylibyśmy w stanie to uczynić. Ucieczka na zachód była zapewne równie niebezpieczna. Musiałem brać pod uwagę fakt, że Ctuchik potrafi to, co ja. Z pewnością byłby w stanie wyczuć ślady, o których wspominałem. Wędrówka na wschód w ogóle nie wchodziła w rachubę. Nie było sensu zapuszczać się dalej w głąb Mallorei, gdy musieliśmy podążać w innym kierunku.

Pozostawało więc jedynie południe.

- Co powiedzielibyście panowie na małą bójkę? - zapytałem Chereka i jego synów.

- Co masz na myśli? - zaciekał się Cherek.

- Może tak wszczęlibyśmy awanturę z wartownikami przy północnej bramie?

- Mógłbym podać kilkanaście powodów, dla których nie powinniśmy tego robić - powiedział z powątpiewaniem Riva.

- Ale ja potrafię podać lepszy, dlaczego powinniśmy. Nie wiemy, ile czasu minie, nim Torak się obudzi, a on nie podejdzie z filozoficznym spokojem do utraty Globu. Gdy tylko stanie na nogi, zaraz zacznie organizować pościg.

- To chyba zrozumiałe - przyznał Riva.

- Dobrze by było, aby ta pogoń udała się w złym kierunku. - Ciała martwych Grolimów przy północnej bramie sugerowałyby, że tamtędy szliśmy, nieprawdaż?

- Ja bym pewnie tak pomyślał.

- A zatem zabijmy kilku Grolimów.

- Zaczekajcie chwilę - zaprotestował Cherek. - Jeśli mamy wrócić tą samą drogą, to lepiej nie przyciągać uwagi na tę bramę.

- Ale my nie wracamy tą samą drogą.

- Którędy więc pójdziemy?

- Na południe, a dokładniej na południowy zachód.

- Nie rozumiem.

- Zaufaj mi.

Cherek zaklął pod nosem. Najwyraźniej jego również drażniły takie uwagi.

Przy północnej bramie stało sześciu Grolimów w czarnych szatach. Szybko się z nimi rozprawiliśmy. Nie obyło się oczywiście bez stłumionych krzyków i przejmujących jęków, ale dzięki temu, że domy w Cthol Mishrak nie miały okien, ludzie w środku niczego nie słyszeli.

- W porządku - powiedział Dras ocierając swój zakrwawiony topór o szatę powalonego Grolima - co teraz?

- Wracajmy do tunelu.

- Belgaracie - zaprotestował - my chcemy uciec z miasta.

- Wyjdziemy przez bramę, przeczołgamy się przez tunel i obejdziemy miasto aż do rzeki na południu.

- Za murami biegnie szlak - zauważył Riva. - Po co iść tunelem?

- Ponieważ psy by nas wywęszyły. Chcemy, aby myślały, że poszliśmy na północ. Potrzebujemy czasu, by zyskać nad nimi przewagę.

- Bardzo sprytne - mruknął Algar.

- Nie rozumiem - odezwał się Dras.

- Rzeka jest prawdopodobnie zamarznięta, prawda? - zapytał Algar.

- Chyba tak.

- Czyż nie czyni to z niej gościńca - bez drzew czy wzgórz, które mogłyby spowalniać nasz marsz?

Dras zastanowił się nad tym. Po czym na jego twarzy powoli zaczęło świtać zrozumienie.

- Wiesz, Algarze - powiedział - myślę, że masz rację. Belgarath jest bardzo sprytnym starcem.

- Nie sądzicie, że lepiej będzie poczekać z gratulacjami na bardziej sprzyjający moment? - rzeki Riva. - To ja niosę łup i wolałbym być z dala od tego miejsca.

Postanowiłem wyjaśnić z Rivą pewne sprawy. „Łup” nie było właściwym określeniem na Glob Mistrza.

Pospiesznie opuściliśmy miasto, pozostawiając za sobą porzrzucone ciała strażników. Minęliśmy zakręt i ponownie zanurkowaliśmy w śnieżną zaspę po lewej stronie ścieżki. W niedługim czasie wydostaliśmy się na drózkę wydeptaną przez patrole wzdłuż murów. Doszliśmy nią do wschodniego narożnika murów. Potem zakręciliśmy i skierowaliśmy się na południe przez zasy, ku rzece. Wszystko razem, z dotarciem do brzegu rzeki, zajęło nam około dwóch godzin.

Moje przypuszczenia potwierdziły się. Zamarznięta rzeka nie była pokryta śniegiem. Wiła się niczym szeroka ciemna wstęga przez zaśnieżoną okolicę.

- Mamy szczęście - zauważył Dras. - Nie zostawimy śladów.

- O to mi właśnie chodziło - powiedziałem z zadowoloną miną.

- Skąd wiedziałeś, że lód nie będzie pokryty grubą warstwą śniegu? - zapytał.

- Wichura nadciągnęła z zachodu. Na rzece nie ma przeszkód, na których mógłby się gromadzić śnieg, więc wiatr zmiótł lód do czysta. Cały śnieg zatrzymał się pewnie na zboczach gór zachodniej Karandy.

- Ty myślisz o wszystkim, prawda, Belgaracie?

- Staram się. Ruszajmy na wybrzeże. Zaczynam tęsknić za domem.

Starannie zatarliśmy ślady zejścia na brzeg rzeki. Potem przeprawiliśmy się lodem na drugą stronę. Chcieliśmy trzymać się poza zasięgiem światła rzucanego przez pochodnie rozmieszczone na szczycie murów. Ruszyliśmy szybko w dół rzeki.

To nie była jazda na łyżwach, ale nie obyło się bez ślizgania. Po trzech godzinach mroczne chmury na południowym horyzoncie zaczęły jaśnieć.

- Słońce wschodzi - zauważył Algar. - Czy to obudzi Toraka?

Nie byłem tego pewny.

- Upewnię się - odparłem. Pasażer podróżujący pomiędzy mymi uszami uprzedził mnie, abym nie próbował z nim rozmawiać, dopóki nie oddalimy się od miasta. Uszliśmy już kawał drogi, więc postanowiłem się z nim porozumieć.

- Może zechciałbyś się obudzić? - odezwałem się.

- *Nie obrażaj mnie.*

- Nie robię tego celowo. Niepokojąca zaczyna być kwestia, czy ktoś się obudzi, czy nie. Zdobyliśmy to, po co przybyliśmy. Czy na tym, kończy się to ZDARZENIE?- zapytałem.

- *Mniej więcej. Całkowicie zakończy się, gdy przejdziecie z powrotem Morze Wschodu.*

- Czy możesz wyjawić mi, kiedy Torak się obudzi ?

- *Nie. Będziesz wiedział, gdy to się stanie.*

- Jakiś znak byłby jednak pomocny.

- *Przykro mi, Belgaracie. Po prostu nie zatrzymuj się. Na razie idzie ci dobrze.*

- Dzięki - nie powiedziałem tego zbyt uprzejmie.

- *Spodobał mi się sposób, w jaki rozprawiliście się z tymi dwoma psami. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Jak wpadłeś na ten pomysł?*

- *Poniosłem porażkę w spotkaniu ze skunksem, gdy byłem chłopcem. Coś takiego się pamięta.*

- *Mogę sobie wyobrazić. Nie zatrzymuj się i miej uszy otwarte* - dodał, po czym znowu zniknął.

Nie minęło piętnaście minut, gdy zrozumiałem, co miał na myśli mówiąc, abym miał uszy otwarte - choć nie sądzę, że przegapiłbym to, nawet gdybym spał. Jedna z wersji „Księgi Toraka” opisuje, co uczynił Bóg-Smok po przebudzeniu. Najwyraźniej długość śpiączki Toraka była częścią układu pomiędzy głosem w mojej głowie i głosem w umyśle Toraka. Wschód słońca jest naturalnym przejściem i właśnie wówczas Jednooki w końcu się obudził. Zdażyliśmy już odejść jakieś dziesięć mil od miasta. Pomimo to wyraźnie słyszeliśmy jego wściekłe krzyki, gdy obracał w gruzy całe miasto. Posunął się nawet do zburzenia własnej wieży. To był jeden z najbardziej spektakularnych napadów złego humoru w historii świata.

- *Może pobieglibyśmy jakiś czas?* - zaproponował Algar, gdy odgłosy niszczenia Cthol Mishrak strząsnęły śnieg z drzew wzdłuż brzegów rzeki.

- *My biegniemy* - powiedział Dras.

- *To może trochę przyspieszymy?*

Wtedy właśnie odkryłem, dlaczego Algar zwany był Chyżonogim. Panie, ależ ten chłopak potrafił biec!



„Księga Alornów” opowiada o tym, co wydarzyło się w Mallorei. To bardzo dobra opowieść, pełna dramatyzmu, napięcia i mistycznego znaczenia. Sam przytaczałem ją przy wielu okazjach. Z tym, co naprawdę się wydarzyło, ma jednak raczej luźny związek, ale to nadal dobra historia. Gość, który ją napisał, był Alornem i przesadne znaczenie nadał lądowemu przejściu - podejrzewam, iż dlatego, że to Alornowie je odkryli. W rzeczywistości nawet nie widziałem

lądowego przejścia podczas tamtej wyprawy, głównie dlatego, że zapewne kilkuset Angaraków czekało na nas na każdej z tych skalnych wysepek. Do Mallorei dotarliśmy po zamrożonym Morzu Wschodu i wróciliśmy tą samą drogą.



Wybuch Toraka - za który po części jestem odpowiedzialny, z racji swej gadaniny przed opuszczeniem wieży - bez wątplenia doprowadził do kompletnego zamętu wśród Grolimów, chandimów i zwykłych Angaraków, którzy mieszkali w Cthol Mishrak. Beldin dowiedział się potem, że to Ctuchik w końcu przywrócił porządek - ze swą zwykłą brutalnością. Zajęło mu to i tak jednakże kilka godzin. Potem jeszcze dał się nabrać na nasz podstęp. Angarakowie znaleźli sześciu zarżniętych Grolimów przy północnej bramie i Ctuchik wysłał psy na północ i zachód nie biorąc pod uwagę możliwości podstępu.

Dzień w tamtych okolicach nie trwał zbyt długo, ale nadejście nocy nie spowolniło tempa naszej ucieczki. Podążaliśmy za Algarem w dół rzeki najszybciej, jak potrafiliśmy.

Następnego dnia, gdy na krótko pojawiło się słońce, psy wróciły do ruin Cthol Mishrak z niczym. Wówczas uczeń Toraka zmienił kierunek swych poszukiwań. Niechybnie któryś z psów o bardzo czułym węchu złapał nasz trop. Potem ruszył pościg. Ctuchik wtłoczył kilkuset zwyczajnych Grolimów w psie skóry. Połowa z nich przypłaciła to jednak życiem, nim ujadająca sfera rzuciła się w pogoń za nami.

- Co zrobimy, Belgaracie? - wydyszał Cherek. - Zaczyna nam brakować tchu. Nie jestem pewny, jak długo jeszcze będziemy mogli biec.

- Mam zamiar coś wypróbować - powiedziałem. - Zrobimy postój. Odsapnijcie, a ja tymczasem opracuję szczegóły.

Pogrążyłem się w myślach. Riva miał schowaną za pazuchą nieograniczoną moc, ale nie mógł jej użyć. Jeśli jednak nie myliłem się, nie będzie musiał.

- W porządku - rzekłem - oto, co zrobimy. Riva, gdy psy pojawią się w zasięgu wzroku, wyciągniesz Glob i podniesiesz, aby go zobaczyły.

- Sądziłem, że nie wolno mi tego robić.

- Nie powiedziałem, iż się nim posłużysz. Poleciałem jedynie, abyś go uniósł. Chcę, aby chandimy mogły zobaczyć Glob, i pragnę, aby magiczny kamień mógł je zobaczyć.

- I co z tego przyjdzie?

Nie byłem pewny, ale przeczuwałem, co się wydarzy.

- Wyjaśnienie zajęłoby zbyt wiele czasu. Czy myliłem się kiedykolwiek?

- No cóż... chyba nie.

- Zatem musisz mi zaufać, gdy mówię, że wiem, co robię.

Modliłem się żarliwie, aby w istocie tak było.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy pierwsze psy wybiegły zza zakrętu zamarzniętej rzeki.

- Dobrze, Riva - powiedziałem. - Już czas. Podnieś Glob. Nie wydawaj mu rozkazów, po prostu unieś kamień. Nie ściskaj go. Wiem, jak silne masz ręce. Jeśli w rozgorączkowaniu go skruszysz, będziemy mieć kłopoty.

- Myślałem, że już je mamy - mruknął Cherek za mną.

- Słyszałem - rzuciłem mu przez ramię.

Riva westchnął, wyciągnął Glob i uniósł go nad głową.

- Żegnaj, ojciec - powiedział posępnie.

Pędzące za nami psy, zatrzymały się gwałtownie, rysując pazurami lód, gdy tylko dostrzegły Glob błyszczący w dłoniach Rivy. Wtem magiczny kamień przestał świecić. Zamigotał i pociemniał.

Riva jęknął. Nagle ponownie się obudził. Tym razem nie jarzył się błękitnym blaskiem. Rozbłysnął czysto białym światłem. Był trzykrotnie jaśniejszy od słońca. Chandimy pierzchnęły, wyjąc z bólu, zataczając się i obijając jeden o drugiego, drapiąc pazurami lód. Nie mam pojęcia, czy któryś z tych Grolimów kiedykolwiek odzyskał wzrok, ale wiem, że gdy uciekali rzeką, byli całkowicie oślepieni.

- No i co powiecie? - zapytałem z pewnym zdziwieniem. - Jednak działa. Czyż to nie zdumiewające?!

- Belgaracie! - w głosie Chereka pobrzmiwała udręka. - Chcesz powiedzieć, że nie byłeś tego świadom?

- Teoretycznie - odparłem. - Ale każdą teorię trzeba sprawdzić w praktyce...

- Co się stało? - dopytywał się Dras.

Wzruszyłem ramionami.

- Rivie nie wolno posługiwać się Globem. Dlatego Glob pozwala mu się dotykać. Riva nie może nic zrobić, ale Glob może i zrobił. Glob nie lubi Toraka ani Angaraków. Darzy jednak sympatią Rivę. Świadomie wystawiłem go na niebezpieczeństwo, a to zmusiło Glob do przejęcia sprawy w swe ręce. Poszło całkiem nieźle, nie sądzicie?

Spoglądali na mnie w przerażeniu.

- Przypomnij mi, abym nigdy nie grał z tobą w kości, Belgaracie - powiedział Dras drżącym głosem. - Grasz zbyt ryzykownie.

W niedługim czasie psy wróciły oraz spora cześć Grolimów popędzanych przez Ctuchika i Toraka. Za Grolimami jechali konni, odziani w hełmy, kolczugi i uzbrojeni. To byli pierwsi Murgowie, jakich widziałem. Nie spodobali mi się i z biegiem lat nie zmieniłem zdania. Konie mieli nieco większe od drobnych kucyków spotykanych po drugiej stronie Morza Wschodu, ale Murgowie i tak byli za wielcy dla swoich wierzchowców.



Będę wspominał od czasu do czasu o Murgach, Nadrakach i Thullach, więc powiem, czym się od siebie różnią. Trzy plemiona, które przywędrowały na zachodni kontynent po zniszczeniu Cthol Mishrak, faktycznie nie stanowiły wcale odrębnych plemion. Wszyscy byli Angarakami, ale po dwóch tysiącach lat zamieszkiwania Miasta Wiecznej Nocy zaszły w nich zmiany. Różnice pomiędzy nimi nie były typu rasowego czy plemiennego, lecz raczej klasowego. Słowo „Murgo” w starym języku Angaraków oznacza wojownika, „Nadrak”

to mieszkańiec miasta, a „Thull” wieśniak. Murgowie wyglądali jak żołnierze - barczyści, wąscy w pasie i muskularni. Nadrakowie byli szczuplejsi. Thullowie budową przypominali woły. Torak tak był zajęty próbami podporządkowania sobie Globu, że nie zwracał uwagi na to, co działo się z mieszkańcami Cthol Mishrak. Po dwóch tysiącach lat selektywnego rozmnażania się zaszły w nich poważne zmiany. Sądził więc, że są różni, ponieważ pochodzą z odmiennych plemion. To jedna z przyczyn, dla których przeniesione na zachód społeczeństwo nie funkcjonowało najlepiej. Murgowie uważali, że praca była poniżej ich godności, Thullowie byli zbyt głupi na zorganizowanie choćby namiastki rządu, a Nadrakowie nie mieli kogo oszukiwać, okłamywali więc siebie nawzajem.

Zrozumieliście wszystko? Starajcie się to zapamiętać. Nie mam ochoty powtarzać tego raz jeszcze.



Psy, nauczone tym, co spotkało ich towarzyszy, trzymały się przeczornie z tyłu za atakującymi Murgami i Grolimami. Nie musiałem nawet mówić Rivie, co ma robić. Wyciągnął Glob i uniósł go nad głowę.

Glob ponownie zamigotał, przygasł i rozbłysnął ogniem. Jednakże tym razem o wiele silniej. Być może po raz pierwszy Cthol Mishrak było w pełni oświetlone. Zachodnie zbocza Gór Karandy, Morze Wschodu aż po biegun i do wybrzeży Morindlandu, wszystko było skąpane w blasku tak jasnym jak ten, który rozbłysnął w Korimie trzy tysiące lat później.

Nacierający Murgowie i Grolimowie zostali natychmiast spopieleni. Przy tej okazji dowiedziałem się czegoś nowego o Globie. Nieobce mu było poczucie przyzwoitości. Ostrzegał ludzi, nim skierował przeciwko nim swą moc. Tym właśnie było oślepienie psów - znakiem. Aczkolwiek jedynym. Jeśli ludzie zlekceważyli pierwsze ostrzeżenie Globu, następnego już nie dostawali.

Byliśmy oszołomieni skalą tego, co się wydarzyło. Psy wykorzystały nasze chwilowe rozproszenie uwagi. Obeszły brzeg rzeki, by pojawić się na przedzie. Tym samym psom udało się spowolnić nasze tempo. Rozbłysk jaskrawego światła nas również na moment oślepił. Potykaliśmy się i obijaliśmy potem jeden o drugiego w kompletnych ciemnościach. Z powodu chwilowej ślepoty i ataków psów, czołgaliśmy się powoli w dół rzeki.

- Jak jeszcze daleko do wybrzeża? - wydyszał Cherek.

- Nie mam pojęcia - przyznałem.

- Sprawy nie wyglądają dobrze, Belgaracie.

- Za dużo się martwisz - powiedziałem i skierowałem zażawione oczy na jego najmłodszego syna. - Trzymaj Glob w górze, Riva. Niech widzi, co się dzieje za nami.

Wędrowaliśmy dalej w dół rzeki, co jakiś czas oślepiani seriami błysków, po których słychać było jakby trzaski piorunów. To Glob niszczył psy, które nacierały na nas z brzegów rzeki.

- Nadciągają z tyłu, Belgaracie! - zawołał Dras. - Torak jest z nimi!

Zakląłem. Tego się nie spodziewałem. Bogowie nie mieli zwyczaju mieszać się do takich potyczek.

- Czy wolno mu to robić? - skierowałem to pytanie do wnętrza swej rozbrzmiewającej echem wybuchów czaszki.

- Nie, nie wolno! - mój pasażer wydawał się naprawdę rozgniewany. - On oszukuje!

- Czy to znaczy, że zasady przestały obowiązywać?

- *Myślę, że tak. Jednak bądź ostrożny. Nie chcemy zniszczyć tej części wszechświata.*

Te słowa lekko mnie zszokowały.

- Żądasz, abym to zrobił?

- *Wykluczone! Jeśli dotkniesz Globu, on niechybnie na ciebie przeleje swe przywiązanie i nigdy nie będziesz mógł się od magicznego kamienia uwolnić. Musiałbyś zostać jego strażnikiem, a na to nie masz czasu. Powiedz Rivie, aby to zrobił. Bez względu na wszystko, nie pozwól*

mu jednak zniszczyć Toraka. Riva nie jest tym, który powinien to uczynić.

- Chereku! - zawołałem. - Zabierz Drasa i Algara. Powstrzymaj tamtych, dopóki nie rozmówię się z Rivą!

Król Alornów kiwnął posępnie głową. Wraz z synami zajął pozycje na łodzi z bronią w pogotowiu. Przednia straż nacierających Angaraków szybko dostała lekcję pokory. Atakowanie potężnych Alornów, gdy czekają na ciebie gotowi do walki, nie jest dobrym pomysłem.

- Posłuchaj uważnie, Rivo - rzekłem. - Chcę, abyś skoncentrował się na swej dłoni.

- Co takiego?

- Nie musisz rozumieć. Po prostu patrz na Angaraków i myśl o tym, co pragnąłbyś z nimi zrobić, ale jednocześnie pamiętaj o swej dłoni. Glob jest bronią, lecz nie musisz nim wywijać. Po prostu bądź świadom tego, że trzymasz kamień w dłoni, a on zrobi to, co będziesz chciał.

- Byłem przekonany, że nie wolno mi tego czynić - zaprotestowałem.

- Zasady się zmieniły. Druga strona postępuje nieuczciwie, więc my też trochę pooszukujemy. Nie próbuj jednakże zranić Toraka. Zniszczysz cały świat, jeśli to uczynisz.

- Co takiego zrobię?

- Słyszałeś. Skup się na zniszczeniu Angaraków. Torak ostatecznie jest na tyle bystry, by to zrozumieć. Pewnie nie zechce już ponownie oszukiwać.

- Zrobię, co w mej mocy.

Riva nie powiedział tego zbyt pewnie. Uniósł jednak Glob. Poczulem, jak wzbiera jego Wola, gdy skupił się na nadciągających Angarakach.

- Ale nic się nie stało.

- Musisz to uwolnić! - krzyknąłem.

- Co takiego?

- Zrozumiałeś, w czym rzecz, ale musisz to jeszcze uwolnić!

- Jak?

- Powiedz coś!

- Co powiedzieć?

- Wszystko jedno! Spróbuj „teraz”, lub „spal”, lub „zabij”! Po prostu coś powiedz!

- Ruszaj - rzekł z wahaniem.

Z pewnym trudem opanowałem się.

- Ty tu wydajesz rozkazy, Riva - oświadczyłem. - Nie mów tego tonem prośby.

- Ruszaj! - zagrział.

Nie było to Słowo, którego ja używałem, ale zadziałało. Angarakowie zaczęli wybuchać. Całe szeregi wylatywały w powietrze - jasny błysk i krótka detonacja rozbrzmiewały raz z jednej, raz z drugiej strony brzegu. Najmłodszy syn Chereka startł z powierzchni ziemi pierwszy szereg. Potem zabrał się za następny. Zniszczył go metodycznie, po czym skierował moc na trzeci.

- Nie możesz zgładzić od razu więcej? - zapytałem.

- Masz ochotę sam to zrobić? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Nie wolno mi.

- To może się zamkniesz i pozwolisz mi działać?



*Teraz widzicie, po kim Garion jest taki wybuchowy.
Riva należał do najbardziej zrównoważonych Alornów,
ale lepiej było go nie złościć.*



Riva zamienił kilka pierwszych szeregów Angaraków w smużki dymu, nim pozostali zrozumieli, w czym rzecz. Odwrócili się i uciekli, omijając z dala piekącego się Toraka. Bóg-Smok, pomimo wściekłości, zasłaniał zakutą w stal twarz swą jedyną ręką. Zdecydowanie nie chciał stracić drugiego oka. W końcu on również zawrócił i uciekł, wyjąc w furii.

- Możesz już przestać - powiedziałem do Rivy.


- Mogę ich ścigać - zaproponował ochoczo. - Potrafię dopaść wszystkich Angaraków na całym kontynencie.

- Nawet o tym nie myśl - rzekłem. - Zrobiłeś, co do ciebie należało. Schowaj Glob.

Wrócili Cherek, Dras i Algar.

- Miła bitewka - zauważył król Alornów. - Ten Glob to poręczna rzecz.

Alornowie!



Zdaje się, że już to mówiłem. Pewnie zdążyliście się do tego przyzwyczaić. Wywracałem oczy i wzdychałem „Alornowie!” od tak dawna, że nawet przestałem zauważać, iż to robię.



Dotarliśmy do ujścia rzeki i ruszyliśmy ślizgając się po lodzie. Psy trzymały się teraz w przyzwoitej odległości, ale nadal za nami szły.

- Będą z nimi kłopoty ? - zapytałem swego przyjaciela.

- *Nie na długo. Zawrócą, gdy znajdziecie się w połowie drogi.*

- Dlaczego ?

- *To Grolimowie, Belgaracie. Nie posiadają mocy po twjej stronie Morza Wschodu.*

- Zedar miał.

- *Dlatego, że był uczniem. Inne zasady dotyczą uczniów. Ctuchik czy Urvon mogliby iść dalej, ale zwyczajni Grolimowie nie.*

- Czemu?

- *Beldin już ci to wyjaśniał, pamiętasz?*

- *Zdaje się, że tak. Grolimowie nie posiadają mocy na terenach, gdzie nie ma Angaraków?*

- *Zdumiewające. Jednak pamiętasz.*

- Co teraz?

- *Unieś jedną stopę i postaw przed drugą. Pozostawię twojej decyzji, którą. Postaraj się jednak nie podnosić obu na raz.*

- Bardzo zabawne.

Wędrowaliśmy po straszliwie nierównej powierzchni zamrożonego morza przez kilka następnych dni. Psy nadal trzymały się blisko nas.

Oczywiście nie było żadnej linii granicznej, ale wiedziałem, kiedy dotarliśmy do połowy drogi, ponieważ psy nagle przerwały swój pościg. Ustawily się w szeregu i zaczęły wyc rozczarowane.

- Nadal dopisuje nam szczęście - oznajmiłem Alornom.

- Jak to? - zapytał Cherek.

- Psy dalej nie mogą iść. Droga do domu wolna.

Okazało się to trochę przedwczesną radością. Nagle pojawił się tuż przed nami ogromny pies - dwukrotnie większy od tych wyjących z tyłu. Wydawało się, że otacza go czerwona poświata.

- Nie, bracie - powiedziałem Rivie, który sięgał już za swoją koszulę.

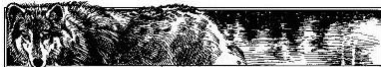
- Ten pies jest tylko złudzeniem. W rzeczywistości go tu nie ma.

- Nie myśl, że na tym koniec, Belgaracie - warknął do mnie monstrualny stwór, klapiąc wielkimi kłami.

- Ty pewnie jesteś Urvonem - rzekłem spokojnie - a może Ctuchikiem.

- To twoje zmartwienie. Spotkamy się jeszcze, starcze, obiecuję ci to. Tym razem wygrales. Przy następnej potyczce nie będziesz miał tyle szczęścia.

A potem widmo zniknęło.





Kilka dni później dotarliśmy do wybrzeża Morindlandu. Słońce wschodziło coraz wyżej i zostawało na niebie coraz dłużej każdego dnia. Przejmujący chłód powoli łagodniał. Nadchodziła wiosna.

Postanowiliśmy nie wracać tą samą drogą, to znaczy przez arktyczne pustkowia Morindlandu. Skierowaliśmy się na południe. Nie groziło nam teraz żadne niebezpieczeństwo. Wszyscy mieliśmy ochotę znaleźć się już w cieplejszym klimacie. Brzegiem morza dotarliśmy do dzisiejszego Gar og Nadrak. W owych czasach ziemie te leżały we wschodniej Alornii. Cherek był tam władcą, ale niewielu miał poddanych w tej części swego królestwa, jeśli nie liczyć jeleni. Wszyscy Alornowie, którzy tam mieszkali, i tak byli wyznawcami kultu niedźwiedzia, więc unikaliśmy spotkań z nimi. Wyznawcy kultu niedźwiedzia od początku założenia zakonu pragnęli zdobyć Glob. Nikt z nas zaś nie miał zbytnej ochoty więcej walczyć.

Po przejściu północnego pasma ponownie skręciliśmy na zachód. Przemierzyliśmy rozległe lasy, przekroczyliśmy góry i dobrnęliśmy do mokradeł Drasni. Tam skręciliśmy na południowy zachód, minęliśmy Jezioro Atun i w końcu, pewnego pogodnego wiosennego ranka, dotarliśmy do brzegów Rzeki Aldura.

Ktoś tam na nas czekał.

- No, no, chłopcze - zagadnął mnie dobroduszny staruszek na rozklekotanym wozie - widzę, że nadal podążasz na zachód.

- Zdaje się, że weszło mi to już w krew - odparłem wymijająco.

- Rozumiem, że się znacie - zauważył Cherek.

- Spotkaliśmy się kilka razy - odrzekłem. Uznałem, że Mistrz miał powody, aby zachować anonimowość, więc go nie zdradziłem.

- Jedliście już śniadanie? - zapytał staruszek.

- Jeśli można to tak nazwać - odezwał się Dras. - Kilka kęsów suchej wołowiny trudno nazwać śniadaniem.

- O milę stąd, w dole rzeki, mam obóz - powiedział starzec. - Całą noc piekłem wołu. Zapraszam do towarzystwa, jeśli macie ochotę. Jesteście również spragnieni? W rzece przy obozowisku chłodzi się beczułka przedniego ale.

To oczywiście załatwiło sprawę. Alornowie ruszyli za wozem niczym szczenięta wabione smakołykami.

- Najpierw nakarmimy twoich przyjaciół - szepnął do mnie staruszek.
- Potem porozmawiamy.

- Jak sobie życzysz - odparłem.

Cherek i jego synowie rzucili się na pieczonego wołu niczym wataha głodnych wilków, a do beczułki ale nurkowali jak ławica ryb. Po godzinie zrobili się senni i postanowili uciąć sobie drzemkę. Ja zaś ze staruszką poszedłem nad rzekę. Staaliśmy nad wodą, spoglądając na drugi brzeg. W górach Tolnedry zaczynały się wiosenne roztopy. Rzeka pełna była brunatnej, mulistej wody.

- Czy jest jakiś szczególny powód twego przebrania? - zapytałem, przechodząc od razu do rzeczy.

- Chyba nie - odrzekł Mistrz. - Korzystam z niego przy okazji opuszczenia Doliny. Na tym wozie ludzie nie zwracają na mnie uwagi. Mieliśmy z braćmi spotkanie w grocie.

- Tak?

- Musimy odejść, Belgaracie.

- Odejść?

- Nie mamy wyboru. Jeśli zostaniemy, wcześniej czy później będziemy musieli stawić czoło Torakowi, a to zniszczyłoby świat. - Ten świat zbyt wiele dla nas znaczy, nie możemy do tego dopuścić. Dziecko Światła będzie go potrzebować.

- Kim jest Dziecko Światła?

- To się zmienia. Ty nim byłeś, gdy w Morindlandzie starłeś się z Zedarem. Konieczności nie mogą spotkać się bezpośrednio, więc muszą działać przez swych agentów. Chyba już ci to wyjaśniałem.

Kiwnąłem posepnie głową. Nie cieszył mnie taki obrót spraw.

- Jednak przyjdzie na świat ostatnie Dziecko Światła - podjął dalej - i ostatnie Dziecko Ciemności. To one ustalą wszystko raz i na zawsze. Do ciebie należy przygotowanie wszystkiego na jego pojawienie się. Miej baczenie na Rivę. Dziecko będzie jego potomkiem.

- Czy zobaczę cię jeszcze kiedykolwiek?

Aldur uśmiechnął się słabo.

- Oczywiście. Zbyt wiele czasu poświęciłem na twoje wychowanie, aby cię porzucić. Uważnie śledź swoje sny, Belgaracie. Niemożliwym jest bym wrócił bezpośrednio, a przynajmniej nieczęsto, więc będę rozmawiał z tobą we śnie.

- To już coś. Czyli będziesz kierował nami za pośrednictwem snów?

- Konieczność będzie wami kierować. Druga Era, o której mówią Dalowie, już się kończy. Teraz nadchodzi Trzecia Era, Era Proroctwa. Konieczności obdarzą mocą przepowiadania przyszłości pewnych ludzi.

Natychmiast dostrzegłem wadę tego planu.

- Czy nie jest to trochę niebezpieczne? - zapytałem. - Takie informacje nie powinny dostać się w niepowołane ręce.

- Już się tym zajęto, synu. Pozostali ludzie nie rozumieją znaczenia przepowiedni. Będą na tyle tajemnicze, że większość ludzi uzna je za brednie szaleńców. Powiedz swym Alornom, żeby w miarę możliwości wypatrywali takich nawiedzonych ludzi i spisywali, co mówią. W ich słowach będą ukryte przesłania.

- To niewygodny sposób załatwiania spraw, Mistrzu.

- Wiem, ale takie są zasady.

- Nie jestem pewien, czy zasady są nadal przestrzegane, Mistrzu. Druga strona zaczęła oszukiwać podczas naszego pobytu w Cthol Mishrak.

- To był Torak. Jego Konieczność przeprosiła za to. Torak został ukarany.


- Dobrze. Co mam teraz robić? Wiesz przecież, że naprawdę powinienem wrócić do Poledry.

Aldur westchnął.

- To będzie musiało poczekać, obawiam się. Przykro mi, Belgaracie - bardziej niż możesz sobie wyobrazić - ale jeszcze nie skończyłeś. Musisz dokonać podziału Alornii.

- Czego muszę dokonać?

Aldur wyjaśniał mi to jakiś czas.


*To moja historia i przedstawię ją tak, jak chcę. Jeśli
wam się to nie podoba, to opowiedzcie sobie sami.*

Potem staruszek nakarmił konia i odjechał na południe. Zostałem w towarzystwie chrapiących Alornów. Nie budziłem ich, a druhowie spali bez przerwy do następnego ranka.

- Gdzie twój przyjaciel? - zapytał Cherek, gdy w końcu się obudzili.

- Miał coś do załatwienia - odrzekłem.

- A zatem już po wszystkim, prawda? - odezwał się Dras. - Dobrze będzie wrócić do Val Alorn.

- Ty nie wracasz do Val Alorn, Dras - powiedziałem.

- Co takiego?

- Zawrócisz na mokradła.

- Po cóż miałbym to robić?

- Ponieważ ja ci to mówię - odparłem bez osłonek. Byłem w nie najlepszym humorze tego ranka. Spojrzałem na Chereka. - Przykro mi, Chereku - rzekłem do niego - ale będę zmuszony dokonać podziału twego królestwa. Angarakowie nie dadzą za wygraną, więc musimy być przygotowani na ich nadejście. Riva strzeże Globu, zatem pozostali z was muszą ochraniać Rivę. Rozdzielę was, aby ludzie Toraka nie mogli znieśc napaść na Rivę i wykraść mu Globu.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Cherek. - Po jakim czasie będę mógł ponownie zjednoczyć swe królestwo?

- Obawiam się, że nie będziesz mógł tego uczynić. Alornia zostanie podzielona na stałe.

- Belgaracie! - zawołał płaczliwym głosem Cherek, jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

- To nie zależy ode mnie, Chereku. To ty wpadłeś na pomysł wykradzenia Globu. Teraz będziesz musiał ponieść tego konsekwencje. Dras założy własne królestwo na północnych mokradłach. Algar będzie miał swoje na tych trawiastych równinach. Ty wrócisz do Val Alorn. Twoim królestwem stanie się ten półwysep.

- Królestwo? - wybuchnął. - Ten półwysep nie jest większy od schowka na ubranie!

- Nie przejmuj się tym. Teraz twym królestwem będzie ocean. Zwołaj swych konstruktorów okrętów. Łodzie, które budowali do tej pory, już nie wystarczą. Naszkiuję ci plany. Król Oceanu będzie potrzebował okrętów wojennych, nie pływających balii.

Cherek przymrużył w zamyśleniu oczy.

- Król Oceanu - powtórzył w zadumie. - Brzmi całkiem nieźle. Czy naprawdę można prowadzić wojnę wykorzystując do tego okręty?

- O tak - zapewniłem go. - A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie trzeba iść na pole walki.

- A gdzie ja mam się udać, Belgaracie? - zapytał Riva.

- Sam ci wskażę. Wyruszę z tobą i pomogę się urządzić.

- Dzięki, ale dokąd pójdziemy?

- Na Wyspę Wiatrów.

- To przecież ledwie skała na środku Wielkiego Zachodnie go Morza!
- zaprotestował.

- Wiem, ale to twoja skała. Zabierzesz tam ze sobą sporą grupę Alornów. Zgodziłeś się na ochotnika wziąć Glob. Teraz za niego odpowiadasz. Po dotarciu na wyspę zbudujesz twierdzę i wraz ze swymi ludźmi spędzisz tam resztę życia, strzegąc Globu. Potem przekażesz odpowiedzialność chronienia Globu swym dzieciom i one przejmą twe obowiązki.

- Jak długo to potrwa?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - pewnie wieki, być może nawet tysiąclecia. Twój ojciec zbuduje okręty wojenne i nikogo nie dopuści w pobliże Wyspy Wiatrów.

- Nie tak to sobie wyobrażałem, gdy zaczynaliśmy, Belgaracie - narzekał Cherek.

- Życie pełne jest drobnych rozczarowań. Zabawa się skończyła, panowie. Czas dorosnąć. Mamy pracę do wykonania.

Pewnie nie musiałem obejść się z nimi tak ostro, ale Mistrz też nie potraktował mnie zbyt łagodnie. A poza tym miałem dość biadolenia Chereka i jego synów. Najważniejszą misję w historii swej rasy potraktowali jak rodzaj psoty. A teraz, gdy przychodzi im słono płacić za te igraszki, potrafią jedynie narzekać.

Alornowie są czasami strasznie dziecinni.

Nie siliłem się również na delikatność przy omawianiu szczegółów podziału. Nie dałem im czasu na rozczulanie się. Powiedziałem Cherekowi, ilu ludzi ma wysłać każdemu ze swych synów do pomocy przy zakładaniu nowych królestw. Sposepniał, gdy zdał sobie sprawę, że pozbawiam go ponad połowy poddanych. Za każdym razem, gdy zaczynał protestować, przypominałem Cherekowi z naciskiem, że po pierwsze, odzyskanie Globu było jego pomysłem, a po drugie, ja nie chciałem opuszczać swej brzemiennej żony, więc teraz wcale mi go nie żal.

- Tak właśnie postąpimy - podsumowałem. - Jakież pytania?

- A co mamy robić, jak już się urządzimy? - zapytał ponuro Dras. - Po prostu wyczekiwać na Angaraków?

- Dalsze instrukcje otrzymasz od Belara - odparłem. - Bogowie też są w to zamieszani.

- Belar mnie nie lubi - powiedział Dras. - Najczęściej przegrywał ze mną w kości.

- A zatem nie graj z nim w kości. Staraj się Belarowi nie narażać.

- To okropnie rozległa kraina - odezwał się Algar, spoglądając na rozciągające się po horyzont stepy. - Będę musiał się dobrze nachodzić.

- Są tam dzikie konie. Schwytaj któregoś.

- Gdy dosiadam konia, szuram nogami po ziemi.

- Złap zatem większego.

- Nie ma większych.
- To je wyhoduj.
- Pogoda na Wyspie Wiatrów jest naprawdę paskudna - uskarżał się Riva.

- Zbuduj domy o grubych ścianach i solidnych dachach.
- Wiatr zdmuchnie słomiane poszycia domów.
- To pokryj dachy łupkiem i poprzybijaj go.

W końcu Cherek też miał tego dość.

- Dostaliście instrukcje - powiedział swym synom. - Teraz róbcie, co wam kazano. Możecie sobie być królami, ale nadal jesteście moimi synami. Nie przynieście mi wstydu.

To położyło kres całemu marudzeniu.

Pożegnanie następnego ranka nie obyło się jednak bez tego. Potem rozeszliśmy się, zostawiając Algara, stojącego samotnie nad brzegiem Rzeki Aldura.

Ja z Rivą poszedłem na zachód. Po dotarciu do gór skręciliśmy nieco na północny wschód, aby obejść północne rubieże Ulgolandu. Wystarczająco się już rozerwałem potyczkami z Angarakami. Nie miałem ochoty na zabawę z algothami czy eldrakami.

Po zejściu z gór przeszliśmy przez urodzajne równiny obecnej Sendarii i dotarliśmy na wybrzeże Wielkiego Zachodniego Morza. Tam zatrzymaliśmy się, by czekać na wojowników, których obiecał nam przysłać Cherek - i ich kobiety, oczywiście. Zakładałem nowy kraj i potrzebny mi był początek nowej rasy.

Tak, wiem, że wyraziłem się bez ogródek i pewnie uraziłem tym Polgarę, ale trudno. Ona i tak zawsze znajdzie sobie powód do obrażania się.



Tym razem cię dostałem, co, Pol?



W czasie oczekiwania na przybycie z Val Alorn ludzi Rivy zabawiałem się drobnymi sztuczkami. W pobliżu plaży był duży las. Zrobiłem więc użytek ze swych talentów, powalając drzewa i tnąc je na

deski. Riva widział już, jak robiłem różne rzeczy przy pomocy Woli i Słowa, ale widok kłody rozpadającej się na deski wyraźnie go denerwował. W końcu zupełnie zrezygnował z patrzenia. Siedział i utkwivszy wzrok w morzu mrucał - „nienaturalne” - zwykle na tyle głośno, bym słyszał. Próbowałem mu wytłumaczyć, że będziemy potrzebować łodzi na dotarcie do Wyspy Wiatrów, a do łodzi niezbędny jest budulec, ale Riva nie chciał mnie słuchać. Dopiero, gdy zaścieliłem stosami desek ćwierć mili brzegu, zdobył się na sensowny sprzeciw.

- Jeśli zbudujesz łodzie z tych świeżych desek, to zatoną. Muszą schnąć przynajmniej przez rok.

- Nie tak długo - zaprotestowałem. Potem, aby pokazać mu, kto tu rządzi, utkwivłem wzrok w stercie desek, skoncentrowałem się i powiedziałem: - Gorąco.

Stos desek zaczął natychmiast dymić. Riva drażnił mnie i posunąłem się trochę za daleko. Zmniejszyłem gorąco i zamiast dymu pojawiła się para, gdy świeże deski zaczęły wypacać swą wilgoć.

- Wyginają się - zauważył triumfalnie.

- Oczywiście - odparłem spokojnie. - Chcę, aby się wyginały.

- Powykrzywiane deski nie są dobre.

- To zależy, co się chce z nich zbudować - sprzeciwiłem się. - My zamierzamy skonstruować okręty, a okręty mają zakrzywione burty. Barki posiadają proste burty, ale nie żeglują się na nich zbyt dobrze.

- Masz na wszystko odpowiedź, Belgaracie. Nawet na swoje pomyłki.

- Czemu się na mnie gniewasz, Rivo?

- Ponieważ przewróciłeś mi życie do góry nogami. Oderwałeś od rodziny, zabierasz mnie do najpaskudniejszego miejsca na świecie, bym spędził tam resztę swego życia. Trzymaj się ode mnie z dala, Belgaracie. Niezbyt cię teraz lubię - dodał i odszedł plażą.

Ruszyłem za nim.

- Zostaw go samego, Belgaracie - to znowu był mój przyjaciel.

- Jeśli mam z Rivą współpracować, to muszę się z nim pogodzić.

- *Teraz jest nieco zdenerwowany. Uspokoi się. Nie osłabiaj swojej pozycji idąc za nim. Spraw, by to Riva przyszedł do ciebie.*

- A jeśli nie przyjdzie?

- *Musi. Tylko ty możesz powiedzieć mu, co robić, i Riva o tym wie. Ten Alorn ma ogromne poczucie odpowiedzialności. Dlatego go wybrałem. Dras jest większy, a Algar mądrzejszy, ale Riva trzyma się tego, co raz postanowi. Wracaj do gotowania desek. To uspokoi twój umysł.*

Zawsze wiedział, jakimi słowami najbardziej mi dokuczy. Gotowanie desek! Nadal czerwienieją mi uszy, gdy sobie przypominam to wyrażenie.

Dwa dni później Riva przyszedł do mnie z przeprosinami.

- Wybacz, Belgaracie - powiedział ze skruchą.

- Co? Nie powiedziałaś niczego, co nie byłoby prawdą. Przewróciłem twe życie do góry nogami, oderwałem cię od rodziny i zabiorę na Wyspę Wiatrów, byś spędziła tam resztę swego życia. Pomiąłeś jedynie fakt, że nic z tego nie było moim pomysłem. Jesteś teraz Stróżem Globu i ktoś musiał tobą pokierować. Ja jestem twoim nauczycielem. Żaden z nas nie prosił się o to. Pozostało nam jedynie robić dobrą minę do złej gry. A teraz chodź, pokażę ci plany, które narysowałem dla twych łodzi.

- Okrętów - poprawił bezwiednie.

- Jak sobie życzysz, Strażniku Globu.

Alornowie zaczęli przybywać następnego popołudnia. Alornowie nie maszerują. Nawet nie trzymają się razem w czasie wędrówki. Jej kierunek też raczej trudno określić, ponieważ co i rusz jakaś grupka zbacza z kursu.

Riva natychmiast posyłał ich do budowy okrętów i wkrótce pusta plaża zmieniła się w ruchliwą stocznię. Nie obyło się bez dyskusji nad moimi projektami okrętów. Niektóre z wysuwanych przez Alornów zastrzeżeń miały nawet uzasadnienie. Jednakże większość z nich była głupia. Alornowie uwielbiają dyskusje, pewnie dlatego słowne potyczki poprzedzają u nich walkę.

Wędrowałem po plaży tam i z powrotem, korzystając z czarów, kiedy było potrzeba, i nie minęło sześć tygodni, gdy skończyliśmy dziesięć okrętów. Wówczas Riva przekazał dowództwo swemu kuzynowi,

Anrakowi, i wyruszyliśmy z pierwszą grupą na Morze Wiatrów, ku wyspie.

Jeśli nie widzieliście Wyspy Wiatrów, moglibyście sądzić, że jej opisy są przesadzone. Możecie mi wierzyć, nie są. Po pierwsze, wyspa ma tylko jedną plażę, wąski pasek żwiru długości około mili przy głęboko wciętej zatoce po wschodniej stronie wyspy. Resztę brzegu stanowiły urwiska. Wnętrze wyspy porastały lasy, ciemne, wiecznie zielone, jakie zwykle występują na północy. Górskie doliny wyściełały rozległe łąki. Pewnie nie byłoby tam wcale źle, gdyby nie wiejące cały czas wiatry i deszcze, które potrafiły padać nieprzerwanie przez sześć miesięcy. A gdy deszcz się zmęczył, zaczynał sypać śnieg.

Oplłynęliśmy wyspę dwukrotnie, ale nie znaleźliśmy drugiej plaży, więc dobiliśmy do tej, o której wspomniałem, i zesłiliśmy na brzeg.

- Gdzie mam zbudować twierdzę? - zapytał Riva, gdy stanęliśmy w końcu na stałym gruncie.

- To zależy od ciebie - odparłem. - Który teren najbardziej się do tego nadaje?

- Chyba tam. To jedyne miejsce, gdzie można wyjść na brzeg.

- Słusznie - powiedziałem.

Przyjrzałem mu się uważnie. Oblicze Rivy zaczynało już tracić chłopcę bez troskę. Odpowiedzialność, którą tak lekko wziął na siebie w Cthol Mishrak, zaczynała mu już ciążyć.

Spojrzał na dolinę o stromych zboczach, zbiegającą z gór ku zatoce.

- Twierdza musi być nieco większa, niż myślałem - rzekł z zadumą. - Powinienem zablokować nią wejście do tej doliny. Chyba muszę zbudować tam miasto.

- Pewnie. Na wyspie nie zostanie dużo do roboty, poza robieniem dzieci, więc liczba mieszkańców wzrośnie. Będziesz potrzebował wielu domów.

Riva nagle zarumienił się.

- Wiesz, co się z tym wiąże? Mam na myśli robienie dzieci.

- Oczywiście.

- Chciałem się tylko upewnić, że nie będziesz grzebał w kapuście czy gonił bociany w ich poszukiwaniu.

- Nie obrażaj mnie - ponownie spojrzął na dolinę. - Zdaje się, że nie ma dostatecznie dużo drzew na zbudowanie miasta.

- Nie ma - odparłem spokojnie. - Nie wznoszę drewnianego miasta. Tolnedranie wypróbowali już to w Tol Honeth. Nim skończyli je budować, spłonęło do fundamentów. Użyj kamienia.

- To zajmie wiele czasu, Belgaracie - zaprotestował.

- A masz coś lepszego do roboty? Załóż tymczasowy obóz tu, na plaży, i rozpal ogniska sygnalizacyjne na cyplach u wejścia do zatoki, by wskazać drogę reszcie twych ludzi. Potem poświęcimy nieco czasu na zaprojektowanie miasta. Nie chcę, aby rozrosło się niczym zielsko. Ma ochraniać Glob i wolę mieć pewność, że linia jego obrony będzie szczelna.

W ciągu następnych kilku tygodni przyplęły pozostałe okręty Rivy, po sześć lub osiem za każdym razem. Do tego czasu praca nad planem miasta dobiegła końca.

- Jak według ciebie powinienem je nazwać? Mam na myśli miasto - zapytał, gdy skończyliśmy.

- A jaka to różnica?

- Miasto powinno mieć nazwę, Belgaracie.

- Nazwij je, jak chcesz, choćby swym imieniem.

- Val Riva?

- Czy to nie nazbyt ostentacyjne? Niech będzie po prostu Riva.

- To nie brzmi jak nazwa miasta, Belgaracie.

- Będzie, gdy ludzie się przyzwyczają.

W końcu przybył Anrak.

- To już wszyscy, Rivo - zawołał, gdy wyszedł na brzeg. - Teraz jesteśmy tu w komplecie. Masz coś do picia?

Tej nocy na plaży hucznie się bawiono. Po kilku kufkach od hałasu zaczęła mnie boleć głowa, więc poszedłem w głąb stromej doliny, by trochę pomyśleć. Czekano mnie jeszcze sporo pracy, nim będę mógł udać się w podróż do domu. Zastanawiałem się więc, jak najszybciej się

z tym wszystkim uporać. Naprawdę chciałem wrócić do Doliny i do Poledry. Bez wątplenia byłem już ojcem i pragnąłem zobaczyć swego potomka.

Trochę po północy zerknąłem na plażę i zerwałem się na nogi, przeklinając. Wszystkie okręty stały w ogniu!

Zbiegłem na brzeg i odszukałem Rivę. Stał ze swym kuzynem nad wodą, śpiewając alornskie pijackie piosenki. Spojrzenie mieli tępe i kiwali się w przód i w tył, pijani w trupa.

- Co wy wyprawiacie? - wrzasnąłem.

- O jesteś, Belgaracie - powiedział Riva. - Wszędzie cię szukaliśmy - wskazał na płonące okręty. - Piękny pożar, co?

- Wspaniały. Po co go wznieciliście?

- Ten budulec, który dla nas przygotowałeś, jest bardzo dobry i suchy, więc dobrze się pali.

- Riva, czemu palisz okręty?

Spojrzał na swego kuzyna.

- Czemu palimy okręty, Anraku? Zapomniałem.

- Aby powstrzymać ludzi przed ucieczką - odparł Anrak.

- A tak. Teraz sobie przypominam. Czyż to nie dobry pomysł, Belgaracie?

- To pomysł do chrzanu!

- A co w nim złego?

- A jak ja mam teraz wrócić do domu?

- Och, nie pomyślałem o tym - rzekł, a oczy mu zabłyśły. - Chcesz się czegoś napić? - zapytał.





- Belgaracie? - powiedział do mnie Riva któregoś ranka, kilka dni później. Staliśmy w górnym krańcu wąskiej doliny ciągnącej się do plaży. Przyglądaliśmy się, jak Alornowie oczyszczali jej tarasowate dno.

- Słucham, Rivo.
- Czy powinienem mieć miecz?
- Już jeden masz.
- Nie, chodzi mi o specjalny miecz.
- Tak - odparłem.

Skąd się o tym dowiedział?

- Gdzie on w takim razie jest?
- Jeszcze nie istnieje. Masz go zrobić.
- Chyba to potrafię. Z czego mam go zrobić?
- O ile wiem, z gwiazd.
- A w jaki sposób się do nich dostanę?
- Spadną z nieba.
- A zatem to pewnie Belar rozmawiał ze mną zeszłej nocy.
- Nie rozumiem.

- Miałem sen, a przynajmniej zdawało mi się, że to był sen. Odniosłem wrażenie, że słyszę głos Belara. Rozpoznałem go, ponieważ zwykłem przyglądać się, jak grywał w kości z Drasem. Przeklinał w czasie gry, gdyż Dras zawsze był górą. Czyż to nie dziwne? Wydawałoby się, że Bóg może sprawić, aby kości wypadły jak zechce, ale Belarowi nawet przez myśl nie przeszło, by oszukiwać. Dras jednak nie grał uczciwie. Potrafił jedną kostką wyrzucić dziesięć.

Starałem się zachować spokój.

- Rivo, odbiegasz od tematu. Zacząłeś opowiadać mi o swoim śnie. Skoro Belar do ciebie przemówił, to może być ważne.

- Dużo tam było „winno” i „winienes”.

- Bogowie tak mówią. Co powiedział?

- Nie jestem pewny, czy dobrze zrozumiałem początek. Śniłem właśnie o czymś innym, nie chciałem, aby mi przeszkadzano.

- A o czym to śniłeś?

Riva zarumienił się.

- To doprawdy nieważne - odparł wymijająco.

- Ze snami nigdy nie wiadomo. O czym on był?

Riva zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- No cóż... było w nim o pewnej dziewczynie. To chyba nic ważnego?

- Raczej nie. Czy Belarowi udało się w końcu zwrócić twoją uwagę?

- Musiał mówić do mnie dość głośno. Rzeczywiście byłem bardzo zainteresowany tą dziewczyną.

- Z pewnością.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś miał tak jasne włosy. Dasz wiarę, że nie miała nic na sobie?

- Riva! Daj spokój dziewczynie! Co powiedział Belar?

- Nie musisz się tak denerwować, Belgaracie - rzekł nieco urażonym tonem. - Właśnie do tego dochodzę - zmarszczył brwi. - Niech pomyślę. Zdaje się, że powiedział coś takiego: „Strażniku Globu, oto sprawię, aby dwie gwiazdy spadły z nieba i wskażę ci, gdzie leżą, a ty winienes podnieść obie gwiazdy i winienes umieścić je w wielkim ogniu i przekuć. A jedna z nich winna być ostrzem, a druga rękojeścią i winien to być miecz, który strzec będzie Globu mego brata, Aldura”. Czy coś w tym rodzaju.

- Należy zatem wystawić wartowników w nocy.

- Po co?

- Aby obserwowali niebo oczywiście. Musimy wiedzieć, gdzie spadną gwiazdy.

- Ja już wiem, Belgaracie.

Belar wyprowadził mnie przed namiot i wskazał na niebo. Dwie gwiazdy spadły i widziałem, jak uderzały o ziemię. Potem Belar odszedł, a ja wróciłem do łóżka, aby sprawdzić, czy uda mi się znowu znaleźć tę dziewczynę.

- Dasz w końcu spokój z tą dziewczyną?

- Nie, nigdy nie dam. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem.

- Pamiętasz może, gdzie spadły te gwiazdy?

- Tam. - Wskazał niedbale na pokryty śniegiem szczyt wznoszący się na drugim krańcu doliny.

- Chodźmy je podnieść.

- A nie powinienem tu zostać? Zdaje się, że jestem dowódcą? Czyż obowiązkiem dowódcy nie jest kierowanie pracami?

- Czy twój kuzyn jest trzeźwy?

- Anrak? Chyba tak, w każdym razie mniej więcej.

- Wezwij go i przekazaj Anrakowi dowodzenie. Lepiej będzie, jeśli pójdziemy odszukać te gwiazdy, nim śnieg je przykryje.

- Nadal będziemy mogli je znaleźć. Odrobina śniegu gwiazd nie skryje.

Spojrzałem na Rivę zdziwiony.

- To są gwiazdy, Belgaracie, a one błyszczą. Będziemy widzieć światło, nawet jeśli zupełnie przysypie je śnieg.

Rozumiecie teraz, co miałem na myśli, mówiąc o naiwności Rivy? Daleki był od łatwowierności, ale nie potrafił uwierzyć, że coś mogłoby się nie udać. Zakrzyknął na swego kuzyna, a potem ruszyliśmy w górę wąskiej doliny. Wszystko wskazywało na to, że kiedyś jej dnem płynął strumień lub rzeka, ponieważ leżało tam pełno zaokrąglonych głazów. Teraz po strumieniu nie było śladu. Pewnie zmienił bieg, gdy Torak rozłupał świat. Podczas wspinaczki Riva zabawiał mnie opowieściami o dziewczynie ze swego snu. Najwyraźniej nie mógł myśleć o niczym innym. Oczywiście wcale nie było trudno odnaleźć owe gwiazdy. Były rozpalone do białości. Wytopiły w śniegu ogromne kratery.

- To nie są gwiazdy, Belgaracie - zaprotestował Riva, gdy podniosłem je triumfalnie. - To jedynie bryłki żelaza.

- Śnieg je przygasił - powiedziałem. Rozminąłem się nieco z prawdą, ale tak było prościej, niż próbować mu to wyjaśnić.

- Nie można zgasić światła gwiazdy - rzekł drwiąco.

- To szczególnie gwiazdy, Rivo - brnąłem dalej. Nie miałem ochoty się z nim sprzeczać.

- Tego nie wziąłem pod uwagę. Co teraz zrobimy?

- Postąpimy zgodnie z instrukcjami Belara. Rozpalmy ognisko.

- Tutaj? Na śniegu?

- Musisz zrobić coś jeszcze. Masz nadal przy sobie Glob, prawda?

- Oczywiście. Zawsze go ze sobą noszę. - Poklepał węzełek pod tuniką. - Czego użyjemy jako młota? A co z kowadłem?

- Ja się tym zajmę. Nie sądzę, aby zwykłe narzędzia zdały tu egzamin. Te gwiazdy wydają się twardsze od zwykłego żelaza.

W pobliskim zagajniku rozpałem ognisko. Oczywiście posłużyłem się czarami. Mokre drewno nie osiągnęłoby wystarczająco wysokiej temperatury.

- Wrzuc je do ognia, Rivo - poleciłem.

- Jak sobie życzysz - zgodził się i cisnął dwie grudki żelaza w płomienie.

Potem skoncentrowałem swą Wolę i skonstruowałem młot, kowadło oraz szczypcę. Pewnie nadal stoją na szczycie za dworem rivańskiego króla. Były z tak gęstego tworzywa, że chyba jeszcze nie przerdzewiały.

Riva ujął młot.

- Jest cięższy, niż na to wygląda - zauważył.

- Ponieważ jest magicznym młotem.

Taka odpowiedź była łatwiejsza, niż wdawanie się w rozważania nad względną gęstością.

- Tak sobie pomyślałem - powiedział zupełnie spokojnie.


Usiedliśmy na kłodzie przy huczącym ogniu, czekając aż grudki żelaza się rozgrzeją. Gdy były już rozpalone do białości, Riva wygrzebał je z żaru i zabrał się do pracy. Musiał gdzieś nauczyć się

kowalstwa. Nie był tak dobrym fachowcem jak Durnik, ale znał się na rzeczy.


Po dziesięciu minutach przerwał kucie, przyjrzał się uważnie rozżarzonym grudkom.

- Co się stało? - zapytałem.

- To muszą być czarodziejskie gwiazdy, tak jak i ten młot. Gdyby były zwykłymi kawałkami żelaza, już by ostygły.



Nie, Durniku, nie używałem czarów. Choć myślę, że uczynił to Belar.



W kilku wersjach „Księgi Alornów” podaje się, że przybrałem postać lisa, by doradzać Rivie przy wykuwaniu miecza. To wierutna bzdura, oczywiście. Nigdy w życiu nie zmieniłem się w lisa. Co skłania kapłanów do upiększania dobrej opowieści nieprawdopodobnymi szczegółami? Jeśli tak tęsknią do czarów, to czemu sami się ich nie nauczą? Mogliby wówczas bawić się nimi do woli.

Riva kuł dalej rozżarzone kawałki żelaza, dopóki nie zaczęły przypominać kształtem klingi i rękojeści. Wówczas zrobiłem mu pilnik i zaczął je wygładzać. Nagle przerwał i zaklął.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Popęlniłem błąd - powiedział z goryczą.

- Nie sędzę.

- Otrzymałem dwa kawałki, Belgaracie. Jak je połączę?

- Dojdziemy do tego. Szlifuj dalej.

Po wygładzeniu klingi odłożył ją i zabrał się za masywną, dwuręczną rękojeść.

- Czy powinna mieć gałkę? - zainteresował się.

- Do tego też dojdziemy.

Riva pracował dalej. Twarz ociekała mu potem od gorąca bijącego z żelaza. W końcu odrzucił pilnik i za pomocą szczypców położył rękojeść na kowadle.

- Lepiej już chyba nie dam rady - rzekł. - Nie jestem złotnikiem.
Co teraz?

Sprawilem, że pojawiła się beczka z wodą.

- Ostudź je - odparłem.

Riva podniósł ogromną klingę szczypcami i zanurzył ją w wodzie.
Nad beczką pojawiła się chmura pary. Potem wrzucił do wody rękojeść.

- Nadal nie sądzę, byśmy mogli je połączyć.

- Zaufaj mi.

Sporo czasu upłynęło, nim zanurzone w wodzie kawałki żelaza przestały się jarzyć. Musiałem dwukrotnie napełniać beczkę wodą, zanim zaczęły ciemnieć.

Riva spróbował ręką wody i dotknął ostrza.

- Chyba już ostygły.

- Wyjmij Glob - powiedziałem.

Riva rozejrzał się szybko.

- Nie widzę Angaraków - oznajmił.

- Nie, tym razem chodzi o coś innego.

Riva sięgnął pod tunikę i wyciągnął rozjarzony Glob. W jego masywnej dłoni wyglądał na bardzo mały.

- Teraz wylów rękojeść - poleciłem.

Zanurzył ramię w beczce i wyciągnął ogromną rękojeść.

- Umieść Glob tam, gdzie powinna być gałka.

- Dlaczego?

- Po prostu zrób tak. Zobaczysz.

Riva ujął rękojeść jedną ręką i przyłożył Glob do jej końca.
Połączeniu towarzyszyło głośne szczęknięcie. Rivie z wrażenia zapało dech.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Tak miało się stać. Teraz podnieś klingę i przyłóż jej koniec do szczytu rękojeści.

Uczynił to.

- Co teraz?

- Pchnij.

- Pchnąć?

- Co przez to rozumiesz?

- Wiesz, co znaczy to słowo. Wepchnij klingę w rękojeść.

- To niedorzeczne, Belgaracie. Przecież są ze stali.

Westchnąłem.

- Po prostu spróbuj, Rivo. Nie pchaj jednak zbyt mocno, bo ostrze wyjdzie drugą stroną.

- Pijany jesteś?

- Zrób to, Rivo!

Klinga wydała dziwnie śpiewny odgłos, gdy powoli wsuwała się w rękojeść. Od tego dźwięku pospadał cały śnieg z pobliskich drzew. Gdy klinga weszła do końca, Riva ostrożnie spróbował poruszyć obiema częściami. Potem z całych sił starał się je rozdzielić.

- Zdumiewające! - powiedział. - Stanowią teraz całość!

- Naturalnie. Schwyć rękojeść i unieś miecz.

To była prawdziwa próba. Riva ujął oburącz rękojeść i uniósł ogromny miecz.

- Prawie nic nie waży! - zawołał.

- Glob przejął ciężar - wyjaśniłem. - Pamiętaj o tym, gdy będziesz musiał zdjąć Glob. Jeśli w takiej chwili trzymałbyś miecz jedną ręką, jego ciężar mógłby ci złamać nadgarstek. Unieś miecz, Rivo.

Młodzieniec z łatwością podniósł go nad głowę i tak, jak się spodziewałem, Glob rozbłysnął radośnie błękitnym ogniem, zdzierając nierówności i polerując miecz aż do połysku.

- Dobra robota - pogratulowałem mu, po czym zatańczyłem z radości, podśpiewując.

Riva gapił się na swój płonący miecz.

- Co się stało? - zapytał.

- Dobrze to zrobiłeś, chłopcze! - zawołałem.

- To znaczy, że to właśnie miało się zdarzyć?

- Za każdym razem, Rivo! Za każdym razem! Teraz miecz jest częścią Globu. Dlatego płonie. Za każdym razem, gdy go w ten sposób

podniesiesz, zapłonie. O ile wiem, tak samo będzie, gdy podniesie go twój syn i jego syn, a także syn jego syna.

- Ja nie mam syna.

- Poczekaj trochę, a będziesz miał. Zabierz swój miecz. Musimy teraz pójść na szczyt.

W czasie wspinaczki Riva wywijał mieczem, tnąc powietrze. Muszę przyznać, że to robiło wrażenie, ale świst, jaki temu towarzyszył, po jakimś czasie zaczął mi działać na nerwy. Riva dobrze się jednak bawił, więc nic nie powiedziałem. Na szczycie spoczywał głaz wielki jak dom. Przyjrzałem mu się i ogarnęły mnie pewne wątpliwości. To był paskudnie duży kamień.

- W porządku - powiedział Riva. - Co teraz?

- Schwyc mocno swój miecz i przetnij ten głaz.

- To wyszczerbi ostrze, Belgaracie.

- Nie powinno.

- Po co mam rozbijać głaz mieczem? Czy nie byłby do tego lepszy młot kowalski?


- Mógłbyś przez rok walić w ten kamień młotem i nawet go nie wyszczerbić.

- Znowu czary?


- Coś w tym rodzaju. Kiedyś tą doliną płynęła rzeka. Została zatamowana, gdy Torak rozłupał świat. Jednakże ona nadal tam jest - pod tym głazem. Twoja rodzina ma naprawić świat i to jest miejsce, od którego zaczniesz. Rozbij tę skałę, Rivo. Uwolnij rzekę. Twojemu miastu i tak będzie potrzebna słodka woda.

Riva wzruszy! ramionami.

- Skoro tak twierdzisz, Belgaracie.



Garionie, chciałbym, abyś zauważył, jakie absolutne zaufanie miał do mnie ten chłopak. Pomyśl o tym, gdy następnym razem będziesz miał ochotę sprzeczać się ze mną.



Riva wzniosł ogromny płonący miecz i zadał cios, który mniejszy kamień roztrzaskałby pewnie w proch. Jestem pewny, że ten odgłos spłoszył wszystkie jelenie w Sendarii. Głaz rozpadł się na połowę, a jego części z głuchym łoskotem potoczyły się na boki. Rzeka wylała się spienioną falą.

Obaj z Rivą byliśmy przemoczeni. Wydostaliśmy się z wody i staliśmy, patrząc na naszą rzekę z poczuciem pewnego spełnienia.

- Ups - powiedział po chwili Riva.

- Co się stało? - zapytałem.

- Może powinienem ostrzec pracujących w dole ludzi - odparł. - Nie myślę, by byli tym bardzo uszczęśliwieni.

- Nie stoją w korycie rzeki, Rivo. Oni tam wrzucają ziemię i kamienie z oczyszczanych tarasów.

- Mam nadzieję, że masz rację. W przeciwnym razie pewnie ich zmyje do morza i będą mi złożyć jeszcze w tydzień po dopłynięciu z powrotem do brzegu.

Jak się potem okazało, uwolniona rzeka zaoszczędziła Alornom miesięcy pracy. Pod nagromadzonymi przez lata rumowiskami, które usuwali, znajdowały się naturalne tarasy i pierwsza fala wody zmyła je do czysta. Alornowie, którzy zostali zepchnięci do morza, byli tak z tego radzi, że nie powiedzieli Rivie złego słowa, a przynajmniej niezbyt wiele.

Teraz, gdy Riva posiadał miecz, skończyłem to, co miałem do zrobienia na Wyspie Wiatrów. Nareszcie mogłem wracać do domu. Przez dzień udzielałem jeszcze instrukcji Rivie i jego kuzynowi, Anrakowi. Anrak trochę za bardzo lubił dobre ciemne ale, lecz był dobroduszny i cieszył się sympatią innych Alornów. Był doskonałym zastępcą. Niektóre z rozkazów, które Riva będzie musiał wydawać swym ludziom, nie przypadną im do gustu. Anrak, ze swym niesfornym, dobrodusznym śmiechem, mógł pomóc, aby nie zostały źle przyjęte. Naszkicowałem Rivie jego salę tronową i powiedziałem mu, jak przymocować miecz do ściany za tronem. Trochę trudno było mi utrzymać uwagę Rivy, gdyż ciągle chciał rozmawiać o dziewczynie ze swego snu. W końcu życzyłem mu powodzenia i odszedłem

brzegiem. Woląłem ukryć się przed ciekawskimi spojrzeniami, aby nie drażnić ludzi Rivy bardziej, niż potrzeba.

Na czas powrotu na kontynent wybrałem postać albatrosa. Przeszło dwumetrowe skrzydła były wielką pomocą dla kogoś tak źle latającego, jak ja. Gdy wzbiłem się odpowiednio wysoko, nauczyłem się rozpościerać ogromne skrzydła i po prostu szybować w powietrzu. Ależ to było przyjemne! Żadnego machania. Żadnego nieudolnego trzepotania. Żadnej paniki. Po pewnym czasie zaczęło mi się to nawet podobać. Myślę, że mógłbym tak szybować przez cały miesiąc. Po drodze uciąłem sobie jednak kilka krótkich drzemek.

Na widok wybrzeża obecnej Sendarii poczułem niemal żal.

Nie uwierzycie, jak inna była w tamtych czasach Sendaria. Tereny obecnych pól uprawnych zarastały dzikie lasy z ogromnymi drzewami, a jej jedyną zamieszkaną część, która rozciągała się wzdłuż północnego brzegu rzeki Camaar, zasiedlali Arendowie Wacite. Ponieważ spieszno mi było wrócić do Doliny, przybrałem znajomą postać wilka i pognałem przez las.

Tym razem nie musiałem przystawać, aby dogonili mnie Alornowie, co sprawiło, że miałem dobre tempo. Było lato, więc pogoda mi dopisywała. Przemierzyłem Sendarię, kierując się na południowy wschód i wkrótce dotarłem do gór.

Po chwili namysłu postanowiłem nie tracić czasu na okrężną drogę, ale przeciąć północy kraniec Ulgolandu. Nie sądziłem, aby groziły mi jakieś kłopoty ze strony dzikich bestii. One interesowały się ludźmi, nie wilkami; nawet algothy i hrulginy unikały wilków.

Przez chwilę myślałem zahaczyć o Prolgu, aby zdać relację obecnemu Gorimowi z wydarzeń w Mallorei, ale zarzuciłem ten pomysł. Mistrz wiedział o wszystkim i z pewnością powiadomił Ula, nim odszedł wraz z pozostałymi braćmi.

Nie chciałem o tym myśleć. Od czterech tysięcy lat moje życie koncentrowało się wokół Mistrza. Swym odejściem burzył mój obraz świata. Nie potrafiłem sobie wyobrazić Doliny bez Aldura.

Minąłem zatem Prolgu i zdążyłem dalej na południowy wschód ku Dolinie. Widziałem kilka algothów przemykających skrajem lasu,

raz słyszałem nawet hrulginy, ale mądrze nie wchodziły mi w drogę. Spieszyłem się i nie życzyłem sobie, by mi przeszkadzano.

Przekroczyłem linię grzbietów i zbiegłem do rzeczego wąwozu. Skoro zaś wszystkie rzeki po tej stronie gór Ulgo spływały na wschód, by wpaść do Rzeki Aldura, najszybszym sposobem na dotarcie do Doliny było po prostu podążanie wzdłuż brzegu aż do równin Algarii.

Zauważcie, że już wówczas tak w myślach nazywałem te stepy.

Nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego właściwie postanowiłem wrócić do własnej postaci po dotarciu do rzeki. Prawdopodobnie pomyślałem, że potrzebna mi kąpiel. Byłem w podróży od sześciu miesięcy i wołałem nie zrazić Poledry, zjawiając się w wieży cuchnący niczym cap. Być może miałem ochotę na ciepły posiłek. W wilczej postaci zadawała mi dieta oparta na surowych królikach, jeleniach, a nawet myszach polnych. Ale nie byłem przecież wilkiem i czasami nachodził mnie apetyt na gorące danie.

Upolowałem w każdym razie jelenia, wróciłem do własnej postaci i zabrałem się za rozpalanie ogniska. Nadziałem udziec na szpikulec i zacząłem go piec nad ogniskiem. Potem poszedłem się wykąpać w rzece.

Pewnie za bardzo się obżarłem. Wilk w czasie biegu nie jada zbyt wiele - zwykle kilka kęsów przed dalszą drogą - więc byłem dość wygłodniały.

W każdym razie po jedzeniu zdrzemnąłem się przy ognisku. Nie wiem, jak długo spałem. Obudziło mnie nagle wycie podobne do śmiechu. Przekląłem swą nieostrożność. Sforze skalnych wilków udało się zakraść w moje pobliże.

Określenie „skalne wilki” jest mylące. Te zwierzęta nie były w istocie wilkami. Są raczej bliżej spokrewnione z hienami. To padlinożercy i pewnie zwierzyły zapach mego jelenia. Najprościej byłoby ponownie przybrać postać wilka i uciec im. Było mi jednak przyjemnie i nie miałem ochoty biegać z pełnym brzuchem. Byłem też w nieco wojowniczym nastroju. Rozdrażniło mnie wyrwanie ze smacznej drzemki. Podsyciłem ogień, usadowiłem się oparty o drzewo i czekałem na nie.

Zauważyłem, jak kilka z nich skradało się pomiędzy drzewami, ale bały się mego ognia i nie podchodziły bliżej. Tak minęła noc. Fakt, iż nie zaatakowały mnie ani nie odeszły w poszukiwaniu innego pożywienia, wydawał się nieco zastanawiający. To nie było normalne zachowanie skalnych wilków.

Świt właśnie zamajaczył na wschodnim horyzoncie, gdy przekonałem się, co było tego powodem.

Właśnie dokładałem drewna do ognia, gdy kątem oka dostrzegłem ruch na skraju lasu. Pomyślałem, że to kolejny skalny wilk, więc schwyciłem żagiew, odwróciłem się i zamierzyłem, aby rzucić płonącym polanem w bestię.

To nie był jednakże skalny wilk. Ujrzałem eldraka.

Oczywiście widywałem już eldraki, ale zawsze z daleka, więc nie zdawałem sobie sprawy, jakie były wielkie. Skarciłem się w myślach za to, że nie przybrałem postaci wilka, gdy jeszcze miałem szansę. Przeobrażanie się trochę trwa, a ten ogromny stwór nie stał zbyt daleko ode mnie. Jeśli był równie rozwścieczony jak hrulginy i algothy, nie miałbym dość czasu.

Eldrak był kosmaty i wysoki na osiem stóp. Beznosą twarz ozdabiały mu żółte kły, które niczym u dzika sterczały z wysuniętej dolnej szczęki. Miał małe świńskie oczka skryte głęboko pod grubymi łukami brwiowymi. Te oczka płonęły żądzą.

- Czemu ludzki stwór przybyć na teren Gula? - ryknął na mnie.

To była niespodzianka. Wiedziałem, iż eldraki były inteligentniejsze od algothów czy trollów, ale nie miałem pojęcia, że potrafiły mówić. Szybko opanowałem się. Fakt, iż mogliśmy się porozumieć, stwarzał możliwość pokojowego załatwienia sprawy.

- Tylko przechodziłem - odparłem grzecznie. - Nie chciałem naruszyć twego terytorium, nie wiedziałem, że ten teren należy do ciebie.

- Wszyscy wiedzieć. - Miał okropny głos. - Wszyscy wiedzieć to teren Gula.

- No cóż, chyba jednak nie wszyscy. Jestem tu obcy, a ty nie oznaczyłeś swego terytorium.

- Zjeść jelenia Grula - rzekł oskarżycielskim tonem. To nie wyglądało zbyt dobrze. Ostrożnie, by się nie zdradzić, wysunąłem swój długi sztylet z pochwy i ukryłem go w lewym rękawie, rękojęścią w dół.

- Nie zjadłem wszystkiego - odparłem. - Proszę, poczęstuj się resztą.

- Jak cię zwać?

- Nazywam się Belgarath - odpowiedziałem. Może coś obilo mu się o uszy. W końcu słyszał o mnie nawet Naczelny Demon w Morindlandzie. Jeśli moja reputacja dotarła aż do Piekieł, to mogła również dotrzeć do tych gór.

- Grat? - zapytał.

- Belgarath - poprawiłem.

- Grat - powtórzył z pewną stanowczością. Najwyraźniej kształt jego szczęk nie pozwalał eldrakowi na dokładniejszą wymowę. - Dobrze, że Grul wiecie. Grul pamiętać imiona wszystkich ludzkich stworzeń, które zjeść - zdzielił się pięścią po głowie. - Grat chce walczyć, nim Grul zjeść? - zapytał z nadzieją.

Miewałem już sympatyczniejsze propozycje. Wstałem.

- Odejdź, Grul - powiedziałem. - Nie mam czasu na zabawy z tobą.

Paskudny uśmiech wykrzywił jego kosmatą twarz.

- Nie spieszyć się, Grat. Najpierw zabawić się. Potem Grul zjeść.

To naprawdę przybierało zły obrót. Przyjrzałem się eldrakowi uważnie. Miał ogromne ręce, które zwisały mu do kolan. Zdecydowanie nie chciałem, aby mnie wziął w objęcia, więc ostrożnie oparłem się o drzewo.

- Popelniasz błąd, Grulu - rzekłem. - Zabierz jelenia i odejdź. Jeleń nie będzie walczył. Ja owszem.

To była czysta brawura, oczywiście. Nie miałem zbyt wielkich szans w walce wręcz z tym ogromnym potworem. Znajdował się na tyle blisko, że każdy ruch był bardzo ryzykowny. Jakiż to głupi sposób na zakończenie kariery człowieka takiego jak ja.

- Grat za mały, by walczyć z Grulem. Grat nie za mądry, jeśli tego nie widzieć. Grat odważny. Grul pamiętać odważny Grat, gdy Grul go zjeść.

- Jesteś zbyt uprzejmy - mruknąłem. - Chodź więc, Grulu. Skoro się przy tym upierasz, możemy zaczynać. Mam dziś ciekawsze rzeczy do robienia.

To była ryzykowna zagrywka. Fakt, że ten ogromny kosmaty potwór potrafił mówić, był znakiem, że umie również myśleć, choćby w minimalnym stopniu. Moja fanfaronada była obliczona na obudzenie ostrożności eldraka. Nie chciałem, aby po prostu rzucił się na mnie. Mógłbym mieć szansę, jeśli udałoby mi się zasiać w Grulu niepewność.

Moja widoczna chęć do stoczenia z nim walki przyniosła oczekiwany efekt. Grul nie był przyzwyczajony, by ludzie lekceważyli jego ogromne rozmiary, więc zbliżał się do mnie z pewną ostrożnością. Na to właśnie czekałem. Gdy wyciągnął swe olbrzymie ręce, aby mnie pochwycić, zanurkowałem pod nimi, zrobiłem krok do przodu i gładko wysunąłem swój nóż z rękawa. Potem, jednym szybkim pociągnięciem, rozciąłem eldrakowi brzuch. Nie byłem wystarczająco pewny jego anatomii, aby próbować przebić Grulowi serce. Przy jego wielkości, żebra mogły mieć grubość nadgarstka.

Grul utkwił we mnie kompletnie zaskoczony wzrok. Potem spojrzał na wnętrzności wylewające się z otwartej rany biegnącej przez cały brzuch.

- Zdaje się, że coś ci wypadło - zasugerowałem.

Grul schwycił swe wypadające wnętrzności w obie ręce. Na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

- Grat przeciąć brzuch Grula - powiedział. - Sprawić, że wnętrzności Grula wypaść.

- Tak, zauważyłem. Chcesz jeszcze walczyć? Myślę, że lepiej spędzisz czas na zszywaniu się. Nie będziesz mógł poruszać się zbyt szybko z wnętrznościami płaczącymi ci się pod nogami.

- Grat nie być miły - zarzucił mi ponuro, po czym usiadł i złożył wnętrzności na kolanach.

Wydało mi się to ogromnie zabawne. Roześmiałem się, ale gdy dwie wielkie łyzy poczęły się toczyć po jego kosmatej twarzy, poczułem się trochę głupio. Wyciągnąłem rękę, zażyczyłem sobie dużą zakrzywioną igłę i nawlekłem ją jelenim ścięgnem. Podałem ją eldrakowi.

- Masz - powiedziałem. - Zaszuj sobie brzuch i pamiętaj o tym, gdy znowu się spotkamy. Znajdź sobie coś innego do jedzenia, Grul. Ja jestem stary i żylasty, więc naprawdę nie smakowałbym najlepiej i, myślę, że już zdążyłeś to odkryć, drogo trzeba za mnie zapłacić.

Rozjaśniło się już na tyle, iż mogłem iść dalej. Zostawiłem go więc. Gdy odchodziłem, siedział przy ognisku i usiłował dociec, jak posłużyć się igłą, którą mu dałem.

Dziwne, ale to wydarzenie ogromnie poprawiło mi nastrój. Naprawdę mi się udało. Ależ to było zdumiewające! Delektowałem się jego ostatnią uwagą. Teraz pół świata sądzi tak samo. Grat zdecydowanie nie jest miły.

Dwa dni później dotarłem na zachodni kraniec Doliny. Było wczesne lato, jedna z najmiłszych pór roku. Wiosenne deszcze już ustały, a duszne gorąco, które następowało później, jeszcze nie nadeszło. Pomimo nieobecności Mistrza, w Dolinie było pięknie jak nigdy dotąd. Trawa była soczyście zielona, a wiele z rosnących dziko drzew owocowych już zakwitło. Pojawiły się jagody, choć jeszcze nie dojrzały. Lubiłem ich cierpki smak. Niebo było bardzo błękitne, a pierzaste chmurki zdawały się tańczyć w powietrzu. Skłębione szare chmury i porywiste wiatry wczesnej wiosny są bardzo malownicze, ale rozpoczynające się lato jest bujne, ciepłe i pełne zapachu oraz pospiesznego wzrostu.

Miałem nadzwyczaj dobry nastrój. Wróciłem do domu. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułem się szczęśliwszy.

To był szczególny nastrój. Spieszno mi było powitać Poledrę, ale z jakiegoś powodu cieszyło mnie oczekiwanie. Pozbyłem się swej podróźnej postaci i powolutku szedłem spacerkiem przez łagodne wzgórza i doliny. Wiedziałem, że Poledra wyczuje moje nadejście i, jak zawsze, pewnie będzie przygotowywać kolację. Nie chciałem jej ponaglać.

Zapadł już wieczór, gdy dotarłem do swej wieży. Byłem nieco zaskoczony, że w oknach nie pali się światło. Okrzyłem ją, otworzyłem drzwi i wszedłem.

- Poledro - zawołałem w górę schodów. Dziwne, nie odpowiedziała. Wszedłem na górę.

W mojej wieży było ciemno. Zasłony Poledry być może nie zatrzymywały wiatru, ale zdecydowanie nie przepuszczały światła. Języczkiem ognia z mego wskazującego palca zapaliłem świecę.

Nie zastałem nikogo. Pomieszczenie było zakurzone i sprawiało wrażenie nie używanego. O co tu chodziło?

Wtem zobaczyłem kawałek pergaminu na stole do pracy. Poznałem koślawe pismo Beldina.

- Przyjdź do mojej wieży.

To wszystko.

Uniosłem świecę i spostrzegłem, że nie było kołysek. Najwyraźniej Beldin przeniósł moją żonę i dziecko do swej wieży. Wydało mi się to dziwne. Poledra była bardzo przywiązana do tej wieży. Czemu Beldin ją przeniósł? O ile pamiętałem, nie przepadała za jego wieżą. Była zbyt wymyślna jak na gust Poledry. Zaintrygowany zszedłem na dół.

Do wieży Beldina było tylko pięć minut drogi i nie spieszyłem się zbyt. Ale mój nastrój radosnego oczekiwania powoli ustępował miejsca zaintrygowaniu.

- Beldin! - zawołałem. - To ja. Otwórz drzwi.

Chwilę trwało, nim kamień zasłaniający wejście do jego wieży odsunął się.

Ruszyłem w górę schodów. Teraz się spieszyłem.

Po wejściu na szczyt rozejrzałem się. Byli tam Beltira, Belkira i Beldin, ale nie zauważyłem Poledry.

- Gdzie moja żona? - zapytałem.

- Nie chcesz zobaczyć swych córek? - odezwał się Beltira.

- Córki? Więcej niż jedna?

- Dlatego zrobiliśmy dwie kołycki, bracie - powiedział Belkira. - Jesteś ojcem bliźniaczek.

Beldin sięgnął do jednej z kołysek i delikatnie wyjął z niej dziecko.

- To jest Polgara - przedstawił ją. - To twoja starsza.

Podał mi zawinięte w kocik niemowlę. Odsunąłem róg narzutki i po raz pierwszy spojrzałem w oczy swej córki. Pol i ja nie mieliśmy zbyt dobrego początku. Ci z was, którzy ją znają, wiedzą, że oczy Polgary

zmieniają kolor w zależności od jej nastroju. Były stalowoszare, gdy po raz pierwszy w nie spojrzałem, i twarde niczym agaty. Odniosłem wrażenie, że niewiele ją obchodzę. Miała bardzo ciemne włosy i nie była tak pucołowata, jak niemowlęta być powinny. Twarz Pol była pozbawiona wyrazu, ale te stalowe oczy mówiły dużo. Potem zrobiłem to, co było zwyczajem w Garze. Pol była moją pierworodną, bez względu na to, czy mnie lubiła, czy nie, więc położyłem dłoń na jej głowie w błogosławieństwie.

Poczułem nagłe ukłucie. Poderwałem dłoń z okrzykiem zaskoczenia. Trochę niefortunnie wypadło, że pierwsze słowa, jakie z mych ust usłyszała, były przekleństwami. Spojrzałem na dziewczynkę o pochmurnej twarzy. Pod moim dotknięciem jeden lok na jej czole zrobił się śnieżnobiały.

- Ależ cud! - krzyknął Beltira.

- Niezupełnie - zaprzeczył Beldin. - To pierworodna i właśnie została naznaczona przez niego. Jeśli się nie mylę, wyrośnie z niej czarodziej.

- Czarodziejka - poprawił Belkira.

- Co?

- Czarodziej jest mężczyzną. Ona jest dziewczynką, więc poprawnie będzie czarodziejka.

Czarodziejka czy nie, ma pierworodna była mokra, więc odłożyłem ją z powrotem do kołyski.

Moja młodsza córka była najpiękniejszym dzieckiem, jakie widziałem - i nie przemawia przeze mnie tylko ojcowska duma. Każdy, kto ją zobaczył, mówił dokładnie to samo. Uśmiechnęła się do mnie, gdy wziąłem Beldaran od Beldina, i tym słonecznym uśmiechem trafiła wprost do mego serca i zawładnęła nim.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Beldinie - powiedziałem, tuląc w ramionach Beldaran. - Gdzie Poledra?

- Może usiadłbyś i napił się czegoś, Belgaracie? - Podeszedł szybko do beczułki i zaczerpnął kufel ale. Usiadłem przy stole z córką na kolanach. Nie muszę chyba wspominać, że nie była mokra. Pociągnąłem spory łyk, nieco zaintrygowany zachowaniem moich braci.

- Dość wykretów, Beldinie - rzekłem, ocierając pianę z ust. - Gdzie moja żona?

Beltira podszedł i wziął ode mnie Beldaran. Spojrzałem na Beldina i dostrzegłem w jego oczach łzy.

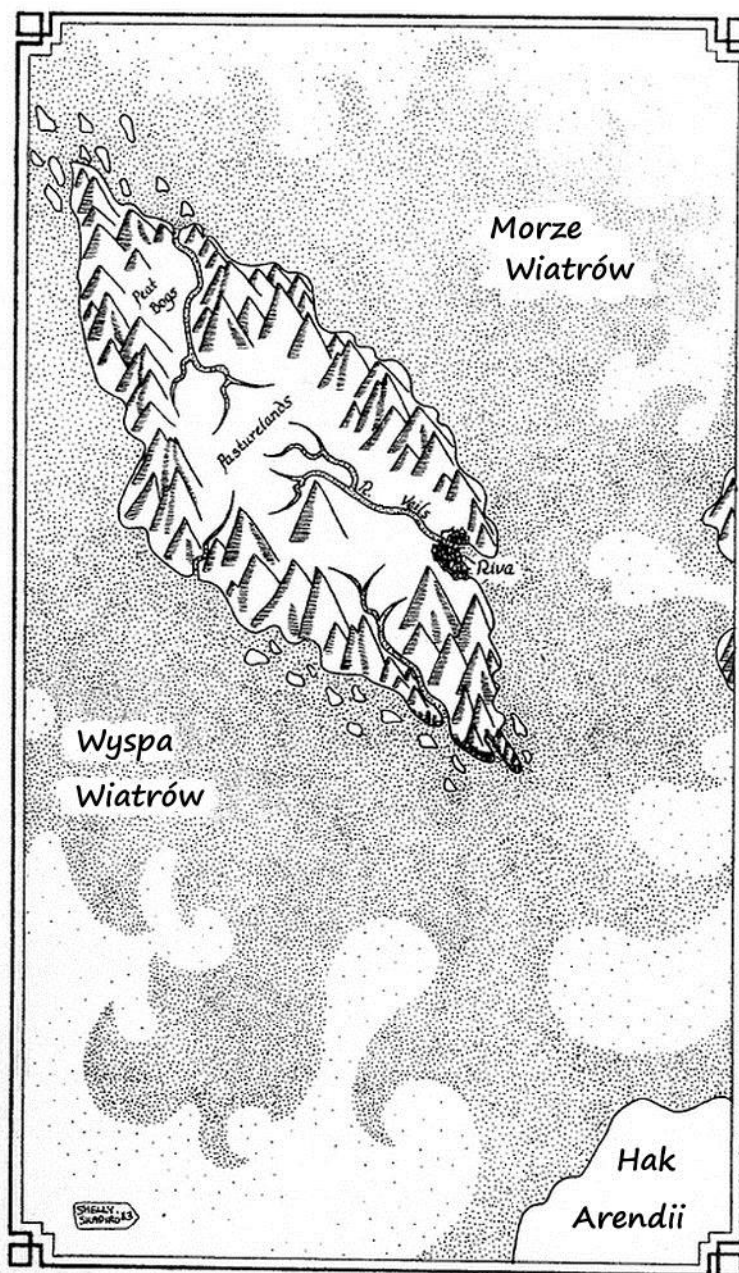
- Obawiam się, że ją straciliśmy, Belgaracie - oświadczył smutnym głosem. - Miała bardzo ciężki poród. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale ona wymknęła się nam.

- O czym ty mówisz?

- Ona umarła, Belgaracie. Przykro mi, ale Poledra nie żyje.



Część trzecia - Czas niedoli.





Przebiegu następnych kilku miesięcy nie potrafię dokładnie odtworzyć, ponieważ naprawdę ich nie pamiętam. Zdarzały mi się co prawda przebłyski świadomości, ale były pozbawione jakiegokolwiek związku z tym, co się wydarzyło przedtem lub potem. Staralem się usunąć z pamięci te wspomnienia. Rozpamiętywanie szaleństwa nie jest najprzyjemniejszym zajęciem.

Pewnie byłoby mi łatwiej, gdyby Aldur nas nie opuścił. Konieczność jednak kazała mu odejść w najgorszym momencie. Czułem się osamotniony, pozostawiony sam na sam z rozpaczą. Nie ma co roztrząsać przyczyn tego stanu rzeczy. Wiem, że to, co się wydarzyło, było konieczne. Poprzestaśmy więc na tym.

Mgłiście pamiętam długi okres, w którym pozostawałem przykuty do łóżka łańcuchami i jak Beldin na zmianę z bliźniakami pilnowali mnie i bezlitośnie kruszyli wszelkie próby zebrania mej Woli. Nie zamierzali pozwolić, bym poszedł w ślady Belsambara i Belmakora. Potem, gdy moje samobójcze zapędy nieco osłabły, rozkuli mnie - co nie miało szczególnego znaczenia. Pamiętam, jak całe dnie siedziałem i wpatrywałem się w podłogę, zupełnie nieświadomy upływającego czasu.


Ponieważ obecność Beldaran zdawała się mnie uspokajać, moi bracia często przynosili ją do wieży, a nawet pozwalali potrzymać. Myślę, że ostatecznie to chyba Beldaran sprowadziła mnie z krawędzi całkowitego szaleństwa. Jakże ja kochałem tę dziecinę!


Jednakże ani Beldin, ani bliźniacy nie przynosili mi Polgary. Lodowate spojrzenie jej szarych oczu głęboko raniło moją duszę; na samo wspomnienie mego imienia z ciemnoniebieskich robiły się stalowoszare. W naturze Pol nie było miejsca na przebaczenie.

Beldin uważnie śledził, jak powoli wynurzam się z otchłani szaleństwa. W końcu, późnym latem, a może była to wczesna jesień, poruszył pewien delikatny temat.

- Czy chciałbyś zobaczyć grób? - zapytał. - Słyszałem, że ludzie czasami to robią.

Rozumiałem oczywiście, o co chodziło - odwiedzenie grobu i przystrojenie go kwiatami. To miało pomóc pogrążonemu w smutku nabrać pewnego dystansu do śmierci. Być może u innych ludzi przynosiło to pożądany skutek, ale nie u mnie. Na sam dźwięk tego słowa ponownie ogarnęło mnie poczucie ogromnej straty, kompletnie druzgocząc.


Wiedziałem, że spisywanie tego wszystkiego będzie błędem.



Zbliżał się koniec zimy, gdy mój stan poprawił się na tyle, aby bliźniacy, po dokładnym wybadaniu, rozkuli mnie i pozwolili chodzić wolno. Beldin już nigdy nie wspomniał o grobie.

Zacząłem z zapalem wędrować po Dolinie pokrytej na pół stajałym śniegiem. Chodziłem szybko, aby z nastaniem nocy czuć się wyczerpany. Musiałem mieć pewność, że będę zbyt zmęczony, by śnić. Problem jedynie w tym, że wszystko w Dolinie przywoływało wspomnienia Poledry. Macie pojęcie, ile jest na świecie sów śnieżnych?

Chyba właśnie wówczas, w ciągu tego rozmokłego końca zimy, podjąłem decyzję. Nie uświadamiałem sobie jej jeszcze w pełni, ale nosiłem ją w sobie cały czas.

Zacząłem porządkować swe sprawy. Pewnego słotnego, burzowego wieczoru wybrałem się do wieży Beldina w odwiedziny do swych córek. Miały wówczas około roczku, więc już chodziły - jeśli można to tak nazwać. Beldin przezornie zagroził schody, aby nie doszło do jakiegoś nieszczęścia. Beldaran znajdowała wielką przyjemność w bieganiu, choć często się przewracała. Bawiło ją to jednak bardzo i za każdym razem, gdy upadła, wybuchała rozkosznym śmiechem.

Polgara natomiast nigdy się nie śmiała. Nadal nie czyni tego zbyt często. Czasami wydaje mi się, że bierze życie zbyt poważnie.

Beldaran podbiegła do mnie z wyciągniętymi rączkami. Pochwyciłem ją w ramiona i ucałowałem.

Polgara nawet na mnie nie spojrzała. Całą uwagę skupiała na swej zabawce, osobliwie powyginanym kijku - a może był to korzeń jakiegoś drzewa lub krzewu. Moja starsza córka ze zmarszczonym czołem obracała go w swych małych rączkach.

- Przepraszam za to - usprawiedliwił się Beldin, gdy spostrzegł, że spoglądam na tę dziwną zabawkę. - Pol ma wyjątkowo donośny głos i nie marnuje go na płacz. Zamiast tego wrzeszczy, gdy czuje się nieszczęśliwa. Musiałem czymś zająć jej umysł.

- Ale kij? - zapytałem.

- Pracuje nad nim już od sześciu miesięcy. Zawsze gdy zaczyna wrzeszczeć, daję go jej i natychmiast milknie.

- Kij?

Beldin spojrzał na Polgarę, a potem pochylił się do mnie i szepnął:

- Ma tylko jeden koniec. Nadal na to nie wpadła. Usiłuje znaleźć drugi. Bliźniacy uważają, że jestem okrutny, ale przynajmniej mogę się trochę przespać.

Ponownie pocałowałem Beldaran, posadziłem ją, a potem podszedłem do Polgary i wziąłem ją na ręce. Natychmiast zeszywniała, a po chwili zaczęła się wiercić, próbując się uwolnić.

- Przestań - poleciłem. - Możesz o to nie dbać, Pol, ale jestem twoim ojcem i jesteś na mnie skazana. - Potem całkiem rozmyślnie pocałowałem ją. Stalowe oczy złagodniały na chwilę i zrobiły się niesamowicie błękitne. Potem ponownie poszarzały, a ona zdzieliła mnie po głowie patykiem.

- Ma charakterek, co? - zauważył Beldin. Postawiłem ją na ziemi, odwróciłem i dałem lekkiego klapsa.

- Zachowuj się, panienko - nakazałem. Polgara odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Bądź zdrowa, Polgaro - powiedziałem. - A teraz idź się bawić.

Pocałowałem ją wówczas po raz pierwszy i wiele czasu upłynęło, nim zrobiłem to ponownie.

Wiosna tego roku nadeszła z ociąganiem. Co i rusz zsyłała na nas przelotne deszcze i śnieżne zamiecie. W końcu jednak przestało padać, a drzewa i krzewy zaczęły nieśmiało wypuszczać pączki.

Pewnego pochmurnego, wietrznego dnia wspiałem się na wzgórze na zachodnim skraju Doliny. Powietrze było chłodne, a nad głową pędziły chmury. Ten dzień bardzo przypominał tamten, w którym postanowiłem opuścić wioskę Gara. Chmurny, wietrzny, wiosenny dzień zawsze budził we mnie ochotę do wędrówki. Długo siedziałem i w końcu decyzja, którą nieświadomie podjąłem pod koniec zimy, na dobre zakorzeniła się w mej świadomości. Bardzo kochałem Dolinę, ale zbyt wiele bolesnych wspomnień się z nią wiązało. Wiedziałem, że Beldin i bliźniacy zaopiekują się moimi córkami. Poledra odeszła, mój Mistrz także, więc nic mnie tu nie trzymało.

Spojrzałem na Dolinę. Ze wzgórza nasze wieże wyglądały jak rozrzucone niedbale zabawki, a stada pasących się jeleni przypominały mrówki. Nawet prastare drzewo rosnące na środku Doliny z tej odległości wyglądało na małe. Wiedziałem, że będę tęsknić za tym drzewem, ale ono zawsze tam było, więc pewnie będzie również, gdy wrócę - jeśli to kiedykolwiek nastąpi.

Potem wstałem, westchnąłem i odwróciłem się plecami do jedyne miejsce, jakie w życiu nazwałem domem.

Poszedłem wschodnim skrajem Ulgolandu. Nie korzystałem ze swego daru od owego straszliwego dnia i nie byłem pewny, czy nadal to potrafię robić. Grul zapewne zdążył już wyzdrowieć, ale z całą pewnością chował do mnie urazę i nie pozwoli mi ponownie zbliżyć się na wyciągnięcie ręki. Mógłbym znaleźć się w bardzo niezręcznej sytuacji, gdybym próbował zebrać Wolę i stwierdził, że już tego nie potrafię. W tych górach żyły także hrulgini, algothy, a czasami zdarzały się i trolle, więc rozważa nakazywała szukać innej drogi.

Oczywiście bracia usiłovali się ze mną skontaktować. Niekiedy słyszałem ich stłumione nawoływania, ale nie trudziłem się odpowiadaniem. To byłaby jedynie strata czasu. Nie miałem zamiaru wracać, bez względu na to, co chcieli mi powiedzieć.

Przeszedłem przez zachodnią Algarię, nikogo nie napotkawszy. Po obejściu północnego krańca Ulgołandu, skręciłem na zachód, przeszedłem przez góry i zszedłem na równiny wokół Muros.

Tam gdzie teraz wznosi się Muros, znajdowała się wioska Arendów Wacite. Zatrzymałem się w niej po prowiant na drogę. Ponieważ nie miałem pieniędzy, wróciłem do wstydliwych praktyk z młodości i kradłem to, czego potrzebowałem.

Potem ruszyłem w dół rzeki, ostatecznie lądując w Camaar. Camaar, podobnie jak wszystkie porty, miało w sobie coś kosmopolitycznego. Samo miasto nominalnie podlegało księciu Vo Wacune, ale w nabrzeżnych knajpach Alornowie, Tolnedranie, a nawet Nyissanie byli równie częstymi gośćmi, co wacuńscy Arendowie. Miejscowi byli w większości marynarzami, a marynarze po długich wyprawach są zwykle dobroduszni i hojni, więc bez trudu znajdowałem chętnych do postawienia mi kilku kufli ale.

Goście w tawernach uwielbiali słuchać opowieści, a ja potrafiłem wymyślać doskonale historie. W taki sposób radziłem sobie w Camaar przez całe lata. Czyż to nie wygodny sposób zarabiania na życie? W dodatku można to robić na siedząco, co było dodatkowym plusem, gdyż przez większość czasu nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Mówiąc bez ogródek, zrobiłem się zwyczajnym pijaczyną. Często bywałem niepożądanym gościem. Pamiętam, że wyrzucano mnie z wielu tawern, miejsc zwykle tolerancyjnych wobec drobnych uchybień w dobrym zachowaniu.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo przebywałem w Camaar - przynajmniej dwa lata, a może i dłużej. Każdej nocy upijałem się do nieprzytomności i nigdy nie wiedziałem, gdzie obudzę się następnego ranka. Zwykle był to rynsztok lub jakiś śmierdzący zaułek. Rano ludzie nie mają szczególnej ochoty na wysłuchiwanie opowieści, więc dorabiałem sobie zebraniną. Zaczęło mi to nawet przynosić niezłe dochody, dzięki czemu do południa każdego dnia byłem już kompletnie pijany.

Zacząłem widzieć rzeczy, których nie było, i słyszeć głosy, których nikt poza mną nie słyszał. Ręce trzęsły mi się okropnie i często dręczyły mnie koszmary.

Ale nie miałem snów i nie pamiętałem, co wydarzyło się przed kilkoma dniami. Nie byłem szczęśliwy, ale przynajmniej nie cierpiałem.

Pewnej nocy jednak, gdy smacznie spałem w ulubionym rynsztoku, miałem sen. Mistrz musiał pewnie krzyżeć, by przebić się przez moje pijackie upojenie, ale w końcu mu się udało.

Po przebudzeniu nie miałem wątpliwości, nocą odwiedził mnie Mistrz. Od lat nie miałem prawdziwych snów. Co więcej, byłem absolutnie trzeźwy i nawet nie drżały mi ręce. Naprawdę przekonało mnie jednak to, że niebiańskie zapachy unoszące się z tawerny, z której mnie pewnie wyrzucono poprzedniej nocy, przyprawiły mnie z miejsca o mdłości. Dobre pół godziny wymiotowałem, klęcząc nad rynsztokiem, ku zgorszeniu wszystkich przechodniów. Wkrótce odkryłem, że to nie tyle smród z tej tawerny przewracał mi żołądek do góry nogami, ile stęchły, kwaśny odór wydzielany przez łachmany, które na sobie miałem, i moją skórę. Potem, nadal targany mdłościami, wstałem, poszedłem, zataczając się, na nabrzeże i stoczyłem się do zatoki wraz z leżącymi na brzegu śmieciami.

Nie, nie próbowałem się utopić. Usiłowałem zmyć z siebie tę potworną woń. Gdy wyszedłem z wody, cuchnąłem zdechłymi rybami i innymi paskudztwami, które ludzie wyrzucają w porcie - zwykle gdy nikt nie patrzy - ale i tak było znacznie lepiej.

Stałem na brzegu, drżąc gwałtownie i ociekając wodą. Postanowiłem jeszcze tego samego dnia opuścić Camaar. Mój Mistrz najwyraźniej nie pochwalał mego zachowania. Gdybym znowu się zapomniał, gotów jeszcze sprawić, bym wyrzygał nawet podeszwy swych butów. Strach nie jest najlepszą motywacją do zachowania trzeźwości, ale przynajmniej każe się pilnować. W Camaar roiło się od tawern, a do tego znałem większość ich właścicieli, więc postanowiłem ruszyć do Arendii, aby ustrzec się przed pokusą.

Chwiejnym krokiem przeszedłem ulicami lepszych dzielnic, zapewne gorsząc mieszkańców, i około południa dotarłem nad brzeg rzeki. Nie miałem pieniędzy, by zapłacić przewoźnikowi, więc przeprawiłem się w pław na arendzką stronę. Zajęło mi to kilka godzin, ale nie było pośpiechu. Rzeka po brzegi pełna była świeżej, bieżącej wody, która zmyła ze mnie wiele grzechów.

Wróciłem na przystań promową, aby zasięgnąć języka. Stała tam byle jak sklecona chata. Jej właściciel siedział na pniu nad wodą z wędką w dłoni.

- Chciałbyś, przyjacielu, na drugą stronę, do Camaar? - zapytał z akcentem, który natychmiast pozwolił rozpoznać w nim wacuńskiego wieśniaka.

- Nie, dzięki - odparłem. - Właśnie stamtąd przybyłem.

- Trochę jesteś mokry. Chyba nie przeprawiłeś się wpływ?

- Nie - skłamałem. - Miałem małą łódkę. Przewróciła się, gdy próbowałem przybić do brzegu. W której części Arendii wylądowałem? Straciłem orientację podczas przeprawy.

- Szczęściarzu z ciebie, że wylądowałeś tutaj, a nie kilka mil dalej w dół rzeki. Jesteś na ziemiach Jego Miłości, księcia Vo Wacune. Na zachód od ziem księcia Vo Astur. Nie powinienem tego mówić... wszak są naszymi sojusznikami i w ogóle... ale Asturowie to butni i zdradzieccy ludzie.

- Sojusznicy?

- W naszej walce z mimbrańskimi mordercami, jak wiesz.

- To ona nadal trwa?

- Jasne. Książę Vo Mimbre ogłosił się królem całej Arendii, ale nasz książę i książę Asturów nie mają zamiaru oddać mu hołdu. - Spojrzał na mnie spod oka. - Wybacz, że ci to mówię... ale dość kiepsko wyglądasz.

- Długo chorowałem.

Spojrzał na mnie ponownie.

- Ale nic zaraźliwego, co?

- Nie. Miałem paskudną ranę i nie goiła się dobrze.

- To ulga. Dość mamy kłopotów po tej stronie rzeki i bez zarazy przywleczonej przez jakiegoś włóczęgę.

- Którędy mam pójść, by trafić na drogę do Vo Wacune?

- Trzeba cofnąć się kilka mil wzdłuż rzeki. Jest tam druga przystań promowa, od niej zaczyna się droga. Nie przegapisz jej. - Ponownie spojrzał na mnie spod oka. - Nie chciałbyś łyknąć czegoś

na pokrzepienie przed dalszą wędrówką? To kawał na piechotę, a ja mam bardzo przystępne ceny, przekonasz się.

- Nie, dziękuję, przyjacielu. Mam trochę wrażliwy żołądek. To z powodu tej choroby, rozumiesz.

- Szkoda. Wyglądasz na wesołka, a ja nie pogardziłbym towarzystwem.

Wesołek? Ja? Ten facet rzeczywiście bardzo chciał sprzedać mi piwo.

- No cóż - rzekłem - stanie tu nie zbliża mnie do Vo Wacune. Dzięki za informacje, przyjacielu, udanych połowów - dodałem, po czym odwróciłem się i ruszyłem z powrotem w górę rzeki.

Nim dotarłem do Vo Wacune, zdołałem otrząsnąć się ze skutków lat spędzonych w Camaar i zacząłem ponownie logicznie myśleć. Najpilniejszą sprawą było znalezienie stosownego odzienia zamiast łachmanów, które nosiłem, i pieniędzy na dalszą drogę. Mogłem ukraść potrzebne rzeczy, ale mojemu Mistrzowi mogłoby to nie przypaść do gustu, więc postanowiłem zachowywać się przyzwoicie. Rozwiązanie mego małego problemu leżało nie dalej niż najbliższa świątynia Chaldana, Boga-Byka Arendów. W końcu w owych czasach byłem pewną osobistością.

Doprawdy nie winie kapłanów Chaldana, że nie uwierzyli mi, gdy wyznałem im swe imię. W ich oczach byłem pewnie po prostu obszarpanym żebrakiem. Jednakże zdenerwował mnie ich wyniosły, pogardliwy stosunek do mnie i bez zastanowienia dałem im mały pokaz tego, do czego byłem zdolny, na dowód, że w istocie byłem tym, za kogo się podawałem. Prawdę powiedziawszy, efektem byłem równie zaskoczony jak oni, najwyraźniej ani szaleństwo, ani lata hulanki w Camaar nie nadwerżyły moich zdolności.

Kapłani płaszczyli się w przeprosinach i aby wynagrodzić mi swą niewiarę, obdarowali mnie nowymi szatami i dobrze wypchaną sakiewką. Wielkodusznie przyjąłem prezenty, choć zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę ich nie potrzebuję. Wiedziałem, że „talent” mnie nie opuścił. Mogłem wyciągnąć ubranie wprost z powietrza i zamienić kamyczki w monety, gdybym chciał. Wykąpałem się, przyciąłem zmierzwioną brodę i przywdziałem nowe szaty. Prawdę powiedziawszy, poczułem się znacznie lepiej.

Bardziej niż ubrania, pieniędzy czy kąpieli potrzebowałem informacji. Podczas pobytu w Camaar zupełnie nie śledziłem bieżących wydarzeń, więc żaden byłem wiadomości. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że nasza mała przygoda w Mallorei była w Arendii powszechnie znana. Kapłani Boga-Byka zapewnili mnie, że ta opowieść była również dobrze znana w Tolnedrze, a nawet dotarła do Nyissy i Maragoru. Teraz gdy myślę o tym z perspektywy czasu, zdaje się, że nie powinienem być zaskoczony. Mój Mistrz spotkał się ze swymi braćmi w Grocie Bogów, a ich decyzja odejścia w znacznej mierze opierała się na fakcie odzyskania przez nas Klejnotu Aldura zwanego niekiedy Globem. Ponieważ bez wątplenia było to najbardziej spektakularne wydarzenie od czasu rozłupania świata, inni Bogowie, przed swym odejściem, z pewnością przekazali relację o nim swym kapłanom.

Oczywiście całą historię znacznie upiększono. Zawsze gdy w grę wchodził cud, można było zaufać pomysłowości kapłanów. Skoro ich ubarwione opowieści wynosiły mnie niemal na wyżyny boskości, postanowiłem ich nie poprawiać. Czasami przydaje się tego typu reputacja. Biała szata, którą podarowali mi kapłani, przydawała mojemu wyglądowi dramatyzmu. Aby dopełnić charakteryzacji, wyciąłem długą łaskę. Nie planowałem pozostania w Vo Wacune, ale jeśli chciałem korzystać ze współpracy kapłanów z miast, przez które będę przechodził, musiałem wyglądać na potężnego czarodzieja. Oczywiście była to zwykła szarlataneria, lecz unikałem w ten sposób dyskusji i długich wyjaśnień.

W świątyni Chaldana, w Vo Wacune, spędziłem około miesiąca, a potem powędrowałem do Vo Astur zobaczyć, co zamierzają Asturowie - nic dobrego, jak się okazało, ale w końcu to była Arendia. Asturowie zapewniali równowagę władzy w czasie długich, ponurych lat wojny domowej w Arendii i byli niczym chorągiewka na wietrze.

Szczerze mówiąc, wojna domowa Arendów nudziła mnie. Nie interesowały mnie fałszywe krzywdy, jakie wciąż wymyślali Arendowie na usprawiedliwienie okrucieństw, których się dopuszczali. Udałem się do Asturii, ponieważ ma ona wybrzeże morskie, a Wacune nie. Ostatnią rzeczą, jakiej dokonałem przed opuszczeniem Chereka i jego synów,

było rozbitcie Królestwa Alorii na części i byłem ciekaw, jak dalej potoczyły się sprawy.

Vo Astur było usytuowane na południowym brzegu rzeki Astur i okręty alornskie często odwiedzały tutejsze porty. Zatrzymałem się w świątyni, a kapłani wskazali mi kilka nabrzeżnych tawern, w których mogłem znaleźć alornskich żeglarzy. Nie miałem wielkiej ochoty wystawiać swej woli na próbę, ale nie było innego sposobu. Jeśli chcesz rozmawiać z Alornami, musisz udać się tam, gdzie jest piwo.

Miałem szczęście. Już w drugiej knajpie spotkałem krzepkiego alornskiego kapitana. Nazywał się Haknar i żeglował do Arendii z Val Alorn. Przedstawiłem się, a biała szata i laska przekonały go, że mówię prawdę. Zaproponował mi kufel arendzkiego ale, lecz uprzejmie odmówiłem. Miałem dość pijaństwa.

- Jak spisują się łodzie? - zapytałem.

- Okręty - poprawił. Żeglarzom zawsze sprawiało to różnicę. - Są szybkie - przyznał - ale trzeba uważać na wiatr. Król Cherek powiedział, że ty je zaprojektowałeś.

- Trochę pomogłem - odparłem skromnie. - Aldur dał mi ogólny zarys. Jak ma się Cherek?

- Jest trochę ponury. Myślę, że tęskni za synami.

- Nic na to nie poradzę. Musimy chronić Klejnot. A jak chłopcy sobie radzą w swych królestwach?

- Chyba jakoś sobie radzą. Zdaje się, że trochę pospieszyłeś się z nimi, Belgaracie. Byli jeszcze młodzi, gdy wysłałeś ich na te dzikie pustkowia. Dras nazwał swe królestwo Drasnią i zaczął budować miasto w miejscu zwanym Boktor. Myślę, że tęskni za Val Alorn. Algar nazwał swe królestwo Algarią i nie buduje miast. Jego lud hoduje konie i bydło.

Kiwnąłem głową. Algara pewnie nie interesowały miasta.

- A co robi Riva? - zapytałem.

- On z całą pewnością buduje miasto. Choć pewnie bardziej pasowałoby tu słowo „twierdza”. Byłeś kiedy na Wyspie Wiatrów?

- Raz - powiedziałem.

- Więc wiesz, gdzie jest plaża. Ta dolina, która opada terasami, jest zejściem na plażę. Riva kazał swym ludziom zbudować kamienne mury na skraju każdego terasu. A teraz każe budować domy przy murach. Gdyby ktoś ich zaatakował, musiałby przedrzeć się przez kilkanaście murów. A to mogłoby go wiele kosztować. Zahaczyłem o Wyspę, udając się tutaj. Poczynili znaczne postępy

- Czy Riva rozpoczął już wznoszenie swojej Cytadeli?

- Zaprojektował ją, ale chce, aby najpierw zbudowano domy. Wiesz, jaki on jest. Choć młody, bardzo dba o swych ludzi.

- A zatem dobry z niego król.

- Pewnie tak. Jednakże jego poddani trochę się martwią. Chcieliby, aby się ożenił, ale on ciągle ich zbywa. Zdaje się, że myśli o kimś szczególnym.

- Tak. Przyśniła mu się kiedyś.

- Nie można poślubić snu, Belgaracie. Rivański tron powinien mieć następcę, a do tego potrzebna także kobieta.

- On jest jeszcze młody, Haknarze. Wcześniej czy później jakaś dziewczyna wpadnie mu w oko. Jeśli to zacznie wyglądać na problem, wybiorę się na Wyspę i porozmawiam z nim. Czy Cherek nadal nazywa Alorią to, co pozostało z jego królestwa?

- Nie. Alorii już nie ma. Cherek wziął sobie to bardzo do serca. Nie zebrał się nawet na tyle, aby nadać nazwę półwyspowi, który mu zostawiłeś. My nazywamy go po prostu „Cherek” i niech tak będzie, to znaczy wówczas, gdy pozwala nam wrócić do domu. Wiele czasu spędzamy na morzu, patrolując Morze Wiatrów. Cherek hojną ręką rozdaje tytuły szlacheckie, ale kryje się w tym pewien haczyk. Byłem dobrze podпиты, gdy zrobił mnie baronem Haknar. A nim na dobre wytrzeźwiałem, zdałem sobie sprawę, że zgodziłem się na ochotnika do końca swego życia spędzać trzy miesiące każdego roku na żeglowaniu po Morzu Wiatrów. Tam jest naprawdę bardzo nieprzyjemnie, Belgaracie - szczególnie zimą. Każdej nocy na żaglach zbiera się pół stopy lodu. Moi majtkowie mówią o „Haknar jig” wtedy, gdy poranna bryza otrzepuje lód z żagli i zrzuca go na pokład.

Marynarze muszą tańczyć, inaczej lód roztrzaskałby im głowy. Na pewno nie chcesz, bym postawił ci coś do picia?

- Nie, bardzo dziękuję, Haknarze, chyba lepiej już pójdę. Vo Astur działa na mnie przygnębiająco. Z Asturami nie daje się rozmawiać o niczym innym poza polityką.

- Polityką? - Haknar roześmiał się. - Asturowie jedynie rozmawiają o tym, z kim będą walczyć w następnym tygodniu.

- To właśnie nazywają polityką - odparłem, wstając. - Pozdrów Chereka, gdy go znowu zobaczysz. Powiedz mu, że nadal nad wszystkim czuwam.

- Z pewnością będzie po tym lepiej sypiał. Przybędziesz do Val Alorn na ślub?

- Jaki ślub?

- Chereka. Jego żona umarła, gdy był w Mallorei. A ponieważ ukradłeś mu synów, będzie potrzebował nowego dziedzica. Jego narzeczona to prawdziwa piękność - ma około piętnastu lat. Jest śliczna, ale niezbyt bystra. Jeśli powiedziec jej „dzień dobry”, przez dziesięć minut musi myśleć nad odpowiedzią.

Poczułem nagły skurcz. Nie tylko ja straciłem żonę.

- Przekaż mu moje przeprosiny - powiedziałem krótko Haknarowi. - Nie sądzę, aby udało mi się tam dotrzeć. Lepiej już pójdę. Dzięki za informacje.

- Cieszę, że mogłem ci pomóc, Belgaracie - powiedział, po czym odwrócił się i krzyknął - Karczmarzu! Więcej ale!

Wyszedłem na ulicę i powoli ruszyłem ku świątyni Chaldana. Przewrotnie nie myślałem o stracie Chereka. Miałem własny powód do żałoby i wypełniał mój umysł bez reszty. Nie chciałem tego rozpamiętywać. W pobliżu nie było nikogo, kto przykułby mnie łańcuchami do łóżka.

Kilkakrotnie zapraszano mnie, bym odwiedził księcia w jego pałacu, ale za każdym razem znajdowałem jakąś wymówkę. Nie odwiedziłem księcia Vo Wacune i zdecydowanie nie chciałem faworyzować któregoś z nich. Uznałem, że lepiej nie mieć nic wspólnego

z tymi trzema wojującymi książętami. Nie chciałem być zamieszany w wojnę domową w Arendii - choćby nawet przez skojarzenie.

Być może było to błędem. Pewnie mógłbym zaoszczędzić Arendii kilku eonów cierpień, gdybym po prostu zebrał tych trzech kretynów razem i wepchnął im do gardeł traktat pokojowy. Biorąc jednak pod uwagę charakter Arendów, więcej niż pewne, że złamaliby go, nim atrament by wysechł.

W każdym razie w Vo Astur dowiedziałem się już, czego chciałem, ponieważ jednak zaproszenia z książęcego pałacu były coraz bardziej stanowcze, podziękowałem kapłanom za ich gościnność i przed świtem następnego dnia opuściłem miasto. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz wymykałem się z miasta przed świtem.

Byłem niemal pewny, że książę Vo Astur potraktuje moje odejście jako osobistą zniewagę, więc gdy oddaliłem się jakąś milę na południe od miasta, wróciłem na leśne ścieżki i przybrałem postać wilka.

Tak, to było bolesne. Nie wiedziałem, czy potrafię zmusić się do tego, ale czas było sprawdzić. Ostatnio robiłem wiele rzeczy, które wystawiały mój ból na poważną próbę. Nie miałem jednak zamiaru żyć jak emocjonalny kaleka. Poledra by tego nie chciała; a jeśli nawet oszaleję, to co z tego? Jeden więcej szalony wilk w arendzkich lasach nie zrobi większej różnicy.

Okazało się, że całkiem trafnie oceniłem księcia Vo Astur. Gdy godzinę później przemykałem się skrajem lasu na południe, krętą leśną drogą nadjechała grupa uzbrojonych jeźdźców. Książę Asturii rzeczywiście chciał, bym złożył mu wizytę. Wycofałem się między drzewa, przypadłem do ziemi i obserwowałem przejeżdżających obok ludzi. W tamtych czasach Arendzi byli o wiele niżsi niż dzisiaj, toteż nie wyglądali aż tak głupio na tych karłowatych koniach.

Wędrowałem dalej lasem i w końcu dotarłem na równiny Mimbre. W odróżnieniu od Wacitów i Asturian, Mimbraci niemal doszczętnie wycięli lasy na swych ziemiach. Konie Mimbratów były większe od koni ich północnych kuzynów. Szlachta tego południowego księstwa zaczynała właśnie wykuwać zbroje, które dziś są dla nich tak charakterystyczne. Rycerz na koniu potrzebuje do działania otwartego

terenu, zatem drzewa musiały zniknąć. Rozległe obszary uprawne, które w ten sposób powstały, nie interesowały jednak zbytnio Mimbratów.

Gdy myślimy o arendzkiej wojnie domowej, zwykle mamy na myśli trzy wojujące księstwa, ale to nie wszystko. Drobną szlachta również miała swoje rozrywki i nie było w Mimbre okręgu, w którym nie toczyłaby się jakaś wojna klanów. Powróciłem do swojej postaci, choć muszę przyznać, że poważnie zastanawiałem się nad spędzeniem reszty życia jako wilk, i podążyłem na południe, ku Vo Mimbre. Po drodze jednak natknąłem się na jedną z tych klanowych wojenek.

Na nieszczęście tępi Arendowie uwielbiali maszyny oblężnicze. Arendowie mają mało elastyczne umysły i perspektywa całych dziesięcioleci oblężenia wyraźnie do nich przemawiała. Rozbijali obóz wokół fortecy i przez lata bezmyślnie miotali głazy, podczas gdy obrońcy przez te wszystkie lata radośnie piętrzyli kamienie po wewnętrznej stronie murów. Na dłuższą metę taka walka staje się nudna, więc co jakiś czas któraś ze stron dopuszcza się okrucieństw, aby rozeźlić przeciwnika.

W tym wypadku baron prowadzący oblężenie postanowił spędzić wszystkich miejscowych chłopów i pozbawić ich głów na oczach rodaków.

Wówczas jednak ja wkroczyłem do akcji. Stałem na szczycie wzgórza z dramatycznie wyciągniętą przed siebie łaską.

- Stop! - ryknąłem, wzmacniając swój głos tak, że pewnie słyszeli go w Nyissie. Baron i jego rycerze stanęli jak wryci; rycerz, który przymierzał się właśnie do ścięcia chłopu głowy, opuścił miecz, po czym uniósł go ponownie.

Jednakże w następnej chwili znowu go opuścił. Trochę trudno utrzymać miecz, gdy jego rękojeść rozgrzewa się do białości. Oprawca podskakiwał, wyjąc i dmuchając na poparzone dłonie.

Zszedłem ze wzgórza i stanąłem przed baronem o morderczych zapędach.

- Nie dopuścisz się tej okropności! - powiedziałem mu.

- Nikomu nic do tego, co robię, starcze - odparł, ale nie miał zbyt pewnego głosu.

- Mnie jak najbardziej tak! Jeśli spróbujesz skrzywdzić tych ludzi, wyrwę ci serce!

- Zabij tego starego głupca - polecił baron jednemu ze swych rycerzy.

Ów bojaźliwie sięgnął po miecz, ale zebrałem swą Wolę, pochyliłem łaskę i rzekłem:

- Świnia.

Rycerz natychmiast zamienił się w świnię.

- Czary! - krzyknął zaskoczony baron.

- Jak najbardziej. A teraz zbierz swoich ludzi i wracaj do domu - i puść wolno tych chłopów.

- Czyniłem to w imię sprawiedliwości - zapewniał.

- Ale twe metody nie są sprawiedliwe. A teraz zejdz mi z oczu albo wyrośnie ci ryj i kręcony ogon.

- Czary są zakazane na ziemiach księcia Vo Mimbre - oznajmił, jakby to czyniło jakąś różnicę.

- Doprawdy? A jak masz zamiar mi przeszkodzić? - Skierowałem swą łaskę na pobliski pień drzewa i rozsadziłem go na drzazgi. - Kusisz los, baronie. Równie dobrze mogłeś to być ty. Powiedziałem, abys zniknął mi z oczu. Zrób to, zanim stracę cierpliwość.

- Pożalujesz tego, czarodzieju.

- Nie tak jak ty, jeśli natychmiast się stąd nie ruszysz. - Uczyniłem gest w kierunku rycerza, którego dopiero co zmieniłem w wędrownego bekon, i przywróciłem mu pierwotną postać. Przez moment stał z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, potem spojrzął na mnie i uciekł, głośno krzycząc.

Uparty baron chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Polecił ludziom dosiąść koni i z ponurą miną powiódł ich na południe.

- Możecie iść do swych domów - powiedziałem chłopom. Potem wróciłem na wzgórze, aby upewnić się, że baron nie nadciągnie okrężną drogą.

Pewnie mogłem rozegrać to inaczej. Nie musiałem uciekać się do bezpośredniej konfrontacji. Mogłem odtransportować stąd barona

z jego ludźmi, nawet nie ujawniając swej obecności, ale straciłem panowanie nad sobą. Często wpadam przez to w kłopoty.

Dwa dni później na przydrożnych drzewach pojawiły się listy gończe z opisem „głupiego czarodzieja”. Mój wygląd oddano całkiem udanie, ale oferowana nagroda była obraźliwie niska.

W tej sytuacji postanowiłem ruszyć prosto do Tolnedry. Z pewnością poradziłbym sobie z ewentualnymi prześladowcami, ale po co było zawracać sobie nimi głowę? Arendia i tak zaczynała mnie nudzić. Byłem poszukiwany w wielu miejscach i jedno więcej nie czyniło różnicy.





Pewnego ranka, późną wiosną, przepравиłem się przez rzekę Arend, tradycyjną granicę pomiędzy Arendią i Tolnedrą. Oczywiście północny brzeg rzeki patrolowali rycerze Mimbrate, ale nie przejmowałem się tym zbyt. W końcu miałem pewną przewagę.

Zatrzymałem się na jakiś czas w Puszczy Vordue, aby zastanowić się nad sytuacją. Mój Mistrz, wyrывая mnie z pijackiego amoku w Camaar, nie dał mi żadnych instrukcji, więc w zasadzie byłem zdany na siebie. Nie musiałem spieszyć się w żadne miejsce, nic mnie nie goniło. Nadal jednak ciążyło mi brzemie odpowiedzialności. Można by mnie nazwać emerytowanym uczniem, wędrownym czarodziejem, włóczykijem wtykającym nos w nie swoje sprawy. Gdybym natknął się na coś ważnego, mógłbym powiadomić o tym braci z Doliny. Poza tym wędrowałem tam, gdzie mi się podobało. Moja rozpacz wcale nie zmalała, ale nauczyłem się z tym żyć i trzymać ją pod ścisłą kontrolą. Lata spędzone w Camaar udowodniły, że nie mogę przed nią uciec.

Pełen tłumionej melancholii ruszyłem więc w kierunku Tol Honeth. Pomyślałem sobie, że skoro już tu byłem, mogłem zobaczyć, co działo się w Imperium.

W drodze na południe przekonałem się, że w Wielkim Księstwie Vordue dokonano pewnych politycznych posunięć. Honethowie ponownie byli u władzy, a ród Vordue zawsze uważał to za osobistą obrazę. Liczne znaki świadczyły o zwichu drugiej dynastii Honethitów. Dynastie we wszystkich królestwach cechuje jedna osobliwość. Założyciel jest zwykle energiczny i utalentowany, ale w miarę upływu stuleci kolejni władcy coraz mniej go przypominają. Być może dlatego, że małżeństwa zawierane są niemal wyłącznie między kuzynami. Taki sztuczny dobór może sprawdzać się u koni, psów czy bydła, ale u ludzi nie jest dobrym pomysłem. Złe cechy

dziedziczone są na równi z dobrymi, ale głupota zawsze wypływa na wierzch szybciej niż odwaga czy inteligencja.

W każdym razie imperatorzy z rodu Honethów staczali się w ciągu ostatniego stulecia coraz niżej, a Vorduvianie cieszyli się, czując, że zbliża się ich kolejka do tronu.

Było wczesne lato, gdy dotarłem do Tol Honeth. Ponieważ było to rodzinne miasto imperatorów, większość swego czasu i gros kosztowności ze skarbcza poświęcali na ulepszanie stolicy. Zawsze gdy w Tolnedrze u władzy znajdowali się Honethowie, inwestycje w kamieniołomach marmurów przynosiły przyzwoite zyski.

Przeszedłem północnym mostem i zatrzymałem się przy bramie do miasta, aby odpowiedzieć na pobieżne pytania legionistów trzymających tam straż. Ich zbroja robiła wrażenie w przeciwieństwie do nich samych. Zanotowałem w pamięci, że kondycja legionów wyraźnie podupadła. Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Ulice były zatłoczone. W Tol Honeth zawsze jest tłoczno. Każdy, kto w Tolnedrze uważa się za kogoś znaczącego, ciągnie do stolicy. Dla pewnych ludzi bliskość władzy ma bardzo duże znaczenie.

Byłem religijny, w bardzo ogólnym znaczeniu tego słowa, toteż, podobnie jak w Arendii, udałem się na poszukiwanie świątyni. Główną świątynię Nedry przeniesiono od czasu mojego ostatniego pobytu, musiałem więc poprosić o wskazanie drogi. Wiedziałem, że nie warto zaczepiać żadnego z bogato odzianych kupców. Mijali mnie z chusteczkami przy nosach i wyrazem obrzydzenia na twarzach. Zwróciłem się więc do człowieka naprawiającego bruk.

- Powiedz mi, przyjacielu, którąś dojść do świątyni Nedry?
- Świątynia znajduje się na południe od pałacu imperatora - odparł. - Idź tą ulicą do końca, a potem skręć w lewo. Spojrzaj na mnie spod oka.
- Będziesz potrzebował pieniędzy na wejście do środka.
- Co takiego?
- To nowy zwyczaj. Musisz zapłacić kapłanowi przy drzwiach, aby wejść do środka - i zapłacić innemu, aby dostać się w pobliże ołtarza.
- Osobliwy zwyczaj.

- To jest Tol Honeth, przyjacielu. Nic nie ma za darmo, a kapłani są tak samo chciwi jak wszyscy.

- Chyba będę miał dla nich coś lepszego niż pieniądze.

- Nie zakładałbym się, ale powodzenia.

- Zdaje się, że coś ci upadło, przyjacielu. - Wskazałem na dużego miedzianego tolnedrańskiego pensa, którego właśnie wyczarowałem i upuściłem przy jego lewym kolanie. W końcu zasłużył sobie, był mi pomocny.

Mężczyzna szybko pochwycił pensa - pewnie równowartość dziennego zarobku - i rozejrzał się wokół ukradkiem.

- Miłej pracy - powiedziałem i ruszyłem dalej ulicą.

Świątynia Nedry przypominała pałac. Była imponującą marmurową budowlą, od której biło ciepło mauzoleum. Zwykli ludzie modlili się przed niewielkimi niszami w murach. Wnętrze zarezerwowane było dla tych, których stać było na uiszczenie stosownej opłaty.

- Muszę porozmawiać z arcykapłanem - rzekłem do duchownego strzegącego wielkich wrót.

Kapłan zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Absolutnie wykluczone. Powinieneś to wiedzieć, i bez proszenia.

- Ja nie proszę. Ja ci każę. Idź go poszukać albo zejź mi z drogi, to sam to zrobię.

- Wynoś się stąd.

- To nie wróży dobrego początku, przyjacielu. Spróbujmy jeszcze raz. Nazywam się Belgarath i przybyłem zobaczyć się z najwyższym kapłanem.

- Belgarath? - Roześmiał się ironicznie. - Nie ma kogoś takiego. Wynoś się.

Przemieściłem go kilkaset jardów w głąb ulicy i wmaszerowałem do środka. Zdecydowanie musiałem rozmówić się z arcykapłanem na temat praktyk pobierania opłat za wejście do miejsca kultu; nawet Nedra by tego nie pochwalił. Świątynia roiała się od kapłanów, a każdy zdawał się wyciągać rękę. Uniknąłem dalszych problemów dzięki zsuniętej zawadiacko na ucho aureoli. Nie jestem pewny, czy

w tolnedrańskiej religii jest miejsce dla świętych, ale udało mi się przyciągnąć uwagę duchownych i nakłonić ich do szczerzej współpracy. I nawet nie musiałem za to płacić.

Arcykapłan nazywał się Arthon. Był grubasem o wydatnym brzuchu i nosił kosztowne szaty. Spojrzał na moją aureolę i powitał mnie z bojaźliwym entuzjazmem. Przedstawiłem się, co zdenerwowało go jeszcze bardziej. Nie moją sprawą było, że gwałcił zasady, ale nie widziałem powodu, by mu o tym mówić.

- Słyszeliśmy o twoich przygodach w Mallorei, święty Belgaracie - odezwał się do mnie wylewnie. - Czy naprawdę zabiłeś Toraka?

- Ktoś ci nagadał bzdur, Arthonie - odparłem. - Nie mnie czynić takie rzeczy. Udaliśmy się tam jedynie po to, aby odzyskać to, co zostało skradzione.

- Ach, tak. - Arthon wyglądał na rozczarowanego. - Czemu zawdzięczamy Twą wizytę, Prastary?

- Uprzejmości - odrzekłem ze wzruszeniem ramion. - Przechodziłem tędy i pomyślałem, że powinienem do ciebie zajrzeć. Czy miałeś jakieś wieści od Nedry?

- Nasz Bóg odszedł, Belgaracie - przypomniał mi.

- Wszyscy Bogowie odeszli, Arthonie. Mają jednak swoje sposoby kontaktowania się z nami. Belar przemówił do Rivy we śnie, a ledwie kilka miesięcy temu Aldur w ten sam sposób mnie odwiedził. Zwracaj uwagę na swe sny. One mogą mieć znaczenie.

- Ze sześć miesięcy temu miałem osobliwy sen - przypomniał sobie. - Zdawało mi się, że Nedra do mnie przemówił.

- Co powiedział?

- Już zapomniałem. Chodziło chyba o pieniądze.

- Jak zawsze. - Zastanowiłem się chwilę. - Chodziło pewnie o ten wasz nowy zwyczaj. Nie sądzę, aby Nedra pochwalał praktykę pobierania opłat za wejście do świątyni. Jest Bogiem wszystkich Tolnedran, nie tylko tych, których stać na kupienie sobie wstępu do świątyni.

Na twarzy Arthona pojawił się wyraz konsternacji.

- Ale... - zaczął protestować.

- Widziałem niektóre z bestii zamieszkujących piekło, Arthonie - poinformowałem go z przekonaniem. - Nie chciałbyś ich towarzystwa. Ale to już zależy od ciebie. Co słyhać w Tolnedrze?

- Niewiele, Belgaracie - powiedział wymijająco, ale na odległość czuć było, że próbuje coś ukryć.

- Nie bądź taki nieśmiały, Arthonie - zachęciłem znużony. - Kościół nie powinien mieszać się do polityki. A ty brałeś łapówki, prawda?

- Skąd o tym wiesz? - zapytał z lekkim drzeniem w głosie.

- Potrafię czytać w tobie jak w otwartej księdze, Arthonie. Zwróć pieniądze i trzymaj się z dala od polityki.

- Musisz złożyć wizytę imperatorowi - oznajmił, zrećźnie zmieniając temat.

- Spotykałem się już poprzednio z członkami rodu Honethów. Jeden niewiele różni się od drugiego.

- Jego Wysokość poczuje się urażony, jeśli nie złożysz mu wizyty.

- Oszczędź mu zatem bólu. Nie mów mu, że tu byłem.

Oczywiście nie chciał nawet o tym słyszeć. Zdecydowanie nie chciał, abym zaczął dociekać, od kogo dostał łapówkę lub ile przypada mu w udziale z opłat za wejście do świątyni. Odprowadził mnie więc do pałacu, który aż roił się od członków rodu Honethów. Protekcja jest esencją tolnedrańskiej polityki. Nawet poborcy myta na większości mostów zwodzonych w Imperium zmieniają się wraz z dojściem do władzy nowej dynastii.

Obecnym imperatorem był Ran Honeth Dwudziesty-ileś-tam, który zarzucił imbecylizm na korzyść niezgłębionego terytorium idiotyzmu. Jak zwykle w takich sytuacjach, nadgorliwy członek rodziny zaopiekował się ułomnym krewniakiem, skrupulatnie opatrując własne dekrety sentencją: „Imperator postanowił...” lub inną równie bzdurną formułką, pozwalając tym samym kretynowi na tronie zachować godność. Krewny, w tym wypadku bratanek, przez dwa dni kazał nam czekać. W przedpokoju, gdy tymczasem przed oblicze imperatora wprowadzano różnych wysoko postawionych Tolnedran.

W końcu miałem tego dość.

- Chodźmy, Arthonie - powiedziałem do kapłana Nedry. - Mamy co innego do roboty.

- Nie możemy! - rzucił zdławionym głosem Arthon. - Zostałoby to poczytane za śmiertelną zniewagę!

- I co z tego? W swym życiu obrażałem bogów, Arthonie. Nie przejmę się urażeniem uczuć półgłupka.

- Pozwól mi jeszcze raz porozmawiać z marszałkiem dworu.

Arthon poderwał się na nogi i ruszył pospiesznie na drugi koniec komnaty, by porozmawiać z bratankiem imperatora.

Bratanek był typowym Honethem. Jego pierwszą reakcją było spojrzenie na mnie z góry.

- Będziecie czekać, dopóki Jego Wysokość Imperator nie zechce was widzieć - rzekł do mnie wyniosłym tonem.

Skoro czuł się tak wyniosłe, postawiłem go pod sufitem, aby mógł dosłownie patrzeć na ludzi z góry. Zaręczam wam, że to było paskudne, ale on nie był lepszy.

- Nie sądzisz, że Jego Imperatorska Wysokość zechciałaby nas już widzieć, stary? - zapytałem go uprzejmym tonem. Zostawiłem go tam jeszcze chwilę, aby upewnić się, że zrozumiał, o co mi chodzi, po czym ponownie postawiłem na ziemi.


Natychmiast dostaliśmy się przed oblicze imperatora.

Ten Ran Honeth siedział na tronie ssąc kciuk. Degeneracja linii posunęła się dalej, niż przypuszczałem. Zajrzałem w jego myśli i niczego tam nie znalazłem. Niepewnie wyrecytował kilka grzecznościowych formułek - dreszcz mnie przeszedł na myśl, ile czasu musiało mu zająć ich zapamiętanie - a potem pozwolił nam odejść. Jego wystąpienie nieco urozmaicał fakt, że czterdzieści kilka lat ssania kciuka znacznie zdeformowało jego zgryz. Przypominał królika i okropnie seplenił.


Wycofując się w ukłonach z sali tronowej, oszacowałem nastrój imperatorskiego bratanka i uznałem, że najwyższy czas, bym opuścił Tol Honeth. Gdy tylko gość odzyska zimną krew, drzewa w okolicy zostaną upstrzone kolejnymi listami gończymi. To zaczynało stawać się zwyczajem.

Myślałem o tym po drodze do Tol Borune. Odkąd porzuciłem pijacki tryb życia, w niewłaściwy sposób wykorzystywałem swój dar. Wola i Słowo to poważne sprawy, a moje żarty były w złym guście. Pomimo rozpaczy nadal byłem uczniem Mistrza, nie jakimś wędrownym kuglarzem. Mógłbym pewnie zasłonić się stanem swego ducha, ale tego nie zrobię. Oczekiwano, że mam więcej rozumu.

Minąłem Tol Borune, głównie dlatego, aby uniknąć kolejnych sposobności do zamiany zaczepnych ludzi w świnie lub zawieszania ich dla zabawy w powietrzu. To chyba był dobry pomysł; jestem pewny, że Boruni, by mnie zdenerwowali. Mam dużo szacunku dla rodu Borunów, ale oni potrafią czasami być okropnie głupi.



Przepraszam, Ce'Nedro. Nie miałem zamiaru być uszczypliwy.



W każdym razie przebyłem ziemie rodu Anadile i w końcu dotarłem na północny kraniec Lasu Driad. W ciągu minionych wieków okolica nieco się zmieniła, ale wydaje mi się, że poszedłem niemal tą samą drogą, którą przebyłem z przyjaciółmi trzy tysiące lat później, gdy wędrowaliśmy na południe w poszukiwaniu Klejnotu Aldura. Wielokrotnie rozmawialiśmy z Garionem na temat „powtórzeń”. Być może to jeszcze jedna oznaka zakłócenia celu wszechświata. Z drugiej jednak strony to, iż poszedłem tą samą drogą, mogło być spowodowane tym, że wiodła na południe oraz że ją znałem. Zwykle za wszelką cenę staramy się dopasować fakty do teorii.

Nawet w tamtych czasach Las Driad był prastarą dębową puszczą, w której panował osobliwy nastrój pogodnej świętości. Ludzie mają skłonność do oddzielania religii od swego życia. Życie Driad było religią, więc nie musiały myśleć - czy mówić - o niej. To było krzepiące.

Minął tydzień, nim zobaczyłem Driadę. To nieśmiałe, drobne stworzenia, którym nie zależy szczególnie na kontakcie z przybyszami - z wyjątkiem pewnego okresu w roku. Wszystkie Driady są rodzaju żeńskiego, więc muszą co jakiś czas nawiązywać kontakty z samcami - różnych gatunków - w celach prokreacyjnych.



Pewny jestem, że wiecie już, o co chodzi.



Naprawdę nie szukałem żadnej Driady. Formalnie są „potworami”, choć z pewnością nie tak niebezpiecznymi jak eldraki czy algothy, ale pomimo to nie chciałem żadnych nieporozumień.


Najwyraźniej jednak była to „ta pora roku” dla pierwszej z napotkanych Driad, ponieważ porzuciła zwykłą wstydlivość i usiłowała mnie dopaść. Stała na środku ścieżki, którą szedłem. Miała płomiennie rude włosy i filigranową budowę ciała. Trzymała jednak napięty łuk, a strzała była wymierzona prosto w moje serce.

- Lepiej się zatrzymaj - poradziła mi.


Uczyniłem to natychmiast.

Gdy już upewniła się, że nie będę próbował uciec, stała się bardzo przyjacielska. Powiedziała, że nazywa się Xanta i ma względem mnie pewne plany. Przeprosiła nawet za łuk. Wyjaśniła, że wędrowcy są w Lesie rzadkością i Driady, jeśli chcą wcielić w życie swe zamiary, muszą uważać, aby nie uciekli.

Próbowałem wytłumaczyć, że jej propozycja była bardzo nie na miejscu, ale chyba to do niej nie dotarło. Była bardzo zdecydowaną osobką.



Myślę, że na tym poprzestanę. To, co wydarzyło się potem, nie ma istotnego znaczenia dla mojej opowieści.



Driady zwykle dzielą się wszystkim ze swymi siostrami, więc Xanta poznała mnie z innymi Driadami. Wszystkie mnie rozpieszczały, ale to nie zmieniało faktu, że byłem więźniem - niewolnikiem, mówiąc bez ogródek - i moje położenie było bardziej niż poniżające. Jednakże nie dawałem tego po sobie poznać. Dużo uśmiechałem się, robiłem to, czego ode mnie oczekiwano i wypatrywałem okazji. Gdy tylko znalazłem się na chwilę sam, przybrałem postać wilka i umknąłem w las. Oczywiście rzuciły się za mną w pogoń, ale nie wiedziały, czego szukać, więc bez problemu udało mi się uniknąć pościgu.

Dotarłem na północny brzeg Leśnej Rzeki, przepłynąłem ją i otrząsałem wodę z futra. Zapamiętajcie sobie: jeśli przybieracie postać zwierzęcia porośniętego sierścią i zdarzy się wam zamoczyć, to przed zmianą postaci zawsze najpierw otrząśnijcie się z wody. W przeciwnym razie po powrocie do własnej postaci, wasze ubranie będzie ociekać wodą.

Byłem teraz w Nyissie, więc nie musiałem już martwić się Driadami. Zamiast tego zacząłem wypatrywać węży. Normalni ludzie starają się kontrolować ich populację, ale wąż jest częścią religii Nyissan, więc oni tego nie czynią. Ich dżungle dosłownie roją się od pełzających gadów - a wszystkie są jadowite. Podczas pierwszego dnia pobytu na tych cuchnących mokradłach trzykrotnie zostałem ukąszony i to uczyniło mnie nad wyraz ostrożnym. Na szczęście bez trudu zneutralizowałem jad, ale ukąszenia węży nigdy nie są przyjemne.

Wojna z Maragami poważnie zmieniła społeczeństwo Nyissan. Przed najazdem Maragów Nyissanie wycięli znaczne połacie dżungli i wybudowali miasta oraz łączące je drogi. Jednak trakty ułatwiały napaści, a miasta świadczyły o zamożności ich mieszkańców. Równie dobrze można było wystosować zaproszenie do najazdu. Salmisara uświadomiła to sobie i poleciła swym poddanym rozproszyć się i pozwolić dżungli odzyskać miasta i drogi. Tym sposobem pozostała tylko stolica w Sthiss Tor, a skoro sam wyznaczyłem sobie zadanie zbadania sytuacji w królestwach Zachodu, postanowiłem złożyć wizytę Królowej Wężowego Ludu.

Najazd Maragów przydarzył się około stu lat temu, ale do tej pory przetrwały po nim ślady. Porzucone miasta, zarośnięte pnączami i zaroślami, nadal nosiły ślady ognia i zniszczeń spowodowanych przez maszyny oblężnicze. Nyissanie skrupulatnie unikali tych niegościnnych ruin. Nyissa jest państwem teokratycznym. Salmisara jest nie tylko królową, ale również najwyższą kapłanką Boga-Węża. Toteż gdy wyda rozkaz, lud ślepo jej słucha, a ona rozkazała mu żyć w gąszczu z węzami.

Trochę bolały mnie nogi i byłem bardzo głodny, gdy dotarłem do Sthiss Tor. W Nyissie trzeba uważać, co się je. Wiele roślin, ptaków i zwierząt jest trujących lub ma działanie narkotyczne.

Znalazłem przystań promową i przeprowiłem się przez Rzekę Węża do barwnego miasta Sthiss Tor. Nyissanie to natchnieni ludzie. Wszędzie indziej uważa się, że natchnienie jest darem Bogów, ale Nyissanie znaleźli łatwiejszy sposób osiągnięcia szczególnej ekstazy. Dżungla pełna jest różnorodnych roślin o dziwnych właściwościach, a Wężowy Lud nie bał się eksperymentów. Znałem kiedyś Nyissana, który był uzależniony od dziewięciu różnych narkotyków. Nie spotkałem szczęśliwszego człowieka. Nie chciałbym jednak mieszkać w domu zaprojektowanym przez architekta o chemicznie rozbudowanej wyobraźni. Zakładając, że nie zawaliłyby się na robotników w czasie budowy, bardzo prawdopodobne, że nabyłyby pewnych osobliwych elementów - schodów biegnących donikąd, pokoi, do których nie można by wejść, drzwi otwierających się w pustkę i całą masę innych niedogodności. Jest również wielce prawdopodobne, że byłby pomalowany na kolor, który nie ma nazwy i nigdy nie pojawiał się w żadnej tęczy.

Wiedziałem, gdzie znajdował się pałac Salmisary. Byliśmy z Beldinem w Sthiss Tor podczas najazdu Maragów, więc nie musiałem pytać o drogę ludzi, którzy sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują.

W pałacu pracowali tylko ogoleni na tyso eunuchowie. Było to uzasadnione z logicznego punktu widzenia. Od wczesnego dzieciństwa kandydatki na Salmisare poddawano działaniu różnych substancji spowalniających normalny proces starzenia. Było bardzo ważne, aby Salmisara zawsze wyglądała tak samo jak pierwsza służebnica Issy. Niestety, jednym z efektów ubocznych działania owych substancji, był znaczący wzrost apetytu królowej - i nie mam tu na myśli jedzenia. Salmisara miała władać królestwem, a jeśli jej służba składałaby się z pełnowartościowych mężczyzn, to pewnie nie mogłaby tego robić.


Wybaczenie, staram się wyrażać możliwie najogólniej.


Oczywiście królowa wiedziała, że przybywam. Jednym z wymagań stawianych kandydatkom do tronu Nyissy jest zdolność widzenia tego, czego inni nie dostrzegali. Nie jest to dokładnie taki sam dar jak nasz,

ale spełnia swoje zadanie. Eunuchowie przywitali mnie pełnymi uniżoności ukłonami i niezwłocznie zaprowadzili do sali tronowej. Obecna Salmissara wyglądała naturalnie tak samo jak jej poprzedniczki. Spoczywała półleżąc na otomanopodobnym tronie i podziwiała swe odbicie w lustrze, głaszcząc pstry łeb węża. Jej suknia była tak przezroczysta, że niewiele pozostawiała wyobraźni. Ogromny posąg Issy, Boga-Węża, majaczył za podwyższeniem, na którym leżała jego obecna służka.

- Bądź pozdrowiona, Wieczna Salmissaro - zaintonował eunuch, który mi towarzyszył, rozplaszczając się na wypolerowanej posadzce.

- Naczelnny Eunuch zbliża się do tronu - zaintonował chór kilkunastu odzianych na czerwono dworzan.

- O co chodzi, Sthessie? - odparła Salmissara obojętnym tonem.

- Prastary Belgarath błaga o posłuchanie u Ukochanej Issy.

Salmissara powoli odwróciła głowę i utkwiała we mnie spojrzenie swych bezbarwnych oczu.

- Służebnica Issy pozdrawia ucznia Aldura - oznajmiła.

- Szczęśliwy uczeń Aldura, gdy przyjmuje go królowa Wężowego Ludu - zaintonował chór.

- Dobrze wyglądasz Salmissaro - odparłem, oszczędzając pół godziny nudnych formalności.

- Naprawdę tak myślisz, Belgaracie? - spytała z dziewczęcą naiwnością, co pozwalało sądzić, że była jeszcze całkiem młoda - prawdopodobnie nie więcej niż dwa, trzy lata na tronie.

- Zawsze dobrze wyglądasz, moja droga - odparłem. Te czułe słówka były pewnie pogwałceniem różnego rodzaju zasad, ale uznałem, że biorąc pod uwagę jej wiek, mogłem sobie na to pozwolić.

- Czcigodny gość pozdrawia Wieczną Salmissarę - oznajmił chór.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy to sobie darować? - zapytałem, wskazując na klęczących eunuchów. - Musimy porozmawiać, a całe to śpiewanie rozprasza moją uwagę.

- Prywatna audiencja, Belgaracie? - zapytała figlarnie. Mrugnąłem do niej łobuzersko.

- Wolą naszą jest, by Prastary mógł wyjawić nam swe myśli na osobności - oznajmiła swym poddanym. - Macie nasze pozwolenie na odejście.

- Coś takiego! - usłyszałem, jak któryś mruknął z oburzeniem.

- Zostań, jeśli chcesz, Kassie - powiedziała Salmisara obojętnym tonem. - Wiedz jednak, że nikt żywy nie usłyszy o tym, co zaszło między mną a uczniem Aldura. Odejdź i żyj lub zostań i umrzyj.

Miała styl, muszę przyznać. Po tej propozycji natychmiast opróżniła się sala tronowa.

- A zatem - powiedziała, rzucając mi czarujące spojrzenie - teraz gdy jesteśmy już sami... - Zawiesiła znacząco głos.

- Och, przestań mnie kusić, kochanie - rzekłem, uśmiechając się. Beldin poradził sobie w ten sposób, więc i ja mogłem spróbować.

Salmisara faktycznie się roześmiała. Wówczas jedyny raz słyszałem, by któraś z ponad setki Salmisar śmiała się głośno.

- Przystąpmy do rzeczy, Salmisaro - zaproponowałem dziarsko. - Przeprowadzam inspekcję królestw Zachodu i myślę, że możemy korzystnie wymienić informacje.

- Z niecierpliwością oczekuję twych słów, Prastary - powiedziała, a jej twarz przybrała nieobecny wyraz. Miała bardzo bystry umysł i rozwinięte poczucie humoru. Pospiesznie zmieniłem swe podejście. Inteligentna Salmisara była niebezpieczną nowością.

- Wiesz oczywiście, co wydarzyło się w Mallorei - zacząłem.

- Tak - odparła po prostu. - Moje gratulacje.

- Dziękuję

- Może zechciałbyś usiąść tutaj? - zaprosiła. Uniosła się przy tym nieco i poklepała miejsce na sofie obok siebie.

- Dzięki, ale lepiej mi się myśli na stojąco. Aloria jest teraz podzielona na cztery oddzielne królestwa.

- Tak, wiem. Jak udało ci się nakłonić do tego Chereka?

- To nie ja. To Belar.

- Czy Cherek rzeczywiście jest tak religijny?

- Nie był zachwycony, ale zrozumiał konieczność tego posunięcia. Riva ma teraz Klejnot Aldura i przebywa na Wyspie Wiatrów. Możesz ostrzec swych kapitanów, aby trzymali się z dala od Wyspy. Cherek ma flotyllę okrętów wojennych. Zatopią każdy statek, który zbliży się na pięćdziesiąt lig do wyspy Rivy.

Jej bezbarwne oczy przybrały przebiegły wyraz.

- Przyszła mi właśnie do głowy bardzo interesująca myśl, Belgaracie.

- Jaka?

- Czy Riva jest już żonaty?

- Nie. Nadal jest kawalerem.

- Możesz mu powiedzieć, że ja także jeszcze nie jestem zamężna. Czyż to nie przywodzi ci na myśl czegoś interesującego? Bo mnie tak.

Omal mnie nie zatkało.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Nie sądzisz, że warto się nad tym zastanowić? Nyissa to mały naród, a moi ludzie nie są zbyt dobrymi żołnierzami. Najazd Maragów uzmysłowił nam to. Mój ślub z Rivą doprowadziłby do bardzo interesującego przymierza.

- Czyż prawo nie mówi, że nie wolno ci wychodzić za mąż?

- Prawa są nudne, Belgaracie. Ludzie, tacy jak my, mogą je zlekceważyć, gdy im to odpowiada. Bądźmy szczerzy. Jestem jedynie malowaną władczynią słabego narodu i nie bardzo mi się to podoba. Wolałabym mieć prawdziwą władzę. A sojusz z Alornami mógłby mi to umożliwić.

- Występujesz przeciwko tradycji, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

- Z tradycjami jest tak samo jak z prawami, Belgaracie. Stworzono je po to, by ignorować. Issa długo już drzemie. Świat się zmienił, a jeśli Nyissa również się nie zmieni, to zostaniemy z tyłu. Będziemy małą, prymitywną oazą. Myślę, że ja mogłabym zacząć coś nowego.

- To się nie uda, Salmissaro - stwierdziłem.

- Masz na myśli moją bezpłodność? Mogę o to zadbać. Muszę jedynie przestać brać narkotyki i będę równie płodna jak każda młoda kobieta. Będę w stanie dać Rivie syna, by władał jego królestwem, a on da mi

córkę, by władała tutaj. Moglibyśmy zmienić strukturę władzy w tej części świata.

Roześmiałem się.

- Doprowadzilibyście Tolnedran do hysterii, jeśli nie czegoś gorszego.

- Już samo to warte jest zachodu.

- Istotnie, ale obawiam się, że nic z tego. Riva jest już zaklepany.

- Tak? Kim jest ta szczęściara?

- Nie mam pojęcia. To jedno z tych małżeństw zaplanowanych w Niebiosach. Bogowie już wybrali Rivie narzeczoną.

Salmissara westchnęła.

- Szkoda - rzuciła półgłosem. - No cóż. Riva jest jeszcze chłopcem. Mogłabym go co prawda poduczyć, ale to trąci nudą. Wolę doświadczonych mężczyzn.

Pospiesznie zmieniłem temat. To była bardzo niebezpieczna młoda dama.

- Arendzka wojna domowa przybiera na sile. Asturia i Wacune sprzymierzyły się przeciwko Mimbri - a przynajmniej tak było podczas mojej ostatniej wizyty. To było całe dwa miesiące temu, więc do chwili obecnej sytuacja mogła ulec zmianie.

- Arendowie - westchnęła, przewracając oczyma.

- Amen. W Tolnedrze druga dynastia Honethitów chyli się ku upadkowi. Być może uda im się jeszcze wydusić jednego lub dwóch imperatorów, ale ta studnia już niemal wyschła. Vorduvianie czekają w pogotowiu - nie bardzo cierpliwie.

- Nie cierpię Vorduvian - oświadczyła.

- Ja również. Jednak będziemy musieli ich znieść.

- Chyba tak. - Umilkła na chwilę i przymknęła oczy. - Słyszałam o twojej stracie - powiedziała, jakby badając grunt. - Przyjmij wyrazy szczerego współczucia.

- Dziękuję. - Udało mi się odpowiedzieć spokojnym tonem.

- Przyszła mi na myśl inna możliwość. Oboje jesteśmy obecnie wolni. Związek z tobą mógłby być nawet bardziej interesujący niż z Rivą. Chyba zdajesz sobie sprawę, że Torak nie zostanie w Mallorei

na zawsze. Już wysłała zwiadowców lądowym przejściem. Obecność Angaraków na tym kontynencie jest jedynie kwestią czasu, a to pociągnie za sobą obecność Grolimów. Nie sądzisz, że powinniśmy zacząć przygotowania?

W tym momencie zrobiłem się bardzo ostrożny. Najwyraźniej miałem tu do czynienia z politycznym geniuszem.

- Znowu mnie wodzisz na pokuszenie, Salmissaro. - Oczywiście skłamałem, ale myślę, że dała się nabrać na moje zainteresowanie. Potem westchnąłem. - Niestety, to zabronione.

- Zabronione?

- Przez mojego Mistrza. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, aby się sprzeciwić.

Salmissara westchnęła.

- Jaka szkoda. Zdaje się, że w tej sytuacji zostają mi tylko Alornowie. Może zaproszę Drasa lub Algara do złożenia wizyty w Sthiss Tor.

- Oni mają obowiązki na Północy, Salmissaro, a ty masz swoje tutaj. Marne byłoby z tego małżeństwo, bez względu na to, którego byś wybrała. Rzadko byście się widywali.

- To najlepszy rodzaj małżeństwa. Nie mielibyśmy szansy znudzić się sobą. - Nagle uderzyła dłonią w oparcie tronu. - Nie chodzi mi o miłość, Belgaracie. Potrzebuję sojuszu, nie rozrywki. Znalazłam się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Byłam na tyle głupia, że pozwoliłam, by wymknęło mi się parę rzeczy, gdy wstąpiłam na tron. Eunuchowie wiedzą, że nie jestem jedynie głupią dziewczyną zżeraną przez żądze. Jestem pewna, że już ćwiczą kandydatki na mój tron. Gdy tylko jedna z nich zostanie wybrana, eunuchowie mnie otrują. Jeśli nie znajdę żadnego Alorna na męża, będę musiała wziąć Tolnedrana - lub Arenda. Od tego zależy moje życie, starcze.

W końcu zrozumiałem. Kierowała nią nie tyle ambicja, ile instynkt samozachowawczy.

- Masz przecież inne wyjście - powiedziałem. - Uderz pierwsza. Pozbądź się swych eunuchów, nim oni będą gotowi pozbyć się ciebie.

- Już o tym myślałam, ale to się nie uda. Oni aplikują sobie antidotum na wszystkie znane trucizny.

- O ile wiem, nie ma antidotum na pchnięcie nożem w serce, Salmisaro.

- Nie załatwiamy tak spraw w Nyissie.

- A zatem twoi eunuchowie nie będą się tego spodziewać, prawda?

Oczy Salmisary zwężyły się.

- Tak - przyznała - nie będą. - Nagle zachichotała. - Oczywiście będę musiała załatwić ich wszystkich naraz, ale krwawa łaźnia będzie niezłą lekcją, prawda?

- Minie sporo czasu, nim ktokolwiek spróbuje ci wejść w drogę, moja droga.

- Jakież z ciebie cudowny staruszek - odparła z wdzięcznością. - Będę musiała znaleźć jakiś sposób, by cię nagrodzić.

- Doprawdy nie trzeba mi pieniędzy, Salmisaro.

Rzuciła mi powłóczyście spojrzenie.

- Zatem pomyślę o czymś innym.

Uznałem, że lepiej będzie zmienić temat.

- Co słyhać na Południu?

- To ty mi powiedz. Mieszkają tam zachodni Dalowie. Nikt nie wie, co robią Dalowie. W jakiś sposób kontaktują się z wyrocznią w Kell. Myślę, że wszyscy powinniśmy na nich uważać. Pod wieloma względami są niebezpieczniejsi od Angaraków.

- Och, niemal zapomniałam ci powiedzieć. Torak opuścił ruiny Cthol Mishrak. Znajduje się teraz w Górach Karandy, w miejscu zwanym Ashaba. Przekazuje rozkazy Grolimom przez Ctuchika lub Urrona. Nikt nie wie, gdzie jest Zedar. - Przerwała. - Na pewno nie chcesz usiąść tu, obok mnie? - spytała ponownie. - Naprawdę nie musimy brać ślubu. Jestem pewna, że Aldur nie miałby nic przeciwko takiemu nieformalnemu układowi. Chodź, usiądź przy mnie, Belgaracie i porozmawiajmy o nagrodzie. Jestem pewna, że potrafię wymyślić coś, co ci się spodoba.





Biorąc pod uwagę wszystkie kłopoty, jakich przysporzył mi długi łańcuch Salmissar, uczucia, jakimi darzyłem tę z nich, były nieco niezwykle, tak jak i ona sama. Przy wyborze każdej nowej królowej Nyissy niemal wyłącznie kierowano się jej wyglądem zewnętrznym. W określonym momencie życia rządzącej królowej wybierano dwadzieścia kandydatek na jej następczynię. Eunuchowie uzbrojeni w podobizny pierwszej Salmissary przemierzali królestwo, porównując z obrazem twarzy wszystkich dwunastoletnich dziewcząt. Wybierano dwadzieścia i zabierano na naukę do posiadłości w pobliżu Sthiss Tor. Po śmierci starej królowej na podstawie wnikliwej obserwacji całej dwudziestki wybierano jedną, która miała zasiąść na tronie. Pozostałe dziewiętnaście zabijano. To było brutalne, ale słuszne z politycznego punktu widzenia. Decydującymi czynnikami przy elekcji był wygląd i zachowanie. W ten sposób istniały jednakowe szansę wyboru geniusza lub idiotki. Tym razem trafiła im się inteligentna królowa. Oczywiście była piękna. Salmissara zawsze jest piękna. Naturalnie była odpowiednio zmanierowana, jako że jej życie zależało od tego. Była jednakże na tyle sprytna, by ukrywać swą inteligencję, poczucie humoru i silną osobowość - dopóki nie wstąpiła na tron. Wyobrażam sobie, jak wściekli byli eunuchowie, gdy odkryli jej prawdziwą naturę - w każdym razie byli wystarczająco wściekli, by planować jej usunięcie.

Lubiłem ją. Była inteligentną młodą kobietą, która w tej sytuacji radziła sobie, jak mogła najlepiej. Jak wspomniała, rozliczne narkotyki, które zażywała, aby zachować swój wygląd, czyniły ją bezpłodną, ale miała już gotowe rozwiązanie tego problemu. Zawsze zastanawiałem się, co by się wydarzyło, gdyby wyszła za mąż. To mogłoby zmienić bieg historii w tej części świata.

Zmitrężyłem w jej pałacu kilka tygodni, po czym, raczej z żalem, ruszyłem dalej. Moja gospodyni wspinałomyślnie wypożyczyła mi swą

królewską łódź i dla odmiany z fasonem popłynąłem Rzeką Węża ku wodospadom w jej górnym biegu.

Gdy barka dotarła do wodospadów, zszedłem na północny brzeg i ruszyłem wijącym się przez góry szlakiem do Maragoru.

Z wielką ulgą opuściłem mokradła Nyissy. Po pierwsze, nie musiałem ciągle uważać na węże, a po drugie, pozbyłem się towarzyszącej mi uparcie chmury moskitów. Sam nie wiem, co było gorsze. W górach powietrze było chłodniejsze, a las się przerzedził. Zawsze lubiłem góry.

Miałem nieco kłopotów na granicy z Maragorem. Maragowie nadal praktykują ów rytualny kanibalizm, o którym opowiadał mi Beldin, i strażnikom granicznym podróżni kojarzyli się z pożywieniem. Bez większego problemu jednak przekonałem ich, że nie smakowałbym za dobrze, a następnie ruszyłem na północny wschód, w kierunku stolicy, Mar Amon.

Zdaje mi się, że wspominałem już o pewnych osobliwościach kultury Maragów, ale podejrzewam, że w tym momencie należy dodać więcej szczegółów. Bóg Mara był wielkim miłośnikiem fizycznego piękna. W przypadku kobiet sprawa była prosta; były lub nie były urodziwe. Jednakże mężczyzna na miano pięknego musiał sobie zapracować. Piękno męskiego ciała wymaga rozwoju mięśni, więc Maragowie wiele czasu spędzali na podnoszeniu ciężkich przedmiotów nad głowy. Po jakimś czasie jednak zaczęło im się to nudzić. Posiadanie góry mięśni nie ma wielkiego sensu, jeśli do niczego ich nie używasz. Mężczyźni wynaleźli więc różnego rodzaju zawody - biegi, skoki, rzuty różnymi rzeczami, pływanie i tym podobne. Niestety, na pewnym etapie rozwoju mięśnie zaczęły ściskać głowę i redukować wielkość mózgu. Z czasem wszyscy mężczyźni Maragów byli piękni niczym marmurowe posągi - i niemal równie inteligentni. Absolutnie nie byli w stanie zatroszczyć się o siebie, więc kobiety musiały przejąć sprawy w swe ręce. One były właścicielkami wszystkich nieruchomości i zapewniały utrzymanie swym zdzieciniałym mężczyznom. Organizowały też dla nich zawody lekkoatletyczne.

Wśród Maragów było wiele więcej kobiet niż mężczyzn, ale nie stanowiło to żadnego problemu, jako że tamtejsi mężczyźni byliby marnymi mężami. Maragowie doskonale sobie radzili bez instytucji

małżeństwa. Byli szczęśliwi, cieszyli się życiem, cechowała ich uprzejmość i wielkoduszność. Zdawali się niezdolni do zazdrości i irracjonalnej zaborczości typowej dla innych kultur.

Myślę, że tyle wystarczy. Z jakichś powodów Polgara nigdy nie miała najlepszej opinii o Maragach i moje dalsze wywody dostarczyłyby jej jedynie pretekstu do gderania.

Jeszcze tylko jedno. Maragowie nie mieli władcy. Zamiast tego mieli Radę Matriarchalną - dziewięć kobiet w średnim wieku, zapewne mądrych, które podejmowały wszystkie decyzje. Było to nieco nietypowe rozwiązanie, ale sprawdzało się całkiem dobrze.

Maragor położony jest w przyjemnej, żyznej rzecznej dolinie, w południowej części Gór Tomedrańskich. Występują tam wyjątkowo bogate złoża minerałów, a rwące potoki spływające do doliny, w której żyli Maragowie, wymywały z pokładów najrozmaitsze minerały i liczne kamienie szlachetne. Dla niewprawnego oka diamenty, szafiry i szmaragdy wydają się zwykłymi kamieniami. Jednakże złoto wyraźnie widać na dnie każdego strumienia w Maragorze. Maragowie nie zwracali na nie uwagi. Prowadzili handel wymienny i w znacznej mierze byli samowystarczalni, zatem nie byli szczególnie zainteresowani handlem z innymi narodami. Tym samym nie potrzebowali pieniędzy. Ich pojęcie piękna opierało się na fizycznej atrakcyjności, więc nie dbali o posiadanie drogocennych ozdób. Po wyeliminowaniu pieniędzy i biżuterii złoto traci na znaczeniu. Jest zbyt miękkie i ciężkie, żeby miało praktyczne zastosowanie.

Jednak nie umknęło mojej uwadze. Zamarudziłem trochę w swej podróży od granicy do stolicy i udało mi się zebrać sporą sakiewkę samorodków. Trudno przejść obok, gdy w zasięgu wzroku leżą całe sterty złota.


Była już jesień, gdy dotarłem do Mar Amon, pięknego miasta leżącego kilka lig na zachód od wielkiego jeziora w centrum Maragoru. Udałem się do świątyni Mary i przedstawiłem się arcykapłance. Oczywiście, byli i kapłani, ale tak jak w całym Maragorze mężczyźni

odgrywali zdecydowanie mniejszą rolę. Arcykapłanka była wysoką, przystojną kobietą po czterdziestce i nazywała się Terell. Po krótkiej rozmowie zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie interesuje jej świat zewnętrzny. To był fatalny w skutkach słaby punkt cywilizacji Maragów. Żadne miejsce nie jest na tyle izolowane, by można było ignorować resztę świata - szczególnie jeśli strumienie płyną tam złotem.


Pomimo faktu, że nie posiadałem góry mięśni i byczego karku, kobiety z Mar Amon uznały mnie za atrakcyjnego. Być może zawdzięczam to po części mojej sławie. Tamtejsi mężczyźni mogli się poszczycić co najwyżej zwycięstwem w jakichś zawodach, a ich zdolności konwersacyjne ograniczały się do niezbędnego minimum. Kobiety zaś, jak pewnie zauważyliście, lubią rozmawiać, podobnie jak ja.

Dryfowałem po Mar Amon, a wiele z rozmów, które zacząłem od „dzień dobry” rzuconego maraskiej kobiecie zamiatającej się, ciągnęło się przez kilka tygodni. Kobiety Maragów były szczodre i przyjazne, więc zawsze miałem co jeść i gdzie spać.

Jest wiele rzeczy, które można robić, aby oderwać swój umysł od kłopotów. Spróbowałem jednego z nich w Camaar i nie wyszło mi to na dobre. Ten, którego spróbowałem w Maragu, nie był aż tak wyniszczający, ale końcowy rezultat był pewnie podobny. Nadmierna zmysłowość potrafi wyjałowić umysł niemal w równym stopniu co pijaństwo. Jednakże nie jest tak zabójcza dla wątroby.



Lepiej nie ciągnijmy tego dalej.



W Mar Amon spędziłem dziewięć lat. Cały ten czas znajdowałem się w pewnego rodzaju otępieniu. Po kilku latach byłem już po imieniu ze wszystkimi kobietami w mieście.

Potem, pewnej wiosny, przybył Beldin. Jadłem właśnie śniadanie w kuchni pewnej miłej kobiety, gdy wkuśtykał przez drzwi z pochmurną miną.

- Co ty wyprawiasz, Belgaracie? - zażądał wyjaśnienia.

- Właśnie jem śniadanie A jak to wygląda?

- Moim zdaniem żyjesz w grzechu.

- Mówisz jak Ulgo, Beldinie. Definicja grzechu zmienia się w zależności od kultury. Maragowie nie uważają tych nieformalnych związków za grzeszne. Jak udało ci się mnie znaleźć?

- To nie było trudne - warknął. - Zostawiłeś za sobą bardzo wyraźny ślad. - Podeszedł do stołu i usiadł na krześle. Moja gospodyni bez słowa przyniosła mu śniadanie. - W Camaar jesteś już legendą - mówił dalej, spoglądając na mnie spod oka. - Nigdy nie widzieli, by ktoś upijał się tak jak ty.

- Już tego nie robię.

- Tak, ale zauważyłem, że znalazłeś sobie inną rozrywkę. Budzisz we mnie odrazę. Na sam twój widok robi mi się niedobrze.

- No to nie patrz.

- Muszę. To nie był mój pomysł. Dla mnie mógłbyś utopić się w tanim piwsku lub tarzać z każdą napotkaną kobietą. Szukałem cię, bo mnie po ciebie wysłano.

- Przekaż Aldurowi moje przeprosiny. Powiedz mu, że przeszedłem na emeryturę.

- Doprawdy? Nie możesz przejść na emeryturę, ty śmieciu. Zgłosiłeś się na ochotnika i nie możesz teraz wycofać się tylko dlatego, że żal ci samego siebie.

- Odejdź, Beldinie.

- Nie, Belgaracie. Mistrz przysłał mnie, bym zabrał cię do Doliny, i mam zamiar wykonać jego polecenie, choćbyś nie chciał. Możemy to załatwić po dobroci lub nie. To już zależy tylko od ciebie. Możesz wrócić ze mną dobrowolnie - w jednym kawałku - lub zabiorę cię z powrotem w strzępach.

- Możesz mieć z tym trochę roboty, bracie.

- Nie myślę. Sądząc po tych wszystkich głupstwach, jakie wyprawiałeś z sobą po drodze, nie zostało ci już nawet tyle zdolności, by zdmuchnąć świeczkę. A teraz przestań rozczulać się nad sobą i wracaj do domu, gdzie twoje miejsce - powiedział i wstał.

- Nie - odparłem i również wstałem.

- Budzisz wstręt, Belgaracie. Naprawdę sądzisz, że te minione dwanaście lat rozpusty i deprawacji cokolwiek zmieniły? Poledra nadal nie żyje, twoje córki nadal są w Dolinie, a na tobie nadal spoczywa odpowiedzialność.

- Przekażę ją tobie, bracie. Rozkoszuj się nią.

- Chyba lepiej zaczynamy.

- Co zaczynamy?

- Walkę - odparł i walnął mnie z całej siły w brzuch.

Beldin jest wyjątkowo silny i jego cios rzucił mnie na drugi koniec pokoju. Leżałem na podłodze, dysząc i usiłując złapać oddech, a on przykuśtykał i kopnął mnie w żebra.

- Możemy to ciągnąć przez cały tydzień, jeśli chcesz - warknął, po czym ponownie mnie kopnął.

Moje zasady uległy poważnemu nadwątleniu po latach tego, co nazwał rozpustą i deprawacją, ale nie aż tak, abym naszą wymianę poglądów zmienił w coś poważniejszego, on o tym wiedział. Dopóki jedynie kopał i rozdzielał razy, mogłem odpowiadać tylko tym samym. W końcu udało mi się wstać i przez chwilę okładaliśmy się nawzajem. Osobliwe, ale poprawiło to moje samopoczucie i myślę, że Beldin wiedział, iż tak będzie. Wreszcie padliśmy na podłogę, na wpół wyczerpani.

Z ogromnym wysiłkiem przekręcił swe zdeformowane ciało i uderzył mnie.

- Zdradziłeś swego Mistrza! - rzucił mi w twarz, po czym uderzył ponownie. - Zdradziłeś Poledrę! - dorzucił i podbił mi oko. - Zdradziłeś swe córki! - Po tych słowach, dowodząc zdumiewającej zwinności jak na leżącego na podłodze, kopnął mnie w pierś. - Zdradziłeś pamięć Belsambara i Belmakora! Jesteś nie lepszy od Zedara! - Ponownie podniósł potężną pięść.

- Przestań - powiedziałem, podnosząc drżącą rękę.

- Masz dosyć?

- Najwyraźniej.

- Wrócisz ze mną do Doliny?

- Zgoda, skoro to dla ciebie takie ważne.

Beldin usiadł.

- Wiedziałem, że w końcu się ze mną zgodzisz. Mają tu coś do picia?

- Pewnie tak, ale nie ręczę za jakość. Nie piłem od opuszczenia Camaar.

- To musi cię chyba niezłe suszyć.

- Nie powinienem o tym myśleć.

- Nie martw się, nie jesteś jak inni pijacy. Piłeś w Camaar ze szczególnego powodu. Ale masz to już za sobą. Po prostu nie wpadaj w nałóg.

Kobieta, której kuchnię właśnie roznieśliśmy na strzepy, przyniosła nam po kuflu piwa. Mnie wydawało się paskudne, ale Beldinowi smakowało. I to chyba niezgorzej, bo wypił jeszcze trzy. Ja nawet nie skończyłem pierwszego. Nie miałem ochoty ponownie wchodzić na tę drogę. Chciałbym, abyście wiedzieli, że przez te wszystkie wieki więcej czasu spędziłem, trzymając kufel w dłoni, niż pijąc z niego. Ludzie mogą sobie wierzyć, w co chcą, ale ja zaliczyłem już dość rynsztoków jak na jedno życie.

Następnego ranka przeprosiliśmy gospodynię za wszystkie zniszczenia i ruszyliśmy do Doliny. Pogoda była ładna, więc postanowiliśmy iść piechotą. Nie było szczególnego pośpiechu.

- Co słyhać? - zapytałem Beldina, gdy odeszliśmy nieco od Mar Amon.

- Angarakowie przeprowadzają się lądowym przejściem - odparł.

- Tak, wiem. Salmissara mówiła mi o grupach zwiadowczych.

- To już coś więcej. O ile wiem, wszyscy mieszkańcy Cthol Mishrak są już na drugim brzegu. Najpierw przeszli żołnierze i ruszyli wzdłuż wybrzeża. Zbudowali fortecę u ujścia jednej z tych rzek, które spływają do Morza Wschodu. Nazwali swą twierdzę Rak Goska, a o sobie mówią „Murgo”. Nadal są Angarakami, ale zdaje się, że czują potrzebę odróżnienia się od tych, którzy pozostali w Mallorei.

- Niezupełnie. Nauczyłeś się w końcu języka staroangarackiego?

- Nie traciłem czasu na martwe języki, Belgaracie.

- On nie jest zupełnie martwy. Ludzie w Cthol Mishrak mówią jego zniekształconą wersją. W każdym razie „Murgo” oznacza szlachcica lub wojownika w staroangarackim. Najwyraźniej ci Murgo w Cthol Mishrak należeli do arystokracji.

- A co oznacza „Thull”?

- Chłopa pańszczyźnianego lub wieśniaka. U Angaraków to niewielka różnica. Powinieneś to wiedzieć, Beldinie. Spędziłeś w Mallorei więcej czasu ode mnie.

- Nie byłem tam w celach towarzyskich. Druga fala Angaraków osiedliła się na północ od Murgów. Nazywają siebie Thullami i zaopatrują Murgów w żywność. Trzecia fala ruszyła na tereny dawnej wschodniej Alorii - do tej wielkiej puszczy. Nazywają się Nadrakami.

- Mieszczanie - przetłumaczyłem mu. - Klasa kupców. Czy Alornowie robią coś w tej sprawie?

- Nie bardzo. Trochę ich rozproszyłeś. Cherek mówi o wyprawie na wschód, ale nie ma dostatecznej liczby ludzi. Algar niewiele mógłby zrobić, ponieważ Wschodni Szaniec blokuje mu dostęp do tej części kontynentu

- Trzeba będzie skontaktować się z Mistrzem po powrocie do Doliny. Ta migracja ma bardzo określony cel. Dopóki Angarakowie pozostawali w Mallorei, nie stanowili problemu. Osiedlają się po tej stronie Morza Wschodu, aby sprowadzić Grolimów. Może powinniśmy przepędzić tych Murgów, Nadraków i Thullów tam, skąd przyszli.

- Kolejna wojna?

- Jeśli będzie trzeba. Nie chcemy chyba Grolimów na tym kontynencie, jeśli można temu zapobiec.

- Zdumiewające - powiedział.

- Co?

- Twój umysł nadal pracuje. Myślałem, że zniszczyłeś go doszczętnie w ciągu tych ostatnich kilkunastu lat.

- Byłem tego bliski. Jeszcze kilka lat w Camaar i pewnie by się udało. Piłem wszystko, co mi wpadło w rękę.

- Słyszałem. Co w końcu przekonało cię do trzeźwości?

- Mistrz złożył mi wizytę. Szybko po tym wytrzeźwiałem i opuściłem Camaar. Wędrowałem przez Arendię i Tolnedrę - wiesz o tym, skoro mnie tropiłeś. Czy miałeś kłopoty z Driadami, gdy przechodziłeś przez ich las?

- Nie widziałem żadnej.

- Może to była zła pora roku. Mnie zdecydowanie przeszkodziły w podróży.

- Tak?

- Przechodziłem tamtędy w porze ich godów.

- To musiało być podniecające

- Nie bardzo. Rozmawiałeś z Salmissarą przy okazji pobytu w Sthiss Tor?

- Krótko. W Sthiss Tor panowało wielkie zamieszanie. Ktoś wyrznął wszystkich wyższych rangą eunuchów.

Roześmiałem się zadowolony.

- Wspaniała dziewczyna!

- O czym ty mówisz, Belgaracie?

- Ta Salmissarą miała rozum. Jednakże popełniła błąd pozwalając, by eunuchowie dowiedzieli się o tym. Planowali ją zamordować, a ja podpowiedziałem, jak tego uniknąć. Dostała wszystkich?

- Z tego, co słyszałem, tak.

- Pewnie dlatego zajęło jej to tyle czasu. Jest bardzo sumienną młodą damą. A co porabia Torak w Ashabie? Salmissara powiedziała, że tam się przeniósł.

- Słyszałem, że doznaje religijnych uniesień. Od ponad dziesięciu lat pogrążony jest w rodzaju ekstazy. Bełkocze coś bez sensu. Urvon nakazał grupie Grolimów spisywać każde jego słowo. Nazywają te majaczenia Wyrocznią Ashabińską. Prawdę powiedziawszy, w ostatnich czasach aż roi się od obłądu. Kilka mil na zachód od Boktoru Dras trzyma szaleńca przykutego łańcuchami do słupa, a skrybowie skrzętnie notują każde słowo biedaka.

- To dobrze. Kazałem mu tak robić. Mistrz, tuż przed odejściem, powiedział mi, że wskazówki będzie przekazywał nam w prorocत्वach, a nie jak dotychczas - bezpośrednio. To jest Wiek Prorocत्वa.

- Mówisz jak Dal.

- Najwyraźniej Dalowie wiedzą coś, czego my nie wiemy. Myślę, że będzie nam potrzebna kopia tego zapisu, który kazał sporządzić Dras. Trzeba też powiadomić pozostałe królestwa, aby zwracano baczniejszą uwagę na szaleńców. - Na chwilę umilkłem. - Jak się mają dziewczynki? - zapytałem, starając się, aby zabrzmiało to zupełnie zwyczajnie.

- Są starsze. Długo cię nie było.

- Mają już chyba po dziesięć lat.

- Dokładnie trzynaście. Zimą obchodziły urodziny.

- Miło będzie je znowu zobaczyć.

- Nie spodziewaj się ciepłego przyjęcia, Belgaracie. Być może Beldaran ucieszy się na twój widok, ale ulubieńcem Pol zdecydowanie nie jesteś.

Czas pokazał, że było to delikatnie powiedziane.

Opuściliśmy Maragor i przez Góry Tolnedrańskie przeszliśmy do Doliny. Nie spieszyliśmy się szczególnie. Po uwagach mego brata na temat Polgary z pewną obawą oczekiwałem spotkania z nią - całkiem słusznie, jak się okazało.

Przez te wszystkie lata włości tęskniłem za spokojem Doliny i gdy zesliśmy z gór, spłynęło na mnie uczucie głębokiego spokoju. Ze wzruszeniem spoglądałem ponownie na nasz dom. Bolesne wspomnienia nadal tam oczywiście były i choć upływ czasu przytłumił je i złagodził, raz po raz przeszywał mnie ostry ból.

Pod nieobecność Beldina moje córki przeprowadziły się do bliźniaków. Nadzieje, jakie rokowała w niemowlęctwie Beldaran, spełniły się w większym stopniu, niż oczekiwałem. Pomimo swych trzynastu lat była zapierającą dech w piersiach piękną. Włosy, koloru lnu, miała długie i gęste. Na widok jej twarzy serce zamierało z zachwytem, a ruchy miała wdzięczne jak gazela.

- Ojczy! - zawołała, gdy znalazłem się na szczycie schodów. Głos miała głęboki i dźwięczny. Podbiegła i rzuciła mi się w objęcia. Natychmiast pożałowałem tych straconych dwunastu lat. Przyplływ miłości do niej niemal mnie przygniótł. Staliśmy zamknięci w uścisku, a łzy spływały nam po twarzach.



- No, no, stary wilku - odezwał się z przekąsem inny głos. - Widzę, że w końcu postanowiłeś wrócić na miejsce zbrodni.

Drgnąłem, potem westchnąłem, wypuściłem z objęć Beldaran i odwróciłem się, by spojrzeć w twarz Polgarze.





Beldaran była najpiękniejszą dziewczyną, jaką widziałem, ale Polgara, mówiąc delikatnie, wyglądała jak straszdyło. Ze skołtunionych, ciemnych włosów sterczały gałązki i liście. Była wysoka, szczupła i niemal tak brudna jak Beldin. Nogi miała w strupach, a brudne paznokcie u rąk poobgryzane do skóry. Całe lata trwało, nim oduczyła się ich obgryzania. Białe pasemko włosów na skroni było ledwie widoczne z powodu brudu. Odniosłem wrażenie, że cały jej wygląd był wynikiem świadomego działania. Polgara była spostrzegawcza i z pewnością dostrzegła, że urodą nie dorównuje siostrze. Z jakiegoś powodu zdawała się schodzić jej z drogi, a siebie starała się uczynić możliwie najwstrętniejszą. Wspaniale jej się to udawało.


Tak, wiem. Dojdziemy do jej przemiany we właściwym czasie. Nie ponagłajcie mnie.


Jednak to nie jej wygląd sprawiał, że nasze spotkanie było tak niemiłe. Beldin wychował Polgarę i Beldaran. Mojej młodszej córce udało się jakimś cudem nie przejąć jego sposobu mówienia, w odróżnieniu od Polgary. Tej udało się to znakomicie.

- Miło cię znowu widzieć, Polgaro - pozdrowiłem ją, starając się, aby zabrzmiało to naturalnie.

- Doprawdy? Spróbujmy to więc naprawić. Czyżby przestali w Camaar warzyć piwo? Dlatego opuściłeś to miejsce?

Westchnąłem. Zapowiadało się paskudnie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy się najpierw pocałować, nim do tego przejdziemy? - zaproponowałem.

- Nic ci z tego nie przyjdzie, starcze. Nie lubiłam cię od pierwszego wejrzenia, a ty ostatnio nie zrobiłeś niczego, abym zmieniła zdanie.

- Z tym już koniec.

- Oczywiście... na razie, dopóki nie zwietrzysz zapachu piwa lub nie zobaczysz w pobliżu spódniczki.

- Ty jej opowiadałeś? - zapytałem Beldina.

- Nie - odparł. - Pol miała własne sposoby śledzenia tego, co robiłeś.

- Zamknij się, wujku - warknęła na niego. - Ten zapijaczony dureń nie musi o tym wiedzieć.

- Mylisz się, Pol - powiedziałem. - Ten zapijaczony dureń powinien o tym wiedzieć. Jeśli posiadasz dar, potrzebna ci będzie nauka.

- Nie od ciebie, ojcze. Niczego od ciebie nie potrzebuję. Czemu nie wrócisz do Camaar lub do Lasu Driad? Zbliża się już czas parzenia. Będziemy z Beldaran wprost zachwycone posiadaniem hordy półludzkich siostrzynek.

- Uważaj, co mówisz, Pol.

- Dlaczego? Jesteśmy ojcem i córką. Powinniśmy być zawsze względem siebie całkowicie szczerzy. Flirtowałeś już z trollem albo eldrakiem? To dopiero mogłoby być podniecające.

Poddałem się i usiadłem na krześle.

- No dalej, Pol - powiedziałem. - Dogodź sobie.

Jestem pewny, że sobie dogodziła. Całe lata cyzelowała te cięte uwagi i miała dryg do ich wygłaszania. Pozostawienie dziewczynek pieczy Beldina pewnie było błędem, gdyż przynajmniej Polgara była bardzo pojętną uczennicą. Od niektórych jej wyzwisk włosy stawały dęba. Dziwne, ale Beldaran nie wydawała się w najmniejszym stopniu zgorzogna językiem swej siostry. Jestem pewny, że rozumiała znaczenie tych słów, ale zdawała się nimi nie przejmować. Być może podzielała zdanie Pol, ale przebaczyła mi. Polgara najwyraźniej nie.

Siedziałem, spoglądając przez okno na zachód słońca, podczas gdy córka ciągnęła dalej swą diatrybę. Po godzinie zaczęła się powtarzać. W każdym języku jest tylko skończona liczba przekleństw. Kilka razy przeszła na język Ulgosów, ale nie miała zbyt dobrego akcentu. Oczywiście poprawiałem ją; poprawianie dzieci należy do obowiązków każdego ojca. Pol nie przyjmowała jednak tego ze szczególną wdzięcznością.

W końcu wstałem.

- To do niczego nie prowadzi - powiedziałem. - Chyba już pójde do domu. Gdy tylko doprowadzę wieżę do porządku, będziecie mogli się do mnie przeprowadzić.

- Nie mówisz tego poważnie!

- Jak najbardziej, Pol. Zaczniij się pakować. Czy ci się to podoba, czy nie, będziemy rodziną. - Uśmiechnąłem się do niej. - Śpij dobrze, Polgaro - dodałem, po czym wyszedłem.

Jeszcze w swojej wieży słyszałem jej krzyki.

Dziewczęta przeprowadziły się w następnym tygodniu. Beldaran była posłusznym dzieckiem i zaakceptowała moją decyzję bez dyskusji. To oczywiście zmusiło i Pol do posłuszeństwa, ponieważ zbyt kochała swoją siostrę, by znieść rozłąkę. Niewiele ją widywaliśmy, ale przynajmniej przeniosła swoje rzeczy do mojej wieży.

Przez resztę lata większość czasu spędziła na gałęziach drzewa rosnącego na środku Doliny. Początkowo myślałem, że w końcu głód sprowadzi ją z powrotem do mojej wieży, ale zapomniałem o przyzwyczajeniach bliźniaków. Zadbali o to, aby Pol nie była głodna.

Postanowiłem wziąć ją na przetrzymanie. W najgorszym razie zima sprowadzi ją do domu. Beldaran zaczęła jednak być przygnębiona. To musiał być bardzo trudny okres dla mojej jasnówłosej córki. Kochała nas i nasza wzajemna niechęć najwyraźniej bardzo ją martwiła. Ubłagała mnie, abym spróbował pogodzić się z jej siostrą. Wiedziałem, że to daremne, ale nie potrafiłem odmówić Beldaran. Westchnąłem więc i poszedłem spróbować raz jeszcze.

Był ciepły, słoneczny, letni poranek. Przez wysoką trawę szedłem ku drzewu. Zdawało mi się, że dookoła fruwało niesamowicie dużo ptaków.

Gdy tam dotarłem, było ich jeszcze więcej. Wokół drzewa aż się od nich roiło - i nie był to tylko jeden gatunek ptaków. Znajdowały się tam drozdy, wróble, skowronki i zięby, a cały ten świergot i szczebiotanie były niemal ogłuszające.

Polgara na wpół leżała w rozwidleniu ogromnej gałęzi, około dwudziestu stóp nade mną. Wokół niej fruwały stada ptaków. Zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem obserwowała, jak się zbliżam.

- O co chodzi, ojciec? - zapytała, gdy znalazłem się u podnóża drzewa.

- Nie sądzisz, że to trwa już dostatecznie długo? - spytałem.

- Co trwa już dostatecznie długo?

- Twoja dziecinada, Pol.

- Mam do tego prawo. Mam tylko trzynaście lat. Będziemy się o wiele lepiej bawić, gdy dorosnę.

- Łamiesz Beldaran serce tymi wygłupami. Bardzo za tobą tęskni.

- Jest silniejsza, niż na to wygląda. Potrafi wytrzymać prawie tyle co ja. - Z roztargnieniem strąciła z ramienia szczebiocącego skowronka. Ptaki wokół niej śpiewały w pełnym uniesienia uwielbieniu.

Postanowiłem spróbować z innej beczki.

- Tracisz wspaniałą okazję, Pol.

- Do czego?

- Z pewnością całe lato układałaś nowe tyrady. Nie bardzo możesz je na mnie wypróbować, tkwiąc na tej gałęzi i ostrząc sobie dziób.

- Do tego dojdziemy później, ojciec. Teraz sam twój widok działa mi na nerwy. Daj mi kilkanaście lat, a może się do ciebie przyzwyczaję.

- Uśmiechnęła się do mnie, uśmiechem ciepłym jak góra lodowa. - Potem porozmawiamy. Mam ci wiele, wiele rzeczy do powiedzenia. Teraz odejdz.

Do dziś nie wiem, jak to zrobiła. Nie usłyszałem ani nie poczułem niczego, ale nagle dźwięki wydawane przez te tysiące ptaków zaczęły być gniewne, przerażające, a one same spłynęły na mnie niczym chmura, dziobiąc mnie i uderzając skrzydłami. Próbowałem opędzić się od nich, ale nie można odgonić tak wielu ptaków. Ptaki śpiewające mogły jedynie dziobać i wrywać mi kępki włosów z głowy i brody, ale jastrzębie to była już całkiem inna sprawa. Oddaliłem się w pośpiechu, goniony drwiącym śmiechem Polgary.

Do wieży Beldina dotarłem już mocno potarמושony.

- Jak daleko zaszła? - zapytałem Beldina.

- Kto jak daleko zaszedł z czym?

- Polgara. Jak wiele potrafi?

- Skąd mam wiedzieć? To dziewczyna, Belgaracie. One nie myślą tak jak my, więc i postępują po swojemu. Co ci zrobiła?

- Napuściła na mnie wszystkie ptaki w Dolinie.

- Wyglądasz na nieco rozdrażnionego. Czym ją tak mocno zdenerwowałaś?

- Poszedłem pod drzewo i powiedziałem, żeby wróciła do domu.

- Rozumiem, że odrzuciła zaproszenie?

- Raczej zdecydowanie. Od jak dawna robi tego rodzaju rzeczy?

- Nie wiem - myślę, że kilka lat. To logiczne.

- Nie bardzo rozumiem.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? Czy nigdy nie zastanawiała cię natura naszego daru?

- Miałem inne rzeczy na głowie.

Beldin przewrócił oczyma.

- Czy widziałeś kiedyś dziecko, które potrafiłoby robić to, co my?

- Nie myślałem o tym, ale skoro wspomniałeś...

- Jak udało ci się tak długo żyć z wyłączonym mózgiem? Zdolności nie ujawniają się przed osiągnięciem pewnego wieku. Zwykle u dziewcząt dzieje się to nieco szybciej niż u chłopców.

- Tak?

- To jest związane z okresem dojrzewania, ty tępaku!

- A co ma do tego dojrzewanie?

Beldin wzruszył ramionami.

- Kto wie? Może dar jest pochodzenia gruczołowego.

- To bez sensu, Beldinie. Co gruczoły mają wspólnego z Wolą i Słowem?

- Być może to rodzaj zabezpieczenia. Dwulatek obdarzony darem mógłby być nieco niebezpieczny. Dar musi być kontrolowany, a to wymaga pewnej dojrzałości. Powinieneś się cieszyć, że tak jest. Polgara

nie bardzo za tobą przepada i jeśli miałyby dar już jako niemowlak, to mogłaby cię zamienić w ropuchę.

Zakląłem.

- W czym problem?

- Muszę ją ściągnąć z tego drzewa. Potrzebna jej nauka.

- Zostaw ją w spokoju. Nie zrobi sobie krzywdy. Wyjaśniliśmy jej z bliźniakami wszystkie ograniczenia. Potrafi jedynie rozmawiać z ptakami.

- Tak. Zauważyłem.

- Może zahaczyłbyś o strumień przed powrotem do domu.

- Po co miałbym to uczynić?

- Cały jesteś w ptasim łąnie i mógłbyś wydać się Beldaran nieco odrażający.

Mistrz złożył mi tej nocy wizytę i udzielił kilku bardzo osobliwych wskazówek. Wyglądało na to, że uważał je za ważne, choć mnie nie wydały się zbyt sensowne.

Jak zauważyła Poledra, niezbyt zręcznie radzę sobie z narzędziami, a wskazówki mego Mistrza wymagały ode mnie wielkiej precyzji. Na szczęście miałem w swej sakiewce sporo srebrnych imperiałów tolnedrańskich, toteż nie musiałem ruszać w góry w poszukiwaniu pokładów rudy. Czyste złoto łatwo znaleźć, ale oczyszczenie rudy srebra z domieszek wymaga sporo pracy.

Samo rzeźbienie nie było zbyt trudne - gdy już nabrałem wprawy w posługiwaniu się maleńkimi narzędziami - ale robienie łańcuchów było bardzo nudne.

Była już jesień, gdy pewnego wieczoru skończyłem ostatnią zapinkę.

- Beldaran - przywołałem swą jasnowłosą córkę.

- Słucham, ojcze - odparła, podnosząc głowę znad szycia. Oczywiście nauczyłem ją czytać, ale wołała szyć.

- Mam coś dla ciebie.

Zbliżyła się do mnie ochoczo.

- Co to jest?

- Masz. - Podąłem jej srebrny amulet.

- Och, ojcie! Jest prześliczny!

- Przymierz.

Założyła go na szyję, zapięła i podbiegła do lustra.

- Wspaniały! - Przypatrzyła się uważnie swemu odbiciu. - To drzewo Polgary, prawda?

- A przynajmniej powinno nim być.

- To pewnie coś oznacza, prawda?

- Prawdopodobnie. Jednak nie jestem pewny co. Mistrz kazał mi je zrobić, ale nic nie wyjaśnił.

- Czy ten jest dla Polgary? To w końcu jej drzewo.

- Drzewo było tu na długo przed Polgarą, Beldaran. - Wyciągnąłem drugi amulet. - Ten jest dla niej.

Beldaran przyjrzała mu się.

- Sowa? To osobliwy prezent dla Pol.

- To nie był mój pomysł. - Bardzo cierpiałem, rzeźbiąc tę sowę. Obudziła wiele wspomnień.



Tak, Durniku, wiem, że mogłem je wyczarować, ale Mistrz kazał mi je wyrzeźbić osobiście.



Wiedziałem, co oznaczał mój amulet, to nie było trudne. Tak często przybierałem postać wilka, że mogłem wyrzeźbić go z zamkniętymi oczyma. Włożyłem go, westchnąłem i zamknąłem zapinkę.

- Ojcie - powiedziała Beldaran, mocując się z zapinką na karku.

- Słucham, kochanie?

- Moja zapinka chyba się popsowała. Nie mogę jej odpiąć.

- I nie powinna, Beldaran. Nie wolno ci zdjąć amuletu.

- Nigdy?

- Nigdy. Mistrz chce, abyśmy zawsze je nosili.

- Czasami może to być trochę niewygodne.

- Myślę, że poradzimy sobie. Jesteśmy rodziną, Beldaran. Amulety mają nam o tym przypominać - między innymi.

- Czy amulet Polgary również się zatrzaśnie?

- Mam nadzieję. Zrobiłem go tak, aby się zamknął.

Beldaran zachichotała.

- Co w tym zabawnego?

- Nie myślę, aby jej się to spodobało, ojcze. Bardzo ją unieszczęśliwisz, zamykając jej coś na szyi.

Mrugnąłem do niej.

- To może lepiej nie mówmy jej o tym, dopóki go nie zapnie.

- Czemuż nie? - odparła, przewracając szelmowsko oczami. Potem znowu zachichotała, zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała.

Następnego ranka poszliśmy z Beldaran pod drzewo, aby dać Polgarze amulet.

- Co mam z nim zrobić?- zapytała.

- Masz go nałożyć - nakazałem.

- Po co?

Zaczynałem mieć tego powoli dość.

- To nie mój pomysł, Pol - rzekłem. - Zrobiłem te amulety, ponieważ Aldur mi kazał. A teraz włóż go i przestań się wygłupiać. Czas, byśmy wszyscy dorośli.

Spojrzała na mnie dziwnie i zapięła amulet na szyi.

- Teraz jest nas troje - powiedziała czule Beldaran.


- Niesamowite - odparła cierpkim tonem Pol. - Umiesz liczyć.

- Przestań być złośliwa - powiedziała Beldaran. - Wiem, że jesteś mądrzejsza ode mnie, Polgaro. Nie musisz mi tego wytykać. A teraz chodź do domu, tam twoje miejsce.


Mógłbym pewnie błagać o to Polgarę bez skutku całe miesiące. Na prośbę Beldaran przystała jednak bez żadnej dyskusji. Wróciliśmy zatem do wieży i zajęliśmy się codziennymi sprawami.

O dziwo, panował względny spokój. Przynajmniej Beldaran udawało się powstrzymać nas od skoczenia sobie do gardeł - a mnie udało się

przekonać Pol, by nosiła amulet, choć znalazła sposób na zapinkę. Moja jasnowłosa córka miała rację. Polgara była o wiele inteligentniejsza od niej. To nie znaczy, że Beldaran była głupia. Po prostu Pol była najinteligentniejszym ze znanych mi ludzi - oczywiście była gderliwa, ale wyjątkowo mądra.



Przykro mi, Pol, ale jesteś. Nie ma się czego wstydzić.



Po powrocie do wieży Pol zajęła się kuchnią. Beltira i Belkira nauczyli ją gotować, a ona to wprost uwielbiała. Była w tym bardzo dobra. Nigdy nie przywiązywałem wielkiej wagi do tego, co jadłem, ale gdy każdy posiłek jest ucztą, zaczyna się zwracać na to uwagę.

Nie oznacza to, że wszystko było słodczą. Czasami dochodziło pomiędzy nami do pyskówek.

Trwało to jakieś trzy lata. W owym czasie udało nam się wypracować sposób zachowania względem siebie, którego, lepiej lub gorzej, przestrzegaliśmy przez trzy tysiące lat. Ona zręcznie komentowała moje różne przyzwyczajenia, a ja jej uwagi na ogół ignorowałem. Nie krzyczeliśmy na siebie i rzadko przeklinaliśmy. Nie dlatego, że nie mieliśmy czasami na to ochoty, ale nauczyliśmy się kontrolować swoje zachowanie ze względu na Beldaran.

Krótko po szesnastych urodzinach dziewczynek Aldur znowu mnie odwiedził. Tego wieczoru dość poważnie posprzeczał się z Pol. Zaczęło się od tego, że wspomniałem, iż czas, by nauczyła się czytać. Nie uwierzcie, jak bardzo poczuła się tym dotknięta.

- Nazywasz mnie głupią? - zapytała tym swoim głębokim głosem, i od tego się zaczęło. Do dziś nie wiem, co ją tak rozzłościło.

W każdym razie poszedłem do łóżka w podłym nastroju i spałem niespokojnie.

- *Belgaracie, mój synu.* - Oczywiście znałem ten głos.

- Słucham, Mistrzu?

- *Twój ród połączy się z rodem Strażnika Klejnotu Aldura.*

- Czy to Konieczność, Mistrzu?

- Tak, mój ukochany uczniu. To największe wyzwanie, jakie kiedykolwiek przed tobą postawiłem. Z połączenia twego rodu z rodem Rivańskiego Króla wywiedzie się ostatecznie Dziecko Światła. A zatem dokonaj wyboru, którą ze swych córek oddasz Rivańskiemu Królowi za żonę, albowiem z połączenia tych dwóch rodów więź zostanie wysnuta niewidoczna, która połączy mą Wolę z Wolą mego brata Belara, a Torak nie będzie mógł zatriumfować nad nami.

Kusiło mnie. Bóg wie jak bardzo mnie kusiło, ale wiedziałem, kto będzie żoną Rivy. Opisał mi ją ze wszystkimi szczegółami tego dnia, gdy wykuwaliśmy mu miecz. Nie miała ciemnych włosów.

Beldaran z zachwytem przyjęła moją decyzję.

- Król? - wykrzyknęła.

- Praktycznie chyba tak. Jednak nie wiem, czy Riva myśli o sobie w ten sposób. Nie bardzo zajmują go ceremonie i widowiska.

- Jak wygląda?

Wzruszyłem ramionami.

- Wysoki, ciemnowłosy, niebieskie oczy. - Podeszedłem do umywalki i napełniłem miednicę wodą. - Podejź - powiedziałem. - Pokażę ci go - dodałem i utworzyłem na powierzchni wody obraz twarzy Rivy.

- Jest wspaniały! - pisnęła, po czym zmrużyła nieco oczy. - Czy musi nosić brodę?

- Jest Alornem. Większość Alornów nosi brody.

- Może uda mi się go przekonać.

Reakcja Polgary była nieco osobliwa

- Czemu wybrałaś Beldaran? - zapytała.

- Prawdę powiedziawszy, to nie ja - odparłem. - To Riva - lub za niego dokonano wyboru. Marzy o niej od czasu przybycia na Wyspę Wiatrów. To pewnie Belar ukazał Rivie we śnie twarz Beldaran. Belar ma słabość do blondynek.

- To niedorzeczne, ojczu. Masz zamiar wydać moją siostrę za kompletnie obcego człowieka.

- Będą mieli dość czasu, aby się poznać.

- Ile lat ma ten Alorn?

- Nie wiem - pewnie jest po trzydziestce.

- Masz zamiar wydać Beldaran za starca?

- Trudno nazwać trzydziestopięciolatka starcem, Pol.

- Dla ciebie, skoro sam masz ze trzydzieści pięć tysięcy lat.

- Nie. Prawdę powiedziawszy, cztery.

- Co?

- Mam cztery tysiące lat, Pol, nie czterdzieści tysięcy. Nie pogarszaj jeszcze sprawy.

- Kiedy ta niedorzeczność ma mieć miejsce?

- Musimy najpierw udać się na Wyspę Wiatrów. Potem dojdzie do ślubu. Alornowie nie przepadają za długim okresem narzeczeństwa.

Polgara wypadła z wieży, mrużąc pod nosem przekleństwo.

- Miałam nadzieję, że będzie cieszyć się razem ze mną - westchnęła Beldaran.

- Oswoi się z tym, kochanie. - Starłem się, aby zabrzmiało to przekonująco, ale poważnie wątpiłem, czy mi się udało. Trudno było nakłonić ją do zmiany zdania, gdy raz wbiła sobie coś do głowy.





Sprawy być może przybrałyby lepszy obrót, gdybyśmy mogli wyruszyć natychmiast, ale nadal była zima, a ja nie miałem zamiaru ciągnąć córek w nie pogodę. Beldaran wykorzystała czas oczekiwania na szycie swej sukni ślubnej. Jednakże Polgara ponownie przeniosła się na drzewo i uparcie odmawiała nawet rozmowy z nami.

W miesiąc po podjęciu przeze mnie decyzji do Doliny przybył kuzyn Rivy, Anrak, z jeszcze jednym Alornem.

- Hej, Belgaracie! - pozdrowił mnie niesforny Anrak. - Czemu jeszcze tu jesteś?

- Ponieważ nadal jest zima.

- Ależ nie jest wcale taka sroga. Riva z niecierpliwością wyczekuje spotkania z dziewczyną, którą ma poślubić.

- Jak się o tym dowiedział?

- Miał kolejny z tych swoich snów.

- Rozumiem. Kim jest twój przyjaciel?

- Nazywa się Gelheim. Można powiedzieć, że jest artystą. Riva pragnie mieć portret swej narzeczonej.

- Przecież wie, jak wygląda. Śnił o niej przez ostatnie piętnaście lat.

Anrak wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że woli się upewnić, czy wybrałaś właściwą.

- Nie sądzę, aby Belar i Aldur pozwolili mi popełnić pomyłkę.

- Nigdy nie wiadomo. Czasami Bogowie są trochę dziwni. Masz coś do picia?

- Poznam cię z bliźniakami. Robią niezłe piwo. Są Alornami, więc znają się na rzeczy.

Beldaran i Anrak natychmiast przypadli sobie do gustu, ale z Polgarą było gorzej. Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Anrak wpadł do mnie po śniadaniu.

- Myślałem, że masz dwie córki - powiedział do mnie kuzyn Rivy.

- Tak, mam - odparłem. - Polgara trochę się na mnie gniewa; mieszka na drzewie.

- Chyba nie ma dobrze w głowie. Czy jest podobna do swojej siostry?

- Nie za bardzo.

- Myślałem, że są bliźniaczkami.

- To nie zawsze oznacza, że wyglądają tak samo.

- Gdzie jest to jej drzewo?

- Rośnie pośrodku Doliny.

- Pójdę tam i rzucę na nią okiem. Skoro Riva się żeni, to może i ja bym się ożenił.

Beldaran zachichotała.

- Co w tym zabawnego, śliczna? - zainteresował się. Tak właśnie lubił ją nazywać.

- Moja siostra nie należy raczej do tych, które wychodzą za mąż, Anraku. Możesz jej to zaproponować, jeśli chcesz, ale patrz, byś miał dokąd uciekać, gdy już to uczynisz.

- Chyba nie jest aż tak niezdolna.

Beldaran ukryła uśmiech i wskazała mu drogę do drzewa. Gdy Anrak wrócił do wieży, wyglądał na nieco wstrząśniętego.

- Nieprzyjazna - zauważył oględnie. - Czy zawsze jest tak brudna?

- Moja siostra nie jest miłośniczką kąpieli - odparła Beldaran.

- Nie jest również szczególną zwolenniczką dobrych manier. Pewnie dałoby się ją domyc, ale z tą jej niewyparzoną buzią mógłby być kłopot. Nie jestem nawet pewny, co niektóre z tych słów znaczą.

- Co jej takiego powiedziałaś? - zapytała Beldaran.

- Byłem szczery - odparł Anrak, wzruszając ramionami. - Powiedziałem, że zwykle wszystko robimy z Rivą razem, więc skoro on się żeni, ja również mógłbym - a skoro ona nie jest z nikim

związana... - Podrapał się po brodzie. - Tyle udało mi się powiedzieć. - Wyglądał na nieco urażonego. - Nie przywykłem, by ludzie śmiali się ze mnie. To była absolutnie uczciwa propozycja. Nie zaproponowałem jej niczego nieprzystojnego. - Przeszedł przez pokój, by spojrzeć w zwierciadło Beldaran. - Czy coś jest nie tak z moją brodą? - zapytał. - Mnie wydaje się w porządku.

- Polgarą nie przepada za brodami, Anraku - wyjaśniłem.

- Nie musiała jednak zachowywać się tak obraźliwie. Czy naprawdę przypominam czającego się w krzakach szczura?

- Polgarą czasami przesadza - powiedziała Beldaran. - Trzeba się do niej przyzwyczać.

- Nic by z tego nie było - uznał. - Nie mam zamiaru cię obrażać, Belgaracie, ale nie wychowałeś jej zbyt dobrze. Jeśli rzeczywiście postanowię się ożenić, to raczej wybiorę sobie jakąś miłą Alornkę. Czarodziejki są dla mnie trochę za skomplikowane.

- Czarodziejka?

- Tak chyba nazywa się waszą rasę?

- To jest zawód, Anraku, nie rasa.

- Nie wiedziałem.

Gelheim narysował kilka portretów Beldaran, a następnie zaczął szykować się do powrotu.

- Powiedz Rivie, że przybędziemy wiosną - powiedział mu Anrak.

Gelheim kiwnął głową. W ponury dzień u schyłku zimy ruszył w drogę powrotną. Był prawie tak małomówny jak Algar.

Anrak większość czasu spędzał w wieży bliźniaków. Zaszedł do mnie jednak pewnego dnia i opowiedział mi o postępach Rivy przy wznoszeniu Dworu Rivańskiego Króla.

- Prawdę powiedziawszy, jest trochę zbyt wystawny jak na mój gust - skrytykował. - Nie dlatego, że ma tyle ozdóbek, ale jest okropnie wielki. Nie myślałem, że Riva jest taki pyszny.

- Wypełnia polecenia - wyjaśniłem. - Dwór Rivańskiego Króla został wzniesiony dla ochrony Klejnotu Aldura, nie dla ludzi, którzy w nim

mieszkają. Zdecydowanie nie chcielibyśmy, aby Klejnot wpadł w ręce Toraka.

- To nie grozi, Belgaracie. Musiałby najpierw uporać się z Drasem i Algarem, a wojenna flota Chereka patroluje Morze Wiatrów. Jednooki może wyruszyć z wielką armią, ale niewiele z niej zostanie po dotarciu do Wyspy.

- Nie zaszkodzi przedsięwziąć kilku dodatkowych środków ostrożności.

Miesiąc później pogoda w końcu poprawiła się i zaczęliśmy przygotowania do podróży.

- Gotowi już jesteśmy do drogi? - zapytała Beldaran pewnego pięknego wiosennego popołudnia.

- Chyba nie musimy zabierać z sobą mebli - powiedział Beldin nieco zgrzyźliwie. Beldin nie lubił podróżować z bagażami.

- Pójdę więc po Polgarę - zaproponowała.

- Ona nie zechce z nami jechać, Beldaran - oznajmiłem.


- Oczywiście, że pojedzie. - W głosie mojej córki zabrzmiała niecodzienna stanowczość.

- Wiesz przecież, że nie pochwała tego małżeństwa.


- To jej problem. Będzie na moim ślubie, czy jej się to podoba, czy nie. - Łatwo było nie docenić Beldaran z powodu jej pogodnego i miłego usposobienia. Rzadko rozkazywała, głównie dlatego, że nie musiała. Kochaliśmy ją tak bardzo, że zwykle dostawała to, co chciała, bez specjalnych zabiegów. Jednakże, gdy któreś z nas weszło jej w drogę, potrafiła być bardzo stanowcza. Była nieco zawiedziona, że bliźniacy z nami nie pojadą, ale ktoś musiał zostać w Dolinie, a Belkira i Beltira nie czuli się najlepiej w towarzystwie obcych.

Dużo bym dał za to, by usłyszeć rozmowę moich córek, gdy Beldaran poszła ściągnąć Pol z drzewa. Żadna z nich nie chciała o tym mówić. Jednakże Polgara, choć nieco markotna, wyruszyła z nami.

Poszliśmy skrajem wschodniej granicy Ulgołandu, w owych czasach wszyscy tak robili. Beldin pełnił rolę zwiadowcy. Nie spodziewaliśmy się kłopotów, ale on nie przepuszczał żadnej okazji do latania.



Ciekaw jestem, jak radzi sobie z Vellą. Ona nie ma już co prawda swoich sztyletów, ale wyobrażam sobie, że dziób i szpony doskonale je zastępują.



Pogoda tego roku była szczególnie dobra. Na przełęczach śnieg w większości już stopniał. Po dotarciu do Muros, Anrak ruszył przodem.

- Polecenie Rivy - wyjaśnił. - Po dotarciu na wybrzeże mam mu zaraz przesłać wiadomość. Przyłynie na spotkanie do Camaar.

- Naprawdę uważasz, że bezpiecznie zabierać ojca z powrotem do Camaar? - spytała Polgara z cieniem złośliwości w głosie. Obie córki zachowywały się w Muros trochę nerwowo. Zapominałem, że nigdy przedtem nie opuszczały Doliny i obecność obcych ludzi trochę je denerwowała. W owych czasach Muros jeszcze za bardzo nie przypominało miasta, ale i tak było tam więcej ludzi, niż kiedykolwiek widziały moje córki.

Wynajęliśmy powóz i z fasonem pojechaliśmy w kierunku wybrzeża. Po dotarciu do Camaar nie odwiedziłem dzielnicy portowej. Wynajęliśmy pokoje w jednym z lepszych zajazdów w głównej części miasta i wysłałem Beldina na poszukiwanie Anraka.

- Riva już w drodze - zapewnił nas, gdy Beldin przyprowadził go do naszego zajazdu. - Pewnie postawił całe akry żagli. Nie może doczekać się spotkania z tobą, śliczna.

Beldaran oblała się rumieńcem.

- Obrzydliwe - mruknęła Polgara.

Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie. Niezadowolenie Polgary z powodu zbliżającego się ślubu siostry było chyba całkiem naturalne. Moje córki łączyły więzy, których nawet nie próbowałem zrozumieć. Polgara chyba była dominującym bliźniakiem, ale to ona odruchowo mówiła w liczbie mnogiej, co jest zwykle typowe dla podległej siostry. Nawet dzisiaj, jeśli ktoś będzie na tyle nieuprzejmy, aby zapytać, ile ma lat, prawdopodobnie odpowie coś w rodzaju: „Mamy około trzech tysięcy lat”. Beldaran dawno już odeszła z grona żywych, ale nadal snuje się po świecie Polgary.

Myślę, że pewnego dnia będę musiał z nią o tym porozmawiać. Spojrzenie na świat kogoś, kto nigdy tak naprawdę nie był sam, może być bardzo interesujące.

Potem do Camaar przybył Riva. Jestem pewny, że mieszkańcy miasta od razu go zauważali. Jednakże to nie siedem stóp wzrostu zwracało uwagę. Chodziło raczej o sposób, w jaki się poruszał. Kroczył prosto ku Beldaran, nie bacząc na nic i na nikogo. Widywałem już poprzednio zakochanych, ale nikogo tak jak Riva.

Gdy wszedł do pokoju w zajeździe - Beldin był na tyle szybki, by otworzyć przed nim drzwi, zanim Riva ich nie staranował - spojrzał na mą jasnowłosą córkę i już było po nim.

Beldaran wyuczyła się małej przemowy, ale gdy ujrzała twarz Rivy, natychmiast wszystkiego zapomniała.

Nie powiedzieli do siebie ani słowa! Czy spędziliście kiedykolwiek całe popołudnie w jednym pokoju z ludźmi wpatrującymi się w siebie w milczeniu?

W końcu zaczęło to być krępujące, więc zamiast na nich patrzyłem na Polgarę. A było na co popatrzeć. W tym pokoju tyle było emocji, że powietrze zdawało się od nich gęste. Początkowo Polgara patrzyła na Rivę z nie skrywaną wrogością. Był rywalem i nienawidziła go z całego serca. Stopniowo jednakże siła absolutnego uwielbienia, z jakim Riva i Beldaran na siebie patrzyli, zaczęła robić na niej wrażenie. Na twarzy Polgary mogą się nie malować żadne uczucia, ale nie potrafi kontrolować wyrazu swych oczu. Przyglądałem się migotliwym blaskom we wspaniałych oczach, były odbiciem walczących w niej uczuć. Zmieniały barwę od stalowoszarej po fioletową. Polgara nie należy do tych, którzy łatwo się poddają. W końcu jednak wydała przeciągłe westchnienie i w jej oczach pojawiły się dwie wielkie łzy. Najwyraźniej uświadomiła sobie, że przegrała. Nie była w stanie konkurować z miłością swej siostry i Rivańskiego Króla.

W tym momencie poczułem przyływ sympatii. Podeszedłem do niej i ująłem jej brudną dłoń.

- Może wyszlibyśmy się trochę przewietrzyć, Pol? - zaproponowałem delikatnie.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, kiwnęła w milczeniu głową i wstała. Z godnością wyszliśmy z pokoju.

Poprowadziłem ją na balkon, który znajdował się na końcu korytarza.

- No cóż - odezwała się niemal neutralnym tonem - to chyba przesądza sprawę?

- To było przesądzone już dawno temu, Pol - powiedziałem. - Oto jedna z owych Konieczności. Tak musiało być.

- Wszystko się zawsze do tego sprowadza, prawda, ojczcze?

- Do Konieczności? Oczywiście, Pol. Wiąże się z tym, kim jesteśmy.

- Czy nigdy nie jest łatwiejsze?

- Nie zauważyłem.

- No cóż, mam nadzieję, że będą szczęśliwi. - Byłem z niej tak dumny, że duma niemal rozsadzała mi pierś.

Nagle Pol odwróciła się do mnie.

- Och, ojczcze! - zawołała z rozpaczliwym szlochem. Przytuliła się do mnie w nagłym ataku płaczu.

Tuliłem ją do siebie, powtarzając: „Dobrze już, dobrze”. To najgłupsze, co pewnie można powiedzieć w tej sytuacji, ale nic lepszego nie udało mi się wymyślić.

Po jakimś czasie opanowała się i zaczęła pociągać nosem, co nie było szczególnie przyjemnym dźwiękiem

- Wytrzymaj nos w chusteczkę - poleciłem.

- Zapomniałam zabrać.

Nie myśląc wiele, zrobiłem jej jedną i podałem.

- Dziękuję - powiedziała i wytarła nos i zapłakane oczy. - Czy jest tu łaźnia?

- Myślę, że tak. Zapytam właściciela zajazdu.

- Będę wdzięczna. Myślę, że już czas się umyć. Nie mam chyba powodu, by dalej być brudaską?

Nie pomyślałem o tym.

- Może kupiłbyś mi jakąś stosowną suknię, ojczcze? - zaproponowała.

- Oczywiście, Pol. Coś jeszcze?

- Może jeszcze grzebień i szczotkę. - Przyjrzała się krytycznie jednemu ze swych splątanych loków. - Zdaje się, że muszę coś zrobić z włosami.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć. Chciałabyś też wstążkę?

- Nie bądź śmieszny, ojczy. Nie jestem straganem jarmarcznym. Niepotrzebne mi dekoracje. Idź rozmówić się z oberzystą. Naprawdę muszę wziąć kąpiel. A tak przy okazji, to ma być prosta suknia. To Beldaran wesele, nie moje. Będę w swoim pokoju.

Załatwiłem jej łaźnię i poszedłem poszukać Anraka. Razem z Beldinem siedzieli w piwiarni na parterze zajazdu.

- Poszukaj mi krawca - poprosiłem.

- Co takiego?

- Polgara chce mieć nową suknię.

- A co złego jest w tej, którą ma?

- Anraku, nie dyskutuj ze mną, po prostu zrób to. Chce mieć również grzebień i szczotkę. Krawiec powinien wiedzieć, gdzie je można dostać.

Anrak spojrział posepnie na swój na wpół opróżniony kufel.

- Teraz, Anraku.

Alorn westchnął i wyszedł.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Beldin.

- Polgara zmieniła zdanie. Nie chce już przypominać porzuconego ptasiego gniazda.

- Co ją do tego skłoniło?

- Nie mam najmniejszego pojęcia i nie chcę jej o to pytać. Jeśli chce wyglądać jak dziewczyna, to jej sprawa.

- Jesteś w osobliwym humorze.

- Wiem - odparłem, po czym podskoczyłem i zapiąłem radośnie.

Następnego ranka wszyscy oniemieliśmy na widok wchodzącej do pokoju Polgary. Prosta suknia, którą włożyła, była oczywiście błękitna. Pol niemal zawsze ubierała się na niebiesko. Długie, ciemne

włosy miała gładko zaczesane do tyłu i związane na karku. Teraz gdy była czysta, zobaczyliśmy, że ma bardzo jasną cerę, podobnie jak jej siostra, i że jest oszałamiająco piękna. Jednakże najbardziej zaskoczył nas jej sposób bycia. Już wówczas, mając raptem szesnaście lat, miała iście królewskie maniery.

Riva i Anrak wstali i skłonili się jej nisko. Potem Anrak westchnął.

- O co chodzi? - zapytał go kuzyn.

- Zdaje się, że popełniłem błąd.

- To nic nowego.

- Ale tego będę chyba żałował. Może miałbym szansę u lady Polgary, gdybym był bardziej uparty. Dolina to odludne miejsce, więc nie było innych starających się. Obawiam się jednak, że teraz jest już za późno. Gdy tylko dopłyniemy do Rivy, wszyscy młodzieńcy na Wyspie uderzą do niej w konkury.

Pol obdarzyła go ciepłym spojrzeniem.

- Czemu pozwoliłeś, by ci się wymknęła? - zapytał Riva.

- Widziałeś chyba, jak wczoraj wyglądała?

- Prawdę powiedziawszy, nie. Miałem co innego w głowie.

Beldaran zarumieniła się. Oboje mieli co innego w głowach.

- Proszę nie poczytać mi tego za obrazę, lady Polgaro - zwrócił się Anrak do mej starszej córki.

- Bez obawy, Anraku - odparła.

Zdawała się oczarowana pomysłem zwracania się do niej „lady Polgaro”. Teraz prawie wszyscy na świecie tak się do niej zwracają, ale myślę, że nadal robi jej się cieplej na sercu za każdym razem, gdy to słyszy.

- No cóż - zaczął Anrak, ostrożnie dobierając słowa - gdy po raz pierwszy ujrzałem lady Polgarę, jej widok budził dość mieszane odczucia. Myślę, że jest czarodziejką jak jej ojciec. Oczywiście on jest czarodziejem, nie czarodziejką, ale rozumiecie, co mam na myśli. Czarodzieje to bardzo tajemniczy ludzie, a ona pewnie myślała nad czymś przez kilka milionów lat i...

- Mam tylko szesnaście lat, Anraku - poprawiła go delikatnie Pol.

- No tak, wiem, ale dla was czas ma inne znaczenie. Możecie go przecież zatrzymać i ruszyć ponownie, kiedy tylko chcecie, prawda?

- Możemy, ojczy? - zapytała mnie z ciekawością.

- Nie wiem. - Spojrzałem na Beldina. - Możemy?

- No cóż, teoretycznie pewnie tak - odparł. - Kiedyś omawialiśmy tę sprawę z Belmakorem, ale uznaliśmy, że to nie najlepszy pomysł. Można by poplątać czas - jeden czas w jednym miejscu i inny w drugim. Prawdopodobnie bardzo trudno byłoby przywrócić porządek, a nie można by tego po prostu tak sobie zostawić.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłbyś w dwóch miejscach jednocześnie.

- A co w tym złego?

- To byłby paradoks, Belgaracie. Nie byliśmy pewni z Belmakorem, jaki to by mogło mieć wpływ na wszechświat - mogłoby rozerwać go na strzępy lub spowodować jego zniknięcie.

- Nie spowodowałoby.

- Nie miałem zamiaru sprawdzać.

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc, jak bardzo niezrozumiałe jest dla nas ich zachowanie - powiedział Anrak do swego kuzyna. - W każdym razie lady Polgara pofrunęła na drzewo i oddawała się tam czarodziejskim sprawom. Zaproponowałem jej, że mógłbym się z nią ożenić - skoro jej siostra miała wyjść za ciebie, a bliźnięta lubią robić wszystko razem. Zdaje się jednak, że ten pomysł niezbyt przypadł jej do gustu, więc nie nalegałem. Szczerze mówiąc, nie wyglądała zbyt schludnie, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem. - Przerwał, spoglądając na Pol z pewną konsternacją.

- Byłam w przebraniu, Anraku - przysłała mu z pomocą Pol.

- Doprawdy? Po co?

- To jedna z tych czarodziejskich spraw, o których wspomniałeś.

- Ach, jedna z tych. To było bardzo dobre przebranie, lady Polgaro. Wyglądałaś, pani, absolutnie paskudnie.

- Nie posuwałabym się za daleko, Anraku - poradziła mu Beldaran. - Może zjedlibyśmy śniadanie i zaczęli się pakować? Bardzo chcę zobaczyć swój nowy dom.

Jeszcze tego samego dnia postawiliśmy żagle. Do miasta Rivy przybyliśmy dwa dni później. Wszyscy mieszkańcy czekali na nas na brzegu - prawdę powiedziawszy, czekali na Beldaran. Nie myślę, aby Rivańczycy byli zbyt zainteresowani widokiem moim czy Beldina, ale naprawdę pragnęli zobaczyć swą nową królowę. Riva osłaniał ją troskliwie. Nie chciał, aby ktokolwiek za bardzo się nią zachwyił.

Jestem pewny, że zrozumieli, o co chodzi - przynajmniej gdy chodziło o Beldaran. W końcu było jeszcze kogo podziwiać.

- Lepiej spraw sobie maczugę - mruknął do mnie Beldin.

- Co takiego?

- Maczugę, Belgaracie - solidna pałka ze zgrubieniem na końcu.

- A po co mi maczuga?

- Ślepy jesteś, Belgaracie. Przyjrzyj się Polgarze, a potem spójrz na twarze tych wszystkich młodych Alornów stojących na plaży. Wierz mi, będzie ci potrzebna maczuga.

Nie sięgnąłem po nią wprawdzie, ale dołożyłem wszelkich starań, aby nie spuszczać Pol z oczu podczas pobytu na Wyspie Wiatrów. Zdaje się, że byłbym o wiele spokojniejszy, gdyby Pol jeszcze jakiś czas pozostawała w swoim kokonie. Oczywiście byłem z niej dumny, ale jej zmieniony wygląd czynił mnie bardzo nerwowym. Choć młoda i niedoświadczona, najwyraźniej oczarowała młodzieńców na Wyspie.


Miałem całkiem prostą strategię. Siadałem na widoku i patrzyłem groźnie. Nosilem jedną z tych idiotycznych białych szat, którymi zwykle obdarzali mnie ludzie, i trzymałem długą laskę - podobnie jak czyniłem to w Arendii i Tolnedrze. Cieszyłem się wśród Alornów niezłą reputacją, którą podnosiły jeszcze te absurdalne przejawy dostojeństwa, co wydatnie pomogło zrozumieć im moje stanowisko. Młodzi Rivańczycy byli przesadnie grzeczni i uprzejmi - co było w porządku. Ale nie zaciągali Polgary w ciemne kąty - co nie byłoby w porządku.

Pol, oczywiście, świetnie się bawiła. Nie była właściwie zalotna, ale często uśmiechała się, a nawet od czasu do czasu wybuchała głośnym


śmiechem. Przykro to mówić, ale podejrzewam, że znajdowała przyjemność w tym, iż dziewczęta najczęściej wychodziły z pokoju, w którym ona przyjmowała adoratorów. Wołały nie okazywać publicznie zżerającej je zazdrości.

Przebywaliśmy już około tygodnia na Dworze Rivańskiego Króla, gdy do portu wpłynęły okręty Chereka. Pozostali alornscy królowie przybywali na ślub Rivy.

Ucieszył mnie widok Chereka i jego synów, choć nie mieliśmy zbyt wielu okazji do rozmów. Pol zapewniała, że sama potrafi o siebie zadbać, ale wołałem nie ryzykować.



Tak, Polgaro, byłem zazdrosny. Czyż ojcowie nie powinni być zazdrośni? Wiedziałem, co chodzi tym młodzikom po głowach, i nie miałem zamiaru zostawić cię z nimi sam na sam.



Kilka dni po przybyciu Chereka i jego synów przyszedł do mnie Beldin. Byłem tam, gdzie zwykle, oczywiście z groźną miną, a Polgara zajmowała się łamaniem serc.

- Lepiej porozmawiaj z Cherekiem - powiedział do mnie.
- O co chodzi?
- Ślub Rivy może podsunąć Drasowi i Algarowi pewne pomysły.
- Jakie pomysły?
- Dorośnij w końcu, Belgaracie. Pomimo uczucia łączącego Rive i Beldaran, jest to polityczne małżeństwo.
- Religijne, prawdę powiedziawszy.
- To to samo. Dras i Algar już zaczynają rozmyślać o korzyściach, jakie wiązałyby się z poślubieniem Polgary.
- To śmieszne!
- To nie ja o tym myślę, więc nie mnie oskarżaj o śmieszność. Prędzej czy później jeden z nich pójdzie do Chereka i poprosi, by z tobą na ten temat porozmawiał. Wówczas on z kolei uda się do ciebie z pewną

propozycją. Lepiej uprzedź go, nim sam postawi cię w kłopotliwej sytuacji. Nadal potrzebujemy Alornów.

Zakląłem i wstałem.

- Mógłbyś popilnować Polgary?

- Czemu nie?

- Uważaj na tego wysokiego blondyna. Pol poświęca mu nieco zbyt dużo uwagi, według mnie.

- Zajmę się tym.

- Nie rób mu niczego na stałe. Jest synem wodza klanu, a Wyspa jest trochę za ciasna na wojnę klanów - dodałem i ruszyłem na poszukiwania Chereka.

Trochę naciągnąłem prawdę, mówiąc mu, że Aldur polecił, bym zatrzymał Polgarę przy sobie w Dolinie i że przez jakiś czas nie powinna wychodzić za męża. Gdy już jednak przeciągnąłem na swoją stronę ich ojca, Dras i Algar mogli prosić, o co chcieli. Nie wystąpi w roli swatki.

Cherek postarzał się od czasu naszej wyprawy do Mallorei. Włosy i brodę przyprószyła mu siwizna, a jego oczy nie miały już tak wesołego wyrazu. Powiedział mi, że Nadrakowie węższą wzdłuż wschodniej granicy królestwa Drasa, a Murgowie zeszli ze Wschodniego Szańca i zapuszczają się w głąb Algarii.

- Pewnie powinniśmy ich do tego zniechęcić - powiedziałem.

- Dras i Algar już o to dbają - odparł. - Z technicznego punktu widzenia nadal jesteśmy w stanie wojny z Angarakami, więc możemy usprawiedliwić pewne akty stanowczości, gdyby sprawa kiedykolwiek trafiła do sądu.

- Chereku, my mówimy o polityce międzynarodowej. Nie ma żadnych praw i nie ma żadnych sądów.

Cherek westchnął

- Świat robi się coraz bardziej cywilizowany, Belgaracie - stwierdził posępnie. - Tolnedranie cały czas próbują narzucić nam jakieś drobne ograniczenia.

- Jakie?

- Usiłowali wymusić na mnie zgodę na wyjęcie spod prawa tego, co nazywają „piractwem”. Czy słyszałeś kiedyś coś równie śmiesznego? Na pełnym morzu nie obowiązują żadne prawa. To, co tam się dzieje, nie jest czyjąkolwiek sprawą. Po co wciągać w to sędziów i prawników?

- Tolnedranie już tacy są. Powiedz Drasowi i Algarowi, aby poszukali sobie żon gdzie indziej, dobrze? Polgara na razie nie wchodzi w grę.

- Wspomnę im o tym.

W tamtych czasach kalendarz alornski był trochę mało dokładny. Alornowie liczyli lata, ale nie zawracali sobie głowy nadawaniem nazw miesiącom, jak to czynili Tolnedranie. Śledzili jedynie zmiany pór roku, więc nie potrafię podać wam dokładnej daty ślubu Rivy i Beldaran. Odbył się około trzech tygodni po przybyciu jego ojca i braci. Gdzieś na dziesięć dni przed ślubem Polgara skończyła z kampanią łamania serc i wraz z Beldaran oddała się absolutnemu szaleństwu szycia strojów. Z pomocą kilku życzliwych alornskich dziewcząt gruntownie przerobiły ślubną suknię Beldaran, a potem zabrały się za przygotowanie odpowiedniej sukni dla siostry panny młodej. Beldaran zawsze lubiła szycie, ale zamiłowanie Pol do tej czynności datuje się od tamtego okresu. Szycie daje zajęcie kobiecym palcom, ale zostawia im pod dostatkiem czasu na rozmowy. Nie jestem pewny, o czym te damy wówczas rozmawiały, ponieważ zawsze milkły, gdy wchodziłem do pokoju. Najwyraźniej były to sprawy, którymi kobiety nie lubią dzielić się z mężczyznami. Polgara udzielała chyba swej siostrze rozlicznych rad odnośnie życia w małżeństwie - aczkolwiek nie mam najmniejszego pojęcia, skąd wiedziała o tych sprawach. Ile informacji mogła w końcu zdobyć, przesiadując na drzewie w otoczeniu ptaków?

Ostatecznie nadszedł szczęśliwy dzień. Riva był bardzo zdenerwowany, ale Beldaran wydawała się spokojna. Uroczystość odbyła się na Dworze Rivańskiego Króla - w sali tronowej Rivy. Sala tronowa pewnie nie jest najlepszym miejscem na ślub, ale Riva upierał się, wyjaśniając, że chciałby wziąć ślub w obecności Klejnotu, a w świątyni Belara miecz u boku, byłby trochę nie na miejscu. Oto cały Riva.

Ze ślubami wiąże się całe mnóstwo tajemniczych obrządków, których znaczenie dawno już poszło w zapomnienie. Pan młody powinien na miejsce ślubu przybyć pierwszy, w otoczeniu gromadki krzepkich przyjaciół, którzy stanowczo rozprawiliby się z każdym, kto sprzeciwiłby się ślubowi. Riva miał ich oczywiście pod dostatkiem. Jego ojciec, bracia i kuzynowie, wszyscy w błyszczących kolczugach, otaczali go tłumnie przed wejściem do dworu. Zdecydowanie jednak zabrałem Drasowi jego topór i przypasałem mu miecz w pochwie. Dras łatwo się unosił, a ja nie chciałem, aby zaczął rąbać gości weselnych, demonstrując, jak bardzo kochał swego młodszego brata.

W końcu wszyscy się usadowili. Ucichły pobrzękiwania kolczug. Wówczas, za sprawą Beldina, rozległy się fanfary oznajmiające przybycie panny młodej. Beldin bezgranicznie uwielbiał Beldaran i trochę przesadził. Jestem niemal pewny, że mieszkańcy Tol Honeth, oddalonego o setki mil na południe, przestali się na moment oszukiwać, by zapytać: „Co to było?”, gdy powietrzem sali tronowej wstrząsnął dźwięk tysięcy srebrnych trąbek. Po fanfarach rozległ się chór stłumionych kobiecych głosów - pewnie kilkuset - szemrających hymn na cześć panny młodej. Ongiś Beldin przez kilka dobrych stuleci studiował muzykę i ten hymn robił wielkie wrażenie, ale utwór o tak złożonej harmonii był dla mnie trochę za skomplikowany. Odziani w zbroje Alornowie otworzyli z rozmachem wielkie wrota Dworu Rivańskiego Króla i Beldaran, cała w bieli, stanęła w środku wejścia. Wiem, że był to dokładnie środek, ponieważ wymierzałem go osiem razy i wyciąłem w kamiennej posadzce znak, który tam pewnie nadal jest. Beldaran, blada jak księżyc, stała w sklepionym łukowo wejściu, a wszyscy Alornowie odwrócili się, wyciągnęli szyje i utkwili w niej spojrzenia.

Rozległo się bicie ogromnego dzwonu. Po ślubie szukałem go, ale nigdzie nie mogłem znaleźć.

Wtem moją młodszą córkę oblało ciepłe, białe światło, które z każdą chwilą robiło się coraz bardziej intensywne.

Polgara, otulona błękitnym aksamitnym płaszczem, podeszła i ujęła mnie pod rękę.

- Ty to robisz? - zapytała mnie, wskazując głową blask oświetlający jej siostrę.

- To nie ja, Pol - odparłem. - Właśnie chciałem zapytać, czy to twoja sprawka.

- Może to wujek Beldin.

Poruszyła lekko ramionami i płaszcz miękko opadł z nich, ukazując suknię. Na jej widok niemal zaparło mi dech w piersiach Beldaran była cała w bieli i jaśniała niczym błądź płomień w smudze światła, która bez wątpienia była ślubnym prezentem od zabawnego staruszka na rozklekotanym wozie. Polgara była cała w błękitach. Jej suknia opadała z ramion w fałdach i skomplikowanych marszczeniach, a rękawy i dekolt kończyły się śnieżnobiałymi koronkami. Idealnie pasowała, nie pozostawiając wątpliwości, że Polgara była dziewczyną. Ta błękitna suknia była niczym załamująca się fala, a Polgara wynurzała się z niej jak bogini wychodząca z morza.

Staralem się, jak mogłem najlepiej, panować nad swymi emocjami.

- Ładna sukienka - wydusiłem przez zaciśnięte zęby.

- Ta staroć? - powiedziała lekceważąco, dotykając od niechcienia jednej z koronek. Potem roześmiała się ciepłym, gardłowym śmiechem, który zabrzmiał bardzo dorosło jak na jej wiek, i pocałowała mnie. Nigdy dobrowolnie tego przedtem nie robiła i zaskoczyła mnie tym tak bardzo, że nawet nie usłyszałem dzwonów bijących w mej głowie na alarm.

Stanęliśmy po obu stronach panny młodej, ujęliśmy ją pod ręce i dostojnie, powolnym, odmierzonym krokiem doprowadziliśmy naszą ukochaną Beldaran do uwielbianego przez nią Króla Wyspy Wiatrów.

W głowie aż roilo mi się od różnych myśli, toteż nie przysłuchiwałem się zbyt uważnie ceremonii zaślubin odprawianej przez najwyższego kapłana Belara. Jeśli słuchałeś jednej ślubnej ceremonii, to tak jakbyś słyszał je wszystkie. W pewnym momencie zdarzyło się jednak coś niezwykłego.

Klejnot mego Mistrza zaczął jarzyć się intensywnym błękitnym blaskiem, niemal dokładnie takiego samego koloru jak suknia Polgary. Wszyscy ogromnie się cieszyliśmy ze ślubu Beldaran i Rivy, ale

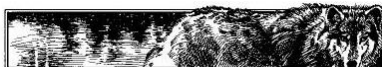
wydawało mi się, że Polgara wywarła na Klejnocie o wiele większe wrażenie niż jej siostra. Mógłbym się założyć, że to, co widziałem potem, zdarzyło się naprawdę, choć nikt poza mną nie przyznał, by cokolwiek widział. Być może dlatego dałem się przekonać, że widywałem już rzeczy, których naprawdę nie było. Klejnot, jak mówiłem, rozjarzył się, ale zawsze to czynił, gdy Riva był w pobliżu, więc nie było w tym nic niezwykłego.

Niezwykłe było to, że Polgara również zaczęła świecić. Zdawał się od niej bić delikatny bladobłękitny blask, ale jej biały lok na skroni nie był jasny, tylko intensywnie błękitny.

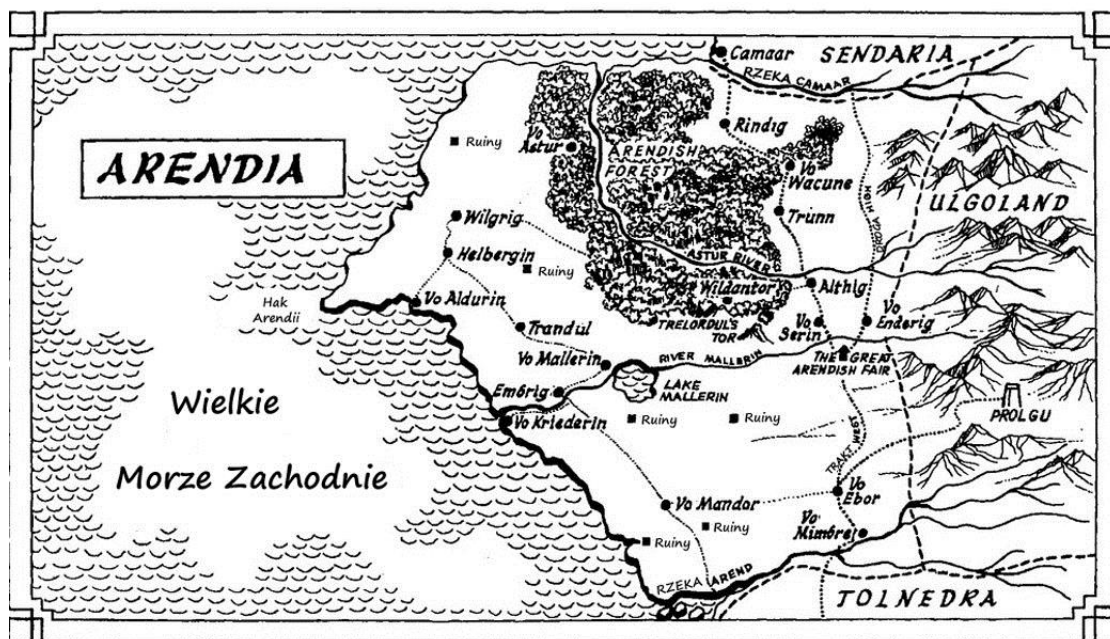
A potem zdawało mi się, że usłyszałem delikatny trzepot skrzydeł dobiegający z głębi sali. To właśnie sprawiło, że zacząłem podawać w wątpliwość swe zdrowe zmysły.

Zdawało się jednak, że Polgara również to usłyszała, ponieważ odwróciła się.

I z głębokim szacunkiem i miłością skłoniła się nisko, z zapierającą dech w piersiach gracją, przed mglistym wizerunkiem śnieżnobiałej sowy, siedzącej na krokwi Dworu Rivańskiego Króla.



Część czwarta - Polgara.





Przestańcie mi już, u licha, suszyć głowę. Jasne, powinienem zdawać sobie sprawę, że dzieje się coś bardzo osobliwego. Postawcie się jednak w mojej sytuacji. Pamiętajcie, że śmierć Poledry niemal przyprawiła mnie o utratę zmysłów. Ktoś, kogo trzeba przykuwać do łóżka łańcuchami, ma problemy. Potem jakieś trzy lata marynowałem swój mózg w portowych tawernach Camaar, a przez następne dziewięć lat zabawiałem damy w Mar Amon i przez cały ten czas widywałem wiele rzeczy, których naprawdę nie było. Tak się do tego przyzwyczailem, że przestałem zwracać na to uwagę, traktując wszystko jako przywidzenia. Zdarzenie na ślubie Beldaran nie było przywidzeniem, ale skąd miałem o tym wiedzieć. Wykażcie trochę więcej zrozumienia. To uczyni was lepszymi.



Tak więc Beldaran i Riva pobrali się i byli obłędnie szczęśliwi. Jednakże na świecie działo się wiele innych rzeczy i Beldin zaproponował, że skoro królowie Alornów i tak są na Wyspie Wiatrów, to moglibyśmy wykorzystać okazję i przedyskutować kilka spraw wagi państwowej. Na temat powstania Rady Alornów napisano całą kupę bzdur, oto więc jak naprawdę doszło do jej utworzenia. Tolnedranie od stuleci protestowali przeciwko tym dość nieformalnym corocznym spotkaniom - głównie dlatego, że nie byli na nie zapraszani. Tolnedranie to podejrzliwi ludzie i za każdym razem, gdy docierała do nich wieść o jakiejś naradzie, byli absolutnie przekonani, że spiskowano tam przeciwko nim.

Polgara wzięła udział w naszej naradzie. Początkowo nie bardzo miała na to ochotę, ale byłem nieugięty. Nie mogłem pozwolić, aby włączyła się po twierdzy bez dozoru.

Nie jestem przekonany, by nasza zaimprovizowana narada rzeczywiście wiele osiągnęła. Większość czasu rozmawialiśmy na temat Angaraków. Nikogo z nas nie cieszyła ich obecność po tej stronie Morza Wschodu, ale w danej chwili niewiele mogliśmy na to poradzić. Po prostu odległości były zbyt wielkie.

- Mógłbym zrobić wypad w te lasy na wschód od mokradeł i spalić miasta Nadraków - gruchnął Dras swym tubalnym głosem - ale to byłoby bez sensu. Nie mam tylu ludzi, by zaludnić te pustkowia. Wcześniej czy później musiałbym się wycofać, a wówczas Nadrakowie po prostu znowu wyszliby z lasów i odbudowaliby swoje miasta.

- Czy kontaktowaliście się z nimi? - zapytała Pol.

- Kilka potyczek, to wszystko. - Dras wzruszył ramionami. - Co jakiś czas schodzą z gór, a wtedy ich przepędzamy z powrotem. Nie myślę, aby to było coś poważnego. Pewnie po prostu sprawdzają naszą obronę.

- Miałam na myśli pokojowe kontakty.

- Nie ma czegoś takiego, jak pokojowe kontakty pomiędzy Alornami i Angarakami, Polgaro.

- Może powinny być.

- Uważam, że to wbrew naszej religii.

- Może powinieneś to przemyśleć. Jak rozumiem, Nadrakowie są kupcami. Być może byliby zainteresowani handlem.

- Nie sędzę, by mieli cokolwiek, czego byśmy potrzebowali.

- Ależ wręcz przeciwnie, Drasie. Posiadają informacje na temat Murgów, którzy nas bardzo interesują. Jeśli ktokolwiek miałby przysporzyć nam kłopotów, to właśnie Murgowie. Gdybyśmy od Nadraków wiedzieli, co robią, nie musielibyśmy wyprawiać się do Rak Goska, by samemu to sprawdzać.

- Ona ma rację, Drasie - zwrócił się do swego brata Algar. - Moi ludzie kontaktowali się kilkakrotnie z Thullami, ale od nich nie da się wyciągnąć zbyt wiele. Z tego, co słyszałem, Nadrakowie nie przejmują

się zbytnio Murgami, być może więc nie mieliby nic przeciwko przekazaniu kilku informacji na ich temat.

- Czy rzeczywiście potraficie dostać się do Mishrak ac Thull przez Wschodni Szaniec? - zapytał Cherek z pewnym zaskoczeniem.

- Szaniec przecinają biegnące w dół wąwozy, ojczy - odparł Algar. - Są strome, ale do przejścia. Murgowie patrolują zachodnią granicę Mishrak ac Thull i od czasu do czasu jeden z ich patroli schodzi na równiny Algarii - zwykle, by ukraść konie. Nie podoba nam się to, więc przeganiamy ich z powrotem. - Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu. - Lepiej, by to oni znaleźli dla nas te wąwozy, niż mielibyśmy szukać ich sami.

- To jest myśl - przyznał Dras. - Skoro Murgowie potrzebują koni, to może i ich zainteresowałibyśmy handlem?

Algar pokręcił głową.

- Nie, nie Murgów. Nie w głowie im handel. Jeden z moich wodzów przepytował raz Thulla, który, o dziwo, nawet potrafił odróżnić prawą rękę od lewej. Thull powiedział, że Ctuchik jest w Rak Goska. Dopóki on sprawuje władzę nad społecznością Murgów, nie ma mowy o żadnych pokojowych kontaktach.

- A zatem Pol ma rację - powiedział Beldin. - Trzeba będzie spróbować współpracy z Nadrakami - dodał i spojrzał w sufit. - Nie sądzę, aby ta migracja Angaraków stanowiła jakieś zagrożenie - a przynajmniej jeszcze nie teraz. W Cthol Mishrak nie ma zbyt wielu ludzi, a Ctuchik znacznie ich jeszcze rozproszył. Prawdziwe zagrożenie nadal stanowi Mallorea. Myślę, że wrócę tam i będę miał oko na wszystko. Angarakowie na tym kontynencie to tylko zwiadowcy. Prawdopodobnie przybyli tu po to, aby zbudować składy na zapasy i przygotować punkty wymiany koni. Z ostrzeniem mieczy możecie poczekać, dopóki Malloreanie nie zaczną przeprawiać się na drugi brzeg. Będę pilnie nadstawiał ucha i dam wam znać, gdy wojsko ruszy z Mal Zeth na północ, w kierunku przejścia lądowego.

Polgara przygryzła wargę.

- Chyba warto zacieśnić stosunki z Tolnedranami i Arendami.

- A po co, kochana sestro? - zapytał Riva.

Teraz byli rodziną i machinalnie zwracał się do niej w tej formie. Rodzina jest dla Alornów bardzo ważną sprawą.

- Możemy potrzebować ich pomocy przeciwko Malloreanom.

- Tolnedranie nie pomogą, dopóki im nie zapłacimy - wtrącił Cherek - a Arendowie są zbyt zajęci bratobójczymi walkami.

- Oni również tu żyją, Chereku - zauważyła - i nie sądzę, aby bardziej niż my pragnęli obecności Mallorean na tym kontynencie. Legiony mogłyby być bardzo pomocne, a Arendowie przygotowują się do wojny od czasu, gdy Torak rozłupał świat. Poza tym Chaldan i Nedra pewnie poczuli się urażeni, gdybyśmy wyruszyli na wojnę i nie zaprosili ich na nią.

- Wybacz, Polgaro - zagrział Dras - ale skąd wiesz tyle o polityce? O ile wiem, dopiero po raz pierwszy opuściłaś Dolinę.

- Wujek Beldin informował mnie na bieżąco - odparła, wzruszając lekko ramionami. - Zawsze dobrze jest wiedzieć, co robią sąsiedzi.

- Czy jest sens mieszać w to Nyissan i Maragów? - zapytał Riva.

- Pewnie powinniśmy im to zaproponować - powiedziałem. - Obecna Salmisara to całkiem inteligentna panna i Angarakowie niepokoją ją tak samo jak nas. Maragowie na niewiele się zdadzą. Nie ma ich zbyt wielu, a fakt, iż są kanibalami, mógłby wszystkich zdenerwować.

Beldin wybuchnął swym paskudnym śmiechem.

- No to powiedz im, aby zaczęli zjadać Angaraków. Niech Murgowie się denerwują.

- Lepiej zbierajmy się do domu - zasugerował Cherek, wstając. - Wesele już się skończyło, a skoro Malloreanie mają przybyć, lepiej zacznijmy przygotowywać się na ich powitanie.

Taki mniej więcej był przebieg pierwszej Rady Alornów.

- Czy to zawsze jest takie zabawne? - zapytała Polgara, gdy wracaliśmy do naszej kwatery.

- Zabawne? Czyżbym coś przegapił?


- Polityka, ojciec - wyjaśniła. - Te wszystkie próby odgadnięcia posunięć drugiej strony.


- Zawsze to lubiłem.

- A zatem zdaje się, że naprawdę jesteś moim ojcem. To było o wiele zabawniejsze niż wodzenie za nos młodzieńców i przyprawianie ich o drżenie kolan trzepotem rzęs.

- Jesteś okrutna, Polgaro.

- Cieszę się, że to zauważyłeś, ojcze. Nie byłoby wcale zabawne dostać cię przez zaskoczenie. - Rzuciła mi jeden z tych swoich tajemniczych uśmieszków. - Strzeż się mnie, ojcze - ostrzegła. - Jestem przynajmniej tak niebezpieczna jak ty czy Torak.


Rzeczywiście tak powiedziałas, Polgaro, zatem nie próbuj zaprzeczać.



Rozstanie z Beldaran nie należało do najszcześniejszych momentów w naszym życiu. Miłość do jasnowłosej córki przywróciła mnie do zdrowych zmysłów, a związki Polgary z jej siostrą bliźniaczką były tak złożone, że nawet nie próbowałem ich zrozumieć.

Przed odejściem miałem dłuższą rozmowę z Beldinem.

Obiecał, że będzie informował mnie o tym, co dzieje się w Mallorei, ale motywy jego powrotu tam wydały mi się nieco podejrzan. Miałem wrażenie, że chciał podjąć przerwana dyskusję o rozgrzanych do białości hakach z Urvonem, a może miał nadzieję spotkać Zedara w jakimś ustronnym miejscu. Beldin nie należał do najmilszych ludzi na świecie.

Życzyłem mu powodzenia - szczerze. Ja również nie należę do najmilszych. 'Grat w końcu nie jest miły.

Mój brat opuścił przylądek tuż na południe od portu Rivy i wzbił się do góry, machając leniwie skrzydłami. My z Pol opuściliśmy wyspę w bardziej konwencjonalny sposób. Cherek zabrał nas na wybrzeże Sendarii na jednym ze swych niebezpiecznie wąskich okrętów. Choć sam pomagałem je projektować, to nie lubiłem wojennych okrętów Chereka. Niezaprzeczalnie były szybkie, ale za każdym razem gdy wchodziłem na ich pokład, miałem wrażenie, że zaraz się wywróćą. Jestem pewny, że Silk to rozumie, choć dla Baraka zawsze to będzie niepojęte.

Nie śpieszyliśmy się z powrotem do Doliny. W końcu nie było powodu. W osobliwy sposób ślub Beldaran zaprowadził pokój pomiędzy mną i Pol. Nie rozmawialiśmy o tym, po prostu zwarliśmy szeregi, aby zamknąć lukę, która nagle pojawiła się w naszych życiach. Pol nadal robiła cięte uwagi, ale nie było w nich już poprzedniej zjadliwości.

Był środek lata, gdy dotarliśmy do domu. Pierwszy tydzień spędziliśmy na szczegółowym opowiadaniu bliźniakom o weselu i podbojach Pol. Jestem pewny, że zauważyli zmianę jej wyglądu, ale nie dali tego po sobie poznać.

Potem już na dobre rozgościliśmy się w swej wieży. Pewnego wieczoru, po kolacji, Polgara poruszyła temat, który od dawna chodził mi już po głowie. Jeśli sobie dobrze przypominam, zmywaliśmy właśnie naczynia. Nie przepadam szczególnie za wycieraniem naczyń, ale skoro Polgara to lubiła, nie protestowałem, aby nie zakłócać niełatwego pokoju między nami. Podała mi ostatni, ociekający wodą talerz, wytarła ręce i powiedziała:

- Zdaje się, że czas rozpocząć moją edukację, ojcze. Mistrz marudzi już o tym od jakiegoś czasu.

Niemal upuściłem talerz.

- Aldur też z tobą rozmawia? - zapytałem, jak mogłem najspokojniej.

Spojrzała na mnie figlarnie.

- Oczywiście - odparła, po czym jej spojrzenie przybrało obraźliwie litościwy wyraz. - Daj spokój, ojcze. Czyżbyś chciał powiedzieć, że nie wiedziałeś?

Wiem, że nie powinienem czuć się zaskoczony, ale wychowywałem się w społeczeństwie, w którym kobiety pełniły rolę służby. Oczywiście Polgara to co innego, ale z jakiejś przyczyny znaczenie tego, o czym właśnie mi powiedziała, było absolutnie szokujące. Fakt, że Aldur przybywał do niej w ten sam sposób jak do mnie, był wyznacznikiem określonego statusu, a ja po prostu nie byłem gotów na przyjęcie uczennicy. Chyba jestem na to trochę za staromodny.

Na szczęście miałem tyle rozumu, aby zachować uwagi dla siebie. Skończyłem wycierać talerz, odstawiłem go na półkę i odwiesiłem ścierkę.

- Od czego najlepiej zacząć? - zapytała.

- Pewnie od tego samego co ja. Nie obraż się, Pol, ale musisz nauczyć się czytać.

- Nie możesz mi po prostu powiedzieć tego, co powinnam wiedzieć?

Pokręciłem głową

- Dlaczego?

- Ponieważ nie znam wszystkiego, czego powinnaś się nauczyć. Usiądźmy, Pol, spróbuję ci to wyjaśnić. - Zaprowadziłem ją do tej części wieży, którą przeznaczyłem na prowadzenie swych badań. Nigdy nie pomyślałem o zbudowaniu ścianek działowych we wnętrzu, dlatego było to po prostu jedno duże pomieszczenie, którego poszczególne części przeznaczone były na różną działalność. Usiedliśmy przy dużym stole założonym książkami, zwojami i tajemniczymi częściami jakiejś maszynarii. - Po pierwsze - zacząłem - wszyscy jesteście inni.

- A to ci nowina. Jak to się stało, że nigdy tego nie zauważyłam?

- Mówię poważnie, Pol. To, co nazywamy „talentem”, ujawnia się w każdym z nas na inny sposób. Beldin potrafi robić rzeczy, których ja nawet nie próbowałbym czynić. Pozostali z nas również posiadają szczególne umiejętności. Mogę ci dać podstawy, ale potem będziesz zdana już wyłącznie na siebie. Twoje talenty rozwiną się w zależności od tego, jak pracuje twój umysł. Ludzie paplają o „czarach”, ale większość z tego, co wygadują, jest wierutną bzdurą. Tymczasem wszystko, czym jest bądź może być, to myśl, a każdy z nas myśli inaczej. O to właśnie mi chodziło, gdy powiedziałem, że jesteś zdana tylko na siebie.

- A zatem po co mi czytanie? Skoro jestem taka wyjątkowa, co przydatnego mogłabym znaleźć w twoich książkach?

- To skrót, Polgaro. Choćbyś nie wiadomo jak długo żyła, nie wystarczy ci czasu na odtworzenie myśli, które kiedykolwiek przyszły do głowy wszystkim, którzy żyli. Po to czytamy - aby oszczędzić czas.

- Skąd będę wiedziała, co jest dobre, a co nie?

- Nie będziesz... przynajmniej początkowo. W miarę upływu czasu zaczniesz jednak odróżniać prawdę od fałszu.

- Ale to będzie tylko moja opinia.

- Tak, o to właśnie chodzi.

- A jeśli będę się mylić?

- Musisz podjąć ryzyko. - Usiadłem wygodniej na swym krześle. - Nie ma żadnych prawd absolutnych, Pol. Życie byłoby prostsze, gdyby tak było, ale nie jest.

- Tu cię mam, staruszkule - rzekła z zapałem. Polgara uwielbiała dobre dyskusje. - Są rzeczy, które wiemy na pewno.

- Tak? Wymień którąś.

- Słońce wzejdzie jutro rano.

- Dlaczego?

- Zawsze wschodzi.

- Czy to rzeczywiście oznacza, że zawsze będzie?

Wyraz lekkiego zaskoczenia przemknął jej przez twarz.

- Chyba będzie, prawda?

- Prawdopodobnie, ale nie możemy być tego absolutnie pewni. Kiedy już raz uznasz coś za pewnik, zamykasz na to swój umysł, a umysł zamknięty do niczego nie dochodzi. Wszystko podawaj w wątpliwość, Pol. Na tym polega uczenie się.

- To może zająć więcej czasu, niż myślałam.

- Pewnie tak. Możemy zaczynać?

Pol musiała rozumieć, co robi. Gdy już pojęła, dlaczego umiejętność czytania jest ważna, opanowała ją w zdumiewająco krótkim czasie i im więcej czytała, tym lepiej jej to szło. Być może dzięki jej oczom. Ja potrafię czytać szybciej od innych pewnie dlatego, że umiem uchwycić znaczenie całego wiersza jednym spojrzeniem. Pol w ten sam sposób potrafi zrozumieć cały rozdział. Jeśli kiedykolwiek będziecie mieli okazję obserwować moją córkę z książką w ręku, nie dajcie się zwieść sposobem, w jaki ją leniwie kartkuje. Bo nie kartkuje. Ona w ten sposób czyta, nie opuszczając nawet jednego słowa. Przez całą moją bibliotekę przebrnęła w trochę ponad rok. Potem zabrała się

za księgozbiór Beldina - co było trochę większym wyzwaniem, jako że biblioteka Beldina w owych czasach była pewnie najobszerniejszym księgozbiorem na świecie.

Niestety, Polgara miała zwyczaj głośnego komentowania książek w trakcie czytania. W tym czasie ja zajęty byłem własnymi studiami, a bardzo trudno jest się skoncentrować przy nieustannych okrzykach: „Nonsens!”, „Idiotyzm!” czy nawet „Duby smalone!”

- Czytaj dla siebie! - krzyknąłem na nią pewnego wieczoru.

- Ależ, kochany ojciec - odezwała się słodko - to ty poleciłeś mi tę książkę, więc chyba wierzysz w to, co jest w niej napisane. Ja jedynie próbuję otworzyć twój umysł na możliwość istnienia odmiennej opinii.

Dyskutowaliśmy o filozofii, teologii i naukach przyrodniczych. Spieraliśmy się na temat logiki i prawa. Krzyczeliśmy na siebie przy okazji omawiania etyki i moralności. Nie wiem, czy kiedykolwiek tak dobrze się bawiłem. Za każdym razem zapędzała mnie w kozi róg. Gdy na poparcie swego stanowiska powoływałem się na mądrość płynącą z mego wieku, ona zgrabnie odpierała moje nadęte gadulstwo ostrą jak brzytwa logiką. Teoretycznie to ja ją uczyłem, ale sam przy tym korzystałem równie dużo.

Bliźniacy co i rusz przychodzili z narzekaniami. Mamy z Pol donośne głosy i nie szczydziłszy ich w trakcie dyskusji, a oni nie mieszkali znowu aż tak daleko, więc musieli wysłuchiwać naszych dyskusji - choć nie mieli na to ochoty.

Byłem bardzo zadowolony z jej bystrości, nieco mniejszą radość budziła we mnie rodząca się w niej zarozumiałość. Polgara miała tendencję do przesady. Przez całe dzieciństwo przekornie nie dbała o swój wygląd. Teraz popadła w drugą skrajność. Absolutnie musiała brać kąpiel co najmniej raz dziennie - nawet zimą. Ja zawsze uważałem, że kąpiele zimą są niezdrowe, ale Pol wyśmiała to i zanurzała się po uszy w ciepłej wodzie z pianą przy każdej okazji. Mało tego, zasugerowała, że ja również powinienem częściej się kąpać. Myślę, że miała jakiś wewnętrzny kalendarz, dzięki któremu potrafiła mi powiedzieć - i często to czyniła - jak dawno temu brałem ostatnią kąpiel. Zwykliśmy prowadzić na ten temat długie dyskusje.

Jeśli o mnie chodzi, mogłaby sobie brać kąpiel i pięć razy dziennie. Ona jednak upierała się, by również myć za każdym razem włosy! Pol ma bardzo gęste włosy i w naszej wieży nieustannie było pełno oparów. Zapach wilgotnych włosów nie należy do mych ulubionych. W lecie nie było jeszcze tak źle, ale zimą musiałem po prostu z tym żyć.

Miara przebrała się, gdy przesunęła zwierciadło Beldaran tak, aby mogła oglądać się w nim w czasie czytania. W istocie Polgara wyrosła na równie piękną pannę jak Beldaran, ale doprawdy...

Wyczyniała ze swymi brwiami rzeczy, które wyglądały na bardzo bolesne.

Prawdę powiedziawszy, wiem, że były bolesne. Pewnego ranka obudziłem się, gdy spokojnie pochylona wrywała moje - włoski po włosku. Potem, nadal niezadowolona, zabrała się za moje uszy. Miło być schludnym, ale bez przesady. Włosy w mych uszach mają swe powody, by tam rosnąć. Bronią wstępu owadom i zabezpieczają mózg przed chłodem zimy. Matka Polgary nigdy nie protestowała przeciwko moim owłosionym uszom. Oczywiście Poledra inaczej patrzyła na świat.

Pol poświęcała niezwykle wiele czasu swym włosom.

Czesła je.

Szczotkowała.

Doprowadzała mnie do szaleństwa tymi wszystkimi zabiegami. Tak, wiem, że Polgara ma piękne włosy, ale gdy robi się zimno, zaczynają wydawać trzaski. Spróbujcie sami. Pozwólcie urosnąć włosom aż za pas, a potem wyszczotkujcie je w mroźny zimowy poranek. Bywały dni, że przypominała jeża, a z jej palców tryskały skry, gdy tylko dotknęła czegoś metalowego.

Zwykła kląć przy tym co niemiara. Polgara w istocie nie pochwałała przeklinania, ale znała wszystkie potrzebne do tego słowa.

Była chyba późna wiosna roku, w którym skończyła osiemnaście lat, gdy po raz pierwszy przekroczyła barierę i zademonstrowała swój dar. Pol przejawia dziwną skromność. Nie lubi, by ktokolwiek przyglądał się, jak prezentuje swe umiejętności. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z jej stosunkiem do nagości. Nikt - naprawdę nikt - nie widział Polgary wychodzącej z kąpieli odzianej jedynie w uśmiech.

W ten sam sposób skrywa swój dar - z wyjątkiem sytuacji nie cierpiących zwłoki.

Prawdę powiedziawszy, nie była to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Pol po uszy siedziała w pewnym traktacie filozoficznym. Była bardzo skupiona, a ja niewinnie napomknąłem, że od dwóch dni nic nie jedliśmy. Był schyłek zimy i pewnie mogłem pod postacią wilka upolować kilka polnych myszy, ale miałem ochotę na coś konkretniejszego. Myszy nie są złe, ale to tylko skóra i kości.

- Och, bracie - powiedziała i wykonała niedbały gest, nie podnosząc nawet głowy znad książki - i na gołym kuchennym stole pojawił się kawał dymiącej wołowej łopatki.

Spojrzałem nieco zde gustowany. Tłuszcz kapał na podłogę, a poza tym mięso było nie dopieczone. Polgara dostarczyła mięso. Pieczenie i doprowadzanie do smaku było moim problemem.

Przygryzłem wargę.

- Straszne dzięki - powiedziałem sardonicznie.

- Nie ma za co - odparła, nie odrywając oczu od książki.





Świat poza Doliną się zmieniał. Nie było w tym nic szczególnego; świat zawsze się zmieniał. Jedyna różnica tym razem polegała na tym, że to zauważyliśmy. Trawiaste równiny na północ od nas zawsze były nie zamieszkane - jeśli nie liczyć dzikich koni i bydła. Ale teraz żyli tam Algarowie.

Lubiłem Algara Chyżonogiego, najinteligentniejszego z synów Chereka. Fakt, iż nie otwierał bez potrzeby buzi, był na to dowodem. Być może gdyby to on był pierworodnym synem, to nie trzeba by dzielić Alorii. Nie miałem przy tym zamiaru czynić zarzutów Drasowi. Był bowiem jednym z najodważniejszych ludzi, tyle że nieco porywczym. Może miało to coś wspólnego z jego rozmiarami.

Zapoczątkowana przez Algara hodowla koni zaczęła przynosić pierwsze rezultaty. Zwierzęta były potężniejsze i coraz więcej Algarów jeździło konno. Dzięki krzyżówkom karłowatego alornskiego bydła z dzikim z równin otrzymano zwierzęta pokaźniejszych rozmiarów i łagodniejszego usposobienia.

Alornowie byli dobrymi sąsiadami - chciałem przez to powiedzieć, że nam się nie naprzykrzali. Algar regularnie przysyłał posłańców z wieściami do Doliny, ale poza tym jego ludzie pozostawiali nas w spokoju.

Jakieś dwa lata po ślubie Beldaran - zdaje się, że było to późną wiosną - do Doliny przybył sam Algar ze swym kuzynem Anrakiem.

- Dobrze wieści, Belgaracie - zawołał, gdy znalazł się pod moją wieżą.
- Zostaniesz dziadkiem.
- Najwyższy czas - odkrzyknąłem. - Wejdźcie na górę, obaj. - Stałem na schodach i kazałem otworzyć się drzwiom.
- Kiedy rozwiązanie? - zapytałem, gdy zaczęli wchodzić.

- Zdaje mi się, że za miesiąc - odparł Anrak. - Beldaran pragnie, abyście przybyli na Wyspę. Panie lubią mieć przy sobie rodzinę, gdy przychodzi na świat ich pierwsze dziecko. - Anrak rozejrzał się po wieży. - Gdzie jest lady Polgara?

- Odwiedza bliźniaków - odrzekłem. - Niedługo wróci. Usiądźcie, panowie. Przyniosę ale. Myślę, że trzeba to uczcić.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przez całe popołudnie, potem wróciła Polgara. Wieści przyjęła raczej spokojnie, co mnie dość zaskoczyło.

- Musimy spakować kilka rzeczy. - Tylko tyle powiedziała, nim zabrała się za przygotowywanie kolacji. Jestem przekonany, że ona już wiedziała o odmiennym stanie siostry.

- Przyprowadziłem konie - powiedział spokojnie Algar.

- Dobrze - odparła Pol. - To długa podróż.

- Często jeździsz konno? - zapytał.

- Nie za często.

- Trochę potrwa, nim przywykniecie do siodła - ostrzegł.

- Poradzę sobie, Algarze.

- Zobaczymy.

Powinienem baczniejszą uwagę zwrócić na ostrzegawczą nutę w jego głosie. Nie miałem zbyt wielkiego doświadczenia z końmi. Oczywiście widywałem je, ale nim Algarowie rozpoczęli hodowlę, były dość małe i miałem wrażenie, że szybciej dotrę wszędzie na piechotę. Wyruszyliśmy wczesnym rankiem następnego dnia i nim minęło południe, żałowałem, że nie podróżuję pieszo. Algarskie siodła są pewnie najlepsze na świecie, ale i tak są bardzo twarde, a równy kłus, który był ulubionym sposobem jazdy Algarów, sprawiał, że od ciągłego podskakiwania bolały mnie wszystkie kości. Przez kilka pierwszych dni nawet jadłem na stojąco.

Dalej na północy zaczęliśmy natykać się na małe stada bydła.

- Czy to dobry pomysł, by tak chodziły samopas? - zapytał Algara Anrak.

- A dokąd miałyby pójść? - odparł Algar. - Tu jest woda i trawa.

- A nietrudno ich pilnować?

- Nie bardzo. - Algar wskazał na samotnego jeźdźca na szczycie pobliskiego wzgórza.

- To mi wygląda na nudne zajęcie.

- Jeśli ci się poszczęści. Pasterz woli, aby jego zajęcie nie było zbyt ekscytujące.

- Co zamierzasz zrobić z tym całym bydłem? - zapytałem.

- Chyba je sprzedam. Gdzieś się znajdą chętni.

- Być może - powiedział z lekkim powątpiewaniem Anrak - ale jak zamierzasz je tam dostarczyć?

- A po co mają nogi, Anraku?

Następnego dnia natknęliśmy się na obozowisko jednego z algarskich klanów. Większość ich wozów przypominała inne farmerskie wozy - otwarte skrzynie na czterech kołach. Jednakże kilka z nich miało osobliwy wygląd. Przypominały zamknięte kufry.

- To pewnie coś nowego? - zapytał Anrak, wskazując na jeden z nich.

Algar skinął głową.

- Często wędrujemy, więc postanowiliśmy zabierać z sobą nasze domy. To bardziej praktyczne.

- Myślisz, że kiedyś zbudujecie miasto? - zapytał Anrak.

- Już zbudowaliśmy - odparł Algar. - Tylko nikt w nim nie mieszka. Znajduje się na wschód stąd.

- Po co budować miasto, skoro nie planujecie w nim mieszkać?

- To dla Murgów.

- Dla Murgów?

- Tym sposobem mają gdzie wpadać z wizytą. - Przez twarz Algara przemknął nikły uśmiech. - To dla nas o wiele wygodniejsze.

- Nie rozumiem.

- Jesteśmy pasterzami, Anraku. Wędrujemy za bydłem. Murgowie nie potrafią tego pojąć. Ich jazda porusza się w małych grupach. Zjeżdżają wąwozami z szanca, by kraść konie, a potem próbują wrócić, nim ich dopadniemy. Co jakiś czas zjeżdża jednak na dół większa grupa, szukając okazji do walki. Zbudowaliśmy więc miasto na niby, aby mieli

jakiś cel i nie włóczyli się po całej Algarii. Łatwiej ich w ten sposób znaleźć.

- A zatem to przynęta?

Algar zastanowił się nad tym.

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- Czy jego zbudowanie nie kosztowało zbyt wiele pracy?

Algar wzruszył ramionami.

- Nie mamy za wiele do roboty. W końcu krowy pasą się same.

Noc spędziliśmy w obozowisku Algarów. Następnego ranka odjechaliśmy na zachód.

Główne przejście przez góry było już wolne od śniegu i zauważyłem, że Algar bacznie mu się przyglądał.

- Dobra trawa - zauważył - i pod dostatkiem wody.

- Czyżbyś myślał o poszerzeniu swego królestwa? - zapytałem.

- Nie. W okolicy Darine żyje kilka klanów, ale zachodnie stoki są za gęsto porośnięte drzewami, nie nadają się na pastwiska dla krów. Czy ta droga prowadzi do jakiegoś miasta?

- Do Muros - powiedziałem. - Zbudowali je wacuńscy Arendowie.

- Może po narodzinach syna Rivy wpadnę do Vo Wacune i porozmawiam z księciem. Przeprowadzenie bydła przez tę przełęcz nie powinno nastęrczać zbyt wielu problemów, a jeśli rozejdzie się wieść, że spędzamy tam bydło, to do Muros może zacząć ściągać kupcy. Mierzi mnie myśl, że musiałbym ich sam szukać.

Oto jaki był początek dorocznych targów bydła w Muros, które z czasem stały się jedną z największych handlowych imprez na całym Zachodzie.

Ale uprzedzam fakty.

W Muros wynająłem powóz i z radością opuściłem siodło. Przesiedliśmy się z Pol do niego, a Algar i jego kuzyn pozostali na końskich grzbietach. Bez przeszkód dotarliśmy do Camaar. Tam weszliśmy na pokład okrętu, który oczekiwał na Anraka. Rivańskie statki są szersze od okrętów wojennych Chereka, więc dwudniowa podróż na Wyspę Wiatrów była naprawdę przyjemna.

Nie sposób niepostrzeżenie dostać się do miasta wzniesionego na Wyspie przez Rivę. Mieszkańcy wiedzieli o naszym przybyciu na długo, nim nasz okręt przybił do brzegu. Riva czekał na nas przy nabrzeżu.

- Czy zdążyliśmy? - zawołała Polgara, gdy marynarze rzucili liny ludziom czekającym na brzegu.

- Myślę, że mamy pod dostatkiem czasu - odparł. - Przynajmniej tak mi mówiły akuszerki. Beldaran chciała wam wyjść na spotkanie, ale jej zabroniłem. Nie wiem, czy dobrze zrobiłaby jej wspinaczka po tych wszystkich schodach.

- Widzę, że zgotowałeś brodę - powiedziałem.

- Wołałem to od sprzeczek. Moja żona ma na temat bród swoje zdanie.

- Wyglądasz bez niej młodziej - zauważyła z aprobatą Pol.

Marynarze przystawili trap i zesliśmy na brzeg. Polgara przytuliła swego szwagra i rozpoczęliśmy długą wspinaczkę na szczyt.

- Jak tam pogoda? - zapytał kuzyna Anrak.

- Niecodzienna - odparł Riva. - Nie padało już prawie od tygodnia. Ulice zaczynają wysychać.

Beldaran czekała na nas przy wejściu do twierdzy. Istotnie była w bardzo poważnym stanie.

- Zdaje się, że trochę przybrałaś na wadze, kochana - powiedziała uszczypliwie Pol, po czym ją przytuliła.

- Zauważyłaś. - Beldaran roześmiała się. - Niebawem pozbędę się swej tuszy. Przynajmniej taką mam nadzieję. - Położyła dłoń na wydatnym brzuchu. - To krępujące i niewygodne, ale myślę, że tego warte. - Potem podeszła i pocałowała mnie. - Jak się masz, ojczy?

- Jak zwykle.

- O tak - przyznała Pol. - Nic nie zmieni naszego ojca.

- Może weszlibyśmy do środka? - zaproponował Riva. - Nie chcę, by Beldaran się przeziębiła.

- Czuję się doskonale, Rivo - powiedziała. - Za bardzo się przejmujesz.

Ciąża Beldaran poruszyła mnie do głębi. O dziwo, wspomnienia o jej matce wcale nie były tak bolesne. Ciąża uczyniła Poledrę bardzo szczęśliwą i to właśnie pamiętałem lepiej niż późniejsze wydarzenia.

Trochę byłem niespokojny z powodu powrotu Polgary na scenę jej poprzednich triumfów. Ona jednak najwyraźniej uznała, że złamała już dość serc i nie zwracała większej uwagi na tłumy młodzieńców, którzy przybyli do Cytadeli na wieść o jej przyjeździe. Pol lubiła być w centrum uwagi, ale tym razem miała głowę zaprzątniętą innymi sprawami. Młodzieńcy sposepniali, ale nie sądzę, aby jej to zbytnio przeszkadzało. Ja byłem zadowolony.

Oczywiście Polgara większość czasu spędzała ze swą siostrą, ale odbywała też długie narady z akuszerkami. Myślę, że od tamtego czasu datuje się jej zainteresowanie medycyną. Przyjście na świat dziecka to chyba najlepszy moment na rozpoczęcie zgłębiania nauk medycznych.

Pozostali z nas byli niepotrzebni. Gdy kobiety wydają na świat dzieci, ich mężowie są naprawdę zbędni. Pol dała nam to jasno do zrozumienia, a my mądrze postanowiliśmy nie dyskutować na ten temat. Pomimo swego młodego wieku Polgara zaczynała już brać sprawy w swoje ręce. Nieraz - wielokrotnie - wołałem, aby nie była taka władcza, ale taka już była.

Wysoko w wieży Riva miał komnatę, która służyła mu za rodzaj pracowni, choć trudno go nazwać mołem książkowym. Nie chcę tu sugerować, że był głupi, ale brak mu było owej czytelniczej pasji, tak charakterystycznej dla naukowców. Myślę, że w owym czasie jego głównym strapieniem były przepisy podatkowe.

Algar, Anrak i ja dotrzymywaliśmy mu towarzystwa w wieży - głównie po to, aby nie plątać się pod nogami.

- Miałeś wieści od Beldina? - zapytał mnie Algar pewnego ranka, gdy już usadowiliśmy się, by kolejny dzień spędzić na rozmowach o wszystkim i o niczym.

- Od kilku miesięcy żadnych - odparłem. - Zdaje się, że w Mallorei panuje spokój.

- Czy Torak nadal jest w Ashabie? - zapytał Riva.

- Z tego, co wiem, tak. Podczas ostatniej rozmowy Beldin powiedział mi, że Torak nadal znajduje się ekstazie.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał Anrak. - Co właściwie mu się stało?

- Słyszałeś o dwóch Przeznaczeniach?

- Co nieco. Kapłan Belara czasami mówi o tym w swoich kazaniach. Zwykle jednak działa to na mnie usypiająco.

- Postaraj się nie zasnąć tym razem - powiedziałem. - Mówiąc najprościej, wszechświat zaistniał w pewnym Celu.

- To rozumiem.

- Dobrze. W każdym razie wydarzyło się coś, co nie powinno się wydarzyć, i spowodowało rozdwojenie Celu. Teraz są dwie możliwości tam, gdzie była jedna.

- W tym miejscu zwykle zasypiam - rzekł.

- Pokonaj senność. Poprzednio wskazówki otrzymywaliśmy wprost od Bogów, ale oni odeszli, więc wskazówki otrzymujemy od jednej z Konieczności. Torak kieruje się wskazówkami jednej z nich, a my drugiej. Na niektórych ludzi spływa natchnienie za sprawą Konieczności, wtedy zaczynają mówić. Większość ludzi uważa ich za szaleńców, ale oni nie są obłąkani. Oni jedynie przekazują nam wskazówki.

- To chyba dość niepraktyczny sposób?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak, ale tak już musi być.

- Dlaczego?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. W każdym razie Torak mający już od lat, a Urvon posadził skrybów, którzy spisują każde jego słowo. W tych majaczeniach są wskazówki i aluzje dotyczące przyszłości. Gdy tylko Torakowi wróci jasność myśli, postara się zrozumieć ich znaczenie. - Nagle coś mi się przypomniało. - Czy Dras nadal ma tego szaleńca przykutego łańcuchami do słupa w pobliżu Boktoru? - zapytałem Rive.

- O ile wiem, tak - chyba że biedak poprzegryzał łańcuchy i zwiął na bagna. W Darine też jest taki jeden. Nie jest aż tak szalony jak ten Drasa, ale niewiele mu brakuje.

Spojrzałem na Algara.

- Czy w pobliżu Darine znajduje się któryś z twoich klanów?

- Tak.

- Mógłbyś przekazać wieści jednemu ze swych wodzów? Chciałbym, aby skrybowie zaczęli spisywać majaczenia tego człowieka. Być może są ważne.

- Już się o to zatroszczyłem, Belgaracie.

- Zdaje się, że wrócę do domu okrężną drogą - powiedziałem z zadumą. - Chciałbym rzucić okiem na tych dwóch proroków i porozmawiać z nimi. Może udałoby mi się znaleźć odpowiednie słowa, by ich sprawdzić. Czy Dras nawiązał już jakieś kontakty z Nadrakami?

- Nie osobiście - odparł Riva. - Dras jest uprzedzony do Angaraków. W Boktorze są jednak kupcy, którzy handlują trochę wzdłuż granicy. Zbierają sporo informacji.

- Dowiedzieli się czegoś użytecznego?

- Trudno powiedzieć. Fakty po przejściu przez kilka ust często ulegają wypaczeniu. Z tego, co wiem, Murgowie kierują się na południe, na ziemie zachodnich Dalów. Zdaje się, że nie pozostaje im nic innego. Thulowie powoli tracą ochotę na żywienie swych byłych panów, a wokół Rak Goska nic nie rośnie. Murgom pozostało więc jedynie ruszyć lub umrzeć z głodu.

- Może zbłądzą aż na południowy kraniec kontynentu - powiedział Algar. - Tęsknię za widokiem maszerujących nad morze Murgów.

- Czy były jakieś wieści o Ctuchiku? - zapytałem.

- Myślę, że opuścił Rak Goska - odparł Riva. - Mówią, że buduje miasto w miejscu zwanym Rak Cthol. Podobno to gdzieś na szczycie jakichś gór.

- To byłoby logiczne - powiedziałem. - Ctuchik jest Grolimem, a Grolimowie nie mogą odżalować pochłoniętego przez morze Korimu. Z jakichś względów uwielbiają świątynie na szczytach gór.

- Ze mnie nie mieliby pociechy w takim miejscu - powiedział Anrak. - Mogę iść do świątyni, jeśli to niezbyt kłopotliwe. Nie miałbym jednak ochoty wspinać się do niej. - Spojrzał na mnie. - Spotkałeś kiedyś Ctuchika?

- Chyba tak - odparłem. - Myślę, że to on kierował pościgiem po wykradnięciu przez nas Klejnotu. Ctuchik sprawował pieczę nad wszystkim w Cthol Mishrak. Torak całą swoją uwagę skupił na Klejnocie, więc doglądanie bieżących spraw pozostawił Ctuchikowi. Wiem, że pościgiem dowodził Urvon lub Ctuchik. Słyszałem też, że Urvon nie pojawia się w Cthol Mishrak bez wyraźnego wezwania Toraka.

- Jak Ctuchik wyglądał?

- Jak pies, gdy widziałem go po raz ostatni - mruknął Algar.

- Pies?

- Jeden z gończych Toraka - wyjaśniłem. - Niektórzy Grolimowie przybierają postać psów, aby strzec tego miejsca.

- A któż chciałby zbliżyć się do miejsca takiego jak Cthol Mishrak?

- My - powiedział Algar. - Było tam coś, czego chcieliśmy. - Spojrzał na mnie. - Czy Beldinowi nie obilo się o uszy, gdzie mógłby być Zedar? - zapytał.

- Nic o tym nie wspominał.

- Myślę, że powinniśmy się mieć przed nim na baczności. Wiemy, że Urvon jest w Mal Yaska, a Ctuchik w Rak Cthol. Nie wiemy, gdzie jest Zedar, a to czyni go niebezpiecznym. Urvon i Ctuchik są Angarakami. Jeśli któryś z nich wyruszy po Klejnot, to przybędzie z całą armią. Zedar nie jest Angarakiem, toteż może spróbować innego sposobu.

Oszczędziłbym sobie - i innym ludziom - wielu kłopotów, gdybym z większą uwagą wysłuchał słów Algara. Jednakże nie mieliśmy czasu na dalsze roztrząsanie tego problemu, gdyż właśnie wtedy przybył do nas posłaniec od Polgary.

- Królu - zwrócił się do mego zięcia - lady Polgara powiedziała, że powinieneś teraz przyjść.

Riva wstał pospiesznie.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

Posłańcem był brodaty alornski wojownik, który wydawał się lekko urażony swym zadaniem. Polgara nie przywiązywała wagi do rangi. Gdy czegoś potrzebowała, wysyłała po to pierwszą osobę, która jej się nawinęła pod rękę.

- Moim zdaniem, tak - odparł posłaniec, wzruszając ramionami. - Kobiety biegają z wiadrami gorącej wody, a twoja żona krzyczy.

- Krzyczy? - powtórzył Riva z obłędem w oczach.

- Kobiety zawsze krzyczą, gdy rodzą dzieci, mój panie. Moja żona urodziła już dziewięcioro, a nadal krzyczy.

Riva odepchnął go na bok i pognął schodami na dół, przeskakując po cztery stopnie naraz.

To był pierwszy poród, przy którym asystowała Pol, więc pewnie dlatego trochę przedwcześnie wezwała Rivę. Beldaran rodziła jeszcze cztery godziny i cały ten czas Riva zdecydowanie przeszkadzał. Myślę, że tego dnia moja córka wiele się nauczyła. Potem zawsze już wynajdowała przyszłemu ojcu jakieś zajęcie - zwykle fizyczne i daleko od komnaty, w której rodziła jego żona. We właściwym czasie przyszedł na świat mój wnuk, czerwony, wrzeszczący chłopiec o mokrych włoskach, które po wyschnięciu okazały się jasne jak piasek. Polgara wyszła z sypialni z małym zawiniątkiem w ramionach. Na jej twarzy malował się wyraz dziwnego zadumania.

- Patrzcie, oto dziedzic Riyańskiego Tronu - zwróciła się do nas, wyciągając ku nam dziecko.

Riva z trudem wstał.

- Czy ona dobrze się czuje?

- Dobrze, Rivo. Weź dziecko.

- Ależ on okropnie maleńki.

- Jak większość dzieci. Weź go.

- Może lepiej nie. Mógłbym go upuścić.

W oczach Polgary pojawiły się groźne błyski.

- Weź dziecko, Rivo - powiedziała powoli, akcentując każde słowo. Nikt nie dyskutuje z Polgara, gdy przybiera taki ton.

Ręce Rivy trzęsły się gwałtownie, gdy wyciągnął je po syna.

- Podtrzymaj mu główkę - poinstruowała go.

Riva podłożył jedną ze swych ogromnych dłoni pod główkę dziecka. Kolana mu drżały w widoczny sposób.

- Może lepiej usiądź - powiedziała.

Riva usiadł w swym fotelu. Twarz miał bardzo bladą.

- Mężczyźni! - powiedziała Polgara, przewracając oczyma. Potem odwróciła się i wróciła do sypialni.

Mój wnuk spoglądał poważnie na swego ojca. Miał błękitne oczy i wydawał się o wiele spokojniejszy od dygoczącego olbrzyma, który go trzymał. Po kilku minutach Riva rozpoczął metodyczne oglądanie swej latorośli. Wszyscy rodzice uznają to za konieczne. Nie jestem pewny, dlaczego ludzie w takich okolicznościach liczą dziecku paluszki u rąk i nóg.

- Spójrzcie tylko na te malutkie paznokietki! - zawołał Riva. Dlaczego ludzi zawsze zdumiewają rozmiary dziecięcych paznokci? Czyżby spodziewali się zobaczyć szpony?

- Belgaracie! - krzyknął Riva zdławionym głosem. - On ma wadę!

Spojrzałem na dziecko.

- Nic złego nie widzę.

- Ma znamię na prawej dłoni! - Ostrożnie otworzył małe paluszki i pokazał mi dłoń dziecka.

Znamię nie było zbyt duże, ledwie biała plamka.

- Ach, to - powiedziałem. - Tym się nie martw. Powinno tam być.

- Co takiego?

- Spójrz na swoją dłoń, Rivo - powiedziałem cierpliwie. Młody ojciec otworzył ogromną dłoń.

- Ale to jest ślad po oparzeniu. Zrobił mi się, gdy pierwszy raz podniosłem Klejnot Aldura - nim mnie poznał.

- A bolało, gdy cię oparzył?

- Dokładnie nie pamiętam. Byłem wówczas trochę podniecony. Torak był w sąsiednim pokoju i nie byłem pewny, czy naprawdę spał.

- To nie jest ślad po oparzeniu, Rivo. Klejnot wiedział, kim jesteś i nie oparzyłby cię. On jedynie cię naznaczył. Twój syn został naznaczony dokładnie tak samo, ponieważ będzie następnym Strażnikiem Klejnotu. Powinieneś przyzwyczać się do tego znamienia. Długo jeszcze będzie w twojej rodzinie.

- To zdumiewające. Skąd o tym wiesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Aldur mi powiedział - odparłem.

Łatwo było powiedzieć, ale to nie było zupełnie zgodne z prawdą. Nie wiedziałem o istnieniu znamienia, dopóki go nie zobaczyłem, ale wówczas od razu wiedziałem, co oznaczało. Najwyraźniej ów osobliwy głos, gdy gościł w mej głowie w czasie drogi do Cthol Mishrak, przekazał mi ogromną ilość informacji. Szkoda tylko, że ta podświadoma wiedza wpływa na powierzchnię dopiero z chwilą zajścia określonych zdarzeń. Co więcej, gdy tylko ujrzałem znamię na dłoni wnuka, wiedziałem, co muszę uczynić.

Musiałem z tym jednak poczekać, gdyż Polgara właśnie wyszła z sypialni.

- Daj go - poleciła Rivie.

- Po co? - zapytał zaborczym tonem Riva.

- Czas, aby coś zjadł. Myślę, że Beldaran powinna się tym zająć, chyba że ty chcesz to zrobić.

Riva zaczerwienił się i szybko podał jej dziecko.

Aż do następnego ranka nie mogłem zrealizować swego zamierzenia. Tej nocy dziecko nie spało zbyt wiele. Każdy chciał je potrzymać, a ono znosiło to nad podziw dobrze. Mój wnuk miał niespotykane pogodne usposobienie. Nie awanturował się ani nie płakał, po prostu poważnym wzrokiem uważnie przyglądał się każdej nowej twarzy. Raz i ja miałem okazję go potrzymać - przez krótką chwilę. Wziąłem go na ręce i mrugnąłem do niego. A on się uśmiechnął. Sprawilo mi to ogromną przyjemność.

Nie obyło się jednak bez pewnej wymiany zdań.

- On musi się trochę przespać - upierała się Polgara.

- Najpierw musi jednak zrobić coś innego - powiedziałem.
- Nie jest trochę za młody na zadania, ojcze?
- Do tego nie jest za młody. Chodź z nim.
- Dokąd idziemy?
- Do sali tronowej. Po prostu zanieś go, Pol. Nie sprzeczasz się ze mną. To jedna z tych rzeczy, które muszą się wydarzyć.

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Czemu tak od razu nie powiedziałaś, ojcze?
- Właśnie to zrobiłem.
- Co się tam wydarzy? - zapytał Riva.
- Nie chcę popsuć ci niespodzianki.

Chodź z nami. Przeszliśmy z królewskich apartamentów na Dwór Rivańskiego Króla. Dwaj strażnicy, którzy zawsze tam byli, otworzyli przed nami wrota.

Byłem już oczywiście w sali tronowej Rivy, ale jej rozmiary zawsze mnie trochę zaskakiwały. Naturalnie była sklepiona. Nie można by pomieszczenia tych rozmiarów bezpiecznie przykryć płaskim dachem. Masywne belki krzyżowały się wysoko nad głowami, a podtrzymywały je rzeźbione drewniane filary. W podłodze, w równych odstępach znajdowały się trzy ogromne kamienne paleniska. Szeroka nawa wiodła do bazaltowego tronu. Miecz Rivy wisiał ostrzem w dół na ścianie za tronem. Klejnot na jego gałce słabo migotał. Powiedziano mi, że zawsze to czynił, gdy tylko Riva wchodził do sali tronowej.

Podeszliśmy prosto do tronu.

- Zdejmij swój miecz, Rivo - powiedziałem.
 - Po co?
 - To pewien rytuał, Rivo - odparłem. - Zdejmij miecz, schwyć go za ostrze i przedstaw Klejnotowi swego syna.
 - To tylko kamień, Belgaracie. Nie dba o jego imię.
 - Obyś nie był zaskoczony.
- Riva wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz. - Zdjął miecz i schwycił go za ogromne ostrze. Potem opuścił go i wyciągnął gałką ku dziecku w ramionach Polgary. - To jest mój syn, Daran - zwrócił się do Klejnotu. - On zaopiekuje się tobą, gdy ja odejdę.

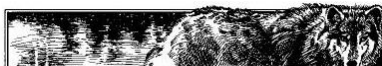
Ja zapewne powiedziałbym to inaczej, ale Riva należał do tych, którzy mówią wprost i nie dbają zbyt o formy. Zrozumiałem, skąd pochodzi imię mego wnuka, i byłem pewny, że ucieszy to Beldaran.

Byłem przekonany, że Daran spał w ramionach swej ciotki, ale coś go obudziło. Otworzył oczy i ujrzał Klejnot Aldura, który ojciec ku niemu wyciągał. Można by powiedzieć, że dzieci zawsze wyciągają ręce po błyskotki, które się im podsuwa, ale Daran wiedział dokładnie, co ma zrobić. Wiedział o tym, nim przyszedł na świat.

Wyciągnął swą małą, naznaczoną dłoń i pewnie położył ją na Klejnocie.

Ten natychmiast go rozpoznał. Rozbłysnął jasnym blaskiem, a błękitna poświata otoczyła Pol i dziecko, a potem niebiosy rozbrzmiały echem milionów radosnych, pełnych uniesienia głosów.

Jestem przekonany, że na ten dźwięk Torak zerwał się z wyciem na nogi - w Ashabie, pół świata stąd.





Po narodzinach Darana zostaliśmy z Pol na Wyspie około miesiąca. Nic pilnego nie wzywało nas do Doliny, a to był dość szczególny czas w życiu wszystkich. Beldaran wróciła do sił już po kilku dniach i większość czasu spędzała razem z Pol. Nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak bolesna musiała być dla nich rozłąka. Momentami, gdy Pol sądziła, że nikt na nią nie patrzy, odsłaniała prawdziwe oblicze. Wówczas na jej twarzy dostrzegałem wyraz okropnego bólu. Nieodwracalnie została odsunięta od Beldaran - najpierw przez jej męża, a teraz przez dziecko. Ich losy rozeszły się i żadna z nich nie mogła nic na to poradzić.

Algar już po tygodniu wyruszył do Vo Wacune, aby porozmawiać z tamtejszym księciem. Najwyraźniej pomysł, który przyszedł mu do głowy na górskiej przełęczy, rozpałił jego wyobraźnię tak bardzo, że naprawdę zapragnął zbadać możliwości uruchomienia targu bydłowego w Muros. Hodowla bydła to zajęcie przynoszące satysfakcję pod warunkiem, że zwierząt można się potem korzystnie pozbyć. Gdybym zastanowił się nad następstwami takiego rozwiązania, to pewnie zdałbym sobie sprawę z jego znaczącego wpływu na bieg historii. Dochody z tego targowiska pozwalały finansować udział Wacitów w arendzkiej wojnie domowej, a korzyści płynące z istnienia targowiska w Muros niemal gwarantowały obecność tam Tolnedran. Sądzę, że ostatecznie ten targ bydłowy przyczynił się do powstania królestwa Sendarii. Zawsze uważałem, że ekonomiczna teoria rozwoju historii jest pewnym uproszczeniem, ale w tym wypadku w znacznej mierze się sprawdzała.

Tymczasem czaiłem się za plecami swej małej rodzinki, wyczekując okazji, by położyć dłonie na swym wnuczku. Nie macie pojęcia, jakie to było trudne. Był pierwszym dzieckiem Beldaran, a ona traktowała go niemal jak nową ozdobę sukni. A kiedy ona go nie trzymała, robiła

to Polgara. Potem przychodziła kolej na Rivę. Następnie przychodził czas karmienia i ponownie trafiał do rąk Beldaran. Przekazywali go sobie z rąk do rąk niczym grupka dzieci piłkę. W tej grze nie było miejsca dla jeszcze jednego uczestnika.

W końcu zostałem zmuszony do pojęcia pewnych kroków. Poczekalem do północy, zakradłem się do pokoju dziecięcego i wyjąłem Darana z kołyski. Potem wymknąłem się z nim cicho. Wszyscy dziadkowie darzą swe wnuczęta szczególnymi uczuciami, mną jednak kierowały trochę poważniejsze motywy. Przyjście na świat Darana było rezultatem wypełnienia pewnych instrukcji, których udzielił mi mój Mistrz. Musiałem więc zostać z chłopcem przez chwilę sam, aby upewnić się, czy wszystko dobrze zrobiłem.

Zaniosłem go do bawialni oświetlonej pojedynczą świeczką, położyłem sobie na kolanach i spojrzałem mu prosto w zaspane oczka.

- Doprawdy to nic ważnego - mruknąłem do niego. Nie zamierzałem gaworzyć. Myślę, że to wręcz obraźliwy dla dzieci zwyczaj. Oczywiście byłem bardzo ostrożny w tym, co zamierzałem zrobić. Umysł dziecka jest szczególnie wrażliwy, a ja nie miałem zamiaru go uszkodzić. Sondowałem bardzo delikatnie, Lekko muskając koniuszkami palców - mówiąc obrazowo - krańce jego świadomości. Połączenie mojej rodziny z rodziną Rivy miało spowodować przyjście na świat kogoś bardzo ważnego i musiałem poznać możliwości Darana.

Nie rozczarowałem się. Jego umysł był jeszcze nie ukształtowany, ale bardzo bystry. Chyba w jakiś niejasny sposób zdawał sobie sprawę z tego, co robię, i uśmiechnął się. Z trudem opanowałem się, aby nie krzyknąć z radości. Będzie z niego pożytek.

- Później lepiej się poznamy - powiedziałem mu. - Chciałem się tylko z tobą przywitać.

Zaniosłem go z powrotem do pokoju dziecięcego i ułożyłem w kołysce.

Po tym wydarzeniu mój wnuk często mi się przyglądał i zawsze śmiał się głośno, gdy puszczałem do niego oko. Riva i Beldaran uważali, że to czarujące. Jednakże Polgara tak nie sądziła.

- Co zrobiłeś temu dziecku? - zapytała z wyrzutem, gdy pewnego wieczoru przyłapała mnie samego na korytarzu.

- Po prostu przedstawiłem mu się, Pol - odparłem tonem jak najmniej napastliwym.

- Doprawdy?

- Jesteś podejrzliwa, Polgaro - powiedziałem. - W końcu jestem dziadkiem chłopca. To naturalne, że mnie lubi.

- A czemu śmieje się na twój widok?

- Pewnie dlatego, że bardzo zabawny ze mnie facet. Nigdy tego nie zauważyłaś?

Wbiła we mnie swe groźne spojrzenie, ale nie zostawiłem jej najmniejszej szparki. To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy udało mi się ją przechytryć. Prawdę mówiąc, jestem z tego dość dumny.

- Będę cię bardzo uważnie obserwować, staruszk - ostrzegła.

- Proszę bardzo, Pol. Być może, jeśli zrobię coś zabawnego, uda mi się i na twojej twarzy wywołać uśmiech. - Potem poklepałem ją czule po policzku i odszedłem, cicho pogwizdując.

Kilka tygodni później opuściliśmy z Pol Wyspę. Anrak przeprowadził nas na drugą stronę Morza Wiatrów. Wpłynęliśmy do głęboko wciętej zatoki, która znajdowała się tuż na zachód od jeziora Sendar. Przybiliśmy do brzegu w miejscu, w którym dziś wznosi się miasto Sendar. Jednakże wówczas nie było tam żadnego miasta, tylko mroczny las, który porastał całą północną Sendarię aż do czwartego tysiąclecia.

- Ta okolica nie wygląda zbyt zachęcająco - powiedział Anrak, gdy przygotowywaliśmy się z Pol do zejścia na ląd. - Na pewno nie chcesz, abym zawiózł was do Darine?

- Nie, tu jest dobrze, Anraku. Lepiej nie ryzykować bez potrzeby spotkania z Przesmykiem Chereka.

- Wcale nie jest taki groźny - tak przynajmniej mi mówiono.

- Mylisz się, Anraku - oświadczyłem mu z przekonaniem. - Właśnie, że jest groźny. Wielki Maelstrom w jego środku całą flotę łyka na śniadanie. Wolę pójść pieszo.

- Okręty wojenne Chereka przepływają tamtędy cały czas, Belgaracie.

- To nie jest okręt wojenny Chereka, a ty nie jesteś dostatecznie szalony, aby być Cherekiem. Pójdziemy pieszo.

Statek Anraka przybił do brzegu i zeszliśmy na ląd. Ciekawe, kiedy zaprzestano tak długo praktykowanego zwyczaju lądowania na plaży. Teraz okręty zarzucają kotwicę w pewnej odległości od brzegu, a pasażerów na ląd przewożą łodzie. Zapewne to pomysł Tolnedran. Ich kapitanowie są dość bojaźliwi.

Stojąc na piaszczystej plaży, obserwowaliśmy z Pol, jak marynarze Anraka z trudem spychali statek ponownie na wodę. Gdy w końcu im się udało, odpłynęli kawałek wiosłując, postawili żagle i wypłynęli z zatoki.

- Co teraz, ojczy? - zapytała Pol. Spojrzałem na słońce.

- Mamy wczesne popołudnie - rzekłem. - Rozbijemy obóz, a dalej wyruszymy wczesnym rankiem.

- Jesteś pewny, że znasz drogę do Darine?

- Oczywiście. - Prawdę powiedziawszy, nigdy tam jeszcze nie byłem, ale miałem ogólne pojęcie, gdzie to jest. Z biegiem lat odkryłem, że najlepiej udawać, iż wiem, co robię i dokąd zmierzam. Oszczędza to wielu dyskusji.

Oddaliliśmy się nieco od plaży i na miłej leśnej polance rozbiliśmy obóz. Chciałem zabrać się za gotowanie, ale Pol nawet nie chciała o tym słyszeć. Próbowałem chociaż udzielić jej kilku rad na temat pichcenia na otwartym ogniu, ale ona szorstko kazała mi pilnować własnego nosa i zabrała się za to po swojemu. Muszę przyznać, że kolacja nie okazała się wcale taka zła.

Przez następnych kilka dni wędrowaliśmy przez ten prastary las na północny zachód. Okolica była nie zamieszкана, toteż nie dostrzegłem żadnych ścieżek. Kierowałem się na wyczucie, wybierając najłatwiejszą drogę. Wiele lat swego życia spędziłem w lasach i odkryłem, że to najlepszy sposób poruszania się w nich. Oczywiście wiązało się to z pewnym krążeniem, ale ostatecznie doprowadzało cię tam, dokąd zmierzałeś.

Jednak Polgarze to się nie podobało.

- Ile dziś przeszliśmy? - zapytała mnie pod wieczór drugiego dnia.

- Och, nie wiem - odparłem. - Pewnie z siedem, osiem lig.

- Mam na myśli w linii prostej.

- W lesie nie chodzi się po linii prostej, Pol. Drzewa przeszkadzają.

- Można to zrobić szybciej, ojcze.

- Spieszysz się?

- Nie sprawia mi to szczególnej przyjemności, staruszk. - Popatrzyła z niesmakiem na ogromne omszałe drzewa. - Tu jest wilgotno, brudno i są robaki. Nie kąpałam się od czterech dni.

- Nie musisz się kąpać, kiedy jesteś w lesie, Pol. Wiewiórkom nie przeszkadza twoja brudna buzia.

- Chcesz się klócić?

- Co ci chodzi po głowie?

- Po co iść, kiedy można frunąć?

Spojrzałem na nią zdumiony.

- Skąd o tym wiesz?

- Wujek Beldin robi to cały czas. Zdaje się, że miałeś zamiar mnie uczyć, ojcze. To chyba doskonała okazja, aby nauczyć mnie, jak zmieniać postać na bardziej użyteczną. Ty oczywiście możesz zrobić, jak zechcesz, ale ja nie mam zamiaru przedzierać się przez ten mroczny las aż do Darine, abyś mógł podziwiać widoki. - Pol potrafi wyolbrzymić każdy drobiazg. To jedna z jej wielkich wad.

Jednakże jej słowa nie były pozbawione logiki. Przyjemnie włączyć się po lesie, ale musiałem jeszcze załatwić inne sprawy, a zmiana postaci mogła być bardzo pomocna. Nie byłem jednak pewny, czy jej zdolności już się na tyle rozwinęły, zatem pomysł ten budził we mnie pewne wątpliwości.

- Spróbujemy - w końcu poddałem się. To było łatwiejsze od sprzecznania się z nią.

- Kiedy?

- Jutro rano.

- Czemu nie teraz?

- Ponieważ już się ściemnia. Nie chciałbym, abyś wpadła na jakieś drzewo i złamała sobie dziób.

- Jak sobie życzysz, ojcze. - Naturalnie jej uległy ton był oszukaństwem. Wygrała, więc teraz mogła pozwolić sobie na okazanie miłosierdzia.

Następnego ranka Pol była na nogach, nim się rozwidniło i wepchnęła we mnie śniadanie jeszcze przed wschodem słońca.

- No to teraz zaczynajmy - powiedziała. Naprawdę miała ochotę spróbować.

Przez pewien czas opisywałem jej całą procedurę, dokładnie omawiając wszystkie szczegóły. Jej twarz tymczasem przybierała wyraz coraz większego zniecierpliwienia.

- Och, zaczynajmy już, ojcze - ponagliła.

- W porządku, Pol - poddałem się. - Mam nadzieję, że zdołasz wrócić do swojej postaci, jeśli zmienisz się w latającego królika.

Spojrzała nieco zaskoczona.

- Szczegóły, Polgaro - wyjaśniłem jej. - W tym wypadku naprawdę musisz zwracać uwagę na szczegóły. Pióra nie są wcale takie łatwe. Dobrze. Nie spiesz się. Rób to powoli.

A ona oczywiście zignorowała mnie. Zmarszczyła brwi w wyrazie intensywnego skupienia. Potem jej postać zamigotała i rozmyła się - i Pol przybrała postać śnieżnobiałej sowy.

W jednej chwili do oczu napłynęły mi łzy i zdusiłem szloch.

- Wróć do swej postaci!

Spojrzała na mnie trochę zaskoczona i wróciła do własnej postaci.

- Nigdy więcej tego nie rób! - rozkazałem.

- Co w tym złego, ojcze?

- Każda postać, tylko nie ta.

- A co złego jest w tej? Wujek Beldin mówił, że mama zawsze ją przybierała.

- No właśnie. Wybierz sobie inną postać.

- Czy ty płaczesz, ojcze? - zapytała z pewnym zdumieniem.

- Tak, płaczę.

- Nie sądziłam, że wiesz, jak to się robi. - Dotknęła mojej twarzy niemal czule. - A może być jakiś inny rodzaj sowy?

- Zmień się nawet w pelikana, jeśli chcesz, tylko trzymaj się z dala od tamtej postaci.

- A co powiesz na tą? - Przybrała postać sowy czubatej. Była brunatnego koloru, a sterczące z głowy pióra tak zmieniały ten nasuwający bolesne wspomnienia kształt, że mogłem to znieść.

- W porządku - powiedziałem - machnij skrzydłami i zobacz, czy potrafisz oderwać się od ziemi.

Zahukała na mnie.

- Nie rozumiem cię, Pol. Po prostu pomachaj skrzydłami. Porozmawiamy o tym później.

Dacie wiarę, że uczyniła to idealnie już za pierwszym razem? Powinno to obudzić moje podejrzenia, ale nadal dusiłem w sobie szloch, więc się nad tym nie zastanawiałem. Machnęła kilka razy miękkimi skrzydłami, bez wysiłku oderwała się od ziemi i kilkakrotnie okrążyła polankę. Potem wylądowała na gałęzi i dziobem zaczęła wygładzać sobie pióra.

Trochę trwało, nim wróciłem do równowagi. Potem podszedłem do drzewa, na którym siedziała, i zadarłem głowę do góry, aby na nią spojrzeć.

- Nie próbuj teraz wracać do własnej postaci - poinstruowałem ją. - W przeciwnym razie spadniesz z drzewa.

Gapiła się na mnie z góry swymi wielkimi, nie mrugającymi oczyma.

- Idziemy w tamtym kierunku. - Wskazałem na północny wschód. - Ja nie zamienię się w ptaka, ponieważ nie fruwam zbyt dobrze. Przybiorę postać wilka. Pewnie za tobą nadążę, ale nie giń mi z oczu. Chciałbym być w pobliżu, gdyby coś poszło źle. Obserwuj słońce. Około południa powrócimy do własnej postaci.

Ponownie na mnie zahukała, w ten osobliwy sposób sów czubatych.

- Nie sprzeczasz się ze mną, Polgario - powiedziałem. - Zrobimy to na mój sposób. Nie chcę, abyś zrobiła sobie krzywdę. - Potem, aby uniknąć dalszych dyskusji, przybrałem postać wilka.

Początkowo jej przeloty były krótkie. Przemieszczała się z drzewa na drzewo, posłusznie trzymając się tuż przede mną. Bez najmniejszego problemu za nią nadążałem. Jednakże później zaczęła latać coraz dalej i byłem zmuszony biec susami. Nim nadeszło południe, biegłem już co sił w łapach. W końcu zatrzymałem się, uniosłem pysk i zawyłem na nią.

Pol zawróciła, poszybowała w dół i usiadła na ziemi. Potem zamigotała i powróciła do własnej postaci.

- Och, ależ to było przyjemne! - wykrzyknęła z zachwytem.

Język świerbił mnie, by wygłosić dłuższą przemowę. Porządnie mi dała w kość tego przedpołudnia. Jednakże powstrzymał mnie jej uśmiech. Polgara rzadko się uśmiecha, ale tym razem jej twarz po prostu promieniała, a biały lok nad czołem jaśniał niczym śnieg w słońcu. Dobry Boże, ależ była z niej piękna dziewczyna.

- Musisz bardziej wykorzystywać pióra w ogonie - powiedziałem tylko.

- Tak, ojczy - odparła, nadal się uśmiechając. - Co teraz?

- Trochę odpoczniemy - zdecydowałem. - Po zachodzie słońca ruszymy dalej.

- W ciemnościach?

- Jesteś sową, Pol. Noc to dla ciebie naturalny czas na frwanie.

- A co z tobą?

- Noc czy dzień - dla wilka nie ma różnicy - odparłem, wzruszając ramionami.

- Musieliśmy zostawić swoje zapasy - zauważyła. - Co będziemy jeść?

- To już zależy od ciebie, Pol. Pewnie wszystko, co będzie miało nieszczęście znaleźć się na twojej drodze.

- Chcesz powiedzieć, że mam jeść surowe mięso?

- To ty chciałaś być sową, kochana. Wróble jedzą nasionka, ale sowy wolą myszy. Nie radzę ci porywać się na dzika. Mogłabyś go nie unieść, ale to już twoja sprawa.

Pol odeszła na bok, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Muszę przyznać, że miała dobry pomysł. Dotarcie do Darine na piechotę zajęłoby dwa tygodnie. A nam udało się tam dotrzeć w trzy noce.

Słońce właśnie wschodziło, gdy wylądowaliśmy na wzgórzu na południe od portowego miasta. Wróciliśmy do własnych postaci i pomaszerowaliśmy do bram miasta. Darine, podobnie jak niemal wszystkie miasta w owych czasach, było zbudowane z drewna. Miasto musi najpierw kilka razy spłonąć do fundamentów, nim jego mieszkańcy uznają, że drewno nie jest najlepszym budulcem. Przeszliśmy przez nie strzeżoną bramę. Zaspianego przechodnia zapytałem, gdzie mogę znaleźć Hatturka, który wedle słów Algara, sprawował władzę w Darine. Skierował mnie do dużego domu w pobliżu brzegu, a potem stał, gapiąc się z głupią miną na Polgarę. Zapewne posiadanie ładnych córek jest miłe, ale nie ulega wątpliwości, że ściągają na siebie uwagę.

- Musimy być nieco ostrożni z Hatturkiem, Pol - powiedziałem, gdy wędrowaliśmy błotnistą ulicą w kierunku portu.

- Czemu?

- Algar mówił, że klany, które przeprowadziły się tutaj z równin, nie są zbyt zadowolone z podziału Alorii i zdecydowanie nie przepadają za stepami. Przenieśli się tutaj, ponieważ tęsknili za drzewami. Dawni Alornowie żyli w lasach i źle się czuli na otwartych terenach. Algar nie powiedział tego wprost, ale podejrzewałem, że Darine może być siedzibą wyznawców Kultu Niedźwiedzia, więc lepiej zachować ostrożność.

- A zatem ty poprowadzisz rozmowy, ojcze.

- Tak będzie najlepiej. Tutejsi ludzie to Alornowie starej daty. Będzie mi potrzebna współpraca Hatturka, więc muszę obchodzić się z nim bardzo ostrożnie.

- Zatem zastraszą go, ojcze. Czyż nie to zwykle robisz?

- Tylko wtedy, gdy jestem w stanie upilnować, aby robili, co im powiem. Gdy już raz kogoś zastraszysz, długo nie możesz odwrócić się do niego plecami, a Darine nie jest na tyle urocze, abym chciał spędzić w nim następne dwadzieścia lat, upewniając się, czy Hatturk wypełnia moje polecenia.

- Wielu rzeczy uczę się w czasie tej podróży.

- Dobrze. Postaraj się zbyt wiele nie zapomnieć.

Dom Hatturka był wielką budowlą z bali. Wódz alornskiego klanu pod wieloma względami przypomina króla. Otacza go zawsze liczna świta dworskich urzędników i jeszcze liczniejsza grupa straży przybocznej. Przedstawiłem się dwóm uzbrojonym po zęby Alornom pilnującym drzwi i niezwłocznie zostaliśmy wpuszczeni do środka. Zwykle sława przysparza kłopotów, ale czasami się przydaje.

Hatturk był krzepkim Alornem z posiwiałą brodą, wydatnym brzuchem i przekrwionymi oczyma. Nie był szczególnie uszczęśliwiony zerwaniem z łóżka przed południem. Tak jak się spodziewałem, odziany był w niedźwiedzie skóry. Nigdy nie rozumiałem, czemu wyznawcy Kultu Niedźwiedzia uznawali za właściwe przywdziewanie skór totemu swego Boga.

- A zatem to ty jesteś Belgarathem - odezwał się zachrypniętym głosem. - Myślałem, że jesteś większy.

- Mogę się o to postarać, jeśli dzięki temu poczułbyś się lepiej.

Spojrzał na mnie odrobinę zaskoczony

- A dama? - zapytał, aby ukryć zmieszanie.

- Moja córka, Polgara Czarodziejka. - Zdaje się, że po raz pierwszy tak ją nazwano, ale chciałem zaskarbić sobie niepodzielną uwagę Hatturka i lepiej, aby nie rozpraszała go uroda Pol. Zaszczepienie w jego mózgu myśli, że Pol może go zmienić w ropuchę, było chyba najlepszym sposobem na wybicie mu głupot z głowy. Trzeba przyznać, że Pol potrafiła się znaleźć. Nawet nie mrugnęła okiem na mą niecodzienną prezentację.

Przekrwione oczy Hatturka przybrały błędny wyraz.

- To zaszczyt dla mego domu - powiedział, sztywno się kłaniając. Odniosłem wrażenie, że nie zwykł kłaniać się komukolwiek. - Czym mogę wam służyć?

- Algar powiedział, że macie tu w Darine szaleńca - rzekłem. - Musimy go zobaczyć.

- Ależ on nie jest wcale taki szalony, Belgaracie. Co jakiś czas zaczyna bredzić. To starzec, a starcy zawsze są trochę dziwni.

- Rzeczywiście - przyznała Pol.

Hatturk otworzył szeroko oczy, gdy uświadomił sobie, co właśnie powiedział.

- Nie miałem na myśli ciebie, Belgaracie - usprawiedliwił się pospiesznie.

- W porządku, Hatturku - wybaczyłem mu. - Nie tak łatwo mnie obrazić. Opowiedz mi nieco więcej o tym dziwnym starcu.

- Za młodu był odważnym wojownikiem - prawdziwym postrachem w bitwie. Może to jest wyjaśnienie. Ma dość zamożną rodzinę, więc gdy zaczął się dziwnie zachowywać, zbudowali mu dom na obrzeżach miasta. Jego młodsza córka jest starą panną - pewnie dlatego, że jest zezowata - i opiekuje się nim.

- Biedna dziewczyna - mruknęła Pol. Potem westchnęła teatralnie. - Zdaje się, że mnie to też czeka. Mój ojciec jest bardziej niż dziwny i wcześniej czy później będzie potrzebował opiekunki.

- Wystarczy, Pol - uciąłem zdecydowanym tonem. - Jeśli masz chwilę czasu, Hatturku, to z chęcią zobaczylibyśmy tego starca.

- Oczywiście - odparł i wyprowadził nas na ulicę.

Rozmawialiśmy trochę po drodze do wschodniego krańca miasta. Na pomysł brukowania ulic Alornowie wpadli później, dlatego grzęźliśmy w błocie. Wypytałem Hatturka dość ostrożnie, a jego odpowiedzi potwierdziły moje podejrzenia. Ten człowiek duszą i ciałem zaprzedał się Kultowi Niedźwiedzia i nie trzeba było wiele, by sprowokować go do pełnej frazesów przemowy. Fanatykom religijnym tak bardzo brakuje wyobraźni. Nie ma racjonalnego uzasadnienia dla ich wierzeń, więc ich wypowiedzi wyprane są z logiki,

nie skrępowane takimi drobiazgami jak prawda czy choćby prawdopodobieństwo.

- Czy skrybowie zapisują wszystko, co mówi ten szaleniec? - przerwałem mu.

- To tylko strata czasu i pieniędzy, Belgaracie - odparł obojętnym tonem. - Jeden z kapłanów Belara przejrzał zapiski skrybów i powiedział, abym nie marnował na to czasu.

- Król Algar chyba zostawił ci wyraźne rozkazy?

- Algar sam czasami wydaje się pomyłony. Kapłan powiedział, że dopóki mamy „Księgę Alornów”, niepotrzebny nam żaden bełkot.

Oczywiście kapłan, który był wyznawcą Kultu Niedźwiedzia, nie tęsknił za nowymi prorocत्वami. Mogły kolidować z ich planem działania. Zakląłem w duchu.

Prorok z Darine i opiekująca się nim córka mieszkali na wschodnim skraju miasta w zadbanej chacie. Był bardzo starym, żyłastym mężczyzną o rzadkiej siwej brodzie i dużych, gruzłowatych rękach. Nazywał się Bormik, a jego córka - Luana. Hatturk nie przesadzał z jej opisem. Wyglądała tak, jakby przez większość czasu z uwagą wpatrywała się w koniuszek swego nosa. Alornowie to zabobonni ludzie i wszelkie ułomności ich drażnią, toteż staropanieństwo Luany było całkiem zrozumiałe.

- Jak się dziś czujesz, Bormiku? - zakrzyknął Hatturk. Czemu ludzie uważają, że powinni krzyczeć, gdy rozmawiają z kimś, kto ma nie po kolei w głowie?

- Chyba nieźle - odparł Bormik dychawicznym, starczym głosem. - Mam trochę kłopotu z rękoma. - Wyciągnął swe nabrzmiałe wielkie dłonie.

- Za młodu zbyt często łamałeś palce na głowach innych! - ryknął Hatturk. - To jest Belgarath. Chce z tobą rozmawiać.

Oczy Bormika momentalnie stały się szkliste.

- Patrzcie! - powiedział grzmiącym głosem. - Oto Prastary i Ukochana przybyli po wskazówki.

- Znowu zaczyna - mruknął Hatturk. - Cała ta bezsensowna paplanina działa mi na nerwy. Poczekam na dworze - dodał, po czym odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

- Wysłuchaj mnie, uczniu Aldura - ciągnął Bormik. Jego spojrzenie jakby było utkwione w mej twarzy, ale sądzę, że mnie nie widział. - Wysłuchaj mych słów, albowiem one są prawdą. Rozdwojenia nastanie kres, albowiem Dziecko Światła nadchodzi.

To właśnie chciałem usłyszeć. To było potwierdzenie, że Bormik był głosem proroctwa i wszystko, co w ciągu tych lat mówił, zawierało ważne informacje - a my to straciliśmy! Kląłem w duchu, a na myśl zaczęły mi przychodzić wszystkie paskudne rzeczy, które mogłem zrobić tępogłowemu Hatturkowi. Spojrzałem na Polgarę, ale ona siedziała w kącie pokoju i z zacięciem rozmawiała z zezowatą córką Bormika.

- A Wybór zostanie dokonany w świętym miejscu dzieci Boga-Smoka - ciągnął Bormik. - Albowiem Bóg-Smok jest pomyłką i nie był zamierzony. Jedynie Wybór może naprawić błąd i z powrotem wszystko scalić. W dniu, w którym Klejnot Aldura rozjarzy się purpurowym ogniem, imię Dziecka Mroku zostanie objawione. Strzeżcie dobrze syna Dziecka Światła, albowiem ono brata mieć nie będzie. I zdarzy się, że to, co kiedyś było jednością, a teraz jest rozdwojone, zjednoczy się i po zjednoczeniu jednego z nich już nie będzie.

Potem zmęczony opuścił głowę, jak gdyby wysiłek wygłoszenia proroctwa zupełnie starca wyczerpał. Mogłem spróbować go obudzić, ale wiedziałem, że na nic by się to nie zdało. Był zbyt stary i słaby, aby mówić dalej. Wstałem, wziąłem koc ze stojącej w pobliżu ławki i delikatnie okryłem drzemiącego starca. Nie chciałem, aby przeziębił się i umarł, nim przekaze nam wszystko, co miał do powiedzenia.

- Pol - zwróciłem się do córki.

- Za chwilę, ojczy - odparła, odpędzając mnie machnięciem ręki i dalej rozmawiała przyciszonym głosem z zezowatą Luaną. - A zatem zgoda? - zapytała starą pannę.

- Będzie, jak powiedziałaś, lady Polgaro - odparła podstarzała córka Bormika. - A teraz mała poprawka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Wstała, przeszła przez pokój i utkwiała spojrzenie w lustrzanym odbiciu

swej twarzy. - Gotowe! - powiedziała tylko. Odwróciła i rozejrzała się po pokoju. Jej oczy patrzyły równie prosto jak każdego z nas - i były to piękne oczy.

O co tu chodziło?

- W porządku, ojciec - odezwała się niedbałym tonem Pol. - Teraz możemy iść - dodała i wyszła z pokoju.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytałem, otwierając przed nią drzwi.

- Coś za coś, ojciec - odparła. - Możesz to nazwać uczciwą wymianą.

- Oto i nasz problem - powiedziałem, wskazując na czekającego niecierpliwie Hatturka. - Jest wyznawcą Kultu Niedźwiedzia i nawet jeśli udałoby mi się zmusić go do zapisywania bełkotu Bormika, dałby to najpierw kapłanom do przeczytania. Rewizjonizm jest esencją religii, więc trudno powiedzieć, jakie śmieci do mnie dotrą.

- Już się tym zajęłam, ojciec - oświadczyła swym obraźliwie wyniosłym tonem. - Nie nadwerężaj rozumu Hatturka próbami tłumaczenia mu potrzeby dokładności. Luana zajmie się tym.

- Córnka Bormika?

- Oczywiście. W końcu jest mu najbliższa. Od lat przysłuchiwała się jego bełkotowi i doskonale wie, w jaki sposób spowodować, aby powtórzył to, co niegdyś mówił. Do sprowokowania go wystarczy pojedyncze słowo. - Umilkła na chwilę. - Och - powiedziała, jakby sobie coś przypomniała - masz swoją sakiewkę. - Podała mi znacznie lżejszą sakiewkę, którą jakimś sposobem udało się jej wykraść. - Dałam jej pieniądze na wynajęcie skrybów.

- I? - zapytałem, biorąc sakiewkę.

- Co i?

- Co dostała w zamian?

- Ależ, ojciec - powiedziała. - Przecież ją widziałeś.

- Masz na myśli jej oczy?

- Oczywiście. Tak jak powiedziałam, coś za coś.

- Jest już za stara, aby miało to jakieś znaczenie, Pol - zaprotestowałem. - Teraz już nie złapie męża.

- Może nie, ale przynajmniej będzie mogła spojrzeć sobie prosto w oczy w lustrze. - Spojrzała na mnie pobłażliwie. - Nigdy tego nie zrozumiesz, stary wilku. Wierz mi, wiem, co robię. Co teraz?

- Moglibyśmy też wpaść do Drasni. Zdaje się, że tutaj skończyliśmy. - Wzruszyłem ramionami. - Jak wyprostowałaś jej oczy?

- Mięśnie, stary wilku. Napiąć jedno. Rozluźnij inne. To łatwe, jeśli jesteś uważny. Szczegóły, ojcze, trzeba zwracać uwagę na szczegóły. Czyż sam mi tego nie mówiłeś?

- Gdzie nauczyłaś się tyle o oczach?

Polgara wzruszyła ramionami.

- Nie uczyłam się. Po prostu przyszło mi to do głowy po drodze. Mamy zatem iść do Drasni?





Noc spędziliśmy w domu Hatturka. Następnego ranka udaliśmy się do portu, aby pożeglować do Kotu, leżącego u ujścia rzeki Mrin.

- Pragnę ci podziękować, Hatturku - powiedziałem do wodza, gdy staliśmy na nabrzeżu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Belgaracie - odparł.

- Chciałbym ci udzielić rady, jeśli zechciałbyś jej wysłuchać.

- Oczywiście.

- Lepiej, abyś nie obnosił się ze swymi przekonaniem religijnymi. W przeszłości Kult Niedźwiedzia narobił wiele zamieszania w Alorii i królowie Alorii nie przepadają za nim. Król Algar to cierpliwy człowiek, ale nawet jego cierpliwość ma swoje granice. Wielokrotnie już zakazywano działalności tego kultu i mam wrażenie, że niedługo znów do tego dojdzie. Chyba nie chciałbyś znaleźć się po niewłaściwej stronie, gdy się to wydarzy. Algar potrafi działać bardzo zdecydowanie, jak coś postanowi.

Hatturk spojrział na mnie posepnie. Próbowałem go ostrzec, ale zdaje się, że on wolał nie słuchać.

- Czy Dras wie, że przybywamy, ojczy? - zapytała Polgara, gdy wchodziliśmy na pokład.

Skinąłem głową.

- Rozmawiałem wczoraj z kapitanem Chereka. Właśnie jest w drodze do Boktoru. Płyne na jednym z tych okrętów wojennych, więc dotrze na długo przedtem, nim my przybędziemy do Kotu.

- Miło będzie znowu spotkać Drasa. Nie jest tak bystry jak jego bracia, ale ma dobre serce.

- Tak - przyznałem. - Zdaje się, że powinienem porozmawiać z nim po przybyciu do Kotu. Myślę, że już czas, aby się ożenił.

- Nie patrz na mnie, ojczy - powiedziała ściągając usta. - Lubię Drasa, ale nie aż tak.

Obecnie Kotu jest jednym z głównych portów morskich, w znacznej mierze dlatego, że tu kończy się Północny Szlak Karawan. Jednakże wówczas, gdy odwiedziliśmy je z Pol, handel z Nadrakami był bardzo ograniczony, a samo Kotu było zaledwie wioską z kilkoma wysuniętymi nad zatokę nabrzeżami. Dwa dni zajęła nam podróż z Darine przez Zatokę Chereka do ujścia rzeki Mrin. Dras czekał na nas. Stawił się w otoczeniu licznej świty, ale jej członkowie nie przybyli po to, aby mnie zobaczyć. Interesowała ich Polgara. Najwyraźniej wieść o urodzie córki Prastarego Belgaratha rozeszła się po alornskich królestwach i młodzi Drasnianie przybyli z Boktoru, aby naocznie się o tym przekonać.

Jestem pewny, że się nie rozczarowali.

Kiedy płynęliśmy na Wyspę Wiatrów na ślub Beldaran, dziewczynki miały zaledwie po szesnaście lat, a na dodatek nigdy nie były poza Doliną. W czasie tamtej podróży bardzo niepokoiłem się o Polgarę. Teraz jednak była starsza i potrafiła sama się o siebie zatroszczyć, co już pokazała, więc mogłem przyglądać się zabiegom tych młodzieńców spokojnie, a nawet z pewnym rozbawieniem. Pol bawiło ich zainteresowanie, ale nie było mowy o żadnym nieodpowiednim zachowaniu z jej strony.

Nasz statek przybił do nabrzeża późnym popołudniem. Wynajęliśmy pokoje w nieco podniszczonym zajeździe. Następnego ranka mieliśmy wyruszyć w górę rzeki do wioski Braca, gdzie trzymano przykutego do pała Proroka z Mrin.

Rozmawiałem z Drasem do późnego wieczora, co dało Polgarze okazję do złamania kilku serc.

Dras rozparł się wygodnie w swym fotelu i spojrzął na mnie z przebiegłym błyskiem w oku.

- Wiesz, że Algar się żeni?

- Zabawne, nic o tym nie wspomniał - odparłem. - Podróżował z nami na Wyspę Rivy.

- Wiesz, jaki on jest - powiedział, wzduszając ramionami Dras. - Zdaje się, że też powinienem o tym pomyśleć.

- Miałem właśnie zamiar poruszyć ten temat - powiedziałem. - Zwykli ludzie mogą wedle własnego uznania żenić się lub nie, ale na królach spoczywa pewna odpowiedzialność.

- Nie sędzę, aby... - Zawiesił wyczekująco głos.

- Nie, Drasie - odparłem stanowczo. - Polgara nie wchodzi w grę. Zresztą nie sędzę, abyś miał ochotę się z nią żenić. Można powiedzieć, że ma trudny charakter. Znajdź sobie lepiej jakąś miłą alornską dziewczynę. Będziesz szczęśliwszy.

Dras westchnął.

- Jednak ona jest taka piękna.

- O tak, przyjacielu, ale na Pol czekają inne sprawy. Może nadejdzie czas, że i ona wyjdzie za mąż, ale to będzie jej decyzja i łatwo jej nie podejmie. Jak daleko jest do Braca?

- Dzień drogi w górę rzeki. Aby tam dotrzeć, musimy przeprowić się przez moczary. - Pociągnął się w zamyśleniu za brodę. - Myślimy o ich osuszeniu. Zyskalibyśmy dobre ziemie pod uprawę, gdyby udało nam się pozbyć tej całej wody.

Wzruszyłem ramionami.

- To twoje królestwo, ale osuszanie bagien może okazać się niezłą harową. Miałeś ostatnio jakieś wieści od ojca?

- Jakiś miesiąc temu. Jego nowa żona znowu spodziewa się dziecka. Mają nadzieję, że tym razem to będzie syn. Według mnie moja przyrodnia siostra mogłaby przejąć tron po śmierci ojca, ale Alornom nie bardzo podoba się pomysł posiadania królowej. Wydaje im się to nienaturalne.



Nie macie pojęcia, ile czasu zajęła mi zmiana tego podejścia. Porenn jest pewnie jedną z najbardziej uzdolnionych władczyń w historii, ale w kraju Drasnianie nie traktują jej poważnie.



Następnego ranka spałem do późna i było już prawie południe, gdy wyruszyliśmy w drogę.

Rzeka Mrin u swego ujścia płynie dość leniwie, co pewnie jest przyczyną powstania zalewiska, zwanego tu Żuławami Aldura. Jest to rozległy bagnisty teren leżący pomiędzy rzekami Mrin i Aldur. W sumie jeden z najmniej atrakcyjnych obszarów na północy, jeśli chcecie znać moją opinię. Jednakże ja nie lubię bagnisk i stąd pewnie tak do tego podchodzę. Moczary cuchną, a powietrze jest zawsze tak wilgotne, że trudno mi złapać oddech. No i oczywiście pełno na nich robactwa, dla których człowiek jest źródłem pożywienia. W czasie drogi w górę rzeki pozostawałem w kabinie. Jednakże Polgara spacerowała po pokładzie w otoczeniu chmary zalotników. Wiem, że dobrze się bawiła, ale ja nie miałem zamiaru zapraszać wszystkich komarów w promieniu dziesięciu mil do skosztowania mojej krwi, bez względu na to, jak dobrze bym się bawił.

O zachodzie słońca kapitan kazał rzucić kotwicę. Kanał był dobrze oznakowany bojami, ale mimo wszystko nie byłoby rozsądnie błąkać się po moczarach w ciemnościach. Zbyt łatwo mogłam zablądzić.

Po kolacji siedzieliśmy z Drasem w kabinie. Wkrótce dołączyła do nas Pol.

- Dras - zapytała wchodząc - dlaczego twoi ludzie podczas Rozmowy cały czas gestykują?

- To taki tajemny język - odparł.

- Tajemny język?

- Kupcy wpadli na ten pomysł. Czasami w czasie dobijania targów trzeba porozumieć się ze swoim współnikiem. Dlatego wynaleźli język migowy. Początkowo był bardzo prosty, ale teraz znacznie się skomplikował.

- Znasz go?

Dras wyciągnął jedną ze swych ogromnych dłoni.

- Z takimi palcami? Nie bądź śmieszna.

- Warto by go znać. Nie sądzisz, ojcze?

- Mamy inne sposoby porozumiewania się, Pol.

- Być może, jednak chciałabym się nauczyć tego języka. Nie lubię, gdy ludzie szepczą za moimi plecami - nawet jeśli robią to palcami. Masz może na statku kogoś, kto jest w tym biegły, Drasie?

Dras wzruszył ramionami.

- Sam nie przywiązuję do tego większej wagi. Mogę się jednak rozpytać.

- Będę ci wdzięczna.

Następnego ranka popłynęliśmy dalej i koło południa dotarliśmy do wioski Braca.

- Niezbyt urocze miejsce - zauważyłem, spoglądając na walące się chaty przycupnięte na błotnistym brzegu.

- Tol Honeth to nie jest - przyznał. - Gdy dowiedzieliśmy się o tym szaleńcu, chciałem go zabrać do Boktoru, ale on tu się urodził i wpada w szał, jeśli próbuje się go stąd ruszyć. Uznaliśmy, że lepiej zostawić go w spokoju. Skrybom nie bardzo się to podobało, ale dlatego tyle im płacę. Są tu po to, aby spisywać, co on mówi, a nie rozkoszować się widokami.

- Jesteś pewny, że dokładnie wszystko zapisują?

- Skąd mam wiedzieć, Belgaracie? Nie potrafię czytać. Wiesz o tym.

- Chcesz powiedzieć, że nadal się nie nauczyłeś?

- A po co miałbym sobie zawracać tym głowę? Od tego są skrybowie. Jeśli jest coś ważnego, to mi to czytają. Ci tutaj opracowali niezłą metodę. Przy szaleńcu jest ich zawsze trzech. Dwóch zapisuje, a trzeci słucha. Kiedy szaleniec skończy, porównują obie zapisane wersje i ten, co słuchał, decyduje, która jest poprawna.

- Wydaje się to nieco skomplikowane.

- Wyraźnie dałeś do zrozumienia, jak bardzo zależy ci na dokładności. Jeśli znasz łatwiejszy sposób, to mi powiedz. Rad będę go usłyszeć.

Nasz statek przybił do chwiejnego pomostu i marynarze go przycumowali. Zeszliśmy na brzeg, aby obejrzeć Proroka z Mrin.

Nie wiem, czy widziałem kogoś tak brudnego. Miał na sobie strzępy odzienia z lnianego płótna, a włosy i brodę długie i zmierzwione. Na szyję założono mu metalową obręcz, przykutą solidnym łańcuchem

do grubego słupa stojącego przed budą szaleńca - przykro mi, ale to jedyne słowo, jakiego mogę użyć na opisanie niskiego szałas, w którym najwyraźniej sypiał. Siedział skulony na ziemi przy słupie, wydawał zwierzęce odgłosy i rytmicznie szarpał łańcuch, którym był przykuty. Oczy miał ukryte pod krzaczastymi brwiami i nie było w nich śladu inteligencji czy choćby człowieczeństwa.

- Czy naprawdę trzeba go tak przykuwać? - zapytała Drasa Polgara.

Dras potwierdził skinieniem głowy.

- Miewa napady złego nastroju - odparł. - Często zdarzało mu się uciekać na moczary. Nie było go przez tydzień, dwa, potem przyczołgiwał się z powrotem. Kiedy dowiedzieliśmy się, kim jest, postanowiliśmy przykuć go dla jego własnego bezpieczeństwa. Na moczarach pełno jest topieli i ruchomych piasków. Ten biedny szaleniec nie ma tyle rozumu, aby ich unikać. A nie mógłby recytować prorocत्व z głębi bagna.

Pol spojrzała na niską budę.

- Czy musicie jednak traktować go jak zwierzę?

- Polgaro, on jest zwierzęciem. Przebywa w tej budzie, bo tego chce. Wpada w histerię, jeśli zabierze się go do domu.

- Mówiłeś, że tu się urodził - zauważyłem. Dras skinął głową.

- Około trzydziestu, czterdziestu lat temu. Przed wyprawą do Mallorei ziemie te należały do królestwa ojca. Wioska stoi tu od jakichś siedemdziesięciu lat. Większość mieszkańców jest rybakami.

Podszedłem do trzech skrybów pełniących wartę pod karłowatą wierzwą i przedstawiłem się.

- Czy ostatnio coś mówił? - zapytałem.

- Od tygodnia nic - odparł jeden z nich. - Podejrzewam, że ma na to wpływ księżyc. W czasie pełni zawsze mówi, choć robi to i kiedy indziej.

- Sadzę, że można by znaleźć na to jakieś wytłumaczenie. Czy nie ma sposobu, aby go trochę oczyścić?

Skryba pokręcił głową.

- Próbowaliśmy oblewać go wodą, ale on zaraz ponownie tarzał się w błocie. Myślę, że lubi być brudny.

- Daj mi natychmiast znać, gdy zaczniesz znowu mówić. Muszę go usłyszeć.

- Nie sądzę, abyś wiele zrozumiał z tego, co on mówi, Belgaracie - odezwał się inny ze skrybów.

- Na to przyjdzie czas później. Mam wrażenie, że wiele godzin spędzę na studiowaniu jego słów. Czy kiedykolwiek mówił o zwykłych rzeczach? Pogodzie lub głodzie?

- Nie - odparł pierwszy skryba. - Naszym zdaniem, on nie potrafi zwyczajnie mówić - tak też twierdzą mieszkańcy wioski. Jakies dziesięć lat temu zaczął. To ułatwia nam pracę. Nie musimy przekopywać się przez zwykłe rozmowy. Wszystko, co powie, jest ważne.

Tej nocy zostaliśmy na pokładzie statku Drasa. Potrzebna nam była współpraca wieśniaków i nie chciałem ich zrażać rekwirowaniem domów na czas naszego pobytu w Braca.

Następnego dnia, około południa, na nabrzeże przyszedł jeden ze skrybów.

- Belgaracie - zawołał do mnie. - Lepiej będzie, jeśli przyjdiesz. Zaczął mówić.

Jeden z młodzieńców uczył właśnie Pol owego sekretnego języka i nie wyglądał na zbyt ucieszonego, gdy przerwała lekcję, aby towarzyszyć mi i Drasowi.

Szaleniec znowu kulił się na ziemi przy słupie i nadal szarpał łańcuch. Nie myślę, aby chciał się uwolnić. Brzęk łańcucha zdawał się go uspokajać. W końcu, nie licząc drewnianej misy, w której dawali mu jedło, ten łańcuch był jego jedyną własnością. Należał do niego, więc pewnie miał prawo się nim bawić. Gdy się zbliżyliśmy, starzec wydawał zwierzęce odgłosy.

- Przerwał? - zapytałem skrybę, który po nas przyszedł.

- Zaczniesz znowu - zapewnił mnie. - Często przerywa, jęczy i chrząka. Potem znowu zaczyna mówić. Gdy już zaczniesz, robi to zwykle przez cały dzień. Przerywa po zachodzie słońca.

Wtem szalencie puścił łańcuch i spojrzał mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było czujne i bardzo przenikliwe.

- Słuchaj! - powiedział do mnie grzmiącym, dudniącym głosem, który brzmiał niemal tak samo jak głos Bormika. - Dziecku Światła powinien towarzyszyć w tej wyprawie Niedźwiedź, Przewodnik i Człowiek o Dwóch Życiach. Wy, takowoż, Prastary i Ukochana, winniście być u jego boku. Władca Koni także winien z tobą iść i Ślepiec i Królowa Świata. Inni również się przyłączą - Rycerz Obrońca i Łucznik, i Łowczyni, i Matka Wymarłej Rasy, i Kobieta, która Czuwa, a którą znałeś wcześniej.

Przerwał i znowu zaczął jęczeć, ślinić się i szarpać łańcuch.

- Wystarczy - powiedziałem do Drasa. - Tyle chciałem wiedzieć. Jest prawdziwy.

- Jak potrafisz to stwierdzić tak szybko?

- Ponieważ mówił o Dziecku Światła, Drasie. Tak jak Bormik. Przekaż me słowa ojcu i braciom. Oto klucz do rozpoznania proroków. Jeśli ktoś wspomni o Dziecku Światła, wyślij do niego skrybów, ponieważ jego słowa będą ważne.

- Jak to odkryłeś?

- Spędziłem trochę czasu z Koniecznością w czasie drogi do Mallorei, pamiętasz? Ciągłe mówiła o Dziecku Światła. - Potem przypomniałem sobie coś jeszcze. - Być może jestem trochę przewrażliwiony i nic takiego nie wydarzy się w naszej części świata, ale możemy także natknąć się na kogoś, kto mówi o Dziecku Mroku. Niech ludzie zapiszą również te słowa.

- A czym się różnią?

- Ten, który mówi o Dziecku Światła, przekazuje instrukcje nam. Ten, który wspomina o Dziecku Mroku, mówi Torakowi, co ma robić. Przydałoby się podsłuchać kilka z tych wiadomości.

- Zostaniesz tu i będziesz słuchał?

- Nie ma takiej potrzeby. Zaspokoilem już swoją ciekawość. Niech twoi skrybowie sporządzą kopie wszystkiego, co do tej pory zapisali, i przyślij mi je do Doliny.

- Dopilnuję tego. Chcesz teraz wrócić do Kotu?

- Nie, chyba nie. Zobacz, czy nie da się tu znaleźć kogoś z łodzią, kto zna drogę przez moczary. Ruszamy z Pol do Algarii, a stamtąd do domu. Nie ma sensu wracać tą samą drogą.

- Czy mam zrobić coś jeszcze?

- Wracaj do Boktoru i ożeń się. Potrzebujesz syna, aby przekazać mu koronę.

- Nie mam korony, Belgaracie.

- To sobie zrób. Korona sama w sobie w zasadzie nic nie znaczy, ale ludzie lubią widoczne symbole.

Polgara spoglądała na mnie chmurnie.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Moczary, ojciec? Masz zamiar przepłynąć się ze mną przez moczary?

- Potraktuj to jako pouczające doświadczenie, Pol. Chodźmy po nasze rzeczy. Chcę wrócić do Doliny.

- Skąd ten pośpiech?

- Powiedzmy, że tęsknię za domem.

Spojrzała na mnie pobłażliwie.

Właściciel łodzi nazywał się Gannik, był gadatliwy i dobroduszny. Łódź była długa i wąska - bardziej podobna do czółna. Od czasu do czasu korzystał z wiosł, ale głównie odpychał się drągiem. Nie bardzo mi się podobało, że ktoś stał w wąskiej łodzi, ale Gannik chyba wiedział, co robi, dlatego się nie wtrącałem.

Chciałem wrócić do Doliny, ale głównym powodem, dla którego tak nagle opuściłem Braca, była chęć zabrania Pol od tego młodziana, który uczył ją sekretnego języka. Mogłem zachowywać spokój, dopóki zalotnicy kręcili się wokół niej gromadnie, ale widok Pol siedzącej na uboczu z jednym z młodzieńców denerwował mnie. Pol była wyjątkowo rozsądna, ale...

Z pewnością rozumiecie, do czego zmierzam. Dumałem nad tym, gdy Gannik przepychał naszą łódź przez moczary na południe. Polgara miała już osiemnaście lat i zdecydowanie nadszedł czas, abym przeprowadził z nią tę rozmowę. Obie z Beldaran wychowywały się bez matki, więc nie miały wokół siebie nikogo, kto wyjaśniłby im pewne sprawy.

Beldaran z pewnością wiedziała o nich, ale nie byłem pewny, czy Pol również. Wnuki są bardzo miłe, ale ich nieoczekiwane i pojawienie się może być nieco kłopotliwe.

Na moczarach granica pomiędzy Drasnią i Algarią nie była zbyt ściśle określona. Drasnianie nazywali te rozległe mokradła Bagnami Mrińskimi, a dla Algarów były to Żuławy Aldura. Jednakże w obu przypadkach chodziło o to samo bagnisko. Byliśmy około trzech dni drogi na południe od Braca, gdy Pol zauważyła wodne stworzenia, które żyją w takich miejscach.

- To wydra czy bóbr? - zapytała Gannika, gdy mały krągły łeb wynurzył się z wody przed nami.

- To błotniaki - odparł. - Są podobne do wydr, ale nieco większe. Wesole urwisy. Niektórzy łapią je dla futra, ale ja uważam, że nie powinno się tego robić. Z jakiegoś powodu nie wydaje mi się to właściwe. Lubię przyglądać się ich zabawom.

Błotniak miał bardzo duże oczy i przyglądał nam się z zaciekawieniem, gdy Gannik przepychał naszą łódź przez duży staw. Stworzenie, które zdawało się tam mieszkać, wydało bełkotliwy dźwięk. Zabrzmiało to prawie tak, jakby błotniak nas beształ.

Gannik się roześmiał.

- Płoszymy mu ryby - powiedział - i oznajmia nam to. Czasami wydaje się, że potrafią mówić.



Vordai, wiedźma z mokradeł, doszła do tego samego wniosku jakiś czas później i zmusiła mnie, bym coś zrobił w tej sprawie.



W końcu dotarliśmy do tej części mokradeł, która zasilana była kanałami z ujścia Rzeki Aldura, i Gannik przewiózł nas na wyżej położone tereny, znajdujące się na wschodzie mokradeł. Podziękowaliśmy mu i zeszliśmy na brzeg.

Dobrze było ponownie mieć stały grunt pod nogami.

- Zmienimy znowu postać? - zapytała Pol.

- Za chwilę. Musimy najpierw o czymś porozmawiać.

- O czym?

- Dorastasz, Pol.

- Zdaje się, że masz rację.

- Pozwolisz mi mówić? Są pewne sprawy, o których powinnaś wiedzieć.

- Jakie?

W tym miejscu zacząłem się plątać. Pol stała z wyrazem znudzenia na twarzy, pozwalając mi pograżać się coraz głębiej. Potrafi być bardzo okrutna. W końcu przerwałem. Miała trochę za bardzo nieobecny wyraz twarzy.

- Ty już o tym wszystkim wiesz, prawda? - oskarżyłem ją.

- O czym, ojcze?

- Przestań. Wiesz, skąd biorą się dzieci. Czemu pozwoliłaś, byśmy oboje znaleźli się w niezręcznej sytuacji?

- Chcesz powiedzieć, że nie lęgną się w kapuście? - Wyciągnęła dłoń i poklepała mnie po policzku. - Wiem o tym wszystko, ojcze. Pomagałam Beldaran przy porodzie, pamiętasz? Akuszerki wyjaśniły mi, co trzeba. Muszę przyznać, że obudziły moją ciekawość.

- Tylko nie bądź za ciekawa, Pol. Trzeba dopełnić pewnych zwyczajowych formalności, nim się zaczniesz zbierać doświadczenia.

- Czyżby? Czy dopełniałeś tych wszystkich formalności w Mar Amon - za każdym razem?

Zakląłem pod nosem i przybrałem postać wilka. Wilk przynajmniej nie potrafi się rumienić, a mnie, w miarę jak grzęzłem coraz bardziej, twarz robiła się coraz czerwiejsza.

Polgara wybuchnęła śmiechem, który tak rzadko u niej słyszałem, i skryła się pod postacią czubatej sowy.





Beldin wrócił z Mallorei, gdy my dotarliśmy do Doliny. Byłem nieco zaskoczony, że wrócił tak szybko. Zwykle przepadał na kilka stuleci, gdy się tam wybierał. Następnego ranka, jak zwykle miło usposobiony do świata, wdrapał się po schodach do mej wieży.

- Gdzieście się podziewali? - warknął na nas.

- Bądź miły, wujku - odparła spokojnie Pol. - Musieliśmy zająć się pewnymi sprawami.

- Wcześniej wróciłeś - powiedziałem. - Czyżby zaszła jakaś nagła potrzeba?

- Nie sil się na błyskotliwość, Belgaracie. Nie masz do tego daru. Angarakowie w Mallorei drepczą w kółko. Nic się nie wydarzy, dopóki Torak nie powróci z odosobnienia w Ashabie. - Nagle uśmiechnął się. - Zedar jest tam z nim i to doprowadza do szaleństwa tego zawszonego Urvona.

- Tak?

- Urvon jest urodzonym podlizuchem i nie może znieść tego, że Zedar jest bliżej Toraka niż on. A co gorsza, nie może ruszyć do Ashaby, by bronić swych interesów, ponieważ boi się opuścić Mal Yaska.

- Czego się boi?

- Mnie. Zdaje się, że po nocach śni o haku, który mu pokazałem.

- Nadal? To było ponad pięćset lat temu, Beldinie.

- Widać zostawiło trwałe ślad. Dzięki temu przynajmniej jeden uczeń Toraka jest unieruchomiony. Co na śniadanie, Pol?

Spojrzała na niego przeciągle.

- Zdaje się, że trochę utyłaś - zauważył, mierząc ją beczelnie oczyma.

- Powinnaś się pilnować. Zaczynasz się robić tłusta.

Oczy Pol zwięzły się niebezpiecznie.

- Nie kuś losu, wujku - ostrzegła go.

- Lepiej na nią uważaj, Beldinie - poradziłem mu. - Rozpoczęła naukę i jest bardzo pojętna.

- Spodziewałem się tego. Gdzieście się podziewali? Bliźniacy powiedzieli, że byliście na Wyspie.

- Rivański tron ma teraz dziedzica - oznajmiłem. - Nazywa się Daran i zapowiada się obiecująco. Klejnot Mistrza bardzo się ucieszył ze spotkania z nim.

- Może wpadnę tam i rzucę na niego okiem - powiedział w zadumie Beldin. - Co prawda, nie jestem z nim spokrewniony tak jak ty, ale Beldaran jest mi bardzo bliska. Czemu powrót zajął wam tak dużo czasu?

- Zahaczyliśmy z Pol o Darine, a potem wpadliśmy do Drasni. Chciałem rzucić okiem na tych dwóch proroków. Ich autentyczność nie budzi wątpliwości.

- Dobrze. Torak ma trochę kłopotów ze swoim proroctwem.

- Jakiego rodzaju?

- Nie podoba mu się, co mówi. Kiedy wyszedł z transu, i przeczytał, co zapisali skrybowie Urvona, to pewnie ze złości starł kilka gór z powierzchni ziemi. Zdaje się, że Proroctwo Ashabińskie obraża go.

- To pocieszające. Czy moglibyśmy jakimś sposobem dostać kopię?

- Nie bardzo. Torak zdecydowanie nie życzy sobie, aby rozpowszechniano ów dokument. Urvon miał kopię, ale Torak, mimo że był w Ashabie, i tak ją spalił. - Podrapał się po brodzie. - Zedar jest w Ashabie. Obaj znamy go na tyle dobrze, by wiedzieć, że na pewno ma swoją kopię. Jeśli Torak kiedykolwiek pozwoli mu odejść, to pewnie ją zabierze. Podejrzewam, że to jedyna kopia, która nie znajduje się pod bezpośrednią kontrolą Jednookiego. Któregoś dnia dopadnę Zedara i wydrę ją jego ścierwu. - Spojrzał na mnie spod oka. - Czemu go nie zabiłeś, gdy miałeś okazję?

- Powiedziano mi, abym tego nie robił. Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty również powstrzymasz swe mordercze zapędy. Będziemy go jeszcze później potrzebować.

- Nic konkretniejszego nie powiesz?

Pokręciłem głową.

- To wszystko, co wiem.

Beldin chrząknął.

- Być może mógłbym zdobyć kopię Ewangelii Malloreńskiej, jeśli uda mi się dostać i wrócić z Kell w jednym kawałku.

- Co to za Ewangelia Malloreńska? - zapytała Pol.

- Kolejny zbiór prorocत्व - odparł. - Choć bardzo niejasnych. Spisali je Dalowie, a oni są całkowicie neutralni. A tak przy okazji, Belgaracie, Ctuchik się przeniósł.

- Tak, słyszałem o tym. Jest teraz w miejscu zwanym Rak Cthol.

Beldin potwierdził skinieniem głowy.

- Przelatywałem tamtędy w drodze powrotnej. To niezbyt przyjemne miejsce. Zbudował miasto na szczycie skalnej iglicy sterczącej pośrodku pustyni. Zebrałem trochę plotek. Najwyraźniej ta epidemia proroków jest bardzo rozpowszechniona. Zapadli na nią również niektórzy Grolimowie Ctuchika. Trzyma ich w Rak Cthol pod nadzorem skrybów. Wątpię, aby ich prorocтва były tak dokładne jak Toraka, ale może warto poświęcić trochę czasu i dostać je w ręce. Zostawiam to jednak do twojego uznania. Myślę, że lepiej, abym sam trzymał się z dala od Ctuchika. Kilka razy musnąłem jego umysł i pewnie wyczułby moje nadejście z odległości stu lig. A nam trzeba informacji, nie rękoczynów.

- Murgowie się przemieszczają - oznajmiła Pol. - Przesuwają się na południe kontynentu, a po drodze gnębią zachodnich Dalów.

- Mam wielki szacunek dla umysłowych przymiotów Dalów - odparł - ale odwagą to oni nie grzeszą.

- Sądzę, że to wszystko to podstęp - powiedziałem. - W końcu bez większych trudności trzymają Grolimów Urvona z dala od Kell. - Usiadłem, opierając się wygodniej. - Chyba odwiedzę Rak Cthol i złożę wizytę Ctuchikowi - rzekłem z zadumą. - Jest nowy w tej części świata, więc ktoś powinien go tu powitać - a przynajmniej zobaczyć, jak wygląda, gdy nie jest gończym.

- Iście po dobrosąsiedzku - powiedział Beldin z diabolicznym uśmiechem.

- Wracasz do Mallorei?

- Na razie nie. Najpierw chcę obejrzeć twego wnuka.

- A popilnowałbyś Polgary podczas mojej nieobecności?

- Niepotrzebny mi opiekun, ojczu.

- Właśnie, że potrzebny - nie zgodziłem się. - Znajdujesz się na niebezpiecznym etapie edukacji. Zdaje ci się, że wiesz więcej niż jest faktycznie. Nie chcę, abyś zaczęła eksperymentować bez nadzoru.

- Będę jej pilnował - obiecał Beldin i spojrzał na nią. - Czyżbyś zupełnie zapomniała o śniadaniu, Pol? To, że ty postanowiłaś uważać na swoją wagę, nie znaczy, że my też mamy pościć.

Jeszcze tego samego ranka ruszyłem z Doliny na północny wschód i gdy tylko dotarłem na równiny Algara, zmieniłem postać. Nie lubiłem chodzić po Dolinie jako wilk. Jelenie i króliki mogłyby się spłoszyć. Są prawie oswojone, a niegrzecznie straszyć sąsiadów.

Przepląnąłem Rzekę Aldura i następnego ranka dotarłem do Wschodniego Szańca. Jakiś czas szedłem wzdłuż niego w pewnym oddaleniu, póki nie dotarłem do jednego z tych wąwozów, o których mówił nam Algar na Wyspie Rivy. Wschodni Szaniec powstał, gdy Mistrz i Belar byli zmuszeni zamknąć ocean, który stworzył Torak po rozłupaniu świata. Z pęknięcia w ziemi wyrósł górski łańcuch, czego rezultatem było imponujące, wysokie na milę urwisko, które tworzyło naturalną granicę pomiędzy Algarią i Mishrak ac Thull.

Po zastanowieniu postanowiłem ze wspinaczką zaczekać do zmroku. Algar mówił, że Murgowie czasami schodzą wąwozami po konie, a nie chciałem, aby Ctuchik dowiedział się, że nadchodzę. Zedar wiedział, że moją ulubioną postacią jest wilk. Nie byłem pewny, czy nie podzielił się tą wiedzą z innymi uczniami. Odszedłem jakąś milę wzdłuż urwiska i przywarowałem w wysokiej trawie.

Okazało się, że podjąłem mądrą decyzję. Około południa usłyszałem jeźdźców, uważnie wybierających drogę pośród skalnego rumowiska u podnóża szanca. Nadstawiłem uszu i pozostałem w ukryciu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Rashagu - usłyszałem, jak powiedział jeden z nich. - Słyszałem, co Lud Koni robi z tymi, którzy próbują ukraść ich zwierzęta.

- Musieliby nas najpierw złapać, Aggo.

Bardzo powoli uniosłem głowę. Wiatr był nieco porywisty, ale byłem pewny, że ich konie nie zwietrzą mego zapachu. Zacząłem z uwagą wpatrywać się tam, skąd dobiegały głosy. Wtem ich spostrzegłem. Było tylko dwóch. Mieli na sobie kolczugi i stożkowate hełmy, a u pasa miecze. Murgowie nie należą do zbyt urodziwych ludzi, a fakt, że znaczą swe twarze w czasie ceremonii wkraczania w wiek męski, nie przydawał im urody. Ci dwaj byli dość typowymi przedstawicielami swej rasy. Mieli szerokie bary; trudno nie wyrobić sobie mięśni, całe życie ćwicząc szermierkę. Jednakże, nie licząc owych potężnych ramion, byli dość szczupli. Mieli śniadą skórę, wystające kości policzkowe i wąskie, skośne oczy.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Murgowie ryzykowali zejście tymi stromymi wąwozami z urwiska. Konie, których dosiadali, nie były zbyt dobre.

- Widziałem duże stado ze szczytu urwiska - powiedział Rashag do swego towarzysza.

- Koni czy krów? - zapytał Agga.

- Trudno powiedzieć. Urwisko jest bardzo wysokie, a zwierzęta kryła wysoka trawa.

- Nie zszedłem tym wąwozem po to, żeby kraść krowy, Rashagu. Jeśli zechcę krowę, to wezmę ją sobie od Thullów. Ci nie denerwują się tak jak Lud Koni. Czego chciał ten Grolim, z którym rozmawiałeś?

- A czegoż by innego? Szukał kogoś do zarżnięcia. Ołtarz wysycha i trzeba mu świeżej krwi.

- On nie bardzo przypominał Grolima Thullów.

- Bo nim nie był. Jest Grolimem z południa, z Rak Cthol. Ctuchik rozmieścił ich wzdłuż całego szczytu urwiska. Nie chce żadnych niespodzianek, a Lud Koni wie o tych wąwozach.

- Alornowie. - Agga splunął. - Nie cierpię ich.

- Oni też za tobą nie przepadają. Grolim kazał mi rozgłosić, byśmy wszyscy trzymali się z dala od Pustkowiec Murgów.

- A kto bym tam chciał iść? Nic tam nie ma poza czarnym piachem i tym cuchnącym jeziorem.

- Jestem pewny, że Ctuchik ma swoje powody. Nie zdradził mi ich jednak. Prawdę mówiąc, nigdy nawet nie widziałem człowieka.

- A ja tak - powiedział, wzdygając się, Agga. - Musiałem zanieść wiadomość do Rak Cthol od mojego generała i Ctuchik mnie przepytował. Przypominał człowieka, który od tygodni już nie żył.

- Jakie jest Rak Cthol?

- To nie miejsce, które chciałbyś odwiedzić.

Odeszli już niemal poza zasięg mego słuchu i postanowiłem nie iść za nimi. Byli najwyraźniej dość niskiej rangi, więc ich rozmowa prawdopodobnie nie dostarczy żadnych pożytecznych informacji. Położyłem łeb na łapach i ponownie zasnąłem.

Zobaczyłem ich jednak jeszcze raz. Zaczynało się już ściemniać. Wstałem, wygiąłem grzbiet, przeciągnąłem się i ziewnąłem.

Wtem usłyszałem galopujące w moim kierunku konie. Ponownie przyczałem się w trawie. Rashag i Agga wracali i nie mieli z sobą algarskich koni. Jedyne konie Algarów, które zobaczyłem, miały właścicieli na swych grzbietach i pędziły za dwoma uciekającymi Murgami. Konie Algarów były - i nadal są - o wiele lepsze niż konie Murgów, toteż wynik pościgu łatwo było przewidzieć. Rashag i Agga nie wrócili do Cthol Murgos.

Poczekalem, aż Algarowie wrócili do swego stada, po czym pobiegłem do wąwozu i ruszyłem w górę. Droga mogła być trudna dla konia, ale wilki mają pazury, więc przed świtem udało mi się dotrzeć na szczyt. Powęszyłem, upewniając się, że nikogo nie było w pobliżu, a potem ruszyłem na południowy wschód, w kierunku twierdzy Ctuchika wznoszącej się na środku Pustkowiec Murgów.

Góry południowego Mishrak ac Thull i północnego Cthol Murgos są wyjątkowo jałowe, trudno tam o jakąkolwiek roślinność mogącą zapewnić osłonę, zatem wędrowałem głównie nocą. Wilki dobrze widzą w ciemności, ale głównie nos i uszy ostrzegały mnie, gdy w pobliżu znajdowali się ludzie. Te suche pustkowiec nie bardzo nadawały się na tereny łowieckie, toteż wilk mógł zwrócić uwagę. Thullów zbytnio się nie obawiałem. Są bardzo mało spostrzegawczy, to po pierwsze, a poza tym palą w nocy ogromne ogniska - nie z powodu szczególnego

chłodu o tej porze roku. Ogniska palą głównie dlatego, że boją się ciemności. Skoro już o tym mówimy, to niewiele jest rzeczy na świecie, których Thullowie by się nie bali.

Po przekroczeniu granicy z Cthol Murgos zrobiłem się jednak ostrożniejszy. Murgowie są przeciwieństwem Thullów. Oni wręcz obnoszą się z tym, że niczego się nie boją - nawet tego, czego powinni się bać.

W tych górach było jednak bardzo niewielu ludzi - zarówno Thullów, jak i Murgów. Co jakiś czas widywałem placówki Murgów, ale bez najmniejszych problemów je omijałem.

Dotarcie do Pustkowi Murgów trwało dłużej, niż gdybym wędrował przez przyjazne terytorium, gdyż musiałem często kryć się i skradać. Byłem przekonany, że zwykły Murgo nie zwróciłby na mnie większej uwagi, ponieważ Murgów interesują ludzie, nie zwierzęta. Wilki nie są jednak zbyt częste na tych obszarach, więc Murgo, który by mnie zobaczył, mógłby o tym wspomnieć napotkanemu Grolimowi. Czasami najzwyczajniejsza wzmianka może obudzić czujność Grolima. A ja nie chciałem, aby mi ktoś popsuł niespodziankę, którą szykowałem Ctuchikowi.

Zszedłem z gór na tereny barwnie nazywane Pustkowiami Murgów. Pewne dowody świadczyły o tym, że kiedyś było tu duże jezioro czy nawet morze wewnętrzne. Przypominałem sobie, że nim Torak rozłupał świat, na zachód od Karnath, angarskiego miasta, znajdował się duży zbiornik wody. Ta pokryta czarnym piaskiem pustynia kiedyś najwyraźniej musiała znajdować się pod wodą. Piasek znaczyły szkielety ogromnych stworzeń wodnych, ale jedyną pozostałością po prastarym morzu był cuchnący staw Cthock, leżący w pewnym oddaleniu na północ od Rak Cthol. Trochę zaniepokoił mnie fakt, że zostawiałem ślady na czarnym piachu, ale przez większość czasu wiał wiatr, więc przestałem się przejmować.

W końcu w zasięgu wzroku pojawił się stromy szczyt, na którym Ctuchik zbudował swoje miasto. Przypadłem do ziemi, aby przemyśleć sprawę. Wilk nie był niczym szczególnym w górach Cthol Murgos i na pustkowiach, ale wilk drepczący po ulicach Rak Cthol z pewnością zwróciłby uwagę. Potrzebne mi było inne przebranie, a ponieważ wąska

ścieżka wijąca się na szczyt zapewne była strzeżona, pozostawały mi jedynie pióra.

Było późne popołudnie, rozgrzane powietrze unoszące się nad czarnym piachem pomoże mi. Poszedłem za stertę kamieni i wróciłem do własnej postaci. Potem, gdy przyjrzałem się uważnie otaczającemu terenowi, utworzyłem w wyobraźni wizerunek sępa i przybrałem jego postać. Zaręczam wam, że na świecie są miłsze ptaki od sępów, ale powietrze nad górą Ctuchika aż roilo się od wstrętnych ptaszysk, więc przynajmniej nie będę wzbudzał podejrzeń.

Znalazłem prąd wznoszący i wbiłem się spiralą po zachodniej stronie iglicy Ctuchika. Słońce właśnie zachodziło i jego rdzawe światło sprawiało, że bazaltowy szczyt wydawał się skąpany we krwi. Co, biorąc pod uwagę to, co działo się na jego wierzchołku, wydawało się całkiem na miejscu.

Podkreślałem nieraz, że nie potrafię latać zbyt dobrze, ale nie jestem zupełnie nieudolny, a jazda na wznoszącym prądzie jest całkiem prostą rzeczą. Wystarczy rozłożyć skrzydła i pozwolić się unosić. Jastrzębie, orły i sępy robią to cały czas.

Kołowałem w górę, dopóki nie znalazłem się ponad miastem. Wówczas spikowałem w dół i przysiadłem na murze, aby się rozejrzeć. W tamtym czasie Rak Cthol nadal budowano i nie panował w nim taki tłok jak później, ale już wtedy było paskudne. Myślę, że stanowiło odbicie umysłu Ctuchika. Chyba próbował stworzyć kopię Cthol Mishrak. Prace budowlane oczywiście prowadzono przy pomocy niewolników, jako że Murgowie i Grolimowie nie parali się takim zajęciem. Obserwowałem ze szczytu murów, jak zapędzano niewolników do ich cel w tunelach pod miastem i zamykano na noc. Potem cierpliwie czekałem na zapadnięcie ciemności.

Z całą pewnością potrzebowałem przebrania, ale miałem nadzieję, że znajdę coś po drodze. Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałem. Szczyt murów patrolowali Murgowie. Nie było takiej potrzeby, jako że od pustyni w dole miasto dzieliło strome zbocze o długości ponad mili, ale Murgowie są tradycjonalistami. Patrolowali mury w Cthol Mishrak, więc patrolowali i tutaj. Bardzo powoli wróciłem do własnej postaci,

aby nie powiadomić Ctuchika, że mam zamiar złożyć mu wizytę, a potem ukryłem się w wąskiej wnęce, by czekać na Murga.

Pewnie mogłem to zrobić na wiele innych sposobów, ale wybrałem najprostszy. Odczekałem, aż strażnik mnie minął, po czym zdzieliłem go w głowę kamieniem. To był cichy sposób i zupełnie wystarczający. Zaciągnąłem Murga do wnęki i rozebrałem z czarnej szaty. Nie zwracałem sobie głowy kolczugą. Kolczugi są niewygodne i chrzęszczą przy byle ruchu. Zastanawiałem się, czy nie zrzucić swego Murga z murów, ale uznałem to za nie najlepszy pomysł. Osobiście nic do niego nie miałem, a poza tym bałem się, że narobi hałasu, spadając z wysokości mili na ziemię.



Tak, znam swoją reputację, ale naprawdę nie lubię zabijać ludzi, gdy nie jest to absolutnie konieczne. Zawsze uważałem, że ślepe zabijanie czyni z człowieka prostaka. Pomyślcie o tym, gdy uznacie morderstwo za rozwiązanie problemu.



Naciągnąłem na czoło kaptur szaty Murga i ruszyłem na poszukiwanie Ctuchika. Najprościej byłoby zapytać, ale mogłem mieć trudności z naśladowaniem ich chrapliwego języka, więc przysłuchiwałem się tylko przypadkowym rozmowom i bardzo ostrożnie badałem myśli strażników i przechodniów. Polgara jest w tym o wiele lepsza ode mnie, ale ja też wiem, jak to robić. Byłem bardzo ostrożny, gdyż wszyscy w Rak Cthol, Grolimowie i Murgowie, nosili czarne szaty i trudno było odróżnić ich po wyglądzie. Być może Murgowie uważają się za niższych rangą duchownych - lub też, że Grolimowie wywodzą się z plemienia pierwotnych Murgów. Nie chciałem badać umysłów Grolimów, ponieważ niektórzy z nich są wystarczająco uzdolnieni, aby zorientować się, że ich umysły są penetrowane.

Ostatecznie moje podsłuchiwanie - zarówno przy użyciu uszu, jak i umysłu - dostarczyły mi wystarczająco dużo informacji, bym mógł zawęzić pole poszukiwań. Ctuchik przebywał gdzieś w Świątyni Toraka. Spodziewałem się tego, ale nie zaszkodziło sprawdzić.

Świątynia była wyludniona. Nawet Grolimowie muszą czasami spać, a zbliżała się właśnie północ. Ctuchik jednakże nie spał. Wyczułem jego pracujący umysł zaraz po wejściu do Świątyni. To czyniło odnalezienie go łatwiejszym. Poszedłem wzdłuż tylnej ściany balkonu, typowego elementu każdej ważniejszej świątyni Grolimów, i znalazłem właściwe drzwi. Oczywiście były zamknięte. Mogłem otworzyć je jedną myślą, ale tym samym ostrzegłbym Ctuchika o swej obecności. Na szczęście zamki Murgów nie są zbyt wymyślne, więc jakoś sobie poradziłem. Z pewnością nie jestem tak dobrym włamywaczem jak Silk, ale mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie.

Za drzwiami znajdowały się schody prowadzące w dół. Poszedłem nimi ostrożnie, starając się nie robić hałasu. Na dole dostrzegłem pomalowane na czarno drzwi i, o dziwo, nie było przy nich strażników. Pomyślałem, że moja wizyta przekona Ctuchika, iż pozostawianie drzwi bez straży nie jest dobrym pomysłem. Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Wyczuwałem, że Ctuchik jest na górze, więc nie zwracałem sobie głowy zwiedzaniem dolnych poziomów wieży. Nasze umysły pracowały w osobliwie podobny sposób. Wszyscy lubiliśmy mieszkać w wieżach. Tyle tylko, że wieża Ctuchika przyklejona była do zbocza góry.

Ruszyłem schodami. Nie zatrzymałem się na piętrze, tylko od razu poszedłem na sam szczyt. Drzwi, które się tam znajdowały, nie były zamknięte i wyczuwałem przez nie obecność właściciela wieży. Wyglądało na to, że coś czytał i nie zwracał uwagi, co się wokół niego dzieje.

Doprowadziłem się do porządku i otworzyłem drzwi.

Zmizerowany, białobrody Grolim siedział za stołem przy jednym z okrągłych okien. W blasku oliwnej lampki pochylał się nad jakimś zwojem. Ten Murgo, którego widziałem na Szańcu - chyba nazywał się Agga - opisał, że Ctuchik wyglądał tak, jakby nie żył od tygodnia. Myślę, że wcale nie przesadził. Nie znałem nikogo, kto bardziej przypominałby trupa niż Ctuchik.

- Czego? - zawołał, odkładając zwój i wstając. - Kto pozwolił ci tu przyjść?

- Późno już, Ctuchiku - powiedziałem. - Nie chciałem nikogo kłopotać, więc sam wszedłem.

- Ty! - wykrzyknął, a jego zapadnięte oczy zapłonęły.

- Nie rób głupstw - ostrzegłem go. - To tylko towarzyska wizyta. Gdyby chodziło mi o coś innego, już byś nie żył. - Rozejrzałem się. W jego wieży panował niemal tak wielki nieład jak w mojej, tyle że on nie mieszkał w niej jeszcze zbyt długo. Trzeba całych stuleci, aby zgromadzić naprawdę dobrą rupieciarnię. - Co cię napadło, żeby otworzyć interes w tak paskudnym miejscu? - zapytałem.

- Mnie odpowiada - odparł krótko, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Usiadł i wziął do ręki zwój. - A ty zawsze pokazujesz się tam, gdzie się ciebie najmniej spodziewają, prawda, Belgaracie?

- To dar. Jesteś zajęty? Mogę wrócić innym razem, jeśli robisz coś ważnego.

- Myślę, że mogę poświęcić ci kilka chwil.

- Dobrze. - Zamknąłem drzwi, podszedłem do stołu i usiadłem naprzeciwko niego. - Powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę, Ctuchiku - skoro już mieszkamy tak blisko.

- Przybyłeś z sąsiedzką wizytą? - zapytał z lekkim rozbawieniem.

- Niezupełnie. Pomyślałem, że powinniśmy ustalić kilka podstawowych zasad. Nie chciałbym, abyś przez pomyłkę w coś się wpakował.

- Ja nie popełniam pomyłek, Belgaracie.

- Doprawdy? Mógłbym przytoczyć kilkanaście, które masz na swoim koncie. Jeśli sobie dobrze przypominam, nie okryłeś się szczególną sławą w Cthol Mishrak.

- Ty wiesz, że to, co wydarzyło się w Cthol Mishrak, zostało postanowione, nim tam jeszcze przybyłeś - odparował. - Gdyby Zedar zrobił, co do niego należało, to nie doszedłbyś tak daleko.

- Czasami Zedar jest trochę niesłowny, ale nie o to chodzi. Nie jestem tu dlatego, żeby gawędzić o dobrych starych czasach, tylko po to, aby udzielić ci kilku rad. Trzymaj swych Murgów na wodzy. Obaj wiemy, że nie czas jeszcze na poważniejsze rozstrzygnięcia. Wiele musi się

jeszcze wydarzyć, nim do tego dojdzie. Trzyma j Murgów z dala od królestw Zachodu. Zaczynają drażnić Alornów.

- A to ci skandal - zadrwił.

- Nie próbuj być zabawny. Nie jesteś gotowy do wojny, Ctuchiku - w szczególności do wojny z Alornami. Riva ma Klejnot Aldura, a po naszym małym spotkanku przy Cthol Mishrak wiesz, jaka jest jego moc. Jeśli nie weźmiesz w ryzy swych Murgów i za bardzo Rive zdenerwujesz, może wpaść na pomysł złożenia ci wizyty lub twoją górę obróci w kupę gruzu.

- On nie jest tym, który ma użyć Klejnotu - zaprotestował.

- Ja też tak uważam. Lepiej więc nie kuśmy losu. Nie otrzymaliśmy jeszcze wszystkich instrukcji, więc nawet nie wiemy, co powinniśmy robić. Jeśli zbyt przyciśniesz Alornów, Riva może stracić panowanie i zrobić coś pochopnie. A wówczas wszystko mogłoby zależeć od przypadku. Mogłoby skończyć się na trzeciej możliwości, a nie sądzę, aby to spodobało się dwóm pozostałym. Lepiej nie komplikujmy spraw bardziej.

Ctuchik w zamyśleniu pociągał się za brodę.

- Możesz mieć rację - przyznał niechętnie. - Mamy dużo czasu, więc nie ma wielkiego pośpiechu.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. - Spojrzałem na niego z ukosa. - Udało ci się już wprowadzić swych ludzi na dwór w Ashabie?

Ctuchik spojrzał zaskoczony.

- To byłoby logiczne posunięcie z twojej strony. Zedar tam tkwi i zapisuje każde słowo Toraka. Jeśli nie uda wam się z tym dropiatym Urvonem umieścić tam swoich ludzi, to Zedar będzie górą.

- Pracuję nad tym - odparł krótko.

- Mam nadzieję. Lepiej, żeby któryś z was dostał w swe ręce kopię Proroctwa Ashabińskiego, nim Torak uczyni je zupełnie niezrozumiałym.

- Urvon ma kopię. Zawsze mogę mu ją zabrać.

- Torak spalił kopię Urvona. Czy wy ze sobą w ogóle nie rozmawiacie?

- Nie mam nic do powiedzenia Urvonowi.

- Ani Zedarowi, jak myślę. Te właśnie pomiędzy wami trzema czynią moje zadanie o wiele łatwiejszym.

- Ty nie jesteś nikim ważnym Belgaracie. Miałeś już swoją szansę jako Dziecko Światła i zmarnowałeś ją. Powinieneś być zabić Zedara, gdy miałeś po temu okazję.

- Zdecydowanie potrzebujesz instrukcji, Ctuchiku. Udział Zedara w tym wszystkim jeszcze się nie skończył. Nadal ma trochę do zrobienia i jeśli tego nie wykona, to staniemy w obliczu owej trzeciej możliwości. Niektórych z twych Grolimów natchnął duch waszej Konieczności. Spisz, co mówią, i nic nie zmieniaj. Torak usuwa całe strony z Proroctw Ashabińskich, więc może okazać się, że proroctwa twoich Grolimów staną się jedynymi, nad którymi będziesz mógł pracować. To nie miejsce na eksperymenty. Pewne rzeczy muszą się wydarzyć i musimy o nich wiedzieć. Nie mam czasu wpadać tu co kilka stuleci, by cię pouczać.

- Znam swoje obowiązki, Belgaracie. Ty rób swoje, a i ja zrobię, co do mnie należy.

- Ja sobie poradzę - powiedziałem. Potem wstałem i uśmiechnąłem się dobrotliwie do niego. - Cudownie się z tobą rozmawiało, stary, musimy to kiedyś powtórzyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie, mój drogi - odparł z nikłym uśmiechem. - Wpadaj, kiedy chcesz.

- Jasne. A tak przy okazji, nie próbuj mnie śledzić i nikogo za mną nie wysyłaj - a przynajmniej nikogo, na kim ci zależy.

- Mnie na nikim nie zależy, stary.

- Powinieneś kiedyś spróbować, Ctuchiku. Osłodziłbyś sobie życie.

Potem wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.





Z Rak Cthol poleciałem na zachód, potem przybrałem postać wilka i podążyłem wzdłuż wschodniej granicy Maragoru, następnie przepравиłem się przez Góry Tolnedrańskie na południowy kraniec Doliny. Ogólnie byłem z siebie zadowolony. Dobrze mi poszło w Rak Cthol.

Pod wieczór dotarłem do swej wieży.

- Jak poszło? - zainteresował się Beldin, gdy dołączyłem do niego i Pol.

- Nieźle - powiedziałem niedbale. W końcu nie wypadało się chwalić.

- Co się wydarzyło, ojcze? - zapytała Pol tym swoim podejrzliwym tonem, który przybiera zawsze, gdy znikam jej z oczu na dłużej niż pięć minut. Chciałbym, aby Polgara choć raz mi zaufała. Oczywiście łatwiej zatrzymać słońce.

Wzruszyłem ramionami.

- Udałem się do Rak Cthol.

- Tak, wiem.

- I...

- Rozmawiałem z Ctuchikiem.

- I...

- Nie zabiłem go.

- Do rzeczy, ojcze!

- Nabrałem go. Powiedziałem mu o wielu rzeczach, o których już wiedział. Dzięki temu jednak udało mi się do niego na tyle zbliżyć, by sprawdzić jego możliwości. Nie jest wcale taki dobry. - Usiadłem na swym ulubionym krześle. - Czy kolacja już jest? - zapytałem Pol.

- Jeszcze się gotuje. Mów, ojcze. Co naprawdę się wydarzyło?

- Wśliznąłem się do miasta i złożyłem mu wizytę o północy. Bardzo starałem się przekonać go o trzymaniu Murgów z dala od zachodnich królestw, a potem wspomniałem o możliwości użycia przez Rivę Klejnotu, jeśli Murgowie zbyt rozdrażnią Alornów. Oczywiście to nie może się zdarzyć, ale Ctuchik się zaniepokoił. Pod wieloma względami jest bardzo naiwny. Zdaje się, że uważał mnie za zręczliwego starucha, który kręci się po okolicy i powtarza rzeczy oczywiste. Potem wspomniałem o tym, że jeśli ktoś uczyni coś, czego nie powinien, to może otworzyć drogę czystemu przypadkowi.

- I on ci uwierzył? - zapytał z niedowierzaniem Beldin.

- Zdaje się. Przynajmniej na tyle, aby go to zaniepokoiło. Potem dyskutowaliśmy nad Proroctwem Ashabińskim. Obaj z Urvonem próbowali wprowadzić swych ludzi na dwór Toraka w Ashabie, aby zdobyć kopie, ale odniosłem wrażenie, że Torak strzeże ich dość zazdrośnie. Zedar zaś robi, co może, aby trzymać szpiegów swych braci z daleka od Ashaby. Wszyscy trzej okrutnie się nienawidzą.

- Jak wygląda Ctuchik? - zapytał Beldin. - Kilka razy widziałem tego przyszczatego Urvona, ale nigdy nie widziałem Ctuchika.

- Jest wysoki, szczupły i ma długą, białą brodę. Przypominał chodzącego trupa.

- Osobliwe, co?

- Torak zdaje się gustować w szpetocie. Ctuchik wygląda mi na paskudnego, a ten przyszczaty Urvon jest nie lepszy. Zedar zdaje się nie jest najpaskudniejszy - chyba że wziąć pod uwagę szpetotę jego duszy.

- Naprawdę nie tobie o tym sądzić, wujku - przypomniała Pol.

- Nie musiałaś tego mówić, Pol. Co teraz, Belgaracie?

Podrapałem się po brodzie.

- Wezwijmy lepiej bliźniaków i spróbujmy skontaktować się z Mistrzem. Potrzebujemy rady. Angarakowie zdecydowanie muszą mieć poprawną kopię Proroctwa, a Torak robi wszystko, aby do tego nie dopuścić.

- Możemy to zrobić? - zainteresowała się Pol.

- Nie jestem pewny - przyznałem. - Myślę jednak, że powinniśmy spróbować. Być może Zedar ma kopie, ale nie chcę uzależniać losów świata od tego być może.

Jak się okazało, zdumiewająco łatwo nawiązaliśmy kontakt z Aldurem. Chyba było tak dlatego, że znajdowaliśmy się w punkcie pomiędzy okresem, w którym byliśmy prowadzeni przez Bogów, a czasem, gdy ich miejsce zajęły Proroctwa. W każdym razie wystarczyło zwykle: „Mistrzu, potrzebujemy cię”, aby Aldur pojawił się w mojej wieży. Jego postać była nieco zamglona i niewyraźna, ale był.

Natychmiast po pojawieniu się podszedł do Polgary, co nie powinno być dla mnie zaskoczeniem.

- Moja ukochana córko - powiedział, dotykając lekko jej policzka.

Dacie wiarę, że w tym momencie poczułem ukłucie zazdrości? Polgara była moją córką, nie jego. Zdaje się, że na starość wszyscy dziwaczejemy. Zdusiłem w sobie odruchowy protest. Myślę, że zazdrość jest przejawem miłości - prymitywnej jej formy, ale pomimo wszystko miłości. Kochałem swą ciemnowłosą, stalowooką córkę, a ponieważ miłość - i nienawiść - to esencja tego, czym jestem, Polgara zawojowała mnie całkowicie. Klóciliśmy się przez następne trzy tysiące lat, ale ja jedynie próbowałem obronić swe tyły. I tak byłem już przegrany.

- Wiesz, co Torak robi w Ashabie, prawda, Mistrzu? - zapytał Beldin.

- Tak, synu - odparł ze smutkiem Aldur. - Mój brat oszalał i zamyśla zmienić to, co musi się wydarzyć, przeinaczając słowa, które mu o tym mówią.

- Jeśli posunie się zbyt daleko i za bardzo zmieni Proroctwo, jego Angarakowie nie będą wiedzieli, co powinni zrobić - powiedziałem zatroskanym tonem. - Czy mamy podjąć odpowiednie kroki?

- Nie, synu - odrzekł Mistrz. - Prawdziwe kopie istnieją, choć mój brat zyczyłby sobie inaczej. Konieczność, która nim kieruje, nie dozwoli na niepowodzenie. Belzedar jest z mym bratem i choć tego nie wie, nadal jest w pewnym stopniu kierowany przez naszą Konieczność. Zadbał o to, aby słowa drugiej Konieczności były bezpieczne i kompletne.

- To ulga - powiedział Beldin. - Opiekowanie się obydwoma zestawami instrukcji mogłoby być uciążliwe. Myślę, że już chronienie naszego będzie absorbujące.

- Uspokój swe myśli, synu - powiedział Aldur. - Niezachwiany jest bieg kroków wiodących ku ostatecznemu spotkaniu.

- Rozpoznaliśmy dwóch z proroków, którzy przekazują nam twe instrukcje, Mistrzu - zapewniłem go. - Ich słowa są skrzętnie zapisywane.

- Doskonale, synu.

Pol wyglądała na lekko zaniepokojoną.

- Czy są jeszcze inni, Mistrzu? - zapytała. - Alornowie wiedzą, jak ważne są te proroctwa, ale nie sądzę, aby rozumieli to Tolnedranie czy Arendowie. Być może przegapimy coś istotnego. Czy są jeszcze inni mówcy?

Aldur kiwnął potakująco głową.

- Jednakże są mniej ważni, córko, i bardziej służą sprawdzaniu. Uspokój swe myśli. Gdyby wszystko zawiodło, zawsze możemy poprosić o pomoc Dalów. Wyrocznie w Kell odkrywają obydwa proroctwa - zarówno instrukcje naszej Konieczności, jak i Konieczności Toraka.

- Zdumiewające- powiedział Beldin. - Dalowie robią dla odmiany coś użytecznego.

- Muszą, miły Beldinie, albowiem oni także mają przed sobą zadanie do wypełnienia - zadanie o doniosłym znaczeniu. Nie możemy im przeszkadzać. Ścieżka, którą podążają, jest mroczna, ale we właściwym czasie doprowadzi ich w to samo miejsce, do którego biegną nasze ścieżki. Wszystko toczy się tak jak powinno, moje dzieci. Nie niepokójcie się. Dłużej o tym pomówimy niebawem - dodał i zniknął.

- Najwyraźniej dobrze się spisujemy - zauważył Beldin - przynajmniej na razie.

- Za bardzo się martwisz, Beldinie - powiedział Belkira. - Nie myślę, byśmy mogli się źle spisać.

Beltira wpatrywał się w Pol z zachwytem na twarzy.

- Kochana siostró - powiedział.

To runęło na mnie niczym grom z jasnego nieba.

- Proszę, nie rób tego, Beltiro - rzekłem do niego.

- Ale ona jest, Belgaracie. Ona należy do naszego bractwa.

- Tak, wiem, ale to stawia mnie w osobliwej sytuacji. Wiem, że jestem spokrewniony z Pol, ale obrót wydarzeń bardzo to komplikuje.

- Nie przerażaj się, kochany bracie - odezwała się słodko Pol. - Wyjaśnię ci to wszystko później - oczywiście w przystępnych słowach. A teraz panowie, jeśli zechcecie wynieść się z mojej kuchni, to skończę kolację.

Przez następnych kilka lat wszystko w Dolinie toczyło się spokojnie. Polgara kontynuowała swą edukację i zaskakiwała nas szybkością postępów. Dołączyła do nas późno, ale bez trudu nadrabiała stracony czas. W pewnych sprawach osiągała poziom wyjątkowego wyrafinowania. Oczywiście, nie mówiłem jej tego, ale byłem z niej bardzo dumny.

Była chyba wiosna, gdy do Doliny przybył Algar, przynosząc kopie kompletnego Kodeksu Darińskiego.

- Bormik umarł zeszłej jesieni - powiedział. - Jego córka przez całą zimę zbierała wszystko razem, a potem zawiadomiła mnie, że Kodeks jest gotowy. Udałem się tam i przekonałem ją, aby wróciła ze mną do Algarii.

- Nie była szczęśliwa w Darine? - zapytała Pol. Algar wzruszył ramionami.

- Może i była, ale wyświadczyła nam ogromną przysługę, a tego lata Darine nie będzie najbezpieczniejszym miejscem.

- Czemu? - zapytałem.

- Kult Niedźwiedzia zaczyna się wymykać spod kontroli, więc czas, bym wyjaśnił im kilka spraw. Hatturk zaczyna mnie drażnić. Och, Dras przysłała wam to - dodał, otworzył drugą torbę i wyjął kilka zwoi. - Jeszcze nie jest skończone, ponieważ Prorok Mriński nadal mówi, ale to są kopie tego, co powiedział do tej pory.

- Na to czekałem - oświadczyłem zadowolony.

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei - rzekł. - Zajrzałem do nich kilka razy po drodze. Jesteś pewny, że ten gość przykuty do słupa w Drasni jest naprawdę prorokiem? To, co trzymasz w rękach, to czysty bełkot. Skóra mi cierpnie na myśl, że moglibyście kierować się wskazówkami, które potem okazałyby się bełkotem prawdziwego szaleńca.

- Prorok Mriński nie może bełkotać, Algarze - zapewniłem go. - Nie potrafi mówić.

- Na razie nagadał tyle, że wystarczyło do zapełnienia czterech zwojów.

- O to właśnie chodzi. Wszystko, co znajduje się na tych zwojach, jest czystym prorocstwem, ponieważ ten biedak nie jest zdolny do mówienia poza momentami, gdy przekazuje słowa Konieczności.

- Skoro tak mówisz, Belgaracie. Wybieracie się tego lata na Radę Alornów?

- To mogłoby być miłe, ojczy - powiedziała Pol. - Dawno już nie widziałem Beldaran, a ty zapewne powinieneś rzucić okiem na wnuka.

- Naprawdę powinienem nad tym popracować, Pol - zaprotestowałem, wskazując na zwoje.

- Zabierz je z sobą, ojczy - zaproponowała. - Nie są w końcu zbyt ciężkie. - Potem odwróciła się do Algara. - Powiadom Rivę, że przybędziemy - poprosiła. - A jak ma się twoja żona?

Udaliśmy się na Wyspę Wiatrów, na Radę Alornów, która w tamtych czasach bardziej miała charakter zjazdu rodzinnego niż oficjalnego spotkania głów państw. Dla formalności odbyliśmy krótkie zebranie, a potem mogliśmy już cieszyć się sobą do woli.

Z lekkim zaskoczeniem stwierdziłem, że mój wnuk miał już siedem lat. Traciłem poczucie czasu, kiedy nad czymś pracowałem, a lata mijały mi niezauważenie.

Daran był silnym, jasnowłosym chłopcem o poważnym usposobieniu. Dobrze nam było razem. Lubił słuchać opowieści, a ja, choć to nieskromnie tak mówić, jestem pewnie najlepszym bajarzem na świecie.

- Co naprawdę wydarzyło się w Cthol Mishrak, dziadku? - zapytał mnie pewnego deszczowego popołudnia, gdy siedzieliśmy w komnacie

wysoko w jednej z wież i ucztowaliśmy nad wiśniowym plackiem, który wykradłem ze spiżarni. - Ojciec kilka razy zaczynał mi opowiadać tę historię, ale zawsze coś nam przeszkadzało, gdy dochodził do najciekawszego miejsca.

Usiadłem wygodnie w swym fotelu.

- No cóż - zacząłem - niech pomyślę... - A potem opowiedziałem mu całą historię, tylko nieznacznie ją koloryzując - dla celów artystycznych, sami rozumiecie.

- No tak - powiedział posępnie, gdy zmrok zapadł nad Cytadelą Rivy - teraz wiem, co powinienem robić przez resztę swego życia.

- Czemu tak wzdychasz, książę Daranie? - zapytałem.

- Ach, jak chciałbym być zwykłym człowiekiem - rzekł z dojrzałością w głosie, niespotykaną u kogoś tak młodego. - Miałbym ochotę wstać rano i pójść zobaczyć, co jest za następnym wzgórzem.

- To samo co i po tej stronie - powiedziałem.

- Być może, dziadku, ale chciałbym to sam zobaczyć - choć raz. - Spojrzał na mnie swymi poważnymi błękitnymi oczyma. - Ale nie mogę. Ten kamień na rękojeści miecza ojca mi na to nie pozwoli, prawda?

- Obawiam, się że tak, Daranie - odparłem.

- Dlaczego ja?

Dobry Boże! Ile razy to słyszałem? Skąd mogłem wiedzieć, dlaczego on? Nie ja to ustalałem. W tym momencie zaryzykowałem.

- To wiąże się z tym, kim jesteśmy, Daranie. Jesteśmy w pewnym sensie szczególnie, a to oznacza, że spoczywa na nas szczególna odpowiedzialność. Jeśli ci to poprawi nastrój, to wiedz, że nie musimy tego wcale lubić. - Mówienie takich rzeczy siedmiolatkowi było może brutalne, ale mój wnuk nie był zwykłym dzieckiem. - Posłuchaj jednak, co zrobimy - kontynuowałem. - Porządnie się wyśpimy, wstaniemy skoro świt i wyruszymy sprawdzić, co jest po drugiej stronie tego wzgórza.

- Pada. Zmokniemy

- Nieraz już mokliśmy, Daranie. Nie roztopimy się.

Swym planem naraziłem się obu córkom.

Jednakże my bawiliśmy się świetnie i nie przejęliśmy się zbyt wyzucami, których przyszło nam wysłuchiwać kilka dni później. Wędrowaliśmy po stromych zboczach Wyspy Wiatrów, obozowaliśmy i łowiliśmy pstrągi w głębokich rozlewiskach górskich strumieni, i rozmawialiśmy. Dyskutowaliśmy o wielu sprawach i chyba udało mi się przekonać Darana, że to, co miał zrobić, było konieczne i ważne. Przynajmniej przestał mnie przy każdej okazji zamęczać tym „Dlaczego ja?” Od tego czasu minęło trzy tysiące lat, a ja rozmawiałem z całym szeregiem jasnowłosych chłopców. Byłem zmuszony do zrobienia wielu rzeczy w ciągu tych nie kończących się stuleci, ale wyjaśnianie naszej dość wyjątkowej sytuacji tym chłopcom było pewnie najważniejszą z nich.

Rada Alornów trwała kilka tygodni, a potem wszyscy wróciliśmy do domów. Pol, Beldin i ja pożeglowaliśmy przez Morze Wiatrów i wpłynęliśmy do portu Camaar pewnego wietrznego popołudnia. Wynajęliśmy pokoje w tym samym przyzwoitym zajeździe, w którym Beldaran po raz pierwszy spotkała Rivę.

- Ile Beldaran ma teraz lat? - zapytał przy kolacji Beldin.

- Dwadzieścia pięć, wujku - odparła Pol - tyle samo co ja.

- Wygląda starzej.

- Chorowała. Zdaje się, że nie służy jej klimat panujący na Wyspie. Każdej zimy przeziębiam się i coraz trudniej wraca do zdrowia. - Spojrzała na mnie. - Nie pomogłeś wymykając się z jej synem.

- Nie wymknęliśmy się - zaprotestowałem. - Zostawiłem jej wiadomość

- Belgarath jest bardzo dobry w zostawianiu wiadomości, gdy się wymyka - powiedział Beldin.

Wzruszyłem ramionami.

- Unikam tym samym kłótni. Musiałem porozmawiać z Daranem. Osiągnął już ten wiek, gdy ma się masę pytań, a ja najlepiej potrafię na nie odpowiadać. Myślę, że załatwiłem sprawę, przynajmniej na razie. Dobry z niego chłopiec, a teraz gdy wie, czego się od niego oczekuje, pewnie dobrze się spisze.

Lato było już w pełni, gdy wróciliśmy do Doliny. Natychmiast zabrałem się do pracy nad Kodeksem Darińskim, jako że był już ukończony. Postanowiłem się na razie wstrzymać ze studiowaniem Kodeksu Mrińskiego, który był wyraźnie trudniejszy. Jednakże stopień trudności jest sprawą względną w przypadku tych dwóch dokumentów. Potrzeba ukrycia sensu proroctwa obydwu czyniła bardzo niejasnymi.

Po kilku latach intensywnych studiów zacząłem mgliście zdawać sobie sprawę z tego, co w sobie krył. Nie bardzo mi się to podobało, ale przynajmniej miałem jakieś rozeznanie na temat przyszłych wydarzeń. Kodeks Dariński jest bardziej ogólny niż Mriński, ale zawierał kilka sygnałów ostrzegawczych. Każde starcie miało być poprzedzone bardzo szczególnym wydarzeniem. To przynajmniej będzie dla nas jakimś ostrzeżeniem.

Minęło pewnie z dziesięć lat, gdy Dras przysłał posłańca do Doliny z kopiami całego Kodeksu Mrińskiego i wiadomością, że Prorok Mriński zmarł. Odłożyłem na bok proroctwo Bormika i zagłębiłem się w bełkocie szaleńca, który spędził życie przykuty do słupa. Jak już wspomniałem, Kodeks z Darine dał mi ogólne pojęcie o tym, co miało się wydarzyć, a to przynajmniej częściowo czyniło Kodeks Mriński bardziej zrozumiałym. Pomimo to nie było to jednak proste zadanie.

Polgara kontynuowała własne studia, a Beldin wrócił do Mallorei, więc mogłem się skoncentrować. Jak zwykle, gdy byłem czymś bardzo zaabsorbowany, straciłem poczucie czasu, zatem nie potrafię dokładnie określić, kiedy Mistrz przybył do nas znowu. Tym razem miał bardzo wyraźne instrukcje. Z żalem przerwałem swe studia i wyruszyłem do południowej Tolnedry zaraz następnego ranka.

Zatrzymałem się w Prolgu, aby porozmawiać z Gorimem, a potem udałem się do Tol Brune, aby zamienić kilka słów z wielkim księciem. Nie bardzo uszczęśliwiła go wiadomość o planach, jakie miałem względem jego syna, ale gdy zapewniłem go, że to, co proponowałem, przygotuje drogę jego rodzinie na imperialny tron w Tol Honeth, zgodził się zastanowić. Nie uznałem za konieczne powiedzieć mu, że do wyniesienia rodu Borunów dojdzie dopiero za jakieś pięćset lat. Nie ma co zawracać ludziom głowy takimi szczegółami, prawda?

Potem powędrowałem do Lasu Driad.

To był ten czas i po chwili na leśnej ścieżce pojawiła się Driada imieniem Xalla. Jak zwykle, celowała do mnie z łuku.

- Odłóż to - powiedziałem poirytowany.

- Ale nie będziesz próbował uciekać? - zapytała.

- Oczywiście. Muszę porozmawiać z księżniczką Xorią.

- Ja cię pierwsza zauważyłam. Xoria może cię dostać, gdy ja z tobą skończę.

Jak już wspominałem, w drodze do Tolnedry zahaczyłem o Prolgu. Odbyłem długą rozmowę z Gorimem na temat Driad, więc byłem przygotowany. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem czekoladkę.

- Co to?

- Coś do jedzenia. Spróbuj. Spodoba ci się.

Driada wzięła cukierek i obwąchała go podejrzliwie. Potem wsunęła do ust.

Nie uwierzycie, jak zareagowała. Czekolada ma dziwny wpływ na Driady. Widziałem wiele kobiet w namiętym uniesieniu, ale u Xalli przybrało ono tak skrajne rozmiary, że czułem się zakłopotany. W końcu odwróciłem się i odszedłem na bok, aby zapewnić jej nieco intymności.



*Nie sądzę, abym musiał wdawać się w szczegóły.
Z pewnością wiecie, o co chodzi.*



W każdym razie, gdy czekolada zaczęła już działać, Xalla zrobiła się bardzo uległa - a nawet zalotna. Pamiętajcie o tym, gdy następny raz przyjdzie wam przechodzić przez Las Driad. Wiem, że większość młodych ludzi poczytuje sobie za powód do dumy szczególną aktywność w tej akurat dziedzinie ludzkiej działalności, ale to ci, którzy nigdy nie spotkali Driady o tej porze roku.

Zabierzcie z sobą czekoladę. Zaufajcie mi.

Moja czuła towarzyszka poprowadziła mnie przez Las do drzewa księżniczki Xorii. Xoria była jeszcze drobniejsza od Xalli i miała płomiennorude włosy. Jej praprapra... prawnuczka bardzo ją

przypominała. Xalla zaprowadziła mnie na polankę. Księżniczka leżała wygodnie na posłaniu z mchu w rozgałęzieniu konarów swego drzewa, jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. Zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem.

- Doceniam twój dar, Xallo - powiedziała krytycznie - ale czy on nie jest trochę za stary?

- On ma w kieszeni jedzenie, Xorio - odparła Xalla. - po tym jedzeniu robi się bardzo miło.

- Nie jestem głodna - stwierdziła księżniczka.

- Naprawdę musisz trochę tego spróbować, Xorio - nalegała Xalla.

- Właśnie jadłam. Czemu nie zabierzesz go do Lasu i nie zabijesz? Jest pewnie za stary, aby był z niego jakiś pożytek.

- Spróbuj tylko kawałka tej czekoladki - upierała się Xalla. - Naprawdę ci zasmakuje.

- No dobrze. - Księżniczka zeszła z drzewa. - Daj mi trochę - rozkazała.

- Jak sobie wasza wysokość życzy - odparłem, sięgając do kieszeni.

Księżniczka zareagowała na czekoladę jeszcze gwałtowniej niż Xalla i gdy w końcu odzyskała panowanie nad sobą, miała mniej mordercze zapędy.

- Po co przyszedłeś do naszego Lasu, starcze? - zapytała.

- Mam zaproponować ci małżeństwo - odparłem.

- Co to jest małżeństwo?

- To rodzaj formalnej umowy, z którą wiąże się parzenie - wyjaśniłem.

- Z tobą? Nic z tego. Jesteś miły, ale bardzo stary.

- Nie - powiedziałem - nie ze mną, z kimś innym.

- Co wiąże się z tym małżeństwem?

- Mała ceremonia, a potem będziecie żyć razem. Będziesz musiała zgodzić się na rezygnację z innych partnerów.

- Jakie to nudne. Dlaczegoż miałabym się zgodzić na coś takiego?

- Aby ochronić swój Las, wasza wysokość. Jeśli poślubisz tego młodzieńca, jego rodzina nie wpuści drwali między twoje dęby.

- Same możemy się o to zatroszczyć. Wielu ludzi przychodziło do naszego Lasu z siekierami. Ich kości nadal tu są, ale siekiery dawno zżarła rdza.

- To byli pojedynczy drwale, Xorio. Jeśli zaczną przybywać tu gromadnie, szybko zabraknie wam strzał. A oni również zaczną palić ogniska.

- Ogień!

- Ludzie lubią ogień. To dla nich charakterystyczne.

- Czemu to robisz, starcze? Czemu próbujesz mnie zmusić, bym połączyła się z kimś, kogo nawet nie widziałam?

- Konieczność, Xorio. Ten młodzieniec należy do rodu Borune, a ty poślubisz go, ponieważ po bardzo długim czasie twoje małżeństwo spowoduje przyjście na świat kogoś szczególnie wyjątkowego. Ona będzie partnerką Dziecka Światła i będą ją zwać Królową Świata. - Potem westchnąłem i powiedziałem wprost - Zrobisz to, Xorio. Będziesz się ze mną sprzeczać, ale w końcu zrobisz tak, jak ci powiedziano - tak samo jak ja. Żadne z nas nie ma w tym wypadku wyboru.

- Jak to stworzenie Borune wygląda?

Podczas rozmowy z jego ojcem bardzo uważnie przyjrzałem się młodzieńcowi, więc wywołałem jego podobiznę na powierzchni leśnego stawu, u podnóża drzewa księżniczki, aby mogła zobaczyć twarz przysłego męża.

Utkwiła w wizerunku spojrzenie swych zielonych oczu, bezwiednie skubiąc koniec jednego ze swych płomiennych loków.

- Nie wygląda źle - przyznała. - Czy ma temperament?

- Wszyscy Boruni mają temperament, Xorio.

- Daj mi jeszcze kawałek czekolady, to zastanowię się nad tym.





Syn wielkiego księcia rodu Borune nazywał się Dellon. Był miłym młodzieńcem, któremu pomysł poślubienia Driady wydał się interesujący. Wróciłem do Tol Borune po kolejną porcję czekoladek i aby porozmawiać z nim na osobności. Jego zainteresowanie tym pomysłem wzrosło, gdy ujrzał wizerunek księżniczki Xorii na powierzchni wody w misce. Potem wróciłem do Lasu i wydzieliłem Xorii rozsądną porcję słodkości.

Driady trzeba bardzo ostrożnie karmić czekoladą. Jeśli dać im zbyt dużo, mogą się od niej uzależnić i nic oprócz niej nie będzie ich interesować. Chciałem, aby Xoria była przymilna, nie otumaniona.

Główną przeszkodą w całej tej sprawie okazała się matka Dellona, wielka księżna. Dama owa pochodziła z rodu Honethów i zasadniczym powodem, dla którego zaaranżowano jej małżeństwo z wielkim księciem z rodu Borunów, było uzyskanie dostępu do bezcennych zasobów Lasu Driad. W górach na południe od Tol Honeth i wokół Tol Ranę też oczywiście były lasy, ale rosły w nich głównie jodły, sosny i świerki, czyli drzewa o miękkim drewnie. Jedynym znaczącym źródłem twardego drewna w Tolnedrze były lasy na północy, należące do rodu Vordue, ale jego przedstawiciele liczyli sobie straszliwe ceny za swój towar. Od stuleci Honethowie spoglądali pożądliwie na dęby w Lesie Driad.

Obietnica, że to małżeństwo ostatecznie zaowocuje wstąpieniem na imperialny tron dynastii Borune, przeciągnęła wielkiego księcia na moją stronę. Jednakże gdy od niechcienia wspomniałem, iż jednym z punktów małżeńskiego kontraktu będzie nietykalność Lasu, wielka księżna zapłonęła gniewem.

Była jednak Honethem do szpiku kości, więc po początkowym wybuchu uciekła się do swej wrodzonej przebiegłości. Doskonale wiedziałem, że jej sprzeciw ma podłoże ekonomiczne, ale ona udawała,

ze jej protesty były natury religijnej. Dla wszystkich łotrów religia była ostatnią ucieczką, a większej łotrzycy od wielkiej księżnej nie spotkałem. Można powiedzieć, że w jej rodzinie było to wrodzone. Przed rozłupaniem świata Bogowie niechętnym okiem patrzyli na międzyrasowe małżeństwa. Alornowie nie poślubiali Nyissan, a Tolnedranie nie brali ślubów z Arendami. Torak w swych zakazach posunął się jeszcze dalej. Moja propozycja wiązała się z zawarciem związku międzyrasowego i matka Dellona skierowała swój protest do kapłanów Nedry. Kapłani są z natury bigotami, więc bez trudności uzyskała ich poparcie.

Tym samym wszystko utknęło w martwym punkcie. Ja nadal krążyłem tam i z powrotem pomiędzy Lasem a Tol Borune, więc księżnej nie brakowało okazji do knucia za mymi plecami i zdobywania popleczników.

- Mam związane ręce, Belgaracie - powiedział mi wielki książę, gdy wróciłem do Tol Borune z wyprawy do Lasu. - Kapłani absolutnie nie zgadzają się na to małżeństwo.

- Twoja żona zabawia się polityką, wasza miłość - powiedziałem mu bez ogródek.

- Wiem, ale dopóki kapłani Nedry są po jej stronie, nic nie mogę zrobić.

Podumałem nad tym przez chwilę i znalazłem wyjście. Wielka księżna miała ochotę na polityczne rozgrywki, więc pokażę jej, że i ja potrafię w to grać.

- Wyjadę na jakiś czas, wasza miłość - powiedziałem.

- Dokąd się wybierasz? Wracasz do Lasu?

- Nie. Muszę zobaczyć się z kimś w Tol Honeth.

Wszystko to działo się w początkowym okresie panowania dynastii vorduviańskiej i znałem człowieka, z którym należało się spotkać. Po przybyciu do Tol Honeth, udałem się do Imperialnego Pałacu i przekupiłem odpowiednią liczbę urzędników, aby uzyskać prywatną audiencję u imperatora, Rana Vordue II.

- Jestem zaszczycony, Prastary - przywitał mnie.

- Darujmy sobie grzeczności, Ranie Vordue - powiedziałem. - Nie mam zbyt wiele czasu. Otóż ostatnio doszło do zbieżności naszych interesów. Co ty na to, gdybym ci powiedział, że Honethowie są o krok od uzyskania dostępu do nieograniczonych zasobów twardego drewna?

- Co takiego? - wybuchnął.

- Przypuszczałem, że tak właśnie zareagujesz. Fortuna twojego rodu niemal całkowicie jest uzależniona od zasobów Lasu Vordue. Jeśli Honethowie zdobędą dostęp do Lasu Driad, to ceny drewna spadną na łeb na szyję. Usiłuję właśnie doprowadzić do małżeństwa, które na zawsze będzie trzymać Honethów z dala od Lasu. Wielka księżna Borune pochodzi z rodu Honethów i przeciwstawia się moim zamiarom, podpierając się zakazami natury religijnej. Czy najwyższy kapłan Nedry nie jest przypadkowo z tobą spokrewniony?

- Jest moim wujem - odparł.

- Miałem nadzieję, że stanowicie rodzinę. Potrzebna mi jego dyspensa na ślub syna wielkiego księcia Borune z księżniczką Driad.

- Belgaracie, to niedorzeczność!

- Tak, wiem, pomimo to jest mi potrzebna. To małżeństwo musi dojść do skutku.

- Dlaczego?

- Manipuję historią, Ranie Vordue. W rzeczywistości to małżeństwo niewiele ma wspólnego z tym, co wydarzy się w Tolnedrze. Jest wymierzone przeciwko Torakowi i poskutkuje dopiero za trzy tysiące lat.

- Naprawdę potrafisz tak daleko zajrzeć w przyszłość?

- Niezupełnie, ale mój Mistrz potrafi. Twój interes w tej sprawie ma raczej drugorzędne znaczenie. Ale obaj, choć z różnych powodów, pragniemy trzymać Honethów z dala od Lasu Driad.

Imperator spojrział w zamyśleniu w sufit.


- Czy pomogłoby, gdyby mój wuj udał się do Tol Borune i osobiście odprawił ceremonię? - zapytał.


- Jak najbardziej, Ranie Vordue - odparłem z szerokim uśmiechem. - Sądzę, że bardzo by pomogło.

- Załatwię to - powiedział, również się uśmiechając. - Honethom na pohybel - dodał.

- Z chęcią bym za to wypił.

Tak oto Dellon i Xoria pobrali się i ród Borunów nierozzerwalnie został powiązany z Driadami.


Nawiasem mówiąc, matka pana młodego nie pojawiła się na ślubie. Nie najlepiej się czuła.



Cała ta sprawa zajęła mi niemal trzy lata, ale biorąc pod uwagę, jak była ważna, uważałem, że czas ten nie poszedł na marne. Wracałem do Doliny w nastroju radosnego samozadowolenia. Jeszcze teraz, gdy o tym myślę, mam ochotę zdzielić się po karku. Wilki są o wiele lepiej przystosowane do pokonywania gór pokrytych śniegiem, więc przybrałem tę postać niemal odruchowo.

Po zejściu z gór, na południowym krańcu Doliny, wróciłem do własnej postaci. Ogon nie zdążył mi jeszcze zniknąć, gdy w mej głowie rozległy się połączone nawoływania bliźniaków.

- Przestańcie wrzeszczeć! - odkrzyknąłem.

- Gdzieś ty się podziewał? - zapytał z wyrzutem głos Beltiry.

- W Tolnedrze. Wiedziałaś o tym.

- Od tygodnia usiłujemy się z tobą porozumieć.

- Musiałem przejść przez góry, więc zmieniłem się w wilka.

To zawsze była jedna z niedogodności przy zmianie postaci. Zakłócała nasz szczególny sposób komunikowania się. Jeśli któryś z braci usiłuje się z tobą porozumieć, a nie wie, że zmieniłeś postać, to najprawdopodobniej zupełnie chybi.

- O co chodzi? - przesłałem pytanie.

- Beldaran jest bardzo chora. Polgara pojechała na Wyspę, by pomóc w miarę swych możliwości. - Umilkł na chwilę. - Lepiej się pospiesz, Belgaracie.

Poczułem jak lęk ściska mi serce.

- Skrócę sobie drogę do Camaar przez Ulgołand. Dajcie znać Polgarze, że przybywam.

- Być może będziemy chcieli się z tobą skontaktować. Ponownie zamienisz się w wilka?

- Nie. Polecę jako sokół.

- Nie fruwasz najlepiej, Belgaracie.

- Może czas się nauczyć. Już się zmieniam.

Niepokój o Beldaran był tak przytłaczający, że nawet nie pomyślałem o rzeczach, które zwykle przeszkadzały mi w lataniu i po półgodzinie prulem powietrze niczym strzała. Kilka razy spróbowałem nawet translokacji, ale nie działała zbyt dobrze - głównie dlatego, że podczas niej wracałem do własnej postaci, usiłując przy tym lecieć bez pomocy skrzydeł i trafiałem do miejsca odległego o dziesięć mil. Porzuciłem więc ten sposób na rzecz staromodnej metody poruszania się.

Do Camaar dotarłem zupełnie wyczerpany po dwóch dniach, ale zmusiłem się do przefrunięcia nad Morzem Wiatrów.

Przybyłem szybko, ale pomimo to i tak za późno. Beldaran już nie żyła.

Polgara była niepokieszona, Riva przypominał mnie po śmierci Poledry. Nie było co rozmawiać z żadnym z nich, poszedłem więc szukać wnuka.

Znalazłem go na szczycie najwyższej wieży Cytadeli. Zdawało się, że wypłakał już wszystkie łzy. Stał na blankach smutny, z zapuchniętymi od płaczu oczyma. Był już dorosły i bardzo wysoki.

- Dobrze już, Daranie - odezwałem się do niego oschle - złaż stamtąd.

- Dziadku!

- Powiedziałem, żebyś stamtąd zlął. - Wolałem nie ryzykować. W przypływie rozpaczyny mógłby zrobić coś głupiego. Na własny smutek miałem czas później. Teraz musiałem zająć się nim.

- I co my teraz zrobimy, dziadku? - zapytał ze szlochem.

- Poradzimy sobie, Daranie. Jak zawsze. Powiedz mi teraz, co się stało.

Daran wziął się w garść.

- Mama od lat przeziębiała się każdej zimy. Ciocia Pol powiedziała, że to osłabiało jej płuca. Ostatniej zimy było o wiele gorzej. Zaczęła kaszleć krwią. Wtedy tata posłał po ciocię Pol. Jednak nic nie mogła poradzić. Próbowala wszystkiego, ale mama była zbyt słaba. Czemu ciebie tu nie było, dziadku? Ty mógłbyś coś poradzić.

- Nie jestem lekarzem, Daranie. Twoja ciocia zna się na tym o wiele lepiej ode mnie. Jeśli ona nie mogła uratować twojej mamy, to nikt już nie mógł. Czy twój ojciec ma marszałka dworu? Kogoś, kto dogląda wszystkiego, gdy on jest zajęty?

- Masz na myśli Branda? On jest strażnikiem Rivy. Ojciec zlecił mu całą administrację.

- Lepiej z nim porozmawiajmy. Będziesz musiał przejąć władzę, dopóki twój ojciec nie otrząśnie się z tego.

- Ja? Dlaczego ja?

- Ty jesteś następcą tronu, Daranie, oto powód. To twój obowiązek. Ojciec nie jest teraz w stanie sprawować władzy, wszystko więc spada na twoje barki.

- To niesprawiedliwe. Ja czuję się równie okropnie jak on.

- Niezupełnie. Przynajmniej możesz nadal mówić, tak jak mi się zdaje. On nie. Pomogę ci. Brand też wie, co jest do zrobienia.

- Ojciec wydobrzeje, prawda?

- Miejmy nadzieję. Jednak to może trochę potrwać. Po śmierci twej babki dochodziłem do siebie dwanaście lat.

- Nikt nie będzie słuchał moich rozkazów, dziadku. Broda mi nawet jeszcze nie urosła jak należy.

- Masz dwadzieścia lat, Daranie. Czas, byś dorósł. Chodźmy porozmawiać z Brandem.

Przyznaję, że to było brutalne, ale ktoś na Wyspie musiał funkcjonować normalnie. Riva najwyraźniej nie mógł. Klejnot zdecydowanie potrzebował ochrony. Nie chcę nawet myśleć o tym, co by było, gdyby do Ctuchika dotarły wieści o stanie Rivy.

Brand był jednym z tych solidnych, godnych zaufania ludzi, których świat potrzebował najbardziej. Natychmiast zrozumiał powagę sytuacji.

Był niezwykle spostrzegawczy, jak na Alorna, więc doskonale zrozumiał również to, czego nie mogłem mu powiedzieć wprost w obecności Darana. Było całkiem możliwe, że Riva nigdy na dobre nie uleczy się ze swej rozpacz Daran będzie musiał sprawować władzę jako regent. My z kolei będziemy musieli obarczyć go obowiązkami w takim stopniu, aby rozpacz i jego nie pochłonęła. Zostawiłem ich pogrążonych w rozmowie i udałem się do komnat Polgary.

Zapukałem do drzwi.

- To ja, Pol. Otwórz.

- Odejdź.

- Otwórz drzwi, Polgaro. Muszę z tobą porozmawiać.

- Odejdź, ojczy.

Wzruszyłem ramionami.

- To twoje drzwi, Pol. Jeśli zaraz nie otworzysz, będziesz je musiała wymienić.

W końcu otworzyła mi drzwi. Miała bardzo zmizerowaną twarz.

- O co chodzi, ojczy?


- Nie masz na to czasu, Polgaro. Później będziesz mogła sobie popłakać. Teraz jesteś mi potrzebna. Riva nie jest w stanie nawet myśleć, więc ustanowiłem Darana regentem. Ktoś będzie musiał nad nim czuwać, a ja mam do zrobienia coś absolutnie nie cierpiącego zwłoki.

- Dlaczego ja?


- Pol, jeszcze ty? Dlaczego każdy mnie o to pyta? Zostałaś wybrana, ponieważ jesteś jedyną osobą, która sobie z tym poradzi. Zostaniesz tutaj i pomożesz Daranowi. Nie pozwól, by pogrążył się w melancholii jak ojciec. Angarakowie wszędzie mają szpiegów i przy najmniejszych oznakach słabości możesz się spodziewać wizyty Ctuchika. A teraz weź się w garść. Wytrzymaj nos i doprowadź się do porządku. Daran rozmawia z rivańskim strażnikiem. Zaprowadzę cię do nich, a potem muszę odejść.

- Nie zostaniesz nawet na pogrzebie?

- Już ją pogrzebałem w swym sercu, Pol, podobnie jak ty. Nie zmieni tego żadna ceremonia. Zrób coś z sobą. Okropnie wyglądasz.



Przykro mi, Pol, ale tak właśnie musiałem postąpić. Musiałem was wydobyć z otchłani rozpacz. Obarczenie cię odpowiedzialnością było jedynym sposobem, jaki przychodził mi do głowy.



Zostawiłem swą córkę i wnuka pogrążonych w dyskusji z Brandem i udałem, że opuszczam Wyspę. Jednakże nie uczyniłem tego. Poszedłem w góry wznoszące się za miastem Rivy i znalazłem sobie cichy zakątek.

Potem skuliłem się i płakałem jak dziecko.

Riva nigdy w pełni nie otrząsnął się po stracie swej żony. Miał już oczywiście sześćdziesiątkę na karku, gdy Beldaran nas opuściła, więc i tak był już czas, by Daran przejął władzę. To pozwoliło mi przekonać Pol do pozostania na Wyspie - sprawić, by była zajęta. To jest bardzo ważne w czasie żałoby. Gdybym miał jakieś absorbujące zajęcie po śmierci Poledry, to być może sprawy potoczyłyby się całkiem inaczej.

Zdaje się, że uświadamiałem to sobie niejasno po powrocie do Doliny, więc z pasją oddałem się studiowaniu Kodeksu Mrińskiego. Przekopałem się przez niego od początku do końca, szukając jakiegoś znaku, który mógł przestrzec mnie przed tym, co stało się z Beldaran. Na szczęście nic nie znalazłem. Z całą pewnością poczucie winy przygniotłoby mnie zupełnie.

Po siedmiu latach przybył posłaniec od Darana z wieścią o śmierci Rivy. Cherek o Niedźwiedzich Barach zmarł poprzedniej zimy, Dras o Bycznym Karku i Algar o Chyżych Stopach byli już bardzo starzy. Jedną z przykrych stron długiego życia jest fakt, że traci się wielu przyjaciół po drodze. Czasami miałem wrażenie, że moje życie było jednym długim pogrzebem.

Polgara wróciła do Doliny rok później i przywiozła z sobą kilka kufrów pełnych ksiąg medycznych. Pewnie nie było w tych książkach

niczego, co mogło pomóc Beldaran, ale myślę, że Pol chciała się upewnić. Nie wiem, co by się stało, gdyby znalazła jakieś lekarstwo, którego nie znała, ale i ona miała szczęście.

Przez pięćdziesiąt lat w Dolinie sprawy biegły spokojnie. Daran ożenił się, miał syna i zestarzał się, podczas gdy my z Polgara kontynuowaliśmy swoje studia. Poczucie wspólnej straty zbliżyło nas do siebie. Przyszłość, w miarę zagłębiania się w Kodeksie Mrińskim, zaczynała mnie coraz bardziej niepokoić. Jednak wedle mego osądu wszystko, czego potrzebowaliśmy, było na swoim miejscu, więc byliśmy gotowi.

Beldin wrócił z Mallorei prawie pod koniec dwudziestego pierwszego wieku. Według jego relacji, bardzo niewiele się tam działo.

- Zdaje mi się, że nic się nie wydarzy, dopóki Torak nie wróci ze swej samotni w Ashabie.

- U nas też nic ciekawego - odparłem. - Tolnedranie dowiedzieli się o złocie w Maragorze i zbudowali miasto na granicy, w miejscu zwanym Tol Rane. Usiłowali wciągnąć Maragów do handlu, ale nie mieli wiele szczęścia. Czy Zedar nadal jest w Ashabie?

Beldin przytaknął kiwnięciem głowy.

- Zdaje się, że Torak tęskni za jego towarzystwem.

- Mogę sobie wyobrazić dlaczego.

Nie rozmawialiśmy o Beldaran ani o innych zmarłych przyjaciółach. Wszystkich nas łączyły bliskie związki z rodziną Chereka, toteż ich śmierć wywoływała w nas poczucie szczególnie dotkliwej straty.

Słaby handel pomiędzy Drasnią a Gar og Nadrak zupełnie ustał po tym, jak Nadrakowie zaczęli napadać na miasta i wioski wschodniej Drasni. Syn Drasa, Khadar, podjął odpowiednie kroki i Nadrakowie wycofali się z powrotem do swych lasów.

Potem, w 2115 roku, Tolnedranie, zdenerwowani obojętnością Maragów wobec handlu, przystąpili do akcji. Gdybym baczniej śledził rozwój wydarzeń, to może mógłbym interweniować, ale zajęty byłem innymi sprawami. Magnaci handlowi z Tol Honeth rozpuścili wszędzie plotki na temat rytualnego kanibalizmu Maragów. Z każdą opowieścią te historie robiły się coraz bardziej niestworzone. Nikt chyba nie jest

zwolennikiem kanibalizmu, ale podejrzewam, że w Tolnedrze fala oburzenia była w większości udawana. Gdyby strumienie w Maragorze nie płynęły złotem, to nie sadzę, aby Tolnedranie tak obruszali się z powodu zwyczajów żywieniowych Maragów.

Niestety, Ran Vordue IV był na tronie dopiero od niespełna roku, gdy to wszystko się zaczęło, i jego brak doświadczenia miał istotne znaczenie dla późniejszych wydarzeń. Starannie podsycana histeria ostatecznie nie pozostawiła mu wyboru i Ran Vordue popełnił fatalny błąd, wypowiadając wojnę Maragom.

Tolnedrańska inwazja na Maragor była jedną z najciemniejszych kart historii ludzkości. Legiony, po przekroczeniu granic, nie miały na celu podboju, ale jedynie wyniszczenie narodu Maragów i niemal im się to udało. Doszło do straszliwej rzezi i w końcu jedynie chciwość, tak charakterystyczna dla wszystkich Tolnedran, zapobiegła całkowitej eksterminacji Maragów. Pod koniec kampanii dowódcy legionów zaczęli brać jeńców - głównie kobiety - które potem sprzedawali Nyissanom jako niewolników, na podobieństwo sępów krążących na skraju niemal każdego pola bitwy.

To była odrażająca procedura, ale zdaje się, że właśnie tym barbarzyńskim generałom winni jesteśmy podziękowania. Gdyby nie sprzedawali pojmanych, to Taiba pewnie nie przyszłaby na świat, a to byłaby katastrofa. Matka Wymarłej Rasy, jak nazywa ją Kodeks Mriński, absolutnie musiała być we właściwym miejscu o właściwym czasie lub całe nasze staranne przygotowania mogły wziąć w łeb.

Gdy tylko legiony oczyściły kraj z Maragów, ruszała tam fala poszukiwaczy złota. Mara miał jednak w tej kwestii własne zdanie. Nigdy dobrze nie rozumiałem Mary, ale doskonale rozumiałem jego reakcję na to, co Tolnedranie uczynili z jego ludem. W pełni pochylałem postępowanie Mary, choć doprowadziło nas na skraj kolejnej wojny pomiędzy Bogami. Mówiąc wprost, Maragor stał się miejscem nawiedzonym. Duch Mary zawodził w nieutulonym żalu, a przed oczyma hord poszukiwaczy złota, którzy wdarli się do doliny Maragoru, pojawiały się trudne do wyobrażenia straszdyła. Większość z poszukiwaczy oszalała. Znaczna ich część pozabijała się, a tych kilku,

którym udało się wrócić do Tolnedry, do końca życia musiało pozostać w domu wariatów.

Duch Nedry nie był zadowolony z okrutnego zachowania swych dzieci i przeprowadził bardzo zasadniczą rozmowę z Ranem Vordue. Zaowocowała ona założeniem klasztoru w Mar Terrin. Spodobał mi się ten pomysł, jako że chciwi kupcy, którzy wszczęli całe to zamieszanie, znaleźli się, co do jednego, pomiędzy pierwszymi mnichami, których wysłano tam w celu ukojenia dusz wymordowanych Maragów. Zmuszenie do złożenia ślubów ubóstwa to pewnie najgorsze, co można zrobić Tolnedranowi.

Niestety nie skończyło się na tym. Belar i Mara zawsze byli sobie szczególnie bliscy i postępowanie dzieci Nedry bardzo uraziło Belara. Oto, co kryło się za wypadami Chereka na wybrzeże Tolnedry. Okręty wojenne, niczym stada psów gończych, dokonywały wypadów z Wielkiego Morza Zachodniego i nadbrzeżne miasta imperium były płądrowane i palone z okrutną regularnością. Cherekowie, najwyraźniej działając zgodnie ze wskazówkami Belara, szczególną uwagą obdarzali Tol Vordue, prastarą siedzibę rodu Vordue. Ran Vordue IV mógł tylko w złości zaciskać pięści, gdy jego rodzinne miasto niszczyły powtarzające się ataki Chereków.

W końcu mój Mistrz musiał wkroczyć i negocjować układ pokojowy pomiędzy Belarem i Nedrą. Naszym głównym zmartwieniem nadal był Torak. Przysparzał nam wystarczająco dużo kłopotów i bez innych rodzinnych nieporozumień.





Po zniszczeniu Maragoru i coraz rzadszych atakach walecznych wojowników Chereka na wybrzeże Tolnedry, w królestwach Zachodu zapanował pokój - oczywiście nie licząc Arendii. Tam wojna ciągnęła się do znużenia, po trosze pewnie dlatego, że Arendowie nie potrafili wymyślić sposobu na jej zakończenie. Nie kończące się okrucieństwa z obu stron zamieniły nienawiść w religię, a Arendowie byli bardzo pobożni.

Następne kilka stuleci spędziliśmy z Pol w Dolinie, spokojnie kontynuując swoje studia. Moja córka bez komentarza przyjęła fakt, że się nie starzeje. U niej osobliwe było to, że rzeczywiście nie posuwała się w latach. Beldin, bliźniaki i ja nabraliśmy dojrzałego wyglądu. Porobiły nam się zmarszczki, posiwiały włosy i zaczęliśmy wyglądać dostojnie. Inaczej niż Pol, która skończyła trzysta lat i nadal wyglądała tak samo jak w wieku dwudziestu pięciu. Spojrzenie miała mądrzejsze, ale na tym koniec. Zapewne czarodziej powinien mieć wygląd dostojnego mędrca, a to pociągało za sobą zmarszczki i siwe włosy. Kobieta z siwymi włosami i zmarszczkami zwana jest starowiną. Nie sądzę, aby Pol się to spodobało. Może wszyscy wyglądamy tak, jak myślimy, że powinniśmy wyglądać. Moi bracia i ja uważaliśmy, że powinniśmy przypominać czcigodnych mędrców. Pol o to nie dbała, ale „czcigodny” znajdował się w jej słowniku.

Chyba zbadam to pewnego dnia. Myśl, że w pewnym sensie możemy tworzyć siebie, jest bardzo intrygująca.

Z początkiem dwudziestego piątego wieku Polgara rozpoczęła samodzielną działalność. Za pierwszym razem próbowałem protestować, ale bez ogródek kazała mi pilnować własnego nosa.

- Mistrz kazał mi się tym zająć, ojczu. O ile sobie przypominam, twoje imię nawet nie padło w trakcie tej rozmowy.

Uznałem tę uwagę za całkowicie niestosowną.

Pol opuściła Dolinę na swym algarskim koniu. Odczekałem pół dnia, a potem ruszyłem za nią. Nie zabroniono mi tego, a byłem w końcu jej ojcem. Wiedziałem, że ma ogromne zdolności, ale...

Oczywiście musiałem być bardzo ostrożny. Oprócz swej matki, Polgara znała mnie najlepiej na świecie i podejrzewałem, że potrafiłaby wyczuć moją obecność z odległości dziesięciu lig. Podążając za nią na północ wzdłuż granicy z Ulgołandem ogromnie powiększyłem swój repertuar wcieleń. Myślę, że niemal co godzinę zmieniałem postać. Posunąłem się nawet do tego, że pewnego wieczoru, by obserwować, jak rozbija obóz, przybrałem postać myszy polnej. Mało brakowało, abym dokończył żywota w szponach sowy.

Moja córka nie dawała po sobie poznać, czy wie o tym, iż ją śledzę, ale z Polgarą nigdy nic nie wiadomo. Przeszła przez góry do Muros, po czym skręciła na południe, w kierunku Arendii. To obudziło mój niepokój.

Jak mogłem się spodziewać, została zaczepiona przez wacuńskich Arendów na drodze wiodącej do Vo Wacune. Arendowie są zwykle bardzo uprzejmi względem dam, ale ta grupka chyba zostawiła swe dobre maniery w domu. Dość nieuprzejmie ją przepytali i oświadczyli, że skoro nie ma eskorty, to będą musieli się nią zaopiekować.

Nie uwierzycie, jak gładko sobie z tym poradziła. Protestowała właśnie gwałtownie, gdy pomiędzy jednym a drugim oburzonym słowem, uśpiła ich wszystkich. Nie zauważyłbym nawet tego, gdyby nie wykonała drobnego gestu ostrzegawczego. Rozmawiałem już z nią o tym kilkakrotnie, ale ona nadal uważała, że samo Słowo uwalniające Wolę nie wystarcza. Zawsze czuła potrzebę dodania gestu.

Wacuńscy Arendowie zasnęli natychmiast, nie trudząc się zamykaniem oczu. Uśpiła nawet ich konie. Potem odjechała, mrużąc pod nosem. Po kilku milach zebrała Wolę i powiedziała: „Zbudźcie się”, ponownie machając ręką.

Arendowie nie zdawali sobie sprawy z tego, że właśnie ucięli sobie drzemkę, więc wydawało im się, że Pol po prostu zniknęła. Czar lub magia, wszystko jedno jak to nazwiecie, denerwował Arendów, więc

postanowili nie jechać za nią - co nie znaczy, że wiedzieli, w którą stronę pojechała.

Polgara nie wyjawiała mi żadnych szczegółów na temat swego zadania w Arendii, toteż nadal musiałem za nią podążać. Jednak po tym spotkaniu w lesie kierowała mną bardziej ciekawość niż obawa o jej bezpieczeństwo. Wiedziałem, że potrafi zatroszczyć się o siebie.

Pojechała do Vo Wacune. Po dotarciu do bram miasta, z władczą miną zażądała, aby zaprowadzono ją do pałacu księcia.

Ze wszystkich miast starożytnej Arendii, Vo Wacune było najprzyjemniejsze. Targi bywała w Muros przynosiły Arendom wacuńskim niezły dochód, dlatego pod dostatkiem mieli pieniędzy na architektoniczne przedsięwzięcia. U podnóża wzgórz, na wschód od miasta znajdowały się kamieniołomy marmuru, a pokryte marmurem domy zawsze ładniej wyglądały od budowli z innego kamienia. Vo Astur było zbudowane z granitu, Vo Mimbre z żółtego kamienia, tak obficie występującego w południowej Arendii. W tym wypadku chodziło jednak o coś więcej. Vo Astur i Vo Mimbre były twierdzami i wyglądały jak twierdze, zwaliste i nieładne. Marmurowe Vo Wacune wyglądało jak miasto ze snów. Miało wysokie, delikatne wieżyczki, szerokie, cieniste ulice i wiele ogrodów i parków. Za każdym razem, gdy czytacie opis jakiegoś tajemniczego miasta niewysłowionej urody, możecie być pewni, że powstał w oparciu o opis Vo Wacune.

Z zagajnika w pobliżu bramy obserwowałem, jak Pol wjeżdża do miasta. Potem, po chwili zastanowienia, ponownie zmieniłem postać. Arendowie bardzo lubią psy myśliwskie, więc przybrałem postać psa i poszedłem za nią. Księżę uzna, że jestem jej psem, a ona dojdzie do wniosku, że należę do niego.

- Wasza miłość - pozdrowiła księcia z głębokim ukłonem. - Koniecznie musimy porozmawiać na osobności. Swe myśli muszę ci wyjawić z dala od uszu innych.

- To nie leży w zwyczaju, lady... ? - Księżę zawiesił głos. Bardzo chciał wiedzieć, kim był po królewsku wyglądający gość.

- Przedstawię się, gdy zostaniemy sami, wasza miłość. W biednej Arendii wszędzie pełno nieprzyjaznych uszu, a wieść o mej wizycie nie

może dotrzeć ani do Vo Mimbre, ani do Vo Astur. Twe królestwo zagrożone jest, wasza miłość, a ja przybyłam, aby temu zaradzić.

Gdzie nauczyła się mówić tym archaicznym językiem?

- Maniery twe i zachowanie takie są, iż skłonny jestem udzielić ci posłuchania, lady - odparł książę. - Oddalmy się zatem, abyś mogła przekazać mi te najwyższej wagi wieści. - Wstał z tronu, podał ramię Pol i wyprowadził ją z sali.

Powlokłem się za nimi, stukając pazurami po posadzce. Szlachta arendzka zawsze pozwalała swym psom biegać po domach, więc nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jednakże książę odgonił mnie, a sam z Pol wszedł do komnaty na końcu korytarza. To nie był jednak żaden problem. Skuliłem się na podłodze z głową przy drzwiach.

- A teraz, lady - powiedział książę - proszę, wyjaw mi swe imię.

- Nazywam się Polgara - odparła, porzucając kwiecistą mowę. - Być może o mnie słyszałeś.

- Córka Prastarego Belgaratha? - Książę wydawał się oszołomiony.

- Zgadza się. Ostatnio otrzymywałeś złe rady, wasza miłość. Tolnedrański kupiec utrzymywał, iż mówił w imieniu Rana Vordue XVII. A tak nie było. Ród Vordue nie proponuje ci przymierza. Jeśli posłuchasz jego rady i zaatakujesz terytorium Mimbrate, legiony nie przybędą ci z pomocą. Jeśli złamiesz przymierze z Mimbrate, oni natychmiast sprzymierzą się z Asturami i to będzie twój koniec.

- Kupiec tolnedrański miał dokumenty, lady Polgaro - zaprotestował książę. - Miały pieczęć samego Rana Vordue.

- Nie tak trudno podrobić imperialną pieczęć, wasza miłość. Mogę ci taką zrobić choćby zaraz.

- Skoro Tolnedranin nie mówił w imieniu Rana Vordue, to w czym?

- On występował w interesie Ctuchika, wasza miłość. Murgowie pragną, by na Zachodzie panował niepokój. Arendia, targana tą nie kończącą się wojną domową, jest najlepszym miejscem na nowe ognisko zapalne. Zrób z kłamliwym Tolnedraninem, co chcesz. Ja muszę udać się do Vo Astur, a potem do Vo Mimbre. Plan Ctuchika jest bardzo złożony i jeśli się powiedzie, jego ostatecznym wynikiem będzie wojna pomiędzy Arendia i Tolnedrą.

- To być nie może! - wykrzyknął książę. - Przy takim rozbiciu legiony nas zetrą w proch!

- Otóż to. A wówczas zostaną wciągnięci Alornowie i wybuchnie ogólna wojna. Nic bardziej nie zadowoliłoby Ctuchika.

- Wydobędę potwierdzenie tego głupiego spisku z Tolnedranina, lady Polgario - powiedział. - Ręczę za to swym słowem.

Drzwi otworzyły się i książę przeszedł nade mną. Jeśli psy dostatecznie długo kręczą ci się pod nogami, to przestajesz je zauważać.

Polgara jednak nie dała się nabrać.

- W porządku, ojczy - odezwała się znużonym tonem - możesz już wracać do domu. Bardzo dobrze potrafisz sobie radzić bez ciebie.

I prawdę powiedziawszy, radziła sobie. Jednakże nadal ją śledziłem. Udała się do Vo Astur i przeprowadziła z księciem Asturii podobną rozmowę jak z księciem Vo Wacune. Potem pojechała do Vo Mimbri i ich również ostrzegła. W trakcie tej jednej podróży zniszczyła coś, czego zbudowanie zajęło strupieszalemu Ctuchikowi pewnie z dziesięć lat. Nigdy jej nie spotkał, a już miał powody, by jej nienawidzić.

Wyjaśniła mi to wszystko, gdy wróciliśmy do Doliny - po tym jak zrugowała mnie za łączenie za sobą.

- Ctuchik ma w królestwach Zachodu swych ludzi, którzy nie wyglądają na Angaraków - powiedziała. - Niektórzy z nich to zmienieni Grolimowie, ale są też inni. Słyszałeś kiedy o Dagashi?

- Nie powiem, że nie - odparłem.

- To grupa płatnych morderców z kryjówką gdzieś na południe od Nyissy. Są równie dobrymi szpiegami co bardzo wprawny mordercami. W każdym razie Murgowie odkryli złoto w tym paśmie górskim, które biegnie na północ od Urga do Goska, więc Ctuchik może sobie pozwolić na przekupienie Tolnedran.

- Każdy może przekupić Tolnedranina, Pol.

- Być może. W każdym razie jego szpiegowie nakłonili rozmaitych Tolnedran, aby złożyli trzem księstwom Arendii oferty przymierza, rzekomo pochodzące od Rana Vordue. Oczywiście sam Ran Vordue nie miał o tym zielonego pojęcia. Pomysł polegał na tym, że gdy legiony nie przyjdą z pomocą ludziom, którzy się tego spodziewali, Arendowie

zaatakują północną Tolnedrę. Północna Tolnedra to ziemie rodu Vordue, więc imperator zareaguje rozbiemem po kolei wszystkich księstw Arendii. Gdy dowiedzą się o tym Alornowie, pomyślą, że imperium próbuje poszerzyć swe granice i podejmą w związku z tym odpowiednie kroki. To był bardzo sprytny plan, trzeba przyznać.

- Ale ty przeszkodziłaś w jego realizacji.

- Tak, ojcze, wiem. Może lepiej mieć oko na Ctuchika. Myślę, że on coś kombinuje. Nie próbował przecież zasiać tej całej niezgody jedynie dla zabawy.

- Będę go miał na oku - obiecałem.

Niedługo potem Beldin wrócił ze swej kolejnej podróży do Mallorei i powiedział, że nic specjalnego się tam nie dzieje.

- Poza tym, że Zedar opuścił Ashabę - dodał niemal od niechcienia.

- Nie wiesz, gdzie się udał? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia. Zedar wije się jak piskorz. Z tego, co wiem, ukrywa się w Kell. Co się dzieje z Nadrakami?

- Nie rozumiem.

- Wróciłem tamtędy z Mallorei. Gromadzą się około dziesięciu lig na wschód od granicy z Drasnią. Zdaje mi się, że planują coś poważnego.

Zakląłem.

- O to więc chodziło w tym wszystkim!

- Gadaj do rzeczy, Belgaracie. Co się dzieje?

- Wzdłuż granicy prowadzono ograniczony handel. Potem Nadrakowie zaczęli się robić agresywni. Zrobili kilka wypadów do Drasni i syn Drasa przegnał ich z powrotem do lasów. Od jakiegoś czasu panował tam spokój.

- Myślę, że wkrótce znowu zrobi się niespokojnie. Miasta Nadraków są niemal wyludnione. Wszyscy, którzy potrafią powstać z miejsca, zobaczyć błyskawice i usłyszeć grzmot, zebrali się w leśnym obozie o dzień marszu od granicy.

- Lepiej ostrzeżmy Rhonara.

- Kto to?

- Obecny król Drasni. Pognam tam i powiem mu, co się święci. A ty może wybrałbyś się do Algarii i poszukał Cho-Dana, Wodza Wodków Klanów. Niech jazda Algarów zgromadzi się na północ od jeziora Atun.

- To Algarzy nie mają już króla?

- Ten tytuł wyszedł z użycia. Algarzy są nomadami i dla nich klany są ważniejsze od narodu. Udam się do Boktoru, a potem do Val Alorn, aby ostrzec Chereków.

Beldin zatarł ręce.

- Dawno już nie mieliśmy wojny.

- Wcale za nią nie tęskniłem. - Podrapałem się po brodzie. - Chyba wpadnę do Rak Cthol i utnę sobie jeszcze jedną pogawędkę z Ctuchikiem, gdy tylko Alornowie zajmą swoje miejsca. Może uda mi się ukrećić temu łeb, nim wszystko wymknie nam się z rąk.

- Popsujesz zabawę. Gdzie Pol?

- W Arendii - chyba w Vo Wacune. Również tam Ctuchik snuje intrygi. Pol pilnuje spraw. Ruszajmy ostrzec Alornów.

Król Drasni, Rhonar, przyjął moje wieści dość entuzjastycznie. Był jeszcze gorszy od Beldina. Potem udałem się przez Zatokę Chereka do Val Alorn i porozmawiałem z królem Bledarem. On był jeszcze gorszy od Rhonara. Jego flota wypłynęła do Kotu już następnego dnia. Miałem nadzieję, że Beldin potrafi utrzymać w ryzach Alornów, gdy już zgromadzą się na granicy z Nadrakami. Przez kilka stuleci usiłowaliśmy z Pol tłumić otwartą wrogość między tymi narodami i ten rodzący się konflikt groził zaprzepaszczeniem naszych starań.

Potem udałem się do Rak Cthol.

Zatrzymałem się na pustyni, kilka lig na zachód od tej wstrętnej góry. Zastanowiłem się nad różnymi możliwościami. Moja ostatnia wizyta bez wątpienia przekonała Ctuchika do wystawienia straży, więc trudno będzie pewnie przedostać się niezauważenie przez miasto. W końcu z pewną niechęcią przyznałem, że wcale nie musiałem przechodzić przez miasto. Wiedziałem przecież, gdzie była wieżyczka Ctuchika, a ona miała okna.

Była późna noc, dlatego nad czarnym piaskiem nie było ciepłych prądów wznoszących. A to oznaczało, że okrążając szczyt, musiałem dosłownie wspinać się na skrzydłach do góry.

Dobre w tym było chyba jedynie to, że gdy wzbiłem się na pięćdziesiąt stóp, to przestałem widzieć ziemię.

Szczęśliwym trafem Ctuchik zasnął przy pracy i spał z głową na złożonych rękach, gdy wleciałem przez okno. Pozbyłem się sępicz piór i obudziłem go. Dziesięć lat nie poprawiło jego wyglądu. Nadal przypominał chodzącego trupa.

Poderwał się z okrzykiem zaskoczenia, po czym się opanował.

- Miło cię znowu widzieć, stary - skłamał.

- Miło mi, że cię to cieszy. Lepiej wyślij wiadomość do swych Nadraków. Powiedz, aby odwołali inwazję. Alornowie wiedzą o ich nadejściu.

Jego oczy przybrały zimny wyraz.

- Któregoś dnia wyprowadzisz mnie z równowagi, Belgaracie.

- Mam nadzieję. Bóg wie, że ty ostatnio wystarczająco już działałeś mi na nerwy.

- Jak dowiedziałeś się o Nadrakach?

- Ja widzę wszystko, Ctuchiku. Nie potrafisz przede mną ukryć swych działań. Czy nie przekonało cię o tym to, co stało się w Arendii z twym planem?

- Zastanawiałem się właśnie, czemu się nie powiodł.

- Teraz wiesz. - Nie miałem zamiaru przywłaszczać sobie zasług Pol, pomyślałem jedynie, że lepiej będzie przez jakiś czas utrzymać jej udział w tym mistrzowskim posunięciu w tajemnicy przed Ctuchikiem. Pol była dobra, ale nie byłem pewny, czy była już gotowa do starcia z Ctuchikiem. Poza tym nie chciałem, aby o niej wiedział. Można powiedzieć, że trzymałem ją w rezerwie.

- Bardzo mi przykro, stary - powiedział z lekką drwiną. - Obawiam się jednak, że nie będę ci mógł pomóc w sprawie Nadraków. To naprawdę nie mój pomysł. Ja jedynie wypełniam rozkazy z Ashaby.

- Nie sil się na spryt, Ctuchiku. Wiem, że możesz rozmawiać z Torakiem, kiedy tylko masz ochotę. Lepiej zrób to zaraz. Nie było cię, gdy najechaliśmy ziemię wokół Korimu. Wierz mi, Torak okropnie się złości, gdy zabijają jego Angaraków, a lada chwila może do tego dojść na granicy z Drasnią i najprawdopodobniej Nadrakowie zostaną całkowicie wyniszczeni. Widziałem już, jak Alornowie prowadzą wojnę. Oczywiście wszystko zależy od ciebie; w końcu to nie ja będę musiał się tłumaczyć przed Torakiem. - Potem, aby jeszcze bardziej go dobić i zaniepokoić, rzuciłem mu z głupim uśmiechem. - Tobie naprawdę jest potrzebna kopia Proroctwa Ashabińskiego, stary. Kodeks Mriński dostarcza mi bardzo dobrych wskazówek. Już kilkaset lat temu wiedziałem o twojej zagrywce, więc miałem mnóstwo czasu, aby się przygotować. - Uśmiechnąłem się uszczęśliwiony. - Zawsze miło się z tobą rozmawia, Ctuchiku - dodałem, po czym podszedłem do okna i wyskoczyłem przez nie.

Ten teatralny gest niemal mnie zabił. Byłem ledwie sto stóp nad pustynią, gdy w końcu wszystkie moje pióra znalazły się na miejscu. Bardzo trudno zmieniać postać podczas spadania. Z jakiejś przyczyny trudno się skoncentrować, gdy ziemia pędzi ci na spotkanie.

Jednakże moja wizyta w Rak Cthol, poza sposobnością do powiększenia niepokoju Ctuchika, była w zasadzie stratą czasu. Powinienem wiedzieć, że Torak nie cofnie się przed czymś, co raz już zostało zaczęte, bez względu na to, ile stanie mu na przeszkodzie. Nie pozwoliłoby mu na to jego ego. Nadrakowie przedarli się z wyciem przez granice Drasni, nim zdążyłem wrócić z Rak Cthol i, co było do przewidzenia, Alornowie stawili im czoło, spuszczając tęgie baty. Nielicznym udało się co prawda uciec, ale miną stulecia, nim ponownie będzie ich tyłu, aby się tym martwić.

Torak najwyraźniej tak poprzekręcał wszystko w myślach, by nie czuć się winnym za zignorowanie mojego ostrzeżenia. Dla uczczenia tego wydarzenia polecił swym Grolimom czterokrotnie zwiększyć liczbę ofiar. Przez stulecia Grolimowie zabili więcej Angaraków niż Alornowie.

Gdy ci, którzy przeżyli ten pogrom, dokuśtykali do Gar og Nadrak i skryli się w lesie, udałem się do Arendii, aby sprawdzić, co porabia

Pol. W końcu udało mi się ustalić miejsce jej pobytu. Mieszkała w Vo Wacune, w pobliżu książęcego pałacu. Podobnie jak wszystkie domy w Vo Wacune, jej również zbudowano z błyszczącego marmuru. Był to całkiem spory dom, którego dwa skrzydła częściowo otaczały dobrze utrzymany kwiatowy ogród o żwirowych ścieżkach, ładnie przyciętych żywopłotach i wypielęgnowanych trawnikach.

- Co to wszystko znaczy? - zapytałem, gdy w końcu służba wpuściła mnie przed jej oblicze.

Polgara siedziała w bogato zdobionym fotelu przed kominkiem z różowego kwarcu. Miała na sobie prawdziwie oszałamiającą błękitną suknię.

- Prowadzę światowe życie, ojczu.

- Znalazłaś żyłę złota?

- Prawdę powiedziawszy coś lepszego. Moje włości są całkiem spore, a ziemia bardzo urodzajna.

- Twoje włości?

- Znajdują się na północ od Jeziora Medalia - po drugiej stronie rzeki Camaar. Mam tam nawet rezydencję. Masz niewątpliwą zaszczyt zwracać się do Jej Miłości, księżnej Erat.

- Nie żartuj, Pol.

- Nie żartuję, ojczu. Stary książę był bardzo wdzięczny za informacje o spisku Ctuchika, które mu przekazałam, więc zawsze byłam mile widziana w książęcym pałacu.

Spojrzałem na nią groźnie

- Nadał ci tytuł za wypełnianie instrukcji Mistrza? I ty go przyjęłaś? Nieładnie, bardzo nieładnie, Pol. Nie wolno nam przyjmować nagród za wypełnienie poleceń Mistrza.

- To zabrnęło trochę dalej, stary wilku. Znasz sytuację w Arendii?

- Z tego, co ostatnio słyszałem, Wacitowie i Mimbraci sprzymierzyli się przeciwko Asturii. To przymierze zdaje się trwać dłużej od innych.

- I nadal trwa, ojczu. Po śmierci starego księcia na tron wstąpił jego syn, Alleran. Zналиśmy się dość blisko, ponieważ pomagałam matce go wychować. Ożeniliśmy go - nawet udało mi się przekonać jego

matkę, aby nie poślubił kuzynki - w stosownym czasie żona obdarzyła go synem. Wówczas książę Vo Astur dostrzegł szansę na zagmatwanie sytuacji w Arendii i wysłał swych ludzi, by porwali chłopca. Obecny książę Vo Astur nie grzeszy oglądą i wiadomością, którą zostawili jego najmici, nie budziła wątpliwości. Powiedział Alleranowi, że zabije jego syna, jeśli Arendowie wacunscy nie zerwą układu z Mimbre i nie pozostaną neutralni. Wybrałam się więc do Vo Astur i uratowałam chłopca. Udzieliłam również księciu Asturian lekcji dobrych manier.

- Co mu zrobiłaś? - zapytałem z lekką obawą. Przy posługiwaniu się naszym darem obowiązują pewne zasady. - Chyba go nie zabiłaś?

- Oczywiście, że nie, ojcze. Nie jestem taka głupia. Książę Vo Astur ma teraz otwarty wrzód żołądka. Dostarcza mu to rozlicznych uciech i powstrzymuje przed popełnianiem błędów. Moja wizyta w Vo Astur miała miejsce pięć lat temu i od tego czasu nie było w Arendii żadnej poważniejszej bitwy.

- Zaprowadziłaś w Arendii pokój? - zapytałem zdumiony.

- Tymczasowy, ojcze - poprawiła. - Prawdopodobnie za wcześnie jeszcze mówić, czy na stałe. Zawrzdziłabym jednak żołądki wszystkim, jak Arendia długa i szeroka, gdybym mogła tym samym położyć kres tej głupocie. Książę Alleran był mi bardzo wdzięczny i dlatego teraz jestem księżną Erat.

- Czemu ja na to nie wpadłem? - zawołałem. - To takie proste. Dzięki bólowi żołądka zakończyłaś wojnę domową w Arendii. - Skłoniłem się przed nią. - Jestem z ciebie dumny, wasza miłość.

- Dziękuję, ojcze. - Odkłoniła mi się. Potem zacisnęła w zamyśleniu usta. - Gratulacje mogą być jednak nieco przedwczesne. Gdy w Vo Mimbre lub Vo Astur nastanie nowy książę, wrogość znowu może wziąć górę. Chyba będzie lepiej, jeśli zostaną w Vo Wacune. Wacitowie są najmniej agresywni ze wszystkich Arendów i cieszą się tutaj pewnym autorytetem dzięki przyjaźni z rodziną książęcą. Być może potrafię poprowadzić ich we właściwym kierunku. Ktoś musi w Arendii objąć rolę rozjemcy. Daj mi trochę czasu, a może uda mi się ustanowić zwyczaj. Może uda mi się nakłonić Mimbratów i Asturian, aby po rozstrzygnięciu w spornych kwestiach przybywali do Vo Wacune, zamiast załatwiać je na polu bitwy.

- Nie łudziłbym się na twoim miejscu, Pol.

- Warto spróbować - odparła, wzruszając ramionami. - Idź doprowadzić się do porządku, ojczy. Dziś wieczorem jest wielki bal w pałacu księcia i zostaliśmy zaproszeni - to znaczy ja zostałam zaproszona, ale możesz pójść jako mój prywatny gość.

- Co takiego?

- Wielki bal, ojczy - muzyka, tańce, uprzejme rozmowy i tego rodzaju rzeczy.

- Ja nie tańczę, Pol. Uśmiechnęła się słodko do mnie.

- Jestem pewna, że w mig się nauczysz, stary wilku. Bystry z ciebie gość. A teraz idź, wykup się i przystrzyż sobie brodę, żebyś nie przyniósł mi wstydu w miejscu publicznym.





W ciągu następnych sześciuset lat kręciłem się tu i tam, ale Polgara pozostawała w Vo Wacune. Ocena Arendów wacuńskich okazała się zasadniczo słuszna, a dzięki jej obecności i przewodnictwu udawało im się utrzymać kruchy pokój w Arendii.

Niemal doszczętne wyniszczenie Nadraków zmusiło strupieszalego Ctuchika do spuszczenia z tonu, więc nawet wzdłuż wschodniej granicy zapanował względny pokój.

Tak jak obiecałem ojcu Dellona, ród Borunów wstąpił na tron Tolnedry - w 2537, jak mi się zdaje. Przez stulecia Vorduvianie i Honethowie przekazywali sobie koronę, więc gdy Ran Vordue XX umarł bez dziedzica, Honethowie uznali, że teraz ich kolej. Kilku spośród szlachty Honethów uznawało się za godnych tego zaszczytu, co doprowadziło do tak ostrych podziałów w obrębie tego rodu, że Ława Doradców znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Słyszałem, że łapówki osiągały astronomiczną wysokość. Ostatecznie członek Ławy z południa z pewnym wahaniem umieścił imię wielkiego księcia Borunów na nominacji. Ani Vorduvianom, ani Horbitom nie w smak była myśl o kilku stuleciach nieudolnych rządów Honethów, toteż zrezygnowali z własnych kandydatów i przenieśli swe poparcie na Borunów. Ponieważ Honethowie nadal byli podzieleni, nie mieli wspólnego kandydata i korona przeszła na Borunów niemal walkowerem.

Ran Borune był bardzo zdolnym imperatorem. W owych czasach głównym problemem w Tolnedrze były nieustanne najazdy korsarzy Chereku na wybrzeża. Ran Borune wszczął odpowiednie kroki niemal zaraz po koronacji. Wyprowadził legiony z garnizonów i skierował je do prac przy budowie traktu, który teraz łączy Tol Vordue i Tol Horb. Legioniści nie byli tym zbytnio uszczęśliwieni, ale on był nieugięty. Dostał swój trakt, ale chodziło mu o coś więcej. Prawdziwym powodem

tych przedsięwzięć była chęć rozstawienia legionów wzdłuż wybrzeża, aby odpierali ataki piratów, bez względu na to, gdzie wylądują. Plan działał całkiem dobrze. Sporo czasu spędziłem w Val Alorn, usiłując przemówić do rozumu różnym królom Chereku, bez większego powodzenia. Pobożnie utrzymywali, że postępują zgodnie z poleceniami Belara, których udzielił im po tolnedrańskiej inwazji na Maragor. Usiłowałem ich przekonać, że Tolnedra została już wystarczająco ukarana, ale nie chcieli mnie słuchać. Podejrzewam, że na ich religijny entuzjazm miały istotny wpływ łupy, które zdobywali plądrując miasta. Jednakże gdy ich drużyny zaczęły natykać się na legionistów, pobożny zapał zaczął stygnąć i skierowali swe zainteresowanie na inne części świata.

Gdzieś około 2940 roku zahaczyłem o Vo Wacune, aby zobaczyć, co porabia Pol. Zdaje się, że wpadłem tam akurat w odpowiednim momencie. Jej Miłość, księżna Erat, była zakochana. Wiedziałem, że spędzała za dużo czasu w Arendii.

Polgarę zastałem w ogrodzie, przy pielęgnacji róż.

- Witaj, stary wilku - powitała mnie - co porabiałeś?

- To i owo - odparłem ze wzruszeniem ramion.

- Czy świat nadal jest w jednym kawałku?

- Mniej więcej. W kilku miejscach musiałem go jednak załatać.

- Zechciej spojrzeć na to - powiedziała, po czym ścięła różę i podała mi. To była biała róża o bladolawendowych koniuszkach płatków.

- Bardzo ładna - powiedziałem.

- To wszystko? Bardzo ładna? Ona jest piękna, ojczu. Ontrose wyhodował ją specjalnie dla mnie

- Kim jest Ontrose?

- To mężczyzna, którego zamierzam poślubić, ojczu... gdy tylko zdobędzie się, aby mnie poprosić o rękę.

Co to miało znaczyć? W tym momencie stałem się bardzo ostrożny.

- Ciekawy pomysł, Pol. Poślij po niego, to porozmawiamy o tym.

- Nie pochwalasz mej decyzji.

- Tego nie powiedziałem. Czy jednak dokładnie wszystko przemyślałeś?

- Tak, ojcze.

- I ujemne strony tej decyzji nie przekonały cię, aby zastanowić się nad tym trochę głębiej?

- Jakie ujemne strony?

- No cóż, po pierwsze, jest między wami spora różnica wieku. On pewnie ma niewiele ponad trzydzieści, a ty, jeśli dobrze pamiętam, około dziewięćset pięćdziesięciu.

- Dziewięćset czterdzieści, dokładnie. A co to ma za znaczenie?

- Przeżyjesz go, Pol. Nie obejrzysz się, a on już się zestarzeje.

- Myślę, że należy mi się odrobina szczęścia, ojcze... nawet jeśli nie będzie ono trwało zbyt długo.

- I planujecie mieć dzieci?

- Oczywiście.

- Są duże szanse na to, że i one będą żyły jak zwykli ludzie. Ty się nie zestarzejesz. One tak.

- Nie próbuj mnie od tego odwieść, ojcze.

- Nie próbuję. Zwracam ci jedynie uwagę na następstwa. Pamiętasz, co czułaś po śmierci Beldaran? Naprawdę chcesz przez to ponownie przejść... i to wielokrotnie?

- Zniosę to, ojcze. Może, gdy wyjdę za mąż, zacznę żyć normalnym życiem. Może ja również się zestarzeję.

- Nie dałbym za to głowy, Pol. Masz jeszcze wiele rzeczy do zrobienia i jeśli poprawnie odczytałem Kodeks Mriński, będziesz jeszcze długo chodzić po świecie. Bardzo mi przykro, Pol, ale my nie jesteśmy zwykłymi ludźmi. Żyjesz już prawie tysiąc lat, a ja blisko pięć tysięcy.

- Ty się ożeniłeś - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Tak było mi pisane i twoja matka była zupełnie inna. Po pierwsze, dłużej żyła.

- Może poślubienie mnie przedłuży również życie Ontrose?

- Nie liczyłbym na to. Jednakże może mu się wydawać dłuższe.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie należysz do najłatwiejszych we współżyciu, Pol.

Polgara spojrzała na mnie zimno.

- Zdaje się, że wyczerpaliśmy już tematy do rozmowy, ojcze. Wracaj do Doliny i nie wtykaj nosa do moich spraw sercowych.

- Nie szafuj tak określeniem „sprawy sercowe”, Pol. Działa mi to na nerwy.

Polgara wyprostowała się.

- Dość tego, ojcze - oświadczyła, po czym odwróciła się i wściekła opuściła ogród.

Zostałem tam jeszcze przez kilka tygodni i nawet spotkałem Ontrose'a. Był całkiem miłym młodzieńcem i zdaje się, że rozumiał sytuację lepiej niż Pol. Wielbił ją, oczywiście, ale w pełni zdawał sobie sprawę z tego, od jak dawna była w Vo Wacune - około sześciuset lat, jeśli moje wyliczenia są poprawne. Byłem całkowicie przekonany, że nie złoży jej żadnych nierozważnych propozycji bez względu na to, jak bardzo by tego pragnęła.

W końcu opuściłem Vo Wacune i ruszyłem z powrotem do Doliny. Miałem pewną przewagę, więc byłem całkiem pewny, że z miłości Pol nic nie wyniknie. Wzmianki o mej córce często występowały w obu Kodeksach, ale nic tam nie było o mężu, aż do wiele późniejszych czasów. Albo więc wróci jej rozsądek, albo Ontrose przeżyje swe życie, nie poprosiwszy jej o rękę. Tak czy inaczej prawdopodobnie nie wydarzy się nic kłopotliwego. Wróciłem do swych badań, ale nie minęły trzy lata, gdy Pol mnie wezwała. Zerwała mnie ze snu w środku pewnej burzowej nocy.

- Ojcze! - W jej głosie brzmiała desperacja. - Potrzebuję cię!

- O co chodzi?

- Asturowie nas zdradzili. Zawarli przymierze z Mimbratami i maszerują teraz na Vo Wacune. Pośpiesz się. Nie ma wiele czasu.

Wyskoczyłem z łóżka, ubrałem się i schwyciłem swój płaszcz podróżny. Zatrzymałem się jednak na chwilę, aby spojrzeć na pewien ustęp Kodeksu Mrińskiego. Poprzednio nie byłem pewny, co on znaczy, ale po wezwaniu Polgary wszystko stało się jasne.

Legendarne Vo Wacune było zgubione. Jedyne, co mogłem w tej sytuacji uczynić, to zabrać stamtąd Polgarę, nim wydarzy się nieuniknione.

Pospieszyłem ku zachodnim krańcom Doliny i przybrałem postać wilka. Noc była wietrzna, nie było więc sensu stroić się w piórka. Nie uleciałbym zbyt daleko, walcząc z czołem wyjącej wichury.

Dopiero dwa dni później, w połowie drogi przez Ulgołand, wiatr w końcu osłabł. Wtedy przybrałem skrzydła i mogłem poruszać się szybciej.

Dotarłem do Vo Wacune po południu następnego dnia, ale nie udałem się wprost do marmurowego miasta. Pokrzyżłem trochę nad otaczającymi je lasami i długo nie trwało, jak wypatrzyłem Asturów. Byli nie dalej jak kilka lig od bram Vo Wacune. Rano będą na miejscu i nikt ani nic ich nie powstrzyma. Zakląłem i poleciałem do miasta.

Normalnie zmieniłbym postać przed pojawieniem się między ludźmi, ale to była szczególna sytuacja. Wleciałem do ogrodu Pol i usiadłem na drzewie.

Jak się okazało, Pol była w ogrodzie. Był z nią Ontrose. Miał na sobie kolczugę, a u pasa miecz.

- Także być musi, o ukochana - mówił do niej. - Musisz wyjechać z Vo Wacune w bezpieczne miejsce. Asturowie są już niemal u bram miasta.

Wróciłem do własnej postaci i zszedłem z drzewa.

- On ma rację, Pol - powiedziałem.

Ontrose wyglądał na nieco zaskoczzonego, ale Pol była przyzwyczajona do tego rodzaju rzeczy.

- Gdzie byłeś? - zapytała z wyrzutem.

- Natknąłem się na wichurę. Pakuj się. Musimy zaraz się stąd zabierać.

- Nigdzie nie idę. Gdy już tu jesteś, odeprzemy Asturów.

- Nie, prawdę powiedziawszy, nie możemy. To zabronione. Przykro mi, Pol, ale to musi się wydarzyć i nie wolno nam się do tego mieszać.

- Czy to pewne, o Prastary? - zapytał Ontrose.

- Obawiam się, że tak, Ontrosie. Czy Polgara mówiła ci o prorocत्वach?

Ontrose posępnie skinął głową.

- Ten fragment Kodeksu Mrińskiego był bardzo tajemniczy, ale teraz nie ma wątpliwości, co oznacza. Mógłbyś porozmawiać z księciem. Jeśli się pospieszysz, to może uda wam się wyprowadzić w bezpieczne miejsce kobiety i dzieci, ale miasta za kilka dni już tu nie będzie. Widziałem nadciągających Asturów. Rzucili przeciwko wam całe swoje siły.

- Będzie ich o wiele mniej, gdy wrócą do Vo Astur - powiedział ponuro.

- Ja się stąd nie ruszam - oznajmiła z uporem Polgara.

- Jesteś w błędzie, pani - oświadczył zdecydowanie. - Dotrzymasz towarzystwa ojcu swemu i oddalisz się z tego miejsca.

- Nie! Nie zostawię cię!

- Jego Miłość, książę, powierzył mi dowodzenie obroną miasta, lady Polgaro. Odpowiadam za przygotowanie naszych sił. Nie ma tam miejsca dla ciebie, pani. Przeto też polecam ci odjechać. Jedź.

- Nie!

- Jesteś księżną Erat, lady Polgaro, toteż należysz do szlachty wacuńskich Arendów. Twa przysięga na wierność Jego Miłości, naszemu księciu, nakazuje ci posłuszeństwo. Nie przynoś ujmy swej pozycji tą upartą odmową. Przygotuj się. Winnaś odjechać w ciągu godziny.

Polgara zadarła gniewnie brodę.

- To nie było miło powiedziane, mój panie - zarzuciła mu.

- Prawda często bywa niemiła, pani. Na obojgu nas spoczywa odpowiedzialność. Ja swej nie zaniedbam. Ty nie zaniedbaj swej. A teraz odejdz.

W oczach Polgary pojawiły się łzy bezsilności. Przytuliła go czule, a potem uciekła do domu.

- Dzięki, Ontrose - powiedziałem po prostu, ściskając mu dłoń. - Sam niewiele bym tu wskórał.

- Opiekuj się nią, Prastary. Ona jest całym moim życiem.

- Będę, Ontrose, i będę pamiętał o tobie.

- To chyba najlepsze, na co można mieć nadzieję. Teraz muszę odejść i zająć się naszą obroną. Żegnaj, Prastary Belgaracie.

- Żegnaj, Ontrose.

Tak oto zabrałem swą szlochającą córkę ze skazanego na zagładę miasta. Udaliśmy się na północ, przekroczyliśmy rzekę Camaar i skierowaliśmy się przez Muros ku górskiemu przejściu do Algarii. Cały czas nie spuszczałem oczu z Polgary - bałem się nawrotu jej stanu, ale chyba niepotrzebnie. Należała przecież, jak bez skrupułów przypomniał jej Ontrose, do szlachty. Otrzymała rozkazy i niepodobna, aby nie była im posłuszna.

Nie chciała ze mną rozmawiać, ale tego należało się spodziewać. Natomiast nie spodziewałem się jej nieugiętej odmowy powrotu ze mną do Doliny. Polgara zatrzymała się przy ruinach chaty swej matki.

- Dalej nie idę - powiedziała

- Co takiego?

- Słyszałeś, ojczce. Zostaję tutaj.

- Masz pracę do wykonania, Pol.

- Wielka szkoda. Ty będziesz musiał się tym zająć. Wracaj do wieży i zagrzeb się w swych prorocत्वach, ale mnie w to nie mieszaj. Koniec z nami, ojczce. To koniec. Odejdź i nie zawracaj mi więcej głowy.

Wiedziałem, że nie było sensu z nią dyskutować. Sam to przeżyłem, więc wiedziałem, przez co przechodzi. Oczywiście musiałem ją obserwować - z pewnej odległości. Spędziła w Arendii kilkaset lat, co nie mogło pozostać bez śladu. Arendzkie damy przy byle okazji wpadają w samobójczy nastrój. Wystarczy najmniejsze rozczarowanie, aby arendzka dama zaczęła myśleć o nożach i wysokich wieżach, z których można skoczyć. Pol w końcu z tego wyjdzie, ale na razie trzeba było ją mieć na oku.

Wróciłem do Doliny i powiadomiłem bliźniaków. Wykorzystałbym i Beldina, ale wrócił do Mallorei. Przez następne sześć lat czailiśmy się na zmianę w zaroślach w pobliżu chatki Poledry. Początkowo moja nieszczęśliwa córka obozowała po prostu w ruinach, ale w końcu

zabrała się za drobne naprawy. Uznałem to za dobry znak i nieco odetchnęliśmy. Jednak nadal ją obserwowaliśmy.

W pierwszych stuleciach czwartego tysiąclecia pierwsza dynastia Borunów nadal była u władzy w Tol Honeth. Borunowie stworzyli prawdziwą służbę dyplomatyczną - głównie po to, aby siać niepokój w Arendii. Tolnedra zdecydowanie nie chciała na swej zachodniej granicy zjednoczonej Arendii. Ambasadorzy tolnedrańscy zostali również wysłani do Val Alorn i Boktoru i wkrótce rozwinął się handel. Drasnianie ponownie nawiązali luźne kontakty z Nadrakami i zaczął rozkwitać handel futrami. Z konieczności Cherekowie zostali włączeni, jako że byli jedynymi żeglarzami, którzy potrafili poradzić sobie ze zdradzieckimi prądami Przesmyku Chereka.

Isolacja Wyspy Wiatrów doprowadzała Borunów do szału. Byli przekonani, że blokada Chereków miała na celu ukrycie nieprzebranych skarbów Wyspy i rozpaczliwie pragnęli uszczknąć z nich trochę. Uznałem, że w tej sytuacji najlepiej będzie, jeśli sami przekonają się, że na Wyspie nie ma nic wartościowego. Osamotnienie Rivan już zaczynało działać mi na nerwy. Zbyt dobrze pamiętałem lekcję z Maragoru.

Udałem się więc do Val Alorn i powiedziałem, aby Cherekowie rozluźnili nieco swą blokadę. Tolnedranie na wszystko chcieli traktatów, czego rezultatem była Ugoda z Val Alorn - zdaje się z 3097 roku. Niemal natychmiast po jej zawarciu flotylla tolnedrańskich kupców pożegłowała do Rivy.

Zakładałem, że król Chereku zawiadomi Rivę o nowym porozumieniu, ale on głowę miał zaprzątniętą wojną klanów, więc zapomniał o tym. Toteż Rivanie nie spodziewali się wizyty i nie otworzyli swych bram. Tolnedrańscy kupcy próbowali postawić kramy na plaży, ale wiatr zwiewał ich namioty, a Rivanie odmawiali wyjścia poza bramy miasta.

Od stu lat dynastia Borunów stopniowo chyliła się ku upadkowi. Ostatni imperator z rodu Borunów, wyjątkowy idiota, ulegając natrętnym prośbom bogatych kupców, wysłał legiony, by sforsowały bramy miasta Rivy. Nie znam się na handlu, ale wydaje mi się, że

zapędzanie klientów mieczami do sklepu nie jest najlepszym sposobem prowadzenia interesów.

Reakcja Rivan była łatwa do przewidzenia. Otworzyli bramy miasta, ale nie wylegli na zakupy. Zmiotli z powierzchni ziemi pięć tolnedrańskich legionów i po kolei spalili wszystkie okręty w porcie.

Ran Borune XXIV wpadł we wściekłość. Przygotowywał się, aby zaatakować Wyspę Wiatrów całymi siłami imperium, ale pismo ambasadora Chereku do Tol Honeth przywiodło go do opamiętania.

To pismo należy już do klasyki, więc przytoczę je w dosłownym brzmieniu:

Wasza Wysokość

Wiedz, że Aloria nie dozwoli na zaatakowanie Rivy. Flota Chereku, której maszty wznoszą się gęsto niczym drzewa w lesie, dopadnie twej floty i legiony Tolnedry będą karmić ryby od Haka Arendii po najdalsze krańce Morza Wiatrów. Bataliony drasnańskie pomaszerują na południe, miażdżąc wszystko na swej drodze i oblegając twe miasta. Jeźdźcy Algarii pomkną przez góry, by ogniem i mieczem pustoszyć twe imperium wzdłuż i wszerz.

Wiedz, że w dniu ataku na Rivę, Alornowie wypowiedzą ci wojnę i biada tobie i twemu imperium.

To zapobiegło groźbie tolnedrańskiego ataku na północy. Prawnicy Borunów natychmiast zaczęli szukać luk w ugodzie z Val Alorn, ale znaleźli jedynie mało precyzyjną klauzulę, którą tam celowo umieściłem. Brzmiała ona: „... ale Alornia będzie bronić Rivy i strzec jej”. Cherek i Drasnia podpisały pakt pokojowy z Tolnedrą, ale Alornia nie. Zawsze byłem dumny z tego prawniczego kruczka.

Król Rivy, gdy wyjaśniłem mu całą sytuację, złagodził nieco swoje restrykcje i pozwolił kupcom zbudować wioskę na plaży. Nie przynosiła wielkiego dochodu, ale przynajmniej chroniła Tolnedran przed popadnięciem w obłąd.

Ostatni z rodu Borunów umarł bezdzietny i w Tol Honeth, jak zwykle w takich wypadkach, rozgorzała pomiędzy wielkimi rodami walka o tron. Być może na nieszczęście, główne rody sprowadzały po cichu trucizny z Nyissy i rozliczni kandydaci do imperialnego tronu i różni członkowie Ławy Doradców byli dowodem ich skuteczności.

Ostatecznie zwyciężyli Honethowie - głównie dlatego, że mieli dość pieniędzy na kupienie koniecznych głosów i zapłacenie niebotycznych cen, jakie Nyissanie liczyli sobie za trucizny. Ród Honethów okazał się jednak całkowicie nieudolny, na szczęście zostali przy władzy tylko przez trzysta lat. Potem do rządów wrócili ponownie Borunowie. Druga dynastia Borunów też krótko sprawowała władzę, ale sporo dokonała. Rozwinęli system traktów na ziemiach Tolnedry i wysłali dwadzieścia legionów „w geście dobrej woli” na tereny dzisiejszej Sendarii w celu zbudowania sieci dróg, które połączyły miasto Sendar i port Camaar z Muros, w głębi kraju, i Darine na północnym wybrzeżu.

Cherekowie nie przejmowali się tym zbytnio, gdyż dzięki temu kupcy tolnedrańscy omijali Przesmyk Chereka, przesyłając swe towary z Kotu do Darine, a potem do Camaar.

Ostatni imperator z drugiej dynastii Borunów, bezdzietny Ran Borune XII, sam wybrał swego następcę i przekazał imperialną władzę rodowi Horbitów. Ława Doradców nie dostała żadnych łapówek, a Honethowie i ród Vordue nie mieli szansy na sianie zamętu, gdyż truli się wzajemnie.

Wybór Horbitów okazał się trafną decyzją. Ran Horb I był kompetentnym władcą, ale jego syn, Ran Horb II, był prawdopodobnie największym imperatorem w historii Tolnedry. Jego osiągnięcia były oszałamiające. Położył kres otwartej wojnie w Arendii, sprzymierzając się z najsłabszą frakcją, Mimbratami. Ani ja, ani Polgara nie płakaliśmy zbytnio, gdy w 3822 roku Vo Astur zostało zniszczone, a Asturowie przepędzeni do lasów. Dobrze pamiętaliśmy, co zrobili z pięknym miastem Vo Wacune.

Ran Horb II poszedł dalej. Zbudował trakt imperialny, Wielki Trakt Zachodni, przez całą Arendię, łącząc północną Tolnedrę z portem w Camaar, i cały system dróg w Sendarii. Przy okazji, utworzył to królestwo w 3827 roku. Uznał, że dopóki on sprawuje kontrolę nad

traktami, wygodniej będzie, jeśli Sendarzy będą rządzić się sami. Doprowadził do skutku zawarcie traktatu z Cho-Dornem Starym, Wodzem Wodków Klanów Algarii i zbudował Wielki Trakt Północny, biegnący z Muros przez północno-zachodnią Algarię do grobli, która prowadziła przez moczary do Boktoru, gdzie łączył się z Północnym Szlakiem Karawan wiodącym do Gar og Nadrak.

Imperator unormował handel z Nyissą i u schyłku swego życia zawarł traktat z Murgami, który pozwolił na zbudowanie Południowego Szlaku Karawan do Rak Goska.

W Val Alorn wszystkie te działania zaczęły budzić niezadowolenie. Ran Horb II zdawał sobie sprawę z tego, że dopóki Cherekowie kontrolują morza, Tolnedra zdana jest na ich łaskę. Trakty Rana Horba pozwalały omijać Chereków. Tolnedra nie musiała już przewozić towarów morzem. Kupcy mogli transportować je lądem, nie wachając nawet morskiej wody.

Nie oznacza to jednak, że sieć dróg została ukończona za życia Rana Horba. Wypełnieniem tego zadania zajmowali się kolejni władcy z dynastii Horbitów. Jednocześnie świat stopniowo zaczynał nabierać kształtów, w jakich go znamy obecnie.

Oczywiście szlaki ułatwiały podróżowanie, ale ja jestem wdzięczny Ranowi Horbowi II za utworzenie Królestwa Sendarii. Z Kodeksu Mrińskiego i trochę z Kodeksu Darińskiego wynikało, że Sendaria będzie mi potem potrzebna.

Biorąc pod uwagę osiągnięcia dynastii Horbitów, aż dziw bierze, że przetrwała ona tylko sto pięćdziesiąt lat. Syn Rana Horba VI utonął, gdy jego ojciec był już dość stary, więc imperialny tron pozostał bez następcy.

Potem do władzy doszedł nieszczęśliwy ród Ranitów. Ranici niczego nie dokonali w ciągu dziewięćdziesięciu lat rządów, ponieważ cierpieli na dziedziczną dolegliwość. W ciągu tych wszystkich lat było siedmiu imperatorów, którzy przez większość czasu chorowali. W efekcie byli jedynie figurantami.

W 4001 roku na tron wstąpili Vorduvianie, a ponieważ Tol Vordue jest portem morskim, natychmiast przestali naprawiać sieć traktów. Nie

wiem, ile vorduviańskich statków musiały zatopić okręty wojenne Chereków, nim tamci przejrzeni na oczy.

Ja w każdym razie i tak nie bardzo dbałem o ród Vorduvian i jedynie z niesmakiem rozkładałem ręce.

Coś jednakże ciągle nie dawało mi spokoju. Po głowie chodził mi wyjątkowo niejasny fragment Kodeksu Mrińskiego. Wróciłem do wieży, wyciągnąłem swój egzemplarz i zacząłem go przeglądać. Jednym z powodów, dla których tak trudno odczytać Kodeks Mriński, jest fakt, że nie ma w nim ciągłości. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość mieszają się bez żadnej chronologii. Nie wiadomo, które ZDARZENIE nastąpi najpierw, a które potem. Skrybowie nie zadali sobie trudu ułożenia wszystkiego w spójną całość, więc gdy się czegoś szukało, trzeba było zacząć od początku i przekopać się przez cały ten niezrozumiały bełkot.

Niemal go przegapiłem. Być może stałoby się tak, gdyby nie wstręt do Vorduvian i to, że myślałem o traktach, gdy ponownie trafiłem na ten fragment.

„*Bacz - brzmiał on - gdy to, co proste jest, stanie się pokręcone, a to, co w dobrym stanie, takie być przestanie, ostrzeżeniem winno to być dla Was, Prastary i Ukochana*”. To natychmiast zwróciło moją uwagę. Trakty tolnedrańskie przestały być w dobrym stanie. W niektórych miejscach w Sendarii zamieniły się w grzędawiska i ponieważ były nieprzejezdne, ludzie porobili objazdy, a tym samym to, co było proste, zrobiło się pokręcone. Trochę to było naciągane, ale przyzwyczailem się do zawilosci, czytając Kodeks Mriński. Niecierpliwie zabrałem się za dalsze czytanie. „*Strzeż się, albowiem wąż jest w krainie i on cię upokorzy*”. Brzmiało zupełnie bezsensownie. Podszedłem ze zwojem do okna i przyjrzałem się mu w pełnym słońcu. Dostrzegłem nikły ślad świadczący o tym, że jeden ze skrybów wydrapał słowo „ona” i wstawił w to miejsce „on”. Najwyraźniej trzech skrybowie nie byli zgodni w tym względzie i ten, który napisał „ona”, został widocznie przegłosowany. Ale jeśli miał rację? Jeśli w naszej części świata mówimy o wężu rodzaju żeńskiego, to mówimy o Salmisarze.

Czytałem dalej. „*Albowiem Strażnikowi cięży starość i jad węża ostudzi jego serce i serca wszystkich jego potomków. Śpieszcie się,*

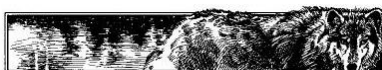
Prastary i Ukochana. Życiu ostatniego potomka z linii Strażnika grozi straszliwe niebezpieczeństwo. Uratujcie go, inaczej wszystko będzie stracone i ciemności zakrółują na zawsze”.

Wpatrywałem się w te słowa w przerażeniu.

Gorek Rozumny, król Rivy i Strażnik Klejnotu Aldura, był bardzo stary, sieć tolnedrańskich traktów rozpada się, a Salmissara nigdy nie była godna zaufania.

Zapewniam was, że choć słów tych było niewiele, tak uporczywie brzmiały mi w głowie, że pogałem na dół, przeskakując po cztery stopnie.

Bez dwóch zdań, musiałem natychmiast dostać się na Wyspę Wiatrów.





Zacząłem tworzyć w myślach obraz sokoła, nim jeszcze dobiegłem do końca schodów, a gdy tylko znalazłem się na dworze, zacząłem okrywać się piórami. Sokoły są szybsze od większości ptaków, a krzyk w mej głowie przekonywał mnie, że szybkość była tu najważniejsza. Nie lubiłem latać - nadal nie lubię - ale przez te wszystkie lata robiłem wiele rzeczy, których nie lubiłem. Robimy, co do nas należy, bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie.

Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że muszę zabrać ze sobą Polgarę. Wiedziałem, że na Wyspie Wiatrów miała do zrobienia coś bardzo ważnego. Nie wiedziałem, co to było, ale jednego byłem pewny: nastąpi prawdziwa katastrofa, jeśli jej ze mną nie będzie.



Myślę, że wybiorę się do Rivy i porozmawiam o tym z Garionem. Zaczynam formować pewną teorię i chciałbym z nim o tym pomówić. Ten osobliwy głos spędził z nim o wiele więcej czasu niż ze mną, więc zna wszystkie jego sztuczki. Czasami miewałem uczucie, że ktoś mną manipuluje. Kroczyłem przez życie jakby w półśnie, od wydarzenia do wydarzenia - i nie zawsze musiało to być coś niezwykłego. Prawdę powiedziawszy, zwykle nie było. Najczęściej jest to coś tak zwykłego, że nikt nawet tego nie zauważa. Ale gdy to się już wydarzy, w mojej głowie coś zaskakuje i nagle zabieram się do działania, nim jeszcze zdam sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że pewne rzeczy zostały zaplanowane w mej głowie w trakcie wyprawy z Cherekiem i jego synami do Cthol Mishrak. Nie jestem jednak tego świadom, dopóki nie wydarzy się to coś, a wówczas

natychmiast wiem, co powinienem zrobić. Wiem, odbiegam od tematu. I co z tego?

Dotarcie do chatki Poledry nie zabrało mi wiele czasu. Była wczesna wiosna, ale zrobiło się już na tyle ciepło, że Polgara kopala swój warzywnik. Pol ma bardzo jasną cerę i jej skóra łatwo ulega słonecznemu poparzeniu. Ubrała się więc w śmieszny słomkowy kapelusz, aby osłonić nos przed słońcem. Pewnie nie powinienem tego mówić, ale wyglądała w nim trochę jak grzyb.

Runąłem w dół, rozpostarłem pazury i zacząłem zmieniać postać, nim jeszcze dotknąłem ziemi.

- Potrzebuję cię, Pol - powiedziałem.

- Ja też cię kiedyś potrzebowałam, pamiętasz? - odparła chłodno. - Nie wydawałeś się tym zbytnio zainteresowany. Teraz mam okazję odplacić ci pięknym za nadobne. Odejdź, ojczy.

- Nie mamy na to czasu, Polgaro. Potem możesz się mądrzyć. Teraz musimy lecieć na Wyspę Wiatrów. Gorek jest w niebezpieczeństwie.

- Wielu ludziom grozi niebezpieczeństwo, ojczy. To zdarza się cały czas. - Przerwała. - Kim jest Gorek?

- Czyś ty wyłączyła mózg na te wszystkie stulecia? Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje na świecie?

- Mój świat skończył się, gdy pozwoliłeś Asturom zniszczyć Vo Wacune, starczy.

- Nie, wcale się nie skończył. Nadal jesteś tym, kim byłeś, i polecisz ze mną na Wyspę Wiatrów, nawet gdybym miał zanieść cię tam w szponach.

- Przy twoim marnym lataniu? Nie bądź śmieszny. Kim jest ten Gorek, o którego się tak martwisz?

- To Rivański Król, Pol. Strażnik Klejnotu.

- Cherekowie nadal patrolują Morze Wiatrów. Ochronią go.

- Nie jesteś na bieżąco, Pol. Blokada Chereków nie jest już szczelna.

- Co? Czyś ty rozum postradał? Czemu na to pozwoliłeś?

- To długa historia, a my nie mamy teraz na nią czasu. Nie zawracaj sobie głowy sową, Pol. Przybierz postać sokoła.

- Nie uczynię tego bez dobrego powodu.

Powstrzymałem się przed zwymyśleniem jej.

- Właśnie zrozumiałem fragment w Kodeksie Mrińskim. Salmisara ma zamiar zrobić zamach na życie Rivańskiego Króla i całej jego rodziny. Jeśli jej się to uda, Torak wygra.

- Salmisara? Czemu od razu tego nie powiedziałeś?

- Bo mi nie pozwalałaś.

- Ruszajmy, ojcze!

- Zaczekaj chwilę. Muszę ostrzec bliźniaków. - *Skupiłem się i wysłałem myśl.* - Bracia! - zawołałem.

- *Belgarath?* - odezwał się nieco zaskoczony Beltira. - *O co chodzi?*

- *Będzie zamach na życie Rivańskiego Króla. Wyruszamy tam z Pol niezwłocznie. Będziemy sokołami, gdybyście chcieli się z nami skontaktować. Zawiadomcie Beldina. Powiedzcie, żeby natychmiast wracał do domu.*

- *W tej chwili, Belgaracie. Pośpieszcie się!*

- W porządku, Pol - powiedziałem. - Ruszajmy do Rivy.

Przybraliśmy postacię tych zapamiętałych ptasich łowców, wzbiliśmy się do góry, a potem puściliśmy się na północny zachód przez Ulgołand. Kilka lig na wschód od Prolgu natknęliśmy się na harpie. Miałem co do tego pewne podejrzenia. Kilkakrotnie podróżowałem po Ulgołandzie, ale po raz pierwszy spotkałem harpie. Nie byłbym zaskoczony, gdyby ktoś umieścił je na naszej drodze, aby nas opóźnić. Jednakże harpie nie latały za dobrze - a przynajmniej nie na tyle dobrze, aby złapać parę lecących jak błyskawice sokołów. Po prostu wpadliśmy z Pol pomiędzy nie z całym rozpędem. Zostały za nami, trzepocząc bezradnie skrzydłami.

Nie warto by nawet o tym zdarzeniu wspominać, gdyby nie dowodziło, że ktoś bardzo chciał nas opóźnić. Po tym doświadczeniu zacząłem wypatrywać smoczycy. Ona mogłaby stanowić prawdziwy problem.

Jednak nie zobaczyliśmy jej i bez dalszych przeszkód udało nam się dotrzeć do zachodniej granicy Ulgolandu.

Zaczynało się ściemniać, ale my lecieliśmy dalej. Byłem głodny i zmęczony, ale naglił mnie ów głos w głowie. Pol latała lepiej ode mnie, ale jestem przekonany, że nasze przerażające tempo wyczerpywało ją tak samo jak mnie. Pomimo to lecieliśmy dalej.

Niebo za nami zaczynało blednąć, zwiastując nadejście świtu, gdy przelecieliśmy nad Camaar i wlecieliśmy nad ciemne wody Morza Wiatrów.

Było już prawie południe, gdy dostrzegłem na zachodzie przed nami Wyspę Wiatrów. Runęliśmy w dół, a port Rivy zdawał się pędzić ku nam z przerażającą szybkością.

Dotarcie tam niemal przypląciliśmy życiem, ale pomimo to przybyliśmy o dziesięć minut za późno.

Leciliśmy właśnie nad wzburzonymi wodami zatoki, gdy odkryłem dlaczego obecność Polgary była absolutnie konieczna. Nie zauważyłem dziecka usiłującego utrzymać się na zimnej wodzie, ale Pol je dostrzegła. Byliśmy pewnie ze trzydzieści stóp nad wodą. Nagle Pol zatrzepotała skrzydłami i wróciła do własnej postaci. Potem wyciągnęła ręce nad głowę i rzuciła się do wody. Widywałem wielu młodzieńców nurkujących w stawach, rzekach, a nawet morzu - zwykle robili to, by wyrzucić wrażenie na dziewczętach - ale nigdy jeszcze nie widziałem takiego skoku. Weszła w toń niczym nóż i zdawało mi się, że była pod nią całe wieki. Na szczęście wody portu są bardzo głębokie. Nie radzę wam tak skakać, jeśli nie jesteście pewni, że macie pod sobą głębinę.

W końcu wyskoczyła na powierzchnię nie dalej niż dziesięć kroków od walczącego z falami chłopca i po kilku ruchach była przy nim.

- *Tak!* - wykrzyknął milczący do tej pory intruz w mej głowie.

- Och, zamknij się! - powiedziałem.

W handlowej części plaży panował kompletny chaos. Wystarczył jeden rzut oka, abym wiedział, że Gorek, jego syn i inni członkowie rodziny zostali uśmierceni. Oczywiście Rivanie zajęci byli wyrzynaniem grupki nyissańskich kupców. Rzuciłem się w tamtą stronę, zatrzepotałem skrzydłami i wróciłem do własnej postaci.

- Przestańcie! - zagrzmiałem na mszczących się Rivan.

- Zabili naszego króla! - wrzasnął do mnie krzepki mężczyzna. Po twarzy spływały mu łzy i najwyraźniej miał atak hysterii.

- Nie chcesz wiedzieć dlaczego? - krzyknąłem, ale natychmiast spostrzegłem, że nie było sensu z nim rozmawiać - ani z innymi, którzy byli tam, by strzec króla. Byłem wyczerpany, ale jeszcze zostało mi trochę sił. Zebrałem Wolę i otoczyłem dwóch ostatnich Nyissan nieprzenikalną osłoną. Potem, po krótkim namyśle, uspiłem ich. Dobrze znałem Salmissarę. Wiedziałem, że zamachowcy mieli zapewne rozkaz zabić się po wypełnieniu misji. Byli uzbrojeni w zatrute noże i bez wątpienia w każdej kieszeni mieli małe fiołki z trucizną.

- *Polgaro!* - wysłałem swą myśl. - *Czy chłopcu nic nie jest?*

- *Nie, ojcie. Mam go.*

- *Trzymaj się z dala. Niech nikt cię nie zobaczy!*

- *Dobrze.*

Potem do osiedla kupców przybiegł Brand. Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu strażnik Rivy zawsze przyjmował imię Brand. Nim zdążyłem o to zapytać, pochodzenie tego zwyczaju poszło w zapomnienie. W Arendii, gdzie zamki są co krok, strażnik Rivy zwany byłby kasztelanem. W niektórych królestwach Zachodu - a nawet w niektórych na wpół autonomicznych królestwach Mallorei - zwano go marszałkiem dworu. Obowiązki miał podobne, bez względu na to, jak go zwano. Był odpowiedzialny za administrowanie królestwem. Jak większość ludzi na tym stanowisku, był solidnym, kompetentnym człowiekiem o głębokim poczuciu lojalności. Nadal jednak był Alornem i wieść o zamordowaniu Goreka zupełnie wytrąciła go z równowagi. Z oczu tryskały mu łzy i ryczał z wściekłości. Z wyciągniętym mieczem natarł na moją niewidzialną barierę i zaczął rąbać ją z całej siły. Odczekałem chwilę, po czym zabrałem mu miecz.



Tak, potrafię to zrobić, jeśli muszę. Jeśli to konieczne, potrafię być najsilniejszym człowiekiem na świecie.



- Gorek nie żyje, Belgaracie! - szlochał.

- Ludzie umierają. To cały czas się zdarza - powiedziałem obojętnym, beznamiętnym głosem.

Brand uniósł głowę i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Weź się w garść, Brandzie - powiedziałem. - Mam wiele do zrobienia. Po pierwsze, rozkaż swym żołnierzom, aby nie zabijali tych dwóch morderców. Potrzebuję kilku odpowiedzi, a nie wydobędę ich z trupów.

- Ale...

- To jedynie najemnicy. Chcę wiedzieć, kto ich najął. - Oczywiście miałem już pewne domysły, ale pragnąłem potwierdzenia. Głównie jednak chciałem, aby Brand się opamiętał.

Strażnik Rivy wziął głęboki oddech.

- Przepraszam, Belgaracie - powiedział. - Zdaje się, że straciłem głowę.

- To już lepiej. Powiedz ludziom, aby odsunęli się od tych dwóch. Potem sprowadź tu kogoś, komu bezgranicznie ufasz. Chcę, aby te dwa gady umieszczono w bezpiecznym miejscu i strzeżono ich bardzo pilnie. Gdy tylko ich obudzę, będą próbowali się zabić. Rozbierz ich lepiej do naga. Jestem pewny, że mają gdzieś ukrytą truciznę.

Brand wyprostował się, a jego oczy przybrały kamienny wyraz. Odwrócił się.

- Kapitanie Vant! - powiedział ostro do stojącego w pobliżu oficera. - Chodź tu! - Potem wydał zapłakanemu oficerowi rozkazy.


Vant zasalutował i zebrał pluton ludzi. Potem ja przemówiłem krótko do żołnierzy. Musiałem wyrzucić na nich wrazenie, ponieważ zrobili, jak im powiedziano.

- Dobrze, Brandzie - powiedziałem potem. - Przejdźmy się trochę po plaży. Nie chcę, aby ktokolwiek słyszał, co mam ci do powiedzenia.


Skinął głową i odeszliśmy na południe. Plaża na Wyspie jest kamienista i fale rozbijają się na niej z hałasem. Zatrzymałem się na skraju wody, ćwierć mili od osady.

- Jak nazywa się najmłodszy wnuk Goreka? - zapytałem.

- Książę Geran - odparł.



*Jestem pewny, że większość z was rozpoznaje to imię.
Razem z Pol staraliśmy się przez całe stulecia, aby nie
zaginięło.*



- Dobrze - rzekłem. - Weź się teraz w garść. Nie chcę, byś zaczął skakać z radości. Ludzie na nas patrzą. Książę Geran żyje.

- Dzięki Bogu!

- Prawdę powiedziawszy, dzięki mej córce. To ona go uratowała. To bardzo dzielny chłopiec. Umknął zamachowcom, rzucając się do wody. Nie pływał najlepiej, ale przynajmniej udało mu się uciec.

- Gdzie on jest?

- Z Polgarą.

- Poślę żołnierzy, aby eskortowali go z powrotem do Cytadeli.

- Nie. Nikt nie może się dowiedzieć, że on żyje. Zabierzemy go i ukryjemy gdzieś, a ty dasz mi słowo, że nigdy o tym nikomu nie wspomnisz.

- Belgaracie! Rivański Król jest Strażnikiem Klejnotu Aldura! Musi tu być.

- Nie, nie musi. Każdy na świecie wie, że Klejnot tu jest. Dlatego musimy ich rozdzielić.

- Dopóki nie dorośnie?

- Być może nieco dłużej. Jednakże nadejdzie czas, gdy Rivański Król powróci i wtedy zacznie się zabawa. Następny Rivański Król, który zasiądzie na tym tronie, będzie oczekiwanym Dzieckiem Światła.

- Zabójcą Boga?

- Miejmy nadzieję.

- Dokąd masz zamiar zabrać księcia Gerana?

- Nie musisz tego wiedzieć, Brandzie. Będzie bezpieczny. To ci musi wystarczyć. - Spojrzałem na mroczne niebo. - Ile jeszcze do zmroku?

- Kilka godzin.

Zakląłem.

- O co chodzi?

- Moja córka jest z waszym królem w zatoce, a woda jest bardzo zimna. Przepraszam na chwilę. - Ponownie wysłałem swą myśl. - *Polgaro, gdzie jesteś?*

- *Jesteśmy na końcu nabrzeża, ojcze. Czy można już wyjść?*

- *Nie. Zostań tam, i nie przebywaj na widoku.*

- *Chłopcu coraz zimniej, ojcze.*

- *Ogrzej wodę wokół siebie, Pol. Wiesz, jak to zrobić. Od stuleci grzałaś sobie wodę w wannie.*

- *Co zamierzasz, stary wilku?*

- *Ukryć rivańskiego Króla. Przyzwyczaj się do tego, Pol, ponieważ to potrwa bardzo długo.* - Potem cofnąłem swe myśli. - W porządku, Brandzie - powiedziałem głośno. - Wracajmy do Cytadeli. Chcę uciąć sobie długą pogawędkę z tymi Nyissanami.

Poszliśmy do bram miasta.

- Kto będzie strzegł Klejnotu, jeśli zabierzesz naszego króla, Belgaracie? - zapytał Brand, gdy ruszyliśmy po schodach.

- Ty.

- Ja?

- Oczywiście. Ty również zastąpisz króla pod jego nieobecność i przekazesz te obowiązki swemu następcy. Od teraz strażnik Rivy będzie jedynym żyjącym człowiekiem, który wie o naszych poczynaniach... w każdym razie, jedynym z normalnych ludzi. Mnie, Pol i mych braci trudno nazwać normalnymi ludźmi. Liczymy na ciebie, Brandzie. Nie zawieź nas.

Brand przełknął z trudem ślinę.

- Masz na to moje słowo, Prastary.

- Zacny z ciebie człowiek.

Dwaj nyissańscy „kupcy”, którym udało się wywabić Goreka i jego rodzinę z Cytadeli wieścią o darach od królowej Salmisary, nadal byli uśpieni. Spora grupka rivańskich wojowników z ponurymi minami już ostrzyła sobie noże.

- Ja to zrobię - oznajmiłem. Powiedziałem to bardzo zdecydowanym tonem, aby uciąć wszelkie protesty.

Muszę przyznać, że nie jestem tak dobry w przesłuchiowaniu ludzi jak moja córka. Jeśli zainteresowani jesteście jej metodami, to porozmawiajcie z królem Anhegiem. Był obecny, gdy badała jarla Jarviksholmu. Zdaje się, że wystarczyło, by podziałała na wyobraźnię przepytanych ludzi - aby zobaczyli coś tak okropnego, że natychmiast zaczęli mówić. Ja stosowałem trochę bardziej bezpośrednie metody. Potrafiłem skutecznie zadawać ból. Jedyna różnica między moim podejściem i waszymi wymyślnymi torturami polega na tym, że ja potrafię zadawać ludziom ból, nie raniąc ich. Potrafiłem przez tydzień trzymać człowieka w agonii, nie zabijając go.

W tym wypadku nie zajęło mi to tygodnia. Gdy oczyściłem ich krew z efektów działania rozlicznych narkotyków, stali się bardzo układni. Najwyraźniej ustanie działania ulubionego narkotyku jest bardzo niemiłe w skutkach. Dorzuciłem do tego jeszcze kilka nieprzyjemnych odczuć i zaczęli mnie błagać, bym pozwolił im mówić.

- To królowa! - wybełkotał jeden z nich. - Zrobiliśmy to na rozkaz królowej!

- To nie był jej pomysł! - Przekrzykiwał go drugi z jeńców. - Obcy przybył do Stiss Tor i rozmawiał z Wieczną Salmissarą. Zaraz potem wezwała nas do sali tronowej.

- Czy wiecie, kim był ten obcy? - zapytałem.

- N-nie! - wyjąkał. - Proszę nie zadawaj mi więcej bólu!

- Odpocznij - powiedziałem. - Czy chcecie mi powiedzieć o czymś jeszcze?

- Jeden z książąt nam uciekł - wybełkotał pierwszy. - Rzucił się do wody i odpłynął.

- I utopił się? - zapytał jeden z rivańskich strażników, nim zdążyłem go powstrzymać.

- Nie. Uratował go ptak.

- Ptak?

- Nie przywiązywałbym do tego większej wagi - powiedziałem szybko. - Nyissanie miewają zwidy.

Rivański żołnierz spojrział na mnie podejrzliwie.

- Byłeś kiedyś pijany? - zapytałem.

- Raz, może dwa.


- Nyissanie potrafią to zrobić bez użycia piwa.

- Słyszałem o tym - przyznał.


- Teraz to widziałeś. Ci dwaj po obudzeniu byli nadal tak pijani, że pewnie widzieli niebieskie owce i fioletowe kozy. - Spojrzałem na Branda. - Potrzeba nam jeszcze czegoś?

- Mnie nie. A tobie?

- Nie, zdaje się, że to wystarczy. - Machnąłem ręką i ponownie uśpiłem obu morderców. Nie chciałem, aby znowu jeden z nich zaczął opowiadać o ptakach.



Pewne wersje „Księgi Alornów” wspominają o tej historii z ptakiem. Teraz wiecie, skąd się wzięła. Naśmiewałem się z tego pomysłu przy każdej okazji, ale ciągle niektórzy Rivanie w to wierzyli.



- Co mamy zrobić z tymi dwoma? - zapytał ten od zadawania szybkich pytań.

Wzruszyłem ramionami.

- Co chcecie. Ja już wiem to, co chciałem. Idziesz, Brandzie?

Wyszliśmy z celi i udaliśmy się wprost do prywatnych pokoi Branda.

- Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza wojnę, Belgaracie? - zapytał.

- Zdaje się, że tak - przyznałem. - Podejrzane by było, gdybyśmy nie sprawili krwawej łaźni Nyissanom. Lepiej nie wzbudzać podejrzeń nietypowym zachowaniem. Nie chcę, aby ludzie zaczęli snuć szalone domysły.

- Zawiadomię Val Alorn, Boktor i Algarów.

- Nie trudź się. Ja się tym zajmę. A teraz chodźmy wyłowić moją córkę i twego króla z zatoki. Niech na koniec nabrzeża podpłygnie okręt.

Ma tam przycumować, a marynarze niech wrócą na ląd. Nie chcę nikogo na pokładzie. Potem wybierzesz się ze mną na małą przejażdżkę.

- Belgaracie! Nie mogę teraz odejść!

- Będziesz musiał. Nie umiem żeglować. Musimy przewieźć Polgarę i księcia Gerana na wybrzeże Sendarii, a nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Potrafię żeglować, Belgaracie, ale będę potrzebował załogi.

- Już masz. Ja i Pol zajmiemy się żaglami. Rzucimy kotwicę kilka mil na północ od Camaar. Pol zabierze księcia w ukrycie, ja udam się do Val Alorn, a ty do Camaar, zabierzesz załogę z jakiegoś rivańskiego okrętu i wrócisz tu możliwie jak najszybciej, aby rozpocząć mobilizację. Chodźmy do portu.

Gdy okręt został wyprowadzony z portu, a marynarze wrócili nabrzeżem do miasta, zacząłem ostentacyjnie wpatrywać się w morze.

- Pol - odezwałem się cicho - jesteś tam jeszcze?

- *Gdzie miałabym być, ty stary durniu?*

Puściłem to mimo uszu.

- Zostań tam - powiedziałem. - Brand popłynie do ciebie łódką.

- *Czemu to tyle trwało?*

- Musieliśmy poczekać, aż się ściemni. Nie chciałem, aby ktokolwiek widział, co robimy.

- *O czym mówiłeś wcześniej - o ukryciu Rivańskiego Króla?*

- Nie mamy wyboru, Pol. Wyspa Wiatrów nie jest bezpieczna dla chłopca. Musimy zabrać go z dala od Klejnotu. Torak wie, gdzie on jest. Jeśli chłopiec będzie w pobliżu, mordercy będą ściągać tłumnie.

- *Myślałam, że to Salmisara nasłala morderców.*

- Ona, ale ktoś ją do tego namówił.

- Kto?

- Nie jestem pewny. Zapytam ją przy najbliższej okazji.

- *W tych warunkach możesz mieć kłopoty z dostaniem się do Sthiss Tor.*

- Raczej wątpię, Pol - odparłem ponuro. - Zabiorę z sobą paru Alornów.

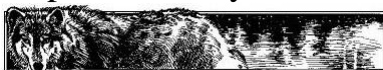
- *Paru?*

- Chereków, Rivan, Drasnian i Algarów. Zabiorę z sobą całą Alorię, Pol. Nie sądzę, abym miał jakieś kłopoty z dostaniem się do Sthiss Tor.

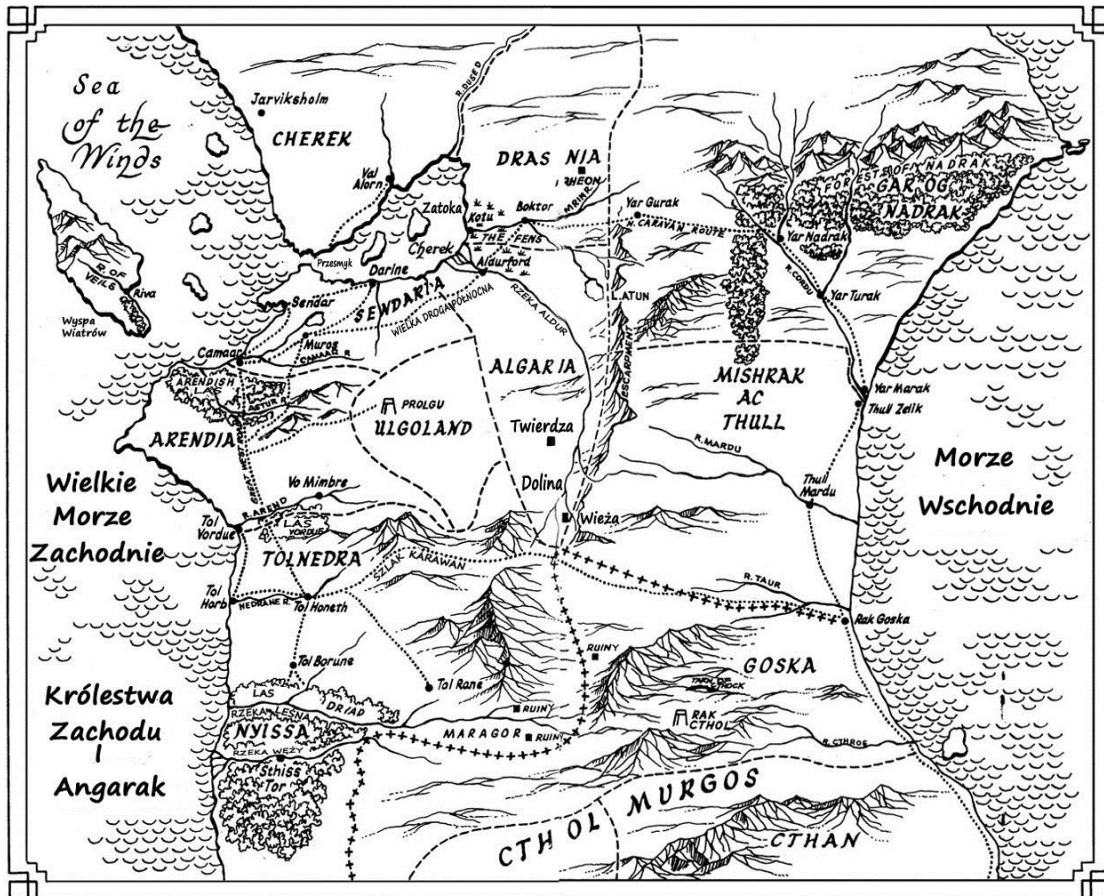
- Obejrzałem się, po czym ponownie spojrzałem na morze. - Płynie Brand z łódką. Zabierzemy was na pokład statku i popłyniemy.

- *Popłyniemy? Dokąd?*

- Do Sendarii, Pol. Tam postanowimy, co robić.



Część piąta - Tajemnica.





Choć zamordowanie Goreka i niemal całej jego rodziny było z góry przesądzone i konieczne, nadal dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Może gdybym był bardziej czujny, to godzinę czy choćby pół godziny wcześniej właściwie odczytałbym ten fragment Kodeksu Mrińskiego i dotarlibyśmy z Pol do Rivy na czas. Może gdyby Pol nie droczyła się ze mną tak długo...

Może, może, może. Gdy czasami spoglądam wstecz na swe życie, widzę jedynie długi sznur żalonych „może”. Jedno wszakże może zdecydowanie się w tym wyróżnia, pozwala sądzić, że emocjonalnie nie jestem przygotowany do stawienia czoła przeznaczeniu. Budzi we mnie poczucie bezsilności i nie podoba mi się to. Dręczyła mnie myśl, że powinienem coś zrobić, zmienić rezultat. Głęb kapuściany może powiedzieć: „Co będzie to będzie”. Ja powinienem być trochę bardziej zaradny.

No cóż...



Dotarcie do wybrzeży Sendarii zajęło nam jak zwykle dwa dni. Brand szeroko otworzył oczy ze zdumienia, gdy po raz pierwszy postawiłem żagle, nie wstając nawet z miejsca. To typowa reakcja. Ludzie świadomi są istnienia czarów, ale na ich widok baranieją. Nie wiem, czego on się spodziewał. Powiedziałem mu, co prawda, że Polgara pomoże mi przy żaglach, ale zdawał chyba sobie sprawę z sytuacji. Książę Geran miał zaledwie sześć lat i dopiero co wymordowano mu całą rodzinę na jego oczach. Potrzebował Pol dużo bardziej niż ja. Powiedziałem tak Brandowi tylko dlatego, by uciąć nudną dyskusję na temat możliwego i niemożliwego.

Czy kiedykolwiek mieliście uczucie, że to, co się właśnie dzieje, zdarzyło się już przedtem? Po prostu tak jest, to rzeczywiście prawda. Zakłócenie Celu wszechświata zablokowało wszystko w jednym punkcie, czas i wydarzenia po prostu maszerują w miejscu. To może wyjaśniać owe „powtórzenia”, o których rozmawialiśmy z Garionem. Ja jednak miałem nie tylko uczucie, że to już się wydarzyło, ale także że wydarzy się ponownie. Uczucie to było szczególnie mocne, gdy zbliżaliśmy się do wybrzeży Sendarii.

Był wietrzny, letni poranek i chmury bawiły się w chowanego ze słońcem. Polgara i młody książę wyszli na pokład. Nie było szczególnie ciepło. Pol opiekuńczym gestem przyciągnęła chłopca do siebie i otuliła swym niebieskim płaszczem. W tym momencie słońce wychynęło na chwilę zza chmur. Ten obraz zastygł w mej pamięci. Nadal mogę go przywołać z absolutną wiernością - choć nie muszę tego robić. W ciągu minionych trzynastu stuleci wielokrotnie widywałem, jak Polgara, z wyrazem nieokreślonego bólu w oczach, tuliła do siebie opiekuńczo kolejnych jasnowłosych chłopców. Chronienie ich nie było jedynym powodem, dla którego przyszła na świat, ale z pewnością jednym z najważniejszych.

Zarzuciliśmy kotwicę w zacisznej zatoczce, około pięciu mil na północ od Camaara, i przeprawiliśmy się na brzeg w szalupie okrętowej.

- Camaara jest tam - powiedziałem do Branda, wskazując na południe.

- Tak, Prastary, wiem. - Brand był na tyle dobrze wychowany, by nie obrażać się, gdy ktoś zwracał mu uwagę na rzeczy oczywiste.

- Zbierz załogę i wracaj do Rivy - poinstruowałem go. - Ja udam się do Val Alorn i opowiem Valcorowi, co się stało. Przypuszczam, że za parę tygodni przybędzie ze swoją flotą po ciebie i twoją armię. Omówię to z nim po przybyciu do Val Alorn. Potem ruszę rozmówić się z Drasanami i Algarami. Myślę, że dobrze by było, aby poszli lądem, podczas gdy ty i Valcor pożeglujecie na południe. Chcę zaatakować Nyissę z dwóch stron. Prawdopodobnie dotrzemy tam wszyscy w środku lata.

- Dobry czas na wojnę - zauważył ponuro.

- Nie, Brandzie. Nie ma dobrego czasu na wojnę. Ta jednak jest konieczna. Trzeba przekonać Salmisarę, aby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

- Podchodzisz do tego bardzo spokojnie. - Zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Pozory mylą. Na gniew będę miał czas potem. Teraz muszę zaplanować kampanię.

- Dołączysz do nas z Valcorem?

- Jeszcze tego nie zdecydowałem. W każdym razie spotkamy się w Sthiss Tor.

- A zatem do zobaczenia. - Brand odwrócił się i przykląkł przed Geranem. - Myślę, że nie zobaczymy się więcej, wasza wysokość - powiedział ze smutkiem. - Żegnaj.

Chłopiec miał oczy czerwone od płaczu, ale wyprostował się i spojrzał swemu strażnikowi prosto w twarz.

- Żegnaj, Brandzie - powiedział. - Wiem, że mogę polegać na tobie. Zaopiekujesz się moim ludem i będziesz strzegł Klejnotu. - Z tego dzielnego chłopca byłby dobry król, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Brand wstał, zasalutował i odszedł plażą.

- Wracasz do chaty swej matki? - zapytał Pol.

- Nie sądzę, ojczu. Zedar wie, gdzie to jest, i z pewnością powiedział Torakowi. Nie chcę niespodziewanych gości. Mam nadal swą posiadłość w Erat. Zatrzymam się w niej, dopóki nie wrócisz z Nyissy.

- Dawno tam nie byłaś, Pol - zaprotestowałem. - Dom pewnie dawno się już rozpadł.

- Nie, ojczu. Zadbaliśmy o to.

- Sendaria jest teraz innym krajem, Pol, a Sendarowie nawet nie pamiętają wacuńskich Arendów. Porzucony dom wprost zaprasza, by się do niego wprowadzić.

Pokręciła głową.

- Sendarowie nawet o nim nie wiedzą. Moje róże o to zadbały.

- Nie rozumiem.

- Nie dasz wiary, jak różane krzewy potrafią się rozrosnąć, jeśli je trochę do tego zachęcić, a ja wokół domu nasadziłam wiele róż. Zaufaj mi, ojcze. Dom nadal tam jest, ale nikt go od czasu upadku Vo Wacune nie widział. Będę tam z chłopcem bezpieczna.

- Być może, w każdym razie jakiś czas. Wymyślimy coś, gdy rozprawię się już z Salmissarą.

- Po co go przenosić, skoro tam jest bezpiecznie?

- Ponieważ trzeba zadbać o ciągłość linii, Pol. A to znaczy, że powinien się ożenić i mieć syna. Trochę trudno byłoby nakłonić dziewczynę, aby przedarła się do niego przez gęstwinę różanych krzewów.

- Wyruszasz już, dziadku? - zapytał Geran. Jego twarzyczka miała bardzo poważny wyraz. Wszyscy ci mali chłopcy tak mnie nazywali. Zdaje się, że mają to już we krwi.

- Tak, Geranie - odparłem. - Będziesz bezpieczny z cicią Pol. Ja mam coś do załatwienia.

- Przypuszczam, że nie chciałbyś z tym trochę poczekać, prawda?

- Co ci chodzi po głowie?

- Chciałbym wyruszyć razem z tobą, ale jestem jeszcze za mały. Gdybyś mógł zaczekać kilka lat, to byłbym wystarczająco duży, aby własnoręcznie zabić Salmissarę.

Był prawdziwym Alornem.

- Nie, Geranie. Lepiej sam się tym zajmę w twoim imieniu. Salmissara mogłaby umrzeć śmiercią naturalną, nim byś dorósł, a tego chybabyśmy nie chcieli?

Chłopiec westchnął.

- Nie, chyba nie - przyznał niechętnie. - Ale zadasz jej cios ode mnie, dziadku?

- Masz na to moje słowo, chłopcze.

- Tylko mocny - dodał zapalczywie.


- Mężczyźni! - mruknęła Polgara.

- Będę z tobą w kontakcie, Pol - obiecałem. - A teraz zmykajcie z tej plaży. Tu może kręcić się więcej Nyissan.


Tak oto Polgara poprowadziła zasmuconego małego księcia w kierunku Medalii i Erat. Ja zaś ponownie zmieniłem postać i pofrunąłem na północ, ku Val Alorn.

Od stu siedemdziesięciu pięciu lat, odkąd Ran Horb II utworzył królestwo Sendarii i był hodowca rzepey, imieniem Fundor, został wyniesiony na tron, Sendarowie byli bardzo zajęci - głównie wyrębem. Nie pochwalałem tego. Zabijanie czegoś, co żyło od tysięcy lat, tylko po to, aby hodować rzepę, wydawało mi się trochę niemoralne. Sendarowie jednakże mieli we krwi zamiłowanie do porządku i wprost uwielbiali proste linie. Jeśli budowali trakt i na drodze stanęła im góra, to nigdy nie przyszłoby im do głowy obejść ją. Po prostu przebijali tunel. Tolnedranie zachowują się podobnie. To chyba całkiem zrozumiałe. Sendarowie są osobliwą mieszaniną wszystkich ras, więc powinni mieć w swej naturze również kilka cech tolnedrańskich.

Nie zrozumcie mnie źle. Lubię Sendarów. Czasami są trochę nudni, ale myślę, że to najprzyzwoitsi i najwrażliwsi ludzie na świecie. Mieszane pochodzenie zdaje się chronić ich przed obsesjami, które skazyły inne rasy.



O czym ja mówię? Naprawdę nie powinniście pozwalać mi na takie dygresje. Nigdy nie wyjdziemy poza nie, jeśli nie będę ściśle trzymał się tematu.



Królestwo Sendarii, jeśli patrzeć na nie z góry, przypomina obrus w kratkę. Przeleciałem nad stołecznym miastem Sendar i poleciałem w kierunku jeziora Seline. Potem były góry i w końcu Sendaria urywała się nagle na Przesmyku Chereku.

Gdy przelatywałem nad przesmykiem przez zatokę Cherek, przetaczała się fala przyływu i Wielki Maelstrom wirował radośnie, usiłując poderwać z dna głazy. Niewiele trzeba, by uszczęśliwić prąd.

Potem poleciałem wzdłuż wschodniego wybrzeża półwyspu, minąłem Eldrigshaven i Trelheim, by w końcu dotrzeć do Val Alorn.

Val Alorn znajdowało się tam już od bardzo dawna. Zdaje mi się, że w tamtej okolicy była wioska, jeszcze nim Torak rozłupał świat,

w wyniku czego powstała zatoka Cherek. Cherekowie postanowili zrobić z niej prawdziwe miasto, gdy podzieliłem Alorię. Cherek musiał czymś zająć swój umysł, by nie myśleć o tym, że pozbawiłem go większości królestwa. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, to zawsze uważałem Val Alorn za trochę ponure miejsce. Niebo nad półwyspem Cherek jest niemal zawsze pochmurne i szare. Czy musieli budować miasto z równie szarego kamienia?

Wylądowałem na południe od miasta i obszedłem je, by dostać się do głównej bramy, wychodzącej na port. Potem powędrowałem wąskimi ulicami, na których nadal w ocienionych miejscach leżały zwały brudnego śniegu. W końcu dotarłem do pałacu i zostałem wpuszczony. Króla Valcora znalazłem w wielkiej sali tronowej na libacji ze swymi dworzanami. Przez większość czasu sala tronowa królestwa Sendarii przypominała piwiarnię. Na szczęście przybyłem około południa i Valcor jeszcze nie zdążył się spać do nieprzytomności. Zachowywał się hałaśliwie, ale to nie było niczym nadzwyczajnym. Cherekowie, pijani czy trzeźwi, zawsze byli hałaśliwi.

- O, Belgarath! - zawołał do mnie z tronu - chodź, przyłącz się do nas!

Valcor był krzepkim, ciemnowłosym mężczyzną z krzaczastą brodą. Podobnie jak u wielu nadmiernie umięśnionych mężczyzn, których znałem, mięśnie zmieniają się w tłuszcz, gdy dopadnie go wiek średni. Nie był w zasadzie gruby, ale wyraźnie się o to starał. Mimo że był królem, miał na sobie poplamiony piwem, wieśniaczy chałat.

Minąłem palenisko płonące na środku sali i podszedłem do tronu.

- Wasza wysokość - powitałem go, zachowując pozory. - Musimy porozmawiać.

- Kiedy tylko zechcesz, Belgaracie. Przysuń sobie stołek i poczęstuj się piwem.

- Na osobności, Valcorze.

- Nie mam żadnych tajemnic przed moimi jarłami.

- Za chwilę będziesz miał. Dźwignij swój tyłek, Valcorze, i chodźmy tam, gdzie będziemy mogli pogadać.

Król wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Mówisz poważnie?

- Chodzi o wojnę. - Starannie wybrałem słowo. To jedno z nielicznych słów, które potrafią przyciągnąć uwagę podpitego Alorna.

- Wojna? Gdzie? Z kim?

- Powiem ci, gdy będziemy sami.

Król wstał i poprowadził mnie do pobliskiego pokoju.

Reakcja Valcora na wieści, które przyniosłem, była całkiem do przewidzenia. Trochę trwało, nim udało mi się go przekonać, by przestał przeklinać, rąbać meble swym długim mieczem i wysłuchał mnie.

- Ruszam dalej na rozmowy z Radekiem i Cho-Ramem. Przygotuj flotę i zwołaj klany. Wrócę lub zawiadomię cię, kiedy ruszać. Po drodze na południe będziesz musiał zahaczyć o Wyspę Wiatrów, aby zabrać Branda i Rivan.

- Sam rozprawię się z Salmissarą.

- Nie. Salmissara obraziła całą Alorię i cała Aloria na to odpowie. Nie chcę, abyś obraził Branda, Radeka i Cho-Rama, biorąc sprawy w swoje ręce. Masz zadanie do wykonania, więc lepiej wytrzeźwiej i bierz się do roboty. Ja ruszam do Boktoru. Wrócę za kilka tygodni.

Do Boktoru dotarłem tuż przed świtem następnego dnia. Ponieważ w pobliżu było niewielu ludzi, wylądowałem na blankach pałacu króla Radeka. Wartownik pełniący tam straż był wyraźnie zaskoczony, gdy zobaczył mnie w miejscu, które właśnie minął.

- Muszę porozmawiać z królem - powiedziałem. - Gdzie jest?

- Myślę, że jeszcze śpi. Kim jesteś? Jak się tu dostałeś?

- Czy imię Belgarath coś ci mówi?

Wartownik ze zdumienia otworzył usta.

- Zamknij gębę i zaprowadź mnie do Radeka - rzekłem. Miałem już dość rozdziawiania buzi na widok mojego pośpiechu.

Król Radek chrapał. Królewskie posłanie było solidnie wymięte, podobnie jak królewska kochanka, piersiasta panna, która na mój widok natychmiast skryła się pod kołdrą. Rozsunąłem zasłony i odwróciłem się do króla.

- No dobra, Radeku - wrzasnąłem. - Wstawaj!

Król wybałuszył na mnie oczy. Był młody, szczupły, wysoki, o zdecydowanie haczykowanym nosie. Nosy Drasan z jakiejś przyczyny przybierają najróżniejsze formy. Nos Silka jest tak ostry, że przypomina bociani dziób, a mąż Porenn miał mały, spłaszczony nos, niewiele większy od guzika. Nie miałem okazji przyjrzeć się noskowi młodej damy zagrzebanej pod kołdrą. Szybko zniknęła, a mnie bardziej interesowały inne sprawy.

- Dzień dobry, Belgaracie - powitał mnie król Drasni z niezmałonym spokojem. - Witaj w Boktorze. - Na szczęście był inteligentny i nie tak pobudliwy jak Valcor, więc nie tracił czasu na wymyślanie nowych przekleństw na wieść o tym, co wydarzyło się w Rivie. Oczywiście nie wspominałem o tym, że ksiązę Geran przeżył masakrę na plaży. Nikt poza Brandem nie musiał o tym wiedzieć.

- Co z tym zrobimy? - zapytał, gdy skończyłem.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wspólnie złożyć wizytę w Nyissie i uciąć sobie pogawędkę z Salmisara.

- Nie ma sprawy.

- Valcor szykuje swoją flotę, po drodze na południe zabierze Rivan. Ile twoi pikinierzy potrafią przejść w ciągu dnia?

- Dwadzieścia lig, jeśli powód jest dostatecznie ważny.

- Jest. Zbierz, ich i niech ruszają. Idź przez Algarię i Góry Tolnedry, ale trzymaj się z dala od Maragoru. Nadal jest nawiedzony. Niewielki byłby pożytek z twoich pikinierów, gdyby postradali zmysły. Porozmawiam z Cho-Ramem. Dołączy do ciebie w drodze na południe. Znasz Beldina?

- Słyszałem o nim.

- To karzeł z garbem na plecach i paskudnym charakterem. Nie przegapisz go. Jeśli wróci z Mallorei, nim dotrzesz do Doliny, pójdzie z tobą. Stąd do Sthiss Tor jest pięćset lig. Powiedzmy, że dotarcie do wschodniej granicy Nyissy zajmie ci dwa miesiące. Nie guzdraj się. Jesienią zaczyna się tam pora deszczowa. Nie mam ochoty ugrzęznąć na mokradłach.

- Święta racja.

- Potrafię utrzymywać z Beldinem kontakt, więc będziemy mogli koordynować działania. Chcę uderzyć na Nyissę jednocześnie z dwóch stron. Lepiej, żeby zbyt wielu Nyissan nie uciekło. Nie zabij jednak wszystkich. Przez to Issa byłby równie nieszczęśliwy jak Mara. Nie trzeba nam kolejnej wojny pomiędzy Bogami.

- Przecież Issa pozwolił Salmisarze zabić Goreka, prawda?

- Nie, nie pozwolił. On śpi, więc nie ma pojęcia, co robi Salmisara. Bądź bardzo ostrożny Radeku. Issa to Bóg-Wąż. Jeśli go obrazisz, możesz po powrocie zastać Drasnię pełną jadowitych węzów. Zbierz swoich pikinierów i ruszaj na południe. Ja muszę rozmówić się z Cho-Ramem.

Ruszyłem do drzwi.

- Powiedz dziewczynie, że może już wyjść, Radeku - rzuciłem przez ramię. - Udusi się, jeśli zbyt długo będzie siedzieć pod kołdrą. - Przystanąłem. - Nie sądzisz, że czas już skończyć z tymi zabawami? - zapytałem.

- Są nieszkodliwe, Belgaracie.

- Dopóki nad tym panujesz. Chyba pora, żebyś się ożenił i ustatkował.

- Jeszcze przyjdzie na to czas - odparł. - Teraz mam sprawę do załatwienia w Nyissie.

Poleciałem na południe, do Algarii. Znalezienie Cho-Rama zajęło mi tylko dwa dni. Wódz Wodzów Klanów Algarii był już stary, włosy i brodę miał niemal tak białe jak ja. Pomimo to wolelibyście nie wchodzić mu w drogę. Wiek w najmniejszym stopniu nie spowolnił jego ręki. Szczerze wierzę, że potrafiliby obciąć człowiekowi uszy tak szybko, że ten przez cały dzień nie zauważyłby ich zniknięcia. Spotkaliśmy się w jednym z owych domów na kołach, zaprojektowanych jeszcze przez Algara, więc nikt nam nie przeszkadzał. Byliśmy z Cho-Ramem sąsiadami i starymi przyjaciółmi, więc nie musiałem terroryzować go tak jak Valcora czy Radeka. Wysłuchał uważnie mojej opowieści o zamordowaniu Goreka i tego, co zamierzamy uczynić w tej sprawie.

Gdy skończyłem, oparł się, aż zachręściła jego kurtka z końskiej skóry.

- Naruszymy terytorium Tolnedry - zauważył.

- Nie ma na to rady - powiedziałem. - Ktoś namówił do tego Salmissarę i chcę dowiedzieć się, kto to, nim nabierze rozpędu.

- Może to Ctuchik?

- Możliwe. Zobaczmy, co Salmissara ma do powiedzenia, nim zaczniemy oblężenie Rak Cthol. Radek powinien wkrótce dotrzeć. Połączcie siły, gdy tu dotrze. Ja ruszani do Doliny. Jeśli Beldin wrócił z Mallorei, to wyślę go z wami. Jeśli nie, przyślę bliźniaków. Jeśli kryje się za tym Ctuchik i nadal jest w Nyissie, to będzie wam potrzebny ktoś do odpierania jego ataków. Myślę, że będzie lepiej, jeśli wyruszę z Valcorem i Brandem. Rivanie są rozwścieczeni, a sam wiesz, jacy są Cherekowie.

Wódz uśmiechnął się.

- O tak - przyznał. - Cały świat wie, jacy są Cherekowie.

- Zbierz swoje klany, Cho-Ramie. Radek powinien wkrótce dołączyć. Jeśli będziesz musiał, wyprzedź jego piechotę. Chcę dotrzeć do Sthiss Tor przed rozpoczęciem pory deszczowej.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Prastary. Bardzo trudno konno brodzić w deszczu przez mokradła.

Potem wyruszyłem do Doliny.

Szczęście nadal mi dopisywało, ponieważ dwa dni wcześniej Beldin wrócił z Mallorei. Kochałem bliźniaków, ale byli zbyt delikatni do tego, co planowałem w Nyissie. Beldin, gdy było trzeba, potrafił być odpowiednio niedelikatny.

Pozwolę sobie w tym miejscu na szczerość. Niezaprzeczalnie wściekłość mnie ogarnęła z powodu zamordowania Goreka i jego rodziny. W końcu to byli moi krewni, ale przygotowywana przeze mnie kampania miała niewiele wspólnego z zemstą, za to dużo z rozmyślnym stosowaniem przemocy. Sprawy na świecie wystarczająco się już skomplikowały i bez wtrącania się Nyissan do polityki międzynarodowej. Mieli dostęp do zbyt wielu trucizn i narkotyków, jak na mój gust, więc najazd Alornów na te mokradła miał przekonać Wężowy Lud, aby siedział w domu i pilnował własnego nosa. Zdaje się,

że powiedziałem o sobie kilka niepochlebnych rzeczy, ale na to nie ma już rady.

- A co zrobisz, jeśli Murgowie również zdecydują się włączyć do zabawy? - zapytał mnie Beldin, gdy przedstawiłem mu swój plan.

- Nie sądzę, abyśmy musieli się tym martwić - odparłem z przesadnym przekonaniem. - Ctuchik kontroluje Cthol Murgos bez względu na to, kto zasiada na tronie w Rak Goska, a Ctuchik wie, że nie nadszedł jeszcze czas konfrontacji z Alornami. Wiele musi się jeszcze wydarzyć, nim do tego dojdzie. - Wpatrywałem się chwilę chmurnie w podłogę wieży Beldina. - Trzymaj się jednak lepiej z dala od terytorium Murgów, tak dla bezpieczeństwa.

- Masz szczególne pojęcie o „bezpieczeństwie”, Belgaracie. Jeśli nie mogę przejść przez Cthol Murgos, to będę musiał iść przez Tolnedrę, a to nie bardzo spodoba się legionom.

- Nim wrócę do Val Alorn, zahaczę o Tol Honeth. Vorduvianie ponownie doszli do władzy, ale Ran Vordue I jest na tronie dopiero od roku. Porozmawiam z nim.

- Niedoświadczeni ludzie popełniają błędy, Belgaracie.

- Wiem, ale zwykle wahają się, nim je popełnią. Zdążymy skończyć w Nyissie, nim on się zdecyduje.

Beldin wzruszył ramionami.

- To twoja wojna. Do zobaczenia w Sthiss Tor.

Poleciałem zatem do Tol Honeth i udałem się do pałacu imperatora. Wedle pewnych sfalszowanych dokumentów byłem specjalnym wysłannikiem królów Alorii i natychmiast zostałem wpuszczony przed oblicze imperatora.

Imperator Ran Vordue I z Trzeciej Dynastii Vorduviańskiej był młodzieńcem o głęboko zapadniętych oczach i kościstej twarzy. Siedział na marmurowym tronie i na ramiona narzucono mu tradycyjny złocisty płaszcz.

- Witamy w Tol Honeth, Prastary - powitał mnie. Miał ogólne pojęcie o tym, kim byłem, ale podobnie jak większość Tolnedran uważał moje imię za rodzaj tytułu szlacheckiego.

- Darujmy sobie grzeczności i przejdźmy do rzeczy, Ranie Vordue - powiedziałem. - Nyissanie zamordowali Króla Rivy i Alornowie przygotowują ekspedycję karną.

- Co? Czemu mi o tym nie powiedziano?

- Właśnie to uczyniłem. Z technicznego punktu widzenia zostaną naruszone twoje granice. Stanowczo radzę ci przejść nad tym do porządku dziennego. Alornowie są w wojowniczym nastroju. Mają sprawę do załatwienia z Nyissanami, ale jeśli twoje legiony wejdą im w drogę, to przestaniesz mieć armię. Algarowie i Drasanie pomaszerują na południe przez Góry Tolnedrańskie. Udaj, że ich nie widziałeś.

- Czy nie można tego załatwić bez wojny? - zapytał dość płaczącym głosem. - Mam do swej dyspozycji wielu bardzo dobrych negocjatorów. Mogliby nakłonić Salmiszarę do wypłacenia reparacji.

- Obawiam się, że nic z tego, wasza wysokość. Wiesz, jacy są Alornowie. Półśrodki ich nie zadowolą. Po prostu nie mieszaj się do tego.

- A nie mogą twoi Alornowie przejść przez terytorium Murgów? Jestem nowy na tronie, Belgaracie. Jeśli nie podejmę jakichś działań, zostanę uznany za słabeusza.

- Wyślij listy protestacyjne do alornskich królów. Nakłonię, aby przeprosili cię, gdy już będzie po wszystkim. - Wtem przyszedł mi do głowy pewien pomysł. - Mam myśl. Jeśli chcesz zachować się po męsku i wyrzucić wrażenie na Honethach i Horbitach, to wyślij swoje legiony na południową granicę i zamknij ją. Nie pozwól jej nikomu przekroczyć.

Spojrzał na mnie spod oka.

- Bardzo sprytne, Belgaracie - powiedział. - Wykorzystujesz mnie, prawda? Jeśli zamknę granicę, ty nie będziesz musiał tego robić.

Uśmiechnąłem się do niego szeroko.

- Będziesz musiał podjąć jakieś kroki, Ranie Vordue. Sytuacja polityczna tego wymaga. Honethowie zaczną nazywać cię Ranem Vordue Tchórzem Podszytym, jeśli twoje legiony nie pomaszerują w jakimś kierunku. Gwarantuję ci, że Alornowie nie przekroczą tej granicy. Inne wielkie rody uznają zapewne, że to pokaz twojej siły ich

przed tym powstrzymał. W ten sposób obaj dostaniemy to, czego chcemy.

- Przechytrzyłeś mnie, starcze.

- Wiem - odparłem. - Jednak wszystko zależy od ciebie. Wiesz, co się wydarzy, i wiesz, co najlepiej w tej sytuacji uczynić. Jeszcze jedno. Kto jest najbardziej zaangażowany w handel z Nyissą?

- Honethowie - odparł krótko. - Siedzą w tym po uszy. Zainwestowali tam miliony. - Potem na jego twarzy powoli pojawił się diaboliczny uśmiech. - Ekonomiczna ruina Nyissy doprowadzi Honethów na skraj bankructwa, zdajesz sobie z tego sprawę.

- Wielka szkoda, nieprawdaż? Widzisz, Ranie Vordue? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Trzeba tylko się o to zatroszczyć. No cóż, obaj mamy sprawy do załatwienia, więc nie będę ci dłużej zawracał głowy. Przemyśl to. Jestem pewny, że podejmiesz właściwą decyzję. - Potem skłoniłem się dla formy i zostawiłem go z myślami.

Znad Wielkiego Morza Zachodniego nadciągnęła kolejna wiosenna burza i z impetem uderzyła na wybrzeże, więc powrót do Val Alom zajął mi prawie tydzień. Nim tam dotarłem, Valcor zebrał swoją flotę i zgromadził armię. Skontaktowałem się z Beldinem. Zapewnił mnie, że Algarowie i Drasanie połączyli swe siły przy algarskiej twierdzy i maszerują na południe. Wszystko zdawało się przebiegać zgodnie z planem, więc wypuściłem Valcora i jego walecznych wojowników.

Burza w końcu minęła i pożeglowaliśmy z Val Alorn pod czystym błękitnym niebem. Chwilę napięcia przeżyłem, gdy przepływaliśmy przez Przesmyk Chereku, ale poza tym podróż na Wyspę Wiatrów upłynęła bez większych zakłóceń.

Wzruszające było spotkanie Valcora z Brandem. Brand stracił swego króla, a Valcor bratniego alornskiego monarchę. Valcor zaproponował wypicie kilku kufli za jego pamięć, ale zdecydowanie się temu sprzeciwiłem.

- Czas nagli, panowie - oświadczyłem szorstko. - Radek i Cho-Ram są już w Górach Tolnedrańskich, a do ujścia Rzeki Węża daleka droga. Popijemy sobie po wojnie. Zaokręćcie Rivan i ruszajmy.

Pożeglowaliśmy na południe. Minęliśmy Arendię, Tolnedrę i zarzuciliśmy kotwicę u ujścia Leśnej Rzeki. Z kilku powodów RanVordue postąpił zgodnie z moją sugestią i jego legiony patrolowały północny brzeg rzeki.

Czekaliśmy tam kilka dni. Od delty Rzeki Węża dzielił nas rzut kamieniem. Nie chciałem jednak obudzić czujności Nyissan, rzucając kotwicę na ich przybrzeżnych wodach. Czekałem, aby Radek i Cho-Ram zajęli wyznaczone pozycje.

Rankiem, trzeciego dnia, gdy wyszedłem na pokład, w głowie rozległ mi się donośny głos Beldina.

- *Belgaracie! Wstałeś?*

- Nie krzycz. Słyszę cię.

- *Jesteśmy na miejscu, ale daj drasańskim pikinierom dzień wytchnąć. Ostro ich gnaliśmy przez góry.*

- Dotarcie do ujścia Rzeki Węża i tak zajmie nam parę dni. Trzymaj się z dala od granicy tolnedrańskiej. Ran Vordue uszczelnił ją, więc nie trzeba nam żadnych incydentów z legionami.

- *Jak go do tego namówiłeś?*

- Wskazałem mu na pewne korzyści z tego płynące. Wyślij siły uderzeniowe na południe, by zablokować wszystkie drogi ucieczki. Ja zrobię to samo z tej strony, a gdy kolumny spotkają się, będziemy mogli zaczynać.

- *Dobrze.*

Mniej więcej w ten sposób to załatwiliśmy. Pierwszy przyznam, że tolnedrańskie legiony były bardzo użyteczne, choć tak naprawdę nic nie robiły, poza staniem na granicy.

Nyissanie zawsze wierzyli, że dżungle ich ochronią. Tym razem się mylili. Pikinierzy Radeka niemal wyzionęli ducha, ale dotarli do Nyissy przed nastaniem pory deszczowej. Mokradła były prawie wyschnięte, a drzewa suche. Nyissanie schronili się w lasach, a my po prostu je podpaliśmy. Słyszałem, że ogromna chmura dymu, która popłynęła na północ, bardzo zaniepokoiła Honethów. Niemal czuli zapach swych płonących pieniędzy. Vorduvianie, Borunowie i Horbici podeszli do tego z bardziej filozoficznym spokojem.

Wojny nigdy nie są miłe, ale alornska kampania w Nyissie była szczególnie paskudna. Jazda algarska pędziła przed sobą Nyissan niczym stado przerażonego bydła, a gdy ci próbowali chronić się przed nimi na drzewach, drasańscy pikinierzy strącali ich z gałęzi. Cherekowie i Rivanie wzniecali pożary, a gdy ogarnięci paniką Nyissanie usiłowali uciekać, wojownicy Valcora po prostu zapędzali ich z powrotem w płomienie. Szczerze mówiąc, niedobrze mi się robiło od tego wszystkiego, ale nie przerywaliśmy działań.

To była krótka, paskudna wojna, po której z Nyissy pozostało dymiące pustkowie. Jednakże spełniła swoje zadanie. Całe stulecia miną, nim Nyissanie wyjdą z ukrycia. Skutecznie zapobiegło to również ich mieszanii się do polityki międzynarodowej.

W końcu otoczyliśmy Sthiss Tor i po kilku dniach zdobyliśmy miasto.

Popędziłem z Beldinem przodem i dotarłem do zbytkownego pałacu Salmisary przed rozwścieczonymi Rivanami. Zdecydowanie nie chcieliśmy, aby ktoś zabił królową Wężowego Ludu, dopóki nie zadamy jej kilku pytań. Pognaliśmy korytarzem wiodącym do jej sali tronowej. Wpadliśmy do ogromnego, oświetlonego przyćmionym światłem pomieszczenia, po czym zamknęliśmy i zaryglowaliśmy za sobą drzwi.

Salmisara była sama, bez straży. Eunuchowie przysięgali jej bronić, ale najwyraźniej ich przysięga nie znaczy zbyt wiele, gdy leje się krew. Królowa Wężowego Ludu zajmowała swe zwykłe miejsce. Na w pół leżała na tronie i podziwiała swe odbicie w lustrze, jakby nic się nie działo. Wydawała się bezbronna.

- Nie podchodźcie bliżej - ostrzegła nas, wskazując niedbałym gestem na małe zielone węże kłębiące się przy tronie. - Służba mnie opuściła, ale mali przyjaciele są wierni. - Mówiła niewyraźnie, a jej spojrzenie zdawało się uciekać.

- Nie ma co liczyć na zbyt wiele, Belgaracie - mruknął Beldin. - Jest tak zaprawiona, że niemal traci przytomność.

- Zobaczymy - odparłem krótko. Zbliżyłem się nieco do tronu. Zielone wężyki zasyczały ostrzegawczo.

- Sprawy nie przybrały zbyt dobrego obrotu, Salmisaro - oznajmiłem.
- Powinnaś jednak przewidzieć reakcję Alornów. Co cię napadło, aby mordować Goreka?

- Swego czasu wydawało się to dobrym pomysłem - wymruczała.

Rozległo się głośne łomotanie w zaryglowane wrota.

- Trzymaj tych zapaleńców z dala ode mnie - powiedziałem do Beldina.

- W porządku - odparł - ale żeby nie zajęło ci to całego dnia. - Czułem, jak zbiera swoją Wolę.

- Wiesz, kim jestem? - zapytałem senną królową.

- Oczywiście. W mojej bibliotece są całe tony literatury poświęcone tobie i twoim czynom.

- Dobrze. Więc możemy oszczędzić sobie tych wszystkich nudnych ceregieli. Rozmawiałem z dwoma z twoich morderców w Rivie. Jeden z nich powiedział, że ta głupota była całkowicie twoim pomysłem. Czy zechciałabyś opowiedzieć mi o tym?

- Czemu nie? - Jej obojętność zmroziła mnie. - Około roku temu do Sthiss Tor przybył pewien człowiek, który miał dla mnie propozycję. Jego oferta była bardzo atrakcyjna, zatem przystałam na nią. To wszystko, Belgaracie.

- Co takiego mógł ci zaoferować, że odważyłaś się narazić na wściekłość Alornów?

- Nieśmiertelność, Prastary, nieśmiertelność.

- Żaden człowiek nie może tego zaoferować.

- Ta oferta nie pochodziła od człowieka, a przynajmniej tak kazano mi wierzyć.

- Któż złożył ci tak niedorzeczną propozycję?

- Czy mówi ci coś imię Zedar, Belgaracie? - Wydawała się nieco rozbawiona. Kilka spraw stało się jasne, włączając w to powód, dla którego polecono mi nie zabijać Zedara.

- Może zaczęłabyś od początku? - zaproponowałem.

Królowa westchnęła.

- To będzie długa i nudna opowieść, starcze. - Powieki jej opadły.

W tym momencie zacząłem coś podejrzewać.

- To może mi ją streścisz? - zaproponowałem.

Królowa ponownie westchnęła.

- No dobrze - odparła. Potem rozejrzała się dookoła. - Czy tu nie robi się chłodno? - zapytała z lekkim drżeniem..

- Pospiesz się, Belgaracie - zażądał poirytowany Beldin. - Nie zatrzymam tych Alornów zbyt długo, nie czyniąc im krzywdy.

- Nie myślę, aby to trwało zbyt długo - odparłem. Potem spojrzałem na królową Wężowego Ludu. - Zażyłaś truciznę, prawda, Salmisaro? - zapytałem.

- Naturalnie - odparła. - To chyba bardzo po nyissańsku, nieprawdaż? Przekaż moje wyrazy ubolewania swym Alornom. Wiem, że będą okropnie rozczarowani.

- Co dokładnie powiedział ci Zedar?

- Stary nudziarz z ciebie, Belgaracie. No dobrze, słuchaj uważnie. Nie myślę, bym miała czas powtarzać. Zedar zjawił się u mnie rzekomo w imieniu Toraka. Mówił, że jedynie Rivański Król przeszkadza Torakowi w realizacji jego pragnień i że da wszystko osobie, która go usunie. Propozycja była prosta. Jeśli zabiję Rivańskiego Króla, Torak mnie poślubi i będziemy wspólnie rządzić światem... już zawsze. Zedar powiedział również, że Torak obroni mnie przed twymi Alornami. Widziałeś może gdzieś po drodze do Sthiss Tor Boga-Smoka?

- Musieliśmy go przegapić.

- Zastanawiam się, co go zatrzymuje.

- Nie byłaś chyba tak naiwna, by w to wszystko uwierzyć?

Królowa wyprostowała się nieco i uniosła brodę. Była nadzwyczaj piękną kobietą.

- Jak sądzisz, ile mam lat? - zapytała.

- Trudno powiedzieć, Salmisaro. Zażywasz narkotyki, które chronią cię przed starzeniem.

- Być może tak to wygląda, ale nie jest prawdą. Mam pięćdziesiąt siedem lat, a żadna z moich poprzedniczek nie przekroczyła za bardzo sześćdziesiątki. W dżungli dwadzieścia dziewczynek ćwiczą już

do zajęcia mego miejsca. Uwierzyłam Zedarowi, ponieważ chciałam. Chyba nigdy nie przestaniemy wierzyć w bajki. Nie chciałam umrzeć, a Zedar ofiarowywał mi szansę wiecznego życia. Tak bardzo tego pragnęłam, że zaufałam mu. Jeśli się dobrze nad tym zastanowić, to wszystko twoja wina.

- Moja? Skąd przyszedł ci do głowy ten dziwaczny pomysł?

- Nie byłabym tak łatwowierna, gdybym nie wiedziała, że ty masz już milion lat. Skoro jakiś człowiek może żyć wiecznie, inni chyba też. Ty i twoi bracia jesteście uczniami Aldura i on uczynił was nieśmiertelnymi. Zedar, Ctuchik i Urvon służą Torakowi i także będą żyć wiecznie.

- Mam nadzieję, że im to uniemożliwię - rzucił przez ramię Beldin.

Salimissara uśmiechnęła się słabo. Oczy jej rozblęły.

- Issie nie przyszło do głowy nagrodzić nieśmiertelnością swej służki, więc pozostało mi jeszcze około trzech lat życia. Zedar o tym wiedział, oczywiście, i wykorzystał to do nabrania mnie. Chciałabym mu odpłacić. Dostał ode mnie wszystko, czego chciał, a ja otrzymałam jedynie filiżankę obrzydliwej trucizny.

Rozejrzałam się, aby upewnić się, że nikt nie czai się w kącie.

- Zedar niczego nie dostał, Salmissaro - powiedziałem jej bardzo cicho. - Twoi mordercy kogoś przegapili. Rivańska linia nadal jest nietknięta.

Królowa wpatrywała się we mnie przez chwilę ze zdumieniem, a potem się roześmiała.

- Cudowny z ciebie staruszek - szepnęła. - Zabijesz Zedara?

- Prawdopodobnie - odparłem.

- Nim go zgładzisz, powiedz mu, że ten ocalały, o którym wspomniałeś, jest moim ostatnim prezentem dla niego. Marna to zemsta, ale tylko to pozostało umierającej starszej damie.

- Czy Zedar powiedział ci, co planuje Torak, gdy Rivański Król już zginie? - zapytałem.

- Nie doszliśmy do tego, ale nietrudno zgadnąć. Teraz, gdy wierzy, że Strażnik Klejnotu nie żyje, pewnie wkrótce złoży ci wizytę. Żałuję, że nie mogę gdzieś z kąta obserwować, jak reszta jego twarzy wykrzywia

się po odkryciu, że plan Zedara się nie powiódł. - Głowa jej opadła i oczy ponownie się zamknęły.

- Nie żyje? - zapytał Beldin.

- Prawie.

- Belgaracie? - Jej głos był zaledwie szeptem.

- Słucham?

- Pomścij mnie, proszę.

- Masz na to moje słowo, Salmisaro.

- Proszę nie nazywaj mnie tak, Prastary. Kiedyś, gdy byłem małą dziewczynką, nazywałem się Illessa. Bardzo podobało mi się to imię. Potem eunuchowie z pałacu przybyli do naszej wioski i przyjrzeni się mojej twarzy. Zabrali mnie od mojej mamy i powiedzieli, że teraz nazywam się Salmisara. Zawsze nie cierpiałam tego imienia. Nie chciałem być Salmisara. Chciałem dalej być Illessą, ale nie pozostawili mi żadnego wyboru. Mogłem zostać jedną z dwudziestu dwunastoletnich Salmisar albo umrzeć. Czemu nie było wolno zatrzymać mi prawdziwego imienia?

- Illessa to ładne imię - powiedziałem łagodnie.

- Dziękuję, Prastary. - Westchnęła przeciągle. - Czasami żałuję...

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czego żałuje, ponieważ umarła, nim zdołała nam to powiedzieć.

- A zatem? - powiedział Beldin.

- Co zatem?

- Nie masz zamiaru zadać jej ciosu?

- Po co miałbym to robić?

- A nie obiecałeś tego księciu Geranowi?

- Pewnych obietnic nie można dotrzymać, Beldinie.

- Sentymenty! - prychnął. - Jej już to teraz obojętne.

- Ale nie mnie. - Przemieściłem zielone wężyki na drugi koniec sali tronowej, podszedłem do podwyższenia i ułożyłem ciało królowej Wężowego Ludu w pozie pewnego dostojenstwa. Potem poklepałem ją delikatnie po policzku.

- Śpij dobrze, Illeso - mruknąłem i zszedłem z podwyższenia. -
Wynośmy się stąd, Beldinie - zaproponowałem. - Nie cierpię zapachu
węży.







Jesteście rozczarowani? Pragnęliście ponurego opisu mej straszliwej zemsty na ciele królowej Wężowego Ludu. No cóż, całkiem niezły ze mnie bajarz, więc jeśli naprawdę macie ochotę na taką opowieść, mogę ją dla was wymyślić. Sądzę jednak, że po ochłonięciu byłoby wam wstyd.

Prawdę mówiąc to, co zrobiliśmy Nyissie, nie napawa mnie wcale dumą. Gdyby przepelniała mnie wściekłość i żądza zemsty, nasze czyny mogłyby być zrozumiałe - nieszczęśliwie godne pochwały, być może, ale przynajmniej zrozumiałe. Ale ja zrobiłem wszystko z zimną krwią i dlatego to takie potworne.

Powiniennem wiedzieć, że od początku za tym wszystkim stał Zedar. To było za subtelne, aby mogło być dziełem Ctuchika. Za każdym razem, gdy zaczynają mnie ogarniać wątpliwości z powodu tego, co ostatecznie uczyniłem z Zedarem, przebiegam w myślach długą listę jego występków. To, że podstępnie nakłonił Illesę do zamordowania Goreka, a potem zostawił ją, by samotnie stawiała czoło Alornom, zajmuje na tej liście poczesne miejsce.


Dość tych nudnych usprawiedliwień.


Gdy opuszczaliśmy z Beldinem pałac, Alornowie nadal z radością pustoszyli miasto. Większość domów była z kamienia, gdyż drewno bardzo szybko gnije na tropikalnych mokradłach.

Alornowie podpalali wszystko, co chciało płonąć, a z resztą rozprawiali się za pomocą taranów. Wszędzie widać było ponure pomarańczowe płomienie. Ulice niemal całkowicie skrywały chmury duszącego czarnego dymu. Rozejrzałem się z goryczą wokół siebie.

- To niedorzeczność! - powiedziałem. - Wojna skończona. Dostyc tego wandalizmu.

- Daj im się pobawić - powiedział obojętnym głosem Beldin. - Przybyliśmy przecież chyba po to, aby zniszczyć Nyisę.

- Co Torak zamierza? - zapytałem. - Nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym, gdy przechodziłem przez Dolinę.

- Torak nadal jest w Ashabie...

Cherek, pomimo gorącego klimatu ubrany w niedźwiedzie skóry, przebiegł obok z wyciem, wymachując pochodnią.

- Lepiej porozmawiam z Valcorem - mruknąłem. - Wyznawcy Kultu Niedźwiedzia od dwudziestu pięciu stuleci marzą o najechniu na południowe królestwa. Teraz, gdy już tu są, mogą postanowić rozszerzyć działania wojenne. Czy w Mał Zeth nadal panuje spokój? To znaczy, czy czynią jakieś przygotowania?

Beldin wybuchnął krótkim, paskudnym śmiechem i podrapał się pod pachą, potem pokręcił głową.

- W armii wrze. Nowy cesarz wszystkim trzęsie. Ale Torak nie zarządził mobilizacji. Nic o tym nie wie. - Spojrzał na zadymioną ulicę, gdzie z okien buchały płomienie. - Mam nadzieję, że Zedar zaszył się w jakiejś głębokiej dziurze. Stara Spalona Gęba nie będzie zadowolony, gdy dowie się, co się stało.

- Myślę, że tym możemy się martwić później. Nie miałbyś ochoty zabrać Alornów do domu?

- Nieszczególnie. Czemu?

- Naprawdę nie zajęłoby ci to dużo czasu, Beldinie, ja mam coś do załatwienia.

- Tak? Co takiego?

- Zdaje mi się, że będzie lepiej, jeśli wrócę do Doliny i pogrzebię w Kodeksie Mrińskim. Jeśli Torak zechce skorzystać z okazji, to lepiej wiedzieć, że nadciąga. To byłoby jedno z tych WYDARZEN i Kodeks Mriński powinien o nim wspominać.

- Pierwej jednak będziesz musiał doszukać się w nim sensu. Czemu nie pozwolić Alornom samodzielnie znaleźć drogi do domu?

- Chcę być pewny, że wrócą do siebie. A to oznacza, że ktoś będzie musiał przepędzić z Południa stado wyznawców Kultu Niedźwiedzia. Powiedz Brandowi, czego dowiedzieliśmy się od Illessy. Daj mu do zrozumienia, że my zajmiemy się Zedarem. Nie precyzuj jednak zbyt dokładnie, ile nam to zajmie czasu.

- Zajrzysz do Pol przed powrotem do Doliny?

- Sama potrafi się o siebie zatroszczyć. Ze wszystkich ludzi ona to potrafi najlepiej.

Beldin zerknął na mnie chytrze spod oka.

- Jesteś z niej dumny, prawda?

- Oczywiście.

- Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy powiedzieć jej o tym?

- I zniweczyć ponad tysiąc lat sprzeczek? Nie wygłupiaj się. Zahacz o Dolinę, nim wrócisz do Mallorei. Może uda mi się do tego czasu wydobyć z Kodeksu Mrińskiego parę użytecznych wskazówek.


Zostawiłem Beldina na pałacowych schodach i wyszedłem ze zrujnowanego i płonącego miasta na skraj dżungli. Znalazłem polankę, wdrapałem się na pień i ponownie zmieniłem w sokoła. Ta postać zaczynała mi się podobać.

Lot przez dymy płonącej dżungli nie był szczególnie przyjemny, więc wzbijałem się w powietrze dopóty, dopóki się nad nie wzniosłem. Naturalnie wiedziałem o pożarach. W drodze do Sthiss Tor sam przechodziłem przez kilka wypalonych obszarów, ale nie zdawałem sobie sprawy z ich rozmiarów, aż znalazłem się milę nad ziemią. Wydawało się, że cała Nyissa płonie.

Po powrocie do Doliny opowiedziałem bliźniakom o wydarzeniach w Nyissie. Wielkie łyzy sympatii pojawiły się w ich oczach, gdy opowiedziałem im o ostatnich chwilach Illessy. Oni bywają bardzo sentymentalni.



No dobrze, we mnie również Illessa wzbudziła sympatię. Zedar jąabrał, a potem zostawił na pastwę losu. Oczywiście było mi jej żal. Ruszcie głową, a sami wyciągniecie wnioski.



Przez następnych kilka tygodni trudziłem się nad zrozumieniem Kodeksu Mrińskiego. Jestem dumny z opanowania, jakie przy tym wykazałem. Ani razu nie cisnąłem tych głupich zwojów przez okno. Kodeks Mriński wyjątkowo trudno odczytać, ponieważ przeskakuje z tematu na temat. Zdaje się, że wspominałem już o tym. Zmagając się z brakiem spójności tekstu, zacząłem rozumieć, gdzie zbłądził przyjaciel Gariona. Prorok z Mrin nie był najszcześliwiej wybranym mówcą. Bez względu na to, co myślimy o mocy Konieczności, proroctwa zostały przefiltrowane przez umysły proroków, a prorok z Mrin nie znał poczucia czasu. Żył w świecie wiecznego teraz i wszystkie słowa Konieczności wymieszane były z „teraz”, „potem” i „w przyszłym tygodniu” niczym jajka na omlet. Na rozwiązanie natknąłem się dzięki czystemu przypadkowi. Z niesmakiem odsunąłem od siebie Kodeks Mriński i zabrałem się za Kodeks Dariński, żeby po prostu rozjaśnić sobie w głowie. Bormik był szalony, ale przynajmniej znał różnicę pomiędzy wczoraj i jutro. Chyba nawet nie czytałem tych zwojów, po prostu rozwijałem je i oglądałem. Córka Bormika sporządziła kopie z bazgrołów swych skrybów. Miała piękny charakter pisma. Wdzięczne litery układały się w równe linie. Skrybowie Drasa powinni wybrać się do Darine po nauki. Kodeks Mriński pełny był kleksów, wyskrobanych słów i przekreślonych wierszy. Dwunastolatek uczący się pisać zrobiłby to lepiej. Nagle moje spojrzenie padło na znajomy fragment. „Nie przerażaj się, albowiem Król Rivański powróci”.

Przycisnąłem zwój kilkoma książkami, aby się nie zwinął. To między innymi dlatego nie lubię tego sposobu przechowywania zapisków. Zwijają się, gdy tylko wypuścić je z rąk.


Ponownie wziąłem do rąk Kodeks Mriński i zacząłem przewijać go, dopóki nie trafiłem na zapamiętane miejsce. „Bacz - brzmiał on - wszystko zdawać się będzie stracone, ale powściągnij swą rozpacz, albowiem Król Rivański powróci”.

Nie były identyczne, ale bardzo podobne. Przypatrywałem się obu fragmentom z zamierającym sercem. Jawił mi się raczej przerażający widok. Wiedziałem już jak nadać sens zapisom z Kodeksu Mrińskiego, ale na samą myśl o ogromie pracy robiło mi się słabo. W obu


dokumentach znajdowały się pasujące do siebie fragmenty. Kodeks Mriński pozbawiony był poczucia czasu, ale w Kodeksie Darińskim ono występowało. Wystarczyło porównać podobne fragmenty, by umiejscowić w czasie wydarzenia z Kodeksu Mrińskiego.

Potem przeczytałem następny wiersz w Kodeksie Mrińskim. „Mam do ciebie pełne zaufanie, Prastary i Ukochany, wiedząc bardzo dobrze, iż wpadniesz na rozwiązanie - w końcu”.

To doprawdy było obraźliwe, choć potwierdzało moje odkrycie. Konieczność znała przeszłość, terażniejszość i przyszłość, dlatego wiedziała, że w końcu złamię szyfr. Ta dowcipna uwaga miała jedynie zwrócić moją uwagę na ten fakt, sprawić, bym go nie przegapił. Najwyraźniej uważała mnie za głupca.



Przy okazji, Garionie, następnym razem, gdy twój przyjaciel złoży ci wizytę, możesz mu powiedzieć, że wykorzystałem jego sprytną sztuczkę. Po co miałbym nadweręzać sobie mózg, usiłując nadać sens temu bełkotowi, jakim był Kodeks Mriński, skoro aż się w nim roilo od oczywistych znaków? Nie mam nic przeciwko temu, by ktoś za mnie wykonał pracę. Potem możesz go zapytać, kto śmieje się ostatni. Jestem pewny, że nie przejmie się. Ma absolutnie cudowne poczucie humoru.



Wróciłem do tego miejsca w Kodeksie Darińskim, które pasowało do ostrzeżenia w Kodeksie Mrińskim, każącym nam z Pol lecieć na Wyspę Wiatrów; potem zabrałem się do pracy. Bardzo powoli posuwałem się naprzód, ponieważ faktycznie musiałem uczyć się Kodeksu Mrińskiego na pamięć. Kodeks Dariński zwykle zawierał krótkie podsumowanie jakiegoś zdarzenia, a Kodeks Mriński je rozwijał. Pewne kluczowe słowa wiązały oba opisy i gdy dopasowałem już kilka fragmentów, nabrałem nieco wprawy w znajdowaniu owych słów. Opracowałem system znaków, które umieszczałem na marginesach, aby zaznaczyć pasujące fragmenty. W ten sposób nie gubiłem raz znalezionej śladu. Im dłużej pracowałem, tym większego nabierałem przeświadczenia, że Kodeks

Dariński jest po prostu mapą Kodeksu Mrińskiego. Osobno żaden z nich nie był zbyt użyteczny, ale gdy zestawiono się je razem, zaczynała wyłaniać się konkretna wiadomość. To było wyrefinowane i bardzo złożone rozwiązanie, ale dawało niemal absolutną pewność, że nikt przypadkowy nie trafi na informację, która nie była dla niego przeznaczona.

Ślęczałem nad zwojami przez większą część roku, potem do Doliny wrócił Beldin.

- Zaprowadziłeś Alornów tam, gdzie ich miejsce? - zapytałem, gdy wkuśtykał po schodach do mej wieży.

- W końcu - powiedział. - Miałeś rację co do Kultu Niedźwiedzia. Rzeczywiście chcieli zostać na Południu. Lepiej miej oko na Valcora. Nie jest jeszcze prawdziwym wyznawcą, ale skłania się ku temu. Jednakże Radekowi i Cho-Ramowi udało się wreszcie przemówić mu do rozsądku.

- Fanatycy są pozbawieni rozsądku, Beldinie.

- Nie są jednak samobójcami. Radek i Cho-Ram skuli łańcuchami wszystkich wyznawców w swych szeregach i ruszyli do domu. Cherekowie byli wściekli, ale sami nie mogli stawić czoła legionom. Gdy Drasanie i Algarowie odeszli, Valcor nie miał innego wyboru, jak też ruszyć do domu.

- Czy Brand opowiedział się po czyjejś stronie?

- Był absolutnie zgodny z Radekiem i Cho-Ramem. W domu czekały na niego obowiązki, więc nie miał zamiaru angażować się w dalszą wojnę na Południu. - Spojrzał na zwoje na moim stole. - Robisz jakieś postępy?

- Pewne. Jednak idzie to bardzo powoli. - Wyjaśniłem sposób wyszukiwania zgodnych fragmentów.

- Sprytnie - zauważył.

- Dziękuję.

- Nie ciebie miałem na myśli, Belgaracie; Konieczność.

- To nie jest wcale takie łatwe, jak się wydaje. Nie uwierzysz, jak długo trwa dopasowanie pewnych fragmentów.

- Rozmawiałeś o tym z bliźniakami?
- Są zajęci czymś innym.
- Więc niech to lepiej zostawią. Myślę, że twoja robota jest ważniejsza.
- Poradzę sobie, Beldinie.
- Zawodowa zazdrość, stary? Proroctwo nie będzie proroctwem, jeśli rozwikłasz je dopiero po fakcie. Bliźniacy praktycznie biorąc mają jeden umysł, prawda?
- Chyba tak.
- Ty musisz skakać od jednego tekstu do drugiego, oni nie muszą. Beltira może czytać Kodeks Dariński, a Belkira Mriński. Jeśli natrafiają na odpowiadające fragmenty, natychmiast będą o tym wiedzieli. Potrafią zrobić w ciągu kilku chwil to, co tobie zajmuje wiele dni.
- Zamrugalem oczyma.
- Rzeczywiście. Nigdy o tym nie pomyślałem.
- Oczywiście. Niech oni się do tego wezmą. Będziesz mógł wówczas zająć się czymś pożyteczniejszym - jak rąbanie drewna lub kopanie rowów. Zaglądałeś do Pol?
- Byłem zajęty. Naprawdę cały rok zajęło ci doprowadzenie Alornów do domu?
- Nie. Wpadłem na chwilę do Mallorei, sprawdzić, czy coś się nie kroi.
- I kroi się?
- Jak na razie, nie. Być może wieść o tym, co wydarzyło się w Rivie, nie dotarła jeszcze do Toraka. Sprowadźmy Pol. Myślę, że powinniśmy się spotkać i coś zaplanować, nim na stałe osiadę w Mal Zeth.
- To niezły pomysł. Przy porównywaniu obu dokumentów znalazłem kilka wskazówek na parę następnych stuleci. Myślę, że przez jakiś czas nie wydarzy się nic znaczącego, ale lepiej wszyscy się nad tym zastanówmy. Mogłem coś przegapić.
- Ty? Niemożliwe.

- Nie sil się na dowcipy, Beldinie. Nie jestem w nastroju. Zostawmy wyszukiwanie zbieżności bliźniakom i ruszajmy do Erat porozmawiać z Pol.

Bliźniacy w mig pojęli, o co chodzi. Beldin miał rację. Mając dwie pary oczu, jedną czytającą Kodeks Mriński, a drugą Dariński, mogli pracować zdecydowanie szybciej ode mnie. Potem Beldin przybrał postać jastrzębia, którą tak lubił, ja ponownie zmieniłem się w sokoła i pofrunęliśmy na północny zachód, by złożyć wizytę Polgarze.

Jest taka stara baśń o księżniczce zamkniętej w zamku ukrytym w gęstwinie cierniowych krzaków. Rezydencja Pol na północy środkowej Sendarii bardzo go przypomina - z tą różnicą, że jest otoczona przez gęstwinę różanych krzewów. Nikt ich nie przycinał od stuleci. Gałęzie miały grube niczym pnie drzew i pokryte kolcami długimi na cztery cale, i tak splecione, że nikt nie mógł się przez nie przedrzeć, nie zdzierając sobie Przy tym całej skóry. Ponieważ jednak całkowicie skrywały dom, nikt nie miał powodu zadawać sobie takiego trudu i Pol miała zagwarantowany spokój.

Wylądowaliśmy na schodach jej domu i wróciliśmy do własnych postaci. Zastukaliśmy do drzwi, a z głębi domu odpowiedziało nam echo.

Po kilku chwilach ze środka dobiegł głos Pol.

- Kto tam?

- To ja, Pol. Otwórz.

Polgara miała na sobie fartuch, a na głowie zawój z chusty. W dłoniach trzymała miotłę okręconą pokrytą pajęczynami szmatą.

- Co robisz, Pol? - zapytał Beldin.

- Sprzątam dom.

- Własnoręcznie? Czemu nie zrobisz tego inaczej?

- To mój dom, wujku. Będę go sprzątać tak, jak mi się podoba.

Beldin pokręcił głową.

- Dziwna jesteś, Polgaro - zauważył. - Całe stulecia spędziłaś na uczeniu się wszystkich ułatwień, a potem z nich nie korzystasz.

- To kwestia zasad, wujku. Ty nie masz żadnych, więc nie zrozumiesz.

Beldin skłonił się przed nią.

- Punkt dla ciebie, Pol - przyznał. - Czy zechciałabyś zaofiarować gościnę w swym wspaniałym domu parze strudzonych wędrowców, o wielka pani?

Polgara zignorowała próbę rozbawienia jej.

- Czego chcecie? - zapytała niezbyt uprzejmie.

- Mamy w Dolinie małe rodzinne spotkanko, Pol - oznajmiłem. - Ale bez ciebie to nie to samo.

- Wykluczone.

- Nie utrudniaj, Polgaro - powiedział Beldin. - To ważne. Jesteś nam potrzebna. - Przepchnął się obok niej do środka.

- Wyrąbaliście sobie drogę prosto do moich drzwi?

- Nie - odparł. - Przylecieliśmy tu.

Rozejrzałem się. Światło było przyćmione, ponieważ wszystkie okna w domu zarosły pędami róż, ale dostrzegłem, że wejście do domu mej córki ma wypolerowaną marmurową posadzkę i błyszczące boazerie.

- Zabarałaś się właśnie za generalne porządki, Pol? - zapytałem.

- Nie. Zajmujemy się tym z Geranem od dawna. Jesteśmy już na drugim piętrze.

- Zamieniłaś następcę tronu Rivy w sprzątacza? To bardzo demokratyczne posunięcie, Pol, ale czy aby właściwe?

- To mu nie zaszkodzi ojczu. Poza tym potrzebuje ćwiczeń.

Schodami ostrożnie zszedł Geran. Ubrany był w zakurzony wieśniaczy chałat. W dłoni trzymał miecz. To nie był bardzo duży miecz, ale chłopiec dzierżył go tak, jakby wiedział, jak się nim posłużyć.

- Dziadku! - zawołał na mój widok. Resztę schodów pokonał już biegiem. - Zabiłeś Salmissarę? - zapytał niecierpliwie.

- Nie żyła, gdy ostatni raz ją widziałem - odparłem wymijająco.

- Zadałaś jej ode mnie cios, jak cię prosiłem?

- O tak, chłopie - pospieszył mi w sukurs Beldin. - Zadał.

Geran spojrział nieco lękliwie na pokraccznego karła.

- To jest wujek Beldin, Geranie - dokonała prezentacji Pol.

- Nie jesteś zbyt wysoki, wiesz? - zauważył Geran.

- To ma swoje zalety, chłopie - odparł Beldin. - Prawie nigdy nie zawadzam głową o nisko zwisające gałęzie.

Geran roześmiał się.

- Podoba mi się, ciociu Pol.

- Bardzo szybko ci to przejdzie.

- Daruj sobie, Pol - zbeształ ją Beldin. - Pozwól chłopcu samodzielnie wyciągnąć wnioski.

- Chyba lepiej będzie sprowadzić na to spotkanie Branda - powiedziałem. - Mamy wiele do omówienia, a Brand jest tym, który strzeże Klejnotu, dlatego powinien wiedzieć, co nas czeka.

- Wiemy, co się wydarzy, ojczy? - zapytała Pol.

- Twój niewymownie bystry staruszek właśnie wynalazł sposób na doszukanie się sensu w Kodeksie Mrińskim, skarbie.

Geran zachichotał.

- Naprawdę go lubię, ciociu Pol.

- Obawiałam się tego - westchnęła.

- Wrócisz razem z Pol do Doliny - rzekłem Beldinowi. - Wspólnymi siłami potraficie stawić czoło wszystkiemu po tej stronie Toraka, który śpi jak kamień w Ashabie. Ja sprowadzę Branda i zabierzemy się do roboty. - Potem wyszedłem na dwór, przybrałem pióra i poleciałem w kierunku Wyspy Wiatrów.

Podróż z Wyspy do Doliny zajęła nam około trzech tygodni, głównie dlatego, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wędruje przez Ulgoland. Po przybyciu stwierdziliśmy, że zaczęli bez nas. Bliźniacy rozpoczęli pracę tam, gdzie ja skończyłem. Udało im się z grubsza naszkicować przebieg kilku następnych stuleci.

- Zdaje się, że niewiele się wydarzy, Belgaracie - podsumował Beltira.

- Naszym zdaniem prococtwa koncentrują się na wydarzeniach

w Mallorei. Jesteście głodni? Możemy z Pol przygotować wam coś do jedzenia.

- Jakąś przekąskę. Byle przetrwać do kolacji.

Pol wstała i przeszła do części kuchennej. Rozejrzałem się za księciem Geranem. Siedział spokojnie na krześle w kącie. To charakterystyczna cecha, którą obserwowałem u kolejnych członków jego rodziny. Niektóre dzieci zawsze chcą być w centrum uwagi. Jednakże chłopcy z długiej linii potomków Gerana potrafili tak usuwać się w cień, że ledwie ich zauważałem. Przyglądali się i słuchali, ale buzie trzymali zamknięte. To była bardzo dobra cecha. Rzadko nauczysz się czegoś, gdy usta ci się nie zamykają. Geran ubrany był bardzo zwyczajnie. Polgara starała się, aby Spadkobiercy Rivańskiego Tronu wzbudzali swym wyglądem jak najmniejsze podejrzenia.

- Aha, coś jeszcze - dodał Belkira. - Trzecia skończyła się. Mamy teraz Czwartą. Najwyraźniej Dal udał się do Ashaby i w chwili, gdy spojrział na Toraka, skończyła się Trzecia Era.

- No i dobrze - odparłem.

- Dlaczego?

- To znaczy, że w końcu otrzymaliśmy wszystkie instrukcje. Trzecia Era była Erą Proroctwa. Jej koniec oznacza, że już nam powiedziano, co się wydarzy i co mamy czynić. Nie wydarzy się nic, co mogłoby zagmatwać sytuację. A co ciekawego dzieje się w Mallorei?

Belkira podniósł kopię Kodeksu Mrińskiego, spojrział w spis i rozwinął zwój do miejsca, w którym znajdował się odpowiedni znak.

- Kodeks Dariński mówi po prostu, że jeden człowiek zdobędzie panowanie nad całą Malloreą. A oto, co mówi o tym Kodeks Mriński: „I zdarzy się, iż dzieci zostaną wymienione w Królestwach Wschodu i jedno z nich wstąpi na tron królestwa poprzez małżeństwo i zdobędzie dominację nad innymi pod groźbą użycia siły. I uczyni jedno z tego, co kiedyś było dwoma. I połączenie tych dwóch oczyści drogę dla WYDARZENIA, które będzie miało miejsce na ziemiach Boga-Byka”. Dotąd udało nam się na razie dojść.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - zapytałem.

- Ten, o którym mowa, to młody Angarak imieniem Kallath - wyjaśnił Beldin. - Głośno o nim w Mallorei. Angarakowie i Melceni od dawna próbowali nawiązać współpracę. - Angarakowie mają więcej ludzi, ale Melceni dysponują jazdą na słońiach. Żadna ze stron nie chciała wojny. Ta wymiana dzieci była pomysłem Melcenów. Miała doprowadzić do większego zrozumienia pomiędzy obiema rasami. Gdy Kallath miał około dwunastu lat, wysłano go na wyspę Melcenów, by dorastał w domu ministra spraw zagranicznych przy cesarskim dworze. Tam poznał córkę cesarza Melcenów i ożenił się z nią. To praktycznie uczyniło go spadkobiercą tronu. Był ambitny i był Angarakiem, więc innym kandydatom zaczęły się przydarzać śmiertelne wypadki. Był również najmłodszym członkiem angarackiego naczelnego dowództwa w Mal Zeth i Głównym Gubernatorem Okręgu Delchin we wschodniej Mallorei. W Maga Renn, które przypadkiem znajdowało się tuż przy granicy z Melceną, miał coś w rodzaju stolicy i bazy. Jeśli ktoś potrafi zjednoczyć całą Malloreę, to właśnie Kallath.

- Najwyraźniej to właśnie się stało - zauważył Brand.

- Przepraszam - odezwał się grzecznie książę Geran. - Co ma się wydarzyć w Arendii?

- WYDARZENIE, wasza wysokość - odparł Beltira.

- Jakiego rodzaju wydarzenie?

- Kodeks Mriński używa tego słowa, gdy mówi o spotkaniu Dziecka Światła z Dzieckiem Mroku.

- Bitwa? - Oczy młodego Alorna rozblęły.

- Czasami tak jest - powiedziałem - ale nie zawsze. Brałem udział w jednym z owych WYDARZEŃ i było tam tylko dwóch ludzi.

Polgara pracowała w kuchni, ale najwyraźniej nie roniła nic z naszej rozmowy.

- Osobliwe, że ten Kallath pojawił się tak niedawno - myślała głośno, wycierając ręce w fartuch. - To chyba nie jest przypadek?

- Prawdopodobnie, Pol - powiedziałem.

- Wybaczcie mi raz jeszcze, proszę - wtrącił książę Geran nieśmiało. - Skoro my wiemy o nadejściu jednego z tych WYDARZEŃ, to czy Torak również o nim wie?

- Niechybnie - mruknął Beldin.

- Nie możemy go zatem zaskoczyć, prawda?

- Nie - oświadczył Beltira. - Wszyscy kierujemy się w mniejszym lub większym stopniu instrukcjami.

- Wiecie, co myślę? - kontynuował Geran. - Nie sądzę, aby to, co przydarzyło się mojej rodzinie, miało coś wspólnego z Klejnotem, tym, gdzie jest czy kto go strzeże. Ten Kallath robił coś, czego pragnął Torak. Pewnie staralibyśmy się przeszkodzić Kallathowi, toteż Torak wysłał Zedara, aby odwrócił naszą uwagę. Wszyscy pognaliście do Nyissy ukarać Salmisarę za wymordowanie mojej rodziny, a to dało Kallathowi - czy komukolwiek, kto po nim przyszedł - wolną rękę w realizacji pragnień Toraka. Wymordowanie mojej rodziny było... - Przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

- Odwróceniem uwagi - pomógł mu Belkira. - Wiesz, Belgaracie, myślę, że chłopiec trafił w sedno. Wszyscy znamy Zedara i on zna nas. Dokładnie wiedział, jak zareagujemy na zamordowanie Goreka i jego rodziny. W Mallorei działo się coś przełomowego, a ty, Beldin i Alornowie byliście w tym czasie w Nyissie. Mieliśmy w głowie tylko jedno i Torak wraz ze swym ludem wykorzystał to.

Beldin zaklął.

- To pasuje, Belgaracie - zauważył. - To pasuje do Toraka i pasuje do Zedara. Jak mogliśmy być na tyle głupi, by tego nie widzieć?

- Naturalne skłonności, zdaje się - odparłem posępnie. - Pewnie mieliśmy być na tyle głupi. Gratulacje, książę Geranie. Znalazłeś odpowiedź, której my, waląc od tygodni głowami w mur, szukaliśmy. Jak udało ci się wpaść na nią tak szybko?

- Nie ma w tym mej zasługi, dziadku - odparł skromnie chłopiec. - Nim Nyissanie wymordowali moją rodzinę, zacząłem pobierać lekcje historii. Nauczyciele opowiadali mi o wydarzeniach w Tolnedrze. Jak zrozumiałem, Vorduvianie byli dobrzy w tego rodzaju rzeczach, podobnie jak Honethowie.

- Cóż za umysł ma ten chłopiec! - podziwiał Beltira. - W mgnieniu oka poskładał wszystko do kupy!

- I będziemy musieli chronić ten umysł - i tych, którzy przyjdą po nim
- powiedziała Polgara ze stalowym błyskiem w oczach. - Zedar miał nadzieję, że za sprawą morderstwa wygaśnie rivańska linia, ale Wyrocznia Ashabińska najwyraźniej powiedziała Torakowi co innego.

- Czy to oznacza, że mój księżę będzie musiał pozostawać w ukryciu?
- zapytał Brand.

- Na to wygląda - odparł Beldin.

- Kto będzie go ochraniał?

- To moje zadanie, Brandzie - oświadczyła Polgara, zdejmując fartuch.

Wówczas stało się coś niezwykłego.

- Azali dobrowolnie przyjmujesz tę odpowiedzialność, moja córko?

To był głos Aldura. Wszyscy odwróciliśmy się szybko, ale nie było go, jedynie głos i osobliwe błękitne światło.

Polgara natychmiast zrozumiała konsekwencje pytania. Element świadomego wyboru zawsze grał istotną rolę w naszych poczynaniach. Przyznaję, że czasami błądziłem, ale zawsze przychodziła chwila, gdy musiałem dokonać wyboru. Polgara podeszła i położyła dłoń na ramieniu Gerana.

- Dobrowolnie, Mistrzu - odpowiedziała zdecydowanie. - Od tej chwili będę chronić rivańską linię i kierować nią.

W chwili gdy to rzekła, poczułem w głowie jedno z owych osobliwych kliknięć. Wybór Pol był jedną z tych rzeczy, które miały się wydarzyć. Nie jestem pewny dlaczego, ale poczułem ochotę, by podskoczyć z okrzykiem triumfu.

Spoglądając na to teraz, uświadomiłem sobie, że wybór Polgary był jednym z WYDARZEŃ, o których rozmawialiśmy. Doprowadził ostatecznie do Gariona, a Garion z kolei doprowadził do Erionda. W owym czasie wszyscy uważaliśmy, że nasza Konieczność musiała coś poświęcić, godząc się na rozdzielenie Gerana i Klejnotu. Myślę, że myliliśmy się. To rozdzielenie było zwycięstwem, nie niepowodzeniem.



Nie kłopotcie się. Wyjaśnię wam to - wszystko w swoim czasie.



Po dobrowolnym przyjęciu odpowiedzialności, Polgara zaczęła wydawać rozkazy. Robi to cały czas.

- Mistrz mnie powierzył to zadanie, panowie - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Nie potrzebuję żadnej pomocy i żadnego wtrącania się. Ukryję Gerana i podejmę konieczne decyzje. Nie kręćcie się koło mnie i nie próbujcie mi mówić, co mam robić. I, proszę, nie wytrzeszczajcie na mnie oczu. Po prostu trzymajcie się z dala. Zgoda?

Oczywiście zgodziliśmy się. Co innego mogliśmy zrobić?





Bez wątpienia zakaz Polgary był sensowny, więc przez następne pięć wieków nie widywałem jej zbyt często - a przynajmniej ona tak myślała. Choć co jakiś czas zmieniała miejsce pobytu, udawało mi się ją śledzić. Jej strategia polegała głównie na znikaniu wśród miejscowej ludności - zwykle w Sendarii. Sendaria jest wspaniałym miejscem na zachowanie anonimowości, ponieważ różnice rasowe nic tam nie znaczą, a Sendarowie są zbyt dobrze wychowani, aby wypytywać ludzi o pochodzenie. Ale nawet w najgrzeczniejszym Sendarze znacznie wzbudzać ciekawość ktoś, kto się nie starzeje, więc Pol rzadko zostawała w tym samym miejscu dłużej niż dziesięć lat.

Ten zwyczaj dostarczał mi rozlicznych rozrywek. Odszukanie kogoś, kto nie chce być znalezionym, nie jest najłatwiejszym zadaniem, a Pol nabrała dużej wprawy w zostawianiu mylnego tropu. Jeśli mówiła swym sąsiadom, że „pilne sprawy rodzinne” wzywają ją do Darine, to niemal z całą pewnością kierowała się do Muros lub Camaar. Raz, w czterdziestym trzecim wieku, wytropienie jej zajęło mi osiem lat. Jej nieuchwytność nie zmartwiła mnie zbyttnio. Jeśli potrafiła ukryć się przede mną, to z pewnością potrafi ukryć się przed każdym.

Poleciała mi trzymać się z dala, dlatego nabrałem niezłej wprawy w maskowaniu się, choć nie musiałem polegać na skrzydłach i sztucznym nosie. Człowiek, który potrafi zmienić się w wilka czy sokoła, nie ma wielkich trudności ze zmianą twarzy czy postaci.

Zwykle, gdy udało mi się ją wytropić, wpadałem do miasteczka czy wsi, w której właśnie mieszkała, węszyłem trochę i oddalałem się, nawet z nią nie rozmawiając.

Tolnedrański system traktów zawsze budził we mnie wielki podziw: znacznie ułatwiał podróżowanie, a ja musiałem wiele podróżować w pierwszych wiekach piątego tysiąclecia. Nie pochwalałem jednakże


pertraktacji Rana Horba z Murgami, które doprowadziły do otwarcia Południowego Szlaku Karawan.

Początkowo handel Tolnedran z Murgami był interesem jednostronnym. Kupcy tolnedrańscy wyruszali szlakiem karawan do Rak Goska, załatwiali swoje sprawy, a potem wracali do domów z sakiewkami pękającymi w szwach od czerwonego złota pochodzącego z kopalni Cthol Murgos.


Jednakże po alornskiej inwazji na Nyissę Murgowie zapalali namiętnością do handlu. Nie minął wiek, a co krok w Tolnedrze, Arendii czy Sendarii natrafiałem na poznaczone bliznami twarze Murgów.

Tolnedranie mówili o „normalizowaniu stosunków” i „cywilizacyjnym wpływie handlu”, ale ja wiedziałem swoje. Murgowie przybywali na zachód, ponieważ Ctuchik im kazał i handel nie miał nic do tego. O tym, że linia Rivańskich Królów nadal nie została przerwana, dość wyraźnie mówiły wszystkie prorocтва. Ctuchik wysłał Murgów w poszukiwaniu Polgary i spadkobierców, których ochronie się poświęcił.

W końcu doszło do punktu kulminacyjnego. Polgara przebywała w Sulturn, w centralnej Sendarii, z kolejnym dziedzicem i jego żoną. Tak się składało, że młodzieniec miał na imię Darion.



Z pewnością zauważyliście podobieństwo. To wina Polgary i jej przywiązania do tradycji. Upstrzyła rivańską linię powtórzeniami i wariacjami pół tuzina imion. Polgara potrafi być pomysłowa, ale chyba nie lubi.



Darion był stolarzem meblowym i to całkiem dobrym. Miał w pobliżu jeziora, przy bocznej uliczce, dobrze prosperujący warsztat, nad którym mieszkał wraz z żoną i swą ciotką.

Czy to nie brzmi znajomo?

Byłem w Val Alorn, gdy dotarła do mnie wieść o śmierci starego Gorima Ulgosów i o tym, że w jaskiniach pod Prolgu zamieszkał nowy

Gorim. Uznałem, że dobrze będzie wybrać się do Ulgolandu i poznać go. Zawsze lubiłem pozostawać w dobrych stosunkach z Ulgosami. Są trochę dziwni, ale ich lubię.

Jesień była już w pełni, gdy usłyszałem ową wiadomość. Musiałem się spieszyć, jeśli nie chciałem ugrzęznąć w górach w śniegu, więc wsiadłem na pierwszy statek, który wypływał z Val Alorn do Sendarii - statek, który „przypadkiem” kierował się do stołecznego miasta Sendaru, a nie do portu w Darine. Pewnie mógłbym to uznać za zbieg okoliczności, ale miałem co do tego wątpliwości.

Pogoda była sztormowa, toteż minęły cztery dni, nim pewnego szarego, pochmurnego popołudnia przybiliśmy do kamiennych nabrzeży Sendaru. Kupiłem konia i ruszyłem tolnedrańskim traktem na południowy wschód, do Muros. W połowie drogi pomiędzy Sendarem i Muros trakt „przypadkowo” przebiegał przez Sulturn. Chwilami mam już dość tego wodzenia za nos. Czasami działania przyjaciela Gariona wręcz rzucały się w oczy.

Skoro już jednak tam byłem i skoro siodło zaczynało mi się dawać we znaki, postanowiłem zamaskować się i poświęcić kilka dni na węszenie. Wjechałem do zagajnika na wzgórzu tuż za Sulturn, zsiadłem z konia, utworzyłem w myślach wizerunek postaci możliwie najbardziej różnej od mojej i wcieliłem się w nią. Koń wyglądał na nieco zaskoczonego. Jego nowy właściciel był dość wysoki, miał czarne jak węgiel włosy i krzaczastą brodę tego samego koloru.

Wjechałem do Sulturn, wynająłem pokój w walącym się zajeździe w zachodniej części miasta i węszyłem do wieczora. Zadawałem niewinne pytania i czujnie rozglądałem się dookoła. Pol i jej rodzina nadal tu przebywali. Wydawało się, że wszystko jest normalnie, zatem wróciłem do zajazdu na kolację.

Wspólną izbę stanowiło niskie pomieszczenie o czarnym belkowanym suficie. Stoły i ławy były proste, nie lakierowane, a palenisko dymiło. Siedziało tam pewnie z kilkunastu ludzi. Kilku miejscowych piło piwo z drewnianych, okutych miedzią kufli, a paru podróżnych jadło nieapetyczny gulasz, standardową potrawę we wszystkich zajazdach Sendarii, od Camaar po Darine. W Sendarii uprawia się sporo rzepy, a gulasz z rzepy nie należy do moich ulubionych dań.

Zaraz po wejściu spostrzegłem wśród obecnych Murga. Ubrany był na zachodnią modłę, ale skośne oczy i poznaczone bliznami policzki wszystko zdradzały. Siedział w pobliżu paleniska z podpitym Sendarem i rozmawiał z nim przy piwie o pogodzie.

Ponieważ nie mógł mnie rozpoznać, podszedłem i usiadłem przy sąsiednim stoliku. Kazałem dziewczę przynieść coś na kolację.

Po wyczerpaniu pogodowych tematów, Murgo przeszedł do sprawy.

- Zdaje się, że dobrze tu wszystkich znasz - powiedział do swego podpitego kompana.

- Wątpię, aby w całym Sulturn znalazło się dziesięciu ludzi, których bym nie znał - odparł skromnie Sendar, opróżniając kufel.

Murgo postawił mu następną.

- Zdaje się zatem, że znalazłem właściwego człowieka - kontynuował, próbując się uśmiechnąć. Murgowie tego nie potrafią, więc wyraz jego twarzy bardziej przypominał grymas bólu. - Mój ziomek przejeżdżał tędy w zeszłym tygodniu i pewna kobieta wpadła mu w oko.

Murgo, który choćby spojrział na niemurgoską kobietę? Absurd!

- Mamy tu, w Sulturn, parę prawdziwych piękności - przyznał Sendar.

- Mój przyjaciel spieszył się i nie miał czasu bliżej poznać owej damy, ale gdy usłyszał, że ja się tu wybieram, ubłagał mnie, bym się dowiedział o niej wszystkiego, co będę mógł - gdzie mieszka, jak się nazywa, czy jest zamężna i tak dalej.

- Opisał ci ją? - zapytał Sendar. Co za osioł! Nawet jeśli oczywiste zmyślenia Murga były prawdą, to musiał mieć rysopis. Jednakże tym razem nie było problemu. Ctuchik pewnie wyrył mu portret Polgary na gałkach ocznych.

- Powiedział, że była dość wysoka i bardzo piękna.

- Ten opis pasuje do wielu dam z Sulturn, przyjacielu. Nie dał ci żadnych szczegółów?

- Ma bardzo ciemne włosy - powiedział Murgo - ale także charakterystyczne białe paserko włosów na skroni.

Sendar roześmiał się.

- To proste - odparł. - Twojego przyjaciela oczarowała pani Pol, ciotka Darina, stolarza meblowego. Nie jemu pierwszemu to się przytrafiło, ale możesz przekazać, żeby lepiej gdzie indziej poszukał szczęścia. Pani Pol nie interesują mężczyźni i dokłada wszelkich starań, żeby ludzie o tym wiedzieli. Swoim ujadaniem potrafiłaby okorować drzewo z odległości pół mili.

Zakląłem w duchu. Będę musiał porozmawiać o tym z Pol. Po co się ukrywa, skoro nie zmienia swego imienia, wyglądu ani temperamentu?

Nie musiałem dłużej zostawać. Murgo dostał już, czego chciał, ja również. Odsunąłem misę wodnistego gulaszu z rzepy, wstałem i wyszedłem.

Ulice Sulturn były wyludnione. Zza rogów solidnych, kamiennych domów wiał zimny, porywisty jesienny wiatr. Ciężkie chmury przesłaniały księżyc, a nieliczne pochodnie, które miały oświetlać ulice, migotały i przygasały w podmuchach wiatru.

Nie zwracałem jednak zbytnej uwagi na pogodę. Bardziej interesowało mnie, czy nie śledzi mnie jakiś Murgo. Kilka razy zawracałem, krążyłem po wąskich, ciemnych uliczkach i do warsztatu Dariona doszedłem od tyłu.

Było już po zmroku, toteż warsztat był zamknięty, ale światła w oknach części mieszkalnej świadczyły o tym, że Darion i jego rodzina znajdowali się w domu. Nie zapukałem do drzwi. Nie było potrzeby niepokoić sąsiadów. Poradziłem sobie z zamkiem, wszedłem do środka i odszukałem w ciemności schody. Wbiegłem na górę, przeskakując po dwa stopnie, po omacku odszukałem drzwi i uporałem się z kolejnym zamkiem.

Drzwi prowadziły do kuchni. Poznałbym, że należy do Polgary, nawet gdyby znajdowała się na księżycu. Była przytulna i ciepła, urządzona w taki znajomy sposób. Polgara zawsze podobnie urządzała swoje kuchnie. Pol i jej rodzinka jedli właśnie kolację przy kuchennym stole, gdy wśliznąłem się do środka.

- Pol! - syknąłem ostro. - Musimy się stąd wynosić!

Polgara poderwała się na nogi z błyskiem w oczach.

- Co tu robisz, starcze? - zapytała z wyrzutem. Na tyle zdało się moje przebranie.

Darion wstał. Nie widziałem go od czasu, gdy był dzieckiem. Wyrósł od tamtych dni, a jego muskularne ramiona przywodziły mi na myśl Drasa o Byczym Karku.

- Kim jest ten człowiek, ciociu Pol? - zapytał.

- Moim ojcem - odparła krótko.

- Święty Belgarath? - W jego głosie brzmiało zdumienie.

- Nad tym „świętym” można by dyskutować - powiedziała Pol sucho.

- Mówiłam, żebyś trzymał się ode mnie z dala, ojczu.

- To nagły wypadek, Pol. Musimy natychmiast opuścić Sulturn. Nie myślałaś nigdy o ukryciu tego białego loku? Okropnie się rzuca w oczy, wiesz?

- O czym ty mówisz?

- W zajeździe, pół mili stąd, jest pewien Murgó. Wypytuje o ciebie. A co gorsza, dostaje odpowiedzi. Dokładnie wie, gdzie jesteś. Zbierz potrzebne rzeczy i wynośmy się stąd. Nie wiem, czy jest sam, czy nie, ale nawet jeśli, to niedługo.

- Czemu go nie zabiłeś?

Darion wytrzeszczył oczy.

- Ciociu Pol! - wykrzyknął.

- Ile wie? - zapytałem, wskazując na Dariona.

- Tyle, ile trzeba.

- To wymijająca odpowiedź, Pol. Czy wie, kim jest?

- Mniej więcej.

- Myślę, że czas na kilka szczegółów. Nie pakuj zbyt wiele. Resztę możemy kupić w Kotu.

- W Kotu?

- W Sendarii węszy za dużo Murgów. Czas, abyś przeniosła się do jednego z królestw Alorii. Zbierz trochę rzeczy, ja tymczasem wyjaśnię sytuację Darionowi i jego żonie.

- Nadal uważam, że powinieneś zabić Murga.

- To jest Sendaria, Pol, nie Cherek. Tutaj zwłoki zwracają uwagę. Gdy tylko będziesz gotowa, pójde kupić konie.

- Lepiej postaraj się o wóz, ojczy. Selena jest w ciąży. Nie pozwolę, by podskakiwała w siodle.

- Moje gratulacje, wasza wysokość - powiedziałem do Dariona.

- Co powiedziałeś?

- Gratulacje.

- Nie, to drugie - to o „waszej wysokości”.

- Och, Polgaro! - rzuciłem poirytowany. - To istna kpina! O ilu jeszcze rzeczach mu nie powiedziałaś? Zaczni pakuwanie, a ja mu wszystko wyjaśnię. - Odwróciłem się do Dziedzica Rivańskiego Tronu. - Dobrze, Darionie, słuchaj mnie uważnie - ty również, Seleno. Nie mam czasu powtarzać. - Wyjaśniłem im pobieżnie kilka spraw. Jak pewnie spostrzeżliście, to bardzo długa historia. Jednak po piętnastu minutach Darion i jego żona wiedzieli przynajmniej, że był on spadkobiercą tronu Rivy o Żelaznej Dłoni i dlaczego powinien unikać Murgów.

- Nie mogę tak po prostu zostawić swego warsztatu, Prastary - zaprotestował.

- Wprowadzę cię ponownie do interesu, gdy dotrzemy do Kotu. Obawiam się jednak, że ten będziesz musiał porzucić.

- Idź po wóz, ojczy - powiedziała Pol.

- Gdzie ja kupię wóz o tej porze?

- To go ukradnij. - Jej oczy przybrały kamienny wyraz.

- Mam dwukołowy wóz - powiedział Darion. - Używałem go do dostarczania mebli. Jest trochę rozklekotany, ale ma dwa dyszle. Zdaje mi się, że moglibyśmy jakoś doczepić do nich konia. Może będzie trochę ciasno, ale chyba zmieścimy się na nim we czwórkę.

- Bardzo stosowne - przyznałem ze śmiechem.

- Nie rozumiem.

- Mój stary przyjaciel zwykł podróżować na rozklekotanym dwukołowym wozie. - Wtem wpadłem na pomysł. Bardzo dobry, mimo iż sam tak mówię. - Ogień mógłby nam tu pomóc - zasugerowałem.

- Ogień?

- I tak musicie zostawić wszystko, Darionie, możemy więc to wykorzystać. Płonący dom wywołuje sporo zamieszania i przyciąga tłumy gapiów. To może odwrócić uwagę Murga na tyle długo, byśmy zdążyli uciec.

- Tam są wszystkie moje rzeczy! - zaprotestowała Selena. - Wszystkie meble, pościel, ubrania!

- To przyjemna strona opuszczania w pośpiechu miasta, drogie dziecko - powiedziałem jej wesoło. - Dostaniesz wszystko nowe, gdy przybędziemy na miejsce. Kupię ci wszystko, co zechcesz, po przybyciu do Kotu. Prawdę powiedziawszy, spaliłbym całe miasto, gdyby to pomogło nam wymknąć się temu Murgowi.

- Wątpię, aby to się udało, Prastary - odezwał się z powątpiewaniem Darion. - Dobrze mnie znają w Sulturn i ktoś z pewnością zobaczy, jak wyjeżdżam.

- Ukryję was na tyłach wozu - oznajmiłem. - Ludzie zobaczą jedynie zabawnego staruszka na rozklekotanym wozie.

- Czy to się uda?

- W przeszłości zawsze się udawało. Pójdę po swojego konia, a wy skończcie pakowanie.

Wróciłem do zajazdu. W drodze do stajni przystanąłem na chwilę, aby rzucić okiem na wspólną izbę. Mój Murgo nadal tam był i dalej rozmawiał z podpitym Sendarem. Najwyraźniej nie zamierzał przed świtem pójść tropem informacji, które zdobył.

Pod moją nieobecność Polgara ulepszyła plan. Musiała działać bardzo delikatnie, skoro nic nie słyszałem, a jeśli ja jej nie słyszałem, to z pewnością ten Murgo - lub Grolim, lub kimkolwiek był - też jej nie słyszał. Trzy ludzkie szkielety tuliły się do siebie przy jednym z okien.

- Miły dodatek, Pol - pogratulowałem.

- Trochę dodatkowego zamętu dla twego Murga, ojczu. Jeśli uwierzy, że Darion, Selena i ja zginęliśmy w płomieniach, to nie będzie nas szukał.


- Jestem pewny, że Ctuchik z zadowoleniem przyjmie te nowiny, dopóki nie zaczną ponownie czytać proroctw. A wówczas pewnie wywróci Murga na lewą stronę.

- A to dopiero byłby skandal!


Umieściłem ich na tyłach wozu i przykryłem kocami, a potem wyprowadziłem wóz na pustą ulicę. Ze wznieceniem pożaru odczekałem, aż niemal dotarliśmy do północnej bramy. Nie rozpałem dużego ognia, jedynie malutki na tyłach warsztatu. Leżały tam sterty drewna, a w kątach stopy wiórów, więc mój malutki ognek miał po dostatkim pożywienia. Trochę to trwało, ale w końcu urósł.

Bramy Sulturn nie były strzeżone. Sendarowie nie byli szczególnymi zwolennikami środków ostrożności, więc mogliśmy opuścić miasto nie zauważeni. Byliśmy już daleko za miastem, na drodze ku jezioru Medalia, gdy nagły snop dymu oznajmił, że dziecięcy ognek w końcu osiągnął dojrzałość i przebił się przez dach domu Dariona.

Jak już wspominałem, jesień była w pełni. W pochmurną, wietrzną noc jechałem wozem na północ, ku Medalii i dalej, do Darine, gdzie będziemy mogli wsiąść na statek płynący do Kotu w Drasni.



To jeszcze jedno z powtórzeń, Garionie. Pamiętasz tę noc, w którą opuściliśmy farmę Faldorna? Nie licząc rzepy, wszystko było identyczne.



Dotarcie do Darine zajęło nam dwa tygodnie, przede wszystkim dlatego, że trzymaliśmy się z dala od głównych dróg i specjalnie się nie spieszyliśmy. Nauczyłem się tego od swego Mistrza. Jeśli nie chcesz wzbudzać podejrzeń, nie spiesz się. Wielokrotnie używał tego przebrania i wątpię, aby ktokolwiek pamiętał o nim dłużej niż dziesięć minut.

Po dotarciu do Darine, Darion sprzedał konia i wóz. Potem na sendarskim statku handlowym popłynęliśmy do Kotu.

W Drasni nie było Murgów, ale handel wzdłuż Północnego Szlaku Karawan został wznowiony - gdy już Nadrakowie odzyskali siły po fatalnej przygodzie na pograniczu w dwudziestym piątym wieku -

więc w Kotu spotykało się czasami nadrackich kupców. Nadrakowie nie niepokoili mnie tak jak Murgowie, ale mimo to starałem się być ostrożny. Darion protestował, gdy urządziłem go jako drzeworytnika, a nie stolarza meblowego. Musiałem więc mu to wyjaśnić.

- Ten gość, na którego natknąłem się w Sulturn, pewnie opowiedział swym przyjaciołom wszystko, czego dowiedział się o tobie, więc wiele nieprzyjaznych oczu będzie zaglądać do każdego warsztatu stolarskiego w królestwach Zachodu. Dla bezpieczeństwa twego, twojej żony i twojej cioci Pol czas, abyś zmienił zajęcie.

- Pewnie masz rację, Prastary - przyznał chmurnie.

- Dostrzeż dobre strony tej zmiany, Darionie - powiedziałem. - Dobre rzeźby możesz sprzedać niemal tak drogo jak meble, a nie będziesz musiał kupować tyle drewna.

Zmieniłem również ich imiona i skłoniłem Pol, by trochę ufarbowała ten swój podejrzany lok, aczkolwiek na niewiele się to zdało.

W końcu uznałem, że czas, bym opuścił Kotu. Nie potrafiłem nawet dobrze ostrugać kija, przeto trudno byłoby wyjaśnić moją obecność w warsztacie rzeźbiarskim. Pożegnałem się i pożeglowałem z powrotem do Darine, potem udałem się do Muros i przeczekałem tam zimę, nim wyprawilem się do Ulgolandu. Nadal chciałem spotkać się z nowym Gorimem, choć nie aż tak, bym miał ochotę brnąć przez zasy dla przyjemności jego towarzystwa.

Następnę wiosny, aby uniknąć rozmaitych potworów z Ulgolandu, jak zwykle przybrałem postać wilka i ruszyłem w drogę. Zapewne mogłem polecieć jako sokół, ale nie spieszyło mi się szczególnie, a pewnie czułem się w wilczej skórze.

Po dotarciu do ruin Prolgu - aczkolwiek Prolgu nie było w rzeczywistości zrujnowane, a jedynie opuszczone - udałem się do pewnego domu i oznajmiłem swe przybycie. Ulgosi zaprowadzili mnie na dół, do swych rozjaśnianych przyćmionym światłem jaskiń i domu nowego Gorima. Tradycyjnie dom Gorima Ulgosów znajdował się w jednej z mrocznych jaskiń. To dziwnie ścięta, piramidalna budowla, stojąca na małej wysepce pośrodku płytkiego jeziora. Spływały do niego z góry strużki wody, rozbrzmiewając w tej wielkiej jaskini melancholijnym echem wiecznego żalu. Myślę, że to żal samego

Ula. Ulgosi żyli w ciemnościach od tak dawna, że światło dzienne budziło w nich lęk, a słońce jest zabójcze dla ich oczu. Wyspa ze swymi marmurowymi kolumnami i zacienionymi brzegami wydawała się bardziej odpowiednia na zgromadzenia duchów niż ludzi.

Przy tym jeszcze Ulgosi mówili szeptem, aby nie budzić wszechobecnego echa. Toteż wizyta w Ulgolandzie bardziej przypominała wycieczkę do mauzoleum.

Polubiłem nowego Gorima. Był łagodnym, świątobliwym człowiekiem. Dobrze się rozumieliśmy. Jak się jednak okazało, nie byłem jedynym gościem w Prolgu. Krótco przede mną przybył Horban, członek korpusu dyplomatycznego Tolnedry. W Tol Honeth u władzy była Druga Dynastia Horbitów, a uporczywe plotki, że w Ulgolandzie oprócz potworów żyją ludzie, obudziły ciekawość Rana Horba XVI. Wysłał więc swego kuzyna, Horbana, by zbadał sprawę i możliwość nawiązania kontaktów handlowych. Wiecie, jacy są Tolnedranie.

- On jest fatalnie niedouczony, Belgaracie - powiedział Gorim. - Nie ma absolutnie pojęcia o tym, co dzieje się na świecie. Dasz wiarę, że nawet nie wiedział o istnieniu Ula, gdy tu przybył?

- Tolnedranie to światowi ludzie, Święty Gorimie - wyjaśniłem. - Ich Nedra jest najbardziej świeckim ze wszystkich bogów.

Gorim westchnął

- To prawda - przyznał. - Co mamy zrobić z tym człowiekiem, Belgaracie? Potrafi jedynie mówić o wymianie bezużytecznych błyskotek. Nazywa to „handlem” i zdaje się, że to część ich religii.

Roześmiałem się.

- Lepiej mu trochę ustąpić, Gorimie. W przeciwnym razie nigdy nie zaznacie spokoju. Pozwól Tolnedranom przybyć do tej doliny u podnóża góry, a potem raz na jakiś czas pozwól swym ludziom pójść tam i wymienić kilka błyskotek. Jeśli dobrze odczytałem proroctwa, to nadejdzie czas, gdy wszyscy będziemy walczyć z Angarakami. Legiony tolnedrańskie też wezmą w tym udział, więc lepiej niech oswoją się z myślą o waszej tu obecności. Odkrycie nie wykorzystanego rynku mogłoby odciągnąć ich uwagę od spraw większej wagi.

- Aha - powiedział Gorim - żebym nie zapomniał, mam dla ciebie wiadomość.

- Wiadomość?

- Od Wyroczni z Kell. - Uśmiechnął się nieco z przymusem. - Myśleliśmy, że wszystkie więzy z naszymi kuzynami z Dali zostały zerwane dawno temu, ale Dalowie nie są tacy jak inni ludzie. Wieki minęły od naszego ostatniego kontaktu, oni jednak nadal nie zapominają, że jesteśmy rodakami.

- Chcesz powiedzieć, że jedna z Prorokiń przybyła do Prolgu? Kell jest pół świata stąd.

Gorim pokręcił głową.

- To była iluzja, Prastary. Prorokinie posiadają zdolności, których nie potrafimy pojąć. Pewnego ranka obudziłem się i ujrzałem człowieka z zawiązanymi oczami. Siedział przy moim stole, a za nim majaczyła ogromna milcząca postać. Ten z zawiązanymi oczami powiedział, aby przekazać ci, że zjednoczenie Mallorei niemal dobiega końca. Cesarz jest Angarakiem, jego tron znajduje się w Mal Zeth, ale kontynentem zarządzają głównie melceńscy biurokraci. Nawet Dalowie zainteresowali się rozwojem wydarzeń w Cesarstwie Mallorei. Prorokini powiedziała mi, bym cię przestrzegł, iż zbliża się czas, gdy Torak opuści swą samotnię, by odzyskać dawną władzę.

Kiwnąłem głową.

- Sami już na to wpadliśmy. Dobrze jednak mieć potwierdzenie. Zbiło nas z tropu, gdy Torak nie zaatakował zaraz po zamordowaniu Rivańskiego Króla, ale Jednooki Bóg najwyraźniej wybiegał myślami w przyszłość. Czeka na swój czas w Ashabie, pozwalając cesarzom angarackim umacniać swą władzę w Mallorei. Gdy do tego dojdzie, przejmie dowodzenie i zorganizuje inwazję.

- Czynisz przygotowania?

- Przyjacielu, przygotowuję się na przyjęcie Toraka od dnia, gdy rozłupał świat. Mam dla niego w zanadrzu kilka niespodzianek.

- Prorokini powiedziała również, bym cię ostrzegł, że Ctuchik opuścił Rak Cthol. Co też on zamierza?

- Szuka Polgary. Jego Murgowie od stuleci przetrząsają w jej poszukiwaniu cały Zachód. Najwyraźniej stary pies zamierza sam spróbować. Wiesz o jego poczynaniach, prawda?

Gorim skinął głową.

- Ul mnie informuje.

- Tak też myślałem. - Zmarszczyłem brwi. - Czemu nagle Dalowie przyszli nam z pomocą? Od początku czasu zachowywali całkowitą neutralność.

- Musimy założyć, że to ze względu na pomoc przy realizacji ich zadania. W jakiś sposób będą zaangażowani w rozstrzygające WYDARZENIE.

Pokiwałem posępnie głową.

- Tylko tego mi trzeba, żeby jeszcze ktoś mącił wodę. Już i tak jest wystarczająco mętna.

Zostałem w Prolgu około miesiąca, a potem wybrałem się do Arendii, by rzucić okiem na kilka rodzin, których doglądałem od wieków. Znaliśmy treść proroctwa i pewnie nie musiałem się martwić, ale zawsze lubiłem sam wszystkiego dopilnować. Nawet najlepsza maszyna czasami się psuje, a jestem w okolicy jedynym mechanikiem, który wie, jak ją naprawić.

Po zniszczeniu Vo Astur ksiązę Mimbratów okrzyknął się królem całej Arendii, choć w rzeczywistości niewiele to znaczyło. Mimbrańscy „monarchowie” byli ledwie marionetkami, którym politykę zagraniczną dyktowano z Tol Honeth i których trakty patrolowały tolnedrańskie legiony. Nie mieli jednak zbytnio czasu zastanawiać się nad tym. Chociaż wioski i miasta zostały zniszczone, to asturska szlachta i chłopcy nie wyginęli, aczkolwiek ich szeregi uległy znacznemu przerzedzeniu. Wrócili po prostu do swoich lasów i zajęli się łucznictwem - dla rozrywki i korzyści. Strzelali do drzew, do jeleni, ale główny cel stanowili mimbrańscy poborcy podatkowi. Jelenie zjadali, ale Mimbratów zostawiali tam, gdzie padli. Jak można się było spodziewać, rodzina Wildantora z entuzjazmem w tym uczestniczyła.

Porozglądałem się trochę, a gdy stwierdziłem, że rodzina Lelldorina była na właściwym miejscu i robiła, co do niej należało, kupiłem konia i pojechałem na południe, w kierunku Vo Mandor.


Było wczesne lato i gdy tylko wydostałem się poza pas mrocznego lasu pokrywającego północną Arendię, podróżowanie zrobiło się przyjemne. Wielki Trakt Zachodni ogromnie upraszczał wędrówkę. Pomocni Tolnedranie nawet zbudowali most na rzece Mallerin, więc mogłem przekroczyć ją, nie mocząc stóp.

Arendzki Wielki Jarmark znajdował się na skrzyżowaniu Wielkiego Traktu Zachodniego z głównym szlakiem, który biegł zachodnim krańcem Ulgolandu. Jarmark znajdował się tam od czasu Pierwszej Dynastii Horbitów, a to, że odbywał się pośrodku Wielkiego Traktu Zachodniego, oznaczało, iż chroniły go tolnedrańskie legiony, które nie dopuszczały do rozlewu krwi. Tolnedranie nie pozwalali, aby cokolwiek przeszkadzało w handlu, nawet wojna domowa. Uznałem, że dobrze będzie zatrzymać się tam na kilka dni, by dać wytchnienie koniowi i zebrać trochę informacji.

Arendzki Wielki Jarmark był chaotycznym skupiskiem kolorowych namiotów. Odbywał się prawie od tysiąca lat i był konkurencyjnym ośrodkiem handlu dla targu bydła w Muros, w Sendarii. A skoro potrzebowałem informacji, udałem się na poszukiwanie Drasan.



Tak, nawet wówczas. Do utworzenia drasańskiej służby wywiadowczej doszło wkrótce po alornskiej ekspedycji do Nyissy i, podobnie jak dzisiaj, jej szeregi zasilali głównie kupcy. Gdy spotkacie drasańskiego kupca poza granicami Drasni, możecie spokojnie założyć, że ma jakieś powiązania z wywiadem. Oczywiście jest zainteresowany robieniem pieniędzy, ale interesuje się również zbieraniem informacji. Królowie Drasni sprytnie podkreślali fakt, że zbieranie informacji jest patriotycznym obowiązkiem każdego obywatela, toteż na ogół szpiedzy w Boktorze nawet nie musieli za nie płacić. To bardzo wygodne rozwiązanie, gdy przychodzi czas zbilansowania budżetu.



Pod wieloma względami jarmark ten przypominał miasto. Miał własne sklepy, tawerny, a nawet zajazdy dla tych kupców, którzy nie chcieli kłopotać się przywożeniem własnych namiotów. Układem również przywoził na myśl miasto. Miał błotniste ulice i, podobnie jak w Muros, kilka dzielnic. Tolnedranie pilnujący porządku na jarmarku byli na tyle mądrzy, by oddzielić od siebie poszczególne rasy. Robienie interesów z kimś, kogo się nienawidzi, to jedna sprawa, ale obozowanie obok niego to już co innego.

Enklawa Drasan znajdowała się w północno-wschodniej ćwiartce, więc tam się udałem. Nie wyglądałem na kupca, toteż zdawali się mnie ignorować, ale nic nie umknie uwadze prawdziwego Drasanina. Oczywiście mógł tu być pomocny fakt, że rzucałem znaki rozpoznawcze, niczym druhna płatki róż na ślubie.

W końcu niewysoki kupiec, o bystrej twarzy i długim, spiczastym nosie wyszedł ze swego namiotu z fałszywym wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Grath! - zawołał. - Czy to naprawdę ty? Nie widziałem cię od dziesięciu lat! Co robisz w Arendii? - Jego palce zajęte były mówieniem mi, że był zawodowym szpiegiem i nazywał się Khaldan.

Wstrzymałem konia.

- Niech oślepnę, jeśli to nie mój stary przyjaciel Khaldan! - powiedziałem z pewnym entuzjazmem. Nigdy nie spotkałem się z nim osobiście, ale znałem jego ojca, gdyż miałem pewne plany względem tej rodziny. Ostatecznie połączenie małżeńskimi więzami rodziny Khaldana z panującym domem Drasni doprowadzi do przyjścia na świat drobnego człowieczka o spiczastym nosie, obdarzonego szczególnymi talentami. Gdy teraz o tym myślę, ten spiczastonosy facet bardzo przypomina Khaldana - co pewnie nie jest przypadkowe.

- Wejdz do środka - zaprosił mnie. - Wychylimy kilka kufli i opowiesz mi, co porabiałeś przez te wszystkie lata.

Zsiadłem z konia i wszedłem za nim do namiotu.

- Grath? - zapytałem ze zdziwieniem. - Skąd dowiedziałeś się o tym imieniu?

Drasanim szelmowskim gestem dotknął palcem nosa - najwyraźniej to rodzinne.

- Tajemnica państwowa - odparł. - Wywiad dużo o tobie wie, Prastary. W czym mogę ci pomóc?

- To nic konkretnego, Khaldanie - odparłem. - Udaję się na południe, to wszystko, i po prostu zatrzymałem się, żeby sprawdzić, czy nie wydarzyło się tu coś, o czym powinienem wiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- W Arendii nie dzieje się nic nadzwyczajnego, Prastary.

Spojrzałem znacząco na odchyloną połę namiotu.

- Nie przejmuj się, Garacie - zapewnił mnie. - Nikt niepożądany nie zbliżył się do mego namiotu. Możemy bezpiecznie rozmawiać.

- Być może, ale nie szafuj zbyt tym „Prastarym”. Czy do granicy tolnedrańskiej nic szczególnego się nie dzieje?

- Może lepiej, abyś objechał baronię Vo Mandor - zasugerował. - Baron właśnie posprzeczał się z jednym ze swych sąsiadów.

Zakląłem.

- O co chodzi?

- Z nim właśnie chciałem się zobaczyć.

- A zatem zostań tu parę tygodni. Zakończenie tej sprzeczki nie potrwa długo. Rodzina Mandora cieszy się tu, w Mimbre, niezłą reputacją. Pojęcie ostrożności jest im zupełnie obce, ale na szczęście, na razie nie trafili na nic, z czym nie potrafiliby sobie poradzić.

- Wiem - przyznałem - i niewiele się zmieni w dającej się przewidzieć przyszłości. Czy na jarmarku jest wielu Murgów?

- Zabawne, że o to pytasz. Właśnie sam miałem o tym powiedzieć. Kilka dni temu przyjechał tu wysoko urodzony Murgo. Musi zajmować dość wysoką pozycję, ponieważ inni Murgowie robili wszystko, co kazał, bez słowa sprzeciwu.

- Dowiedziałeś się przypadkiem, jak mu na imię?

- Tak, i nie był to przypadek. Jestem zawodowcem, przyjacielu. Nazywał siebie Achakiem, ale węższą tu podstęp.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, szczuplejszy od większości Murgów, miał białe włosy i długą, pożółkłą brodę. Nie jest wielkim czyściochem. Z tego, co słyszałem, okropnie cuchnie.

- No, no - powiedziałem. - Jak to dobrze się składa. Nie będę go musiał szukać.

- Znasz go?

- Znam go od stuleci. Gorim powiedział mi, że opuścił Rak Cthol. Ciekaw byłem, co robi.

- Rak Cthol? Chcesz powiedzieć, że ten Achak to Ctuchik, prawda?

- No cóż, tego jeszcze nie powiedziałem, ale na to wygląda.

- A to ci dopiero gratka. - Oczy mu pojaśniały. - Chcesz, bym go zabił?

- Zapomnij o tym, Khaldanie. Nie udałoby ci się wysłać w jego pobliże zabójcy. Poza tym później może być mi jeszcze potrzebny. Czy coś robi - poza terroryzowaniem wszystkich Murgów?

- Odbywa długie narady - z Murgami, Nadrakami, a nawet kilkoma Thullami. O co mu chodzi?

- Czegoś szuka.

- Tak? Czego?

Szelmowskim gestem dotknąłem nosa.

- Tajemnica państwowa - odwzajemniłem się jego własnym wykrętem. - Gdzie jest enklawa Murgów? Chyba utnę sobie jeszcze jedną pogawędkę z uczniem Toraka.

- Poślę kilku ludzi, aby cię strzegli.

- To nie będzie konieczne. Ctuchik nie przybył tu dla konfrontacji - a przynajmniej nie ze mną. Gdy tylko dowie się, że tu jestem, pewnie wróci do Rak Cthol, gdzie jego miejsce. Czy jest tu sam?

- Nie. Ma z sobą kapłana, Grolima - najwyraźniej pochlebcę. Jeśli Ctuchik wpadnie w wojowniczy nastrój, obu będziesz miał na karku, więc lepiej bądź ostrożny.

- Ilość niewiele dla mnie znaczy, Khaldanie. Gdzie jest enklawa Murgów?

- Na zachodnim krańcu jarmarku. Mieszkają w czarnych namiotach, więc ich nie przegapisz

- Dobrze. - Wstałem. - Wrócę niedługo. - Wyszedłem z namiotu, dosiadłem konia i pojechałem przez jarmark do enklawy Murgów. - Hej, ty tam - krzyknąłem do pierwszego napotkanego Murga. - Muszę rozmawiać z Achakiem. Gdzie go znajdę?

- Achak nie rozmawia z obcymi - odparł wyniośle.

- Ze mną będzie. Idź mu powiedz, że Belgarath chce się z nim zobaczyć.

Wyraźnie pobladł i spiesznie oddalił się w kierunku dużego namiotu. Po chwili wrócił, a jego maniery uległy wyraźnej poprawie.

- Zobacz się z tobą - oznajmił.

- Tak właśnie myślałem. Prowadź, przyjacielu.

Uczył to, choć niechętnie. Miałem wrażenie, że wolał nie znajdować się w pobliżu namiotu Achaka, gdy tam wejść.

Ctuchik nie był sam. Grolim, o którym wspomniał Khaldan, kręcił się z tyłu ze służalczym wyrazem twarzy.

- Okropnie miło znów cię widzieć, stary - powiedział Ctuchik z bladym uśmiechem przyklejonym do zbyt chudej twarzy. - Minęło wiele czasu, nieprawdaż? Już zaczynałem myśleć, że cię czymś obraziłem.

- Obrażasz mnie już samym swym istnieniem, Ctuchiku. Co skłoniło cię do zejścia ze szczytu? Czyżby w końcu smród twej świątyni zaczął przyprawiać cię o mdłości?

- Błuznierstwo! - krzyknął Grolim.

- Czy on służy do czegoś? - zapytałem, wskazując kciukiem na Grolima.

- To terminator, Belgaracie. Wprowadzam go w nasze sprawy.

- Czy ty się aby nadto nie wywyższasz, stary? Bierzesz już sobie uczniów? Torak może tego nie pochwalić.

- On jest służącym, Belgaracie, nie uczniem, a Torak pozwala nam robić, na co mamy ochotę. Pomyśl o tym, gdy następnym razem Aldur

wyśle cię z jakimś głupim zadaniem. Jeśli masz ochotę zmienić Mistrza, mogę się za tobą wstawić.

- Jedna czarna owca w rodzinie wystarczy, Ctuchiku, a poza tym nie zamierzam zmieniać strony, gdy wygrywam.

- Wygrywasz, Belgaracie? Dziwne, że tego nie zauważyłem. Lepiej zapoznaj się z mym służącym. Myślę, że od dziś będziesz go często widywał. - Spojrzał na Grolima. - Chamdar, to jest Belgarath, pierwszy uczeń Boga Aldura. Nie daj się zwieść jego głupiemu wyglądowi. Czasami potrafi być nieznośny.

- Staram się, jak mogę - powiedziałem z uśmiechem. Przyjrzałem się uważniej Grolimowi. Miał poznaczone bliznami policzki jak Murgowie, ale różnił się od nich. Było w nim pewne zuchwalstwo, a w oczach płonęła ambicja, z której chyba Ctuchik nie zdawał sobie sprawy. - Tracisz czas, Ctuchiku. Nie znajdziesz mojej córki, choćbyś nie wiem ilu Murgów słał na zachód i z pewnością sam też jej nie odzujesz. O czymś takim byłoby w naszych instrukcjach.

- Zobaczymy - odparł z rezerwą. - Okropnie miło, że wpadłeś, stary. Mogłem pokazać Chamdarowi twój portret, ale tak jest znacznie lepiej.

Roześmiałem się.

- Wysyłasz chłopca do męskiej roboty, Ctuchiku - orzekłem. - Nie zaprowadzę twojego sługi nawet w pobliże Polgary.

- To się okaże. Wcześniej czy później wydarzy się coś, co skłoni cię do pójścia do niej.

- Nigdy nie spotkałeś mej córki, Ctuchiku. Wierz mi, potrafi się o siebie zatroszczyć. Zabierz swego Grolima i wracaj do domu. Pogromca Boga nadchodzi i nic na to nie możesz poradzić.

- To WYDARZENIE nie zostało jeszcze postanowione.

- Ale tak będzie, stary, i nie sądzę, aby spodobały ci się rezultaty. Idziesz, Chamdarze?

- Iść? - zapytał zbity z tropu. - Dokąd?

- Nie bądź dziecinny. Gdy tylko wyjdę z namiotu, twój Mistrz każe ci mnie śledzić. Będzie nam obu łatwiej, jeśli odjedziemy razem.

- O tym zdecyduje mój Mistrz - odparł chłodno.

- Jak sobie chcesz. Pojadę stąd na południe. Gdybyś przypadkowo zgubił trop, za kilka tygodni będę w Tol Honeth. Rozpytaj o mnie, gdy tam dotrzesz. Wskażę ci drogę.

Potem odwróciłem się i opuściłem namiot.





Polgara uważała stulecia, które musiała spędzić w królestwach porywczych Alornów, za czas wygnania. Pol lubiła pojedynczych Alornów, ale jako rasa doprowadzali ją do szewskiej pasji. Tęskniła za powrotem do Sendarii. Sendarowie nie wydają się tak dwornymi jak wacuńscy Arendowie, ale są uprzejmymi, dobrze wychowanymi ludźmi, a dobre wychowanie jest dla mojej córki bardzo ważne.

W ciągu owych lat sporo czasu poświęciłem na zapewnienie rozrywek ambitnemu Chamdarowi. Raz po raz opuszczałem Dolinę, wybierałem na chybił trafił jakąś zapadłą wioskę w Sendarii lub północnej Arendii i zabijałem tam kilku Murgów. Chamdar oczywiście dochodził do wniosku, że zgładziłem ich, ponieważ za bardzo zbliżyli się do Polgary. Pędził na miejsce wypadku i przez pięć, sześć lat podążał różnymi fałszywymi tropami, które dla niego zostawiłem. Potem okazywało się, że ślady prowadzą donikąd i zaczynaliśmy wszystko od nowa w innym miejscu. Jestem pewny, że dobrze wiedział, co robię, ale nie miał innego wyboru. Musiał reagować na moje posunięcia. Fakt, że nie starzał się z biegiem stuleci, świadczył o pewnym jego statusie w społeczności Grolimów. Nie był uczniem w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zajmował bardzo zbliżoną pozycję.

Polgara w tym czasie przebywała bezpieczna - choć może niezadowolona - w Chereku, Drasni lub Algarii. Miała zwyczaj oddawania młodego dziedzica w termin do jakiegoś rzemieślnika, a kiedy osiągnął wiek męski, otwierała mu własny warsztat - tak było i z Darionem w czterdziestym piątym wieku. Nigdy nie dowiedziałem się, skąd zdobywała pieniądze na te wszystkie przedsięwzięcia. Niezmiennie podawała się za członka rodziny młodego człowieka, starszą siostrę, kuzynkę, bardzo często ciotkę, a kilka razy nawet za matkę młodzieńca. Rodziny, które w ten sposób tworzyła, były tak zwyczajne, że przypadkowi podróżni - lub pierwszy lepszy Angarak - nawet nie

zwracali na nich uwagi. Jestem pewny, że nudziło ją to, z własnej woli przyjęła jednak na siebie trud ukrywania spadkobierców, a odznaczała się wyjątkowo silnym poczuciem odpowiedzialności.

Mój wkład - trzymanie na dystans Chamdara - miał pomniejsze znaczenie, ale lubiłem myśleć, że byłem chociaż trochę pomocny. Doglądałem również regularnie wszystkich rodzin, których przyszłością manipulowałem i raz po raz zapuszczałem się do Cthol Murgos, aby sprawdzić, co zamierza przeciwnik.

Spółeczność Murgów nie podobna jest do żadnej innej, głównie dlatego, że opiera się na wojskowych zasadach. Zamiast księstw mają tam okręgi wojskowe, każdy z własnym generałem. Z powodu obsesji Murgów na tle czystości rasowej, ich kobiety pozostawały w domach, więc na ulicach widywało się jedynie mężczyzn w kolczugach. W ciągu stuleci korona przechodziła na różnych dowódców wojskowych, były więc Dynastie Goska, Cthan, Hagga i ostatnio Dynastie Urga. Tak naprawdę nie miało znaczenia, kto zasiadał na tronie w Rak Goska, ponieważ Ctuchik zawsze rządził Cthol Murgos ze swej wieży w Rak Cthol.

Bliźniacy kontynuowali prace nad indeksem, a Beldin nadal prowadził obserwacje w Mallorei. Wszystko toczyło się utartym szlakiem, aż do połowy czterdziestego dziewiątego wieku. Był to jeden z tych spokojnych okresów, które zdarzają się co jakiś czas w historii świata. Potem, wiosną 4850 roku, doszło do całkowitego zaćmienia słońca. Zaćmienie nie jest niczym wyjątkowym, dlatego nie przywiązywaliśmy do niego większej wagi - przynajmniej początkowo. Okazało się jednak, że było dość szczególne. Zdaje się, że pociągnęło za sobą znaczną zmianę klimatu. Dacie wiarę, że padało niemal bez przerwy przez dwadzieścia pięć lat? Prawie nie widywaliśmy słońca.

Kilka miesięcy po zaćmieniu Beldin wrócił z Mallorei z wiadomościami, na które wszyscy czekaliśmy. Ociekając wodą wkuśtykał po schodach do mej pracowni.

- Paskudna pogoda - mruknął. - Od trzech miesięcy nie byłem suchy. Masz coś do picia? Przemarzałem do szpiku kości.

- Chwilowo nie - powiedziałem. - Zajrzyj do bliźniaków.

- Może później. - Osunął się na krzesło przy kominku i zdjął przemoczone buty. - Nareszcie stało się, Belgaracie - powiedział, kurcząc palce u nóg.

- Co?

- Stara Spalona Gęba nareszcie opuścił Ashabę.

- Dokąd się udał?

- Do Mal Zeth. A gdzie by indziej? Usunął obecnego cesarza i przejął osobistą kontrolę nad Cesarstwem Mallorei. - Kichnął. - Jesteś ekspertem od starego angarackiego języka. Co znaczy słowo „Kal”?

- Król i Bóg. Grolimowie dość powszechnie używali tego określenia w Korimie. Zdaje się, że poszło w zapomnienie - pewnie dlatego, że Torak na ostatnie trzy tysiąclecia zaszył się w Ashabie.

- A zatem Spalona Gęba ma dobrą pamięć. Nazywa teraz siebie „Kal Torak” i dokłada starań, aby wszyscy w Mallorei rozpoznawali owo imię.

- Przeprowadza mobilizację?

- Jeszcze nie. Na razie zajęty jest desekularyzacją Mallorei. Ponownie wprowadza rozkosze religii. Urvon ma dzień wypełniony po brzegi. Jego Grolimowie zarzynają każdego, kto wpadnie im w ręce. Świątynie od Camat po Gandahar toną we krwi.

- Chodźmy porozmawiać z bliźniakami. Trzeba sprawdzić, co mówi o tym Kodeks Mriński.

- Ty szybko przystrój się w piórka i ruszaj na północ ostrzec Alornów.

- Za chwilę. Najpierw chcę rzucić okiem na Kodeks Mriński.

- Nie mam dużo czasu, Belgaracie. Muszę wracać do Mallorei. Nie chcę, aby Kal Torak chyłkiem najechał kraj z kilkoma milionami Mallorean.

- Jestem pewny, że usłyszę jego nadejście.

- Gdzie jest teraz Pol?

- W Brodzie Aldura, w północnej Algarii.

- Powiedz jej, żeby wracała do domu.

- Zobaczymy. Nie zrobię niczego, dopóki nie dowiem się, co mówi o tym Kodeks Mriński.

Bliźniaków ogarnęło wielkie podniecenie, gdy Beldin oznajmił im, że Torak nareszcie opuścił Ashabę. Natychmiast zabrali się do pracy. Beldin kuśtykał tam i z powrotem z coraz większą niecierpliwością.

- Proszę, bracie - zwrócił się do niego Belkira, unosząc głowę znad swojej kopii Kodeksu Mrińskiego - usiądź gdzieś. Usiłujemy się skoncentrować. - Tylko kilka razy zdarzyło się, aby któryś z bliźniaków okazał choćby odrobinę zdenerwowania.

Po godzinie Belkira triumfalnie poklepał Kodeks Dariński.

- Oto jest! - zawołał. - Wiedziałem, że pamiętam.

- O czym mówi? - dopytywał się Beldin.

- To jest ten fragment o zaćmieniu. Mówi: „Słuchajcie! Słońce pochłonie ciemność a niebiosy płakać będą bez końca i to będzie znak, że Król powrócił i Bóg również”.

- Ten kawałek o płaczącym niebie całkowicie się sprawdził - zauważył Beldin.

- Źle to odczytaliśmy - przyznał Beltira. - Ten fragment mówi tylko o jednym z nich, nie o obu.

- Czy zechciałbyś mówić bardziej do rzeczy? - wybuchnął Beldin.

- Rozpatrywaliśmy to ze złego punktu widzenia - wyjaśnił Beltira. - Myśleliśmy, że ten fragment oznacza, iż Rivański Król pojawi się ponownie i w tym samym czasie Torak opuści Ashabę. To jednak nie ma nic wspólnego z Rivańskim Królem. Mówi jedynie o Toraku, jako że on jest zarówno Bogiem, jak i królem dla Angaraków. Zaćmienie i podła pogoda ostrzegały nas przed tym, ale spadkobierca Żelaznopalcego ma już ponad pięćdziesiątkę, więc zlekceważyliśmy tę możliwość. Przykro nam, Belgaracie.

- Ja też pewnie bym to przegapił, Beltiro. Nie wiń siebie. Gdzie jest odpowiedni fragment w Kodeksie Mrińskim?

Belkira sprawdził w swym indeksie, wziął trzeci zwój Kodeksu Mrińskiego, rozwinął go i odszukał odpowiedni znaczek.

- Tutaj - powiedział, podając mi zwój i wskazując na znaczek.

- „*Śłuchajcie!* - przeczytałem głośno. - *W dzień, w którym słońce zgaśnie w południe, a niebiosy zapłaczą, ponownie pojawi się król i zasiądzie na tronie, i odsunie tego, kto go zastępował*”.

- Wiem, czemu mylnie go odczytaliście, bracia - zwrócił się Beldin do bliźniaków. - Jest tak niejasny, że równie dobrze mógł dotyczyć Rivańskiego Króla. Co mówi dalej, Belgaracie?

- „*I narodzi się ze swymi lennymi królami - czytałem dalej - instrukcji im udzieli, co czynić mają. W godzinie przeznaczenia zbierze swe siły i wyruszy, by stanąć twarzą w twarz z drugim Dzieckiem. I jedno z nich Bogiem będzie, a drugie z nich na podobieństwo Boga, i Klejnot zdecyduje o tym, co będzie na ziemiach dzieci Boga-Byka*”.

- Arendia? - Beldin zapytał. - Dlaczego Arendia?

- Już poprzednio czyniono do tego aluzje - powiedział Beltira. - Coś ważnego wydarzy się w Arendii.

- Co jeszcze mówi? - zapytał mnie Beldin.

Przeczytałem następną linijkę i zacząłem kląć.

- O co chodzi? - dopytywał się Beldin.

- Tu się urywa. Teraz mówi o „*Matce Wymarłej Rasy*”.

- Beltira i ja pracujemy jeszcze nad tym - rzekł Belkira.

- Wiemy dość na początek, Belgaracie - stwierdził Beldin. - Obaj mamy co robić, a bliźniakom lepiej się będzie pracowało, gdy nie będziemy im siedzieć na karku. Wracam do Mallorei. Ty lepiej ostrzeż Alornów i znajdź bezpieczne miejsce dla Polgary. W Brodzie Aldura jest tylko rzeka i dużo stepów.

Chrząknąłem i wstałem.

- Pewnie masz rację - przyznałem. - Wolałbym, co prawda, odczytać jeszcze kilka wskazówek, ale chyba nic z tego.

- Będziemy w kontakcie - obiecał Beltira. - Damy znać tobie lub Pol, gdy tylko trafimy na coś ważniejszego.

- Serdeczne dzięki, bracie - odparłem.

Odleciałem z Doliny na północ, do Twierdzy Algarów, i dowiedziałem się od doglądających ją ludzi, że Cho-Ram XIV, obecny

Wódz Wodzów Klanów Algarii, przebywa w okolicach jeziora Atun, w pobliżu granicy z Drasnią.

Jestem pewny, że to imię zabrzmiało wam znajomo. Rodziny królewskie zwyczajowo nadają te same imiona. To głupie, ale przynajmniej nie nadweręża niczyjej wyobraźni.

Odszukanie czternastego Cho-Rama zajęło mi tylko dwa dni. Wódz był młodym mężczyzną, zgodnie z tradycją nosił ubranie z końskich skór i miał ogoloną głowę - z wyjątkiem kosmyka zwisającego mu z tyłu głowy jak koński ogon. Przypominał bardzo adoptowanego syna Cho-Haga, Hettara.

- Najwyższy czas. - To wszystko, na co się zdobył, gdy opowiedziałem o nadejściu Toraka. Niezaprzeczalnie był prawdziwym potomkiem oszczędnego w słowach Algara Chyżonogiego.

- Nie przybywa z towarzyską wizytą - odparłem kwaśno.

- Wiem. - Uśmiechnął się.

Alornowie!

- Zbierz swoje klany - poradziłem.

- Ile mamy czasu?

- Nie jestem pewny. Mallorea jest duża i trochę czasu zajmie Torakowi zgromadzenie sił. Jest tam Beldin, więc da nam znać.

- Czy trzeba nam czegoś więcej? Zwołam klany i udamy się do Twierdzy. Będę tam, gdybyś mnie potrzebował.

- Czy Khalan jest nadal królem Drasni?

- Nie. Zmarł zeszłej jesieni. Jego syn, Rhodar, nosi koronę.

- Ruszę więc lepiej do Boktoru i porozmawiam z nim. Obserwuj uważnie Wschodni Szaniec. Coś ważnego wydarzy się w Arendii i Murgowie mogą zejść z urwiska, by trochę nadwerżyć wasze siły przed nadejściem Toraka. Stoicie mu na drodze.

- Dobrze.

- Dobrze? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie będę musiał go szukać.

- Czy twoja babka nie była przypadkowo Arendką?

- Belgaracie! Jak możesz coś takiego sugerować!

- Nieważne. Zabieraj się do pracy. Ja ruszam rozmówić się z Rhodarem, a potem do Val Alorn zobaczyć się z Eldrigiem.

Zauważcie, że w tym momencie bardzo pochopnie obrałem ścieżkę wiodącą do mylnego wniosku. Zarówno Mishrak ac Thull, jak i Algaria były krainami stepowymi, Torak zaś będzie prowadził wielką armię. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby przeprowadzić całe wojsko przez Puszczyę Nadraaku.

Rhodar I z Drasni nie był tak korpulentny jak jego imiennik pięć wieków później, ale i tak szczyił się okazałą tuszą. W końcu był potomkiem Drasa o Byczym Karku. W ciągu następných dwudziestu lat zadbał o to, by stracił większość sadła. Ostrzegłem go przed tym, co działo się w Mallorei. Zaczął układać plany obrony z generałami, a ja polecałem do Val Alorn.

Król Chereku, Eldrig, był prawdziwym przedstawicielem swej rasy. Po pierwsze, jego kufel częściej wypełniała woda niż piwo, a po drugie, odebrał stosowne wykształcenie. Pod tym względem przypominał bardzo Anhega. Różnili się jedynie tym, że Anheg od czasu do czasu lubił wypić.

- Arendia? - zapytał, gdy powiedziałem, co ma się wydarzyć.

- Tak mówi Kodeks Mriński.

- Jesteś pewny? Torak przybywa na zachód, aby zdobyć Klejnot, prawda? Klejnotu nie ma w Arendii, jest w Rivie.

- Bliźniacy nadal pracują nad Kodeksem Mrińskim. Może dogrzebią się wyjaśnienia. Jak na razie wiemy tylko, że do WYDARZENIA dojdzie na ziemiach dzieci Boga-Byka. Jeśli nic się nie zmieni, oznacza to Arendię.

Eldrig podrapał się po siwej głowie i utkwiał spojrzenie w mapie.

- Torak może przejść przez Mimbre, a potem skręcić na północ, na Przylądek Arendii, by dostać się na Wyspę od południa. Jeśli akurat będziemy na jego drodze, może dojść do konfrontacji.

Ja również spojrzałem na mapę.

- Nie ma potrzeby tam gnać, dopóki Torak nie wykona ruchu - stwierdziłem. - Daj znać Brandowi. Powiedz mu, że przybędę na Wyspę trochę później. Najpierw muszę załatwić parę spraw.

- Uważasz, że powinienem wprowadzić blokadę Wyspy? - zapytał.

- Ostatecznie trzeba to będzie zrobić, ale nie drażnijmy na razie Tolnedran, każąc im zamykać stragany na plaży. Będę potrzebował legionów, więc wolę, by Ran Borune nie popsuł nam szyków. Starczy nam czasu, gdy Torak ruszy, aby wypełnić Morze Wiatrów okrętami wojennymi. Beldin nas o tym wcześniej uprzedzi.

- Żałuję, że nie mamy nic więcej do roboty.

- Ja również, ale jak na początek wystarczy. Czy mógłbyś ostrzec również Ormika z Sendarii?

- Nie mówisz poważnie!

- Sendarowie również tu żyją, Eldrigu.

- Na niewiele przydadzą się w walce hodowcy kapusty.

- Być może, ale jeśli wszystko przybierze taki obrót, jak myślę, to prawdopodobnie co jakiś czas będziemy musieli przejść przez Sendarię, dlatego lepiej mieć Ormika po swojej stronie.

- Będzie, jak mówisz, Prastary. - Usiadł wygodniej w swym fotelu. Król Eldrig miał siwe włosy, ale uśmiech, który nagle rozjaśnił mu twarz, był zaskakująco młodzieńczy. - Na to czekaliśmy, prawda, Belgaracie?

- Przypuszczam, że faktycznie to jedno z tych WYDARZEŃ. Myślę, że będą jeszcze inne.

- Jedno na razie wystarczy. Nie jestem zachłanny. To jest to WYDARZENIE, na które czekaliśmy od czasów Chereka.

- O tym, jaki z ciebie szczęściarz, pogadamy po wojnie, Eldrigu. Ostatnia nie była zbyt przyjemna, o ile sobie przypominam. Rozpocznij przygotowania i sięgnij do swego skarbcza, by wynająć budowniczych okrętów. Być może będę potrzebował więcej statków.

Eldrig skrzywił się.

- Może zaciągnąłbym pożyczkę u Rana Borune.

- Osobiście nie radziłbym ci, musiałbyś dobrze uważać na jego procenty. Bierz się do roboty, Eldrigu. Będę z tobą w kontakcie.

Z Val Alorn poleciałem na południowy wschód, do Brodu Aldura w północnej Algarii, by porozmawiać z Polgarą. Jej dom stał przy samym brodzie, więc ruszyłem wolno przez miasto w kierunku rzeki. Nie licząc Twierdzy, Bród Aldura jest jedynym miastem w Algarii. Algarowie mieli dość nikłe pojęcie o tym, jak powinno wyglądać miasto. Idea wytyczonych prosto ulic nie przyjęła się i mieszkańcy Brodu Aldura budowali swe domy, gdzie popadło. Toteż odnalezienie drogi było prawdziwym wyzwaniem.

W końcu odszukałem dom Pol i zapukałem do drzwi. Otworzyła niemal natychmiast. Jak zwykle była ubrana na niebiesko i powitała mnie ze swą zwykłą uprzejmością.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała z wyrzutem. - Czekam na ciebie już od dwóch tygodni.

- Musiałem porozmawiać z paroma Alornami. - Zajrzałem w głąb jej kuchni. Przy stole siedział jedenastoletni chłopiec. Nietrudno było go rozpoznać, jako że wszyscy potomkowie Rivy wyglądali bardzo podobnie. Miał jasne włosy i ten sam poważny wyraz twarzy. Obok niego ciemnowłosa Algarka łuskała groszek. Nigdy nie byłem pewny, ile Polgara wyjawiała kolejnym wychowankom, więc uznałem, że lepiej porozmawiać z nią na osobności. - Przejdźmy się trochę, Pol - zaproponowałem. - Musimy podjąć bardzo ważne decyzje.

Polgara obejrzała się, skinęła głową, schwyciła szal i wyszła.

- Co się stało z jego ojcem?

- Umarł - odparła krótko, a w jej głosie dał się słyszeć ten sam stary smutek.

- Jak chłopcu na imię?

- Garel. Jest dziedzicem.

- To rzuca się w oczy.

Widziałem, że nie miała ochoty rozmawiać, więc szliśmy w milczeniu. Brzegiem rzeki oddaliliśmy się poza ostatnie domy. Chmury, które od miesięcy bez przerwy pokrywały niebo, rozstały się i na krótko zaświeciło słońce. Lekki wietrzyk marszczył powierzchnię

wody. Spojrzałem na drugą stronę szerokiej rzeki i poczułem szczególny dreszcz. Byłem niemal pewny, że to na tamtym brzegu zabawny staruszek na rozklekotanym wozie udzielił mi wskazówek na temat podziału Alorii, gdy dwadzieścia dziewięć stuleci temu wracałem z Cthol Mishrak z Cherekiem i jego chłopcami.

- O co chodzi? - zapytała z ciekawością Pol.

- Nic ważnego - odparłem, wruszając ramionami. - Już tam byłem, to wszystko. Domyślam się, że wiesz, co się wydarzyło?

Polgara kiwnęła głową.

- Bliźniacy mi powiedzieli. Nie mogli cię zlokalizować, więc poprosili, bym przekazała ci kilka rzeczy.

- Słucham.

- Udało im się wydobyć trochę więcej informacji z Kodeksu Mrińskiego. Brand będzie Dzieckiem Światła w tym WYDARZENIU.

- Brand?

- Tak mówi Kodeks Mriński. W odpowiednim fragmencie czytamy: „Niechaj ten, który miast Strażnika stoi, spotka się z Dzieckiem Mroku we włościach Boga-Byka”. To chyba oznacza Branda, prawda?

- Trudno, aby znaczyło kogoś innego. Najwyraźniej zasady zostaną złagodzone, w każdym razie na tyle, by Brand mógł wziąć miecz Rivy.

- Bliźniacy nic nie mówili. Zdaje się, że nadal pracują nad tą częścią proroctwa. Coś znajdują.

- Przynajmniej powinni. Podaj mi dłoń, Pol. Chciałbym porozmawiać z bliźniakami, a oboje powinniśmy słyszeć ich słowa.

Kiwnęła głową i wyciągnęła do mnie rękę. Przez te wszystkie lata rzadko dotykaliśmy się z Pol, a jeszcze rzadziej łączyliśmy swe umysły, aby coś wspólnie zrobić. Kolejny raz zaskoczyła mnie głębia umysłu mojej córki oraz jego subtelność. Najbardziej uderzał mnie jednak jej głęboki smutek. Zdaje się, że wszyscy przeoczyliśmy fakt, iż zadanie, które dobrowolnie na siebie wzięła, wiązało się z wychowaniem wielu chłopców, przyglądaniem się, jak dorastali, żenili się, a potem starzeli i umierali. W jej umyśle rozbrzmiewało echo nie słabnącego smutku, którego nic nigdy nie ukoi.

Połączyliśmy swe umysły i wysłaliśmy wspólne wołanie.

- *Bracia!*

- *Belgarath?*- dotarł do nas w odpowiedzi głos Beltiry. - *Gdzie jesteś?*

- *W Brodzie Aldura. Jest ze mną Pol. Moglibyście wyjaśnić nam kilka rzeczy?*

- *Oczywiście.*

- *Czy dowiedzieliście się już, jak Brand ma użyć Klejnotu?*

- *Nie. To bardzo trudne, Belgaracie. Myślę, że to będzie ważne WYDARZENIE. Kodeks Mriński zawsze robi się bardzo niejasny, gdy mowa o jednym z nich.*

- *Są jakieś wskazówki, co ja mam robić?*

- *Ty i Pol macie udać się do Rivy na spotkanie z alornskimi królami. Jest coś jeszcze. Przed udaniem się do Rivy macie zabrać spadkobiercę Żelaznopalcego do Twierdzy.*

- *Nie ma mowy!* - przekrzyczyła mnie Pol. - *Twierdza znajduje się dokładnie na trasie przemarszu Toraka.*

- *Ja wam przekazuję tylko zdania z Kodeksu Mrińskiego, Pol - odparł Beltira. - „A Strażnik winien schronić się w Twierdzy Ludu Koni, albowiem cała potęga Dziecka Mroku nie zwycięży jej murów”. Pewnie masz słuszość. Torak będzie oblegać Twierdzę, ale jej nie zdobędzie.*

- *Nie podoba mi się to* - oświadczyła gniewnie.

- *To ma sens, Pol - powiedziałem głośno. - My musimy udać się do Rivy, która jest bezpiecznym miejscem dla Garela i jego matki. W ciągu tych ośmiuset lat przede wszystkim trzymaliśmy Klejnot z dala od kolejnych dziedziców. Jeśli zabierzemy Garela do Rivy, to będzie musiał wziąć miecz, a jest jeszcze za młody. - Potem ponownie wysłałem swe myśli ku bliźniakom. - Czy udało wam się ustalić ramy czasowe owych WYDARZEŃ?*

- *Z Kodeksu Mrińskiego? Wiesz przecież, że tam nie istnieje pojęcie czasu.*

- *Mieliście wieści od Beldina?*

- *Raz czy dwa. Torak nadal jest w Mal Zeth i ma przy sobie Zedara i Uruona.*

- *A zatem powinniśmy zdążyć.*

- *Zobaczmy. Będziemy dalej nad tym pracować, ale wy lepiej ruszajcie.*

Wróciliśmy z Pol brzegiem rzeki ku Brodowi Aldura.

- Nie podoba mi się to, ojczy - powtórzyła.

- Mnie również. Gramy w grę Pol, a jeszcze nie znamy wszystkich zasad, więc chyba musimy zdać się na wiarę. Musimy wierzyć, że Cel wie, co robi.

- Nadal mi się to nie podoba.

- Czasami musimy robić rzeczy, których nie lubimy, Pol. Za to nam płacą.

- Płacą?

- To taka przenośnia.

Garel i jego matka nie wiedzieli zbyt wiele o swej prawdziwej sytuacji i uznaliśmy z Pol, że tak będzie lepiej. Wszyscy Dziedzice Tronu Rivy byli, jak to nazywaliśmy, „utalentowani” - jedni bardziej, inni mniej - a nie jest zbyt bezpiecznie, by czarodziej-nowicjusz wiedział zbyt wiele. Garion, który jest bardziej niż trochę utalentowany, z pewnością pamięta, jak w dzieciństwie, które spędził na farmie Faldorna, wielokrotnie z Pol zręcznie wykręcaliśmy się od odpowiedzi na jego pytania. Oczywiście to Pol postanowiła, aby tak robić, ale gdy się trochę nad tym zastanowiłem, całkowicie poparłem jej decyzję. Dzięki temu uniknęliśmy różnego rodzaju nieprzyjemnych sytuacji.

W Brodzie Aldura jak zwykle puściliśmy w obieg historię o „nie cierpiących zwłoki sprawach rodzinnych”. Dzień później spakowaliśmy Garela i Adane i wyruszyliśmy do Twierdzy. Po przybyciu porozmawiałem z Cho-Ramem i we troje pojechaliśmy do Rivy.

Pogoda na Wyspie Wiatrów zwykle jest okropnie paskuda, więc ledwie zauważaliśmy ową gruntowną zmianę klimatu, którą przyniosło zaćmienie. Nad portem szalała ulewa. Schody wiodące do Cytadeli przypominały wodospad, a z okapów, pokrytych łupkiem kamiennych domów, spływały na brukowane ulice potoki wody. Wszystko sprawiało dość przygnębiające wrażenie.

Eldrig i Rhodar jeszcze nie przybyli, więc spotkaliśmy się z Brandem i Cho-Ramem w jednej z wież majaczących nad Cytadelą. Przez ostatnie kilka lat włóczyłem się trochę, toteż nie znałem zbyt dobrze obecnego Strażnika Rivy. Choć pozycja Strażnika nie jest dziedziczna, to jednak kolejnych mężczyzn, którzy ją zajmowali, cechowało pewne podobieństwo charakterów.

Rivanie nie posunęli się tak daleko jak Nyissanie, ale przy wyborze Branda postępowali dość podobnie. Wszyscy Rivańscy Strażnicy byli solidnymi, wrażliwymi mężczyznami, na których można było polegać. Ten jednakże był prawdziwie wyjątkowy. Przypuszczalne Dziecko Światła było potężnym mężczyzną. Alornowie na ogół są wysocy. Tolnedranie, będący raczej drobnej budowy, próbowali rozpowszechnić stare tolnedrańskie przysłowie przeciwstawiające fizycznym rozmiarom zdolności umysłowe. Sam nie jestem zbyt wysoki, ale nieraz czułem się mały przy spotkaniu z tymi olbrzymami. Obecny Rivański Strażnik był inteligentny i miał niski, głęboki, spokojny głos. Polubiłem go od samego początku, a w miarę upływu lat nieubłaganie zbliżających nas do spotkania w Arendii, lubiłem go coraz bardziej.

- Pewny jesteś, że król Garel będzie bezpieczny w Twierdzy? - zapytał.

- Tak mówi Kodeks Mriński - odparłem.

- Nie martw się, Brandzie - zapewnił go Cho-Ram. - Nikt nie przedrze się przez mury.

- Mówimy o królu, Cho-Ramie - powiedział Brand. - Nie mam zamiaru rzucać na szalę jego bezpieczeństwa.

- Udam się tam osobiście, Brandzie, przez dwadzieścia lat będę stał na murach i niech sobie Torak rzuca przeciwko mnie całe swoje siły.

- Nie, tego nie uczynisz, Cho-Ramie - oświadczyłem zdecydowanie. - Nie pozwolę, byś zamknął się w Twierdzy. Byle pułkownik potrafi obronić to miejsce. Ja muszę mieć wszystkich królów Alorii pod ręką.

- Czulbym się jednak lepiej, gdyby mój pan, Garel, był tutaj - rzekł Brand.

- To nie jest dobry pomysł. Jeśli znajdzie się w pobliżu Klejnotu, Torak zaraz będzie o tym wiedział. Jeśli zostanie w Twierdzy, nadal będzie anonimowy i Torak nawet nie będzie wiedział, że on tam jest.

- W końcu będzie musiał tu przybyć, Belgaracie.

- Tak? A to dlaczego?

- Po swój miecz. Jeśli ma stawić czoło Torakowi, będzie go potrzebował.

- Wyciągasz zbyt pochopne wnioski, Brandzie - odezwała się Polgara.

- Garel nie jest tym, który stawi czoło Torakowi w Arendii.

- On jest Rivańskim Królem, Polgaro. To jego przeznaczenie.

- Nie tym razem.

- A zatem, jeśli nie on, to kto?

- Ty.

- Ja? - Co trzeba mu zaliczyć na plus, nie dodał owego nieuniknionego „Dlaczego ja?” Jednakże wzrok miał trochę błędny.

Zacytowałem mu stosowny fragment Kodeksu Mrińskiego.

- Wygląda na to, że zostałeś wybrany, Brandzie - dodałem.

- Nawet nie wiedziałem, że kandydowałem. Co mam robić?

- Nie jesteśmy pewni. Będziesz wiedział, gdy nadejdzie czas. Gdy staniesz twarzą w twarz z Jednookim, Konieczność przejmie pałeczkę. Zawsze to robi.

- Czuję się jednak o wiele pewniej, gdybym wiedział, co się wydarzy.

- My również, ale nic z tego. Nie martw się, Brandzie. Poradzisz sobie.

Eldrig i Rhodar dołączyli do nas miesiąc później i zaczęliśmy opracowywać strategię. Beldin zapewniał nas, że Torak nie spieszył z wymarszem na zachód. Zamiast tego koncentrował się na umacnianiu swej władzy nad podbitymi narodami Mallorei. Nie lękałem się żadnych niespodzianek, Torak był zbyt arogancki, by zakraść się do nas chyłkiem. Chciał, byśmy wiedzieli, że nadchodzi.

Po kilku spotkaniach zaprosiliśmy do nas króla Ormika z Sendarii. Urodziła go Alornka, więc włączenie Ormika do naszego grona było jak

najbardziej na miejscu. To, iż spędzaliśmy na Rivie wspólnie sporo czasu, nie uszło uwagi innych. Wywiad Rana Boruna nie był tak dobry jak Rhodara, ale nawet najbardziej tępy szpieg nie mógł nie zauważyć, że coś wisiało w powietrzu.

Torak kilkanaście lat spędził na umacnianiu swej absolutnej władzy w Mallorei - zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że Garel w 4860 roku ożenił się z algarską dziewczyną, Araviną, która tego samego roku urodziła mu syna, Gelana. Jesienią 4864 roku Murgowie i Nadrakowie zamknęli szlaki karawanowe na wschód. Echa zboliałych zawodzeń z Tol Honeth rozbrzmiewały od dżungli Nyissy po polarne pustkowia Morindlandu. Ran Borune wysłał noty protestacyjne do Rak Goska i Yar Nadrak, ale zignorowano je. Król Murgów z Rak Cthoros i Yar Lek Thun Nadraków otrzymywali rozkazy od Ctuchika i żaden z nich nie miał zamiaru wchodzić w drogę chodzącemu trupowi z powodu urażonych uczuć Rana Boruna. Nie wiem, czy Ctuchik pofatygował się, aby powiedzieć Gethelowi Mardu, władcy Thullów, o planowanej inwazji na Zachód, jako że Gethel pewnie nie wiedział nawet, gdzie znajdował się zachód.

Zamknięcie traktów handlowych było wyraźnym sygnałem, że Torak zamierza ruszać, więc Brand oznajmił, iż zamyka port Rivy w związku z „remontem”, a okręty Eldriga wprowadziły jego słowa w czyn. Sprawy przybierały zdecydowanie niekorzystny obrót dla handlowych magnatów z Tol Honeth.

Po zamknięciu portu Rivy zebraliśmy się raz jeszcze w Cytadeli.

- Sprawy zaczynają dojrzewać, ojczy - zauważyła Polgara. - Myślę, że czas, byś porozmawiał z Ranem Borunem.

- Pewnie masz rację - przyznałem ponuro.

- Skąd ta ponura mina, Belgaracie? - zapytał Brand.

- Spotkałeś kiedyś Rana Boruna?

- Nie miałem tej przyjemności.

- To nie jest najlepsze określenie, Brandzie. Borunowie są uparci, swarliwi i absolutnie sprzeciwiają się wierze we wszystko, co choćby trochę wykracza poza zwyczajność.

- Czy nie powinniśmy uprzedzić również Arendów? - zaproponował ubrany w skóry Cho-Ram.

- Jeszcze nie - odparłem. - Chyba trochę za wcześnie. Zapomną, że Torak nadciąga, jeśli będzie dalej niż dwa dni drogi od ich wschodnich granic.

- Arendowie nie są aż tak głupi, ojciec - zaprotestowała Pol.

- Doprawdy? Cho-Ramie, postaraj się zawiadomić Gorima Ulgosów o tym, co się święci, a ty, Ormiku, może przesunąłbyś swoje składy na północny brzeg rzeki Camaar? Jeśli będziemy mieć w Arendii wojnę, będzie nam potrzebne zaopatrzenie.

- Rola nas wyżywi, jeśli będzie trzeba - powiedział Rhodar.

- Oczywiście, może przez tydzień. Potem będziemy zjadać własne buty, ale ciebie już to nie będzie obchodzić.

Do Tol Honeth wyruszyłem następnego ranka i przybyłem na miejsce dwa dni później. Ran Borune IV był młodzieńcem, który na imperialnym tronie zasiadał od kilku lat. Trzecia Dynastia Borunów dopiero raczkowała i Borunom nie udało się jeszcze pozbyć wszystkich Honethów i Vorduvian z rządu. Zamknięcie szlaków handlowych ze Wschodem i „remont” portu Rivy szczególnie zdenerwowały Honethów. Dzień bez zysku jest dla nich dniem żałoby, więc nieprzerwany strumień petentów, wysokiej i niskiej rangi, dobijał się do drzwi Rana Boruna, żądając, by coś w tej sprawie zrobił. W rezultacie minęło kilka dni, nim udało mi się z nim zobaczyć.

W ciągu stuleci imperialne rody z Tol Honeth wierzyły tylko w to, co chciały. Rozsądnie zapewniali jedni drugich, że imiona „Belgarath” i „Polgara” są dziedzicznymi tytułami. Przyjęcie innego tłumaczenia nie wchodziło w rachubę, więc nie zamierzałem z Ranem Borunem dyskutować o takich drobiazgach.

- Czy wasza wysokość słyszał o wydarzeniach w Mallorei? - zapytałem.

- Rozumiem, że mamy nowego cesarza. - Podobnie jak wszyscy członkowie jego rodziny, Ran Borune były niski. Prawdopodobnie odziedziczył to po Driadach. Imperialny tron Tolnedry został zaprojektowany tak, by robił wrażenie. Był pokaźnych rozmiarów

i przybrany cesarską purpurą. Ran Borune przypominał na nim dziecko siedzące na fotelu, do którego jeszcze nie dorosło.

- Ile wiesz o tym nowym cesarzu w Mal Zeth? - zapytałem.

- Nie tak znów wiele. Mallorea daleko, a bliżej domu mamy źródła zmartwień.

- Lepiej zacznij się martwić Kal Torakiem, ponieważ nadciąga.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Mam źródła informacji, do których ty nie masz dostępu, Ranie Borunie.

- Znowu te nudne stare bzdury, Belgaracie? To może robić wrażenie na Alornach, ale z pewnością nie na mnie.

Puściłem uwagę mimo uszu.

- Nie o tym mówię, Ranie Borunie. Te informacje pochodzą od szpiegów Rhodara. Nic nie ukryje się przed drasańskim szpiegiem.

- Czemu Rhodar mnie nie powiadomił?

- Powiadamia cię. Właśnie po to tu jestem.

- Od razu trzeba było tak mówić. Wyślę emisariuszy do Mal Zeth, aby zapytać, jakie intencje ma cesarz Mallorei.

- Nie trać czasu, Ranie Borunie. Prawdopodobnie za kilka miesięcy stanie u twoich drzwi, więc zapytasz go osobiście.

- Jaki on jest? I czemu wybrał właśnie takie imię?

- Jest arogancki, nieugięty i zżera go ambicja. Słowo „Kal” znaczy Król i Bóg w starożytnym języku Angaraków. Coś ci to mówi?

- Szaleniec? - Ran Borune wyglądał na zaskoczonego.

- On pewnie za takiego się nie uważa, a już z pewnością nie biorą go za takiego jego Angarakowie. Przekonał ich, że jest naprawdę Torakiem, głównie dzięki temu, że Grolimowie wypruli flaki wszystkim, którzy nie wierzyli. Torak przybywa na Zachód i pędzi przed sobą całą Malloreę.

- Najpierw będą musieli przejść przez ziemie Murgów, a ci nie cierpią Mallorean i z pewnością nie pokłonią się przed cesarzem Mallorei.

- Murgowie zrobią, co im każą Grolimowie, Ranie Borunie, a oni uznali tego Kal Toraka za prawdziwego Toraka.

Ran Borune zaczął obgryzać paznokcie.

- Zdaje się, że możemy mieć problem - przyznał. - Czy szpiegdy Rhodara dowiedzieli się już, dlaczego chce nas najechać?

- Pewnie, by rządzić światem - powiedziałem, wzruszając ramionami.

- Nie wiemy dokładnie dlaczego, ale wydaje się, że jego celem jest Arendia.

- Arendia? To zupełnie bez sensu!

- Wiem, ale takie informacje zebrał wywiad drasański. Jeśli nie zrobimy czegoś, by go powstrzymać, to bardzo duża, nieprzyjazna armia rozbije obóz u twojej północnej granicy.

- Będzie musiał przejść przez Algarię, aby dostać się do Arendii.

- My też tak przypuszczamy.

- Czy Algarowie są przygotowani na jego przyjęcie?

- Algarowie przygotowywali się na angarską inwazję przez ostatnie trzy tysiąclecia. Podobnie jak Cherekowie i Drasanie, Alornowie i Angarakowie w ogóle się nie zmienili.

- Słyszałem. Chyba postawię legiony w stan pogotowia.

- Posunąłbym się dalej niż „stan pogotowia”, Ranie Borunie. Po drodze tutaj przyjrzałem się kilku twoim legionom. Lepiej trochę zahartuj żołnierzy. Są w żalostnej kondycji. Ja wracam teraz do Rivy. Myślę, że czas wzmocnić obronę Algarii. Zawiadomimy cię, jeśli szpiegdy Rhodara dowiedzą się czegoś więcej. - Potem skłoniłem się i wyszedłem.

Wielokrotnie korzystałem z tego wybiegu w kontaktach z Tolnedranami. Rzekoma wszechwiedza drasańskich szpiegów bywa czasami użyteczna. Łatwiej skłamać, niż powiedzieć, skąd naprawdę pochodzą moje informacje.

Wiosną 4865 roku Kal Torak poprowadził swych Mallorean lądowym przejściem do Morindlandu, a potem ruszył na południe wzdłuż wybrzeża. Po minięciu gór Gar og Nadrak, cała jego armia zniknęła w rozległych prastarych lasach porastających Północ.

Brałem udział już w wielu wojnach i być może dlatego błędnie oceniłem posunięcia Toraka. Ludzki generał wybrałby krótszą, łatwiejszą drogę, by dotrzeć na pole bitwy. Nie chciałby marnować swych sił. Nie chciałby, aby żołnierze byli wyczerpani, gdy nadejdzie czas walki. Torak jednakże zdecydowanie nie był ludzkim generałem. Życie żołnierzy nic dla niego nie znaczyło i miał sposoby, aby zmusić ich do walki, bez względu na stopień wyczerpania.

W każdym razie byliśmy wraz królami Alorii do tego stopnia przekonani o tym, że Torak pójdzie dalej wzdłuż wybrzeża do Mishrak ac Thull, iż kompletnie nas zaskoczył, gdy sprowadził swą armię z gór w zachodnim Gar og Nadrak, a potem, wczesnym latem 4865 roku, powiódł na mokradła wschodniej Drasni.

Sam Torak podróżował w żelaznym pawilonie przypominającym zamek, któremu nie brakowało nawet bezużytecznych wieżyczek i okazałych murów. Pawilon miał koła, ale i tak trzeba było stada koni i około tysiąca Grolimów, aby go ciągnąć. Dreszcz przebiegał mnie na myśl o trudzie, jaki kosztowało oczyszczenie drogi przez lasy Gar og Nadraku dla tego idiotycznego pojazdu.

Prawie natychmiast stało się jasne, że Kal Torak nie przybył jako zdobywca, ale jako niszczyciel. Nie był zainteresowany okupowaniem Drasni i niewoleniem ludzi. Chciał ich wszystkich zabić. Każdy pojmany Drasanin był bezzwłocznie składany w ofierze przez kapłanów Grolimów.

Patrząc na to z perspektywy czasu, rozumiem, o co mu chodziło. Oczywiście musiał dotrzeć do Arendii, ale zostawił sobie dość czasu na wyniszczenie Drasan, nim przejdzie do Algarii czy Chereku, by tam zrobić to samo. Arendia zajmowała drugorzędne miejsce w jego myślach. Przed dotarciem tam pragnął zetrzeć z powierzchni ziemi Alornów.

Błędna ocena jego prawdopodobnej strategii poważnie ograniczyła nasze działania i w rezultacie hordy Toraka zniszczyły Boktor, zanim zdążyliśmy zgromadzić na północy wystarczające siły, by stawić mu opór. Ponieważ byliśmy w beznadziejnej mniejszości, nawet nie udawaliśmy, że prowadzimy wojnę. Pognaliśmy na północ z ekspedycją ratunkową, zbierając wszystkich uchodźców, których udało nam się

znaleźć. Okręty Eldriga przewoziły tłumy przerażonych Drasan z wysepek w delcie rzek Aldura i Mrin, algarska jazda zgarniała tych, którzy uciekli w kierunku jeziora Atun i eskortowała ich do względnie bezpiecznej Twierdzy. Wielka kolumna uciekinierów z Boktoru dokonała zdumiewającego czynu, docierając ze swego płonącego miasta do doliny rzeki Dused, która była granicą pomiędzy Drasnią i Półwyspem Chereku. Pozostalej ludności pozostawała jedynie ucieczka na bagna. Tylko nieliczni przeżyli.

Gdy już stało się jasne, że nie możemy stawić czoła armii, którą rzucił przeciwko nam Kal Torak, uznaliśmy Drasnię za straconą. Musiałem dokonać kilku brutalnych posunięć, aby uratować ze wspaniałej drasańskiej armii, ile się dało. Nawet nie próbowałem dyskutować z pogrążonym w smutku Rhodarem. Po prostu odciągnąłem go wraz z jego pikinierami na południe, na stepy Algarii. Byłem przekonany, że będę ich później potrzebował.

I tak oto wczesnym latem 4866 roku Drasnia została zniszczona. Gdy wróciliśmy tam po wojnie, nie mogliśmy znaleźć nawet jednego całego domu, a na bagnach ukrywało się kilka tysięcy ocalałych ludzi.

Po zniszczeniu Drasni, Torak zatrzymał się, aby przegrupować siły. Naszym problemem było odgadnięcie, którędy pójdzie dalej. Czy ruszy na północ i najedzie Cherek? Czy też pójdzie na południe, by dotrzeć do Arendii przez Sendarię? A może poprowadzi swe hordy na południe, do Algarii? Najbardziej przerażająca była myśl, że biorąc pod uwagę rozmiary jego armii, mógł po prostu podzielić siły i iść w trzy strony.

Taką strategią by nas pokonał. Jestem naprawdę zaskoczony, że o tym nie pomyślał.





Król Chereku, Eldrig, starzec o posiwiałych włosach i długiej białej brodzie, stał przy oknie i spoglądał na siekane deszczem wody zatoki portowej Rivy. Minęły dwa tygodnie od zabrania z Drasni ostatnich ocalałych mieszkańców.

- Znasz go, Belgaracie - powiedział. - O czym on myśli? Co zamierza zrobić?

- Zdaje się, że pytasz niewłaściwego człowieka, Eldrigu - powiedział z goryczą Rhodar. - Świątobliwy Belgarath nie miał ostatnio zbyt wiele szczęścia w swych domysłach.

- Dość tego, Rhodarze - powiedział stanowczo Brand swym głębokim spokojnym głosem. - Nie jesteśmy tu po to, by rozdrapywać stare rany. Musimy zdecydować, co teraz robić, nie co powinniśmy byli zrobić w zeszłym miesiącu. - Odkrycie, że Brand będzie Dzieckiem Światła w tym WYDARZENIU, znacznie podniosło jego autorytet i alornscy królowie automatycznie uznali jego zwierzchność.

- Wiemy, że ostatecznie wyląduje w Arendii - powiedział Ormik z Sendarii. Ormik był najbardziej zwyczajnie wyglądającym człowiekiem ze wszystkich mi znanych ludzi. Nawet ci, którzy go widywali na co dzień, pewnie nie zauważyliby go w tłumie. - Czy to oznacza, że skręci na południe po przegrupowaniu sił?

- I zostawi odsłonięte tyły? - zapytał drwiąco Eldrig. - To niezbyt prawdopodobne. Uważam, że nim minie miesiąc, stanie pod bramami Val Alorn.

- Nie spodziewaj się po nim racjonalnych działań - ostrzegłem. - Myślę, że najlepszym dowodem na to są wydarzenia w Drasni. Nie miał interesu w przedzieraniu się przez puszcę Nadraku, a jednak to uczynił. On nie myśli jak ludzki generał.

- Czemu zniszczył Drasnię? - zapytał Rhodar ze łzami w oczach.

Wzruszyłem ramionami.

- Prawdopodobnie z zemsty. Drasanie zupełnie starli z powierzchni ziemi Nadraków podczas pamiętnej bitwy w trzecim tysiącleciu.

- To było blisko dwadzieścia pięć wieków temu, Belgaracie - zaprotestował Rhodar.

- Torak ma bardzo dobrą pamięć.

- Teraz zasadniczym pytaniem jest to, czy podzieli swoje siły, czy nie - doszedł do wniosku Cho-Ram. Algarski wódz spokojnie ostrzył swoją szablę.

Zęby mi zgrzytały na dźwięk przesuwanej po stali osełki.

- To nie leży w jego charakterze - oświadczyłem - ale tym razem nie możemy mieć pewności.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał się Cho-Ram, odkładając szablę i osełkę na stół przed sobą.

- Torak uwielbia mieć pełną kontrolę nad swym ludem. Jeszcze w czasach Wojny Bogów Angarakowie byli najściślej pilnowanym ludem na ziemi. Od tego czasu trochę się zmieniło. Torak ma teraz uczniów, którym pozostawia wiele spraw. Ctuchik może zasugerować podział sił, Zedar z pewnością by to uczynił.

- Czy Torak ich posłucha? - zapytała Polgara.

- Nie jestem pewny. Nie spodoba mu się ten pomysł, ale może dostrzeże konieczność takiego posunięcia. - Spojrzałem przez pokrytą kroplami deszczu szybę. - To jedynie przeczucie - przyznałem - ale nie sądzę, żeby podzielił swą armię. Jeśli miałby taki zamiar, zrobiłby to po wyjściu z gór na wrzosowiska Drasni. Logicznie rzecz biorąc, był to odpowiedni czas na wysłanie kolumny na południe do Algarii, ale on zrobił coś innego. Jego myśli biegną chyba tylko w jednym kierunku. Tak zachowują się ogarnięci obsesją ludzie, być może bogowie również. Po prostu myślę, że nie podzieli swych sił. Bez względu na to, jaką obierze drogę, pociągnie z sobą wszystkich ludzi. Tak naprawdę on nie jest tu po to, aby wygrywać bitwy. Przybył, by niszczyć, a do tego trzeba znacznych sił.

- A zatem jedynym pytaniem pozostaje, kto będzie następny - podsumował Eldrig. - Myślę, że zaatakuje Cherek.

- Po co? - zapytał Cho-Ram. - Wszyscy twoi ludzie są na okrętach i ich nie dostanie. Myślę, że teraz uderzy na Algarię. Ma w Arendii umówione spotkanie, a to oznacza, że najpierw musi przejść przez moje ziemie.

- Lub moje - dodał cicho Ormik - a mój lud nie bardzo zna się na wojaczce. Jeśli będzie mu się spieszyło do Arendii, pójdzie przez Sendarię.

- Czy to wszystko nie jest trochę niegodziwe? - zapytał zgryźliwie Rhodar. - Widzieliście, panowie, co stało się z moim królestwem, a teraz wszyscy wynajdujecie powody, dla których powinniśmy zgromadzić nasze siły na terytorium któregoś z was.

- Aloria jest jedna, Rhodarze - powiedział Eldrig. - Wszyscy smucimy się tym, co wydarzyło się w Drasni.

- Gdzie zatem byliście, gdy was potrzebowałem?

- To była moja wina, Rhodarze - oświadczyłem. - Jeśli chcesz w kogoś rzucać kamieniami, rzucaj we mnie i nie mieszaj w to bratnich królów. Kodeks Mriński mówi, że w końcu Torak będzie oblegał Twierdzę. Nie informuje, czy przedtem uda się gdzie indziej.

- Kiedy przybędzie do Arendii? - zapytał Eldrig.

- Nie wiemy - odparłem szorstko.

- A on wie?

- Prawdopodobnie. Tym razem ruch należy do niego. My wykonujemy kontrposunięcia. Gdy wyprawiliśmy się z Cherekiem i jego chłopcami do Cthol Mishrak, wiedzieliśmy, kiedy mamy tam dotrzeć. Torak nie orientował się, że nadciągamy. Wówczas to my mieliśmy przewagę. Tym razem on ją ma.

- A zatem możemy jedynie czekać - zauważył Brand. - Musimy go obserwować i czekać w pogotowiu, i natychmiast odpowiedzieć na każdy jego ruch.

- To żadna strategia, Brandzie - zaprotestował Cho-Ram.

- Z radością wysłucham innych propozycji.

- Możemy zrobić coś jeszcze - odezwała się Polgara. - Myślę, że czas już włączyć do tego inne królestwa, szczególnie Tolnedrę. Będą nam potrzebne legiony.

- Ran Borune nie lubi Alornów, Polgaro - wyjaśnił Eldrig. - Nie sądzę, aby zechciał choćby wysłuchać naszych dyplomatów.

- Możliwe, ale myślę, że wysłucha mnie i mego ojca. Porozmawiamy również z Arendami i Nyissanami.

- Nie traciłbym czasu na Nyissan - rzucił pogardliwym tonem Cho-Ram. - Przez większość czasu są tak odurzeni narkotykami, że nie będzie z nich żadnego pożytku w walce.

- Nie byłbym taki pewny, Cho-Ramie - powiedziałem. - Gdyby jednemu dobremu nyissańskiemu trucicielowi udało się dostać w pobliże kuchni wojsk Toraka, to zabiłby więcej Angaraków niż cały tolnedrański legion.

- Belgaracie! - zawołał Cho-Ram. - To okropne!

- Tak jak to, co wydarzyło się w Drasni. Torak ma nad nami przewagę liczebną, musimy więc znaleźć sposób na wyrównanie sił. - Wstałem. - Bądźcie w pogotowiu, panowie. Ja z Polgarą udaję się na jakiś czas na południe.

Ponad tydzień zabrało nam odszukanie obozowiska asturskiego księcia i jego ubranych na szaro łuczników. Po części winna była temu pogoda. Nie kończący się przekłety deszcz spowijał drzewa na podobieństwo mgły, przesłaniając wszystko na ziemi. Nawet gdy na krótko wracaliśmy do własnych postaci, Pol pachniała jak wór mokrego pierza, a ja pewnie cuchnąłem jak zmokły pies. Żadne z nas nie dało nic po sobie poznać, ale każdego wieczoru siadaliśmy po przeciwnych stronach ogniska.

Waham się użyć tego słowa, ale jedynie przypadkiem znaleźliśmy asturski obóz. Deszcz przestał na chwilę padać, mgła rozwiała się, wiatr ustał i Pol dostrzegła dym, unoszący się z obozowych ognisk.

Asturski książę nazywał się Eldallan. Był szczupłym mężczyzną o młodzieńczym wyglądem, odzianym, podobnie jak jego ludzie, na szaro. Ukrywający się w lasach zwykle wybierają ten kolor. Obozowisko było dość rozległe. Stało tam kilka namiotów, ale

większość łuczników mieszkała w prymitywnych szałasach, przypominających chaty chłopów pańszczyźnianych. Zdaje się, że była w tym pewna sprawiedliwość. Łucznicy Eldallana wywodzili się głównie ze szlachty i spanie w lepiankach dawało im okazję do przekonania się, jak żyła druga część społeczeństwa.

Eldallan nie był skory do współpracy - przynajmniej początkowo. Jego ludzie zbudowali mu prymitywny fotel, na którym zasiadał niczym na tronie. Obok bawiła się jego ośmioletnia córeczka, Mayaserana.

- To problem Alornów - odrzekł na naszą prośbę. - Moim problemem są Mimbraci. - Prawdopodobnie w próbie odróżnienia się od ziomków z południa Asturowie pozbyli się owych „waści” i „azaliż”.

- Jestem pewny, że zmieniłbyś zdanie, gdyby rozciągnięto cię na ołtarzu, a Grolimowie wyrwaliby ci serce, wasza miłość - powiedziałem bez ogródek.

- To tylko bajki, Belgaracie - szydził. - Nie jestem tak naiwny, żeby wierzyć alornskiej propagandzie.

- Może pozwolisz mnie z nim porozmawiać, ojcze? - zaproponowała Pol. - Znam Arendów o wiele lepiej od ciebie.

- Chętnie - zgodziłem się. - Ten skrajny sceptycyzm działa mi na nerwy.

- Proszę wybaczyć memu ojcu, wasza miłość - zwróciła się do księcia ze słodyczą w głosie. - Dyplomacja nie jest jego najmocniejszą stroną.

- Nie jestem bardziej skłonny tobie uwierzyć w te przerażające historie, lady Polgaro. Dobrze znane są twoje wcześniejsze związki z wacuńskimi Arendami. Masz powody, by kochać Asturów.

- Nie zamierzam ci opowiadać przerażających historii, wasza miłość. Pokażę ci, co Angarakowie zrobili z Drasnią.

- Złudzenia - odrzucił jej propozycję ze wzruszeniem ramion.

- Nie, wasza miłość. Rzeczywistość. Mówię jako księżna Erat, a żaden prawdziwy dżentelmen nie podaje w wątpliwość słowa szlachcianki. A może pomyliłam się zakładając, iż w Asturii są dżentelmeni?

- Wątpisz w mój honor?

- A ty kwestionujesz mój?

Wzruszył ramionami.

- Dobrze, wasza miłość - przystał niechętnie. - Jeśli dasz słowo honoru, że to, co proponujesz pokazać, naprawdę się wydarzyło - zgoda.

- Wasza miłość jest zbyt uprzejmy - mruknęła. - Cofnijmy się zatem w czasie i do północnej Drasni. Oto co naprawdę wydarzyło się, gdy Kal Torak zszedł na wrzosowiska.

Usłyszałem, a może poczułem przyływ Woli i Pol wykonała nieznaczący, osobliwy gest przed jego twarzą.

Naturalnie ja niczego nie zobaczyłem, ale książę tak.

- Co się stało, ojcze? - zapytała dziewczynka, gdy zapłakał przerażony.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Polgara unieruchomiła go na jakieś ćwierć godziny. Jego oczy robiły się coraz szersze z przerażenia, a twarz trupio pobladła. Po kilku minutach zaczął błagać Pol, aby przerwała.

Ale nie uczyniła tego.

Książę rozplakał się, a córka przypatrywała się mu ze zdumieniem. Jestem pewny, że pragnął przesłonić oczy dłońmi, ale nie mógł się poruszyć. Jęczał. Nawet kilka razy krzyknął, ale Polgara nie dawała się ubłagać. Nie pozwoliła mu się ruszyć, dopóki nie obejrzał wszystkich okropieństw.

Gdy go w końcu uwolniła, spadł z fotela i leżał na ziemi, nie mogąc się powstrzymać od szlochu.

- Co zrobiłaś memu tacie, zła pani? - zapytała z wyrzutem dziewczynka.

- Za kilka minut wróci do siebie, kochanie - powiedziała łagodnie Pol.
- Miał po prostu zły sen, to wszystko.

- Ale przecież jest dzień, a on nawet nie spał.

- To się czasami zdarza, Mayaserano. Nic mu nie będzie.

Pół godziny zajęło Eldallanowi odzyskanie panowania nad sobą, a gdy mu się to w końcu udało, gotów był słuchać.

- Nie zamierzam nalegać na bezpośrednie spotkanie pomiędzy tobą a królem Mimbratów - powiedziałem. - To byłoby zbyt wiele.

- On nie jest królem - poprawił mnie niemal bezwiednie Eldallan.

- Myśli, że jest, ale nie o to chodzi. Udam się ze swą córką do Vo Mimbre i porozmawiamy z nim. Opracujemy warunki rozejmu pomiędzy wami i postaramy się o kilku Sendarów, którzy wystąpią w roli emisariuszy. Sendarzy są neutralni. To ludzie honoru, więc nie musicie obawiać się oszustwa. Powiedz swoim łucznikom, aby przestali marnować strzały na Mimbratów. Będziesz potrzebował każdej strzały, gdy nadejdą Angarakowie.

- Będzie, jak powiedziałeś, Prastary. - Nagle zrobił się bardzo ugodowy. Zdecydowanie nie chciał, by Polgara jeszcze coś mu pokazała.

Udaliśmy się z Pol do miasta o żółtych murach, Vo Mimbre. Poeci mimbrańscy wypisywali różne bzdury o swym Złotym Mieście, ale prawda była taka, że w okolicznych kamieniołomach wydobywano żółty kamień budowlany. Nie było w tym nic mistycznego czy choćby znaczącego.

Po zniszczeniu Vo Astur, w 3822 roku, książęta mimbrańskich Arendów zaczęli tytułować siebie „królami całej Arendii”, ale to była fikcja. Władza tronu z Vo Mimbre kończyła się na krańcach Puszczy Arendzkiej.

Arendowie prędkiej są skłonni zaakceptować niektóre sprawy niż Tolnedranie. Po dotarciu do Vo Mimbre przedstawiliśmy się i zostaliśmy niezwłocznie zaprowadzeni do sali tronowej „króla” Aldorigena XII. Aldorigen był nieco starszy od księcia Eldallana i znacznie potężniejszej budowy. Mimbrańscy Arendowie zaczynają nosić pełną zbroję jeszcze w dzieciństwie i dźwigając jej morderczy ciężar, wyrabiają sobie mięśnie. Niestety nie wpływa to zauważalnie na objętość ich mózgów.

Kolejny raz powstrzymam się od użycia słowa „zbieg okoliczności”. Po prostu „zdarzyło się”, że Aldorigen również miał ośmioletnie dziecko - syna, imieniem Korodullin. Czy to nie interesujące?

Aldorigen był nie mniej uparty od Eldallana, więc Polgara musiała powtórzyć swe przedstawienie. Król zmienił nastawienie równie szybko jak jego asturski ziomek. Asturscy i mimbrańscy Arendowie zawsze utrzymywali, że kompletnie się różnią. Jednak prawdę mówiąc, nigdy

nie potrafiłem ich odróżnić, mimo iż Mimbraci nadal posługiwali się archaiczną mową, a Asturowie nie.

Gdy już Polgara nastawiła odpowiednio Aldorigena, porozmawiałem z ambasadorem Sendarii. Wkrótce odbył on kilka podróży tam i z powrotem, przenosząc informacje pomiędzy Mimbrem i Asturią. Potem ja i Pol wyruszyliśmy do Tol Honeth.

Sceptycyzm Rana Boruna co do intencji Toraka wyparował po wydarzeniach w Drasni. Przynajmniej skłonny był nas wysłuchać.

- Przyjmuję, że Alornowie mają jakiś plan - powiedział, gdy wyjaśniliśmy mu sytuację.

- Tymczasowy - odparłem. - Inwazja Kal Toraka na Drasnię nauczyła nas nie trzymać się kurczowo podjętych ustaleń. Wiemy, że wszystko rozstrzygnie się gdzieś w Arendii, ale nie mamy pewności, jaką drogę obierze Torak, aby tam dotrzeć. To, co zrobił w Drasni, pozwala przypuszczać, że przed podbiciem Arendii, zechce zetrzeć z powierzchni ziemi Alornów. Eldrig spodziewa się, że zaatakuje Cherek, ale ja nie jestem o tym przekonany. Wiemy, że będzie oblegał Twierdzę Algarów, ale nie jesteśmy pewni, co zrobi przedtem. Może nawet zaatakować Wyspę Wiatrów. To jego ostateczny cel i być może spróbuje dostać się tam i przejąć Klejnot Aldura przed udaniem się do Arendii.

- Myślałem, że potrafisz zobaczyć przyszłość, Belgaracie.

- W pewnym sensie - odparłem, robiąc kwaśną minę. - Jest kilka proroctw, ale są bardzo mgliste.

- Czy twoi Alornowie będą potrzebowali pomocy na północy?

- Myślę, że sobie poradzą. Jeśli Torak postanowi ruszyć na Wyspę, to natknie się na flotę Chereku i całą wojnę można będzie załatwić na Morzu Wiatrów. Jeśli tak potoczą się sprawy, to wiem, kto wygra. Żadna flota na ziemi nie dorówna wojennym okrętom Eldriga.

- Czy ty i lady Polgara planujecie pozostać tu dłużej?

- Tak długo jak będzie trzeba.

- Chcę porozmawiać ze swymi generałami, trzeba będzie skoordynować nasze działania. Czy mógłbym zaoferować wam gościnę w pałacu?

- Wysoko cenimy sobie twoje zaproszenie, Ranie Borune - powiedziała Polgara - ale mogłyby z tego wyniknąć problemy. Honethowie i Vorduvianie podniosą pewnie wielkie halo z powodu faktu, że zadajesz się z „pogańskimi czarodziejami”.

- Ja tu jestem imperatorem, lady Polgaro, i będę zadawał się, z kim mam ochotę.

- Czyż on nie jest rozkoszny? - zapytała Polgara.

- Ona ma rację, Ranie Borunie - zwróciłem się do cesarza. - Dość już mamy kłopotów z Kal Torakiem. Lepiej nie rozdrabniać się na walki z innymi wielkimi rodami. Zostaniemy w ambasadzie Chereku. Ambasador ma okręt wojenny do swej dyspozycji, a ja muszę przesłać alornskim królom raport o swoich postępach w Arendii. Kto jest obecnym ambasadorem Nyissy?

- Gość o gadzim wyglądzie, niejaki Podiss - odparł Ran Borune z wyraźnym niesmakiem.

- Z nim również muszę porozmawiać - oświadczyłem. - Chcę powiadomić Salmissarę, że przybywamy.

- Po co mieszać ją w to wszystko?

- Ona ma pewne środki, których mogę później potrzebować. Dam ci znać, jeśli coś ustalę.

Na twarzy imperatora pojawił się nikły uśmiech

- Moje drzwi zawsze stoją przed wami otworem, Belgaracie.

Udaliśmy się z Polgarą do ambasady Chereku i przygotowałem przesyłkę, którą statek kurierski miał zawieźć na Rivę. Potem poszedłem na drugi koniec miasta, do ambasady Nyissy.

Po powrocie zjadłem z Pol kolację i udaliśmy się na spoczynek. Właśnie miałem kłaść się do łóżka, gdy dobiegł mnie głos Beltiry.

- Belgaracie! - Wydawał się podniecony.

- Słucham. Co się stało?

- *Torak wykonał ruch! Rusza na Algarię!*

- Zabrał całe swe siły?

- Najwyraźniej. W Drasni została mała armia okupacyjna - głównie, by strzec jego tyłów, jak myślimy, ale reszta oddziałów maszeruje na południe.

Odetchnąłem z wielką ulgą. Możliwość, że Torak wybierze inne rozwiązanie trochę mnie niepokoiła.

- Jak daleko już zaszedł?

- Do jeziora Atun. Posuwa się wolno. Algarska jazda mocno mu dokucza.

- To dobrze. Obserwuj go i daj mi natychmiast znać, gdyby zmienił kierunek. Nie chcę angażować naszych oddziałów, dopóki nie będę miał pewności, że to nie zmyłka.

- Nie sądzę, aby tak było, Belgaracie. Mieliśmy wieści od Beldina. Mówił, że armia, która najechała Drasnię, to tylko połowa sił Toraka. Zgromadził ogromną flotę w Dal Zebra, na zachodnim wybrzeżu protektoratów dalasiańskich. Urvon sprawuje tam władzę. Beldin jest przekonany, że zamierza przeprowadzić tę armię przez Morze Wschodu, by pomaszerować przez południowe Cthol Murgos i zaatakować nas od tamtej strony. Nadciągają dwie armie.

Zakląłem. Torak jednak podzielił swe siły, ale uczynił to jeszcze przed opuszczeniem Mallorei.

- Odezwę się jeszcze do ciebie - powiedziałem Beltirze. - Lepiej pójdziemy z Pol do pałacu i powiadomimy Rana Borune, co się święci.

Poszedłem korytarzem pod pokój Pol i zapukałem do drzwi.

- To ja, Pol - powiedziałem. - Wpuść mnie.

- Właśnie się kąpię, ojczu. Odejdź.

- Możesz to zrobić później. Torak najechał Algarię. Usłyszałem plusk, a chwilę później Pol otworzyła drzwi.

Narzuciła szatę, ale z włosów nadal jej kapała woda.

- Co zrobił? - dopytywała się.

- Słyszałaś. Torak ruszył i zdążył na południe.

- Garel jest w Twierdzy, ojczu. Lepiej go zabiorę stamtąd.

- Jest tam bezpieczny, Pol. Wiemy przecież, że Twierdza nie upadnie, a Torak nie może tkwić tam wiecznie. Ma umówione spotkanie

w Arendii. Ale są jeszcze inne złe wieści. Beldin powiedział bliźniakom, że Urvon dowodzi drugą malloreańską armią. Przeprowadzą się przez Morze Wschodu. Zajądą nas od południowego Cthol Murgos. Torak chce pochwyć nas w kleszcze. Lepiej chodźmy do pałacu ostrzec Rana Boruna.

- Ubiorę się.

Była prawie północ, gdy dotarliśmy do pałacu. Trochę zajęło nam skłonienie służby do obudzenia imperatora. Ran Borune był zaspany i rozczochny, gdy w końcu wpuszczono nas do jego prywatnych apartamentów.

- Czy wy kiedykolwiek sypiacie? - zapytał gderliwym tonem.

- Tylko wtedy, gdy nie ma nic lepszego do roboty, wasza wysokość - powiedziałem. - Torak najechał Algarię.

To go obudziło na dobre.

- Natychmiast wyślę legiony na północ.

- Wstrzymałabym się z tym, Ranie Borune - zasugerowała Pol. - Myślę, że będą nam potrzebne gdzie indziej.

Powiedziałem mu o drugiej armii zgromadzonej w Dal Zerba. Imperator zaklął, co Borunom zdarzało się niezmiernie rzadko.

- Ilu ludzi ma ten szaleniec? - zapytał.

- Wielu, nie bez racji zwą ją Bezgraniczną Malloreą - odparłem.

- Co zrobimy?

- Myślę, że nadal mamy jeszcze trochę czasu - rzekłem. - Urvon nie zdoła przeprowadzić przez Morze Wschodu całej armii w jeden dzień, a i przez południowe Cthol Murgos daleka droga.

- A co z Kal Torakiem? Może w ciągu tygodnia stanąć na mojej wschodniej granicy.

- To mało prawdopodobne, Ranie Borune. Najpierw musi przejść przez ziemie Algarów.

- Drasnia nie bardzo spowolniła jego marsz.

- Pomiędzy Drasnia i Algarią jest zasadnicza różnica - oświadczyła Pol. - Algarowie nie muszą bronić miast, to po pierwsze, a po drugie,

mają najlepsze konie na świecie. Kal Torak przekona się, że wycieczka do Algarii to bardzo kosztowna sprawa.

- Rozumiecie chyba, że z powodu drugiej armii malloreańskiej nie będę wam mógł pomóc w Arendii. Będę musiał skierować swoje legiony na południowe granice.

- Byliśmy pewni, że tak postanowisz - mruknęła Pol. Podrapałem się po brodzie.

- Ale to jeszcze nie katastrofa - powiedziałem. - Legiony przydałyby się nam pewnie w Arendii, ale wolę, aby nie dopuściły drugiej armii malloreańskiej na pole bitwy. Jak już mówiłem, zostało nam jeszcze trochę czasu. Urvon nie dotrze tutaj w ciągu nocy, a Kal Torak będzie miał własne kłopoty w Algarii. Chyba będzie lepiej, jeśli wybierzemy się z Pol do Sthiss Tor i porozmawiamy z królową. Nie chcemy, aby otworzyła granice przed Urvonem i pozwoliła mu przemaszerować. Mam zamiar zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pokrzyżować Kal Torakowi plany.

- Powodzenia - powiedział imperator. - Wezwę generałów. Musimy sporo zaplanować.

- A ja i Pol ruszamy do Nyissy. Sprawdzimy, jak tam wygląda sytuacja.

Dwa dni później dotarliśmy do Sthiss Tor, o wiele prędzej niż wiadomość od ambasadora Nyissy, zatem z pewnym opóźnieniem wprowadzono nas do sali tronowej Salmisary. Królowa Wężowego Ludu zareagowała na nasze informacje bez szczególnego entuzjazmu.

- Czemu miałabym się mieszać do waszej wojny z Angarakami? - zapytała, nie odrywając nawet oczu od lustra.

- To nie jest tylko nasza wojna, Salmisaro - powiedziała Pol. - Dotyczy wszystkich.

- Mnie nie. Jedna z moich poprzedniczek przekonała się, jaką głupotą jest mieszanie się do prywatnych waśni pomiędzy Alornami i Angarakami. Nie mam zamiaru popełnić tego samego błędu. Nyissa pozostanie neutralna.

- Nie masz wyboru, Salmissaro - rzekłem. - Wkrótce armia Urvona stanie na twojej południowej granicy, a Nyissa znajdzie się na drodze do Tolnedry.

- I co z tego?

- Urvon przemaszeruje prosto przez twoje ziemie.

Salmissara wzruszyła ramionami.

- Pozwolę mu. Nie zrobię niczego, aby mu przeszkodzić, więc nie będzie miał powodu zrobić w Nyissie tego, co Kal Torak zrobił w Drasni.

- Ależ jak najbardziej będzie miał - nie zgodziła się Polgara - Issa uczestniczył w Wojnie Bogów, nieprawdaż? Torak ma bardzo dobrą pamięć, długo chowa urazę. Armia Urvona nie przemaszeruje tak po prostu przez twoje ziemie. Po drodze zniszczy Nyissę. Jesteś służką Issy, więc wyobrażam sobie, że Urvon zada sobie szczególny trud znalezienia cię, aby Grolimowie mogli wyrwać ci serce.

W bezbarwnych oczach Salmissary pojawił się niepokój.

- Nie uczyni tego, jeśli nie będę stawiać oporu.

- To twoje serce, Wężowa Kobieto - odparła Pol z mrozącą obojętnością.

- To, co uczynisz, jest twoją sprawą, Salmissaro - podsumowałem. - Powiedzieliśmy ci, co się święci. Radź sobie z tym wedle własnego uznania. Jeśli jednak zdecydujesz się na walkę, możesz skontaktować się z Ranem Borune. To on skorzysta na trzymania Urvona z dala od jego południowych granic, więc może pożyczy ci kilka legionów.

- Zrobiłby to?

- Co szkodzi zapytać? A teraz wybacz, ale ja i moja córka mamy pewne sprawy do załatwienia w Maragorze.

Okazało się jednak, że była to kompletna strata czasu. Poleciliśmy z Pol do Mar Amon w nadziei, że wieści o inwazji Toraka wyrwą Marę z okowów smutku. Myślę, że płaczący Bóg nawet nas nie słyszał. Właściwie nie chciał słyszeć, a jego płacz odbijał się echem od gór otaczających nawiedzony Maragor.

W końcu daliśmy za wygraną i udaliśmy się do Prolgu, by porozmawiać z Gorimem.

- Będzie musiał zahaczyć o Ulgołand, by dotrzeć do Arendii, Przenajświętszy - oświadczyłem starcowi po wyjaśnieniu mu całej sytuacji. - Wiem, że twój lud jest głęboko religijny i może sprzeciwiać się rozlewowi krwi, ale to szczególna sytuacja.

- Poradzę się Świętego Ula - obiecał. - Być może okoliczności skłonią go do zmiany stanowiska.

- To już zależy tylko od niego, Gorimie - powiedziałem, uśmiechając się nieznacznie. - Zdecydowanie nie mam zamiaru mówić Ułowi, co ma robić. Będziemy cię informować o wydarzeniach. Jeśli postanowisz nie mieszać się, ostrzeżemy cię wystarczająco wcześniej, byś mógł zamknąć wejścia do waszych jaskiń.

- Doceniam to, Prastary.

Potem wróciliśmy z Pol przez jaskinie do ruin Prolgu.

- Co teraz? - zapytała. Zastanowiłem się chwilę.

- Skoro już jesteśmy tak blisko, to może przed powrotem polecimy zobaczyć, jak daleko udało się dojść Torakowi? Chciałbym mieć pojęcie o rzeczywistej wielkości jego armii.

- Jak sobie życzysz, ojczu.

Zawsze czułem lekki niepokój, gdy Pol zgadzała się ze mną bez dyskusji.

Nad Algarią było pochmurnie, ale przynajmniej nie padało. Nie macie pojęcia, jak trudno jest latać z mokrymi piórami, a do tego ja nigdy nie czułem się zbyt dobrze jako kaczka. Zapewne kaczki nie są głupsze od innych ptaków, ale wyglądają tak komicznie.

Beltira mówił, że Torak dotarł nad jezioro Atun w północnej Algarii. Jednakże to było prawie tydzień temu. Teraz posunął się już znacznie dalej na południe. Przekroczył Rzekę Aldura od strony Brodu Aldura i jego armia rozlała się po stepach środkowej Algarii. Łatwo ją znaleźliśmy. Była wielka.

Wojownicy nie posuwali się jednak za szybko. Dostrzeżliśmy z Pol w dole kilka potyczek. Tak jak Beltira powiedział, oddziały algarskiej jazdy szarpały flanki ogromnej armii, a ich ataki były dokuczliwsze

od zwykłego nękania. Algarzy są najlepszymi jeźdźcami na świecie, a długie stulecia cierplivej hodowli doprowadziły do powstania wspaniałych koni. Poza Malloreanami w armii Toraka służyli również Murgowie, Nadrakowie i Thulowie i właśnie na ich oddziały spadł ciężar odpierania ataków Algarów.

Z tego, co widziałem, nie radzili sobie zbyt dobrze. Algarowie byli dla nich po prostu za szybcy. Centralna Algaria jest pofałdowana, dużo tam wzgórz i trawiastych dolinek, które zapewniają osłonę oddziałom jazdy. Na ogół Angarakowie nie widzieli zbliżających się Algarów, aż było za późno. Armia Toraka posuwała się wolno na południe, zostawiając za sobą ziemię zasłaną trupami. Oczywiście Kal Torak zupełnie się tym nie przejmował, choć chyba niepokoiło to jego generałów. Nie posuwali się zbyt szybko. Całe plutony zwiadowców jechały przodem i wzdłuż skrzydeł. Zwiadowcy owi nie przynosili swym generałom zbyt wielu informacji. Podobnie jak wszystkie oddziały jeźdźców, Algarowie, oprócz lancy i szabli, dzierżyli krótkie łuki. Łuki te nie miały zasięgu długich łuków asturskich Arendów, ale człowiek na szybkim koniu nie potrzebuje ciężkich łuków o dużym zasięgu. Może podjechać dostatecznie blisko, by wykonać zadanie. Niewielu angarackich zwiadowców powracało.

W efekcie to, co działo się w dole, było nieustanną bitwą, i to z wyraźną przewagą jednej ze stron. Torak ponosił przerażające straty, ale zdecydowanie parł dalej. Oprócz zwiadowców armia wysyłała również zaopatrzeniowców, którzy szukali bydła do wykarmienia tej hordy. Mieli jeszcze gorzej niż zwiadowcy, ponieważ w każdym stadzie bydła ukrywali się algarscy łucznicy. Algarowie zabawiali się również przepędzaniem stad przez szeregi Mallorean, co jeszcze bardziej spowalniało ich marsz.

Wiele czasu zajmie Kal Torakowi dotarcie do Twierdzy.

Wpędzanie ogarniętego paniką bydła pomiędzy szeregi wojska było bardzo skutecznym środkiem, zapewniam was, ale w końcu zmusiło generałów Toraka do podjęcia akcji, która w efekcie doprowadziła kraje Zachodu do katastrofy ekonomicznej. Początkowo żołnierze pędzili bydło, by dostarczało im mięsa. Jednakże po kilku akcjach przepędzania bydła przez szeregi wroga, żołnierze zaczęli zabijać wszystkie

napotkane zwierzęta. Jeszcze wiele lat po wojnie liczebność algarskich stad stanowiła jedynie ułamek ich poprzedniej wielkości. Przez lata wołowina należała na Zachodzie do rzadkości.

Gdy już napatrzyliśmy się do woli na wolno przesuwaną się bitwę, zawróciliśmy i poleciliśmy ku Sendarii i wybrzeżu. Chciałem wrócić na Rivę, aby porozmawiać z Cho-Ramem. Kodeks Mriński wyraźnie mówił, że Twierdza nie padnie, ale ostrożności nigdy nie za wiele. W końcu w tej fortecy był Garel.

W Rivie padało. To ci dopiero niespodzianka. Paskudna pogoda spowodowana przez zaćmienie wszędzie była niezwykła, ale na Rivie zawsze padało.

Ran Borune powiadomił alornskich królów o armii Urvona. Bardzo ich wieść owa zaniepokoiła.

- Gdzie są teraz? - zapytał Rhodar, gdy Pol i ja dołączyliśmy do nich w sali narad.

- Nie jestem pewny - odparłem. - Trochę z Pol podróżowaliśmy. Bliźniacy zawsze są w Dolinie, więc Beldin zwykle im składa raporty. Później z nimi o tym rozmawiam, teraz musimy przedyskutować pewne sprawy i podjąć kilka decyzji. Potem chcę sprawdzić fortyfikacje Twierdzy.

- Twierdza jest bezpieczna, Belgaracie - zapewnił mnie Cho-Ram. - Nie musisz tam jechać.

- Zwykle środki ostrożności, Cho-Ramie. Jakie siły tam zgromadziłeś?

- Są tam trzy klany i drasańscy pikinierzy, których udało nam się uratować. Starczy ludzi, by ją utrzymać. Poza tym mury są wysokie na trzydzieści stóp i żadna drabina oblężnicza nie sięgnie ich szczytów.

- Myślę, że o to właśnie chodziło Algarowi, gdy projektował to miejsce - powiedziałem. - Wiemy, że Twierdza nie padnie, ale Torak pewnie przez kilka lat będzie się do niej dobijał, nim w końcu da za wygraną. W ten sposób zyskamy trochę czasu na przygotowanie się do jego następnego posunięcia. Kodeks Mriński mówi, że ostateczna bitwa rozegra się gdzieś w Arendii, więc może nie od rzeczy będzie przeniesienie naszych posiedzeń do Tol Honeth.

- Dlaczego do Tol Honeth? - zapytał Brand.

- Po pierwsze, jest bliżej pola bitwy, a po drugie, tam są tolnedrańscy generałowie.

- Z Tolnedran nie będzie wielkiego pożytku, Belgaracie - zaprotestował Eldrig. - Ran Borune koncentruje swoje siły na południowej granicy. Nie przyśle legionów do Arendii.

- Planujemy kampanię, Eldrigu, a generałowie tolnedrańscy wiedzą wszystko na temat strategii i taktyki. Ich rady mogą być pomocne.

- Nie jesteśmy zupełnie do niczego, Belgaracie - zaprotestował ponownie. - Jak na razie wygrywaliśmy każdą wojnę, w której braliśmy udział.

- To była kwestia zwykłego szczęścia, Eldrigu. Nie chciałbym urazić twych uczuć, ale wy, Alornowie, macie zwyczaj prowadzić swe wojny bez planów. Do tej zabierzmy się profesjonalnie - choćby dla odmiany.

Trochę czasu zajęło nam przekonanie alornskich królów, aby udali się do Tol Honeth, by zasięgnąć rady Naczelnego Dowództwa Tolnedry. Potem opuściliśmy z Pol Wyspę i pofrunęliśmy przez Sendarię, nad Ulgolandem, do algarskiej Twierdzy. Tym razem nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy przybrać postacie kaczek.

Nazwałem Twierdzę górą wzniesioną przez ludzi i to określenie dobrze do niej pasuje. Z zewnątrz przypominała wyglądem warowne miasto, ale nim nie była, gdyż w środku nie postawiono żadnych budynków. Algarowie zbudowali komnaty, sale i korytarze wewnątrz samych murów. Przestrzeń pomiędzy murami była po prostu labiryntem.

Doszło jednak do pewnego nieszczęścia. To był jeden z tych głupich wypadków, które zdarzają się co jakiś czas. Garel, Dziedzic Rivańskiego Tronu, pojechał na konną przejażdżkę. Jego koń potknął się; potomek Rivy spadł i skręcił sobie kark. Idiotyzm! Na wszystkich siedmiu Bogów, co on robił na koniu?

Na szczęście miał już następcę; ród nie wygasł, choć Gelane miał tylko pięć lat. Ale to nie szkodzi. Każdy w końcu dorasta.

Porozmawiałem z chłopcem i stwierdziłem, że podobnie jak wszyscy jego poprzednicy, jest wyjątkowo rozsądny. Na szczęście. Gdyby głupota zakradła się do rodu Rivy, wpadlibyśmy w niezłe tarapaty.

- Czy mogę coś zrobić, dziadku? - zapytał mnie z powagą chłopiec. - W końcu to na mnie spoczywa odpowiedzialność. - Tą uwagą zaskoczył mnie.

- Co mu powiedziałaś, Pol? - zapytałem podejrzliwie.

- Wszystko, ojciec - odparła spokojnie. - Ma prawo wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- To całkowicie zbędna informacja, Pol! Myślałem, że się co do tego zgadzamy.

Wzruszyła ramionami.

- Zmieniłam zdanie. On jest Rivańskim Królem, ojciec. Jeśli wszystkie nasze plany zawiodą, będzie musiał chwycić za miecz.

- To tylko dziecko, Pol. Nie potrafiłby nawet unieść tego miecza.

- Mamy czas, ojciec. Torak jeszcze nawet nie zaczął oblężenia.

- Kodeks Mriński mówi, że Brand stawia czoło Torakowi. Gelane nie będzie w to zamieszany.

- Kodeks Mriński jest bardzo niejasny, ojciec, a sprawy czasami przybierają inny obrót. Wolę być przygotowana na każdą ewentualność

- Naprawdę uważam, że poradziłbym sobie, dziadku - zapewnił mnie Gelane. - Mój algarski przyjaciel uczy mnie władania mieczem.

Westchnąłem i na chwilę ukryłem twarz w dłoniach.

W Twierdzy poza czekaniem na Toraka nie było zbyt wiele do roboty. Mogliśmy w każdej chwili ją opuścić, ale wolałem mieć pewność, że Jednooki ponownie nie zmieni kierunku marszu. Inwazja na Drasnię zaskoczyła mnie kompletnie i nie chciałem pozwolić, by ponownie tak się stało. Pragnąłem upewnić się, że Twierdza rzeczywiście była jego celem. Chciałem również zobaczyć, jak obrońcy odpierają pierwsze ataki, aby mieć absolutną pewność, że wiedzą, co robią.

Co jakiś czas przyjeżdżali posłańcy z najświeższymi wiadomościami od pozostających na zewnątrz klanów. Torak nadal posuwał się naprzód i nie wykazywał chęci zmiany kierunku.

Potem, pewnego wczesnego ranka, gdy świt zaczął srebrzyć deszcz, obudził mnie z niespokojnego snu głos Polgary.

- Myślę, że lepiej, abyś tu przyszedł, ojciec.

- Gdzie jesteś?

- Nie rozumiem cię, ojczu. Po prostu wyjdź na mury od północnej strony. Powinieneś się czemuś przyjrzeć.

Pogderałem trochę, ale wstałem z łóżka i ubrałem się. O co jej chodziło? Fakt, iż mnie dobrze nie rozumiała, dobitnie świadczył o tym, że zmieniła postać. Wyszedłem na oświetlony pochodniami korytarz. Potem nie kończącymi się schodami na szczyt Twierdzy.

Na mokrych od deszczu murach siedziała sowa śnieżna.

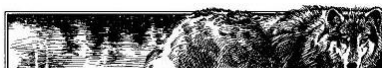
- Prosiłem, żebyś tego nie robiła, Pol - przypomniałem jej.

Sowa zamigotała i Pol wróciła do swej postaci.

- Przepraszam, ojczu. Nie zrobiłam ci tego na złość. Postępuję zgodnie ze wskazówkami. Spójrz lepiej na to - rzekła, wskazując na północ.

Spojrzałem za mury. Brudnoszare chmury nad głową znaczył już świt. Deszcz nieco osłabł, nie tworzył już tak nieprzeniknionej zasłony, jak w ciągu kilku ostatnich tygodni. Początkowo niczego nie mogłem dostrzec. Wtem przyciągnął mój wzrok jakiś ruch na tej przesłoniętej deszczem równinie. Przyjrzałem się uważniej. Wówczas z mgły powoli wyłoniła się ludzka masa, ogromny, bezimienny tłum, który rozciągał się jak okiem sięgnąć.

Kal Torak dotarł do Twierdzy.





Jesteś pewny, że Torak jest z nimi? - zapytałem, nadal wpatrując się w wolno posuwającą się armię.

- Tak, ojcze. Byłam tam, widziałam go. Jego żelazny pawilon znajduje się w samym środku tłumu.

- Co zrobiłaś? Polgaro, tam jest Torak! Teraz wie, że tu jesteś!

- Nie denerwuj się, staruszk. Kazano mi. Nie ma sposobu, by Torak dowiedział się o mojej obecności. Przebywa wewnątrz swego pawilonu, a Zedar jest razem z nim.

- Od jak dawna?

- Odkąd opuścił Malloreę. Chyba. Chodźmy zaalarmować Algarów, a potem będziemy mieli czas na zjedzenie śniadania. Całą noc nie spałam i konam z głodu.

Późnym przedpołudniem Angarakowie zakończyli okrążanie Twierdzy. W południe po raz pierwszy spróbowali zaatakować. Algarowie i drasańscy pikinierzy pozostawali w ukryciu i to chyba rozdrażniło trochę generałów Toraka. Przyciągnęli maszyny oblężnicze i próbowali zbombardować miasto głazami. Nie bardzo im się to udało, ponieważ mury były za wysokie. Widziałem, jak ich inżynierowie gorączkowo usiłowali poprawić ustawienie katapult, by zmienić tor strzałów.

Potem, chyba bardziej po to, aby zmusić obrońców do jakiejś reakcji, niż w nadziei na sukces, natarli na frontową bramę. Przytoczyli tarany, ale okazały się niepotrzebne. Brama nie była zamknięta. Pierwsi do Twierdzy wpadli Thullowie. W angarackiej społeczności Thullowie zawsze byli od brudnej roboty.

Nie jestem pewny, czy Thullowie zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka za bramą. Jak już mówiłem, Twierdza nie była miastem w zwykłym tego słowa znaczeniu. Te ogromne mury nie kryły za sobą

domów i budynków użyteczności publicznej, a jedynie labirynt wąskich korytarzy o wysokich ścianach bez sufitu. Thullowie wpadli do środka i trafili na geometryczną zagadkę. Znaleźli korytarze biegnące po liniach prostych i krzywych, tak zawiłych, że zdawały się zawracać i znikać w niewyobrażalnych wymiarach. Obrońcy pozwolili Thullom przez godzinę pokręcić się po labiryncie. Wyszli na wysokie na dwadzieścia stóp mury i zlikwidowali intruzów. Mallorekańscy generałowie i królowie narodów zachodnich Anagarków nadal nie zobaczyli żadnego z obrońców. Nie zobaczyli również już więcej Thullów, których kilka tysięcy wysłali za bramę i z których żaden nie powrócił - a przynajmniej nie przez bramę.

Dopiero nocą ponownie ujrzeli tych, których posłali do Twierdzy. Algarowie zbombardowali obóz Anagaraków ciałami poległych. Trudno spać pod gradem Thullów.

Następnego dnia doszło do drugiego ataku. W Twierdzy przebywały trzy klany Algarów. Pozostali znajdowali się na zewnątrz. Kal Torak otoczył Twierdzę, a potem algarska jazda otoczyła jego siły. Algarowie nie zajęli jednak określonych pozycji ani nie okopali się zwyczajem oblegających, ponieważ jazda nie walczy w ten sposób. Wojownicy pozostawali w ciągłym ruchu i generałowie Toraka oraz posłuszni mu królowie nigdy nie wiedzieli, gdzie i kiedy ponownie uderzą. Żołnierze Toraka poza murami byli równie mało bezpieczni, jak wewnątrz Twierdzy.

Po kilku dniach uznałem, że taktyka przyjęta przez Cho-Rama sprawdza się całkiem dobrze. Pożegnaliśmy się więc z Gelanem, jego matką oraz wodzami klanów. Potem odlecieliśmy na zachód w deszczowym, smaganym wiatrem mroku. Mieliśmy jeszcze inne sprawy do załatwienia.

Dzięki temu, że Torak skutecznie został zatrzymany w Algarii, mieliśmy trochę czasu na dopracowanie naszych planów. Przenieśliśmy narady z Rivy do Tol Honeth, dzięki czemu mogliśmy zasięgać opinii Imperialnego Kolegium Wojny oraz Naczelnego Dowództwa Tolnedry. Uznałem współpracę z zawodowymi żołnierzami za pewną odmianę. Pomimo swej przerażającej reputacji Alornowie są jedynie uzdolnionymi amatorami, głównie dlatego, że stanowisko zajmowane

w armii jest u nich dziedziczne. Człowiek, który urodził się generałem, nie ma pojęcia o wiedzy, jaką musiał zdobyć ten, który sam torował sobie drogę na szczyty. Tolnedrańscy oficerowie zawsze mają jakiś zapasowy plan na wypadek zaskoczenia. Alornowie zaś po prostu dawali się ponieść walecznej pasji i niszczyli wszystko w zasięgu wzroku - włączając w to drzewa i krzaki.

Ran Borune zaczynał - aczkolwiek bardzo niechętnie - wierzyć, że Pol i ja możemy mieć pewne zdolności, których istnienia nie przyjmował do wiadomości. Pomimo to staraliśmy się w trakcie narad trzymać na uboczu.

- Nie trzeba zbijać z tropu twoich generałów - powiedziałem imperatorowi - opowiadaniem rzeczy, na których przyjęcie nie są przygotowani. Jeśli oznajmimy, że mam siedem tysięcy lat na karku, to gotowi będą poświęcić cały czas na dowiedzenie nam kłamstwa, zamiast skupić uwagę na tym, czym rzeczywiście powinni się zająć. Powiedzmy im po prostu, że ja i Pol jesteśmy Rivanami, i już.

Najbardziej niepokoił nas fakt, że Urvon nie ruszał. Rzeczywiście przeprowadził swą armię przez Morze Wschodu, ale potem usadowił się w Militarnym Okręgu Hagga, na południowym wybrzeżu Cthol Murgos, jakby planował zapuścić tam korzenie. W końcu powiadomiłem bliźniaków, że muszę porozmawiać z Beldinem w cztery oczy. Nie wszystko daje się załatwić na odległość.

Mój brat przybył kilka dni później. Przyszedł do mego pokoju w ambasadzie Chereku. To nie było szczególnie obszerne pomieszczenie, ale ja nie należę do wymagających osób, więc nie potrzebowałem luksusowej kwatery. Moje pierwsze pytanie było dość proste.

- Co go powstrzymuje?

- Murgowie - odparł Beldin. - Cóż by innego? Oni i fakt, że od Spalonej Gęby nie otrzymał jeszcze rozkazu wymarszu.

- A w czym tkwi problem Ctuchika?

- Nie lubi Urvona.

- A kto go lubi? Myślę, że nawet Torak za nim nie przepada. Ale Urvon wypełnia rozkazy, a Torak pewnie wyrwie Ctuchikowi serce z cherlawej piersi, jeśli ten będzie się wtrącał.

- Nie słuchałeś, Belgaracie - rzekł mój krępy brat. - Nie powiedziałem, że Ctuchik blokuje posunięcia Urvona. To Murgowie - a mówiąc dokładnie, Grolimowie Murgów.

- Co za różnica? Ctuchik sprawuje władzę w Cthol Murgos, prawda?

- Owszem, bracie, ale w tej chwili co innego zaprzęta jego uwagę. Spróbuję wyjaśnić. Jeśli Urvon dotrze do Arendii ze swą armią, Torak prawdopodobnie awansuje go na Ulubionego Ucznia czy coś w tym rodzaju. Ctuchik nie chce, aby tak się stało, ale nie śmie się wtrącać - a przynajmniej nie otwarcie. Oczywiście i tak knuje za plecami. Całe stulecie spędził na wpajaniu Murgom obsesji na punkcie czystości rasowej, a Malloreatanie nie są przecież czystej krwi Angarakami. Przeciętny Malloreatanin jest po części Angarakiem, Karandem, Melcenem z domieszką odrobiny Dala. Murgowie uważają Malloreatan za kundli i nie wahają się tego mówić.

- Tak, wiem o tym, ale Murgowie są posłuszni rozkazom Grolimów, a żaden żyjący Grolim nie urazi swym czynem Toraka.

- Widzę, że tak naprawdę nie wiesz o nim zbyt dużo. Grolimowie prowadzą bardzo zawiłą politykę. Bez względu na to, co myśli Torak, w religii Angaraków panuje wielki rozłam. U jego podstaw leży nienawiść pomiędzy Ctuchikiem i Urvonem. Ctuchik dał to i owo do zrozumienia swoim Grolimom po wylądowaniu Urvona w Hagge i jego kapłani zaczęli w całym południowym Cthol Murgos rozpowszechniać niestworzone opowieści o pijanych malloreańskich żołnierzach, wdzierających się do murgoskich domów i gwałcących murgoskie kobiety. Takie opowieści gwarantują wybuch gniewu Murgów. Oficjalnie Ctuchik dostarcza wszelkiej możliwej pomocy armii Urvona, ale jego Grolimowie rozpowiadają wśród żołnierzy okropne historie. Generałowie murgoscy za dnia są bardzo uprzejmi wobec malloreańskich oficerów - ale każdej nocy bandy prostych wojaków wyruszają ze swych baraków i zarzynają wszystkich Malloreatan, którzy wpadną im w łapy. Ctuchik siedział pobożnie w Rak Cthol i udawał, że nic nie może na to poradzić. Urvonowi pozostawało

jedynie tkwić w Rak Hagga i załamywać ręce nad dziesiątkowaną przez bandy Murgów armią. Wiem, że to może zabrzmieć trochę dziwnie, ale w tej sytuacji Ctuchik może okazać się naszym najcenniejszym sprzymierzeńcem.

- To wszystko skończy się jednak, gdy Torak wyda Urvonowi rozkaz wymarszu.

- Wątpię, Ctuchik prawdopodobnie posłusznie poleci swym południowym Murgom dołączyć do armii Urvona, ale to jedynie umożliwi Murgom zbliżenie się do Mallolean - z nożami. Wędrówka przez południowe Cthol Murgos może okazać się bardzo interesująca. Urvon będzie miał szczęście, jeśli choć regiment dotrze do południowej granicy Tolnedry.

- Cóż za piękna wizja.

- Pomyślałem, że ci się spodoba.

- Może zabrałbym cię do pałacu i przedstawił tolnedrańskim generałom, byś i przed nimi mógł roztoczyć tę kuszącą perspektywę? Nie powiedzieliśmy im z Pol, kim naprawdę jesteśmy. Ciebie przedstawię jako drasańskiego szpiega, tak będzie lepiej. Po co drażnić generałów.

Beldin wzruszył ramionami.

- Jeśli tak chcesz - zgodził się.

Oficer dowodzący tolnedrańskim naczelnym dowództwem nazywał się Cerran i należał do rodu Anadile z południowej Tolnedry. Ród Anadilów nigdy nie miał wystarczająco dużo ziemi i władzy, aby ubiegać się o imperialny tron, więc zwykle jego męscy członkowie wstępowali do armii. Tradycyjnie sprzymierzali się z Borunami, więc gdy Borunowie byli na tronie, generał z rodu Anadilów znajdował się w dowództwie armii. Generał Cerran był bezkompromisowym zawodowcem po pięćdziesiątce, Tolnedraninem, nie dorównywał wzrostem Alornom, ale miał krzepę, szerokie bary i duże dłonie. Bardzo dobrze rozumiał się z Brandem.

Nie jestem zbyt biegły w sekretnym języku Drasan, ale udało mi się uprzedzić Pol i Rhodara, że Beldin udaje drasańskiego szpiega. Rhodar powitał go więc gorąco oraz przedstawił jako „jednego

z najcenniejszych agentów”. Potem Beldin powtórzył to, co powiedział mi wcześniej.

- Ile według ciebie zajmie Urvonowi przemaszerowanie przez południowe Cthol Murgos, panie Beldinie? - zapytał generał Cerran, gdy mój brat skończył swe sprawozdanie.

Beldin wzruszył ramionami.

- Przynajmniej pół roku. Przypuszczam, że często będzie musiał robić postoje dla uśmierzenia zamieszek.

- A zatem wiemy już jedno. Twój przyjaciel i jego córka powiedzieli nam, że ten Kal Torak z Mallorei ma dotrzeć do Arendii w określonym czasie. O ile zrozumiałem, ma to coś wspólnego z religią Angaraków.

- Chyba można tak powiedzieć. I co z tego?

- My nie wiemy, kiedy to ma się stać, ale Kal Torak wie. Będzie chciał, aby Urvon znalazł się na swoim miejscu w odpowiednim czasie, więc gdy tylko Urvon ruszy, dowiemy się, że mamy około roku na przygotowanie się do spotkania z Angarakami w Arendii.

- To trochę mało precyzyjne, Cerranie - zaprotestował Borune.

- To jest o wiele dokładniejsze niż wszystko, do czego na razie doszliśmy, wasza wysokość - odparł Cerran. - Król Cho-Ram zapewnia nas, że jego Twierdza jest nie do zdobycia, więc Kal Torak będzie powoli tracił nerwy, w miarę jak zbliżać się będzie czas spotkania w Arendii. W końcu przerwie oblężenie i pomaszeruje na zachód. Angarakowie bardzo poważnie traktują swe religijne obowiązki. - Cerran wstał z fotela i podszedł do dużej mapy wiszącej na ścianie. - Żadna armia wielkości armii Kal Toraka nie będzie poruszać się zbyt szybko - zauważył. - Szczególnie po wejściu w góry Ulgolandu. Od Twierdzy do środkowej Arendii jest około stu pięćdziesięciu lig. Przy dziesięciu milach dziennie, zajmie to im czterdzieści pięć dni. Po dodaniu kolejnych piętnastu dni na przegrupowanie otrzymamy około dwóch miesięcy. Dla nas pierwszym sygnałem będzie wymarsz Urvona. Drugim, odstąpienie Kal Toraka od oblężenia. Czegoż więcej trzeba? Murgowie będą lub nie będą próbowali zatrzymać Mallolean Urvona, ale my wręcz musimy. Zdaje mi się, że ten generał Urvona spóźni się do Arendii. Kal Torak jest cudzoziemcem, dlatego nie wie

zbyt dużo o legionach. Mam zamiar wyedukować go w tym względzie. Zatrzymam Urvona na południowej granicy Tolnedry.

Teraz widzicie, czemu nalegaliśmy z Pol na współpracę z tolnedrańskimi generałami.

Znaki ostrzegawcze już znaleźliśmy, skierowaliśmy więc teraz swą uwagę na kampanię w Arendii. Sztab generała Cerrana starannie przygotował plany obrony niemal każdego miejsca w tym kraju. Rozmawiałem o tym z Brandem na osobności. Tylko nieliczne bitwy wygrywano z pozycji obronnej. Jednak metodyczni Tolnedranie porównali liczebność armii Toraka z naszą i doszli do wniosku, że absolutnie nie może być mowy o przejściu do ofensywy bez wsparcia legionów, a te będą zajęte gdzie indziej. Tolnedrańscy generałowie nie wiedzieli, czemu alornscy królowie uznawali zwierzchność Branda, ale nie byli w ciemną bici. Wyczuwali, komu należy się szacunek, a po kilku miesiącach narad i wspólnego wypracowywania strategii dostrzegli również taktyczny geniusz Branda. Tolnedranie zwykle nie poważają zbyt Alornów, ale Brand był wyjątkiem. Jego geniusz polegał na umiejętności oceny mocnych i słabych punktów armii, która miała stawić czoło Kal Torakowi w ostatecznej bitwie.

Rozsądnie uznaliśmy, by nie mówić tolnedrańskim generałom, że wiele decyzji podejmujemy na podstawie bełkotu szaleńca. Tolnedranin nerwowo reagował nawet na najmniejszą wzmiankę o rzeczach nadprzyrodzonych. Oczywiście czasami wiedzieliśmy, że pewne rzeczy się wydarzą, ale nie mogliśmy powiedzieć Tolnedranom, skąd mamy owe informacje. Na ogół brał to na siebie Rhodar. Umiejętności drasańskiego wywiadu były legendarne, a po kilku latach generałowie uwierzyli, że armia angarańska aż roi się od drasańskich szpiegów. Za każdym razem, gdy pojawiała się owo nieuniknione „Skąd to wiesz?”, Rhodar rzucał chytre spojrzenie, wyciągał kawałek papieru i kładł go na stole z wyrazem nieskrywanego zadowolenia na twarzy. Wnioski były oczywiste.

W końcu jednak i to tłumaczenie wydało się mocno naciągane. Oblężenie Twierdzy ciągnęło się już sześć długich lat, gdy wreszcie bliźniacy odnaleźli w Kodeksie Mrińskim fragment mówiący o miejscu ostatecznej bitwy. Wzmianka była bardzo mało precyzyjna, ale

to normalne w przypadku Kodeksu Mrińskiego. Mówiła jedynie, że „Dziecko Światła i Dziecko Mroku spotkają się pod murami złotego miasta”. Kluczowym słowem w tym fragmencie jest „złote miasto”. Ci z was, którzy widzieli żółte mury Vo Mimbre, wiedzą, skąd się wzięło.

W każdym razie musieliśmy delikatnie nakierować generała Cerrana i jego kolegów na podjęcie właściwej decyzji. Rhodar, udając, że otrzymał informacje od swych szpiegów, nakreślił prawdopodobną trasę inwazji Toraka. My zaś wynajdowaliśmy najróżniejsze powody do wyeliminowania innych potencjalnych miejsc bitwy. W końcu Cerran uderzył palcem w mapę.

- Tutaj - oznajmił. - Powinniście przygotować swoje siły do spotkania z Kal Torakiem pod Vo Mimbre.

- To chyba dość dobry teren - powiedział król Eldrig, starając się, by w jego głosie znać było nutę wątpliwości. W tym miejscu ja wkroczyłem do akcji.

- Ależ tam jest paskudnie płasko - zaprotestowałem. - Lepiej chyba mieć przewagę, jaką daje wzniesienie?

- Nie potrzebujemy jej, Prastary - powiedział Cho-Ram. - Samo miasto jest położone wystarczająco wysoko, aby spowolnić armię Kal Toraka. Przybędą doliną rzeki Arend i zajmą pozycje wokół Vo Mimbre, przygotowując się do kolejnego oblężenia. A wówczas my uderzymy ze wszystkich stron i rozgnieciemy ich na murach. Generał Cerran ma rację. To idealne miejsce do tego rodzaju bitwy, jaką chcemy stoczyć.

Eldrig i ja wysunęliśmy jeszcze kilka słabych kontrargumentów, potem jednak Brand i Rhodar poparli Cho-Rama i to ostatecznie przesądziło sprawę. Nie był to najwygodniejszy sposób na załatwianie spraw, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru.

Kilka nocy później zaszła do mnie Pol. Siedziałem nad kopią Kodeksu Mrińskiego i mamrotałem pod nosem przekleństwa.

- O co chodzi, ojcze? - zapytała. - Przez ostatni tydzień byłeś w morderczym nastroju.

Walnąłem pięścią w Kodeks Mriński.

- To przez to! - wrzasnąłem. - To nie ma w ogóle sensu!

- Nie powinno mieć. Czyż nie na tym polegał cały pomysł? Powinno brzmieć jak bełkot. Powiedz mi, w czym problem, ojciec. Może będę mogła pomóc.

Wzięłam głęboki oddech.

- Dobrze. Brand jest Dzieckiem Światła - przynajmniej w tym szczególnym WYDARZENIU, prawda? Jeśli dobrze to odczytałem, będzie musiał być w kilku miejscach naraz.

- Przeczytaj mi to, ojciec - poprosiła cierpliwie. - Trudno doszukać się sensu w twoim podnieconym bełkocie.

- Dobrze, zobaczymy, co z tego zrozumiesz. - Rozwinąłem zwój, odszukałem odpowiedni znacznik i przeczytałem jej ten przekłety fragment. - „I Dziecko Światła zdejmie Klejnot z jego zwykłego miejsca i sprawi, by dotarł do Dziecka Światła przed bramami złotego miasta”. To w oczywisty sposób prowadzi do paradoksu. A paradoksy po prostu się nie zdarzają.

- Spójrzmy na to inaczej, ojciec. Jak długo potrwa jedno z tych WYDARZEŃ?

- Jak długo będzie trzeba, tak sądzę.

- Może całe wieki? Lata? Dni? A może będzie to kilka minut lub nawet jedna chwila? Ile czasu zabrało ci uśpienie Zedara w Morindlandzie? Przecież to było jedno z owych WYDARZEŃ, prawda? Ile to naprawdę zajęło ci czasu, ojciec?

- Zdaje się, że niezbyt wiele. Do czego zmierzasz, Pol?

- Mam silne przeczucie, że WYDARZENIA trwają mgnienie oka. Konieczności są po prostu zbyt potężne, by te konfrontacje trwały dłużej niż kilka sekund. Każda następna sekunda mogłaby rozerwać wszechświat na strzępy. Proroctwa mówią, jak mamy się przygotować, co może zająć całe wieki. Jednak samo WYDARZENIE jest czymś tak prostym jak decyzja - czy pojedyncze słowo. „Tak” lub „nie”. Kodeks Mriński mówi, że charakter ostatecznej konfrontacji zostanie określony na drodze wyboru, a wybór zajmuje jedynie chwilę. Myślę, że ostateczne WYDARZENIE nie jest jedynym, które wiąże się z wyborem. Myślę, że tak jest ze wszystkimi. Gdy spotkałeś Zedara w Morindlandzie, postanowiłeś go nie zabijać. Myślę, że to właśnie było

WYDARZENIEM. Wszystko poza tym - jedynie przygotowaniem do niego.

Teraz rozumiecie, co miałem na myśli, mówiąc o przenikliwości Polgary? Rozumowanie było może nieco naciągane, ale postanowiłem uznać jej wyjaśnienia i tym samym obróciłem naszą pogawędkę w WYDARZENIE. Znaczyło to również, że WYDARZENIE nie zawsze wiązało się ze spotkaniem twarzą w twarz reprezentantów dwóch Konieczności. Takie myślenie zdecydowanie gwarantuje ból głowy.

- Będę musiał wybrać się do Rivy - powiedziałem.

- Po co?

- Muszę zabrać miecz Rivy. Brand będzie go potrzebował, gdy nadejdzie czas. Kodeks Mriński mówi, że Klejnot będzie decydującym czynnikiem, a to oznacza miecz.

- Sądysz zatem, że z tego, co mi przeczytałeś, wynika, iż to ty będziesz Dzieckiem Światła, które ma przynieść Klejnot Brandowi?

- Nie pierwszy raz mnie to spotka. - Wzruszyłem ramionami. - Jeśli się mylę, to nie będę mógł zdjąć go ze ściany. To jedna z tych miłych rzeczy, gdy ma się do czynienia z Klejnotem. Nie pozwoli ci zrobić nic niewłaściwego.

Postanowiłem nie rozpowiadać wszystkim o swym zamiarze. Nie, to nie był jeden z tych wyborów, o których mówiła Pol. Pragnąłem jedynie uniknąć kłopotliwej sytuacji. Jeśli okazałoby się, że nie mogę zdjąć miecza ze ściany, znalazłbym się w głupim położeniu, wcześniej obwieszczając swe zamiary. Próżność prowadzi do śmieszności, ale każdy z nas czasem jej ulega.

Porozmawiałem z ambasadorem Chereku i zorganizowałem sobie podróż następnym statkiem kurierskim do Rivy. Pewnie mogłem dotrzeć tam własnym sposobem, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, w drodze powrotnej będę miał ze sobą coś ciężkiego.

To nie była miła podróż. Po pierwsze, nie lubię okrętów wojennych Chereku, a paskudna pogoda, która nękała nas przez te wszystkie lata, nie polepszała sprawy.

Przycumowaliśmy do nabrzeża Rivy. Wspiąłem się po stromych, ociekających wodą schodach do Cytadeli.

W czasie nieobecności ojca władzę sprawował najstarszy syn Branda, Rennig. Stanowisko Strażnika Rivy nie jest co prawda dziedziczne, ale tym razem było niemal pewne, że zostanie przekazane Rennigowi. Był równie solidny i godny zaufania jak ojciec.

Jakież było jednak jego zdumienie, gdy wpuszczono mnie do gabinetu Branda.

- Dzięki Bogom! - powiedział, wstając. - Dostałeś moją wiadomość!

- Jaką wiadomość?

- Chcesz powiedzieć, że nie dostałeś? Czemu zatem przybyłeś?

- Mam tu coś do załatwienia. Co się stało, Rennigu? Nie widziałem cię tak podnieconego od czasu, gdy byłeś chłopcem.

- Lepiej chodź i sam zobacz, Prastary. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział. Poślę po strażników, którzy widzieli, co się wydarzyło. Z pewnością zechcesz z nimi porozmawiać.

Wyprowadził mnie na korytarz i udaliśmy się do Dworu Rivańskiego Króla. Sala tronowa nie była zbyt często używana od czasu zabójstwa Goreka. Było w niej wilgotno, mrocznie i pachniało stęchlizną. Rennig wziął jedną z pochodni wiszących przy wrotach. Weszliśmy do środka i pomaszzerowaliśmy obok palenisk ku tronowi. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem miecz Rivy. Wisiał na ścianie ostrzem w dół, ale było z nim coś przeraźliwie nie w porządku.

Na rękojści nie było Klejnotu mego Mistrza.

- Co tu się dzieje, Rennigu? - dopytywałem się. - Gdzie jest Klejnot?

- Tam, Prastary - powiedział i wskazał na ogromną okrągłą tarczę. Stała oparta o ścianę około dziesięciu stóp na prawo od tronu. To była zwykła alornska tarcza. Duża, okrągła, ciężka, opasana grubymi metalowymi taśmami. Zdecydowanie niezwykle było jednak to, że Klejnot Mistrza osadzono pośrodku.

- Kto to zrobił? - zapytałem z drżeniem głosu.

- Nie wiemy. Strażnicy, którzy byli tu tej nocy, nigdy przedtem jej nie widzieli.

- Jej? Zrobiła to kobieta?

Rennig skinął głową.

- Sam miałem pewne wątpliwości, Belgaracie, ale znam ich obu od dzieciństwa. To uczciwi ludzie, nigdy nie skłamaliby w tak ważnej sprawie.

- Nikt nie może dotknąć Klejnotu z wyjątkiem... - Przerwałem. W głowie zabrzmiały mi słowa fragmentu w Kodeksie Mrińskim. - „I Dziecko Światła zdejmie klejnot z jego zwykłego miejsca...” Sądziłem, iż oznacza to, że Dziecko Światła zdejmie miecz i dostarczy go Brandowi. Uwierzyłem nawet, że ten fragment był instrukcją dla mnie - że to ja jestem tym, który powinien zdjąć go ze ściany i zabrać do Tol Honeth. Ale ten fragment nie mówił o mieczu. Ta kobieta, kimkolwiek była, zdjęła Klejnot i osadziła go w środku tarczy. Pol miała rację. Skoro nikt nie mógł dotknąć Klejnotu z wyjątkiem Dziecka Światła, znaleziono inne wyjście z tej sytuacji - ale kobieta?

Po chwili do sali weszło dwóch strażników. Byli po służbie i zbliżali się do nas z pewnym wahaniem. Chyba będę musiał w końcu coś zrobić ze swą paskudną reputacją.

- Podejdźcie tu - powiedziałem krótko. - Nie ugryzę was. Nie byliście w stanie jej powstrzymać. Kiedy to się stało?

- Jakiś tydzień temu, Prastary - odparł wyższy z nich. Jakże dogodnie - i przewidująco. Niemal w tym samym czasie, gdy postanowiłem udać się do Rivy.

- To były czary, Przenajświętszy - zapewnił drugi ze strażników. - Tej nocy, gdy trzymaliśmy straż przed wrotami, korytarzem nadeszła kobieta.

- Wiedzieliśmy, że dzieje się coś dziwnego - dodał wyższy ze strażników, szczególnie że otaczały ją płomienie.

- Płomienie?

- Ściśle mówiąc, jarzyła się. Wydobywało się z niej jasne, błękitne światło.

To mnie zaciekawiło.

- Była piękna - wtrącił drugi strażnik. - Chociaż lepiej by wyglądała, gdyby cała nie płonęła na niebiesko. Otworzyła wrota sali i weszła

do środka. Poszliśmy za nią do tronu. Gdy do niego doszła, wyciągnęła rękę i powiedziała: „Chodź do mnie”. Jakby przyzywała swojego pieska.

- To wszystko wydawało się dość dziwne - powiedział pierwszy - ale rozmawialiśmy o tym. Obaj widzieliśmy, co się wydarzyło potem. Kamień z rękojeści miecza po prostu spłynął do jej dłoni. On także się rozjarzył. Później niewiasta podeszła do tarczy - nigdy wcześniej nie widziałem tam tej tarczy - i umieściła kamień na środku, a on jakby wtopił się w stal.

- Czy potem odeszła? - zapytałem.

- Najpierw coś powiedziała.

- Tak? Czy powiedziała, kim była?

- Powiedziała tylko: „Ktoś przybędzie i będzie wiedział, co z tym zrobić”. Następnie uśmiechnęła się i wróciła do wyjścia. Poszliśmy za nią, ale gdy znaleźliśmy się na korytarzu, jej już nie było. To wszystko, co widzieliśmy, Prastary. Nic nie mogliśmy zrobić, aby ją powstrzymać.

- Dobrze się spisaliście - pochwaliłem ich. - Nikt nie mógłby jej przeszkodzić.

Oburącz dźwignąłem ciężką tarczę.

- Ten „duch” co do jednego się nie mylił. Wiem, co z tym zrobić.

- To jest Klejnot, Świątobliwy Belgaracie - zaprotestował Rennig. - Powinien pozostać tu, na Wyspie.

- Tak - odparłem - dopóki nie jest nam potrzebny. A jeśli moje przewidywania są słuszne, twój ojciec wkrótce będzie go potrzebował.

W drodze powrotnej do Tol Honeth rozmyślałem nad faktem, iż Klejnot był teraz częścią tarczy, nie miecza. To w oczywisty sposób znaczyło, że Brand nie zabije Toraka. Tarcza ze swej natury służy do obrony. Zaczynałem zmieniać opinię o strategii, jaką tolnedrańscy generałowie przyjęli dla bitwy, która miała się rozegrać pod Vo Mimbre. Być może mogliśmy zwyciężyć z pozycji obronnej.

W czasie podróży powrotnej powiadomiłem bliźniaków o zmianie miejsca pobytu Klejnotu. Zdecydowanie będą mi potrzebne wskazówki.

Oblężenie Twierdzy ciągnęło się jeszcze przez następny rok. Potem, wczesną wiosną 4874 roku, z południowego Cthol Murgos wrócił Beldin. Doniósł nam, że Urvon zgromadził swą armię na równinach Hagga i rozpoczyna marsz na zachód. Jeśli wyliczenia generała Cerrana były poprawne, mieliśmy jeszcze około roku do ostatecznej bitwy. Całkowitą pewność zdobędziemy, gdy Torak przerwie oblężenie Twierdzy i również ruszy na zachód.

Prawie całe lato ponaglałem ludzi wokoło. Chciałem upewnić się, że wszystko będzie gotowe. Co jakiś czas nieuchronnie dochodziło do walk pomiędzy wrogimi ugrupowaniami w Arendii i musieliśmy śpieszyć z Polgarą z Tol Honeth na północ, aby przywrócić porządek.

Bliźniacy ciężko pracowali, jednak nie doszukali się w Kodeksie Mrińskim zbyt wielu wskazówek. Niepokoilo mnie to bardzo, dopóki w końcu nie zdałem sobie sprawy, że przebieg walki pomiędzy Brandem i Torakiem absolutnie nie zależy ode mnie. Do tego wniosku doszedłem wczesną jesienią. Wtedy to zauważyliśmy istotną zmianę w zachowaniu Branda.

- Mogę zamienić z tobą słowo, Belgaracie? - zapytał mnie pewnego deszczowego popołudnia po naradzie z tolnedrańskimi generałami.

- Oczywiście - odparłem.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował. - Powinniśmy porozmawiać na osobności. Nie chcę, aby któryś z tolnedrańskich szpiegów doniósł Ranowi Borunie, o czym mówiliśmy. To dobry człowiek, jak sędzę, ale robi się nerwowy na widok rzeczy, których nie rozumie.

Uśmiechnąłem się. „Nerwowy” to było bardzo delikatne określenie. Wyszliśmy z Brandem z koszar i ruszyliśmy przez mokry trawnik imperialnej warowni.

- Bywałeś już w przeszłości narzędziem Konieczności, prawda? - zapytał, gdy upewniliśmy się, że nikogo nie było w pobliżu.

- Nie jestem pewny, czy cię dobrze rozumiem, przyjacielu - odparłem.
- Całe życie spędziłem na wypełnianiu zadań, które mi stawiała.

- Mam na myśli coś bardziej konkretnego. Zdaje mi się, że ty i Konieczność byliście związani ze sobą podczas wyprawy z Cherekiem i jego chłopcami do Cthol Mishrak.

- Tak. Co z tego?

- Czy rozmawiała z tobą?

- Owszem.

- Cieszę, że to mówisz. Myślałem już, że tracę zdrowy rozum. Ma osobliwy sposób mówienia, prawda?

- Ma spazzone poczucie humoru. Co ci mówi?

- Nic szczególnego. Byłem nieco zdenerwowany tym, co mam zrobić pod Vo Mimbre. Ona jednak powiedziała mi, abym nie przejmował się zbyt. - Zatrzymał się i spojrzał na mnie. - Czy ty wiedziałeś, co zrobisz, nim to zrobiłeś? To znaczy, czy wiedza o tym, jak zareagować, po prostu pojawiła ci się w głowie, w chwili gdy coś się wydarzyło?

Kiwnąłem głową.

- Tak to się odbywa - odparłem. - Przyjaciel, którego masz w głowie, zwykle nie kłopotczy się wyjaśnianiem rzeczy, on po prostu wbudowuje w twój umysł prawidłowe reakcje. Nawet nie musisz o tym myśleć. Co każe ci teraz zrobić?

- Mam przekonać Tolnedran, że armia Urvona wcale nie jest taka groźna. Urvon i Ctuchik popełnią błąd. Nawet nie dotrą do Nyissy.

- Jaki błąd?

- Nie mam pojęcia. Problem w tym, że Cerran przekona się o tym dopiero, gdy Torak prawie dotrze pod Vo Mimbre. Nie będziemy mieć czasu, by przeprowadzić jego legiony z południowej Tolnedry na pole bitwy.

- Nie będą wcale musieli maszerować - powiedziałem.

- Jak zatem dostaną się tutaj?

- Przewiozą ich okręty Chereku.

- Skąd to wiesz?

Skrzywiłem się.

- Nasz wspólny przyjaciel umieścił ten pomysł w moim mózgu kilka tysięcy lat temu.

- Chcesz powiedzieć, że cały czas o tym wiedziałeś?

- Ale nieświadomie. Przyzwyczaisz się do tego, Brandzie. Wskazówki nie pojawiają się, dopóki ich nie potrzebujesz. Myślę, że to część umowy pomiędzy Koniecznością naszą i Toraka. Gdy tylko powiedziałeś mi o tym „błędzie”, który mają popełnić Urvon i Ctuchik, od razu wiedziałem, jak sprowadzimy legiony pod Vo Mimbire.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Zdaje się, że to ma dość szczególny sens. Najwyraźniej nasz przyjaciel nie chce zaśmiecać naszych umysłów tymi sprawami, dopóki absolutnie nie będziemy musieli o nich wiedzieć. Mam tylko nadzieję, że nie spóźni się ze wskazówkami, gdy Torak i ja zaczniemy.

- Oby tak było. Czy domyślasz się może, dlaczego Klejnot jest teraz osadzony w tej tarczy zamiast na głowni miecza?

- Wiem tylko, że nie mam uderzyć nim Toraka. Ktoś inny to zrobi. Ja mam jedynie pokazać go Torakowi.

- Pokazać? Widział go już, Brandzie.

- *Dobra, Belgaracie, nie wtykaj do tego nosa.* - Oczywiście poznałem ten głos. - *Ty rób swoje i pozwól Brandowi robić, co do niego należy.*

Zaskoczony wyraz twarzy Branda dobitnie świadczył, że on także słyszał słowa naszego przyjaciela.

- Czy on zawsze tak się do ciebie zwraca? - zapytał.

Skinąłem ponuro głową.

- Cały czas. Coś go najwyraźniej we mnie drażni. Zaczniemy lepiej przekonywać generała Cerrana, by na wszelki wypadek opracował dodatkowe plany.

- A czemu po prostu nie powiedzieć mu, kim naprawdę jesteś? I skąd bierzemy nasze instrukcje?

- Nie, Brandzie, jeszcze nie teraz. Wolę, by sprowadził swe legiony pod Vo Mimbire, nim zaskoczę go jakimiś niespodziankami. Cerran to dobry, solidny człowiek, ale mimo wszystko Tolnedranin. Powiemy mu, że flota Chereku będzie czekała u ujścia Leśnej Rzeki, na wypadek gdyby jej potrzebował. Będzie wiedział, co zrobić, gdy nadejdzie czas.

Była wiosna 4875 roku, gdy Torak w końcu rozłożył zde gustowany ręce, przerwał oblężenie Twierdzy i ruszył na zachód z tym,

co pozostało z jego armii. Algarowie i mściwi Drasanie podgryzali mu tyły. Za każdą armią ciągną zwykle maruderzy, ale tym razem nigdy nie dogonili głównych sił.

Gdy Torak dotarł do Ulgolandu, sprawy przybrały dla niego jeszcze gorszy obrót. Każdej nocy Ulgosi wychodzili ze swych jaskiń, niczym koty na polowanie, i wyłapywali wartowników rozstawionych wokół angarackiej armii. Często udawało im się zapuścić nawet w głąb obozowiska i zabić wielu żołnierzy Toraka. Torak starał się ignorować te nieprzyjemności, ale w jego oddziałach zapanowała bardzo nerwowa atmosfera i większość żołnierzy w ogóle przestała sypiać.

Okaleczony Bóg Angaraków pośępnie parł naprzód, ponosząc po drodze straszliwe straty. W końcu dotarł do głównego biegu rzeki Arend.

Rozmieściliśmy nasze siły wokół Vo Mimbre, gdy tylko bliźniacy powiadomili mnie, że Torak ruszył. Wszyscy czekali w pogotowiu, brakowało tylko legionów tolnedrańskich.

Torak zatrzymał się, by przegrupować siły, ale my nadal nie mieliśmy żadnej wieści o tym, co działo się w południowym Cthol Murgos. Jeśli coś się tam nie wydarzy, i to szybko, będziemy musieli walczyć bez pomocy legionów. Nie wyglądało to zachęcająco.

W końcu, późną nocą, gdy właśnie zapadłem w niespokojny sen, obudził mnie głos Beldina.

- *Belgaracie!* - zarechotał. - *Możesz przestać martwić się Urvonem! On tam nie dotrze!*

- Co się stało?

- *Murgowie wyrzynają jego armię w pień i szuka otwartego pola, by stoczyć z nimi walkę. Poszedł na Wielką Pustynię Araga, a Murgowie podążyli za nim.*

- Niszczą się nawzajem? - zapytałem rozbawiony.

- *Nie, ktoś robi to za nich. Czy tam u was nadal pada?*

- Beldinie, pada niemal nieprzerwanie od 4850 roku. Nigdy nie przestanie.

- *Teraz pewnie przestanie. Powód właśnie przeszedł przez Pustynię Araga. Przez ostatnie pięć lat lało na tym pustkowiu. Urvona i Murgów,*

*którzy go gonili, przywaliły zwały błota. Nikt stąd nigdzie nie pójdzie.
Torak będzie musiał walczyć tymi siłami, którymi dysponuje.*





Poszedłem do kwatery Pol, obudziłem ją i przekazałem wieści od Beldina.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności - zauważyła, zaparzając sobie herbatę. Ja nigdy nie przepadałem zbytnio za herbatą, ale Pol zasmakowała w niej podczas lat spędzonych w Vo Wacune.

- To chyba coś więcej, Pol - nie zgodziłem się. - Paskudna pogoda, którą musieliśmy znosić przez ostatnie ćwierć wieku, była przygotowaniem do tej ulewy, więc trudno nazwać to szczęśliwym trafem. Co więcej, Urvon nie zapędziłby się na pustynię i nie dał się schwytać w pułapkę, gdyby nie knucia Ctuchika.

- Czy to duża pustynia?

- Wielka Pustynia Araga? Jest wielkości Algarii. Nie ma mowy, aby Urvon przekopał się przez nią wystarczająco szybko, by odegrać jakąś rolę pod Vo Mimbre.

- Chyba że Torak postanowi zaczekać na niego.

- Nie może. WYDARZENIE musi dojść do skutku w określonym czasie.

- Nadal jednak mamy problem.

- Tak? Z mojego punktu widzenia sprawy przybierają całkiem dobry obrót.

- Nie ciesz się tak, ojciec. Wiemy, że Urvon jest pogrzebany pod błotem, ale jak przekonamy Rana Boruna i generała Cerrana, że ich południowe granice są już bezpieczne? My przywykliśmy do manipulacji pogodą, ale oni nie. Ta burza na nic się nie zda, jeśli nie zwolni legionów z posterunku.

Polgara wszystko potrafi pozbawić blasku. Chwilę wpatrywałem się chmurnie w podłogę.

- Lepiej porozmawiajmy z Rhodarem - postanowiłem. - Może sprawę załatwi rzekoma wieść od jednego z jego szpiegów.

- Ten wybieg jest już nadużywany, ojcze. Ran Borune i Cerran wiedzą, że chcielibyśmy mieć legiony pod Vo Mimbre. Wiadomość, która „przypadkiem” przyszła w samą porę, wzbudzi ich podejrzliwość. Czemu nie powiedzieć im prawdy? Pokaż im kopie Kodeksu Mrińskiego i wskaż wszystkie wydarzenia w przeszłości, kiedy miał rację.

- Nie sądzę, aby to zdało egzamin, Pol. Możemy przekonać Rana Boruna. Wystarczająco wiele widział już w ciągu minionych pięciu lat, by zdawać sobie sprawę z tego, że dzieje się tu coś, czego nie można racjonalnie wytłumaczyć. Staraliśmy się jednak tak usilnie, by generałom wszystko rozsądnie wyjaśnić, że nagle odkrycie prawdy zupełnie wytrąciłoby Cerrana z równowagi. Przekonanie go zajęłoby całe miesiące, a my nie mamy tyle czasu. Torak maszeruje już w dół rzeki Arend, w kierunku Vo Mimbre. Przewiezienie legionów na północ, do Arendii, zajmie Cherekom trochę czasu. Wypróbujmy najpierw stary sposób, nim chwycimy się czegoś nowego. Chcę mieć te legiony pod Vo Mimbre i nie mam czasu na udzielanie nauk Naczelnemu Dowództwu Tolnedry.

- To nie armie zdecydują o wyniku tej bitwy, ojcze. Brand i Torak wezmą udział w pojedynku i to jest WYDARZENIE, na które czekamy. Całe te manewry stanowią jedynie przygotowanie.

- Owszem, ale są niezbędne. Torak uzyska przewagę liczebną, jeśli nie dołączą do nas legiony. Nie będzie miał żadnego powodu, aby przyjąć wyzwanie Branda, chyba że obudzimy jego wątpliwości. Będziemy musieli utrzyć mu trochę nosa, nim przez myśl przejdzie mu opuszczenie tego żelaznego pawilonu i pojedynek z Dzieckiem Światła. Torak może jest szalony, ale nie na tyle głupi, by ryzykować, jeśli go do tego nie zmusimy.

- Nadal pozostaje jeszcze kwestia generała Cerrana.

- Wiem. Zabierzmy Rhodara i chodźmy do pałacu.

Jak się spodziewałem, Ran Borune skłonny był zaakceptować historyjkę Rhodara o wiadomości z południa. Imperator Tolnedry był na tyle sprytny, by zdawać sobie sprawę, że mamy z Pol sposoby

zdobywania informacji, których on nie potrafi w pełni pojąć, ale dopóki nie stawialiśmy go w kłopotliwym położeniu i zachowywaliśmy pozory, chętnie z nami współpracował. Generał Cerran stanął okoniem.

- Przykro mi, wasza wysokość - przepraszał cesarza - ale po prostu nie mogę zgodzić się na pozostawienie naszych południowych granic bez obrony, dopóki nie sprawdzę tej wiadomości. Proszę nie poczytać tego za obrazę, królu Rhodarze, ale z pewnością jego wysokość rozumie moje stanowisko. Mamy tu jedynie zaszyfrowaną wiadomość, której nie potrafię nawet odczytać, od człowieka, którego nawet nie znam. Jego depesza może zawierać przesadzone wieści lub mogło się zdarzyć, że został pojmany i zmuszony do jej wysłania. Nic nie uradowałoby Urvona bardziej niż skłonienie nas podstępem do zabrania legionów z południa. Jeśli ta wiadomość nie jest prawdziwa, Urvon rozbije obóz na ulicach Tol Borune, nim ponownie zajmiemy swoje pozycje.

- Ile zajmie ci sprawdzenie tej wiadomości, Cerranie? - zapytał Ran Borune.

- Przynajmniej kilka tygodni, wasza wysokość - odparł generał. - Mam trzy legiony na północnym brzegu Rzeki Borgasa w południowej Nyissie. Pełnią funkcje zwiadowcze, abyśmy wiedzieli, gdy Urvon dotrze do granicy Nyissy. Jeśli przekażę im rozkaz, to konny patrol może przedostać się przez południowo-zachodni kraniec Goska na pustynię i wrócić w ciągu tygodnia lub dziesięciu dni. - Rozłożył bezradnie ręce. - Przykro mi, wasza wysokość, ale to najlepsze, co mogę w tej sytuacji zrobić. Informację można przekazać jedynie tak szybko, jak człowiek na dobrym koniu potrafi ją przenieść. To zawsze stanowiło problem w trakcie szeroko zakrojonych kampanii. Chciałbym, aby był szybszy sposób, ale nie ma.

Oczywiście mylił się. Jest szybszy sposób, ale nie mogłem mu tego wyjaśnić - w każdym razie nie w zrozumiałych dla niego terminach.

- Myślę, że znalazł się pan w nieco kłopotliwym położeniu, generale Cerran - powiedziała Pol. - Jeśli raport Rhodara nie jest dokładny, to Urvon nadal może zająć was od południa, ale jeśli Kal Torak zwycięży pod Vo Mimbre, to stanie na waszej północnej granicy i od Tol Honeth odgradzać go będzie jedynie garstka nie uzbrojonych

wieśniaków. W tym wypadku będziesz miał do czynienia z powtórką tego, co wydarzyło się w Drasni.

To go trochę zaniepokoiło, a Rana Boruna nawet jeszcze bardziej. Przebiegły imperator myślał nad tym przez chwilę.

- A co byście powiedzieli na kompromis? - zapytał w końcu.

- Zamieniam się w słuch, Ranie Borunie - powiedział Rhodar.

- A może wysłać połowę legionów do Arendii, a drugą połowę zostawić tam, gdzie jest?

- Czy to wystarczy, Belgaracie? - zapytał Rhodar.

- Połowiczne rozwiązanie - odparłem z powątpiewaniem

- Czy to decyzja jego wysokości? - zapytał Cerran swego imperatora. - Będą osłonięte obie granice, ale... - Zawiesił głos.

- Nie mamy wielkiego wyboru, Cerranie. Musimy zabezpieczyć się z obu stron.

- Nie cierpię wojny na dwóch frontach - mruknął Cerran. Przez chwilę wpatrywał się posepnie w sufit. - Przewaga liczebna to głównie kwestia wrażenia - zastanawiał się głośno. - Na ogół udział w walce bierze mniej niż połowa oddziałów. Pozostałe trzymane są w rezerwie - zwykle tam, gdzie generałowie przeciwnika mogą je widzieć.

- Tak się to zwykle odbywa - przyznał Rhodar.

- Ja mam do dyspozycji dodatkowe siły - powiedział Cerran. - Nie są to zbyt dobrze wyćwiczeni żołnierze ani w zbyt dobrej kondycji i nie gwarantuję, że potrafią dobrze walczyć, ale mogą zrobić na Toraku wrażenie.

- Skąd wytrzasnąłeś tę widmową armię, Cerranie? - zapytał Ran Borune.

- Mamy tu, w Tol Honeth, w imperialnym garnizonie, osiem legionów, wasza wysokość. Są tłuści i leniwi, w większości to Honethowie. Nikomu jeszcze nie udało się zrobić prawdziwych żołnierzy z Honethów, ale mogą zasilić nasze szeregi pod Vo Mimbre.

- Początek już jest - przyznał Rhodar.

- Myślę, że mogę posunąć się jeszcze dalej - dodał Cerran. - W okolicy Tol Honeth znajduje się dwanaście obozów treningowych

legionów i siedem w pobliżu Tol Vordue. Ci rekruci pewnie nawet nie potrafią jeszcze maszerować w szeregu, ale są umundurowani. Mogą udawać dodatkowe dwadzieścia siedem legionów wzmacniających nasze rezerwy. Jeśli ściągniemy połowę regularnych oddziałów z południowej granicy i wzmocnimy je tamtymi pseudożołnierzami, Kal Torak ujrzy ponad siedemdziesiąt pięć legionów - i wojaków króla Eldriga - na swym lewym skrzydle. Myślę, że to zwróci jego uwagę.

- Jesteś geniuszem, generale Cerranie! - wykrzyknął Ran Borune.

- Wiesz, Belgaracie - powiedział Rhodar - to może się udać. Kal Torak może i jest szalony, ale Ad Rak Cthoros z Cthol Murgos nie jest, podobnie jak Yar Lek Thun Nadraków. Nie pozwolą unicestwić swych armii, dopóki Malloreanie znajdują się na tym kontynencie. Mogą przed Kal Torakiem chylić czoło, ale nie są na tyle głupi, by mu ufać. Jeśli zaczniesz wyglądać, że zdecydowanie górujemy nad nimi liczebnością, to myślę, że będą próbowali zdezerterować. Porozmawiam o tym z Cho-Ramem. Jeśli Murgowie i Nadrakowie zatęsknią za domem, nie powinniśmy ich chyba zatrzymywać, gdy ruszą na wschód.

- A co z Thullami? - zapytał go Cerran.

- Thullowie nie potrafią znaleźć drogi do domu bez psów przewodników, generale - odparł ze śmiechem Rhodar. - Mają bardzo ograniczone poczucie kierunku, można powiedzieć, a także bardzo ograniczone pojęcie niemal o wszystkim. Przeciętnemu Thullowi potrzeba pół dnia na zawiązanie butów.

- Zdajecie sobie, panowie, sprawę, że przyszłość świata uzależniacie od powodzenia zawilego podstępu? - zapytała Polgara.

- To jest gra, lady Polgaro - przyznał z zadowoleniem Rhodar - ale czasami to dobra zabawa, a im wyższa stawka, tym bardziej jest podniecająca.

Polgara westchnęła, ale nic nie powiedziała.

- To najlepsze, co możemy zrobić, Belgaracie - przeproszał Ran Borune. - Legiony rozproszone są wzdłuż Leśnej Rzeki. Generał Cerran może sprowadzić te znajdujące się najbliżej wybrzeża do ujścia Leśnej Rzeki i czekającej w pogotowiu flotylli Chereku. Tym, którzy znajdują

się dalej na wschód, i tak zbyt wiele czasu zajęłoby dotarcie do wybrzeża, by na coś się przydały pod Vo Mimbre.

- Osobiście obejmę dowództwo naszych sił w Arendii - dodał Cerran.
- Może uda mi się przekonać Honethów, aby zarobili na swój żołąd.

- No cóż - powiedziałem - jeśli to najlepsze, co możemy zrobić, to będzie musiało wystarczyć. - Udawałem lekkie zwątpienie, ale tak naprawdę byłem całkiem zadowolony z obrotu sprawy. Sztucznie rozdęta armia Cerrana może przekonać Kal Toraka do przyjęcia wyzwania Branda, gdy nadejdzie czas.

Torak nie poruszał się zbyt szybko. Pogoda nie wróciła jeszcze do normy i jego armia brnęła przez głębokie na stopę błoto. Zatrzymywał się również, by zburzyć każdy ufortyfikowany dom, każdy zamek i każdą wieś, którą napotkał. Jeńców przekazywał oczywiście Grolimom. Spowalniało ich również coś jeszcze - a raczej ktoś - mianowicie Algarowie, Drasanie, Ulgosi i asturscy łucznicy. Górny odcinek rzeki Arend był gęsto zalesiony, więc świetnie zakładało się tam zasadzki. Mówiąc szczerze, miałem trochę wątpliwości co do zapału Asturów. Kal Torak w końcu atakował Mimbre. Ale gdy łucznicy Eldallana zobaczyli okrucieństwa, jakich dopuszczali się Angarakowie, celność ich strzałów poprawiła się na tyle, że nie sposób było się ukryć przed asturskimi strzałami. Kal Torak z Mallorei ponosił straszliwe straty w trakcie marszu na zachód ku Vo Mimbre.

Beldin poleciał z Pustyni Araga na północ i był z królem Eldrigiem w ujścia Leśnej Rzeki. Legiony tolnedrańskie nadciągały, ale odniosłem wrażenie, że nie spieszyło im się zbyttnio. Nie poruszyłem jednak tej kwestii z generałem Cerranem. Potrzebowałem go, więc nie chciałem zaognić sytuacji.

Eldrig znajdował się na południu ze swą flotą, gdy do Tol Honeth przybyli bliźniacy z dodatkowymi wskazówkami, które znaleźli w Kodeksie Mrińskim. Nadal spotykaliśmy się w ambasadzie Chereku. To było jedyne miejsce w Tol Honeth chroniące od wścibskich oczu i uszu szpiegów Rana Boruna. To, o czym mieliśmy rozmawiać, nie było jego sprawą. Poza tym lubiłem ambasadę Chereku w Tol Honeth. To było przytulne miejsce, dające miłe wytchnienie po tolnedrańskim marmurowym przepychu. Fotele wyciosano z drewna i przykryto

skórami, a na palenisku wiecznie płonął ogień, nawet latem. Cherekowie są przekonani, że odkryli ogień, więc płonące kominki to dla nich rodzaj religijnego obrzędu.

Gdy już zebraliśmy się w typowej alornskiej komnacie rady i ambasador rozesłał swych krzepkich chłopców, by wypłoszyli z budynku wszystkich szpiegów, przystąpiliśmy do sprawy. Beltira wyjął z futerału jeden ze zwojów Kodeksu Mrińskiego i przeczytał nam jego fragment.

- „*Baczcie!* - czytał. - *Stanie się, iż Bóg-Smok zajęty będzie pod murami złotego miasta przez trzy dni, a potem Dziecko Światła wyzwanie mu rzuci. I trzeciego dnia wszystko zdecyduje się podczas WYDARZENIA*”.

- Przynajmniej nie będzie długiego oblężenia - zauważył Cho-Ram.

- A już miałem taką nadzieję - powiedziałem. Podeszedłem do mapy i zmierzyłem kilka odległości. - Myślę, że powinniśmy zaprzestać podgryzania tyłów Toraka i nieco wycofać te oddziały. Jeśli dalej będziemy go tak naciskać, może nie zatrzymać się dla przegrupowania. Pogna prosto na równinę wokół Vo Mimbre i zacznie oblężenie miasta. Czy nam się to podoba, czy nie, będzie to początek trzydniowej bitwy, o której mówił Kodeks Mriński, a ja wolałbym, aby Eldrig i Cerran byli o wiele bliżej, nim sprawy zajdą tak daleko.

- On może i tak iść dalej i zaatakować, Belgaracie - zauważył Rhodar.
- Ma kalendarz wydarzeń, więc wie, kiedy ma tam dotrzeć. My tego nie wiemy. Jeśli czas go goni, nie stanie.

- Logika podpowiada, że zostawił sobie pod dostatkiem czasu, Rhodarze - nie zgodziła się Pol. - Wiele rzeczy musi się wydarzyć przed WYDARZENIEM i Torak o tym wie - pewnie nawet lepiej od nas. Określone rzeczy muszą znaleźć się na swoim miejscu, nim Brand będzie mógł rzucić wyzwanie. Jeśli Torak w jakiś sposób temu przeszkodzi, będziemy mieli do czynienia z całkowicie innym WYDARZENIEM - takim, o jakim Kodeks Mriński czy Wyrocznia Ashabińska pewnie nawet nie wspominają. W takim wypadku nikt nie będzie wiedział, co się wydarzy.

- Moglibyśmy po prostu rzucić wszystkie nasze siły przeciwko niemu - zaproponował Rhodar. - To powinno go trochę opóźnić.

- Ale tym samym bitwa odbędzie się gdzie indziej, nie pod Vo Mimbre - zaprotestował Brand - a WYDARZENIE tam musi mieć miejsce.

- No cóż, ojczy - zwróciła się do mnie Pol. - Jeszcze raz trzeba będzie zdać się na wiarę.

- Zdaje się, że tak. Chyba trzeba wybrać się do Vo Mimbre i udzielić Aldorigenowi kilku rad. Nie chcę, aby mimbrańscy rycerze poczuli się zbyt silni i niepokonani. Jeśli ruszą do ataku, nim legiony i Cherekowie dotrą pod Vo Mimbre, to zostaną starci z powierzchni ziemi. Myślę, że tym razem będziemy mieli tylko jedną szansę, więc od razu postępujemy jak należy. Tutaj zrobiliśmy już wszystko, co było w naszej mocy, zatem, panowie, lepiej opuśćcie Rana Boruna i wracajcie do swoich wojsk. Wszyscy znamy sygnały i wiemy, co robić, gdy nadejdą. Pol i ja udamy się do Vo Mimbre i weźmiemy Aldorigena na smycz. Potem będziemy siedzieć i czekać na flotę Chereku. Nie prowokujcie żadnych starć i nie dajcie się też Torakowi wywabić z waszych kryjówek.

Wszyscy wstaliśmy.

- Powodzenia, panowie - powiedziała poważnie Pol. Spotkanie dobiegło końca. Królowie udali się przez miasto do imperialnego pałacu, by powiadomić Rana Boruna o swoim odjeździe. Cho-Ram i Rhodar ruszyli na zachód, by objechać lewe skrzydło Toraka i dołączyć do swych armii w górach. Tymczasem Brand i Ormik z Sendarii pojechali na północ, by dołączyć do wojsk czekających na skraju Puszczy Arendzkiej.

Ja z Pol zmarudziłem jeszcze chwilę, ponieważ chciałem zamienić kilka słów z bliźniakami.

- Postarajcie się pilnować, aby Ran Borune nie popadł w histerię - powiedziałem. - Będziemy w kłopotach, jeśli w tej sytuacji puszcza mu nerwy. - Potem opuściliśmy z Pol ambasadę, przeszliśmy północnym mostem przez Nedrane i weszliśmy w brzozowy zagajnik, by zmienić postać.

- Muszę zrobić coś, co ci się nie spodoba, ojczy - powiedziała Pol. - Mam używać postaci mamy. Postępuję zgodnie ze wskazówkami, więc nie trać czasu na protesty.

- Postaram się panować nad sobą - odparłem. O tym, o co w tym wszystkim chodziło, wiedziałem o wiele więcej niż Ran Borune, ale i tak działo się wiele rzeczy, o których nie wiedziałem. Pewnie z tego samego powodu. Jeśli wiedziałbym wszystko, to popadłbym w histerię.

Pogoda zaczynała się poprawiać - powoli. Przynajmniej już bez przerwy nie padało. Moce, które zbierały siły, odkąd Kal Torak opuścił Ashabę, osiągnęły swój punkt szczytowy podczas burzy, która pogrzebała Urvona, ale potrzeba było jeszcze czasu, nim wszystko wróci do normy. Niebo na północną Tolnedrą i południową Arendię nadal zasnuwały chmury i choć zaczęło się już lato, nie ociepliło się zbyt.

Dotarliśmy do Vo Mimbre w środku nocy i wylądowaliśmy na murach otaczających pałac Aldorigena. Oczekaliśmy, aż zakuty w stal strażnik odmaszerował z chrzestem zbroi, następnie wróciliśmy do własnych postaci i zeszliśmy do sali tronowej. Panował w niej półmrok.

- Może pozwolilibyś mnie się tym zająć, ojcze? - zaproponowała Pol. - Znam Arendów o wiele lepiej od ciebie i potrafię wyjaśnić Aldorigenowi sprawy w sposób, który go nie obrazi. Ty tylko staraj się robić dobre wrażenie, a ja zajmę się rozmową.

- Chętnie - przystałem. - Rozmawianie z Arendami przyprawia mnie o ból głowy.

- Ależ ojcze!

Dziwne, powiedziała to niemal z przekonaniem.

Świt zaczął zaglądać już w okna sali tronowej, gdy wielkie wrota się otworzyły. Weszli Aldorigen i jego siedemnastoletni syn, Korodullin. Siedzieliśmy z Pol w rogu sali, więc nie od razu nas spostrzegli.

- To niegodziwiec, sire - mówił z zapalem Korodullin - wyrzutek wyjęty spod prawa. Jego obecność tutaj sprofanuje najświętsze miejsce w całej Arendii.

- Wiem, że łotr z niego i hultaj, Korodullinie, ale słowo swe mu dałem. Nie będziesz mu zatem mową swą uwłaczał ani też żadnych impertynencji prawił, dopóki w murach Vo Mimbre się znajduje. Jeśli

zaś nie potrafisz gniewu swego powściągnąć, w komnatach swoich pozostań i czekaj, aż wyjedzie. Przybędzie tu przed południem i muszę omówić z nim różnorodne kwestie dotyczące zbliżającej się bitwy. Będzie znajdował się tutaj pod ochroną i żaden człowiek - nawet ty - nie splami mego honoru nierozważnym słowem lub uczynkiem. Ślubujesz mi to lub będę musiał cię uwięzić.

Korodullin wyprostował się. Był przystojnym diableciem, muszę to przyznać, ale na twarzy malował mu się gniew i nie przejawiał choćby najmniejszych oznak zdrowego rozsądku.

- Będzie, jak mój król rozkaże - zgrzytnął przez zaciśnięte zęby.

Co tu się działo?

Podśluchiwałbym jeszcze trochę dłużej, ale Polgara już podchodziła do podwyższenia, na którym obaj stali.

- Dzień dobry, wasza wysokość - pozdrowiła Aldorigena, dygając wdzięcznie. - Mój sędziwy ojciec i ja właśnie przybyliśmy z Tol Honeth i choć wspaniałość tego najprzesławniejszego z miast wszystko przyćmiewa, przybyliśmy tutaj naradzić się z tobą, panie, i przekazać ci pewne informacje o tym, co wydarzyć się ma, a co ciebie, panie, i twego królestwa szczególnie dotyczy.

Jak jej się udało zmieścić to wszystko w jednym zdaniu? Aldorigen skłonił się przed nią głęboko.

- Twa obecność zaszczytem jest dla mego skromnego miasta, boska lady Polgaro - odparł - albowiem ty, niczym słońce samo, sprowadzasz jasność i radość na wszystkich, na których spojrzysz.

Jeśli dać Arendom czas, to bez końca będą wymieniać coraz bardziej zawile komplementy. Gdy tylko Polgara przeszła na owe „zaiste” i „albowiem”, jej zdrowy rozsądek ulotnił się i stała się Arendką do szpiku kości. Wiedziałem, że próby ponaglenia ich byłyby jedynie stratą czasu. Wyciągnąłem więc spod tuniki mały, ciasno zwinięty zwój, usiadłem na fotelu w pobliżu podwyższenia i udałem bardzo zajętego.

Po półgodzinie, w ciągu której moja córka i tak zwany król Arendii przyrównywali się do słońc, księżyców, tęcz, letnich poranków, gwiazd, orłów w locie, ryczących lwów i delikatnych gołębi, Polgara przeszła do rzeczy. Wbiła po prostu do głowy nierozsądnemu Aldorigenowi

konieczność oczekiwania na sygnał do ataku, powtarzając mu to wielokrotnie i za każdym razem używając innego porównania lub metafory. Stopniowo w jego oczach zaczął pojawiać się przeblysk zrozumienia.

- Proszę cię, mój królu - zaprotestowała - nie ośmieliłabym się udzielać pouczeń najwspanialszemu ze wszystkich monarchów tego świata... - I tak przez następne pół godziny oboje prześcigali się w okazywaniu swej nadmiernej pokory. W końcu Pol okrężną drogą dojrzała do zapytania go, o co sprzeczał się z synem po wejściu do sali tronowej.

- Niegodziwy Astur, Eldallan, ubłagał mnie, abym zagwarantował mu bezpieczeństwo, byśmy mogli czas jakowyś naradzać się nad sprawami materii różnorodnej niepokojącymi nas w obliczu nadciągającej bitwy. Zważcie jednakowoż, iż czuć nikły swąd podstępny w jego prośbie. Nasze plany bitwy jasne są i nieskomplikowane. Spotkanie to zatem nie jest konieczne.

- Szelma korzysta z okazji, by wyszpiegować naszą obronę - zapewnił żarliwie Korodullin. - To Astur, przeto niegodziwiec z definicji. Jeśli bitwa wyczerpie nasze siły, Eldallan całymi swoimi siłami przypuści szturm na Vo Mimbre. Nadto, jako iż to Astur, wielce prawdopodobne, że zawarł jakowyś potajemny pakt z Kal Torakiem, by zdradzić nas w krytycznym momencie bitwy.

Skontaktowałem się w myślach ze swoją córką.

- Lepiej natychmiast połóż temu kres, Pol. Cały sojusz chwieje się w posiadach.

- Dobrze - odparła. Spojrzała na nich z udawanym zdziwieniem. - Nie wierzę swym uszom - rzekła do nich. - Azali w istocie jesteście aż tak bojaźliwi? Czyżby z legendarnej odwagi Mimbratów wstyd jeno pozostał? Czyżby wrogość kilku asturskich wyrzutków tak wielce was niepokoiła? Fe, panowie, wstyd! Owa babska podejrzliwość wstyd wam obu przynosi!

Prawie mnie zatkało. Ja nie załatwiłbym tego w ten sposób. Jeśli to był wedle Pol najlepszy sposób załagodzenia sprawy, to będę z nią musiał odbyć dłuższą rozmowę.

O dziwo jednak poskutkował. Polgara łajała ich dalej, aż w końcu nie mogli sobie znaleźć miejsc, niczym para zawstydzonych uczniów, wówczas dała spokój.

Książę Eldallan przybył punktualnie w południe i zabrał ze sobą swą córkę, Mayaseranę. Płynące z tego wnioski były całkiem oczywiste. Czynił z siebie i swej córki zakładników na dowód swej dobrej woli. O dziwo, Aldorigen pojął to w lot. Mayaserana znacznie wyrosła, odkąd widziałem ją po raz ostatni. Miała prawie osiemnaście lat i była zdumiewająco piękna, co Korodullin natychmiast zauważył. Jej urodę nieznacznie tylko psuło spojrzenie ogromnych, ciemnych, twardych niczym agaty oczu.

- Przejdę od razu do rzeczy, Aldorigenie - powiedział dziarsko Eldallan, gdy w otoczeniu licznej straży wprowadzono ich do sali tronowej. - Obaj szczególnie nie przepadamy za sobą, więc nie ma co tego przeciągać. Dałem słowo jej miłości, księżnej Erat, że przybędę ci z pomocą, gdy Kal Torak przypuści szturm na miasto, i uczynię to. W zamian jednakże chciałbym, byś przysiągł, że po skończeniu bitwy moi ludzie będą mogli wrócić do Asturii nie molestowani przez mimbrańskich rycerzy.

- Asturia już nie istnieje - zapewnił Korodullin.

- Powiedz to po wjechaniu do naszego lasu, głupi chłopaku - powiedziała Mayaserana. - Mimbrańskie kości pod każdym krzakiem porastają mchem. Jeszcze jedno nie uczynią większej różnicy.

Dogadywali się po prostu wspaniale.

W tym momencie Polgara wkroczyła do akcji i zmusiła Eldallana i Aldorigena do wymiany przyrzeczeń. Eldallan przysiągł zając swoje miejsce pomiędzy Rivanami i Sendarami na północnym skrzydle Toraka, a Aldorigen ślubował, że mimbrańscy rycerze nie przeszkodzą w powrocie Asturów do domu. Oczywiście całą sprawę można było załatwić przez sendarskich mediatorów, ale Eldallan miał jeszcze inny powód przybycia do Vo Mimbre. Wyjawiał go, gdy wymienili z Aldorigeniem przysięgi.

- Przyszło mi do głowy, że nadarza nam się doskonała okazja do załatwienia sprawy, Aldorigenie - powiedział wyniosłym tonem.

- Wysłucham twych słów, Eldallanie. - Ton głosu Aldorigena był zimny i obraźliwie wyniosły.

- Całe pokolenia pewnie przeminą, nim władcy Mimbre i Asturii ponownie znajdą się w tak dogodnej bliskości, nie sądzisz?

Aldorigenowi rozbłysły oczy.

- Bardzo wnikliwe spostrzeżenie, panie - odparł. Po raz pierwszy któryś z nich zwrócił się do drugiego z cieniem szacunku.

- Czemu by nie ustalić dnia, panie? - zaproponował Eldallan. - Gdy już pozbędziemy się kłopotów z Kal Torakiem, moglibyśmy, ty i ja, udać się w jakieś ustronne miejsce i omówić sporne kwestie, dokładnie.

- Znacząco położył dłoń na rękojeści schowanego w pochwie rapiera. - Jestem pewny, że uznasz moje argumenty za bardzo ostre.

Na twarzy Aldorigena pojawił się niemal dobroduszny uśmiech

- Jakaż wspaniała propozycja, panie - powiedział ciepło.

- A zatem bywaj, panie - powiedział Eldallan z głębokim ukłonem.

- Trzymaj się od tego z dala, Pol! - powiedziałem ostro w myślach. - To powinno się wydarzyć!

Odpowiedź, jaką mi w myślach przesłała, nie nadaje się do powtórzenia.

- A ty, zuchowaty młodziku, trzymaj się z dala, gdy nasi ojcowie się spotkają - powiedziała do Korodullina Mayaserana. - Jestem Asturką i moje ręce stworzone są do łuku. Twoje kości równie dobrze mogą zmurszeć w Mimbre, co w Asturii.

- Nie zbliżaj się na strzał z łuku do mego ojca ty wyjęta spod prawa dziewczko - odparował - jeśli z głowy swej chcesz jeszcze potem użytek czynić.

Potem Eldallana i jego wojowniczą córkę wyprowadzono pod eskortą.

- Teraz moje życie pełne się stało! - wykrzyknął uradowany Aldorigen. - Gdyby to tak nienaturalne nie było, to gotów bym wyściskać tego durnego nikczemnika, Eldallana!

Arendowie, westchnąłem, zwijając swój zwój.

Dotarcie na odległy kraniec ogromnej równiny wokół Vo Mimbre zajęło Kal Torakowi następny tydzień. Zatrzymał się tam w celu

przegrupowania sił i rozesłania zwiadowców. Zacząłem się robić coraz bardziej niespokojny.

- Co cię zatrzymuje? - wysłałem Beldinowi myśl.

- *Jeszcze dziesięć legionów ciągnie w dół rzeki - odparł.*

- Beldinie, Torak siedzi mi niemal na karku! Nie możesz przysłać tych, które już masz pod ręką ?

- *Przecież postanowiliśmy inaczej. Nie zastraszymy zbytnio Toraka legionami, jeśli będziemy je cedzić na pole bitwy. Całe siły muszą przybyć jednocześnie.*

- Kiedy będziesz w stanie odpłynąć?

- *Za kilka dni. Eldrig ma zgarnąć w Tol Honeth Gwardię Imperialną i te legiony szkolone w Tol Vordue. Daj nam tydzień.*

- Jeśli Torak rozpocznie atak podczas najbliższych dni, to dotrzecie tu już po wszystkim. Kodeks Mriński mówi, że bitwa będzie trwać trzy dni. Pierwsze dwa zlecą pewnie jedynie na potyczkach, ale trzeciego koniecznie musisz już tu być.

- *A zatem wyznaczyłeś już sobie zadanie. Musisz trzymać go z dala od murów Vo Mimbre przez pięć dni. Potem przez dwa dotrzymaj mu pola. Ja przybędę trzeciego dnia i zabierzemy się do roboty.*

- Nie spóźnij się.

- *Zaufaj mi.*

Podszedłem do drzwi swej komnaty w pałacu Aldorigena.

- Potrzebna mi duża, aktualna mapa południowej Arendii - powiedziałem do strażnika patrolującego korytarz.

- W tej chwili, Świątobliwy Belgaracie - odparł, waląc się pięścią w stalowej rękawicy po napierśniku. Mimbraci są tacy hałaśliwi!

Kiedy wrócił z mapą, rozpostarłem ją na stole i zabrałem się do pracy. W głowie zaczynał mi świtać pewien plan.

- Polgaro - wezwałem bez słów swą córkę. - Potrzebuję cię.

Dotarcie do mych drzwi zajęło jej jedynie kilka minut.

- Słucham, ojczy? - zapytała.

- Chcę, abyś porozmawiała z Eldallanem - wyjaśniłem. - Potrzebuję około tysiąca jego łuczników. Beldin ciągle jeszcze jest jakiś tydzień drogi stąd, więc przez pięć dni musimy opóźnić Toraka.

- Nie sądzę, aby tysiąc łuczników sobie z tym poradziło, ojcze.

- Poradzą sobie, jeśli będą celować w naprawiających mosty. - Pokazałem jej mapę. - Rzekę Arend zasila kilkanaście dopływów - wskazałem - a dwadzieścia pięć lat nieustannych deszczów nappełniło je wodą po brzegi. Rozkażę, by Aldorigen wysłał swych mimbrańskich rycerzy, aby zniszczyli mosty. Chcę, aby łuczniczy zajęli pozycje na zachodnich brzegach tych dopływów. Pod gradem strzał bardzo trudno skoncentrować się na budowaniu mostów. W ten sposób moglibyśmy opóźnić pochód Toraka o pięć dni.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić. Potrafisz być bardzo paskudnym staruszkiem, gdy się o to postarasz.

- Staram się. - Przez chwilę przypatrywałem się mapie. - Będziesz musiała zostać z tymi łucznikami - oznajmiłem. - Ja będę z Mimbratami. Trzeba koordynować działania obu sił, a lepiej unikać bezpośredniego kontaktu pomiędzy Mimbratami i Asturami. Zaczynamy, Pol. Pójdę wyjaśnić plan Aldorigenowi.

Okazało się, że dowódcą asturskich łuczników, których Pol sprowadziła na wschodni kraniec równiny Mimbri, był porywczy młody szlachcic, baron Wildantor, rycerzem zaś, który prowadził moich mimbrańskich niszczycieli mostów, był baron Vo Mandor. Przyjaciel Gariona potrafił czasami poczynać sobie w bardzo ostentacyjny sposób. Dokładaliśmy z Pol wielu starań, by trzymać przodków Mandorallena z dala od przodków Lelldorina. Poświęciłem obu rodzinom wiele czasu, więc wolałem uniknąć wszelkich wypadków.

Nasza strategia nie była zbyt wyrafinowana. Posuwaliśmy się na wschód, dopóki nie natknęliśmy się na zwiadowców Kal Toraka. Rycerze mimbrańscy tratowali ich i parliśmy dalej, przechodząc co kilka mil przez mosty. Gdy napotykaliliśmy bardziej zdecydowany opór, łuczniczy zasypywali przeciwników strzałami, a potem nacierali Mimbraci.

Nie był to zbyt skomplikowany plan, ale pozwalał Pol i mnie zachować nadzieję. Co i rusz musiałem chodzić pomiędzy szeregami

mimbrańskich rycerzy, zwracając im uwagę, że powinni atakować Angaraków, nie Asturów. W tym samym czasie Pol przypominała swoim łucznikom, że nie powinni strzelać do Mimbratów.

W końcu dotarliśmy do szerokiego dopływu, na którego wschodnim brzegu obozowało kilka tysięcy Murgów. Wezwałem Pol i obu baronów, aby omówić plan działania.

- Dotarliśmy już tak daleko na wschód jak trzeba - rzekłem. - Zniszczmy zachodni koniec mostu przerzuconego przez tę rzekę i cofnijmy się do następnego strumienia.

- Opóźnię ich pościg - ofiarował się Wildantor.

- Nie, nie uczynisz tego - oświadczyłem zdecydowanym tonem. - Wstrzymasz się z tym, dopóki nie przekroczymy jeszcze dwóch rzek.

- Przysięgłem ich opóźnić! - Młody baron miał rude włosy i wszelkie cechy charakteryzujące rudzielców.

- Wysłuchaj mnie uważnie, panie baronie - powiedziałem. - Nie chcę, aby Murgowie już wiedzieli, że tu jesteśmy, Mimbraci Mandora zniszczą ten most; potem cofniemy się do poprzedniej rzeki i ponownie zniszczymy most. Później powtórzymy to jeszcze po raz trzeci na kolejnej rzece. Murgowie powinni do tego czasu odkryć zasadę naszego działania. Pognają całą gromadą naprzód, ciągnąc z sobą drewno do naprawy mostów. Gdy dotrą do czwartej rzeki, będziemy mieli w wodzie całe mnóstwo celów. Chcę, by powierzchnia wody pokryła się ciałami martwych Murgów. Gdy ich towarzysze dotrą do rzeki, będą już bardzo ostrożni.

Baron zmarszczył czoło i zamyślił się. Trwało to dobrą chwilę. Potem jego oczy pojaśniały, a na twarzy ponownie pojawił się szeroki uśmiech.

- Podoba mi się! - wykrzyknął.

- Aczkolwiek wielce nienaturalne zdaje mi się to, baronie Wildantorze - powiedział baron Vo Mandor - zaczynasz sympatię mą budzić. Wylewność twa zaraźliwa mi się wydaje.

- Sam nie jesteś najgorszy, Mandorze - przyznał Astur. - Może gdy będzie po wszystkim, przestaniemy się zabijać?

- Azali nie będzie to pogwałceniem zasad naszej religii? - zapytał Mandor z absolutnie poważną miną, co wywołało u Wildantora wybuch wesołości.

To nie było wiele, ale pierwszy krok został zrobiony.

Mój plan działał zaskakująco dobrze - choć biorąc pod uwagę ograniczenia umysłowe Murgów, nie wiem, czemu byłem tym zaskoczony. Uspokojeni brakiem jakichkolwiek przeszkód w odbudowie mostów, Murgowie, tak jak przewidziałem, rzucili całe regimenty dźwigających drewno żołnierzy na wschodni brzeg czwartej rzeki. Wildantor trzymał swych łuczników w pogotowiu, dopóki Murgowie nie dotarli z budową mostu na środek rzeki. Wówczas zadał w róg, dając sygnał ukrytym łucznikom.

Asturskie strzały zamigotały nad głowami niczym rozwijana tęcza, a Murgowie niemal dosłownie spłynęli ze swego na wpół ukończonego mostu, wypełniając rzekę ciałami.

Potem Wildantor i jego ludzie przyczaili się, wykazując zdumiewające opanowanie jak na Arendów.

Pozostali na brzegach Murgowie podczołgali się bojaźliwie do przodu, osłaniając tarczami głowy.

Wildantor nadal czekał.

W końcu Murgowie uznali, że łucznicy wycofali się i ponownie przystąpili do pracy.

Wówczas druga tęcza zmiotła mosty do czysta.

Ocaleli Murgowie zebrali się na wschodnim brzegu, miotając przekleństwa na nadal niewidocznych łuczników.

Wówczas to baron Wildantor dał wrzeszczącym Murgom pokaz niesamowitego zasięgu asturskich długich łuków. Trzecia tęcza uformowała sterty martwych Murgów na wschodnim brzegu rzeki, szerokiej w tym miejscu na dwieście kroków.

- Wspaniale! - krzyknął zachwycony Mandor. - Kapitalnie!

Potem ponownie odeszliśmy, wycofując się do piątego dopływu rzeki Arend. Wildantor i jego łucznicy pilnowali tyłów, przystając co kilkaset kroków, by razić goniących nas Murgów długimi na jard strzałami, tym samym dając mimbrańskim rycerzom czas na zburzenie wszystkich mostów z wyjątkiem jednego. Wówczas asturscy Arendowie zalali Murgów gradem strzał, zwinęli interes i wycofali się po jedynym ocalałym moście.

Jak można się było spodziewać, Wildantor trzymał straż na wschodnim krańcu mostu, dopóki wszyscy jego ludzie nie przeszli bezpiecznie na drugą stronę. Wypuszczał strzałę za strzałą prosto na nacierających Murgów z taką szybkością, że prawie nie było widać ruchów jego rąk. Gdy skończyły mu się strzały, odwrócił się, i ruszył pędem przez most.

Rycerze mimbrańscy poluzowali belki mostu tak, że wystarczył dobry podmuch, aby cała konstrukcja się rozpadła. Wówczas, gdzieś w górach na północnym wschodzie, przyjaciel Gariona kichnął. Chłodny podmuch, jedno z ostatnich tchnień ćwierćwiecznej ulewy, wypełnił każdy strumień i potok falą rwącej wody, wysoką na dziesięć stóp.

Most rozpadł się pod nogami Wildantora.

Rzuciłem się na zachodni brzeg, zbierając swą Wolę.

- Nie wtrącaj się, ojcze! - rzuciła mi Pol.

- Ale...

- Już się tym zajęto.

Baron Vo Mandor spał ostrogami swego konia, pogalopował do następnego mostu, zeskoczył z siodła, głośno podzwaniając zbroją. Podbiegł po zgruchotanym moście na sam jego chwiejny koniec, ukląkł, wyciągnął rękę ku spienionej wodzie.

- Wildantorze! - zawołał głosem, który pewnie było słyhać w Vo Mimbre. - Do mnie!

Rudowłosego Astura zносиło w dół rzeki z przeraźliwą szybkością, ale udało mu się zakręcić pod prąd i gdy przepływał obok zdruzgotanego końca mostu, wyciągnął ramię. Ręce obu mężczyzn spotkały się z głośnym klaśnięciem. Mimbrat odchylił się do tyłu, dosłownie

wyrywając Astura z rwącej wody. Potem schwycił go za tunikę na plecach i wyciągnął w bezpieczne miejsce.


Wildantor leżał chwilę twarzą do ziemi, wymiotując, kaszląc i wypluwając błotnistą wodę. Potem podniósł głowę z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Masz krzepę, Mandorze - stwierdził. - Pewnie mógłbyś kruszyć kamienie bez użycia młota. - Usiadł, masując sobie dłoń, którą Mimbrat niemal zgniótł i rozejrzał się. - Lepiej ustawię swych łuczników na miejsca - powiedział, jakby nic się nie stało. - Powstrzymamy Murgów, gdy ty i twoi rycerze będziecie burzyć kolejne mosty.


- Dobrze - zgodził się Mandor. Wstał, zachrząsał, podciągnął Wildantora na nogi i wrócił do swego konia.

Żaden z nich nigdy nie mówił już o tym wydarzeniu, ale dźwięk owego głośnego klaśnięcia, gdy ich dłonie się spotkały, zdaje się nadal dźwięczeć w mej głowie i pozwala mi z niejaką nadzieją myśleć o przyszłości.

Kontynuowaliśmy nasz powolny odwrót. Po piątym dopływie, gdzie łucznicy Wildantora pobrali straszliwe myto od nacierających Murgów, król Ad Rak Cthoros z Murgodomu znalazł jakieś pilne zajęcie dla swych żołnierzy i na Thullów spadł cały trud odbudowy mostów. Nie była to żadna nowość w angarackiej społeczności.



Nasze manewry nie były zbyt wymyślne, to prawda, ale opóźniły pochód Kal Toraka o wymagane pięć dni. Zawsze szukajcie najprostszego rozwiązania każdego problemu. Gdy zaczyna się za dużo kombinować, sprawy przybierają zły obrót.



Tego dnia, gdy Thullowie skończyli naprawiać mosty, chmury zaczęły się rozpraszać. Uznaliśmy z Pol, że dalsze tracenie , ludzi przy próbach powstrzymania pochodu Angaraków nie ma już sensu. Opóźniliśmy Toraka, ile było trzeba, toteż zgromadziliśmy siły w Vo Mimbri i zamknęliśmy bramy.

Zachód słońca tego wieczoru był wspaniały i dawał nadzieję, że pierwszego dnia bitwy pod Vo Mimbre niebo będzie pogodne.





Południowe mury Vo Mimbre wyrastały wprost z rzeki Arend. Deszcze padające przez ostatnie ćwierć wieku wypełniły ją wodą po brzegi. To czyniło atak od tej strony mało prawdopodobnym, więc pozostawały nam do obrony jedynie trzy strony.

Chodziłem po złocistych murach w mroku zapadającym nad Vo Mimbre. Przed udaniem się na spoczynek chciałem sprawdzić stan gotowości obronnej. Jestem pewny, że Mimbraci wiedzieli, co robią, ale nigdy nie zawadzi się upewnić, szczególnie jeśli ma się do czynienia z Arendami. Obu baronów, Mandora i Wildantora, znalazłem na parapecie nad główną bramą. Stali, spoglądając posępnie na stopniowo ciemniejącą równinę.

- Czy Jednooki w ogóle posuwa się naprzód? - zapytałem.

- Tylko kilka oddziałów czołowych - odparł odziany w zieloną tunikę Wildantor. - Pewnie poczeka do zapadnięcia zmroku z zajęciem pozycji. Gdyby księżyc świecił jasno, moi łucznicy mogliby utrudnić mu działanie.

- Oszczędzaj swe strzały - poradziłem. - Celów będzie pod dostatkiem, gdy wszędzie słońce.

- Mamy mnóstwo strzał, Belgaracie. Mandor kazał swym zbrojmistrzom zaopatrzyć nas w pełne beczki.

- Spostrzegłem, iż strzały asturskie są o wiele dłuższe od naszych z powodu wyjątkowej długości asturskich łuków - dodał Mandor, poprawiając zbroję. - A że czasowo sojusz nas łączy, przezornie zaopatrzyłem naszych przyjaciół obficie.

- Miły z niego chłopak, co? - powiedział Wildantor, posyłając swemu przyjacielowi zaraźliwy uśmiech.

Mandor roześmiał się. Zdawało się, że zuchwały, rudowłosy młodzieniec oczarował go do tego stopnia, że Mandor gotów był puścić

w niepamięć dwa tysiąclecia rodowych waśni. Pochwalałem to. Ich przyjaźń dobrze wróżyła przyszłym sprawom.

- Wy, panowie, również możecie się trochę przespać - powiedziałem.
- Jutro będzie długi dzień. - Potem zostawiłem ich i zszedłem na dół, do swej komnaty.

Polgara siedziała przy kominku. Czekwała na mnie.

- Gdzie byłeś? - zapytała.

- Sprawdziałem przygotowania do obrony - odparłem ze wzruszeniem ramion.

- Mimbraci przygotowywali się do oblężenia tego miasta ponad dwa tysiące lat, ojczu. Wiedzą, co robić. Pójdę się trochę rozejrzeć.

- Bądź ostrożna

- Oczywiście. Idziesz do łóżka?

- Po co zawracać sobie tym głowę? Nie będę mógł zasnąć. Zresztą i tak chciałem porozmawiać z Beldinem. Tylko nie siedź poza domem całej nocy. - Ilu ojców już to mówiło?

Nieco sztywno kiwnęła głową i wyszła.

- Beldinie - wysłałem myśl - poczyniłeś jakieś postępy?

- *Jesteśmy w Tol Honeth - odparł. - Rano ruszymy w dół rzeki. A jak tam mają się sprawy?*

- Udało nam się opóźnić Toraka. Teraz jesteśmy w mieście. Spodziewam się, że skoro świt spróbuje złożyć nam wizytę. Dotrzesz na czas?

- *Nie powinno z tym być problemu. To tylko czterdzieści lig w dół rzeki i kolejne czterdzieści do Tol Vordue. Powinniśmy dotrzeć do ujścia rzeki Arend gdzieś pojutrze.*

- Nie będziesz mógł liczyć na przychylny wiatr, płynąc w górę rzeki.

- *To będziemy wiosłować. Po to wynaleziono wiosła. Wyświadc mi grzeczność i nie wpuszczaj Toraka do miasta. Program jest bardzo napięty, więc nie będę miał czasu odbijać miasta. Nie zawracaj mi więcej głowy, Belgaracie. Jestem zajęty.*

Chrząknąłem i powędrowałem porozmawiać z bliźniakami. Nie miałem im w zasadzie nic ważnego do powiedzenia, ale byłem zdenerwowany i potrzebowałem towarzystwa.

Było dobrze po północy, gdy wróciła Polgara.

- Podciąga swe maszyny oblężnicze - poinformowała nas.

- Sądysz, że mury wytrzymają? - zapytał mnie Beltira.

- Prawdopodobnie - odparłem. - Vo Mimbre nie jest tak niezdobyte jak Twierdza Algarów, ale niewiele jej ustępuje. Myślę, że jest bezpieczne dopóty, dopóki Torak nie zacznie swoich sztuczek. Gdyby zechciał, potrafiłby rozbić górę.

- To jest zabronione - zapewnił mnie Belkira. - Konieczności są w tym względzie zgodne.

- Myślę, że jeśli o to chodzi, jesteśmy stosunkowo bezpieczni, ojcze - powiedziała Pol. - Jeśli miałby rozbijać góry, to obróciłby w gruzy Twierdzę. A on nawet nie opuścił tego żelaznego pawilonu, odkąd jego armia pokonała przejście lądowe.

- Skąd o tym wiesz? - zapytałem.

- Tego wieczoru rozmawiał o tym z Zedarem, a ja podsłuchiwałam. - Przez twarz przemknął jej nikły uśmiech. - Zdecydowanie nie chciałabym być w skórze Urvona ani Ctuchika. Obaj naprawdę rozgniewali Toraka. On rzeczywiście bardzo liczył na drugą armię Urvona. Jednakże Zedar wydaje się całkiem z siebie zadowolony. Teraz, gdy Urvon i Ctuchik popadli w niełaskę, on wodzi prym. - Zamyśliła się na chwilę. - Myślę, że lepiej uważać na Zedara, ojcze. Torak może dotrzymać zakazu, ale Zedar nie musi. Jeśli sprawy przybiorą dla nich zły obrót, Zedar prawdopodobnie złamie kilka zasad.

- Mój brat i ja będziemy go mieć na oku - obiecał Beltira.

- O czym jeszcze rozmawiali? - zapytałem Pol.

- Przez większość czasu o swych instrukcjach - odparła. - Najwyraźniej Wyrocznia Ashabińska dostarczyła Torakowi o wiele więcej szczegółów, niż nam dał Kodeks Mriński. Na przykład, Torak wie, że Eldrig sprowadza legiony, i wie, że niewiele może na to poradzić. Wie również, że WYDARZENIE ma mieć miejsce trzeciego dnia. Wiedział o tym od dawna. Nie chce spotkania z Brandem.

Najwyraźniej Wyrocznia ma dla niego złe wieści w tej sprawie. Gdy przeszedł lądowym przejściem i zgromadził zachodnich Angaraków, w żaden sposób nie mogliśmy dorównać mu liczebnością armii, ale kampanię w Drasni i Algarii, a potem wędrówkę przez Ulgoland przyplącała życiem przynajmniej połowa armii. Podejrzewam, że Zedar sprawdził liczebność wojsk. Jeśli legiony przybędą na czas, nasze armie będą porównywalnej wielkości. W tej sytuacji Torak nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko przyjąć wyzwanie Branda.

- To doprawdy interesujące - powiedziałem.

- Nie ciesz się przedwcześnie, ojcze. Torak rozkazał Zedarowi rzucić wszystkie siły na Vo Mimbre. Jeśli uda im się zdobyć miasto, szala przechyli się na jego stronę i zignoruje wyzwanie Branda. Gdy zaś trzeci dzień minie, będziemy mieć do czynienia z całkiem innym WYDARZENIEM. Torak wie, z jakim, my nie. Wydaje się jednak, że byłby z tego zadowolony.

- To pozwala przypuszczać, że zwycięży, jeśli bitwa przeciągnie się na czwarty dzień - wtrącił Belkira.

- A z tego wynika, że my zwyciężymy, jeśli WYDARZENIE będzie miało miejsce trzeciego dnia - dodał Beltira, po czym zmarszczył brwi. - Czy rozmawiali w ogóle o próbach opóźnienia okrętów wojennych płynących w górę rzeki, Pol?

- Zedar to zaproponował - odparła - ale Torak się nie zgodził. Nie ma zamiaru dzielić swych sił. Pragnie zdobyć Vo Mimbre, a do tego potrzebuje wszystkich ludzi. Ile jeszcze zostało do świtu?

- Trzy, cztery godziny - oznajmiłem.

- A zatem mam czas na kąpiel. Zatem wybaczcie mi panowie, ale pójdę się tym zająć.

Noc zdawała się ciągnąć bez końca. Dręczony niecierpliwością chodziłem po murach i wpatrywałem się w ciemność. Gwiazdy jasno świeciły nad głowami, ale księżyc nie było. Poeci rozpisują się na temat światła gwiazd, ale niewiele przy nim widać.

W końcu, gdy zdawało się, że minęła już cała wieczność, na wschodnim horyzoncie pojawiła się słaba plamka światła. Rosła i stopniowo zaczynała swym nieugiętym blaskiem przyćmiewać

gwiazdy. Początkowo na rozpościerającej się za murami równinie widziałem jedynie ciemną masę. Daleko na obrzeżach armii Toraka migotliwe ogniska jarzyły się niczym świetliki. Generałowie Toraka właśnie przebyli Ulgoland, gdzie obdarzeni kocim wzrokiem Ulgosi bardzo ich niepokoiли.

Dołączyłem do Mandora i Wildantora, stojących nad masywną główną bramą, i czekaliśmy razem.

- Wygląda na to, że będziemy mieć dobrą pogodę - zauważył Wildantor cichym głosem, jakim ludzie mówią zwykle wczesnie rano.

- Jeśli nie będzie padać - dodał Mandor. Nie myślę, aby starał się być zabawny, ale jego uwaga pobudziła Wildantora do śmiechu.

Robiło się coraz jaśniej. W świetle poranka zaczęły wyłaniać się szczegóły. Machiny oblężnicze, o których wspominała Pol, przypominały bardzo swym wyglądem ogromne, wrzecionowate, czarne owady o chudych odnóżach; długich, łukowato wygiętych karkach; i małych, przypominających czerpaki, głowach. Otoczyły miasto w odległości stu pięćdziesięciu kroków od murów, a ciemne, krępe postacie Thullów, którzy je obsługiwali, tłoczyły się wokół nich niczym chmara much.

Wildantor zachichotał.

- Co w tym zabawnego? - zapytałem.

- Nie myślę, by Thullom było do śmiechu - odparł. - Ustawili swe maszyny oblężnicze w zasięgu naszych łuków. Zdaje się, że nie potrafią wyciągać nauki ze swych doświadczeń. W czasie przemarszu w dół doliny trafialiśmy ich z odległości większej o połowę. Rzeknij tylko słowo, Belgaracie, a moi łucznicy udzielą im kolejnej lekcji.

Rozważyłem to.

- Powstrzymajmy się jeszcze chwilę - postanowiłem. - Gdy zaczną miotać w nas kamieniami, ich oddziały oblężnicze prawdopodobnie zaczną gromadzić się za machinami. To znacznie utrudni odwrót Thullom obsługującym maszyny i spowoduje spory zamęt.

Niebo stopniowo zaczynało nabierać kolorów. Teraz na wschodzie, nad górami Ulgolandu, było błękitne.

- Na co oni czekają? - zapytał Mandor.

- Czas jest częścią WYDARZENIA, przyjacielu - wyjaśniłem. - Torak czeka z rozpoczęciem ataku na określony moment. Pierwszy gład, który w nas ciśnię, rozpocznie bitwę, a jeśli następne jej nie zakończą, przegra.

- Myślę, że i tak przegra - powiedział Mandor.

- Miejmy nadzieję.

Wtem, gdy górna krawędź słonecznej tarczy wzniosła się ponad Góry Świętego Ulgo, głęboki dźwięk rogu dobiegł z czarnego, żelaznego pawilonu, punktu dowodzenia Kal Toraka z Mallorei. Machiny oblężnicze wyprężyły się niczym atakujące węże i chmura ogromnych gładów pomknęła łukiem ku złocistym murom Vo Mimbre.

Bitwa się rozpoczęła.

Było wiele zamieszania, oczywiście - ludzie krzyczeli, miotali przekleństwa i biegiem szukali schronienia. Spora część gładów spadła wewnątrz miasta, ale to był jedynie przypadek i pewnie wynik złego celowania. Torak nie próbował za pomocą machin zabijać ludzi; usiłował zburzyć mury. Po kilku pierwszych strzałach jego inżynierowie skorygowali ustawienie machin. Teraz ogromne gładzi z łomotem uderzały w mury. Było przy tym sporo hałasu, ale niewiele osiągnięto. Olbrzymie ściany wytrzymały.

Jak się spodziewałem, oddziały z taranami, wieżami i drabinami zaczęły tłoczyć się za katapultami, przygotowując się do ataku na mury. Było wczesne przedpołudnie, bombardowanie trwało już prawie od czterech godzin, gdy zwróciłem się do Wildantora.

- Myślę, że już czas, abyś dał naszym thullskim przyjaciółom pojęcie o zasięgu twych łuków - zasugerowałem.

- Myślałem, że już nigdy o to nie poprosisz.

Fakt, że asturscy łucznicy strzelali ze szczytów bardzo wysokich murów, znacznie powiększał zasięg ich łuków. Strzały czyniły prawdziwe spustoszenie wśród Thullów obsługujących maszyny oblężnicze. Bombardowanie natychmiast ustało. Cały ranek w kierunku murów pędziły gładzi. Teraz przestrzeń tę przecinała migotliwa tęczą smukłych strzał, niknących w przeciwnym kierunku. Ocaleli spośród obsługi katapult rzucili się do ucieczki, wpadając prosto w ramiona

oddziałów oblężniczych zgromadzonych za nimi. Strzały bezlitośnie ich goniły. Armia Kal Toraka cofnęła się o ćwierć mili. Machiny oblężnicze zostały przykryte stertami martwych Thullów.

- Jak uważasz, co będzie ich następnym posunięciem, Prastary? - zapytał Mandor.

- Będą musieli wycofać te maszyny - rozważyłem. - Nie zburzą murów gołymi rękoma.

- I ja tak sądzę - przyznał. Potem uniósł róg, który zawsze nosił u boku i zadął weń przeraźliwie.

Główna brama otworzyła się i wypadło z niej kilka tysięcy zbrojnych rycerzy mimbrańskich na ogromnych koniach.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnąłem.

- Angarakowie wycofują się w okropnym zamieszaniu, Świątobliwy - wyjaśnił w rozwścieczające rozsądny sposób. - Ich maszyny stoją bez obsługi i straży. Toteż, uważam, iż należy wykorzystać okazję do ich zniszczenia.

Nie mogłem odmówić słuszności jego rozumowaniu, ale wolałbym, aby powiedział mi o tym planie przed otwarciem bram. Starzałem się, moje nerwy nie były już takie jak dawniej.

Mimbrańscy Arendowie uzbrojeni w topory bitewne posuwali się od bramy niczym dwie wielkie kosy, jedna tnąca na lewo, druga na prawo. Nie porąbali co prawda angarackich maszyn na drzazgi, ale i tak niewiele z nich zostało. Potem zatoczyli koło i zawrócili, z łoskotem i głośnymi okrzykami przejechali wzdłuż murów, wjechali do miasta i brama się za nimi zatrasnęła.

- Dobra robota, Mandorze - Wildantor pochwalił przyjaciela.

Mandor uśmiechnął się ze stosowną skromnością.

Kal Torak zapewne jednak się nie śmiał. Jego żelazny pawilon stał w odległości mili od nas, ale wściekle wrzaski słyszeliśmy całkiem wyraźnie.

- Co teraz zrobi? - zapytał Wildantor.

- Najprawdopodobniej coś głupiego - odparłem. - Kal Torak nie myśli zbyt trzeźwo, gdy jest wściekły.

Strata machin oblężniczych prawie do zera zredukowała szansę Toraka na zburzenie murów Vo Mimbre. Rzeczywiście w tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak tylko spróbować frontalnego ataku na główną bramę. Przyciągnięto tarany. Wysokie, kołyszące się wieże do zdobywania murów ruszyły chwiejnie w naszym kierunku. Hordy Murgów, Nadraków i Mallolean biegly ku murom z drabinami. Asturscy łucznicy kładli ich całe gromady. Gdy zaś napastnicy podeszli bliżej, do Asturów dołączyli Mimbraci ze swymi krótkimi łukami. Zrzucaliśmy na głowy Angaraków kamienie i wylewaliśmy wrzącą smołę. Płonące strzały wypuszczone w smołę powiększyły jeszcze zamieszanie.

Ten poranek wiele kosztował Kal Toraka z Mallorei. Jego armia wycofała się, gdy niebo na zachodzie ozdobił zadymiony zachód słońca.

Przetrwaliśmy pierwszy dzień. Kal Torak stracił tysiące ludzi i nadal nie wdarł się na mury.

Ułożyliśmy sterty suchego chrustu i gałęzi na szczycie murów, polaliśmy wszystko naftą i podpaliliśmy. Dym nie był zbyt przyjemny, ale pierścień ognia wokół miasta gwarantował, że w nocy nic nas nie zaskoczy.

Potem wszyscy zebraliśmy się w sali tronowej. Król Aldorigen nie posiadał się z radości.

- Jakież owocny dzień! - radował się. - Cześć oddaję ci, panie baronie Wildantorze. Twój łuczniczy dzień dla nas uratowali.

- Dziękuję, waszej miłości - odparł Wildantor, kłaniając się skromnie - ale większość zasług memu przyjacielowi Mandorowi przypisać trzeba. Moi ludzie jedynie odpędzili Angaraków od machin. Mandor wysłał swych ludzi z toporami, by porąbali je na drzazgi.

- Dla każdego wystarczy zasług, panowie. - To był Mergon, tolnedrański ambasador przy dworze Vo Mimbre. Był chudym, drobnym człowieczkiem, którego niska postura sugerowała boruńskie pochodzenie, co potwierdzał obsyty srebrem płaszcz. Tolnedranie mają szczegółowo opracowany kod kolorów, pozwalający rozpoznawać członków różnych rodów. - Reasumując, mogę powiedzieć, że to był bardzo udany dzień - dodał.

- To dopiero pierwszy dzień bitwy, Mergonie - przestrzegłem go. - Nie dam się ponieść radości, dopóki nie przetrwamy jutra. - Rozejrzałem się dokoła. - Gdzie jest Polgara?

- Opuściła nas tuż po zachodzie słońca - rzekł Belkira. - Uznała, że dobrze będzie posłuchać Toraka i Zedara tego wieczoru.

- Z murów można słuchać Toraka, bracie - powiedziałem. - Zachowuje się bardzo głośno, gdy jest zły. Słyszeliśmy go z odległości dziesięciu mil, gdy wraz z Cherekiem wybraliśmy się do Cthol Mishrak i wykradliśmy Klejnot Aldura.

Na twarzy Mergona pojawił się wyraz bóleści.

- Proszę, nie mów takich rzeczy, Belgaracie - błagał. - Wiesz, że przysłuchiwanie się temu jest sprzeczne z moją religią.

Wzruszyłem ramionami.

- To nie słuchaj.

- Czego możemy spodziewać się jutro? - zapytał mnie Wildantor.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznałem. - Poczekajmy lepiej, aż Pol wróci z informacjami, zamiast tracić czas na domysły.

Polgara wróciła krótko po północy. Ponownie zebraliśmy się w sali tronowej, aby wysłuchać jej relacji.

- Zdaje się, że Zedar popadł w niełaskę - oznajmiła z lekkim uśmiechem. - Miał wczoraj zdobyć miasto i Torak powiedział mu wiele bardzo niepoehlebnych słów na temat jego niepowodzenia.

- To nie była tylko wina Zedara, lady Polgaro - oświadczył Mergon. - W końcu my też mieliśmy w tym swój udział.

- Torak nie słynie z dobrego serca, wasza ekscelencjo - dorzucił Beltira. - Ma skłonności do chowania urazy.

- O tak - dodała Pol. - Nie szczędził mu wyrzutów z powodu tego, że Zedar zawiódł go już poprzednio. Przypomniiał, że Zedar zawinił w Morindlandzie, co umożliwiło ojcu odzyskanie Klejnotu, a to przecież zdarzyło się prawie trzy tysiące lat temu.

- To bardzo długi czas, jak na chowanie urazy - zauważył Wildantor.

- Torak już taki jest - wyjaśniłem. - Dowiedziałaś się może, co nas jutro czeka, Pol?

- Torak niczego konkretnego nie powiedział, ojczy, ale mogę chyba pokusić się o kilka przypuszczeń. Powiedział Zedarowi, że przed zapadnięciem nocy ma znaleźć się wewnątrz murów i w tym celu użyć wszelkich środków.

- Czarów? - wysunął przypuszczenie Mandor.

- Nie powiedział tego wprost, ale tym się pewnie skończy. Możemy się spodziewać, że Zedar odwoła się do swego daru, by dostać się do środka. Jutro ma ostatnią szansę. Jeśli znowu zawiedzie, Torak pewnie go spopieli.

- Mnie specjalnie nie przeraża ta perspektywa - powiedziałem, po czym spojrzałem na Beltirę. - Czy aby Zedar nie pogwałci zasad tego WYDARZENIA, jeśli spróbuje użyć czarów?

- To nie jest do końca jasne - odparł. - Torakowi nie wolno, ale Kodeks Mriński nie mówi nic na temat jego uczniów.

- Jeśli zakaz jest absolutny, Zedara czeka przykra niespodzianka - dodał Belkira. - Nie wiem, co się stanie, gdy bez skutku wymówimy Słowo uwalniające Wolę. Wolałbym jednakże tego nie sprawdzać.

- Zedar jest chyba tak zdesperowany, że spróbuje - doszła do wniosku Polgara. - Torak postawił mu ultimatum. - Zmarszczyła brwi. - Znamy dobrze Zedara i wiemy, że sam raczej nie nadstawi karku. Ma od tego Grolimów. Może rozkazać, by spróbowali użyć przeciwko nam Słowa i Woli. Jeśli kilku z nich obróci się w kamień, Zedar będzie miał przynajmniej wymówkę, gdy Torak zechce się z nim porachować.

- Całą noc możemy snuć domysły - powiedziałem. - Dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy przyjąć, że spróbują użyć czarów, i to z dobrym skutkiem. Jeśli nie, dobrze; jeśli tak, lepiej bądźmy przygotowani.

Mergon miał zboląły wyraz twarzy.

- My jedynie mówimy o sprawach natury zawodowej, wasza ekscelencjo - powiedziała do niego Pol. - To sprawy rodzinne, ciebie nie dotyczą. Jestem pewna, że Nedra nie będzie miał ci za złe, jeśli przypadkowo słyszałeś rzeczy, których nie powinienes.

- Jednakże mój kuzyn mógłby mieć - odparł.

- Ran Borune nie jest do reszty pozbawiony rozsądku, Mergonie - wyjaśniłem. - Ostatnio wydarzyło się wiele rzeczy, których nie rozumiał. Kilka więcej nie wytrąci go z równowagi. - Rozejrzałem się. - Myślę, że wszystko już omówiliśmy - rzekłem. - Możemy się trochę przespać. Jutro wszyscy powinniśmy rachować czujność.

Oczywiście sam nie posłuchałem swej rady. Nauczyłem się obywać bez snu, gdy miałem coś do zrobienia. Dogoniłem Pol w mrocznym korytarzu za salą tronową.

- Chyba czas ruszyć ludzi - postanowiłem. - Pójdę powiedzieć Cho-Ramowi i Rhodarowi, by zaczęli zamykać lukę pomiędzy wschodnim skrzydłem Toraka. Potem odszukam Branda i Ormika i każę im ruszyć od północy. Chciałbym, aby żołnierze zajęli swoje miejsca i wypoczęli, zanim Beldin dotrze tu pojutrze.

- Wolałbyś, żebym ja to zrobiła? - zapytała.

- Nie. Sam się tym zajmę. I tak nie mogę spać. Miej tu na wszystko oko, Pol. Być może Zedar postanowi wcześniej zacząć.

- Zajmę się tym, ojczu. Czy obraziłbyś się za radę?

- To zależy od rady.

- Użyj postaci sowy. Ten twój sokół nie widzi zbyt dobrze w ciemnościach, a Zedar mógł ostrzec strażę, by wypatrywały wilka.

- Przemyślę to. Postaram się wrócić rankiem, ale jeśli mi się nie uda, będziesz musiała przez jakiś czas wszystkim pokierować. Nie pozwól Mandorowi ponownie otworzyć bram.

- Zadbam o to. Miłego lotu, ojczu.

Myślę, że Polgara jest jedyną osobą, która potrafi powiedzieć coś takiego i nie brzmi to niedorzecznie.

Posłuchałem jej rady, ale nie przyjąłem ulubionej postaci Poledry. Wykorzystałem postać zwykłej sowy. Jednakże gdy tylko minąłem armię Angaraków, zmieniłem się w wilka. Sowy nie latają zbyt szybko, a mnie się spieszyło.

Obudziłem Cho-Rama i Rhodara, a oni posłali po Ulgosa, Brasa, który dowodził siłami Gorima.

- Nie nawiązujcie kontaktu z armią Kal Toraka - ostrzegłem. - On wie, że tu jesteście, ale nie zrobi niczego, dopóki go nie zmusicie.

- Czy Vo Mimbre się utrzyma? - zapytał Rhodar.

- Myślę, że tak. Kodeks Mriński mówi, że Torak będzie pod złotym miastem przez trzy dni. Nie wspomina, by dostał się do środka.

- To zależy pewnie od interpretacji, Belgaracie - zaprotestował Choram.

- Niemal wszystko zależy w Kodeksie Mrińskim od interpretacji, Choramie, ale myślę, że byłaby o tym wzmianka, gdyby Vo Mimbre miało paść. To byłoby WYDARZENIE, a Kodeks Mriński nie pomija ich zbyt wiele. Zbierzcie swych ludzi, panowie. Ruszajcie o brzasku, ale trzymajcie się przynajmniej pięć mil od lewego skrzydła wroga. Mimbraci będą musieli wytrwać jeszcze jeden dzień.

Z ich obozowiska udałem się na północny zachód. Ranek był już blisko, gdy znalazłem Rivan, Sendarów i asturskich łuczników.

- Czas ruszać, panowie - powiedziałem do Branda, Ormika i Eldallana. - Chcę, byście do wieczora znaleźli się na strzał z łuku od tyłów Kal Toraka. Jednak nie wszczynajcie walki. Będę potrzebował każdego człowieka, gdy minie jutrzejszy dzień.

Brand trzymał tarczę z osadzonym pośrodku Klejnotem Mistrza i prawdopodobnie nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, gładził jarzący się Klejnot jak maskotkę.

- Nie baw się nim, Brandzie - przestrzegłem go. - Jeśli zbyt długo będziesz trzymał na nim dłoń, dziwne rzeczy może zrobić z twym umysłem. Czy twój przyjaciel powiedział ci już, co powinieneś zrobić?

Brand pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Przypuszczam, że uczyni to, gdy przyjdzie po temu czas.

- Podchodzisz do tego bardzo spokojnie - zarzucił mu Ormik.

- Nerwy nic nie dają. - Brand spojrzał na mnie. - Ty nieraz bywałeś już Dzieckiem Światła, prawda, Belgaracie? - zapytał.

- Raz - powiedziałem. - Przynajmniej tak mi się zdaje, co nie znaczy, że w przeszłości twój przyjaciel nie wykorzystał mnie jeszcze kilkakrotnie, nic mi o tym nie mówiąc. Czemu pytasz?

- Czy czułeś... jakby tu powiedzieć... rodzaj dystansu do tego, co się działo? Ja od kilku dni czuję się trochę wyobcowany. Jakbym nie miał osobiście brać udziału w spotkaniu z Torakiem.

- To działanie Konieczności. Po części masz rację: gdy już do czegoś dojdzie, twój przyjaciel w pewien sposób przejmie kontrolę.

- A przyjaciel Toraka przejmie kontrolę nad nim?

- Tego nie jestem pewny, Brandzie. To różne Konieczności i różnie mogą podchodzić do sprawy. Nasza po prostu wkracza do akcji i przejmuje dowodzenie. Toraka może postępować inaczej. On nie należy do tych, którzy przypatrywaliby się z boku. Może dowiemy się tego, gdy WYDARZENIE przeminie. Ruszajcie ze swymi ludźmi na południe, panowie. Ja wrócę do Vo Mimbre i sprawdzę, co Zedar kombinuje.

Zedar najwyraźniej nie próżnował. Lecąc z powrotem do miasta, dostrzegłem kilkanaście katapult, które już miały ogromne głazy w mury. Same stały poza zasięgiem asturskich strzał. Katapulty były wielkości małych domów i potrafiły miotać tysiãcfuntowe głazy na wielkie odległości. Poprzedniego dnia nie było tych olbrzymów pośród innych machin, nagłe pojawienie się ich tego ranka wyraźnie świadczyło o tym, że Zedar miał pracowitą noc. Nie rzucił Woli i Słowa bezpośrednio przeciwko miastu lub jego obrońcom, więc nie byłem pewny, czy złamał zasady. Jednakże z całą pewnością naginał je do granic możliwości. To podsunęło mi pewien pomysł. Jeśli on mógł to robić, nie eksplodując przy tym, zatem mogłem i ja.

Wylądowałem na murach, wróciłem do własnej postaci i poszedłem poszukać bliźniaków.

- Kiedy to się zaczęło? - zapytałem.

- Tuż przed świtem - odparł Beltira. - Czynią sporo zniszczeń, Belgaracie. W kilku miejscach fundamenty zaczynają pękać. Lepiej coś zrobimy, i to szybko.

- Właśnie do tego zmierzam. Czy słyszeliście, jak Zedar pracował w nocy?

- Całkiem wyraźnie - przytaknął Belkira. - Śpieszył się, więc nawet nie próbował ukrywać faktu, iż posługiwał się Wolą. Co zrobimy?

- To samo. On sobie z tym poradził, więc i my możemy, tak przynajmniej myślę. Zbudujmy kilka własnych katapult.

- Wiele czasu zajmie ich ustawienie, Belgaracie - zaprotestował Beltira. - A tysiącfuntowe głązy nawet nam trudno poruszyć.

- Jednakże z tysiącem jednofuntowych kamieni powinniśmy sobie poradzić - powiedziałem. - My będziemy strzelać do załóg obsługujących katapulty, nie do solidnych murów. Skoro chcemy jedynie zasypać gradem kamieni Tullów obsługujących katapulty Zedara, to nie musimy zbyt dokładnie mierzyć. Zatem gdy tylko ustalimy odpowiedni zasięg, będziemy mogli miotać płonąca smoła. Myślę, że to ostudzi ich zapał do bombardowania miasta. Zabierajmy się do pracy.

Targały mną rozterki podobne do tych, jakie miał Belsambar w czasie Wojny Bogów. Nie podobał mi się pomysł palenia ludzi żywcem, ale musiałem unieszkodliwić maszyny wroga. Jeśli mury Vo Mimbre legną w gruzach, Torak znajdzie się w mieście przed nastaniem nocy i zwycięży. Nie mogłem do tego dopuścić.

Zbudowanie katapult nie zajęło nam wiele czasu. Maszyny Zedara były doskonale widoczne, więc po prostu je skopiowaliśmy. Wycelowanie ich też nie stanowiło szczególnego problemu. Poza innymi zdolnościami, Belsambar miał również talent matematyczny. Przez kilka stuleci udzielał bliźniakom lekcji w tej dziedzinie. Tylko piętnaście minut zajęło im wyliczenie kątów, trajektorii, właściwego napięcia i ciężaru pocisków. Nasz pierwszy strzał zważył pół tony kamieni wielkości pięści prosto na jedną z maszyn Zedara. Po drugim cała stanęła w płomieniach.

Czy wiedzieliście o tym, że płonący ludzie niemal zawsze biegają? Oczywiście, to im nie pomaga, ale mimo to biegają. Płonący Thullowie rzucili się z powrotem pomiędzy szeregi oddziałów Toraka, wywołując wielkie zamieszanie. Po godzinie pozbyliśmy się problemu. Zedar zmarnował całą noc. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak

przygotować kolejny frontalny atak. Wiedziałem, że coś szykuje, ponieważ czułem, jak wzbierała jego Wola, gdy oddziały przeciwnika stawały w szturmowym szyku. Gdy ją uwolnił, huraganowy wicher uderzył w mury Vo Mimbre.



Nie, on nie usiłował zdmuchnąć nas ze szczytu murów. Starał się odchylić kierunek lotu naszych strzał. Dreszcz mnie przeszedł na myśl o wysiłku, jaki kosztował go ten wicher. Poruszanie tak ogromnych mas powietrza jest pracą równie wielką, jak podnoszenie góry.



Bliźniacy podjęli odpowiednie kroki, nawet się ze mną nie konsultując. Pracując razem, wzniesli barierę z czystej Woli milę od murów. Zgrabnie rozdzielili wicher Zedara na dwa strumienie z obu stron owiewające miasto. Powietrze wokół Vo Mimbre zastygło w kompletnym bezruchu, dzięki czemu asturscy łucznicy powalili całe bataliony szturmujących Mallolean. Atak zachwiał się, zatrzymał, a potem zamienił w odwrót.

Późnym rankiem dołączyła do nas Pol.

- Wasza trójka miała pełne ręce roboty - zauważyła. - Robicie tak wiele hałasu, że nie słyszę nawet własnych myśli. Zedar jest skrajnie wyczerpany.

- To dobrze - powiedziałem. - Zabawy z nim zaczynają mnie nużyć.

- Nie ciesz się jeszcze, ojcze. Zedar nie jest sam, wiesz o tym. Wyczuwani obecność wielu innych umysłów przy pracy. Wezwał Grolimów do pomocy.

- Domyślasz się, czego spróbuje następnym razem, droga siostrze? - zapytał Belkira.

- Nie bardzo - odparła. - Zdaje się, że oni myślą o ziemi.

- Ziemi? - zawołał Belkira. - A co ma tu do rzeczy ziemia? Tam jest tylko błoto.

- Oni je osuszają. Zedar kazał swym Grolimom skoncentrować się na pozbawieniu tej równiny ostatnich śladów wilgoci.

- Po co u licha?

- Nie wtajemniczono mnie w to, wujku - odparła. - Wyobraź sobie, że Zedar mi się nie zwierzył.

- Zawsze był skryty - stwierdził Belkira. - Nie chcę urazić twych uczuć, Belgaracie, ale ja nigdy zbytnio go nie lubiłem. Na pewno nie pominąłeś czegoś w trakcie jego nauczania?

Beltira nigdy by tego nie powiedział. Odkryłem, że moi bracia nie byli identyczni. Bardzo łatwo przeoczyć owe subtelne różnice. Bliźnięta wyglądają tak samo, ale nigdy nie ma dwóch ludzi całkowicie identycznych.

Lewa brew Pol uniosła się, nim jeszcze na mnie spojrzała.

- Słucham? - zapytała. - O co chodzi?

- Nieważne - powiedziałem. Nigdy nie miałem pewności, jak głęboko Polgara potrafi czytać w mych myślach, i sądzę, że wolałbym nie wiedzieć. Durnik nie ma przed Pol żadnych sekretów, ale ja mam tajemnice, których nawet sam nie chciałbym oglądać. Jeśli chcecie zachować odrobinę szacunku do samych siebie, powinniście pewne sprawy zachować w tajemnicy.

Późnym popołudniem dowiedzieliśmy się, dlaczego Zedar poświęcał tak wiele czasu i wysiłku na osuszanie ziemi. Huragan, który wywołał wcześniej tego dnia, by zmylić lot asturskich strzał, nadal owiewał miasto, nie czyniąc szkód. Teraz jednak nagle zmienił kierunek i nadleciał, wirując, nad wysuszoną na pieprz równinę. W niebo wzbily się ogromne tumany pyłu i po kilku minutach niczego nie można było dostrzec. Kurz najwyraźniej miał ukryć kolejny atak. Łucznicy Wildantora będą musieli strzelać na ślepo, a to nie jest szczególnie efektywne.

- Lepiej zrobmy coś, Belgaracie! - zawołał Beltira, przekrzykując wycie wichru.

- Pracuję nad tym - odparłem, ale choć starałem się ze wszystkich sił, nic nie przychodziło mi do głowy.

Polgara jednak już mnie uprzedziła.

- Tam mamy rzekę, ojczy - powiedziała - a Zedar ledwo dyszy po wywołaniu tej wichury. Nic ci nie wpada do głowy?

- Nic szczególnego. A tobie?
- Ależ, ojczy, czyżby twój mózg poszedł spać?
- Nie daj się prosić, Pol. Mów.
- Chcemy, aby cały pył opadł, prawda? Nie sądzisz, że trąba wodna by sobie z tym poradziła?
- Pol, to znakomite! Weź bliźniaków do pomocy. Oni w czasie Wojny Bogów manipulowali pogodą.
- Twoja pomoc też by się nam przydała, ojczy.
- Otrzymasz ją, Pol.
- Tak?
- Myślę, że bratu Zedarowi przydałaby się krótka lekcja dobrych manier.
- Masz zamiar wyciągnąć rękę i zatrzymać bicie jego serca?
- Nie. Tego mi nie wolno. Ale mogę mu trochę podokuczać Myślę, że nie naruszę zasad, przysparzając mu niewygody.
- Dobrej zabawy - powiedziała, po czym wraz z bliźniakami udała się na drugą stronę murów, tę od strony rzeki.

Rozważyłem kilka możliwości i ostatecznie wybrałem jedną, która nie tylko mu dokuczy, ale również poniży go. Ruszyłem w myślach na poszukiwanie przeciwnika. Odnalazłem go na szczycie wzgórza odległego o pięć mil. Zedar, jeśli mógł, wolał trzymać się z dala od walki. Zebrałem Wolę, a potem uwolniłem ją pomału. Nie chciałem, by zorientował się, co robię, dopóki nie będzie za późno.

Zedar przyglądał się burzy pyłowej z wyrazem satysfakcji na twarzy.

Bezwiednie podrapał się po nosie.

Potem energicznie począł drapać się pod pachą. Następnie przeszedł do innych części ciała. Drapał się z coraz większym zapamiętaniem, nawet gdy Polgara i bliźniacy rozbili wicherę i posłali powietrzne wiry w dół rzeki Arend.

W przebłytku diabolicznej pomysłowości sprawiłem, by swędziały go nawet paznokcie u nóg. Po kilku minutach tańczył i tak mocno się drapał, że w kilkunastu miejscach zaczął krwawić.

Wicher, który Pol z bliźniakami sobie pożyczyci, wrócił wirując w górę rzeki Arend, przynosząc ze sobą tony wody, o wiele więcej niż trzeba było do spłukania pyłu, który Zedar całe godziny pracowicie suszył.

Siły szturmowe, skradające się pod osłoną pyłowej burzy, składały się w większości z Murgów. Po chwili łucznicy Wildantora ich zobaczyli. A wkrótce potem król Ad Rak Cthoros przeprowadził odwrót o wiele mniejszej armii, byle wydostać się poza zasięg strzał.

Krótką ulewa przeszła. Zachodzące słońce migotało w mokrej trawie, a Torak nadal był poza murami.

Przetrwaliśmy kolejny dzień i jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro zobaczymy, czym to się skończy.





Z pewnością zauważyliście, że drugiego dnia działania Zedara nie przyniosły oczekiwanych efektów. Zawsze uważałem, że planowanie było jego mocną stroną, ale w krytycznych sytuacjach przejawiał skłonność do pochopnego działania. Często chwycił się pierwszego pomysłu, jaki mu przyszedł do głowy. Jeśli dodać do tego, że Torak zostawił mu we wszystkim wolną rękę, ale oczekiwał odpowiednich rezultatów, to zrozumiecie istotę problemu. Zedar, gdy wywierano na niego presję, popełniał błędy.


W każdym razie przetrwaliśmy dwa pierwsze dni bitwy. Vo Mimbre wytrzymało również ataki Angaraków. Jeśli dobrze odczytaliśmy Kodeks Mriński, sprawy powinny teraz przybrać korzystny dla nas obrót.

Za panowania Aldorigena przebywał na jego dworze arendzki poeta, znany jako Davoul Chromy. Od dziesięciu lat pracował już nad epicką opowieścią, „Historia współczesna rodu Mimbre”. Inwazja Toraka dała mu możliwość włączenia do dzieła wielkich tematów, toteż gdy dyskutowaliśmy, zawsze znajdował się w pobliżu i gorączkowo notował. Nie zwracałem na niego szczególnej uwagi. Był uważany za nadwornego poetę i to chyba uderzyło mu do głowy. Jego opowieść, pisana górnolotnym stylem, była napuszona i sporo jej brakowało do wielkiej literatury. Mimbraci jednak przepadali za takim stylem i nawet dziś, przy każdej nadarzającej się okazji, cytowali długie fragmenty opowieści Davoula.


Mam jej kopię, gdyby ktoś chciał pożyczyć, ale na waszym miejscu nie traciłbym czasu.

Wieczorem drugiego dnia bitwy wszyscy byli już na swoich miejscach. Czekaliśmy jedynie na Beldina. Trzeciego dnia, tuż przed świtem, Pol poleciała się rozejrzeć. Wróciła z wieścią, że rzeką nadpływają wojenne okręty Eldriga. Rzeka Arend wezbrała z powodu deszczów. Prąd zdecydowanie spowalniał ruch płynących w górę rzeki okrętów.

Uznaliśmy z Pol i bliźniakami, że nie było już sensu tkwić w mieście. Mimbraci wiedzieli, co mają robić, i nie potrzebowali przewodników. Beltira udał się na wschód, by maszerować wspólnie z Algarami, Drasanami i Ulgosami, Belkira zaś ruszył w gęste lasy rozpościerające się na północy, by dołączyć do Branda.



Nie traćcie czasu na szukanie tych lasów. Już ich nie ma. Wycięliśmy je zaraz po bitwie. Nie pochwalam takiego postępowania, ale potrzebowaliśmy dużo drewna na ogień.



Nadal nie mieliśmy pewności, jak surowe były ograniczenia, które nałożyły na nas Konieczności, toteż postępowaliśmy raczej ostrożnie. Przypuszczaliśmy, że nie wolno nam zamienić wszystkich Angaraków w żaby, ale wyglądało na to, że to, co naprawdę nam potrzebne, nie było zakazane. Dopóki jednak mogłem porozumiewać się z bliźniakami i Beldinem, koordynowaliśmy nasze działania i to wystarczało. Trzeci dzień miał się rozstrzygnąć na ziemi, nie zachodziła więc potrzeba wprowadzania zamieszania pokazem naszych umiejętności.

Poleciliśmy z Pol na północ. Przysiedliśmy na drzewie na skraju lasu Branda, by mieć na oku Angaraków. Czekaliśmy, aż się rozwidni. Świt pięł się powoli na wschodni firmament i coraz wyraźniej widziałem wojska przeciwnika. W ciągu nocy Zedar przegrupował oddziały. Torak wiedział, co się wydarzy, i Zedar czynił odpowiednie przygotowania.

Ad Rak Cthoros, zwałisty, ponury król Cthol Murgos, stał teraz na lewym skrzydle. Wielu żołnierzy w tym czasie nosiło kolczugi takie same jak Murgowie, więc Ad Rak Cthoros rozkazał swym ludziom pomalować je na czerwono, by się nie mylili z wrogiem podczas starcia.

Wyglądali przez to jak unurzani we krwi, ale przynajmniej można ich było rozpoznać.

Mallorean, którzy stanowili najliczniejszą grupę w armii Kal Toraka, zgrupowano w centrum. Dowodzili nimi generałowie z Mal Zeth, choć to Zedar wydawał wszystkie rozkazy, które wszakże pochodziły od Toraka. Torak lubił o sobie myśleć jak o militarnym geniuszu, ale przy przewadze liczebnej, jaką dysponował, nie musiał mieć ani krztyny oleju w głowie.

Yar Lek Thun z Gar og Nadrak i Gethel Mardu z Thulldomu trzymali prawe skrzydło. Ja tak bym tego nie rozwiązał. Od tej strony nadejdały legiony i Cherekowie Eldriga. Nadraków, w sumie dość dobrych wojowników, cechuje popędliwość. Z kolei na Thullach nie można zbyt polegać na polu walki.

- Może byś wszystkich obudził, ojczy? - zaproponowała Pol.

- Tak, chyba już możemy - przyznałem. - Belkiro! - zawołałem w myśli - Zaczynajmy. Powiedz Brandowi, żeby zadął w róg.

Belkira nie trudził się odpowiadaniem, ale byłem pewny, że odebrał wiadomość. Po chwili róg Branda odezwał się przeciągle i przenikliwie. Po minucie odpowiedziała ze wschodu srebrzystym dźwiękiem trąbka Cho-Rama. Następnie róg Mandora zaśpiewał zza murów Vo Mimbre. Nasłuchiwaaliśmy z Pol uważnie przez kilka minut, ale Beldin nie odpowiedział. Nie dotarł jeszcze na miejsce.

Pewien uczony z uniwersytetu w Tol Honeth napisał kiedyś długą rozprawę o mitycznym znaczeniu tego dęcia w rogi, ale tak naprawdę one jedynie oznajmiały, że nasze siły stały w pogotowiu. Czekaliśmy na odpowiedź Beldina. Z całą pewnością nie mieliśmy zamiaru zaczynać bez niego.

Jestem pewny, że Zedar wiedział, co znaczyło dęcie w rogi. Tych samych sygnałów używaliśmy w czasie Wojny Bogów. Jednak dźwięki, które rozległy się o świcie, zaniepokoiły dowódców angarskich sił. Malloreanie zaczęli walić mieczami w tarcze i wydawać okrzyki wojenne. Zdaje się, że cały ten jazgot miał dodać im otuchy. Mnie jednak wydał się trochę rozpaczliwy. Dźwięki rogu są tradycyjnym sygnałem do ataku, ale nikt nie atakował. Nic dziwnego, że niektórych to zdenerwowało, nie sądzicie?

Odczekaliśmy jeszcze pół godziny. Potem, gdy właśnie wschodziło słońce, zawołałem do Belkiry.

- Niech znowu spróbuje, bracie!

Brand ponownie zadał w róg, a Cho-Ram i Mandor odpowiedzieli mu. Czekaliśmy. Nadal żadnego odzewu od Beldina. Mogłem go zawołać, ale Zedar z pewnością by mnie usłyszał i, co o wiele ważniejsze, usłyszałby odpowiedź mego brata, a tym samym zlokalizował jego pozycję. Jeśli nadal mieli kilka lig do przejścia, to Zedar mógłby zaatakować ze wschodu lub północy, rozpoczynając bitwę, nim będę gotów.

Nadrakowie, jak już wspominałem, są wyjątkowo skorzy do walki. Napięcie Yar Lek Thuna sięgnęło punktu, w którym absolutnie musiał się dowiedzieć, co się działo. Wysłał konnicę w kierunku lasów na północy. Jeźdźcy wpadli między drzewa o pół mili od miejsca, w którym czekaliśmy z Pol.

Po chwili większość koni wróciła, ale bez Nadraków. Wjeżdżanie do lasu, w którym kryją się asturscy łucznicy, nie było najlepszym pomysłem.

Potem, zapewne, by nie wyjść na gorszych, gdyż Murgowie nie dbają wiele o Nadraków, Ad Rak Cthoros także wysłał zwiadowców. Murgowie wjechali pomiędzy wzgórze na wschodzie.

Oni również nie wrócili. Jazda prosto w ramiona algarskiej konnicy jest równie głupim pomysłem, jak pchanie się między drzewa, gdzie skrywali się Asturowie.

Nadal czekaliśmy. Minęło kolejne pół godziny. Spróbowałem ponownie.

- Każ mu znowu zafiukać, Belkiro - przesłałem myśl.

- Zafiukać? - Belkira wydawał się lekko urażony, ale Brand zadał ponownie.

Cho-Ram i Mandor odpowiedzieli natychmiast, a potem, po chwili, która zdawała się trwać cały rok, na zachodzie zagrzmiały prawdziwe fanfary. W skład legionów wchodziły kompanie reprezentacyjne garnizonu z Tol Honeth i zdaje się, że wśród nich było kilka doborowych orkiestr wojskowych.

Na to czekałem.

- Siedź mocno, Pol - powiedziałem do córki. - Lecę się rozejrzeć. Nie chcę zaczynać, dopóki sam nie zobaczę, że Beldin jest na miejscu.

- Wracaj szybko, ojczu. Ranek wstaje, a nie chcemy chyba, aby Brand rzucił swe wyzwanie po zachodzie słońca.

Rozłożyłem skrzydła i runąłem w dół, by nabrać rozpędu. Potem ruszyłem w górę, energicznie machając skrzydłami.

Wzbiłem się na kilkaset stóp. Teraz widziałem już prawie wszystko. Okręty wojenne Eldriga przybiły do północnego brzegu rzeki Arend kilka mil od Vo Mimbre. Wysoka woda spowolniła co prawda ich ruch w górę rzeki, ale pozwoliła również na przebycie na wiosłach płycizn na zachód od miasta. Beldin, gdyby chciał, mógłby podpłynąć pod same południowe mury Vo Mimbre.

Legiony rozwinęły imponujący szyk i w doskonałym porządku maszerowały w kierunku Nadraków i Thullów. Wypolerowane napierśniki błyszcząły w porannym słońcu. Zapaleńcy Eldriga nie maszerowali, tylko biegli przed legionami. Cherekowie nie lubili dzielić się dobrą walką z kimkolwiek.

- W porządku, Belkiro - przesłałem myśl. - Powiedz Brandowi, aby dał sygnał.

Tym razem Brand zadał w swój róg dwukrotnie. Cho-Ram odpowiedział w ten sam sposób. Mandor zaś niemal wypluł płuca. Dźwięk jego rogu brzmiał i brzmiał.

Potem bramy Vo Mimbre otworzyły się z hukiem i z Twierdzy wypadli rycerze.

Szarża mimbrańskich Arendów jest zapewne najśłynniejszą szarżą jazdy w historii, więc nie muszę jej chyba ze szczegółami opisywać.

Zresztą i tak nie zrobiłbym tego zbyt dobrze, ponieważ właśnie wówczas coś innego przyciągnęło mój wzrok. Czarny, żelazny pawilon Kal Toraka stał pośrodku jego wojsk. Nagle dostrzegłem kruka wznoszącego się w powietrze. Zedar chciał na własne oczy zobaczyć atak Mimbratów lub podobnie jak ja uznał, że najlepsze miejsce do kierowania bitwą znajduje się w górze.

Czekała go jednak niespodzianka. Wysoko ponad polem bitwy krążyła pojedyncza biała plamka. Na widok kruka runęła ku niemu. To bardzo niezwykła forma ataku jak na sowę śnieżną, pomijając fakt, że żadna zwykła sowa nie powinna polować w ciągu dnia...

Oba ptaki przesłoniła chmura czarnych piór. Po chwili Zedar uciekł, poskrzekując w przerażeniu.

Malloreanie Kal Toraka byli dobrymi żołnierzami, muszę im to przyznać, ale nikt nie potrafi stawić czoła szarzy rycerzy Mimbrate. Ocenilem, że było ich około dziesięciu tysięcy. Przednie szeregi natarły z opuszczonymi kopiami. Z ogłuszającym hukiem uderzyły w Mallolean. Pierwsze szeregi Mallolean legły pokotem.

Całe miesiące dyskutowaliśmy nad tą taktyką w Imperialnej Akademii Wojennej w Tol Honeth. Atak Mimbratów miał jeden cel: zatrzymanie Mallolean, aby nie mogli pospieszyć z pomocą wojskom na skrzydłach. Mimbraci byli jednak zapaleńcami. Wydawało się, że Mandor, który przewodził szarzy, zamierza dojechać do pawilonu Kal Toraka i załomotać do jego drzwi.

Oczywiście wśród rycerzy również były ofiary, ale o wiele mniej niż oczekiwano. Pełna zbroja dowiodła tu swych zalet. Pomijając to, już sama dzikość ataku nadszarpnęła morale malloreańskich żołnierzy. Przede wszystkim był niespodziewany. Vo Mimbre przez dwa dni niczym skała opierało się zaciętym atakom i nie było powodu przypuszczać, by ten dzień miał być inny. Element zaskoczenia był częścią naszych planów. Zaskoczeni Malloreanie ustępowali z drogi pędzącym prosto na nich Mimbratom, ale i tak szarża zebrała obfite żniwo.

- Ojczy! - rozbrzmiał w mej głowie głos Polgary. - Zedar próbuje czegoś innego! Ponownie wyszedł z pawilonu!

- W którą stronę idzie?

- Na zachód. Przybrał postać jelenia.

- Zapędzę go z powrotem.

Skierowałem się ku szeregom Murgów. Zedar biegł szybko pomiędzy żołnierzami w czerwonych zbrojach. Nigdy nie zrozumiałem, czemu wybrał tę właśnie postać. Wiedział, w co ja najchętniej się zamieniam

i przybranie postaci jelenia nie było najlepszym wyborem. Wyprzedziłem go, wylądowałem na ziemi pomiędzy wzgórzami i przybrałem postać wilka. Zedar, niosąc wieniec rozłożystych rogów na głowie, co sił w nogach zbliżał się do miejsca, w którym się zacząłem. Pędził w górę zbocza. Gdy wyszedłem zza krzaków, warcząc, zatrzymał się gwałtownie. Próbował mnie ominąć, ale mu się nie udało. Byłem za blisko. To nie był jego szczęśliwy dzień.

Nie próbowałem go zabić, choć pewnie mogłem. Ugryzłem go kilka razy w pewne czułe miejsce. Zawrócił i pognął w kierunku szeregów Murgów. To nie najlepszy pomysł odwracać się tyłem do wilka. Rzuciłem się za nim, gryząc go bezlitośnie w zad. Jak wróci do własnej postaci, długo nie będzie mógł siedzieć. Zadbalem o to.

Pościg przerwałem około stu jardów od szeregów Murgów, po czym wróciłem truchtem pomiędzy wzgórze.

- Beltiro - zawołałem bliźniaka, który był z Cho-Ramem i Rhodarem.
- Mimbraci zaangażowali już całe siły. Przybywajcie tu lepiej i odciągnijcie Murgów.

- Skoro sobie życzysz - odparł i po chwili trąbka Cho-Rama dała sygnał do ataku.

Algarska jazda z głośnym dudnieniem kopyt pokonywała odległość dzielącą ją od szeregów Murgów. Schroniłem się pomiędzy głazami i obserwowałem, jak Cho-Ram galopuje na czele swych jeźdźców w dół zbocza, by związać walką Murgów.

Taktyka Algarów była zdecydowanie odmienna od taktyki Mimbratów. Ciężka jazda pędzi, by stratować przeciwnika, ale lekko zbrojni ścierają się z nim. Ad Rak Cthoros oczywiście też miał oddziały jazdy, lecz nie mogły się one równać z Algarami. Wkrótce przed frontem Murgów rozgorzała bitwa, w której nasi przeciwnicy wypadali zdecydowanie gorzej. Potem, gdy w szeregach wroga zapanował już spory nieład, przybył Rhodar ze swymi pikinierami i sprytnie ukrytymi pomiędzy nimi Ulgosami Brasa. To była bardzo szczęśliwa kombinacja. Doprawdy trudno zbliżyć się do człowieka z długą na dwadzieścia stóp piką. Całą uwagę trzeba skupić na tym, by nie posiekał cię na kawałki. Ulgosi są krępi i bardzo szybcy, jak miało się okazję tego dnia przekonać wielu Murgów. Na broń Ulgosów składa się wiele niemiłych

przyrządów. Sporo między nimi haków i ostrzy do cięcia. W szeregach Murgów rozległy się przeraźliwe krzyki, gdyż noże Ulgosów nie były przeznaczone do natychmiastowego zabijania. Ulgosi nienawidzili Angaraków pewnie jeszcze mocniej niż Alornowie, więc nie zabijali Murgów zbyt pośpiesznie. Martwi Murgowie byli jedynie, można rzec, efektem ubocznym ich działania. Bras polecił bowiem swym ludziom przejść linię Murgów i tam zająć się Grolimami. Zaopatrzyliśmy Ulgosów w czarne szaty z kapturami, co pozwalało im bez przeszkód poruszać się wśród wrogów. Zdesperowany Zedar zapewne wezwie kapłanów Toraka, aby asystowali mu w łamaniu przyjętych zasad. Bras miał zadbać o to, by na wezwanie Zedara nie odpowiedziało zbyt wielu Grolimów.

Obserwowałem bitwę ze szczytu skalnego wypiętrzenia. Gdy spostrzegłem, że Murgowie w pełni zaangażowali się w bitwę, posłałem myśl w poszukiwaniu Beldina.

- *Gdzie jesteś?* - zawołałem.

- *Jakieś pół mili od linii Nadraków - odparł. - Cherekowie już się nimi zajęli.*

- *Możesz również wprowadzić do akcji legiony Cerrana. Mimbraci przyszpilili Mallorean, a Cho-Ram i Rhodar całkowicie związali siły Murgów. Czas uderzyć na Nadraków i Thullów. Zobacz, czy Cerran nie przebiłby się z kilkoma legionami. Myślę, że Mimbratom przydałaby się odrobina pomocy.*

- *Zaraz się do tego wezmę.*

- *Polgaro!* - zawołałem następnie w myślach.

- *Jestem zajęta, ojczu. Nie przeszkadzaj mi.*

- *Co robisz? Mówiłem, abyś trzymała się od tego z dala.*

- *Jestem w pawilonie Toraka. Musimy wiedzieć, co on i Zedar planują.*

- *Wynoś się stamtąd, Pol! To zbyt niebezpieczne!*

- *Wiem, co robię, ojczu. Nie denerwuj się. Co zrobiłeś Zedarowi? Kuleje i jęczy.*

- *Uszczypnąłem go kilka razy. Czy żałuje tego, co robi?*

- *Nie. Usiłuje przekonać Toraka, aby wyszedł i sam objął dowodzenie armią. Jednak bez większego powodzenia. Torak odmawia opuszczenia swego pawilonu.*

- *Zapewne czeka na wyzwanie Branda. Przypuszczam, że w żaden sposób nie przekonam cię, abys się stamtąd zabrała?*

- *Nic mi nie jest, ojcze.*

- *Torak pewnie cię słyszy, Pol.*

- *On niczego nie słyszy, zadbano o to. Nie widzi mnie i nie słyszy. Dam ci znać, gdy postanowi wyjść.*

Zakląłem pod nosem, choć tak naprawdę bez specjalnego przekonania. To, że Polgara znajdowała się praktycznie w tym samym pomieszczeniu co Torak i Zedar, dawało nam ogromną przewagę. Wbiegłem pomiędzy głązy i ponownie zmieniłem się w sokoła.

Nie uwierzycie, jak dobrze można kierować bitwą, gdy fruwa się nad polem walki. Atakowaliśmy teraz siły Toraka ze wszystkich stron - z wyjątkiem północy. Nie chciałem psuć Zedarowi niespodzianki, dopóki nie rzuci do bitwy swych rezerw. Chciałem, żeby angaracka armia całkowicie włączyła się w walkę, nim wprowadzę Rivan, Sendarów i Asturów. Sytuacja sił Toraka była groźna, ale zrobi się rozpaczliwa, gdy legiony Cerrana przebiją się przez szeregi Nadraków i Thullów, by zaatakować Mallolean z prawej flanki.

W trakcie boju zawsze jest sporo zamieszania, a to była pewnie największa bitwa w historii. Lata naszego planowania i przygotowań teraz zaczynały przynosić efekty. Wśród Angaraków panowało zamieszanie, ale my dokładnie wiedzieliśmy, co robimy i co będziemy robić. Angarakowie mogli jedynie usiłować odpowiadać na nasze działania.

- *Belgaracie! - To był Beltira. - Ad Rak Cthoros padł.*

- *Nie żyje?*

- *Jeszcze nie, ale niewiele mu brakuje. Ma w brzuchu ulgoski nóż.*

- *Dobrze. Siedź na karku jego Murgom. Chciałbym, aby załamali się i uciekli, jeśli możesz to załatwić. - Spojrzałem na zachód. Legiony metodycznie wyrąbywały sobie drogę przez Nadraków, a Thullowie już uciekali. - Legiony przedzierają się - doniosłem Beltirze. - Jeśli uda*

ci się złamać Murgów, to Zedar będzie musiał wezwać rezerwy, a na to właśnie czekamy.

Chyba nie jestem najlepszym dowódcą, ale pod Vo Mimbre miałem pewną przewagę. Znajdowałem się kilkaset stóp nad polem bitwy, więc widziałem wszystko. Utrzymywałem również stały kontakt z braćmi. Na dokładkę Polgara informowała mnie o zamierzeniach Kal Toraka i Zedara. Przy takiej przewadze byle sierżant mógłby dowodzić bitwą pod Vo Mimbre. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, zwyciężyliśmy to starcie jeszcze w Imperialnej Akademii Wojennej w Tol Honeth, na długo zanim nasze siły wyruszyły do boju. Planowanie, oto czemu tak naprawdę zawdzięczamy sukces. Pamiętajcie o tym, nim komuś wypowiecie wojnę. Całe stulecia usiłowałem to wbić w zakute alornskie pały.

Szarża rycerzy Mimbriate straciła już swój impet. Mallorealanie ochłonęli z początkowego przerażenia i stawiali teraz bardziej zdecydowany opór. Ponownie zwarli szeregi i otoczyli rycerzy. Ta część bitwy nieubłaganie zmieniała obrót. Mimbriaci byli teraz otoczeni, a ich konie bliskie wyczerpania. Kopie dawno już zamieniły się w drzazgi i rycerze puścili w ruch miecze i bojowe topory. Liczba Mimbriatów stopniowo topniała i Mandor musiał ustawić swych ludzi w krąg, który zwykle jest oznaką początku tego, co romantycznie zwie się „walką do ostatniej kropli krwi”. Aрендzcy poeci wprost uwielbiają opisywać tę fazę bitwy. Mogą wychwalać niewysłowioną odwagę i przesadnie wyolbrzymiać czyny poszczególnych rycerzy. Rezultat jest jednak zwykle ten sam. Broniących się ostatecznie zalewa rój napierających ze wszystkich stron wrogów. To dobry temat dla wzruszającego wiersza, ale z taktycznego punktu widzenia działanie takie jest niepotrzebnym marnowaniem życia.

- Beldinie! - krzyknąłem w myślach. - Potrzebuję tych legionów! Mimbriaci otoczeni! Jeśli oni padną, ugrzęźniesz po uszy wśród Mallorealan!

- Nadchodzimy, Belgaracie! Pióra do góry!

Nigdy w pełni nie rozumiałem znaczenia pewnych taktycznych posunięć tolnedrańskich legionów. Często odnosiłem wrażenie, że ich zmiany szyku bardziej pasowały do placu defilad niż pola bitwy. Cerran

nadciągał szerokim frontem z jakimiś czterdziestoma legionami. Wydał kilka komend, które przekazali dalej sierżanci o gromkich głosach. Jego oddziały pospiesznie połączyły się, tworząc zwarte kliny. Szeregi Nadraków rozciągnięto, by stawili czoło frontalnemu atakowi. Legioniści, ze zwartymi tarczami, posuwali się truchtem, wrzynając się w szeregi Nadraków, niczym gorący nóż w masło. Po przedarciu się przez szeregi Nadraków legioniści znaleźli się na tyłach Malloreańskich skupionych wokół rycerzy Mandora. Po chwili dotarli do sprzymierzeńców.

Tego dnia nie walczone do ostatniej kropli krwi.

By uczynić sytuację Kal Toraka jeszcze bardziej rozpaczliwą, Cherekowie wykorzystali korytarz, który Cerran wyrąbał przez oddziały Nadraków, i wzmocnili nasze siły w samym centrum malloreańskiej armii. Na lewym skrzydle Toraka szeregi Murgów zaczęły pękać.

W tej sytuacji Zedar nie miał innego wyjścia, jak tylko ściągnąć oddziały trzymane w rezerwie. Tego nam właśnie było trzeba. Oczekałem jeszcze kwadrans, aby angaraćkie odwody miały czas na pospieszne opuszczenie pozycji na północy pola bitwy. Chciałem, aby tyły Toraka miały jedynie słabą obronę, a także zamierzałem zostawić czas pikinierom Rhodara na przebicie się przez idące w rozsypkę oddziały Murgów i połączenie z głównymi siłami. Śmierć Ad Rak Cthorosa złamała ducha Murgów. Ich opór słabł. W końcu Drasanie przebili się, a algarska jazda nie pozwalała Murgom zewrzeć za nimi szeregów.

- W porządku, Belkiro - wysłałem myśl. - Teraz możesz do nas dołączyć.

Brand zadał przeciągle w róg. Czekałem z pewnym niepokojem, muszę przyznać. Wtem skraj lasu na północnym krańcu równiny nagle zaroił się od Rivan, Sendarów i asturskich łuczników. Nadchodzili bardzo szybko. Po tej stronie równiny nie było żadnych angaraćkich sił, by im przeszkodzić

- Ojcie! - Głos Polgary brzmiał nieco piskliwie. - Torak wychodzi!

- Oczywiście, Pol - odparłem. - O to chodziło.

Powiedziałem to całkiem spokojnie, jakbym nigdy nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Oczywiście, to była tylko poza.

Byłem dostatecznie wysoko nad polem bitwy, by nie mogła mnie dostrzec - a przynajmniej nie na tyle wyraźnie, by widzieć moje radosne pikowania i pętle. Jestem również przekonany, że nie słyszała moich triumfalnych krzyków. Nasza strategia zadziałała!

Posiłki Zedara jeszcze nie włączyły się do walki i po chwili zamieszania zawróciły, desperacko próbując biec z powrotem, by bronić swych poprzednich pozycji. Wówczas jednak Asturowie byli już na tyle blisko, by odgrodzić ich zwartą ścianą strzał, a Rivanie i Sendarowie pędzili im na spotkanie.

Pierwotna strategia Kal Toraka zakładała zmiążdżenie nas pomiędzy dwoma armiami. Teraz zgrabnie pobiliśmy go jego własną bronią. Malloreanie byli w pułapce, Thulłowie uciekli, duch walki Murgów i Nadraków znacznie osłabł i w większości byli oni wyłączeni z walki. Miałem go! Nagle wiedziałem, co muszę uczynić.

- *Dobrze, Pol - zawołałem do córki. - Wynoś się stamtąd. Czas, byśmy dołączyli do Branda.*

- *Co takiego?*

- *Powinniśmy być razem z nim w czasie WYDARZENIA.*

- *Nigdy mi o tym nie mówiłeś.*

- *Nie wiedziałem o tym. Nie trać czasu, Polgario. Chyba nie chcemy się spóźnić?*

Poleciałem na północny kraniec pola bitwy, wylądowałem i wróciłem do własnej postaci. To wyraźnie zdumiało pluton Sendarów. Nie miałem czasu na wyjaśnienia, toteż przez następnych pięć stuleci krążyły po Sendarii o tym zdarzeniu niestworzone opowieści.

Trochę zajęło mi odszukanie Branda. Polgara już przy nim była.

- *Wiesz, co masz zrobić?* - zapytałem Strażnika Rivy.

- *Tak - odparł.*

- *I wiesz, kiedy to zrobić?*

- *Będę wiedział, gdy przyjdzie czas.*

Spokojne, niemal obojętne zachowanie każdego Dziecka Światła zawsze działało mi na nerwy. Pewnie było całkiem zrozumiałe, skoro Konieczność czuwała, ale wydawało się trochę nienaturalne. Garion powiedział mi, że czuł się podobnie owej straszliwej nocy w Cthol Mishrak, gdy w końcu spotkał się z Torakiem. Jednakże, o ile pamiętam, ja tak nie przeżywałem mojego spotkania z Zedarem w Morindlandzie. Wówczas jednak żywiłem osobistą niechęć do Zedara i być może to miało wpływ.

Nagle zmienił się wyraz twarzy Branda. Spokojna obojętność ustąpiła miejsca niemal nadludzkiemu zdecydowaniu. Wyprostował się, a gdy przemówił, głos jego brzmiał inaczej niż zwykle, język zaś, którym się posługiwał, z pewnością nie był mową Rivan.

- W imię Belara, wyzywam cię, Toraku, okaleczony i przeklęty - rozpoczął. Jego głos wcale nie wydawał mi się donośny, później dowiedziałem się, że było go słyhać w Vo Mimbre. - W imię Aldura - ciągnął - ciskam ci swą pogardę w twarz. Zaprzestaśmy rozlewu krwi i spotkajmy się... człowiek przeciwko bogu... bym zatriumfował nad tobą. Rzucam ci rękawicę. Podejmij ją lub objaw się jako tchórz przed ludźmi i bogami!

Tymi słowami sprowokował Toraka.

Bóg uzbroił się przed wyjściem ze swego osobliwego żelaznego zamku. Miał na sobie tę samą archaiczną zbroję, którą nosił podczas Wojny Bogów. Ogromną tarczę przymocował do okaleczonego lewego ramienia, hełm z wysokim pióropuszem i przyłbicą zakrywał wypolerowaną maskę, zasłaniającą jego oszpeconą twarz. W prawej dłoni ścisnął czarny miecz, który zwał Cthrek Goru. Obrażliwe wyzwanie Branda rozwścieczyło go tak, że musiał roztrzaskać mieczem kilkanaście głązów, nim odzyskał panowanie nad sobą. Angarakowie z jego otoczenia cofnęli się kilkaset jardów. Zedar czmychnął niczym królik.

- Kto ze śmiertelnych w głupocie swej śmie wyzwąć Króla Świata? - ryknął Torak. - Kto spośród was stawia czoło bogu?

Spryt Konieczności, która przemówiła ustami Branda, był godny podziwu. Torak z wielką niechęcią odnosił się do pojedynku z Brandem,

ale wściekłość przyćmiła rozsądek. Torak, zawsze pełen pogardy egocentryk, zdecydowanie musiał odpowiedzieć na te zniewagi.

- Jam jest Brand, Strażnik Rivy - odparło Dziecko Światła - i rzucam wyzwanie tobie, ohydny i okaleczony bożku, i całej twej cuchnącej hordzie. Przywołaj swą potęgę. Przyjmij me wyzwanie lub wynoś się i nigdy już nie stawaj przeciwko królestwom Zachodu.

To już było kuszenie losu. Torak nadal był bogiem i pomimo wszelkich zakazów słowa te mogły popchnąć go do straszliwych czynów. Miałem już przed oczami wizję powtórki z rozłupania świata. Na szczęście nie zrobił tego, choć roztrzaskał swym mieczem jeszcze kilka głązów.

- Baccie! - ryknął głosem, od którego pewnie popękały szyby w Tol Honeth. - Jam jest Torak, Król Królów i Pan Panów! Nie lękam się żadnego śmiertelnika ani nikłych cieni dawno zapomnianych bogów! Wystąpię i zniszczę tego gadatliwego rivańskiego głupca, a wrogowie moi umkną przed moim gniewem i Cthrag Yaska znowu będzie mój i także świat cały!

Pomimo wszystkich ostrzeżeń Torak przyjął wyzwanie Branda.

Po tych słowach na polu bitwy zapadła cisza. Po obydwu stronach żołnierze moi stali sparaliżowani dźwiękiem gromkich głosów. Walki ustały. Słyszać było jedynie jęki rannych i umierających. Teraz bój mieli toczyć Brand i Torak.

Torak postąpił na północ, a jego Malloreanie umykali mu z drogi. Brand, równie zdecydowanym krokiem, pomaszerował na południe, na spotkanie Torakowi. Zmieniłem się w wilka i pobiegłem u jego boku. Ponad nim szybowała sowa śnieżna.

Brand był wysokim mężczyzną o potężnych barach i mocarnych ramionach. Pod wieloma względami bardzo przypominał Drasa o Byczym Karku, choć nie był aż tak wysoki. Tarczę miał umocowaną do lewego ramienia. Zadał sobie sporo trudu, aby przymocować do niej szary rivański płaszcz, który osłaniał Klejnot Aldura. Jego miecz nie dorównywał wielkością orężowi Rivy, ale był na tyle wielki, że nie miałbym ochoty nim wywijać.

Torak miał na sobie swą antyczną czarną zbroję. Idąc, wymachiwał Cthrek Goru. Umowa pomiędzy Koniecznościami nie pozwalała mu na przybranie ogromnych rozmiarów, jak uczynił w Cthol Mishrak, gdzie spotkał się z Garionem, ale był równie wysoki jak Brand. Siły zdawały się wyrównane. A skoro żaden z nich nie miał szczególnej przewagi - czy to pod względem wzrostu, czy uzbrojenia - pojedynki zapowiadał się bardzo interesująco.

Zbliżyli się do siebie na dwadzieścia jardów, po czym stanęli, najwyraźniej postępując zgodnie z instrukcjami. Wówczas Brand przemówił raz jeszcze.

- Jam jest Brand, Strażnik Rivy - przedstawił się uprzejmie. - Jam jest tym, który zmierzy się z tobą, Toraku. Strzeż się mnie, albowiem duchy Belara i Aldura są ze mną. Sam jeden bronię ci dostępu do Klejnotu, dla którego wojnę na Zachód sprowadziłeś.

Torak nie odpowiedział mu. Zamiast tego zwrócił się do mnie.

- Precz, Belgaracie! - powiedział. - Uciekaj, jeśli chcesz zachować życie. Zdaje się, że niebawem będę miał wolną chwilę, by udzielić ci od dawna obiecanej lekcji, a wątpię, byś nawet ty przetrwał moje nauki.

Nigdy nie byłem pewny, czemu zawracał sobie tym głowę. Powinien wiedzieć, jaka będzie moja odpowiedź. Obnażyłem zęby i warknąłem na niego.

Potem Torak przemówił do sowy unoszącej się nad głową Branda.

- Wyrzeknij się swego ojca, Polgaro, i chodź ze mną - rzekł dziwnie pieszczotliwym tonem. - Poślubię cię - ciągnął - i uczynię królową całego świata, a twa potęga mocy mej jedynie ustępować będzie.

Propozycja tego małżeństwa spędzała Polgarze sen z powiek już od pięciuset lat. Również poważnie niepokoiła Grolimów; zawsze bardzo ostrożnie obchodzili się z Pol. Nie chcieli obrazić wybranki Toraka. Podejrzewani, że to Wyrocznia Ashabińska naprowadziła go na ten pomysł. Zapewne ten sam fragment podsunął Zedarowi pomysł okrutnego oszukania Illessy.

Krzyk sowy jest zwykle po prostu pohukiwaniem, ale Pol w swym pohukiwaniu zawarła tyle pogardy i lekceważenia, że Torak nie mógł mieć wątpliwości, co myśli o jego propozycji.

- Zatem przygotujcie się na śmierć - ryknął Torak, rzucając się przed siebie ze wzniesionym mieczem.

Obudził tym we mnie lekki niepokój. Przed chwilą widziałem, jak roztrzaskiwał tym mieczem ogromne głazy.

Brandowi nawet nie drgnął jeden mięsień twarzy. Uniósł tarczę, by osłonić się przed potężnym ciosem.

Jeśli kiedyś widzieliście walkę pomiędzy dwoma zbrojnymi, to wiecie, jak bardzo poszczerbione i powgniatane robią się ich tarcze. Jednakżena tarczy Branda nie było znać żadnych śladów po uderzeniu Cthrek Goru. Potężny cios Toraka nawet nie naciął szarej tkaniny okrywającej lico tarczy. Najwidoczniej Klejnot Aldura zadbał o to.

Tarcza Toraka chyba jednak nie była niezniszczalna. Cios, który Brand zadał w odpowiedzi, głęboko wyszczerbił jej brzeg.

Torak uderzył ponownie, ale podobnie jak za pierwszym razem, nie odniosło to skutku.

Potem przyszła kolej na Branda. Jego oręż zostawił głębokie wgniecenie w licu tarczy Toraka.

Walczyli tak ze sobą przez jakiś czas. Młócili się ogromnymi mieczami, czyniąc przeraźliwy hałas i krzesając skry, gdy ostrza się stykały. Zataczali się w przód i w tył, usiłując utrzymać równowagę. Brand nadal wydawał się nienaturalnie spokojny, ale Torak robił się coraz bardziej wściekły. Ryczał i coraz szybciej zadawał ciosy Rivaninowi o posępnej twarzy. Pomimo ogromnej wagi Cthrek Goru, Torak wywijał nim niemal tak szybko, jak algarski jeździec swą szablą. Furia, z jaką atakował, zmuszała Branda do cofania się.

Wtem Torak w ostatniej chwili zmienił kierunek uderzenia i zranił Branda w lewe ramię.

- *Nareszcie!* - odezwał się znajomy głos. - *Już myślałem, że będą się tak okładać cały dzień. Idź, daj mu znak, Belgaracie. Kończymy z tym już.*

Uczyniłem to, nawet nie myśląc. Nie musiałem myśleć. Instrukcje krążyły po mej głowie prawie od trzech tysięcy lat. Przysiadłem, uniosłem pysk i zawyłem. W tym samym momencie biała sowa zahukała przeszywająco.

Brand uskoczył i końcem miecza przeciągnął po licu tarczy, zdzierając szarą osłonę.

Kal Torak wzdrygnął się, gdy Klejnot Aldura zajaśniał zgubnym błękitnym ogniem. Płomień jarzący się pod maską w miejscu lewego oka, nagle rozbłysł niczym małe słońce.

Torak krzyknął i Cthrek Goru wypadł mu z drżącej gwałtownie ręki. Odrzucił tarczę i usiłował zakryć twarz. Prawą dłonią przesłaniał prawe oko, ale nie miał lewej ręki, by zasłonić drugie oko.

Wówczas Brand zadał cios ostateczny w ich pojedynku. Nie było to jednak uderzenie znad głowy, tylko pchnięcie. Ujął miecz oburącz i zrobił wypad, ale sztych nie był wymierzony w pierś Toraka, jego szyję lub brzuch, lecz prosto w płonące lewe oko.

Miecz Branda przebił przyłbicę hełmu Toraka, wydając przy tym przeraźliwy dźwięk, gdy wbijał się w płonące oko i w mózg okaleczonego Boga Angaraków.

Torak wrzasnął. Nie był to jednak krzyk bólu, ale niewysłowionej straty. Schwycił ostrze sterczące z oczodołu i wyrwał je. Po czym odrzucił hełm i zerwał stalową maskę.

Wtedy po raz pierwszy od czasu, gdy rozłupał świat, ujrzałem jego twarz. Prawą stronę oblicza nadal miał piękną i nie okaleczoną.

Lewa była odrażająca. Zemsta Klejnotu Aldura była straszliwa ponad wszelkie wyobrażenie. Rany nadal się jątrzyły, a w niektórych miejscach ciało było spalone aż do kości.

Lewe oko Toraka już nie płonęło. Płynęła z niego krew.

Opowieść Davoula Chromego jest nie najlepiej napisana, ale niezłe oddaje nastrój, więc przytoczę tu jej fragment.

...i podniósł się, i wyrzucił swe ramiona ku niebu, i zakrzyknął ponownie. I zakrzyknął po raz ostatni, gdy ujrzał Klejnot, który zwał CthragYaska i który ponownie go poraził, a potem, niczym drzewo walące się na ziemię, Mroczny Bóg padł, a ziemia zadrżała...





Oto co naprawdę wydarzyło się pod Vo Mimbre. Opisy bitwy zajmują całe biblioteki, ale z wyjątkiem kilku - w większości napisanych przez alornskich uczonych - te sensacyjne relacje pomijają naprawdę istotne wydarzenia, które doprowadziły do pojedynku pomiędzy Brandem i Torakiem. Wszystko, co robiliśmy, miało na celu zmuszenie Toraka do przyjęcia wyzwania Branda. Gdy postawiliśmy go w sytuacji bez wyjścia, rezultat był łatwy do przewidzenia.

Pokonanie ich Boga całkowicie zniszczyło morale Angaraków; Ulgosi i inni wojownicy zabili królów i generałów, więc nie miał kto wydawać rozkazów. Angarakowie nie potrafią zbyt dobrze działać samodzielnie. Ktoś bardzo mądry powiedział kiedyś: „Bardzo dobrze jest złożyć władzę w ręce doskonałego człowieka, ale co zrobicie, gdy owego człowieka rozboli brzuch?” To główny argument przemawiający przeciwko wszelkiego rodzaju absolutyzmowi.

Oczywiście los Mallorean był przesądzony. Otaczali ich przepęnlieni nienawiścią ludzie, a trudno było doszukać się przebaczenia i litości, gdy armie Zachodu spadły na nieszczęsnych najeźdźców niczym gniew całego panteonu Bogów.

Murgowie na lewym skrzydle nie widzieli żadnego powodu, by gnać na pomoc swym mallorezańskim kuzynom. Po prostu nie przepadali za Malloreanami, więc obu ras nie łączyły żadne silne więzy - nie licząc braterstwa, którym zanudzał ich Torak. Tak naprawdę nie wydano żadnych rozkazów. Murgowie po prostu zawrócili, uciekli na południe, ku brzegom rzeki Arend po wschodniej stronie miasta, i usiłowali przepłynąć na drugą stronę. Prąd był tam bardzo wartki, a rzeka głęboka. Kilku Murgom udało się przedostać na drugi brzeg, ale nie było ich wielu.

Thullowie już zdążyli czmychnąć nad rzekę od zachodniej strony Vo Mimbre. Thullowie nie są inteligentni, ale za to silni i w odróżnieniu

od Murgów nie dźwigali kolczug, więc zaskakująco wielu udało się przedostać na tolnedrański brzeg. Nadrakowie próbowali pójść ich śladem, ale nie pływają zbyt dobrze, toteż w bezpieczne miejsce dotarło ich pewnie mniej niż Murgów.

Rzeź trwała aż do zmroku, potem Alornowie zapalili pochodnie i kontynuowali zabijanie Malloorean.

W końcu do Branda przyszedł generał Cerran.

- Czy nie dość już tego? - zapytał zde gustowany.

- Nie - stanowczo odparł Brand, poprawiając temblak podtrzymujący mu zabandażowane lewe ramię. - Przybyli tutaj, aby nas wyróżnić w pień. Muszę mieć pewność, że nie uczynią tego ponownie. Wyplenimy chwasty do ostatniego.

- To barbarzyństwo, Brandzie!

- Tak, podobnie jak to stało się z Drasnią.

Po północy, gdy wypaliły się już pochodnie, Ulgosi Brasa obeszli pole bitwy i dobili wszystkich rannych. Ja, podobnie jak Cerran, nie przepadałem za tego typu barbarzyńskim postępowaniem, ale się nie wtrącałem. Teraz Brand tu dowodził, a ja nadal miałem dla niego zadania do wykonania. To były bardzo ważne sprawy i nie chciałem go sobie zrazić rozkazami, których by nie aprobował.

Świt następnego ranka wstał zamglony od dymu. Jedyńi Angarakowie pozostali na polu bitwy byli martwymi Angarakami. Malloreanie, Murgowie, Nadrakowie, Thulowie i Grolimowie w czarnych szatach leżeli pokotem na nasiąkniętej krwią ziemi. Brand zakończył pielenie.

Strażnik Rivy spał ze dwie godziny owej okropnej nocy, ale wyszedł z namiotu, gdy tylko wstało słońce, by dołączyć do mnie, mych braci i mej córki.

- Gdzie on jest? - dopytywał się.

- Kto? - zapytał krótko Beldin.

- Torak. Chcę popatrzeć na Króla Świata.

- Możesz go poszukać, jeśli chcesz - powiedział Beldin - ale go nie znajdziesz. Zedar za pomocą czarów porwał go w nocy.

- Co takiego?

- Nie powiedziałaś mu? - zapytał mnie Beldin.

- Nie musiał o tym wiedzieć - odparłem. - Gdyby wiedział, pewnie próbowaliby przeszkodzić.

- Nie mógłby, ty ośle, podobnie jak ja czy ty.

- Czy ktoś mógłby mi to wyjaśnić? - W głosie Branda pobrzmiwała nuta rozdrażnienia.

- To część porozumienia pomiędzy Koniecznościami - zacząłem. - Te uzgodnienia bywają czasami bardzo skomplikowane i w znacznej mierze przypominają handel końmi. Zgodziły się, że wygrasz, jeśli do pojedynku dojdzie trzeciego dnia, ale nasza Konieczność zmuszona była przystać na to, że nie wolno ci będzie zatrzymać ciała Toraka. To nie było ostateczne WYDARZENIE. Nie pozbyliśmy się Toraka.

- Ale on jest martwy!

- Nie, Brandzie - powiedziała Polgara. - Nie jest. Nie myślisz chyba, że twój miecz mógłby go zabić? Tylko jeden miecz na świecie potrafi tego dokonać, a on nadal wisi na ścianie za tronem Rivańskiego Króla. To kolejna część porozumienia. Dlatego Klejnot znalazł się na twojej tarczy, a nie został na swym miejscu. Ty nie jesteś tym, który powinien użyć tego miecza.

- Niech to diabli, Polgaro! - wybuchnął. - Nikt nie przeżyje przebiccia głowy mieczem!

- Torak przeżył. Po twoim ciosie zapadł w śpiączkę, ale nadejdzie czas, gdy znowu się ocknie.

- Kiedy?

- Gdy Król Rivy powróci. On jest tym, który powinien zdjąć miecz. Gdy to uczyni, Torak obudzi się i dojdzie do następnego WYDARZENIA.

- Czy to będzie ostatecznie?

- Prawdopodobnie, ale nie jesteśmy zupełnie pewni - odparł Beltira. - W Kodeksie Mrińskim jest kilka spraw, które do siebie nie pasują.

- Czy Gelane da sobie z tym radę? - zapytał Brand. - Nie wydaje mi się zbyt muskularny, a Torak to bardzo poważny przeciwnik.

- Kodeks nie mówi, że to będzie Gelane, Brandzie - poprawiłem go. - I prawdopodobnie nie będzie, jeśli poprawnie odczytuję znaki. To może być jego syn lub ktoś dwadzieścia pokoleń po nim.

Brand przygarbił się, skrzywił z bólu i położył dłoń na rannym ramieniu.

- A zatem wszystkie ofiary na próżno - westchnął.

- Tego bym nie powiedział - nie zgodziłem się. - Torak przybył po Klejnot i nie zdobył go. To już chyba coś?

- Pewnie tak - przyznał ponuro. Potem spojrział na zasłane trupami pole bitwy. - Lepiej uprzątniemy tych wszystkich Angaraków - zaproponował. - Jest lato i jeśli ich zostawimy, zgniją i epidemia gotowa.

- Masz zamiar ich pogrzebać? - zapytał Beltira.

- Nie, sądzę, że ich spalimy. Nie przysporzyłbym sobie popularności, gdybym kazał wszystkim chwycić teraz za łopaty.

- Skąd weźmiesz tyle drewna? - zapytał Beldin.

- Północny kraniec tej równiny porasta spory las - odparł Brand, wzruszając ramionami. - A skoro jest tak blisko, możemy go wykorzystać.



Oto co stało się z tymi lasami. Musieliśmy sprzątnąć wielu martwych Angaraków, więc potrzebowaliśmy bardzo dużych stosów pogrzebowych.



Oczyszczenie pola bitwy zajęło kilka dni. W tym czasie Aldorigen z Mimbre i Eldallan z Asturii odbyli rozmowę na osobności, jak zaproponował przed bitwą Eldallan. Żaden z nich nie przeżył tej wymiany zdań. Symboliczne znaczenie tego bezsensownego spotkania nie uszło uwagi starszyny obu księstw. Arendzka wojna domowa ciągnęła się od tysiącleci i gdyby im pozwolić, prawdopodobnie Mimbre i Asturia ciągnęłyby ją aż do całkowitego wyniszczenia obu narodów.

Mandor i Wildantor przewodzili delegacji, która przybyła do Branda z dość zaskakującą propozycją.

- Nasza nienawiść zabrnęła za daleko, lordzie Brandzie - posępnie oświadczył Wildantor. - Mandor i ja nauczyliśmy się razem żyć, ale wyjątkowa z nas para. Doprawdy nie możemy się łudzić, że inni Arendowie zechcą pójść w nasze ślady.

- W czasie bitwy wszyscy doskonale współpracowaliście - odparł Brand. - Czy to nie budzi nadziei?

Mandor westchnął i pokręcił głową.

- Chwiejny rozejm już zaczął wykazywać oznaki napięcia, lordzie Brandzie - powiedział. - Pewne prastare właśnie zapewne ożyją, by ponownie nas poróżnić.

- Nasz problem jest całkiem prosty, panie - rzekł ze smutnym uśmiechem Wildantor. - Arendii potrzebne zjednoczenie, ale kto będzie nią władał, gdy już się połączymy? Żaden Astur nie pokłoni się przed mimbrańskim królem i żaden Mimbrat nie schyli czoła przed królem Asturów.

- Do czego zmierzacie, panowie? - zapytał Brand.

- Potrzebny nam jest król, który zjednoczyłby biedną Arendię, mój panie - odparł posępnie Mandor - i niechęć każdego z nas sugeruje, iż królem tym nie może być Arend. Toteż, po długich naradach, przybyliśmy zaoferować koronę Arendii tobie, panie.

Brand zamrugał oczami. Na szczęście był na tyle mądry, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Jestem zaszczycony, panowie, ale na Wyspie Wiatrów czekają na mnie obowiązki. Nie mogę dobrze władać Arendią z Rivy.

Mandor westchnął.

- A zatem biedna Arendia skazana jest na nie kończącą się wojnę domową - powiedział z głębokim smutkiem.

Brand podrapał się po policzku.

- Może nie - rzekł. - Czyż Aldorigen nie ma syna?

- Tak, księcia Korodullina - odparł Mandor.

- A Eldallan córki?

- Mayaseranę - powiedział Wildantor. - Teraz, gdy jej ojciec nie żyje, ona jest księżną Asturii. Jest panną o bardzo silnym charakterze, do tego ładną.

- Czy waszym zdaniem tych dwoje jest patriotami?

- Każdy w Arendii jest patriotą, lordzie Brandzie - odparł Wildantor. - To część naszego problemu.

- Czy to nie nasuwa wam rozwiązania? Żaden król mimbrański czy asturski nie byłby w stanie sprawować władzy, ale co powiecie na wspólne rządy? Jeśli udałoby się nam przekonać tych dwoje młodych ludzi do małżeństwa i wspólnego sprawowania władzy... - Zawiesił głos.

Obaj Arendowie spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem, którym po chwili zarazili wszystkich pozostałych.

- Powiedziałem coś zabawnego? - dopytywał się Brand.

- Ty nie znasz tych dwojga, panie - odparł wesoło Wildantor. Mandor nadal krztusił się ze śmiechu.

- Propozycja twoja ma pewną zaletę, panie. Małżeństwo pomiędzy Korodullinien i Mayaseraną dobrze przysłużyć by się mogło uciszeniu swarów w reszcie Arendii, mniemam jednak, iż nasza wojna domowa nadal trwać będzie, tyle że w ramach jednej rodziny.

- Jest aż tak źle?

- Gorzej, panie - zapewnił go Wildantor. - Być może nie zgładzą się nawzajem, jeśli przykujemy ich łańcuchami do przeciwległych ścian królewskiej sypialni, ale na tym koniec. Pamiętaj, panie, że ich ojcowie właśnie się pozabijali.

- Przyprowadźcie ich zatem tutaj, to z nimi porozmawiam. Może jeśli odwołam się do ich patriotyzmu, zgodzą się przystać na ten pomysł.

Wildantor spojrział sceptycznie na przyjaciela.

- Co o tym sądzisz, Mandorze? - zapytał. - Warto spróbować? Przed wprowadzeniem tutaj, przeszukamy ich dokładnie i odbierzemy broń.

- Z ochotą podejmę się wszystkiego, by uzdrowić naszą biedną Arendię - przysięgł z zapalem Mandor.

- Dzielny gość - mruknął Wildantor.

- To najbardziej niedorzeczna propozycja, jaką kiedykolwiek słyszałam! - krzyknęła Mayaserana, gdy Brand przedstawił jej i Korodullinowi swą propozycję. - Prędzej umrę, niż poślubię mimbrańskiego kata!

- Z ochotą dopomógłbym ci w zakończeniu żywota, ty ladacznico! - zaoferował się Korodullin.

Wymiana zdań szybko stawała się coraz gwałtowniejsza.

- Naprawdę uważam, że powinniście to przemyśleć - zaproponowała ze słodyczą Pol, przerywając ich wrzaski. - Musicie się oboje uspokoić i omówić to - gdzieś na osobności. Mój panie Mandorze, mniemam, iż znajdzie się tu jakowaś zaciszna komnata, gdzie młodzi mogliby kontynuować bez przeszkód dyskusję? Być może na szczycie jakiejś wieży?

- Na szczycie południowej wieży pałacu jest bezpieczna komnata, wasza miłość - odparł z pewnym powątpiewaniem. - W przeszłości często za więzienie służyła niegodziwcom szlachetnie urodzonym, których ze względu na pozycję nie można było wtrącić do lochów.

- Zakratowane okna? - zapytała - I solidne drzwi, które można zamknąć od zewnątrz?

- Są, wasza miłość.

- Może poszlibyśmy wszyscy obejrzeć tę komnatę? - zaproponowała.

- Nie zaszkodzi rzucić okiem - odparł Brand.

Ująłem córkę pod ramię i odprowadziłem na bok.

- Pozabijają się, jeśli zamkniesz ich w tym samym pokoju, Polgaro - powiedziałem przyciszonym głosem.

- Nie myślę, aby posunęli się aż tak daleko, ojcze - zapewniła mnie. - Być może będą na siebie wrzeszczeć, ale nie sądzę, aby doszło do rękoczynów. W Arendii obowiązują pewne zasady, które zabraniają używania przemocy pomiędzy kobietą i mężczyzną.

- Ale pomiędzy Mimbratami i Asturami?

- Zobaczymy, ojcze. Zobaczymy.

W ten sposób Mayaserana i Korodullin zostali współwięźniami. Początkowo dużo było krzyków i wrzasków, ale nie przejmowaliśmy się. Krzyki dowodziły przecież, że nadal oboje pozostawali przy życiu.

Zawsze chciałem zapytać Polgarę, czy pomysł wspólnego uwięzienia tych dwojga był jej własny czy też autorstwa przyjaciela Gariona. Biorąc pod uwagę jego spaczone poczucie humoru, mógł wyjść od niego. Z drugiej strony Pol bardzo dobrze orientuje się w osobliwościach ludzkiej duszy. Wie, czym zwykle kończy się dłuższe pozostawienie samym sobie dwojga młodych ludzi. Polgara zaaranżowała długą serię małżeństw; jest w tym bardzo dobra.

W każdym razie po zamknięciu ich w południowej wieży pałacu zajęliśmy się innymi sprawami. Żadna wojna czy poważniejsza bitwa nie może obejść się bez długiej narady wieńczącej zakończenie walk. Ku naszemu zaskoczeniu na obrady przybył nawet Gorim z Ulgo. Gorimowie prawie nigdy nie opuszczali swych jaskiń. Rana Borune zatrzymywały sprawy wagi państwowej, więc reprezentował go Mergon. Podiss zaś przybył na północ, by przemawiać w imieniu Salmisary.

Na naszą konferencję zajęliśmy salę tronową Aldorigena, przy czym szczególnie obstawał Mandor. Po kilku godzinach prawienia sobie uprzejmości przeszliśmy do sprawy. Ormik, król zawsze praktycznych Sendarów, pierwszy zabrał głos. Ten przysadzisty, skromny człowiek był o wiele bystrzejszy, niż na to wyglądał.

- Panowie - zaczął - i ty, lady Polgaro. Zdaje się, że nadarza się zbyt wyjątkowa okazja, by jej nie wykorzystać. Rzadko kiedy zbiera się w jednym miejscu większość władców Zachodnich Królestw. Ostatnie nieprzyjemności postawiły nas wszystkich po tej samej stronie. Czemu nie mielibyśmy wykorzystać tego czasowego zbratania dla załagodzenia drobnych, nagromadzonych przez lata niesnasek? Gdyby udało nam się opracować zestaw traktatów, to moglibyśmy nawet czuć pewną wdzięczność dla Kal Toraka. - Uśmiechnął się blade. - Czyż nie byłoby ironią, że przybywszy tu, by przynieść nam wojnę, w rezultacie ofiarował nam pokój?

- Nadal mamy jeszcze do załatwienia parę drobiazgów, Ormiku - powiedział Rhodar. - Angaracka armia okupuje Drasnię i chciałbym przekonać ich, by spakowali się i poszli do domu.

- A wokół Twierdzy nadal obozują Murgowie - dodał Cho-Ram.

Wówczas Eldrig zabrał głos. Miałem wrażenie, że dał się ponieść nastrojowi chwili.

- Aloria poradzi sobie z angarackimi niedobitkami pozostającymi nadal w jej granicach - oznajmił.

Na te słowa nastawiłem uszu. Określenia „Aloria” sam od czasu do czasu używałem, zwykle wtedy, gdy chciałem, żeby Alornowie coś zrobili. Jednakże posłuzenie się przez Eldriga nazwą, która od czasów Chereka tak naprawdę nic nie znaczyła, zaniepokoiło mnie. Gdy jakiś Alorn wspomina o Alorii, to znak, że jest on wyznawcą Kultu Niedźwiedzia, a pokaźna armia Alornów obozowała właśnie na północnej granicy Tolnedry.

- Powinniśmy omówić coś znacznie donioślejszego - ciągnął sędziwy król Chereku. - Byliśmy świadkami wydarzenia, które nigdy przedtem się nie zdarzyło. Bóg został pokonany na naszych oczach. Jestem pewny, że inni Bogowie mieli w tym swój udział, a Brand był ich narzędziem. Nie wiem jak wam, panowie, ale mnie to podsunęło bardzo interesującą myśl. W mojej kopii Kodeksu Mrińskiego jest mowa o Pogromcy Boga, który zostanie Władcą Zachodu. Dobrze zatem. Na własne oczy widziałem, jak Brand zabił Toraka, i gotów jestem do zrobienia następnego kroku. Cherek uznaje zwierzchnictwo Branda. Jeśli wszyscy będziemy mieć jednego władcę, to rozbieżności, o których wspominał Ormik, znikną.

- Ma słuszość - powiedział w zamyśleniu Cho-Ram. - Mnie z Brandem całkiem nieźle się współpracuje, więc sędzę, że Algaria może dołączyć do Chereku. Ja również uznaję zwierzchnictwo Branda.

To idioci! To nie o Brandzie mówił Kodeks Mriński! To Garion, ale on nawet się jeszcze nie urodził!

- Sędzę, że możemy być jednomyślni - zgodził się Rhodar.

- Dzieci Boga-Niedźwiedzia przemówią jednym głosem. Brand jest Suzerenem.

- Czy nie działamy zbyt pochopnie? - zaprotestował Ormik. - Sam jestem w części Alornem i z wielką ochotą chciałbym zaakceptować Branda jako Suzerena. Pójdę wszędzie, gdzie mi każe, ale chciałbym najpierw usłyszeć, co ma do powiedzenia w tej sprawie Tolnedra, Ulgo, Arendia i Nyissa, nim zacznę snuć plany koronacji. Obozują tu wszystkie armie Zachodu. Jeśli ci z nas, którzy są Alornami, wpadną na zbyt osobliwy pomysł i urażą tym władców nie będących Alornami, to możemy mieć drugą bitwę pod Vo Mimbre, nim krew zdąży wyschnąć po poprzedniej.

Wtedy wstał służalczy, płaszczący się Podiss, wysłannik królowej Salmisary.

- Król Sendarii rozumnie mówi. Podziwiałem gotowość suwerennych władców do uznania zwierzchnictwa człowieka niekrólewskiego pochodzenia. Brand nie jest nawet królem Wyspy Wiatrów. Jest jedynie opiekunem. Nawet nie muszę w tej sprawie słać po instrukcje do Sthiss Tor. Wieczna Salmisara nigdy nie złoży hołdu bezimiennemu alornskiemu zabijace.

- Wy, Nyissanie, macie dość krótką pamięć, Podissie - powiedział gniewnie Eldrig. - Jeśli nie masz z sobą podręcznika historii, to poślę po jakiś, żebyś mógł zerknąć do rozdziału, który mówi o tym, co stało się z Nyissą w 4002 roku, po tym, jak Salmisara zamordowała króla Goreka.

Wówczas wstał Mergon.

- Nie groźmy sobie, panowie. To miała być pokojowa konferencja, pamiętacie? - Umilkł zadumany. - Żadnemu z was nie ustępuję w podziwie dla Strażnika Rivy. Pozdrawiam Branda w imieniu mego imperatora i zapraszam do przybycia do Tol Honeth, aby Ran Borune mógł uhonorować go jak przystaje na pierwszego wojownika Zachodu. Jednakże nie podejmujemy nieodwracalnych decyzji pod wpływem podziwu i wdzięczności. Jestem pewny, że Brand pierwszy przyzna, że sztuka prowadzenia wojny niewiele ma wspólnego ze sztuką zachowania pokoju i rzadko kiedy idą w parze. Bitwa szybko się kończy, ale brzemień pokoju z biegiem lat staje się coraz cięższe. - Ponownie przerwał, a potem odezwał się dość zdecydowanym tonem. - Jestem zakłopotany tym gadaniem o Alorii, panowie. Słyszałem

o Chereku, Drasni i Algarii, cały świat zna Wyspę Wiatrów i niezdobytą Rivę. Ale gdzie jest owa Aloria? Jakie są jej granice? Gdzie jest jej stolica? Miejsca zwanego Aloria nie było od czasów Chereka o Niedźwiedzich Barach. Jestem zaskoczony nagłym wyłonieniem się królestwa dawno pogrzebanego w mrokach starożytności. Imperium Tolnedrańskie działa w obrębie świata doczesnego. Nie możemy wysyłać emisariuszy na dwór króla z krainy bajek. Nie możemy prowadzić wymiany handlowej z cesarstwem z księżycą. Handel możemy prowadzić jedynie z ziemskimi królestwami. Mity i legendy, choćby nie wiem jak wspaniałe, nie mogą mieć wpływu na interesy imperium, w każdym razie jeśli zależy nam na zachowaniu pokoju na świecie.

Widziałem, jak twarz Eldriga robiła się coraz bardziej czerwona. Mergon zdecydowanie kusił los.

- Intryguje mnie jeszcze coś innego - ciągnął przedstawiciel Rana Boruna. - Dlaczego nagle wszyscy postanowiliście zlekceważyć dawno zawarte traktaty i porozumienia? Podpisaliście owe porozumienia z imperium, a teraz wyrzucacie je po prostu przez okno. Doprawdy, czy roztropnie jest obrażać Rana Borune? Szczególnie mając na względzie rozmiary jego armii?

- Posłuchaj mnie, Mergonie - warknął wojowniczo Eldrig. - Aloria jest tam, gdzie mówię, że jest, a moja armia jest wystarczająco duża, aby mnie wesprzeć. Jeśli chcesz wrócić do Tol Honeth, by donieść, co tu postanowiliśmy, to ruszaj zaraz. Moje okręty wojenne są tak szybkie, że pewnie będę tam przed tobą. Jeśli będę musiał, sam wyjaśnię sytuację Ranowi Borune. Potem ruszę do Sthiss Tor i to samo zrobię z Salmissarą.

- Dość tego, Eldrigu - zabrał w tym miejscu głos Gorim. - Zmierzamy właśnie wprost do drugiej bitwy pod Vo Mimbre, o której wspomniał król Ormik. Jedna całkiem wystarczy, nie sądzisz? Wy, królowie Alornów, chcielibyście uznać Branda za Suzerena Zachodu, ponieważ jest on Alornem. Tolnedra i Nyissa nie mają nic przeciwko uhonorowaniu go, ale nie są zainteresowane poddaniem się jego zwierzchności - również dlatego, że jest on Alornem. Lepiej zażegnajmy ten rodzący się konflikt. Udało nam się już dość ludzi posłać na śmierć.

Faktem oczywistym jest, że żaden człowiek nie może władać całym Zachodem, więc lepiej od razu porzucimy tę myśl. Myślę, że znam Branda na tyle dobrze, by przypuszczać, że nie przyjąłby korony, gdybyście mu ją zaoferowali.

- Dobrze powiedziane, Święty Gorimie - przyznał żarliwie Brand. - Niechętnie cię rozczarowuję, Eldrigu, ale ja nie jestem tym Władcą Zachodu, na którego czekasz. Kogoś innego obarcz tym tytułem.

- Nie możesz tak po prostu nic nie zrobić, Brandzie! - zaproponował Eldrig. - Zabiłeś Toraka. Musimy w jakiś sposób cię za to uhonorować. Co powiesz na kontrybucję ze wszystkich naszych skarbców?

- Mogę coś zaproponować? - wtrącił Gorim. - A może oddać Brandowi za żonę księżniczkę Tolnedry? To chyba największy zaszczyt, jakim może obdarzyć Tolnedra.

- Ja już mam żonę, Przenajświętszy - powiedział Brand - a tylko szalenie chciałby mieć więcej niż jedną. Niepotrzebna mi korona; niepotrzebna mi księżniczka Tolnedry; i niepotrzebne mi skarby innych królestw. Po co Rivaniowi skarby? - Położył rękę na tarczy. - Jeśli nie zauważyliście, to przypominam, że my już jeden mamy i od dwóch tysięcy lat strzeżliśmy go z narażeniem życia. Chcielibyście obarczyć nas strzeżeniem jeszcze jednego skarbu? Mamy tylko jedno życie. Gorim ma rację. Nie mogę siedzieć w Rivie i rządzić światem. Jeśli coś wydarzy się gdzieś w Nyissie lub w jaskiniach Ulgo, to miesiące miną, nim o tym usłyszę. A co więcej, ja służę Belarowi. Myślę, że moglibyśmy urazić Nedrę, Issę i Chaldana, jeśli mielibyście zwierzchnika, nie wspominając już o Ulu. Jeśli rzeczywiście ma być jakiś Suzeren, to wybór powinien pochodzić od Bogów, nie od ludzi.

W tym momencie zdecydowałem się raz na zawsze położyć kres tym bzdurom. Wstałem.

- Radzi wysłuchamy rady Nieśmiertelnego - powiedział półgłosem Gorim.

- Radzi czy nie i tak ją otrzymacie - rzuciłem opryskliwie. - Co na Bogów napadło cię, aby wychodzić z tak absurdalnym pomysłem, Eldrigu? Brand nie jest tym, który będzie Suzerenem. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę.

Eldrig wyglądał na nieco zakłopotanego

- No cóż, pokonał przecież Toraka, prawda? Pomyślałem sobie, że mogę pójść krok dalej, to wszystko. - Potem rozłożył ręce. - No dobrze, trochę przesadziłem. Przyznaję. Miałem nadzieję, że to będzie ostateczne WYDARZENIE. Pragnąłem, aby doszło do niego za mojego życia, więc pomyślałem sobie, że mógłbym trochę nagiąć prorocstwo. Pewnie się myliłem. Przykro mi. W Kodeksie Mrińskim mogło jednak chodzić o Branda, prawda?

- Absolutnie nie - powiedział Beltira. - Król Rivański będzie Suzerenem, nie Strażnik Rivy.

- No cóż - nieudolnie starał się bronić Eldrig - myślałem, że Brand to prawie król.

- Nie z mojego punktu widzenia - powiedział Brand.

- Zapomnijcie, że kiedykolwiek o tym wspomniałem - Eldrig dał za wygraną.

- Na to możesz liczyć - powiedziałem.

- Jednakże Suzeren nadejdzie, Belgaracie - przypomniał mi Gorim.

- Wiem.

- Czy będziesz tu, aby nim pokierować?

- Prawdopodobnie. Nie czuję jeszcze żadnych oznak nadciągającej śmierci. Pol i ja zajmiemy się wszystkim, gdy przyjdzie czas. Od dawna już się tym paramy.

- Kodeks Mriński wspomina o tym, że Suzeren poślubi księżniczkę Tolnedry

- Wiem o tym, Gorimie. To ja wprowadziłem Driady do linii Borunów, by ich do tego przygotować.

- Co to jest Kodeks Mriński, o którym w kółko mówicie? - zapytał Mergon. - Myślałem, że Mrin to rzeka w Drasni.

- To święta księga Alornów, wasza ekscelencjo - odparła Pol. - Przepowiada przyszłość.

- Przykro mi, lady Polgaro, ale nic nie przepowiada przyszłości.

- Ale do tej pory nie pomyliła się, wasza ekscelencjo - nie zgodził się Beltira.

- Zapewne dlatego, że jest tak ogólna, iż w rzeczywistości nic nie znaczy - prychnął Mergon.

- Nie, prawdę powiedziawszy, jest bardzo szczegółowa. Trudno ją odczytać, ale gdy już ją się rozwikła, to powie dokładnie, co się wydarzy.

- Jedynie jeśli w to się wierzy, mistrzu Beltiro. Widywałem święte księgi innych narodów i według mnie były absolutnie pozbawione jakiegokolwiek znaczenia.

- To zapewne sprawka Nedry, Mergonie - rzekłem. - Nedra nie lubi żadnej formy mistycyzmu. Macie bardzo praktycznego Boga. Bierzmy się do rzeczy, panowie. Jeśli mamy opracować traktaty, lepiej zaczynamy, chyba że wolicie podpisać czysty arkusz pergaminu. Zawartość mogę dopisać później, jeśli tak wam wygodniej.

- Sprytne, Belgaracie - zachichotał Beldin. - A co dokładnie ma być w tych traktatach?

Odwróciłem się do bliźniaków.

- Wy dwaj jesteście tu ekspertami. Co mówi o tym Mrin? Co powinniśmy ustalić raz na zawsze, a jakie sprawy możemy pozostawić własnemu biegowi?

- Sądzę, że powinniśmy ustalić małżeństwo króla i księżniczki - odparł Beltira. - To należy uzgodnić zawczasu.

- I kwestię Suzerena także - dodał Belkira. - To musi być zawarte w traktatach, aby nie było żadnych wątpliwości, gdy nadejdzie czas. Rivański Król będzie musiał wydawać rozkazy i królowie innych narodów będą musieli być im posłuszni. W przeciwnym razie Torak następnym razem wygra.

- Przestańcie pleść bzdury! - wybuchnął Mergon. - Nie ma Rivańskiego Króla. Jego linia wygasła wraz ze śmiercią króla Goreka.

- Powiedz mu, Belgaracie - odezwał się oburzony Rhodar. - Cały tydzień gotów się o to spierać, jeśli tego nie uczynisz.

- I pozwolić, by rozniósł to po całym Tol Honeth? Bądź poważny, Rhodarze.

- Jestem dyplomata, Belgaracie - powiedział urażonym tonem Mergon. - Wiem, jak dochować tajemnicy.

- Możesz mu to powiedzieć, ojciec - wtrąciła się Polgara. - W przeciwnym razie gotów bez końca snuć uczone domysły.

Popatrzyłem po zgromadzonych królach i wysłannikach.

- Będziecie musieli przysiąc milczenie, panowie - oświadczyłem. - Ci z was, którzy są w randze ambasadorów, mogą powiedzieć swym władcom, ale nikomu więcej. - Spojrzałem na nich surowo i wymamrotali zgodę. - Mówiąc krótko - rzekłem - linia rivańska nie wygasła po zabiciu Goreka. Jeden z jego wnuków przeżył. Linia nadal jest nienaruszona i pewnego dnia spadkobierca powróci do Rivy i odzyska tron. To informacja, która nie może opuścić tej sali. Dość mieliśmy kłopotów z ochroną tych spadkobierców bez obwieszczania o ich istnieniu.

Nie byłem przekonany, czy Mergon przyjął to do wiadomości. Eldrig i pozostali Alornowie poczuli się jednak pokrzepieni, więc ambasador zachowywał się tak, jakby uwierzył. W końcu nie miał nic do stracenia. Jeśli go okłamałem, to nigdy nie będzie żadnego Rivańskiego Króla, który miałby poślubić jedną z owych drogocennych księżniczek Imperium, ani nikt nie zostanie Suzerendem Zachodu. Przystał więc na to głównie, jak sądzę, aby uspokoić Alornów.

Podiss, jednakże, to co innego. Nyissanie byli czuli na punkcie tego, że jedynie ich królestwo było rządzone przez kobietę i każde ublizienie Salmissarze, rzeczywiste lub wymyślone, wywoływało okrzyki oburzenia. Jednakże, ujmując to dość brutalnie, Nyissa nie wzbudzała szczególnego zainteresowania wśród innych narodów. To bagnisty, słabo zaludniony zakątek, gdzie co najwyżej handluje się niewolnikami. Gdy stawało się coraz bardziej oczywiste, że traktaty nawet nie wspomną o Nyissie, Podiss stracił panowanie.

- A co z moją królową, Wieczną Salmissarą? - zapytał z wyrzutem. - Co ona będzie miała do powiedzenia w tym ustalaniu porządku świata?

- Nie za wiele - oznajmił Eldrig. - Przynajmniej dopóki ja mam tu coś do powiedzenia. Wystarczy, że podpisze dokumenty, Podissie, i nie będzie wtykać nosa w nie swoje sprawy. - Trudno było Eldriga nazwać dyplomata.

- Nie będę dalej w tym uczestniczył - burknął Podiss, wstając. - I nie obrażę mej królowej, przynosząc jej te nonsensy. Zapiszcie sobie, co chcecie, panowie, ale Salmissara niczego nie podpisze.

W tym punkcie swej relacji z konferencji Davoul Chromy zupełnie stracił głowę. W jego opowieści Polgara poderwała się, zamieniła Podissa w węża, siebie w sowę i zaniósła go pod niebo. Davoul chyba nagle uświadomił sobie, iż przez całe dziesięć stron nie było żadnej magii, i to go zdopinguowało. Polgara rzeczywiście uczyniła coś Podissowi, ale nikt z zebranych nie wiedział co. Pol po prostu podeszła do Podissa i postąpiła z nim tak samo jak z Eldallanem w Puszczy Arendzkiej. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co mu ukazała - w ogóle nie krzyczał - ale cokolwiek to było, sprawiło, że pobladł i zrobił się bardzo skory do współpracy.

To przekonało również Mergona, by zatrzymał swoje uwagi dla siebie.

Dokończenie traktatów z Vo Mimbre zajęło nam jeszcze jeden dzień. Kolejny dzień mimbrańscy skrybowie formułowali je w górnolotnym stylu. Ponieważ Mimbraci nas gościli, do dobrego tonu należało pozwoleństwo im na wyprodukowanie ostatecznej wersji. Gdy wszystko zostało skończone, Gorim wziął swoją kopię, wstał i odczytał ją.

Oto są traktaty, które uzgodniliśmy pod Vo Mimbre. Narody Zachodu przygotowują się na powrót Rivańskiego Króla, albowiem w dniu jego powrotu Torak przebudzi się i zwróci przeciw nam i tylko Rivański Król będzie mógł go pokonać i uratować nas przed haniebnym zniewoleniem. I cokolwiek Rivański Król rozkaże, wypełnić musimy. I będzie miał księżniczkę Imperium za żonę i Imperium i Dominium na Zachodzie. A jeśli kto te traktaty złamie, wojnę mu wypowiedziemy, lud jego rozproszymy, miasta zburzymy i spustoszymy ziemię jego. Ślubujemy to na cześć Branda, który pokonał Toraka i w okowach snu zamknął, dopóki nie nadejdzie Ten, który zniszczyć go może. Niech zatem tak będzie.

Eldrig rozsiadł się wygodnie w swym fotelu.

- W takim razie - rzekł - to już załatwione. Zdaje się, że możemy teraz wracać do domów.

- Jeszcze nie, wasza wysokość - zaprzeczył Wildantor. - Nadal pracujemy nad królewskim ślubem.

- Niemal o tym zapomniałem - przyznał Eldrig. - Czy tych dwoje nadal na siebie wrzeszczy?

- Nie - oznajmiła Pol. - Wrzaski ucichły kilka dni temu. Gdy ostatnio podsłuchiwałam pod drzwiami, dochodziło zza nich tylko chichotanie. Najwyraźniej Mayaserana ma łaskotki.

- Ciekaw jestem, co oni mogą robić - zainteresował się Gorim.

- Nasze armie mogą już chyba maszerować do domu - wtrącił Rhodar.

- Prości żołnierze nie interesują się zbyt królewskimi ślubami. Chciałbym przed końcem lata mieć swych pikinierów na granicy z Drasnią.

- Moje okręty mogą ich przewieźć do Kotu - zaproponował Eldrig.

- Dzięki, Eldrigu, ale Drasanie nie są zbyt dobrymi żeglarzami. Jestem przekonany, że moi pikinierzy raczej wolą iść.

Potem Brand posłał po Korodullina i Mayaseranę. Oboje rumienili się, gdy straż doprowadziła ich przed jego oblicze.

- Czy uzgodniście już różnice poglądów? - zapytał.

- Doprawdy winniśmy przeprosiny, lordzie Brandzie - powiedziała Mayaserana pełnym rozsądnej słodyczy tonem i zarumieniła się ponownie. - Obydwoje początkowo odnieśliśmy się bardzo brzydko do twojej propozycji.

- Nie ma sprawy, Mayaserano - podsumował Brand. - Rozumiem, że zmieniliście zdanie.

- Rozkoszny blask rozsądku otworzył nasze oczy, lordzie Brandzie - zapewnił go Korodullin, również się czerwieniąc - i nasza powinność wobec Arendii serca nasze dotknęła i urazy wyciszyła. Aczkolwiek nadal różnice nas dzielą, to w niepamięć puścić je chcemy dla dobra naszej ojczyzny.

- Byłam niemal pewna, że tak do tego podejździecie - powiedziała Polgara z nikłym uśmiechem. Mayaserana ponownie się zarumieniała.

- A kiedy chciałbyś, byśmy wzięli ślub, lordzie Brandzie? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Brand. - Czy któreś z was ma jutro coś pilnego do roboty?

- A co złego w dniu dzisiejszym? - odparowała. Cierpliwość, jak się okazało, nie była mocną stroną Mayaserany. Miała czymś mocno zajęta głowę.

- Chyba da się załatwić - doszedł do wniosku Brand. - Niech ktoś sprowadzi kapłana Chaldana.

- Z tym może być problem, lordzie Brandzie - odezwał się z powątpiewaniem Wildantor. - Kapłan może odmówić odprawienia tej ceremonii.

- Nie na długo, przyjacielu - zaprzeczył Mandor - jeśli ceni sobie własne zdrowie.

- Naprawdę uderzyłbyś kapłana? - zapytał Wildantor.

- Moje obowiązki wobec Arendii zmusiłyby mnie do tego - oświadczył Mandor - choć oczywiście zraniłoby to moje serce.

- Oczywiście. Chodźmy go poszukać. Ty będziesz mógł mu wszystko wyjaśnić, gdy ja będę go tu włókł.

I tak Korodullin i Mayaserana wzięli ślub i Arendia została formalnie zjednoczona. Oczywiście nadal dochodziło do waśni pomiędzy Mimbratami i Asturami, ale otwartym bitwom położono kres.

Po ślubie rozjechali się królowie Zachodu. Wszyscy długo już byliśmy poza domem. Pol i ja pojechaliśmy z Brandem na północ, aż do Wielkiego Jarmarku Arendzkiego. Potem pożegnaliśmy się i ruszyliśmy drogą ku granicy z Ulgo.

- Zabierzesz Gelana z powrotem do Brodu Aldura? - zapytałem, gdy oddaliliśmy się kilka mil.

- Nie, ojczu. Nie sądzę, aby to był dobry pomysł. Wielu algarskich wojaków widziało nas pod Vo Mimbre, a niektórzy z nich przybyli z Brodu Aldura. Któryś mógłby coś skojarzyć. Myślę, że lepiej zacząć wszystko gdzie indziej.

- O jakim miejscu myślisz?

- Chyba wrócę do Sendarii. Po Vo Mimbre nie trzeba będzie martwić się tam żadnymi Grolimami.

- To twoja decyzja, Pol. Ty jesteś odpowiedzialna za Gelana, więc zgadzam się na wszystko, co postanowisz.

- Och, dzięki, ojczy! - powiedziała z pewnym sarkazmem. - Jeszcze jedno.

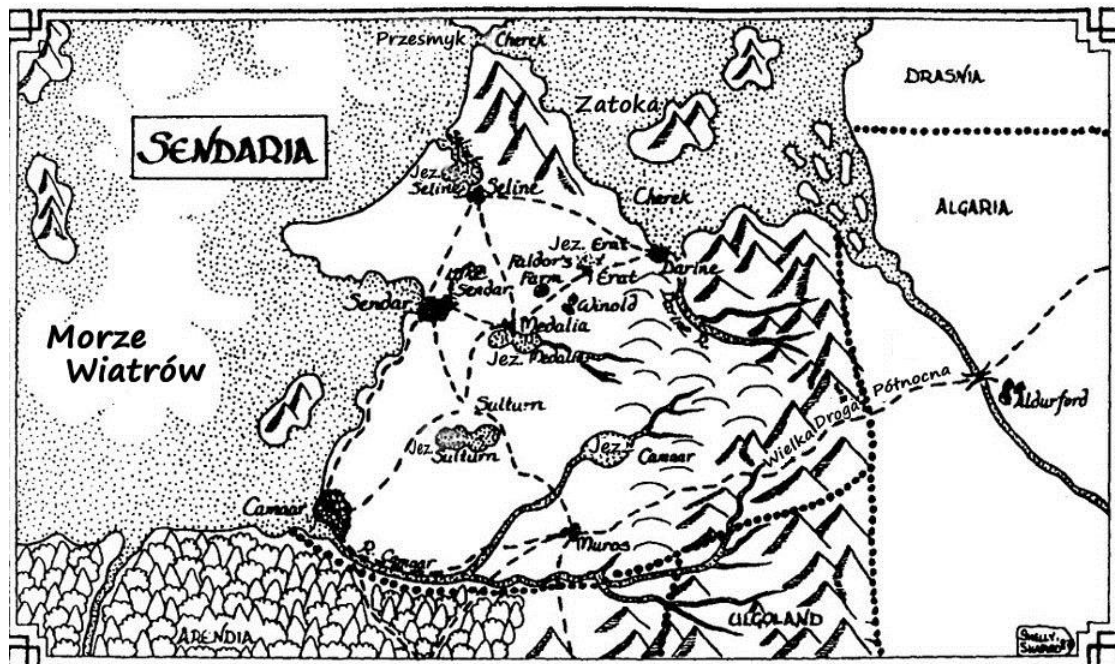
- Słucham?

- Trzymaj się ode mnie z dala, stary wilku, i tym razem mówię to poważnie.

- Jak sobie życzysz, Pol. - Oczywiście, wcale tak nie myślałem. Ale prościej było się zgodzić, niż sprzeczać.



Część szósta - Garion





Naturę każdego historyka cechuje osobliwa dychotomia. Mędracy owi z pobożnymi minami zapewniają nas o prawdziwości swych opowieści, wystarczy jednak zajrzeć pod ten naukowy płaszczyk, by odkryć bazarza. A możecie mi wierzyć, że żaden bazarz nie opowie wam historii bez kilku ubarwień. Każdy z nas ma swoje poglądy polityczne i teologiczne, które również wpływają na treść tego, co piszemy. Rozumiecie zatem, że żadnej opowieści o wydarzeniach historycznych nie można bezgranicznie ufać - nawet tej. To, co opowiedziałem wam o bitwie pod Vo Mimbre, jest mniej więcej zgodne z prawdą, ale oddzielenie prawdy od fikcji pozostawiam wam. Ćwiczcie swoją spostrzegawczość.

Uzgodnienia, do których doszliśmy pod Vo Mimbre, były o wiele ważniejsze niż sama bitwa. Wojna z Angarakami była punktem kulminacyjnym pewnego ciągu wydarzeń i termin „punkt kulminacyjny” oznaczał „koniec”. Traktaty z Vo Mimbre rozpoczynały nowy ciąg wydarzeń, więc w pewnym sensie można je nazywać początkiem.

Podsumowanie uzgodnień, które Gorim odczytał nam na zamknięcie narady, było właśnie dokładnie tym - podsumowaniem. Istota rzeczy natomiast leży w szczegółowych artykułach, do których spisania nie dopuściliśmy twórczych mimbrańskich skrybów. Widywałem zbyt dużo nonsensów w ustanowionych prawach lub królewskich proklamacjach tylko dlatego, że jakiś zaspany skryba opuścił zdanie lub przekręcił kilka słów, abym chciał ryzykować coś podobnego w tym wypadku. Te uzgodnienia były zbyt ważne. Artykuły, wypracowane przez nas,

dotyczyły tego, w jaki sposób Rivański Król wezwie do chwycenia za broń, w jaki sposób inni królowie powinni odpowiedzieć, i różnych organizacyjnych szczegółów. Przyznaję, że obecność Branda, który właśnie powalił Kal Toraka, co wstrząsnęło światem, znacznie ułatwiła mi przemyślenie kilku rzeczy. Wiedziałem, że zdecydowanie powinny znaleźć się w traktatach, ale dokładne wyjaśnienie dlaczego, zajęłoby mi całe lata.

Polgara podyktowała szczegóły ceremonii, która przez ostatnie pięćset lat była rytuałem. Słowa „podyktowała” użyłem tu rozmyślnie. Moja władcza córka nie chciała słyszeć o żadnych poprawkach. Mergon, ambasador Tolnedry, mało nie dostał apopleksji, gdy Polgara skończyła. Nie jestem też pewny, czy Ran Borune jej nie dostał.

- Oto jak od tej pory będzie - oznajmiła, a to nie był najlepszy sposób zagajenia konferencji pokojowej. - Począwszy od tego dnia, każda księżniczka Imperium Tolnedrańskiego winna w dniu swych szesnastych urodzin stawić się w ślubnej szacie na Dworze Rivańskiego Króla. Będzie czekać tam przez trzy dni. Jeśli Rivański Król przybędzie po nią w ciągu tych trzech dni, zostaną sobie poślubieni. Jeśli nie, wróci do Tolnedry, a ojciec będzie mógł jej wybrać innego męża.

W tym momencie Mergon zaczął toczyć pianę z ust. Pol nie zważała na jego protesty, a alornscy królowie postraszyli go inwazją, paleniem miast, zdziesiątkowaniem ludności i innymi ekscesami. Uznałem za konieczne udać się za rok do Tol Honeth, by przeprosić Rana Borune za jej zachowanie. Obecność legionów pod Vo Mimbire zmieniła bieg bitwy, a ultimatum Polgary załatywało niewdzięcznością. Wiedziałem, że postępowała zgodnie z instrukcjami, ale wyniosłe zachowanie sprawiało wrażenie, że to Tolnedra była pokonanym wrogiem.

Po zakończeniu konferencji pojechaliśmy z Pol na północ. Lato miało się ku końcowi, gdy dotarliśmy do granic Ulgolandu. Tam oczekiwał nas duży oddział odzianych w skóry Algarów. Cho-Ram przysłał nam honorową eskortę, by przeprowadziła nas przez góry Ulgo. Nie chciałem urazić go odmową, więc posuwaliśmy się mozolnie przez góry z jego Algarami, zamiast zrobić to w inny sposób - który byłby o wiele szybszy, oczywiście. Nic pilnego jednak na nas nie czekało, a tak było uprzejmiej z naszej strony.

Po zejściu z gór na równiny Algarii, Pol i ja rozdzieliliśmy się. Ona udała się z Algarami do Twierdzy, a ja pojechałem na południe, do Doliny. Uznałem, że zasłużyłem sobie na odrobinę lenistwa. Od ćwierć wieku nie miałem chwili wytchnienia. Należały mi się wakacje.

Beldin jednak miał inny pomysł.

- Co byś powiedział na małą wycieczkę do Mallorei? - zapytał, gdy wróciłem do domu.

- Nie mam na nią najmniejszej ochoty, jeśli chcesz znać prawdę. A co takiego ważnego jest w Mallorei?

- Wyrocznia Ashabińska, mam nadzieję. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wybrać się do Ashaby i przetrząsnąć dom Toraka. Może zostawił gdzieś kopię Wyroczni. Te przepowiednie mogą się nam bardzo przydać, nie sądzisz? Zedar, Urvon i Ctuchik nie puszczą nam tego płazem, Belgaracie. Utarliśmy im nosa pod Vo Mimbri i z pewnością będą chcieli odplacić nam pięknym za nadobne. Jeśli udałoby się nam zdobyć kopię Wyroczni, to moglibyśmy dowiedzieć się, czego się po nich spodziewać.

- Możesz splądrować dom bez mojej pomocy, bracie - powiedziałem.

- Nie tęsknię zbyt za odwiedzinami opustoszałego zamczyska w Górach Karandy.

- Leń z ciebie, Belgaracie.

- Dopiero teraz to zauważyłeś?

- Powiem inaczej - rzekł. - Potrzebuję cię.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie potrafię czytać starego angarackiego pisma, ty ośle!

- Skąd wiesz, że Wyrocznie są pisane w tym języku?

- Nie wiem, ale to najbardziej naturalny język dla Toraka, szczególnie że dyktował je będąc w rodzaju delirium. Jeśli Wyrocznie są spisane w staroangarackim, to nie rozpoznam ich nawet jeśli będą leżały na widoku.

- Mogę nauczyć się czytać w tym języku, Beldinie.

- A do tego czasu Urvon pierwszy dotrze do Ashaby. Jeśli mamy iść, to lepiej ruszajmy zaraz.

Westchnąłem. Wyglądało na to, że będę musiał odłożyć wakacje.

- Czyżbyś zmienił zdanie?

- Nie przeciągaj struny, Beldinie. Wpierw jednak prześpię kilka dni.

- Wy, starzy ludzie, często tak robicie, prawda?

- Po prostu zostaw mnie na jakiś czas, bracie. Muszę iść do łóżka.

W rzeczywistości spałem tylko dwanaście godzin. Możliwość, że gdzieś w Ashabie ukryto kopię Wyroczni, zaintrygowała mnie na tyle, że wstałem, przygotowałem sobie śniadanie, a potem poszedłem do wieży Beldina.

- Ruszajmy - powiedziałem.

Beldin roztropnie nie czynił żadnych uwag. Podeszliśmy do okna jego wieży, przystroiliśmy się w piórka i odlecieliśmy. Kierowaliśmy się ogólnie na północny wschód i wkrótce przelecieliśmy przez Wschodni Szaniec do Mishrak ac Thull. Thulldom został zdewastowany przez wojnę, ale to nie był nasz pomysł. Malloreanie Kal Toraka werbowali Thullów, celowo niszcząc ich miasta i wioski oraz pałac ich zbiory. To nie pozostawiało Thullom wyboru. Musieli wstąpić do armii albo umrzeć z głodu. Kobiety, dzieci i starców zostawiono samym sobie w kraju bez domów i jedzenia. Nigdy nie miałem najlepszego zdania o Toraku, ale gdy zobaczyłem sytuację Thullów, jego notowania w moich oczach spadły jeszcze bardziej.

Po dotarciu na wybrzeże Beldin skręcił na północ. Jastrzębie i sokoły są bardzo wytrzymałe, ale nie na tyle, by pokonać bezmiar Morza Wschodu jednym skokiem. Gar og Nadrak nie było tak zniszczone jak Thulldom, ale również tam odczuwano skutki wojny.

Polecieliśmy na północ, wzdłuż wybrzeży Morindlandu. Potem nad pasmem wysepek, które tworzyły lądowe przejście, przelecieliśmy do Mallorei. Następnie Beldin poprowadził przez Barrens do Gór Karandyjskich i dalej na południe, do Ashaby.

Ashaba nie jest miastem w zwykłym tego słowa znaczeniu. To jedynie ogromny zamek z mnóstwem karandyjskich wiosek, schowanych w otaczającym go lesie. Wioski stanowiły zaplecze dla Grolimów

mieszkających w pałacu. Sam Torak prawdopodobnie nie musiał jeść, ale myślę, że Grolimowie co jakiś czas głodnieli, a ziemie wokół zamku, podobnie jak wokół Cthol Mishrak, były jałowe i leżały odłogiem. Nawet ziemia odrzucała Toraka.

Zamek zbudowany był naturalnie z czarnego bazaltu, w ulubionym kolorze Toraka. Wznosił się nad urwiskiem, po wschodniej stronie jałowego płaskowyżu, na którym poza karłowatymi, szarymi porostami i trupiobladyymi muchomorami nic nie rosło. Otaczały go mury z brzydkimi, pozbawionymi wdzięku wieżami i iglicami, które wbijały się w chmury pędzące nad głowami. To była angaracka budowla, a Angarakowie wszystko otaczali murami - nawet chlewy. Najprościej byłoby wylądować wewnątrz, ale Beldin opadł przed główną bramą. Przysiadłem na ziemi obok niego w chwili, gdy wracał do własnej postaci.

Sam również zmieniłem postać.

- O co chodzi?

- Rozejrzyjmy się trochę, zanim wpakujemy się w tarapaty. Torak mógł zostawić kilka niespodzianek.

- To całkiem rozsądna propozycja.

Beldin skoncentrował się, wykrzywiając z wysiłku swą okropną twarz.

- Nikogo nie ma w domu - powiedział po chwili.

- Jakies ślady psów?

- Sam sprawdź. Ja rozejrzę się za pułapkami w środku.

Nie wyczułem zupełnie nic. W środku nie mieszkały nawet szczury. Stwierdziłem, że nie zagnieździły się również karaluchy.

- Masz coś? - zapytał Beldin.

- Zupełnie nic. A ty coś znalazłeś?

- Nie. Miejsce jest bezpieczne. - Spojrzał na bramę. Poczułem, jak zbiera Wolę. Potem ją uwolnił i ogromne żelazne wrota przewaliły się do środka z wielkim hukiem.

- Po co to zrobiłeś? - zapytałem.

- To moja wizytówka, czyżbyś nie wiedział? - odparł. - Stara Spalona Gęba może wrócić któregoś dnia, a ja chcę, aby wiedział, że tu zajrzeliśmy

- Chyba się starzejesz.

- No cóż, ty jesteś w tym ekspertem. Chodźmy do środka.

Przeszliśmy przez zdruzgotaną bramę, minęliśmy dziedziniec i ostrożnie zbliżyliśmy się do ogromnych, nabijanych ćwiekami wrót, ozdobionych wypolerowaną stalową maską. Najwyraźniej Torak uznał, że każdy dom, w którym mieszkał, z definicji był świątynią.

- Bądź moim gościem - zaproponował Beldin, wskazując na drzwi.

- Nie wygłupiaj się. - Schwyciłem masywną żelazną klamkę, nacisnąłem ją i otworzyłem drzwi.

Dom Toraka miał sień wielkości sali balowej. Naprzeciwko drzwi znajdowały się monumentalne schody.

- Może stąd zaczniemy? - zapytał Beldin.

- Nie, chodźmy na górę. Rozpoznasz chyba staroangarackie pismo, gdy się na nie natkniesz?

- Chyba tak. Jest takie jakieś pająkowate, prawda?

- Mniej więcej. Rozdzielimy się. Rozglądaj się za jakimikolwiek książkami w języku, którego nie znasz, a ja będę zbierał wszystko w staroangarackim. Potem je poukładam.

Pałac był kolosalnych rozmiarów. Myślę, że bardziej na pokaz niż z prawdziwej potrzeby. Wiele komnat na górnych piętrach nawet nie było umeblowanych. Pomimo to przeszukanie domu zajęło nam całe tygodnie, gdyż był przynajmniej tak wielki jak pałac Anhega w Val Alorn.

Początkowo Beldin bardzo się podniecał, gdy tylko trafił na jakiś zwój lub książkę w języku staroangarackim. Większość z nich jednak była jedynie kopiami „Księgi Toraka”. Niemal wszyscy mieszkańcy Ashaby byli Grolimami, a każdy Grolim posiada kopię Świętej Księgi Angaraków. W końcu posadziłem go i cierpliwie udzieliłem mu kilku wskazówek na temat staroangarackiego alfabetu, aby nie przybiegał co chwila do mnie, wymachując księgami. Gdy nauczył się rozpoznawać kopie „Księgi Toraka”, mógł je już sam odrzucać.

Na drugim piętrze zamku znaleźliśmy bibliotekę Toraka i tam spędziliśmy wiele czasu. Być może na uniwersytecie Tol Honeth lub w Melcenie było więcej książek, ale na pewno nie wiele więcej.

Parze zwykłych naukowców całe dziesięciolecie zajęłoby przejrzenie tych wszystkich dzieł, ale my z Beldinem mieliśmy pewną przewagę. Potrafiliśmy rozpoznać zawartość książki bez otwierania.

W końcu przeszukaliśmy ostatnią półkę w najdalszym kącie. Beldin cisnął tom przez pokój i kłął przez dobre piętnaście minut.

- To niedorzeczne! - ryczał. - Tu musi być jakaś kopia!

- Być może - zgodziłem się. - Ale nie sądzę, byśmy ją znaleźli. Ostatecznie to Zedar zajmował się spisywaniem majaczeń Toraka, a Zedar jest mistrzem w ukrywaniu rzeczy. Możemy się tylko domyślać, że Wyrocznie są ukryte w jakiejś innej książce - lub w kilku innych, strona tu, strona tam. Być może gdzieś znajduje się kompletna kopia, ale nie myślę, żeby leżała na wierzchu. Może być ukryta pod podłogą lub w ścianie jakiegoś pomieszczenia, które już przeszukiwaliśmy. Nie sądzę, aby się nam poszczęściło, bracie. Możemy przeszukać parter, jeśli chcesz, ale chyba tylko tracimy czas. Jeśli rzeczywiście Zedar ukrył tu jakąś kopię, to jej nie znajdziemy. On zna nas wystarczająco dobrze, by wymyślić sposób, na który żaden z nas nie wpadnie.

- Chyba masz rację, Belgaracie - przyznał ponuro. - Przetrząšnjmy parter i wracajmy do domu. To miejsce cuchnie. Potrzeba mi świeżego powietrza.

Tak więc porzuciliśmy poszukiwania i wróciliśmy do domu. Przynajmniej chwilowo musieliśmy polegać jedynie na naszych prorocत्वach.

Zrobiłem sobie wakacje, których tak potrzebowałem, ale po miesiącu zacząłem się nudzić. Wybrałem się do Sendarii, by sprawdzić, co z Polgarą, i powiedzieć jej o naszej wyprawie do Ashaby. Gelana urządziła jako bednarza w Selinie, mieście w północnej Sendarii. Spadkobierca Rivy spędzał większość czasu na robieniu beczek i baryłek. A gdy się tym nie zajmował, „wychodził” z ładną blondyneczką, córką miejscowego kowala.

- Jesteś pewna, że ona jest tą właściwą? - zapytałem Pol. Polgarą westchnęła.

- Tak, ojczy - odparła pobłażliwym tonem.

- Skąd ty to właściwie wiesz, Pol? Kodeks Mriński ani Dariński nic nie mówią o tych dziewczętach, a przynajmniej ja na nic takiego nie natrafiłem.

- Otrzymuję instrukcje, ojczy.

Włóczyłem się po królestwach Zachodu przez następnych kilka lat, doglądając różnych rodów, które wychowywałem od stuleci. Najazd Angaraków i masowa rzeź algarskiego bydła sprowadziła królestwa Zachodu na skraj katastrofy ekonomicznej. Miną pokolenia, nim w Muros znów będą się odbywać spędy bydła. Tolnedra pogrzyżyła się w głębokiej żalobie, ale praktyczni Sendarowie znaleźli wyjście. Cała Sendaria zamieniła się w ogromną hodowlę świń. Wieprzowina miała pewną przewagę nad wołowiną. Przypuszczam, że Algarowie, gdyby bardzo chcieli, też mogliby uwędzić wołowinę, ale nigdy im to nie przyszło do głowy. Być może dlatego, że w Algarii nie było pod dostatkiem drewna. Sendarowie nie mieli tego problemu. Wozy pełne wędzonych szynek, bekonu i kiełbas toczyły się po wszystkich tolnedrańskich traktach we wszystkich królestwach Zachodu.

Po wizycie w Tol Honeth, gdzie przeprosiłem Rana Borune i generała Cerrana za zachowanie Polgary, wyruszyłem na północ. W drodze powrotnej zahaczyłem o Arendię, w której panował niepewny, nerwowy pokój. Do Vo Mandor dotarłem jesienią 4877 roku i spędziłem przyjemną zimę ze swym przyjacielem baronem. Naprawdę lubiłem Mandora. Miał poczucie humoru, rzadkość w Arendii, i bardzo dobrego kucharza. W trakcie tej wizyty przybyło mi kilka kilogramów.

Wiosną następnego roku baron Wildantor przyjechał z Asturii w odwiedziny. Przyjaźń, która zrodziła się pomiędzy nimi w czasie bitwy pod Vo Mimbre, pogłębiła się i teraz byli niemal jak bracia. Towarzystwo hałaśliwego, rudowłosego Wildantora zamieniło nasze spotkanie w nieustanne przyjęcie. Wybornie się bawiłem. Aż tu pewnego wieczoru, gdy do późna snuliśmy wspomnienia, wytropił mnie w końcu Beldin. Była wspaniała wiosenna noc. Otworzyłem szeroko okna swej komnaty na drugim piętrze, by wpuścić zapach

kwiatów niesiony wiosennym wietrzykiem. Z ciemności nocy wyłonił się znajomy jastrząb z błękitną obwódka, przysiadł na moim parapecie, zamigotał i zmienił się w mego pokracznego braciszka.

- Wszędzie cię szukałem - warknął.

- Jestem tu od sześciu miesięcy. Stało się coś?

- Odkryłem, gdzie Zedar ukrył ciało Toraka, to wszystko.

- To wszystko? To bardzo ważne, Beldinie. Słucham.

- W południowym Cthol Murgos. Około pięćdziesięciu lig na południe od Rak Cthol. Znajduje się tam górską grota i Zedar schował w niej Toraka.

- Tak blisko Ctuchika? Oszalał?

- Oczywiście, że jest szalony. Zawsze był. Ctuchik jednak nie wie, że on tam jest.

- Ctuchik jest Grolimem, Beldinie. Potrafi wyczuć obecność Toraka.

- Nie, nie potrafi. Zedar posłużył się jedną ze sztuczek, których go kiedyś sam nauczyłeś. Dlatego właśnie Zedar jest tak niebezpieczny. Tylko on jeden z nas wszystkich otrzymał instrukcje od dwóch Bogów.

- Jak go zatem znalazłeś?

- Czysty przypadek. Wszedł z jaskini po drewno, gdy tamtędy przelatywałem.

- Jesteś pewny, że Torak jest w środku?

- Oczywiście, Belgaracie! Wszedłem do jaskini, aby się upewnić.

- Co zrobiłeś?

- Nie denerwuj się. Zedar nie wiedział, że tam byłem. Był nawet tak miły, że zaniósł mnie do środka.

- Jak ci się to udało? Beldin wzruszył ramionami.

- Byłem owadem. Pchłą. - Roześmiał się. - To prawdziwe wyzwanie. Nie uwierzysz, co takie ścisnięcie robi z wnętrzościami. W każdym razie Zedar nie należy do czyścioszków, więc jest nieźle pogryziony przez pchły. Ma również wszy. Wskoczyłem mu na głowę i schowałem się we włosach, gdy schylił się, by pozbierać patyki na ognisko. Zaniósł mnie do środka. Tam, na płaskim kamieniu leżał obłożony lodem Stara Spalona Gęba. Zedar nałożył mu z powrotem maskę. Pewnie jego, tak

jak i resztę ludzkości, twarz Toraka przyprawiała o mdłości. Zostałem tam, dopóki Zedar nie poszedł spać. Potem ugryzłem go kilka razy i wyskoczyłem z jaskini.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać.

- Co w tym zabawnego?

- Ugryzłeś go?

- W tych okolicznościach to było najlepsze, co mogłem zrobić. Nie byłem na tyle duży, by wygryźć mu mózg, ale przez następnych kilka tygodni głowa będzie go porządnie swędziała. Co jakiś czas wpadałem tam, by upewnić się, że nadal tkwi na tej swojej górze. Mallorea się rozpadła, wiesz?

- Tak?

- Na wieść o letargu Toraka na całym kontynencie zaczęły się ruchy niepodległościowe. Cesarz - ten, którego Torak usunął - powrócił na tron w Mal Zeth, ale nie jest zbyt skuteczny. Ma wnuka, który chyba nazywa się Korzeth. Stary władca przygotowuje go do zjednoczenia Mallorei. Chciałem wśliznąć się do pałacu i poderżnąć tej małej bestii gardło, ale Mistrz mi zabronił - bardzo stanowczo. Najwyraźniej Korzeth ma być przodkiem kogoś bardzo nam potrzebnego. To wszystko, Belgaracie, przekaz me słowa bliźniakom i Pol. Ja wracam do Cthol Murgos. Myślę, że trochę dłużej pożeruję na głowie Zedara. - Potem Beldin ponownie przystroił się w pióra i wyleciał przez okno.

Następnego ranka przeprosiłem Mandora i Wildantora i ruszyłem na północ. Miałem zamiar udać się do Seline, by zawiadomić Pol o tym odkryciu, ale nie przebyłem jeszcze pięciu mil, gdy usłyszałem za sobą galopującego konia. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to generał Cerran.

- Belgaracie! - zawołał, nim jeszcze mnie dopędził. - Dzięki Nadrze, że złapałem cię, nim zniknąłeś w Puszczy Arendzkiej! Ran Borune chce, byś wrócił do Tol Honeth!

- Czyżby zabrakło wam kurierów? - zapytałem, trochę zaskoczony widokiem tolnedrańskiego generała pełniącego rolę posłańca.

- To delikatna sprawa, przyjacielu. W Tol Honeth dzieją się rzeczy, które mogą i ciebie dotyczyć. Imperator nawet nie chce, byś wrócił do pałacu. Mam cię zabrać do pewnego miejsca i tam pozostawić. Jego

wysokość podejrzewa, że chodzi tu o jedną z tych niezrozumiałych dla Tolnedranina spraw.

- Udało ci się obudzić moją ciekawość, Cerranie. Czy możesz mi podać więcej szczegółów?

- Jeden z członków rodu Honethów to prawdziwy łajdak.

- Myślałem, że wszyscy.

- Ten jest tak podły, że wyparła się go nawet rodzina. Pewne sprawy tak cuchną, że nawet Honethowie ich nie trawią, ale ten gość, Olgon, robi wszystko za odpowiednią cenę. Robi interesy w podłych tawernach pełnych kieszonkowców i skrytobójców. Lubimy mieć go na oku, więc kilku naszych agentów wkręciło się pomiędzy stałych bywalców. Jesteśmy przekonani, że ambasador Drasni też ma tam swoich ludzi.

- Możesz się założyć - przyznałem.

- W istocie. Mówiąc krótko, kilka tygodni temu ten Olgon spotkał się z Nyissaninem, który powiedział, że jego pracodawca dużo da za wiadomość o tym, gdzie jesteś - a jeszcze więcej za to, gdzie jest lady Polgara.

- Pol nie ma w Tolnedrze.

- Byliśmy tego niemal pewni, ale ludzie Olgona przetrząsają wszystkie królestwa Zachodu. On ma kontakty ze wszystkimi złodziejami i wyrzutkami po tej stronie Szańca.

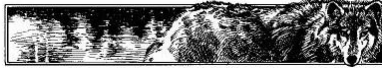
- Czemu Nyissanin usiłuje nas odnaleźć?

- Jego pracodawca nie jest Nyissaninem. Jednemu z naszych agentów udało się podsłuchać, gdy Nyissanin podawał Olgonowi imię swego mocodawcy. Człowiek, który cię szuka, nazywa się Asharak i jest Murgiem.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- To przybrane imię. Nasz wywiad ma grubą teczkę o tym Murgu. Posługuje się kilkoma innymi imionami. W jednym z raportów sprzed dwudziestu lat nosi imię Chamdara. Czy to imię coś ci mówi?

Gapilem się na niego przez chwilę, po czym zawróciłem konia i pogałem na południe, ku Tol Honeth.





W drodze do Tol Honeth niemal zagoniliśmy z generałem Cerranem konie. Cerran zapewne sądził, że zwariowałem, dopóki nie powiedziałem mu o poprzednich spotkaniach z ambitnym podwładnym Ctuchika. Po przybyciu do Tol Honeth natychmiast udaliśmy się do ambasady Drasni. Wywiad Rana Borune był dobry, ale nie mógł się równać z wywiadem Rhodara. Ambasador Drasni nazywał się Kheral. Nie wyglądał na zbytnio zaskoczonego, gdy wprowadzono nas do jego gabinetu ozdobionego czerwonymi draperiami.

- Spodziewałem się twojej wizyty, Prastary - rzekł do mnie.

- Przejdźmy do sprawy, Kheralu - powiedziałem, ucinając uprzejmości. - Co możesz nam powiedzieć o człowieku, który nazywa siebie Murgiem Asharakiem?

Kheral oparł się wygodniej, splatając na wydatnym brzuchu swe pulchne dłonie.

- Dość aktywnie działał tu, w Tolnedrze, przed wojną, Belgaracie. Zajmował się zwykłymi sprawami: szpiegostwem, korumpowaniem urzędników i tak dalej. W tamtych czasach robiło to kilkudziesięciu Murgów. Rutynowo mieliśmy wszystkich na oku, ale Asharak nie zachowywał się inaczej od pozostałych.

- Czy w Boktorze nie doszukano się niczego podejrzanego?

- Najwyraźniej nie. Imię Asharaka przewijało się w naszych raportach, ale wraz z imionami innych murgoskich agentów, więc nie zwróciło niczyjej uwagi. Potem Kal Torak najechał Drasnię i służby wywiadowcze musiały w pośpiechu opuścić Boktor. Kwatera główna wywiadu została przeniesiona na Rivę, ale archiwum uległo zniszczeniu. To by tłumaczyło dlaczego późniejsze raporty na temat Asharaka nie zwróciły uwagi - aż do teraz. Murgowie działali w Tolnedrze nawet po zamknięciu Południowego Szlaku Karawan, ale

gdy wojna zaczęła przybierać poważny obrót, wszyscy się wynieśli z kraju.

- Nie będziemy po nich płakać - zauważył Cerran.

- Niezupełnie, generale - zaprzeczył Kheral. - Murgowie, można powiedzieć, wyróżniali się w królestwach Zachodu, więc łatwo było ich wychwycić w tłumie. Teraz Ctuchik używa zamiast nich Dagashi, a ich o wiele trudniej rozpoznać. Jednakże kilka miesięcy temu udało się nam jednego wytropić. Kilku naszych ludzi go obserwuje. Jakies dwa tygodnie temu ten Dagashi rozmawiał z gościem, który wyglądał na Sendara, ale chyba nim nie był. Jeden z moich agentów był na tyle blisko, że usłyszał jak mówili o rozkazach, które otrzymali od Murga Asharaka. Raport o tym wysłałem na Rivę, do tymczasowej siedziby naszego dowództwa. Urzędnik, który go odebrał, okazał się czujniejszy od tego, który tak nieumiejętnie obchodził się z moją korespondencją, i doszukał się powiązań. Sprawdził akta, które od lat gromadziliśmy na temat Asharaka. Znalazł dokumenty zawierające odsyłacze do akt Chamdara. Szef wywiadu zawiadomił mnie o tym, a ja zorganizowałem przeciek tych informacji do szpiegów Rana Borune. Wiedziałem, że niedawno odwiedzałeś pałac, Belgaracie, i była szansa, że imperator wie, dokąd się udałeś. Uznałem, że będzie łatwiej - i taniej - pozwolić, by odszukali cię jego ludzie, niż wysłać własnych.

Cerran podejrzliwie spoglądał na Kherala.

- Zaczynam odnosić wrażenie, że siedzisz na dwóch stołkach, wasza ekscelencjo - zauważył.

- Nie wiedziałeś o tym, Cerranie? - zapytałem. - Każdy drasański ambasador jest członkiem służb wywiadowczych.

Kheral zrobił lekceważącą minę.

- Względy finansowe, generale - wyjaśnił. - Król Rhodar jest bardzo oszczędny, a dzięki temu może płacić tylko jedno wynagrodzenie zamiast dwóch. Po pewnym czasie daje to spore oszczędności.

Cerran uśmiechnął się.

- Jakież to typowo drasańskie - mruknął.

- A jak ten renegat, Olgon, wmieszał się w to wszystko, Kheralu? - zapytałem.

- Właśnie miałem do tego przejść, Prastary. Dagashi, którego obserwowaliśmy, udaje obecnie Nyissanina - ogolona głowa, jedwabne szaty i tak dalej. Spędza wiele czasu w tej tawernie, której częstym gościem jest Olgon. Mam w otoczeniu Olgona kilku agentów i wywiad tolnedrański również, jestem o tym przekonany. Ów niby Nyissanin był tym, który zwerbował Olgona do pomocy w poszukiwaniu ciebie i lady Polgary.

Wstałem.

- Chyba pójdę do tej tawerny i sam przyjrzę się Olgonowi. Gdzie dokładnie się ona znajduje?

- Na południowym krańcu wyspy - powiedział Cerran - ale Czy to rozsądne? Jesteś dobrze znany i pewny jestem, że Dagashi Asharaka rozpozna cię.

- Potrafię się zamaskować, Cerranie - zapewniłem go. - Nikt mnie nie pozna. - Spojrzałem mu w oczy. - Nie chcesz chyba wiedzieć, jak to robię?

General wyglądał na zmieszanego.

- Nie, chyba nie, Belgaracie - powiedział.

- Też tak sądziłem. Kheralu, czy jeden z twoich ludzi mógłby mi pokazać, gdzie jest ta tawerna? Wy obaj zaczekajcie tutaj. Niedługo wrócę.

Po przekroczeniu bram Tol Honeth ma się wrażenie, że całe składa się tylko z okazałych domów i marmurowych gmachów użyteczności publicznej, ale podobnie jak każde miasto świata ma również swoją dzielnicę slumsów. Tawerna, do której zaprowadził mnie szpieg Kherala, była zdecydowanie nędzna. Szyld nad wejściem miał chyba przedstawiać kiść winogron. Zdaje mi się, że wszystkie karczmy na Zachodzie mają taki szyld nad wejściem. Słońce właśnie zachodziło, gdy drasański szpieg wskazał na tawernę i odszedł ulicą. Cofnąłem się do cuchnącego zaułka, uformowałem w myślach obraz wysokiego, szczupłego gościa w łachmanach, po czym schowałem się za tym wizerunkiem. Potem wyszedłem z zaułka zataczając się, przeszedłem przez ulicę i wszedłem do mrocznego, cuchnącego zwietrzałym piwem

pomieszczenia. Zwalilem się na ławę przy jednym z chwiejnych stołów i głośno oznajmiłem:

- Chcę piwa!

- A ja chcę najpierw zobaczyć twoją forszę - odparł szynkarz znudzonym głosem.

Pogrzebałem w kieszeni obszarpanego chałata i wyciągnąłem tolnedrańską półpensówkę. Szynkarz wziął monetę i przyniósł mi kufel zdecydowanie pośledniego piwa.

Potem rozejrzałem się dokoła. Olgona nietrudno było wypatrzeć. Był najlepiej ubranym człowiekiem w karczmie, a na twarzy miał ów arogancki wyraz, z którym rodzą się wszyscy Honethowie. Wodził prym przy dużym stole, stojącym pod tylną ścianą. Otaczali go złodzieje i rzezimieszki. Worki pod oczyma i zmęczona twarz świadczyły o latach hulank.

- Musisz tylko powiedzieć, że ją widziałeś na ulicy, Stragu - cierpliwie wyjaśniał łotrowi z czerwoną szramą na policzku.

- Na co się to zda? - odparował Strag.

- Jeśli nie dostanie informacji o tym, że ona jest w Tol Honeth, to może zabrać swoją forszę do Tol Borune - a nawet do Arendii. Możemy go stracić.

- Nie wiem jak ty, Olgonie - odparł Strag - ale ja cenię swoją skórę. Nie mam zamiaru okłamywać Dagashi i brać za to forszę.

- Tchórz z ciebie, Stragu - oskarżył go Olgon.

- Być może, ale żywy. Widziałem, co Dagashi robią z ludźmi, którzy weszli im w drogę. Znajdź sobie kogoś innego, by za ciebie kłamał, lub zrób to sam.

Olgon uśmiechnął się szyderczo.

- W porządku - powiedział do pozostałych łotrów przy stole - kto chce zarobić srebrną półmarkówkę?

Nie znalazł chętnych. Najwyraźniej wszyscy w tym szemranym towarzystwie znali reputację, jaką cieszył się Dagashi.

Olgon zmierzył swych najmitów groźnym spojrzeniem, po czym dał spokój. Ta krótka rozmowa odsłaniała jego charakter. Za nic nie mogłem pojąć, jak Dagashi mógł w ogóle wierzyć w słowa Olgona.

Dziesięć minut później nadal tuliłem swój kufel ciepłego, wodnistej piwa, gdy drzwi tawerny otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna z ogoloną głową, w nyissańskiej jedwabnej szacie. Podeszedł prosto do stołu Olgona.

- Masz coś dla mnie? - zapytał szorstko.

- Wszyscy się rozglądają - odparł trochę niepewnie Olgon. - To mnie sporo kosztuje, Saress. Czy nie widziałbyś możliwości wypłacenia małej zaliczki?

- Asharak nie płaci na zapas, Olgonie - odparł z szyderstwem w głosie człowiek w jedwabiach. - Płaci tylko przy dostawie.

Olgon mruknął coś i drugi mężczyzna pochylił się nad stołem.

- Co powiedziałaś? - zapytał złowieszczo.

Ponieważ był pochylony, wyraźnie mogłem dostrzec zarys trójkątnego przedmiotu, który tulił do pasa pod szatą.

- Powiedziałem, że ten twój Asharak to sknera - odparował Olgon.

- Przekażę mu to - odparł Saress. - Jestem pewny, że będzie zachwycony.

- Nie proszę o całą sumę, Saressie - powiedział Olgon płaczliwie. - Tyle tylko, by pokryć moje wydatki.

- Potraktuj je jak inwestycję, Olgonie. Jeśli uda ci się wskazać kobietę, której szuka Asharak, uczyni cię bogatym. Jeśli nie, będziesz musiał klepać biedę. - Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł z tawerny.

Coś tu nie pasowało. Zachowywali się zbyt ostentacyjnie. Wiedziałem, że moje przebranie było nie do rozpoznania, ale być może Olgon lub gość w nyissańskiej szacie rozpoznali jednego z drasańskich lub tolnedrańskich agentów i dla ich zmylenia starannie odegrali ten spektakl. Cała sprawa zaczęła wydawać mi się mocno podejrzana. Odczekałem jeszcze kilka minut, po czym wstałem i zrzuciłem kufel ze stołu.

- Dość już tych pomysłów - oznajmiłem głośno. - Jeśli miałbym ochotę napić się wody z rzeki, to zszedłbym na brzeg i napił się do woli bez płacenia za nią.

Następnie jak burza wypadłem z karczmy. Przebranie zachowałem, dopóki nie nabrałem pewności, że nikt mnie nie śledzi. Potem wszedłem w kolejny zaułek, przybrałem własną postać i wróciłem do ambasady drasańskiej. Nad Tol Honeth właśnie zapadał wieczór.

- Czy któryś z waszych ludzi widział Asharaka? - zapytałem Kherala.

- Jeszcze nie, Prastary - odparł ambasador. - Próbowaliśmy dotrzeć tropem tego Dagashi do jego pracodawcy, ale zawsze udało mu się wymknąć.

- Nie jestem tym zaskoczony. To nie byle jaki Dagashi. Nosi jad żmii. Pochylił się nad stołem w karczmie i zobaczyłem jego zarys pod jedwabną szatą.

Kheral gwizdnął.

- Co to takiego jad żmii? - zapytał Cerran.

- To trójkątny nóż do rzucania - odparł Kheral. - Ma około sześciu cali średnicy i jest ostry jak brzytwa. Jego rogi są zwykle zatrute. Nosi je tylko sama elita Dagashi.

- To się nie trzyma kupy - złościłem się. - Ci elitarni Dagashi są bardzo kosztowni. Czemu Asharak tyle płaci za chłopca na posyłki? Coś tu mi zaczyna śmierdzieć. Ktoś płaci kupę forsy, byśmy uwierzyli, że Asharak jest w Tol Honeth, ale ja dam się przekonać dopiero, gdy go rzeczywiście zobaczę.

- Po co Asharak miałby się narażać na te wszystkie kłopoty i wydatki? - zapytał zbity z tropu Cerran.

- Prawdopodobnie pragnie, bym uwierzył, że jest tutaj, podczas gdy naprawdę jest gdzie indziej - odparłem. Nie powiedziałem tego, ale byłem niemal pewny, gdzie jest Chamdar. - No cóż - rzekłem. - Do tej gry potrzeba dwóch. Ja szukam Chamdara, a on szuka kogoś innego. Myślę, że znalazłem sposób, by popędził do Tol Honeth na złamanie karku.

- Co zamierzasz, Prastary? - zapytał Kheral.

- Chamdar ma ludzi szukających Polgary. Mam zamiar dopilnować, aby ją znaleźli, a raczej zobaczyli kilkakrotnie w ciągu dnia i to tutaj, w Tol Honeth. Chodźmy do pałacu. Muszę porozmawiać z Ranem Borune.

Wszyscy trzej udaliśmy się do siedziby imperatora i bezzwłocznie zostaliśmy wpuszczeni do jego prywatnych komnat.

- Dobry wieczór, panowie - powitał nas Ran Borune, odkładając lutnię, którą stroił. - Domyślam się, że czegoś potrzebujecie.

- Chciałem prosić o przysługę, wasza wysokość - rzekłem.

- Oczywiście.

- Ten Chamdar, o którym słyszałeś, jest Grolimem, który odwała za Ctuchika całą brudną robotę.

Ran Borune zmrużył oczy.

- A zatem jest ważniejszy, niż myśleliśmy. Co on robi w Tolnedrze? Myślałem, że to, co wydarzyło się pod Vo Mimbre, całkowicie zdemoralizowało Grolimów.

- I pewnie tak się stało, wasza wysokość, ale Chamdar nie jest zwykłym Grolimem. Ctuchik dawno temu wyznaczył mu zadanie, a Chamdar to uparciuch. Moja córka ochrania coś bardzo ważnego i Chamdar od lat usiłuje ją znaleźć. Tak go to opętało, że pewnie nawet nie zauważył bitwy pod Vo Mimbre.

- Dlaczego zatem tu szuka? Twojej córki nie ma w Tolnedrze, prawda?

- W tej chwili nie, ale myślę, że i Chamdara tu nie ma. Ta cała historia z tym renegatem Honethów miała skłonić mnie do myślenia, że on tu jest. Chamdar zdecydowanie chce przykuć moją uwagę do Tol Honeth. Mam jednak zamiar pobić go jego własną bronią i postarać się, aby przygnał tu co tchu. A wówczas Kheral będzie go miał na oku.

- Jak zamierzasz tego dokonać?

- Ludzie Kherala przekażą pewne fałszywe informacje za pośrednictwem tego Olgona. Byłbym wdzięczny, gdyby twoi agenci zrobili to samo. Powiedz im jednak, aby postępowali bardzo ostrożnie. Teraz ludźmi Chamdara nie są już Murgowie. Zamiast nich wykorzystuje Dagashi. Murgowie nie są zbyt bystrzy, łatwo ich

wyłowić z tłumu. Dagashi są jednak bardzo sprytni, a rozpoznanie ich jest prawie niemożliwe.

- Kim są owi Dagashi?

- To członkowie na wpół religijnego zakonu, działającego w Okręgu Wojskowym Araga, w południowo-zachodnim Cthol Murgos, wasza wysokość. Głównie skrytobójcy, ale są również doskonałymi szpiegami. Mogą przysporzyć wielu problemów, ponieważ nie wyglądają na Murgów.

- Jak im się to udaje?

- Za sprawą krzyżowania. Nyissanie sprzedają im niewolnice z całego świata. Chłopcy przez nie zrodzeni są odpowiednio wychowywani i wcielani do tego zakonu. Są fanatycznie lojalni wobec swych przełożonych i bardzo niebezpieczni, gdyż praktycznie są niezauważalni. Doszliśmy teraz do tej przysługi, o której mówiłem.

- Co mogę dla ciebie zrobić, stary przyjacielu?

- Chciałbym, aby wśród pań zapanowała moda na nową fryzurę.

Imperator zamrugął.

- Czyżbyś nagle zmienił zainteresowania?

- Nie. Spotkałeś moją córkę. Przyznasz chyba, że robi doskonałe wrażenie.

- Niezaprzeczalnie.

- Co szczególnie zwraca uwagę w jej wyglądzie?

- Ten biały lok, oczywiście.

- No właśnie.

Imperator uśmiechnął się.

- Ale z ciebie szczywany lis, Belgaracie - powiedział z podziwem. - Chcesz, by całe Tol Honeth zaroilo się od imitacji Polgary, prawda?

- Tak, na początek. Chcę ściągnąć Chamdara do Tol Honeth. Pozwolę, aby się tu trochę pokręcił, a potem zacznę podstęp rozwijać. Myślę, że potrafię wszystko tak urządzić, żeby kilka razy dziennie docierały do niego wieści o namierzeniu Polgary.

- Skoro Polgara rzeczywiście nie chce się rzucać w oczy, to czemu nie ufarbuje sobie włosów?

- Już próbowała, nie zdało egzaminu. Farba nie trzyma się tego białego loku. Zaraz schodzi, a Polgara myje włosy przynajmniej raz dziennie. Ponieważ nie mogę upodobnić jej do innych kobiet, to spróbuję zrobić na odwrót. Sprawię, aby wszystkie kobiety na Zachodzie wyglądały jak ona. Tol Honeth jest stolicą mody zachodniego świata, więc jeśli tutejsze kobiety zaczną farbować sobie na białą pasemko włosów, to najdalej za sześć miesięcy będą tak robić wszystkie damy w innych królestwach. Na początek ściągnę Chamdara do Tol Honeth, a potem będę krążył po innych królestwach, zachęcając wszystkie damy, by podążyły za nową modą. Za sprawą tego małego podstępu Chamdar będzie gonił od pogranicza Morindlandu po południowe granice Nyissy przez następne dziesięć lat. A co gorsza, Dagashi oczekują zapłaty za każdą usługę. Chamdar słono zapłaci za wszystkie fałszywe raporty. Może go to nawet zrujnować.

Zostałem w Tol Honeth jeszcze około miesiąca, czekając, by nowa moda się przyjęła. Nie starałem się ukrywać swej obecności. Jeśli agenci Chamdara doniosą mu, że tu byłem, to wieści o obecności Pol będą jeszcze bardziej wiarygodne. Z niechęcią muszę przyznać, że to rozmowa Olgona ze Stragiem podsunęła mi ten pomysł. Upiększyłem go jednak. Zawsze upiększałem pomysły innych ludzi. To się nazywa „sztuką”, a czasami „plagiatem”.

Wówczas to właśnie znalazłem sobie przebranie, które całkiem dobrze służyło mi przez następne pięćset lat. Stałem się wędrownym bazarzem. We wszystkich niepiśmiennych społeczeństwach bazarze byli mile widzianymi gośćmi, a w tamtych czasach umiejętność czytania i pisanie nie była szczególnie rozpowszechniona.

Ludzie, którzy znali mnie w ciągu owych minionych pięciu wieków, sądzili zwykle, że mój nędzny wygląd był rezultatem mojej niedbałości. Nic bardziej mylnego. Wiele czasu poświęciłem zaprojektowaniu tego kostiumu, a uszył go dla mnie jeden z najlepszych krawców Tol Honeth. Może i te rzeczy wyglądały, jakby zaraz miały się rozlecieć, ale zostały tak dobrze wykonane, że były praktycznie niezniszczalne. Łaty na kolanach moich spodni były czysto kosmetyczne, jako że nie zakrywały żadnych dziur. Rękawy mojej wełnianej tuniki były podarte, ale nie od noszenia. Materiał tuniki został celowo postrzępiony, nim ją

jeszcze założyłem. Pas ze sznura zawsze uważałem za dzieło sztuki, a kaptur z luźnym karczkiem był charakterystyczną, łatwo rozpoznawalną cechą mego wyglądu. Dodałem do tego gruby, szary rivański płaszcz i torbę na różne drobiazgi. Potem cały dzień sprzeczałem się z szewcem o buty. Zupełnie nie mogłem pojąć, czemu chcę, aby były nie do pary. To były naprawdę solidne buty, ale wyglądały, jakbym znalazł je gdzieś na śmietniku. Cały kostium przeobrażał mnie we włóczęgę, i przez pięć wieków w zasadzie się nie zmienił.

Tol Honeth opuściłem na piechotę. Po pierwsze, wędrownego bajora zapewne nie byłoby stać na konia, a poza tym, mając inne sposoby przemieszczania się, koń tylko by mi zawadzał.



Nie rozwodziłbym się tak nad tym, ale chciałem poprawić szeroko rozpowszechniony, lecz błędny pogląd. Wcale nie jestem taki niechlujny, jak ludzie myślą. Moje ubranie wygląda jak obszarpane, ponieważ tego chciałem.

Zaskoczyło was odkrycie, że tak naprawdę nie jestem włóczęgą? Życie pełne jest takich drobnych rozczarowań, nieprawdaż?



W drodze na północ zatrzymałem się w Vo Mimbre. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że królowa Mayaserana natychmiast przystała na mój plan. Czasami mylnie osądzamy Arendów. Najłatwiej powiedzieć, że są po prostu głupi, ale to nie do końca prawda. Ich problemem jest nie tyle głupota, ile nadmierna pobudliwość. To uczuciowi ludzie i emocje wpływają na ich sądy. Porywczą Mayaserana, niemal tak szybko jak Ran Borune, pojęła znaczenie mego podstępu. Nim słońce zaszło, na jej włosach pojawił się biały lok. Zachowała się bardzo właściwie i następnego dnia z przyjemnością zauważyłem, że ciemnowłose damy dworu pospiesznie poszły w jej ślady. Przypominam sobie, że jasnowłose damy były bardzo nadaśane.

W drodze na północ odkryłem ciekawą cechę kobiecej natury. Bez względu na to, gdzie się zatrzymałem, w wiosce, miasteczku czy na samotnej farmie, wcześniej czy później któraś z kobiet pytała: „Jaka teraz panuje moda na dworze? Jak długie są suknie? Jakie fryzury noszą damy?”

Nic lepiej nie mogło przysłużyć się moim celom. Zostawiałem za sobą ślad z białych loków, niczym wojenny okręt Chereku kilwater.

Starannie omijałem rodziny, których doglądałem od stuleci. Pomyślałem, że Chamdar może się okazać na tyle przebiegły, by zabiciem kilku kluczowych przodków poważnie pokrzyżować przebieg wydarzeń ujawnionych nam przez Kodeks Mriński. Jednakże głównym moim zmartwieniem było zapewnienie bezpieczeństwa Gelanowi, więc omijałem Seline, jakby było zadżumione.

Jak się jednak okazało, niebezpieczeństwo grożące Gelanowi nie było natury fizycznej, lecz duchowej.

Przeniosłem się do centralnej Sendarii, do Medalii. Za grosik snułem opowieści i doradzałem damom w kwestii mody. Sypiałem w stajni na skraju miasta. Byłem w Medalii już od tygodnia, gdy w środku nocy obudził mnie zmartwiony głos Pol.

- *Ojcie, jesteś mi potrzebny.*

- *O co chodzi?*

- *Mamy problem. Lepiej przybądź tu najszybciej, jak możesz.*

- *Ale wyjaśnij, czego chcesz.*

- *Powiem ci, gdy tu przybędziesz. Ktoś może podsłuchiwać. Zmień wygląd.*

Jej głos umilkł.

Była w tym zaszyfrowana wiadomość. Polgara jest najbardziej opanowaną osobą na świecie, dopóki coś jej nie wyprowadzi z równowagi. Prawie nic jej nie denerwuje, ale tym razem było inaczej. Wstałem, otrzepałem płaszcz z siana i natychmiast opuściłem Medalię.

Nim słońce wzeszło, byłem na skraju Seline. Przebiegłem w myślach katalog swych przebrań i wybrałem postać łysego mężczyzny. Potem udałem się do warsztatu, w którym Gelane spędzał czas na robieniu beczulek.

Polgara, pomimo bardzo wczesnej pory, z wigorem zamiatała wejście.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała na mój widok. Jakimś sposobem zawsze potrafiła przejrzeć moje przebrania.

- Uspokój się, Pol. Co cię tak zdenerwowało?

- Wejdz do środka. - Wprowadziła mnie do warsztatu. - Gelane jeszcze śpi - szepnęła. - Chcę ci coś pokazać. - Poprowadziła mnie do schowka na miotły na tyłach warsztatu. Otworzyła drzwi i wyciągnęła futrzaną tunikę. Serce mi zamarło.

Tunika była zrobiona z niedźwiedziej skóry.

- Jak długo to już trwa?

- Nie jestem pewna, ojczu. Przez ostatnie sześć miesięcy Gelane był jakiś sztywny i nieuchwytny. Wychodził prawie każdego wieczoru i wracał bardzo późno. Początkowo myślałam, że zdradza Enallę.

- Swoją żonę?

Polgara skinęła głową i ostrożnie włożyła z powrotem do schowka tunikę z niedźwiedziej skóry.

- Wyjdźmy - szepnęła. - Nie chcę, aby zszedł i nas tu znalazł.

Wyszliśmy na ulicę i poszliśmy na róg.

- W każdym razie - podjęła swą relację - ostatnio matka Gelana była bardzo chora, więc musiałam jej doglądać. Wraca już do zdrowia, toteż zeszłego wieczoru miałam w końcu okazję pójść za nim. Zszedł do warsztatu i schował tunikę do torby. Potem poszedł nad jezioro i brzegiem udał się do dużego zagajnika, około mili na wschód od miasta. Było tam kilkunastu innych Alornów. Stali wokół ogniska płonącego w środku zagajnika. Wszyscy mieli na sobie niedźwiedzie skóry. Gelane nałożył swoją tunikę i dołączył do nich. Jest całkiem oczywiste, że został wyznawcą Kultu Niedźwiedzia.

Zacząłem przeklinać.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy, ojczu - oświadczyła szorstko Pol. - Co zrobimy?

- Nie jestem pewny. Kto przewodził temu spotkanku zeszłej nocy?

- Był tam brodaty mężczyzna w szacie kapłana Belara. On mówił najwięcej.

- Czy powiedział coś znaczącego?

- Nie bardzo. Powtarzał głównie te wyświechtane slogany. „Aloria jest jedna”, „Przeklęte niech będą dzieci Boga-Smoka”, „Reguły Belara” - i tym podobne rzeczy.

- Pol, miałaś uważać na Gelana. Jak mogłaś na to pozwolić?

- Nie spodziewałam się tego, ojciec. On zawsze był taki rozsądny.

- Czy ten kapłan jest związany z miejscowym kościołem?

- Nie. Z tego, co wiem, nie pochodzi z Seline.

- Jak wygląda?

- Jest dość gruby, ale może to tylko szata. Nie widziałam jego twarzy. Broda zaczyna mu się tuż pod oczami.

- Miał jasne włosy? To znaczy, czy wyglądał jak zwyczajny Alorn?

- Nie. Miał bardzo ciemne włosy. Jego broda i włosy były niemal kruczoczarne.

- To nic nie znaczy. Jest wielu czarnowłosych mieszkańców Drasni i Algarii. Czy Gelane często tam chodzi?

- Prawie każdej nocy.

- A zatem pójdę dziś za nim. Mam zamiar przyjrzeć się temu kapłanowi Belara. Wracam do domu, Pol. Ja będę trzymał się z dala od warsztatu Gelana. Wyznawcy Kultu Niedźwiedzia są z natury podejrzliwi. Jeśli Gelane zacznie cokolwiek podejrzewać, może opuścić dzisiejsze spotkanie.

Wałęsałem się po Seline przez resztę dnia. Oczy miałem szeroko otwarte i nastawiałem uszu, ale ust nie otwierałem. Teraz, gdy wiedziałem czego szukać, wypatrzenie członków Kultu Niedźwiedzia nie było zbyt trudne. Oczywiście wszyscy byli Alornami. Cechowała ich ta sama nerwowa podejrzliwość, chytre spojrzenie i przesadnie dramatyczny wyraz twarzy, jakie charakteryzowały wszystkich głupich ludzi ukrywających tajemnice.

Tym, co zbiło mnie z tropu, był fakt, że w Sendarii w ogóle czczono Niedźwiedzia. Sendarowie, bez względu na swe narodowościowe pochodzenie, byli zbyt rozsądni, aby ulegać tego rodzaju fanatyzmowi.

Wraz z nadciągnięciem wieczoru przywlokłem się pod warsztat Gelane. Zapadał już mrok, gdy chyłkiem wymknąłem się z warsztatu z płóciennym workiem na plecach. Gelane był już dobrze po trzydziestce i młodzieńcza szczupłość ustąpiła teraz miejsca krępej muskularności. Niechybnie zapuszczał brodę. Wszyscy wyznawcy Kultu Niedźwiedzia z jakiejś przyczyny nosili brody. Gelane ruszył w kierunku jeziora, a ja poszedłem w przeciwną stronę. Wiedziałem, dokąd idzie, więc nie musiałem iść za nim krok w krok.

Wyszedłem z miasta przez jedną z bram, przeobraziłem się w sowę i pofrunąłem. Na miejsce spotkania w zagajniku przybyłem kwadrans przed Gelanem. Obecni tam wyznawcy chodzili wokół ogniska owym osobliwym, kołyszącym się krokiem, który wedle nich przypominał krok niedźwiedzia. Widziałem w swym życiu wiele niedźwiedzi, ale żaden z nich nie chodził w ten sposób. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko widuje się niedźwiedzie usiłujące chodzić na tylnych łapach.

Alornowie monotonnymi głosami wyśpiewywali typowe dla kultu slogany. Zdaje się, że głupota bardziej cieszy, gdy ma się ją z kim dzielić, a nie ma na świecie nic głupszego od Kultu Niedźwiedzia. Nigdy nie rozumiałem idei chóralnych śpiewów, zawsze zdawały się dodawać otuchy fanatykom religijnym różnego pokroju.

Gdy przybył Gelane, teraz ubrany w tunikę z niedźwiedziej skóry, pozostali zgromadzeni skłonili się nisko przed nim i chóralnie zaintonowali:

- Witaj Rivański Królu, Pogromco Boga, Suzerenie Zachodu. Pójdziemy tam, gdzie nas poprowadzisz.

Tajemnica, którą tak starannie skrywaliśmy z Pol prawie przez dziewięćset lat, najwyraźniej wyszła na jaw. Zacząłem kląć pod nosem, z pasją zaciskając swój haczykowany dziób.

Gdy w końcu opanowałem gniew, ostrożnie zbadałem umysły poszczególnych wyznawców, zebranych wokół swego bohatera. Większość z nich stanowili zwyczajni, tępogłowi Alornowie, którzy zawsze zasilali szeregi fanatyków. Kilku z nich jednak do nich nie należało. W ich myślach uchwyciłem słowo „Kahsha”, a Kahsha to góra na Pustyni Araga, gdzie znajduje się kwatery główna Dagashi. W końcu Chamdar mnie wyprzedził. Znowu zacząłem przeklinać.

Potem przybył kapłan Belara. Tak jak powiedziała Pol, twarz zakrywała mu krzaczasta broda, ale nie zasłaniała oczu - owych skośnych oczu typowych dla Angaraków. Jak Gelane i inni Alornowie mogli być na tyle głupi, by tego nie zauważyć? Gdy kapłan podszedł do ogniska i wyraźniej zobaczyłem jego twarz, zacząłem kląć jeszcze bardziej.

Kapłanem Belara, który wyprowadził w pole spadkobiercę Rivy, był sam Chamdar.

W tym momencie poczułem, jak wszystko wali mi się na głowę. Dagashi przebrany za Nyissanina w Tol Honeth doskonale wiedział, co robi. Chamdar nie pognałby do Tol Honeth czy innego miasta na Zachodzie w odpowiedzi na mój starannie opracowany wybieg z modą, ponieważ Chamdar wiedział, gdzie Pol i Gelane byli cały czas. Straciłem ponad pół roku, nakłaniając damy we wszystkich królestwach Zachodu do naśladowania Pol, i wszystko na darmo. Tym razem Chamdar mnie przechytrzył!

- Lepiej zaraz tu przybądź, Pol. - Wysłałem myśl cichą jak szept, głównie dlatego, że Chamdar był nie dalej jak dwadzieścia stóp od drzewa, na którym siedziałem. Na szczęście rozmawiał w tym czasie z wyznawcami, więc mnie nie słyszał.

Był właśnie w trakcie błogosławienia Rivańskiego Króla, „który powiedzie nas do królestw Południa, a wszyscy napotkani zostaną nawróceni na wiarę w Boga-Niedźwiedzia”.

Potem Gelane zaczął mówić. Nie dopatrzyłem się nawet śladu skromności, tak charakterystycznej dla jego rodziny od czasów księcia Gerana. Gelane najwyraźniej był z siebie bardzo dumny.

- Baczcie! - oznajmił. - Jam jest Pogromcą Boga, o którym mówią proroctwa. Jam, Gelane, jest Rivańskim Królem, Suzerenem Zachodu, wzywam królestwa Zachodu, by uznały mą zwierzchność. Pójdziecie, gdzie was powiodę, i wszyscy Angarakowie drżeć przede mną będą.

Przemawiał tak przez jakiś czas i gdy Pol przybyła, nadal zachwycał się sobą.



W tym momencie, dla dobra prawdy historycznej, muszę uczciwie powiedzieć, że popadnięcie Gelana w ten idiotyczny stan nie było wyłącznie jego winą. Garion może wam szczegółowo opisać, jak Chamdar subtelnie potrafi kierować myślami innych. Na farmie Faldorna, gdzie dorastał, Garion pewnie co tydzień widywał Murga Asharaka, ale zadbano, by nikomu o tym nie powiedział. To stara sztuczka Grolimów, z której powszechnie korzystali w społeczności Angaraków jeszcze przed rozłupaniem świata. Nonsensy kryjące się w angarackiej religii niemal wymuszały, by Grolimowie dysponowali jakimiś zdolnościami kontrolowania myśli innych. Gdy się tak teraz nad tym zastanawiam, to wszystkie religie tak robią - oczywiście z wyjątkiem mojej.



Polgara mądrze wybrała postać sowy o brązowym upierzeniu. Białe ptaki rzucają się w oczy w ciemności. Przysiadła na konarze obok mnie i bez komentarza wysłuchiwała długiej mowy pochwalnej, którą Gelane wygłosił na swą cześć.

- Ten rzekomy kapłan Belara, to Chamdar, Pol - szepnąłem.

- A więc tak wygląda - odparła, trzaskając swym haczykowatym dziobem. - Co teraz, ojczy?

- Miałem nadzieję, że ty wpadniesz na jakiś pomysł. Ja nie wiem, co z tym począć. Chamdar ma całkowitą kontrolę nad Gelane. Musimy go jakoś uwolnić.

- Jest coś, co mogłoby pomóc - powiedziała. Siedziała, wpatrując się w Gelane swymi ogromnymi, nie mrugającymi oczami. - Chcesz zaryzykować?

- Całe moje życie to ryzyko, Pol.

- Tak, zauważyłam. Kiedyś, w Vo Wacune, skorzystałam z tego sposobu, gdy asturski szpieg wkradł się w zaufanie księcia. Jednakże Chamdar jest Grolimem, więc mógłby temu przeciwdziałać. Jeśli Gelane jest całkowicie pod wpływem Chamdara, to nie uwierzysz w nic, co powiemy o jego mistrzu, prawda?

- Prawdopodobnie nie. Co ci chodzi po głowie?

- Chamdar musi się zatem sam odsłonić.

- Jak chcesz to osiągnąć?

- Wystarczy tylko, abym uczyniła myśli Chamdara słyszalnymi. W ten sposób przekonałam księcia wacuńskich Arendów, że jego nowy przyjaciel nie jest tym, na kogo wyglądał. Jednak szpieg asturski był tylko zwyczajnym człowiekiem. W przypadku Grolima to może nie odnieść skutku.

- Więc spróbuj, Pol. W przeciwnym razie będę musiał zrobić Gelane coś bardzo poważnego.

- Jak bardzo poważnego, ojczcze?

- Spadkobierca Rivy nie może znajdować się pod kontrolą Chamdara. To nie do pomyślenia. Mógłbym wymazać mu większość umysłu. Nie potrafiliby już robić beczek, ale nadal mógłby być ojcem.

- Umiesz to zrobić?

- Tak. Choć nie bardzo by mi się to podobało.

- To zbyt drastyczne posunięcie, ojczcze.

- Nie mamy wyboru, Pol. Traciliśmy już poprzednio spadkobierców. To linia jest ważna, nie pojedyncze osoby, i linia nie może dostać się pod kontrolę Grolimów.

Myślę, że ta uwaga pozwoliła Pol skoncentrować się jeszcze bardziej. Są pewne ograniczenia tego, co można zrobić, gdy się nie jest we własnej postaci, więc Pol sfrunęła na ziemię za drzewem, na którym siedzieliśmy, i przybrała ludzką postać.

Ja mam zwyczaj trochę hałasować, gdy używam Woli i Słowa - najprawdopodobniej z czystej arogancji - ale ona zawsze działała bardzo subtelnie. Choć ogólnie wiedziałem, co zamierza zrobić, to z ledwością usłyszałem, jak uwalniała Wolę wypowiedzianym szeptem Słowem.

Gelane nadal opowiadał swym towarzyszom, jakim to wspaniałym jest facetem, gdy zagłuszył go inny głos. Na jego dźwięk zająknął się, po czym zupełnie umilkł.

Głos należał do Chamdara, ale jego usta się nie poruszały. Dochodził jakby znad jego głowy, ale on najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jego myśli stały się słyszalne.


- Ctuchik nagrodzi mnie, jeśli zabiję tego głupka - dumął na głos - ale Torak nagrodzi mnie jeszcze bardziej, jeśli mój plan się powiedzie. Gdy tylko zdobędę kompletną władzę nad tym niedorozwiniętym Alornem, to zabiorę go do Rivy i tam zagarnię Cthrag Yaska. Potem go skuję i dostarczę Bogu-Smokowi, aby pokłonił się mu i przekazał ten przeklęty Klejnot, jako symbol swej uległości. Tak wielka przysługa musi zostać nagrodzona. Zostanę czwartym uczniem Boga-Smoka, który obdarzy mnie największymi względami. Będę pierwszym uczniem, a Ctuchik, Urvon i Zedar będą musieli mi się pokłonić. Torak zdobędzie panowanie nad całym światem dzięki memu podarunkowi, a ja w nagrodę po wsze czasy zasiadać będę po jego prawicy.

Wyraźnie usłyszałem, gdy władza Chamdara nad umysłem Gelane została złamana. Pewne oznaki świadczyły, że Gelane był umiarkowanie uzdolniony. Głośne myśli Chamdara wystarczyły, by wrócił mu rozum. Mocnym szarpnięciem Gelane uwolnił swój umysł i całe znaczenie tego, co się wydarzyło, nagle zważyło się na niego z hukiem. Wtórował temu okropny hałas.


A ponieważ był Alornem, jego reakcja była do przewidzenia. Z płonąącym wzrokiem i morderczymi zapędami w sercu, ruszył na zaskoczonego Grolima.

- Co ty wyprawiasz? - Głos Chamdara przeszył powietrze.

Gelane odpowiedział pięścią. Wymierzył podwładnemu Ctuchika cios, który powaliłby wołu.



Wiele razy zastanawiałem się, jak zmieniłby się bieg historii, gdyby Gelane miał tego wieczoru przy sobie siekiere. Zdaje się jednak, że na dłuższą metę tak było lepiej.



Chamdar zatoczył się w tył. Oczy mu się zaszklily, a Wola ulotniła się. Zważył się ciężko na ziemię, a para niby-Alornów z Ashaby

natychmiast skoczyła, by chronić swego pracodawcę. Miałem właśnie wkroczyć do akcji, ale pozostali wyznawcy ubiegli mnie. Przysięgali wierność Gelane, a w Kulcie Niedźwiedzia to zobowiązanie natury religijnej. Stłoczyli się wokół obu Dagashi. Zamieszanie pozwoliło jednak Chamdarowi odzyskać przytomność i uciec. Przemieścił się na skraj zagajnika, przybrał skrzydła i odleciał w noc.

- Zostaliśmy oszukani! - ryczał Gelane. - To nie był kapłan Belara!

- Co mamy zrobić, Pogromco Boga? - zapytał jeden z fanatyków bezradnym głosem.

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywajcie! - wrzasnął Gelane. - Nie jestem Pogromcą Boga! To było oszustwo! Zhańbiłem swe imię! - Zdarł z siebie tunikę z niedźwiedziej skóry i cisnął ją w ognisko. - Kult Niedźwiedzia jest kłamstwem i szachrajstwem! Nie będę więcej w nim brać udziału!

- Poszukajmy tego fałszywego kapłana i zabijmy go! - krzyknął jeden z potężnie zbudowanych mężczyzn, a ponieważ byli Alornami, ruszyli, by to zrobić. Przez pół godziny kręcili się pomiędzy drzewami, ale Chamdar był już wtedy daleko.

W końcu dali za wygraną i wrócili do ogniska.

- Co teraz zrobimy, wasza wysokość? - zapytał ów wielki Alorn.

- Po pierwsze, wszyscy dacie spokój z „waszą wysokością” - odparł Gelane. - Nie jestem Rivańskim Królem, więc nigdy więcej mnie tak nie nazywajcie. - Wyprostował się. - Przysięgnijcie mi to. Nigdy nawet słowo o tym nie może przeciec. Od teraz jestem Gelane bednarz i nikt więcej. Przysięgniecie?

Naturalnie przysięgli. Co innego mogli zrobić?

- Teraz wracajcie do domów do swych rodzin! - rozkazał. - pozbądźcie się tych cuchnących niedźwiedziej skór, wracajcie do swego życia i zapomnijcie, że to się kiedykolwiek wydarzyło.

- A co z Grolimem? - dopytywał się rosły Alorn. - Tym, który udawał kapłana Belara?

- Moja rodzina się nim zajmie - odparł Gelane. - Teraz idźcie do domów.

Potem, gdy wszyscy odeszli, Spadkobierca Rivy padł twarzą na ziemię. Długo płakał ze wstydu i wyrzutów sumienia.





Choć Gelane odzyskał już zdrowe zmysły, to tak przytłaczało go poczucie winy, że zupełnie nad sobą nie panował.

- Jak mogłem być tak głupi, dziadku? - szlochał. - Jestem godny pogardy! Jestem niegodny swego imienia! Zdradziłem wszystko, co było mi drogie!

- Przestań! - powiedziałem. - To do niczego nie prowadzi.

- Kim był ten człowiek, dziadku?

- Nazywa się Chamdar i jest Grolimem. Nie poznałeś po skośnych oczach, że jest Angarakiem?

- To jest Sendaria, ojciec - powiedziała Polgara. - Ludzie nie przywiązują tu dużej wagi do rasy.

- Być może, ale Gelane powinien zdawać sobie sprawę, że ktoś z angarackim rodowodem nie może być kapłanem Belara. - Spojrzałem surowo na swego wnuka. - Jak on zdobył tak duży wpływ na ciebie, Gelane? - zapytałem z wyrzutem.

- Pochlebstwami - odparł z pogardą dla siebie. - Czasami wołałem, żeby ciocia Pol nigdy mi nie powiedziała, kim naprawdę jestem. To przez to ten Grolim tak łatwo zapanował nad moją duszą.

- A co ma do tego, kim jesteś? - zapytałem.

- Tutaj, w Saline, nie jestem osobą specjalnie ważną, dziadku. Ludzie, którzy przychodzą do mojego warsztatu kupować beczki, traktują mnie jak sługę. W czasie wojny, gdy z mamą i ciotką Pol byliśmy w Twierdzy, a Kal Torak ją oblegał, niektórzy ludzie traktowali mnie z wielkim respektem, ponieważ wiedzieli, że naprawdę jestem Rivańskim Królem. Tutaj, w Seline, zasilęm szeregi prostych rzemieślników. Kto szanuje bednarza? Kiedy jakiś piwowar lub sprzedawca wina zaczyna zadzierać nosa, to ja kryję się za swą

prawdziwą tożsamością. To pozwala mi nie czuć się małym i nic nie znaczącym. Tak właśnie wpadłem w sidła Grolima.

- Chyba mu nie powiedziałaś, kim jesteś?

- On już wiedział. Pewnego dnia przyszedł do warsztatu, pokłonił się mi i pozdrowił jako Rivańskiego Króla. Powiedział, że jest kapłanem Belara i że wróżby powiedziały mu, kim naprawdę jestem. Nikt nie zwracał się do mnie „wasza wysokość”, odkąd opuściliśmy Twierdzą i to uderzyło mi do głowy.

- Tak to się zwykle dzieje, Gelane - powiedziałem. - Zadufanie zgubiło więcej ludzi, niż mógłbyś sobie wyobrazić.

- Zadufanie?

- Próżność, pewność siebie. Gdy jesteś tak w siebie zapatrzony, że mózg przestaje ci pracować. Najlepszym tego przykładem była ta mówka, którą palnąłeś dziś wieczór. Nie ty pierwszy się tym zaraziłeś i pewnie nie ostatni. Jak Chamdar wplątał cię w Kult Niedźwiedzia?

- Stopniowo mnie w to wciągał. Początkowo mówił tylko o tym, że powinienem wrócić do Rivy i odzyskać tron. Powiedział, że cała Aloria na to czeka.

- I to pewnie prawda, Gelane - powiedziała mu Pol. - Ale Aloria nie wie, że czeka. Od bardzo dawna ukrywaliśmy twoją rodzinę.

- Wydawało się, że on o tym wszystkim wie.

- Naturalnie - odparłem. - Grolimowie mają swoje proroctwa. Mogliśmy cię ukrywać, ale twego istnienia nie mogliśmy zachować w tajemnicy. Chamdar od trzech stuleci przetrząsał świat w poszukiwaniu twojej rodziny.

- Zabiję go! - zapalczywie zawołał Gelane, wyciągając pożądliwie ręce.

- Nie - zaprzeczyłem - nie zrobisz tego. To moje zadanie, nie twoje. Ty masz nie rzucać się w oczy. Teraz wrócisz do miasta i zaczniesz się pakować. Zabierzesz swoją żonę i matkę i zaszyjecie się w najgłębszej dziurze, jaką uda nam się z cicią Pol dla was znaleźć. - Zastanowiłem się chwilę. - Myślę, że to Val Alorn.

- Nie mówisz poważnie! - zaprotestowała Pol.

- Val Alorn nie jest takie złe, Pol, a Chamdar nie ukryje swego pochodzenia przed Cherekami, tak jak przed Sendarami. Cherekowie są zwykle jasnowłosi, a Chamdar z tą czarną brodą i skośnymi oczami zdecydowanie będzie się rzucał w oczy na ulicach Val Alorn. Król Eldrig przyrzekł nagrodę za głowę każdego Angaraka złapanego w jego królestwie. To całkiem pokaźna sumka. Zdecydowanie zachęca Chereków do wypatrywania obcych. Porozmawiam z Eldrigiem i znajdziemy jakąś wioskę, w której nie mieszkają weterani wojny w Arendii.

Gelane wyglądał na zdezorientowanego.

- Twój dziadek i ja trochę rzucaliśmy się w oczy pod Vo Mimbre, Gelane - wyjaśniła mu Pol. - Ktoś, kto tam był, mógłby mnie rozpoznać, a Cherekowie zbyt dużo gadają po pijanemu, czyli prawie każdego wieczoru.

- Cofnijmy się trochę w czasie - powiedziałem do Gelane. - Jak dokładnie udało się Chamdarowi wciągnąć cię w szeregi czcicieli Niedźwiedzia?

- Zaczął od ostrzeżenia, że powinienem być bardzo ostrożny, ponieważ różni ludzie mnie szukają, a nie wszyscy wyglądają jak Angarakowie. Powiedział, że jedynymi ludźmi, którym mogę zaufać, są Alornowie. Potem powiedział, że w królestwach Alornów jest zakon religijny, który przysiągł mnie chronić i przywrócić należne mi miejsce na tronie we Dworze Rivańskiego Króla. Tak mi zawrócił w głowie, że nawet mu to ułatwiłem. Powiedziałem, że chciałbym spotkać się z ludźmi, którzy są mi tak oddani. On jednak odparł, że członkom Kultu Niedźwiedzia nie wolno ujawniać swej tożsamości nikomu, kto nie jest jego członkiem. Dasz wiarę, że zgłosiłem się na ochotnika?

- On bardzo starannie cię do tego doprowadził, Gelane - odparłem. - Za każdym razem, gdy zaakceptowałeś to, co ci mówił, jego wpływ na ciebie rósł. Grolimowie są w tym bardzo dobrzy. Gdy już zgłosiłeś chęć wstąpienia w szeregi wyznawców, mógł nakłonić cię do zrobienia niemal wszystkiego.

- Czy pozostali Alornowie z Seline naprawdę czcili Niedźwiedzia?

- Zapewne tak myśleli, ale wątpię, aby prawdziwi wyznawcy choćby wiedzieli o ich istnieniu. Kult nie rozprzestrzenił się w Sendarii.

Ta mała grupka z Seline była zawieszona w próżni, całkowicie odizolowana od reszty. Mogę też sobie wyobrazić, że Chamdar dodał kilka szczegółów, które nie były częścią dogmatu kultu. Dla pewności jednak porozmawiam z królami Alorii. Myślę, że czas już ponownie zgnieść czcicieli Niedźwiedzia. - Rozejrzałem się. - Mamy sprawy do załatwienia. Może byśmy wrócili do miasta?

- Za chwilę, ojciec - powiedziała Pol. - Chamdar miał niemal pełną kontrolę nad Gelane przez kilka miesięcy. Chcę się upewnić, czy Gelane całkowicie uwolnił się spod jego wpływu.

- To chyba niezły pomysł, Pol - przyznałem.

- To nie będzie bolało, Gelane - zapewniła. Potem ujęła go za prawą rękę - tę z charakterystycznym znamieniem na dłoni - i położyła ją na swym białym loku. Jej wzrok natychmiast przybrał nieobecny wyraz, a oczy Gelane otworzyły się bardzo szeroko. Odniosłem wrażenie, że ich umysły nigdy przedtem jawnie się nie dotknęły. Potem Polgara lekko pocałowała go w policzek.


- Kilka śladów, to wszystko, ojciec - oznajmiła - a i one już nikną. Wątpię, aby Chamdar mógł zmusić go choćby do podniesienia palca.


- Dobrze. Wracajmy do miasta i zaczniemy pakowanie. Z samego rana ruszamy do stolicy. Znajdę jakiegoś kapitana z Chereku i załatwię przeprawę do Val Alorn.

- Przez przesmyk? - zapytała z niechęcią Pol.

- To najkrótsza droga, Pol, a ja chcę wrócić najszybciej, jak będę mógł. Chcę go dopaść i raz na zawsze się go pozbyć.

- Tak! - krzyknął zapalczywie Gelane.


Oczywiście do tego nie doszło. Murg Asharak miał jeszcze do zrobienia coś bardzo ważnego. Jego śmierć otworzyła umysł Gariona i skierowała spadkobiercę na obecną drogę.



Nie oznacza to, iż przez kilka lat nie szukałem nieuchwytnego Grolima. W końcu dałem za wygraną i wróciłem do Doliny. Pol, Gelane i ich rodzinka osiedlili się w małej wiosce jakieś dziesięć mil od Val

Alorn. Byli tam całkiem bezpieczni - jeśli jakiegokolwiek miejsce na świecie było naprawdę bezpieczne dla spadkobiercy Rivy.

Beldin wrócił z Mallorei, gdy szukałem podwładnego Ctuchika. Wpadł do mojej wieży tego ranka, kiedy nareszcie wróciłem do domu. Usłyszałem wiele niepochlebnych słów, gdy opowiedziałem mu, jak Chamdar mnie przechytrył, ale nie obraziłem się - sam zwymyślałem się jeszcze gorzej. Pozwoliłem mu marudzić, dopóki nie zaczął się powtarzać. Wówczas mu przerwałem.

- A co słyhać w Mallorei? - zapytałem.

- Pamiętasz tego młodziana z Mal Zeth, o którym ci opowiadałem? - odparł. - Wnuka starego cesarza, którego Torak po opuszczeniu Ashaby usunął z tronu?

- Mgliście. Nazywał się chyba Korzeth?

- To imię, które nadano mu przy urodzeniu. Teraz jednak wielu ludzi w Mallorei nazywa go inaczej. Po skończeniu czternastu lat odsunął od władzy dziadka i sam włożył koronę. Pod pewnymi względami jest równie bezlitosny jak Torak. Nie wiem, czemu pragnął tronu. Nigdy na nim nie zasiada. Cały czas spędza w siodle. Jednoczy Malloreę. Cały kontynent po kostki jest skąpany we krwi. Korzeth nawet nie zwraca sobie głowy pytaniem ludzi, czy akceptują jego rządy. Po prostu zabija wszystkich, którzy mu się nawiną. Będzie mieć cesarstwo, gdy skończy. Nie będzie w nim zbyt wielu ludzi, ale przynajmniej wszystkie ziemie będą do niego należeć.

- Można powiedzieć, że to redukuje zagrożenie ze strony Mallorean - zauważyłem z zadowoleniem. - Czy Zedar nadal siedzi w tej grocie z ciałem Toraka?

- Siedział, gdy ostatni raz tam zaglądałem. Przeleciałem tamtędy w drodze do domu.

- Czy Murgowie robią coś godnego uwagi?

- Jedynie umacniają mury swych miast. Myślę, że spodziewają się inwazji.

- Po co mielibyśmy to robić? Pod Vo Mimbre osiągnęliśmy wszystko, co chcieliśmy.

- Murgowie obawiają się nie tyle nas, co Rana Borune. Po tych dwóch katastrofach nie zostało zbyt wielu Murgów, ale wszystkie kopalnie złota nadal tam są. Chyba się obawiają, by Ran Borune nie zaczął im podgryzać Cthol Murgos.

- Domyślasz się, co Ctuchik knuje?

- Nie mam pojęcia. O ile wiem, siedzi w Rak Cthol. Urvon wrócił do Mal Yaska i też się stamtąd nie rusza. Chyba Vo Mimbre przekonało Angaraków, by dać pokojowi szansę.

- To dobrze. Potrzebuję wypoczynku. Masz już sprecyzowane jakieś palny?

- Myślę, że wrócę do południowego Cthol Murgos i będę miał oko na Zedara. Jeśli postanowi ruszyć Starą Spaloną Gębę, to wołę o tym wiedzieć.

Po odejściu Beldina wałęsałem się po swej wieży. Co jakiś czas zabierałem się za sprzątanie pokładów wiekowego kurzu i śmieci. Nie było to jednak moje główne zajęcie. Zwykle znajdowałem sobie coś bardziej interesującego do roboty niż sprzątanie.

Byłem już w domu od miesiąca, gdy pewnego pogodnego, wiosennego ranka do mojej wieży przyszli bliźniacy.

- Znaleźliśmy w Kodeksie Darińskim coś intrygującego, Belgaracie - powiedział Beltira.

- Co?

- Jest w nim wzmianka o kilku „pomocnikach”. Nie będą tak ważni jak Przewodnik czy Władca Koni, ale też będą mieli swój wkład.

- Przyjmę każdą pomoc. Co w tym takiego intrygującego?

- Z tego, co udało nam się dowiedzieć, będą to Nadrakowie.

- Nadrakowie? - Byłem tym nieco zaskoczony. - Czemu jakiś Angarak miałby nam pomagać?

- Kodeks Dariński tego nie mówi, a nie znaleźliśmy jeszcze odpowiedniego fragmentu w Kodeksie Mrińskim.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Nadrakowie nigdy szczególnie nie przepadali za Murgami czy Thullami - dumałem. - Teraz, gdy Torak śpi, może zechcą się

uniezależnić. W zasadzie obecnie i tak nic nie robię. Może powinienem się rozejrzeć.

- Ci „pomocnicy” jeszcze się nie pojawili - zauważył Belkira. - I nic nie wiemy o rodzinach, z których się wywiodą.

- Trudno - przyznałem - ale trochę powęszę i spróbuję chociaż wysondować nastroje panujące wśród Nadraków.

- To chyba nie zaszkodzi - przyznał Beltira.

- Będę się z wami kontaktował od czasu do czasu - obiecałem. - Dajcie mi znać, jeśli znajdziecie coś w Kodeksie Mrińskim. Kilka dodatkowych szczegółów może pomóc mi w odszukaniu tych rodzin.

To nie było szczególnie pilne zadanie, więc w drodze na północ zatrzymałem się w Twierdzy i kupiłem sobie konia. Podróżowanie w inny sposób wiązało się ze sporym wysiłkiem, a ja byłem w dość leniwym nastroju.

Dotarcie do Boktoru zajęło mi kilka tygodni. Drasanie właśnie odbudowywali swoją stolicę. W pewnym sensie Kal Torak wyświadczył Drasanom przysługę, niszcząc im wszystkie miasta. Miasta Alornów zawsze miały tendencje do pewnego rozłazenia się. Ich ulice biegły tam, gdzie akurat było wygodnie. Teraz Drasanie mieli szansę od nowa zaplanować swoje miasta. Rhodara znalazłem na naradzie z architektami. Dyskutowali właśnie zawzięcie na temat bulwarów. Jedna szkoła preferowała szerokie, proste ulice. Druga wołała wąskie i kręte, usprawiedliwiając ich niewygodę „przytulnością”.

- A co ty sądzisz, Belgaracie? - zapytał mnie Rhodar.

- To zależy, czy chcesz zbudować drugie Tol Honeth, czy drugie Val Alorn - odparłem.

- Myślę, że Tol Honeth - powiedział Rhodar. - Tolnedranie zawsze traktowali nas z wyższością, z powodu wyglądu naszych miast. Dość już mam określeń typu „oryginalne”.

- Czy miałeś jakieś kontakty z Nadrakami od czasów wojny? - zapytałem.

- Żadnych oficjalnych. Wzdłuż granicy trochę handlują, a w Górach Nadraku zawsze są poszukiwacze złota. Złóża nie są tam tak bogate, jak

w południowym Cthol Murgos, ale jest tam dosyć złota, by przyciągać ludzi z innych krajów.

To mi podsunęło pewien pomysł.

- Myślę, że właśnie rozwiązałeś mój problem, Rhodarze.

- Jaki?

- Muszę rozejrzeć trochę po Gar og Nadrak i wolałbym nie rzucać się w oczy. Nadrakowie pewnie przyzwyczaili się już do widoku obcych w tych górach, więc znajdę sobie łopatę i ruszę szukać złota.

- To bardzo nudne zajęcie, Belgaracie.

- Nie na mój sposób.

- Nie bardzo rozumiem.

- Tak naprawdę nie interesuje mnie złoto. Ja chcę tylko powłóczyć się trochę i popytać. Narzędzia będą tłumaczyć moją obecność.

- Dobrej zabawy - powiedział. - Teraz, jeśli mi wybaczysz, mam miasto do zbudowania.

Kupiłem trochę sprzętu, jucznego muła i ruszyłem przez mokradła do granicy z Nadrakiem. Było wczesne lato, więc zwykle posępne mokradła były całe w kwiatach, toteż podróż była nawet przyjemna.

Angarakowie zostali tak doszczętnie pobici pod Vo Mimbre, że ich społeczności uległy faktycznemu rozkładowi. Na przejściu granicznym nie było żadnych straży. Byłem pewny, że mnie obserwowano. Jednak muł i te wszystkie narzędzia wyjaśniały moją obecność, dlatego Nadrakowie pozwolili mi przejść bez przeszkód.

Podążyłem Północnym Szlakiem Karawan. Pierwszym miastem, na jakie się natknąłem, było Yar Gurak. Był to raczej bardziej obóz górniczy niż prawdziwe miasto. Rozłożyło się na obu brzegach mulistego potoku. Większość budynków przypominała szałas byle jak sklecone z bali i płótna namiotowego. W ciągu minionych stuleci przechodziłem przez tę osadę kilkakrotnie i niewiele się zmieniło. Silk bywał tam dość często. Zahaczaliśmy też o nią w drodze do Cthol Mishrak, gdy Garion spieszył na spotkanie z Torakiem. W Yar Gurak nikt nie zatrzymuje się na dłuższy czas, jego mieszkańcy z braku poczucia obywatelskiego obowiązku nie budują trwałszych domów. Rozbiłem namiot na końcu błotnistej ulicy i bez trudu wmieszałem się

pomiędzy ludzi. Górnicze obozy w górach Gar og Nadrak są bardzo kosmopolityczne i pytania natury osobistej uważane są za przejaw złego wychowania.

Oczywiście dochodziło do drobnych nieporozumień. W końcu mieliśmy za sobą wojnę, ale poza kilkoma burdami w karczmach było raczej spokojnie. Ludzie żyjący w Yar Gurak szukali złota, nie bijatyk. Po kilku dniach pobytu, gdy moja twarz zrobiła się już tu i ówdzie znana, zacząłem odwiedzać dużą karczmę. W niej koncentrowało się tak zwane życie towarzyskie Yar Gurak. Podawałem się za Sendara. Mieszkańcy Sendarii stanowią taką mieszankę ras, iż moje osobliwe rysy nie zwracały zbyt dużej uwagi.

W Yar Gurak było sporo samotnych poszukiwaczy złota. Jednak o wiele popularniejsze było wyprawianie się w góry we dwóch lub trzech. W tej części świata nie obowiązywały żadne prawa i bezpieczniej było mieć koło siebie przyjaciela - na wypadek gdyby ci się poszczęściło i znalazłbyś złoto. Zawsze trafiają się ludzie uważający, że kradzież jest łatwiejsza od kopania.

Zawarłem znajomość z rubasznym Nadrakiem imieniem Rablek. Rablek wrócił do Yar Gurak po zapasy i zabawił tu nieco dłużej z tęsknoty za piwem i towarzystwem. W ubiegłym roku miał spółkę z Tolnedraninem, ale jego przyjaciel zbłądził na tereny Morindlandu i banda Morindimów, raczej nieprzypadkowo, pozbawiła go głowy. Po zawarciu bliższej znajomości Rablek wystąpił z propozycją, na którą czekałem. Siedzieliśmy właśnie w karczmie, popijając dość ostre w smaku nadrackie piwo. Rablek był smukłym facetem o czarnych włosach i zmierzwionej brodzie.

- Wyglądasz na rozsądnego gościa, Garacie - powiedział. - Co byś powiedział, gdybyśmy stworzyli zespół i razem ruszyli na poszukiwanie złota?

Zauważcie, że wróciłem do swego pierwotnego imienia. Zdarzało mi się to niekiedy. Przybrane imiona są czasem niewygodne, szczególnie jeśli się zapomni, którego się właśnie używa. Spojrzałem na niego spod oka.

- Chrapiesz? - zapytałem.

- Nie jestem pewny. Zwykle wtedy śpię. Jednak nikt nigdy się nie skarżył.

- Chyba możemy spróbować - powiedziałem. - Jeśli okaże się, że nie pasujemy do siebie, to zawsze możemy się rozstać.

- Potrafisz się bić? Zrozum, nie chcę być wścibski, ale być może przyjdzie nam bronić tego, co znajdziemy.

- Zwykle daję sobie radę.

- To mi wystarczy. Równe udziały?

- Jasne.

- Zatem ustalone. Jestem gotów spróbować. Zahaczę o twój namiot jutro rano i możemy się stąd zabierać. Już zaspokoilem swój głód cywilizacji.

Z naszych rozmów dowiedziałem się co nieco o Rableku. W czasie ostatniej wojny zmuszono go do służby wojskowej. Był jednym z nielicznych Nadraków, którym udało się uciec z rzezi pod Vo Mimbre. Miał swoje poglądy i raczej ich otwarcie nie głosił. Po paru dniach spędzonych w górach wiele się o nim dowiedziałem - i o innych Nadrakach. Zapewniał mnie, że wszyscy Nadrakowie przede wszystkim gardzą Murgami i to samo czują do Mallolean. Rablek z przyzwyczajenia spluwał za każdym razem, gdy wspominał Kal Toraka. Choć mój towarzysz nie powiedział tego wprost, odniosłem wrażenie, że miał w przeszłości jakieś zatargi z Grolimami. Rablek skory jest do noża, gdy go ktoś zdenerwuje. Ctuchik mógł całkowicie zastraszyć Murgów i Thullów, ale jego Grolimowie w najlepszym razie mieli jedynie nieznaczny wpływ na Nadraków. Z tego, co mówił mi Rablek, lepiej było dla Grolimów, by nie kręcili się sami po Gar og Nadrak. Rablek dawał do zrozumienia, że samotnemu Grolimowi mogą przydarzyć się różne wypadki w lasach i górach tej najdalej na północ wysuniętej części królestwa Angaraków.

Im dłużej rozmawiałem z Rablekiem, tym lepiej rozumiałem ów dziwny fragment Kodeksu Darińskiego. Społeczeństwo Angaraków nie było tak jednolite, na jakie wyglądało. A jeśli ktokolwiek miałby się z niego wyłamać, to z całą pewnością będą to Nadrakowie.

A potem, czy dacie wiarę, znaleźliśmy złoto! Penetrowaliśmy północny skraj gór w pobliżu owej niewyraźnej granicy z Morindlandem. Posuwaliśmy się wzdłuż rwącego górskiego potoku, którego spienione wody spływały po ogromnych głazach i tworzyły rozlewiska pełne wirów i spienionej zielonej wody. Wówczas to odkryłem jeden z aspektów tego, co z braćmi nazywaliśmy „uzdolnieniami”, a z którego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy. Wyczuwałem obecność złota! Rozejrzałem się. Było tam; wiedziałem o tym.

- Wieczór nadciąga - powiedziałem do swego towarzysza. - Może rozbijemy tu obóz i przierzucimy kilka łopat ziemi, nim się ściemni?

Rablek rozejrzał się.

- To miejsce nie wygląda zbyt obiecująco - powiedział.

- Nie upewnimy się, dopóki nie spróbujemy.

- Czemu nie? - zgodził się, wzruszając ramionami. Pozwoliłem, by to on znalazł kilka pierwszych samorodków.

W końcu nie chciałem się zbyt zdradzać. Odkryliśmy całkiem bogate złożo czystego złota, naniesionego z gór przez strumień.

Zbiliśmy fortunę. Byłem rzeczywiście bogaty, a to nie zdarzało mi się w życiu często. Zostaliśmy w tamtym miejscu i zbudowaliśmy szałas. Przekopywaliśmy strumień z jednego końca na drugi. Nadeszła zima, ale my się nie ruszyliśmy. Pracować nie bardzo się dawało, ale nie mieliśmy zamiaru odejść i porzucić złoża. Naturalnie przysypał nas śnieg. W ciągu tych długich miesięcy Rablek opowiadał mi o sobie z coraz większą otwartością. Podczas tej zimy sporo się o nim dowiedziałem, a złoto było rodzajem premii.

Nadeszła wiosna, a wraz z nią banda Morindimów. Ustawiliśmy zwyczajowe znaki ostrzeżenia o zarazie i kłątwie, ale był z nimi młody uczeń czarownika, który na tyle znał już swoje rzemiosło, że zneutralizował nasze znaki.

- Sprawy nie przybierają dobrego obrotu, Garacie - powiedział posępnie Rablek, spoglądając przez szczelinę w ścianie szałasu na zbliżających się Morindimów. Było ich ze dwudziestu, wszyscy

odziani w skóry. - Jeszcze trochę i będziemy mieć tych dzikusów na karku.

Mieliśmy oczywiście łuki, ale zimowe polowania na jelenie znacznie uszczupliły zapasy strzał.

Zakląłem.

- Jak bardzo jesteś tolerancyjny, Rableku? - zapytałem.

- Nie jestem gotów zaprosić w gości dwudziestu Morindimów.

- Moim zdaniem miarka się przebrała. Mam zamiar zrobić coś trochę niezwykłego. Nie denerwuj się.

- Jeśli tylko znajdziesz sposób na pozbycie się tych bydlaków, to potrafię zapanować nad sobą.

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Nie miałem też jak ukryć przed swoim towarzyszem tego, co robiłem. Starannie sformowałem w myślach obraz średnich rozmiarów demona i wcieliłem się w niego.

Rablek odskoczył. Oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Zostań tam! - warknąłem na niego mrozącym krew głosem demona.

- Nie wychodź i lepiej nie patrz. Będzie jeszcze gorzej.

Potem wyłamałem drzwi, by stawić czoło nadchodzącym Morindimom.

Jak już chyba wspominałem, czarownik Morindimów był niedoświadczonym żółtodziobem. Być może potrafiłby przywołać diabełka wielkości myszy, ale coś większego przekraczało jego możliwości. By zmartwić go jeszcze bardziej, powiększyłem się do pełnych rozmiarów Naczelnego Demona.

Morindimowie uciekli, wrzeszcząc z przerażenia. Czarownik biegł na czele. Był młody i bardzo chyży.

Wróciłem do własnej postaci i wszedłem do szałas.

- Kim ty jesteś, Garacie? - zapytał drżącym głosem Rablek, gdy przeszedłem przez zdruzgotane drzwi.

- Jestem twoim współnikiem, Rableku. To wszystko, co musisz wiedzieć. Przybyliśmy tu razem, żeby zostać bogaczami. Może zabierzmy się do tego, nim stracimy więcej dziennego światła.

Rablek trząsł się gwałtownie.

- Gdzie ja miałem rozum przez te wszystkie miesiące? Powinienem rozpoznać to imię. Ty nie jesteś tylko Garathem. Ty jesteś Belgarathem, prawda?

- To nie wielkiego, wspólniku - usiłowałem go uspokoić. - To w końcu tylko imię. Przecież nie zrobiłem ci żadnej krzywdy, prawda?

- No cóż... jeszcze nie, zdaje się. - Nie wydawał się zbyt przekonany. - Słyszałem o tobie wiele opowieści.

- Mogę sobie wyobrazić. Większość z nich to propaganda Grolimów, wspólniku. W przeszłości nieraz pokrzyżowałem im plany, więc musieli wymyślać te niestworzone historie, żeby wytłumaczyć swe niepowodzenia.

- Czy naprawdę jesteś tak stary, jak mówią?

- Prawdopodobnie jeszcze starszy.

- Co robisz w Gar og Nadrak?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Bogacę się, mam nadzieję. Czy nie po to siedzimy obaj w tej głuszy?

- Tu się nie mylisz.

- A zatem nadal jesteśmy wspólnikami?

- Nie chciałbym, by było inaczej, Belgaracie. Czy ty wyczarowałeś to całe złoto, które znaleźliśmy?

- Nie. To naturalne złożę prawdziwego złota. Spoczywa tam, czekając, byśmy je wydobyli.

Rablek uśmiechnął się szeroko.

- A zatem, wspólniku, może zabralibyśmy się ponownie do pracy?

- Czemu nie? - zgodziłem się.





Złoto posiada urok, któremu trudno się oprzeć - i nie mówię tu tylko o czerwonym złocie Angaraków, którym Grolimowie kupują dusze ludzi pokroju jarla Jarviksholmu. Nim wiosna w pełni rozkwitła, zgromadziliśmy więcej złota, niż zdołałyby unieść nasze konie, ale nadal zwlekaliśmy z odejściem znad rwącego górskiego potoku.

W końcu udało mi się okiełznać własne pożądanie, ale jeszcze tydzień zajęło mi przekonanie współnika, że czas już odejść.

- Bądź rozsądny, Rableku - mówiłem. - Masz już więcej złota, niż będziesz w stanie wydać przez całe życie. A jeśli naprawdę jesteś taki zawzięty, to przecież wiesz, jak znowu tu trafić. Będziesz mógł wrócić i nakopać więcej, jeśli będziesz chciał.

- Mierzi mnie myśl o pozostawieniu choćby odrobiny - odparł.

- Ono nigdzie sobie stąd nie pójdzie, Rableku. Będzie tu zawsze, gdybyś potrzebował więcej.

Wiem, że to zabrzmiało nienaturalnie, ale lubiłem swego nadrackiego współnika. Był trochę szorstki i grubo ciosany, ale sam nie jestem aniołem, więc dobrze nam było razem. Nie bał się pracy, a gdy po zachodzie słońca odkładaliśmy narzędzia, potrafił opowiadać całymi godzinami, ja zaś lubiłem słuchać. Po spotkaniu z Morindimami był trochę wystraszony i oficjalny, ale w końcu doszedł do siebie. Znowu byliśmy parą druhów zbijających fortunę. Żaden z nas nie pamiętał o tym, że powinniśmy być naturalnymi wrogami. Całą swoją uwagę poświęciliśmy zdobywaniu bogactwa.

Ostatecznie zburzyliśmy szałas, zatarliśmy ślady naszego kopania najlepiej, jak potrafiliśmy, i ruszyliśmy z powrotem do Yar Gurak.

- Co planujesz zrobić ze swymi pieniędzmi? - zapytałem swego współnika w wieczór poprzedzający dotarcie do obozu górniczego.

- Chyba wejdę w handel skórami - odparł. - Można na tym sporo zarobić.


- Ty już masz sporo pieniędzy.

- Pieniądze niewiele znaczą, dopóki dla ciebie nie pracują, Belgaracie. Nie jestem z tych, co to leżeliby do góry brzuchem i obrastali w sadło. Znam handlarzy skórami, którzy co roku podwajają majątek

- Po co, bracie, skoro ty już masz więcej, niż potrafisz wydać?

- To gra, Belgaracie - odparł, wzruszając ramionami. - Pieniądze są jedynie sposobem notowania wyników. Wejdę w handel skórami właśnie dla gry, nie dla pieniędzy.

To otworzyło mi oczy i pozwoliło wejrzeć głęboko w naturę Nadraków. Przynajmniej rozumiałem, dlaczego Nadrakowie tak bardzo nie lubią Murgów.


Nieważne. To zbyt złożone, by teraz wyjaśniać.


Rozstaliśmy się na obrzeżu Yar Gurak. Uznałem, że nie mam powodu wracać do tego wstrętnego miejsca. Co więcej, miałem w sakwach przy siodle sporo złota i nie chciałem, żeby podczas mego snu grzebali w nich wścibscy ludzie.

- To była dobra zabawa, prawda, Belgaracie? - powiedział z odrobiną smutku Rablek, gdy siodłaliśmy konie.

- Tak, przyjacielu.

- Jeśli kiedyś będzie ci się nudzić, to poszukaj mnie. Góry zawsze tam będą i wystarczy słowo, bym z tobą wyruszył.

- Miej się dobrze, Rableku - powiedziałem, ściskając mu serdecznie dłoń.

Granica Nadraku nadal nie była strzeżona. Wjechałem do Drasni z poczuciem pewnej ulgi. Z lekkim zaskoczeniem stwierdziłem, że moje nagłe wzbogacenie się uczyniło mnie nerwowym i lęklwym. Cóż za osobliwa rzecz! Gdy byłem jedynie biednym włóczęgą, bez zastanowienia mogłem się wszędzie wybrać. Teraz, gdy byłem majątny, wszystko uległo zmianie.

Przejechałem przez Algarię w ostatni dzień lata roku 4881 i dotarłem do Doliny, gdy jesień właśnie zaczęła złocić liście. Kolor pasował do mego nastroju i bagażu w sakwach. Schowaliśmy z Rablekiem owoce naszego trudu do solidnych worków płóciennych. Ja miałem ich czterdzieści. Całe godziny wnosiłem je na górę mej wieży.

Następnego dnia zbudowałem prowizoryczny piec metalurgiczny i przetopiłem swoje złoto w sztaby. Wydaje się, że czterdzieści sakw złota to dużo, ale kruszec jest tak ciężki, że sztaby nie były wcale duże. Gdy ułożyłem je w kącie, poczułem rozczarowanie, tak mały był stos. Siedziałem i zastanawiałem się, czy zdążyłbym dogonić Rableka, nim opuści Yar Gurak. Ostatecznie w naszym strumieniu, nieopodal granicy z Morindlandem, nadal jeszcze było dużo złota.



No dobrze, oczywiście byłem zachłanny. Opowiadałem wam, jaki żywot wiodłem, nim wstąpiłem na służbę do Mistrza, a pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Wiele o tym myślałem. Za każdym razem, gdy nachodziła mnie nieprzeparta chęć powrotu nad ten bezimienny strumyk. Jednakże potem, zwykle o szarym świcie, rozsądek podnosił swój wstrętny łeb. Po co u licha człowiekowi takiemu jak ja pieniądze? Jeśli naprawdę czegoś zapragnę, to zwykle jakoś to zdobędę - lub sobie zrobię. Na dłuższą metę, to o wiele łatwiejsze niż kopanie złota. Ale na złoto tak miło popatrzeć i to takie podniecające, gdy się je znajduje.

Z czasem wydałem kilka sztabek, ale niezbyt wiele. Większość z nich nadal gdzieś tu jest.

Wybaczcie mi na chwilę. Pogrzebię trochę, może uda mi się je znaleźć.



Rok po powrocie z Gar og Nadrak, Pol zawiadomiła mnie, że żona Gelane, Enalla, w końcu urodziła syna. Od dwudziestu lat byli już małżeństwem i Gelane zbliżał się do czterdziestki. Bezdziетność Enalli wszystkich nas bardzo niepokoiła. Biorąc pod uwagę fakt znaczenia tej rodziny, z pewnością zrozumiecie dlaczego. Znając jednak

zaangażowane w to siły, pewnie nie powinniśmy się martwić. Wybrałem się do Chereku, by przyjrzeć się swemu nowemu wnukowi. Stwierdziłem, że bardzo przypomina swego ojca, gdy ten był dzieckiem - jeszcze jeden dowód na działanie sił, o których wspomniałem.

Z pewnością zauważyliście, że dawno już porzuciłem wszystkie nudne „prapra... pra”. Dla mnie ci wszyscy płowowłosi chłopcy byli po prostu mymi wnukami. Wszystkich ich kochałem tak samo.

Jednakże Polgara każdego z nich kochała inaczej. Jednych więcej, innych mniej. Z wielu powodów szczególnie bliski był jej Gelane. Gdy zmarł w 4902 roku, dokładnie w dziewięćset lat po zamordowaniu króla Goreka, była wręcz zdruzgotana. Bliźniacy uznali tę datę za bardzo znaczącą i wertowali cały Kodeks Mriński w poszukiwaniu znaczenia tego wydarzenia. Jednak cichy przyjaciel Gariona pozostawał właśnie taki - cichy.

Nie sądzę, aby któryś z nas w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Polgara cierpiała z powodu tych ciągłych strat. Mnie martwiło jedynie zachowanie ciągłości linii, nie życie jej poszczególnych przedstawicieli. Moje związki z tymi spadkobiercami w najlepszym razie były luźne i ich odejście nie dotykało mnie tak bardzo. Miałem do tego dość filozoficzne podejście. Przyzwyczailem się, że ludzie rodzą się, dorastają, a potem umierają. Każdy, kto żyje dość długo, traci kilku członków rodziny, ale sytuacja Pol była wyjątkowa. Ona była bardzo blisko związana z tymi wszystkimi chłopcami i w ciągu tych dziewięciu stuleci przeżywała kolejno ich utratę. Smutek nie jest czymś, do czego można się przyzwyczać.

Wróciłem do Chereku po śmierci Gelane i uważnie przyjrzałem się jego synowi. Potem westchnąłem i oddaliłem się. Nie na niego czekaliśmy.

Mijały lata. Dla odmiany na Zachodzie panował spokój. Totalna klęska pod Vo Mimbire osłabiła Angaraków i w zasadzie zostawili nas w spokoju. Chamdar nadal gdzieś się czaił, ale nie przeszkadzał na tyle, by zwrócić moją uwagę. Byłem niemal pewny, że nie pojawi się w Chereku, by przysporzyć Polgarze kłopotów. Cherekowie są potomkami starożytnych Alornów. Drasanie nawiązali ostrożne stosunki z Nadrakami, Algarowie tolerowali Thullów, ale Cherekowie nie

złagodzą swych uprzedzeń rasowych wobec wszystkich Angaraków. Próbowałem czasami wytłumaczyć któremuś z Chereków, dlaczego te uprzedzenia nie są szczególnie chwalebne, ale nigdy chyba żadnego z nich nie przekonałem. Zapewne dlatego, że Belar pierwszy do nich dotarł. Nie zrozumcie mnie źle, lubię Belara, ale, na Bogów, jaki on jest uparty! Czasami myślę, że za nienawiścią Chereków do wszystkich Angaraków kryje się boska inspiracja. Muszę przyznać jednak, że była nam w ciągu owych lat bardzo na rękę, gdyż wyraźnie trzymała Chamdara z dala od Polgary.

Trzecia Dynastia Borunów panowała nadal. Już samo to wskazywało, że zanoszą się na coś bardzo ważnego. Kodeks Mriński wyraźnie mówił o tym, że żona Pogromcy Boga będzie księżniczką z rodu Borunów.

W Arendii sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Pokój, jaki wymusiliśmy na Asturii i Mimbre ślubem Mayaserany i Korodullina, naruszano coraz częściej, głównie dlatego, że mimbrańscy Arendowie odmawiali uznania tytułów asturskiej szlachty.

To obrażało porywczych asturskich Arendów i w pięćdziesiątym wieku doszło do wielu niemiłych incydentów.

Do Sendarii powrócił dobrobyt, gdy wznowiono coroczne spędы algarskiego bydła do Muros. Na Wyspie Wiatrów ponownie przywrócono ograniczony handel, ale obcy kupcy nadal nie mieli wstępu do miasta. Ulgosi w ogóle się nie zmienili, ale oni nigdy się nie zmieniają. Bogaci kupcy z Tol Honeth uznali ich udział w wojnie przeciwko Kal Torakowi za dobry znak. Mieli nadzieję, że Ulgosi złagodzą niektóre ograniczenia w sprawie handlu. Jednak ci wrócili do Prolgu, zeszli do swych jaskiń i zatrzasnęli za sobą drzwi.

Nyissanie posępnieli coraz bardziej. Ich ekonomia opierała się głównie na handlu niewolnikami, a jeśli nie było bitew, nie było nowych niewolników. Nyissanie zawsze krzywo patrzyli na zbyt długi okres pokoju.

Korzeth zakończył jednoczenie Mallorei. Przekazał nominalnie zjednoczone cesarstwo swemu synowi, ale faktycznego dzieła scalenia Mallorei dokonała biurokracja melceńska i ich polityka angażowania się w rządy wszystkich podbitych narodów.

Kell się nie zmieniło, podobnie jak Ulgoland.

Skoro nic się w zasadzie nie działo, miałem okazję wrócić do swych studiów. Zawsze denerwowało mnie, że ponowne przywrócenie sprawności mózgu trwa tym dłużej, im dłużej nie prowadziło się własnych badań. Studiowanie to bardzo intensywne zajęcie. Jeśli odłożyć je na jakiś czas, trzeba potem od nowa się uczyć. Wiedziałem o tym i dlatego złościłem się za każdym razem, gdy coś odciągało mnie od zasadniczego zajęcia mego życia. Długi okres względnego spokoju i ciszy pozwolił mi na prawie trzysta pięćdziesiąt lat nieprzerwanych studiów i sporo się w tym czasie dowiedziałem.

Naprawdę chcecie, abym przerwał w tym miejscu i wygłosił długi wykład o teorii liczb lub zasadach krytyki literackiej?

Nie sądzę, byście chcieli tego słuchać, wróćmy więc do naszego wielkiego dzieła.

Gdzieś w połowie pięćdziesiątego trzeciego wieku - w roku 5249 lub 5250 - skończyłem coś, nad czym pracowałem od dwudziestu lat. Uznałem przeto, że warto by się rozejrzeć po świecie. Zakradłem się więc do Cthol Murgos i zajrzałem do Ctuchika.

To wszystko, co zrobiłem - zajrzałem. Wyglądał na zajętego różnymi rozrywkami - niektóre były plugawe, inne obrzydliwe - zatem mu nie przeszkadzałem.

Z Rak Cthol udałem się na południe. Chciałem sprawdzić, czy uda mi się odnaleźć grotę, w której Zedar trzymał pogrążonego w śpiączce Boga. Nie było to zbyt trudne. Beldin siedział na grani u wylotu skalistego wąwozu.

- Zabiłeś już Ctuchika? - zapytał, gdy otrząsnąłem się z piór.

- Beldinie - odparłem zbolalym głosem - nie znasz innej recepty na kłopoty?

- Jestem prostym człowiekiem - odpowiedział, wyciągając swą sękatą rękę ze zdumiewającą szybkością. Pochwycił nieuważną jaszczurkę i zjadł ją żywą. - Zabijanie zawsze jest najprostszym sposobem rozwiązania problemu.

- Najprostszym nie znaczy najlepszym - powiedziałem. - Nie, nie zabiłem Ctuchika. Bliźniacy znaleźli w Kodeksie Mrińskim kilka wzmianek świadczących o tym, że będzie nam jeszcze później potrzebny. Osobiście nie mam zamiaru robić niczego, co mogłoby przeszkodzić biegowi wydarzeń. - Spojrzałem na drugi koniec wąwozu. - Czy Zedar nadal jest w grocie z Jednookim?

- Nie. Opuścił ją kilka lat temu.

- Czemu zatem wrosłeś tu w ziemię?

- Ponieważ bardzo możliwe, że Torak pierwszy dowie się o przyjsciu na świat Pogromcy Boga. Być może to będzie dla nas jedyne ostrzeżenie, że sprawy zaczynają zbliżać się do punktu kulminacyjnego. Dam ci znać, gdy zbrocze tamtej góry pęknie.

- Domyślasz się, dokąd poszedł Zedar?

- Nie mogę robić wszystkiego, Belgaracie. Ja będę pilnował Toraka; Zedar to twój problem. Co ostatnio porabiałeś?

- Udowodniłem, że trzy i trzy daje sześć - odparłem z dumą.

- I to zabrało ci trzy wieki? Potrafiłbym tego dowieść z pomocą garści fasoli.

- Ale nie matematycznie, Beldinie. Doświadczalny dowód w rzeczywistości niczego nie dowodzi, ponieważ badacz mógł być szalony. Pewność może dać tylko czysta matematyka.

- A jeśli przypadkowo obrócisz swoje równanie do góry nogami, to wszyscy pospadamy z powierzchni ziemi?

- Prawdopodobnie nie.

- Wybacz, bracie, ale ja bardziej ufam doświadczalnym dowodom. Być może czasami dostaję od tego lekkiego bzika, ale widziałem, co ci wychodziło, gdy próbowałeś dodać kolumnę cyfr.

Wzruszyłem ramionami.

- Nikt nie jest doskonały. - Przesunąłem się na zawietrzną. - Kiedy ostatnio się kąpałeś?

- Nie potrafię powiedzieć. Kiedy tu padało ostatni raz?

- To jest pustynia, Beldinie. Tutaj całe lata może nie padać.

- I co? Zawsze uważałem, że zbyt częste kąpiele osłabiają. Wracaj do domu, Belgaracie. Usiłuję nad czymś pracować.

- Tak? Nad czym?

- Usiłuję określić różnicę pomiędzy określeniami „dobry” i „zły”.

- Dlaczego?

Beldin wzruszył ramionami.

- To mnie interesuje, ot co. Przynajmniej mam zajęty umysł, czekając na następną kąpiel. Idź odszukać Zedara i przestań mnie niepokoić. Jestem zajęty.

Jeśli mam być szczerzy, miejsce pobytu Zedara wcale mnie nie interesowało. Sytuacja Toraka w zasadzie chwilowo wyłączała Zedara. Pokrążyłem więc trochę po królestwach Zachodu, zaglądając do rodów, które pielęgnowałem przez te wszystkie stulecia. Rodzina Lelldorina przebywała w Wildantor i była głęboko zaangażowana w różne intrygi przeciwko Mimbratom. Baron Vo Mandor, dziadek Mandorallena, zajęty był walkami z sąsiadami, które wybuchały zwykle z tajemniczych przyczyn. Klan Hettara hodował konie, przygotowując się, choć nie zdawali sobie z tego sprawy, do nadejścia Władcy Koni. Dziadek Durnika był wiejskim kowalem, a Relga fanatykiem religijnym, który większość czasu spędzał na podziwianiu swej czystości. Nie miałem pojęcia, gdzie była rodzina Taiby, kosztowało mnie to wiele bezsennych nocy. Wiedziałem, że wraz z rodziną płątała się gdzieś po świecie, ale zupełnie straciłem jej ślad po tolnedrańskiej inwazji na Maragor.

Przed udaniem się na północ, do Drasni i Chereku, wpadłem do Tol Honeth. Zawsze lubiłem mieć Borunów na oku. W tym czasie na tronie zasiadał Ran Borune XXI, który, jak się okazało, był prapradziadkiem Ce’Nedry. Wspominałem już o skłonności Tolnedran do poślubiania swych kuzynów i Ran Borune XXI nie był wyjątkiem. Skłonność do Driad zawsze była w rodzie Borunów dziedziczona w linii męskiej i męscy członkowie rodu byli Driadami zupełnie zauroczeni. Myślę, że mieli to już we krwi.

Prapradziadek Ce’Nedry miał około czterdziestki, gdy odwiedziłem jego pałac. Jego żona, Ce’Lanne, miała płomiennie rude włosy

i skłonność do sprzeczek. Czyniła życie imperatora bardzo ekscytującym.

Tolnedranie nadal hołdowali fikcji, że moje imię było alornskim tytułem. Uczni historycy z uniwersytetu wymyślili szalone teorie o bractwie czarodziejów. Do jej powstania przyczyniła się pewnie jakaś przypadkowa uwaga Beldina lub któregoś z bliźniaków. Bujna wyobraźnia historyków dokonała reszty. Wedle nich byliśmy zakonem religijnym. Pewien obdarzony fantazją gorliwiec posunął się nawet do sugestii, iż wrogość pomiędzy mymi braćmi, mną i uczniami Toraka była wynikiem dawniejszej schizmy w naszym zakonie.

Nigdy nie zwracałem sobie głowy prostowaniem tych wszystkich nieporozumień, ponieważ pomagały w uzyskaniu dostępu do każdego aktualnie panującego imperatora, a to oszczędzało mi sporo czasu.

Była zima, gdy dotarłem do Tol Honeth i stawiłem się w pałacu. Zimy nie są szczególnie ostre w Tol Honeth, więc przynajmniej nie musiałem przed oblicze cesarza brnąć przez śnieżne zasy.

- Zatem ty jesteś Prastarym Belgarathem - powiedział Ran Borune, gdy mnie mu przedstawiono.

- Tak mnie nazywają, wasza wysokość - odparłem.

- Zawsze zastanawiał mnie ten tytuł. - Jak wszyscy z tego rodu, był niskiego wzrostu i masywny tron sprawiał, że wyglądał trochę głupio. - Powiedz mi, Prastary, czy tytuł „Belgarath” jest dziedziczny, czy ty i twoi poprzednicy byliście wybierani losowo lub za pomocą wróżb?

- Dziedziczny, wasza wysokość - odparłem. No cóż, w pewnym sensie to była prawda. Zależy, jak zdefiniować słowo „dziedziczny”.

- Wielka szkoda - mruknął. - Byłoby bardziej interesujące, gdyby Belgaraci byli rozpoznawani po jakimś znaku danym z góry. Domyślam się, że przynosisz mi ważne wieści?

- Nie, wasza wysokość. Byłem w okolicy i pomyślałem, że dobrze by było wpaść i przedstawić się.

- To bardzo uprzejme z twojej strony. Jeden z moich przodków znał jednego z was, jak mi mówiono - jeszcze za czasów wojny z Angarakami.

- Tak, to prawda.

Imperator usiadł wygodniej w udrapowanym na czerwono tronie.

- To musiały być czasy. Pokój jest w porządku, jak mi się zdaje, ale wojny są bardziej podniecające

- Wiele w tym przesady - wyraziłem swoją opinię. - Na wojnie większość czasu albo się chodzi, albo siedzi, czekając, aż coś się wydarzy. Wierz mi, Ranie Borune, są lepsze sposoby na spędzanie czasu.

Wtem do sali tronowej wpadła jego żona.

- Co to za idiotyzm? - krzyczała głosem, który pewnie słyhać było w Tol Vordue.

- O jaki dokładnie idiotyzm ci chodzi, moja duszko? - zapytał całkiem spokojnie.

- Chyba nie pošlesz mojej córki na Wyspę Wiatrów w środku zimy!

- Nie moja wina, że jej urodziny przypadają w zimie, Ce'Lanno.

- Tak samo twoja, jak i moja!

Imperator zakaszlał odrobinę zakłopotany.

- Rivanie mogą poczekać do lata! - krzyczała.

- Traktaty stanowią, że musi tam być w dzień swych szesnastych urodzin, kochanie, a Tolnedranie nie łamią traktatów.

- Bzdura! Cały czas naciągasz traktaty!

- Ale nie ten. Na świecie panuje pokój i chcę, aby tak pozostało. Powiedz Ce'Bronne, żeby zaczęła się pakować. Przy okazji, to jest Prastary Belgarath.

Cesarzowa rzuciła mi przelotne spojrzenie.

- Czarujący - podsumowała krótko. Potem podjęła swoją tyradę, przytaczając różne powody, dla których niemożliwe jest, by jej córka, księżniczka Ce'Bronne, odbyła podróż do Rivy.

W tym momencie postanowiłem się wtrącić. Wiedziałem, że księżniczka Ce'Bronne nie była tą, na którą czekaliśmy, ale nie chciałem, by Borunom weszło w krew lekceważenie jednego z kluczowych postanowień traktatów z Vo Mimbre.

- Sam wybieram się do Rivy, wasza cesarska wysokość - powiedziałem do drobnej żony Rana Boruna. - Osobiście zaopiekuję się

twoją córką, jeśli sobie życzysz, pani. Mogę gwarantować za jej bezpieczeństwo i dopilnować, aby traktowano ją z należyтым szacunkiem.

- Jakie to wspaniałomyślne z twej strony, Belgaracie - szybko włączył się Ran Borune. - No to załatwione, Ce'Lanno. Nasza córka będzie w dobrych rękach. Alornowie darzą Prastarego Belgaratha ogromnym szacunkiem. Osobiście wszystkiego dopilnuję.

Gładko z tego wyszedł, muszę przyznać. Żył już ze swoją imperatorową na tyle długo, by wiedzieć, jak sobie z nią poradzić. Tak więc towarzyszyłem jej małej cesarskiej wysokości, księżniczce Ce'Bronne, w podróży na Wyspę Wiatrów w celu rytualnej prezentacji na Dworze Rivańskiego Króla, jak wymagały tego traktaty z Vo Mimbre. Ce'Bronne była równie zapalczywa jak jej matka i równie przebiegła jak córka jej bratanka. To, czego nie osiągnęła krzykiem, zwykle zdobywała przymilaniem się. Mimo to nawet ją lubiłem. Przez pierwsze dni na pokładzie statku dąsała się. W końcu miałem tego dość.

- O co ci chodzi, młoda damo? - zapytałem przy śniadaniu czwartego dnia od wyruszenia z Tol Honeth.

- Nie chcę poślubić Alorna!

- Tym się nie martw - oświadczyłem. - Nie będziesz musiała.

- Skąd ta pewność?

- Rivański Król jeszcze nie przybył. Jeszcze dość długo go nie będzie.

- Każdy Alorn może przybyć do Rivy i podać się za Spadkobiercę Rivy. Mogę zostać zmuszona do poślubienia człowieka z ludu.

- Nie, moja droga - rzekłem. - Po pierwsze, żaden Alorn nie zrobiłby czegoś takiego, a po drugie, uzurpator nie przeszedłby testu.

- Jakiego testu?

- Tylko prawdziwy Rivański Król może zdjąć ze ściany w sali tronowej miecz Rivy. Uzurpator nawet młotem kowalskim nie oddzieliłby go od kamienia. Klejnot by o to zadbał.

- Widziałeś kiedyś ten tajemniczy Klejnot?

- Wiele razy, moja droga. Zaufaj mi. Nie będziesz zmuszona do poślubienia żadnego Alorna.

- Ponieważ nie jestem dość dobra? - wybuchła. W mgnieniu oka potrafiła zmienić front.

- To nie ma z tym nic wspólnego, Ce'Bronne - odparłem. - Po prostu jeszcze nie nadszedł właściwy czas. Wiele rzeczy musi się najpierw wydarzyć.

Księżniczka zmrużyła oczy. Jestem pewny, że cały czas w moich słowach dopatrywała się obelgi.

- No dobrze - powiedziała w końcu trochę niegrzecznie - zgadzam się. Ale trzymam cię za słowo, starcze.

- Nie inaczej, księżniczko.

Tak oto księżniczka imperium, Ce'Bronne, dotarła na czas do Rivy. W Cytadeli alornskim damom pobłażliwością i pochlebstwami udało się ją nakłonić do prawie uprzejmego zachowania. Dokonała obowiązkowej prezentacji w sali tronowej i odczekała wymagane trzy dni, a potem zabrałem ją z powrotem do domu.

- Nie było wcale tak źle, prawda? - zapytałem, gdy zeszła na jedno z marmurowych nabrzeży Tol Honeth.

- No cóż, chyba nie - odparła. Roześmiała się, zarzuciła mi na szyję swe drobne ramiona i ucałowała mnie siarczyście.

Poczekalem w Tol Honeth do nadejścia wiosny, a potem poleciłem wojennemu okrętowi Chereku zabrać mnie na północ. Udałem się do Trelheim, by zajrzeć do dziadka Baraka, który był równie wielki i rudobrody jak Straszliwy Niedźwiedź i niemal tak inteligentny jak on. W Trelheim chyba wszystko było w porządku, zatem udałem się do wioski, w której Polgara doglądała rodziny Garionowego prapradziadka, jeszcze jednego z owych Geranów. Pol lubiła wpłatać owo imię niemal w każde pokolenie. Myślę, że miało to coś wspólnego z jej potrzebą zachowania ciągłości. Ten Geran właśnie poślubił jasnowłosą cherecką dziewczynę i sprawy zdawały się układać jak należy.

Po rodzinnym powitaniu w końcu miałem okazję porozmawiać ze swą córką na osobności.

- Zdaje się, że będziemy mieć kłopoty z księżniczkami Driad, gdy przyjdzie czas - ostrzegłem ją.

- Tak? Jakiego rodzaju?

- Nie grzeszą potulnością. Żeniliśmy tych wszystkich młodzieńców z alornskimi dziewczętami, a kobiety Alornów są dość potulne. Driad z rodu Borunów nie sposób uznać za potulne. Są kapryśne, rozpieszczone i bardzo przewrotne. - Opowiedziałem jej o księżniczce Ce'Bronne i naszej podróży do Rivy.

- Zajmę się tym, ojcze - zapewniła mnie.

- Z pewnością, Pol, ale uważam, że powinienem cię przestrzec. Przekonasz się, że Rivańska Królowa nie grzeszy grzecnością. Nigdy jej nie wierz.

- Poradzę sobie z nią, gdy przyjdzie czas, ojcze. Dokąd się stąd wybierasz?

- Do Drasni. Sprawdzę, co słyhać u rodziny Przewodnika.

- Czy ten czas w końcu nadchodzi?

- Bliźniacy uważają, że tak. Zaczynają już dostrzegać pewne znaki. Sądzą, że to, na co czekamy, wydarzy się w następnym stuleciu.

- A wówczas będę bez pracy, czy tak?

- Myślę, że znajdziemy ci jakieś zajęcie, Pol.

- Straszne dzięki, staruszku. Skoro to już tak niedługo, to pomyślę chyba o przeniesieniu się do Sendarii. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Równie dobrze jak ty potrafię czytać w Kodeksie Mrińskim i Darińskim, ojcze. Wiem, gdzie powinien urodzić się Pogromca Boga.

- Faktycznie, lepiej o tym pomyśleć - przyznałem. - Gdy skończę w Drasni, wrócę do Doliny i porozmawiam z bliźniakami. Może znaleźli coś bardziej konkretnego. To nie jest najlepszy czas na popełnianie błędów.

- Kiedy ruszasz do Drasni?

- Jutro. Nie upiekłabyś na śniadanie jednego z tych placków czereśniowych, Pol? Nie jadłem go już chyba ze sto lat i naprawdę za nim tęsknię.

Polgara przeszła mnie wzrokiem.

- Twoje są najlepsze, Pol - oznajmiłem, nawet się nie uśmiechając. - Mam pomysł. Gdy już posadzimy Pogromcę Boga na tronie, będziesz mogła otworzyć cukiernię.

- Postradałeś rozum?

- Powiedziałaś, że będziesz szukać pracy, Pol. Ja ci tylko podsunąłem pomysł.

Pol okazała tyle przyzwoitości, by się roześmiać.

Następnego ranka wyruszyłem do Drasni. Dziadek Silka zajmował się importem, głównie przypraw, a przy okazji pracował dla drasańskiego wywiadu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Wszyscy drasańscy kupcy pracowali dla wywiadu. I tym razem wszystko szło zgodnie z planem, więc wróciłem do Doliny.

Po przybyciu do domu nieco zaskoczyła mnie nieobecność bliźniaków. Zostawili mi dość tajemniczą wiadomość - coś o pilnym wezwaniu od Polgary. Próbowałem połączyć się z nimi w myślach, ale z jakiejś przyczyny nie odpowiadali. Chwilę pokląłem, po czym ruszyłem z powrotem do Chereku. Zaczynałem mieć już dość tych wszystkich podróży.

Była pełnia lata, gdy ponownie dotarłem do Val Alorn. Udałem się do wioski, w której mieszkała ze swą rodziną Pol. Jednak jej nie zastałem. Bliźniacy doglądali wszystkiego. Na pytanie o Pol odpowiadali dość wymijająco.

- Prosiła, byśmy ci nie mówili, Belgaracie - wyznał Beltira ze zboląłą miną.

- A ja proszę, byście to zignorowali - oświadczyłem stanowczo. - No już, dajcie spokój. Nie mam czasu przetrząsać świata w jej poszukiwaniu. Dokąd się udała?

Bliźniacy spojrzeli po sobie.

- Jest już daleko przed nim - odezwał się do Belkira. - Nie sądzę, aby ją dogonił, więc chyba możemy mu powiedzieć.

- Pewnie masz rację - przyznał Beltira. - Udała się do Nyissy, Belgaracie.

- Nyissy? Po co?

- Pol ma swoje źródła informacji... i instrukcji. Oczywiście wiedziałeś o tym, prawda?

Już od dość dawna wiedziałem, że Pol otrzymywała osobne instrukcje. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogły one pochodzić z innego źródła niż moje. Skinąłem głową.

- W każdym razie Pol otrzymała ostrzeżenie, że Ctuchik kontynuuje coś, co Zedar robił na początku piątego tysiąclecia. Utrzymuje kontakt z obecną Salmissarą i jest o krok od przekonania jej, by do niego dołączyła. Pol polecono, by udała się do Sthiss Tor i porozmawiała z nią o tym.

- Dlaczego Pol? - zapytałem. - Ja mogłem się tym zająć.

- Pol nie wdawała się zbyt w szczegóły - odparł Belkira. - Wiesz, jaka jest czasami. Najwyraźniej potrzeba tam kobiecej ręki.

- Nie my jedni mamy proroctwa, Belgaracie - przypomniał mi Beltira. - Salmissary mają swoje sposoby na zajrzenie w przyszłość. One wszystkie o wiele bardziej obawiały się Polgary niż ciebie. Zdaje się, że Pol zrobi coś paskudnego jednej z królowych Wężowego Ludu. Zapewne więc wyruszyła do Sthiss Tor zapytać obecną Salmissarę, czy to właśnie ona ma ochotę nią być. Już to samo powinno przekonać Salmissarę o zerwaniu kontaktów z Ctuchikiem.

- No dobrze, ale dlaczego po prostu mi o tym nie powiedziała? Czemu knuje za plecami?

Belkira uśmiechnął się.

- Wyjaśniła nam to - oznajmił. - Nie chcesz chyba, byśmy powtórzyli ci, co powiedziała?

- Chyba jakoś to przeżyję. Mówcie. Belkira wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Powiedziała, że jesteś nieznośnie nadopiekuńczy i za każdym razem, gdy ma coś zrobić, klócisz się z nią tygodniami. Potem rzekła, że robi to, czy ci się podoba, czy nie i że wszystko pójdzie łatwiej, jeśli nie będziesz wtykał nosa w cudze sprawy. - Uśmiechnął się szeroko.

- Nie widzę w tym nic zabawnego, Belkiro.

- Ale było, gdy to mówiła. Nie zacytowałem dokładnie jej słów. Pol ma niezłe słownictwo, prawda?

Popatrzyłem na niego z powagą.

- Dajmy temu spokój - zaproponowałem.

- Jak sobie życzysz, bracie.

- Przy najbliższej okazji poproście ją, by wpadła do Doliny. Powiedzcie jej, że tęsknię za małą pogawędką.

Następnie odwróciłem się na pięcie i wyruszyłem z powrotem do Doliny.

Miesiąc później Pol posłusznie zjawiała się w mojej wieży. Zdążyłem się już uspokoić, więc nie zwymyślałem jej - a przynajmniej nie za bardzo.

- Bardzo dobrze to znosisz, staruszk - zauważyła.

- Nie ma co krzyczeć, gdy jest już po wszystkim. I cóż takiego kombinował Ctuchik?

- Jak zwykle - odparła. - Próbował siać ferment wśród mieszkańców Zachodu, w nadziei, że pomogą mu, gdy nadejdzie czas. Murgowie ponownie otworzyli Południowy Szlak Karawan i znowu zalewają Zachód. Trzeba solidniej zabrać się za Kodeks Mriński. Ctuchik chyba wierzy, że sprawy zbliżają się do punktu kulminacyjnego. Robi wszystko, by poróżnić królestwa. Zdecydowanie nie chce, byśmy następnym razem byli zjednoczeni, tak jak pod Vo Mimbre. Sojusze angarackie są w najlepszym razie chwiejne i wygląda na to, że Ctuchik chce dla równowagi posiać niezgodę na Zachodzie.

- Robisz się w tym bardzo dobra, Pol.

- Miałam niezłego nauczyciela.

- Dziękuję - powiedziałem i przez chwilę czułem dziwną wdzięczność dla swej nieprzewidywalnej córki.

- Nie ma o czym mówić.

- Wracaj do Chereku i odeślij bliźniaków do domu. Tylko oni są w stanie wyciągnąć więcej informacji z Kodeksu Mrińskiego.

- Jak sobie życzysz, ojczu.

Dopiero u schyłku wieku bliźniacy zaczęli wydobywać z Kodeksu Mrińskiego potrzebne nam informacje. W 5300 roku, wiosną, przybiegli podnieceni do mej wieży.

- Wkrótce się wydarzy, Belgaracie! - wykrzyknął Beltira. - Pogromca Boga przybędzie w tym stuleciu!

- Najwyższy czas - powiedziałem. - Czemu tyle czasu tego szukaliście?

- Nie mieliśmy znaleźć tej informacji aż do teraz - odparł Belkira.

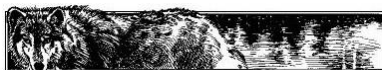
- Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Konieczność ma nad wszystkim o wiele większą kontrolę, niż nam się zdawało - stwierdził. - Fragment, mówiący o tym, że to jest stulecie, w którym wszystko się wydarzy, cały czas mieliśmy przed oczyma. Wszyscy czytaliśmy go wiele razy, ale aż do teraz nie miał dla nas sensu. Ostatniej nocy jego znaczenie po prostu stało się oczywiste. Omówiliśmy to i jesteśmy przekonani, że bez względu na to, jak się będziemy wysilać nad zrozumieniem Kodeksu Mrińskiego, nie pojmiemy sensu danego fragmentu, dopóki Konieczność nie uzna, że jesteśmy do tego gotowi. Pod pewnym względem samo zrozumienie jest częścią WYDARZENIA.

- To strasznie niewygodny sposób załatwiania spraw - zaprotestowałem. - Czemu Konieczność miałaby się z nami tak bawić?

- O tym również rozmawialiśmy, Belgaracie - rzekł Beltira. - Wydaje się, że po to, abyś się nie wtrącał. Uważamy, że Konieczność nawet cię lubi, ale za dobrze cię zna, by zostawić dość czasu na próbowanie zmian.

- Często to robiłeś, wiesz? - odezwał się Belkira z uśmiechem.





Zdaje się, że powinienem czuć się urażony wywodami bliźniaków, ale tak nie było. Wystarczająco długo znam już przyjaciela Gariona, by wiedzieć, co o mnie sądzi. Rzeczywiście od czasu do czasu manipuluję biegiem rzeczy. To chyba potwierdza me poprzednie słowa; usposobienie nie pozwala mi siedzieć z założonymi rękoma. Nieważne jednak, za jak sprytnego się uważam, przyjaciel Gariona wyprzedza mnie o dwa kroki. Pewnie powinienem się już do tego przyzwyczaić, ale mi nie wychodzi.

Nie przejąłem się owymi niepocholebnymi uwagami, ponieważ bardziej poruszyła mnie wiadomość, iż w końcu dotarliśmy do stulecia, w którym urodzi się Pogromca Boga. Naprzykrzałem się biednej Polgarze niemiłosiernie w ciągu pierwszych trzech dziesięcioleci pięćdziesiątego czwartego wieku. Zaglądałem do niej co dwa, trzy miesiące, by sprawdzić, czy żona spadkobiercy nie jest w ciąży. Upierałem się też, by być przy wszystkich narodzinach w tej niewielkiej rodzinie.

W tym czasie Pol mieszkała w centralnej Sendarii, w Medalii. Ówczesny spadkobierca miał na imię Darral. Byłem bardzo rozczarowany, gdy w 5329 roku żona Darrala, Alara, powiła chłopca, a jego narodzinom nie towarzyszyły żadne wymagane znaki i zapowiedzi. On nie był Pogromcą Boga. Pol nazwała go Geran i to imię zdawało się do niego pasować.

Być może to, że Darral był kamieniarzem, skłoniło moją córkę do przeniesienia rodziny w 5334 roku do górskiej wioski, Annath, leżącej tuż przy granicy z Algarią. W tamtej okolicy było wiele kamieniołomów, toteż Darral mógł znaleźć stałą pracę.

Poczułem pewien niepokój. Na dźwięk nazwy Annath z jakiegoś powodu przebiegały mnie zimne dreszcze. Nie chodziło o to, że Annath było brzydkim miasteczkiem. Przypominało większość górskich wiosek.

Miało tylko jedną ulicę, co jest rzeczą normalną w mieście zbudowanym na dnie wąskiej doliny. W miarę rozwoju domy nowych mieszkańców po prostu były dostawiane na jednym z końców ulicy. Ludzie żyjący w górach są przyzwyczajeni do chodzenia. Zbocza doliny porastały osiki, które sprawiały, że powietrze w okolicy było czyste i rześkie. Niektóre górskie osady toną w świerkach i jodłach, w rezultacie czego są wiecznie zamglone. Annath takie nie było, ale i tak wzbudzało we mnie dreszcze.

Nie miałem jednak czasu na zastanawianie się nad tym. Musiałem niezwłocznie udać się do Boktoru, by towarzyszyć narodzinom jednego z członków rozległej drasańskiej rodziny królewskiej. Nazwali go księżę Kheldar, choć zajmował dalekie miejsce w kolejce do tronu, ale jego narodzinom towarzyszyły znaki, których brakowało przy narodzinach Gerana. Kodeks Mriński wspominał o nim jako o Przewodniku, ale reszcie świata znany był pod przezwiskiem, jakim obdarzyli go koledzy z Drasańskiej Akademii Służb Wywiadowczych - Silk.

Przez kilka następnych lat wciąż byłem w ruchu. Przewodnik urodził się w 5335 roku, podobnie jak Ślepiec - Relg, zelota ulgoski. Potem, w 5336 roku, na świat przyszedł syn jarla Trelheim. Nazwali go Barak, ale Kodeks Mriński przypisuje mu imię Straszliwego Niedźwiedzia. W następnym roku urodzili się Władca Koni i Rycerz Obrońca - Hettar i Mandorallen. Towarzysze wyrastali wokół mnie niczym grzyby po deszczu, ale gdzie był Pogromca Boga?

Potem, wiosną 5338 roku, dotarło do mnie pilne wezwanie od Polgary. Pospieszyłem do Annath, myśląc o najgorszym, ale nie był to żaden nagły wypadek. Pol spokojnie czekała na mnie w pobliżu kamieniołomu na skraju miasta.

- Co się stało, Pol? - zapytałem.

- Nic, ojciec - odparła, wzruszając lekko ramionami. - Po prostu potrzebuję kogoś, kto mnie zastąpi na kilka miesięcy. Muszę się czymś pilnie zająć.

- Tak? Czym?

- Nie wolno mi powiedzieć.

- Chcesz się znowu bawić w tę starą, nudną grę, Pol?

- To nie jest gra, ojczy, a jeśli jesteś tym zmęczony, to poproszę bliźniaków.

- Nie możesz ich teraz wyciągać z Doliny, Pol! Zbyt wiele się dzieje, by mieli zostawić Kodeks Mriński!

- A wujek Beldin pilnuje Toraka. To również ważne zajęcie. Zdaje się, że zostałeś wybrany, ojczy - czy ci się to podoba, czy nie. Nie zajmujesz się przecież teraz niczym ważnym, prawda? Akuszerki mogą odebrać porody tych wszystkich dzieci bez twojego dozoru. Doglądaj Darrala i chłopca, staruszku. Tylko nie próbuj pytać „Dlaczego ja?”, bo wyrwę ci brodę.

- Nie jestem twym sługą, Pol.

- Nie, nie jesteś. Jesteś sługą czegoś o wiele ważniejszego, podobnie jak ja. Mam do wykonania zadanie, a ty w tym czasie zajmiesz moje miejsce.

- Mistrz nic mi o tym nie mówił.

- Jest teraz zajęty, więc ja przekazuję ci w jego imieniu wskazówki. Po prostu zrób to, ojczy. Nie sprzeczasz się ze mną.

Nim zdążyłem wymyślić jakąś odpowiedź, postać Polgary rozmazała się i zniknęła.

Pokląłem przez chwilę, po czym zszedłem do wioski. Geran, który miał jakieś dziewięć lat, czekał na mnie przed masywnym domem, stojącym na wschodnim końcu jedynej ulicy Annath.

- Witaj, dziadku - powitał mnie. - Czy ciocia Pol rozmawiała z tobą?

- Mówiła do mnie, byłoby właściwszym określeniem, Geranie - odparłem kwaśno. - Czy wspomniała ci może, dokąd się udaje?

- Nie, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ciocia Pol rzadko kiedy mówi nam, co zamierza zrobić i dlaczego.

- Zauważyłeś to, widzę. Gdzie twoja matka?

- Zeszła na chwilę do piekarza. Ciocia Pol powiedziała, że zostaniesz u nas trochę, a mama wie, jak bardzo przepadasz za ciastami.

- Każdy z nas ma słabostki.

- Mama powinna zaraz wrócić - powiedział - ale skoro i tak czekamy, to mógłbyś pewnie opowiedzieć mi jakąś historię?

Roześmiałem się.

- Mógłbym - zgodziłem się. - Twoja ciotka uwiązała mnie tutaj do swego powrotu, więc będziemy mieć mnóstwo czasu na opowieści. - Przyjrzałem mu się uważniej. Choć Geran, jak większość członków jego rodziny urodził się z jasnymi włosami, to zaczynały mu ciemnieć. Nie będzie tak potężnie zbudowany jak Riva, ale mogłem dopatrzeć się już pewnych podobieństw.



Słowo przestrogi, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Gdy wiemy, że coś ma się wydarzyć, to we wszystkim dopatrujemy się znaków nadejścia owego wydarzenia. Nie zapominajcie jednak, że większość zdarzeń na tym świecie nie jest znakami. Doszukiwanie się znaczenia w każdym podmuchu wiatru czy każdej ulewie może doprowadzić do obłądu. Oczywiście, pewnych znaków nikt nie chce przegapić. Cała sztuka polega na wylapaniu różnicy.



Zawsze lubiłem towarzystwo mych wnuków. Cechuje ich osobliwie poważne usposobienie, co mnie wzrusza. Nie chcę przez to powiedzieć, że czasami nie robią rzeczy głupich czy wręcz niebezpiecznych - na myśl przychodzi mi zaraz spotkanie Gariona z odyńcem w lasach pod Val Alorn - ale jeśli podążycie śladem ich czasami błędnego rozumowania, to stwierdzicie, że przynajmniej w ich własnym mniemaniu większość rzeczy, które robią, ma uzasadnienie. Potomkowie Rivy i Beldaran zawsze byli bardzo poważnymi chłopcami. Poczucie humoru znacznie wzbogaciłoby ich osobowość, ale nie można mieć wszystkiego.

Pomimo faktu, że Polgara bezlitośnie zmusiła mnie do pilnowania Gerana, przyznaję, iż cieszyłem się ze spędzonych z nim miesięcy. Nigdy nie byłem tak dobrym wędkarzem jak Durnik, ale znałem zasady - to znaczy potrafiłem nadziać przynętę na haczyk. Geran był w wieku, w którym łowienie ryb stawało się namiętnością. Lata obserwacji nauczyły mnie, że ta szczególna pasja pojawia się u chłopców tuż przed tym, zanim uświadomią sobie, że na świecie są dwa rodzaje ludzi -

chłopcy i dziewczynki. Ogólnie biorąc, większość chłopców jest z tego zadowolona.

Gdyby tylko nie zachowywali się przy tym jak odkrywcy nowego ładu.

W każdym razie tę wiosnę i lato spędziłem z Geranem na łowieniu pstrągów. Oczywiście są jeszcze inne ryby na świecie, ale zawsze miałem wrażenie, że łowienie pstrągów było szczególną próbą sił. A co więcej, jeśli się przy tym zbyt nie hałasuje, to można sobie całkiem poważnie pogawędzić, czekając, aż ryba zacznie brać.

Szczególnie zapamiętałem jeden paskudny, ale zarazem absolutnie cudowny dzień, który mój wnuk i ja spędziliśmy skuleni na prowizorycznej tratwie na środku małego górskiego jeziora. Siąpiło cały czas. Nie jestem pewny dlaczego, ale pstrągi zupełnie oszalały. Tego dnia złowiliśmy z Geranem więcej ryb, niż normalnie łapiemy w tydzień.

Po południu, gdy obaj przemokliśmy już do suchej nitki, a wiklinowy koszyk, który wzięliśmy z sobą tak „na wszelki wypadek”, po brzegi wypełnił się srebrzystymi pstrągami, tempo nieco spadło.

- To naprawdę świetna zabawa, dziadku - zauważył mój kolega wędkarz. - Szkoda, że nie mogliśmy robić tego częściej.

- Geranie - odparłem - chodziliśmy na ryby codziennie przez ostatnie trzy tygodnie. Częściej już nie można.

- Tak, ale dzisiaj je łapiemy.

Roześmiałem się.

- Zawsze to pociecha - przyznałem.

- My nie jesteśmy tacy jak inni ludzie, prawda? - zapytał.

- Bo obaj lubimy łowić ryby? Na świecie jest wielu wędkarzy, Geranie.

- Nie to miałem na myśli. Mówię o naszej rodzinie. Wydaje mi się, że jesteśmy jacyś inni - trochę dziwni i... szczególni. - Skrzywił się i otarł rękawem nos z wody. - Nie ująłem tego zbyt dobrze, prawda? Nie chcę powiedzieć, że jesteśmy ważni czy coś w tym rodzaju, ale my po prostu nie jesteśmy tacy jak inni ludzie - a przynajmniej mnie się tak wydaje. Ciocia Pol nigdy o tym ze mną nie mówiła, ale czasami w nocy, przed

zaśnięciem, słyszałem, jak rozmawiała z tatą na dole, w kuchni. Ona zna wielu ludzi, prawda?

- Twoja ciotka? O tak, Geranie. Twoja ciocia Pol zna ludzi prawie w każdym królestwie Zachodu.

- Nie mogę tylko zrozumieć, jak poznała tych wszystkich królów, szlachciców i innych. Przecież w zasadzie nigdzie się nie rusza. Wiesz, co myślę?

- Co takiego, chłopcze?

- Myślę, że ciocia Pol jest o wiele starsza, niż na to wygląda.

- Jak to mówią, „dobrze się trzyma”, Geranie. Jednak na twoim miejscu nie robiłbym z tego sprawy. Damy są czułe na punkcie swojego wieku.

- Ty jesteś stary, a zdaje się, że cię to specjalnie nie trapi.

- To dlatego, że nigdy naprawdę nie dorosłem. Nadal potrafię się dobrze bawić. To pozwala zachować młodość. Twoja ciotka uważa, że uciechy nie są ważne.

- Ona jest bardzo dziwna, prawda? Czasami myślę, że jest najdziwniejszą kobietą na świecie.

W tym momencie nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem.

- Co w tym zabawnego?

- Kiedyś ci to wytłumaczę. Ale masz rację. Nasza rodzina jest szczególna, ale ważne dla nas, byśmy zachowywali się tak jak zwykli ludzie. Ciocia Pol wyjaśni ci to, gdy będziesz trochę starszy.

- Czy bycie kimś wyjątkowym poprawia ci samopoczucie?

- Nieszczególnie. Trzeba z tym po prostu żyć. To nie takie skomplikowane, Geranie. Nasza rodzina ma do zrobienia coś bardzo ważnego, a pewni ludzie nie chcą do tego dopuścić.

- Ale my i tak to zrobimy, prawda? - Na twarzy chłopca malowało się ogromne zdecydowanie.

- Sądzę, że chyba nam się uda, ale jeszcze daleka droga przed nami. Masz zamiar wyciągnąć tę rybę, czy też planujesz trzymać ją na wędce przez resztę dnia?

Mój wnuk wydał cichy okrzyk i wyłowił pstrąga, który ważył pewnie z pięć funtów.

Często wracam myślami do owego dnia. Był jednym z najlepszych w moim życiu.

Niemal nastąpiła zima, gdy wróciła Pol. Liście zmieniły kolor i opadły, niebo poszarzało, a powietrze pachniało wilgocią. Moja córka nadeszła jedyną ulicą Annath, otulona niebieskim płaszczem, wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Wyszedłem jej na spotkanie.

- Tak szybko wróciłaś, Pol? - zażartowałem. - Nie zdążyliśmy nawet za tobą zatęsknić. Czy teraz możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś i co robiłaś?

Polgara wzruszyła ramionami.

- Musiałam znowu udać się do Nyissy. Znajdowali się tam pewni ludzie, z którymi chciałam się spotkać.

- Tak? Kto taki?

- Zedar, po pierwsze, a po drugie, obecna Salmisara.

- Pol, trzymaj się z dala od Zedara! Jesteś dobra, ale nie aż tak.

- Takie były wymogi, ojcze. Zedar i ja musieliśmy się poznać. To jedna z tych rzeczy.

- Co Zedar kombinuje?

- Nie mogę zrozumieć, czemu Zedar zawsze cię tak podniecał. Prawdę powiedziawszy, jest raczej żaloszny. Strasznie wynędzniał, nie odżywia się dobrze i wygląda na chorego.

- Dobrze. Życzę mu naprawdę dotkliwej choroby. Wynajdę nawet dla niego jakieś nowe, jeśli obecnie dostępne mu się znudzą.

- Jesteś barbarzyńcą, ojcze.

- Zauważyłaś? Co on robi w Nyissie?

- Zmienił się we włóczęgę. Łazi po świecie, rozpaczliwie czegoś szukając - lub kogoś.

- Miejmy nadzieję, że nie znajdzie.

- Wprost przeciwnie, koniecznie musi znaleźć. Jeśli tego nie znajdzie, ty będziesz musiał to zrobić, a nie wiedziałbyś, skąd zacząć.

- A on wie?

- Nie. To, czego szuka, znajdzie jego.

To był pierwszy sygnał nadejścia Erionda. Rozmawiałem kiedyś o tym z Beldinem i obaj zgodziliśmy się, że Eriond i Torak byli swymi lustrzanymi odbiciami - Torak po jednej stronie, a Eriond po drugiej. Każdy z nich był dokładnym przeciwieństwem drugiego.

Czasami zastanawiam się, czy Torak wiedział, iż był pomyłką.

Już samo to usprawiedliwiłoby całe moje istnienie.

- Czemu musiałaś rozmawiać z Salmissarą? - zapytałem.

- Aby ją przestrzec - odparła moja córka. - Zrobi coś za parę lat, a ja zostanę zmuszona zrobić jej coś w zamian. Nie wprawi jej to w zachwyty, ani mnie. - Westchnęła. - Obawiam się, że zrobię coś strasznego, ale nie będę miała wyboru. - Nagle objęła mnie i wtuliła twarz w moje ramię. - Och, ojciec - zaszlochała - dlaczego właśnie ja muszę to uczynić?

- Ponieważ jesteś jedyną, która to potrafi, Pol. - Potem poklepałem ją po plecach. - No dobrze już, dobrze.

Następne kilka lat upłynęło spokojnie i to mnie bardzo drażniło. Lada moment miało dojść do najdonioślejszego wydarzenia w dziejach świata. Bardzo chciałem, by już się zaczęło. Cierpliwość nie jest moją mocną stroną.

Potem, w 5340 roku, Ran Borune XXIII został koronowany na imperatora Tolnedry i wkrótce ożenił się z jedną ze swych kuzynek, rudowłosą Driadą, Ce'Vanne. Bliźniacy uznali to za bardzo znaczące i zapewnili mnie, że z małżeństwa tego narodzi się Królowa Świata. Jeśli mieli rację, a prawie zawsze tak było, oznaczało to, że gdy Geran dorośnie i się ożeni, zostanie ojcem tego, na którego wszyscy czekamy.

Wreszcie Beldin wrócił do Doliny.

- Widzę, że nareszcie znudziło ci się pilnowanie tej groty - powiedziałem, gdy wszedł po schodach do mej wieży.

- Niezupełnie - odparł. - Doszło do pewnych zdarzeń, prawda?

- Kilku. Zbliżamy się do narodzin Pogromcy Boga.

- Tak też sobie myślałem. Kilka miesięcy temu poczułem nagłą, nieprzewartą chęć, by pójść się rozejrzeć. Murgowie mają nowego króla, Taura Urgasa. To kompletny szaleniec. To nic nowego ani szczególnie zaskakującego; wszyscy Urgasi byli szaleni. Jednak Taur Urgas w swym szaleństwie sięgnął szczytów. Widziałem go raz w Rak Goska i myślę, że odegra jeszcze pewną rolę w wydarzeniach.

- Czy jest już jakiś sygnał o pojawieniu się jego malloreańskiego odpowiednika?

Beldin kiwnął głową.

- Nazywa się Zakath. Nie został jeszcze koronowany na cesarza, ale myślę, że niedługo będziemy czekać. Zdrowie jego ojca się pogarsza. Jak na Angaraka, Zakath jest zdumiewająco cywilizowanym człowiekiem. Jest wyjątkowo inteligentny, a jego nauczycielom udało się przekonać ojca, by pozwolił mu uczęszczać na uniwersytet w Melceni. Wykształcony cesarz Mallorei będzie nowością. Ilu z towarzyszy już się pojawiło?

- Sześciu, o których wiem. Przewodnik i Ślepiec urodzili się w 5335 roku, Straszliwy Niedźwiedź w 36, a Władca Koni i Rycerz Obrońca w 37.

- To tylko pięciu.

- Myślałem, że już wiesz o Człowieku o Dwóch Życiach. Urodził się wcześniej - zdaje się w 5330 roku. Oddano go na naukę do kowala w Erat, w centralnej Sendarii.

- Jakież ślady innych?

- Bliźniacy uważają, że obecny imperator Tolnedry spłodzi żonę Pogromcy Boga.

- To zdaje się przesądza sprawę. Jak Pol?

- Trudna, jak zawsze. Kilka lat temu była w Nyissie i spotkała się tam z Zedarem.

- I ty jej na to pozwoliłeś?

- Pozwolić nie jest najlepszym określeniem, gdy mowa o Polgarze. Powinieneś już to wiedzieć, Beldinie. Prawdę powiedziawszy, nie pofatygowała się, by poinformować mnie, dokąd się wybiera. Po powrocie wyjaśniła, że musieli poznać się z Zedarem. Ona nie bierze swych instrukcji z Kodeksu Mrińskiego.

- Jestem tego pewny. Och, byłbym zapomniał. W Gar og Nadrak też panuje nowy król. Nazywa się Drosta Lek Thun i miał ledwie dwanaście lat, gdy posadzili go na tronie.

- Widziałeś go?

- Nie. Słyszałem o nim, gdy byłem w Rak Goska. Czy Algarowie zamierzają zrobić coś w sprawie swego następcy tronu?

- Co masz na myśli, mówiąc „zrobić coś”?

- Przecież to kaleka, prawda? Nie sądzę, aby Algarowie zaakceptowali ułomnego króla.

- Prawdopodobnie nie będzie tak źle. Na koniu jest równie dobry jak każdy Algar. - Podrapałem się po brodzie. - Jednak trochę mnie to niepokoi. Kodeks Mriński mówi, że Władca Koni będzie jego synem, a Władca Koni już się urodził - w innym klanie. Bliźniacy nad tym pracują. Zostaniesz tu trochę?

- Nie. Lepiej wróć do Cthol Murgos, by obserwować Spaloną Gębę. Narodziny Pogromcy Boga coraz bliżej. A to może być wydarzenie, które obudzi Toraka.

- Nie jestem taki pewien. Gdyby jednak tak się stało, znajdziemy się w kłopotach. Niemowlak nie będzie stanowił dla Toraka Jednookiego zbyt wielkiego zagrożenia.

- Uważam jednak, że powinniśmy być przygotowani. Jeśli to obudzi Toraka, będziesz pewnie musiał ukryć się z dzieckiem w lasach. Czy Chamdar nadal węszy?

- Teraz jest w Tolnedrze. Wywiad drasański nie spuszcza go z oczu.

- Myślałem, że ty miałaś to robić.

- Tak jest lepiej. Chamdar zna mnie trochę za dobrze. Potrafi wyczuć moją obecność.

- To już twoja sprawa. Pójdę pogadać z bliźniakami, a potem wrócę do Cthol Murgos - oświadczył Beldin, po czym odwrócił się i poczłapał w dół schodami. Dopiero po jego odejściu uświadomiłem sobie, że nawet nie poprosił mnie o nic do picia. Rosnące oczekiwanie sprawiało, że wszyscy zachowywaliśmy się trochę dziwnie.

W następnym roku kaleki Cho-Ram został wyniesiony do pozycji Wodza Wodźów Klanów Algarów, co przysporzyło mi nie lada zmartwień. Wiedziałem, że pewnego dnia Hettar zajmie to miejsce, ale nie miałem zielonego pojęcia, jak mogłoby do tego dojść, bez wojny klanów. A biorąc pod uwagę to, co nas czekało, wojna klanów w Algarii była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy.

Wszystko teraz działo się bardzo szybko. Wydarzenia goniły jedno za drugim, a ja, w dosłownym tego słowa znaczeniu, liczyłem dni, czekając, aż Geran dorośnie i się ożeni. Czasami ogarniało mnie zniecierpliwienie. Bierne oczekiwanie doprowadzało mnie do szału, więc choć nie było to naprawdę konieczne, odkurzyłem swój kostium bajarza i ruszyłem się rozejrzeć.

Pierwszym przystankiem naturalnie było Annath. Geran miał już dwanaście lat i rósł jak na drożdżach. Włosy jeszcze bardziej mu ściemniały i głos zaczął się zmieniać, raz mówił głębokim barytonem, a innym razem chrypiał i piszczał. Najczęściej przypominał młodego koguta, usiłującego pisać.

- Zaczął już zwracać uwagę na dziewczynki? - zapytałem Pol, gdy udało mi się odciągnąć ją na stronę.

- Daj mu czas, ojczy - odparła. - Ildera ma dopiero dziewięć lat. Nie popędzajmy spraw.

- Ildera?

- Dziewczyna, którą ma poślubić.

- To mi nie brzmi jak sendaryjskie imię.

- Bo nie jest. Ildera jest córką algarskiego wodza klanu. Ich pastwiska znajdują się tuż po drugiej stronie granicy.

Zmarszczyłem brwi.

- Jesteś pewna, Pol? Zawsze zdawało mi się, że matka Pogromcy Boga będzie Sendarką.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie wiem. Ma się urodzić w Sendarii, więc chyba dlatego założyłem, że jego matka będzie Sendarką.

- Wystarczyło mnie zapytać, ojczu. Już sześć pokoleń temu mogłam ci powiedzieć, że to będzie Algarka.

- Jesteś pewna, że ona jest tą właściwą?

- Oczywiście.

- Powiedziałaś Geranowi?

- Nie, ojczu. Tyle powinienes sam wiedzieć. W młodych rodzi się instynktowny sprzeciw, gdy za wcześnie powiedzieć im, z kim mają się ożenić.

- Pogromca Boga będzie wiedział.

- Nie, dopóki nie przygotuję go do tego, ojczu.

- Pol, to jest zapisane w traktatach z Vo Mimbre. Stoi tam czarno na białym, że poślubi tolnedrańską księżniczkę.

- Dla niego to nie będzie miało znaczenia.

- Jak zamierzasz to przed nim ukryć?

- Po prostu nie nauczę go czytać.

- Tego nie możesz zrobić! On musi umieć czytać! Skąd będzie wiedział, co ma robić, jeśli nie będzie potrafił przeczytać Kodeksu Mrińskiego?

- Później będzie miał dość czasu, by się nauczyć czytać, staruszk. Ja zaczęłam dopiero po ślubie Beldaran, pamiętasz? Jeśli będzie taki, jak myślimy, nie będzie miał z tym najmniejszego problemu.

Miałem pewne wątpliwości, ale zatrzymałem je dla siebie.

- Ile powiedziałaś już Geranowi? - zapytałem.

- Niewiele. Młodzi ludzie potrafią w chwili podniecenia wszystko wypaplać. Robię raczej wszystko, żeby mieszkańcy Annath nie wiedzieli, iż rodzina królewska żyje wśród nich. Darral oczywiście wie, ale on potrafi trzymać buzię na kłódkę.

- Gdzie jest w tej chwili chłopiec?
- Z ojcem w kamieniołomie - uczy się handlu.
- Praca w kamieniołomie może być niebezpieczna, Pol - zaproteutowałem
- Nic mu nie będzie, ojcie. Darral na niego uważa.
- Chyba się tam wybiorę.
- Po co?
- Zobaczą, czy Darral nie dałby swemu uczniowi dnia wolnego.
- Po co?
- Abym mógł z chłopcem pójść na ryby.
- Tylko nie opowiadaj rzeczy, o których jeszcze nie powinien wiedzieć.
- Nie to miałem na myśli.
- Dlaczego zatem zabierasz go na ryby?
- By łowić ryby, Pol. Czyż nie po to ludzie zwykle wybierają się na ryby?

Polgara przewróciła oczami.

- Mężczyźni! - powiedziała zdeglustowana.

Spędziłem z Geranem miłe popołudnie nad górskim strumieniem wypływającym z jeziora, o którym już wspominałem poprzednio. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowę, ponieważ ryba brała i mieliśmy zajęć co niemiara.

Następnego ranka pożegnałem się i ruszyłem do Erat. Chciałem rzucić okiem na Durnika. Wiedziałem, że był Człowiekiem o Dwóch Życiach, ale w owym czasie nie zdawałem sobie sprawy, co to może oznaczać ani jaką rolę Durnik odegra w naszym życiu. Teraz jest oczywiście moim zięciem i najmłodszym uczniem mego Mistrza.

Jak dziwnie potrafią potoczyć się sprawy, nieprawdaż?

Durnik był rok młodszy od Gerana, ale już był bardzo silny. Oddano go w termin do kowala imieniem Barl, a praca w kuźni jest jednym z najszybszych sposobów na rozwinięcie mięśni.

Durnik był bardzo poważnym młodzieńcem i zapowiadało się, iż wyrośnie na typowego Sendara: trzeźwo myślącego, pracowitego, o niezachwianych zasadach moralnych. Poważnie wątpię, aby przez całe swoje życie miał choćby jedną nieczystą myśl.

Celowo złamałem sprzączkę przy sakwie i wstąpiłem do warsztatu Barla, aby ją naprawić. Barl był akurat zajęty podkuwaniem konia, więc Durnik naprawił mi sprzączkę. Porozmawialiśmy przy tym trochę, po czym ruszyłem dalej.

Mojemu zięciowi to spotkanie pewnie wywietrzało z głowy. Ja jednak pamiętam je, ponieważ podczas krótkiej rozmowy dowiedziałem się o nim wszystkiego, co chciałem.

Po opuszczeniu kuźni skręciłem na południe i ruszyłem ku Arendii, by zajrzeć do Wildantorów. Najbardziej typowym przedstawicielem tego rodzaju był młody hrabia Reldegen. Zdawało się, że miał zamiar przejść przez życie z na wpeł wyciągniętym rapierem. To zapewne o nim myślno przy wprowadzaniu określenia „raptus”. Nie miał co prawda aż takiej skłonności do ściągania katastrof, jaką mieć będzie jego bratanek, Lelldorin, ale wiele mu nie ustępował. Pomimo to lubiłem go.

Po opuszczeniu Arendii pospieszyłem z powrotem do Doliny. Nadciągnęła już zima, a chciałem dowiedzieć się, czy bliźniacy odkryli coś nowego. Wydarzenia kłębiły się wokół nas. Rzadko dzień mijał, by nie odczytali kolejnego fragmentu Kodeksu Mrińskiego.

Dopiero w 5344 roku rozwiązał się problem z Algarią. Młodego Hettara i jego rodziców, gdy samotnie podróżowali wzdłuż Wschodniego Szańca, zaatakowali Murgowie. Zabili rodziców, a dzieciaka ciągnęli za koniem przez kilka mil. Potem zostawili go na pewną śmierć. Kilka dni później znalazł go Cho-Hag i po jakimś czasie adoptował. Hettar będzie następnym Wodzem Wodców Klanów i obejdzie się przy tym bez wojny. To była ulga.

Wiosną następnego roku bliźniacy zdecydowanie nalegali, abym zabrał Polgarę na spotkanie z tymi młodymi Alornami, którzy będą dla nas później tak ważni.

- Oni naprawdę powinni ją poznać, Belgaracie - powiedział Belkira. - Przyjdzie czas, gdy będą razem dokonywać ważnych rzeczy, więc

powinni ją znać z widzenia. Alornowie mają dziwne uprzedzenia, jeśli chodzi o kobiety, więc lepiej jeszcze za młodu przyzwyczać ich do myśli, że Pol nie jest zwykłą kobietą. Udamy się do Annath razem z tobą i przypilnujemy wszystkiego pod waszą nieobecność.

Nie mogłem odmówić słuszności ich rozumowaniu, tym bardziej że sami byli Alornami. Poza tym Pol w Annath wiodła bardzo jałowe życie i pomyślałem sobie, że dobrze ją na chwilę od tego oderwać.

Najpierw wybraliśmy się do Algarii, jako że i tak była po drodze. Ostatecznie udało nam się wytropić Cho-Haga. Algarowie często przenoszą się z miejsca na miejsce. Już w wieku ośmiu lat Hettar był chłopcem o posępnym obliczu, który prawie każdą chwilę poświęcał ćwiczeniom z bronią i swym koniom. Gdy tylko ktoś wspominał o Murgach, jego oczy przybierały przeraźliwie zimny wyraz. Najwyraźniej dokładnie już wiedział, co będzie treścią jego życia. Sam nie bardzo przepadałem za Murgami, ale Hettar doprowadził swą nienawiść do apogeum.

Oczywiście wszyscy Alornowie słyszeli o mnie i mej córce, więc Cho-Hag zgotował nam królewskie przyjęcie. Zadbalem o to, aby Pol miała okazję jakiś czas porozmawiać z Hettarem. Obudził w niej poważne wątpliwości. Powiedziała mi o tym, gdy wyruszyliśmy do Drasni.

- On jest o krok od popadnięcia w obłęd, ojczy - powiedziała. - Będzie z niego prawdziwy potwór, gdy dorośnie, a przecież w końcu zostanie królem Algarów.

- To chyba problem Murgów, prawda? - odparłem.


- Nie ciesz się tak, staruszku. Hettar zapowiada się na szaleńca, ogarniętego pasją zabijania. Obawiam się, że przyjdzie czas, gdy wszystkich narazi na niebezpieczeństwo. Wiesz oczywiście, że on jest Sha-Darem?

- Tak. Wyczułem to, gdy zobaczyłem go pierwszy raz. Czy wie już o tym?


- Być może. Wie, że o wiele lepiej rozumie konie niż inni Algarowie. Ale mógł jeszcze nie nawiązać kontaktu. Czy pozostali dwaj Alornowie są równie szaleni jak ten?

- Jakiś czas już ich nie widziałem. Kheldar powinien być dość cywilizowany. W końcu jest Drasaninem. Nie mogę jednak niczego obiecywać, jeśli chodzi o Baraka. Jest Cherekiem, a cały ten kraj pełen jest szaleńców.

Książę Kheldar, siostrzeniec Rhodara, następcy tronu Drasni, był drobnym, żyłastym chłopcem o długim nosie i o wiele za dużym sprycie. Już jako dziesięcioletek bił na głowę przebiegłością większość dorosłych. Straszliwie schlebiał Pol i zawojował ją w ciągu dziesięciu minut. Lubiła go, ale była na tyle mądra, by mu nie ufać.



Powinniście zawsze o tym pamiętać, gdy zdarzy się wam mieć do czynienia z Silkiem. Możecie go lubić, proszę bardzo, ale nigdy mu nie ufajcie. Jest już żonaty, i ta jego towarzysząca życia jest równie przebiegła jak on.



Po kilkudniowej wizycie u rodziny Kheldara udaliśmy się z Pol do Kotu. Tam wsiedliśmy na statek płynący do Val Alorn. W pałacu pożyczyłem konie i pojechaliśmy do Trelheim. Barak miał około dziewięciu lat, a jego kuzyn, Anheg, następca tronu Chereku, był o rok starszy. Anheg odwiedzał właśnie swego kuzyna. Obaj niemal dorównywali już wzrostem dorosłym mężczyznom. Barak miał płomiennie rude włosy, a Anheg - proste i czarne. Tworzyli parę urwisów, ale tego można się było spodziewać po Cherekach.

Przedstawiłem im Pol, a jej udało się utrzymać ich w jednym miejscu dostatecznie długo, aby odbyć krótką rozmowę.

- No i co? - zapytałem, gdy jechaliśmy z powrotem do Val Alorn. - Co myślisz?

- Moim zdaniem całkiem dobrze się spisują - odparta. - Są hałaśliwi i chępliwi, ale obaj bardzo inteligentni. Sądzę, że z Anhega będzie bardzo dobry król i już teraz polega na Baraku.

- Czy domyślasz się, o co chodzi z tym Straszliwym Niedźwiedziem?

- Nie do końca. To ma coś wspólnego z Pogromcą Boga. Być może, po prostu Barak będzie berserkiem. Możliwe jednak, że chodzi tu o coś więcej. Być może wszystko stanie się jaśniejsze, gdy Barak dorośnie.

- Miejmy nadzieję. Wolałbym wiedzieć wcześniej, jeśli miałyby zajść jakieś istotne zmiany.

Pożegnaliśmy z powrotem do Darine, a potem udaliśmy się do Annath. Bliźniacy wrócili do Doliny. Ja rozstałem się z Pol i ruszyłem Wielkim Traktem Północnym do Boktoru. Chciałem rzucić okiem na wuja księcia Kheldara, Rhodara, następcę tronu Drasni. Uciałem sobie z nim pogawędkę i nie rozczarowałem się. Jeszcze jako młodzieniec Rhodar był zdecydowanie pucołowaty, ale jaki bystry! Wszyscy trzej, Rhodar, Anheg i Cho-Ram, zostaną wspaniałymi królami. Moim zdaniem ich zdolności bardzo nam się przydadzą, gdy sprawy dojdą do punktu kulminacyjnego.

Wówczas niemal bez przerwy wędrowałem, więc rzadko wracałem do Doliny, by porozmawiać z bliźniakami. Pozostawiliśmy jednak w kontakcie.

Wiosną 5346 roku donieśli mi, że Pol wyruszyła na kolejną ze swych tajemniczych wypraw, a oni ją zastępują w Annath.

Wróciłem więc pospiesznie, by z nimi porozmawiać. Z Pol porozumiewałem się bez trudu, zaręczam wam, ale na Zachodzie znowu byli Murgowie, a tam gdzie są Murgowie, są i Grolimowie, a ci mają sposoby na podsłuchanie rozmów. Zdecydowanie nie chciałem, by jakiś Grolim ustalił miejsce pobytu Polgary i dotarł za nią do Annath.

- Wolałbym, aby powiadomiła mnie, co zamierza robić, zamiast tak sobie po prostu znikać - wybuchnąłem gniewem, gdy spotkałem się z bliźniakami - Dokąd wybrała się tym razem?

- Gar og Nadrak - odparł Beltira.

- Dokąd?

- Do Gar og Nadrak. Tym razem to Kodeks Mriński kazał jej tam pojechać. Pamiętasz tych nadrackich „przyjaciół”, o których mówiliśmy ci w czterdziestym dziewiątym wieku? Poszedłeś tam nawet rozejrzeć się.

- Tak. - Oczywiście pamiętałem. To wówczas zdobyłem całe złoto.

- Owi „przyjaciele” właśnie się pojawili, więc Pol wybrała się do Gar og Nadrak, by ich rozpoznać.

- Ja mogłem to zrobić! - krzyknąłem w nagłym przyływie gniewu.

- Nie tak dobrze jak Pol - zaprzeczył Belkira. - Nie krzycz na nas, Belgaracie. My tylko przekazaliśmy jej instrukcje, ale ich nie wymyśliliśmy.

Opanowałem się.

- Gdzie dokładnie jest?

- Ona i jej właściciel są w Yar Nadrak.

- Jej właściciel?

- Nie wiedziałeś? Kobiety w Gar og Nadrak uważane są za własność.





W tym samym 5346 roku w zachodniej Drasni ponownie wybuchła epidemia. Choroba miała w tej części świata charakter endemiczny. Przypuszczam, że wiązała się w jakiś sposób z mokradłami. Była wyjątkowo złośliwa. Zwykle kończyła się śmiercią, a ci, którzy przeżyli, zostali w większości groteskowo oszpeceni.

Ponieważ Pol była w Yar Nadrak, musiałem przez rok tkwić w Annath. Uważałem na Gerana, ale rzadko mieliśmy czas na ryby, gdyż inne rzeczy już mu były w głowie. Właśnie zaczął myśleć o własnym domu i gdy tylko klan Ildery był w pobliżu granicy, spędzał z nią każdą wolną chwilę. Ildera była wysoka, jasnowłosa i bardzo urocza. Geran był nią zupełnie oczarowany, choć w tym wypadku i tak pewnie nie miał żadnego wyboru. Wyglądało na to, że nawet gdy Pol nie było w pobliżu, Konieczność sama potrafiła sobie radzić i wieść młodych ludzi do małżeństwa. Poczułem się dziwnie zadowolony.

Wczesnym latem 5347 roku chudy jak szczapa Drasanin, imieniem Khendon, przybył do Annath z wiadomością dla mnie. Khendon był, jak mi się zdaje, margrabią, ale miał lepsze rzeczy do robienia niż siedzenie i polerowanie swego tytułu. Szpiegostwo było gałęzią gospodarki narodowej Drasni, więc większość z członków drasańskiej szlachty zwyczajowo uczęszczała do Akademii Służb Wywiadowczych i Khendon nie był wyjątkiem. To właśnie podczas pobytu w akademii nadawano wszystkim owe charakterystyczne przydomki. Khendona ochrzczono mianem Javelin, prawdopodobnie z powodu jego chudości. Javelin, choć nie był jeszcze bardzo stary, już był najlepszym szpiegiem. Nawet go lubiłem. On jeden na świecie potrafił zbić Silka z tropu. Już to samo czyniło go bardzo cennym. Khendon rozsiadł się wygodnie na krześle, podczas gdy matka Gerana przygotowywała kolację. Darral i Geran nadal ciężko pracowali w kamieniołomie.

- Przypadkiem byłem w Yar Nadrak, Prastary - powiedział Javelin - i twoja córka mnie wypatrzyła. Dała mi wiadomość dla ciebie. - Sięgnął pod kaftan, wyciągnął złożony i zapieczętowany kawałek pergaminu i podał mi go. - Powiedziała, że zrozumiesz, czemu wybrała ten sposób, zamiast, jak to nazwała, „innego sposobu”. Co miała na myśli?

- To jedna z tych spraw, o których nie musisz wiedzieć, Javelinie - odparłem.

- Ja muszę wiedzieć prawie o wszystkim, Prastary - sprzeciwił się.

- Ciekawość może ci napytać biedy, Javelinie. Powiedzmy, że mamy tu dwa współistniejące światy. Ty zajmuj się swoim, a ja zajmę się swoim. Postarajmy się nie deptać sobie zbyt często po piętach. Wierz mi, tak będzie łatwiej. Zajmuję się tym już od bardzo dawna, toteż wiem, co robię. - Złamałem woskową pieczęć, którą z pewnością Javelin starannie złożył po dokładnym przejrzeniu wiadomości, i przeczytałem liścik od mej córki.

„Ojczy - zaczynał się - jestem już gotowa do powrotu. Przybądź do Yar Nadrak i zabierz z sobą mnóstwo pieniędzy. Mój właściciel prawdopodobnie spodziewa się za mnie wysokiej ceny”.

- Ile teraz kosztują kobiety w Gar og Nadrak, Khendonie? - zapytałem chudego Drasanina.

- To zależy od kobiety, Świątobliwy - odparł - i od tego, jak dobrze potrafi targować się kupujący. Weź pod uwagę fakt, że w tym targu biorą udział trzy strony.

- Jak to?

- Kobieta również jest zainteresowana ceną, Belgaracie, ponieważ dostaje z niej połowę. Cena jest wskaźnikiem jej wartości. Twoja córka będzie obstawać przy jak najwyższej cenie, to kwestia ambicji.

- Nawet gdy ja mam płacić?

- Taki zwyczaj, Świątobliwy. Chcesz ją przecież odzyskać, prawda?

- To zależy, ile to mnie będzie kosztowało.

- Belgaracie! - Wyglądał na naprawdę zaszokowanego.

- Żartuję, Khendonie. Podaj mi jakąś przybliżoną sumę. Mam trochę dziesięciouncjowych sztabek w mej wieży. Ile powinienem ze sobą zabrać?

- Przynajmniej kilkanaście. Mniej byłoby obraźliwe.

- Masz niezłą zabawę, co?

- To ty powiedziałaś, Belgaracie. Ja tylko chcę ci jak najlepiej doradzić.

- Dzięki - powiedziałem chłodnym tonem. - Jak się nazywa jej właściciel?

- Gallak, Świątobliwy. Zajmuje się handlem skórami. Fakt, że jest właścicielem twej córki, dodaje mu nie lada splendoru, więc pewnie nie zechce jej tanio sprzedać. Posłuchaj mej rady i nie żałuj grosza.

Wstałem.

- Dopilnuj tu spraw, Khendonie. Zaraz po powrocie do Doliny przyślę bliźniaków, aby cię zastąpili.

- Będzie, jak powiedziałaś, Święty Belgaracie

Opuściłem Annath, zmieniłem się w sokoła i poleciałem prosto do Doliny. Porozmawiałem krótko z bliźniakami, po czym zabrałem się za przeszukiwanie wieży. W końcu znalazłem stos złotych sztabek - za regałem na książki, możecie to sobie wyobrazić? Wetknąłem około dwudziestu z nich - dwanaście i pół funta - do sakwy. Potem ruszyłem na północ w poszukiwaniu algarskiego klanu, który zaopatrzyłby mnie w konia. Nieraz nadużywałem w ten sposób ich uprzejmości.

Pojechałem skrajem sendaryjskiej granicy i po kilku dniach dotarłem do Brodu Aldura. Potem podążyłem Wielkim Traktem Północnym aż do grobli, która biegnie przez mokradła do Boktoru. Tam zatrzymałem się, by kupić sobie drasańskie odzienie. Potem przeszedłem bagnami do granicy Nadraku.

- Jakie masz sprawy w Gar og Nadrak? - zapytał podejrzliwie jeden ze strażników po zatrzymaniu mnie na granicy.

- Moje sprawy są moimi sprawami, przyjacielu - powiedziałem opryskliwie. - Udaję się do Yar Nadrak, by coś kupić. Następnie mam zamiar zabrać to z powrotem do Boktoru i sprzedać. Mam wszelkie niezbędne dokumenty, jeśli chcesz je zobaczyć.

- Zwyczajowo przyjęty jest jakiś datek - zasugerował z nadzieją w głosie.

- Staram się nie być niewolnikiem zwyczajów - wyjaśniłem. - Powinienem ci pewnie powiedzieć, że król Drosta jest moim osobistym przyjacielem. - Prawdę powiedziawszy, nigdy nawet nie spotkałem Drosty, ale powołanie się na znajomość z nim mogło być pomocne.

Na twarzy strażnika pojawiła się obawa.

- Ciekaw jestem, jak twój król zareaguje na wieść, że jego straż graniczna przyjmuje łapówki - dodałem.

- Nie powiesz mu chyba, prawda?

- Nie, jeśli przepuścisz mnie przez granicę bez dalszych ceregieli.

Strażnik z posępną miną podniósł bramę i pozwolił mi przejść. Mogłem pewnie mu zapłacić, ale bardzo ciężko pracowaliśmy z Rablekiem przy kopaniu tego złota i nie miałem ochoty go rozdawać.

Północnym Szlakiem Karawan podążyłem na wschód i po tygodniu dotarłem do Yar Nadrak, stolicy. Yar Nadrak jest wyjątkowo brzydkim miastem. Leży u zbiegu wschodniego i zachodniego odgałęzienia rzeki Cordu. Otaczały je bagniska, oznaczone wypalonymi czarnymi pniakami, gdyż Nadrakowie mieli zwyczaj karczowania lasów przez wypalanie. Być może miasto robiło tak niesympatyczne wrażenie, ponieważ niemal wszystko wewnątrz murów wysmarowane było dziegciem. Chronił on drewno przed zbutwieniem, ale nie dodawał mu piękna - nie wspominając o zapachu.

Pojechałem prosto na targ skór i rozpytałem o handlarza skór imieniem Gallak. Skierowano mnie do pobliskiej karczmy. To było ostatnie miejsce, w którym spodziewałbym się znaleźć Polgarę. Sala jadalna miała niski strop, podtrzymywany przez wysmarowane dziegciem słupy. Zaraz po wejściu spostrzegłem coś, co naprawdę mnie zaskoczyło.

Polgara tańczyła.

Może nie była tak dobra jak Vella, ale niewiele jej ustępowała. Na nogach miała miękkie, wysokie, skórzane buty nadrackiego kroju. Z cholewy każdego buta wystawała rękojeść sztyletu. Dwa kolejne sztylety zatknęła za pas. Ubrana była w cienką sukienkę

z malloreańskiego jedwabiu - błękitnego, oczywiście - a pod nią działały się różne bardzo interesujące rzeczy, gdy jej stopy śmigały w zawiłych krokach tańca.

Bywalcy karczmy zachęcali ją, co mnie wprawiło w wojowniczy nastrój. Mam wrażenie, że przez całe tysiąclecia wpadałem w wojowniczy nastrój na widok mężczyzn zbyt interesowanych Pol. Czyż jednak ojcowie nie powinni się tak czuć?

Polgara zakończyła taniec owym dumnym, zmysłowym krokiem, który jest tradycyjnym finałem tańca nadrackiej kobiety. Goście zgotowali jej owację. Potem wróciła do stołu, przy którym siedział dumny jak paw mężczyzna, zapewne jej właściciel. Był Nadrakiem w średnim wieku, o pociągłej twarzy.

Krój i jakość jego ubioru świadczyły o znacznej zamożności. Zauważyłem, że bardzo starannie starał się trzymać ręce przy sobie, gdy Pol usiadła przy stole. Najwyraźniej doskonale wiedziała, jak posłużyć się tymi sztyletami.

Przecisnąłem się przez tłum gości do jego stołu.

- Masz niezłą kobietę, przyjacielu - zagadnąłem go. - Nie chciałbyś jej sprzedać? - zapytałem bez ogródek, Nadrakowie zwykli bowiem od razu przechodzić do rzeczy.

Nadrak otaksował mnie wzrokiem.

- Jesteś Drasaninem, prawda? - wywnioskował po moim odzieniu.

- Zgadza się - odparłem.

- Nie wiem, czy miałbym ochotę sprzedać ją Drasaninowi.

- Interes jest interesem, Gallaku - rzekłem - a moje pieniądze są równie dobre jak każde inne. - Potrząsnąłem przyniesioną sakwą.

- Skąd znasz moje imię? - zapytał.

- Rozpytałem się - odparłem.

- Nie jesteś trochę za stary na tak piękną kobietę?

- Nie kupuję jej dla siebie, Gallaku. Chcę ją ofiarować następcy tronu, Rhodarowi, jako prezent z okazji wstąpienia na tron Drasni. Nigdy nie zawadzi człowiekowi interesu mieć w królu dłużnika.

- To szczerą prawdą - przyznał - ale Rhodar jest Alornem. Skąd przypuszczenie, że będzie zainteresowany nadracką kobietą?

- Nie znasz Rhodara, jak widzę. On ma ogromny apetyt... na wiele rzeczy.

- Może go stracić, gdy Polanna wypruje mu flaki za zbytnią poufałość. Bardzo zręcznie posługuje się sztyletami.

- To jej imię?

Gallak skinął głową.

- A ile chciałbyś mi za nią zaproponować? Pytam tak z czystej ciekawości.

Sięgnąłem do sakwy, wyciągnąłem jedną ze sztabek złota i położyłem przed nim na stole.

Polgara obserwowała nas bardzo uważnie.

- Absolutnie nie wchodzi w grę - warknęła. - Potrzebowałbyś dwudziestu takich, żeby mnie kupić. Powiedz mu, żeby sobie poszedł, Gallaku.

Gallak jednak uważnie oglądał sztabkę.

- Nie śpiesz się tak, Pol - powiedział. - To złoto doskonałej jakości. Powiedziałbym, że niemal czyste. - Zerknął na mnie spod oka. - Jak je zdobyłeś, przyjacielu?

- Kilka lat temu zajmowałem się trochę poszukiwaniem - odparłem. - Mój partner i ja znaleźliśmy strumień pełny tego po brzegi.

Na te słowa oczy mu rozbliły.

- Chciałbym zobaczyć ten strumień - powiedział.

- Wielu by chciało, ale ja trzymam jego położenie w tajemnicy. No to jak? Podasz swoją cenę?

- Polanna właśnie to uczyniła. Dwadzieścia sztabek.

- Pięć - odparowałem.

- Mógłbym zejść do piętnastu.

- To śmieszne! - krzyknąłem. - Za piętnaście sztabek mógłbym kupić całą karcznię ze wszystkimi w środku. Bądź realistą, przyjacielu. W końcu to tylko kobieta.

Targowaliśmy się tak około godziny. Z każdą chwilą twarz Polgary przybierała coraz bardziej kamienny wyraz. W końcu stanęło na dwunastu. Potem splunęliśmy w dłonie, uścisnęliśmy je i targ został dobity. Wstałem.

- W porządku, dziewczyno - rzekłem do córki. - Jedźmy do Drasni.

- Muszę zabrać rzeczy - odparła, zgarniając swoją część złota.

- Zostaw je.

- Za nic, staruszk. Kupiłeś mnie. Ale nie kupiłeś władzy nade mną. Dom Gallaka jest niedaleko stąd. To nie zajmie mi wiele czasu. - Odwróciła się i wyszła z karczmy, odprowadzana spojrzeniami wszystkich gości.

- Ma charakterek, co? - zauważyłem oględnie.

- W rzeczy samej - przyznał Gallak. - Jeśli mam być szczery, przyjacielu, to rad jestem, że się jej pozbyłem. Znasz swojego przyszłego króla lepiej ode mnie, ale może powinieneś zastanowić się nad innym prezentem. Po kilku tygodniach z Polanną jego wdzięczność może zdecydowanie osłabnąć.

- Ona będzie w sam raz, Gallaku. Robienie z tobą interesu było czystą przyjemnością. - Wziąłem o wiele lżejszą sakwę i wyszedłem na ulicę.

Polgara, gdy wróciła, zmroziła mnie wzrokiem.

- Twój występ nie był zbyt zabawny, staruszk - oświadczyła. - Zostałam znieważona.

- A ja myślałam, że poradziłem sobie całkiem dobrze. Czy zechcesz oddać mi moje złoto?

- Nie, ojcie. To złoto jest teraz moje.

Westchnąłem.

- Dobrze, Pol. - Poddałem się. - Skoro tak uważasz. Poszukajmy stajni. Kupię ci konia i możemy ruszać.

Po wyjechaniu za mury Yar Nadrak mogliśmy porozmawiać bardziej otwarcie.

- Znalazłaś ludzi, których szukałaś? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła. - W przeciwnym razie nie posłałabym po ciebie.

- Kim oni są?
- Jednym jest sam Drosta Lek Thun.
- Król Nadraaku? - To było zaskoczenie.

Polgara skinęła głową.

- Drosta to bardzo skomplikowany gość. Wygląda na to, że szuka okazji do wydostania się spod wpływów Grolimów. Chce zamienić swoje królestwo w państwo świeckie. Jest przewrotny i nie uznaje żadnych zasad, ale dla swego kraju chce jak najlepiej.

- Kim jest drugi?

- Gość o imieniu Yarblek. Zdaje się, że jest potomkiem kogoś, kogo znałeś.

- Masz na myśli Rableka?

- Oczywiście. Nic nie dzieje się przypadkowo, ojcze.

Skrzywiłem się.

- Jestem już tym zmęczony - powiedziałem.

- Myślałam, że się do tego przyzwyczaiłeś. Yarblek to człowiek interesów - w pewnym sensie. Jest młody, ale już tak pozbawiony wszelkich skrupułów, że cieszy się niezłą reputacją. Myślę, że pomoże nam, gdy przyjdzie czas - jeśli cena będzie odpowiednia. Masz chyba jeszcze więcej tego złota, ojcze?

Północnym Szlakiem Karawan podążyliśmy na zachód w kierunku granicy z Drasnią. Nastąpiła już jesień. Liście brzoź i osik zaczynały się złocić. To zawsze był piękny widok, ale zwiastował nadejście zimy, a my mieliśmy jeszcze do przejścia góry wokół Yar Gurak.

Spieszyliśmy się, ale po dotarciu do gór szczęście nas opuściło. Wczesna zamieć spadła od strony Morindlandu i pogrzebała nas pod głębokim na pięć stóp śniegiem. W gęstym sosnowym zagajniku skleciłem prowizoryczny szałas i w nim przeczekaliśmy zadymkę. Po trzech dniach burza śnieżna ucichła i ruszyliśmy dalej. Posuwaliśmy się bardzo wolno i wczesnym przedpołudniem humor Pol zaczął się wyraźnie pogarszać.

- To niedorzeczne, ojcze! - warknęła. - Mamy inne sposoby na dostanie się tam, gdzie chcemy.

Pokręciłem głową.

- Jesteśmy na terytorium Angaraków, Pol, a to oznacza obecność Grolimów. Nie róbmy hałasu, gdy nie musimy. Poradzimy sobie, jeśli pogoda się utrzyma.

Ale oczywiście nie utrzymała się. Kolejna zadymka deptała już pierwszej po piętach i znowu musiałem zbudować szałas.

Następnego dnia, późnym rankiem, mieliśmy gościa. Zawierucha szalała wokół naszego prowizorycznego schronienia, a śnieg padał tak gęsty, że nie widzieliśmy dalej niż na dziesięć stóp. Wtem zza śnieżnej zasłony dobiegł głos.

- Hej, tam w obozie. Wchodzę. Nie denerwujcie się.

Wyglądał na starca, szczupłego i żyłastego, jego splecione włosy były równie białe, jak śnieg wokół nas. Po uszy opatulił się w skóry, twarz miał smagłą, ogorzałą i pooraną zmarszczkami. Jednakże jego niebieskie oczy nie sprawiały wrażenia starych.

- Wpakowaliście się w kłopoty, co? - zauważył, brnąc ku nam w śniegu. - Nie czuliście, że nadchodzi zamieć?

Wzruszyłem ramionami.

- Myśleliśmy, że ją wyprzedzimy.

- W tych górach niewielka na to szansa. Dokąd zmierzacie?

- Do Drasni.

- Nigdy tam nie dotrzecie. Za późno wyruszyliście. Zdaje się, że będziecie musieli tutaj przezimować.

- To niemożliwe - powiedziała Pol.

- Znam te góry, dziewczyno. Dalej już przed wiosną nie dotrzecie. - Spojrzał na nas spod oka, po czym westchnął. - Chyba nie ma rady. Chodźcie ze mną. - Nie wydawał się z tego powodu zbyt szczęśliwy.

- Dokąd? - zapytałem.

- Zimuję w jaskini o milę stąd. Nie jest wielka, ale lepsza od tej waszej lichoty. Chyba jakoś zniosę towarzystwo przez zimę. Przynajmniej będę miał z kim porozmawiać. Mój osioł całkiem dobrze słucha, ale nieczęsto odpowiada, gdy coś do niego mówię.



*Z pewnością Garion i Silk pamiętają tego starca.
Natknęliśmy się na niego w tych samych górach wiele lat
później, po drodze do Cthol Mishrak.*



Nigdy nie powiedział nam, jak się nazywa. Jestem pewny, że kiedyś miał jakieś imię, ale całkiem możliwe, że zapomniał. W czasie tej nie kończącej się zimy dużo mówił, ale niewiele było treści w jego słowach. Domyśliłem się, że spędził życie na poszukiwaniu złota w tych górach, ale miałem wrażenie, że nie szukał go zbyt intensywnie. Po prostu lubił przebywać wśród szczytów.

Chyba nigdy nie znałem nikogo, kto jednym spojrzeniem potrafił tak wiele zobaczyć, jak ten starzec. Od pierwszego wejrzenia wiedział, że nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, ale jeśli miał na ten temat jakąś opinię, to zatrzymał ją dla siebie.

Lubiłem go i myślę, że Pol również. Drażniło ją jednak, że trzymał swego osła i nasze konie w jaskini razem z nami. O ile sobie przypominam, sporo na ten temat rozmawiali tamtej zimy.

Tak jak przewidywał, zamiecie szalały, a zasypy stawały się coraz głębsze. Oczywiście obaj polowaliśmy i bardziej niż trochę przejadła mi się dziczyzna. Pol zajęła się gotowaniem, ale nawet jej wyczerpały się pomysły, nim zima dobiegła końca.

Nie rozmawiałem z nią o tym, ale mimo niechęci Pol do tej małej bestii, osioł starca bardzo ją polubił. Swoją sympatię okazywał, trącąc ją łbem, zwykle w najmniej spodziewanych momentach. Może myślał, że zaskakiwanie było zabawne. Potem, gdy już wydawało się, że zima będzie trwać wiecznie, nasz gospodarz stanął pewnego dnia w wejściu do jaskini i wciągnął powietrze.

- Już prawie ma się ku końcowi - powiedział nam. - Nim dzień się skończy, powieje ciepły wiatr od Drasni i przepędzi cały śnieg, ani się obejrzyście. Rzeka przybierze, ale pod koniec tygodnia będzie już można bezpiecznie podróżować. Przyjemność sprawiło mi wasze towarzystwo, ale zbliża się czas rozstania.

- W którą stronę ruszysz, gdy pogoda się poprawi? - zapytała go Pol.
Starzec podrapał się po głowie.

- Jeszcze nie postanowiłem - odparł. - Może na południe, a może z powrotem w kierunku Morindlandu. A może po prostu zobaczę, w którą stronę zawieje wiatr, gdy przyjdzie czas ruszać, lub decyzję zostawię osłu. To dla mnie bez znaczenia, dopóki pozostaję w górach.

Jego przepowiednie co do zmiany pogody okazały się bardzo trafne i pod koniec tygodnia pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w drogę. Pod drzewami nadal piętrzył się śnieg, ale szlak był w większości czysty. Po czterech dniach dotarliśmy do granicy Drasni, a tydzień później do Boktoru.

Epidemia, o której wspominałem wcześniej, przeszła przez zachodnią Drasnię. Jej ofiarą padł ojciec Rhodara i matka Silka. Król umarł, ale matka Silka przeżyła. Choroba straszliwie ją oszpeciła, ale także odebrała wzrok, więc nie mogła w lustrze zobaczyć swej okaleczonej twarzy. Silk ze swym ojcem nigdy jej o tym nawet nie wspomnieli.

Zostaliśmy z Pol na koronacji Rhodara, a potem kupiłem łódź, byśmy mogli popłynąć w dół rzeki Mrin i przez mokradła. Nie przepadałem zbyt za bagnami, ale na Wielkim Trakcie Północnym było o tej porze zbyt wielu podróźnych.

Zimy potrafią dać się we znaki, ale bywa, że wiosna jest jeszcze gorsza - szczególnie na mokradłach. Zaczęło padać tego dnia, gdy wyruszyliśmy z Pol z Boktoru i padało bez przerwy przynajmniej przez tydzień. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie było przypadkiem jakiegoś drugiego zaćmienia, które zakłóciło pogodę.

Zapewne każdy z was kiedyś przeprowadzał się przez mokradła, jako że nie można inaczej dostać się do Boktoru od zachodu. Jednak tym z was, którzy tego nie robili, wystarczy powiedzieć, że to rozległe bagniska pomiędzy rzekami Aldura i Mrin. Pełno na nich sitowia, bazi, płaczących wierzb moczących swe wiotkie gałązki w wodzie. Obie rzeki, choć płynęły bardzo leniwie, zapewniały powolny ruch wody, dzięki czemu nie była zastała. Zwyczajowym sposobem przeprowadzania się przez mokradła jest odpychanie się od dna żerdzią. Wiosłowanie na niewiele się tu zda, gdyż wiele kanałów jest zbyt wąskich. Nie lubię w ten sposób pływać łodzią, ale na mokradłach nie ma zbytniego wyboru.

- Chyba w Boktorze powinniśmy nająć do przeprawy jakiegoś kupca - powiedziałem markotnie pewnego deszczowego ranka. - Mogliśmy już być w połowie drogi do Darine.

- No cóż, teraz już zbyt późno, by zawracać, ojciec - doszła do wniosku Pol. - Pchaj dalej.

Zaczęliśmy spotykać błotniaki - całkiem sporo błotniaków - a potem, ku memu absolutnemu zdumieniu, gdy wypłynęliśmy z zakrętu kanału, naszym oczom ukazał się dom!

Prawdę powiedziawszy, była to raczej chatka z wysuszonych drewnianych bali, pokryta strzechą. Stała w zagajniku płaczących wierzb na wysepce, która łagodnie wynurzała się z otaczającej wody.

Gdy przepchałem łódź bliżej, jeden z błotniaków, który płynął przodem, wygramolił się na błotnisty brzeg wysepki, niczym wydra, pognał w podskokach do drzwi chatki i zaświergotał nagle.

Wtem drzwi chatki otworzyły się i stanęła w nich kobieta. Przyglądała się nam ponuro przez strugi deszczu.

- Witajcie w domu Vordai - zwróciła się do nas, ale w tonie jej głosu niewiele było z serdecznego powitania.

- Jestem nieco zaskoczony, że ktoś żyje w takim miejscu - zawołałem do niej.

- Są po temu powody - odparła. - Możecie wejść do środka, przynajmniej dopóki nie przestanie padać.

To nie było najuprzejmiejsze zaproszenie, ale w mej głowie coś jakby kliknęło. Wiedziałem już, że powinienem przyjąć to zaproszenie, bez względu na to, jak było nieuprzejme.

Wyszliśmy z Pol na brzeg.

- Więc ty jesteś Vordai - odezwała się Pol do kobiety stojącej w drzwiach chatki.

- A ty pewnie jesteś Polgara - odparła kobieta.

- Zdaje się, że coś tu przeoczyłem - powiedziałem.

- Znamy się ze słyszenia, ojciec - odparła Pol. - Vordai nazywają Wiedźmą z Bagien. Jest wyrzutkiem, a to jedyne miejsce w Drasni, w którym jest bezpieczna.

- Pewnie dlatego, że drewno jest tu za mokre, by palić ludzi na stosie - dodała właścicielka chatki z pewną goryczą. - Wejdźcie do środka, oboje.

Wiedźma z Bagien była bardzo stara, ale jej twarz nadal nosiła ślady oszałamiającej urody, choć szpeciły ją wykrzywione goryczą usta. Życie nie obeszło się z nią łaskawie.

Każdy, kto spędził jakiś czas w Drasni, musiał słyszeć o Wiedźmie z Bagien. Ja zawsze uważałem te opowieści za bajki i zapewne większość z nich nimi była. Vordai zdecydowanie nie była czarownicą. Z całą pewnością nie zwabiała nieostrożnych podróżnych na grzęzawiska. Pewne wydarzenia z przeszłości przyczyniły się do jej zobojętnienia.

Wnętrze chatki było niezwykle schludne. Nisko nad głowami zwieszał się ciężki, belkowany sufit, a drewnianą podłogę wyszorowano do białości. Nad ogniem zawieszono garnek; w wazonie na stole stał bukiet polnych kwiatów, a w oknach wisały zasłonki.

Vordai miała na sobie prostą brązową suknię. Lekko utykała. Wyglądała na zmęczoną.

- A więc to jest sławny Belgarath - rzekła, zabierając nasze mokre płaszcze. Rozwiesiła je w pobliżu ognia.

- Rozczarowuje, nieprawdaż? - powiedziała Pol.

- Nie - odparła Vordai - nie bardzo. Wygląda tak, jak się spodziewałam. - Wskazała na stół. - Usiądźcie. Myślę, że stawy starczy dla wszystkich.

- Wiedziałaś o naszym nadejściu, prawda, Vordai? - zapytała Pol.

- Naturalnie. W końcu jestem wiedźmą.

Przez otwarte drzwi wszedł błotniak i stanął na swych krótkich, tylnych łapach. Zaświergotał w ów osobliwy sposób wszystkich błotniaków.


- Tak - powiedziała do stworzenia Vordai - wiem.

- A zatem to prawda - powiedziała tajemniczo Pol, przyglądając się uważnie zwierzęciu.


- Wiele niezwykłych spraw jest prawdą, Polgaro - odparła Vordai.

- Nie powinnaś się wtrącać w ich życie.
- Nie zrobiłam im krzywdy. Za to odkryłam, że wtrącanie się w życie ludzi może być bardzo niebezpieczne. Wolę towarzystwo błotniaków niż swych pobratymców.
- Są przynajmniej czystsze - przyznała Pol.
- Dlatego, że częściej się kąpią. Deszcz powinien niebawem przejść i będziesz mogła ze swym ojcem popłynąć dalej. A teraz proponuję śniadanie. Na tym moja gościnność się kończy.

Było wiele spraw, których do końca nie rozumiałem. Najwyraźniej Polgara w swych studiach zgłębiła również czary, obszar całkowicie mi nie znany. Pomiędzy Pol i Wiedźmą z Bagien musiało dojść do wymiany, której ja nie rozumiałem. Zrozumiałem wszakże jedno: Vordai była samotną starą kobietą, którą w przeszłości bardzo źle potraktowano.



I coś się tak Garionie zawziął? Tak, w istocie, było mi żal Vordai - prawie tak jak Illessy. W końcu nie jestem potworem. Jak myślisz, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, gdy ty, Silk i ja przeprawialiśmy się przez bagna w drodze do Cthol Mishrak? Z pewnością nie dlatego, iż nie potrafiłem wymyślić innego sposobu.



Tak jak przewidywała Vordai, około południa przejaśniło się. Włożyliśmy z Pol wysuszone płaszcze i wróciliśmy do naszej łodzi.

Vordai nawet nie pofatygowwała się, by nas odprowadzić.

Przepchnąłem łódź żerdzią za następny zakręt krętego kanału. Samotna chatka na środku bezkresnych mokradeł zniknęła nam z oczu, a w oczach Pol zaśniły łzy. Uznałem za stosowne nie zadawać pytań. Gdy okoliczności tego wymagały, Pol potrafiła być absolutnie bezlitosna, ale nie była nieludzka.

Wydostaliśmy się z bagien w pobliżu Brodu Aldura i pieszo poszliśmy wzdłuż wschodniej granicy Sendarii, aż do znaczonego koleinami szlaku, który wiodł do Annath. Wczesnym popołudniem

dotarliśmy na rubieżę miasteczka, gdzie w pobliżu kamieniołomu czekał na nas Geran.

- Dzięki Bogom! - zawołał żarliwie. - Bałem się, że nie zdążycie wrócić na ślub!

- Jaki ślub? - zapytała ostro Pol.

- Mój - odparł Geran. - Żenię się w przyszłym tygodniu.





Ślub Gerana i Ildery odbył się późną wiosną roku 5348. Całe Annath zrobiło sobie z tej okazji dzień wolny od pracy. Klan Ildery nie pozostał z tyłu, jego odziani w skóry członkowie tłumnie przeszli przez granicę, by wziąć udział w weselu.

Trochę spierano się o to, kto ma przeprowadzić ceremonii, Ildera była Algarką, więc kapłan Belara, który zajmował się zaspokojeniem duchowych potrzeb klanu, uznał, że to on powinien poprowadzić ceremonię. Jednakże miejscowy kapłan ostro zaprotestował. W tym momencie wkroczyła Polgara i załagodziła spór - przynajmniej powierzchownie - proponując proste rozwiązanie. Zamiast jednej, odbędą się dwie ceremonie. Dla mnie nie miało to najmniejszego znaczenia, więc się nie wtrącałem.

Pomiędzy matką Gerana, Alarą, i matką Ildery, Olane, również doszło do pewnych tarć. Ojciec Ildery, Grettan, był w końcu wodzem klanu, a to w społeczności Algarów odpowiadało szlchetnemu pochodzeniu. Geran zaś był synem zwykłego kamieniarza. Olane nie ukrywała więc, że jej zdaniem córka popełnia mezalians. To mocno zraziło Alarę. Pol musiała stanowczo wyperswadować jej ujawnienie pochodzenia syna. Nie było potrzeby, by wiedzieli o tym inni. Zdaje się, że nieporozumienia pomiędzy matkami młodych przysparzały Pol w ciągu stuleci więcej trosk niż sam Chamdar.

Wiejskie wesela są zazwyczaj nieformalnymi uroczystościami. Pan młody zwykle bierze kąpiel, najczęściej przywdziewa czystą koszulę i to wszystko. Jednakże z powodu zadzierania nosa przez Olane, Alara przetrząsnęła całe Annath w poszukiwaniu wykwintnego stroju dla swego syna. Przypadkiem dowiedziała się, że miejscowy brukarz ma na stryszku stary, zakurzony, purpurowy kubrak. Tak długo męczyła biedaka, aż w końcu zgodził się pożyczyć go Geranowi. Alara wyprała go i zmusiła mego wnuka do przywdziania go na tę szczęśliwą okazję.

Kubrak nie leżał na nim jednak najlepiej i Geran cały czas próbował go poprawiać.

- Zostaw go, Geranie - powiedział ojciec, gdy we trzech czekaliśmy na rozpoczęcie ceremonii. - Podrzesz go.

- Nie rozumiem, po co w ogóle musiałem włożyć tę idiotyczną rzecz, ojciec - skarżył się Geran. - Miałem przecież zupełnie dobrą tunikę.

- Twoja matka chciała, abyś dobrze prezentował się przy Algarach - rzekł Darral. - Nie sprawmy jej zawodu. Ma teraz pewien mały problem, więc bądźmy dla niej mili. Zrób to dla swego ojca, Geranie. Ty od dziś przejdziesz na własny garnuszek, ale ja dalej będę musiał jeść to, co przygotuje twoja matka. Nie zdejmuj kubraka, chłopcze. Wytrzymasz w nim kilka godzin i tym samym ułatwisz mi życie.

Geran pomruczał trochę i zaczął znowu, zwyczajem wszystkich panów młodych, nerwowo spacerować.

Ponieważ pogoda była ładna i spodziewano się wielu gości, ślub odbył się na uroczej, ukwieconej łące na przedmieściach Annath. We właściwym czasie doprowadziliśmy z Darralem naszego nerwowego pana młodego przed ołtarz wzniesiony na środku łąki. Stali przy nim obaj kapłani, spoglądając groźnie na siebie. Po wyrazie ich twarzy widziałem, że rada Pol nie usunęła wszystkich rozbieżności.

Najbliższe rodziny młodej pary siedziały na ławkach, pozostali goście stali. Wszyscy Sendarowie włożyli odzienie w odcieniach brązu i ustawili się po jednej stronie. Algarowie byli odziani w czarne końskie skóry i zajęli drugą stronę. Zauważyłem, że spoglądali na siebie mało przyjaźnie. Wrogie nastawienie Olane i Alary najwyraźniej podzieliło weselną gości na dwa obozy.

Na ogół mieszkańcy Annath byli kamieniarzami, więc nie było wśród nich biegłych muzykantów. Algarowie zaś byli tak niemuzycalni, że większość z nich nie potrafiła zaśpiewać jednej nuty bez fałszowania. Pol wzięła to pod uwagę i mądrze postanowiła obyć się bez tradycyjnego marsza weselnego. I tak już mieliśmy dość kłopotów. Jakaś przypadkowa uwaga początkującego krytyka muzycznego mogłaby doprowadzić do wybuchu walki jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii.

Ilderę poprowadził do ołtarza ojciec, Grettan. Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył, że niczego nie pragnął bardziej niż końca dnia. Panna młoda, ubrana cała na biało, z wiankiem wiosennych kwiatów na jasnych włosach, promieniała. Oblubienice promienieją, a oblubieńcy są nerwowi, zauważyliście to? I kto tu naprawdę rządzi światem?

Polgara - naturalnie cała ubrana na niebiesko - szła zaraz za Ilderą i Grettanem. A choć powinno to być szczęśliwe wydarzenie, jej twarz miała bardzo surowy wyraz. W powietrzu wisiała awantura i Pol chciała, by wszyscy zrozumieli, że nie pozwoli na żadne głupstwa.

Podwójna ceremonia zdawała się ciągnąć bez końca. Jestem pewny, że Geran tak to odbierał. Najpierw kapłan algarski błagał o błogosławieństwo Belara. Z kolei kapłan sendaryjski błagał o błogosławieństwo każdego z pozostałych sześciu Bogów. Staralem się nie okazywać rozbawienia, gdy przeszedł do Toraka. Nie miałem wątpliwości, że Torak, nawet gdyby nie spał, nie odpowiedziałby, jako że ten ślub z wszelkimi następstwami zdecydowanie nie sprawiłby mu radości. Sendarowie jednak są wyznawcami szeroko pojętego ekumenizmu, więc w swych religijnych obrzędach powszechnie uwzględniają wszystkich siedmiu Bogów.

W końcu ceremonia dobiegła końca i państwo młodzi się pocałowali. Potem rozpoczęła się uczta weselna, którą Pol przygotowała osobiście. Wznoszono wiele toastów za zdrowie nowożeńców. O zachodzie słońca każdy, kto jeszcze był na tyle trzeźwy, odprowadził szczęśliwą parę pod drzwi domu, który zbudował Geran.

Potem, gdy nad Annath zapadł wieczór, przyszła kolej na bijatyki.

Podsumowując, było to całkiem udane wesele.

Noc spędziłem w domu Darrala. Następnego ranka Pol obudziła mnie o wschodzie słońca.

- Co to były za wrzaski i hałasy ostatniej nocy? - zapytała.

- Weselni goście świętowali.

- Doprawdy? To mi wcale nie wyglądało na świętowanie.

- Wesela to bardzo emocjonujące wydarzenia, Pol, a zeszłego wieczoru powietrze pełne było przeróżnych emocji.

- To mi wyglądało na ogólną bijatykę, ojcze.

- Żadne wesele nie obejdzie się bez kilku bójek. One upamiętniają wydarzenie.

- Dużo było ofiar śmiertelnych?

- Żadna, o której bym wiedział. Gadatliwy kapłan Belara nie będzie mógł przez jakiś czas odprawiać długich nabożeństw, przynajmniej dopóki nie zagoi mu się złamana szczęka.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jakie masz plany?

- Myślę, że wrócę do Doliny. Ten ślub był pewnego rodzaju WYDARZENIEM, które być może odsłoniło kilka kolejnych szczegółów w Kodeksie Mrińskim. Poza tym lepiej, abym się wyniósł z Annath. Chamdar jest teraz w Tolnedrze, ale z pewnością jego Grolimowie węszą wokół i nie chciałbym zwracać na siebie uwagi.

- Mądra decyzja. Pozdrów ode mnie bliźniaków.

- Pozdrowię.

Ubrałem się, pospiesznie zjadłem śniadanie i powlokłem się na drugi koniec jedynej ulicy Annath, aby złożyć swoje uszanowanie nowożeńcom. Geran miał na twarzy ów wystraszony wyraz, który zawsze mają młodzi mężowie, a Ildera, podobnie jak wszystkie świeżo upieczone żony, wciąż się rumieniła. Uznałem to za pomyślny znak. Potem opuściłem Annath i ruszyłem do Doliny.

Po powrocie do domu niczym się specjalnie nie zajmowałem. Coś bardzo ważnego miało się wkrótce wydarzyć i niecierpliwe oczekiwanie nie pozwalało mi się skupić. Pomimo największych wysiłków, bliźniakom nie udało się wydobyć nic znaczącego z Kodeksu Mrińskiego. Przyjaciel Gariona, jak reszta z nas, zdawał się czekać na stosowną chwilę.

Czasami wydaje mi się, że większość życia spędziłem na wyczekiwaniu stosownej chwili.

Następnej zimy Beldin wrócił do domu. Ja nie bardzo przepadam za podróżowaniem zimą, ale Beldin nigdy nie dbał o pory roku - zapewne wiązało się to z jego osobliwym dzieciństwem. Dla zabicia czasu czytałem właśnie prastary melceński poemat epicki, opiewający przygody jednego z ich narodowych bohaterów, półgłówka, który

wypłynął w morze na małej łódce i u wschodniego wybrzeża Mallorei odkrył Wyspy Melceńskie.

- Belgaracie! - zawołał do mnie z dołu mój pokraczny brat. - Otwórz te swoje głupie drzwi!

Podszedłem na szczyt schodów.

- Otwórz się! - rzekłem do płaskiego głazu, który bronił niepokodzie dostępu do przedsionka mej wieży. Kamień gładko przesunął się i Beldin wszedł.

- Po co zamykasz te durne drzwi? - zapytał z wyrzutem, otrzepując nogi ze śniegu.

- Pewnie z przyzwyczajenia - odparłem. - Chodź na górę.

Beldin kuśtykał po schodach.

- Czy ty tu nigdy nie posprzątasz? - zapytał, spoglądając na bałagan, do którego tak się przyzwyczailem, że nawet go nie zauważałem.

- Zabiorę się do tego - kiedyś. Co cię w końcu skłoniło do zejścia z tej grzędy w południowym Cthol Murgos?

- Trzęsienie ziemi, prawdę powiedziawszy. Czy ostatniej wiosny wydarzyło się coś znaczącego?

- Geran i Ildera pobrali się.

- Jeśli bliźniacy mają rację, to prawdopodobnie jest najbardziej znaczące wydarzenie od czasów Vo Mimbre. Stąd chyba trzęsienie ziemi.

- Czy obudziło Toraka?

- Z tego, co wiem, nie. W każdym razie nie zamienił w kupę gruzu swej jaskini. Jak udało się wesele?

- Nieźle. Sama ceremonia była nudna, ale bójki owszem, owszem.

- Szkoda, że je przegapiłem - powiedział ze swym paskudnym uśmiechem. - Czy Ildera jest już w ciąży?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czemu to tyle trwa?

- Zdaje się, że to sprawka Konieczności. Narodziny Pogromcy Boga będą jednym z tych WYDARZEŃ, dla których czas ma decydujące

znaczenie. Ildera nie zajdzie w ciążę, dopóki Konieczność nie uzna, że chwila jest odpowiednia. Czy Zedar wrócił do tej groty?

- Jeszcze nie. Pewnie włóczy się gdzieś. Czy bliźniacy dowiedzieli się, czego on szuka?

- Nie. Przynajmniej nie powiedzieli mi o tym.

- Pewny jesteś, że to Geran będzie ojcem tego, na którego czekamy?

- Tak im się zdaje. W każdym razie wydarzy się to w tym stuleciu.

- Czas najwyższy!

- Cierpliwość nigdy nie była twoją mocną stroną, bracie. Czemu tyle czasu zajęło ci dotarcie tutaj z Cthol Murgos?

- Poszedłem się rozejrzeć. W Mallorei panuje niepokój.

- Tak?

- Zakatha koronowano na cesarza, co z jakiegoś powodu tak wystraszyło Taura Urgasa, że postanowił podjąć odpowiednie kroki.

- Czemu Taur Urgas tak obawia się Zakatha?

- Taur Urgas jest szaleńcem, Belgaracie, a szaleńcy nie potrzebują wytłumaczenia swych czynów czy myśli. Zakath jest bardzo ambitnym młodzieńcem i agenci Taura Urgasa w Mallorei bacznie go obserwują. Malloreia to wielki obszar, ale chyba bardzo nęci Zakatha myśl o zostaniu władcą wszystkich Angaraków. Wieść o tym przeniknęła do Rak Goska. Zdaje się, że bardzo niepokoi to Taura Urgasa. Malloreia jest przynajmniej dwukrotnie większa od Cthol Murgos i ma prawie pięć razy tyle mieszkańców. Jeśli Zakath uzna, że chce władać angarackim światem, to Taur Urgas niewiele będzie mógł zrobić, by mu w tym przeszkodzić.

- Przy odrobinie szczęścia może zobaczymy powtórkę z wydarzeń na Pustyni Araga tuż przed bitwą pod Vo Mimbre.

- Nie miałbym takiej nadziei, Belgaracie. Tylko patrzeć, jak Torak się obudzi. Co prawda Stara Spalona Gęba co najmniej dorównuje pod względem szaleństwa Taurowi Urgasowi, ale ma bardzo dobrą pamięć. Nie pozwoli, by Taur Urgas i Zakath, podobnie jak ostatnim razem Ctuchik i Urvon, pokrzyżowali mu plany.

- Powiedziałeś, że Taur Urgas podjął kroki. Co takiego zrobił?

- Chyba już ci mówiłem, że Zakath udał się do Melceny, by podjąć studia na tamtejszym uniwersytecie. Melcena zrobiła na nim wielkie wrażenie. Mal Zeth bardziej przypomina obóz wojskowy niż miasto, ale Melcena jest bardzo cywilizowanym i wykwinnym miejscem. Zakath, jako następca tronu Mallorei, był zapraszany do najlepszych domów w mieście. Przedstawiono go pewnej wysoko urodzonej melceńskiej pannie w jego wieku. Zupełnie stracił dla niej głowę. - Beldin westchnął. - Gdyby pozostawiono sprawy samym sobie, zapewne zmieniłby się bieg historii. Dziewczyna była piękna i inteligentna. Mogłaby mieć ogromny wpływ na Zakatha.

- Co się stało?

- Właśnie do tego dochodzę. W tym momencie do akcji wkroczył Taur Urgas. Jego agenci donieśli mu o powiązaniach Zakatha z melceńską panną oraz o tym, że dziewczyna należała do wysoko postawionej, ale po uszy tkwiącej w długach rodziny. Taur Urgas jest szalony, ale nie głupi. Natychmiast dostrzegł możliwości wynikające z tej sytuacji. Rozkazał swym ludziom w Melcenie po cichu wykupić owe długi. Gdy zaś już został właścicielem zobowiązań, mógł wywierać nacisk na rodzinę panny.

- Co chciał przez to osiągnąć?

- Zakath wstąpił na tron, gdy miał osiemnaście lat. W Melcenie powszechnie wiadomo było, iż w powietrzu wiszą oświadczyzny. Taur Urgas jest Murgiem, więc nie miał zielonego pojęcia o cechach melceńskiej natury. Kobiety murgoskie nie uczestniczą w życiu publicznym, siedzą w domach, nie mają żadnego wykształcenia i robią, co im rodzina każe. Od kołyski wbija się im do głowy posłuszeństwo. Murgoska dziewczyna poderznęłaby sobie gardło, gdyby tak kazał jej ojciec. Melceńskie dziewczęta mają więcej charakteru, ale Taur Urgas o tym nie wiedział. Założył po prostu, że panna robi, co każe jej rodzina. Poleciał swym ludziom w Melcenie przekazać rodzinie dziewczyny bardzo szczegółowe instrukcje i postraszyć ściąganiem długów, jeśli nie będą posłuszni. Rodzina robiła, co mogła, by zdobyć pieniądze. Potrzebowali jednak więcej czasu, więc udali, że przystają na plan Urgasa.

- To mi zaczyna przypominać marną arendzką tragedię, Beldinie - zauważyłem.

- Jeszcze gorzej. Plan Taura Urgasa był bardzo prosty. Wysłał swemu siostrzeńcowi w Melcenie jedną z najsilniejszych nyissańskich trucizn, wraz z pewnymi bardzo wyraźnymi instrukcjami. Dziewczyna miała podsycać zainteresowanie Zakatha, a potem, przy pierwszej okazji, otruć go. Miła, posłuszna dziewczyna dokładnie tak by postąpiła, ale nie melceńską panna. Taur Urgas jest na tyle szalony, że nie potrafił dostrzec między nimi różnicy. Rodzina dziewczyny nadal grała na zwłokę, więc udała, że się zgadza. Niestety, w każdej rodzinie zdarza się czarna owca. Jeden z pozbawionych skrupułów członków bocznej linii dostrzegł szansę na ustrzelenie zdobyczy dla siebie. - Beldin skrzywił się. - Źle się chyba wyraziłem.

- Myślę, że wiem, o co chodziło.

- Tak też myślałem. W każdym razie ten przewrotny łajdak sprzedał szczegóły spisku pewnym urzędnikom rządowym i wieść o tym dotarła do samego Zakatha. Pomimo swych cywilizowanych manier Zakath nadal jest Angarakiem, toteż natychmiast krew go zalała. Bez najmniejszego zastanowienia rozkazał usunąć wszystkich członków tej melceńskiej rodziny. Jego podwładni - również Angarakowie - wykonali jego polecenie co do joty. Dziewczyna zginęła jedna z pierwszych. Gdy później wyszła na jaw jej niewinność, Zakath niemal postradał zmysły z żalu i wyrzutów sumienia. Zamknął się w swojej komnacie na sześć miesięcy, a gdy stamtąd wyszedł, był zupełnie innym człowiekiem. Przed tym zdarzeniem wydawał się cywilizowanym, oświeconym mężczyzną, z którego zapewne byłby dobry cesarz. Teraz jest prawdziwym potworem, który rządzi Malloreą żelazną pięścią. Do tego ma zamiar wyrządzić Taurowi Urgasowi bardzo niemiłe rzeczy.

- Dać mu więcej władzy - pochwaliłem. - Gdybym nie był taki zajęty, to sam zaoferowałbym mu pomoc.

- Potrafisz być paskudny, gdy się postarasz, Belgaracie, ale nie możesz równać się z Zakathem. Gdy wrócił między ludzi, wysłał list do Taura Urgasa i polecił rozpowszechnić jego kopię - pewnie, by uczynić go przez to jeszcze bardziej obraźliwym. Ja też mam jedną. - Sięgnął pod poszarpaną tunikę i wyciągnął złożoną kartkę papieru. -

Chciałbyś przeczytać najbardziej obraźliwy list, jaki jeden monarcha przesłał drugiemu monarsze?

Wziąłem od niego papier, rozłożyłem go i przeczytałem.

Do jego wysokości, Taura Urgasa z Murgodomu.

Nie rozbawiły mnie ostatnie próby mieszania się w wewnętrzne sprawy Mallorei, ty murgoski psie. Gdyby nie obecna sytuacja na świecie, to zwałiłbym ci się na łeb z całą potęgą swego cesarstwa za obrazę, jaką mi wyrządziłeś.

By mieć pewność, że nic podobnego więcej się nie zdarzy, zaaresztowałem wszystkich Murgów w swoich granicach jako zakładników twego dobrego zachowania. Doniesiono mi, że kilku z nich jest twymi bliskimi krewnymi. Podjucz jeszcze do jakichś awantur w moim królestwie, a odeślę ci twych rodaków w kawałkach.

W przeszłości twój świat zapelniali wymyśleni wrogowie. Raduj się, Taur Urgasie, i daj spokój swemu szaleństwu, albowiem teraz masz prawdziwego wroga, o wiele bardziej zawziętego od wszystkich mar z twego obłędu. Możesz być pewny, że gdy tylko sytuacja na świecie na to pozwoli, zaatakuję cię i te cuchnące pustkowia, którymi władasz. Z przyjemnością zetrę z powierzchni ziemi ostatniego Murga i wymażę każdą wzmiankę o tym narodzie z kart historii ludzkości.

Miej oczy na plecach, ty szaleńcze, gdyż, tak jak słońce jutro wstanie, pewne jest, że któregoś dnia zjawię się, by wymierzyć ci karę, na którą tak sobie zasłużyłeś.

Zakath

Gwizdnąłem i oddałem mu list.

- To otwarta deklaracja wojny - stwierdziłem.

- Robi wrażenie, co? - przyznał Beldin z szerokim uśmiechem. - Być może oprawię go i powieszę na ścianie w wieży. Słyszałem, że Taur

Urgas toczył pianę z ust i gryzł dywan, nim jeszcze skończył czytać. Zakath zaś spełnia swą groźbę. Wysłała do Rak Goska kawałki różnych Murgów. Urvon próbuje zawrzeć pokój, ale nie bardzo mu to wychodzi. Serce Zakatha zmieniło się w kamień, a szaleństwo Taura Urgasa rośnie z minuty na minutę.

- Przekażę to Rhodarowi - powiedziałem. - Drasański wywiad potrafi dolać oliwy do ognia. Czy Ctuchik coś robi?

- Ctuchik to twoje zmartwienie, Belgaracie. Słyszałem jednak, że utworzył Radę Hierarchów. Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek nabrała większego znaczenia, jeśli w jej skład wchodzi tacy politycy jak Grolimowie. Widziałem kilka murgoskich karawan na południowym szlaku. Coś knują?

Skinąłem głową.

- Przybywają na zachód całymi stadami, udając zainteresowanie handlem. To pewnie pomysł Chamdara. Potrafi odczytać znaki równie dobrze jak my, więc wie, że czas rozwiązania coraz bliżej. Najwyraźniej pragnie pomocy.

- Gdzie jest teraz?

- W Tolnedrze, według ostatnich wieści. Drasański wywiad pilnuje go dla mnie.

- Chyba każdy na Zachodzie wykonuje za ciebie kawałek roboty, co, Belgaracie?

- To się nazywa „scedowaniem obowiązków”, bracie. Wiele się teraz dzieje, więc muszę być elastyczny.

- Wiedziałem, że z łatwością znajdziesz usprawiedliwienie dla swego nieróbstwa. Nie rozsiadaj się jednak zbyt wygodnie, Belgaracie. Przyjdzie czas, że będziesz musiał być w sześciu czy ośmiu miejscach naraz. Chodźmy zobaczyć się z bliźniakami. Te sprawy pomiędzy Zakathem i Taurem Urgasem mogły wytrząsnąć z Kodeksu Mrińskiego kilka dalszych wskazówek.

Tak jednak nie było. Kodeks Mriński pozostał krnąbrny jak zawsze. Mogłem tylko przyjąć, że Konieczność wiedziała, co robi, i że świadomie utrzymywała mnie w niewiedzy.



Wydaje mi się, że nikt z nas nigdy w pełni nie docenił stuleci cierpliwego trudu bliźniaków. Ta para łagodnych alornskich pasterzy miała decydujący wpływ na nasze poczynania. W pewien szczególny sposób byli przewodnikami. Goniliśmy po świecie dzięki ich odkryciom. Konieczność zwykle z nami nie rozmawiała, natomiast z bliźniakami - tak. Zaczytali sześć czy osiem kopii Kodeksu Mrińskiego i Darińskiego w ciągu tych lat. Bogowie wiedzą, że ani ja, ani Beldin nie mielibyśmy takiej cierpliwości. Po dziś dzień, gdyby bliźniacy kazali mi skoczyć, to będę już cztery stopy w powietrzu, nim zapytam „W którą stronę?”. O to pewnie chodziło Aldurowi, gdy po nich posłał. Mistrz w równym stopniu był niewolnikiem Konieczności jak my wszyscy.



Beldin został w Dolinie przez tydzień, po czym wrócił do Cthol Murgos, by podjąć swe samotne czuwanie nad śpiącym bratem naszego Mistrza. Wkrótce po jego odejściu udałem się do Boktoru, by powiadomić Rhodara o niezgodzie pomiędzy Zakathem i Taurem Urgasem. Król Rhodar nie robił się szczuplejszy, ale jego umysł rozwijał się zdecydowanie szybciej, niż rósł mu obwód w pasie. Opowiedziałem mu o ostatnich wydarzeniach w Mallorei, a on spojrzał na mnie przebiegle.

- To nie jest naturalne, Belgaracie. Król Murgów nie zawracałby sobie tak głowy tym, co dzieje się w Mallorei. Cały ocean dzieli oba kraje. Jakieś WYDARZENIE się zbliża, prawda? Z raportów, które otrzymuję, emanuje coś doniosłego.

Nie było sensu ukrywać rzeczy przed Rhodarem, miał zbyt dobrych szpiegów i zbyt bystry umysł.

- Powiedzmy, że żyjemy w interesujących czasach i poprzestańmy na tym, dobrze, Rhodarze? - zaproponowałem. - Ty zajmuj się zwyczajnym światem, a mnie pozostaw opiekę nad drugim.

- Czy w grę wchodzi wojna? Jeśli tak, to muszę zwiększyć pobór do armii.

- To byłoby przedwczesne. Nie zwracaj uwagi na przygotowania do wojny. Lepiej skoncentruj się na wrogości pomiędzy Murgami i Malloreanami. W razie wojny wolałbym, aby Angarakowie nie pałali do siebie zbyt miłością. - Potem zmieniłem temat. - Kiedy masz się zamyślić ożenić?

- Za jakiś czas - odparł wymijająco z lekkim zakłopotaniem na twarzy. Kiedy teraz wracam myślami do tej rozmowy, to jestem niemal pewny, że już wówczas wpadła mu w oko Porenn. O ile pamiętam, miała wtedy dopiero trzynaście lat.

Następnie udałem się do Val Alorn, a stamtąd na Wyspę Wiatrów. Nie skłoniły mnie do tego żadne szczególne powody, ale zawsze wolałem mieć Alornów na oku. Często pakowali się w kłopoty, jeśli ich bacznie nie pilnowałem.

Potem w 5349 roku mój wnuk, Darral, zginął podczas osunięcia ściany w kamieniołomach, w których pracował, więc pospiesznie ruszyłem do Annath. Oczywiście nic już nie mogłem na to poradzić, ale udałem się tam mimo wszystko. Śmierć w rodzinie nie jest sprawą, obok której można przejść obojętnie, a Polgara zawsze bardzo ciężko to przeżywała. Pewnie myślicie, że zdążyliśmy już z Pol nabrać filozoficznego dystansu do ludzkiej śmiertelności, ale tak nie jest. Naturalnie kochałem Darrala. Był przecież moim wnukiem, ale pogodziłem się już z myślą, że pewnego dnia i on zestarzeje się i umrze. Jednakże Polgara nie potrafiła podejść do tego z filozoficznym spokojem. Śmierć kogoś kochanego zawsze ją boleśnie dotykała. Być może miało z tym coś wspólnego jej medyczne wykształcenie. Dla medyka śmierć jest największym wrogiem.

Próbowałem pocieszyć ją typowymi w takiej sytuacji banałami, ale ona nie chciała mnie nawet słuchać.


- Odejdź i zostaw mnie w spokoju, ojczy - powiedziała stanowczo. - Jakoś sobie z tym poradzę.

Poszedłem więc dalej ulicą, by porozmawiać z Geranem.


- Co się naprawdę wydarzyło? - zapytałem.

- Musiało być jakieś ukryte pęknięcie w skale, dziadku - odparł ze smutkiem. - Obaj z ojcem sprawdziliśmy ścianę od góry do dołu.

Wydawała się kompletnie zdrowa, nie było żadnych rys ani szczelin. Robotnicy wyrąbawali bloki na szczycie i wszystko po prostu się zapadło. Ojciec stał u podnóża skały. Nie miał dokąd uciec, gdy się zawaliła. - Na jego twarzy pojawił się gniew. Walnął pięścią w stół. - Nie było żadnego powodu, dziadku! Ta skała nie powinna się zawalić! Rozbiorę tę górę kamień po kamieniu, ale dowiem się, dlaczego tak się stało!



Teraz wiem, kto był za to odpowiedzialny. Między innymi z tej przyczyny odczułem ogromną satysfakcję z tego, co Garion zrobił z Chamdarem w Lesie Driad.




Polgara nadal była niepokieszona i nie potrafiłem tego zmienić żadnym słowem ani uczynkiem. Zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Przez jakiś czas bałem się, że oszaleje z żalu.

Ale to żona Darrala oszalała.

Początkowo to nie było takie oczywiste. Po pierwszym wybuchu żalu zrobiła się nienaturalnie spokojna. Dwa tygodnie po pogrzebie wróciła do swych zwykłych zajęć: sprzątnania, zamiatania przed wejściem i przygotowywania posiłków, jakby nic się nie stało. Często nawet podśpiewywała przy gotowaniu.

Ktoś mógłby pewnie uznać, że to zdrowe podejście, ale myliłby się. Śmierć żony lub męża pozostawia ranę, do której zabliznienia potrzebne są całe lata. Wierzcie, ja to wiem. Gdybym sam nie był pogrążony w tak głębokim smutku, to zauważyłbym, że coś tu było nie w porządku.

Alara przygotowywała posiłki i zawsze stawiała na stole nakrycie dla Darrala. Pod wieczór podchodziła do drzwi i z niepokojem wyglądała na jedyną ulicę Annath, jakby oczekiwała czyjegoś nadejścia. Oznaki jej szaleństwa były oczywiste. Nie mogę uwierzyć, że ich z Pol nie zauważyliśmy.



Gdybym był choć trochę czujniejszy, to domyśliłbym się, kto odpowiada za śmierć Darrala i szaleństwo Alary.

A wówczas przetrząsnąłbym cały świat w poszukiwaniu Murga Asharaka, a gdybym go dopadł, poderżnąłbym mu gardło tęym nożem. Rozkoszowałbym się każdą minutą jego męki.

Oczywiście, że jestem okrutny. Jeszcze tego nie zauważyliście?



Nie twierdzą, że Alara całkowicie oszalała. Zaczęła zachowywać się dość nieprzytomnie - co pewnie było jeszcze gorsze, jak się nad tym zastanowić. Polgara, po otrząśnięciu się z własnego smutku, musiała na nią nieustannie uważać, i to z upływem czasu okazało się bardzo ważne.

Ja swój smutek zabrałem w drogę. Pokonywanie trzydziestu mil dziennie przytępia wszelkie emocje. Zdecydowanie uważałem, że powrót do nabrzeżnych tawern Camaar nie był dobrym rozwiązaniem. Pod koniec wiosny roku 5351 zawędrowałem do Doliny. Czekał już tam na mnie Javelin.

- Zgubiliśmy go, Prastary - przyznał z pewnym wstydem. - Moi ludzie obserwowali go nieustannie, a on pewnego dnia po prostu zniknął. Chamdar jest Murgiem, a oni przecież nie są zbyt sprytni.

- On potrafi zwodzić, Khendonie - westchnąłem. - Wygląda na to, że muszę znowu wzuć buty. Lepiej będzie, jak go odszukam.

- Nie jesteś trochę za stary na te rzeczy, Świątobliwy? - zapytał z zaskakującą bezpośredniością. - Śledzenie Chamdara należało do mnie. Pozwól mi go zatem zlokalizować.

- Może i jestem stary, Javelinie, ale nadal potrafiłbym zapędzić cię w kozi róg. Po prostu nie wchodź mi w drogę. Nie cierpię, gdy ludzie czepiają się mego wieku. Czy nie dotarło do nich jeszcze, że nie ma on dla mnie żadnego znaczenia?

Udałem się prosto do Tol Honeth. Bliźniacy oceniali, że znajdujemy się kilka lat od narodzin Pogromcy Boga. Dobrze pamiętałem głośne rozważania Chamdara, gdy Gelane znalazł się w szeregu wyznawców Kultu Niedźwiedzia. Ctuchik polecił swemu podwładnemu Grolimowi zabicie Spadkobiercy Rivy, ale Chamdar wpadł na inny pomysł. Szukał

sposobności wyniesienia do statusu ucznia. Mogło mu to zagwarantować dostarczenie Pogromcy Boga i Klejnotu bezpośrednio Torakowi, z pominięciem Ctuchika. Był ambitny, muszę przyznać. Przetrzęsnałem niemal całą Tolnedrę, ale nie dostałem go w swoje ręce. Naśladując mnie, pozostawił różne fałszywe tropy, zmuszając mnie do gonienia z jednego końca Tolnedry na drugi. Nie dowiedziałem się, jak to zrobił, aż do czasu tragedii w Annath.

Lelldorin, Łucznik wspomniany w Kodeksie Mrińskim, urodził się w 5352 roku, ale nie miałem czasu zajrzeć do rodziny Wildantor, gdyż byłem zajęty szlifowaniem bruków Tol Honeth w poszukiwaniu swego nieuchwytnego przeciwnika. Po jakimś czasie zaczęło mnie to drażnić.

Javelin wrócił do Tol Honeth, aby mi pomóc. Sprytnie nakłonił ambasadora Drasni, żeby spróbował wyjednać pomoc ojca Ce’Nedry w poszukiwaniach. Wywiad tolnedrański nie mógł się równać z drasańskim, ale na ulicach byłoby więcej czujnych oczu. Jednakże Ran Borune XXIII nie dał się w to wciągnąć. Był zaangażowany w pewne dość delikatne negocjacje handlowe z przedstawicielami Taura Urgasa i nie miał zamiaru w najmniejszym stopniu ich zakłócać, więc odmówił pomocy swych rozlicznych szpiegów i informatorów. Lubilem Rana Borune i uwielbiam jego córkę, ale był zachłanny i perspektywa położenia ręki na całym czerwonym złocie Murgów zawróciła mu w głowie, toteż nie otrzymaliśmy żadnej pomocy ze strony tolnedrańskiego wywiadu.

Ostatecznie u schyłku lata 5354 roku byłem gotów dać za wygraną. Stało się już oczywiste, że różne ślady, za którymi jak szalony gnałem z jednego końca Tolnedry na drugi, były fałszywe. Po raz pierwszy Chamdar mnie przechytrzył. Nabrałem przekonania graniczącego z pewnością, że nie ma go już w Tolnedrze, więc przekazałem Javelinowi niewdzięczne zadanie tropienia wszystkich fikcyjnych „Chamdarów”, jakich Grolimowie wymyślali dla naszej rozrywki, a sam wyruszyłem do Arendii.

Grolimowie tam przebywający byli równie zajęci jak ci w Tolnedrze. Muszę przyznać Chamdarowi, że bardzo dobrze nauczył się lekcji, jakich udzielałem mu przez stulecia. Gdziekolwiek się obróciłem, słyszałem opowieści o Murgu Asharaku, które z dnia na dzień stawały

się coraz bardziej niestworzone. Grolimowie to intryganci, nie ma wątpliwości, ale ich knowaniom brakowało artyzmu. Zawsze popadali w skrajności. To chyba wada ich rasy.

Na północ od Vo Mimbre spotkałem przystojnego młodzieńca w pełnej zbroi. Dosiadał dumnego rumaka bojowego. Rozpoznałem pióropusz rodziny Mandora na jego tarczy.

- Szczęśliwe spotkanie, Prastary Belgaracie! - powitał mnie Mandorallen swym gromkim głosem. - Poszukiwałem cię! - Mandorallen miał wówczas dopiero siedemnaście lat, ale już był imponująco muskularny.

- O co chodzi tym razem, Mandorallenie? - zapytałem.

- Byłem, jak niewątpliwie wiesz - albowiem niezawodnie wszelkie sprawy są ci znane - w Vo Ebor, gdzie mój drogi przyjaciel i opiekun, pan tych pięknych włości, kształcił mnie w sztukach rycerskich i...

- Mandorallenie, do rzeczy!

Spojrzał na mnie nieco urażony.

- Krótko mówiąc - powiedział, jakby mimbrański Arend potrafił powiedzieć coś krótko - twoi bracia, Beltira i Belkira, przybyli niedawno do Vo Ebor i błagali mnie, abym cię odszukał. Natychmiast dosiadłem konia i myśląc, iż nadal jesteś w Tol Honeth, skierowałem się na południe, abym mógł przynieść interesujące cię wieści.

- Co? Jakie wieści?

- Przyznaję, że nie rozumiem ich prawdziwego znaczenia, ale polecono mi, bym doniósł ci, że pewna twoja krewniczka spodziewa się dziecka i że twoja córka, której dotąd nie miałem przyjemności spotkać - choć z tęsknotą wyglądam dnia, gdy dostąpię zaszczytu pozdrowienia jej i pokłonienia się...

- Dobrze, Mandorallenie, wiem, o co chodzi.

- Ta wiadomość, jak tuszę, ważna jest zapewne?

- Umiarkowanie, panie rycerzu.

- Czy wolno mi znać jej znaczenie?

- Nie, nie wolno. Nie musisz tego wiedzieć. Zawróć z powrotem do Vo Ebor. Wypełniłeś swoje zadanie, panie rycerzu, i dziękuję ci. A teraz wracaj do domu.

Skorzystam z okazji, aby przeprosić za swą szorstkość Rycerza Obrońcę. Tak naprawdę chciałem, aby jak najszybciej zniknął mi z oczu, żebym mógł dać upust swej radości. Ildera była w ciąży! Pogromca Boga drzemał pod jej sercem!

Przerwałem bezowocne poszukiwania Chamdara. Było całkiem oczywiste, że go nie znajdę. Udałem się do Asturii, by rzucić okiem na Lelldorina i upewniłem się, że w istocie był tym, na którego czekaliśmy. Wszystko toczyło się jak powinno, więc przeszedłem przez Ulgołand do Doliny.

Po powrocie do domu bliźniacy zapewnili mnie, że Ildera urodzi dziecko w połowie zimy.

- Polgara przeniesie rodzinę wkrótce po narodzinach dziecka - powiedział Beltira.

- To niezły pomysł - odparłem. - Wszyscy dość często odwiedzaliśmy Annath przez ostatnie piętnaście lat. Chamdar czai się gdzieś, więc będzie bezpieczniej, jeśli Pol się przeprowadzi. Czy poprawiło się zdrowie Alary?

Belkira pokręcił smutno głową.

- Nadal nie przyjmuje do wiadomości, że jej mąż nie żyje. Polgara próbowała wszystkiego, aby ją z tego wyrwać, ale jak dotąd bez skutku.

- Może zmiana otoczenia dobrze jej zrobi - zasugerowałem.

- Trudno powiedzieć. - Beltira nie wydawał się mieć wielkiej nadziei.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas i uzgodniliśmy, że powinienem pojechać do Sendarii, aby zobaczyć mnie w innych miejscach niż Annath. Proroctwa Grolimów, a także Wyrocznia Ashabińska zapewne na bieżąco informują Ctuchika o ważnych wydarzeniach, więc byłem pewny, że wie o bliskich narodzinach Pogromcy Boga oraz o tym, że

przyjdzie na świat w Sendarii. Czas było odebrać Chamdarowi pole, więc przywdziałem strój bajarza i ruszyłem do Sendarii.

Zatrzymałem się w mieście Sendar, by rzucić okiem na nowego króla, Fulracha, i jego trzpiotowatą żonę, Layłę. Nie zrozumcie mnie źle. Kochałem Layłę. Jest wyjątkowo wielkiego serca, ale straszna z niej trzpiotka, a do tego niemal nieustannie w ciąży. Czasami nawet zastanawiałem się, jak Fulrach znajduje czas na rządy swym królestwem.

Potem udałem się na wieś. Przemierzałem boczne trakty i polne drogi centralnej Sendarii przez całą jesień i początek zimy. Byłem przekonany, że Grolimowie Chamdara obserwowali każdy mój ruch. Nie zbaczałem ze swej drogi, aby im tego nie utrudniać.

Zbliżał się Dzień Zaranja. Uczucie oczekiwania we mnie narastało. Zaranie jest głównym świętem w Sendarii, gdyż doskonale pasuje do tradycyjnego ekumenizmu Sendarów. Datę święta - w połowie zimy - ustalono dość arbitralnie. Stworzenie świata nie trwało jeden dzień, ale przypuszczam, że duchowni po prostu wybrali losowo któryś z nich dla dorocznych obchodów. Święto było coraz bliżej. Przeniosłem się więc z Darine do Erat z rosnącym przekonaniem, że tego roku Zaranie będzie szczególnym świętem. Przyjaciół Gariona postara się o to.

Oczywiście z nikim się nie kontaktowałem w niekonwencjonalny sposób. Grolimowie potrafili doskonale podsłuchiwać, a nadchodzące WYDARZENIE było tak ważne, że nie chcieliśmy przez nieuwagę dać Chamdarowi zajęcia. Patrząc z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że nasza przesadna ostrożność była prawdopodobnie błędem.

Po wielokroć analizowaliśmy z Polgarą wydarzenia tej zimy. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, gdzie popełniliśmy błąd. Śmierć Darrala powinna być dla nas ostrzeżeniem, to pierwsze. Tak jak podejrzewał Geran, osunięcie zbocza, które zabiło jego ojca, nie było zwykłym wypadkiem. Jakimś sposobem, którego nigdy nie udało nam się ustalić, Chamdar dowiedział się o miejscu pobytu mojej córki i rodziny, którą ochraniała od przeszło trzynastu stuleci. Śmierć Darrala - morderstwo, jak śmiało mogę powiedzieć - była jedynie pierwszym krokiem w misternym planie Chamdara.

Obłąd Alary był następnym. To również uszło mojej i Polgary uwagi.

Dowiedziałem się od Pol, że stan Alary się pogorszył. Wędrowała po okolicznych górach w poszukiwaniu swego męża. Jestem pewny, że Chamdar również w tym maczał palce; Grolimowie są w końcu ekspertami w manipulowaniu umysłami innych.

Na dzień przed Zaraniem Uderę chwyciły bóle porodowe. Polgarą poszła więc z domu Darrala na drugi koniec wioski, aby zbadać Ilderę. Tymczasem Alara - jestem pewny, że za podszeptem Chamdara - skorzystała z okazji i wybrała się w góry na poszukiwanie męża. Po powrocie do domu Darrala Pol stwierdziła, że Alary nie ma. Zdarzało się to już poprzednio, więc Pol po prostu wyruszyła na jej poszukiwanie.

Oto jak Chamdar pozbył się Pol. Polgarą przez całe lata obwiniała się za to, ale to nie była jej wina.

Teraz jestem przekonany, że fałszywe bóle porodowe Ildery również były sprawką Chamdara. Trudno nie podziwiać, jak starannie zgrał wydarzenia w ciągu owych straszliwych dwóch dni. Gdy tylko Pol opuściła wioskę, fałszywe bóle porodowe Ildery zamieniły się w prawdziwe. Oczywiście w wiosce nie brakowało kobiet, które wiedziały, co robić, i krótko po północy, w Dzień Zarania, Garion przyszedł na świat.

A Polgarą, szukająca Alary, była hen, hen!

Wówczas to znajomy głos w mej głowie odezwał się ostrzegawczo:

- Natychmiast udaj się do Annath! Dziecię Światła jest w niebezpieczeństwie!

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Przebywałem wtedy w Muros. Piętnaście minut zajęło mi wydostanie się z miasta i przystrojenie w pióra. Skrzydeł sobie mało nie powyrywałem, usiłując lecieć jak najszybciej, ale dotarłem za późno.

Po porodzie Ildery kobiety z wioski zrobiły to, co zwykle robi się po urodzeniu dziecka, i poszły do domów. W końcu było święto i trzeba było przygotować świąteczne jadlo. Widzicie, jak sprytnie Chamdar wszystko zaplanował?

Zapadał już zmierzch, a ja nadal frunałem z Muros. Geran, Ildera i Garion byli zupełni sami w małym domku. Wówczas do akcji wkroczył Chamdar.

Podpalił dom.

To był kamienny dom, ale Chamdar był Grolimem - a kamień zapali się, jeśli uczynić ogień dostatecznie gorącym.

Po dziś dzień nie mam pewności, czy Chamdar wiedział, co Geran uczyni, gdy uprzytomni sobie, że dla niego i Ildery nie ma ucieczki. Całkiem możliwe, że porzucił swój szalony pomysł dostarczenia Rivańskiego Króla Torakowi i postanowił wypełnić polecenie Ctuchika, po prostu zabijając Spadkobiercę Rivy.

Okna i drzwi domu spowijały płomienie. Geran, prawdopodobnie na progu śmierci, zdał sobie sprawę, że nie uratuje już siebie i żony, ale istniała nikła szansa na uratowanie syna. Miał w domu swoje narzędzia i był kamieniarzem. Wedle moich ustaleń, najprawdopodobniej wziął młot i wybił mały otwór tuż przy ziemi. Potem, choć był już umierający, schwycił owinięte w kocyk dziecko i przepchnął przez otwór w murze.

W tym momencie przybyłem na miejsce. Właśnie zapadał zmrok.

Chamdar albo wiedział, co się wydarzy, albo po prostu wykorzystał nadarzącą się okazję. Skoczył, podniósł otulone kocykiem niemowlę i uskoczył poza zasięg ognia.

Zmieniałem właśnie postać na tej ośnieżonej ulicy, ale wszystko dokładnie widziałem. Byłem zdesperowany i gotów na zrobienie czegoś absolutnie zakazanego. Niewiele brakowało, a starłbym Chamdara z powierzchni ziemi siłą swej Woli. Myślę, że przed popełnieniem tego fatalnego błędu powstrzymała mnie jedynie chęć zabicia tego krwiożerczego Grolima gołymi rękoma. Ze wściekłym wyciem rzuciłem się ku niemu przez śnieg. Niestety, tym samym ostrzegłem go. Ileż razy żałowałem, że nie trzymałem buzi na kłódkę.

Chamdar obrócił się. Oczy rozszerzyło mu przerażenie.

- Ty! - wrzasnął, gdy zobaczył, że gnam ku niemu z morderczym wyrazem twarzy.

A potem zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy dla ratowania własnej skóry.

Rzucił we mnie dzieckiem.





W tym momencie podyktowane paniką zachowanie Chamdara zmieniło bieg historii. By ratować własne życie, odrzucił maleńkiego Gariona w bezpieczne miejsce. Gdyby był trochę bardziej oddany swemu zadaniu, odwróciłby się i cisnął dziecko w płomień.

Opanowałem na tyle swą morderczą pasję, aby pochwycić zawiniątko w powietrzu. To dało Chamdarowi czas na ucieczkę. Skoczyłem rozpaczliwie, by pochwycić Gariona, po czym poturlałem się po ziemi, a gdy obejrzałem się, Chamdar już zniknął. Myślę, że moje rozdzierające wycie obudziło całą wieś.

Z dobrze potwierdzonych źródeł wiem, że w tym właśnie momencie, w dalekim Chereku, Barak doświadczył swego pierwszego przemienienia. Na mgnienie oka zmienił się w Straszliwego Niedźwiedzia. Garion znalazł się w niebezpieczeństwie i Barak, zupełnie bezwiednie, zareagował tak, jak powinien. Polował wówczas na odyńce i całą noc spędził na hulankach z przyjaciółmi. Był pijany, więc zapamiętał jedynie, że ocknął się w lesie obok na wpół zjedzonego dzika.

Kilku z jego towarzyszy było trzeźwiejszych. Mówiono mi, że poprzysięgli potem nie brać kropli trunku do ust i do końca życia dotrzymali przyrzeczenia.

- Ojczy! - doleciał mnie głos Polgary.

- Lepiej wracaj tu, Pol! Natychmiast!

Potem uklęknałem i odwinąłem dziecko. O ile mogłem stwierdzić, Garionowi nic nie się stało. Nawet nie płakał. Miał poważny wyraz

twarży. Gdy nasze oczy spotkały się po raz pierwszy, doznałem ogromnego wstrząsu. Oniemiałem ze zdumienia; nie było wątpliwości. To na niego wszyscy czekaliśmy.

Potem spojrzałem na płonący dom. Miałem nadzieję, że może uda mi się uratować Gerana i Dderę, ale sprawa była beznadziejna. Patrzyłem na płonący dom, ale nie dostrzegałem żadnych oznak życia. Załamany, wybuchnąłem płaczem.

Pol znalazła mnie klęczącego we łzach przy dziecku.

- Co się stało, ojczy? - dopytywała się.

- To był Chamdar! - wrzasnąłem na nią. - Gdzie ty masz oczy, Pol? O czym myślałaś? Czemu sobie poszłaś? - Zawsze żałowałem tego wybuchu.

Pol stała porażona rzuconym w twarz oskarżeniem. Spojrzała na płonący dom.

- Nie ma żadnej nadziei? - zapytała.

- Żadnej. Oboje nie żyją.

Wówczas i Pol załamała się.

- Zawiodłam, ojczy! - szlochała. - Miałam najpoważniejsze zadanie w historii i zawiodłam!

Stłumiłem własny smutek.

- Nie czas na to, Pol! - powiedziałem ostro. - Musimy zabrać stąd dziecko. Chamdar uciekł i może być wszędzie.

- Czemu na to pozwoliłeś?

- Nie miałem wyboru. Musiałem ratować dziecko. Nic tu po nas. W drogę!

Pol pochyliła się i podniosła Gariona z ową szczególną czułością, jaką zawsze okazywała piastowanym niemowlętom, które przecież nie były jej dziećmi. Gdy wyprostowała się, w jej oczach dostrzegłem stanowczość.

- Chamdar za wiele musi odpowiedzieć.

- O tak, Pol, i zrobię wszystko, aby jego odpowiadanie trwało przynajmniej tydzień. Co się stało z Alarą?

- Spadła z urwiska. Nie żyje, ojczy.

Ponownie ogarnęła mnie wściekłość.

- Dodam jeszcze jeden tydzień do tego, co zamierzam zrobić z Chamdarem - przyrzekłem.

- Dobrze! Ja wezmę dziecko. Ty goń Chamdara.

Pokręciłem głową.

- Nie ma mowy, Pol. Najpierw muszę umieścić was w bezpiecznym miejscu. Jesteśmy przede wszystkim odpowiedzialni za to otulone kocykiem maleństwo. Ruszajmy.

Opuściliśmy wioskę i weszliśmy w lasy, unikając wszelkich dróg i wszystkiego, co choćby przypominało ścieżki. O tej porze roku to nie była miła podróż. Problem karmienia Gariona rozwiązałem, kradnąc kozę z jakiejś samotnej farmy.

W końcu udało nam się zejść z gór i zaprowadziłem Pol do jej domu w Erat. Potem oddaliłem się nieco i przywołałem bliźniaków, wyrażając się tak zawile, że nie było do końca pewne, czy mnie rozumieją. Miałem nadzieję, że rozumieją, o co chodzi, gdy powiedziałem, że potrzebni mi są w „ogrodzie różanym”.

Potem wróciłem do zarośniętego różanym buszem domu Pol.

- Powinni tu wkrótce być - powiedziałem. - Zostanę, dopóki nie przybędą.

- Poradzę sobie, ojcze. Nie daj Chamdarowi uciec.

- Ważniejsze, żeby nie szedł za mną. Zostanę. Nie kłóć się ze mną. - Wyrząłem przez okno na zbrunatniały różany gąszcz. - Uważam, że twój dom stoi w zbyt odludnym miejscu, by było tu zupełnie bezpiecznie. Przeczekaj zimę, a potem znajdź sobie jakąś zapadłą wioskę lub farmę i wmieszaj się pomiędzy Sendarów. Nie zwracaj na siebie uwagi, dopóki nie uporam się z Chamdarem.

- Jak sobie życzysz, ojcze.

Zawsze mnie denerwowało, gdy Pol robiła się potulna.

Bliźniacy odszyfrowali moją wiadomość i przybyli następnego ranka. Rozmówiłem się z nimi krótko, po czym opuściłem Erat. Udałem się na północ, do Boktoru, by porozmawiać z Łowcą. Stanowisko, jeśli

można to tak nazwać, piastował w owym czasie urzędnik z dowództwa wywiadu, facet o bliżej nieokreślonym wyglądzie, imieniem Khonar.

- Potrzebny mi ksiązę Kheldar - powiedziałem mu bez ogródek. - Gdzie jest?

Khonar ostrożnie odłożył dokument, który właśnie czytał.

- Mogę zapytać, po co, Prastary?

- Nie, nie możesz. Gdzie jest Silk?

- W Tol Honeth, Przenajświętszy. W tej chwili pracuje dla Javelina. - Wydął usta. - To pierwsze zadanie Kheldara. Nie ma wiele doświadczenia.

- Czy jest dobry?

- Pokładamy w nim spore nadzieje, gdy w końcu się ustatkuje. Jeśli to coś ważnego, to ja mogę z tobą jechać. W końcu jestem najlepszy.

- Nie. Ty będziesz mi potrzebny na miejscu. Silka chcę ze sobą zabrać. Są po temu powody.

- Ach, tak - powiedział. - Jedna z tych spraw.

- No właśnie. Czy słyszałeś ostatnio o Murgu Asharaku?

- Nie dalej niż tydzień temu był w Arendii, Prastary. Jeden z naszych agentów widział go na Wielkim Jarmarku.

Westchnąłem z wielką ulgą. Przynajmniej Chamdar nie węszył w Sendarii.

- W którą stronę ruszył z jarmarku?

- Na południowy wschód, w kierunku Gór Tolnedrańskich. Nasz agent doniósł, że wydawał się czymś trochę podenerwowany.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziałem ponuro. - Znieważył mnie. Pragnę z nim o tym porozmawiać, ale on wolałby raczej mnie unikać, albowiem wielce prawdopodobne, że w trakcie rozmowy rozwieszę jego flaki na płocie.

- To dość obrazowe. - Nic nie zaskoczy Łowcy. - Chcesz, byśmy go zabili, jeśli któryś z moich ludzi natknie się na niego?

- Nie. Sam to zrobię. Wystarczy, jeśli ustalicie miejsce jego pobytu. Masz dobrych ludzi, ale nie mogą równać się z Asharakiem.

Jego spojrzenie przybrało przebiegły wyraz.

- Jesteś niekonsekwentny, Prastary. Najpierw wyraźnie prosisz o dwudziestolatka, który ledwie rok temu ukończył akademię, a potem mówisz, że moi najbardziej doświadczeni agenci nie sprostają temu, kogo szukasz.

- Konsekwencja jest bronią maluczkich, Khonarze. Przekaż wieść swym ludziom w Arendii i Tolnedrze. Dotrę tam na długo przed twoją wiadomością i rozejrzę się. Potem macie mi donosić o wszystkim, co się tyczy Asharaka.

Khonar wzruszył ramionami.

- Skoro tak sobie życzysz, Prastary.

- Tak. Teraz odchodzę i nie trać czasu na próby śledzenia mnie.

Przybrał niewinną minę.

- Jakżebyś śmiał, Święty Belgaracie?

- W końcu to twoja praca.

Opuściłem Boktor jeszcze tego samego popołudnia i dość ostentacyjnie udałem się na południowy zachód Wielkim Traktem Północnym. Byłem pewny, że śledził mnie przynajmniej jeden ze szpiegów Łowcy. Jednakże gdy tylko się ściemniło, musiał zgubić mój ślad, chyba że potrafił fruwać.

Mimo środka zimy nad przykrytymi śniegiem górami było pogodnie. Przeleciałem nad południowo-wschodnim krańcem Sendarii i udałem się do Prolgu, by powiadomić Gorima o przyjsciu na świat Pogromcy Boga. Potem poleciałem na równiny Mimbre, aby na Arendzkim Wielkim Jarmarku porozmawiać z tamtejszym szefem agentów Łowcy, chudym Drasaninem imieniem Talvar.

Gwoli wyjaśnienia, Łowcy zawsze byli najbardziej tajnymi agentami w wywiadzie drasańskim i często miał on - lub ona - małą prywatną agencję - rodzaj wywiadu w wywiadzie. Drasanie już tacy są. Zdecydowanie przepadają za tajemnicami.

- Sądzę, że ten Asharak zawrócił, Prastary - zapewnił mnie Talvar. - Po odejściu stąd udał się na południowy wschód, w kierunku Gór Tolnedrańskich, ale w Vo Mimbre dzieją się rzeczy, które noszą wyraźne ślady jego ingerencji.

- Tak?

- Przebywa tam delegacja handlowa Murgów. Wydają mnóstwo pieniędzy na przekupywanie mimbrańskich rycerzy. Mimbraci nie grzeszą bystrością. Zadłużają się, by zaimponować swoim kompanom. Asharak nigdy nie żałował swego złota. Jeśli zobaczysz monety z czerwonego złota, możesz być pewny ich pochodzenia. Być może to jakaś dawna intryga, ale osobiście w to wątpię. Nagły napływ murgoskiego złota sugeruje coś nowego. Idź śladem pieniędzy, Prastary. On powie ci więcej niż wszystko inne.

- Jesteś Drasaninem do szpiku kości, Talvarze - powiedziałem.

- Dlatego Łowca tu mnie umieścił, Prastary. Te wszystkie knowania zmierzają do obalenia następcy tronu, który prawdopodobnie jest najbardziej zadłużony w całej Arendii. - Skrzywił się. - Gdybym nie pracował dla swego rządu, mógłbym tam zbić fortunę. Niektórzy z tych mimbrańskich idiotów gotowi są płacić niebotyczne sumy za uwolnienie ich od długów.

- Pilnuj swego zajęcia, Talvarze - powiedziałem. - Nie daj się zwieść. Rób pieniądze w wolnym czasie, nie na służbie. Czy Asharak zawładnął już duszą następcy tronu?

- Chyba nie. Młody książę Korodullin nie stracił jeszcze poczucia honoru, pomimo swych długów. Opiera się pochlebstwom Murgów, ale chyba zaczyna się łamać. Potrzebuje kogoś, kto podtrzyma go na duchu.

- Myślę, że znam odpowiedniego człowieka. Wymień kilka imion, Talvarze. Muszę wiedzieć kim są owi kupieni i opłaceni rycerze. Wyślę do Vo Mimbre człowieka, który się tym zajmie.

- Teraz wiem, czemu nazywają cię Świątobliwym Belgarathem - powiedział.

- Nie mieszaj „świętego” z „pieniędzmi”, Talvarze. W przeciwnym razie wpakujesz się w kłopoty.

Potem udałem się do Vo Ebor, gdzie Mandorallen szkolił się pod okiem barona. Baron Vo Ebor poślubił niedawno młodą szlachciankę, imieniem Nerina. Liczne obowiązki sprawiały, że niewiele miał czasu dla swej młodej żony. Zapewnił sobie jednak zastępstwo w osobie

przystojnego i prawego młodego rycerza - nie było w tym niczego niewłaściwego, ale doprowadziło do ciekawej sytuacji.


Od razu po przybyciu wyluszczyłem problem.

- Jak dobry jest twój wychowanek, mój panie baronie? - zapytałem starca.

- Znacznie oczekiwania nasze przewyższył, Prastary - odparł baron. - Wątpię, by w całej Arendii znalazł się równy mu rycerz.

- Dobrze. - Spojrzałem na Mandorallena. - Chcę, abyś pojechał do Vo Mimbre - rzekłem. - Są tam pewni ludzie, których należy ukarać. Brali pieniądze od Murgów za sprowadzenie z właściwej drogi księcia Korodullina. Powstrzymaj ich. Ambasador Drasni przy dworze starego króla powie ci, kim oni są. Rzuć kilka wyzwania i połam trochę kości. Postaraj się przy tym nie zabić ich zbyt wielu. Czekają cię jeszcze inne zadania i wołałbym, abyś nie był uwikłany w krwawe porachunki, gdy przyjdzie czas działać.

- Z całych sił będę się starał wykonać twoje polecenie, Świętobliwy Belgaracie - odparł młodzieniec. - Moja kopia, mój miecz i moje prawe ramię zawsze gotowe do usług i zważywszy na fakt, iż jestem - jak wszystkim na świecie wiadomo - najsilniejszym rycerzem, nie wątpię, że zadanie klęski owym niegodziwym rycerzom będzie błahym zadaniem, które z przyjemnością wykonam. Wprawa moja i męstwo takie są, iż wyjąwszy wypadek, mogę z pełnym zaufaniem zapewnić, że mimo klęski nie doznają trwałego kalectwa.



Panie, ależ Mandorallen ma gadane, gdy już się zapędzi!



Pamiętam jednak, że baronessa promieniała, gdy obwieszczał skromnie swoją niezwykłość. Takie już są arendzkie damy.

Nigdy nie poznałem wszystkich szczegółów planu, który Chamdar zaczął realizować w Vo Mimbre. Przypuszczam, że czynił starania, bym nie deptał mu po piętach. Chamdar w Annath ujrzał moją twarz i jestem przekonany, że zrobił wszystko, by ponownie nie oglądać jej z bliska.

Raport ambasadora Drasni z Vo Mimbre dotarł do mnie kilka miesięcy później. Wywnioskowałem z niego, że Mandorallen dotrzymał obietnicy. Gaduła czy nie - gdy już zamknął buzię i zabrał się do roboty, był jak kłeska żywiołowa. Wielu rycerzy, z którymi się potykał tego dnia, musiano dosłownie wycinać ze zbroi przed opatrzeniem im ran.

Nim jednak Mandorallen skończył perorować i zabrał się do dzieła, ja byłem już w ambasadzie Drasni w Tol Honeth.

- Jak jest dobry? - zapytałem Javelina, wskazując na Silka.

Zapewne nie było to zbyt uprzejme wobec szpiega o szczurzej twarzy, ale ostatnie wydarzenia wyraźnie nadszarpnęły moje dobre maniery.

- Budzi pewne nadzieje, Prastary - odparł Javelin. - Choć ma lekką skłonność do zbaczania z toru. Uczciwość nie jest jego mocną stroną. Ma duszę złodzieja i nie potrafi przepuścić żadnej okazji.

- Javelinie! - zaprotestował Silk.

Książę Kheldar ubrany był w typowy drasański czarny kubrak i spodnie. Był żyłastym, drobnym człowieczkiem, o ostrych rysach i długim, spiczastym nosie. Miał wówczas raptem dwadzieścia lat, ale jego oczy cechował już cyniczny i inteligentny wyraz charakterystyczny dla osoby o wiele starszej.

- Zatem dobrze, panowie - powiedziałem - przystąpmy do rzeczy. Chodzi o Grolima, imieniem Chamdar, który zwykł nazywać siebie Murgiem Asharakiem. Ostatnio przebywał w Sendarii i dopuścił się tam pewnych czynów, które poważnie mnie zdenerwowały. Jak udało mi się ustalić, niedawno przejeżdżał przez Arendię i zmierzał w tym kierunku. Chcę go mieć. Znajdźcie go.

- Nie owija w bawełnę, co? - odezwał się do swego przyjaciela Silk. Potem rzucił mi swój zuchwały uśmiezek, który zawsze z jakiegoś powodu mnie drażnił - Że zapytam z czystej ciekawości, Prastary, czemu zostałem wybrany do tego zaszczytnego zadania towarzyszenia ci? W końcu jestem niemal nowicjuszem.

- Ponieważ Chamdar mnie zna i prawdopodobnie potrafi również rozpoznać większość z bardziej doświadczonych agentów Javelina. Ty jesteś w tym interesie na tyle nowy, że twoja twarz jeszcze się nie

opatrzyła. Dlatego wybrałem właśnie ciebie. Mam nadzieję, że twoja anonimowość umożliwi ci znalezienie go dla mnie.

- Czy chcesz, bym go zabił? - Silkowi rozbłysły oczy.

- Nie. Chcę tylko, byś go znalazł. Potem ja się nim zajmę.

- Psujesz całą zabawę.

- Zawsze tak się zachowuje? - zapytałem Javelina.

- Zwykle. Czasami gorzej.

- A ile, wedle ciebie, jest warte ustalenie miejsca pobytu tego Asharaka, Prastary? - zapytał chytrym tonem Silk.

- Silk! - warknął Javelin.

- Tylko żartowałem. - Drobnny człowieczek uśmiechnął się szeroko. - Znam Świątobliwego Belgaratha od dzieciństwa. - Spojrzał na mnie. - Ściśle biorąc, Murgo Asharak jest teraz w Tol Rane. Mogę podać ci nazwę zajazdu, w którym się zatrzymał, jeśli chcesz. Czy coś jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

- Jesteś pewny, że jest w Tol Rane? - dopytywałem się.

- Na tyle, na ile można być czegoś pewnym w tym szczególnym interesie. Wywiad tolnedrański nie jest najlepszy, ale mają na ulicach sporo ludzi, którzy mieli na oku owego Asharaka.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytał go Javelin.

- Mam wtyczki w wywiadzie tolnedrańskim - odparł Silk z wyniosłym wyrazem twarzy, polerując paznokcie o swój kubrak. - Ran Borune jest właśnie zaangażowany w negocjacje handlowe z Murgami. Delegacja Murgów zdaje z nich relację bezpośrednio Asharakowi. Przez ostatnie dwa tygodnie ich posłańcy kursowali bez przerwy pomiędzy Tol Honeth a Tol Rane.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - chciał wiedzieć Javelin.

Silk rzucił mu głupi uśmiezek.

- Mam swoje źródła - odparł.

- A wracając do rzeczy, to czemu mi o tym nie doniosłeś?

- Zamierzałem to uczynić - w końcu. Chciałem zdobyć trochę więcej szczegółów, nim położę ci to na biurku. Zawsze zadajesz tyle pytań, Javelinie. Panowałem nad sytuacją, a ty miałeś inne rzeczy na głowie.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji, książę Kheldarze - powiedział z sarkazmem Javelin. - A przynajmniej wtedy, gdy w końcu uda się zmusić cię do otwarcia ust. - Potem szybko przeszedł do rzeczy. - Co Ran Borune usiłuje sprzedać Murgom?

Silk wzruszył ramionami.

- Trochę tego, trochę tamtego - odparł wymijająco.

- Sprecyzuj owo „tego” i „tamtego”, Silku.

Silk skrzywił się.

- No dobrze, skoro tak do tego podchodzisz. Ran Borune ma bratanka, który prowadzi interesy w handlowej enklawie w Rivie. Ten bratanek ma zamiar skupić całą wełnę z wiosennego strzyżenia. Nieźle by zarobił, gdyby udało mu się odsprzedać ją Murgom. Ja mam na Wyspie przyjaciela, który usiłuje przelicytować bratanka. Jeśli Ranowi Borunie uda się dobić targu z Murgami, to równie dobrze zamiast bratanka mógłby się wzbogacić mój przyjaciel.

- A ty dostajesz od swego przyjaciela prowizję, prawda? - zapytał Javelin.

- Naturalnie. W końcu dostarczam mu informacji o tych pertraktacjach. Coś za coś, Javelinie.

- Jeśli twój wuj dowie się, że wykorzystujesz środki wywiadu do pomnożenia swego majątku, to dostanie apopleksji. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Zatem musimy dołożyć starań, aby się o tym nie dowiedział - odparł przymilnie Silk. - Mój wuj jest królem Drasni, Javelinie. Ma tyle spraw na głowie, że nie warto martwić go czymś takim. - Mały oszust spojrzał na mnie. - Chcesz, bym pojechał z tobą do Tol Rane? - zapytał.

- Chyba tak. Jak rozumiem, masz tam kontakty?

- Stary przyjacielu, ja mam kontakty wszędzie. Chcesz wiedzieć, co Salmisara miała dziś na śniadanie?

- Nieszczególnie. W takim razie idź się spakować.

- Ja nie muszę się pakować, Belgaracie. Moje torby zawsze są spakowane.

Następnego ranka Silk zjawił się na dziedzińcu ambasady w kasztanowatym aksamitnym kaftanie i zawadiacko zsuniętym na ucho, workowatym kapeluszu.

- Nie wystroiłeś się zbyt jak na długą konną jazdę? -zapytałem.

- Trzeba dbać o wygląd, Prastary - odparł. - W Tol Rane jestem znany jako Radek z Boktoru. Robię tam czasami interesy. Uznałem, że lepiej nie używać prawdziwego imienia. Ten „książę”, którego przyczepiła do mnie rodzina, sprawia, że różni kupcy uważają mnie za frajera. Wierz mi, nikt nie spróbuje oszukać Radeka z Boktoru. Zawarłem kilka bardzo korzystnych transakcji w tym przebraniu.

- Jestem tego pewny. Ruszajmy.

Pojechaliśmy traktem do Tol Rane. Tydzień później przybyliśmy do przysypanego śniegiem miasta. Tol Rane leży tuż przy granicy dawnego Maragoru, wysoko w górach. Każdej zimy jest tam niemal tyle śniegu, co w Val Alorn czy Boktorze. Udaliśmy się do zajazdu, w którym Silk zwykle się zatrzymywał podczas pobytu w mieście. Zajęliśmy okazałe pokoje na górnym piętrze, „ze względów reprezentacyjnych”, jak to ujął.

Wkrótce po naszym przybyciu odwiedził nas jeden z miejscowych agentów drasańskich. Silk odbył z nim długą rozmowę w tajemnym języku. Oczywiście to nie było konieczne, ale myślę, że chciał się popisać.

Po wyjściu Drasanina mój drobny towarzysz zapoznał mnie z niektórymi szczegółami ich pogawędki. Sporo pominął, ale nie poprawiałem go. Nie musiał wiedzieć, że rozumiem to całe machanie palcami.


- Asharak dopiero co tu był - zakończył Silk - ale przez ostatnich kilka dni nikt go nie widział. Powęszę trochę i spróbuję dowiedzieć się czegoś konkretniejszego.


- Dobrze - powiedziałem. - Ja zostanę tutaj. Nie chcę obwieszczać swojej obecności w Tol Rane, Chamdar mnie zna. Wystarczy, że mignę mu gdzieś na ulicy, a przekroczy granicę z Cthol Murgos, nim słońce zajdzie.

Silk skinął głową, a potem wyszedł.

Drzwi jeszcze nie zdążyły się za nim zamknąć, gdy już zmieniłem swój wygląd, by mnie nie rozpoznał, i poszedłem za nim. Nie zrobiłem tego z powodu braku zaufania, choć Silk na pewno nie należy do najbardziej wiarygodnych ludzi, chciałem zobaczyć go w akcji. On jeszcze o tym nie wiedział, ale Przewodnik miał w przyszłości odegrać bardzo ważną rolę, i chciałem się upewnić, czy poradzi sobie z tym, co go czekało.

Nie zawiódł mnie. Książę Kheldar już działał równie gładko, jak sugerował jego przydomek. Nie golił się przez całą drogę z Tol Honeth. Broda sprawiała, że wyglądał na starszego, niż był w istocie. To wrażenie podkreślał jeszcze swym zachowaniem. Jestem przekonany, że gdyby Silk chciał - i gdyby bycie szpiegiem tak go nie ekscytowało - to mógłby zbić fortunę jako aktor. Sam korzystałem z różnych przebrań, więc potrafię poznać geniusza.


*Niech tylko nie przewróci ci się w głowie, Silk.
Przyznaję, że jesteś bardzo dobry. W końcu dlaczego cię
zatrudniłem?*



„Radek z Boktoru” wędrował po zaśnieżonych ulicach Tol Rane i po drodze zawierał różne transakcje. Trzymałem się z tyłu, więc nie słyszałem żadnych szczegółów, ale odniosłem wrażenie, że „Radek” sprzedał wiele rzeczy, których tego dnia wcale nie miał. Bez zająknięcia jednak obiecywał dostarczenie towarów i domyślałem się, że wywiązał się z większości tych obietnic. Silk nie gardzi oszustwem, ale zbyt ciężko pracował nad reputacją „Radeka”.

W końcu dobrnął do dzielnicy, w której zwykle zatrzymywali się Murgowie. W sali ogólnej jednego z tamtejszych zajazdów przystąpił do właściwego działania. Po sprzedaniu kilku rzeczy, do których w rzeczywistości nie miał prawa, zaczął dyskretne przepytывania. Przy jego stole koczowało trzech Murgów o pokrytych bliznami twarzach. Silk rozsiadł się wygodnie, beztrudnie bawiąc się swym kuflem.

- Jeśli któryś z was zna Asharaka, to może mu przekazać, że Radek z Boktoru ma dla niego propozycję interesu - oznajmił.

- A czemu miałbym fatygować się dla wzbogacenia Asharaka? - odparował jeden z Murgów.

- Ponieważ Asharak daje sute prowizje - odparł Silk. - Jestem pewny, że opłaci ci się fatyga. Ta propozycja zapowiada się bardzo obiecująco.

- Jeśli jest tak dobra, to może sam byłbym nią zainteresowany.

- Nie chcę cię urazić, Grachiku - powiedział Silk z lekkim uśmiechem - ale nie masz środków na taką transakcję. To dotyczy handlu hurtowego, a wiesz, jakie to kosztowne.

- Jakiego rodzaju hurt?

- Wolę powiedzieć o tym Asharakowi osobiście. Czasami zdarzają się przecieki, a ja mam konkurentów, których wolałbym trzymać od tego z daleka. Jeśli dowiedzą się, że Radek wchodzi na rynek, skoczą ceny. A to ani mnie, ani Asharakowi nie wyjdzie na dobre.

- Asharaka nie ma w Tol Rane - powiedział Grachik. - Dwa dni temu wyjechał do Tol Borune.

Jeden z Murgów kopnął pod stołem gadatliwego Grachika.

- Tak przynajmniej słyszałem - poprawił się pospiesznie. - Z Asharakiem nigdy nie wiadomo. Zdajesz sobie sprawę, że prowadzi interesy w całej Tolnedrze. Z tego, co wiem, może być teraz w Tol Horb - Grachik starał się niezdarnie naprawić błąd. Wymknęło mu się coś, co powinien zachować dla siebie.

- Zgadza się, Asharak jest nieuchwytny - przyznał Silk. - Usiłuję go wytropić od dwóch miesięcy. Propozycja, o której myślę, jest bardzo poważna i zapewne tylko Asharak może sobie na nią pozwolić. Jeśli znasz kogoś, kto może mu dostarczyć wiadomość, to przekaż mu, że za dzień wracam do Tol Honeth. Powiedz mu, że zwykle zatrzymuję się w tym dużym zajeździe, w pobliżu drasańskiej ambasady i jeśli chce podwoić swoje pieniądze, to niech mnie odszuka. Nie mam zamiaru tracić więcej czasu na szukanie go.

Silk rozmawiał z Murgami jeszcze pół godziny. Potem wyszedł. Zostałem tam wystarczająco długo, by usłyszeć, jak obaj Murgowie łajali Grachika za niewyparzony język, i zobaczyć, jak Grachik, w celu naprawienia swego błędu, wysyła parę łotrów za mým przyjacielem.

Murgowie najwyraźniej za wszelką cenę chcieli utrzymać w tajemnicy miejsce pobytu Asharaka.

Para płatnych morderców dopadła Silka w ciemnym, zaśnieżonym zaułku. Silk jednak doskonale wiedział, że go śledzono. Sprawiał wrażenie pewnego, że sobie z tym poradzi. Ja nie byłem przekonany, więc trzymałem się w pobliżu, by w razie konieczności pospieszyć mu z pomocą.

Nie było to jednak konieczne. Nigdy nie widziałem kogoś tak zwinnego jak Silk. Zabójcy byli parą krzepkich tolnedrańskich osiłków. Nie mieli jednak u mego drobnego przyjaciela najmniejszych szans. Silk szybko odwrócił się, wyciągnął jeden sztylet z buta, drugi zza kołnierza i zabił ich obu, nim zdążyłem mrugnąć. Potem nogą przysypał ciała śniegiem i poszedł dalej. Ten chłopak był dobry!

Udało mi się dotrzeć do naszej kwatery na chwilę przed nim i gdy wszedł, siedziałem przy kominku.

- Jak tam? - zapytałem. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Dowiedziałem się, że Asharak jest teraz w Tol Borune. To może być prawda, ponieważ Murgo, który się wygadał, urządził na mnie zasadzkę, by naprawić swój błąd. Takie potwierdzenie chyba wystarczy?

- Prawdopodobnie. A zatem powinniśmy się udać do Tol Borune.

- Jeszcze dziś w nocy, Belgaracie. Do rana ten gadatliwy Murgo dowie się, że jego zabójcy zawiedli. Nie mam ochoty po drodze ciągle oglądać się za siebie. Ruszajmy z kopyta.

Dotarcie do Tol Borune zajęło nam cztery dni, gdyż Silk nalegał, abyśmy unikali głównych dróg. Myślałem, że znam wszystkie polne drogi we wszystkich królestwach Zachodu, ale mój szpiczastonosy przyjaciel poprowadził mnie szlakami, których nigdy dotąd nie widziałem. Przed Tol Borune wstrzymał konia i zmienił ubranie.

- Nowa tożsamość - wyjaśnił. - Do Asharaka pewnie już dotarła wieść, że szuka go gość imieniem Radek.

- Kim jesteś tym razem?

- Ambarem z Kotu. Ambar trochę mniej rzuca się w oczy niż Radek i nie obraca się w tych samych kręgach.

- Ile jeszcze przebrań masz w zanadrzu?

- Straciłem rachubę. Mam jednak sentyment do Radeka i Ambara. Z nimi spędziłem najwięcej czasu, więc znam ich lepiej. Czasami odkurzam jednak któreś z innych przebrań, aby nie wyjść z wprawy.

- Czy tego uczą was w akademii?

- Poruszają ten temat, ale ja większości sam się nauczyłem, nim jeszcze tam poszedłem. Jestem do tego stworzony, Belgaracie. Ruszamy?

Ponieważ „Ambar z Kotu” wyglądał o wiele nędzniej niż „Radek z Boktoru”, wynajęliśmy pokój w jednej z podlegszych dzielnic Tol Borune. Silk natychmiast ruszył na ulice pod pozorem różnych fikcyjnych interesów, mających ukryć prawdziwy powód jego poszukiwań. Wrócił późnym wieczorem ze skrzywionym nosem.

- Coś tu nie gra, Belgaracie - powiedział.

- To znaczy?

- Jesteś pewny, że Asharak wie, iż go szukasz?

- O tak. Jestem niczym karząca ręka opatrzości. On wie, że będę go ścigał, bez względu na to, gdzie się ukryje.

- Czemu zatem się nie kryje? Zlokalizowałem go po dwóch godzinach. Jestem dobry, ale chyba nie aż tak.

Rzuciłem mu ostre spojrzenie.

- Lepiej przyjrzyjmy się temu facetowi - powiedziałem. - Myślę, że znam cię już na tyle dobrze, by ufać twemu instynktowi. Jeśli coś zaczyna ci cuchnąć, to lepiej to zbadać.

Silk skłonił się z beczelną uniżonością.

- Sługą twym jestem, Prastary.

Była prawie północ. Porywisty wiatr hulał po wyludnionych ulicach Tol Borune, gdy zmierzaliśmy na południowy kraniec miasta, gdzie zwykle zbierali się Murgowie. Silk podprowadził mnie do zajazdu, a potem zakradliśmy się pod zamglone okno z taniego szkła.

- To jego nazywają Murgiem Asharakiem - szepnął złodziejaszek, wskazując na siedzącego w kącie człowieka o poznaczonej bliznami twarzy.

Murgo wyglądał jak Chamdar i przyznam, że podobieństwo było niesamowite, ale gdy ostrożnie wysłałem badającą myśl, moje serce zamarło. Siedzący w kącie Murgo nie był Chamdarem. Zacząłem przeklinać.

- O co chodzi? - szepnął Silk.

- Ten człowiek nie jest tym, którego szukamy.

- Belgaracie, ludzie, którzy go znają, są przekonani, że to Murgo Asharak.

- Przykro mi, ale się mylą. Goniliśmy za oszustem. - Zakląłem znowu.

- Lepiej wracajmy do Tol Honeth. Chcę powiadomić o tym Javelina. Człowiek, którego wszyscy obserwowali, nie jest Chamdarem.

- Skąd ta pewność?

- Chamdar jest Grolimem. A ten facet przy stole to zwyczajny Murgo. Podobieństwo jest uderzające, ale nie jest on tym, kogo chcemy znaleźć.

- Myślałem nad tym, gdy wracaliśmy do naszej kwatery. To zaskakujące odkrycie wyjaśniało wiele rzeczy. Ze wstydem muszę przyznać, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Powinienem wiedzieć, że coś uczyniło Chamdara tak trudnym do wytropienia. Mój umysł musiał chyba spać.

- A co zdradziło tego Murga? - zapytał Silk.

- Jego myśli. Umysł Chamdara potrafię rozpoznać. Tracimy tylko czas w Tol Borune. Chcę być w drodze do Tol Honeth o wschodzie słońca.

- Javelin będzie z tego bardzo niezadowolony. Poświęcił wiele czasu i pieniędzy na obserwację tego oszusta.

- To nie jego wina. Prawdopodobnie moja. Z tego, co już wiemy, na zachodzie włóczy się pewnie z kilkunastu fałszywych Asharaków. Chamdar pracuje dla Ctuchika. Jestem pewny, że Ctuchik wie, jak zmienić wygląd człowieka, by wywieść nas w pole.

- A co ma robić Chamdar?

- Szuka czegoś. A ja usiłowałem mu w tym przeszkodzić.

- Tak? A czego szuka?

- Nie musisz tego wiedzieć, Silku. Po powrocie do Tol Honeth chcę, abyś udał się do Chereku.

- Do Chereku? O tej porze roku?

- Pora roku nie gra roli. Znasz Baraka?

- Jarla Trelheim? Oczywiście. Upiliśmy się razem w czasie ostatniego spotkania Rady Alornów. Trochę z niego chwalipięta, ale lubię go.

- I niech tak będzie. Będziecie obaj dłuższy czas współpracować.

- Skąd wiesz?

Nie mogłem się powstrzymać.

- Mam swoje źródła. Chcę, abyś udał się do Trelheim i zajął się Barakiem. Nigdy nie będzie z niego doskonały szpieg, ale musi wiedzieć, co dzieje się na świecie. Ma dopiero osiemnaście lat i potrzebuje nauki.

- Będę to musiał najpierw uzgodnić z Javelinem.

- Daj sobie spokój z Javelinem. Powiem mu to, co powinien wiedzieć. Od teraz pracujesz dla mnie. Gdy cię wezwę, masz przybywać natychmiast, a gdy ci powiem, byś coś zrobił, to masz to zrobić. Żadnych dyskusji. Żadnych pytań. To, w co jesteśmy zamieszani, jest najważniejszą sprawą od czasów rozłupania świata, a ty tkwisz w tym po uszy.

- No, no - powiedział, po czym rzucił mi chytre spojrzenie. - A zatem w końcu się zaczęło?

- Zaczęło się, mój młody przyjacielu.

- Czy zwyciężymy?

- Z całą pewnością będziemy się starać.

Gdy przybyliśmy do Tol Honeth, Beldin już czekał w drasańskiej ambasadzie.

- Co tu robisz? - zapytałem. Nie byłem przy tym szczególnie miły.

- Kiepski masz humor - zauważył mój brat.

- Kilka dni temu spotkała mnie przykra niespodzianka. Ctuchik wynalazł sposób, by zwykłego Murgo upodobnić do Chamdara. Poleciałem go śledzić drasańskiemu wywiadowi, ale to był błąd. Całe stulecie poświęcili obserwacji niewłaściwych ludzi.

Beldin gwizdnął.

- Tego się nie spodziewaliśmy. Mówiłem ci, że powinieneś sam robić, co do ciebie należy. Zdajesz sobie sprawę, że przez swoje lenistwo zostawiłeś Chamdarowi całkowitą swobodę?

- Nie dobijaj mnie, Beldinie. Spaprałem. Zdarza się.

- Bierz lepiej tyłek w troki i wracaj do Sendarii. Pol jest tam całkiem sama, a ty nie masz najmniejszego pojęcia, gdzie naprawdę znajduje się Chamdar.

- Gdzie ona jest?

- Miałem właśnie do tego przejść. Prawdę powiedziawszy, z tego powodu tu jestem. Bliźniacy wezwali mnie do Doliny i wysłali na poszukiwanie ciebie. W zeszłym tygodniu Pol opuściła swój dom w Erat.

- Dokąd się udała?

- Na południe od Erat jest wioska Górne Gralt. Około dziesięciu lig na zachód stamtąd znajduje się farma człowieka zwanego Faldorem. Tam jest Pol. Pracuje w jego kuchni i ma ze sobą dziecko. Jedź tam lepiej i przestrzeż ją, że Chamdar jest na swobodzie.

- Chyba muszę to zrobić - przyznałem pochmurnie - Nieźle nabałagałem, co?

- Nie powiem, byś okrył się chwałą. Czy Przewodnik jest tak dobry jak mówi Kodeks Mriński?

- Prawie. Trzeba go jeszcze trochę oszlifować.

- Czy zdaje sobie sprawę, o co naprawdę chodzi?

- Ma pewne podejrzenia, które niewiele odbiegają od prawdy.

- Czy pozostali są na miejscach?

- Brakuje mi Matki Wymarłej Rasy, ale jestem pewny, że pojawi się, gdy będziemy jej potrzebować.

- Optymizm to dobra rzecz, Belgaracie, ale czasami z nim przesadzasz.

- Wracasz do Doliny?

- Nie. Lepiej wrócę do południowego Cthol Murgos. Torak może obudzić się w każdej chwili i ktoś powinien mieć go na oku.

- Dobrze, ja ruszam do Sendarii.

- Miłej podróży.

Kolejny raz odkurzyłem swój strój bazarza. Opuściłem Tol Honeth następnego ranka, zaraz po otwarciu bram. Przechodziłem przez wioskę Górne Gralt wielokrotnie w ciągu minionych lat, więc dokładnie wiedziałem, gdzie jest.

Moje poszukiwania Chamdara okazały się poważną stratą czasu, ale zaowocowały wykryciem podstępu, dzięki któremu udawało mu się tyle razy wymknąć. Myślę, że to też się liczy. Nie przejąłem się zbytnio tym, że mi uciekł. Byłem przekonany, że pewnego dnia pojawi się znowu i wówczas będę mógł się z nim rozprawić raz na zawsze.

Teraz jednak odsunąłem od siebie te wszystkie myśli i ruszyłem cesarskim traktem na północ, ku Sendarii, do miejsca zwanego farmą Faldora.





Kapitan Gredlik pijany był jak świnia, gdy jednoręki generał Brendig i jego ludzie w końcu wytropili go w nabrzeżnej speluncie w Camaar.

- Hej, Brendigu! - wrzasnął Gredlik. - Chodź tu i zabieraj się do roboty! Jestem daleko przed tobą!

- Jak go najszybciej otrzeźwić? - zapytał Brendig stojącego za nim krzepkiego sierżanta.

- Możemy wrzucić go do zatoki, panie. Woda jest lodowata. To może pomóc. - Sierżant nie wydawał się jednak zbyt pewny.

- Tylko uważaj, żeby go nie utopić.

- Będziemy ostrożni, panie.

Sierżant i jego czterech sendaryjskich żołnierzy przeszli po zasłanej słomą podłodze tawerny, schwycili Gredlika i wynieśli go na zewnątrz, nie zważając na wierzgania i przeraźliwe protesty. Potem zanieśli go na brzeg, uwiązali mu linę do nogi i wrzucili do lodowatej wody.

Gredlik pluł przekleństwami, gdy wypłynął na powierzchnię. Brendigowi nadal wydawał się jeszcze pijany.

- Dajcie mu trochę popływać - polecił sierżantowi.

- Tak, panie. - Sierżant był weteranem bitwy pod Thull Mardu, solidnym, praktycznym człowiekiem, który zawsze potrafił wszystko załatwić.

Żołnierze pozwolili Gredlikowi pływać w zatoce jeszcze pięć minut, a potem bezceremonialnie go wyciągnęli.

- Co ty wyprawiasz, Brendigu? - dopytywał się Gredlik. Miał posiniałe wargi i szczekał zębami.

- Przyciągam twoją uwagę, Gredliku - odparł spokojnie Brendig. - Rano płyniemy do Rivy, więc chciałem, abyś był na tyle trzeźwy, by utrzymać właściwy kurs.

- A po co płyniemy do Rivy?

- Książę Hettar z Algarii kilka dni temu przywiózł do pałacu w mieście Sendar pewne dokumenty od Świątobliwego Belgaratha. Mamy je zawieźć królowi Belgarionowi.

- Nie mogłeś znaleźć sobie okrętu w porcie Sendar?

- Książę Hettar powiedział mi, że Belgarath prosił wyłącznie o ciebie. Nie wiem u licha czemu, ale uważa, że można na tobie polegać.

Gredlik trząśł się okropnie.

- Czy moglibyśmy wrócić do środka? - zapytał. - Trochę zimno dziś wieczór.

- Dobrze - zgodził się Brendig - ale żadnego picia.

- Masz skłonności do okrucieństwa, Brendigu - oskarżył go Gredlik.

- Tak mi mówiono.

Zebranie załogi Gredlika zajęło resztę nocy. Wszyscy wydawali się równie pijani, jak ich kapitan.

Statek był zniszczony i niezbyt czysty. Żagle miał połatane i postrzępione, ale generał Brendig uznał, że jest w dobrym stanie. To był okręt wojenny Chereków, który został nieco przerobiony, by zabierać ładunek. Brendig miał pewne podejrzenia co do tego, gdzie i jak Gredlig zdobywa te ładunki. Zdążył już zauważyć, że piractwo było drugą naturą Chereków. Załoga nie ruszała się zbyt żwawo tego ranka, ale udało im się wypłynąć na wiosłach na pełne morze i postawić żagle. Gredlik osobiście, z czerwonymi oczami i wstrząsany dreszczami, stał u steru. Trzymał kurs, mimo iż płynęli prosto w paszczę szalejącego sztormu.

Generał Brendig był Sendarem i podziw w nim budziła fachowość kapitana. Zmuszony był przyznać, że pomimo swych złych nawyków, kapitan Gredlik być może rzeczywiście zalicza się do najwspanialszych żeglarzy na świecie. Sendaryjski kapitan nie wypłynąłby z portu przy takiej pogodzie, ale Gredlik ignorował żywioły.

Po trzech dnia żeglugi dopłynęli do portu w Rivie. Gredlik gładko podprowadził swój sfatygowany okręt do jednego z nabrzeży. Polecenia wydawał w takim języku, od którego pobladł nawet zawodowy żołnierz Brendig. Potem obaj zeszli na brzeg i ruszyli stromymi schodami,

pnącymi się przez miasto do fortecy, która była domem Rivańskiego Króla.

Nikt niepostrzeżenie nie dostanie się do Rivy, więc pomimo niepogody król Belgarion i jego drobniutka żona, Ce'Nedra, czekali na placu przed głównym wejściem.

- Brendigu! - zapiszczała uradowana Ce'Nedra, rzucając się staremu przyjacielowi na szyję.

- Dobrze wyglądasz, wasza wysokość - odparł, obejmując ją swym jedynym ramieniem.

- Brendigu, czy ty nigdy się nie uśmiechasz?

- Ja się uśmiecham, wasza wysokość - odpowiedział z absolutnie poważną twarzą.

- Witaj, Garionie - powiedział brodaty Gredlik do Rivańskiego Króla.

Kapitan Gredlik zupełnie nie dbał o formy. Nigdy nie używał tytułów, bez względu na to, do kogo się zwracał.

- Gredlik - odpowiedział Garion, gdy ściskali sobie dłonie.

- Wyglądasz starzej.

- Mam nadzieję. W przeciwnym razie ludzie mogliby zacząć coś podejrzewać. Co sprowadza cię do Rivy o tej porze roku?

- Ten tu, Brendig - odparł Gredlik, rzucając sendaryjskiemu generałowi twarde spojrzenie. - Wyciągnął mnie z miłej tawerny w Camaar, wrzucił do zatoki, a potem uparł się, żebym go przywiózł tutaj. Brendig trochę za bardzo przyzwyczał się do wydawania rozkazów. Gdyby zdobył się na tyle uprzejmości, aby się ze mną upić, to pewnie zgodziłbym się przywieźć go tutaj bez urządzania mi dorocznej kąpieli.

- Kapitanie Gredliku! - powiedziała ostro Ce'Nedra. - Jesteś trzeźwy?

- Mniej więcej - odparł Gredlik, wzruszając ramionami. - Trochę kiwało, więc musiałem uważać na stery. Widzę, że przytyłaś, panno. Lepiej wyglądasz. Przedtem byłaś nadto koścista.

Królowa się zaczerwieniła. Gredlik zawsze zbijał ją z tropu. Wolny jak ptak, zwykle mówił, co myślał, nie zważając na stosowność czy choćby zwykłą grzeczność.

- Cóż było na tyle ważnego, by skłonić cię do wyprawy na Morze Wiatrów u schyłku zimy, generale? - zapytał Garion Brendiga.

- Książę Hettar przywiózł do pałacu paczkę z dokumentami, wasza wysokość - odparł Brendig. - To dokumenty od Świątobliwego Belgaratha. Chciał, aby niezwłocznie je dostarczyć. Jest tam również kilka listów.

- Nareszcie! - krzyknęła Ce'Nedra. - Już myślałam, że ten kochany staruszek nigdy tego nie skończy! Pracował nad tym prawie rok!

- Czy to naprawdę takie ważne, wasza wysokość? - zapytał Gariona Brendiga.

- To książka historyczna, generale - odparł Garion.

- Książka historyczna? - Brendig wydawał się zaskoczony.

- Dla naszej rodziny ma ona pewne szczególne znaczenie. Z pewnych powodów szczególnie interesuje moją żonę. Oczywiście jest Tolnedranką, a wiesz, jacy oni są. Wejdźmy do środka.

- Powiedz mi, Garionie - odezwał się Gredlik, gdy szli placem do szerokiej bramy rivańskiej Cytadeli - masz tu gdzieś może coś do picia?

Belgarion z Rivy, Pogromca Boga i Suzeren Zachodu, przeczytał ostatnią stronę tekstu swego dziadka. Poczul rodzaj lęku i zdumienia tym, jak całe pojmowanie przez niego świata uległo subtelnej zmianie. Nie miał pojęcia, że tak wiele się wydarzyło. Wydarzenia, które przeszły niemal nie zauważone, nagle nabrały znaczenia, gdy ujrzał je w nowym świetle. Pamiętał niezliczone rozmowy z Belgarathem, w trakcie których dyskutowali z dziadkiem „możliwe” i „niemożliwe”. Teraz stawało się jasne prawdziwe znaczenie tych niby zwyczajnych dyskusji. Belgarath potrafił wstrząsnąć podstawami świata, ale przede wszystkim był nauczycielem.

Garion musiał ze smutkiem przyznać, że nie był najlepszym uczniem. Belgarath cierpliwie powtarzał mu, co naprawdę się dzieje, a on zupełnie tego nie pojmował.

- Może powinienem się bardziej przyłożyć do swych studiów - mruknął półgłosem, spoglądając na pełne książki i zwojów półki, stojące pod ścianami jego zagraconej pracowni. - Chyba potrzeba mi trochę więcej miejsca - dodał i nagle przed oczyma pojawił mu się obraz wieży Belgaratha. Poczł dziwną tęsknotę. Potrzebował miejsca do spokojnej pracy. W zachodnim skrzydle Cytadeli znajdowała się nie używana wieża. Była zimna i hulał po niej wiatr, ale przy niewielkich staraniach nadałaby się do zamieszkania - wystarczyło trochę zaprawy do wypełnienia szpar w murach, przyzwoite szyby w oknach, naprawa kominka.

Potem westchnął. To było marzenie niemożliwe do spełnienia. Miał żonę, rodzinę i królestwo do władania. Nie mógł sobie pozwolić na życie naukowca, jakie wiódł pierwszy uczeń Aldura. Musiał też przyznać, że nie najlepszy z niego naukowiec. Oczywiście przy odrobinie czasu... po kilku wiekach w każdym razie...

Ta myśl poruszyła go. W tekście, który właśnie przeczytał, czas był zwyczajnie pomijany. Dla Belgaratha Czarodzieja stulecia znaczą tyle, co lata dla zwykłych ludzi. On spędził czterdzieści pięć lat na studiowaniu trawy i Bóg jeden wie, ile czasu próbował odkryć powód istnienia gór. Garion uprzytomnił sobie, że nie wiedziałby nawet, jakie pytania postawić, a co dopiero jak znaleźć na nie odpowiedzi. Wiedział jednak, że pierwsze pytanie powinno brzmieć: „Dlaczego?”.

Wówczas wziął list od swego dziadka. Nie był szczególnie długi.

„Garionie

- przeczytał. -

Oto więc masz to, skoro tak obstawaliście z Durnikiem przy tym idiotycznym pomysle. To jest początek i środek. Znasz już zakończenie - jeśli coś takiego w ogóle może mieć koniec. Pewnego dnia, gdy będziesz miał trochę

czasu, wpadnij do mnie, to porozmawiamy. Teraz jednak chyba wróć do swych notatek o górach. Belgarath”.

Garion poderwał się, gdy drzwi do pracowni otworzyły się z hukiem.

- Skończyłeś wreszcie? - zapytała z wyrzutem Ce’Nedra. Choć byli już małżeństwem od jakiegoś czasu, Gariona ciągle zdumiewała drobna postura żony. Gdy nie było go przy niej więcej niż kilka godzin, zdawała się rosnąć w jego wyobraźni. Była doskonała, ale bardzo, bardzo mała. Być może to płomiennie rude włosy dodawały jej wzrostu w wyobraźni.

- Tak, kochanie - powiedział, podając jej kilka ostatnich rozdziałów, które gorliwie wyrwała mu z rąk.

- Nareszcie!

- Będziesz się musiała nauczyć cierpliwości, Ce’Nedro.

- Garionie, przeszłam przez dwie ciąży. O cierpliwości wiem już wszystko. Teraz siedź cicho i daj mi czytać. - Przysunęła sobie fotel do jego biurka, usadowiła się i zaczęła czytać. Ce’Nedra otrzymała najlepsze wykształcenie, jakie mogło jej zapewnić Imperium Tolnedry, ale jej mąż nadal był zdumiony tym, jak szybko potrafiła przebrnąć przez każdy tekst. Dotarcie do końca nie zajęło jej więcej niż piętnaście minut. - To prowadzi donikąd! - wykrzyknęła. - Nie dokończył opowieści!

- Nie sądzę, aby ta opowieść już się skończyła, kochana - powiedział Garion. - Wszyscy wiemy, co wydarzyło się na farmie Faldora, więc dziadek nie musiał tego nam opowiadać. - W zamyśleniu odchylił się na oparcie fotela. - Tak okropnie dużo działo się, o czym żadne z nas nie miało pojęcia. Dziadek nawet nie żyje na tym samym świecie, co reszta nas. Tylko kilka razy pozwolił nam do niego zajrzeć. Chciałbym mieć czas, by udać się do Mal Zeth i porozmawiać z Cyradis. Tam jest inny świat, o którym nawet nie wiemy.

- Oczywiście, że jest, ty głuptasie! Nie zwracaj głowy Cyradis. Porozmawiaj lepiej z Eriondem. To przecież o niego chodziło w tym wszystkim!

Rivański Król poczuł nagły przyływ zrozumienia. Ce'Nedra miała rację! Eriond był w centrum wszystkiego, co robili! Torak i Zandramas byli pomyłką. Eriond był prawdą. Walka pomiędzy dwoma Koniecznościami była zupełnie naturalna. Torak był wynikiem pomyłki. Eriond był naprawieniem tej pomyłki. Ce'Nedra, być może instynktownie, dostrzegła to. Pogromca Boga jakoś tego nie zauważył.

- Twoja inteligencja czasami mnie dobija - powiedział żonie z cieniem goryczy.

- Tak - odparła uprzejmie - wiem. Ale nadal mnie kochasz, prawda? - Posłała mu ów ujmujący uśmiech, od którego zawsze ugiwały się pod nim kolana.

- Oczywiście - odparł, usiłując zachować powagę i dostojeństwo. - O czym pisze dziadek w liście do ciebie?

- Myślałam, że to czyste bzdury, ale teraz gdy widzę, jak zakończył, rozumiem, co miał na myśli. Masz. - Podąła mu złożoną kartkę.

„Tak, Ce'Nedro - zaczynał się list - wiem, że opowieść nie jest kompletna. Wszyscy razem zmusiliście mnie do jej napisania. Tyle udało wam się ze mnie wyciągnąć i na tym koniec. Jeśli chcesz znać resztę, idź dręczyć Polgarę. Życzę ci powodzenia w tym małym przedsięwzięciu. Jednak nie oczekuj ode mnie pomocy. Jestem wystarczająco stary, by wiedzieć, że nie należy kusić losu. Belgarath”.

- Lepiej zacznę się pakować - powiedziała Ce'Nedra, gdy jej mąż skończył czytać list.

- Pakować? Dokąd się wybierasz?

- Do chatki cioci Pol, oczywiście.

- To wszystko toczy się dla mnie nieco za szybko, Ce'Nedro. Skąd ten pośpiech? Czy naprawdę musimy gnać na północny kraniec Doliny u schyłku zimy?

- Chcę znać resztę opowieści, Garionie. Nie obchodzi mnie, jak pijany był Belgarath po śmierci swej żony - chcę wiedzieć o Polgarze. To część

opowieści, którą twój niecny dziadek pominął. - Poklepała dość lekceważąco rękopis Belgaratha. - To tylko połowa. Chcę mieć jeszcze połowę Polgary - i zdobędę ją, choćbym miała wyciągnąć ją z niej siłą.

- Mamy tu obowiązki, Ce'Nedro, a ciocia Pol zajęta jest dziećmi. Nie ma czasu na spisywanie historii swego życia jedynie dla twojej przyjemności.

- Wielka szkoda, nieprawdaż? Czy Gredlik jeszcze jest trzeźwy?

- Wątpię. Wiesz, jaki jest Gredlik, gdy zawinie do portu. Czy możemy pomówić o tym nieco później?

- Nie. Idź znaleźć Gredlika i zacznij go cucić. Ja się spakuję. Chcę wyruszyć z porannym przypływem.

Garion westchnął.

- Tak, kochanie - powiedział.

